

**PIERWSZE
POLSKIE
WYDANIE**

WILKIE
COLLINS
ARMADALE



WILKIE
COLLINS
ARMADALE

przekład:
Joanna Wadas



Johnowi Forsterowi –

w uznaniu zasług, jakie oddał literaturze książką *Life of Goldsmith*, i jako wyraz serdecznej pamięci o przyjaźni, która wiąże się z jednymi z najszcześniejszych lat w moim życiu.

Ogół czytelników, na których życzliwe przyjęcie moje doświadczenie pozwala mi liczyć, doceni, mam nadzieję, każdą wartość, jaka może być zawarta w niniejszej opowieści, bez żadnych wstępnych błagań z mojej strony. Dostrzegą oni, jak sądzę, że nie została obmyślona naprędce ani skonstruowana niedbale. Ocenia ją odpowiednio i o nic więcej nie proszę.

Niektórzy czytelnicy będą, jak mam podstawy sądzić, miejscami zaniepokojeni, a może nawet urażeni odkryciem, że *Armada* pod wieloma względami wykracza poza ciasne granice, w które, jeśli tylko mogą, są skłonni wtłaczać rozwój współczesnej beletrystyki.

Nic, co mógłbym powiedzieć tym osobom, nie pomoże mi lepiej niż czas, jeśli oczywiście moje dzieło przetrwa. Nie boję się, że mój zamiar będzie permanentnie niezrozumiany, pod warunkiem że jego realizacja oddaje mu sprawiedliwość. Oceniania według obliczonej na pokaz moralności dzisiejszych czasów, książka ta może wydawać się bardzo śmiała. Sądzona według ponadczasowej moralności chrześcijańskiej, jest to po prostu książka na tyle śmiała, aby mówić prawdę.

Londyn, kwiecień 1866 r.

PROLOG

I. PODRÓŻNI

Było to w dniu otwarcia sezonu w uzdrowisku Wildbad, w roku 1832.

Nad cichym niemieckim miasteczkiem gęstniały pierwsze cienie wieczoru, lada chwila miał się pojawić dyliżans. Przed drzwiami gospody, w oczekiwaniu na pierwszych gości tego roku, zgromadzili się trzej miejscowi notable w towarzystwie żon: burmistrz, jako przedstawiciel mieszkańców, lekarz, jako przedstawiciel wód, dziedzic, jako przedstawiciel własnego majątku. Poza tym doborowym gronem zbici ciasno na schludnym placyku przed gospodą zebrali się mieszkańcy miasta, a pomiędzy nimi tu i ówdzie mieszkańcy okolicznych wsi w swoich uroczych niemieckich strojach. Wszyscy spokojnie oczekiwali przybycia dyliżansu. Mężczyźni ubrani byli w krótkie, czarne kurtki, czarne, obcisłe spodnie do kolan i trójgraniaste kapelusze. Kobiety, o jasnych włosach splecionych ciasno w warkocze spływające po plecach, miały na sobie krótkie, wełniane suknie, których talie umieszczono skromnie w okolicy łopatek. Na obrzeżu tego zgromadzenia kłębiły się pulchne, płowowłose dzieci, podczas gdy, dziwnie z daleka od reszty mieszkańców, orkiestra zdrojowa oczekiwała kuracjuszy, aby zaintonować pierwszą w tym sezonie serenadę. Światło majowego wieczoru wciąż jeszcze jaśniało nad szczytami wielkich, lesistych wzgórz wznoszących się wysoko ponad miastem. Chłodny

wietrzyk, który poprzedza zachód słońca, przynosił balsamiczną woń Czarnego Lasu.

– Panie dziedzicu – odezwała się żona burmistrza (zwracając się do dziedzica jego tytułem) – czy w pierwszym dniu sezonu oczekuje pan jakichś zagranicznych gości?

– Pani burmistrzowo – odrzekł dziedzic (z równym szacunkiem) – oczekuję dwóch. Napisali – jeden ręką sługi, drugi najwidoczniej własną – aby zamówić pokoje. Jak wnoszę po nazwiskach, obaj pochodzą z Anglii. Jeśli chce Pani, abym je wymówił, mój język temu nie sprostą; jeśli chce Pani, abym je przeliterowałem, oto one, litera po literze, najpierw pierwszy, potem drugi, w kolejności, w jakiej napisali. Pierwszy, wysoko urodzony nieznajomy (z tytułu pan), przedstawia się za pomocą ośmiu liter: A, r, m, a, d, a, l, e, jest chory i przybywa własnym powozem. Drugi, wysoko urodzony nieznajomy (z tytułu również pan), przedstawia się za pomocą czterech liter: N, e, a, l, jest chory i przybywa dyliżansem. Jaśnie pan o nazwisku ośmioliterowym pisze do mnie (ręką sługi) po francusku. Jaśnie pan o nazwisku czteroliterowym pisze po niemiecku. Pokoje obu czekają. Nic więcej nie wiem.

– Może – podsunęła żona burmistrza – pan doktor ma jakieś wiadomości od obu znamienitych nieznajomych lub któregoś z nich?

– Tylko od jednego, pani burmistrzowo, ale, ściśle mówiąc, nie od niego osobiście. Otrzymałem opinię lekarską na temat jaśnie pana o ośmioliterowym nazwisku. Jego przypadek wygląda na ciężki. Niech Bóg ma go w swej opiece!

– Dyliżans! – krzyknęło jakieś dziecko na skraju tłumu.

Muzycy chwycili za instrumenty, a całe zgromadzenie zamilkło. Z oddali, z głębi krętego leśnego wąwozu wieczorną ciszę przeszył słaby, ale czysty dźwięk dzwoneczków przy końskim zaprzęgu. Który powóz nadjeżdżał: prywatny powóz pana Armadale’a czy też kursowy dyliżans pana Neala?

– Grajcie, przyjaciele! – zawołał burmistrz do muzyków. – Dyliżansem prywatnym czy kursowym, oto nadjeżdżają pierwsi chorzy sezonu. Niech nas zastaną radosnymi!

Kapela zaintonowała skoczną melodię, a dzieci zebrane na placu zaczęły wesoło tańczyć w jej rytm. W tej samej chwili ich starsi towarzysze stojący przy wejściu do gospody rozstąpili się, odsłaniając widok, który rzucił pierwszy cień smutku na radość i piękno tej sceny. Przejściem, które się otwarło, posuwała się niewielka procesja krzepkich wiejskich dziewcząt, z których każda ciągnęła za sobą puste krzesło na kółkach. Czekały (i robiły na drutach, czekając) na porażonych nieszczęśników, którzy bezradni napływali w owym czasie całymi setkami, a dzisiaj nawet tysiącami, do wód Wildbad po ulgę w cierpieniu.

Podczas gdy orkiestra grała, dzieci tańczyły, gwar wielu głosów narastał, a młode, silne opiekunki nadciągających inwalidów w nieprzeniknionym skupieniu pochylały się nad swoimi robótkami, w żonie burmistrza utwierdzała się nienasycona ciekawość, jaką kobieta żywi wobec innych kobiet. Odciągnęła dziedziczkę na stronę i gorączkowo wyszeptwała:

– Jeszcze słówko, szanowna pani, na temat tych dwóch nieznanomych z Anglii... Czy w listach wyrażają się jasno? Zabierają ze sobą jakieś damy?

– Ten w dyliżansie nie – odparła dziedziczka. – Ale ten w prywatnym powozie tak. Przyjeżdża z dzieckiem, z opiekunką i – zakończyła dziedziczka, zręcznie zachowując najbardziej interesującą wiadomość na sam koniec – z żoną.

Burmistrzowa rozpromieniła się, rozpromieniła się też doktorowa (która brała udział w naradzie), dziedziczka kiwnęła głową znacząco. W głowach całej trójki zaświtała naraz ta sama myśl: „Zobaczymy mody!”.

Minutę później tłum nagle się poruszył i chór głosów oznajmił, że podróżni są tuż-tuż.

W tym momencie ukazał się nadjeżdżający pojazd, kładąc kres wszelkim domysłom. To dyliżans jechał długą ulicą prowadzącą do placu; dyliżans (pokryty olśniewająco świeżą warstwą żółtej farby), wiozący pierwszych kuracjuszy w tym sezonie pod drzwi gospody. Spośród dziesięciu podróżnych, którzy opuścili środkowy i tylny przedział powozu (wszyscy pochodzili z różnych zakątków Niemiec), trzech musiało zostać wyniesionych, po czym posadzono ich na krzesłach na kółkach, aby następnie przewieźć do kwater w mieście. Przedni przedział miał tylko dwóch pasażerów – pana Neala i jego służącego. Nieznajomy (którego choroba

najwidoczniej ograniczała się do niedowładu jednej stopy), wsparty z obu stron pomocnym ramieniem, zdołał względnie łatwo zejść po stopniach powozu. Kiedy już z pomocą laski stanął pewnie na bruku, rzucając niezbyt cierpliwe spojrzenia w kierunku orkiestry witającej go dźwiękami walca z opery *Der Freischutz*, jego widok ostudził nieco entuzjazm przyjaznego grona, które wyszło mu na spotkanie. Mieli przed sobą szczupłego, wysokiego, poważnego mężczyznę w średnim wieku, o chłodnych stalowych oczach i wydatnej górnej wardze, nawisłych brwiach i wysokich kościach policzkowych, mężczyznę, który wyglądał na tego, kim w istocie był – Szkota w każdym calu.

– Gdzie jest właściciel hotelu? – zapytał po niemiecku.

Jego wypowiedź znamionowały bystrość ekspresji i lodowaty chłód tonu.

– Przyprowadzić lekarza – kontynuował, kiedy zobaczył dziedzica – chcę go widzieć natychmiast.

– Już tu jestem, szanowny panie – odezwał się lekarz, występując z grona towarzyszy – i oddaję się całkowicie do pańskiej dyspozycji.

– Dziękuję – odrzekł pan Neal, patrząc na lekarza w taki sposób, w jaki inni patrzą na psa, gdy ten przybiega, słysząc gwizd. – Co się tyczy mojej sprawy, z chęcią skonsultuję się z panem jutro o dziesiątej rano. Tymczasem chciałbym tylko zostawić wiadomość, którą podjąłem się przekazać. Jadąc tutaj, wyprzedziliśmy powóz wiozący pewnego jegomościa, Anglika, jak mniemam, który wyglądał na poważnie chorego. Towarzysząca mu dama błagała, abym spotkał się z panem zaraz po przybyciu i wystarał o pańską fachową asystę przy wyjmowaniu pacjenta z powozu. Ich przewodnik miał wypadek i został z tyłu, a oni sami są zmuszeni jechać wolniej. Jeśli znajdzie się pan tu za godzinę, będzie w samą porę, aby ich przyjąć. Oto i cała wiadomość. Kim jest pan, który pragnie ze mną rozmawiać? Burmistrzem? Jeśli chce pan zobaczyć mój paszport, służący go panu pokaże. Nie? Chciałby pan powitać mnie na miejscu i zaoferować swoje usługi? Jest mi niezwykle miło. Jeśli ma pan władzę skrócić występ miejskiej orkiestry, wyświadczy mi tym grzeczność. Mam wrażliwe nerwy i nie lubię muzyki. Gdzie jest właściciel? Nie, chcę zobaczyć swoje pokoje. Nie chcę pańskiego ramienia, dam radę wejść na górę przy pomocy laski. Panie burmistrzu, panie doktorze, nie

będziemy dłużej panów zatrzymywać. Życzę dobrej nocy.

Burmistrz i lekarz patrzyli, jak Szkot kuśtyka po schodach, i obaj kręcili głowami w niemej dezaprobachie. Panie jak zwykle poszły o krok dalej i nie przebierając w słowach, otwarcie wyraziły swoje zdanie. Sytuacja, z jaką miano do czynienia (przynajmniej jeśli chodzi o nie), to skandaliczny przypadek mężczyzny, który minął je bez cienia uwagi. Pani burmistrzowa była w stanie wyjaśnić podobną zniewagę jedynie przyrodzoną dzikością barbarzyńcy. Pani doktorowa wyraziła jeszcze bardziej zdecydowaną opinię, twierdząc, że wynika ona z wrodzonego bestialstwa tego wieprza.

Godzina oczekiwania na powóz wlokła się i na zbocza wzgórz cicho zakradła się noc. Jedna za drugą pojawiały się gwiazdy, a w oknach gospody zamigotały pierwsze światełka. Kiedy zapadł zmrok, ostatni maruderzy opuścili plac. Potężna cisza lasu spłynęła na dolinę, nagle i osobliwie wyciszając opustoszałe miasteczko.

Godzina oczekiwania minęła, a postać lekarza, niecierpliwie spacerującego tam i z powrotem, nadal stanowiła jedyną żywą duszę pozostałą na placu. Zegarek doktora zdążył odmierzyć kolejne pięć, dziesięć, dwadzieścia minut, nim przez ciszę nocy do jego uszu dotarł pierwszy odgłos zbliżającego się powozu. Wtoczył się na plac w tempie końskiego stępa i zajechał, tak jak mógłby zajechać karawan, przed drzwiami gospody.

– Czy jest tu lekarz? – z głębi ciemnego powozu odezwał się po francusku kobiecy głos.

– Jestem tutaj, proszę pani – odparł lekarz, odbierając z dłoni dziedzica lampę i otwierając drzwi powozu.

Pierwszą twarzą, na jaką padło światło, była twarz kobiety, która przed chwilą przemówiła – młodej, smagłej piękności. Jej czarne, żywe oczy błyszczały od łez. Druga wydobyta z mroku twarz należała do starej, wysuszonej Murzynki, siedzącej naprzeciw damy na tylnym siedzeniu. Trzecią była twarz małego dziecka śpiącego na kolanach Murzynki. Szybkim, zniecierpliwionym ruchem dama dała znak piastunce, aby pierwsza wysiadła z dzieckiem z powozu.

– Proszę, niech je pani zabierze – zwróciła się do dziedziczki. – Proszę

zaprowadzić je do ich pokoju.

Kiedy spełniono jej prośbę, wysiadła. Wtedy też światło po raz pierwszy padło na przeciwległą stronę powozu i oczom zebranych ukazał się czwarty podróżny.

Leżał bezwładnie na materacu, oparty o nosze. Spod czapki wymykały mu się w nieładzie długie włosy. Szeroko otwarte oczy bez ustanku błędziły niespokojnie. Reszta twarzy była równie wyzuta z wszelkich oznak uczuć i myśli jak twarz człowieka martwego. Patrząc na niego teraz, nie sposób było odgadnąć, kim mógł niegdyś być. Ołowiany stupor jego oblicza sprawiał, że każde pytanie o wiek, pozycję społeczną, usposobienie i wygląd, na które mogła kiedyś odpowiedzieć owa twarz, trafiało w nieprzeniknioną ciszę. Nic teraz przez niego nie przemawiało prócz wstrząsu, który poraził go śmiercią za życia. Wzrok lekarza zadał pytanie jego dolnym kończynom, a śmierć za życia odpowiedziała: tu jestem. Wzrok lekarza, przesuając się uważnie wzdłuż jego dłoni i ramion, pytał wyżej i wyżej, aż do mięśni wokół ust, a śmierć za życia odparła: nadchodzę.

W obliczu tak bezwzględnego i straszego nieszczęścia pozostawało jedynie milczenie. Nieme współczucie było wszystkim, co można było ofiarować kobiecie łkającej przy drzwiach powozu.

Kiedy niesiono go na noszach przez hotelowy hol, jego rozbiegany wzrok padł na twarz żony. Spoczął na niej przez chwilę i wtedy chory przemówił.

– Dziecko? – wydusił po angielsku, z wolna i niewyraźnie.

– Dziecko jest bezpieczne na górze – odparła cicho.

– Mój pulpit?

– Mam go tutaj. Spójrz! Nie powierzę go nikomu. Sama się nim opiekuję w zastępstwie ciebie.

Uzyskawszy tę odpowiedź, chory po raz pierwszy zamknął oczy i więcej się nie odezwał. Delikatnie i zręcznie wniesiono go na górę, przy czym z jednej strony towarzyszyła mu żona, z drugiej zaś (złowieszczo milczący) lekarz. Dziedzic i służba, którzy odprowadzali gościa, widzieli, jak otwarły i zamknęły się za nim drzwi pokoju, słyszeli, jak kobieta wybuchła histerycznym płaczem, gdy tylko została sama z lekarzem i chorym, widzieli, jak pół godziny później lekarz wyszedł

z pokoju, a jego rumiana zwykle twarz była pobladła. Zaraz też zaczęli gorączkowo go wypytywać, ale na wszystkie pytania otrzymali tylko jedną odpowiedź:

– Poczekajcie, aż zobaczę go jutro. Dziś o nic nie pytajcie.

Wszyscy znali lekarza i wiedzieli, że jego pośpieszne wyjście po tych słowach nie wróży nic dobrego.

W ten oto sposób dwaj pierwsi angielscy goście przybyli do uzdrowiska Wildbad w sezonie 1832 roku.

II. NIEWZRUSZONA STRONA SZKOCKIEJ NATURY

Następnego ranka o dziesiątej pan Neal, czekając na wizytę lekarza, którą sam wyznaczył na tę godzinę, spojrzął na zegarek i ku swemu zdumieniu odkrył, że czeka na próżno. Zbliżała się jedenasta, gdy drzwi wreszcie się otwarły i doktor wszedł do pokoju.

– Wyznaczyłem pańską wizytę na dziesiątą – odezwał się pan Neal. – W mojej ojczyźnie człowiek medycyny jest człowiekiem punktualnym.

– W mojej ojczyźnie – odparł lekarz bez cienia złośliwości – człowiek medycyny jest dokładnie taki sam jak inni ludzie: jest zdany na łaskę losu. Proszę wybaczyć, że zjawiam się tak późno. Zatrzymał mnie bardzo niepokojący przypadek, mianowicie przypadek pana Armadale’a, którego powóz mijał pan wczoraj w drodze.

Pan Neal spojrzął na lekarza z cierpkim zdumieniem. W oczach doktora widać było niepokój, a w jego zachowaniu troskę, których Szkot nie potrafił wyjaśnić. Przez moment obaj stali naprzeciw siebie w milczeniu. Pochodzenie każdego z nich rysowało się wyraźnie na ich twarzach, dając efekt kontrastu. Twarz Szkota była podłużna i szczupła, surowa i o regularnych rysach, twarz Niemca – pulchna i rumiana, łagodna i bezkształtna. Pierwsza wyglądała tak, jak gdyby nigdy nie była młoda, druga – jak gdyby nigdy się nie starzała.

– Pozwolę sobie przypomnieć – rzekł pan Neal – że teraz zajmujemy się moim przypadkiem, nie zaś przypadkiem pana Armadale’a.

– Oczywiście – odparł lekarz, wciąż rozdarty pomiędzy pacjentem, którego przyszedł zbadać, a pacjentem, którego dopiero co opuścił. – Wszystko wskazuje na to, że cierpi pan na niedowład. Proszę pozwolić mi obejrzeć pańską stopę.

Dolegliwość pana Neala, jakkolwiek mogła mu się wydawać poważna, z punktu widzenia medycyny nie przedstawiała niczego szczególnego. Cierpiał na reumatyczne schorzenie stawu skokowego. Padły niezbędne pytania i odpowiedzi na nie, przepisano też stosowne kąpiele. W dziesięć minut później było już po konsultacji i pacjent w wymownym milczeniu oczekiwał na wyjście lekarza.

– Zdaję sobie sprawę – odezwał się z lekkim wahaniem doktor, wstając z miejsca – że się narzucam. Proszę jednak o pańską wyrozumiałość, gdyż muszę powrócić do tematu pana Armadale’a.

– Mogę wiedzieć, co pana do tego zmusza?

– Obowiązek, jaki mam jako chrześcijanin – odparł lekarz – względem umierającego człowieka.

Pan Neal drgnął. Ci, którzy odwoływali się do jego poczucia religijnego obowiązku, dotykali najbardziej czułego punktu w jego naturze.

– Pańska prośba zyskała moją uwagę – rzekł poważnie. – Słucham pana.

– Nie będę nadużywał pańskiej uprzejmości – odparł lekarz, wracając na krzesło. – Postaram się mówić tak zwięźle, jak tylko potrafię. Przypadek pana Armadale’a przedstawia się pokrótce następująco: większość życia spędził w Indiach Zachodnich. Było to, jak sam stwierdził, życie dzikie i występne. Wkrótce po zawarciu małżeństwa, jakieś trzy lata temu, zaczęły się pojawiać pierwsze symptomy postępującego paraliżu i lekarze zalecili mu wypróbować terapeutyczne właściwości europejskiego klimatu. Opuściwszy Indie Zachodnie, pan Armadale przebywał głównie we Włoszech, ale stan jego zdrowia nie poprawił się. Zanim nastąpił ostatni atak choroby, przeniósł się do Szwajcarii, a stamtąd wysłano go tutaj. Tyle wiem z odczytanej opinii lekarskiej, resztę mogę dopowiedzieć na podstawie własnego doświadczenia. Pan Armadale został skierowany do Wildbad zbyt późno, jest praktycznie nieboszczykiem. Paraliż szybko rozprzestrzenił się na górną połowę ciała, a choroba objęła już dolną część kręgosłupa. Może jeszcze poruszać nieco rękami, ale nie jest w stanie nic utrzymać w palcach. Nadal mówi, ale jutro lub pojutrze może obudzić się niemową. Jestem szczerze przekonany, że został mu w najlepszym razie tydzień życia. Na jego własną prośbę powiedziałem mu, możliwie najogólniej i najdelikatniej, to, co właśnie powtarzam panu. Efekt był

piorunujący. Pacjent zareagował tak gwałtownym wzburzeniem, że oszczędzę panu jego opisu. Pozwoliłem sobie zapytać, czy jego sprawy nie zostały zamknięte. Nic podobnego. Jego testament jest w rękach wykonawcy w Londynie, a on sam zostawia żonę i dziecko dobrze zaopatrzonych na przyszłość. Moje następne pytanie okazało się celniejsze, trafiło w sedno: „Czy jest coś, co nie daje panu spokoju i co chciałby pan zrobić przed śmiercią?”. Wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi, które bardziej niż jakiegokolwiek słowa powiedziało „tak”. „Czy mogę panu jakoś pomóc?” „Owszem. Muszę coś napisać. Czy może pan sprawić, że będę w stanie utrzymać pióro?”

Równie dobrze mógłby mnie prosić o dokonanie cudu. Mogłem tylko zaprzeczyć. „Jeśli podyktuję słowa”, ciągnął, „czy mógłby pan je spisać?” Raz jeszcze musiałem odmówić. Rozumiem trochę po angielsku, ale nie potrafię mówić ani pisać w tym języku. Pan Armadale rozumie francuski, gdy ktoś mówi powoli (tak jak ja), ale nie mówi w tym języku, niemieckiego zaś nie zna w ogóle. W tej sytuacji powiedziałem to, co każdy inny by powiedział: „Dlaczego zwraca się pan do mnie? W pokoju obok ma pan do dyspozycji panią Armadale”. Zanim zdążyłem podnieść się z krzesła, aby ją sprowadzić, powstrzymał mnie, nie słowami, ale wzrokiem pełnym przerażenia, który siłą zaskoczenia przygwoździł mnie do miejsca. „Z pewnością”, rzekłem, „pańska żona jest najwłaściwszą osobą do spełnienia pańskiego życzenia”. „Ostatnią pod słońcem!” – odparł. „Jak to?” – zapytałem – „prosi pan mnie, cudzoziemca i nieznajomego, aby spisać pod dyktando słowa, które chce pan zataić przed żoną?!” Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy bez chwili wahania odrzekł: „Tak!”. Siedziałem w milczeniu, zdezorientowany. „Jeśli nie potrafi pan pisać po angielsku”, rzekł, „proszę znaleźć kogoś, kto potrafi”. Próbowałem oponować. Wybuchnął potwornym, zawodzącym płaczem, wyrażającym nieme błaganie, podobne błaganiu psa. „Ciii, ciii”, uspokajałem go, „znajdę kogoś”. „Dzisiaj!”, wybuchnął, „zanim zawiedzie mnie mowa, jak zawiodła mnie ręka”. „Dzisiaj, za godzinę”. Zamknął oczy, natychmiast się uspokoił. „Czekając na pana”, powiedział, „chciałbym zobaczyć mojego chłopca”. Mówiąc o żonie, nie okazywał wzruszenia, ale kiedy prosił o spotkanie z dzieckiem, na jego policzkach dostrzegłem łzy. Moja profesja nie zatwardziła mi serca tak bardzo, jak

mogłoby się wydawać. Wyszedłem po dziecko z sercem tak ciężkim, jakbym wcale nie był lekarzem. Obawiam się, że może pan to odebrać jako słabość z mojej strony...

Lekarz spojrzał błagalnie na pana Neala. Równie dobrze mógłby spojrzeć na skałę w Czarnym Lesie. Pan Neal stanowczo nie pozwalał, aby jakikolwiek lekarz w chrześcijańskim świecie wywabił go poza obszar czystych faktów.

– Proszę kontynuować – rzekł. – Zdaje się, że nie powiedział mi pan jeszcze wszystkiego, co ma do powiedzenia?

– Z pewnością rozumie pan teraz cel mojej wizyty? – odparł tamten.

– Cel jest wreszcie zupełnie jasny. Prosi mnie pan, abym w ciemno związałem się ze sprawą, która jak na razie jest w najwyższym stopniu podejrzana. Odmawiam udzielenia jakiegokolwiek odpowiedzi, dopóki nie dowiem się więcej, niż wiem teraz. Czy uznał pan za konieczne powiadomić żonę tego człowieka o tym, co między wami zaszło, i poprosić ją o wyjaśnienie?

– Oczywiście, że uznałem to za konieczne! – odrzekł lekarz, urażony uwagą na temat swojego poczucia przyzwoitości, którą zdawało się zawierać pytanie. – Jeśli kiedykolwiek widziałem kobietę pełną uwielbienia i współczucia dla męża, była nią nieszczęsna pani Armadale. Gdy tylko zostaliśmy sami, usiadłem przy niej i ująłem ją za rękę. Czemuż by nie? Jestem stary i brzydki, mogę sobie pozwolić na takie poufałości.

– Przepraszam – odezwał się nieprzenikniony Szkot. – Pozwolę sobie zauważyć, że gubi pan wątek opowieści.

– Bardzo możliwe – odparł lekarz, odzyskując dobry humor. – Nieustanne gubienie wątku leży w zwyczaju mojego narodu, w zwyczaju pańskiego zaś najwyraźniej leży nieustanne odnajdywanie go. Jakże niezwykły przykład porządku wszechświata i odwiecznej stosowności rzeczy mamy przed sobą!

– Wyświadczy mi pan grzeczność, raz na zawsze ograniczając się do faktów? – nalegał pan Neal, marszcząc niecierpliwie brwi.

– Mogę spytać dla własnej wiadomości, czy pani Armadale powiedziała panu, co też jej mąż chciałby, abym napisał, i z jakiego powodu nie pozwala jej pisać zamiast

siebie?

– Oto i mój zgubiony wątek, dziękuję, że go pan znalazł! – odparł lekarz. – Usłyszysz pan, co miała mi do powiedzenia pani Armadale, własnymi słowami pani Armadale. „Powód, dla którego zamyka przede mną swoje zaufanie” – rzekła – „jest tym samym, dla którego zawsze zamykał przede mną swoje serce. Jestem żoną, którą poślubił, ale nie kobietą, którą kocha. Kiedy się ze mną żenił, wiedziałam, że inny mężczyzna zabrał mu kobietę, którą kochał. Myślałam, że uda mi się sprawić, że o niej zapomni. Miałam nadzieję, kiedy go poślubiałam. Miałam znów nadzieję, kiedy urodziłam mu syna. Czy muszę panu mówić, jak skończą moje nadzieje – sam pan widział”. (Błagam, niech pan poczeka! Nie zgubiłem znów wątku, podążam za nim krok w krok). „Czy to wszystko, co pani wie?” – spytałem. „Wszystko, co wiedziałam” – odparła – „do niedawna. Kiedy byliśmy w Szwajcarii i kiedy jego choroba zbliżała się do najgorszego stadium, przypadkiem dotarły do jego uszu wieści o tamtej kobiecie, która jest cieniem i goryczą mego życia, wieści, że ona (tak jak i ja) urodziła swojemu mężowi syna. W chwili, gdy dokonał tego odkrycia – nieistotnego odkrycia, jeśli w ogóle takie było – zdjął go paniczny strach: nie o mnie, nie o siebie, ale o własne dziecko. Tego samego dnia (nie mówiąc mi ani słowa) posłał po lekarza. Okazałam się małoduszna, podła, może pan to nazwać, jak chce – podsłuchiwałam pod drzwiami. Usłyszałam, jak mówi: »mam coś do powiedzenia synowi, kiedy będzie na tyle duży, aby mnie zrozumieć. Czy dożyję tej chwili? Lekarz nie potrafił powiedzieć nic pewnego«. Tej samej nocy (nadal nie mówiąc mi ani słowa) zamknął się w swoim pokoju. Co inna kobieta potraktowana tak jak ja zrobiłaby na moim miejscu? Zrobiłaby to co ja – znów by podsłuchiwała. Słyszałam, jak mówi sam do siebie: »nie dożyję chwili, w której będę mógł mu powiedzieć. Muszę napisać to, zanim umrę«. Skrob, skrob, skrob – słyszałam, jak jego pióro zgrzyta o papier. Słyszałam, jak jęczy i szlocha, pisząc. Zaklinałam go na Boga, aby mnie wpuścił. Okrutne pióro skrobało: skrob, skrob, skrob. Ten dźwięk służył za całą jego odpowiedź. Czekałam przy drzwiach godzinami, nie wiem dokładnie, jak długo. Nagle pióro umilkło. Nic już nie słyszałam. Zaczęłam szeptać cicho przez dziurkę od klucza, mówiłam, że jestem zmarznięta i zmęczona czekaniem, mówiłam: »kochanie, wpuść mnie!«. Nie odpowiadało mi nawet okrutne

pióro – odpowiadała mi cisza. Całą siłą wątlých dłoni waliłam w drzwi. Przyszli słuźący i wyważyli je. Było już za późno, nieszczęście się stało. Podczas pisania tego nieszczęsnego listu nastąpił wylew. Znaleźliśmy go nad tym nieszczęsnym listem sparaliżowanego, w stanie, w jakim pan go widzi teraz. Słowa, które chce, aby pan spisał, są tymi, które napisałby sam, gdyby wylew poczekał do rana. Od tamtej chwili do dziś w liście pozostało puste miejsce i o wypełnienie tego pustego miejsca właśnie pana poprosił”. Tymi słowami przemówiła do mnie pani Armadale, w nich zawiera się sedno tego, co mam do przekazania. Proszę, niech pan teraz powie, czy wreszcie udało mi się trzymać wątku? Czy wyłuszczyłem panu konieczność, która sprowadza mnie tu z nad łoża śmierci pańskiego rodaka?

– Jak na razie – powiedział pan Neal – pokazał mi pan tylko, że się ekscytuje. To zbyt poważna sprawa, aby traktować ją tak, jak pan ją teraz traktuje. Wmieszał mnie pan w tę historię i chciałbym mieć jasny obraz sytuacji. Proszę nie podnosić rąk, pańskie ręce nie mają tu nic do rzeczy. Jeśli mam mieć swój udział w dokończeniu tajemniczego listu, pytanie o jego treść jest jedynie wyrazem uzasadnionej przezorności. Wygląda na to, że pani Armadale wtajemniczyła pana w nieskończoną liczbę intymnych szczegółów, odwdzięczając się, jak myślę, za pańską uprzejmość wyrażoną wzięciem jej za rękę. Czy mogę spytać, co była w stanie powiedzieć panu o liście męża w takim kształcie, w jakim zdołał go napisać?

– Pani Armadale nie była w stanie mi nic powiedzieć – odparł lekarz niespodziewanie oficjalnym tonem, co wskazywało, że jego cierpliwość się wyczerpuje. – Zanim uspokoiła się na tyle, żeby pomyśleć o liście, jej mąż zażądał go i kazał zamknąć w pulpicie. Wie, że od tamtej pory kilkakrotnie próbował go dokończyć i że za każdym razem pióro wypadało mu z ręki. Wie, że kiedy zawiodły wszelkie nadzieje powrotu do poprzedniego stanu, lekarze zalecili mu pokładać ufność w słynnych tutejszych wodach. Teraz już zdaje sobie sprawę z tego, że i te nadzieje są płonne, ponieważ wie, co powiedziałem dziś rano jej mężowi.

Mars, który już wcześniej zaczął pojawiać się na twarzy pana Neala, teraz jeszcze się pogłębił. Szkot patrzył na lekarza tak, jak gdyby osobiście został urażony.

– Im więcej myślę o roli, którą miałbym na pana prośbę odegrać – rzekł – tym

mniej mi się ona podoba. Czy może stwierdzić pan z pewnością, że pan Armadale jest przy zdrowych zmysłach?

– Z tak wielką pewnością, jaka da się wyrazić słowami.

– Czy jego żona zgodziła się, aby przyszedł pan do mnie prosić o moją interwencję?

– Jego żona przysłała mnie do pana – jedyne Anglika w Wildbad – aby napisał pan w imieniu umierającego rodaka to, czego on sam nie może napisać i czego nikt inny tutaj z wyjątkiem pana nie jest w stanie zrobić.

Odpowiedź ta przyparła pana Neala do muru. Ale nawet w tej sytuacji Szkot nie dawał za wygraną.

– Chwileczkę! – rzekł. – Ujął pan to dobitnie. Upewnijmy się, czy ujął pan to również precyzyjnie. Upewnijmy się, że prócz mnie nie ma nikogo, kto mógłby podjąć się tego zadania. Zaczniemy od tego, że w Wildbad jest przecież burmistrz – człowiek piastujący oficjalną funkcję, która usprawiedliwiłaby interwencję.

– Drugiego takiego ze świecą szukać – odparł lekarz. – Ma jednak jedną wadę: nie zna żadnego języka prócz swojego własnego.

– W Stuttgarcie jest angielskie poselstwo – obstawał pan Neal.

– A od Stuttgartu dzielą nas całe mile lasu – zareplikował lekarz. – Jeśli pošlemy teraz, możemy do jutra nie doczekać się pomocy poselstwa, a przy stanie, w jakim znajduje się jego zanikająca artykulacja, jutro możemy zastać go niemową. Nie wiem, czy jego ostatnie życzenia są życzeniami niegroźnymi dla jego dziecka i innych czy też życzeniami krzywdzącymi dla jego dziecka i innych, wiem jednak, że muszą być spełnione teraz albo nigdy i że jest pan jedynym człowiekiem, który może mu pomóc.

To otwarte oświadczenie położyło kres dyskusji. Ustawiło pana Neala pomiędzy dwiema możliwościami: wyrażeniem zgody i popełnieniem czynu nieroztropnego albo też odmową i popełnieniem aktu bezduszości. Przez kilka minut panowała cisza. Szkot uparcie się zastanawiał, Niemiec zaś uparcie go obserwował.

Obowiązek przerwania milczenia spoczywał na panu Nealu i po pewnym czasie pan Neal go podjął. Wstał z krzesła z poczuciem krzywdy czającym się w posępnym

zmarszczeniu nawisłych brwi i wykrzywieniu linii wokół ust.

– Moje położenie zostało mi narzucone – rzekł. – Nie pozostaje mi nic innego, jak je przyjąć.

Impulsywna natura lekarza zbuntowała się wobec bezlitosnej lakoniczności i obcesowości tej odpowiedzi.

– Bóg mi świadkiem – wykrzyknął z zapalem. – Żałuję, że nie znam angielskiego na tyle, aby zająć pańskie miejsce przy łóżku pana Armadale’a!

– Wyjąwszy wezwanie Wszechmogącego na daremno – odparł Szkot – zgadzam się z panem w całej rozciągłości. Żałuję, że pan nie zna.

Nie rzekłszy więcej ani słowa, razem opuścili pokój – doktor przodem, pan Neal za nim.

III. WRAK FRACHTOWCA

Nikt nie zareagował na pukanie do drzwi, kiedy lekarz i jego towarzysz stanęli przed wejściem do przedsiionka apartamentu pana Armadale'a. Weszli więc do środka bez zaproszenia, a zajrzawszy do salonu, stwierdzili, że jest on pusty.

– Muszę się zobaczyć z panią Armadale – rzekł pan Neal. – Odmawiam włączenia się w sprawę, dopóki pani Armadale osobiście nie wyrazi zgody na moją interwencję.

– Pani Armadale jest zapewne z mężem – odparł lekarz. Mówiąc to, podszedł do drzwi na końcu salonu, zawahał się i, odwróciwszy się ponownie, z niepokojem spojrzał na naburmuszonego towarzysza. – Zdaje się, że mówiłem nieco zbyt ostrym tonem, gdy wychodziliśmy z pańskiego pokoju. Z całego serca błagam o przebaczenie. Nim ta biedaczka wyjdzie z pokoju... czy pan... Czy wybaczy mi pan, jeśli poproszę go, aby traktować ją z najwyższą delikatnością i wyrozumiałością?

– Nie, proszę pana – odparł tamten szorstko. – Nie wybaczę. Jakie ma pan prawo sądzić, że brak mi delikatności i wyrozumiałości w stosunku do kogokolwiek?

Lekarz zrozumiał, że jego prośby są daremne.

– Jeszcze raz proszę o przebaczenie – powiedział z rezygnacją, po czym zostawił nieprzystępnego cudzoziemca samemu sobie.

Pan Neal podszedł do okna i zatrzymał się tam ze wzrokiem tępo utkwionym w oddali, zbierając myśli przed czekającą go rozmową.

Było południe. Słońce świeciło jasno. W całym maleńkim światku Wildbad panowało wiosenne ożywienie i radość. Od czasu do czasu pod oknem gospody przetaczały się ciężkie wozy powożone przez furmanów o czarnych twarzach, które

wiozły z lasu cenny ładunek węgla drzewnego. Czasami ciśnięte w wartki nurt strumienia zwinnym i wężowym ruchem przepływały wzdłuż domów długie bale drewna. Luźno powiązane w niekończące się szeregi, niosąc na obu krańcach czujnie wyprostowanego flisaka w wysokich butach, z kijem w ręku, zdążyły do odległego Renu. Wysoko ponad dwuspadowymi dachami drewnianych budynków stojących nad brzegiem rzeki piętrzyły się grzbiety gór, których krawędzie najeżone były czernią jodeł, a zbocza jaśniały świeżością połyskującej zieleni. W oddali, gdzie między łąkami a kępami drzew wiły się leśne ścieżki, przesuwały się tam i z powrotem, jak ruchome plamki światła, jasne, wiosenne suknie kobiet i dzieci szukających dzikich kwiatów. W dole, przy deptaku wzdłuż strumienia, otwarte punktualnie z początkiem sezonu stragany małego jarmarku mieniły się błyskotkami i trzepotały w balsamicznym powietrzu przepychem barwnych chorągiewek. Dzieci tęsknie wpatrywały się w to widowisko, opalone dziewczęta cierpliwie zajmowały się swymi robótkami, przechadzając się po deptaku, mijający się czwórkami i piątkami mieszkańcy miasteczka oraz spacerujący pojedynczo lub w parach goście uprzejmie pozdrawiali się nawzajem, uchylając kapeluszy, a chorzy i słabi wraz z innymi powoli wytaczali się na swoich wózkach prosto w blask radosnego południa, mając swój udział w błogosławionym świetle, które rozwesela, i w błogosławionym słońcu, które świeci na wszystkich bez wyjątku.

Na tę oto scenę Szkot patrzył oczami, które nie zauważały jej piękna, myślami pozostając daleko od wszystkich jej nauk. Przemyślał jedno po drugim słowa, które powinien wypowiedzieć, kiedy zjawi się żona umierającego. Jeden po drugim rozważał warunki, które mógłby postawić, zanim weźmie do ręki pióro przy łóżku jej męża.

– Przyszła pani Armadale – zabrzmiał głos doktora, wdzierając się nagle pomiędzy jego rozważania.

Natychmiast się odwrócił i w czystym świetle południa zobaczył przed sobą kobietę mieszanej, europejsko-afrykańskiej krwi, której rysy twarzy miały w sobie północną delikatność, zaś skóra południowe bogactwo barwy; kobietę w rozkwicie urody, poruszającą się z wrodzonym wdziękiem, patrzącą z wrodzonym zachwytem, której tęskne spojrzenie dużych, czarnych oczu spoczęło na nim z wdzięcznością,

której drobna, śniada dłoń wyciągnęła się w jego stronę w niemym geście podziękowania, z pozdrowieniem, jakie przynależy przychodzącemu przyjacielowi. Po raz pierwszy w życiu Szkot dał się zaskoczyć. Każde słowo, będące wyrazem obronnej postawy, jakie zaledwie przed chwilą rozważał, pierzchnęło z jego pamięci. Jego po trzykroć nieprzenikniony pancerz zwykłej podejrzliwości, zwykłej samokontroli i zwykłej rezerwy, który nigdy nie zniknął w obecności kobiety, spadł z niego teraz i sprawił, że Szkot padł na kolana jako człowiek podbity. Ujął wyciągniętą dłoń i skłonił się nad nią, oddając w milczeniu pierwszy w swym życiu autentyczny hołd płci przeciwnej.

Ona zaś zawahała się. Kobieca wnikliwość, która w bardziej sprzyjających okolicznościach w lot uchwyciłaby sekret jego zakłopotania, teraz ją zawiodła. Przypisywała jego dziwne zachowanie wobec siebie dumie, niechęci – każdej możliwej przyczynie prócz niespodziewanego objawienia się jej własnej urody.

– Nie wiem, jak panu dziękować – powiedziała nieśmiało, usiłując go sobie zjednać. – Próbując mówić, tylko pana zasmucę.

Warga zaczęła jej drzeć, cofnęła się nieco i odwróciła głowę w milczeniu. Lekarz, dotąd bez słowa przyglądający się scenie z kąta pokoju, zbliżył się, nim pan Neal zdołał mu przeszkodzić, i podprowadził panią Armadale do krzesła.

– Niech się go pani nie boi – wyszeptał ten pocziwy człowiek, lekko poklepując jej ramię. – W moich rękach był twardy jak żelazo, ale w pani, sądząc po jego wyglądzie, będzie miękki niczym wosk. Proszę powiedzieć mu to, co kazałem pani powiedzieć, i zaprowadźmy go do pokoju pani męża, zanim wróci mu kapryśny nastrój.

Odzyskała słabnące zdecydowanie i pokonała pół drogi dzielącej ją od okna, wychodząc naprzeciw panu Nealowi.

– Doktor, mój drogi przyjaciel, powiedział mi, że jedynym powodem, dla którego wahał się pan tu przyjść, jestem ja – rzekła, przy czym jej głowa lekko pochyliła się, a cera pobladła. – Jestem głęboko wdzięczna, ale błagam, niech pan o mnie nie myśli. Życzenie mojego męża... – jej głos się załamał, dzielnie odczekała i odzyskała panowanie nad nim. – Życzenie mojego męża w ostatnich chwilach jego życia jest również moim życzeniem.

Tym razem pan Neal był na tyle opanowany, aby jej odpowiedzieć. Cichym, poważnym głosem poprosił, aby nic więcej nie mówiła.

– Wcześniej chciałem jedynie okazać pani wyrozumiałość – powiedział. – Teraz chcę jedynie oszczędzić pani wszelkiego cierpienia.

Kiedy to mówił, na jego bladej twarzy z wolna pojawił się żywszy odcień. Miał przed sobą jej oczy, wpatrzone w niego z życzliwą uwagą, i ze wstydem pomyślał o tym, co rozważał przy oknie, zanim przyszła.

Lekarz dostrzegł swoją szansę. Otworzył drzwi do pokoju pana Armadale'a i stanął przy wejściu bez słowa. Pani Armadale weszła do środka jako pierwsza. Minutę później drzwi ponownie się zamknęły i pan Neal stanął wobec zobowiązania, które zostało mu narzucone – bez możliwości odwrotu.

Pokój urządzony był w fantazyjnym, kontynentalnym stylu, a do środka wpadały ciepłe promienie słońca. Na suficie wymalowano kupidyny i kwiaty, białe wstążki podtrzymywały zasłony w oknach, na wyściełanym aksamitem gzymsie kominka tykał elegancki złożony zegar, na ścianach błyszcząły lustra, a dywan upstrzony był kwiatami we wszystkich kolorach tęczy. Pośród tego odświeżonego wystroju, blasku i światła leżał sparaliżowany człowiek. Jego spojrzenie wędrowało niespokojnie, twarz była pozbawiona życia, głowa podparta wysoko stosem poduszek, a bezwładne ręce spoczywały na pościeli jak ręce nieboszczyka. U wezłowania łóżka stała ponuro i milcząco stara, pomarszczona, czarna piastunka, na narzucie zaś, między wyciągniętymi ramionami ojca, leżało dziecko w białej sukience pochłonięte nową zabawką. Gdy otwarły się drzwi i pani Armadale wprowadziła gości do środka, chłopiec przerzucił zabawkę – żołnierzyka na koniu – tam i z powrotem ponad bezwładnymi ramionami po swojej prawej i lewej stronie, podczas gdy wzrok ojca podążał za nią tam i nazad z ukradkową i niestrudzoną czujnością dzikiego zwierzęcia, na którą strach było patrzeć.

W chwili, gdy pan Neal ukazał się w drzwiach, niespokojne oczy zatrzymały się, podniosły i popatrzyły na nieznanego pytająco. Nieruchome wargi mozolnie wykonały wysiłek, aby się poruszyć. Niezgrabnie, niezdecydowanie wyartykułowały pytanie, które bezgłośnie zadały już oczy:

– Czy to pan?

Pan Neal postąpił w stronę łóżka, podczas gdy pani Armadale się od niego odsunęła i wraz z lekarzem czekała w odleglejszej części pokoju. Kiedy nieznajomy się zbliżył, dziecko podniosło wzrok, trzymając w ręku zabawkę, otwarło szeroko jasnobrązowe oczy w chwilowym zdumieniu, po czym na nowo podjęło swe zajęcie.

– Zaznajomiono mnie z pańskim smutnym położeniem – odezwał się pan Neal – i przychodzę, aby zaoferować swoje usługi, usługi, których nikt prócz mnie, jak poinformował mnie pański doktor, nie jest w stanie panu dostarczyć w tym dziwnym miejscu. Nazywam się Neal. Jestem radcą prawnym w Edynburgu i śmiem twierdzić, że jeśli chodzi o mnie, żadne zaufanie, którym zechce mnie pan obdarzyć, nie zostanie zawiedzione.

Oczy pięknej żony chorego już go nie mieszały. Mówił do bezradnego męża cicho i poważnie, bez zwykłej szorstkości i z głębokim współczuciem w głosie, co robiło najlepsze możliwe wrażenie. Widok łoża śmierci sprowadził nań opanowanie.

– Czy chciałby pan, abym coś dla niego napisał? – podjął, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

– Tak! – odrzekł umierający, a w jego oku gniewnie zabłysła niecierpliwość, której język nie był w stanie wyrazić. – Moja ręka już zawiodła, a moja mowa zawodzi. Niech pan pisze!

Zanim miał czas przemówić, pan Neal usłyszał szelest sukni i pośpieszne skrzywienie kółek na dywanie za swoimi plecami. Pani Armadale przesuwała sekretarzyk w stronę nóg łóżka. Jeśli miał obwarować się zabezpieczeniami własnego pomysłu, które sprawią, by w przyszłości nie ucierpiał z powodu następstw tego, co miało się zdarzyć, teraz był na to czas. Nadal odwracając się plecami do pani Armadale, w możliwie najprostszy sposób sformułował zapobiegawcze pytanie:

– Zanim wezmę pióro w dłoń, czy mogę pana zapytać, co też takiego chciałby, abym napisał?

Gniewny wzrok paralityka rozpałał się coraz bardziej. Jego wargi rozwarły się i znowu zamknęły. Nie odpowiedział.

Pan Neal spróbował kolejnego zapobiegawczego pytania, tym razem idącego

w innym kierunku:

– Kiedy już napiszę to, co pan chce – zapytał – co należy z tym dalej zrobić?

Tym razem padła odpowiedź:

– Proszę zapieczętować to w mojej obecności i wysłać do mojego wy...

Mając kłopot z wyartykułowaniem słowa, nagle zamilkł i żałośnie spojrzął w twarz pytającego, prosząc o podpowiedzenie słowa.

– Czy ma pan na myśli wykonawcę pańskiej ostatniej woli?

– Tak.

– Domyślam się, że chodzi o list, który mam nadać?

Nie było odpowiedzi.

– Mogę spytać, czy ten list zmieni pański testament?

– Nic z tych rzeczy.

Pan Neal namyślał się przez chwilę. Atmosfera tajemnicy gęstniała. Jedynym z niej wyjściem, jak na razie, była droga ledwie zarysowana przez dziwną historię niedokończonego listu, którą lekarz powtórzył mu słowami pani Armadale. Im bliżej był nieznanego zobowiązania, tym bardziej złowieszczo wydawało mu się ono grozić czymś poważnym. Czy może zaryzykować jeszcze jedno pytanie, nim podejmie nieodwracalne zobowiązanie? W chwili, gdy wątpliwość ta przeszła mu przez myśl, poczuł, jak jedwab sukni pani Armadale muska go od strony najbardziej odległej od jej męża. Jej delikatna, ciemna dłoń spoczęła miękko na jego ramieniu, a duże, afrykańskie oczy spojrzały na niego z potulnym błaganiem.

– Mój mąż bardzo się niepokoi – wyszeptała. – Czy zechce pan złagodzić jego niepokój, zajmując miejsce przy sekretarzyku?

To z jej ust padła prośba – z ust osoby, która miała wszelkie powody, aby się wahać, z ust żony, której mąż nie wtajemniczył w swój sekret! Większość mężczyzn, znalazłszy się w sytuacji pana Neala, porzuciłaby z miejsca wszelkie środki ostrożności. Szkot porzucił wszystkie prócz jednego.

– Napiszę to, co pan chce, abym napisał – zwrócił się do pana Armadale'a. – Zapieczętuję to w pana obecności i własnoręcznie wyślę wykonawcy pańskiej ostatniej woli. Jednak angażując się w to przedsięwzięcie, muszę prosić, aby pan

pamiętał, że działał w ciemno. Proszę wybaczyć fakt, że zastrzegam sobie całkowitą swobodę działania, kiedy już pańskie życzenia dotyczące listu zostaną spełnione.

– Czy daje pan słowo?

– Jeśli chce pan mojego słowa, dam je panu, pod warunkiem, o którym właśnie wspomniałem.

– Przyjmuję pański warunek i proszę dotrzymać danego słowa. Mój pulpit – dodał, po raz pierwszy zwracając się do żony.

Skwapliwie przemierzyła pokój w kierunku pulpitu leżącego na krześle w kącie. Wracając, dała przelotnie znak Murzynce, która stała bez ruchu, ponura i milcząca, w miejscu, które zajmowała od początku. Posłuszna nakazowi, kobieta zbliżyła się, aby zabrać dziecko z łóżka. Ledwie je dotknęła, wzrok ojca – dotychczas skupiony na pulpicie – przeskoczył na nią z kocią zręcznością.

– Nie! – powiedział.

– Nie! – zawtórował mu głosik chłopca, który nadal oczarowany był zabawką i nadal cieszył się ze swego miejsca na łóżku.

Murzynka opuściła pokój, dziecko zaś, tryumfując, poczęło tratować żołnierzkiem z góry na dół pościel, która leżała zmiętoszona na piersi ojca. Na ten widok przez piękną twarz matki przebiegł skurcz zazdrości.

– Czy mam otworzyć pulpit? – spytała, równocześnie odpychając szorstko zabawkę.

Odpowiedziało jej spojrzenie męża, które powiodło jej rękę do miejsca pod poduszką, gdzie ukryty był klucz. Otworzyła pulpit, ukazując jego zawartość: małe kartki rękopisu spięte razem.

– To te? – spytała, wyjmując je.

– Tak – odparł. – Możesz odejść.

Siedzący przy sekretarzyku Szkot i doktor, szykujący w kącie pobudzającą miksturę, spojrzeli na siebie z niepokojem, którego żaden z nich nie potrafił ukryć. Padły słowa, które wypędziły żonę chorego z pokoju. Czas nadszedł.

– Możesz już iść – powtórzył pan Armadale.

Spojrzała na dziecko, wygodnie rozłożone na łóżku, i popielata bladość z wolna ogarnęła jej twarz. Przeniosła wzrok na nieszczęsny list, który stanowił dla niej nieprzenikniony sekret i pełne zazdrości podejrzenie. Myśl o tej drugiej kobiecie, będącej cieniem i goryczą jej życia, ścisnęła jej serce. Oddaliwszy się o kilka kroków od łóżka, zatrzymała się i zawróciła. Uzbrojona w podwójną odwagę płynącą z miłości i rozpacz, przylgnęła ustami do policzka umierającego męża i po raz ostatni zaczęła go błagać. Jej gorące łzy kapały mu na twarz, kiedy szeptała:

– Och, Allan, pomyśl, jak bardzo cię kochałam! Jak bardzo starałam się, aby cię uszczęśliwić! Pomyśl, jak niedługo przyjdzie mi cię stracić! O, miły mój, nie odsyłaj mnie!

W jej imieniu błagały słowa, błagał pocałunek. Wspomnienie miłości, którą został obdarzony i której nigdy nie odwzajemnił, poruszyło serce gasnącego mężczyzny jak nic innego od dnia ślubu. Z jego piersi wyrwało się głębokie westchnienie. Spojrzał na nią i zawahał się.

– Pozwól mi zostać – wyszeptała, jeszcze mocniej przyciskając twarz do jego twarzy.

– To ci tylko sprawi ból – odszepnął.

– Nic nie sprawia mi większego bólu niż to, że mnie odsyłasz!

Czekał. Widziała, że się zastanawia, i czekała również.

– Jeśli pozwolę ci na chwilę zostać...?

– Tak, tak!

– Czy odejdziesz, kiedy ci powiem?

– Tak.

– Przyrzekasz?

Więzy krepujące mu dotąd język zdały się chwilowo rozluźnić, aby dać ujście gwałtownemu wybuchowi niepokoju, który nasunął mu to pytanie. Wypowiedział owe zaskakujące słowa tak, jak jeszcze nigdy nie wypowiedział żadnych innych.

– Przyrzekam – powtórzyła, i, opadając na kolana przy łóżku, żarliwie ucałowała jego dłoń.

Obaj nieznajomi znajdujący się w pokoju zgodnie odwrócili twarze. W ciszy,

jaka teraz zapadła, jedynym dźwiękiem było ciche szemranie dziecięcej zabawki przesuwanej tam i z powrotem po pościeli.

Lekarz pierwszy przerwał bezruch, jaki ogarnął wszystkich zebranych. Podeszedł do pacjenta i z niepokojem zaczął go badać. Pani Armadale powstała z klęczek i, zaczekawszy najpierw na pozwolenie męża, przeniosła kartki rękopisu wyjęte z pulpitu na stolik, przy którym czekał pan Neal. Rozpalona i podniecona, piękniejsza niż kiedykolwiek, w gwałtownym ożywieniu, jakie ją ogarnęło, przystanąła przy nim i podając mu list, wykorzystawsza okazję, aby z właściwym kobiecie brakiem opanowania własnych impulsów wyszeptać:

– Proszę przeczytać list od początku. Muszę go usłyszeć!

Jej oczy błysnęły pałającym żarem wprost w jego oczy, jej oddech omiótł mu policzek. Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć czy pomyśleć, była już z powrotem przy mężu. W krótkiej chwili, w której przemówiła, jej uroda zdołała podporządkować Szkota jej woli. Zmarszczył czoło i z niechęcią uznając własną niemożność przeciwstawienia się jej, przewrócił kartki listu. Spojrzał na puste miejsce, gdzie pióro wypadło z dłoni piszącego, pozostawiając kleks, wrócił do początku i wypowiedział słowa działające na korzyść żony, które ona sama włożyła mu w usta:

– Może chciałby pan dokonać jakichś poprawek – zaczął, całą swoją uwagę pozornie skupiając na liście, podczas gdy wszystko wskazywało na to, że na powrót ogarnia go kwaśny nastrój. – Czy mam odczytać to, co już pan napisał?

Pani Armadale, siedząca przy wezgiłowiu łóżka z jednej strony, oraz lekarz, z palcami na pulsie pacjenta, siedzący z drugiej, czekali z niepokojem, którego źródło było dla każdego z nich zupełnie inne, na odpowiedź. Pan Armadale przeniósł badawczy wzrok z dziecka na żonę.

– Będziesz tego słuchać? – zapytał.

Rytm jej oddechu przyśpieszył, jej dłoń zakradła się i ujęła jego dłoń, skłoniła głowę w milczeniu. Mężczyzna zamilkł, namyślając się w duchu i nie spuszczać oka z żony. Wreszcie podjął decyzję i dał odpowiedź:

– Niech pan czyta – rzekł – i przerwie, kiedy powiem.

O pierwszej odezwał się dzwon wzywający gości do gospody na wczesny obiad. Do wnętrza pokoju wdarł się wesóły odgłos szybkich kroków i szmer głosów zbierających się przed budynkiem, kiedy pan Neal rozpostarł przed sobą rękopis i odczytał pierwsze jego zdania, które brzmiały następująco:

„Kieruję ten list do mojego syna, kiedy ten osiągnie wiek, w którym będzie go w stanie zrozumieć. Straciwszy wszelką nadzieję, że dożyję czasów, w których zobaczę, jak mój chłopiec staje się mężczyzną, nie pozostaje mi nic innego, jak spisać tu wszystko to, co w przyszłości chętnie bym mu powiedział osobiście.

W pisaniu listu przyświecają mi trzy cele. Po pierwsze, ujawnić okoliczności, które towarzyszyły zamążpójściu angielskiej damy, mojej znajomej, na wyspie Maderze. Po drugie, odkryć prawdę na temat śmierci jej męża, która nastąpiła wkrótce potem na pokładzie francuskiego frachtowca »La Grace de Dieu«. Po trzecie, ostrzec mojego syna przed grożącym mu niebezpieczeństwem – niebezpieczeństwem, jakie powstanie z grobu jego ojca, gdy jego prochy pokryje ziemia.

Historia zamążpójścia angielskiej damy zaczyna się w momencie, kiedy odziedziczyłem wielką posiadłość rodu Armadale i przybrałem ich nieszczęsne nazwisko.

Jestem jedynym żyjącym synem świętej pamięci Mathew Wrentmore'a z Barbadosu. Przyszedłem na świat w rodzinnej posiadłości na wyspie i już jako dziecko straciłem ojca. Moja matka była we mnie ślepo zapatrzona, niczego mi nie odmawiała i pozwalała mi żyć wedle własnego widzimisię. Dzieciństwo i młodość minęły mi na próżnowaniu i pobłażaniu samemu sobie, wśród ludzi – w większości niewolników oraz mieszańców – dla których moja wola była prawem. Wątpię, czy w całej Anglii istnieje mężczyzna mojego urodzenia i pozycji, który byłby równie wielkim ignorantem jak ja. Wątpię, czy w całym świecie znalazłby się drugi młodzieniec, którego namiętnościom równie obce byłyby wszelkie granice jak moim w owym czasie.

Moja matka miała romantyczne obiekcje wobec niewyszukanego imienia mojego ojca. Na chrzcie otrzymałem imię Allan na cześć bogatego kuzyna ojca, świętej pamięci Allana Armadale'a, który posiadał majątek w naszej okolicy, największy

i najbardziej dochodowy na wyspie, i który zgodził się zostać moim ojcem chrzestnym za pośrednictwem pełnomocnika. Pan Armadale nigdy nie ujrział swojego majątku w Indiach Zachodnich. Mieszkał w Anglii i, wysławszy mi zwyczajowy podarunek z okazji chrztu, całymi latami nie utrzymywał kontaktów z moimi rodzicami. Pan Armadale odezwał się ponownie dopiero, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat. Z tej okazji matka otrzymała od niego list, w którym pytał, czy żyję, i (jeśli tak) proponował mi mniej, niż więcej, tylko uczynienie mnie spadkobiercą swojego majątku w Indiach Zachodnich.

I tak los uśmiechnął się do mnie wyłącznie z powodu złego prowadzenia się jedyne go syna pana Armadale'a. Młodzieniec ten okrył się niewybaczalną hańbą, opuścił dom jako banita i od tamtej pory ojciec wyrzekł się go raz na zawsze. Nie mając wśród najbliższych innego męskiego krewnego, który mógłby zostać jego dziedzicem, pan Armadale pomyślał o synu swojego kuzyna i swoim chrześniaku i zaoferował swój zamorski majątek mnie, a po mnie moim spadkobiercom, lecz pod jednym warunkiem – że ja i moi dziedzice przyjmujemy jego nazwisko. Propozycja została zaakceptowana z wdzięcznością i podjęto odpowiednie kroki prawne, aby zmienić moje nazwisko w kolonii i w ojczyźnie. Następną pocztą dotarła do pana Armadale'a wiadomość, że warunek został spełniony. Poczta zwrotna przyniosła wieści od prawników. Testament zmieniono na moją korzyść i w tydzień później śmierć mojego dobroczyńcy uczyniła ze mnie największego właściciela ziemskiego i najbogatszego człowieka na całym Barbadosie.

Było to pierwsze z serii wydarzeń. Kolejne nastąpiło sześć tygodni później.

W tym czasie zwolniła się posada urzędnika w majątku. Zgłosił się na nią młodzieniec w moim wieku, niedawno przybyły na wyspę. Przedstawił się jako Fergus Ingleby. We wszystkim kierowałem się impulsem, nie znałem innego prawa niż własny kaprys, a nieznajomy spodobał mi się od chwili, kiedy pierwszy raz go ujrzałem. Odznaczał się manierami dżentelmena i posiadał niewymownie pociągające przymioty towarzyskie, z jakimi, będąc niedoświadczonym, nigdy się jeszcze nie spotkałem. Kiedy dowiedziałem się, że dostarczone przez niego pisemne referencje dotyczące jego charakteru zostały uznane za niezadowalające, interweniowałem i naciskałem, aby otrzymał posadę. Moja wola była prawem i tak

też się stało.

Mojej matce Ingleby od początku się nie podobał i nie ufała mu. Kiedy odkryła, że zażyłość między nami gwałtownie rośnie, że dopuściłem tego podwładnego do kręgu najbliższych towarzyszy i powierników (przestawałem z podwładnymi całe życie i podobało mi się to), zaczęła podejmować kolejne wysiłki, aby nas rozdzielić, ale na darmo. Doprowadzona do ostateczności, postanowiła spróbować jeszcze jednego – namówić mnie na podróż, którą często rozważałem – podróż do Anglii.

Zanim porozmawiała ze mną na ten temat, zdecydowała się zainteresować mnie pomysłem zobaczenia Anglii od nieco innej strony. Napisała list do starego przyjaciela i swego dawnego adoratora, świętej pamięci Stephena Blancharda, mieszkańca Thorpe Ambrose w hrabstwie Norfolk, właściciela ziemskiego i wdowca, ojca dorosłych dzieci. Później odkryłem, że musiała napomknąć o ich dawnym przywiązaniu (utemperowanym, jak sądzę, przez rodziców obu stron) i że prosząc pana Blancharda o przyjęcie syna po przyjeździe do Anglii, wypytywała jednocześnie o jego córkę, co wskazywało na ewentualność małżeństwa łączącego obie rodziny, o ile młoda dama i ja przypadlibyśmy sobie do gustu. Pasowaliśmy do siebie pod każdym względem, a wspomnienie matki o jej dziewczęcym przywiązaniu do pana Blancharda sprawiało, że perspektywa małżeństwa jej syna z córką dawnego wielbiciela jawiła się jako najpomyślniejsza i najszczęśliwsza perspektywa, jaką mogła sobie wyobrazić. Nie wiedziałem o tym wszystkim, dopóki na Barbados nie dotarła odpowiedź pana Blancharda. Wtedy matka pokazała mi list i otwarcie przedstawiła mi pokusę, której celem było rozdzielić mnie i Fergusa Ingleby.

List pana Blancharda został nadany z wyspy Madery. Z powodu złego stanu zdrowia lekarze wysłali go tam dla wypróbowania tamtejszego klimatu. Była z nim córka. Na wstępie listu pan Blanchard zapewniał, że z całego serca podziela nadzieje i życzenia mojej matki, po czym proponował, żebym (jeśli mam zamiar wkrótce opuścić Barbados) zatrzymał się na Maderze w drodze do Anglii i odwiedził go w miejscu jego tymczasowego pobytu. Jeśli byłoby to niemożliwe, podawał datę, kiedy zamierza wrócić do Anglii i kiedy z pewnością otrzymam gościnę w jego własnym domu w Thorpe Ambrose. Wreszcie przeproszał, że nie pisze dłuższego

listu, tłumacząc się złym wzrokiem i nadmieniając, że sprzeciwił się zaleceniom lekarza, ponieważ nie mógł odmówić sobie przyjemności napisania do starej przyjaciółki własnoręcznie.

Jakkolwiek grzecznie sformułowany, list jako taki nie wywarł na mnie większego wrażenia. Prócz listu było jednak coś jeszcze: dołączony do niego miniaturowy portret panny Blanchard. Na odwrocie jej ojciec napisał na wpół żartobliwie, na wpół z czułością: »Nie mogę prosić córki, by jak zwykle oszczędziła me oczy, nie mówiąc jej o Twoich zapytaniach i nie narażając dziewczęcej nieśmiałości na rumieniec. Dlatego wysyłam ją w postaci podobizny (bez jej wiedzy), aby sama za siebie odpowiedziała. To wierna podobizna dobrej dziewczyny. Jeśli spodoba jej się Twój syn i jeśli mnie też się spodoba, czego jestem pewien, możemy jeszcze doczekać chwili, kiedy nasze dzieci staną się tym, czym my sami kiedyś mogliśmy być – mężem i żoną«. Moja matka wręczyła mi miniaturę wraz z listem. Portret od razu złapał mnie za serce – nie wiem dlaczego, nie wiem, w jaki sposób – tak jak nic innego nie złapało mnie wcześniej.

Głowy tętsze niż moja mogłyby przypisać niezwykle wrażenie, jakie wywarł na mnie portret, nieuporządkowaniu umysłu, jakiego w tym czasie doświadczałem, zmęczeniu czczymi rozrywkami, jakie zaczęło mnie ogarniać od kilku miesięcy, nieokreślonej tęsknocie za nowymi zainteresowaniami i świeżymi nadziejami, jaką zmęczenie owo mogło wywołać. Ja sam nie wdawałem się w tak trzeźwą autoanalizę; wierzyłem wtedy w przeznaczenie, nadal w nie wierzę. Wystarczyła mi świadomość, że pierwsze przeczucie istnienia w mojej naturze czegoś więcej niż zwierzęce instynkty wzbudziła twarz tej dziewczyny patrząca na mnie z obrazka tak, jak jeszcze nigdy nie patrzyła na mnie żadna kobieta. W tym łagodnym spojrzeniu, w możliwości poślubienia tej delikatnej istoty, widziałem zapisane swoje przeznaczenie. Portret, który tak nieoczekiwanie i w tak dziwnych okolicznościach trafił w moje ręce, był niemyim posłańcem szczęścia będącego w zasięgu ręki, przysłanym, aby ostrzegać, zachęcać, pobudzić mnie, zanim będzie za późno. Włożyłem sobie miniaturę na noc pod poduszkę. Następnego ranka znów na nią spojrzałem. Przekonanie, którego nabrałem poprzedniego dnia, było równie silne. Przesąd (możecie tak to nazwać) nieodparcie wskazywał mi drogę, którą mam pójść.

W porcie czekał statek, który za dwa tygodnie miał odpłynąć do Anglii, zatrzymując się po drodze na Maderze. Na ten statek kupiłem bilet”.

Do tego momentu czytający doszedł bez żadnych przeszkód. Gdy jednak wypowiadał ostatnie słowa, z jego głosem zmieszał się inny głos, cichy i łamiący się:

– Czy ona była białą kobietą – zapytał głos – czy ciemną jak ja?

Pan Neal zatrzymał się i podniósł wzrok. Lekarz nadal siedział przy wezgielciu łóżka, z palcami mechanicznie uczeponymi pulsu pacjenta. Dziecko, pozbawione południowej drzemki, bawiło się nową zabawką coraz bardziej ospale. Wzrok ojca śledził je z wyteżoną i nieustającą uwagą. Jednak od początku opowieści w słuchaczach zaszła widoczna zmiana. Pani Armadale wypuściła z rąk dłoń męża i siedziała z twarzą odwróconą od niego. Gorąca, afrykańska krew płonęła czerwonym rumieńcem na jej śniadych policzkach, gdy uparcie powtarzała pytanie: „Czy była białą kobietą czy ciemną jak ja?”.

– Białą – odparł jej mąż, nie patrząc w jej kierunku.

Jej dłonie splotły się na podołku i zaczęły wykręcać nawzajem. Nic już nie powiedziała. Nawisłe brwi pana Neala złowrogo opadły, kiedy podejmował opowieść. Doświadczył potężnego niezadowolenia – złapał się na tym, że po cichu jej współczuje.

„Powiedziałem – ciągnął autor listu – że Ingleby został moim najbliższym powiernikiem. Żał mi było go opuszczać, bolały mnie jego wyraźne zdziwienie i zmartwienie na wieść o moim wyjeździe. Pragnąc się usprawiedliwić, pokazałem mu list oraz miniaturę i wyznałem prawdę. Zainteresowanie, jakie wzbudził w nim portret, wydawało się nie mniejsze niż moje własne. Wypytywał mnie o rodzinę i majątek panny Blanchard z troską prawdziwego przyjaciela. Zyskał też jeszcze większy szacunek i zaufanie z mojej strony tym, że usunął się w cień i gorąco zachęcał mnie, abym nie ustawał w drodze do nowego celu. Kiedy się rozstawaliśmy, byłem w dobrym zdrowiu i wyśmienitym nastroju. Nim spotkaliśmy się następnego dnia, niespodziewanie zmoła mnie choroba, która groziła utratą zarówno zmysłów, jak i życia.

Nie mam żadnych dowodów przeciwko Ingleby'emu. Na wyspie znalazłaby się niejedna kobieta, którą niewybaczalnie skrzywdziłem i której zemsta mogła mnie do tej pory dosięgnąć. Nikogo nie oskarżam. Mogę tylko powiedzieć, że życie uratowała mi stara, czarna piastunka, która przyznała potem, że użyła znanej odtrutki na bardzo popularną w tych stronach murzyńską truciznę. Kiedy nadeszły pierwsze dni rekonwalescencji, statek, na który kupiłem bilet, dawno już odpłynął. Kiedy spytałem o Ingleby'ego, okazało się, że zniknął. Przedstawiono mi dowody na jego niewybaczalne zaniedbania, wobec których nawet moja słabość do niego była bezsilna. Został wyrzucony z biura w pierwszych dniach mojej choroby i nie wiadomo było o nim nic więcej ponad to, że opuścił wyspę.

Przez cały okres choroby portret znajdował się u mnie pod poduszką. Przez cały okres rekonwalescencji był moją jedyną pociechą, kiedy myślałem o przeszłości, i jedyną nadzieją, kiedy wybiegałem myślami w przyszłość. Żadne słowa nie opiszą, jak bardzo owładnęło mną początkowe wyobrażenie potęgowane upływem czasu, samotnością i cierpieniem. Matka, która miała swój interes w wyswataniu mnie, była zaskoczona niespodziewanym sukcesem własnego planu. Napisała do pana Blancharda, informując go o mojej chorobie, ale nie otrzymała odpowiedzi. Teraz podjęła się napisać ponownie, pod warunkiem że zobowiążę się nie opuszczać jej, zanim całkowicie nie wyzdrowieję. Moja niecierpliwość nie uznawała żadnych ograniczeń. Kolejny statek stojący w porcie stwarzał okazję wyjazdu na Maderę. Powtórna lektura listu pana Blancharda upewniła mnie, że nadal zastanę go na wyspie, jeśli tylko natychmiast wykorzystam okazję. Nie zważając na prośby matki, uparłem się, że popłynę drugim statkiem, i tym razem kiedy wypływałem, byłem na jego pokładzie.

Zmiana dobrze mi zrobiła, morskie powietrze postawiło mnie na nogi. Po niespotykanej szybkiej przeprawie znalazłem się u celu podróży. W piękny, spokojny wieczór, którego nigdy nie zapomnę, stanąłem samotnie na brzegu z jej podobizną ukrytą na piersi, mając przed sobą białe mury domu, o którym wiedziałem, że w nim mieszka.

Zacząłem spacerować wzdłuż granic posiadłości, aby uspokoić się, nim wejdę na jej teren. Odważyłem się zajrzeć do ogrodu przez furtkę i zarośla i zobaczyłem

w nim damę, przechadzającą się samotnie po trawniku. Obróciła twarz w moją stronę i ujrzałem pierwowzór mojego portretu, spełnienie moich marzeń! Pisanie o tym teraz jest bezcelowe i gorzej niż bezcelowe. Powiem tylko, że każdą obietnicę, jaką wizerunek złożył mojej wyobraźni, żywa kobieta spełniła w moich oczach w chwili, gdy pierwszy raz ją ujrzałem. Powiem tyle – i nic więcej.

Byłem zbyt podniecony, by ujawniać się w jej obecności. Wycofałem się niedostrzeżony i skierowałem ku głównemu wejściu, a tam poprosiłem o widzenie z jej ojcem. Pan Blanchard udał się do swojego pokoju i nikogo nie przyjmował. Słyszając to, zebrałem się na odwagę i zapytałem, czy mogę prosić pannę Blanchard. Służący uśmiechnął się. »Moja młoda pani nie jest już panną Blanchard« – odrzekł. »Wyszła za mąż«. Niejeden mężczyzna na moim miejscu, słysząc te słowa, padłby jak rażony piorunem. Krew we mnie zawrzała i w szale rzuciłem się służącemu do gardła. »To kłamstwo!« – krzyknąłem, zwracając się do niego tak, jakby był jednym z niewolników w mojej posiadłości. »To prawda« – rzekł tamten, siłując się ze mną. »Jej mąż jest teraz w domu«. »Kto to taki, łajdaku?« Sługa odpowiedział, rzucając mi w twarz moje własne nazwisko: »Allan Armadale«.

Teraz domyślacie się już prawdy. Fergus Ingleby był owym wydziedziczonym synem, którego nazwisko i dziedzictwo przejąłem. I teraz Fergus Ingleby wyrównał ze mną rachunki za pozbawienie go prawa pierworództwa.

Aby wyjaśnić, co nie znaczy usprawiedliwić, mój udział w wydarzeniach, jakie nastąpiły po przybyciu na Maderę, konieczne jest opisanie okoliczności, w których dokonano oszustwa.

Jak wyznał sam Ingleby, dowiedziawszy się o śmierci ojca i odziedziczeniu przeze mnie majątku, przybył na Barbados z mocnym zamiarem ograbienia i okaleczenia mnie. Moja lekkomyślna ufność podsunęła mu lepszą okazję, niż mógłby sobie wymarzyć. Począł, aż wpadnie mu w ręce list, który moja matka napisała do pana Blancharda na początku mojej choroby, następnie sprowokował własne zwolnienie z zajmowanego stanowiska i popłynął na Maderę tym właśnie statkiem, który miał zabrać mnie. Przybywszy na wyspę, odczekał, aż statek odpłynie w dalszą drogę, po czym pojawił się u pana Blancharda – nie pod przybranym nazwiskiem, którego będę tu używał w odniesieniu do niego, ale pod

nazwiskiem, które z całą pewnością było w równym stopniu jego, jak i moje: »Allan Armadale«. Na początku oszustwo nie przedstawiało większych trudności. Musiał rozprawić się tylko z niedomagającym starszym mężczyzną (który nie widział mojej matki przez pół życia) i niewinną, niczego niepodejrzewającą dziewczyną (która nigdy jej nie widziała). Będąc zaś u mnie na służbie, dowiedział się wystarczająco dużo, aby odpowiedzieć na tych kilka pytań, które mu zadano, równie gładko, jak sam bym to zrobił. Jego wygląd, maniery, podejście do kobiet, inteligencja i spryt dokonały reszty. Udało mu się zdobyć przychylność panny Blanchard, gdy ja leżałem zmożony chorobą. Kiedy rozmarzałem się nad jej wizerunkiem w pierwszych dniach rekonwalescencji, on uzyskał zgodę pana Blancharda na zawarcie małżeństwa, jeszcze zanim on i jego córka opuszczą wyspę.

Do tego momentu problemy ze wzrokiem pana Blancharda sprzyjały oszustwu. Zadowalał się przekazywaniem wiadomości do mej matki i otrzymywaniem na nie odpowiedzi, które były w porę zmyślane. Kiedy jednak zalotnik został przyjęty, a dzień ślubu wyznaczony, poczuł się zobowiązany napisać do swojej starej przyjaciółki, prosząc o jej oficjalną zgodę i zapraszając ją na wesele. Sam zdołał napisać tylko połowę listu. Dokończyła go, pod dyktando, panna Blanchard. Tym razem nie było mowy o wyprzedzeniu poczty i Ingleby, będąc pewien miejsca, jakie zajmuje w sercu swojej ofiary, zastąpił jej drogę, kiedy wychodziła z listem z ojcowskiego pokoju, i wyznał jej prawdę. Nadal była niepełnoletnia, a sytuacja poważna. Jeśli wysłano by list, nie pozostawało nic innego, jak czekać, a potem rozstać się na zawsze albo uciec w okolicznościach, w których wykrycie ucieczki było rzeczą niemal pewną. Na jakikolwiek statek by nie wsiedli, jego cel był z góry znany, zaś w porcie czekał szybki jacht, którym pan Blanchard przybył na Maderę i który miał go zabrać z powrotem do Anglii. Jedynym wyjściem wydawało się kontynuowanie oszustwa poprzez ukrycie listu i wyznanie prawdy po ślubie. Jakich metod perswazji użył Ingleby, w jaki nikczemny sposób wykorzystał jej miłość i ufność, aby sprowadzić ją do swojego poziomu – tego nie wiem. Z pewnością jednak zdeprawował ją. List nigdy nie dotarł do adresatki, a zaufanie ojca zostało ostatecznie zawiedzione za wiedzą i zgodą córki.

Pozostawało jedynie sfabrykować odpowiedź mojej matki, na którą czekał pan

Blanchard i która miała nadejść w swoim czasie, przed wyznaczonym dniem ślubu, pocztą. Ingleby miał ze sobą skradziony list mojej matki, brakowało mu jednak zręczności pozwalającej na podrobienie charakteru pisma nadawcy. Panna Blanchard, jakkolwiek wyraziła zgodę na bierny udział w szalbierstwie, nie chciała mieć czynnego udziału w oszukiwaniu ojca. Wobec tej trudności Ingleby znalazł pod ręką narzędzie w postaci sieroty, zaledwie dwunastolatki, o nad wiek rozwiniętych zdolnościach, którą panna Blanchard obdarzyła romantyczną przyjaźnią i którą przywiozła z Anglii, aby uczyła się na jej pokojówkę. Niecna zręczność dziewczyny usunęła ostatnią przeszkodę na drodze do oszustwa. Widziałem podrobione przez nią pod okiem Ingleby'ego i (jeśli mam wyznać haniebną prawdę), za wiedzą jej pani, pismo mojej matki i jestem przekonany, że sam dałbym się na nie nabrać. Widziałem potem tę dziewczynę i krew we mnie wrzała na jej widok. Jeśli jeszcze żyje, biada tym, którzy jej ufają! Jest najbardziej fałszywą i bezlitosną istotą, jaką nosiła ziemia.

Sfałszowany list utorował drogę małżonkom i kiedy dotarłem do ich posiadłości, byli już (jak zgodnie z prawdą powiedział służący) mężem i żoną. Moje przybycie jedynie przyśpieszyło wyznanie, jakie oboje zgodzili się uczynić. Ingleby bez cienia wstydu wyznał prawdę własnymi ustami. Nie miał nic do stracenia – był żonaty, a majątek żony znajdował się poza zasięgiem jej ojca. Pomijam wszystko to, co działo się później – rozmowę z córką i z ojcem – aby przejść do następstw. Przez dwa dni dzięki wysiłkom świeżo upieczonej małżonki i pastora, który udzielił ślubu, udawało się utrzymać mnie z dala od Ingleby'ego. Trzeciego dnia zastawiłem pułapkę z większym powodzeniem i oto znalazłem się sam na sam z człowiekiem, który śmiertelnie mnie zranił.

Wspomnij na moje nadużyte zaufanie, wspomnij na to, jak udaremniono jedyny szlachetny cel w moim życiu, wspomnij na tkwiące głęboko w mojej naturze dzikie namiętności, jeszcze nigdy nieujarzmione, a potem sam wyobraź sobie, co między nami zaszło. Muszę tylko powiedzieć, jaki był koniec. Tamten był wyższy i silniejszy ode mnie i wykorzystał swoją przewagę z zajadłością brutalą. Uderzył mnie.

Pomyśl o ranach, jakich doznałem z rąk tego człowieka, a potem pomyśl

o znaku, jaki jego pięść odcisnęła na mojej twarzy!

Zwróciłem się do angielskiego oficera, który był moim towarzyszem podróży w drodze na Barbados. Wyznałem mu prawdę i zgodził się ze mną, że nieunikniony będzie pojedynek. W tamtych czasach pojedynki odbywały się według ściśle określonych reguł, które zaczął mi objaśniać. Przerwałem mu.

»Wezmę pistolet w swoją prawą dłoń«, powiedziałem, »a on weźmie pistolet w swoją. Jeden kraniec chusteczki wezmę w lewą dłoń, a on weźmie drugi kraniec w swoją i ponad tą chusteczką odbędzie się pojedynek«.

Oficer wstał i spojrzał na mnie tak, jakby doznał osobistej obrazy.

»Prosi mnie pan, abym był obecny przy morderstwie i samobójstwie«, rzekł. »Odmawiam sekundowania panu«.

Opuścił pokój. Gdy tylko wyszedł, spisałem słowa, które wypowiedziałem w obecności oficera, i wysłałem je przez posłańca Ingleby'emu. Czekaając na odpowiedź, usiadłem przed lustrem i spojrzałem na znak na twarzy. »Niejeden mężczyzna miał krew na rękach i na sumieniu z błahszego powodu«, pomyślałem.

Posłaniec przyszedł z odpowiedzią od Ingleby'ego. Wyznaczał spotkanie na godzinę piętnastą następnego dnia, w odludnym miejscu w głębi wyspy. Postanowiłem już, co zrobię, jeśli mi odmówi, jego list zwolnił mnie z tego strasznego zamierzenia. Czułem wdzięczność wobec niego – tak, nieskończoną wdzięczność – za to, że go napisał.

Następnego dnia udałem się na miejsce. Nie było go tam. Czekałem dwie godziny, nie pojawił się. W końcu dotarła do mnie prawda. »Kto raz okazał się tchórzem, zawsze nim będzie«, pomyślałem. Zawróciłem do domu pana Blancharda. Zanim tam dotarłem, ogarnęło mnie nagłe przeczucie i zboczyłem w kierunku portu. Nie myliłem się, port był miejscem, do którego należało się skierować od razu. Statek odpływający tego popołudnia do Lizbony był dla niego okazją do wyjazdu wraz z żoną i tym samym umknęła mi. Odpowiedź, jaką dał na moje wyzwanie, miała na celu jedynie odciągnięcie mnie w głąb wyspy. Raz jeszcze zaufałem Fergusowi Ingleby'emu i raz jeszcze jego lisi spryt okazał się dla mnie zgubny.

Spytałem mego informatora, czy pan Blanchard dowiedział się już o wyjeździe

córki. Odkrył ten fakt, ale dopiero po odpłynięciu statku. Tym razem postanowiłem uczyć się przebiegłości od Ingleby'ego. Zamiast iść do domu pana Blancharda poszedłem najpierw sprawdzić jego jacht.

Statek wyjawiał mi to, co jego właściciel mógłby ukryć – prawdę. Zastałem go w ferworze przygotowań do rejsu. Cała załoga była na pokładzie, z wyjątkiem kilku marynarzy, którym pozwolono zejść na ląd i którzy oddalili się w głąb wyspy, nikt dokładnie nie wiedział dokąd. Kiedy odkryłem, że kapitan prowadzi zaciąg na statek, aby uzupełnić braki w załodze najlepszymi ludźmi, jakich mógł pozyskać w tak krótkim czasie, natychmiast powziąłem decyzję. Dobrze orientowałem się w wymaganych obowiązkach, ponieważ miałem własną łódź i sam żeglowałem. Pośpieszyłem do miasta, przebrałem się w płaszcz i kapelusz marynarza, po czym wróciłem do portu i zgłosiłem się na ochotnika jako członek załogi. Nie mam pojęcia, co kapitan widział w mojej twarzy. Odpowiedzi, jakich udzieliłem na jego pytania, zadowoliły go, ale przyglądał mi się z wahaniem. Brakowało jednak rąk do pracy i to zdecydowało, że zostałem przyjęty. W godzinę później dołączył do nas pan Blanchard, którego odprowadzono do kajuty, jako że cierpiał niemiłosiernie na ciele i umyśle. W godzinę potem byliśmy na pełnym morzu, mając nad głowami bezgwiezdne niebo, a za plecami rześką bryzę.

Jak się domyślałem, ścigaliśmy statek, na którym Ingleby wraz z żoną opuścili tego popołudnia wyspę. Był to francuski okręt handlowy służący do transportu drewna, nazywał się »La Grace de Dieu«. Nic nie było o nim wiadomo ponad to, że kierował się do Lizbony, że zboczył z kursu i zawinął na Maderę z powodu braków w załodze i prowiancie. Drugi brak udało się uzupełnić, ale nie pierwszy. Marynarze wątpili w możliwości statku i nie podobała im się włóczęgowska powierzchowność załogi. Kiedy do uszu pana Blancharda dotarły te dwa budzące niepokój fakty, uświadomił sobie, co mogły wywołać ostre słowa, jakie skierował do własnego dziecka w pierwszym szoku towarzyszącym odkryciu, że pomagało ono w oszustwie. Natychmiast zdecydował, że udzieli córce schronienia na pokładzie własnej łodzi i że uspokoi ją, trzymając jej nikczemnego męża poza zasięgiem moich karzących rąk. Jacht był szybszy od frachtowca. Nie było wątpliwości, że zdołamy dogonić »La Grace de Dieu«. Jedyłą obawę stanowiło to, że możemy minąć statek w ciemności.

Byliśmy już jakiś czas na morzu, gdy wiatr nagle ucichł i spadła na nas bezwietrzna, duszna cisza. Kiedy wydano rozkaz, aby zdjąć stengi i przesunąć wielkie żagle, wszyscy wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Niewiele ponad godzinę później mieliśmy przed sobą burzę, grzmoty huczały nam nad głowami, a jacht pędził w sam środek sztormu. Była to solidna, trzystutonowa łódź ożaglowana jak szkuner, tak wytrzymała, jak tylko pozwalały na to drewno i stal, z których ją zrobiono. Prowadził ją kapitan, który znał się na swoim fachu; zachowywała się dostojnie. Kiedy nastał poranek, gwałtowny wiatr, nadal dmący z południowego zachodu, przycichł nieco i morze uspokoiło się. Tuż przed świtem poprzez wycie zawieruchy przedarł się słaby odgłos wystrzału z działa. Zaniepokojeni marynarze zebrali się na pokładzie, popatrzyli po sobie i rzekli: »Oto on!«.

W świetle poranka zobaczyliśmy statek – faktycznie był to frachtowiec. Pozbawiony zarówno fokmasztu, jak i grotmasztu wrak kolebał się w zagłębieniu między falami i nabierał wody. Jacht transportował trzy szalupy: jedną na środku pokładu i dwie podwieszane na żurawikach w tylnej części łodzi. Kapitan, widząc, że sztorm wkrótce przypuści kolejny atak, kazał opuścić tylne szalupy, póki morze było spokojne. Choć na pokładzie wraku było niewielu ludzi, nie zmieściliby się do jednej szalupy, a wobec niepewności pogody wysłanie obu łodzi naraz stanowiło mniejsze ryzyko niż odbywanie dwóch osobnych wypraw z jachtu na statek. Może dałoby się odbyć bezpiecznie jedną podróż, ale nikt, kto spojrział w niebo, nie mógł z pewnością powiedzieć, że będzie wystarczająco dużo czasu na dwie.

Szalupy obsadzono ochotnikami spośród załogi. Ja znalazłem się w drugiej z nich. Kiedy pierwsza łódź zrównała się z burtą frachtowca, co było zadaniem nie lada trudnym i niebezpiecznym, wszyscy ludzie na pokładzie rzucili się jak jeden mąż w jej kierunku. Gdyby nie to, że oddalono szalupę, nim cały tłum zdołał się na niej stłoczyć, wszyscy przyplaciliby to życiem. Kiedy z kolei nasza łódź zbliżyła się do statku, ustaliliśmy, że czterech spośród nas wejdzie na pokład – dwóch (w tym ja), aby zadbać o bezpieczeństwo córki pana Blancharda, i dwóch, aby odepchnąć tchórzliwą resztę załogi, gdyby ta próbowała precyzyjnie się najpierw. Pozostała trójka – sternik i dwóch wiosłarzy – została w łodzi, aby nie dopuścić do roztrzaskania jej przez statek. Nie wiem, co zobaczyli inni, kiedy weszli na pokład

»La Grace de Dieu«. Ja zobaczyłem kobietę, którą straciłem, kobietę, którą nikczemnie mi wykradziono, leżącą w omdleniu na pokładzie. Opuściliśmy ją nieprzytomną do szalupy. Reszta załogi, w liczbie pięciu osób, została zmuszona, aby pójść w jej ślady w sposób uporządkowany, jeden za drugim, minuta po minucie, tak jak na to pozwalały okoliczności. Byłem ostatnim, który zszedł z frachtowca i przy następnym odchyleniu statku w naszą stronę, widząc pusty pokład, na którym od dziobu do rufy nie było żywej duszy, powiedziałem załodze szalupy, że ich zadanie zostało wykonane. Popędzani coraz to głośniejszym wyciem szybko nadciągającego sztormu, powiosłowali w kierunku jachtu ratować swoje życie.

Seria silnych szkwałów zapowiadała nowy sztorm, który nadciągał z południa na północ, i kapitan, wyczekawszy sposobności, ustawił jacht w gotowości na przyjęcie wichru. Nim ostatni z naszych ludzi znaleźli się z powrotem na pokładzie, wiatr uderzył na nas z siłą huraganu. Naszą łódź zalało, ale wszyscy uszli z życiem. Znowu płynęliśmy naprzeciw sztormu, kierując się na południe, wydani na pastwę wiatru. Byłem z resztą załogi na pokładzie, przyglądając się jednemu strzępowi żagla, jaki odważyliśmy się postawić, gotowi zastąpić go innym, w razie gdyby zerwał go wiatr, kiedy podszedł do mnie mat i, przekrzykując grzmot, wrzasnął mi w ucho: »Odzyskała przytomność i pyta o męża. Gdzie on jest?«. Nikt na pokładzie tego nie wiedział. Przeszukano jacht wzdłuż i wszerz, ale go nie znaleziono. Na przekór pogodzie zwołano wszystkich mężczyzn – nie było go wśród nich. Przepytano załogi obu szalup. Załoga pierwszej z nich powiedziała tylko, że odpłynęli od burty wraku, kiedy zaczął się szturm na łódź, i że nie wiedzieli nic o tych, których wpuścili lub nie wpuścili na pokład. Druga z załóg utrzymywała z kolei, że zabrała na jacht każdą żywą istotę, którą pierwsza z szalup zostawiła na pokładzie frachtowca. Nie było mowy o niczyjej winie, ale zarazem nie dało się zaprzeczyć, że jednego człowieka brakowało.

Przez cały dzień sztorm nie słabnął ani na chwilę, nie dając nam szansy na zawrócenie i przeszukanie wraku. Jacht mógł jedynie mknąć przed siebie. Pod wieczór wichura, która tymczasem zniosła nas na południe od Madery, zaczęła wreszcie słabnąć. Wiatr znów zmienił kierunek i pozwolił obrać kurs na wyspę. Wczesnym rankiem następnego dnia wróciliśmy do portu. Pana Blancharda wraz

z córką zabrano na ląd. Towarzyszył im kapitan, który uprzedził nas, że po powrocie będzie miał do zakomunikowania coś dotyczącego prawie całej załogi.

Kiedy wrócił, kazał się wszystkim zebrać na pokładzie. Miał polecenie od pana Blancharda, aby natychmiast wracać na frachtowiec i szukać brakującej osoby. Musieliśmy to zrobić ze względu na zaginionego i na jego żonę, której według lekarzy groziło pomieszenie zmysłów. Mogliśmy być niemal pewni, że statek dotąd nie zatonął, ponieważ ładunek drewna mógł go utrzymywać na powierzchni tak długo, jak długo wytrzyma kadłub. Jeśli na pokładzie znajdował się człowiek – żywy lub martwy – należy go odnaleźć i sprowadzić na ląd. Jeśli zaś utrzyma się sprzyjająca pogoda, nie było przeszkód, aby załoga frachtowca z odpowiednią pomocą nie sprowadziła do portu także statku i (przy skwapliwej zgodzie ich dowódcy) nie odebrała swojej części nagrody za uratowanie mienia.

Na to hasło załoga trzy razy zawiwatowała i niezwłocznie przystąpiła do pracy, aby ponownie wyruszyć w morze. Byłem jedynym, który wycofał się z tego przedsięwzięcia. Powiedziałem, że sztorm mnie rozstroił, byłem chory i potrzebowałem odpoczynku. Wszyscy patrzyli mi prosto w twarz, kiedy mijalem ich w drodze na ląd, ale nikt nie odezwał się ani słowem.

Cały dzień przesiedziałem w portowej tawernie, czekając na wieści z wraku. Nadeszły pod wieczór, przyniesione przez jedną z łodzi towarzyszących wyprawie zakończonej, jak się okazuje, sukcesem. »La Grace de Dieu« utrzymał się na powierzchni, a ciało utopionego Ingleby'ego znaleziono w kajucie. Następnego dnia o świcie sprowadzono ciało nieboszczyka i tego samego dnia pochowano go na cmentarzu protestanckim”.

– Stop! – odezwał się głos z łóżka, nim lektor zdołał przerzucić stronę i zacząć nowy akapit.

Od chwili, gdy pan Neal po raz ostatni podniósł wzrok znad opowieści, w pokoju i w słuchaczach zaszły pewne zmiany. Łoże śmierci przecinał właśnie promień słońca. W złocistym świetle leżało spokojnie zmożone snem dziecko. Wyraz twarzy ojca wyraźnie się zmienił. Mięśnie dolnej części twarzy, dotąd nieruchome, teraz zmuszone siłą udręczonego umysłu do działania, poruszały się konwulsyjnie. Ciężkie krople potu, zbierające się na jego czole, poderwały lekarza, gotowego cucić

mdlejącego. Po drugiej stronie łóżka stało puste krzesło żony chorego. W chwili, w której jej mąż przerwał lekturę, wycofała się za wezglowie, poza zasięg jego wzroku. Stała tam w ukryciu, oparta o ścianę. Oczy, spragnione dalszego ciągu, utkwiała w rękopisie znajdującym się w rękach pana Neala.

Minęła minuta, nim pan Armadale znowu przerwał ciszę.

– Gdzie ona jest? – zapytał, patrząc gniewnie na puste krzesło żony.

Lekarz wskazał miejsce. Nie miała wyjścia, musiała się ujawnić. Powoli zrobiła kilka kroków i stanęła na wprost męża.

– Obiecałaś, że wyjdiesz, kiedy ci powiem – rzekł. – Wyjdź teraz.

Pan Neal z całej siły usiłował panować nad ręką znaczącą miejsce na kartach rękopisu, ale ta mimowolnie drżała. Podejrzanie, w którym utwierdzał się, czytając, po usłyszeniu tych słów zmieniło się w pewność. List odsłaniał kolejne rewelacje, by teraz stanąć na krawędzi ostatniego odkrycia. Na tej krawędzi umierający postanowił uciszyć głos lektora. To tu leżał sekret, który syn miał poznać po latach, a do którego matka nigdy nie miała się zbliżyć. Najgorętsze błagania żony nie odwiodły go od tego postanowienia ani na cal i teraz potwierdził to własnymi ustami.

Nic nie odrzekła. Stała w miejscu i patrzyła na niego. Jej wzrok wyrażał ostatnie błaganie, może ostatnie pożegnanie. Jego oczy nie odpowiedziały ani jednym spojrzeniem: bezlitośnie zwróciły się w kierunku śpiącego chłopca. Bez słowa odwróciła się od łóżka. Nie patrząc na dziecko, nie mówiąc nic do dwóch nieznanym wpatrzonych w nią z zapartym tchem, dotrzymała danego słowa i pośród grobowej ciszy wyszła z pokoju.

W sposobie, w jaki wyszła, było coś, co zachwiało spokojem obu świadków. Gdy drzwi się za nią zamknęły, obaj instynktownie wzdrygnęli się przed posuwaniem się dalej w ciemno. Niechęć lekarza dała o sobie znać jako pierwsza. Próbował otrzymać od pacjenta zgodę na wycofanie się przed końcem listu. Ten odmówił.

Pan Neal przemówił jako drugi, a jego wypowiedź była dłuższa i miała poważniejszy cel.

– Pan doktor z racji swego zawodu – zaczął – ja zaś z racji swojego jesteśmy nawykli do powierzania nam tajemnic. Zanim jednak będziemy kontynuować, czuję

się w obowiązku zapytać, czy zdaje pan sobie sprawę z nadzwyczajnego położenia, jakie wobec siebie zajmujemy. Właśnie na naszych oczach wykluczył pan panią Armadale z grona swoich powierników. Teraz zaś proponuje pan to miejsce dwóm mężczyznom, którzy są mu zupełnie obcy.

– Tak – powiedział Pan Armadale – właśnie dlatego, że jesteście obcy.

Jakkolwiek zwięzłe były te słowa, wniosek, jaki z nich płynął, nie zdołał zagłuszyć nieufności. Pan Neal dał temu otwarcie wyraz:

– Potrzebuje pan pilnie pomocy mojej i doktora – rzekł. – Czy mam rozumieć (o ile będzie pan miał nasze wsparcie), że wrażenie, jakie mogą na nas wywrzeć ostatnie fragmenty listu, jest panu obojętne?

– Tak. Nie oszczędzam was. Nie oszczędzam siebie. Oszczędzam moją żonę.

– Zmusza mnie pan do bardzo poważnej konkluzji – powiedział pan Neal. – Jeśli mam ukończyć list pod pańskie dyktando, muszę prosić o pozwolenie odczytania reszty tego, czego większość odczytana już została, w obecności tego dżentelmena jako świadka.

– Proszę czytać.

Poważnie wątpiąc, lekarz powrócił na krzesło. Poważnie wątpiąc, pan Neal przewrócił stronę i przeczytał następujące słowa:

„Zanim pozostawię nieboszczyka w spokoju, muszę powiedzieć coś jeszcze. Opisałem okoliczności, w jakich znaleziono jego ciało. Nie opisałem jednak okoliczności, w jakich spotkała go śmierć.

Widziano go na pokładzie, kiedy w zasięgu wzroku pojawiły się szalupy zmierzające w stronę wraku. Potem zniknął z oczu w zamieszaniu wywołanym paniką wśród załogi. W tym czasie głębokość wody w kajucie sięgała pięciu stóp i szybko rosła. Było niemal pewnym, że zszedł do tej wody z własnej woli. Odkrycie szkatułki z klejnotami żony na podłodze w pobliżu zmarłego wyjaśniało jego obecność w kajucie. Wiadomo było, że widział nadchodzącą pomoc, i jest bardzo prawdopodobne, że zszedł pod pokład z zamiarem zabrania szkatułki. Mniej prawdopodobne natomiast – choć nadal możliwe – było to, że śmierć nastąpiła w wyniku jakiegoś wypadku przy nurkowaniu, który chwilowo pozbawił go

przytomności. Jednak odkrycie dokonane przez załogę jachtu jednoznacznie nasuwało wniosek, który wszystkich marynarzy bez wyjątku napełnił jednaką zgrozą. Kiedy przeczesując statek, dotarli do kajuty, zastali właz zaryglowany, a drzwi zamknięte od zewnątrz. Czy ktoś zamknął kajutę, nieświadomy, że wewnątrz jest człowiek? Wykluczając możliwość popełnienia błędu przez ogarniętą paniką załogę, nie było powodu, aby zamykać kajutę przed opuszczeniem wraku. Pozostawało jeszcze jedno przypuszczenie. Czyżby czyjaś zbrodnicza ręka celowo zamknęła w środku mężczyznę i pozostawiła go na pewną śmierć w pułapce powoli wypełniającej się wodą?

Tak, czyjaś zbrodnicza ręka zamknęła go i wydała na śmierć przez utopienie. To była moja ręka”.

Szkot poderwał się zza stołu, lekarz odsunął się od łóżka. Obaj patrzyli teraz na umierającego nieszczęśnika ogarnięci tym samym wstrętem, przejęci tą samą grozą. Leżał z głową dziecka na piersi, opuszczony przez ludzkie współczucie, wyklęty przez Bożą sprawiedliwość. Leżał osamotniony jak Kain i patrzył na nich.

W chwili, gdy obaj mężczyźni wstali, coś mocno zatrzęsło drzwiami po drugiej stronie i do ich uszu dobiegł głuchy odgłos jakby upadku. Zamilkli. Stojący bliżej drzwi lekarz otworzył je, wyszedł i natychmiast zamknął za sobą. Pan Neal odwrócił się plecami do łóżka i czekał w milczeniu. Odgłos, który nie zdołał obudzić dziecka, nie zdołał również zwrócić uwagi jego ojca. Jego własne słowa zabrały go daleko od wszystkiego, co działo się przy łożu śmierci. Jego bezwładne ciało znów było na pokładzie wraku, a widmo jego martwej dłoni przekręcało klucz w drzwiach kajuty.

W pokoju obok zadzwonił dzwonek, odezwały się ożywione głosy, zabrzmiały pośpieszne kroki. Minęła chwila i lekarz powrócił.

– Czy ona podsłuchiwała? – wyszeptał pan Neal po niemiecku.

– Kobiety pomagają jej dojść do siebie – odszepnął lekarz. – Słyszała wszystko. Na Boga, co my teraz zrobimy?

Nim pan Neal zdążył odpowiedzieć, odezwał się pan Armadale. Powrót lekarza pomógł mu odzyskać kontakt z rzeczywistością.

– Proszę kontynuować – rzekł, jakby nic się nie stało.

– Odmawiam mieszania się w pański haniebnny sekret – odparł pan Neal. – Sam pan przyznał, że jest mordercą. Jeśli list ma zostać dokończony, proszę nie prosić mnie o pomoc.

– Obiecał pan – padła odpowiedź, wypowiedziana z tym samym niewzruszonym opanowaniem. – Musi pan pisać w moim imieniu albo złamie pan dane słowo.

Na chwilę pan Neal zaniemówił. Przed nim leżał człowiek – w cieniu śmierci, chroniony od bycia wyklętym przez bliźnich, poza zasięgiem ludzkiego potępienia, wolny od strachu przed prawami tego świata, niepomny na nic poza swoim ostatnim zamiarem dokończenia listu do syna.

Pan Neal odciągnął lekarza na bok.

– Proszę na słówko – powiedział po niemiecku. – Czy obstaje pan przy twierdzeniu, że pacjent może stracić mowę, zanim poślemy do Stuttgartu?

– Niech pan spojrzy na jego usta – rzekł lekarz – i sam oceni.

Ich wygląd mówił sam za siebie: lektura opowieści już odcisnęła na nich swoje piętno. Grymas w kącikach ust, ledwie zauważalny, gdy pan Neal wszedł do pokoju, był teraz wyraźnie widoczny. Chory męczył się coraz bardziej z każdym wypowiedzianym słowem. Sytuacja stawała się zdecydowanie beznadziejna. Po chwili wahania pan Neal podjął ostatnią próbę wycofania się.

– Teraz otwarły mi się oczy – powiedział twardo. – Czy ma pan śmiałość wymuszać na mnie dotrzymanie zobowiązania, jakie podjąłem na oślep?

– Nie – odparł pan Armadale. – Może pan złamać dane słowo.

Spojrzenie, jakie towarzyszyło tej odpowiedzi, dotknęło Szkota do żywego. Następne słowa wymówił, siedząc na swoim dawnym miejscu przy stole.

– Nikt jeszcze nigdy nie zarzucił mi, że złamałem słowo – odparł ze złością – i nawet pan nie może teraz tego o mnie powiedzieć. Niech pan uważa! Jeżeli trzyma mnie pan za słowo, ja przypominam panu o moim warunku. Zastrzegłem sobie swobodę działania i ostrzegam, że użyję jej według własnego uznania, gdy tylko zejdem panu z oczu.

– Proszę pamiętać, że on umiera – przypomniał delikatnie lekarz.

– Niech pan zajmie miejsce – rzekł pan Neal, wskazując na puste krzesło. – To,

co zostało do przeczytania, przeczytam tylko w pana przytomności. To, co zostało do napisania, napiszę tylko w pana obecności. Pan mnie tu sprowadził. Mam prawo żądać – i żądam – aby został pan do końca w charakterze świadka.

Lekarz zaakceptował swoje położenie bez słowa protestu. Pan Neal powrócił do rękopisu i bez przeszkód odczytał do końca resztę listu:

„Nie wypowiadając ani słowa we własnej obronie, uznałem swoją winę. Podobnie nie wypowiadając ani słowa we własnej obronie, ujawnię szczegóły popełnienia zbrodni.

Gdy ujrzałem jego żonę omdlałą na pokładzie frachtowca, nie myślałem o nim ani chwili. Pomogłem opuścić ją bezpiecznie do łodzi. Wtedy i dopiero wtedy poczułem, że powraca do mnie myśl o nim. W ogólnym zamieszaniu, jakie zapanowało, gdy załoga jachtu próbowała zmusić załogę statku, by cierpliwie czekała na swoją kolej, miałem okazję poszukać go, będąc niezauważonym. Zszedłem z nadburcia, nie wiedząc, czy jest w pierwszej łodzi, czy też znajduje się nadal na statku. Zszedłem i zobaczyłem, jak ociekający wodą zstępuje z pustymi rękami schodami prowadzącymi z kajuty. Spojrzawszy niecierpliwie w stronę łodzi (nie zauważając mnie), zorientował się, że ma jeszcze czas, nim załoga zostanie zabrana. »Ostatni raz!«, powiedział do siebie i znowu zniknął, aby po raz kolejny spróbować odzyskać szkatułkę. Diabeł podszepnął mi: »Zamiast zastrzelić go jak mężczyznę utop go jak psa!«. Był pod wodą, gdy ryglowałem właz. Jednak zanim zdążyłem zamknąć drzwi kajuty, wynurzył głowę. Spojrzał na mnie, ja zaś spojrzałem na niego i na jego oczach zamknąłem drzwi. W minutę potem byłem już z powrotem pośród ostatnich osób na pokładzie. W minutę potem było już za późno na żal. Sztorm deptał nam po piętach i załoga łodzi co sił w ramionach wiosłowała w stronę jachtu.

Synu! Zza grobu dosięgło cię wyznanie, którego moja miłość mogłaby ci oszczędzić. Czytaj dalej, a dowiesz się dlaczego.

Nie powiem nic o moich cierpieniach, nie będę błagać pamięci o litość. Pisząc te słowa, odczuwam dziwne drżenie serca i dziwne dygotanie dłoni, które ostrzegają mnie, bym nie zwlekał z zakończeniem opowieści. Opuściłem wyspę, nie mając śmiałości spojrzeć po raz ostatni na kobietę, którą w tak żalosny sposób straciłem

i którą tak nikczemnie zraniłem. Po moim odjeździe cały ciężar podejrzania, jakie wzbudziła śmierć Ingleby'ego, spoczął na załodze francuskiego statku. Żadnemu z marynarzy nie można było przypisać motywu popełnienia domniemanego morderstwa, ale że w większości byli znani jako wyrzutki będące na bakier z prawem i zdolne do każdej zbrodni, zostali więc kolejno przesłuchani w charakterze podejrzanych. Dopiero później przez przypadek dowiedziałem się, że posądzono w końcu także i mnie. Sama wdowa rozpoznała moją osobę w mglistym opisie podanym przez kogoś jako nieznanego, który dołączył do załogi jachtu i zniknął następnego dnia. Od tej pory tylko wdowa wiedziała, dlaczego zamordowano jej męża i kto się tego dopuścił. Zanim jednak dokonała tego odkrycia, wyspę obiegła fałszywa pogłoska o mojej śmierci. Być może to jej zawdzięczałem wyłączenie mnie ze wszelkich czynności prawnych, być może (skoro nikt prócz Ingleby'ego nie widział, jak zamykam drzwi kajuty) nie było wystarczających dowodów, aby wszcząć śledztwo, być może wdowa obawiała się ujawnienia pewnych spraw, które byłoby rezultatem wniesienia oskarżenia przeciwko mnie jedynie na podstawie jej własnych podejrzeń. Jakkolwiek było, zbrodnia, którą popełniłem w ukryciu, pozostała nieukarana od tamtego czasu aż do teraz. Opuściłem Maderę i powróciłem do Indii Zachodnich w przebraniu. Pierwszą wieścią, która dotarła do mnie, kiedy statek zawinął do portu w Barbados, była wieść o śmierci mojej matki. Nie chciałem wracać do dawnych miejsc. Wizja samotnego zamieszkania w domu i udręki bycia dzień i noc nękanym przez moje własne wstydlive wspomnienia wydawała się ponad moje siły. Nie schodząc na ląd ani nie ujawniając się nikomu na wyspie, pożeglowałem tak daleko, jak tylko okręt mógł mnie zabrać – na Trynidad.

Tam po raz pierwszy ujrzałem twoją matkę. Moim obowiązkiem było powiedzieć jej prawdę, a ja perfidnie zachowałem swój sekret dla siebie. Moim obowiązkiem było oszczędzić jej beznadziejnej ofiary z wolności i szczęścia na rzecz takiej egzystencji jak moja, a ja zrobiłem jej krzywdę, żeniąc się z nią. Jeśli będzie żyła jeszcze, kiedy ty będziesz czytał ten list, miej nad nią litość i nie wyjawiaj jej prawdy. Jedynym zadośćuczynieniem, jakie mogę jej zaofiarować, to pozostawienie jej do końca wolnej od podejrzeń wobec człowieka, którego poślubiła.

Oszczędź ją tak, jak ja ją oszczędziłem. Niech ten list pozostanie uświęconą tajemnicą pomiędzy ojcem i synem.

Kiedy się urodziłeś, zdrowie zaczęło mnie opuszczać. Kilka miesięcy później, w pierwszych dniach poprawy, przyniesiono mi cię i powiedziano, że w czasie mojej choroby zostałeś ochrzczony. Twoja matka zrobiła to co inne kochające matki – ochrzciła pierworodnego imieniem ojca. Ty także zostałeś Allanem Armadale'em. Już wtedy, będąc szczęśliwie nieświadomym tego, co później odkryłem, miałem złe przeczucia, patrząc na ciebie i myśląc o tym nieszczęsnym imieniu.

Gdy tylko mogłem się znów poruszać, musiałem wracać do mojej posiadłości na Barbadosie. Choć może ci się to wydawać szalone, przeszło mi przez myśl, czy nie zrezygnować z wszystkiego, co skłoniło mnie oraz mojego syna do przyjęcia nazwiska Armadale pod groźbą utraty prawa do majątku Armadale'ów. Ale już wtedy po całej kolonii krążyła pogłoska o planowanym wyzwoleniu niewolników – wyzwoleniu, które teraz jest już bliskie. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak potencjalna zmiana wpłynie na wartość posiadłości w Indiach Zachodnich. Nikt nie potrafił powiedzieć – gdybym nadał ci moje dawne nazwisko odziedziczone po ojcu i nie zostawił ci żadnego zabezpieczenia na przyszłość prócz ojcowizny – jak bardzo mogłoby ci kiedyś brakować rozległych ziem Armadale'ów lub też na jaką nędzę mógłbym nieświadomie narazić ciebie i twoją matkę. Zwróć uwagę, jak piętrzyły się nieszczęścia! Zwróć uwagę, jak wbrew mnie otrzymałeś swoje imię, jak przyłgnęło do ciebie twoje nazwisko!

Podczas pobytu w moim dawnym domu wydawało się, że dochodzę do zdrowia, ale było to tylko chwilowe. Znów zaniemogłem i lekarze kazali mi jechać do Europy. Omijając Anglię (możesz się domyślić dlaczego), popłynąłem wraz z tobą i twoją matką do Francji. Z Francji pojechaliśmy do Włoch. Mieszkaliśmy to tu, to tam. Wszystko na nic. Natknąłem się na śmierć i śmierć poszła w ślad za mną. Znosiłem to, miałem bowiem pociechę, na którą nie zasłużyłem. Może teraz wzdrygasz się z odrazą na wspomnienie o mnie. W tamtym czasie byłeś dla mnie otuchą. Jeśli czułem jeszcze w sercu jakieś ciepło, to tylko to, które ty w nie wlewałeś. Moje ostatnie chwile szczęścia na tym świecie były chwilami, które dawał mi mój synek.

Wyjechaliśmy z Włoch, aby udać się następnie do Lozanny – miejsca, z którego teraz do Ciebie piszę. Dziś rano poczta przyniosła mi bardziej aktualne i pełniejsze niż dotychczas wieści o wdowie zamordowanego przeze mnie człowieka. List ten leży teraz przede mną, gdy piszę te słowa. Pochodzi od przyjaciela z czasów młodości, który widział ją i z nią rozmawiał, który jako pierwszy poinformował ją, że pogłoska o mojej śmierci na Maderze była nieprawdziwa. Pisze, nie potrafiąc wyjaśnić gwałtownego wzburzenia, jakie okazała na wieść, że żyję, że się ożeniłem i że mam syna. Pyta, czy potrafię je wytłumaczyć. W jego liście pobrzmiwa współczucie do niej jako młodej, pięknej kobiety, która wycofała się z życia do małej rybackiej wioski na wybrzeżu w hrabstwie Devon. Jej ojciec nie żyje, rodzina, nie potrafiąc zaakceptować mezaliansu, który popełniła, odsunęła się od niej. Słowa przyjaciela mogłyby mnie głęboko zranić, gdyby nie ostatni fragment listu, który natychmiast przykuł całą moją uwagę i który zmusił mnie do spisania historii zawartej na tych kartach.

Wiem teraz coś, czego nawet bym nie podejrzewał, gdyby nie list. Wiem, że wdowa po człowieku, którego śmierci jestem winien, urodziła jego pogrobowca. To chłopiec, o rok starszy od mego syna. Przekonana o mojej śmierci, jego matka zrobiła to samo, co matka mego syna: ochrzciła dziecko imieniem ojca. I znów w drugim pokoleniu, podobnie jak w pierwszym, jest dwóch Allanów Armadale'ów. Wyrządziwszy śmiertelną szkodę ojcom, feralna zbieżność nazwisk przeszła na synów, aby dalej szkodzić.

Niewinne umysły mogą dotąd w mojej historii widzieć jedynie efekt splotu wydarzeń, które nie mogły skończyć się inaczej. Ja, który mam na sumieniu życie tamtego człowieka, ja, który jestem jedną nogą w grobie, podczas gdy moja zbrodnia nie została ukarana, widzę to, czego nie mogą dostrzec niewinne umysły. Widzę przyszłe zagrożenie zrodzone przez przeszłość – zdradę spłodzoną przez jego zdradę i zbrodnię spłodzoną przez moją zbrodnię. Czy obawa, która na wskroś przenika moją duszę, jest jedynie zjawą wznieconą przez przesadność umierającego? Zaglądam do książki, którą czci cały chrześcijański świat, i książka ta mówi, że grzech ojca przejdzie na syna. Rozglądam się po świecie i widzę wokół siebie żywych świadków tej strasznej prawdy. Widzę, jak występki, które splamiły ojca,

przechodzą dalej, aby splamić dziecko. Widzę, jak wstyd, który zhańbił imię ojca, przechodzi dalej, aby zhańbić imię dziecka. Patrę na samego siebie i widzę, jak moja zbrodnia znów dojrzewa, aby wydać owoce w tych samych okolicznościach, w których po raz pierwszy zostały niegdyś zasiane jej nasiona, i w dziedzicznym skażeniu grzechem przechodzi ze mnie na mego syna”.

Na tych słowach list się urywał. To tu poraził go udar i wytrącił mu pióro z ręki.

Znał to miejsce, pamiętał te słowa. W chwili, gdy głos lektora umilkł, chory popatrzył niecierpliwie na lekarza.

– Mam już w głowie dalszy ciąg – rzekł, artykułując z coraz większą trudnością.
– Niech pan pomoże mi go wypowiedzieć.

Lekarz podał środek pobudzający i dał znak panu Nealowi, aby dał choremu czas. Po krótkiej chwili płomień gasnącego ducha znowu zapłonął w jego oczach. Mężnie walcząc z zawodzącą go mową, wezwał Szkota, aby ten ujął pióro w dłoń, po czym podyktował z pamięci ostatnie zdania opowieści, jedno po drugim, jak następuje:

„Jeśli chcesz, możesz wzgardzić moim przedśmiertnym przeświadczeniem, ale zaklinam cię na wszystko, spełnij moje ostatnie życzenie. Synu! Jedyna nadzieja, jaka ci pozostaje, opiera się na wielkiej niewiadomej – niewiadomej, czy jesteśmy panami swojego losu, czy też nie. Może jest tak, że wolna wola śmiertelnika zwycięża przeznaczenie i że idąc, jak wszyscy, na nieuchronne spotkanie ze śmiercią, idziemy na nieuchronne spotkanie z nicością, która następuje po śmierci. Jeśli tak jest, weź sobie do serca, choćbyś na nic innego nie zważał, przestrozę, jaką kieruję do ciebie zza grobu. Nigdy w życiu nie pozwól, aby zbliżył się do ciebie ktoś, kto ma pośredni lub bezpośredni związek ze zbrodnią popełnioną przez twego ojca. Unikaj wdowy po człowieku, którego zabiłem – jeśli ta nadal żyje. Unikaj pokojówki, której nikczemna ręka utorowała drogę do małżeństwa – jeśli nadal jej służy. Ponad wszystko unikaj człowieka, który nosi to samo nazwisko co ty. Znieważ swego największego dobrodzieja, jeśli za jego sprawą zbliżyliście się jeden do drugiego. Porzuć kobietę, która cię kocha, jeśli kobieta ta stanowi ogniwo łączące cię z nim. Ukrywaj się przed nim pod przybranym nazwiskiem. Spraw, by rozdzieliły was góry i morza. Lepiej abyś był niewdzięczny, nieprzejednany, przyjął

wszystkie cechy, które twojej szlachetnej naturze wydają się najbardziej odpychające, niż abyś mieszkał z nim pod jednym dachem lub oddychał tym samym powietrzem co on. Nigdy nie pozwól na spotkanie w tym świecie Allana Armadale'a z Allanem Armadale'em, nigdy, przenigdy!

Tylko tędy wiedzie droga ucieczki, jeśli w ogóle jakaś istnieje. Obierz ją raz na zawsze, o ile są ci miłe twoja niewinność i szczęście!

Skończyłem. Gdybym miał pewność, że istnieje jakiś łagodniejszy sposób niż niniejsze wyznanie, by przekonać cię do mojej racji, oszczędziłbym ci odkrycia tajemnicy, którą skrywają te karty. Leżysz teraz na mojej piersi, śpiąc niewinnym snem dziecka, podczas gdy ręka nieznajomego kreśli do ciebie słowa, które padają z moich ust. Pomyśl, jak silne musi być moje przekonanie, skoro będąc na łożu śmierci, zebrałem się na odwagę, by na całe twoje młode życie rzucić cię ojcowskiej zbrodni. Pomyśl o tym i strzeż się. Pomyśl i wybac mi, jeśli potrafisz”.

Tutaj nastąpił koniec. Były to ostatnie słowa ojca do syna.

Niełomnie wierny narzuconemu sobie obowiązкови pan Neal odłożył pióro i przeczytał na głos wersy, które przed chwilą napisał.

– Czy chciałby pan coś dodać? – zapytał swoim bezlitośnie opanowanym głosem.

Nie było nic do dodania.

Pan Neal złożył rękopis, wsunął go w zgiętą kartkę papieru i opieczetował pieczęcią pana Armadale'a.

– Adres? – zapytał, zachowując bezlitośnie oficjalny ton.

„Do Allana Armadale'a juniora” – pisał słowa dyktowane mu z łóżka – „u Sz. P. Godfrey'a Hammicka, z biura panów Hammicka i Ridge'a, Lincoln's Inn Fields, Londyn”. Napisawszy adres, zawahał się i przez chwilę się namyślał.

– Czy pański wykonawca ma to otworzyć? – spytał.

– Nie! Ma to oddać mojemu synowi, gdy ten będzie dość duży, aby to zrozumieć.

– W takim razie – ciągnął pan Neal, którego umysł niestrudzenie pracował – dodam do adresu notkę z dzisiejszą datą, w której przytoczę pana własne słowa w formie, w jakiej właśnie je pan wypowiedział, oraz wyjaśnię, dlaczego na

dokumencie pojawia się mój charakter pisma.

Napisał notatkę możliwe zwięźle i prosto, odczytał ją na głos, podobnie jak wcześniej czytał list, opatrzył ją na końcu swoim nazwiskiem i adresem i podał z kolei do podpisu lekarzowi jako świadkowi całego wydarzenia i na dowód stanu zdrowia, w jakim znajdował się wtedy pan Armadale. Uczyniwszy to, zamknął list w drugiej kopercie, opieczętował jak poprzednio i zaadresował do pana Hammicka z dopiskiem „poufne”.

– Czy nadal chce pan, abym to wysłał? – spytał, wstając z listem w dłoni.

– Proszę dać mu czas do namysłu – rzekł lekarz. – Dla dobra dziecka, proszę dać mu czas do namysłu! Minuta może sprawić, że zmieni zdanie.

– Dam mu pięć minut – odparł pan Neal, nieugięty do końca, kładąc zegarek na stole.

Czekali, obserwując uważnie pana Armadale’a. Oznaki przemiany, które ujawniły się w nim już wcześniej, teraz mnożyły się szybko. Ruch, jaki długotrwałe podniecenie umysłowe przekazało mięśniom twarzy, teraz zaczął obejmować dół ciała. Dłonie, wcześniej bezwładne, przestały leżeć nieruchomo na pościeli, ale rozpoczęły żalosne zmagania. Na widok tego znaku ostrzegawczego lekarz odwrócił się z niepokojem i skinął na pana Neala, by podszedł bliżej.

– Proszę zapytać natychmiast – rzekł. – Jeśli będzie pan zwlekał choćby pięć minut, może być za późno.

Pan Neal zbliżył się do łóżka. On również dostrzegł ruch dłoni.

– Czy to zły znak? – spytał.

Lekarz z powagą spuścił głowę.

– Proszę zapytać natychmiast – powtórzył – bo będzie za późno.

Pan Neal podsunął list umierającemu.

– Czy wie pan, co to jest?

– Mój list.

– Czy nadal chce pan, bym go wysłał?

Chory ostatnim wysiłkiem woli zebrał siły, aby przemówić:

– Tak!

Pan Neal postąpił w stronę drzwi z listem w dłoni. Niemiec poszedł za nim kilka kroków, otworzył usta, aby prosić o dłuższą zwłokę, spotkał nieugięty wzrok Szkota i ustąpił w milczeniu. Kiedy drzwi zamykały się, rozdzielając ich, z żadnej strony nie padło już ani jedno słowo.

Lekarz wrócił do łóżka i szepnął do słabnącego pacjenta:

– Proszę pozwolić mi go zawołać. Jeszcze nie jest za późno, aby go zatrzymać!

Daremnie. Nie padła żadna odpowiedź. Nic nie wskazywało na to, że chory w ogóle słyszy. Jego wzrok oderwał się od dziecka, spoczął na chwilę na szamoczącej się dłoni i z błagalnym wyrazem zatrzymał na pełnej współczucia pochylonej nad nim twarzy. Lekarz podniósł jego dłoń, zatrzymał się, podążył za tęsknym spojrzeniem ojca w kierunku dziecka i, odgadując ostatnie życzenie chorego, delikatnie przesunął dłoń w kierunku głowy chłopca. Dłoń dotknęła jej i gwałtownie zadrżała. W ułamku sekundy drzenie opanowało ramię, a potem przeniosło się na całą górną część ciała. Twarz z bladej zmieniła się w czerwoną, z czerwonej w fioletową, z fioletowej znowu w bladą. Następnie niespokojne dłonie znieruchomiały, a zmiany koloru ustały.

Gdy doktor z dzieckiem w ramionach odstąpił od łoża śmierci i wszedł do pokoju obok, zobaczył otwarte okno. Wyjrzał przez nie, przechodząc i dostrzegł w dole pana Neala, jak ten powoli wraca do gospody.

– Gdzie jest list? – zapytał.

Cała odpowiedź Szkota zamknęła się w dwóch słowach.

– Na poczcie.

KONIEC PROLOGU

OPOWIEŚĆ

KSIĘGA PIERWSZA

I. TAJEMNICA OZIASA MIDWINTERA

Kiedy w ciepły majowy wieczór 1851 roku wielebny Decimus Brock przebywający z wizytą na Wyspie Man udawał się na spoczynek w swojej sypialni w Castletown, nie towarzyszył mu bynajmniej błogi spokój. Ciężyło na nim poważne osobiste zobowiązanie, a nie miał sprecyzowanego pomysłu na to, jak mógłby wybrnąć z obecnej trudnej sytuacji.

Pastor osiągnął już ten dojrzały wiek, w którym człowiek rozsądny potrafi wystrzegać się (na tyle, na ile pozwala mu nastrój) wszelkich bezsensownych zmagania z tyranią własnych trosk. Porzucając dalsze wysiłki zmierzające do podjęcia decyzji w obliczu sytuacji kryzysowej, w jakiej się znalazł, pan Brock, rozebrany do koszu, usiadł spokojnie na brzegu łóżka i zaczął się zastanawiać, czy sama sytuacja była aż tak poważna, jak mu się dotąd wydawało. Szukając wyjścia z labiryntu dylematów, przyłapał się na tym, że niespodziewanie odbywa najmniej zachęcającą ze wszystkich ludzkich wędrówek – wędrówkę przez ostatnie lata swego życia.

Jeden za drugim powracały kolejno wydarzenia tego okresu, wszystkie

powiązane z tą samą garstką postaci i wszystkie mniej lub bardziej odpowiedzialne za niepokój, który zakłócał obecnie nocny wypoczynek pastora. Wspomnienie pierwszego z wydarzeń przeniosło go czternaście lat wstecz do własnej plebanii położonej na brzegu Kanału Bristolskiego w hrabstwie Somerset, gdzie odbył prywatną rozmowę z pewną damą – która złożyła mu wizytę – zupełnie nieznaną zarówno pastorowi, jak i w najbliższej okolicy.

Kobieta miała jasną cerę i dobrze zachowaną figurę. Wciąż była młoda, a wyglądała na jeszcze młodszą. W jej wyrazie twarzy malował się odcień melancholii, a w głosie pobrzmiwał smutek na tyle wyraźnie, by dać do zrozumienia, że wiedziała, co to zgryzota, ale nie na tyle, by narzucać swe troski cudzej uwadze. Przeprowadziła z sobą ładnego, jasnowłosego chłopca w wieku lat ośmiu, którego przedstawiła jako swego syna i który został na początku rozmowy odesłany, aby pobawić się w ogrodzie należącym do plebanii. Bilet wizytowy zapowiedział ją jako „panią Armadale”. Wzbudziła zainteresowanie pana Brocka, zanim jeszcze zdążyła otworzyć usta i kiedy odesłała syna, czekał w niej jakimś napięciu, co też ma mu do powiedzenia.

Pani Armadale zaczęła od informacji, że jest wdową. Jej mąż zginął w katastrofie morskiej wkrótce po ślubie, podczas podróży z Madery do Lizbony. Doznawszy tej straty, przybyła pod opieką ojca do Anglii i w rodzinnej posiadłości w hrabstwie Norfolk urodziła syna pogrobowca. Wkrótce potem śmierć zabrała jej ojca, pozbawiając ją tym samym jedyne żyjącego rodzica i narażając na zaniedbanie oraz niezrozumienie ze strony pozostałych krewnych (dwóch braci), które, jak się obawiała, rozdzieliło ich na całe życie. Przez jakiś czas mieszkała w sąsiednim hrabstwie Devon, poświęcając się edukacji syna. Ten właśnie osiągnął wiek, w którym potrzebował innego nauczyciela niż matka. Jej osobista niechęć do rozstania z dzieckiem w obliczu samotności nie stanowiła problemu, ale bardzo zależało jej na tym, aby chłopiec przy okazji pójścia do szkoły nie trafił pomiędzy obcych. Wymarzyła sobie, że jej syn będzie pobierał prywatne lekcje w domu i w ten sposób w okresie dorastania pozostanie poza zasięgiem pokus i niebezpieczeństw tego świata.

Mając to na uwadze, zdecydowała, że jej pobyt w dotychczasowym miejscu

zamieszkania (gdzie usługi pastora w charakterze prywatnego nauczyciela nie były dostępne) musi się zakończyć. Zasięgnęła języka i dowiedziała się, że w sąsiedztwie pana Brocka znajduje się odpowiedni dla niej dom i że sam pan Brock w przeszłości miał zwyczaj brać uczniów. Mając te informacje, postanowiła się przedstawić, wyposażona w referencje zaświadczające o jej dobrej reputacji. Przybyła, aby zapytać, czy (w razie gdyby osiedliła się w tej okolicy) warunki, które była w stanie zaoferować, skłoniłyby pana Brocka, aby raz jeszcze otworzył swoje drzwi przed uczniem i aby tym uczniem był jej syn.

Gdyby pani Armadale była kobietą pozbawioną przymiotów osobistych albo gdyby pan Brock miał do dyspozycji okopy w postaci żony, zza których mógłby się bronić, możliwe, że podróż wdowy byłaby nadaremna. W zaistniałych okolicznościach proboszcz przejrzał referencje, które mu przedstawiono, i poprosił o czas do namysłu. Kiedy minął wyznaczony termin, zrobił to, o co prosiła pani Armadale – nadstawił barki na przyjęcie brzemienia i pozwolił matce obarczyć się odpowiedzialnością za jej syna.

Było to pierwsze z ciągu wydarzeń, a miało miejsce w roku 1837. Pan Brock powędrował pamięcią wprzód, wychwycił drugie z kolei wydarzenie i zatrzymał się w roku 1845.

Miejscem akcji nadal była wioska rybacka na wybrzeżu w hrabstwie Somerset, a bohaterami znów te same osoby – pani Armadale i jej syn.

W ciągu minionych ośmiu lat odpowiedzialność spoczywająca na panu Brocku nie ciążyła mu zbyt ciężko. Chłopiec nie przysparzał ani matce, ani nauczycielowi wielu problemów. Wiedzę książkową przyswajał powoli, bardziej jednak ze względu na wrodzoną niezdolność do skupienia uwagi niż z powodu tępoty. Nie da się zaprzeczyć, że jego temperament był w najwyższym stopniu płochy: działał chaotycznie pod wpływem pierwszego lepszego impulsu i na oślep wyciągał pochopne wnioski. Z drugiej strony trzeba przyznać, że usposobienie miał prostoduszne jak mało kto: trudno było o bardziej życzliwego, uczuciowego i miłego chłopca. Pewna osobliwa oryginalność charakteru i zdrowe upodobania, jakie przejawiał, sprawiły, że nie padł ofiarą większości zagrożeń, na które nieuchronnie

narażał go system edukacyjny matki. Odznaczał się na wskroś angielskim zamiłowaniem do morza i wszystkiego, co się z nim wiąże. W miarę jak dorastał, nie można go było odciągnąć od wody i utrzymać z dala od warsztatu skutnika. Pewnego dnia ku swemu najwyższemu zdziwieniu i złości matka przyłapała go tam, jak pracował jako ochotnik. Wyznał, że jego największym marzeniem na przyszłość jest posiadać własny warsztat i że obecnie jego jedynym celem było zbudowanie łodzi. Słusznie przewidując, że podobne zajęcie w czasie wolnym pozwoli chłopakowi łatwiej pogodzić się z brakiem towarzystwa rówieśników, pan Brock nie bez trudu zdołał przekonać panią Armadale, aby pozwoliła synowi postawić na swoim. W chwili, gdy w życiu pastora miało miejsce drugie wydarzenie mające związek z jego uczniem, a które teraz zostanie przytoczone, młody Armadale już tak długo praktykował w warsztacie skutnika, by własnoręcznie położyć kil pod własną łódź i tym samym spełnić marzenia.

Pewnego letniego dnia pod wieczór, niedługo po tym, jak Allan skończył szesnaście lat, pan Brock zostawił ucznia pochłoniętego pracą w warsztacie, a sam poszedł złożyć wizytę pani Armadale, zabierając ze sobą ostatni numer dziennika „The Times”.

Lata, jakie minęły od ich pierwszego spotkania, zdołały już uregulować stosunki duchownego i jego sąsiadki. Początkowe awanse, które wiedziony rosnącym uwielbieniem dla wdowy pastor próbował czynić w pierwszych dniach znajomości, spotkały się z jej strony z prośbą o wyrozumiałość, która zamknęła mu usta na przyszłość. Raz na zawsze przekonała go, że jedynym miejscem, jakie może mieć nadzieję zajmować w jej sercu, jest miejsce zarezerwowane dla przyjaciela. Kochał ją na tyle mocno, by przyjąć to, co dawała: zostali przyjaciółmi i na tym poprzestali. Na dobrych relacjach z ukochaną kobietą nie kładła się cieniem żadna obawa o to, że innemu mężczyźnie może się udać coś, co nie powiodło się jemu. Spośród kilku mieszkających w okolicy dżentelmenów żaden nie został przez panią Armadale dopuszczony do większej zażyłości niż tylko powierzchowna znajomość. Szczęśliwa w swoim wiejskim ustroniu, była obojętna na wszelkie atrakcje towarzyskie, które skusiłyby inne kobiety jej pokroju i w jej wieku. Pan Brock i jego gazeta, którzy z do bólu przewidywalną regularnością pojawiali się u niej na herbatce trzy razy

w tygodniu, mówili jej wszystko, co chciała wiedzieć o wielkim świecie, ten zaś obracał się z dala od ciasnych i niezmiennych granic jej codziennego życia.

Tego wieczoru pan Brock zajął fotel, w którym zawsze zasiadał, przyjął filiżankę herbaty, którą zawsze wypijał, i otworzył gazetę, którą zawsze odczytywał na głos pani Armadale. Ona z kolei niezmiennie słuchała go, odpoczywając na tej samej kanapie z nieodłączną robótką w dłoni.

– Wielkie nieba! – zawołał proboszcz zmienionym głosem, z pełnym zdumienia wzrokiem utkwionym w pierwszej stronie gazety.

Pani Armadale nigdy dotąd nie była świadkiem podobnego wstępu do wieczornej lektury. Podniosła zaciekawiony wzrok i poprosiła czcigodnego przyjaciela, aby raczył wyjaśnić przyczynę swojego zdziwienia.

– Nie mogę uwierzyć własnym oczom – powiedział pan Brock. – W gazecie jest ogłoszenie skierowane do pani syna.

Bez dalszych wstępów przeczytał, co następuje:

„Jeśli niniejsze ogłoszenie trafi do rąk ALLANA ARMADALE’A, ten proszony jest o osobisty lub listowny kontakt z panami Hammickiem i Ridge’em (Lincoln’s Inn Fields, Londyn) w ważnej sprawie, która bezpośrednio go dotyczy. Ktokolwiek, kto mógłby poinformować panów H. i R., gdzie można znaleźć wymienioną wyżej osobę, wyświadczy im przysługę, robiąc to niezwłocznie. Aby uniknąć błędów, podaje się do wiadomości, że poszukiwany Allan Armadale jest młodzieńcem piętnastoletnim, a niniejsze ogłoszenie zamieszcza się na prośbę jego rodziny i przyjaciół”.

– Innej rodziny i innych przyjaciół – odezwała się pani Armadale. – Osoba, której nazwisko pojawia się w ogłoszeniu, nie jest moim synem.

Ton jej głosu wprowadził pana Brocka w osłupienie. Zmiana w jej twarzy, którą dostrzegł, podniósłszy wzrok, wstrząsnęła nim. Delikatny odcień jej cery zastąpiła trupia bladość, oczy odwróciła od gościa z dziwnym wyrazem – na poły zmieszaniem, na poły przestrawieniem. Wyglądała na przynajmniej dziesięć lat starszą.

– Nazwisko jest takie niespotykane – rzekł pan Brock, myśląc, że ją uraził, i próbując się usprawiedliwić. – Naprawdę wydaje się niemożliwe, by były dwie

osoby...

– Są dwie – przerwała pani Armadale. – Jak wiesz, Allan ma szesnaście lat. Jeśli wrócisz do ogłoszenia, zobaczysz, że osoba, której poszukują, ma piętnaście. Pomimo że nosi to samo imię i nazwisko co mój syn, nie jest z nim, dzięki Bogu, w żaden sposób spokrewniona. Jak długo żyję, będę się modlić o to, żeby Allan nigdy jej nie spotkał ani nigdy nawet się o niej nie dowiedział. Drogi przyjacielu, widzę, że jesteś zaskoczony: czy pozwolisz, że nie będę wyjaśniać tej dziwnej sytuacji? W młodości doświadczyłam nieszczęścia zbyt bolesnego, by o nim mówić nawet tobie. Czy pomożesz mi znieść wspomnienie o nim, nigdy już do tego nie wracając? Czy zrobisz coś więcej – obiecasz, że nie powiesz o tym Allanowi, i nie pozwolisz, aby ta gazeta wpadła mu w ręce?

Pan Brock złożył zobowiązanie, o jakie go poproszono, i taktownie zostawił ją samą.

Proboszcz zbyt długo znał panią Armadale i był do niej zbyt przywiązany, by żywić wobec niej niegodną podejrzliwość. Nie da się jednak zaprzeczyć, iż czuł się zawiedziony tym, że nie chciała mu się zwierzyć, i wracając do domu raz po raz zerkał z zaciekawieniem na ogłoszenie.

Wreszcie stało się jasne, dlaczego pani Armadale zaszyła się wraz z synem w odległej wiosce. Chodziło nie tyle o to, by mieć chłopca na oku, ale by nie odkrył go jego imiennik. Dlaczego bała się ich spotkania? Jaka groźba wisi nad nią lub jej synem? Ufna wiara pana Brocka w przyjaciółkę nie pozwalała mu przypuszczać, że kluczem do zagadki mogło być złe prowadzenie się pani Armadale w przeszłości. Tego wieczoru własnoręcznie zniszczył ogłoszenie i postanowił, że nigdy więcej nie wróci myślami do tego tematu. Na świecie był drugi Allan Armadale, niespokrewniony z jego uczniem włóczęga, dla którego zamieszcza się ogłoszenia w publicznych gazetach. Tyle dowiedział się przez przypadek. Dla dobra pani Armadale nie chciał wiedzieć nic więcej i nigdy nie będzie się próbował dowiedzieć.

Było to drugie z serii wydarzeń mających związek ze znajomością proboszcza z panią Armadale i jej synem. Wędrując w czasie, pamięć pana Brocka zbliżała się coraz bardziej do chwili obecnej i osiągnąwszy trzeci etap podróży, zatrzymała się na roku 1850.

Minione pięć lat nie wpłynęły znacząco, o ile w ogóle, na charakter Allana. Po prostu wyrósł (wedle słów nauczyciela) z chłopaka szesnastoletniego na chłopaka dwudziestojednoletniego. Był równie miły i szczerzy co zawsze, równie osobliwie i niezmiennie dobroduszny, równie ślepo podążający za swoimi impulsami. Słabość do morza rosła u niego wraz z wiekiem. Od budowy łodzi przeszedł teraz – mając pod sobą dwóch czeladników – do konstruowania krytego jachtu o wyporności trzydziestu pięciu ton. Pan Brock niestrudzenie podejmował próby rozbudzenia w nim wyższych aspiracji. Zabrał go do Oxfordu, aby pokazać mu życie studenckie, do Londynu, aby poszerzyć horyzonty chłopca poprzez zetknięcie z wielką metropolią. Odmiana zaciekała Allana, ale nie zmieniła go ani trochę. Był równie ponad wszelkie światowe ambicje jak sam Diogenes. „Co jest lepsze”, pytał filozof, „samemu znaleźć drogę do szczęścia czy pozwolić innym próbować ją znaleźć zamiast siebie?” Od tej chwili pan Brock pozwolił osobowości chłopca rozwijać się swoim trybem, Allan zaś bez przeszkód powrócił do pracy nad swoim jachtem.

Czas, który w tak niewielkim stopniu zmienił syna, nie był łaskawy dla matki.

Zdrowie pani Armadale gwałtownie podupadało. W miarę jak opuszczały ją siły, jej usposobienie stawało się coraz gorsze: była coraz bardziej rozdrażniona, coraz bardziej skłonna do chorobliwych obaw i złudzeń, coraz mniej chętnie opuszczała własny pokój. Od czasu ukazania się ogłoszenia pięć lat wcześniej nie wydarzyło się nic, co kazałoby jej wrócić do bolesnych wspomnień związanych z młodością. Między nią a proboszczem nie padło ani jedno słowo nawiązujące do zakazanego tematu, w umyśle Allana nie zostało wzbudzone najmniejsze podejrzenie co do istnienia jego imiennika, a jednak nie mając żadnych podstaw do obaw, pani Armadale stała się w ostatnich latach niespokojna o syna. Nie raz, nie dwa pan Brock obawiał się, że wybuchnie między nimi poważna kłótnia, jednak wrodzone miłe usposobienie Allana wspomagane miłością do matki pozwoliło mu zwycięsko przejść przez wszystkie próby. W obecności proboszcza nigdy nie wyrwało mu się szorstkie słowo czy gniewne spojrzenie, do samego końca był w stosunku do matki niezmiennie kochający i wyrozumiały.

Tak się sprawy miały z synem, matką i przyjacielem rodziny w chwili, gdy w życiu całej trójki zaszło kolejne istotne wydarzenie. W pewne ponure popołudnie

na początku listopada pracę nad kazaniem przerwała panu Brockowi wizyta właściciela wiejskiej gospody.

Po wstępnych przeprosinach właściciel przedstawił pilną sprawę, z którą przybył na plebanię.

Kilka godzin wcześniej parobcy przyprowadzili do gospody młodzieńca znalezionego, gdy błąkał się po jednym z pól należących do ich pracodawcy w stanie pomieszania umysłowego, które na ich oko wyglądało na czysty obłąd. Gospodarz udzielił biedakowi schronienia, w międzyczasie posyłając po lekarza, ten zaś widząc go, orzekł, że cierpi z powodu rozstroju umysłowego i że przeniesienie go do najbliższego szpitala lub lecznicy przy przytułku najprawdopodobniej przekreśliłoby jego szanse na wyzdrowienie. Słyszając to i widząc, że cały bagaż nieznanego stanowi kuferek, który znaleziono przy nim w polu, gospodarz z miejsca zdecydował, że poradzi się proboszcza, co dalej robić w tak poważnej i nagłej sytuacji.

Pan Brock, który pełnił w okręgu nie tylko funkcję pastora, ale i sędziego pokoju, od początku miał zupełną jasność tego, jak należy postąpić. Włożył kapelusz i ruszył wraz z właścicielem do gospody.

W drzwiach gospody dołączył do nich Allan, który usłyszał już nowiny z innych źródeł i czekał na przybycie pana Brocka, aby podążyć za sędzią i zobaczyć nieznanego. W tej samej chwili dołączył do nich miejscowy felczer i cała czwórka weszła do środka.

Zastali syna gospodarza i chłopca stajennego po dwóch stronach krzesła, na którym próbowali utrzymać przybysza. Młody, szczupły i niskiego wzrostu, był na tyle silny, że z trudem dawał się opanować dwojgu ludziom. Jego śniada cera, duże, jasnobrązowe oczy i czarna broda sprawiały, że wyglądem przypominał nieco cudzoziemca. Ubranie miał znoszone, ale bieliznę czystą. Jego śniade ręce były żyłaste i niespokojne i w wielu miejscach miały sinawe przebarwienia – ślad po dawnych skaleczeniach. Palcami jednej ze stóp, z której zrzucił but, wczepił się przez pończochę w poręcz krzesła z siłą, do jakiej zdolny jest tylko człowiek nawykły do chodzenia boso. W szale, który go ogarniał, trudno było dostrzec cokolwiek więcej, co miałoby jakąś wartość praktyczną. Po wyrażonej szeptem

naradzie z panem Brockiem felczer osobiście doglądał przeniesienia pacjenta do zaciszszej sypialni na tyłach budynku. Wkrótce potem zniesiono na dół jego ubrania i kuferek, które następnie zostały przeszukane w obecności sędziego pokoju. Miano nadzieję, że dostarczą wskazówek, które pozwolą na skontaktowanie się z jego znajomymi.

Kuferek nie zawierał nic prócz ubrań na zmianę i dwóch księżek – dramatów Sofoklesa w greckim oryginale oraz *Fausta* Goethego po niemiecku. Oba tomy były mocno zniszczone od wielokrotnego czytania, a na wklejce każdego z nich widniały inicjały: O. M. Tyle ujawnił kuferek i nic więcej.

W następnej kolejności przeszukano ubrania, które nieznajomy miał na sobie, kiedy znaleziono go w polu. Światło dzienne ujrzały kolejno portmonetka (zawierająca jednego suwerena i kilka szylingów), fajka, kapciuch, chusteczka do nosa oraz rogowy kubek. Kolejny i ostatni przedmiot znaleziono niedbale zmięty w kieszeni na piersi płaszcza. Była to opinia na piśmie na temat charakteru, opatrzona datą i podpisem, ale bez adresu.

Z dokumentu wynikało, że historia nieznajomego była doprawdy nie do pozazdroszczenia. Najwyraźniej pracował krótko w szkole jako woźny, kiedy zaś zaczął chorować, przepędzono go na cztery wiatry w obawie, że jego rozstrój może być zaraźliwy i że w następstwie może to zaszkodzić dobru placówki. Nie ciążył na nim najmniejszy zarzut złego zachowania. Wręcz przeciwnie, dyrektor z największym zaangażowaniem poświadczał jego kompetencje i przymioty charakteru oraz wyrażał żywą nadzieję, że chłopak zdoła (z pomocą Opatrzności) wrócić do zdrowia pod dachem kogoś innego. Pisemna opinia, która dawała wgląd w historię nieznajomego, miała jeszcze jeden skutek: łączyła go z inicjałami w książkach i pozwalała ustalić, że nazywa się brzydko jak mało kto – Ozias Midwinter.

Pan Brock odłożył opinię, podejrzewając, że dyrektor celowo nie podał swojego adresu, aby uchylić się od odpowiedzialności w przypadku śmierci woźnego. Tak czy owak, w obecnej sytuacji jawnie bezcelowe było szukanie znajomych biedaka, o ile w ogóle takowi istnieli. Został przyprowadzony do gospody i zwykła ludzka uczciwość nakazywała, aby w niej na razie pozostał. Gdyby przyszło do najgorszego,

problem kosztów można by rozwiązać za pomocą wolnych datków od sąsiadów albo zbiórki pieniędzy po kazaniu w kościele. Upewniając gospodarza, że nie musi się o nic martwić i że da mu znać, co postanowi, pan Brock opuścił gospodę, nie zauważając, kiedy zostawił za sobą Allana.

Nie zdążył ujść więcej niż pięćdziesiąt jardów¹, gdy uczeń go dogonił. W gospodzie Allan był przez cały czas niespotykane milczący i poważny, ale teraz odzyskał swój zwykły pogodny nastrój. Ktoś, kto go nie znał, mógłby pomyśleć, że brakuje mu empatii.

– To smutna sprawa – powiedział proboszcz. – Naprawdę nie wiem, co możemy zrobić dla tego biedaka.

– Może się pan nie martwić – odrzekł młody Armadale, jak zwykle bezceremonialnie – minutę temu wszystko załatwiłem z gospodarzem.

– Ty!?! – wykrzyknął pan Brock w najwyższym zdumieniu.

– Udzieliłem tylko kilku prostych wskazówek – ciągnął Allan. – Nasz przyjaciel woźny ma mieć wszystko, czego zażąda, i ma być traktowany jak księżę, a kiedy lekarz i gospodarz będą chcieli zapłaty, mają przyjść do mnie.

– Drogi Allanie – łagodnie upomniął go pan Brock – kiedy wreszcie nauczysz się myśleć, zanim dasz się ponieść tym swoim wielkodusznym zapędom? Już teraz wydajesz na budowę jachtu więcej, niż możesz sobie pozwolić...

– Proszę tylko pomyśleć! Przedwczoraj położyliśmy pierwsze deski pokładu – rzekł Allan, jak zwykle przeskakując beztrudnie na inny temat. – Wystarczy w sam raz, żeby się po nim przejść, o ile ktoś nie cierpi na zawroty głowy. Pomogę panu wejść na drabinę, panie Brock, jeśli tylko przyjdzie pan i spróbuje.

– Posłuchaj mnie – nie odpuszczał proboszcz. – Nie mówię teraz o jachcie. Chodzi o to, że przytaczam jacht tylko jako przykład.

– I to bardzo ładny przykład – odparł niepoprawny Allan. – Pokaż mi pan bardziej elegancką jednostkę tej wielkości w Anglii, a jeszcze jutro porzucę budowę jachtów. Na czym skończyliśmy naszą rozmowę, szanowny panie? Obawiam się, że się zgubiliśmy.

– A ja obawiam się, że jeden z nas ma w zwyczaju gubić się za każdym razem,

gdy otwiera usta – zaripostował pan Brock. – Chodź, Allanie, to poważna sprawa. Narażasz się na wydatki, których możesz nie być w stanie pokryć. Pamiętaj, że jestem daleki od wypominania ci dobrego serca, jakie okazałeś temu samotnemu biedakowi.

– Niech się pan o niego nie martwi. Wyjdzie z tego – za jakiś tydzień będzie zdrów jak ryba. To kapitalny gość, nie mam co do tego cienia wątpliwości! – ciągnął Allan, który miał w zwyczaju wierzyć w każdego i nigdy nie tracić nadziei. – Może zaprosi go pan na obiad, kiedy wyzdrowieje? Chętnie bym się dowiedział (kiedy już wszyscy trzej siądziemy sobie wygodnie w dobrej komitywie przy szklaneczce wina), skąd wytrzasnął to swoje niezwykle imię i nazwisko. Ozias Midwinter! Mój Boże, jego ojciec powinien się wstydzić.

– Czy możesz powiedzieć mi jedną rzecz, zanim wejdę? – rzekł proboszcz, przystając z rezygnacją przy swojej furtce. – Nim ten człowiek wyzdrowieje, rachunek za jego noclegi i opiekę medyczną może wzrosnąć do dwudziestu lub trzydziestu funtów, o ile w ogóle wyzdrowieje. Jak masz zamiar za to zapłacić?

– Co mówi minister skarbu, gdy nie zgadzają mu się rachunki i nie wie, co dalej robić? – zapytał Allan. – Zawsze mówi swojemu szanownemu przyjacielowi, że jest skłonny zostawić ten tego...

– Margines? – podsunął pan Brock.

– Właśnie! – powiedział Allan. – Jestem jak minister skarbu. Jestem skłonny zostawić margines. Jacht (chwała mu za to) nie pożera wszystkich pieniędzy. Jeśli zabraknie mi funta lub dwóch, niech się pan nie boi. Nie jestem dumny. Przejdę się po okolicy z kapeluszem i zdobędę różnicę. Do diabła z funtami, szylingami i pensami! Chciałbym, żeby wszystkie pozbyły się same siebie jak na pokazie. Pamięta pan braci Beduinów? „Ali weźmie zapaloną pochodnię i wskoczy do gardła swojego brata Mulego; Muli weźmie zapaloną pochodnię i wskoczy do gardła swojego brata Hassana; Hassan, biorąc trzecią zapaloną pochodnię, zakończy występ, wskakując do własnego gardła, i zostawi widzów w egipskich ciemnościach”. Cudowne, to się nazywa dowcip. Chwileczkę! Na czym to skończyliśmy? Znów się zgubiliśmy. A tak... pieniądze. Nie mogę sobie wbić do łba jednej rzeczy – zakończył Allan, nieświadomy, że głosi pastorowi socjalistyczne

doktryny – po co te wszystkie ceregiele z wydawaniem pieniędzy. Dlaczego ludzie, którzy mają nadmiar, nie dadzą pieniędzy tym, którym ich nie starcza? Świat byłby w ten sposób dużo przyjemniejszy i wygodniejszy do życia. Zawsze powtarzał pan, że bym pielęgnował pomysły. Oto jest pomysł i, jak Boga kocham, myślę, że nie jest zły.

Pan Brock pobłażliwie trącił ucznia końcem laski.

– Wracaj do swojego jachtu – powiedział. – W skrzynce narzędziowej na pokładzie zostawiłeś cały swój mizerny rozsądek, który nosisz w tej roztrzepanej głowie. Jak skończy się sprawa tego chłopaka – ciągnął proboszcz, kiedy znalazł się już sam – nie wie nikt. Niemal żałuję, że w ogóle brałem na siebie odpowiedzialność za niego.

Po trzech tygodniach stwierdzono, że nieznajomy o dziwnym imieniu i nazwisku wreszcie wraca do zdrowia.

W tym czasie Allan regularnie przychodził do gospody zasięgać informacji i gdy tylko chory mógł przyjmować gości, ten jako pierwszy zjawił się u jego łóżka. Dotąd wychowanek pana Brocka objawiał jedynie zwykłe zainteresowanie jedną z niewielu romantycznych historii, które urozmaiciły monotonię wiejskiego życia. Nie zachował się nieroztropnie i nie naraził na naganę. W miarę jednak upływu dni wizyty młodego Armadale'a w gospodzie zaczęły się coraz to bardziej wydłużać i felczer (przytomny starszy człowiek) dyskretnie dał proboszczowi do zrozumienia, że czas wkroczyć do akcji. Panu Brockowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Odkrył, że Allan swoim zwyczajem poszedł ślepo za głosem impulsu. Zapalał do odrzuconego woźnego żywą sympatią i zaprosił Oziasa Midwintera, by ten na stałe zamieszkał w okolicy jako jego serdeczny przyjaciel.

Zanim Pan Brock namyślił się, co robić w tej nowej sytuacji, otrzymał wiadomość od matki Allana, która błagała go, by skorzystał z przywileju starego przyjaciela i złożył wizytę w jej pokoju.

Zastał panią Armadale cierpiącą z powodu gwałtownego pobudzenia nerwowego, którego jedynym źródłem była niedawna rozmowa z synem. Allan był z nią cały ranek i nie mówił o niczym innym, tylko o swoim nowym przyjacielu. Ten człowiek o okropnym nazwisku (jak określiła go biedna pani Armadale) niezwykle

szczegółowo wypytywał Allana o jego rodzinę, ale milczał na temat własnej przeszłości. Dawniej nawykły był do morza i żeglarstwa. Allan na nieszczęście dowiedział się o tym i natychmiast zadzierzgnęła się między nimi silna więź. Okazując bezlitosną nieufność wobec nieznanego – tylko dlatego, że był nieznanym – co wydało się panu Brockowi nieco nierozsądne, pani Armadale błagała proboszcza, by nie tracąc ani chwili, udał się do gospody i nie ustał, dopóki nie wyciągnie od tamtego rzetelnego sprawozdania na swój temat.

– Dowiedz się wszystkiego o jego ojcu i matce! – powiedziała z kobiecą zawziętością. – Zanim wyjdiesz, upewnij się, że nie jest włóczęgą wałęsającym się po kraju pod przybranym nazwiskiem.

– Moja droga – zaprotestował proboszcz, posłusznie sięgając po kapelusz – możemy kwestionować wszystko, ale jestem przekonany, że jego imienia i nazwiska możemy być pewni. Są tak szpetne, że muszą być prawdziwe. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zgodziłby się z własnej woli nazywać Ozias Midwinter.

– Możesz mieć zupełną rację, a ja mogę całkowicie się mylić, ale błagam, idź do niego – nalegała pani Armadale. – Idź i przyciśnij go. Skąd możemy wiedzieć, czy ta jego choroba nie została celowo zainscenizowana?

Nie było sensu się z nią spierać. Całe kolegium lekarzy mogło potwierdzić chorobę nieznanego, a w obecnym stanie ducha pani Armadale i tak żadnemu z nich by nie uwierzyła, z przewodniczącym na czele. Pan Brock wybrnął zgodnie ze zdrowym rozsądkiem – nic już nie powiedział i natychmiast wyruszył do gospody.

Wracający do zdrowia Ozias Midwinter przedstawiał zadziwiający widok. Ogolona, zawinięta w starą, żółtą, jedwabną chustkę głowa, śniade, zapadnięte policzki, nienaturalnie duże i dzikie jasnobrązowe oczy, czarna zmierzwiona broda, długie, zręczne, kościste palce wycieńczone chorobą tak, że przypominały szpony – wszystko to sprawiło, że na początku rozmowy proboszcz poczuł się nieswojo. Kiedy minęło pierwsze uczucie zdziwienia, dalsze wrażenie nie było miłe. Pan Brock nie mógł pozbyć się wrażenia, że nieznanomy był nastawiony przeciwko niemu. Zgodnie z ogólnie przyjętym przekonaniem jeśli ktoś jest szczery, patrzy swoim bliźnim prosto w oczy, gdy z nimi rozmawia. Jeśli ten człowiek był szczery, jego wzrok wykazywał niezwykłą przekorę, uciekając w bok i przecząc temu

przekonaniu. Być może do pewnego stopnia wzrok znajdował się pod wpływem nerwowego wzburzenia organizmu, które zdawało się przenikać każde włókno szczupłego, zwinnego ciała młodzieńca. Każde przypadkowe drgnienie zręcznych, brązowych palców woźnego, każdy przelotny grymas jego wynędzniałej, żółtej twarzy sprawiał, że przez zdrowe anglosaskie ciało proboszcza przechodziły ciarki. „Niech Bóg mi wybaczy!”, pomyślał pan Brock, biegnąc myślami do Allana i jego matki, „chciałbym znaleźć sposób, aby przepędzić Oziasa Midwintera na cztery wiatry!”

Rozmowa, która się następnie wywiązała, była bardzo powściągliwa. Pan Brock ostrożnie sondował nieznanego, ale gdziekolwiek by się nie zwrócił, wszędzie napotykał na uprzejmy opór.

Od początku do końca prawdziwa natura młodzieńca wymykała się proboszczowi z płochliwością dzikiego zwierzęcia. Zaczął od stwierdzenia, któremu, patrząc na niego, trudno było dać wiarę – że liczy sobie zaledwie dwadzieścia lat. Wszystko, co udało się z niego wydobyć na temat szkoły, to to, że samo wspomnienie o niej było dla niego koszmarem. Zajmował posadę woźnego jedynie przez dziesięć dni, po czym pierwsze symptomy choroby spowodowały jego zwolnienie. Nie potrafił wyjaśnić, jak dotarł na pole, gdzie go znaleziono. Pamiętał, że długo jechał pociągami, mając na uwadze cel (jeśli w ogóle był jakiś cel), którego teraz nie mógł sobie przypomnieć. Potem przez cały dzień lub całą noc, teraz już nie był pewien, szedł pieszo w stronę wybrzeża. Kiedy wróciła mu przytomność umysłu, zaczęło pojawiać się wspomnienie morza. Był zatrudniony na okręcie jako majtek. Rzucił pracę i objął posadę w małomiasteczkowej księgarni. Rzucił księgarnię i przeniósł się do szkoły. Teraz gdy zwolniono go ze szkoły, musi spróbować szczęścia gdzie indziej. Nie miało większego znaczenia, gdzie się zaczepi, i tak wcześniej czy później skończy się to porażką (za którą nie można winić nikogo prócz jego samego). Co do przyjaciół, nie miał się do kogo zwrócić. Co zaś do krewnych, wołał o nich nie mówić. Z tego, co wiedział, mogli już nie żyć, a z tego, co oni wiedzieli, on mógł nie żyć. Jak na człowieka w tym wieku, było to niezaprzeczalnie przygnębiające wyznanie. W oczach innych mogłoby świadczyć o nim źle i bez wątplenia świadczyło o nim źle w oczach dżentelmena, który właśnie z nim

rozmawiał.

Te dziwne odpowiedzi zostały wypowiedziane tonem, który z jednej strony daleki był od goryczy, a z drugiej od obojętności. Mając lat dwadzieścia, Ozias Midwinter mówił o swoim życiu tak, jak mógłby mówić o nim Ozias Midwinter siedemdziesięcioletni, dźwigający na barkach ciężar długich lat, który nauczył się cierpliwie znosić.

Dwie okoliczności mocno przemawiały przeciwko nieufności, którą z powodu czystej konsternacji ślepo żywił wobec niego pan Brock. Otóż Midwinter zwrócił się listownie do banku oszczędnościowego w odległym zakątku Anglii, wyciągnął pieniądze i zapłacił lekarzowi oraz właścicielowi gospody. Człowiek prostacki lekce by sobie ważył powinność uregulowania rachunków. Ozias Midwinter mówił też o swoich zobowiązaniach, zwłaszcza wobec Allana, z gorącą wdzięcznością, na którą patrzyło się nie tylko ze zdumieniem, ale i prawdziwym bólem serca. Objawiał szczere zaskoczenie faktem, że w chrześcijańskim kraju otoczono go zwykłą chrześcijańską życzliwością. O tym, że Allan wziął na siebie odpowiedzialność za wszystkie wydatki związane z jego zakwaterowaniem, opieką i leczeniem, wypowiadał się z gwałtownym entuzjazmem pełnym wdzięczności i zaskoczenia, który bił od niego z piorunującą siłą.

– Na Boga! – zawołał były woźny. – Nigdy nie spotkałem się z kimś takim, nigdy wcześniej nie słyszałem o kimś takim!

W następnej chwili jedyne nikłe światełko, któremu mężczyzna pozwolił paść na swoją ognistą naturę, na powrót zgasło w ciemnościach. Rozbiegane oczy wróciły do swojej starej sztuczki i nerwowo odwróciły się od rozmówcy, podczas gdy ton głosu na powrót stał się miarowy i przytłumiony.

– Proszę, niech pan mi wybaczy – rzekł. – Przywykłem do tego, że się mnie ściga, oszukuje i głodzi. Wszystko inne jest mi obce.

Wstając, aby wyjść, pan Brock, który czuł do nieznanego na wpół pociąg, na wpół odrazę, odruchowo wyciągnął rękę, a potem, ogarnięty nagłą obawą, cofnął ją zmieszany.

– Zrobił pan to w dobrej wierze – powiedział Ozias Midwinter, z determinacją

trzymając własne ręce skrzyżowane za sobą. – Nie mam panu za złe, że się rozmyślił. Ktoś, kto nie potrafi zdać relacji na swój temat, nie jest osobą, której dżentelmen pana pokroju podaje dłoń.

Pan Brock opuścił gospodę mocno zdezorientowany. Zanim powrócił do pani Armadale, posłał po jej syna. Istniała nadzieja, że w rozmowie z Allanem nieznanemu rozwiązał się język, a przy szczerości Allana nie było obaw, że ten zatai przed proboszczem coś, co padło między nimi.

I tu także dyplomacja pana Brocka nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

Zagadnięty o Oziasa Midwintera, Allan zaczął w swój zwykły, lekki i beztrudny sposób traktować na temat nowego przyjaciela. Nie miał jednak nic ważnego do powiedzenia, bo też nie wyjawiono mu nic ważnego. Podczas każdej spędzonej wspólnie godziny rozmawiali o budowie łodzi i żeglowności, przy czym Allan otrzymał kilka cennych wskazówek. Roztrząsali (z pomocą rysunków, dzięki którym Allan otrzymał kolejne cenne wskazówki) ważną i wielkimi krokami zbliżającą się kwestię wodowania jachtu. Przy innych okazjach rozmowa schodziła na tematy zbyt liczne, by wszystkie je sobie naraz przypomnieć. Czy podczas przyjacielskiej rozmowy Midwinter nie wspominał nic o swoich krewnych? Nic, z wyjątkiem tego, że nie potraktowali go dobrze – do diabła z takimi krewnymi! Czy był wrażliwy na punkcie swojego dziwnego nazwiska? Ani trochę. Okazał się sensownym gościem i dał dobry przykład, sam się z niego śmiejąc.

Pan Brock nie ustępował. Zapytał następnie, co Allan widział w nieznanym, że obdarzył go tak wielką sympatią. Allan widział w nim to, czego nie widział w większości ludzi. Oziasek nie przypominał innych chłopaków z sąsiedztwa. Wszyscy oni byli jak spod jednej sztancy. Każdy z nich tak samo zdrowy, umięśniony, głośny, nieczuły, schludny i szorstki; każdy jeden pił te same ilości piwa, palił przez cały dzień tę samą krótką fajkę, posiadał najlepszego konia, polował z najlepszym psem, a wieczorem stawiał na stole najlepszą flaszkę wina w Anglii; każdy zanurzał się co rano w balii zimnej wody, a potem przechwalał się tym w mroźny dzień w ten sam sposób; każdy uważał, że zadłużanie się to przedni dowcip, a obstawianie w wyścigach konnych to jeden z najbardziej chwalebnych czynów, do jakich zdolna jest istota ludzka. Bez wątplenia byli to na swój sposób świetni kompani, ale

najgorsze w nich było to, że wszyscy byli tacy sami. Spotkanie kogoś takiego jak Midwinter wydawało mu się prawdziwym darem niebios – był to ktoś, kto wymykał się miejscowemu schematowi i którego sposób życia na tym świecie miał tę wielką zaletę, że był jego własnym.

Zostawiając sobie protesty na lepszą okazję, proboszcz udał się z powrotem do pani Armadale. Nie miał złudzeń, że osobą odpowiedzialną za obecny brak rozwagi Allana była jego matka. Gdyby chłopak miał trochę mniej kontaktu z okoliczną drobną szlachtą, a trochę więcej z wielkim światem w kraju i za granicą, towarzystwo Oziasa Midwintera nie wydawałoby mu się tak pociągające.

Pan Brock zdawał sobie sprawę, że jego wizyta w gospodzie nie przyniosła zadowalających efektów i miał pewne obawy, jak jego relacja zostanie przyjęta, kiedy znowu znajdzie się w towarzystwie pani Armadale. Jego złe przeczucia wkrótce się ziściły. Mimo że robił wszystko, żeby przedstawić sytuację w jak najlepszym świetle, pani Armadale uczepliła się jednej podejrzaney rzeczy, jaką było milczenie woźnego na własny temat, i uznała ją za podstawę do podjęcia najbardziej radykalnych kroków zmierzających do rozdzielenia przybysza i swojego syna. Oświadczyła, że jeśli proboszcz nie zgodzi się interweniować, ma zamiar własnoręcznie napisać do Oziasa Midwintera. Protesty rozsierdziły ją do tego stopnia, że ku zdumieniu pana Brocka powróciła do zakazanego tematu sprzed pięciu lat i przywołała rozmowę, którą odbyli, gdy znaleźli pamiętne ogłoszenie w gazecie. Ze wzburzeniem stwierdziła, że włóczęga o nazwisku Armadale z ogłoszenia i włóczęga Midwinter z wiejskiej gospody, wbrew wszystkiemu, co zdaje się temu przeczyć, mogą być jedną i tą samą osobą. Obawiając się poważnego konfliktu pomiędzy matką a synem w razie interwencji matki, pan Brock zobowiązał się, że raz jeszcze spotka się z Midwinterem i powie mu wprost, że ten albo zda wyczerpujące sprawozdanie na swój temat, albo jego zażyłość z Allanem musi się skończyć. W zamian wygzekwował od pani Armadale dwa ustępstwa. Zobowiązała się poczekać, aż lekarz orzeknie, że młodzieniec jest w stanie podróżować, i w międzyczasie ani słowem nie napomknąć o całej sprawie synowi.

W tydzień później Midwinter mógł już wybrać się (z Allanem w charakterze woźnicy) na przejażdżkę należącą do gospody bryczką zaprzężoną w kucyki,

a w kolejne trzy dni później lekarz orzekł, że jego stan pozwala na wyruszenie w drogę. Pod koniec owego trzeciego dnia pan Brock spotkał Allana i jego nowego przyjaciela, jak zażywali ostatnich promieni zimowego słońca na jednej z polnych dróg. Odczekał, aż ci dwaj się rozstaną, i ruszył za woźnym do gospody.

Postanowienie proboszcza, że bezlitośnie przejdzie w rozmowie do rzeczy, stanęło pod znakiem zapytania, gdy zbliżał się do samotnego człowieka i widział, jak niepewnie wciąż jeszcze się porusza, jak luźno wisi na nim znoszony płaszcz i jak ciężko wspiera się na taniej, niezgrabnej lasce. Mając opory przed zbyt pochopnym wygłoszeniem zdecydowanych słów, pan Brock zaczął od małego komplementu. Pogratulował mu odczytania, którego dowodem były dzieła Sofoklesa i Goethego znalezione w kuferku, i zapytał, od jak dawna zna niemiecki i grekę. Wrażliwe ucho Midwintera natychmiast wychwyciło w głosie pana Brocka fałszywą nutę. Obrócił się w gęstniejącym mroku i niespodziewanie spojrzął podejrzliwie w twarz proboszcza.

– Chce mi pan coś powiedzieć – odrzekł – i nie jest to to, co pan teraz mówi.

Nie pozostawało nic innego, jak podjąć wyzwanie. Ostrożnie, okrężną drogą, którą tamten przyjął w całkowitym milczeniu, pan Brock coraz bardziej zbliżał się do sedna sprawy. Na długo zanim do niego dotarł, na długo zanim ktoś o przeciętnej wrażliwości poczułby, co nadciąga, Oziias Midwinter zatrzymał się na ścieżce i oświadczył proboszczowi, że nic już nie musi mówić.

– Rozumiem pana – rzekł woźny. – Pan Armadale ma ugruntowaną pozycję w świecie, nie ma nic do ukrycia i nie ma się czego wstydzić. Zgadzam się z panem, że nie jestem dla niego właściwym towarzystwem. Najlepsze, czym mogę się odwdzińczyć za jego uprzejmość, będzie więcej jej nie nadużywać. Może pan być pewien, że jutro rano opuszczę to miejsce.

Nie powiedział ani słowa więcej. Nic więcej nie chciał słyszeć. Z opanowaniem, które zważywszy na jego wiek i temperament było wprost niebywałe, grzecznie uchylił kapelusza, ukłonił się i powrócił do gospody.

Tej nocy pan Brock spał źle. Sprawa rozmowy na ścieżce sprawiła, że rozwiązanie problemu Oziasia Midwintera stało się trudniejsze niż kiedykolwiek. Wczesnym rankiem następnego dnia do proboszcza dotarł list z gospody i posłaniec

oświadczył, że dziwny nieznajomy wyjechał. List zawierał niezapieczerowaną wiadomość skierowaną do Allana oraz prośbę, by jego nauczyciel (po zapoznaniu się z nią) przekazał ją dalej lub zachował dla siebie, wedle własnego uznania. Wiadomość była zaskakująco krótka, całość zawierała się w czternastu słowach: „Nie miej żalu do pana Brocka, pan Brock ma rację. Dziękuję i do zobaczenia – O.M.”.

Proboszcz naturalnie przekazał wiadomość właściwemu adresatowi i jednocześnie skreślił kilka zdań do pani Armadale, by uspokoić ją wieścią o wyjeździe woźnego. To uczyniwszy, zaczął oczekiwać na wizytę swojego wychowanka, która z dużym prawdopodobieństwem mogła nastąpić po otrzymaniu listu. Nie był w zbyt spokojnym nastroju. Za postępowaniem Midwintera mogła, ale nie musiała, kryć się jakaś głębsza przyczyna, ale jak dotąd nie dało się zaprzeczyć, że zachowywał się w sposób, który rozwiewał nieufność proboszcza i uzasadniał dobre zdanie Allana o nim.

Poranek mijał, a młody Armadale nadal się nie pojawiał. Pan Brock na próżno szukał go w warsztacie, gdzie powstawał jacht, by następnie udać się do domu pani Armadale i tam usłyszeć od służącego wieści, po których skierował kroki do gospody. Właściciel natychmiast potwierdził fakt: młody pan Armadale zjawił się z otwartym listem w dłoni i nalegał, by powiedzieć mu, którą drogą odjechał jego przyjaciel. Po raz pierwszy, odkąd poznał Allana, gospodarz widział go w złym humorze, a dziewczyna posługująca klientom bezmyślnie wspomniała o pewnej okoliczności, która dołała oliwy do ognia. Przyznała, że w nocy słyszała, jak pan Midwinter zamknął się w swoim pokoju i wybuchnął głośnym płaczem. Ten drobny szczegół sprawił, że pan Armadale zrobił się cały czerwony na twarzy, krzyczał i przeklinał, popędził do stajni i kazał stajennemu osiodłać konia, po czym pogalopował tą samą drogą, którą odjechał Ozias Midwinter.

Pan Brock uprzedził gospodarza, by zachował to, co zrobił Allan, w tajemnicy, gdyby ktoś ze służby pani Armadale zjawił się tego ranka w gospodzie. Potem udał się do domu i z niepokojem czekał, co przyniesie dzień.

Ku jego niewysłowionej uldze uczeń pojawił się na plebanii późnym popołudniem.

Stary przyjaciel po raz pierwszy widział, żeby Allan patrzył i mówił z takim zdecydowaniem. Nie czekając na pytania, opowiedział, co zaszło, w swój zwykły, bezpośredni sposób. Dogonił Midwintera na drodze, a ponieważ próby nakłonienia go do powrotu, a potem dowiedzenia się, dokąd jedzie, spełzły na niczym, zagroził, że do końca dnia będzie mu towarzyszył, i w ten sposób wymusił wyznanie, że przyjaciel jedzie szukać szczęścia w Londynie. Uzyskawszy tę informację, Allan zapytał następnie o jego adres w mieście. Przyjaciel poprosił go, by nie naciskał, on zaś mimo to naciskał z całą mocą i w końcu wydobył z tamtego adres, odwołując się do poczucia wdzięczności Midwintera, za co później, zawstydzony, przeprosił.

– Lubię tego biedaka i nie odpuszczę – zakończył Allan, głośno waląc zaciśniętą pięścią w stół proboszcza. – Proszę się nie obawiać, że będę drażnił matkę. Pozostawiam panu rozmowę z nią w dowolnym czasie i w dowolny sposób. Na zakończenie powiem tylko tyle: oto adres bezpiecznie schowany w moim kieszonkowym notatniku, a oto ja, chociaż ten jeden raz trwający przy własnym postanowieniu. Dam panu i matce czas na przemyślenie tej sprawy, a potem, jeśli mój przyjaciel Midwinter nie przyjedzie do mnie, ja pojadę do mojego przyjaciela Midwintera.

Na tym sprawy na razie stanęły i taki był skutek przepędzenia byłego woźnego na cztery wiatry.

Minął miesiąc i nadszedł nowy rok – 1851. Przeskakując ten krótki czas, pan Brock zatrzymał się z ciężkim sercem przy kolejnym wydarzeniu: w jego odczuciu jedynym naprawdę smutnym, jedynym pamiętnym wydarzeniu w całej serii – śmierci pani Armadale.

Pierwszy zwiastun zbliżającego się nieszczęścia pojawił się wkrótce po wyjeździe woźnego w grudniu, a jego przyczyną było zdarzenie, które od tamtego czasu boleśnie zapisało się w pamięci proboszcza.

Zaledwie trzy dni po wyjeździe Midwintera do Londynu pana Brocka zaczepiła we wsi elegancko ubrana kobieta w sukni i czepku z czarnego jedwabiu oraz czerwonym szalu w tureckie wzory. Nieznajoma pytała o drogę do domu pani Armadale. Zadała to pytanie zza grubej czarnej woalki, która skrywała jej twarz. Udzielając jej niezbędnych wskazówek, pan Brock zauważył, że była nad wyraz

elegancką i pełną wdzięku kobietą. Kiedy skłoniła się i odeszła, odprowadzał ją wzrokiem, zastanawiając się przy tym, kim też może być gość pani Armadale.

W kwadrans później dama, nadal zawoalowana, ponownie minęła pana Brocka w pobliżu gospody. Weszła do środka i wdała się w rozmowę z gospodynią. Widząc po chwili, że gospodarz śpieszy do stajni, pan Brock zagadnął go, czy dama odjeżdża. Tak, przyjechała ze stacji omnibusem, ale wracała bardziej wystawnie, wynajętym w gospodzie powozem, który sama opłaciła.

Proboszcz kontynuował spacer, lekko zaskoczony tym, że jego myśli uporczywie krążą wokół kobiety, której nie zna. Po powrocie do domu zastał felczera czekającego z pilną wiadomością od matki Allana. Około godziny wcześniej felczer został w pośpiechu wezwany do pani Armadale. Zastał ją cierpiącą na niepokojący atak nerwowy wywołany (jak podejrzewała służba) pojawieniem się niespodziewanego i prawdopodobnie nieproszonego gościa, który zjawił się tego ranka. Felczer zrobił wszystko, co trzeba, i nie obawiał się o poważne następstwa. Gdy pacjentka poczuła się lepiej, wyraziła chęć natychmiastowego spotkania z panem Brockiem. Doktor pomyślał więc, że poprawi jej nastrój, i ochoczo podjął się pójść na plebanię z wiadomością.

Pan Brock spojrział na panią Armadale z dużo większą uwagą niż felczer i kiedy odwróciła się do niego, gdy wszedł do pokoju, dostrzegł w jej twarzy coś, co z miejsca wzbudziło w nim głęboki niepokój. Nie dała mu szansy na uspokojenie jej, nie zważała na żadne pytania. Chciała jedynie uzyskać odpowiedzi na własne pytania. Czy pan Brock widział kobietę, która ośmieliła się złożyć jej poranną wizytę? Tak. Czy widział ją Allan? Nie. Allan po śniadaniu udał się do pracy i nadal był w swoim warsztacie nad wodą.

Druga z odpowiedzi najwyraźniej chwilowo uspokoiła panią Armadale. Następne pytanie – najbardziej niezwykle z wszystkich trzech – zadała z większym opanowaniem. Jak proboszcz myśli, czy Allan będzie miał coś przeciwko temu, żeby na razie zostawić jacht i wybrać się z matką w podróż w poszukiwaniu nowego domu w innej części Anglii? Pan Brock w osłupieniu spytał, co też skłania ją do opuszczenia dotychczasowego domu. Powód, jaki podała pani Armadale, tylko pogłębił jego zdumienie. Pierwsza wizyta nieznajomej mogła nie być ostatnią i pani

Armadale wołała, gdyby okazało się to konieczne, opuścić Anglię i dokonać żywota na obczyźnie niż powtórnie się z nią spotkać albo Allana narażać na spotkanie i rozmowę z nią. Opierając się na swoim doświadczeniu jako sędziego pokoju, pan Brock zapytał, czy nieznajoma przyszła po pieniądze. Tak, pomimo porządnego odzienia określiła się jako będącą „w ciężkim położeniu”. Poprosiła o pieniądze i dostała je. Pieniądze jednak nie miały znaczenia, najważniejsze było to, żeby zniknąć, zanim nieznajoma powróci. Coraz bardziej zdumiony pan Brock zaryzykował kolejne pytanie: czy dużo czasu minęło od ostatniego spotkania pani Armadale i jej gościa? Tak, więcej niż całe życie Allana – ostatnie spotkanie miało miejsce rok przed jego narodzeniem.

Słyszając to, proboszcz zmienił taktykę i oparł się z kolei na swoim doświadczeniu jako przyjaciela.

– Czy ta osoba – spytał – ma jakiś związek z bolesnymi wspomnieniami z twojej młodości?

– Tak, z bolesnym wspomnieniem z czasów, gdy wychodziłam za mąż – odrzekła pani Armadale. – Jeszcze jako dziecko była zamieszana w pewną sprawę, o której będę myśleć ze wstydem i żalem aż po kres moich dni.

Uwadze pana Brocka nie umknął zmieniony ton głosu, którym mówiła stara przyjaciółka, i ociąganie, z jakim udzieliła odpowiedzi.

– Czy możesz powiedzieć mi o niej coś więcej, jednocześnie nie zdradzając zbyt wiele na swój temat? – ciągnął. – Jestem pewien, że mogę cię ochronić, jeśli tylko trochę mi pomożesz. Nazwisko, na przykład – czy możesz mi powiedzieć, jak ma na nazwisko?

Pani Armadale potrząsnęła głową.

– Nazwisko, pod którym ją znałam, będzie dla ciebie bezużyteczne. Od tamtego czasu wyszła za mąż, sama mi to powiedziała.

– I nie zdradziła nazwiska po mężu?

– Nie chciała go zdradzić.

– Wiesz coś na temat jej znajomych?

– Tylko tych z dzieciństwa. Mówili o sobie, że są jej ciotką i wujem. Byli ludźmi

niskiego stanu i porzucili ją w szkole znajdującej się w majątku mojego ojca. Nigdy więcej o nich nie słyszeliśmy.

– Czy pozostała pod opieką twojego ojca?

– Została pod moją opieką, to znaczy podróżowała z nami. Właśnie w tym czasie wyjechaliśmy z Anglii na Maderę. Ojciec pozwolił mi zabrać ją ze sobą i przysposobić nędznicę na moją pokojówkę...

W tym miejscu pani Armadale, zmieszana, urwała. Pan Brock próbował delikatnie skłonić ją do dalszych zwierzeń. Na próżno. Poderwała się gwałtownie i w podnieceniu zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem.

– Nie pytaj mnie o nic więcej! – krzyknęła gniewnie. – Rozstałam się z nią, gdy miała dwanaście lat. Od tamtej pory aż do teraz nigdy więcej jej nie spotkałam. Nie mam pojęcia, jak mnie znalazła po tych wszystkich latach. Wiem tylko, że mnie znalazła. Teraz znajdzie Allana i obróci syna przeciwko mnie. Pomóż mi przed nią uciec! Pomóż mi zabrać Allana, nim ona znów tu powróci!

Proboszcz o nic już nie pytał. Okrucieństwem byłoby naciskać na nią. Teraz najważniejsze było uspokoić panią Armadale, obiecując zgodę na wszystko, czego sobie zażyczy. W następnej kolejności należało namówić ją na konsultację z innym lekarzem. Pan Brock wpadł na pomysł, jak bezboleśnie osiągnąć ten cel: trzeba przypomnieć jej, że będzie potrzebować sił do długiej podróży i że jej własny lekarz może szybciej postawić ją na nogi, jeśli uzyska wsparcie w postaci fachowej konsultacji. Uporawszy się w ten sposób z jej zwyczajną niechęcią do spotkań z nieznanymi, proboszcz z miejsca poszedł do Allana i zachowując dyskrecję na temat tego, czego dowiedział się od pani Armadale, zakomunikował mu, że jego matka jest poważnie chora. Allan nie chciał słyszeć o żadnych posłańcach. Natychmiast pojechał na stację i sam zatelegrafował do Bristolu z prośbą o pomoc lekarską.

Następnego ranka nadeszła pomoc, a wraz z nią potwierdziły się najgorsze obawy pana Brocka. Felczer od początku postawił błędną diagnozę, teraz zaś było już za późno, by naprawić błędy w leczeniu. Wstrząs poprzedniego poranka dopełnił reszty. Dni pani Armadale były policzone.

Syn, który kochał ją całym sercem, i stary przyjaciel, dla którego tak cenne było jej życie, do końca żywili płonną nadzieję. W miesiąc po wizycie lekarza nadziei już nie było i Allan, stojąc nad grobem matki, ronił pierwsze gorzkie łzy w swoim życiu.

Umarła spokojniej, niż pan Brock śmiał przypuszczać, zostawiając cały swój niewielki majątek synowi i uroczyście oddając go pod opiekę jedyne go przyjaciela, jakiego miała na tym świecie. Proboszcz usilnie prosił ją, by napisała do braci i spróbowała się z nimi pojednać, zanim będzie za późno. Odparła ze smutkiem, że już jest za późno. Jednak w ostatnich dniach choroby wyrwała jej się jedna wzmianka na temat trosk z przeszłości, które zaważyły na całym jej późniejszym życiu i które już trzy razy przemknęły jak złowrogie cienie w rozmowie z proboszczem. Nawet na łożu śmierci wzbraniała się przed rzuceniem światła na historię z przeszłości. Spojrzała na Allana klęczącego przy łóżku i wyszeptwała do pana Brocka:

– Nigdy nie pozwól, aby jego imiennik zbliżył się do niego! Nigdy nie pozwól, by znalazła go ta kobieta!

Nie padło ani jedno słowo więcej na temat nieszczęść, jakie dotknęły ją w przeszłości, ani na temat zagrożeń, jakie mogły czyhać w przyszłości. Tajemnicę, którą skryła przed swoim synem i przyjacielem, zabrała ze sobą do grobu.

Kiedy złożono już ostatnie wyrazy miłości i szacunku, pan Brock jako wykonawca woli zmarłej poczuł się w obowiązku napisać do jej braci i poinformować ich o jej śmierci. Przypuszczając, że ma do czynienia z dwoma mężczyznami, którzy mogą opacznie zrozumieć motywy listu, gdyby sytuacja Allana pozostała niewyjaśniona, nie omieszkał napomknąć, że przyszłość syna pani Armadale jest zabezpieczona, a list ma jedynie na celu przekazać wiadomość o śmierci siostry. Oba listy zostały wysłane z końcem stycznia, odpowiedzi przyszły pocztą zwrotną. Pierwszy z listów, jakie otworzył proboszcz, został napisany nie przez starszego brata, ale jego jedyne go syna. Młody człowiek odziedziczył po śmierci ojca majątek w hrabstwie Norfolk, co nastąpiło niedawno. Pisał w tonie przyjaznym i szczerym, zapewniając pana Brocka, że bez względu na to, jak mocne uprzedzenie żywił względem pani Armadale jego ojciec, wrogie uczucia nigdy nie dotyczyły jej syna. Co do niego samego, miał przyjemność dodać, że w każdej

chwili z radością powita kuzyna w progach Thorpe Ambrose.

Drugi list był o wiele mniej przyjazny niż pierwszy. Młodszy brat nadal żył i w dalszym ciągu nie miał zamiaru zapomnieć ani przebaczyć. Informował pana Brocka, że wybór męża jego zmarłej siostry, jak również jej zachowanie względem ojca w czasie zamążpójścia wykluczały jakiegokolwiek przyjazne i pełne szacunku relacje z jego strony. W związku z jego przekonaniem jakiegokolwiek osobisty kontakt z siostrzeńcem byłby równie przykry dla młodzieńca, jak i niego samego. Zasygnalizował, na tyle ogólnie, na ile to możliwe, charakter nieporozumienia, jakie poróżniło go ze świętej pamięci siostrą, aby w głowie pana Brocka nie pozostawał cień wątpliwości co do tego, że osobista znajomość z młodym panem Armadale'em była, delikatnie mówiąc, całkowicie wykluczona, co uczyniwszy, prosił, aby pozwolić mu zakończyć korespondencję.

Pan Brock przezornie natychmiast zniszczył drugi list, po czym pokazał Allanowi zaproszenie od kuzyna i zasugerował, że powinien wybrać się do Thorpe Ambrose, gdy tylko uzna za stosowne spotykać się z nieznajomymi.

Allan cierpliwie wysłuchał rady, ale odmówił skorzystania z niej.

– Chętnie uścisknę rękę kuzyna, jeśli kiedykolwiek go spotkam – powiedział – ale nie będę odwiedzał rodziny ani gościł w domu, w którym moja matka była źle traktowana.

Pan Brock łagodnie zaprotestował i próbował przedstawić sprawy we właściwym świetle. Już wtedy – nie wiedząc jeszcze nic o wypadkach, jakie miały zajść – osobliwie samotne położenie Allana na świecie było przedmiotem poważnej troski jego starego przyjaciela i wychowawcy. Sugerowana wizyta w Thorpe Ambrose stwarzała możliwość zawarcia przyjaźni i koneksji z osobą w odpowiednim wieku i o odpowiedniej pozycji, które pan Brock chętnie by widział, ale Allan nie dał się przekonać. Był uparty i nierozsądny, proboszczowi więc nie pozostawało nic innego, jak porzucić ten temat.

Tydzień za tygodniem mijały monotonnie, a Allan nie objawiał właściwej dla swego wieku i charakteru elastyczności w radzeniu sobie z nieszczęściem, które uczyniło go sierotą. Zakończył budowę jachtu i zwodował go, ale, jak stwierdzili czeladnicy, stracił zainteresowanie pracą. Jak na młodego mężczyznę,

rozpamiętywanie własnej samotności i żalu, jakim się obecnie oddawał, było czymś nienaturalnym. W miarę zbliżania się wiosny pan Brock zaczął martwić się o jego przyszłość, choć miał przy tym nadzieję, że Allan odzyska chęć życia dzięki zmianie otoczenia. Po dłuższym namyśle proboszcz zdecydował, że spróbuje wyjazdu do Paryża i być może przedłuży wycieczkę dalej na południe, jeśli jego towarzysz będzie zainteresowany podróżowaniem po Europie. Reakcja Allana na propozycję zrekompensowała upór, z jakim odmawiał zawarcia znajomości z kuzynem. Był gotów jechać z panem Brockiem, gdziekolwiek ten by się udał. Proboszcz trzymał go za słowo i w połowie marca para dziwnie dobranych towarzyszy zatrzymała się w Londynie w drodze do Paryża.

Po przyjeździe do Londynu pan Brock niespodziewanie stanął wobec nowej rozterki. Niemiły temat Oziasa Midwintera, który pozostawał na bocznym torze od początku grudnia, znowu powrócił i zmusił proboszcza do zmierzenia się z nim na samym początku podróży, w warunkach mniej sprzyjających niż kiedykolwiek dotąd.

Jeśli chodzi o radzenie sobie z tym problemem, położenie pana Brocka było już dość trudne, kiedy po raz pierwszy się z nim zetknął. Teraz stracił dominującą pozycję. Los zrzucił, że różnica zdań, jaka zaistniała pomiędzy Allanem a jego matką na temat woźnego, nie miała żadnego związku ze wstrząsem, który przyspieszył śmierć pani Armadale. Postanowienie Allana, aby unikać irytujących wypowiedzi, oraz niechęć pana Brocka do poruszania drażliwego tematu sprawiły, że obaj milczeli na temat Midwintera w obecności pani Armadale przez trzy dni dzielące wyjazd woźnego od pojawienia się we wsi nieznajomej. W okresie napięcia i bólu, które nastąpiły później, powrót do tematu okazał się niemożliwy. Gdy okres ten minął, Allan nadal przejawiał przekorne zainteresowanie nowym przyjacielem. Doniósł Midwinterowi listownie o swoim zmartwieniu, a teraz zaproponował (o ile proboszcz oficjalnie się nie sprzeciwi), że odwiedzi przyjaciela następnego dnia rano przed wyjazdem do Paryża.

Cóż miał zrobić pan Brock? Nie dało się zaprzeczyć, że zachowanie Midwintera jednoznacznie wskazywało na to, że nieufność biednej pani Armadale względem niego była nieuzasadniona. Gdyby proboszcz, nie mając żadnych przekonujących

argumentów ani żadnego prawa do wtrącania się prócz tego, na jakie pozwalała uprzejmość Allana, nie zgodził się na proponowaną wizytę, można było się żegnać z dawną zażyłością i zaufaniem pomiędzy wychowawcą a wychowankiem podczas planowanej wycieczki. W obliczu trudności, które osoba mniej sprawiedliwa i życzliwa od niego mogłaby tylko spotęgować, pan Brock wypowiedział słówko lub dwa napomnienia przy pożegnaniu i (z większą wiarą w rozwagę i samozaparcie Midwintera, niż byłby skłonny nawet sam przed sobą przyznać) pozwolił Allanowi iść swoją drogą.

Podczas nieobecności ucznia proboszcz spędził godzinę, spacerując po ulicach, po czym wrócił do hotelu i, znalazłszy w kawiarni porzuconą gazetę, zaczął ją od niechcenia przeglądać. Jego wzrok, który spoczął bezmyślnie na stronie tytułowej, natychmiast przyciągnęło pierwsze ogłoszenie na początku szpalty. Tajemniczy imiennik Allana pojawił się znowu, tym razem przywołany (w charakterze nieboszczyka) wielkimi literami w związku z nagrodą pieniężną. Ogłoszenie brzmiało, jak następuje:

„UZNANY ZA ZMARŁEGO. Do wiadomości kancelistów parafialnych, kościelnych i innych. Ktokolwiek może przedstawić dowody na to, że ALLAN ARMADALE, jedyny syn świętej pamięci Allana Armadale'a z Barbadosu, urodzony na Trynidadzie w 1830 roku, nie żyje, otrzyma nagrodę w wysokości dwudziestu funtów. Szczegóły u panów Hammicka i Ridge'a, Lincoln's Inn Fields, Londyn”.

Nawet tak z gruntu racjonalny umysł jak pana Brocka zaczął zabobonnie ulegać przesądnym obawom, kiedy ten odkładał gazetę. Z wolna ogarniało go coraz silniejsze przecucie, że cały ciąg wydarzeń, który nastąpił po pierwszej wzmiance o imienniku Allana w gazecie sześć lat wcześniej, łączył się w pewien tajemniczy sposób i stopniowo zmierzał ku jakiemuś niewyobrażalnemu finałowi. Nie wiedzieć czemu, zaczął niepokoić się nieobecnością Allana. Nagle zaczęło mu zależeć na tym, aby wywieźć wychowanka z Anglii, nim cokolwiek zdąży się wydarzyć pomiędzy wieczorem a porankiem.

Nim minęła godzina, proboszcz uwolnił się od wszelkich bezpośrednich obaw, ponieważ Allan wrócił do hotelu. Młodzieniec był rozdrażniony i w złym humorze.

Znalazł mieszkanie Midwintera, ale jego samego nie zastał. Jedyne, czego dowiedział się od gospodyni, to to, że wyszedł o stałej porze, aby zjeść kolację w pobliskiej jadłodajni, i że nie wrócił o zwykłej godzinie. Allan udał się zatem do jadłodajni i opisawszy Midwintera, odkrył, że jest tam dobrze znany. W poprzednich dniach zwykł był zamawiać skromną kolację i następne pół godziny spędzać na lekturze gazety. Tym razem po kolacji jak zwykle wziął gazetę, ale zaraz nagle odrzucił ją na bok i w wielkim pośpiechu wyszedł, nikt nie wie dokąd. Nie mając żadnych dalszych informacji, Allan zostawił w mieszkaniu wiadomość, w której podawał adres swojego hotelu i błagał Midwintera, by ten przyszedł i pożegnał się przed jego wyjazdem do Paryża.

Wieczór minął, a przyjaciel Allana nie pojawił się. Nadszedł poranek, nie przynosząc żadnych problemów i pan Brock wraz z uczniem opuścili Londyn. Jak dotąd fortuna wreszcie okazała się dla proboszcza łaskawa. Ozias Midwinter, który natrętnie powrócił, szczęśliwie znowu znikł z pola widzenia.

Następnie pan Brock sięgnął pamięcią do wydarzenia, które miało miejsce zaledwie trzy tygodnie później, siódmego kwietnia. Wszystko wskazywało na to, że zaklęty krąg został w końcu przerwany. Nowy epizod nie miał widocznego związku (ani w oczach proboszcza, ani Allana) z osobami, które się pojawiły, czy też z okolicznościami, które zaszły w przeszłości.

Podróżni dotarli na razie tylko do Paryża. Dzięki zmianie otoczenia nastroj Allana się poprawił, a młodzieniec był jeszcze bardziej chętny korzystać z uroków nowej scenerii, gdy otrzymał list od Midwintera przynoszący wieści, które, jak przyznał sam pan Brock, brzmiały obiecująco. Gdy Allan stawił się w jego mieszkaniu, były woźny wyszedł akurat załatwić pewną sprawę, jako że w wyniku splotu przypadkowych okoliczności musiał tego dnia nawiązać kontakt z krewnymi. Wynik całkowicie go zaskoczył: Midwinter miał do końca życia otrzymywać niewielkie uposażenie. Chociaż los się do niego uśmiechnął, jego plany na przyszłość nadal były niepewne. Gdyby jednak Allan chciał się dowiedzieć, co ostatecznie przyjaciel postanowił, jego agent w Londynie (którego adres załączał) będzie odbierał w jego imieniu pocztę i w przyszłości dostarczał panu Armadale'owi

informacje na temat miejsca zamieszkania klienta.

Otrzymał list, Allan, jak zwykle niewiele myśląc, chwycił za pióro i w odpowiedzi nalegał, by Midwinter natychmiast stał się towarzyszem podróży pana Brocka i jego samego. Minęły ostatnie dni marca, a odpowiedź na propozycję nie nadchodziła. Nadszedł kwiecień. Siódmego dnia miesiąca na stole nakrytym do śniadania nareszcie pojawił się list do Allana. Porwał go, spojrzął na adres i znów niecierpliwie rzucił na stół. Charakter pisma nie należał do Midwintera. Allan skończył jeść śniadanie, nim raczył przeczytać, co też jego korespondent ma do powiedzenia.

Po śniadaniu młody Armadale leniwie otworzył list. Zaczął czytać z wyrazem najwyższej obojętności na twarzy. Zakończył, gwałtownie podrywając się z krzesła i wydając okrzyk zdumienia. Zaskoczony tym niezwykłym wybuchem, pan Brock sięgnął po list, który Allan rzucił przez stół w jego kierunku. Nim skończył czytać, ręce bezwładnie opadły mu na kolana, a wyraz osłupienia, który wcześniej pojawił się na twarzy ucznia, teraz wiernie odbił się na jego obliczu.

Jeśli ci dwaj ludzie mieli kiedykolwiek powód po temu, by zostać całkowicie wytrąceni z równowagi, objawił się on właśnie teraz. List, który w obu wywołał ten sam wstrząs, zawierał informację zgoła niewiarygodną. Wiadomość pochodziła z hrabstwa Norfolk i w skrócie przedstawiała się następująco: w ciągu nieco ponad tygodnia śmierć zabrała z rodziny w Thorpe Ambrose aż trzy osoby i Allan Armadale stał się w tym momencie dziedzicem majątku przynoszącego dochód w wysokości ośmiu tysięcy rocznie!

Ponowna lektura listu pozwoliła proboszczowi i jego towarzyszowi wyłapać szczegóły, które umknęły im wcześniej.

List napisał prawnik rodziny w Thorpe Ambrose. Zawiadomiwszy Allana o śmierci jego kuzyna Arthura w wieku dwudziestu pięciu lat, wuja Henry'ego w wieku czterdziestu ośmiu oraz kuzyna Johna w wieku dwudziestu jeden, prawnik w skrócie przedstawiał warunki testamentu starszego pana Blancharda. Jak to często bywa w podobnych wypadkach, męscy potomkowie mieli pierwszeństwo w prawach do spadku przed żeńską częścią rodziny. Omijając Arthura i jego męskiego potomka, majątek przypadał w udziale Henry'emu i jego męskiemu potomkowi. Omijając ich,

trafiał w ręce męskiego potomka siostry Henry'ego, a wobec braku takiego potomka w ręce następnego męskiego spadkobiercy. Tak się złożyło, że obaj młodzi mężczyźni – Arthur i John – zmarli bezżennie, a Henry Blanchard umarł, nie pozostawiając nikogo prócz córki. Wobec tego Allan był następnym męskim spadkobiercą wskazanym w testamencie i stał się teraz prawowitym dziedzicem majątku Thorpe Ambrose. Zawiadomiwszy o tej rewelacji, prawnik prosił, aby pan Armadale był uprzejmy wydać dyspozycje, i na zakończenie dodawał, że z przyjemnością dostarczy wszystkich potrzebnych szczegółów informacji.

Nie było sensu trwonić czasu na roztrząsanie tego, co w najśmielszych snach nie przyszłoby do głowy ani Allanowi, ani jego matce. Jediną rzeczą, którą należało zrobić, był niezwłoczny powrót do Anglii. Następnego dnia zastał podróżnych ponownie w tym samym londyńskim hotelu, a kolejną sprawę oddano w fachowe ręce profesjonalisty. Potem nastąpiło to, co w tej sytuacji nieuniknione: korespondencja i doradztwo. Jeden po drugim ujawniły się wszystkie ważne szczegóły, które złożyły się na pełny obraz.

Oto niezwykła historia trzech zgonów:

W czasie gdy pan Brock pisał do krewnych pani Armadale, by zawiadomić o jej śmierci (to jest w połowie stycznia), rodzina w Thorpe Ambrose liczyła pięć osób. Byli to: Arthur Blanchard (właściciel majątku) mieszkający w wielkim domu ze swoją matką oraz Henry Blanchard, wuj, mieszkający w sąsiedztwie – wdowiec z dwojgiem dzieci, synem i córką. Aby przypieczętować więzy rodzinne, Arthur Blanchard zaręczył się ze swoją kuzynką. Wesele miało się odbyć z wielką pompą latem tego roku, kiedy to młoda dama skończy dwadzieścia lat.

Luty przyniósł zmiany w sytuacji rodziny. Widząc pierwsze oznaki pogorszenia się stanu zdrowia syna, pan Henry Blanchard opuścił Norfolk i za radą lekarzy udał się wraz z nim do Włoch. Na początku marca Arthur Blanchard również wyjechał na kilka dni z Thorpe Ambrose, aby załatwić pewną sprawę w Londynie. Sprawa ta zawiodła go do City. Znużony ciągłymi utrudnieniami na ulicach miasta, postanowił podróżować na zachód jednym z parowców rzecznych i, wracając w ten sposób, spotkał na swojej drodze śmierć.

Kiedy parowiec odbijał od nabrzeża, zauważył kobietę, która zdradzała dziwne

niezdecydowanie, czy wejść na pokład, i w rezultacie zajęła miejsce na statku jako ostatnia z pasażerów. Była elegancko ubrana w strój z czarnego jedwabiu, ramiona owinęła czerwonym szalem w tureckie wzory, twarz zaś skryła za gęstą woalką. Arthura Blancharda uderzyły niespotykany wdzięk oraz elegancja postaci i poczuł zwykłą dla młodzieńca przelotną chęć ujrzenia jej twarzy. Nie podnosiła woalu ani nie odwracała głowy w jego stronę. Przeszedłszy niepewnie kilka kroków po pokładzie, z nagłą ruszyła w kierunku rufy statku. W minutę później dał się słyszeć ostrzegawczy krzyk sternika i natychmiast wyłączono silniki. Kobieta wyskoczyła za burtę.

Wszyscy pasażerowie rzucili się na bok statku, aby popatrzeć. Arthur Blanchard jako jedyny bez chwili wahania wskoczył do wody. Był świetnym pływakiem i dotarł do kobiety, kiedy ta, w pierwszej chwili zniknąwszy pod wodą, ponownie wynurzyła się na powierzchnię. Pomoc była w zasięgu ręki i oboje bezpiecznie dotarli na brzeg. Kobietę zabrano na najbliższy posterunek policji, gdzie wkrótce doszła do siebie. Jej wybawiciel podał swoje nazwisko i adres oficerowi dyżurnemu, co jest zwyczajną procedurą w podobnych wypadkach, a ten doradził mu wziąć gorącą kąpiel i posłać po suche ubrania. Arthur Blanchard, który od czasów dzieciństwa nie wiedział, co to znaczy chorować, zaśmiał się na tę propozycję i wrócił do mieszkania dorożką. Nazajutrz był już zbyt chory, by stawić się na przesłuchanie w obecności sędziego pokoju. W dwa tygodnie później nie żył.

Wiadomość o tragedii dotarła do Henry'ego Blancharda i jego syna w Mediolanie. W ciągu godziny od jej otrzymania byli już w drodze powrotnej do Anglii. Śnieg na stokach Alp zaczął roztapiać się w tym roku wcześniej niż zwykle i przełęcze były nieustannie niebezpieczne. Ojciec i syn, podróżując własnym powozem, spotkali w górach pocztylion wracający po doręczeniu listów. Ostrzeżenia, które w normalnych okolicznościach odniosłyby skutek, teraz, kierowane do dwóch Anglików, trafiały w próżnię. Podróżni, gnani pragnieniem powrotu do domu po tragedii, która spotkała ich rodzinę, nie potrafili ścierpieć ani chwili zwłoki. Sowite łapówki zaoferowane forysiom skłoniły ich, by jechać dalej. Powóz ruszył w dalszą drogę i zniknął z oczu we mgle. Następnym razem ujrział światło dzienne, gdy został odgrzebany na dnie przepaści. Ludzie, konie i powóz –

wszyscy zostali zmiażdżeni pod naporem lawiny.

W ten sposób śmierć zabrała z tego świata trzy istnienia ludzkie. Tym też sposobem w drodze prostego ciągu wydarzeń samobójczy skok kobiety w nurt rzeki otworzył Allanowi Armadale'owi drogę do stania się dziedzicem majątku Thorpe Ambrose.

Kim była owa kobieta? Mężczyzna, który uratował jej życie, nigdy się tego nie dowiedział. Nigdy nie dowiedzieli się tego sędziego, który skierował ją do aresztu tymczasowego, kapelana, który ją napominał, ani dziennikarz, który ją opisał. Ze zdziwieniem odnotowano, że choć była porządnie ubrana, określiła samą siebie jako osobę „w ciężkim położeniu”. Wyrażała głęboką skruchę, ale uparcie podawała nazwisko, które było ewidentnie fałszywe, opowiadała banalną historyjkę, która była jawnie zmyślona, i do końca broniła się przed powiadomieniem kogoś z bliskich. Pewna dama związana z organizacją dobroczynną („zaintrygowana skończoną elegancją i urodą niedoszłej samobójczyni”) dobrowolnie podjęła się pieczy nad nią i przywrócenia jej do stanu równowagi psychicznej. Pierwszego dnia poznanie penitentki było doświadczeniem dalekim od radosnego, zaś drugiego okazało się doświadczeniem ostatecznym. Chyłkiem opuściła instytucję i choć odwiedzający ją pastor, szczególnie zainteresowany jej przypadkiem, sprawił, że uruchomiono nadzwyczajne środki, poszukiwania kobiety okazały się daremne.

Równoległe z tym bezcelowym dochodzeniem (podjętym na wyraźne życzenie Allana) prawnicy załatwili wstępne formalności związane z przejęciem majątku. Nowemu panu Thorpe Ambrose pozostawało jedynie zdecydować, kiedy osobiście zamieszka w posiadłości, której był teraz prawowitym właścicielem.

Allan, z konieczności pozostawiony samemu sobie w tej kwestii, załatwił ją we właściwy sobie, porywczy i wielkoduszny sposób. Kategorycznie sprzeciwił się objęciu majątku do czasu, gdy pani Blanchard i jej bratanica (którym dotąd z grzeczności pozwolono pozostać w dawnym domu) otrząsną się z tragedii, jaka je spotkała, i będą w stanie same zdecydować o swoich dalszych krokach. Za decyzją tą poszła prywatna wymiana listów, które ze strony Allana zawierały nieograniczone propozycje podzielenia się wszystkim, co ma (w domu, którego jeszcze nie widział), ze strony pań zaś kurtuazyjnie powściągliwą gotowość skorzystania z hojności

młodzieńca. Ku najwyższemu zdumieniu jego prawnych doradców pewnego poranka Allan wszedł do ich biura w towarzystwie pana Brocka i ze spokojem oświadczył, że panie były tak dobre, aby zdjąć z niego ciężar załatwiania jego własnych spraw, i że przez wzgląd na ich wygodę ma zamiar poczekać ze sprowadzeniem się do Thorpe Ambrose równo dwa miesiące. Prawnicy przyglądali się przez chwilę Allanowi, a Allan, wzajemnie, przyglądał się przez chwilę prawnikom.

– Czemu się panowie dziwią? – spytał z chłopięcym zmieszaniem w radosnych, niebieskich oczach. – Dlaczego miałbym odmawiać paniom dwóch miesięcy, skoro o nie proszą? Niech się biedaczki nie śpieszą. Moje prawa? Moja pozycja? Phi! Nie śpieszno mi być panem na włościach, to nie w moim stylu. Co mam zamiar robić przez dwa miesiące? To, co zrobiłbym tak czy owak, bez względu na to, czy panie zostałyby w domu, czy nie – mam zamiar żeglować po morzu. To jest coś, co lubię! W hrabstwie Somerset czeka na mnie nowy jacht mojej własnej roboty. I wie pan co – ciągnął Allan, w zapale przyjaźnie łapiąc głównego partnera za ramię – wygląda na to, że brakuje panu wypoczynku na świeżym powietrzu. Popłynie pan ze mną w próbny rejs moją nową łodzią. I pańscy partnerzy również, jeśli chcą. I główny urzędnik, który jest najlepszym gościem, jakiego w życiu spotkałem. Jest mnóstwo miejsca – będziemy wszyscy spać na podłodze, a dla pana Brocka rozścielimy koc na stole w kajucie. Do diabła z Thorpe Ambrose! Jak pan sądzi, czy gdyby zbudował pan własnoręcznie jacht (tak jak ja), pojechałby pan do jakiegokolwiek majątku na ziemi, podczas gdy pana cacko siedziałoby jak kaczka na wodzie i czekało, aż się je wypróbuje? Wy, prawnicy, jesteście dobrzy w argumentacji. Co powiecie na ten argument? Myślę, że jest niepodważalny – jutro wyjeżdżam do Somerset.

Po tych słowach nowy właściciel majątku przynoszącego osiem tysięcy rocznie pognał do biura głównego urzędnika i zaprosił oficjela na rejs po pełnym morzu, częstując go przy tym tak serdecznym klepinięciem w ramię, że wyraźnie słyszeli je jego pracodawcy w pokoju obok. Przedstawiciele firmy spojrzeli pytająco na pana Brocka. Jeszcze nigdy nie mieli do czynienia z klientem, który miał możliwość zająć miejsce wśród angielskiego ziemiaństwa i nie śpieszył się, by zrobić to przy najbliższej sposobności.

– Musiał być bardzo dziwnie wychowany – powiedzieli prawnicy do proboszcza.

– Bardzo dziwnie – powiedział proboszcz do prawników.

Ostatni przeskok o miesiąc do przodu zawiódł pana Brocka do terazniejszości – sypialni w Castletown, w której teraz siedział i rozmyślał, oraz do niepokoju, który uporczywie wdzierał się pomiędzy niego a jego nocny spoczynek. Niepokój ten nie był wrogiem nieznanym jego spokojowi ducha. Pierwszy raz dopadł go w hrabstwie Somerset sześć miesięcy wcześniej, a teraz powędrował za nim na Wyspę Man w niezmiennie natrętnej postaci Oziasa Midwintera.

Zmiana widoków na przyszłość Allana nie wywołała żadnej zmiany w jego przekornej sympatii do wyrzutka z wiejskiej gospody. W czasie korzystania z doradztwa prawników znalazł czas, by odwiedzić Midwintera i oto w podróży powrotnej w jednym wagonie z proboszczem znalazł się i przyjaciel Allana, wracając z nimi do hrabstwa Somerset na zaproszenie pana Armadale’a.

Ogoloną niegdyś głowę byłego woźnego znów porastały włosy, zaś jego ubranie wskazywało na odświeżający wpływ dostępu do środków pieniężnych, ale pod innymi względami mężczyzna nie zmienił się. Przyjmował nieufność pana Brocka z tą samą wyrozumiałą rezygnacją, zachowywał to samo milczenie na temat swojej rodziny i dzieciństwa, o uprzejmości Allana wyrażał się z niezmiennie żarliwą wdzięcznością i zaskoczeniem.

– Robiłem, co mogłem, proszę pana – zwrócił się do pana Brocka, podczas gdy Allan spał w wagonie pociągu. – Trzymałem się z dala od pana Armadale’a i nawet nie odpisałem na jego ostatni list. Więcej zrobić nie mogę. Nie proszę pana, by zrozumiał moje własne uczucia wobec jedynej istoty ludzkiej, która nigdy nie traktowała mnie źle i podejrzliwie. Mogę stawiać opór własnym uczuciom, ale nie młodemu paniczowi. Drugiego takiego jak on nie ma na świecie. Jeśli mielibyśmy się znów rozstać, musi to być jego decyzja lub pańska – ale nie moja. Pan zagwizdał – powiedział ten dziwny człowiek w chwilowym wybuchu skrywanej pasji, a w jego dzikich brązowych oczach nagle pojawiły się łzy złości – i trudno jest winić psa, że przybiega.

Raz jeszcze współczucie pana Brocka wzięło górę nad jego ostrożnością. Postanowił czekać i zobaczyć, co przyniosą następne dni spędzone we wzajemnym towarzystwie.

Dni minęły, jacht został otaklowany i przygotowany do wyjścia w morze. Zaplanowano rejs w kierunku wybrzeża Walii, a tajemniczy Midwinter nadal pozostał tym samym Midwinterem. Perspektywa ograniczenia się do pokładu małej, trzydziestopięcotonowej jednostki nie była atrakcyjna dla człowieka w wieku pana Brocka. Mimo to wolał on popłynąć w próbny rejs jachtem niż zostawić Allana sam na sam z nowym przyjacielem.

Czy zażyłość, jaka z konieczności wywiąże się między całą trójką podczas rejsu, skłoni mężczyznę do zwierzeń na swój temat? Nie. Chętnie wypowiadał się na inne tematy, zwłaszcza jeśli Allan je podsuwał. Ale ani słowem nie zająknął się na własny. Pan Brock sondował go pytaniami o jego niedawny spadek i spotkał się z tym samym, z czym raz już się spotkał w gospodzie w hrabstwie Somerset. Jak przyznał Midwinter, dziwnym zbiegiem okoliczności było to, że perspektywy pana Armadale'a i jego samego nieoczekiwanie równocześnie zmieniły się na lepsze. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Majątek, jaki przypadł mu w udziale, był niewielki, choć wystarczający w stosunku do jego potrzeb. Nie przyniósł pojednania z krewnymi, ponieważ pieniądze trafiły do jego rąk nie z racji czyjejś życzliwości, ale z racji prawa. Co do okoliczności, które sprawiły, że skontaktował się z rodziną, nie było o czym wspominać, zważywszy, że chwilowe odnowienie stosunków, jakie nastąpiło, nie przyniosło niczego miłego. Nic z nich nie wynikło poza pieniędzmi, a wraz z nimi niepokojem dręczącym go czasami w bezsenne godziny pomiędzy północą a świtem.

Po tych ostatnich słowach nagle urwał, tak jakby po raz pierwszy zawiódł go skrzątnie trzymany na wodzy język.

Pan Brock wykorzystał okazję i otwarcie zapytał, jakie może być podłoże tego niepokoju. Czy ma on związek z pieniędzmi? Nie. Ma on związek z listem, który czekał na niego przez wiele lat. Czy otrzymał już list? Jeszcze nie. Został powierzony jednemu z partnerów w firmie zajmującej się jego spadkiem. Partner przebywał za granicą, a list, zamknięty wraz z jego prywatnymi dokumentami, był niedostępny aż do jego powrotu. Miał wrócić pod koniec tego miesiąca i gdyby Midwinter miał pewność, gdzie zastanie ich podróż w tym czasie, mógłby napisać prośbę o przesłanie listu. Czy miał jakieś powody rodzinne, by się tym niepokoić?

Żadnych, które byłyby mu znane. Był ciekaw, co czekało na niego przez tyle lat, to wszystko. Tak odpowiedział na pytania proboszcza, podczas gdy jego śniada twarz odwrócona była nad niskim nadburciem jachtu, a zwinne, brązowe dłonie zajęte ciągnięciem wędki.

Przy sprzyjającym wietrze i dobrej pogodzie mała jednostka spisywała się wzorowo w swoim próbnym rejsie. Zanim upłynęła połowa czasu przeznaczonego na podróż, jacht pokonał większą część wybrzeża Walii i był już na wysokości Holyhead, Allan zaś, żądny przygód na nieznanymi wodach, zuchwale zarządził, że wydłuży rejs na północ aż do Wyspy Man. Upewniwszy się u wiarygodnego źródła, że pogoda w tych stronach ma być rzeczywiście sprzyjająca i że w razie niespodziewanej konieczności odwrotu można się dostać parowcem z Douglas do Liverpoolu na pociąg, pan Brock przystał na propozycję ucznia. Wieczorną pocztą napisał do prawników Allana i na własną plebanię, podając Douglas na Wyspie Man jako następny adres, na który można kierować korespondencję. Na poczcie spotkał Midwintera, który właśnie wrzucił list do skrzynki. Przypomniawszy sobie, co młodzieniec powiedział na pokładzie jachtu, pan Brock doszedł do wniosku, że obaj podjęli podobny środek ostrożności i zarządzili, by ich korespondencja była kierowana w to samo miejsce.

Następnego dnia po południu pożeglowali na Wyspę Man.

Przez kilka godzin wszystko było w jak najlepszym porządku. Ale wraz z zachodem słońca pojawiły się pierwsze zwiastuny zmiany pogody. Po zapadnięciu zmroku wiatr przeszedł w wichurę i zbudowana przez Allana i jego czeladników łódź została poddana pierwszej poważnej próbie. Po tym, jak jacht najpierw bezskutecznie próbował zmienić kurs i dobić do Holyhead, pozostał na pełnym morzu i bohaterko zdał egzamin. Następnego ranka na horyzoncie ukazała się Wyspa Man, a jacht bezpiecznie dotarł do portu w Castletown. Oględziny kadłuba i takielunku za dnia wykazały, że wszystkie uszkodzenia dadzą się naprawić w ciągu tygodnia. W konsekwencji uczestnicy rejsu zatrzymali się w Castletown – Allan zajęty był doglądaniem napraw, pan Brock zwiedzaniem okolicy, a Midwinter odbywaniem codziennych pieszych wypraw do Douglas i z powrotem, aby dowiadywać się o listy.

Pierwszym z towarzystwa, który otrzymał list, był Allan. „Niekończące się zawracanie głowy: oto o czym piszą prawnicy”, powiedział, przeczytawszy go, po czym włożył zmięty do kieszeni. Następnie, przed upływem tygodniowego pobytu w Castletown, przyszła kolej na proboszcza. Piątego dnia zastał w hotelu list z hrabstwa Somerset. Przyniesiona przez Midwintera wiadomość wywróciła do góry nogami plany wakacyjne pana Brocka. Pastor, który zgodził się zastąpić go w obowiązkach, został niespodziewanie wezwany do domu i panu Brockowi nie pozostawało nic innego (jako że był piątek), jak przeprowić się następnego ranka z Douglas do Liverpoolu i wrócić pociągiem w sobotę wieczorem, aby zdążyć na niedzielne nabożeństwo.

Przeczytawszy list, a następnie pogodziwszy się ze zmianą planów tak spokojnie, jak umiał, proboszcz przeszedł następnie do kwestii, która domagała się poważnego przemyślenia. Jak miał się zachować w obecnej sytuacji wobec dwóch młodzieńców, którzy towarzyszyli mu w rejsie, biorąc pod uwagę spoczywający na jego barkach ciężar odpowiedzialności za Allana i świadomość, że jego nieufność względem nowego przyjaciela ucznia nie zmniejszyła się?

Pan Brock po raz pierwszy zadał sobie to niezręczne pytanie w piątek po południu, a w sobotę o pierwszej w nocy, sam w swoim pokoju, nadal bezskutecznie szukał odpowiedzi. Był dopiero koniec maja. Pobyt pań w Thorpe Ambrose (o ile na własne życzenie nie zechcą go skrócić) nie ubiegnie przed połową czerwca. Nawet jeśli naprawa jachtu byłaby zakończona (a nie była), nie znajdował pretekstu, pod którym można by przynaglić Allana do powrotu do hrabstwa Somerset. Było tylko jedno wyjście – zostawić go tam, gdzie był. Innymi słowy, zostawić go w punkcie zwrotnym życia pod wyłącznym wpływem człowieka, którego po raz pierwszy spotkał jako wyrzutka w wiejskiej gospodzie i który nadal był osobą praktycznie zupełnie mu nieznaną.

Z braku lepszych przesłanek, które pozwoliłyby mu podjąć właściwą decyzję, pan Brock odniósł się do wrażenia, jakie wywarł na nim Midwinter podczas bliższego kontaktu w czasie rejsu.

Jak na swój młody wiek, były woźny niewątpliwie prowadził urozmaicone życie.

Potrafił opowiadać o książkach jak ktoś, kto czerpie z nich autentyczną przyjemność, potrafił wziąć w ręce ster jak żeglarz, który zna się na rzeczy, potrafił gotować, piąć się po takielunku i nakrywać do obiadu, czerpiąc osobliwą przyjemność z demonstrowania własnej zręczności. Pokaz tych i innych przymiotów, ujawnianych w miarę, jak nastrój poprawiał się w trakcie trwania rejsu, dobitnie wyjaśniał fascynację Allana przyjacielem. Ale czy na tym kończyły się wyjaśnienia jego tajemnic? Czy człowiek ten nie zdradził przypadkiem swojego charakteru w obecności proboszcza? Tylko trochę, a to trochę nie stawiało go w zbyt dobrym świetle pod względem moralnym. Ewidentnie obracał się w podejrzanych kręgach. Raz po raz ujawniała się w nim znajomość drobnych włóczęgowskich występków i, co ważniejsze, spał lekkim, podejrzliwym snem człowieka, który nawykł zamykać oczy, nie mając zaufania do towarzystwa przebywającego z nim pod jednym dachem. Aż do samego końca, aż do tej piątkowej nocy, jego zachowanie było konsekwentnie tajemnicze i niewytłumaczalne. Przyniósłszy list pana Brocka do hotelu, zniknął, nie zostawiając towarzyszom żadnej wiadomości ani też nie pozwalając nikomu stwierdzić, czy sam otrzymał list. O zmierzchu zakradł się pod osłonę ciemności, natknął się na schodach na Allana, który chciał mu przekazać nowinę o zmianie w planach proboszcza, wysłuchał wieści bez słowa komentarza i wreszcie zasepiony zamknął się w swoim pokoju. Czy było coś, co przemawiało za nim i mogło zrównoważyć takie rewelacje na temat jego charakteru jak te tutaj – rozbiegane spojrzenie, uparty dystans względem proboszcza, złowrogie milczenie na temat rodziny i przyjaciół? Nic albo prawie nic: wszystkie jego zalety kończyły się na wdzięczności wobec Allana.

Pan Brock podniósł się ze swojego miejsca na brzegu łóżka, przyciął knot świecy i, nadal pogrążony w myślach, spojrzął z roztargnieniem w noc. Zmiana miejsca nie przyniosła nowych pomysłów. Rzut oka wstecz na własne życie upewnił go, że jego obecne poczucie obowiązku nie opierało się jedynie na wymysłach i, przywiódłszy go do tej konkluzji, tam go zostawił. Stojąc przy oknie, proboszcz widział w swojej głowie kompletną ciemność, z którą korespondował głęboki mrok nocy.

„Gdybym tylko mógł się zwrócić do jakiegoś przyjaciela!”, rozmyślał proboszcz.
„Gdybym tylko mógł znaleźć kogoś w tym nędznym miejscu, kto mi pomoże!”

W chwili gdy tęsknota ta przeszła mu przez myśl, niespodziewanie odpowiedziało na nią ciche pukanie do drzwi, a w korytarzu odezwał się stłumiony głos:

– Proszę pozwolić mi wejść.

Po krótkiej chwili na uspokojenie nerwów pan Brock otworzył drzwi i o pierwszej w nocy na progu własnej sypialni stanął twarzą w twarz z Oziasem Midwinterem.

– Jesteś chory? – zapytał proboszcz, gdy tylko ochłonął ze zdumienia i odzyskał mowę.

– Przyszedłem wyrzucić to z siebie – padła tajemnicza odpowiedź. – Pozwoli mi pan wejść?

Z tym słowami wszedł do pokoju. Oczy miał utkwione w podłogę, usta trupio blade, a za plecami trzymał coś w ręce.

– Zobaczyłem światło w szczelinie pod drzwiami – ciągnął, nie podnosząc wzroku i nie ruszając ręką – i wiem, co pana trapi i nie daje spać. Jutro rano pan wyjeżdża i boi się zostawić Allana samego z kimś nieznanym, takim jak ja.

Mimo całego swego zaskoczenia pan Brock dostrzegł konieczność szczerości wobec człowieka, który przychodzi o tej godzinie i mówi takie słowa.

– Dobrze zgadłeś – odrzekł. – Zastępuję Allanowi Armadale’owi ojca i to naturalne, że niechętnie zostawiam go z człowiekiem, którego nie znam.

Ozias Midwinter podszedł o krok bliżej stołu. Jego rozbiegane oczy zatrzymały się na Nowym Testamencie proboszcza, który leżał wśród innych przedmiotów.

– Przez lata długiego życia czytał pan tę Księgę wielu wiernym – rzekł. – Czy nauczył się pan z niej miłosierdzia wobec biednych bliźnich?

Nie czekając na odpowiedź, po raz pierwszy spojrzał prosto w twarz pana Brocka i powoli wyciągnął zza pleców rękę.

– Niech pan to przeczyta – powiedział – i, na Boga, ma dla mnie litość, gdy dowie się, kim jestem.

Położył na stole obszerny list. Był to ten sam list, który pan Neal nadał w Wildbad przed dziewiętnastu laty.

¹ 1 jard = 0,9144 metra (przypis tłumacza).

II. TAJEMNICA WYCHODZI NA JAW

Gdy pan Brock czytał ostatnie wersy wyznania, przez otwarte okno wpadały do pokoju rześkie powiewy – zwiastuny nadciągającego poranka. Odłożył list w milczeniu, nie podnosząc wzroku. Pierwszy szok towarzyszący straszemu odkryciu wstrząsnął jego umysłem, po czym opadł. Jego wiek oraz sposób rozumowania nie pozwalały objąć w całości rewelacji, jaka na niego spadła. Kiedy odkładał rękopis, jego serce było owładnięte wspomnieniem o kobiecie, ukochanej przyjaciółce jego dojrzałych i szczęśliwych lat, a umysł w całości zaprzętał ujawniony w liście smutny sekret zdrady popełnionej przez nią wobec własnego ojca.

Pograżonego we własnym żalu proboszcza wyrwało z zadumy drżenie stołu, przy którym siedział. Czyjaś ręka spoczęła ciężko na blacie. Przewyciężając silną niechęć, podniósł wzrok. W połączonym świetle żółtego płomienia świecy i szarego świtu ujrzał stojącego przed sobą w milczeniu wyrzutka z wiejskiej gospody – dziedzica nieszczęsnego nazwiska Armadale.

Pan Brock wzdrygnął się, gdy na widok twarzy mężczyzny powrócił strach przed chwilą obecną i jeszcze większy strach przed tym, co może przynieść przyszłość. Tamten zauważył to i przemówił pierwszy.

– Czy z moich oczu wygląda na pana zbrodnia mego ojca? – zapytał. – Czy duch topielca wszedł za mną do pokoju?

Wstrzymywane przez niego ból i pasja sprawiły, że ręka, która nadal spoczywała na stole, zadrżała, a głos zniżył się aż do szeptu.

– Nie mam zamiaru traktować cię inaczej niż sprawiedliwie i uprzejmie – odparł pan Brock. – Proszę z kolei mnie oddać sprawiedliwość i dać wiarę, że nie potrafię

być tak okrutny, by obarczać cię odpowiedzialnością za zbrodnię ojca.

Odpowiedź najwyraźniej go uspokoiła. Milcząco skinął głową i podniósł ze stołu wyznanie.

– Przeczytał pan wszystko? – spytał cicho.

– Każde słowo, od początku do końca.

– Czy jak dotąd byłem wobec pana szczery? Czy Ozias Midwinter...

– Nadal upierasz się przy tym nazwisku – przerwał pan Brock – teraz, gdy twoje prawdziwe nazwisko jest mi znane?

– Odkąd przeczytałem wyznanie mojego ojca – padła odpowiedź – mój paskudny pseudonim podoba mi się bardziej niż kiedykolwiek. Proszę pozwolić mi powtórzyć pytanie, które chciałem zadać przed chwilą: czy Ozias Midwinter zrobił, co w jego mocy, by pana oświecić, panie Brock?

Proboszcz unikał odpowiedzi wprost.

– Mało kto na twoim miejscu – rzekł – miałby odwagę pokazać mi ten list.

– Proszę nie być takim pewnym włóczęgi, którego podniósł pan z upadku w gospodzie, dopóki nie dowie się o nim nieco więcej, niż wie teraz. Zna pan tajemnicę mojego pochodzenia, ale nie zna pan historii mojego życia. Powinien pan ją poznać i pozna, zanim zostawi mnie samego z panem Armadale'em. Czy chce pan odczekać chwilę i odpocząć, czy też mam ją panu opowiedzieć teraz?

– Teraz – odparł pan Brock, który nadal nie miał zielonego pojęcia, kim naprawdę jest stojący przed nim człowiek.

Wszystko, co mówił, wszystko, co robił Ozias Midwinter, przemawiało przeciwko niemu. W jego głosie już wcześniej pobrzmiwała sardoniczna obojętność, niemal zuchwałość, zdolna rozwiać sympatię każdego słuchacza. Teraz zaś zamiast usiąść przy stole i skierować opowieść bezpośrednio do proboszcza, wycofał się milcząco i nieuprzejmie na miejsce pod oknem. Siedział tam z odwróconą twarzą, w roztargnieniu przerzucając kartki ojcowskiego listu, póki nie doszedł do ostatniej. Z oczami utkwionymi w kończące rękopis wersy i dziwną mieszanką niefrasobliwości i smutku w głosie zaczął snuć obiecaną opowieść:

– Pierwszą rzecz już pan o mnie wie – powiedział – z listu mojego ojca. Pisz

w nim, że byłem dzieckiem śpiącym na jego piersi, gdy wymawiał ostatnie swoje słowa na tym świecie i gdy ręka nieznajomego spisywała je przy łożu śmierci. Jak pan może zauważył, nazwisko owego nieznajomego znajduje się na kartce, w której zamknięty był list – „Alexander Neal, radca prawny, Edynburg”. Moje najwcześniejsze wspomnienie o Alexandrze Nealu jest takie, jak bije mnie szpicrutą (śmiem twierdzić, że zasłużenie) jako mój ojczym.

– Czy z tamtego okresu nie przypomina ci się również matka? – zapytał pan Brock.

– Owszem. Pamiętam, że kazała dla mnie przerabiać stare, znoszone łachy, a dla dwójki dzieci z drugiego małżeństwa kupować ładne, nowe ubranka. Pamiętam, jak śmiali się ze mnie służący, widząc mnie w starych rzeczach, i jak szpicruta po raz kolejny dosięgała moich ramion za to, że w złości rwałem swoje ubrania. Moje następne wspomnienie pochodzi z okresu późniejszego o rok lub dwa lata. Pamiętam, jak zamknięto mnie w komórce z odrobiną chleba i kubkiem wody i jak zastanawiałem się, co takiego sprawiło, że moja matka i ojczym zdają się paść nienawiścią na sam mój widok. Aż do wczoraj nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, rozwiązałem zagadkę dopiero wtedy, gdy do mych rąk trafił list od ojca. Moja matka i ojczym wiedzieli, co naprawdę wydarzyło się na pokładzie francuskiego frachtowca, i oboje zdawali sobie sprawę z tego, że wstydlivy sekret, który najchętniej ukryliby przed każdą żywą istotą, pewnego dnia zostanie wyjawiony właśnie mnie. Nie było rady, wyznanie znajdowało się w rękach wykonawcy i ja istniałem – krnąbrny smarkacz, który miał w żyłach murzyńską krew matki, a w sercu mordercze instynkty ojca – spadkobierca sekretu wbrew ich woli! Teraz nie dziwię się już szpicrucie ani starym łachom, ani zamykaniu mnie w komórce. Wszystko to były naturalne kary, proszę pana, jakimi dziecko zaczynało płacić za grzech ojca.

Pan Brock spojrzał na smagłą, skrytą twarz, nadal uparcie odwróconą od niego. „Czy to surowa nieczułość włóczęgi”, spytał sam siebie, „czy maskowana rozpacz nieszczęśliwego człowieka?”

– Następnym moim wspomnieniem jest szkoła – ciągnął tamten – podrzędne miejsce w odludnym zakątku Szkocji. Zostawiono mnie tam samego, z moim złym

charakterem na dobry początek. Oszczędzę panu opowieści o nauczycielskiej różdze w klasie i chłopięcych kopniakach na podwórku. Śmiem twierdzić, że w mojej naturze leżała wrodzona niewdzięczność, w każdym razie uciekłem stamtąd. Pierwsza osoba, którą spotkałem, zapytała mnie, jak się nazywam. Byłem zbyt młody i głupi, by wiedzieć, jak ważne było zatajenie tej informacji, i oczywiście jeszcze tego samego wieczoru trafiłem z powrotem do szkoły. W efekcie dostałem lekcję, której od tego czasu nie zapomniałem. Dzień lub dwa później, już wtedy będąc włóczęgą, spróbowałem ucieczki po raz drugi. Szkolnemu cerberowi, jak sądzę, wydano odpowiednie instrukcje: zatrzymał mnie, nim zdążyłem wyjść za bramę. Tu, na wierzchu dłoni, pomiędzy innymi, to jego ślad. Śladów jego chlebobdawcy nie będę panu pokazywać – pokrywają całe moje plecy. Może pan sobie wyobrazić moją przewrotność? Siedziało we mnie licho, którego nic nie zdoła przepędzić. Uciekłem, gdy tylko wstałem z łóżka, i tym razem mi się udało. Wraz z zapadnięciem nocy znalazłem się na wrzosowisku (z porcją szkolnej owsianki w kieszeni). Ułożyłem się na miękkich wrzosach pod osłoną wielkiej szarej skały. Myśli pan, że czułem się samotny? Skądże! Byłem z dala od różgi nauczyciela, z dala od kopniaków kolegów, z dala od matki, od ojczyma. Tej nocy zasypiałem pod moją przyjaciółką skałą jako najszczęśliwszy chłopiec w całej Szkocji!

Patrząc przez pryzmat nieszczęśliwego dzieciństwa, które ujawniło to jedno znaczące wydarzenie, pan Brock zaczął w końcu niewyraźnie dostrzegać, jak mało było rzeczy naprawdę dziwnych, naprawdę niewyjaśnionych w charakterze człowieka, który obecnie do niego przemawiał.

– Spałem smacznie – ciągnął Midwinter – pod moją przyjaciółką skałą. Kiedy obudziłem się następnego ranka, zobaczyłem rośłego, starszego mężczyznę ze skrzypcami siedzącego po mojej jednej stronie, a dwa tresowane psy po drugiej. Doświadczenie nauczyło mnie być na tyle baczny, by nie mówić prawdy, gdy mężczyzna zadał wstępne pytania. Nie naciskał. Poczęstował mnie smacznym śniadaniem wyjętym z chlebaka i pozwolił mi pobawić się z psami. „Coś ci powiem”, odezwał się, kiedy już zdobył w ten sposób moje zaufanie, „potrzebujesz trzech rzeczy, mój chłopcze: nowego ojca, nowej rodziny i nowego nazwiska. Ja będę twoim ojcem. Pozwolę ci mieć psy za braci, a jeśli obiecasz, że będziesz się

z nim ostrożnie obchodził, na dokładkę dorzucę jeszcze własne nazwisko. Oziastu Midwinterze juniorze, zjadłeś dobre śniadanie. Jeśli masz ochotę na dobry obiad, chodź ze mną!” Wstał, psy podreptały w ślad za nim, ja zaś podreptałem w ślad za psami. Zapyta pan, kim był mój nowy ojciec. Półkrwi Cyganem, proszę pana, pijakiem, opryskiem i złodziejem, a także najlepszym przyjacielem, jakiego w życiu miałem! Czy ktoś, kto daje ci jedzenie, schronienie i wykształcenie, nie jest twoim przyjacielem? Oziast Midwinter nauczył mnie tańczyć highland fling², robić salto, chodzić na szczudłach i śpiewać piosenki przy akompaniamencie skrzypiec. Czasami wędrowaliśmy po wsiach i występowaliśmy na jarmarkach. Czasami zapuszczaliśmy się do dużych miast i zabawiali podejrzaną towarzystwo przy kubkach trunku. Byłem miłym, żywym jedenastolatkiem i podejrzaną towarzystwo, a zwłaszcza kobiety lubiły mnie i moje zwinne stopy. Miałem w sobie tyle z włóczęgi, by upodobać sobie ten tryb życia. Psy i ja mieszkaliśmy razem, razem jedliśmy, pili i spali. Jeszcze teraz nie potrafię myśleć o moich biednych czworonożnych braciach inaczej niż ze ściśniętym gardłem. Niejedno lanie znosiliśmy we trójkę, niejedną noc przetańczyliśmy razem do upadłego, niejedną noc przespaliśmy i przejęczeliśmy wspólnie na zimnym zboczach górskim. Nie chcę pana martwić, po prostu mówię prawdę. Przy wszystkich swoich trudach to życie mi odpowiadało i choć półkrwi Cygan, który dał mi swoje nazwisko, był opryskiem, lubiłem tego opryska.

– Człowieka, który cię bił! – zawołał pan Brock w zdumieniu.

– Czy nie wspomniałem panu właśnie, że żyłem z psami? A czy słyszał pan kiedyś, żeby pies lubił swego pana mniej z powodu bicia? Setki tysięcy biednych mężczyzn, kobiet i dzieci lubiłoby tego człowieka (jak ja go lubiłem), gdyby tylko zawsze dawał im to, co mnie – dużo jedzenia. Było to głównie kradzione jedzenie i mój nowy cygański ojciec nie skąpił go. Rzadko kiedy okładał nas kijem, gdy był trzeźwy, ale gdy był pijany, nasze skamlenie bawiło go. Umarł pijany i do ostatniego tchnienia zażywał ulubionej rozrywki. Któregoś dnia (gdy byłem już dwa lata na jego usługach) po sutym obiedzie na wrzosowisku usiadł oparty o głaz i zawołał nas, by zabawić się naszym kosztem. Najpierw zmusił do skamlenia psy, a potem wezwał mnie. Nie byłem zbyt chętny, żeby iść. Pił więcej niż zazwyczaj, a im więcej pił,

tym bardziej lubił swą poobiednią rozrywkę. Tego dnia był w dobrym nastroju i uderzył mnie tak mocno, że, pijany, przewrócił się pod wpływem siły uderzenia. Upadł twarzą w kałużę i leżał nieruchomo. Ja i psy staliśmy w pewnej odległości i patrzyliśmy na niego. Myśleliśmy, że udaje, by zwabić nas bliżej i poczęstować kolejnym razem. Udawał tak długo, że wreszcie odważyliśmy się podejść. Minęło trochę czasu, nim zdołałem go odwrócić – był ciężki. Kiedy już przewróciłem go na plecy, nie żył. Podnieśliśmy tak głośne larum, jak tylko potrafiliśmy, ale psy były małe i ja byłem mały, a miejsce odludne, i nie nadeszła żadna pomoc. Wziąłem jego skrzypce i laskę i powiedziałem do moich dwóch braci: „Chodźcie, musimy teraz sami zatroszczyć się o siebie”, po czym z ciężkimi sercami odeszliśmy, zostawiając go na pustkowiu. Choć może się to panu wydać dziwne, było mi go żal. Na czas wszystkich moich późniejszych tułaczek zatrzymałem jego paskudne nazwisko i mam w sobie dość starego zaczynu, by nadal podobał mi się jego dźwięk. Midwinter czy Armadale, w tej chwili moje nazwisko nie jest ważne, porozmawiamy o nim później. Najpierw musi mnie pan poznać od najgorszej strony.

– Dlaczego nie od najlepszej? – spytał delikatnie pan Brock.

– Dziękuję panu, ale przyszedłem tu po to, by powiedzieć prawdę. Przejdziemy teraz, jeśli pan pozwoli, do następnego rozdziału mojej historii. Źle powodziło się mnie i psom po śmierci pana, los nam nie sprzyjał. Straciłem jednego z moich braciszków: tego, który robił lepsze sztuczki. Skradziono go i nigdy go już nie odzyskałem. Następnie silniejszy ode mnie włóczęga odebrał mi przemocą skrzypce i szczudła. Nieszczęścia te sprawiły, że Tommy i ja (przepraszam pana, mam na myśli psa) jeszcze bardziej się do siebie zbliżyliśmy. Myślę, że obaj mieliśmy jakieś niejasne przeczucie, że nasze kłopoty jeszcze się nie skończyły. Tak czy owak, niedługo potem rozstaliśmy się na zawsze. Żaden z nas nie był złodziejem (nasz pan poprzestał na nauce tańca), ale obaj naruszyliśmy prawo własności. Młode stworzenia, nawet gdy przymierają głodem, nie mogą czasem w piękny poranek odmówić sobie przebieżki. Tommy i ja nie mogliśmy odmówić sobie przebieżki po terenach łowieckich pewnego właściciela ziemskiego. Pan ochraniał swoją zwierzynę, a jego dozorca znał się na swoim fachu. Usłyszałem huk wystrzału i może pan domyślić się reszty. Uchowaj Boże, bym kiedykolwiek jeszcze miał czuć

tak wielki ból jak wtedy, gdy położyłem się obok Tommy'ego i wziąłem go, martwego i skrwawionego, w objęcia! Dozorca próbował nas rozdzielić. Ugryzłem go jak dzikie zwierzę, którym zresztą byłem. Następnie próbował mnie okładać kijem. Równie dobrze mógłby próbować okładać drzewo. Hałas doszedł do uszu dwóch młodych dam przejeżdżających konno w pobliżu, córek pana, na którego teren wtargnąłem. Były zbyt dobrze wychowane, by podnosić sprzeciw wobec świętego prawa ochrony zwierzyny łownej, ale były też dziewczętami o miękkich sercach, ulitowały się nade mną i zabrały mnie z sobą do domu. Pamiętam, jak panowie (co do jednego zapaleni sportsmeni) ryczeli ze śmiechu, gdy przechodziłem pod oknami, płacząc, z martwym psem w ramionach. Niech pan nie myśli, że uskarżam się na ich śmiech. Przysłużył mi się, ponieważ wywołał oburzenie obu dam. Jedna z nich zabrała mnie do swojego własnego ogrodu i wskazała miejsce, gdzie mogłem pogrzebać psa, pod grządką z kwiatami. Mogłem zachować pewność, że nikt nie zburzy już nigdy jego spokoju. Druga poszła do ojca i przekonała go, aby dał małemu opuszczonemu włóczędze szansę wykazać się w swoim domu pod okiem jednego z wyższych rangą służących. Tak! Żeglował pan w towarzystwie człowieka, który był niegdyś lokajem. Widziałem, jak pan na mnie patrzył, gdy zabawiałem pana Armadale'a nakrywaniem do stołu na jachcie. Teraz wie pan, dlaczego robiłem to tak starannie, o niczym nie zapominając. Miałem szczęście widzieć trochę wyższych sfer: pomagałem napełniać ich żołądki i czernić ich buty. Nie zagrzałem jednak miejsca wśród służących. Nim zdążyłem znieść moją pierwszą liberię, w domu wybuchł skandal. To stara historia: nie ma sensu opowiadać jej po raz tysięczny. Pieniądze pozostawione luzem na stole, które następnie zniknęły. Wszyscy służący mieli się do kogo odwołać, tylko nie młody lokaj, którego pośpiesznie postawiono przed sądem. Coś takiego! Do końca miałem w tym domu szczęście. Nie ścigano mnie za wzięcie czegoś, czego nie tylko nigdy nie tknąłem, ale nawet nie widziałem. Zostałem jedynie wydalony. Któregoś dnia poszedłem w swoim starym ubraniu na grób Tommy'ego. Pocałowałem to miejsce, pożegnałem się z moim martwym pieskiem i znów wyruszyłem w świat, w dojrzałym wieku lat trzynastu!

– Będąc samotny i tak młody – rzekł pan Brock – nie pomyślałeś o tym, by

wrócić do domu?

– Tego samego wieczoru wróciłem do domu, proszę pana – spałem na górskim zboczu. Jakiż inny miałem dom? Dzień czy dwa później skierowałem swe kroki w stronę dużego miasta i podejrzanego towarzystwa. Otwarta przestrzeń była dla mnie zbyt samotna po tym, jak straciłem psy! Następnie zabrało mnie dwóch marynarzy. Zostałem majtkiem i dostałem koję w kajucie chłopców okrętowych na pokładzie statku przybrzeżnego. Koją w kajucie chłopców okrętowych oznacza życie w brudzie, żywienie się podrobami, ciężką pracę jak dla dorosłego mężczyzny i regularne bicie. Jednostka zatrzymała się w porcie na Hebrydach. Jak zwykle okazałem się niewdzięczny wobec swoich dobrodziejów: znów uciekłem. Jakieś kobiety znalazły mnie wycieńczonego z głodu na północnych pustkowiach Wyspy Skye. Było to blisko wybrzeża i postanowiłem spróbować szczęścia wśród rybaków. U moich nowych panów było mniej bicia, za to więcej narażania na działanie wiatru i złej pogody oraz praca wystarczająco ciężka, by zabić każdego innego chłopca niż taki zaprawiony w boju włóczęga jak ja. Wytrzymałem do zimy, po czym rybacy przepędzili mnie na cztery wiatry. Nie mam do nich żalu: brakowało jedzenia, a gąb do wyżywienia dużo. Po co mieliby trzymać chłopaka, który do nich nie należał, podczas gdy głód zaglądał w oczy całej wiosce? Moją jedyną szansą w zimie było duże miasto, udałem się więc do Glasgow i niemal wszedłem w paszczę lwa, gdy tylko się tam znalazłem. Pilnowałem pustego wozu na ulicy Broomielaw, gdy nagle usłyszałem głos mojego ojczyma dobiegający z chodnika, który przesłaniał mi koń, obok którego stałem. Ojczym spotkał kogoś, kogo znał, i, ku memu zdumieniu i przerażeniu, byłem przedmiotem ich rozmowy. Ukryty za koniem, usłyszałem na tyle dużo, by się dowiedzieć, że omal mnie nie złapano, zanim nie wszedłem na pokład statku przybrzeżnego. Poznałem w tym czasie innego włóczęgę w moim wieku, pokłóciliśmy się i każdy poszedł w swoją stronę. Następnego dnia mój ojczym rozpytywał o mnie w tej samej dzielnicy i zastanawiał się (przy braku szczegółowego opisu wyglądu każdego z chłopców), za którym z nich powinien ruszyć w ślad. Powiedziano mu, że jeden z nich jest znany jako Brown, drugi zaś jako Midwinter. Brown było popularnym nazwiskiem, które sprytny zbieg mógł z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, Midwinter zaś nazwiskiem niepospolitym,

którego najprawdopodobniej by unikał. Pościg ruszył więc w ślad za Brownem, a ja uciekłem. Może pan sobie wyobrazić, że od tej pory byłem podwójnie, jeśli nie potrójnie, zdeterminowany, by zatrzymać nazwisko mojego cygańskiego pana. Na tym jednak nie kończyły się moje postanowienia. Zdecydowałem się na dobre wyjechać z kraju. Przez dzień lub dwa czyhałem w porcie na statki wypływające za granicę, znalazłem ten, który miał wypłynąć najwcześniej, i ukryłem się na pokładzie. Głód robił, co mógł, by wygnać mnie z kryjówki przed odejściem pilota morskiego, ale też głód nie był dla mnie niczym nowym, więc zostałem na miejscu. Gdy ukazałem się na pokładzie, pilot był już poza okrętem i załodze nie pozostawało nic innego, jak wyrzucić mnie za burtę lub pozwolić mi zostać. Kapitan orzekł (nie mam wątpliwości, że zgodnie z prawdą), że wolałby wyrzucić mnie za burtę, jednak majestat prawa czasami staje po stronie nawet takiego włóczęgi jak ja. W ten sposób powróciłem do życia na morzu. Tak nauczyłem się być użytecznym (jak pan zauważył) na pokładzie jachtu pana Armadale'a. Odebrałem wiele podróży morskich na wielu statkach i w wiele zakątków świata. Mógłbym przez resztę życia zostać na morzu, gdybym tylko potrafił trzymać nerwy na wodzy przy każdej zaczepce, która je wystawiała na próbę. Wiele się nauczyłem; nie nauczywszy się jednak tej jednej rzeczy, końcówkę mojej ostatniej podróży do kraju, do portu w Bristolu, odbyłem w kajdanach (zarzucono mi buntownicze zachowanie wobec jednego z oficerów) i po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak od środka wygląda więzienie. Słucha mnie pan z niezwykłą cierpliwością i w zamian z przyjemnością oznajmię, że zbliżamy się już do końca opowieści. O ile dobrze pamiętam, podczas przeszukiwania mojego bagażu w gospodzie znalazł pan jakieś książki?

Pan Brock przytaknął.

– Książki te wyznaczają kolejną zmianę w moim życiu i ostatnią przed podjęciem pracy woźnego w szkole. Pobyt w więzieniu nie trwał długo. Być może przemawiał za mną młody wiek, a może bristolscy sędziowie wzięli pod uwagę czas, który spędziłem zakuty w kajdany na statku. Tak czy owak, wkrótce po moich siedemnastych urodzinach znów wyruszyłem w świat. Nie miałem przyjaciół, którzy by mnie wzięli pod swój dach, nie miałem gdzie się podziać. Po tym, co się stało, życie marynarza budziło we mnie odrazę. Stałem wśród tłumu na moście w Bristolu,

zastanawiając się, co zrobić z odzyskaną wolnością. Nie wiem, czy zmieniło mnie więzienie, czy też zaczynała dawać o sobie znać zmiana charakteru, która przychodzi wraz z wiekiem męskim, ale dawne lekkomyślne zamiłowanie do włóczęgowskiego trybu życia zdawało się zniknąć z mojej natury. Potworne poczucie samotności kazało mi, w strachu przed spokojną wsią, wałęsać się po Bristolu, aż zapadła noc. Patrzyłem na światła migoczące w salonach i z pożałowania godną zazdrością myślałem o szczęśliwych ludziach w środku. Dużo bym wtedy dał za jedną dobrą radę. Cóż, otrzymałem ją: policjant poradził mi, bym szedł dalej. Miał całkowitą rację: cóż innego mógłbym zrobić? Spojrzałam w niebo i zobaczyłem moją dawną towarzyszkę wielu wacht nocnych na morzu, Gwiazdę Polarną. „Wszystkie strony świata są dla mnie takie same”, pomyślałem. „Pójdę w twoim kierunku”. Nawet gwiazda nie chciała mi dotrzymać towarzystwa tej nocy. Skryła się za chmurą, zostawiając mnie samego na deszczu i w ciemności. Po omacku trafiłem do wozowni, zapadłem w sen i śniłem o dawnych czasach, gdy służyłem memu cygańskiemu panu i żyłem z psami. Boże! Co bym dał, by obudzwszy się, poczuć na dłoni wilgotny pysk Tommy’ego! Dlaczego się nad tym rozwodzę? Dlaczego nie zmierzam do końca? Nie powinien mnie pan tak zachęcać tym cierpliwym słuchaniem. Po tygodniu wałęsania się, nie mając nadziei, która by mnie wspierała, ani perspektyw, których bym wyglądał, znalazłem się na ulicach Shrewsbury i przystanąłem przed wystawą księgarni. Do drzwi sklepu podszedł staruszek, rozejrzał się i zobaczył mnie. „Szukasz pracy?”, spytał. „I nie przeszkadza ci, że jest źle płatna?” Wizja posiadania zajęcia i drugiej ludzkiej istoty, do której można by się odezwać, skusiła mnie i przez jeden dzień w zamian za szylinga odwaląłem brudną robotę w magazynie księgarza. Potem przyszło więcej pracy za tę samą stawkę. Po tygodniu awansowałem: zamiatałem sklep i podnosiłem okiennice. Niedługo później powierzono mi roznoszenie książek, a kiedy minął termin opłat kwartalnych i odszedł sprzedawca, zająłem jego miejsce. Uśmiech losu, powie pan, nareszcie znalazłem drogę do przyjaciela. Znalazłem drogę do jednej z najbardziej bezlitosnych skner w Anglii i stałem się znany w małym Shrewsbury dzięki czysto handlowemu zabiegowi sprzedawania taniej niż cała moja konkurencja. Ze względu na wysokość wynagrodzenia pracy w magazynie nie chciał przyjąć żaden bezrobotny

w mieście i wykonywałem ją sam. Stały tragarz odbierał co tydzień swoje nędzne grosze z tymi samymi pretensjami. Ja brałem dwa szylingi mniej i nie narzekałem. Sprzedawca jako powód odejścia podał to, że nie dojechał i za mało zarabiał. Ja pobierałem połowę jego pensji i z zadowoleniem żywiłem się resztkami, które dostawał. Jeszcze nigdy dwóch ludzi nie było tak dobranych jak ten księgarz i ja. Jedynym celem jego życia było znalezienie kogoś, kto będzie dla niego pracował za głodową stawkę. Jedynym celem mego życia było znalezienie kogoś, kto da mi dach nad głową. Bez żadnej sympatii, bez śladu jakiegokolwiek uczucia, wrogiego lub przyjaznego, które by się między nami rodziło, nie życząc sobie dobranoc, gdy rozstawaliśmy się na schodach domu, ani nie mówiąc sobie dzień dobry, gdy spotykaliśmy się za ladą sklepu, mieszkaliśmy sami w jednym domu przez całe dwa lata, od początku do końca pozostając sobie obcy. Ponura egzystencja jak na chłopaka w moim wieku, prawda? Jest pan pastorem i człowiekiem uczonym – z pewnością domyśla się, co sprawiło, że moje życie było dla mnie znośne.

Pan Brock przypomniał sobie sfatygowane tomy znalezione w kuferku woźnego.

– Książki sprawiły, że było ono znośne – rzekł.

Oczy wyrzutka roziskrzyły się.

– Tak jest! – powiedział. – Książki, wielkoduszni przyjaciele, którzy podchodzili do mnie bez podejrzeń, miłosierni panowie, którzy nigdy mnie nie skrzywdzili! Lata spędzone w domu sknery stanowią jedyny okres w moim życiu, na który mogę patrzeć z czymś na kształt dumy. Przyjemność, jaką znalazłem na półkach sknery, była jedyną niezmaconą niczym przyjemnością, jakiej kiedykolwiek doświadczyłem. Wczesnym rankiem i późnym wieczorem, w długie, zimowe noce i spokojne, letnie dni czerpałem ze źródła wiedzy i nigdy nie miałem dość. Miałem niewielu klientów do obsłużenia, jako że książki były w większości poważne i uczone. Nie ciążyła na mnie odpowiedzialność, ponieważ księgowość prowadził mój chlebodawca i pozwalał przechodzić przez moje ręce jedynie drobnym sumom pieniędzy. Wkrótce poznał mnie na tyle, by wiedzieć, że może polegać na mojej uczciwości i liczyć na moją wyrozumiałość, jakkolwiek by mnie nie traktował. Jedyna rzecz, jakiej dowiedziałem się na temat jego charakteru, pogłębiła z mojej strony dzielący nas dystans do granic możliwości. Był w tajemnicy zatwardziałym opiumistą,

rozzutnym jeśli chodzi o laudanum, choć sknerą pod każdym innym względem. Nigdy nie przyznał się do swojej słabości, a ja nigdy nie przyznałem się, że o niej wiem. On miał swoją przyjemność dla siebie, a ja swoją dla siebie. Siedzieliśmy tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, nie zamieniając ze sobą jednego życzliwego słowa – ja z moją książką za ladą, on z księgą główną w salonie, majaczący za brudną szybą szklanych drzwi, czasem pochylony nad swoimi rachunkami, czasem godzinami nieobecny i nieruchomy w ekstazie opiumowego transu. Czas mijał, nie odciskając na nas swego piętna. Minęły dwa lata i nadal nic się nie zmieniło. Pewnego ranka na początku trzeciego roku mój pan nie pojawił się jak zwykle, by wydać mi mój przydział jedzenia na śniadanie. Poszedłem na górę i zastałem go bezsilnego w łóżku. Nie chciał wydać mi kluczy do kredensu ani pozwolić posłać po lekarza. Kupiłem kawałek chleba i wróciłem do swoich książek, nie współczując mu bardziej (co uczciwie przyznaję), niż on współczułby mnie w podobnych okolicznościach. W jakieś dwie godziny później lekturę przerwał mi klient, który czasem przychodził – emerytowany lekarz. Poszedł na górę, ja zaś byłem zadowolony, że się go pozbyłem i wróciłem do książek. Zszedł z powrotem na dół i jeszcze raz mi przerwał. „Niezbyt cię lubię, chłopcze”, powiedział, „ale uważam za swój obowiązek poinformować cię, że wkrótce będziesz musiał sam się o siebie zatroszczyć. Nie jesteś zbyt lubiany w mieście i możesz mieć trudności ze znalezieniem sobie nowego miejsca. Wystaraj się o pisemne referencje od swojego pana, nim będzie za późno”. Powiedział to chłodno. Ja z kolei chłodno mu podziękowałem i tego samego dnia otrzymałem referencje. Myśli pan, że mój chlebodawca dał mi je za darmo? Gdzie tam! Targował się ze mną na łożu śmierci. Był mi winien miesięczne wynagrodzenie i nie zgodził się napisać ani linijki referencji, nim wpierw nie obiecuję, że umorzę jego dług. Trzy dni później zmarł, do końca ciesząc się, że przechytrył swojego ekspedienta. „Oho!”, wyszeptał, gdy lekarz wezwał mnie, bym się z nim pożegnał. „Tanio mnie kosztowałaś!” Czy kij Oziasa Midwintera był równie okrutny? Myślę, że nie. Cóż, znów poszedłem w świat, jednak tym razem mając bez wątplenia lepsze perspektywy. Nauczyłem się czytać po łacinie, grecku i niemiecku. Miałem też pisemne referencje, które za mną przemawiały. Wszystko na nic! Lekarz miał rację. Nie lubiano mnie w mieście.

Ludzie niższego stanu nie lubili mnie za to, że sprzedawałem swoje usługi sknerze za cenę, jaką dyktował. Co do ludzi wyższego stanu, wywierałem (Bóg jeden wie jak!) na nich – jak na wszystkich z wyjątkiem pana Armadale’a – negatywne pierwsze wrażenie. Później nie mogłem już tego naprawić i tak byłem skończony wśród wyższych sfer. Jest wielce prawdopodobne, że pozbyłbym się wszystkich oszczędności – mojego mizernego złotego dorobku z wolna rosnącego przez dwa lata – gdyby nie ogłoszenie o pracy w szkole, które zobaczyłem w lokalnej gazecie. Bezdusznie skromne warunki, jakie oferowano za pracę, skłoniły mnie, by się o nią ubiegać; i tak dostałem posadę. Jak sobie na niej radziłem i co się potem ze mną stało, nie muszę panu mówić. Tak przedstawia się cała historia mojego życia. Mój żywot włóczęgi został odarty z tajemnicy i nareszcie zna mnie pan od najgorszej strony.

Po tych słowach zapadła na chwilę cisza. Midwinter wstał z miejsca przy oknie i powrócił do stołu z listem z Wildbad w ręce.

– Wyznanie mojego ojca odkryło przed panem, kim jestem, a me własne wyznanie odkryło przed panem, jakie było moje życie – rzekł do pana Brocka, nie zajmując miejsca na krześle, które wskazał proboszcz. – Obiecałem, że wyrzucę to z siebie, kiedy prosiłem o wpuszczenie mnie do tego pokoju. Czy dotrzymałem słowa?

– Nie można w to wątpić – odparł pan Brock. – Liczyłeś na moje zaufanie i współczucie. Musiałbym być doprawdy bezduszny, żeby wiedzieć to, co wiem o twoim dzieciństwie i młodości, i nie czuć nic z życzliwości Allana do jego przyjaciela.

– Dziękuję panu – powiedział Midwinter krótko i poważnie.

Po raz pierwszy usiadł naprzeciw pana Brocka przy stole.

– Za kilka godzin opuści pan to miejsce – ciągnął. – Jeśli mogę zrobić coś, by pomóc panu wyjechać spokojnym, zrobię to. Mamy sobie coś więcej do powiedzenia niż to, co padło do tej pory. Nadal nie wiadomo, jak mają wyglądać moje przyszłe stosunki z panem Armadale’em, a z ważną kwestią podniesioną w liście mojego ojca nie zmierzył się jeszcze żaden z nas.

Przerwał i z chwilowym zniecierpliwieniem spojrział na świecę wciąż płonąca na stole w świetle poranka. Wysięk, by mówić z opanowaniem i ze stoickim spokojem trzymać na wodzy uczucia, najwyraźniej przychodził mu z coraz większym trudem.

– W podjęciu decyzji – ciągnął – może panu pomóc informacja, jak postanowiłem zachowywać się w stosunku do pana Armadale’a, jeśli chodzi o podobieństwo nazwisk, kiedy po raz pierwszy przeczytałem list i kiedy ochłonałem już na tyle, by w ogóle myśleć.

Urwał i posłał zapalanej świecy kolejne zniecierpliwione spojrzenie.

– Wybacz pan dziwny kaprys dziwnego człowieka? – spytał z wątlmym uśmiechem. – Chciałbym zgasić świecę: chcę mówić na nowy temat w nowym świetle.

Mówiąc to, zgasił świecę, pozwalając delikatnemu światłu jutrzeńki wpadać bez przeszkód do pokoju.

– Raz jeszcze muszę prosić o pańską wyrozumiałość – podjął – ponieważ powrócę na chwilę do siebie i swojej sytuacji. Jak powiedziałem, mój ojczym próbował odnaleźć mnie kilka lat po tym, gdy porzuciłem szkocką szkołę. Podjął ten krok nie ze względu na własne niepokoje, lecz po prostu jako pełnomocnik powierników mojego ojca. Mając prawo działać według własnego uznania, sprzedali posiadłości na Barbadosie (w czasie wyzwolenia niewolników i upadku majątku w Indiach Zachodnich) za tyle, ile udało się uzyskać. Zainwestowawszy zyski, byli zobowiązani odłożyć pewną sumę na moją coroczną edukację. Obowiązek ten wymusił na nich podjęcie próby odszukania mnie – nieudanej, jak panu wiadomo. Nieco później (jak się potem dowiedziałem) skierowano do mnie ogłoszenie w prasie, którego nigdy nie ujrzałem. Jeszcze później, gdy miałem dwadzieścia jeden lat, pojawiło się drugie ogłoszenie (które ujrzałem), oferujące nagrodę każdemu, kto dowiedzie, że nie żyję. Gdybym żył, miałem prawo do swojej połowy zysków z majątku w chwili osiągnięcia pełnoletności. Gdybym nie żył, pieniądze wracały do mojej matki. Zgłosiłem się do prawników i dowiedziałem się tego, co teraz panu powtarzam. Gdy z pewną trudnością udowodniłem swoją tożsamość i gdy odbyto rozmowę z moim ojczymem oraz otrzymano wiadomość od matki, która beznadziejnie pogłębiła dawny rozłam między nami, moje roszczenie zostało uznane

i oto pieniądze są teraz w moim imieniu zainwestowane w fundusze na nazwisko, które naprawdę jest moim własnym.

Pan Brock skwapliwie przysunął się bliżej stołu. Widział teraz, do czego zmierza jego rozmówca.

– Dwa razy w roku – ciągnął Midwinter – muszę podpisać się swoim własnym nazwiskiem, aby odebrać uposażenie. Przez pozostały czas i w pozostałych okolicznościach mogę ukrywać swoją tożsamość pod takim nazwiskiem, jakie mi pasuje. Pan Armadale poznał mnie jako Oziasa Midwintera i będzie znał mnie jako Oziasa Midwintera do końca moich dni. Cokolwiek wyniknie z tej rozmowy – czy zyskam pana zaufanie, czy też je stracę – jednej rzeczy może pan być pewien: pański wychowanek nigdy nie pozna strasznej tajemnicy, którą panu powierzyłem. Nie ma w tym postanowieniu nic niezwykłego, ponieważ, jak pan już wie, zatrzymanie mojego przybranego nazwiska nie jest dla mnie żadnym poświęceniem. W moim zachowaniu nie ma nic chwalebego – wypływa ono naturalnie z wdzięczności. Proszę samemu przyjrzeć się okolicznościom, a zobaczy pan, że z mojej strony ujawnienie ich panu Armadale’owi byłoby okropnością nie do pomyślenia. Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw historia nazwisk, nie będzie można ograniczyć jej do zbrodni mego ojca – będzie konieczne sięgnięcie aż do zamążpójścia pani Armadale. Słyszałem, jak jej syn ją wspomina. Wiem, jak czci jej pamięć. Bóg mi świadkiem, nie dopuszczę, by czcił ją mniej z mojego powodu!

Jakkolwiek proste, słowa te dotknęły najgłębszej struny w duszy proboszcza: przeniosły go z powrotem do miejsca przy łożu śmierci pani Armadale. Obok siedział człowiek, przed którym nieświadomie ostrzegła go ze względu na dobro syna, i człowiek ten z własnej woli wziął na siebie obowiązek uszanowania jej tajemnicy przez wzgląd na tego syna! Wspomnienie własnych wysiłków zmierzających do zniszczenia przyjaźni, z której zrodziło się owo postanowienie, powróciło do pana Brocka jak wyrzut. Po raz pierwszy wyciągnął rękę do Midwintera.

– W jej imieniu i w imieniu jej syna – powiedział ciepło – dziękuję ci.

Nie odpowiadając, Midwinter rozłożył przed sobą na stole karki zawierające wyznanie.

– Myślę, że powiedziałem wszystko, co było moim obowiązkiem powiedzieć – zaczął – zanim zabierzemy się za rozważanie tego listu. Cokolwiek mogło się panu wydawać dziwne w moim zachowaniu w stosunku do pana i pana Armadale’a, teraz zapewne się wyjaśni. Może pan sobie wyobrazić naturalną ciekawość i zdumienie, które poczułem (będąc wtedy nieświadomym prawdy), gdy po raz pierwszy dźwięk nazwiska pana Armadale’a uderzył mnie jak echo mojego własnego nazwiska. Łatwo pan zrozumie, że wahałem się, czy wyznać mu, że jestem jego imiennikiem, tylko dlatego, że obawiałem się stracić w pana oczach, jeśli nie w jego, na wieść o tym, że wszedłem między was pod przybranym nazwiskiem. Po tym wszystkim, co właśnie pan usłyszał na temat mojego włóczęgowskiego życia i niskich sfer, w jakich się obracałem, trudno będzie się panu dziwić, że z takim uporem milczałem na swój temat w czasie, gdy nie czułem jeszcze ciężaru odpowiedzialności, jaką obarczyło mnie wyznanie mego ojca. Jeżeli pan chce, możemy wrócić do tych drobnych osobistych wyjaśnień innym razem. Nie mogą nam przeszkodzić w ustaleniu spraw większej wagi, zanim pan wyjedzie. Możemy teraz przejść – głos mu się załamał i naraz odwrócił twarz do okna, by ukryć ją przed wzrokiem proboszcza – możemy teraz przejść – powtórzył, a ręka, w której trzymał kartkę wyraźnie drżała – do morderstwa na pokładzie frachtowca i do przestrogi, która dosięgła mnie z za grobu ojca.

Cicho, tak jakby bał się, że mogą one dojść do uszu Allana śpiącego w sąsiednim pokoju, odczytał ostatnie, przerażające słowa wypowiedziane przez jego ojca i spisane piórem Szkota w Wildbad:

„Unikaj wdowy po człowieku, którego zabiłem – jeśli ta nadal żyje. Unikaj pokojówki, której nikczemna ręka utorowała drogę do małżeństwa – jeśli nadal jej służy. Ponad wszystko unikaj człowieka, który nosi to samo nazwisko co ty. Znieważ swego największego dobrodzieja, jeśli za jego sprawą zbliżyliście się jeden do drugiego. Porzuć kobietę, która cię kocha, jeśli kobieta ta stanowi ogniwo łączące cię z nim. Ukrywaj się przed nim pod przybranym nazwiskiem. Spraw, by rozdzieliły was góry i morza. Lepiej abyś był niewdzięczny, nieprzejednany, przyjął wszystkie cechy, które twojej szlachetnej naturze wydają się najbardziej odpychające, niż abyś mieszkał z nim pod jednym dachem lub oddychał tym samym

powietrzem co on. Nigdy nie pozwól na spotkanie w tym świecie Allana Armadale'a z Allanem Armadale'em, nigdy, przenigdy!”

Przeczytawszy te zdania, odsunął od siebie rękopis, nie podnosząc wzroku. Zgubna rezerwa, której zaledwie kilka minut wcześniej był bliski przewyciężenia, na nowo go owładnęła. Jego wzrok znów zaczął błędzić, ton jego głosu się obniżył. Gdyby ktoś, kto go nie znał, wysłuchał jego historii i zobaczył go teraz, powiedziałby: „Wzrok ma błędny, sposób bycia zły, wykapany ojciec”.

– Chciałbym cię o coś zapytać – odezwał się pan Brock, przerywając ciszę, jaka między nimi zaległa. – Dlaczego przeczytałeś ten fragment listu?

– By zmusić się do powiedzenia panu prawdy – padła odpowiedź. – Musi pan wiedzieć, ile jest we mnie z mego ojca, nim zaufa mi, że mogę być przyjacielem pana Armadale'a. Dostałem list wczoraj rano. Dręczyło mnie jakieś dziwne przeczucie i poszedłem sam nad brzeg morza, nim złamałem pieczęć. Czy wierzy pan, że umarli mogą wrócić do świata, w którym kiedyś żyli? Ja wierzę, że mój ojciec powrócił w jasnym świetle poranka, poprzez oślepiający blask słońca i radosny szum morza i patrzył na mnie, jak czytam. Kiedy dotarłem do słów, które przed chwilą pan usłyszał, i gdy zrozumiałem, że to, czego najbardziej się bał, umierając, stało się rzeczywistością, poczułem, jak ogrania mnie ta sama groza, która ogarnęła go w ostatnich chwilach życia. Walczyłem z sobą tak, jak on tego chciał. Próbowałem przyjąć wszystkie cechy, które mojej szlachetnej naturze wydawały się najbardziej odpychające, próbowałem bezlitośnie wyobrazić sobie, że mnie i człowieka, który nosi moje nazwisko, rozdzielają góry i morza. Godziny upłynęły, nim zdobyłem się na to, by wrócić tutaj i zaryzykować spotkanie z Allanem Armadale'em. Kiedy już wróciłem i kiedy spotkał mnie w nocy na schodach, pomyślałem, że patrzę mu w twarz tak samo, jak mój ojciec patrzył w twarz jego ojcu w chwili, gdy zamknęły się między nimi drzwi kajuty. Niech pan wyciągnie z tego swoje własne wnioski. Może pan powie, że między innymi odziedziczyłem po ojcu pogańską wiarę w fatum. Nie będę z tym dyskutował. Przyznaję, że przez cały wczorajszy dzień jego przesąd był również moim. Dopiero gdy zapadła noc, odnalazłem w sobie spokojniejsze i jaśniejsze myśli. Ale odnalazłem je. Może pan zapisać na moją korzyść to, że w końcu udało mi się wyjść

poza krąg oddziaływania tego straszego listu. Wie pan, co mi pomogło?

- Staraleś się przemówić sobie do rozsądku?
- Nie mogę dyskutować z tym, co czuję.
- Znalazłeś ukojenie w modlitwie?
- Nie byłem w stanie się modlić.
- A jednak coś wskazało ci drogę do wyższych uczuć i trafniejszego osądu?
- Tak.
- Co to takiego?
- Moja miłość do Allana Armadale’a.

Mówiąc to, rzucił panu Brockowi niepewne, niemal bojaźliwe spojrzenie, po czym, wstając niespodziewanie od stołu, wrócił na miejsce przy oknie.

– Czyż nie mam prawa mówić o nim w ten sposób? – zapytał, z twarzą odwróconą od proboszcza. – Czyż nie znam go dostatecznie długo, czy nie zrobiłem dla niego wystarczająco dużo? Proszę pamiętać, jakie miałem doświadczenia z innymi ludźmi, gdy po raz pierwszy zobaczyłem jego wyciągniętą rękę, kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego głos odzywający się do mnie w mojej chorobie. Od jakiej strony znałem ręce obcych ludzi przez całe dzieciństwo? Znałem tylko ręce wzniesione do odgrazania się i do bicia. Jego ręka poprawiła mi poduszkę, poklepała mnie po ramieniu, dała mi jeść i pić. Od jakiej strony znałem głosy innych mężczyzn w czasie, gdy sam stawałem się mężczyzną? Znałem tylko głosy, które drwiły, głosy, które złorzeczyły, głosy, które szeptały po kątach pełne nikczemnej podejrzliwości. Jego głos powiedział do mnie: „Rozchmurz się, Midwinter! Wkrótce znów postawimy cię na nogi. Za tydzień będziesz miał dość sił, by wybrać się ze mną na przejażdżkę po okolicy”. Proszę pomyśleć o kiju Cygana, o potworach śmiejących się ze mnie, gdy przechodziłem pod ich oknami z martwym pieskiem w ramionach, o panu, który na łożu śmierci ograbił mnie z miesięcznej pensji, i zadać sobie w sercu pytanie, czy nieszczęśnik, którego Allan potraktował jak równego sobie i przyjaciela, przesadził, mówiąc, że go kocha. Naprawdę go kocham! Muszę to okazywać, nie potrafię tego ukryć. Kocham nawet ziemię, po której stąpa! Oddałbym życie... tak, to życie, które jest mi teraz tak drogie, ponieważ jego dobroć

sprawiła, że jest to życie szczęśliwe... Mówię panu, że oddałbym życie...

Słowa uwięzły mu w gardle. Wzburzone emocje spotęgowały się i opanowały go. Jedną rękę wyciągnął w kierunku pana Brocka w rozpaczliwym geście błagania, głowa opadła mu na parapet i wybuchnął płaczem.

Nawet teraz dała o sobie znać żelazna dyscyplina, jakiej poddane było życie młodzieńca. Nie oczekiwał współczucia, nie liczył na miłosierny ludzki szacunek dla ludzkiej słabości. Jego umysł nie zapomniał o bezwzględnej potrzebie panowania nad sobą, podczas gdy po policzkach ciekły mu łzy.

– Proszę dać mi minutę – rzekł słabym głosem. – Zaraz się opanuję. Nie będę pana więcej zadręczał w ten sposób.

Zgodnie z zapowiedzią w minutę powściągnął swoje emocje. Potem mógł już mówić spokojnie.

– Wrócimy teraz, proszę pana, do owych jaśniejszych myśli, które kazały mi przyjść do pańskiego pokoju – podjął. – Mogę tylko powtórzyć, że nigdy nie uwolniłbym się spod działania listu, gdybym nie kochał Allana Armadale'a całą braterską miłością, jaką w sobie noszę. Powiedziałem sobie: „Jeśli myśl o rozstaniu z nim łamie mi serce, myśl ta jest zła!”. Było to kilka godzin temu i nadal jestem tego samego zdania. Nie mogę uwierzyć, nie uwierzę w to, że miłość zrodzona z niczego innego jak dobroci z jednej strony i wdzięczności z drugiej jest zmuszona prowadzić do czegoś złego. Jest pan pastorem, niech pan rozsądzi pomiędzy zmarłym ojcem, którego słowo jest spisane na tych kartach, i żywym synem, którego słowo jest na jego ustach! Co jest mi dane zrobić teraz, gdy oddycham tym samym powietrzem i żyję pod jednym dachem z synem człowieka, którego zabił mój ojciec – powtórzyć zbrodnię ojca, śmiertelnie go raniąc, czy też zadośćuczynić za zbrodnię ojca, ofiarowując mu całe moje życie? Z tych dwóch przekonań drugie jest moim własnym i będzie nim, cokolwiek się zdarzy. Siła tego przekonania przywiodła mnie tutaj, by powierzyć panu tajemnicę mego ojca i wyznać godną pożałowania historię mego własnego życia. Siła tego przekonania sprawia, że mogę śmiało zadać panu jedno proste pytanie, które w jeden prosty sposób podsumowuje wszystko, co chciałem powiedzieć. Pański wychowanek stoi na progu nowej drogi życia, w położeniu wybitnie samotnym. Jedyńm, czego naprawdę potrzebuje, jest

towarzysz w jego wieku, na którym może polegać. Nadszedł moment, proszę pana, by zdecydować, czy to ja mam być tym towarzyszem, czy też nie. Po tym wszystkim, czego dowiedział się pan o Oziashu Midwinterze, proszę powiedzieć wprost: czy zaufa mu pan i uzna, że może on być przyjacielem Allana Armadale'a?

Pan Brock przyjął to nieustraszenie szczere pytanie z nieustraszoną szczerością.

– Wierzę, że kochasz Allana – powiedział. – I wierzę, że powiedziałaś prawdę. Ktoś, kto wywarł na mnie takie wrażenie, jest osobą, której zmuszony jestem ufać. Ufam ci.

Midwinter zerwał się na równe nogi, a na jego smagłą twarz wypłynął głęboki rumieniec. Jego oczy płonęły, a wzrok był utkwiony w twarzy proboszcza.

– Ognia! – wykrzyknął, jedna po drugiej uwalniając kartki listu ojca z zapięcia. – Zniszczmy ostatnie ogniwo łączące nas z potworną przeszłością! Niech to wyznanie zmieni się w garstkę popiołu, zanim się rozstaniemy!

– Poczekaj! – powiedział pan Brock. – Zanim je spalisz, trzeba spojrzeć na nie raz jeszcze.

Luźne karki rękopisu wypadły z rąk Midwintera. Pan Brock podniósł je i zaczął starannie układać, aż znalazł ostatnią stronę.

– Mam takie samo zdanie na temat przesądu twego ojca jak i ty – rzekł proboszcz. – Jednak jest tu przestroga, której lepiej (dla dobra Allana oraz własnego) nie lekceważyć. Ostatnie ogniwo łączące nas z przeszłością nie zostanie zniszczone, kiedy spalisz te strony. Jeden z aktorów tej historii zdrady i morderstwa jeszcze nie umarł. Przeczytaj te słowa.

Przesunął kartkę w poprzek stołu z palcem na jednym zdaniu. Pobudzenie Midwintera zwiodło go. Pomylił się co do wskazanego miejsca i przeczytał: „Unikaj wdowy po człowieku, którego zabiłem – jeśli ta nadal żyje”.

– Nie to zdanie – powiedział proboszcz. – Następne.

Midwinter przeczytał: „Unikaj pokojówki, której nikczemna ręka utorowała drogę do małżeństwa – jeśli nadal jej służy”.

– Pokojówka i jej pani rozstały się – odezwał się pan Brock – kiedy pani wyszła za mąż. Spotkały się ponownie zeszłego roku w domu pani Armadale w hrabstwie

Somerset. Osobiście spotkałem tę kobietę w wiosce i wiem, że jej wizyta przyspieszyła śmierć pani Armadale. Poczekaj chwilę i uspokój się. Widzę, że cię zatrwożyłem.

Odczekał, jak mu kazano, podczas gdy rumieniec na jego twarzy przeszedł w popielatą bladość, a płomień w czystych brązowych oczach powoli zgasł. Wrażenie, jakie wywarły na nim słowa proboszcza, nie było przelotne. W jego twarzy widać było coś więcej niż zwątpienie – widać było w niej niepokój, gdy tak siedział zatopiony w myślach. Czy odnawiała się w nim walka, którą stoczył poprzedniej nocy? Czy czuł ogarniającą go na nowo grozę odziedziczonego przesądu?

– Czy może pan mi pomóc się przed nią ustrzec? – zapytał po długiej chwili milczenia. – Czy może mi powiedzieć, jak się nazywa?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, ile wiem od pani Armadale – odparł pan Brock. – Kobieta przyznała, że w długiej przerwie dzielącej ją od ostatniego spotkania z jej panią wyszła za mąż. Jednak ani słowem więcej nie zdradziła się na temat swojej przeszłości. Przyszła do pani Armadale prosić o pieniądze, tłumacząc to swoim ciężkim położeniem. Dostała pieniądze i poszła, a zagadnięta o nazwisko po mężu, stanowczo odmówiła odpowiedzi.

– Widział ją pan we wsi na własne oczy. Jak wyglądała?

– Miała spuszczonej woalkę. Nie potrafię powiedzieć.

– Może mi pan powiedzieć, co widział?

– Owszem. Kiedy się do mnie zbliżyła, dostrzegłem, że poruszała się z gracją, miała ładną figurę i była nieco ponad średniego wzrostu. Kiedy spytała mnie, jak trafić do domu pani Armadale, zauważyłem, że miała maniery damy, a ton jej głosu był nadzwyczaj łagodny i ujmujący. Potem przypomniałem sobie jeszcze, że była ubrana w gęsty czarny woal, czarny czepek, czarną, jedwabną suknię i czerwony szal w tureckie wzory. Zdaję sobie sprawę, że potrzebne ci są lepsze wskazówki pozwalające ją zidentyfikować niż te, które mogę podać. Ale niestety...

Urwał. Midwinter pochylał się w ożywieniu nad stołem, a jego ręka znalazła się nagle na ramieniu proboszcza.

– Czy możliwe jest, byś znał tę kobietę? – spytał pan Brock, zdziwiony niespodziewaną zmianą jego zachowania.

– Nie.

– Co zatem takiego powiedziałem, co tak cię poruszyło?

– Pamięta pan kobietę, która rzuciła się do rzeki z pokładu parowca? – spytał tamten. – Tę samą, która uruchomiła ciąg zdarzeń otwierający Allanowi Armadale’owi drogę do majątku Thorpe Ambrose?

– Pamiętam jej opis w raporcie policyjnym – odrzekł proboszcz.

– Kobieta ta – ciągnął Midwinter – poruszała się z gracją i miała ładną figurę. Była ubrana w czarną woalkę, czarny czepek, czarną, jedwabną suknię i czerwony szal w tureckie wzory...

Urwał, wypuścił z uścisku ramię pana Brocka i gwałtownie wrócił na krzesło.

– Czy to możliwe, że to ta sama? – powiedział półgłosem sam do siebie. – Czy nieświadomych niczego ludzi prześladowuje jakieś fatum? I czy podąża za nami śladami tej kobiety?

Jeśli przypuszczenie to było prawdziwe, jedyne przeszłe wydarzenie, które zdawało się być zupełnie niezwiązane z poprzedzającymi je wypadkami, okazywało się być, paradoksalnie, brakującym ogniwem, które spajało łańcuch wydarzeń. Zdrowy rozsądek pana Brocka instynktownie wykluczył tę zadziwiającą konkluzję. Spojrzał na Midwintera z pobłażliwym uśmiechem.

– Młody przyjacielu – powiedział życzliwie – czy wyzbyłeś się wszelkich przesądów tak dokumentnie, jak sądzisz? Czy to, co przed chwilą powiedziałeś, jest zgodne z owym przekonaniem, do którego doszedłeś wczorajszej nocy?

Głowa Midwintera opadła na piersi, rumieniec powtórnie zalał mu twarz. Westchnął głęboko.

– Zaczyna pan wątpić w moją szczerość – rzekł. – Nie mogę mieć mu tego za złe.

– Wierzę w twoją szczerość tak samo mocno – odparł pan Brock. – Zastanawiam się tylko, czy umocniłeś słabe punkty swojej natury tak skutecznie, jak ci się wydaje. Niejeden człowiek przegrał o wiele więcej bitew z samym sobą niż ty do tej pory, a jednak ostatecznie odniósł zwycięstwo. Nie obwiniam cię, nie jestem wobec ciebie

podejrzliwy. Zauważam tylko, co się stało, by przestrzec cię przed samym sobą. Nuże! Poradź się swojego zdrowego rozsądku, a zgodzisz się ze mną, że nie istnieje dowód uzasadniający podejrzenie, iż kobieta, którą spotkałem w hrabstwie Somerset, i niedoszła samobójczyni z Londynu to jedna i ta sama osoba. Czy starzec taki jak ja musi przypominać młodzieńcowi takiemu jak ty, że w Anglii są tysiące kobiet o ładnej figurze, tysiące kobiet niepozornie ubranych w czarne, jedwabne suknie i czerwone szale w tureckie wzory?

Midwinter ochoczo uczeplił się tej myśli. Zbyt ochoczo, jak mógłby pomyśleć bardziej zacięty krytyk ludzkiej natury niż pan Brock.

– Ma pan całkowitą rację – rzekł – a ja całkowicie się mylę. Jak pan mówi, dziesiątki tysięcy kobiet odpowiadają temu opisowi. Tracę czas na próżne fantazje, podczas gdy powinienem skrupulatnie gromadzić fakty. Jeśli kobieta ta kiedykolwiek spróbuje odnaleźć Allana, muszę być gotowy, by ją powstrzymać.

Zaczął gorączkowo przetrząsać karty rękopisu rozrzucone po stole, zatrzymał się przy jednej stronie i uważnie się jej przyjrzał.

– Mam tu coś, co mi się przyda – ciągnął – coś, co pomoże mi ustalić jej wiek. W chwili ślubu pani Armadale miała ona dwanaście lat. Dodajmy rok i otrzymujemy trzynaście. Dodajmy wiek Allana (dwadzieścia dwa) i wychodzi na to, że obecnie jest kobietą trzydziestopięcioletnią. Wiem, ile ma lat, i wiem, że ma swoje powody, aby milczeć na temat życia w małżeństwie. To tyle na początek, a z czasem może dowiemy się czegoś więcej.

Spojrzał z radością na pana Brocka.

– Czy dobrze teraz rozumiem? Czy robię, co mogę, by skorzystać z przestrogi, którą był mi pan uprzejmy dać?

– Rehabilitujesz swój zdrowy rozsądek – odparł proboszcz, zachęcając go, by zlekceważył swoją wyobraźnię z typową dla Anglika nieufnością wobec najszlachetniejszej z ludzkich zdolności. – Torujesz sobie drogę do szczęśliwego życia.

– Naprawdę? – powiedział tamten w zamyśleniu.

Raz jeszcze przetrząsnął papiery i zatrzymał się przy innej z rozrzuconych

kartek.

– Statek! – wykrzyknął nagle, a zabarwienie jego twarzy i sposób bycia zmieniły się w okamgnieniu.

– Jaki statek? – zapytał proboszcz.

– Statek, na którym to się stało – odparł Midwinter, zdradzając pierwsze jak dotąd oznaki zniecierpliwienia. – Statek, na którym zbrodnicza ręka mojego ojca przekręciła klucz w drzwiach kajuty.

– Co z nim? – spytał pan Brock.

Zdawało się, że nie usłyszał pytania. Jego wzrok był utkwiony w stronie, którą czytał.

– Francuski statek, używany w handlu drewnem – odezwał się, nadal mówiąc do siebie. – Francuski statek o nazwie „La Grace de Dieu”. Jeśli przeświadczenie mego ojca było słuszne, jeśli z za grobu ojca krok w krok prześladowało mnie fatum, podczas którejś z moich morskich podróży powinienem był zaciągnąć się na ten statek.

Spojrzał ponownie na pana Brocka.

– Teraz jestem tego pewien – rzekł. – To są dwie różne kobiety, nie jedna.

Pan Brock potrząsnął głową.

– Cieszę się, że doszedłeś do tego wniosku – powiedział. – Wolałbym jednak, abyś doszedł do niego w jakiś inny sposób.

Midwinter skoczył gwałtownie na równe nogi, obiema rękami chwycił karty rękopisu i cisnął je do pustego kominka.

– Na miłość boską, niech pan pozwoli mi to spalić! – wykrzyknął. – Dopóki istnieje choćby jedna strona, będę ją czytał. A jeśli będę ją czytał, mój ojciec wbrew mojej woli weźmie nade mną górę!

Pan Brock wskazał pudełko z zapalkami. W chwilę później wyznanie stanęło w płomieniach. Gdy ogień strawił ostatni strzęp papieru, Midwinter wydał głębokie westchnienie ulgi.

– Mogę powtórzyć za Makbetem: „Ha, znikł; dobrze – jestem znów mężczyzną”³
– wykrzyknął z gorączkową radością. – Wygląda pan na zmęczonego i nic dziwnego

– dodał ciszej. – Zbyt długo nie pozwalałem panu odpocząć, już dłużej nie będę przeszkadzał. Może pan polegać na tym, że nie zapomnę, co mi pan powiedział, może pan polegać na tym, że stanę pomiędzy Allanem i jakimkolwiek wrogiem, mężczyzną czy kobietą, który się do niego zbliży. Dziękuję panu, panie Brock, po tysiącokroć dziękuję! Wszedłem do tego pokoju jako najniezwyklejszy z żyjących ludzi. Teraz wychodzę tak szczęśliwy jak ptaki, które szczebiocą na zewnątrz!

W chwili, gdy skierował się do drzwi, promienie wschodzącego słońca wpadły przez okno i oświetliły garstkę czarnego popiołu leżącego w ciemnej czeluści paleniska. Widok ten natychmiast pobudził wrażliwą wyobraźnię Midwintera.

– Niech pan spojrzy! – rzekł radośnie. – Obietnica przyszłości połyskuje ponad popiołami przeszłości.

Niewytłumaczalne współczucie wobec człowieka w tym momencie jego życia, w którym najmniej potrzebował współczucia, zakradło się do serca proboszcza, gdy już zamknęły się drzwi i znowu został sam.

– Biedaczysko – powiedział, odczuwając przykre zdziwienie własnym współczującym odruchem. – Biedaczysko!

² Highland fling – tradycyjny taniec szkocki (przypis tłumacza).

³ Cytat z *Makbeta* w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka (przypis tłumacza).

III. DZIEŃ I NOC

Godziny poranne minęły, nadeszło i minęło południe i pan Brock wyruszył w pierwszy etap swojej podróży powrotnej.

Pożegnawszy proboszcza w porcie w Douglas, dwóch młodych ludzi wróciło do Castletown i rozstało się tam przed drzwiami hotelu – Allan zszedł nad morze doglądać jachtu, a Midwinter wszedł do środka, aby odpocząć po bezsennej nocy.

Zaciemnił swój pokój, zamknął oczy, ale sen nie nadchodził. Pierwszego dnia nieobecności proboszcza jego wrażliwa natura przesadnie wyolbrzymiała odpowiedzialność, jaką wziął na siebie w imieniu pana Brocka. Silna obawa przed pozostawieniem Allana samego nawet na kilka godzin nie pozwalała mu spać i dręczyła wątpliwościami do tego stopnia, że bardziej z ulgą niż niechęcią wstał z łóżka i, idąc w ślady przyjaciela, udał się nad morze.

Naprawa małej jednostki bliska była ukończenia. Wstał rześki, pogodny dzień. Łąd był jasny, woda błękitna, drobne fale energicznie podskakiwały w blasku słońca, mężczyźni śpiewali przy pracy. Zszedłszy do kajuty, Midwinter zastał przyjaciela zajętego usiłowaniem doprowadzenia miejsca do ład. W Allanie, z natury jak najdalszym od systematyczności, od czasu do czasu budziła się przemożna świadomość zalet płynących z porządku i w takich chwilach wpadał w istny szal sprzątnięcia. Gdy Midwinter zajrzał do niego, ten klęczał, bez reszty zajęty pracą i z taką werwą doprowadzał małą, schludną przestrzeń kajuty do stanu pierwotnego chaosu, że aż miło było patrzeć.

– Ale bałagan! – powiedział Allan, spokojnie wynurzając się znad sterty zgromadzonych śmieci. – Wiesz, drogi kolego, zaczynam żałować, że nie zostawiłem tego w spokoju!

Midwinter uśmiechnął się i przyszedł przyjacielowi z pomocą z naturalną zręcznością marynarza.

Pierwszym przedmiotem, jaki wpadł mu w ręce, był wywrócony do góry nogami neseser Allana. Połowa zawartości rozsypała się po podłodze, a pośród rzeczy wałały się szczotka do kurzu i miotełka. Wkładając różne przedmioty stanowiące zawartość nesesera z powrotem do środka, Midwinter niespodziewanie dostrzegł miniaturowy portret o staromodnym owalnym kształcie, w misternej oprawie z diamentów.

– Wygląda na to, że nie przywiązujesz do tego zbyt wielkiej wagi – rzekł. – Co to jest?

Allan pochylił się nad nim i spojrzał na miniaturę.

– Należało to do mojej matki – odparł – i przywiązuję do tego najwyższą wagę. To portret mego ojca.

Midwinter gwałtownie wcisnął miniaturę w ręce Allana i cofnął się w przeciwną stronę kajuty.

– Sam wiesz najlepiej, gdzie położyć te rzeczy w swoim neseserze – odezwał się, plecami odwrócony do Allana. – Ja posprzątam tę część kajuty, a ty posprzątasz tamtą.

Zaczął porządkować śmieci porozrzucone wokół niego na stole i na podłodze kajuty. Wyglądało jednak na to, że zrzędzeniem losu tego ranka gdziekolwiek nie położyłby ręk, wpadały w nie osobiste rzeczy przyjaciela. Jednym z pierwszych przedmiotów, które podniósł, był słoik na tytoń Allana. W miejsce brakującej zatyczki wepchnięto list, który, sądząc po objętości, zawierał załączniki.

– Pamiętasz, że to tu włożyłeś? – spytał. – Czy to ważny list?

Allan rozpoznał go natychmiast. Był to pierwszy z krótkiej serii listów, która dotarła za uczestnikami rejsu na Wyspę Man, ten sam, o którym młody Armadale krótko wspomniał: „niekończące się zawracanie głowy: oto, o czym piszą prawnicy”, po czym został usunięty z oczu tak beztrudno jak wszystko inne.

– Oto, czym się kończy nadmierna ostrożność – rzekł Allan. – Masz przed sobą przykład skrajnej zapobiegliwości. Może na to nie wygląda, ale włożyłem tam list celowo. Za każdym razem, gdy sięgałem po słoik, musiałem zobaczyć list, i za

każdym razem, gdy go widziałem, musiałem powiedzieć do siebie: „trzeba na niego odpisać”. Nie ma się z czego śmiać, to było bardzo rozsądne rozwiązanie. Gdybym tylko wiedział, gdzie położyłem słoik. Może tym razem zawiążę supeł na chusteczce do nosa? Masz znakomitą pamięć, drogi kolego. Może przypomnisz mi o tym później na wypadek, gdybym tym razem zapomniał zawiązać supeł?

Po raz pierwszy od wyjazdu pana Brocka Midwinter dostrzegł okazję, by z pożytkiem zająć jego miejsce.

– Oto twój przybornik do pisania – powiedział. – Czemu by nie odpisać na list od razu? Jeśli znów go odłożysz, możesz znów zapomnieć.

– Racja – odparł Allan. – Najgorsze jest jednak to, że nie mogę się zdecydować, co odpisać. Potrzebuję porady. Usiądź tu, a ja wszystko ci wyjaśnię.

Z głośnym chłopięcym śmiechem, któremu wtórował Midwinter zarażony jego wesołością, zrzucił z kanapy stos różnorodnych przedmiotów, zwalniając miejsce dla siebie i swego przyjaciela. W przyplýwie młodzieńczego dobrego nastroju usiedli do błahej narady nad listem zawieruszonym w słoiku na tytoń. Jakkolwiek podchodzili wtedy do niego beztrosko, moment ten miał okazać się dla obu z nich pamiętny. Nim wstali ze swoich miejsc, postawili pierwszy nieodwołalny wspólny krok na mrocznej i bolesnej drodze przyszłego życia.

Sprowadzona do czystych faktów kwestia, w której Allan potrzebował porady przyjaciela, przedstawiała się następująco:

Podczas gdy trwały różne przygotowania związane z przekazaniem majątku Thorpe Ambrose i gdy nowy właściciel posiadłości nadal przebywał w Londynie, nieuchronnie pojawiło się pytanie, kogo należy wyznaczyć do zarządzania majątkiem. Nie tracąc czasu, zarządca zatrudniony przez rodzinę Blanchardów przysłał list, oferując swoje usługi. Pomimo że był człowiekiem w pełni kompetentnym i godnym zaufania, nie znalazł uznania w oczach nowego właściciela. Allan, jak zawsze działający impulsywnie i gotowy za wszelką cenę umieścić Midwintera jako stałego mieszkańca w Thorpe Ambrose, zdecydował, iż posada zarządcy jest stworzona dla jego przyjaciela z tego prostego względu, że zmusiłaby tego ostatniego do zamieszkania z nim w jednej posiadłości. Dlatego też wysłał list odrzucający złożoną mu propozycję, bez konsultacji z panem Brockiem,

którego dezaprobaty mógł się spodziewać, i nie mówiąc nic Midwinterowi, który prawdopodobnie (gdyby miał możliwość wyboru) odmówiłby przyjęcia posady, do jakiej bezspornie kwalifikowało go przeszłe doświadczenie.

Po decyzji tej nastąpiła dalsza wymiana listów i pojawiły się dwie nowe trudności, które na pierwszy rzut oka wydawały się nieco kłopotliwe, ale na sposób rozwiązania których Allan z łatwością wpadł z pomocą prawnika. Pierwsza z nich, dotycząca sprawdzenia ksiąg ustępującego zarządcy, została rozwiązana w ten sposób, że do Thorpe Ambrose wysłano biegłego księgowego. Druga trudność, polegająca na tym, by zrobić jakiś użytek z pustego domku zarządcy (Allan zakładał, że Midwinter zamieszka z nim pod jednym dachem), została rozwiązana w ten sposób, że zgłoszono domek do rejestru agenta nieruchomości w sąsiednim mieście. Taki był stan rzeczy w momencie, gdy Allan wyjeżdżał z Londynu. Nie miał wiadomości w tej sprawie ani nie wracał już do niej myślami, dopóki na Wyspie Man nie otrzymał listu od prawników zawierającego dwóch ofert wynajęcia domku, obu nadesłanych w tym samym dniu, oraz prośby, by przy najbliższej sposobności odpisał, którą z ofert był gotów przyjąć.

Postawiony wobec konieczności podjęcia decyzji po tym, jak temat ten został na kilka dni wygodnie zapomniany, Allan pokazał przyjacielowi obie oferty i, udzieliwszy chaotycznych wyjaśnień dotyczących okoliczności sprawy, poprosił o radę. Zamiast przyjrzeć się ofertom Midwinter bezceremonialnie odłożył je na bok i zadał dwa bardzo naturalne i bardzo niewygodne pytania o to, kto ma być nowym zarządcą i dlaczego ma on mieszkać w domu Allana.

– Powiem ci kto i powiem ci dlaczego, kiedy przyjedziemy do Thorpe Ambrose – odrzekł Allan. – W międzyczasie będziemy nazywać zarządcę X. Y. Z. i powiemy, że będzie mieszkać ze mną, bo jestem diabelnie surowy i mam zamiar mieć go na oku. Nie rób takiej zdziwionej miny. Znam tego człowieka na wylot, wymaga sprawowania kontroli. Gdybym uprzednio zaoferował mu posadę zarządcy, jego skromność weszłaby mu w drogę i powiedziałby „nie”. Jeśli postawię go przed faktem dokonanym, bez słowa uprzedzenia i nie mając pod ręką nikogo, kto mógłby go zmienić na stanowisku, nie będzie miał innego wyboru, jak uwzględnić mój interes i powiedzieć „tak”. Mówię ci, X. Y. Z. nie jest wcale złym człowiekiem.

Zobaczysz go, jak przyjedziemy do Thorpe Ambrose, i zdaje mi się, że ty i on niezwykle przypadniecie sobie do gustu.

Błysk rozbawienia w oku Allana, figlarnie porozumiewawczy ton jego głosu w mig zdradziłyby, o kogo chodzi człowiekowi, który odniósł w życiu sukces. Midwinter był równie daleki od podejrzeń jak cieśle zajęci pracą na pokładzie nad ich głowami.

– Czy teraz w majątku nie ma zarządcy? – spytał, a wyraz jego twarzy jednoznacznie wskazywał na to, że nie był ukontentowany odpowiedzią Allana. – Czy przez cały ten czas interes pozostaje zaniedbany?

– Nic podobnego! – odparł Allan. – Interes idzie jak „mokry szot, jak fali bieg, jak wiatr, co wieje, kędy chce”. Nie żartuję. Stosuję tylko metaforę. Biegły księgowy wetknął nos w księgi, a zaufany urzędnik z kancelarii prawnika dogląda biura raz w tygodniu. Nie wygląda to na zaniedbanie, prawda? Daj na razie spokój nowemu zarządcy i powiedz mi po prostu, którego z tych dwóch lokatorów wybrałbyś na moim miejscu.

Midwinter otworzył oferty i uważnie je przeczytał.

Pierwsza pochodziła nie od kogo innego, jak prawnika rodziny z Thorpe Ambrose, tego samego, który po raz pierwszy poinformował Allana będącego w Paryżu o znacznej fortunie, jaka przypadła mu w udziale. Dżentelmen ten osobiście donosił, że od dawna podziwiał domek, malowniczo usytuowany w granicach posiadłości Thorpe Ambrose. Był kawalerem o intelektualnych nawykach, pragnącym odpoczywać w wiejskim ustroniu od trudów pracy zawodowej, i ośmielał się twierdzić, że przyjmując go jako lokatora, pan Armadale zapewni sobie spokojnego sąsiada i powierzy domek w odpowiedzialne i ostrożne ręce.

Druga z ofert została złożona za pośrednictwem agenta nieruchomości przez osobę zupełnie nieznaną. W tym wypadku lokatorem zainteresowanym domkiem był emerytowany oficer wojska, niejaki major Milroy. Jego rodzina składała się jedynie z żony inwalidki i córki jedynaczki – młodej panienki. Jego referencje były nienaganne i jemu również niezwykle zależało na zajęciu domku, jako że idealny spokój był dokładnie tym, czego potrzebowała pani Milroy przy jej nadwątlonym

zdrowiu.

– No więc, którą profesję mam wyróżnić? – zapytał Allan. – Wojskowego czy prawnika?

– Wydaje się, że nie ma wątpliwości – rzekł Midwinter. – Prawnik już z tobą korespondował i dlatego prośba prawnika jest tą, która powinna mieć pierwszeństwo.

– Wiedziałem, że tak powiesz. Za każdym z tysiąca razy, kiedy prosiłem ludzi o radę, ani razu nie otrzymałem rady, jakiej oczekiwałem. Weźmy na przykład obecny przypadek wynajęcia domku. Ja sam jestem zupełnie odmiennego zdania. Chcę wybrać majora.

– Dlaczego?

Młody Armadale położył palec wskazujący w tym miejscu listu, który wymieniał członków rodziny majora Milroya i w którym znajdowały się dwa słowa: „młodej panienki”.

– Kawaler o intelektualnych nawykach spacerujący po mojej ziemi – rzekł Allan – nie jest interesującym obiektem. Młoda panienka owszem. Nie mam cienia wątpliwości, że panna Milroy jest czarującą dziewczyną. Oziastu Midwinterze o surowym obliczu! Pomyśl o jej ślicznej muślinowej sukni przemykającej pomiędzy twoimi drzewami i wkraczającej na twój teren, pomyśl o jej uroczych stopach wchodzących do twojego sadu i jej rozkosznych świeżych wargach muskających dojrzałe brzoskwinie, pomyśl o jej dłoniach z małymi dołeczkami zrywających pierwsze fiołki i alabastrowym nosku zatopionym w kwiatach jasnych róż. Co ma mi do zaoferowania w zamian intelektualny kawaler? Widok brązowego reumatyka w ocieplaczach i peruce. Nie! Nie! Sprawiedliwość jest dobra, drogi przyjacielu, ale wierz mi, panna Milroy jest lepsza.

– Czy potrafisz poważnie traktować jakąkolwiek z życiowych spraw, Allanie?

– Mogę spróbować, jeśli chcesz. Wiem, że powinienem wybrać prawnika, ale co poradzę na to, że córka majora chodzi mi po głowie?

Midwinter z determinacją powrócił do słusznego i rozsądnego podejścia do sprawy i ze wszystkich sił zaczął je forsować. Wysłuchawszy go do końca

z przykładną cierpliwością, Allan usunął ze stołu dodatkowe zagracające go przedmioty i wyjął z kieszeni kamizelki monetę o wartości pół korony.

– Mam zupełnie inny pomysł – rzekł. – Niech rozstrzygnie przypadek.

Niedorzeczność tej propozycji, jako pochodzącej od właściciela, miała nieodparty urok. Powaga opuściła Midwintera.

– Ja rzucę – ciągnął Allan – a ty zawołasz. Musimy dać pierwszeństwo wojsku, rzecz jasna, powiedzmy więc, że orzeł to major, a reszka prawnik. Jeden rzut zdecyduje. A teraz uważaj!

Rzucił monetę na stół.

– Reszka! – zawołał Midwinter, oddając się rozrywce, którą uważał za jeden z młodzieńczych żartów Allana.

Moneta upadła na stół orłem do góry.

– Nie powiesz chyba, że bierzesz to na serio! – powiedział Midwinter, gdy tamten otworzył przybornik do pisania i zanurzył pióro w atramencie.

– A jednak biorę! – odrzekł Allan. – Przypadek był po stronie mojej i panny Milroy, a ty zostałeś przegłosowany dwa do jednego. Nie ma sensu się spierać. Major był na wierzchu i major będzie miał domek. Nie zostawię tego prawnikom, będą mnie tylko nękać kolejnymi listami. Sam napiszę.

Napisał odpowiedzi na obie oferty dosłownie w dwie minuty. Jedną do agenta nieruchomości: „Szanowny Panie! Przyjmuję ofertę majora Milroya, niech się wprowadzi, kiedy mu pasuje. Z uszanowaniem, Allan Armadale”. I jedną do prawnika: „Szanowny Panie! Żałuję, że okoliczności nie pozwalają mi przyjąć pańskiej oferty. Z uszanowaniem, Allan Armadale”.

– Ludzie bawią się w ceregiele z pisaniem listów – powiedział Allan, gdy skończył. – Ja nie widzę w tym nic trudnego.

Zaadresował obie wiadomości i nakleił na nie znaczki, wesoło przy tym pogwizdując. Pisząc, nie zauważył, czym zajęty był jego przyjaciel. Gdy skończył, uderzyła go cisza, która nagle zapadła w kajucie, i podniósłszy wzrok, zobaczył, że cała uwaga Midwintera była dziwnie skupiona na monecie leżącej orłem do góry na stole. Allan w osłupieniu przestał gwizdać.

– Co ty wyprawiasz? – spytał.

– Zastanawiałem się tylko – odparł Midwinter.

– Nad czym? – dociekał Allan.

– Zastanawiałem się – powiedział tamten, wręczając mu monetę – czy istnieje coś takiego jak przypadek.

W pół godziny później obie wiadomości zostały nadane i Allan, któremu jak dotąd nadzorowanie naprawy jachtu nie pozwalało na dłuższy wypoczynek na lądzie, zaproponował, by spędzić kilka wolnych godzin, odbywając przechadzkę po Castletown. Nawet pełne niepokoju pragnienie Midwintera, aby zasłużyć na zaufanie pana Brocka, nie dostrzegło w tej niewinnej propozycji nic niezwykłego i obaj młodzieńcy wybrali się zobaczyć, jakie atrakcje oferuje stolica Wyspy Man.

Wątpliwe, czy jest na zamieszkałym świecie drugie miejsce uważane za inwestycję turystyczną polecającą się uwadze obcych, które cieszy się równie małym zainteresowaniem jak Castletown. Poczynając od nabrzeża, można było obejrzeć port wewnętrzny z mostem zwodzonym do przepuszczania jednostek pływających, port zewnętrzny, zakończony karłowatą latarnią morską, płaskie wybrzeże na prawo, płaskie wybrzeże na lewo. W zacisznym centrum miasta znajdował się przysadzisty szary budynek zwany zamkiem, ponadto pamiątkowa kolumna poświęcona gubernatorowi Smeltowi zwieńczona płaską głowicą z miejscem na posąg, ale bez posągu, dalej koszary mieszczące pół kompanii wojska przydzielonego wyspie i prezentujące światu jednego podupadłego na duchu wartownika przy samotnych drzwiach. W mieście dominował kolor jasnoszary. Kilka otwartych sklepów było w regularnych odstępach poprzedzielanych innymi sklepami – zamkniętymi i porzuconymi w rozpacz. Wynajmujący łodzie, którzy próżnowali na nabrzeżu, tu próżnowali w trójnasób. Miejscowa młodzież paliła pospołu w milczącym przygnębieniu pod osłoną ślepego muru. Obdarte dzieci wołały machinalnie: „Daj pensa” i zanim dobroczynna ręka zdążyła sięgnąć do miłosiernej kieszeni, z powrotem popadały w mizantropijne zwątpienie w naturę ludzką, do której zwróciły się o pomoc. Grobowa cisza wylewała się znad przykościelnego cmentarza i wypełniała smętne miasto. Ale jeden budynek, który na oko dobrze prosperował, wznosił się kojąco ponad pustką strasznych ulic. Budynek

ten, uczęszczany przez uczniów sąsiedniego College'u Króla Williama, służył naturalnie jako ciastkarnia. Przynajmniej tutaj (gdy patrzyło się przez przyjazne medium okna) działo się coś, na czym obcy mógł zawiesić wzrok. Właśnie tutaj na wysokich stołkach siedzieli uczniowie college'u, machając nogami oraz wolno poruszając szczękami i, wyciszeni w nieznośnej martwocie Castletown, w skupieniu pochłaniali słodkie wypieki.

– Niech mnie diabli, jeśli dam radę dłużej patrzeć na chłopaków i placki! – powiedział Allan, odciągając przyjaciela od ciastkarni. – Zobaczmy, czy nie można znaleźć jakiejś innej rozrywki na następnej ulicy.

Pierwszym ciekawym obiektem, jaki ukazał się na następnej ulicy, był sklep snycersko-złotniczy, znajdujący się w ostatniej fazie handlowego rozkładu. Na ladzie w jego głębi nie widać było nic poza leżącą głową chłopca, śpiącego spokojnie w niczym niezmaconej ciszy tego miejsca. W oknie wystawiono na widok przechodniów trzy zapomniane, upstrzone przez muchy ramki, niewielką tablicę ogłoszeniową, zakurzoną skutkiem długotrwałego zapomnienia, informującą, że lokal jest do wynajęcia, oraz jedną barwną rycinę, ostatnią z cyklu obrazującego potworności pijaństwa w myśl najsurowszych zasad wstrzemięźliwości. Kompozycja, ukazująca pustą butelkę po dżinie, niezmiernie przestronne poddasze, w pionie postać czytającą Pismo Święte oraz dogorywającą rodzinę w poziomie, upominała się o zainteresowanie publiczności pod zupełnie nienagannym tytułem *Ręka śmierci*. Determinacja Allana, by siłą wydrzeć rozrywkę z Castletown, wytrzymała wiele, ale zawiodła go na tym etapie poszukiwań. Zaproponował wycieczkę w inne miejsce. Midwinter chętnie na to przystał i razem wrócili do hotelu, by zasięgnąć języka.

Dzięki połączonym siłom łatwości Allana w nawiązywaniu kontaktów oraz jego całkowitemu brakowi strategii w zadawaniu pytań na dwóch przybyszów spłynął ogrom informacji dotyczących każdego tematu, tylko nie tego, który faktycznie sprowadził ich do hotelu. Dokonali różnych ciekawych odkryć związanych z prawem i ustrojem Wyspy Man oraz sposobem życia i obyczajami jej mieszkańców. Ku zachwytowi Allana rdzenni mieszkańcy wyrażali się o Anglii jako o dobrze znanej sąsiedniej wyspie oddalonej nieco od położonego centralnie imperium Wyspy Man.

W następnej kolejności dwaj Anglicy dowiedzieli się, że ten szczęśliwy mały naród cieszy się własnymi prawami, raz do roku ogłaszanych publicznie przez gubernatora i dwóch sędziów głównych zgromadzonych na szczycie starożytnego kopca w fantazyjnych strojach stosownych odpowiednio do okazji. Prócz tej pozazdrozczenia godnej instytucji wyspa cieszyła się nieocenionym dobrodziejstwem w postaci lokalnego parlamentu zwanego House of Keys – zgromadzenia daleko przewyższającego parlament należący do sąsiedniej wyspy pod tym względem, że jego członkowie obchodzili się bez obywateli i uroczyście wybierali się między sobą. Słuchając tych i wielu innych lokalnych ciekawostek wyciągniętych od ludzi różnego pokroju w hotelu i wokół hotelu Allan przepędził wolny czas na swój własny przypadkowy sposób, aż gawęda sama się urwała i Midwinter (który w tym czasie rozmawiał osobno z właścicielem hotelu) dyskretnie przypomniał mu o bieżącej sprawie. Najpiękniejsze widoki wybrzeża miały się znajdować na zachodnim i południowym krańcu wyspy. W rejonie tym leżało rybackie miasteczko zwane Port St. Mary, posiadające hotel, w którym mogli spać podróżni. Jeśli wrażenia Allana na temat Castletown nadal skłaniają go do odbycia wycieczki w inne miejsce, wystarczy powiedzieć, a właściciel hotelu natychmiast każe postawić powóz. Allan chętnie przystał na propozycję i w dziesięć minut później wraz z Midwinterem był już w drodze do zachodnich ostępów wyspy.

W ten sposób, pełen jedynie mało istotnych wydarzeń, ciągnął się dzień wyjazdu pana Brocka. Miał on dalej mijać, obfitując w kolejne mało istotne wydarzenia, w których nawet pełna niepokoju czujność Midwintera nie mogła się dopatrzeć niczego podejrzanego, aż do nadejścia nocy – nocy, którą przynajmniej jeden z towarzyszy miał zapamiętać do końca życia.

Podróżni nie ujechali nawet dwóch mil⁴, gdy zdarzył się wypadek. Koń upadł, a woźnica oświadczył, że zwierzę jest poważnie ranne. Nie było innego wyjścia, jak posłać po drugi powóz do Castletown albo dostać się do Port St. Mary na piechotę.

Midwinter i Allan, którzy postanowili iść pieszo, nie uszli jednak daleko, gdy dogonił ich jegomość jadący sam otwartą bryczką. Przedstawił się grzecznie jako lekarz mieszkający w pobliżu Port St. Mary i zaoferował miejsca w powozie. Allan,

zawsze otwarty na nowe znajomości, natychmiast przyjął propozycję. On i doktor (który, jak się okazało, miał na nazwisko Hawbury) zachowywali się przyjaźnie i poufale, nim minęło pięć minut wspólnej podróży, siedzący za nimi na tylnej kanapie Midwinter był zaś powściągliwy i milczący. Rozstali się przed samym Port St. Mary obok domu pana Hawbury'ego. Allan głośno wychwalał gustowne wysokie okna oraz śliczne rabaty kwiatowe i trawnik, a żegnając się, ścisnął jego rękę tak mocno, jak gdyby znali się od dzieciństwa. Po przybyciu do Port St. Mary dwaj przyjaciele znaleźli się w drugim Castletown, tyle że znacznie mniejszym. Jednak okolica – dzika, rozległa i pagórkowata – zasługiwała na swoją reputację. Spacer, na który się wybrali, trwał akurat tyle, że dzień – nadal ten sam niegroźny, leniwy dzień, jakim był od początku, zaczął ustępować miejsca nocy. Po krótkim postoju na podziwianie słońca zachodzącego majestatycznie za wzgórzem, wrzosowiskiem i skalną granią oraz rozmowie o panu Brocku i jego dalekiej podróży do domu, wrócili do hotelu na wczesną kolację. Noc zbliżała się coraz bardziej, a wraz z nią przygoda, którą noc miała przynieść, nadal jednak jedynymi wydarzeniami były w najlepszym razie śmiechu warte incydenty, o ile w ogóle się je zauważyło. Kolacja była źle przyrządzona, pokojówka bezdennie głupia, staromodny sznur od dzwonka w jadalni urwał się, gdy Allan za niego pociągnął, po czym spadając, zawadził o pasterkę z malowanej porcelany stojącą na gzymsie kominka i sprawił, że rozbiła się na kawałki. Te błahostki nadal były jedynymi wydarzeniami, które zaszły w chwili, gdy blask wieczoru zgasł i do pokoju wniesiono zapalone świece.

Widząc, że podwójnie zmęczony nieprzespaną nocą i długim dniem Midwinter nie jest w nastroju do rozmów, Allan zostawił go odpoczywającego na kanapie i udał się na przechadzkę hotelowym korytarzem w nadziei, że spotka kogoś, z kim można by pogawędzić. Tutaj kolejne z mało znaczących wydarzeń tego dnia sprawiło, że Allan i pan Hawbury znów się spotkali, i przyczyniło się – czy fortunnie, czy nie, miało się dopiero okazać – do zacieśnienia znajomości pomiędzy nimi.

Hotelowy „bar” znajdował się na końcu korytarza. Posługiwała w nim gospodyni, właśnie przygotowująca trunek dla doktora, który wpadł na pogawędkę. Kiedy Allan poprosił o pozwolenie, by móc się przyłączyć do rozmowy, pan Hawbury uprzejmie wręczył mu szklanekę, którą właśnie napełniła gospodyni.

Zawartość stanowiła zimna brandy z wodą. Wyraźna zmiana w twarzy Allana, gdy ten nagle cofnął się i poprosił w zamian o whisky nie umknęła bacznej uwadze doktora.

– Przypadek nerwowstrętu – odezwał się pan Hawbury, delikatnie zabierając z powrotem szklankę.

Uwaga ta zobowiązała Allana do wyznania (które był na tyle głupi, by poczynić z lekkim zażenowaniem), że odczuwa nieprzezwyrodną odrazę do zapachu i smaku brandy. Nieważne, z jakim napojem zmieszać ten alkohol, jego obecność, natychmiast wykrywana przez narządy smaku i powonienia, przyprawiała go o mdłości, gdy tylko napój dotykał jego warg. Po tym osobistym wyznaniu rozmowa przeszła na temat wstrętów w ogóle, lekarz zaś ze swej strony oświadczył, że ze względów zawodowych interesuje się tym problemem i że w domu posiada zbiór osobliwych przypadków, do obejrzenia których zaprasza nowego znajomego, o ile Allan nie ma innych planów na wieczór i o ile odwiedzi go za godzinę, po skończonym dniu lekarskiej pracy.

Z wdzięcznością przyjąwszy zaproszenie (które objęło również Midwintera, gdyby ten miał ochotę skorzystać), Allan wrócił do kawiarni poszukać przyjaciela. Na wpół śpiąc, na wpół czuwając, Midwinter nadal leżał wyciągnięty na kanapie, a z jego bezwładnej ręki właśnie wysuwała się lokalna gazeta.

– Słyszałem twój głos w korytarzu – powiedział sennie. – Z kim rozmawiałeś?

– Z doktorem – odparł Allan. – Mam zamiar wypalić z nim cygaro za godzinę. Pójdiesz ze mną?

Midwinter zgodził się z ciężkim westchnieniem. Jak zawsze trwożnie niechętny zawieraniu nowych znajomości, ze względu na zmęczenie czuł teraz jeszcze większą niechęć do bycia gościem pana Hawbury'ego. W zaistniałej sytuacji nie było jednak innego wyjścia, jak pójść, ponieważ wrodzona nierozwaga Allana nie pozwalała bezpiecznie puścić go samopas nigdzie, a zwłaszcza do domu nieznanego. Pan Brock z pewnością nie zostawiłby swojego wychowanka samego w takiej chwili, a Midwinterowi nadal towarzyszyła dręcząca świadomość, że zajmuje miejsce pana Brocka.

– Co będziemy robić do czasu, aż pójdziemy? – zapytał Allan, rozglądając się wokół siebie. – Jest tu coś? – dodał, dostrzegając gazetę i podnosząc ją z podłogi.

– Jestem zbyt zmęczony, żeby popatrzeć. Jeśli znajdziesz coś ciekawego, to przeczytaj na głos – powiedział Midwinter w nadziei, że czytanie pozwoli mu nie zasnąć.

Część gazety, i to niemała, była poświęcona fragmentom książek niedawno wydanych w Londynie. Jedno z dzieł, które najobszerniej przytaczano, było z gatunku interesujących dla Allana: barwna opowieść o przygodach podróżników w australijskiej dzicy. Rzucając się na ustęp, który opisywał katusze podróżników zagubionych wśród bezdroży i bliskich śmierci z pragnienia, Allan oświadczył, że znalazł coś, co sprawi, że jego przyjacielowi ciarki przejdą po plecach, i zaczął ochoczo czytać na głos.

Zdecydowany nie spać, Midwinter śledził rozwój wypadków zdanie po zdaniu, nie roniąc ani słowa. Narada zagubionych podróżników, którym śmierć z pragnienia zaglądała w oczy, postanowienie, by posuwać się dalej, dopóki starczy sił, obfity opad deszczu, próżne wysiłki, by nałapać deszczówki, chwilowa ulga płynąca ze ssania mokrych ubrań, nawrót katuszy kilka godzin później, nocna ucieczka najsilniejszych z grupy, podczas gdy słabsi zostali z tyłu, podążanie śladem lecących o świcie ptaków, odkrycie dużego stawu, które ocaliło życie zagubionych – wszystko to szybko słabnąca uwaga Midwintera przyswajała sobie z trudem, gdy głos Allana z każdym czytany zdaniem docierał do jego uszu coraz bardziej niewyraźnie. Wkrótce kolejne słowa zdawały się łagodnie oddalać i nie pozostało już nic ponad z wolna zamierające brzmienie głosu. Potem światło w pokoju zgasło, dźwięki przeszły w rozkoszną ciszę i ostatnie wrażenia znużonego Midwintera na jawie spokojnie dobiegły końca.

Następnym wydarzeniem, które sobie uświadomił, było natarczywe dzwonicie do zamkniętych drzwi hotelu. Zerwał się na równe nogi z natychmiastową gotowością człowieka, którego życie przyzwyczało do pobudki na zawołanie. Szybkie spojrzenie wokół pozwoliło mu stwierdzić, że pokój jest pusty, a rzut oka na zegarek powiedział mu, że zbliża się północ. Hałas, jaki zrobił rozespany służący, otwierając drzwi, a w następnej chwili odgłos szybkich kroków w korytarzu napełnił

go nagłym przecuciem, że stało się coś złego. Gdy ruszył naprzód, by zorientować się w sytuacji, drzwi kawiarni otwarły się i stanął przed nim lekarz.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział pan Hawbury. – Proszę się nie martwić, nic złego się nie stało.

– Gdzie jest mój przyjaciel? – spytał Midwinter.

– Na molo – odrzekł lekarz. – Jestem do pewnego stopnia odpowiedzialny za to, co teraz robi, i zdaje mi się, że powinna być z nim jakaś odpowiedzialna osoba, taka jak pan.

Tyle wystarczyło Midwinterowi. Natychmiast wyruszył wraz z lekarzem na molo, w drodze zaś pan Hawbury przedstawił okoliczności, jakie przywiodły go do hotelu.

Punktualnie o wyznaczonej porze Allan zjawił się w domu doktora, wyjaśniając, że nie miał serca budzić swojego zmęczonego przyjaciela, który zasnął kamiennym snem na kanapie. Wieczór mijał przyjemnie, a rozmowa zeszła na wiele tematów, aż w złą godzinę pan Hawbury nadmienił, że lubi żeglarstwo i że ma w porcie własną łódkę turystyczną. Z miejsca podekscytowany ulubionym tematem Allan nie pozostawił swojemu gospodarzowi innego, niestojącego w sprzeczności z gościnnością wyboru, jak zabrać go na molo i pokazać łódkę. Urok nocy i łagodny powiew bryzy dopełniły nieszczęścia: Allan nabrał nieprzepartej chęci odbycia morskiej wycieczki w świetle księżyca. Lekarz, któremu zawodowe zobowiązania kazały pozostać na lądzie, wolał niepokoić Midwintera niż wziąć na siebie odpowiedzialność za puszczenie pana Armadale'a (bez względu na to, jak bardzo był nawykły do morza) zupełnie samego w rejs o północy.

Wyjaśnienia te zabrały akurat tyle czasu, by Midwinter i lekarz mogli dotrzeć na molo. A tam, faktycznie, był w łódce młody Armadale, wciągał żagiel i na całe gardło śpiewał żeglarskie: „Hej-ho, hejże-ho!”.

– Chodź, stary druhu! – zawołał Allan. – Zdążyłeś w sam raz na igraszki w świetle księżyca!

Midwinter zaproponował igraszki w świetle dnia, a w międzyczasie udanie się do łóżka.

– Łózka! – zawołał Allan, na którego nierozsądny dobry humor gościnność pana Hawbury’ego z pewnością nie podziałała uspokajająco. – Słyszysz pan, doktorze? Można by pomyśleć, że ma dziewięćdziesiąt lat! Łózka, ty stary śpiochu! Spójrz na to i pomyśl o łóżku, jeśli potrafisz!

Wskazał na morze. Księżyc świecił na bezchmurnym niebie, nocna bryza wiała lekko i miarowo od strony lądu, spokojną powierzchnię morza marszczyły drobne fale, wesoło pluskając w ciszy i majestacie nocy. Midwinter odwrócił się do lekarza. Rozsądek podpowiadał mu, że musi pogodzić się z sytuacją: widział już wystarczająco dużo, by wiedzieć, że wszelkie słowa protestu byłyby po prostu stratą czasu.

– Jak tam przypływ? – spytał.

Pan Hawbury udzielił odpowiedzi.

– Czy w łodzi są wiosła?

– Tak.

– Dobrze znam się na morzu – powiedział Midwinter, schodząc po schodach na molo. – Może pan być pewny, że zaopiekuję się moim przyjacielem i pańską łodzią.

– Dobranoc, doktorze! – zawołał Allan. – Pańska whisky z wodą jest pyszna, pańska łódź to cacko, a pan jest najlepszym kompanem, jakiego w życiu spotkałem!

Lekarz zaśmiał się i pomachał ręką, a łódź wymknęła się z portu z Midwinterem u steru.

Przy wietrze, który wtedy wiał, wkrótce zrównali się z przyładkiem zamykającym od zachodu Zatokę Poolvash i powstało pytanie, czy powinni wypłynąć na pełne morze czy też trzymać się brzegu. Na wypadek gdyby wiatr zawiódł, najrozsądniejszym posunięciem było płynięcie blisko lądu. Midwinter zmienił kurs i pożeglowali gładko w kierunku południowo-zachodnim wzdłuż linii brzegowej.

Stopniowo klify stawały się coraz wyższe, a w poszarpanych masywach skalnych ukazywały się głębokie, czarne rozpadliny ziejące od strony morza. Na wysokości wzniesłego cypla zwanego Hiszpańską Głową Midwinter z niepokojem spojrzął na zegarek. Ale Allan błagał o pół godziny więcej i rzut oka na słynną cieśninę Sound,

do której szybko się zbliżali i o której słyszał zadziwiające opowieści od robotników pracujących na jachcie. Zgoda Midwintera na tę prośbę sprawiła, że łódź znowu zmieniła kurs i pożeglowała bardziej pod wiatr. Przed przyjaciółmi odsłonił się teraz po jednej stronie imponujący widok na najbardziej wysunięty na południe kraniec Wyspy Man, a po drugiej czarne urwiska wysepki zwanej Calf oddzielonej od reszty lądu ciemną i niebezpieczną cieśniną Sound.

Midwinter raz jeszcze spojrzął na zegarek.

– Wypłynęliśmy wystarczająco daleko – powiedział. – Stań przy szocie!

– Stój! – zawołał Allan z dziobu łodzi. – Dobry Boże! Wprost przed nami widzę rozbity statek!

Midwinter pozwolił łodzi lekko odpaść i spojrzął w kierunku, w którym wskazał tamten.

Przed nimi, unieruchomiony na mieliźnie pomiędzy skalnymi masywami po obu stronach cieśniny, niezdolny, by kiedykolwiek jeszcze wznieść się na pełne wody ze swego grobowca na podwodnej skale, opuszczony i samotny w ciszy nocnej, wyniosły, mroczny i upiorny w żółtawym świetle księżyca leżał rozbity statek.

– Znam ten statek – powiedział podekscytowany Allan. – Słyszałem, jak wczoraj rozmawiali o nim robotnicy. Zniosło go tu w ciemną, że oko wykoł, noc, kiedy załoga nie mogła dostrzec świateł. Biedny, wysłużony, stary statek handlowy, Midwinterze, który maklerzy okrętowi kupili, by go rozbić. Podpłynmy i przypatrzmy się mu.

Midwinter zawahał się. Jego dawny sentyment do życia na morzu mocno skłaniał go do tego, by pójść za propozycją Allana, ale wiatr zaczynał słabnąć, a on nie dowierzał wzburzonej wodzie i wirującym prądom otwierającej się przed nimi cieśniny.

– To paskudne miejsce do żeglowania, kiedy nic się o nim nie wie – powiedział.

– Nonsens! – odrzekł Allan. – Jest jasno jak w dzień, a my mamy pod sobą dwie stopy⁵ wody.

Zanim Midwinter zdołał odpowiedzieć, prąd porwał łódź i zaczął ich znosić przez cieśninę prosto na wrak.

– Opuść żagiel – powiedział cicho Midwinter – i przygotuj wiosła. Płyniemy już wystarczająco szybko, czy nam się to podoba, czy nie.

Obaj mieli wprawę w posługiwaniu się wiosłami, zdołali więc opanować kurs łodzi na tyle, by utrzymać ją po tej stronie cieśniny, gdzie morze było najspokojniejsze – najbardziej zbliżonej do wysepki Calf. Gdy wkrótce podpłynęli do wraku, Midwinter oddał swoje wiosło Allanowi i, wyczekawszy na stosowny moment, zahaczył bosakiem o przednią podwiesz wantową. Chwilę potem łódź była bezpieczna po zawietrznej stronie wraku.

Drabinka statku, której używali robotnicy, wisiała na podwiesz. Midwinter wspiął się po niej z liną w zębach, następnie zawiązał jeden z końców, a drugi opuścił do Allana stojącego w łodzi.

– Zawiąż mocno – powiedział – i poczekaj, aż sprawdzę, czy na pokładzie jest bezpiecznie.

Po tych słowach zniknął za nadburciem.

– Poczekaj? – zapytał Allan, na wskroś zdumiony nadmierną ostrożnością przyjaciela. – Co on do licha ma na myśli? Skręci mnie, jeśli będę czekał. Gdzie idzie jeden z nas, idzie i drugi!

Zawiązał luźny koniec liny wokół przedniej ławki łodzi i, wspiąwszy się po drabince, po chwili stanął na pokładzie.

– Jest tu coś przerażającego? – zapytał sarkastycznie, gdy spotkał się z przyjacielem.

Midwinter uśmiechnął się.

– Nic a nic – odparł. – Ale nie miałem pewności, czy będziemy mieć cały statek dla siebie, zanim nie wszedłem za nadburcie i nie rozejrzałem się.

Allan z kolei przeszedł się po pokładzie i krytycznie obejrzał wrak od dziobu do rufy.

– Statek jak statek – powiedział. – Francuzi na ogół potrafią robić lepsze niż ten.

Midwinter przeszedł w poprzek pokładu i przez chwilę w milczeniu przyglądał się Allanowi.

– Francuzi? – powtórzył po przerwie. – Ten statek jest francuski?

– Tak.

– Skąd wiesz?

– Ludzie, którzy pracują u mnie na jachcie, powiedzieli mi. Wiedzą o nim wszystko.

Midwinter podszedł nieco bliżej. Allanowi zdało się, że jego śniada twarz wygląda dziwnie blado w świetle księżyca.

– Czy mówili, co przewoził?

– A i owszem, drewno.

Gdy Allan wypowiedział te słowa, szczupła ręka Midwintera złapała go mocno za ramię, a zęby zaczęły mu szczekać jak u człowieka dotkniętego nagłym napadem dreszczy.

– Powiedzieli ci, jak się nazywał? – spytał głosem, który zszedł do szeptu.

– Chyba tak. Ale wypadło mi to z głowy... Spokojnie, stary druhu, strasznie mocno zaciskasz te swoje długie szpony na moim ramieniu.

– Czy nazywał się...? – urwał, zabrał rękę i otarł z czoła wielkie krople, które się tam zbierały. – Czy nazywał się „La Grace de Dieu”?

– Skąd u licha wiedziałeś? Tak się nazywał, faktycznie. „La Grace de Dieu”.

Jednym susem Midwinter przeskoczył na nadburcie wraku.

– Łódź! – Z jego piersi wyrwał się okrzyk przerażenia, który rozniósł się szerokim echem w ciszy nocy i sprawił, że Allan w okamgnieniu znalazł się u jego boku.

Dolny koniec niedbale zawiązanej liny unosił się luźno na wodzie, a przed nimi, w smudze księżycowego światła, mały, czarny obiekt zniknął w oddali. Łódź dryfowała.

⁴ Mila angielska = 1609,344 metry (przypis tłumacza).

⁵ 1 stopa = 0,3048 metra (przypis tłumacza).

IV. CIEŃ PRZESZŁOŚCI

Jeden skryty w cieniu nadburcia, drugi śmiało wyprostowany w żółtawej poświacie księżyca, dwaj przyjaciele stanęli twarzą w twarz na pokładzie frachtowca i patrzyli na siebie w milczeniu. W następnej chwili niepoprawna beztroska Allana kazała mu dostrzec groteskowy aspekt całej sytuacji. Usiadł okrakiem na nadburciu i wybuchnął najgłośniejszym i najserdeczniejszym śmiechem, na jaki było go stać.

– To wszystko moja wina – powiedział – ale teraz nie ma na to rady. Jesteśmy tutaj, złapani w pułapkę, którą sami na siebie zastawiliśmy, a tam łódź doktora znika za horyzontem! Wyjdź z ciemności, Midwinter. Ledwo co cię widzę, a chcę wiedzieć, co robić dalej.

Midwinter nie odpowiedział ani się nie poruszył. Allan opuścił nadburcie i, wspiąwszy się na pokład dziobowy, spojrzał uważnie na wody cieśniny Sound.

– Jedno jest pewne – rzekł. – Mając prąd po tej stronie, a podwodne skały po tamtej, nie wydostaniemy się z opresji wpraw. To tyle, jeśli chodzi o perspektywy na tym końcu wraku. Zobaczmy, jak sprawy mają się na drugim. Pobudka, kolego! – krzyknął wesoło, mijając Midwintera. – Chodź i zobacz, co ta stara łajba ma nam do pokazania na rufie.

Ruszył przed siebie spacerowym krokiem, z rękami w kieszeniach, nucąc refren wesołej piosenki.

Jego słowa zdawały się nie wzruszać przyjaciela, ale gdy przechodząc obok, Allan delikatnie dotknął go ręką, Midwinter drgnął i z wolna wynurzył się z cienia nadburcia.

– Chodź! – zawołał Allan, na chwilę przerywając śpiew i rzucając spojrzenie w tył. Tamten ruszył za nim, nadal bez słowa. Trzy razy zatrzymywał się, nim dotarł

do rufy wraku: po raz pierwszy, by zrzucić kapelusz i odgarnąć włosy z czoła i skroni, drugi raz, by, idąc chwiejnym krokiem, przytrzymać się przez chwilę wystającej śruby, ostatni raz (choć Allan był dobrze widoczny kilka jardów przed nim), by ukradkiem obejrzeć się za siebie, jak człowiek, który myśli, że ktoś podąża za nim w ciemności.

– Jeszcze nie teraz! – wymamrotał pod nosem, wzrokiem błędząc w pustej przestrzeni. – Zobaczę go na rufie, jak trzyma rękę na gałce od drzwi kajuty.

Rufowa część wraku była wolna od drewna, które maklerzy okrętowi zgromadzili w innych częściach statku. Jedynym obiektem, wyraźnie wznoszącym się ponad gładką powierzchnię pokładu, była niska drewniana konstrukcja, w której osadzono drzwi kajuty i która osłaniała prowadzące do niej schody. Sterówkę usunięto, podobnie jak naktuz, ale wejście do kajuty i wszystko, co do niej należało, pozostało na swoim miejscu. Właz i drzwi były zamknięte.

Wszedłszy na tylną część statku, Alan skierował się prosto na rufę i wychylił się nad relingiem rufowym, by spojrzeć na morze. Na spokojnej, oświetlonej księżycową poświatą powierzchni morza nie było widać nic, co przypominałoby łódź. Wiedząc, że Midwinter ma lepszy wzrok niż on, zawołał:

– Chodź tu i sprawdź, czy w zasięgu głosu nie ma rybaka.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, obejrzał się. Midwinter poszedł za nim aż do kabiny i tam się zatrzymał. Zawołał ponownie, tym razem głośniejszym głosem, i niecierpliwie skinął ręką. Midwinter usłyszał wołanie, bo podniósł wzrok, ale nadal nie ruszył się z miejsca. Stał tam, zupełnie jak gdyby dotarł do najdalszego krańca statku i nie mógł postąpić ani kroku dalej.

Allan zawrócił i stanął przy nim. Niełatwo było stwierdzić, na co patrzy, bo trzymał twarz odwróconą od księżyca, wydawało się jednak, że jego oczy z dziwnym pytającym wyrazem utkwione były w drzwiach kajuty.

– Co tam jest do zobaczenia? – zapytał Allan. – Sprawdźmy, czy drzwi są zamknięte na klucz.

Gdy wykonał krok w przód, by otworzyć drzwi, ręka Midwintera schwyciła go nagle za kołnierz płaszcza i kazała mu się cofnąć. W następnej chwili ręka

rozluźniła się, nie zwalniając uchwytu, i gwałtownie zadygotała, jak ręka kogoś, kto jest zupełnie wytrącony z równowagi.

– Czy mam rozumieć, że jestem aresztowany? – spytał Allan, na wpół zdumiony, na wpół rozbawiony. – Czemu u licha tak się wpatrujesz w drzwi kajuty? Słyszysz jakieś podejrzanе hałasy na dole? Nie ma sensu niepokoić szcurów, jeśli o to ci chodzi – nie mamy ze sobą psa. Ludzie? Nie mogą to być żywi ludzie, inaczej usłyszeliby nas i wyszli na pokład. Martwi? Niemożliwe! Żadna załoga statku nie dałaby się zatopić w miejscu tak otoczonym lądem jak to, chyba że rozpadłby się pod nią statek, a tu mamy okręt tak stabilny jak kościół. Człowieku, jak ci drży ręka. Co takiego przeraża cię w tej starej, zgniłej kajucie? Dlaczego trzęsiesz się i drżysz? Jakieś nadprzyrodzone towarzystwo na pokładzie? Boże, uchowaj nas! (jak mawiają staruszki). Widzisz ducha?

– Widzę dwa! – odparł tamten, wiedziony na oślep szaloną pokusą, by wyznać prawdę. – Dwa! – powtórzył, ciężko dysząc, podczas gdy na próżno próbował cofnąć straszne słowa. – Ducha mężczyzny takiego jak ty, tonącego w kajucie! I ducha mężczyzny takiego jak ja, przekręcającego za nim klucz w drzwiach!

Raz jeszcze ciszę nocy rozdarł gromki i serdeczny śmiech młodego Armadale’a.

– Przekręcającego klucz w drzwiach, tak? – powiedział Allan, gdy tylko atak wesołości pozwolił mu znów nabrać tchu. – To bardzo nieładnie ze strony pana ducha, kapitanie Midwinterze. Mogę przynajmniej zrobić tyle, by wypuścić mojego ducha z kajuty i pozwolić mu korzystać ze statku.

Allan, silniejszy z nich dwóch, z łatwością uwolnił się z uścisku Midwintera.

– Tam, na dole! – zawołał wesoło, gdy położył swoją silną rękę na zamku kajuty i jednym szarpnięciem otworzył drzwi. – Duchu Allana Armadale’a, wyjdź na pokład!

Będąc zupełnie nieświadomy strasznej prawdy, wetknął głowę w otwór wejściowy i spojrzał w dół, śmiejąc się z miejsca, w którym zginął jego zamordowany ojciec.

– Faj! – zawołał, cofając się nagle i wzdrygając z obrzydzeniem. – Powietrze jest już zatęchłe, a kajuta pełna wody.

Była to prawda. Podwodne skały, na których osiadł wrak, przebiły deski dna kadłuba na rufie, a przez szczeliny wdarła się woda. Tu, gdzie to się stało, dopełniło się fatalne podobieństwo między przeszłością a teraźniejszością. Czym kajuta była w czasach ojców, stała się teraz w czasach synów.

Allan zamknął drzwi pchnięciem stopy, nieco zdziwiony nagłą ciszą, która nastąpiła w chwili, gdy przyjaciel dotknął ręką zamka kajuty. Gdy się obejrzał, natychmiast zrozumiał, co było jej powodem. Midwinter upadł na pokład. Leżał nieprzytomny przed drzwiami kajuty z twarzą odwróconą do góry, białą i nieruchomą w świetle księżyca jak twarz trupa.

W okamgnieniu Allan znalazł się przy nim. Podniósł głowę Midwintera, oparł ją sobie na kolanie i na próżno rozejrzał się po opuszczonym pokładzie w poszukiwaniu pomocy, podczas gdy obaj byli od niej odcięci.

– Co mam teraz zrobić? – zapytał sam siebie w pierwszym przyływie trwogi. – Ani kropli wody w pobliżu, tylko zatęchła woda w kajucie.

Nagle coś mu się przypomniało, na twarz wrócił rumieniec. Z kieszeni wyciągnął płaską butelkę oplecioną wikliną.

– Niech Bóg błogosławi doktora, że dał mi to, zanim wypłynęliśmy! – krzyknął z zapalem, lejąc Midwinterowi w gardło kilka kropel whisky z butelki.

Działanie alkoholu na wrażliwy organizm omdlałego było natychmiastowe. Westchnął cicho i otworzył oczy.

– Śniło mi się? – spytał, patrząc nieobecny wzrokiem w twarz Allana.

Jego wzrok powędrował wyżej i napotkał rozebrane maszty wraku w postaci niesamowitych, czarnych kikutów sterczących na tle nocnego nieba. Wzdrygnął się na ich widok i ukrył twarz w kolanie Allana.

– To nie sen! – mruknął żałośnie. – O nie, to nie sen!

– Przemęczyłeś się wczoraj – odezwał się Allan – a ta nasza piekielna przygoda rozstroiła cię. Napij się jeszcze trochę whisky, jestem pewien, że dobrze ci to zrobi. Czy dasz radę sam siedzieć, jeśli oprę cię o nadburcie?

– Dlaczego sam? Dlaczego mnie zostawiasz? – spytał Midwinter.

Allan wskazał na wanty bezanmasztu, które nadal się zachowały.

– Nie czujesz się na tyle dobrze, by przebiedować tu do rana, nim przyjdą robotnicy – rzekł. – Jeśli się da, musimy natychmiast znaleźć jakiś sposób, by wrócić na ląd. Wejdę na górę, aby się rozejrzeć po okolicy i sprawdzić, czy w zasięgu głosu jest jakiś dom.

Nawet w krótkiej chwili, którą zajęło wypowiedzenie tych kilku słów, wzrok Midwintera powędrował nieufnie z powrotem w kierunku przeklętych drzwi kajuty.

– Nie podchodź do nich! – wyszeptał. – Na miłość boską, nie próbuj ich otwierać!

– Nie, nie – odparł Allan, pocieszając go. – Gdy zejść z takielunku, wrócę tutaj.

Wypowiedział te słowa w nieco wymuszony sposób, po raz pierwszy dostrzegając czającą się w twarzy Midwintera boleść, która zdumiewała go i martwiła.

– Nie jesteś na mnie zły? – zapytał w swój zwykły, łagodny sposób. – To wszystko moja wina, wiem. Okazałem się niegodziwcem i głupcem, śmiejąc się z ciebie, podczas gdy powinienem spostrzec, że jesteś chory. Tak mi przykro, Midwinter. Nie gniewaj się na mnie!

Midwinter z wolna podniósł głowę. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na twarzy Allana z wyrazem czułości i pełnej żalu ciekawości.

– Gniewaj? – powtórzył, najciszej i najłagodniej, jak potrafił. – Gniewać się na ciebie? O, mój biedny chłopcze, czy to twoja wina, że byłeś dla mnie dobry, gdy leżałem chory w wiejskiej gospodzie? I czy to moja wina, że z wdzięcznością przyjmowałem twoją dobroć? Czy to nasza wina, że nigdy nie wątpiliśmy w siebie nawzajem i nigdy nie wiedzieliśmy, że na oślep podążamy drogą, która zaprowadzi nas aż tutaj? Nadchodzi okrutny czas, Allanie, i pożałujemy jeszcze dnia, w którym się spotkaliśmy. Uściśnijmy ręce, bracie, na skraju przepaści, uściśnijmy ręce, póki jesteśmy jeszcze braćmi!

Allan szybko się odwrócił, myśląc, że umysł jego przyjaciela nie wydobrał jeszcze po wstrząsie związanym z omdleniem.

– Nie zapomnij o whisky! – powiedział wesoło, wskakując na takielunek, by wdrapać się na szczyt bezanmasztu.

Było po drugiej, księżyc blednął i ciemność poprzedzająca świt zaczynała gęstnieć wokół wraku. Za plecami Allana, patrzącego teraz z wysokości szczytu bezanmasztu, rozciągało się szerokie i samotne morze. Przed nim znajdowały się niskie, czarne, przyczajone skały oraz wzburzone wody cieśniny, wlewające się wartkim nurtem w nieobjętą ciszę oceanu na zachodzie. Po prawej ponad taflą wody piętrzyły się skały i urwiska, tu i ówdzie poprzecinane małymi trawiastymi poletkami, spadziste pagórki i wznoszące się głusze wrzosowisk Wyspy Man. Po lewej wyrastały skaliste brzegi wysepki Calf, tu i ówdzie poprzecinane głębokimi, mrocznymi rozpadlinami, gdzie indziej obniżające się pod rozległymi pagórkami porośniętymi trawą i wrzosem. Na żadnym z brzegów nie było widać światła, z żadnego nie dochodził dźwięk. Czarne sylwetki szczytów masztu majaczyły w gęstniejącym mroku nieba. Bryza od lądu ustała. Drobne fale płynące w kierunku lądu zamilkły. Daleko czy blisko, nie było słyhać żadnego dźwięku, tylko ponure bulgotanie wzburzonej wody przed nim, przelewającej się w potwornej ciszy, w której ziemia i morze czekały na nadejście dnia.

Nawet tak beztroska natura jak Allana czuła powagę tej godziny. Dźwięk własnego głosu przestraszył go, gdy spojrział w dół i zawołał do przyjaciela na pokładzie:

– Chyba widzę jakiś dom – krzyknął. – Tam, na brzegu, po prawej.

By się upewnić, spojrział jeszcze raz na niewyraźny skrawek bieli i ledwo widoczne białe linie za nim wtulone w trawiaste zagłębienie na większej wyspie.

– Wygląda to na kamienny dom i zagrodę – ciągnął. – Zawołam, może ktoś usłyszy.

Określił sobie linę wokół ramienia dla stabilności, złożył ręce w trąbkę i nagle znów je opuścił, nie wydawszy ani jednego dźwięku.

– Taka potworna cisza – szepnął sam do siebie. – Niemal boję się wołać.

Ponownie spojrział w dół na pokład.

– Nie przestraszę cię, Midwinter, co nie? – rzekł i zaśmiał się nerwowo.

Raz jeszcze spojrział na niewyraźny biały obiekt wśród traw. „Bez sensu byłoby wspinać się tu po nic”, pomyślał i znowu złożył ręce w trąbkę. Tym razem dał

sygnał, ile sił w płucach.

– Tam, na lądzie! – wrzasnął, zwracając się twarzą do większej wyspy. – Ahoorej!

Resztki echa jego głosu przycichły i zamilkły. Nie odpowiedział mu żaden dźwięk, jedynie ponure bulgotanie wezbranej przed nim wody.

Znów spojrzał w dół na przyjaciela i zobaczył wyprostowaną, ciemną sylwetkę Midwintera, jak przemierza pokład tam i z powrotem, nie tracąc przy tym z oczu kajuty, gdy szedł w kierunku dziobu wraku, i nie wychodząc poza kajutę, gdy wracał w stronę rufy. „Chce się jak najszybciej stąd wydostać”, pomyślał Allan. „Spróbuję raz jeszcze”. Zawołał jeszcze raz i, nauczony doświadczeniem, zrobił to jak najwyższym głosem.

Tym razem odpowiedział mu inny dźwięk niż dźwięk bulgoczącej wody. Ryczenie przestraszonego bydła podniosło się znad budynku w trawiastym zagłębieniu i posępnie przeszło ciszę porannego powietrza. Allan czekał i nasłuchiwał. Jeśli budynek był zagrodą, niepokój wśród zwierząt poderwie ludzi. Jeśli była to tylko obora, nic więcej się nie stanie. Ryczenie wystraszonej trzody podniosło się i zamilkło, minuty mijały i nic się nie zdarzyło.

– Jeszcze raz! – powiedział Allan, patrząc w dół na niespokojną sylwetkę kroczącą w dole.

Po raz trzeci dał sygnał w kierunku lądu. Po raz trzeci czekał i nasłuchiwał.

Gdy ryczenie bydła na moment umilkło, usłyszał za sobą, wśród pustkowi wysepki Calf po drugiej stronie cieśniny, nagły, przenikliwy dźwięk przypominający odległy szcęk ciężkiego rygla odsuwanego u drzwi. Ostatnie słabe promienie zachodzącego księżyca drżały tu i ówdzie na wyższych partiach skał i na co bardziej stromych wzniesieniach terenu, ale poza tym cały ląd spowijał gęsty mrok. W mroku tym dom, o ile był tam jakiś dom, ginął z oczu.

– Nareszcie kogoś obudziłem – zawołał Allan, by dodać otuchy Midwinterowi, który nadal wędrował tam i z powrotem po pokładzie, dziwnie obojętny na wszystko, co działo się nad jego głową i poza nim. – Nasłuchuj odpowiedzi!

I z twarzą zwróconą w kierunku wysepki Allan zawołał na ratunek.

Wołanie nie doczekało się odpowiedzi, ale przedrzeźnienia w postaci serii

preraźliwych, szyderczych wrzasków, coraz to dzikszych, które dobiegały z głębokiej ciemności w oddali i zdawały się przerażającą mieszaniną ludzkiego głosu oraz dźwięków wydawanych przez zwierzęta. Allanowi przeszło nagle przez myśl podejrzenie, które sprawiło, że zakręciło mu się w głowie, a na dłoń trzymającą się liny wystąpił zimny pot. Wstrzymując dech w piersiach, w milczeniu patrzył w kierunku miejsca, z którego po raz pierwszy doszło naśladowanie jego wołania o pomoc. Po chwili wrzaski podniosły się na nowo, tym razem bliżej. Nagle jakaś ciemna sylwetka, która wyglądała na męską, wskoczyła na jedną ze skalnych iglic i jęła podskakiwać i wrzeszczeć w blednącej poświacie księżyca. Z okrzykami istoty podskakującej na skale zmieszały się krzyki przerażonej kobiety. W ciemności rozbłysła czerwona iskierka świecy rozpalanej w niewidzialnym oknie. Wśród wrzawy dał się słyszeć ochryply męski głos wyrażający złość. Druga ciemna sylwetka wskoczyła na skałę, przez chwilę zmagająca się z pierwszą, po czym zniknęła z nią w mroku. Wrzaski stawały się coraz to cichsze, krzyki kobiety ustały, ochryply głos mężczyzny dał się słyszeć jeszcze przez moment, jak zwraca się w kierunku wraku słowami niezrozumiałymi z powodu odległości, ale tonem wyraźnie wskazującym na wściekłość pomieszaną ze strachem. Jeszcze chwila i znów ozwał się szcęk rygła w drzwiach, czerwony ogieniek zgasł w ciemności, a cała wysepka pogrążyła się ponownie w ciszy i mroku. Ryczenie bydła na większej wyspie urwało się, znów się podniosło, wreszcie ustało. Potem przez wielki wyłom ciszy przedarło się odwieczne bulgotanie wzburzonej wody – zimne i posępne jak zwykle. Był to jedyny dźwięk, jaki pozostał, gdy tajemniczy spokój tej godziny opadł z nieba jak opończa i otulił wrak.

Allan zszedł z wierzchołka masztu i dołączył do swojego przyjaciela na pokładzie.

– Musimy poczekać, aż robotnicy zajmujący się demontażem statków przyjdą do pracy – powiedział, spotykając Midwintera w połowie jego niestrudzonej wędrówki.
– Po tym, co się stało, przyznam szczerze, że mam dość dawania sygnału na ląd. Pomyśl tylko, że w tym domu na brzegu mógł być szaleniec, a ja go zbudziłem! Straszne, prawda?

Midwinter stał przez chwilę nieruchomo i patrzył na Allana z wyrazem

zakłopotania na twarzy, jak ktoś, komu mówi się o pewnych sprawach w taki sposób, jakby były dobrze znane, gdy tymczasem on słyszy o nich po raz pierwszy. Zdawało się, jeśli coś takiego jest w ogóle możliwe, że wszystko, co zaszło przed chwilą na wysepce Calf, zupełnie uszło jego uwagi.

– Nic nie jest straszne poza tym statkiem – rzekł. – Wszystko na nim jest straszne.

Udzieliwszy tej dziwnej odpowiedzi, znów się odwrócił i podjął wędrówkę.

Allan podniósł butelkę z whisky leżącą na pokładzie obok niego i dodał sobie animuszu pociągnięciem z niej.

– Oto jedna rzecz na tym statku, która nie jest straszna – odciął się rażno, zakręcając zakrętkę – a oto druga – dodał, wyciągając cygaro z etui i zapalając je. – Trzecia nad ranem! – ciągnął, zerkając na zegarek i usadawiając się wygodnie na pokładzie z plecami opartymi o nadburcie. – Świt już niedaleko, zaraz usłyszemy rozweselający świergot ptaków. Wygląda na to, Midwinter, żeś wrócił już do siebie po tej nieszczęsnej utracie przytomności. Chodzisz jak nakręcony! Chodź tutaj, zapal cygaro i usiądź wygodnie. Jaki jest sens łożenia tam i z powrotem bez wytchnienia?

– Czekam – powiedział Midwinter.

– Czekasz? Na co?

– Na to, co stanie się ze mną lub z tobą, albo z nami dwoma, zanim opuścimy ten statek.

– Z całym szacunkiem dla twojego zdania, myślę, że już wystarczająco dużo się stało. Jeśli chodzi o tę przygodę, nie mam ochoty na więcej.

Upił kolejny łyk whisky i jak zwykle beztrosko ciągnął dalej pomiędzy jednym a drugim zaciągnięciem się cygarem:

– Brak mi twojej bujnej wyobraźni, stary druhu, i mam nadzieję, że następnym, co się wydarzy, będzie pojawienie się łodzi z robotnikami. Podejrzewam, że kiedy zostałeś tu na dole zupełnie sam, dałeś się ponieść tej swojej znikowanej fantazji. Dalej, powiedz, o czym myślałeś, kiedy ja straszylem krowy ze szczytu masztu!

Midwinter nagle zatrzymał się.

– A co, jeśli ci powiem? – spytał.

– Co wtedy?

Dręcząca pokusa, by odkryć prawdę, już raz wzbudzona okrutną wesołością towarzysza, opanowała Midwintera po raz drugi. Oparł się w ciemności o wystającą w górę część statku i w milczeniu spojrzął na dół na postać Allana, wygodnie rozciągniętą na pokładzie. „Wyrwij go”, podszeptował delikatnie szatan, „z tego nieświadomego spokoju i Nielitościwego spoczynku. Pokaż mu miejsce, w którym to się stało, niech wie to co ty, niech poczuje ten sam strach co ty. Powiedz mu o liście, który spaliłeś, i o słowach, których żaden ogień nie może zniszczyć, a które żyją teraz w twojej pamięci. Niech pozna twoje myśli takimi, jakimi były wczoraj, kiedy budziła się twoja słabnąca wiara we własne przekonania, kiedy patrzyłeś wstecz na swoje życie na morzu i cieszyłeś się krzepiącym wspomnieniem, że w żadnej ze swoich podróży nie trafiłeś na ten statek. Niech pozna twoje myśli teraz, gdy statek dopadł cię w punkcie zwrotnym życia, u progu przyjaźni z jedynym człowiekiem ze wszystkich ludzi, przed którym przestrzegał cię ojciec. Pomyśl o słowach wypowiedzianych na łożu śmierci i wyszeptaj mu je do ucha, aby i on mógł o nich rozmyślać: »Ukrywaj się przed nim pod przybranym nazwiskiem. Spraw, by rozdzieliły was góry i morza. Lepiej abyś był niewdzięczny, nieprzejednany, przyjął wszystkie cechy, które twojej szlachetnej naturze wydają się najbardziej odpychające, niż abyś mieszkał z nim pod jednym dachem lub oddychał tym samym co on powietrzem«”. Tak podpowiadał kusiciel. Tak, niby cuchnący wyziew z grobu ojca, jego wpływ powrócił i zatrzał myśli syna.

Nagła cisza zdziwiła Allana, spojrzął sennie przez ramię.

– Znowu rozmyśla! – zawołał i ziewnął ze znużeniem.

Midwinter wyszedł z cienia i podszedł do Allana tak blisko jak jeszcze nigdy przedtem.

– Tak – rzekł – rozmyślałam o przeszłości i przyszłości.

– Przeszłości i przyszłości? – powtórzył Allan, układając się wygodnie w innej pozycji.

– Jeśli o mnie chodzi, nie będę się wypowiadał na temat przeszłości. To dla mnie

drażliwy temat: przeszłość oznacza utratę łodzi doktora. Porozmawiajmy o przyszłości. Czy próbowałeś spojrzeć na nią z praktycznego punktu widzenia, jak mawia nasz stary dobry Brock? Czy zastanawiałeś się nad następną kwestią, która będzie dotyczyć nas obu, gdy wrócimy do hotelu: kwestią śniadania?

Po chwili wahania Midwinter postąpił o krok bliżej.

– Myślałem o przyszłości twojej i mojej – rzekł. – Myślałem o chwili, gdy twoja droga życia i moja droga życia będą dwiema drogami, a nie jedną.

– Świta! – zawołał Allan. – Spójrz na maszty – zaczyna je być widać coraz wyraźniej. Przepraszam, o czym mówiłeś?

Midwinter nie odpowiedział. Walka pomiędzy odziedziczonym przesądem, który go napędzał, a niezwykłym uczuciem do Allana, które go wstrzymywało, sprawiła, że kolejne słowa uwięzły mu w gardle. Odwrócił twarz w niemym cierpieniu. „Och, ojczy!” pomyślał, „lepiej było mnie zabić owego dnia, gdy leżałem ci na piersi, niż pozwolić mi tego dożyć”.

– No i co z tą przyszłością? – nalegał Allan. – Wypatrywałem świtu, nie usłyszałem.

Midwinter opanował się i odparł:

– Potraktowałeś mnie jak zwykle uprzejmie, planując zabrać mnie ze sobą do Thorpe Ambrose. Po namyśle zdecydowałem, że lepiej nie będę narzucał się tam, gdzie nikt mnie nie zna i nie oczekuje.

Głos mu się załamał i urwał. Im bardziej się przed tym wzbraniał, tym wyraźniej jawiła mu się przed oczami wyobraźni wizja szczęśliwego życia, z którego rezygnował.

Allan błyskawicznie powrócił myślami do mistyfikacji dotyczącej nowego zarządcy, w którą wciągnął przyjaciela podczas wspólnej narady w kajucie jachtu. „Czy rozważał to w myślach?”, zastanawiał się Allan. „I czy w końcu zaczyna domyślać się prawdy? Wypróbuję go”.

– Możesz wygadywać tyle bredni, ile chcesz, drogi przyjacielu – rzucił w odpowiedzi – ale nie zapominaj, że masz towarzyszyć mi w przeprowadzce do Thorpe Ambrose i powiedzieć, co myślisz o nowym zarządcy.

Midwinter naraz znów wystąpił naprzód, blisko Allana.

– Nie mówię o twoim zarządcy ani majątku – wybuchnął. – Mówię o sobie. Słyszysz? O sobie! Nie jestem dla ciebie właściwym towarzystwem. Nie wiesz, kim jestem.

Wycofał się w cień nadburcia równie nagle, jak się z niego wynurzył.

– Boże, nie mogę mu powiedzieć – szepnął do siebie.

Przez chwilę i tylko przez chwilę Allan był zdziwiony.

– Nie wiem, kim jesteś?

Nawet kiedy wypowiadał te słowa, nie opuszczał go dobry humor. Uniósł butelkę z whisky i porozumiewawczo nią potrząsnął.

– A niech mnie – ciągnął – ile lekarstwa naszego doktora przyjąłeś, kiedy ja byłem na górze?

Niefrasobliwy ton, przy którym obstawał przyjaciel, doprowadził Midwintera do ostateczności. Ponownie wyszedł z cienia i ze złością tupnął nogą w pokład.

– Posłuchaj mnie! – powiedział. – Nie wiesz nawet o połowie niegodnych rzeczy, które robiłem w życiu. Byłem popychadłem kupca, zamiatałem sklep i podnosiłem okiennice, nosiłem paczki po ulicach i czekałem na pieniądze mego pana pod drzwiami jego klientów.

– Nigdy nie robiłem nic choćby w połowie tak pożytecznego – odparł spokojnie Allan. – Drogi, stary druhu, co za pracowity człowiek był z ciebie w swoim czasie.

– W swoim czasie byłem włóczęgą i szubrawcem – odparł tamten ostro. – Byłem ulicznym akrobatą, łazęgą, pomocnikiem Cygana! Śpiewałem za pół pensa z tańczącymi psami na gościńcu. Nosiłem liberię lokaja i usługiwałem przy stole! Byłem kucharzem zwykłych marynarzy i złotą rączką głodujących rybaków! Co ma wspólnego panicz o takiej pozycji jak ty z człowiekiem o takiej pozycji jak ja? Czy możesz wprowadzić mnie w towarzystwo w Thorpe Ambrose? Samo moje nazwisko urągałoby ci. Wyobraź sobie miny nowych sąsiadów, gdy lokaje jednym tchem zapowiedzą Oziasa Midwintera i Allana Armadale’a!

Parsknął chrapliwym śmiechem i ponownie powtórzył oba nazwiska z pełną pogardą emfazą, która bezlitośnie podkreślała wyraźny kontrast między nimi.

Było w tym śmiechu coś, co boleśnie dotknęło nawet tak niefrasobliwą naturę jak Allana. Wstał na równe nogi i po raz pierwszy przemówił poważnie:

– Żarty żartami, Midwinter – rzekł – o ile z nimi nie przesadzasz. Pamiętam, że raz już mi coś podobnego powiedziałaś, kiedy opiekowałem się tobą w hrabstwie Somerset. Doprowadziłaś do tego, że zapytałem cię, czy to właśnie ja jako jedyny ze wszystkich ludzi na świecie zasługuję na to, abyś trzymał mnie na dystans. Nie zmuszaj mnie, bym znowu o to zapytał. Żartuj sobie ze mnie ile chcesz, stary druhu, ale w jakiś inny sposób. Ten mnie rani.

Jakkolwiek proste były te słowa i jakkolwiek wprost wypowiedziane, najwyraźniej spowodowały w umyśle Midwintera natychmiastową zmianę. Jego wrażliwa natura wzdrygnęła się jak pod wpływem nagłego wstrząsu. Nie odpowiadając ani słowem, odszedł sam na przednią część statku. Usiadł na jakichś deskach nagromadzonych między masztami i bezwiednym, skonsternowanym ruchem przesunął ręką po głowie. Choć znów podzielał wiarę swego ojca w fatum, choć nie miał już cienia wątpliwości, że kobieta, którą pan Brock spotkał w hrabstwie Somerset, i kobieta, która próbowała się zabić w Londynie, były jedną i tą samą, choć cała groza, która opanowała go, gdy po raz pierwszy przeczytał list z Wildbad, teraz powróciła, wspomnienie Allana o ich wspólnym doświadczeniu z przeszłości trafiło do jego serca z siłą bardziej przemożną niż siła samego przesądu. Będąc jednak pod wpływem przesądu, szukał teraz pretekstu, który sprawiłby, że wszystkie małoduszne uczucia ustąpiłyby w obliczu dominującej troski o to, by nie zranić sympatii przyjaciela.

– Po co go martwić? – wyszeptał do siebie. – To jeszcze nie koniec: za nami w ciemności czai się kobieta. Po co się przed nim bronić, skoro zło już się dokonało, a przestroga przyszła za późno? Co ma być, to będzie. Co mam począć z przyszłością? A co ma począć on?

Wrócił z powrotem do Allana, usiadł obok niego i wziął go za rękę.

– Wybacz mi – powiedział łagodnym głosem – po raz ostatni cię zraniłem.

Zanim Allan zdążył odpowiedzieć, porwał butelkę z whisky z pokładu.

– Chodź! – wykrzyknął, zdobywając się na wesołość równą wesołości przyjaciela

– Próbowałeś lekarstwa doktora, może i ja spróbuję?

Allan był zachwycony.

– Oto jakaś zmiana na lepsze – rzekł. – Midwinter znowu jest sobą. Słuchaj! Słysząc ptaki. Witaj, radosny poranku! Radosny poranku! – zanucił słowa pieśni swoim dawnym, wesołym głosem i jak dawniej poczęstował Midwintera serdecznym klepinięciem w ramię. – Jak zdołałeś uwolnić się od tych paskudnych, czarnych myśli? Czy wiesz, że byłeś mocno zatrwożony, że coś przydarzy się któremuś z nas, zanim opuścimy ten statek?

– Nonsens! – odparł Midwinter pogardliwie. – Wydaje mi się, że od czasu tamtego rozstroju z moją głową nie jest najlepiej. Prześladowuje mnie jakaś obsesja. Pomówmy o czymś innym. Może o ludziach, którym masz wynająć domek? Zastanawiam się, czy opis rodziny majora Milroya podany przez agenta jest wiarygodny. W domu poza jego żoną i córką może być jeszcze inna dama.

– Oho! – zawołał Allan. – Zaczynasz myśleć o nimfach pośród drzew i flirtach w sadzie, co? Inna dama? A co, jeśli krąg rodzinny majora nie dostarczy żadnej innej? Będziemy musieli raz jeszcze rzucić monetą, żeby ustalić, który z nas będzie mógł pierwszy spróbować szczęścia u panny Milroy.

Tym razem Midwinter mówił tak swobodnie i beztrosko jak Allan.

– Nie, nie – rzekł – gospodarz majora ma pierwszeństwo do względów jego córki. Ja usunę się w cień i poczekam na następną damę, która pojawi się w Thorpe Ambrose.

– Wyśmienicie. Każę zamieścić w parku ogłoszenie w tej sprawie skierowane do mieszkańek hrabstwa Norfolk. Czy masz jakieś preferencje dotyczące wzrostu lub cery? W jaki wiek celujesz?

Midwinter igrał własnym przesądem, tak jak człowiek igra z naładowanym pistoletem, który może go zabić, albo z dzikim zwierzęciem, które może okaleczyć go na resztę życia. Wymienił wiek (ten, który sam obliczył) kobiety w czarnej sukni i czerwonym szalu w tureckie wzory.

– Trzydzieści pięć – powiedział.

Kiedy słowa te padły z jego ust, sztuczna wesołość opuściła go. Wstał z miejsca,

całkowicie głuchy na wszelkie wysiłki Allana, by zmusić go do wyjaśnienia swojej niezwyklej odpowiedzi i w grobowej ciszy znów zaczął niestrudzenie przemierzać pokład. Prześladowająca go myśl, która podążała za nim krok w krok w ciemnościach nocy, teraz powróciła, by podążać za nim krok w krok w świetle dnia.

Znów ogarnęło go przeświadczenie, że coś stanie się Allanowi lub jemu samemu, zanim opuszczą wrak.

Z minuty na minutę niebo na wschodzie jaśniało coraz bardziej, a ciemne zakamarki na pokładzie frachtowca w świetle dnia odsłoniły swoją jałową pustkę. Gdy ponownie podniosła się bryza, morze zaczęło pobudzająco szemrać w świetle poranka. Nawet zimne bulgotanie wzburzonej wody straciło swój ponury ton i przybrało łagodniejsze nuty, gdy powierzchnię morza zalało ciepłe światło wschodzącego słońca. Midwinter przystanął na przedniej części statku i wrócił rozbieganymi myślami do mijającego czasu. Gdziekolwiek spojrzał, otaczały go podnoszące na duchu oznaki poranka. Radosny poranny uśmiech letniego nieba, tak pogodnie łaskawy dla starej i utrudzonej ziemi, zlewał swoje wszechogarniające piękno nawet i na wrak. Rosa, która osiadła w lśniących kroplach na polach wysp, lśniła również na pokładzie, sprawiając, że wysłużony i zardzewiały takielunek połyskiwał tak jasno jak świeże zielone liście na lądzie. Gdy Midwinter rozglądał się wokół siebie, jego myśli nie wiedzieć kiedy powróciły do towarzysza nocnej przygody. Wrócił na tył statku i zbliżając się, przemówił do Allana. Nie uzyskawszy odpowiedzi, podszedł do leżącej postaci i przyjrzał się jej z bliska. Pozostawiony samemu sobie, Allan pozwolił, by trudy mijającej nocy wzięły nad nim górę. Głowa opadła mu w tył, kapelusz zsunął się. Leżał wyciągnięty jak długi na pokładzie frachtowca, pogrążony w głębokim i spokojnym śnie.

Midwinter wznowił wędrówkę. Umysł jego targany był wątpliwościami, jego własne przeszłe myśli nagle wydały mu się obce. Jakże bardzo jego złe przeczucia obawiały się godziny, która miała nadejść, i jak niewinnie ta godzina nadeszła! Słońce wspinało się po nieboskłonie, pora ratunku zbliżała się coraz bardziej, a z dwóch Armadale'ów uwięzionych na nieszczęsnym statku jeden odsypiał trudy nocy, a drugi spokojnie patrzył, jak wstaje nowy dzień.

Słońce podniosło się wyżej, czas się dłużył. Z ukrytą nieufnością wobec wraku,

która nadal nie chciała go opuścić, Midwinter zaczął się rozglądać po obu brzegach w poszukiwaniu znaków budzących się ludzi. Łąd nadal był opustoszały. Kłęby dymu, które wkrótce miały się wydobyć z kominów domów, jeszcze się nie uniosły.

Po chwili namysłu wrócił na tylną część statku, aby sprawdzić, czy za rufą, w zasięgu głosu, nie ma łodzi rybackiej. Chwilowo zajęty nowym pomysłem, pośpiesznie minął Allana, prawie nie zauważając, że ten nadal leży pogrążony we śnie. Tylko krok dzielił go od relingu rufowego, kiedy krok ten wstrzymał dobiegający z tyłu dźwięk, coś jak ciche jęknięcie. Obrócił się i spojrzał na śpiącego. Przyklęknął cicho i przyjrzał się bliżej.

– To przyszło! – wyszeptał pod nosem. – Nie do mnie, lecz do niego.

Przyszło, w jasnej rzeźkości poranka, przyszło, w tajemnicy i trwodze snu. Twarz, którą Midwinter widział ostatnio zupełnie odprężoną, była teraz wykrzywiona cierpieniem. Czoło i kręcone włosy Allana pokrywały grube krople potu. Wpółotwarte powieki nie ukazywały nic poza lśniącem białkiem niewidzących gałek ocznych. Wyciągnięte ręce szamotały się i drapały w pokład. Co jakiś czas śpiący jęczał i bezsilnie mamrotał, ale słowa, które wyrwały mu się z gardła, tłumiono zgrzytanie zębów. Oto leżał, ciałem tak bliski pochylającego się nad nim przyjaciela, duchem tak odległy, że mogliby być w dwóch różnych światach. Oto leżał, z twarzą oświetloną porannym słońcem, w męczarniach swojego snu.

Jedno, jedyne pytanie zrodziło się w umyśle obserwującego go człowieka. Co kazało mu zobaczyć fatum, które uwięziło go na wraku?

Czy zdradliwy sen otworzył bramy grobu dla tego z dwóch Armadale'ów, którego drugi trzymał w nieświadomości prawdy? Czy morderstwo ojca objawiało się synowi tam, w tym samym miejscu, w którym popełniono zbrodnię, w sennej wizji?

Z tym pytaniem, które przesłaniało wszystkie inne myśli, syn zabójcy klęczał na pokładzie i patrzył na syna człowieka, którego zgładziła ręka jego ojca.

Konflikt pomiędzy śpiącym ciałem i czuwającym umysłem nasilał się z każdą chwilą. Bezsilne jęki śpiącego wyrażające prośbę o wybawienie stawały się coraz głośniejsze, ręce uniosły się, próbując chwytać powietrze. Walcząc

z wszechogarniającym strachem, który nadal go przenikał, Midwinter delikatnie położył dłoń na czole Allana. Choć dotknięcie było lekkie, wywołało reakcję ze strony tajemniczych sympatii tkwiących w śpiącym. Jego jęki ustały, a ręce z wolna opadły. Nastąpił moment zawieszenia i Midwinter zbliżył się jeszcze bardziej. Jego oddech omiatał teraz twarz śpiącego. Zanim kolejny oddech wydobył się z jego ust, Allan niespodziewanie poderwał się na kolana, momentalnie rozbudzony, tak jakby ktoś zatrąbił mu wprost do ucha.

– Śniłeś – powiedział Midwinter w odpowiedzi na dziki wzrok tamtego, który pozostawał jeszcze w oszołomieniu wywołanym nagłym powrotem na jawę.

Wzrok Allana zaczął wędrować po wraku, najpierw tępy, potem z wyrazem gniewnego zdumienia.

– Dalej tu jesteśmy? – spytał, gdy Midwinter pomógł mu wstać. – Cokolwiek jeszcze zrobię na pokładzie tego piekielnego statku – dodał po chwili – już nie zasnę!

Kiedy wypowiadał te słowa, przyjaciel w milczeniu badawczo przyglądał się jego twarzy. Razem wybrali się na rundkę po pokładzie.

– Opowiedz mi swój sen – rzekł Midwinter.

W jego głosie pobrzmiwał podejrzliwy ton, a w ruchach znać było dziwną szorstkość.

– Jeszcze nie teraz – odparł Allan. – Poczekaj, aż dojdę do siebie.

Zrobili jeszcze jedną rundkę. Midwinter przystanął i ponownie przemówił.

– Popatrz na mnie przez chwilę, Allanie – powiedział.

W twarzy Allana, gdy ten odwrócił się przodem do mówiącego, znać było jeszcze resztki niepokoju wywołanego snem i coś w rodzaju naturalnego zaskoczenia dziwną prośbą, która została do niego skierowana, ale ani śladu wrogości czy skrywanej nieufności. Midwinter szybko się odwrócił i najlepiej jak umiał ukrył niepowstrzymane westchnienie ulgi.

– Czy wyglądam na trochę podenerwowanego? – zapytał Allana, biorąc go za ramię i prowadząc dalej. – Nie zamartwiaj się o mnie, jeśli tak jest. W głowie mi się kręci, ale to zaraz przejdzie.

Przez następnych kilka minut chodzili tam i z powrotem w milczeniu, jeden zdecydowany wymazać z pamięci trwogę snu, drugi zdecydowany dowiedzieć się, na czym ta trwoga miała polegać. Uwolniwszy się od dręczącej ją obawy, przesądna natura Midwintera jednym susem przeskoczyła do następnego wniosku. Co, jeśli śpiący doznał innego objawienia niż objawienie przeszłości? Co, jeśli sen otworzył przed nim zakryte karty z księgi przyszłości, które opowiadały dzieje jego dalszego życia? Samo podejrzenie, że tak może być, po dziesięćkroć wzmocniło pragnienie Midwintera, by przeniknąć tajemnicę, którą skrywało przed nim milczenie Allana.

– Czy uspokoiłeś myśli? – zapytał. – Czy możesz teraz opowiedzieć mi swój sen?

W chwili gdy zadał to pytanie, zbliżał się ostatni pamiętny moment przygody z wrakiem.

Dotarli do rufy i właśnie zawracali, gdy Midwinter przemówił. Otwierając usta, by odpowiedzieć, Allan machinalnie spojrział na morze. Zamiast odpowiedzieć nagle rzucił się w kierunku relingu i zaczął machać kapeluszem nad głową, pokrzykując z radości.

Midwinter podszedł do niego i zobaczył dużą łódź o sześciu wiosłach kierującą się wprost na cieśninę Sound. Na rufie natychmiast podniosła się jakaś postać, która obojgu wydała się znajoma, i odpowiedziała na machanie Allana. Łódź podpłynęła bliżej, sternik powitał ich wesołym okrzykiem i rozpoznali głos doktora.

– Dzięki Bogu, obaj jesteście ponad wodą! – powiedział pan Hawbury, gdy spotkali się na pokładzie frachtowca. – Jakie wiatry was tu zawiąły?

Zadając to pytanie, patrzył na Midwintera, ale to Allan opowiedział mu historię minionej nocy i on z kolei poprosił doktora o informacje. Jedyna kwestia, jaka zaprzętała umysł Midwintera – kwestia zgłębienia tajemnicy snu – sprawiała, że przez cały czas się nie odzywał. Niepomny na wszystko, co mówiono lub działo się wokół niego, obserwował Allana i chodził za nim jak pies, aż nadszedł czas, by zejść do łodzi. Pan Hawbury przyglądał mu się przez chwilę ciekawie okiem fachowca, któremu nie umknęły zmieniające się odcienie cery oraz nieustanny niepokój rąk. „Nie zamieniłbym się systemem nerwowym z tym człowiekiem za żadne skarby świata”, pomyślał lekarz, ujmując w dłoń rumpel i wydając wiosłarzom komendę, by

odbijać od wraku.

Pan Hawbury, który odłożył wszelkie wyjaśnienia ze swej strony do czasu wyruszenia w drogę powrotną do Port St. Mary, postanowił następnie zaspokoić ciekawość Allana. Okoliczności ruszenia z pomocą jego dwóm gościom z poprzedniego wieczoru były dość proste. Dryfującą łódź znaleźli na morzu rybacy z Port Erin leżącego po zachodniej stronie wyspy, którzy natychmiast rozpoznali w niej własność lekarza i niezwłocznie wysłali posłańca do jego domu. Relacja posłańca naturalnie wzbudziła niepokój pana Hawbury'ego o bezpieczeństwo Allana i jego towarzysza. Nie zwlekając, zwołał pomocników i idąc za radą właściciela łodzi wynajętej do poszukiwań skierował się najpierw w najbardziej niebezpieczne miejsce na wybrzeżu, jedyne miejsce, w którym przy dobrej pogodzie łodzi prowadzonej przez doświadczonych żeglarzy mógł zdarzyć się wypadek – cieśninie Sound. Wyjaśnwszy w ten sposób swoje z radością oczekiwane przybycie, lekarz zaczął nalegać, by jego wieczorni goście stali się również gośćmi porannymi. Nadal było za wcześnie, by liczyć na przyjęcie przez personel hotelu, w domu pana Hawbury'ego zaś znajdzie się dla nich łóżko i śniadanie.

Gdy tylko w rozmowie Allana z lekarzem nastąpiła przerwa, Midwinter, który nie uczestniczył w wymianie zdań ani się jej nie przysłuchiwał, dotknął ramienia przyjaciela.

– Czujesz się lepiej? – spytał szeptem. – Czy już niedługo będziesz na tyle spokojny, by powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć?

Brwi Allana zmarszczyły się niecierpliwie. Temat snu i upór, z jakim Midwinter do niego powracał, wydawały się być dla niego równie niemiłe. Nie można powiedzieć, żeby w odpowiedzi towarzyszył mu jego zwykły dobry nastrój.

– Zdaje się, że nie zaznam spokoju, dopóki ci nie powiem – rzekł – więc mogę równie dobrze zrobić to od razu.

– Nie! – odparł Midwinter, rzucając spojrzenie w stronę lekarza i wioślarzy. – Nie tu, gdzie inni mogą nas usłyszeć – dopiero gdy będziemy sami.

– Panowie, jeśli chcecie po raz ostatni rzucić okiem na swoje nocne lokum – wtrącił doktor – teraz jest na to sposobny moment! Za minutę wybrzeże przesłoni

statek.

W milczeniu zarówno po jednej, jak i drugiej stronie obaj Armadale'owie po raz ostatni spojrzeli na nieszczęsny statek. Zastali wrak samotnym i opuszczonym w misterium letniej nocy. Zostawiali go samotnym i opuszczonym w promiennym blasku letniego poranka.

W godzinę później lekarz pożegnał swoich gości w ich sypialniach, pozwalając im odpocząć do śniadania.

Gdy tylko zszedł na dół, drzwi obu pokojów otwarły się cicho i Allan oraz Midwinter spotkali się w korytarzu.

– Możesz spać po tym, co się wydarzyło? – spytał Allan.

Midwinter potrząsnął głową.

– Szedłeś do mojego pokoju, prawda? – powiedział. – Po co?

– Chciałem poprosić cię, byś mi dotrzymał towarzystwa. Po co ty szedłeś do mojego pokoju?

– Chciałem poprosić cię, byś mi opowiedział swój sen.

– Do diabła ze snem! Chcę go wymazać z pamięci.

– A ja chcę znać każdy jego szczegół.

Obaj urwali, instynktownie powstrzymując się, by nie powiedzieć więcej. Po raz pierwszy od początku przyjaźni byli na skraju kłótni, i to z powodu snu. Dobry humor Allana zatrzymał ich dosłownie na krawędzi.

– Jesteś największym uparciuchem na ziemi – rzekł – ale jeśli chcesz znać każdy szczegół, chyba musisz poznać każdy szczegół. Chodź do mojego pokoju, to ci opowiem.

Poszedł pierwszy, a Midwinter za nim. Drzwi zamknęły się za nimi i zostali sami.

V. CIEŃ PRZYSZŁOŚCI

Kiedy pan Hawbury dołączył do swoich gości w jadalni, bardziej niż kiedykolwiek przedtem uderzył go niezwykle kontrast ich charakterów, który już wcześniej zauważył. Jeden z nich siedział przy suto zastawionym stole, głodny i w wyśmienitym humorze, częstując się to jedną, to drugą potrawą i twierdząc, że nigdy w życiu nie jadł tak dobrego śniadania. Drugi siedział osobno przy oknie, zostawiwszy na stole filiżankę z niedopitym napojem i talerz z resztkami mięsa, co niezbyt dobrze świadczyło o jego wdzięczności. Poranne powitanie doktora wiernie odzwierciedlało odmienne wrażenia, jakie wywarli na nim obaj goście.

Poklepał Allana po ramieniu i powitał go żartem. Midwinterowi posłał wymuszony ukłon i rzekł:

– Obawiam się, że nie wypoczął pan po trudach nocy.

– To nie noc popsuka mu humor, doktorze – powiedział Allan. – Chodzi o coś, co mu powiedziałem. Niech pan jednak nie myśli, że to moja wina. Gdybym wiedział wcześniej, że wierzy w sny, trzymałbym język za zębami.

– Sny? – powtórzył doktor, patrząc prosto na Midwintera i zwracając się do niego pod wpływem opacznego zrozumienia słów Allana. – Osoba o takiej psychice jak pan powinna być nawykła do snów.

– Zwraca się pan do niewłaściwego adresata, doktorze! – zawołał Allan. – To ja śniłem, nie on. Niech się pan nie dziwi. Nie działo się to w pańskim wygodnym domu, tylko na pokładzie tego paskudnego frachtowca. Prawda jest taka, że zasnąłem zaraz przed tym, jak zabrał nas pan z wraku i nie da się ukryć, że miałem bardzo niemiły sen. Cóż, kiedy tu wróciliśmy...

– Dlaczego zaprzątasz pana Hawbury'ego sprawą, która go nie interesuje? –

spytał Midwinter, odzywając się po raz pierwszy i to z wyraźną irytacją w głosie.

– Proszę wybaczyć – odparł dość oschle lekarz – z tego, co zdążyłem usłyszeć, sprawa ta właśnie mnie interesuje.

– Racja, doktorze! – rzekł Allan. – Niech się pan interesuje, błagam. Chcę, żeby wybił sobie z głowy te niedorzeczności, które sobie ubzdurał. Co pan na to? On twierdzi, że mój sen jest dla mnie przestrożą przed pewnymi osobami, i nawet upiera się, że jedną z tych osób jest... on sam! Słyszał pan kiedyś coś podobnego? Robiłem, co mogłem. Wszystko mu wyjaśniłem. Powiedziałem: „do diabła z przestrożą, wszystko to wina niestrawności! Nie wiesz, co jadłem i piłem na kolacji u doktora, ja wiem”. Myśli pan, że chciał mnie słuchać? Nie on. Niech teraz pan spróbuje. Jest pan profesjonalistą, pana musi posłuchać. Proszę okazać się dobrym człowiekiem, doktorze, i wystawić mi zaświadczenie o niestrawności. Z przyjemnością pokażę panu swój język.

– W zupełności wystarczy widok pana twarzy – powiedział pan Hawbury. – Zaświadczam z miejsca, że nigdy nie cierpiał pan na coś takiego jak niestrawność. Posłuchajmy snu i zobaczmy, co da się z niego wywnioskować, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, ma się rozumieć.

Allan wskazał końcem widelca na Midwintera.

– Proszę zwrócić się do mojego przyjaciela. Ma dużo lepszy opis snu, niż ja jestem w stanie przekazać. Nie uwierzy pan, ale spisał wszystko, co powiedziałem, i kazał mi podpisać się na końcu, tak jakby było to moje ostatnie wyznanie, zanim zawisnę na szubienicy. Dawaj go tu, stary druhu – widziałem, że włożyłeś go do notesu – dawaj go!

– Naprawdę nie żartujesz? – spytał Midwinter, wyciągając kieszonkowy notes z niechęcią, która w zaistniałych okolicznościach graniczyła z obrazą, ponieważ sugerowała brak zaufania do doktora w jego własnym domu.

Pan Hawbury zarumienił się.

– Proszę, niech pan mi tego nie pokazuje, jeśli ma pan najmniejsze opory – powiedział z wyszukaną uprzejmością urażonego człowieka.

– Głupstwa i nonsens! – zawołał Allan. – Rzuć go tu!

Zamiast spełnić to polecenie Midwinter wyjął kartkę z notesu i, wstając z miejsca, podszedł do pana Hawbury'ego.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, własnoręcznie wręczając doktorowi rękopis.

Spuścił wzrok na podłogę i poczerwieniał. „Skryty, nadąsany jegomość”, pomyślał lekarz, dziękując mu z nienaturalną uprzejmością, „jego przyjaciel jest wart tysiąc takich jak on”. Midwinter wrócił na miejsce przy oknie, pozostawał bez słowa i z tą samą nieprzeniknioną rezygnacją w obliczu, która swego czasu zastanawiała pana Brocka.

– Niech pan przeczyta, doktorze – powiedział Allan, gdy pan Hawbury rozłożył zapisaną kartkę. – Sen nie jest opowiedziany w moim rozwlekłym stylu. Nic nie zostało dodane, ale i nic odjęte. Jest tam dokładnie to, co mi się śniło, i dokładnie to, co sam bym napisał, gdybym uważał, że rzecz jest warta przelania na papier, i gdybym miał dryg do pisania, którego – zakończył Allan, spokojnie mieszając kawę – nie mam, chyba że chodzi o listy, nad którymi się nie rozwodzę.

Pan Hawbury rozłożył przed sobą na stole rękopis i przeczytał, co następuje:

SEN ALLANA ARMADALE'A

„Wczesnym rankiem pierwszego czerwca 1851 roku znalazłem się (na skutek okoliczności, które nie mają w tym miejscu znaczenia) sam w towarzystwie przyjaciela – młodzieńca mniej więcej w moim wieku – na pokładzie francuskiego frachtowca o nazwie »La Grace de Dieu«, który to statek leżał rozbity w cieśninie Sound pomiędzy Wyspą Man a wysepką zwaną Calf. Po nieprzespanej nocy ogarnęło mnie zmęczenie i zapadłem w sen na pokładzie statku. Byłem wtedy jak zwykle dobrego zdrowia, a poranek na tyle już się posunął, że słońce zdążyło wzejść. W tych okolicznościach i o tej porze dnia mój sen przeszedł w marzenie senne. Na tyle wiernie, na ile je sobie przypominam po upływie kilku godzin, przedstawiam poniżej ciąg wydarzeń objawionych mi we śnie:

1. Pierwszym wydarzeniem, które sobie uświadomiłem, było ukazanie się mojego ojca. Bez słowa wziął mnie za rękę i znaleźliśmy się w kajucie statku.
2. Woda w kajucie powoli się podnosiła i zatopiła nas.
3. Nastąpiła chwila niepamięci, a potem ogarnęło mnie poczucie, że zostałem

sam w ciemności.

4. Czekałem.

5. Ciemność rozstąpiła się i ukazała mi wizję, jak na obrazie, szerokiego, samotnego stawu otoczonego otwartym terenem. Nad przeciwległym brzegiem stawu zobaczyłem bezchmurne niebo, poczerwieniałe od zachodzącego słońca.

6. Nad bliższym brzegiem stawu stał cień kobiety.

7. Był to tylko cień. Nie było widać żadnych znaków szczególnych, które pozwoliłyby mi rozpoznać kobietę lub porównać ją z jakąś żywą istotą. Długa suknia wskazywała jedynie to, że był to cień kobiety i nic więcej.

8. Ponownie ogarnęła mnie ciemność, trwała przez chwilę i rozstąpiła się po raz drugi.

9. Znalazłem się w pokoju, stałem przed oszklonymi drzwiami. Jeśli chodzi o meble lub dekoracje, jedynym przedmiotem, który widziałem (lub przypominam sobie, że widziałem), był posążek znajdujący się blisko mnie. Drzwi wychodziły na trawnik i ogród kwiatowy, a w szybę bębniły krople rześistego deszczu.

10. Nie byłem w pokoju sam. Naprzeciwko mnie przy oknie znajdował się cień mężczyzny.

11. Nie widziałem żadnych szczegółów, nie wiedziałem o nim nic więcej ponad to, co wiedziałem o cieniu kobiety. Ale cień mężczyzny poruszył się. Wyciągnął rękę w kierunku posążka, a ten upadł na podłogę i roztrzaskał się na kawałki.

12. Z mieszanymi uczuciami, na poły złością, na poły smutkiem, pochyliłem się, by przyjrzeć się fragmentom posążka. Kiedy się wyprostowałem, cień zniknął i nic już nie widziałem.

13. Ciemność rozstąpiła się po raz trzeci, ukazując mi cień kobiety i cień mężczyzny razem.

14. Nie mogłem dostrzec nic wokół nich (albo nic, co mógłbym sobie teraz przypomnieć).

15. Cień mężczyzny był bliżej mnie, cień kobiety był oddalony. Z miejsca, gdzie stała, dobiegł dźwięk przypominający delikatne nalewanie płynu. Widziałem, jak jedną ręką dotknęła cienia mężczyzny, a drugą podała mu szklanę. Wziął szklanę

i podał mi ją. W chwili, gdy dotknąłem nią warg, od stóp do głów ogarnęło mnie śmiertelne uczucie omdlenia. Kiedy odzyskałem zmysły, cieni już nie było i trzecia wizja zakończyła się.

16. Ponownie ogarnęła mnie ciemność i nastąpiła chwila niepamięci.

17. Nic więcej do mnie nie docierało, dopóki nie poczułem promieni porannego słońca na policzku i nie usłyszałem, jak przyjaciel mówi mi, że obudziłem się ze snu...”

Przeczytawszy uważnie rękopis aż do ostatniej linijki (pod którą znajdował się podpis Allana), doktor rzucił Midwinterowi spojrzenie ponad stołem i z ironicznym uśmiechem zabębnił palcami w kartkę.

– Ilu ludzi, tyle opinii – odezwał się. – Nie zgadzam się z żadnym z was na temat snu. Pana teorię – dodał, patrząc z uśmiechem na Allana – już odrzuciliśmy. Kolacja, której nie będzie pan mógł strawić, dopiero czeka na przygotowanie. Do mojej teorii dojdziemy niebawem, najpierw domaga się uwagi teoria pańskiego przyjaciela.

Ponownie zwrócił się do Midwintera, spodziewając się odnieść triumf nad człowiekiem, którego darzył niechęcią odrobinę nazbyt widoczną w twarzy i obejściu.

– O ile dobrze rozumiem – ciągnął – wierzy pan, że sen ten jest przestrogą w nadprzyrodzony sposób skierowaną do pana Armadale’a przed niebezpiecznymi wypadkami, które mu grożą, i niebezpiecznymi ludźmi, którzy się z tymi wypadkami łączą, a których powinien unikać. Czy mogę spytać, czy doszedł pan do tego wniosku jako osoba generalnie wierząca w sny czy też ma pan jakieś własne powody, by przypisywać szczególne znaczenie temu konkretnemu snowi?

– Dość trafnie przedstawił pan moje przekonanie – odparł Midwinter, mieszając się pod wpływem spojrzenia i tonu doktora. – Proszę wybaczyć, ale chciałbym, żeby zadowolili się pan tym stwierdzeniem i pozwolił mi zachować moje powody dla siebie.

– Dokładnie to samo powiedział mnie – wtrącił Allan. – Nie wierzę, żeby miał jakiegokolwiek powody.

– Spokojnie! Spokojnie! – rzekł pan Hawbury. – Możemy porozmawiać na ten temat, nie mieszając się do cudzych sekretów. Przejdźmy teraz do mojego własnego wyjaśnienia snu. Pana Midwintera z pewnością nie zdziwi fakt, że zapatruję się na tę sprawę z praktycznego punktu widzenia.

– Nie zdziwi mnie ani trochę – odciął się Midwinter. – Perspektywa lekarza, gdy ten ma do rozwiązania problem dotyczący natury ludzkiej, rzadko kiedy wykracza poza koniec jego skalpela.

Doktor ze swej strony był lekko poirytowany.

– Nasze horyzonty nie są aż tak wąskie – rzekł – ale zapewniam, że istnieją przedmioty pańskiej wiary, w które my, lekarze, nie wierzymy. Nie wierzymy na przykład, że rozsądny człowiek ma słuszność, przypisując nadprzyrodzone wyjaśnienie jakiemuś zjawisku, którego doświadcza zmysłami, dopóki w pierwszej kolejności z całą pewnością nie wykluczy istnienia jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia tego zjawiska.

– Dajcie spokój, wyrównaliście rachunki – zawołał Allan. – On zadał panu cios „skalpelem”, doktorze, a teraz pan odpłacił mu swoim „racjonalnym wytłumaczeniem”. Poznajmy je.

– Proszę bardzo – powiedział pan Hawbury. – Oto ono. W mojej teorii snów nie ma zgoła nic niezwykłego, jest to teoria przyjmowana przez ogromną rzeszę ludzi mojej profesji. Sen stanowi odtworzenie w stanie uśpienia mózgu obrazów i wrażeń, jakich doświadczył on na jawie. Odtworzenie to jest mniej lub bardziej zawile, niedoskonałe lub też sprzeczne, w zależności od tego, jak dalece sen przejmuje kontrolę nad działaniem pewnych zdolności w śpiącym. Nie zagłębiając się w dalszą część problemu, niezwykle ciekawą część, weźmy teraz teorię, którą tu z grubsza i w ogólności przedstawiłem, i zastosujmy ją od razu do snu, o którym mowa.

Podniósł ze stołu zapisaną kartkę i porzucił oficjalny ton (jaki przybiera wykładowca, zwracając się do słuchaczy), w który niedostrzeżenie popadł.

– Widzę w tym śnie jeden szczegół – podjął – będący odtworzeniem wrażenia na jawie, którego pan Armadale doznał w mojej obecności. Jeśli tylko pomoże mi on, wyężdżając swoją pamięć, nie tracę nadziei, że uda mi się sprowadzić całą serię

opisanych tu wydarzeń do czegoś, co powiedział, pomyślał, widział lub zrobił w ciągu dwudziestu czterech godzin poprzedzających zaśnięcie na pokładzie frachtowca.

– Wyteżę pamięć z największą przyjemnością – powiedział Allan. – Od czego zaczniemy?

– Niech pan zacznie od opowiedzenia mi, co pan robił wczoraj, zanim spotkałem pana i pańskiego przyjaciela na drodze – odparł pan Hawbury. – Powiedzmy, że wstał pan i zjadł śniadanie. Co dalej?

– Potem wsiedliśmy do powozu – rzekł Allan – i pojechaliśmy z Castletown do Douglas, by odprowadzić mojego starego przyjaciela, pana Brocka, na parowiec do Liverpoolu. Wróciliśmy do Castletown i rozstaliśmy się przed wejściem do hotelu. Midwinter wszedł do środka, ja zaś poszedłem dalej na mój jacht stojący w porcie. A propos, doktorze, pamięta pan, że obiecał wybrać się z nami w rejs, zanim opuścimy Wyspę Man?

– Wielkie dzięki, ale spróbujmy trzymać się bieżącego tematu. Co dalej?

Allan zawahał się. Odpływał już myślami.

– Co pan robił na jachcie?

– O, wiem! Porządkowałem kajutę, gruntownie. Daję słowo honoru, wywróciłem każdą jedną rzecz do góry nogami. Mój przyjaciel przypłynął łódką i pomógł mi. A skoro mowa o łódkach, nie zdążyłem jeszcze spytać, czy pańska łódka nie odniosła szkody zeszłej nocy. Jeśli są jakieś zniszczenia, nalegam, by pozwolił mi pan je naprawić.

Lekarz porzucił dalsze próby pobudzania pamięci Allana.

– Wątpię, czy w ten sposób dobrniemy co celu – powiedział. – Lepiej będzie prześledzić wydarzenia ze snu w kolejności, w jakiej się pojawiały, i w swoim czasie zadawać pytania, które nasuną się w naturalny sposób. Zacznijmy od dwóch pierwszych wydarzeń. We śnie ukazuje się panu ojciec – pan i on znajdują się w kajucie statku – woda podnosi się, zakrywa was i obaj toniecie. Był pan na dole w kajucie, jeśli mogę spytać?

– Nie mogłem tam być – odrzekł Allan – ponieważ kajuta była pełna wody.

Zajrzałem do środka, zobaczyłem ją i ponownie zamknąłem drzwi.

– Bardzo dobrze – powiedział pan Hawbury. – Jak do tej pory, jak na dłoni widzimy wrażenia odniesione na jawie. Myślał pan o kajucie, myślał pan o wodzie, a dźwięk prądu płynącego w cieśninie (jak dobrze skądinąd wiem) był ostatnim dźwiękiem, jaki docierał do pańskich uszu przed zaśnięciem. Myśl o utopieniu rodzi się z podobnych wrażeń w sposób tak oczywisty, że nie będziemy się nad tym dłużej rozwodzić. Zanim przejdziemy dalej: czy jest coś jeszcze? Tak, jest jeszcze jedna okoliczność, którą należy wyjaśnić.

– Okoliczność najważniejsza ze wszystkich – zauważył Midwinter, włączając się do rozmowy, ale nie ruszając ze swego miejsca przy oknie.

– Ma pan na myśli pojawienie się ojca pana Armadale’a? Właśnie do tego zmierzałem – odparł pan Hawbury. – Czy pański ojciec żyje? – dodał, zwracając się ponownie do Allana.

– Mój ojciec zmarł, zanim się urodziłem.

Doktor drgnął.

– To nieco komplikuje sprawę. Skąd pan wiedział, że postać, która ukazała się panu we śnie, była pana ojcem?

Allan znów się zawahał. Midwinter odsunął nieco krzesło od okna i po raz pierwszy spojrzął z uwagą na doktora.

– Czy myślał pan o ojcu przed zaśnięciem? – drążył pan Hawbury. – Czy krążył panu po głowie jakiś jego opis, jakiś portret widziany w domu?

– Oczywiście, że tak! – zawołał Allan, do którego nagle dotarło wspomnienie. – Midwinter! Pamiętasz miniaturę, którą znalazłeś na podłodze kajuty, kiedy porządkowaliśmy rzeczy? Powiedziałeś, że nie przywiązuję do niej wagi, a ja odparłem, że przywiązuję, ponieważ to portret mego ojca...

– A czy twarz ze snu była taka sama jak na miniaturze? – spytał pan Hawbury.

– Dokładnie taka sama! Słowo daję, doktorze, zaczyna się robić ciekawie!

– I co pan na to? – spytał pan Hawbury, odwracając się ponownie do okna.

Midwinter pośpiesznie opuścił swoje krzesło i zajął miejsce przy stole obok Allana. Tak jak już raz poprzednio szukał schronienia przed tyranią własnego

przesądu pod skrzydłami zdrowego rozsądku pana Brocka, tak teraz z tą samą ślełą gorliwością, tą samą prostą szczerością intencji szukał schronienia pod skrzydłami teorii marzeń sennych doktora.

– To samo co mój przyjaciel – odrzekł, a na jego policzki wystąpił rumieniec podniecenia – zaczyna się robić ciekawie. Proszę mówić dalej, błagam.

Lekarz popatrzył na swojego dziwnego gościa łaskawszym okiem niż dotychczas.

– Jest pan jedynym mistykiem, z jakim się spotkałem, który jest skłonny uczciwie przyjąć uczciwy dowód. Nie tracę nadziei, że uda mi się pana nawrócić, zanim zakończymy nasze śledztwo. Przejdźmy teraz do kolejnego zestawu wydarzeń – podjął, przyglądając się rękopisowi. – Z chwilą niepamięci, która w opisie następuje po pierwszych wydarzeniach w śnie, można łatwo się rozprawić. Oznacza ona, mówiąc najprościej, chwilową przerwę w pracy mózgu, podczas gdy ogarnia go fala głębszego snu, podobnie jak poczucie bycia samym w ciemności, które wskazuje na ponowne podjęcie owej pracy przed odtworzeniem następnego zestawu wrażeń. Przyjrzyjmy się im. Samotny staw otoczony otwartym terenem, zachód słońca nad przeciwległym brzegiem stawu i cień kobiety nad bliższym brzegiem. Bardzo dobrze. A teraz, panie Armadale, skąd wziął się w pana głowie ten staw? Otwarty teren widział pan w drodze z Castletown tutaj. Ale nie mamy tu stawów ani jezior i nie mógł pan widzieć ich ostatnio nigdzie indziej, bowiem przybył pan tu drogą morską. Czy musimy uciec się do obrazu, książki albo rozmowy z przyjacielem?

Allan spojrzał na Midwintera.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy rozmawiali o stawach lub jeziorach – powiedział. – A ty?

Zamiast odpowiedzieć, Midwinter nagle zwrócił się do doktora.

– Czy ma pan ostatni numer lokalnej gazety? – zapytał.

Doktor wyciągnął gazetę z szafki. Midwinter otworzył ją na stronie zawierającej fragmenty z opublikowanych ostatnio *Podróży po Australii*, które wzbudziły ciekawość Allana poprzedniego wieczoru i których lektura skończyła się uśpieniem

jego przyjaciela. Tam zaś, w ustępie opisującym cierpienia podróżnych z powodu pragnienia, a następnie odkrycie, które uratowało ich od śmierci, tam, w kulminacyjnym punkcie opowieści, znajdował się duży staw, który pojawił się w śnie Allana!

– Niech pan nie odkłada gazety – powiedział doktor, gdy już Midwinter pokazał mu ją, udzielając stosownego wyjaśnienia. – Całkiem możliwe, że fragment ten będzie nam jeszcze potrzebny, zanim dojrniemy do końca śledztwa. Na razie dotarliśmy do stawu. Co z zachodem słońca? O niczym takim nie ma mowy w gazecie. Proszę jeszcze raz sięgnąć pamięcią do przeszłych wydarzeń, panie Armadale. Prosimy o wrażenie związane z zachodem słońca odniesione na jawie, jeśli łaska.

Allan znów nie potrafił odpowiedzieć i tym razem bystra pamięć Midwintera pomogła mu wybrnąć z kłopotu.

– Wydaje mi się, że potrafię cofnąć się do tego wrażenia tak, jak cofnąłem się do poprzedniego – powiedział, zwracając się do doktora. – Kiedy przybyliśmy tu wczoraj po południu, ja i mój przyjaciel wybraliśmy się na długi spacer po wzgórzach...

– Tak jest! – wtrącił Allan. – Pamiętam. Słońce akurat zachodziło, kiedy wracaliśmy do hotelu na kolację i widok czerwonego nieba był tak wspaniały, że obaj zatrzymaliśmy się, by popatrzeć. Potem rozmawialiśmy o panu Brocku, zastanawiając się, jak daleko już zajechał w swojej podróży do domu. Moja pamięć może na początku działać wolno, doktorze, ale gdy już zacznie, niech pan spróbuje ją zatrzymać! Jeszcze nie rozkręciłem się nawet w połowie!

– Proszę wstrzymać się na minutę przez wzgląd na pamięć pana Midwintera i moją – odparł doktor. – Odnależliśmy wśród pańskich wrażeń na jawie wizję otwartego terenu, stawu i zachodu słońca. Ale cień kobiety jeszcze nie doczekał się wyjaśnienia. Czy może pan odnaleźć pierwowzór tej tajemniczej postaci z sennego krajobrazu?

Allan ponownie popadł w zakłopotanie, a Midwinter w napięciu czekał na ciąg dalszy ze wzrokiem utkwionym w twarzy doktora. Po raz pierwszy w pokoju zaległa idealna cisza. Pan Hawbury przynosił pytający wzrok z jednego na drugiego gościa.

Żaden z nich nie odpowiadał. Pomiędzy cieniem a substancją cienia ziała olbrzymia przepaść tajemnicy, równie niedostępna dla każdego z nich.

– Cierpliwości – rzekł spokojnie doktor. – Zostawmy na razie postać nad stawem i zobaczymy, czy nie trafimy na nią ponownie w miarę posuwania się dalej. Proszę pozwolić mi zauważyć, panie Midwinter, że nie jest łatwo zidentyfikować cień, ale nie będziemy rozpaczać z tego powodu. Ta nieuchwytna pani jeziora może nabrać konkretniejszych kształtów, kiedy spotkamy ją następnym razem.

Midwinter nie odpowiedział. Od tej chwili jego zainteresowanie śledztwem zaczęło słabnąć.

– Jaka jest następna scena pojawiająca się w śnie? – spytał pan Hawbury, zaglądając do rękopisu. – Pan Armadale znajduje się w pokoju. Stoi przed podłużnym oknem wychodzącym na trawnik i ogród kwiatowy, a w szybę bębni deszcz. Jediną rzeczą, jaką zauważył w pokoju, jest posążek, a jedynym towarzyszem, jakie ma, jest cień mężczyzny stojący naprzeciwko. Cień wyciąga rękę, posążek upada na podłogę i roztrzaskuje się na kawałki, a śniący, zmartwiony i zły z powodu katastrofy (zauważcie, panowie, że w tym miejscu w śpiącym budzi się z lekka zdolność rozumowania i na chwilę sen przechodzi racjonalnie od przyczyny do skutku), pochyła się, by popatrzeć na rozbite kawałki. Kiedy ponownie podnosi wzrok, scena znika. Oznacza to, że w cyklu odpływów i przypływów snu następuje teraz pora przypływu i mózg przez chwilę odpoczywa. Co się stało, panie Armadale? Czy znów poniosła pana pańska narowista pamięć?

– Tak – powiedział Allan. – Pędzę pełnym galopem. Wreszcie znalazłem rozbitą posążek: to nic innego jak porcelanowa pasterka, którą straciłem z gzymsu kominka w hotelowej jadalni, kiedy dzwoniłem dzwonkiem, by zamówić kolację wczoraj wieczorem. Jak nam dobrze idzie, prawda? To niczym rozwiązywanie zagadki. Dobrze, Midwinter! Teraz twoja kolej.

– Nie! – powiedział lekarz. – Moja kolej, jeśli pan pozwoli. Twierdzą, że podłużne okno, ogród i trawnik należą do mnie. Znajdzie pan podłużne okno, panie Armadale, w sąsiednim pokoju. Kiedy pan przez nie wyjrzy, zobaczy przed nim ogród i trawnik i jeśli wyteży pan nieco tę swoją wspaniałą pamięć, przypomni sobie, że był tak dobry, by zauważyć i pochwalić moje eleganckie wysokie okno

i ładny ogród, gdym wczoraj odwoził pana i pańskiego przyjaciela do Port St. Mary.

– Zgadza się – odparł Allan – tak było. Ale wobec tego, co z deszczem, który padał we śnie? Od tygodnia nie widziałem ani kropli deszczu.

Pan Hawbury zawahał się. Jego wzrok padł na lokalną gazetę leżącą na stole.

– Skoro nic innego nie przychodzi nam do głowy – powiedział – zobaczmy, czy nie znajdziemy myśli o deszczu tam, gdzie znaleźliśmy myśl o stawie.

Uważnie prześledził stosowny ustęp.

– Mam! – wykrzyknął. – Tutaj jest napisane, że deszcz spadł na owych spragnionych podróżników przemierzających Australię, zanim znaleźli staw. Oto jest deszcz, panie Armadale, który pozostał w pana umyśle, gdy czytał pan fragment opowiadania swojemu przyjacielowi zeszłego wieczoru! I oto jest sen, panie Midwinter, w którym jak zwykle mieszają się poszczególne wrażenia odniesione na jawie!

– Potrafi pan odnaleźć wrażenie na jawie, które wyjaśniałoby ludzką postać przy oknie? – zapytał Midwinter. – Czy też pominiemy cień mężczyzny tak jak pominieliśmy wcześniej cień kobiety?

Pytanie było sformułowane ze skrupulatną uprzejmością, ale w głosie pytającego pobrzmiwał sarkazm, który nie uszedł uwagi doktora i który natychmiast nastawił go polemicznie.

– Kiedy zbiera pan muszle na plaży, panie Midwinter, zazwyczaj zaczyna pan od tych, które leżą najbliżej pana – odrzekł. – Obecnie zbieramy fakty i te, które są najłatwiej dostępne, będą tymi, którymi zajmiemy się najpierw. Pozwólmy cieniowi mężczyzny i cieniowi kobiety połączyć się na razie w parę. Nie stracimy ich z oczu, obiecuję. Wszystko w swoim czasie, drogi panie, wszystko w swoim czasie!

On również był grzeczny i on również był sarkastyczny. Krótkotrwały rozejm pomiędzy przeciwnikami już się zakończył. Midwinter wymownie powrócił na swoje dawne miejsce przy oknie. Doktor jeszcze bardziej wymownie odwrócił się do niego plecami. Allan, który nigdy nie spierał się z niczymi poglądami i nigdy nie doszukiwał się drugiego dna w postępowaniu innych, wesoło zabębnił w stół trzonkiem noża.

– Proszę mówić dalej, doktorze! – zawołał. – Moja wspaniała pamięć jest świeża jak zawsze!

– Tak? – powiedział pan Hawbury, wracając do historii ze snu. – Pamięta pan, co się stało, gdy rozmawialiśmy wczoraj wieczorem z gospodynią w hotelowym barze?

– Jasne, że pamiętam! Był pan tak miły i wręczył mi szklankę brandy z wodą, którą właśnie przygotowała dla pana gospodyni. Ja zaś byłem zmuszony odmówić, ponieważ, jak panu wiadomo, smak brandy zawsze sprawia, że robi mi się niedobrze, niezależnie od dodatku.

– Dokładnie tak – odparł doktor. – I ma pan incydent odtworzony we śnie. Tym razem widzi pan cienie mężczyzny i kobiety razem. Słyszysz pan nalewanie płynu (brandy z hotelowej butelki i wody z hotelowego dzbanka), kobiecy cień (gospodyni) wręcza szklankę męskiemu cieniowi (mnie), męski cień wręcza ją panu (tak samo jak ja to zrobiłem), potem zaś następuje omdlenie (które już mi pan opisał). Jestem wstrząśnięty, panie Midwinter, rozpoznając w tych tajemniczych zjawach tak żałośnie prozaiczne pierwowzory, jak kobieta, która prowadzi hotel, i mężczyzna, który leczy wiejski gmin. Jednak pański przyjaciel sam panu powie, że mieszanka brandy z wodą została przygotowana przez gospodynię i że zanim do niego trafiła, przeszła przez moje ręce. Znaleźliśmy cienie, dokładnie tak, jak myślałem, i teraz pozostaje jedynie wyjaśnić – co można zrobić w dwóch słowach – sposób, w jaki ukazują się we śnie. Po dwóch próbach wprowadzenia doświadczonego na jawie wrażenia doktora i gospodyni osobno, w niewłaściwych okolicznościach, śniący umysł trafia w sedno przy trzeciej próbie i wprowadza doktora oraz gospodynię razem, we właściwych okolicznościach. Tak to wygląda w skrócie! Proszę pozwolić, że oddam panu rękopis wraz z serdecznym podziękowaniem za pańskie pełne i zadziwiające potwierdzenie racjonalnej teorii marzeń sennych.

Wypowiadając te słowa, pan Hawbury zwrócił zapisaną kartkę Midwinterowi z bezlitosną uprzejmością zwycięzcy.

– Cudowne! Od początku do końca nic nie zostało pominięte! Na Jowisza! – zawołał Allan ze skwapliwym szacunkiem skrajnego ignoranta. – Oto, co znaczy nauka!

– Nic nie zostało pominięte, jak pan mówi – zauważył zadowolony z siebie

doktor. – A jednak wątpię, czy udało nam się przekonać pańskiego przyjaciela.

– Nie przekonaliście mnie – odrzekł Midwinter. – Ale to nie powód, aby twierdzić, że się mylicie.

Mówił cicho, niemal ze smutkiem. Obłądana wiara w nadprzyrodzone źródło snu, od której próbował uciec, znów go opętała. Całe jego zainteresowanie wywodem ulotniło się, cała jego podatność na jego drażniące działanie minęła. Gdyby chodziło o kogoś innego, pan Hawbury czułby się udobruchany podobnym wyznaniem, jakie złożył przed chwilą jego adwersarz, ale zbyt serdecznie nie lubił Midwintera, by pozwolić mu w spokoju cieszyć się własnym zdaniem.

– Czy przyznaje pan – zapytał doktor bardziej zaczepnie niż kiedykolwiek dotąd – że sprowadziłem każde wydarzenie ze snu do wrażenia odniesionego na jawie, które poprzedzało je w umyśle pana Armadale’a?

– Nie zaprzeczę, że tak właśnie było – rzekł z rezygnacją Midwinter.

– Czy rozpoznałem w cieniach ich żywe pierwowzory?

– Pańskie rozpoznanie zadowoliło pana oraz mojego przyjaciela, nie mnie.

– Nie pana? Czy zatem potrafi je pan rozpoznać?

– Nie. Mogę jedynie czekać, aż żywe pierwowzory ukażą się w przyszłości.

– Mówi pan jak wyrocznia, panie Midwinter! Czy ma pan obecnie jakiś pomysł, kim mogą być owe żywe pierwowzory?

– Tak. Jestem przekonany, że przyszłe wypadki odkryją w cieniu kobiety osobę, której mój przyjaciel jeszcze nie spotkał, a w cieniu mężczyzny mnie.

Allan próbował coś powiedzieć. Doktor powstrzymał go.

– Upewnijmy się, że dobrze się rozumiemy – zwrócił się do Midwintera. – Zostawmy na razie na boku kwestię pańskiej osoby. Czy mogę zapytać, jak można rozpoznać w cieniu, który nie ma żadnych charakterystycznych cech, żywą kobietę, której nie zna pański przyjaciel?

Midwinter lekko poczerwieniał. Zaczynał odczuwać miazdzącą siłę logiki doktora.

– Krajobraz ze snu ma swoje charakterystyczne cechy – odparł – i na tle tego właśnie krajobrazu pojawi się żywa kobieta, kiedy ukaże się oczom po raz pierwszy.

– Tak samo będzie, jak sędzę – ciągnął doktor – w przypadku męskiego cienia, w którym uparcie rozpoznaje pan siebie. W przyszłości będzie pan miał coś wspólnego z posążkiem rozbitym w obecności pańskiego przyjaciela, podłużnym oknem wychodzącym na ogród oraz deszczem bębniącym w szybę? Tak pan twierdzi?

– Tak twierdę.

– Podobnie, jak się domyślam, będzie z kolejną wizją? Pan i tajemnicza kobieta znajdziecie się razem w miejscu jeszcze nieznanym i podacie panu Armadale'owi jakiś jeszcze nieokreślony napój, który spowodzi na niego omdlenie? Czy pan mówi poważnie, że w to wierzy?

– Mówię panu poważnie, że w to wierzę.

– I zgodnie z pana przekonaniem urzeczywistnienie się snu będzie oznaczać nadejście pewnych wydarzeń, które poważnie zagrażą szczęściu lub bezpieczeństwu pana Armadale'a?

– Jestem o tym głęboko przekonany.

Doktor podniósł się, odłożył na bok swój moralny skalpel, namyślał się przez chwilę, po czym znów go podniósł.

– Ostatnie pytanie – rzekł. – Czy ma pan jakiś powód, dla którego przyjmuje pan równie mistyczne stanowisko jak to, podczas gdy podsuwa się panu pod nos racjonalne wyjaśnienie snu, którego nie sposób podważyć?

– Nie mam żadnego powodu – odrzekł Midwinter – który mógłbym zdradzić panu lub mojemu przyjacielowi.

Doktor zerknął na zegarek gestem człowieka, który nagle przypomina sobie, że traci czas.

– Nie mamy wspólnych podstaw do dyskusji – rzekł – i choćbyśmy rozmawiali do dnia sądnego, nie osiągniemy porozumienia. Proszę wybaczyć, że oddalę się tak nagle. Jest później, niż myślałem i przed gabinetem na pewno czeka na mnie grupa porannych pacjentów. Przekonałem przynajmniej pana, panie Armadale, więc czas poświęcony na tę dyskusję nie został całkiem stracony. Proszę zostać u mnie i wypalić cygaro. Będę z powrotem do pana usług za mniej niż godzinę.

Skinął przyjaźnie głową w stronę Allana, posłał oficjalny ukłon Midwinterowi i wyszedł z pokoju.

Gdy tylko się odwrócił, Allan wstał ze swego miejsca przy stole i zwrócił się do przyjaciela z tą nieodpartą serdecznością, która zawsze znajdowała drogę do serca Midwintera od pierwszego spotkania w gospodzie.

– Teraz, kiedy potyczka pomiędzy tobą i doktorem skończona – odezwał się Allan – mam ze swojej strony do powiedzenia dwa słówka. Czy zrobisz dla mnie coś, czego nie zrobisz dla siebie?

Twarz Midwintera rozpromieniła się w okamgnieniu.

– Zrobię wszystko, o co poprosisz.

– Znakomicie. Czy od tej pory nie będziesz już w rozmowach ze mną powracał do tematu snu?

– Tak, jeśli chcesz.

– Czy posuniesz się o krok dalej? Przestaniesz rozmyślać o śnie?

– Trudno przestać o nim myśleć, Allanie. Ale spróbuję.

– Dobry chłopiec! A teraz daj mi ten nędzny skrawek papieru, podrzyjmy go i skończmy z tym.

Spróbował wyrwać rękopis z ręki przyjaciela, ale Midwinter był od niego szybszy i trzymał go poza jego zasięgiem.

– Nie wygłupiaj się! – prosił Allan. – Umyśliłem sobie zapalić nim cygaro.

Midwinter był rozdarty. Trudno było oprzeć się Allanowi, ale jednak mu się oparł.

– Poczekam trochę – powiedział – zanim zapalisz nim cygaro.

– Jak długo? Do jutra?

– Dłużej.

– Dopóki nie opuścimy Wyspy Man?

– Dłużej.

– Do diabła, daj mi prostą odpowiedź na proste pytanie. Jak długo będziesz czekał?

Midwinter ostrożnie włożył kartkę z powrotem do notesu.

– Poczekam – rzekł – aż przyjedziemy do Thorpe Ambrose.

KONIEC KSIĘGI PIERWSZEJ

KSIĘGA DRUGA

I. CZYHAJĄCA INTRYGA

1. List Oziasa Midwintera do pana Brocka

„Thorpe Ambrose, 15 czerwca 1851

Szanowny Panie!

Dotarliśmy tu zaledwie godzinę temu, właśnie gdy służba zamykała dom na noc. Allan poszedł spać, wyczerpany całodzienną jazdą, i zostawił mnie w pokoju, który nazywają biblioteką, abym opowiedział Panu historię naszej podróży do hrabstwa Norfolk. Jako że jestem bardziej od niego nawykły do wszelkiego rodzaju zmęczenia, moje oczy pozwalają mi jeszcze sięgnąć do pisania listu, choć zegar na kominku wskazuje północ, a my byliśmy w podróży od dziesiątej rano.

Ostatnią wiadomością, jaką Pan od nas otrzymał, była ta wysłana przez Allana z Wyspy Man. O ile się nie mylę, pisał Panu o nocy, jaką spędziliśmy na pokładzie rozbitego statku. Proszę mi wybaczyć, drogi Panie, że nie powiem nic więcej na ten temat, dopóki upływ czasu nie pozwoli mi myśleć o tym z większym spokojem. Ponownie muszę stoczyć trudną walkę z samym sobą, ale Bóg da, że jeszcze ją wygram, słowo daję.

Nie ma potrzeby zaprzętać Pana opisem naszych wypraw na północnych i zachodnich krańcach wyspy albo krótkich rejsów, które odbyliśmy, kiedy naprawa

jachtu wreszcie się zakończyła. Lepiej od razu przejdę do wczorajszego poranka, czternastego czerwca. Wraz z nocnym przyływem przybiliśmy do portu w Douglas i skoro tylko otwarto pocztę, Allan za moją radą posłał na łódź po listy. Posłaniec wrócił tylko z jednym, a jego nadawcą okazała się poprzednia właścicielka Thorpe Ambrose – pani Blanchard.

Myślę, że powinien Pan poznać treść tego listu, ponieważ znacząco wpłynęła ona na plany Allana. Jak Pan wie, wcześniej czy później Allan gubi wszystko i zdążył już zgubić ów list. Dlatego też tak jasno, jak tylko potrafię, muszę przekazać Panu istotę tego, co napisała pani Blanchard.

Na pierwszej stronie donosiła o wyjeździe z Thorpe Ambrose. Panie wyjechały przedwczoraj, trzynastego, po długich wahaniach zdecydowawszy udać się za granicę i odwiedzić starych przyjaciół osiadłych we Włoszech, w okolicach Florencji. Wydaje się całkiem prawdopodobne, że pani Blanchard i jej bratanica mogą również tam osiąść, jeśli tylko zdołają znaleźć odpowiedni dom i grunta do wynajęcia. Obie lubią Włochy i Włochów i są dość zamożne, by móc sobie dogadzać. Starsza pani ma dożywotnią rentę po mężu, zaś młodsza jest w posiadaniu całej fortuny ojca.

Następna strona według Allana nie zawierała niczego przyjemnego.

Wspomniawszy z wielką wdzięcznością o uprzejmości Allana, dzięki której mogła wraz z bratanicą opuścić dawny dom w dogodnym dla siebie czasie, pani Blanchard dodawała, że jego wielkoduszny gest wywołał tak pozytywne wrażenie na przyjaciółach i służących rodziny, że chcieliby zgotować mu oficjalne powitanie. Odkonczyło się już wstępne spotkanie mieszkańców majątku i osób sprawujących ważne funkcje w pobliskim miasteczku, na którym omówiono przygotowania, wkrótce też należy się spodziewać listu od pastora z pytaniem, kiedy pan Armadale zechce osobiście i publicznie objąć w posiadanie swój majątek w hrabstwie Norfolk.

Teraz domyśla się Pan powodu naszego nagłego wyjazdu z Wyspy Man. Pierwszą i najważniejszą myślą, jaka zrodziła się w głowie pańskiego dawnego ucznia na wieść o powyższych ustaleniach, była myśl, jak by tu uniknąć oficjalnego powitania, a jedynym pewnym sposobem, jaki mu się nasunął, był wyjazd do Thorpe Ambrose, zanim dosięgnie go list pastora.

Robiłem, co mogłem, by zmusić go do przemyślenia swojej decyzji, zanim ulegnie impulsowi, ale on tylko dalej niewzruszenie pakował swój kufer podróżny. W dziesięć minut później jego bagaż był gotów do drogi, a po kolejnych pięciu – wydał załodze polecenie odprowadzenia jachtu z powrotem do hrabstwa Somerset. Parowiec do Liverpoolu stał obok nas w porcie i naprawdę nie miałem innego wyboru jak wejść wraz z nim na pokład albo pozwolić mu odpłynąć samemu. Oszczędzę Panu opisu naszej burzliwej przeprawy, postojów w Liverpoolu i pociągów, na które się spóźniliśmy, podróżując po kraju. Wie Pan, że dotarliśmy tu szczęśliwie, i to wystarczy. Mniejsza z tym, co o niespodziewanym pojawieniu się bez słowa uprzedzenia nowego dziedzica pomyśli służba. Obawiam się jednak, co może sobie pomyśleć o tym komitet zawiązany w celu przygotowania oficjalnego powitania, kiedy jutro rozniosą się wieści.

Skoro już mowa o służbie, mogę Panu powiedzieć, że dalsza część listu pani Blanchard była w całości poświęcona instrukcjom na temat gospodarstwa domowego, które pozostawiała Allanowi. Wygląda na to, że wszyscy służący, zarówno zatrudnieni w domu, jak i na zewnątrz (z trzema wyjątkami), czekają na miejscu, licząc na to, że Allan zatrzyma ich na stanowiskach. Dwa z tych wyjątków łatwo można wytłumaczyć: pokojówki pani Blanchard i panny Blanchard wyjeżdżają za granicę wraz ze swymi paniami. Trzeci wyjątek stanowi starsza pokojowa – i w tym tkwi mały szkopuł. Mówiąc najprościej, pokojowa została zwolniona w trybie natychmiastowym za coś, co pani Blanchard tajemniczo określiła jako »lekkomyślne zachowanie z nieznajomym«.

Obawiam się, że będzie Pan się ze mnie śmiał, ale muszę wyznać prawdę. Stałem się tak dalece podejrzliwy (po tym, co przydarzyło nam się na Wyspie Man) wobec najmniejszych nawet niepowodzeń łączących się z wejściem Allana w nowe życie, że zdążyłem już wypytać jednego z tutejszych służących o tę, wydawałoby się, mało znaczącą sprawę odejścia pokojowej w niesławie.

Wszystko, czego się dowiedziałem, to to, że widziano, jak jakiś nieznajomy, podejrzanie wyglądający, kręcił się po okolicy, że pokojowa była kobietą tak brzydką, iż było niemal pewne, że miał on jakiś ukryty cel, przymilając się do niej, i że od dnia jej zwolnienia nie pokazał się już w sąsiedztwie. To tyle, jeśli chodzi

o tę jedną służącą, którą wydano z Thorpe Ambrose. Mam tylko nadzieję, że z tej strony nie szykują się dla Allana jakieś kłopoty. Co do pozostałej służby, pani Blanchard wyraża się o nich – zarówno mężczyznach, jak i kobietach – jako w najwyższym stopniu godnych zaufania i bez wątpienia wszyscy pozostaną na obecnych stanowiskach.

Skoro już skończyłem relacjonować list pani Blanchard, moim następnym obowiązkiem jest prosić Pana w imieniu Allana i z pozdrowieniami od niego, by zechciał Pan przyjechać tu, i zostać z nim, tak szybko, jak tylko będzie Pan mógł opuścić Somerset. Jakkolwiek nie śmiem się spodziewać, że moje własne życzenia będą miały jakiś szczególny wpływ na Pańską decyzję o przyjęciu tego zaproszenia, muszę jednak zaznaczyć, że mam własny powód, by szczerze pragnąć Pana tutaj widzieć. Allan niechcący przysporzył mi pewnej nowej obawy o moje przyszłe stosunki z nim i bardzo potrzebuję Pana rady, która wskazałaby mi właściwy sposób na oddalenie tego niepokoju.

Problem, który obecnie mnie zaprzęta, dotyczy posady zarządcy w Thorpe Ambrose. Do dziś wiedziałem jedynie, że Allan ma jakiś własny plan rozwiązania tej sprawy i że między innymi łączy się on, co jest dość dziwne, z wynajęciem domku, który zamieszkiwał poprzedni zarządca, w związku z planowanym ulokowaniem nowego zarządcy w rezydencji. Przypadkowa wzmianka w rozmowie podczas podróży tutaj skłoniła Allana, by wyrazić się nieco jaśniej niż dotychczas i ku swemu niewysłowionemu zdumieniu dowiedziałem się, że osobą, co do której snute są te wszystkie plany związane z zarządcą, jest nie kto inny jak ja!

Nie muszę Panu mówić, jak poczułem się na wieść o tym nowym dowodzie dobroci Allana. Pierwszą radość, jaka pojawiła się, kiedy z jego własnych ust usłyszałem, że zasłużyłem na najwyższy dowód zaufania, jaki mógł mi okazać, wkrótce zmącił ból, który towarzyszy każdej radości, przynajmniej takiej, jaką znam. Nigdy jeszcze moje dawne życie nie wydawało mi się tak nędzne jak teraz, kiedy mój przyjaciel oferuje mi zajęcie miejsca pośród swojej służby w roli, do której czuję się najbardziej niezdatny ze wszystkich. Zebrałem się na odwagę, by mu powiedzieć, że nie mam wiedzy ani doświadczenia w zakresie prowadzenia interesów, które powinien posiadać jego zarządca. Wielkodusznie odparł tę obiekcję,

mówiąc, że mogę się wszystkiego nauczyć, i obiecał posłać do Londynu po osobę, która tymczasowo pełniła obowiązki zarządcy i która, co za tym idzie, będzie osobą kompetentną, aby mnie poinstruować.

Czy Pan też myśli, że mogę się nauczyć? Jeśli tak, będę pracował dzień i noc, by się wyszkolić. Jeśli jednak (jak się obawiam) obowiązki zarządcy są zbyt poważne, by od ręki przyswoiła je sobie osoba równie młoda i niedoświadczona jak ja, proszę, niech Pan czym prędzej przyjedzie do Thorpe Ambrose i osobiście wywrze wpływ na Allana. Nic innego nie zdoła skłonić go, by mnie pominąć i zatrudnić osobę, która naprawdę nadaje się do objęcia tego stanowiska. Błagam, niech Pan postąpi w tej sprawie tak, jak w Pana ocenie będzie dla Allana najlepiej. Jeśli mogę doznać jakiegoś zawodu w związku z jego zmianą decyzji, on tego nie zobaczy.

Szczerze oddany Panu,

Ozias Midwinter

PS Ponownie otwieram kopertę, by dopisać jeszcze słówko. Jeśli po powrocie do hrabstwa Somerset widział Pan kobietę w czarnej sukni i czerwonym szalu lub coś o niej słyszał, mam nadzieję, że nie zapomni mi o tym wspomnieć w liście,

O.M.”.

2. List pani Oldershaw do panny Gwilt

„Salon kosmetyczny, Diana Street, Pimlico,

środa

Moja droga Lydio!

Piszę do Ciebie po długim i ciężkim dniu w moim zakładzie na papierze firmowym, ponieważ od naszego ostatniego spotkania doszły do moich uszu wieści, które, jak się wydaje, dobrze byłoby Ci przekazać przy najbliższej sposobności.

Zacznijmy od początku. Po dokładnym rozważeniu sprawy doszłam do przekonania, że jeśli chodzi o młodego Armadale’a, rozsądnie zrobisz, nie wspominając mu o Maderze i wszystkim, co tam zaszło. Twoja pozycja względem jego matki bez wątpienia dawała ci przewagę. W skrytości pomogłaś jej zrobić psikusa jej własnemu ojcu, za co odpłaciła Ci zwolnieniem w rozpaczliwie młodym wieku, gdy tylko osiągnęła swój cel, kiedy zaś naszała ją nagle po ponad dwudziestu

latach rozłąki, zastałaś ją w kiepskim zdrowiu, z dorosłym synem, którego trzymała w całkowitej niewiedzy co do prawdziwej historii swojego małżeństwa.

Czy masz podobne atuty w odniesieniu do młodego dżentelmena? Jeśli nie jest urodzonym idiotą, nie uwierzy w Twoje szokujące kalumnie plamiące pamięć jego matki i, jako że po tylu latach nie masz żadnych dowodów, które mogłabyś mu przedstawić, możesz pożegnać się z szukaniem pieniędzy w kopalniach złota Armadale'ów. Zwróć uwagę, nie kwestionuję faktu, że dług wdzięczności, jaki miała wobec Ciebie starsza pani po tym, co zrobiłaś dla niej na Maderze, nie został jeszcze spłacony i że syn jest następną osobą, która powinna wyrównać z Tobą rachunki po tym, jak matka Ci się wywinęła. Przyciśnij go tylko odpowiednio, kochana, oto co śmiem proponować – przyciśnij go odpowiednio.

A co to znaczy »odpowiednio«? Czytaj dalej.

Czy myślałaś o tym, by zarzucić się na owego szczęśliwego młodzieńca jedynie z pomocą własnej urody i sprytu? Pomysł ten tak bardzo nie dawał mi spokoju po Twoim wyjściu, że wysłałam liścik do mojego prawnika, aby w Doctors' Commons⁶ kazał zbadać testament, któremu młody Armadale zawdzięcza swój majątek. Wynik jest nieskończenie bardziej obiecujący niż wszystko, co ja i ty mogłyśmy sobie wymarzyć. Raport dostarczony mi przez mojego prawnika nie pozostawia cienia wątpliwości co do tego, co powinnaś zrobić. W dwóch słowach, Lydio, weź byka za rogi i wyjdź za niego!

Mówię najzupełniej poważnie. Gra jest o wiele bardziej warta świeczki, niż Ci się wydaje. Przekonaj go tylko, by uczynił Cię panią Armadale, a będziesz mogła nic sobie nie robić z tego, co odkryje po fakcie. Tak długo jak żyje, będziesz mogła się z nim ułożyć, a jeśli umrze, testament uprawni Cię – bez względu na to, co powie lub zrobi, czy będziecie mieć dzieci, czy nie – do dochodu pochodzącego z majątku w wysokości dwunastu tysięcy rocznie do końca życia. Nie ma co do tego wątpliwości, prawnik osobiście oglądał testament. Oczywiście pan Blanchard wprowadził to zabezpieczenie z myślą o swoim synu i wdowie po synu. Ale skoro nie jest ono przeznaczone imiennie dla żadnego spadkobiercy i nie zostało nigdzie uchylone, teraz równie dobrze dotyczy młodego Armadale'a tak, jakby w innych okolicznościach dotyczyło syna pana Blancharda. Pomyśl, jaka to dla Ciebie szansa

po tych wszystkich niepowodzeniach i niebezpieczeństwach, przez które przesłaś – być panią Thorpe Ambrose, o ile będzie żył, i mieć dożywotni dochód, jeśli umrze! Musisz go złowić, moje biedactwo, złowić za wszelką cenę.

Śmiem twierdzić, że czytając te słowa, wniesiesz to samo zastrzeżenie, które wniosłaś wtedy, gdy o tym rozmawialiśmy: mam na myśli zastrzeżenie odnoszące się do twego wieku.

A teraz, kochanie, tylko mnie posłuchaj. Chodzi nie o to, czy w dniu ostatnich urodzin miałaś trzydzieści pięć lat (przyznajmy tę straszną prawdę i powiedzmy, że miałaś), ale czy wyglądasz bądź nie wyglądasz na swój wiek. Moja opinia w tej sprawie powinna być i jest jedną z najbardziej wiarygodnych w Londynie. Od dwudziestu lat pracuję z przedstawicielkami naszej czarującej płci, sprawiając, że stare, zniszczone życiem twarze i zniekształcone figury wyglądają jak nowe, i mogę z całą pewnością powiedzieć, że nie wyglądasz na choćby o dzień więcej niż trzydzieści lat, o ile nie mniej. Jeśli do tego pójdziesz za moją radą odnośnie do ubioru i skrycie zastosujesz jeden lub dwa z moich specyfików, ręczę, że cofniesz czas o kolejne trzy lata. Zrzeknę się wszystkich pieniędzy, jakie będę miała dostać za zapewnienie Ci korzyści w tej kwestii, jeśli po zmieleniu w moim cudownym młynie młodości będziesz wyglądać w oczach jakiegokolwiek mężczyzny na więcej niż dwadzieścia siedem lat. Z wyjątkiem, ma się rozumieć, chwil, kiedy będziesz się budzić nad ranem z niepokoju, ale wtedy, moja droga, będziesz stara i brzydka w zaciszu własnej sypialni, co nie ma żadnego znaczenia.

»Cóż z tego«, powiesz, »nawet z pomocą twoich sztuczek wyglądam na dobre sześć lat starszą niż on i to już na wstępie przemawia przeciwko mnie«. Doprawdy? Pomyśl przez chwilę. Z pewnością własne doświadczenie pokazało Ci, że najczęstszą z wszystkich słabości typowych dla młodzieńców w wieku Armadale'a jest słabość do kobiet starszych od siebie. Kim są mężczyźni, którzy naprawdę doceniają nas, gdy jesteśmy w kwiecie wieku (z pewnością mam powody, by dobrze mówić o kwiecie wieku, zarobiłam dziś pięćdziesiąt gwinei, nakładając go na upstrzone plamkami ramiona kobiety, która mogłaby być Twoją matką) – kim są mężczyźni, powtarzam, gotowi wielbić nas, gdy jesteśmy siedemnastoletnimi dziewczątkami? Wesołymi młodzieńcami w rozkwicie? Skądże! Starymi, chytrymi

łajzami, którzy znajdują się po drugiej stronie czterdziestki.

Jaki z tego morał, jak mawiają w bajkach?

Morał jest taki, że szczęście, z taką głową, jaką masz na karku, jest po Twojej stronie. Jeśli doskwiera Ci obecne beznadziejne położenie, a myślę, że tak, jeśli wiesz, jak uroczą kobietą (w oczach mężczyzn) możesz nadal być, jeśli chcesz i jeśli odzyskałaś dawną determinację po owym szokującym akcie desperacji na pokładzie parowca (zrozumiałym, jak sądzę, biorąc pod uwagę okropną prowokację, jaką wobec Ciebie zastosowano), nie potrzebujesz więcej mojej zachęty, by spróbować tego eksperymentu. Pomyśleć tylko, jak pokrętne bywają koleje losu! Gdyby tamten młody dureń nie wskoczył za Tobą do rzeki, ten młody dureń nigdy nie dostałby posiadłości. Naprawdę wygląda to tak, jakby przeznaczenie zdecydowało, że masz zostać panią Armadale z Thorpe Ambrose, a któż może panować nad swoim przeznaczeniem, jak mawia poeta?

Wyślij mi tylko słówko – »tak« lub »nie« i wierz, że masz we mnie oddaną przyjaciółkę,

Maria Oldershaw”.

3. List panny Gwilt do pani Oldershaw

„Richmond, czwartek

Ty stara chytrusko!

Nie powiem »tak« lub »nie«, zanim najpierw nie spędzę długiej chwili, wpatrując się w lustro. Gdybyś miała prawdziwy szacunek dla kogokolwiek innego niż Twoja nikczemna postać, wiedziałabyś, że na samą myśl o ponownym zamążpójściu (po tym, co przeżyłam) ciarki przechodzą mi po plecach.

Nie zaszkodzi jednak, jeśli prześlesz mi nieco więcej informacji, podczas gdy ja będę się namyślać. Wciąż jeszcze masz moje dwadzieścia funtów ze sprzedaży rzeczy, które Ci dałam. Przyślij mi dziesięć funtów na moje wydatki przekazem pocztowym, a drugie dziesięć przeznacz na prywatne dochodzenie w Thorpe Ambrose. Chcę wiedzieć, kiedy wyjeżdżają obie panie Blanchard i kiedy młody Armadale wygarnie zimny popiół z rodzinnego kominka. Jesteś pewna, że da się nim tak łatwo pokierować, jak myślisz? Jeśli jest równie obłudny jak jego matka,

powiem jedno: Judasz Iskariota powrócił do życia.

Moje mieszkanie jest bardzo wygodne. Ogród pełen jest ślicznych kwiatów, a rankiem ptaki urządzają mi rozkoszną pobudkę. Wynajęłam całkiem niezły fortepian. Jedyny mężczyzna, który cokolwiek mnie obchodzi (nie obawiaj się, został złożony do grobu wiele lat temu, a znany jest jako Beethoven), dotrzymuje mi towarzystwa w godzinach samotności. Gospodyni również dotrzymywałaby mi towarzystwa, gdybym tylko jej na to pozwoliła. Nienawidzę kobiet. Nowy wikary złożył wczoraj wizytę drugiej lokatorce i wychodząc, minął mnie na trawniku. Wzrok mam dobry jak dawniej, w każdym razie zobaczyłam, mimo moich trzydziestu pięciu lat, że biedaczek zarumienił się, kiedy na niego spojrzałam! Jak myślisz, jakiego koloru by nabrał, gdyby któryś z ptaszków w ogrodzie wyszeptał mu do ucha prawdziwą historię uroczej panny Gwilt?

Do widzenia, Matko Oldershaw. Jeśli jesteś moją starą, oddaną przyjaciółką, oczywiście muszę pozdrawiać Cię czule.

Lydia Gwilt”.

4. List pani Oldershaw do panny Gwilt

„Salon kosmetyczny, wtorek.

Moja droga Lydio!

Ogromna szkoda, że Twój list nie był zaadresowany do pana Armadale’a, Twoja wdzięczna zuchwałość oczarowałoby go. Na mnie nie działa, przy moim trybie życia jestem nawykła do zuchwałości. Po co tracisz swój błyskotliwy humor na niedostępną panią Oldershaw? Tylko się marnuje. Czy następnym razem spróbujesz być poważna? Mam dla Ciebie wieści z Thorpe Ambrose, które nie są żartem i których nie można lekceważyć.

Godzinę po otrzymaniu Twojego listu rozpoczęłam dochodzenie. Nie wiedząc, do czego może ono doprowadzić, pomyślałam, że najbezpieczniej będzie zacząć anonimowo. Zamiast zlecać to którejś z osób, które mam do dyspozycji (znających Ciebie i mnie), udałam się do Prywatnego Biura Detektywistycznego na Shadyside Place i oddałam sprawę w ręce inspektora, pozostając przy tym zupełnie anonimowa i nie wspominając słówkiem o Tobie. Nie był to najtańszy sposób zabrania się do

pracy, przyznaję, ale był najbezpieczniejszy, co jest o wiele bardziej istotne.

Inspektor i ja doszliśmy do porozumienia w dziesięć minut i natychmiast przedstawiono mi najbardziej niewinnie wyglądającego młodego człowieka, jakiego widziałam w życiu. Wyruszył do Thorpe Ambrose godzinę po tym, jak się spotkaliśmy. Umówiłam się, że będę się dopytywać w biurze o wiadomości w sobotę, poniedziałek i dziś po południu. Nie było żadnych informacji aż do dziś, kiedy to dowiedziałam się, że nasz tajny agent właśnie wrócił do miasta i czekał, by wyczerpująco mi zrelacjonować wycieczkę do hrabstwa Norfolk.

Po pierwsze, pozwól, że uspokoję Cię co do Twoich dwóch pytań – posiadam odpowiedzi na oba. Panie Blanchard wyjeżdżają za granicę trzynastego, zaś młody Armadale żegluje obecnie gdzieś po morzu na swoim jachcie. W Thorpe Ambrose mówi się o zgotowaniu mu oficjalnego powitania i zwołaniu zebrania miejscowych notabli, żeby wszystko ustalić. Przemowy i ceregiele przy takich okazjach przeważnie zabierają mnóstwo czasu i raczej nie zanoszą się na to, by przyjęcie na cześć nowego dziedzica odbyło się na długo przed końcem miesiąca.

Gdyby nasz posłaniec zrobił dla nas tylko tyle, myślę, że zasłużyłby sobie na swoje wynagrodzenie. Ale niewinnie wyglądający młodzieniec jest prawdziwym jezuitą prowadzącym prywatne śledztwo, mającym tę wielką przewagę nad wszystkimi papieskimi duchownymi, jakich widziałam, że nie ma swojej chytrłości wypisanej na twarzy.

Jako że musiał zdobyć informacje również od kobiet pracujących w tym domu, zwrócił się z podziwu godną dyskrecją do najbrzydszej ze służących. »Kiedy są ładne i mogą przebierać«, jak się trafnie wyraził, »marnują mnóstwo cennego czasu na wybranie sobie ukochanego. Gdy są brzydkie i nie mają najmniejszej szansy na wybór, rzucają się na ukochanego, gdy ten stanie na ich drodze, jak wygłodzony pies na kość«. Kierując się tymi doskonałymi zasadami, nasz tajny agent zdołał, po pewnej nieuniknionej zwłóce, zwrócić się do starszej pokojowej w Thorpe Ambrose i zaskarbił sobie jej całkowite zaufanie już przy pierwszej rozmowie. Pamiętając o wskazówkach, zachęcił kobietę do wyznań i, rzecz oczywista, został uraczony wszystkimi ploteczkami z pokoju dla służby. Większość z nich (powtórzona mi) okazała się bez znaczenia. Ale słuchałam uważnie i w końcu zostałam nagrodzona

cennym odkryciem. Oto ono.

Podobno na terenie Thorpe Ambrose znajduje się ozdobny domek. Z nieznanых powodów młody Armadale zdecydował się go wynająć i już sprowadził się tam lokator. Jest nim zubożały major wojska, zwie się Milroy. Ze wszystkich relacji wynika, że to typ potulny, lubiący oddawać się majsterkowaniu i obciążony brzemieniem w postaci przykutej do łóżka żony, której nikt z mieszkańców posiadłości dotąd nie widział. No i cóż z tego? – zapytasz z tym swoim opryskliwym zniecierpliwieniem, z którym tak Ci do twarzy. Droga Lydio, nie denerwuj się! Sprawy rodzinne tego człowieka poważnie dotyczą nas obu, ponieważ, jak się nieszczęśliwie składa, ma on córkę!

Możesz sobie wyobrazić, jak wypytywałam naszego agenta i jak agent wysilał swoją pamięć, kiedy w pewnej chwili natrafiłam na podobne odkrycie. Jeśli rozszczebiotane języki kobiece są dziełem niebios, chwała niebiosom! Od panny Blanchard do pokojówki panny Blanchard, od pokojówki panny Blanchard do pokojówki ciotki panny Blanchard, od pokojówki ciotki panny Blanchard do brzydkiej pokojowej, od brzydkiej pokojowej do niewinnie wyglądającego młodzieńca – strumień plotek spłynął w końcu do właściwego zbiornika i spragniona Matka Oldershaw wypila wszystko do ostatniej kropelki.

Mówiąc krótko, moja droga, oto jak się sprawy mają. Córka majora to bałamutka zaledwie szesnastoletnia, żywa i ładna (wstrętna łajdaczka!), która ubiera się bez gustu (dzięki Bogu!) i której brak ogłady (jeszcze raz dzięki Bogu!). Wychowywała się w domu. Guwernantka, która ostatnio się nią zajmowała, wyjechała, zanim ojciec dziewczyny przeprowadził się do Thorpe Ambrose. Jej wykształcenie rozpaczliwie domaga się ostatniego szlif, a major sam nie wie, co robić dalej. Nikt z jego znajomych nie potrafi polecić nowej guwernantki, zaś pomysł posłania dziewczyny do szkoły nie przemawia do niego. Oto jak sprawy się mają w chwili obecnej, według relacji samego majora, ponieważ tak wyraził się on podczas porannej wizyty, którą oboje z córką złożyli w rezydencji.

Masz teraz moje obiecane wiadomości i bez trudu zgodzisz się ze mną, jak myślę, że w sprawie Armadale'a trzeba niezwłocznie podjąć decyzję, taką czy inną. Jeśli pomimo swoich beznadziejnych perspektyw i czegoś, co mogę nazwać

rodzinnym roszczeniem wobec tego młodego gagatka, zdecydujesz się go sobie odpuścić, z przyjemnością prześlę Ci resztę pozostałą po uregulowaniu rachunku ze mną (dwadzieścia siedem szylingów) i będę mogła zająć się wyłącznie moim własnym interesem. Jeśli jednak postanowisz spróbować szczęścia w Thorpe Ambrose, wtedy (jako że bałamutka majora bez wątpienia zastawi sidła na młodego dziedzica) z przyjemnością posłucham, jak zamierzasz zmierzyć się z podwójnym wyzwaniem rozpalenia pana Armadale'a i ostudzenia zapędów panny Milroy.

Szczerze oddana,
Maria Oldershaw”.

5. List panny Gwilt do pani Oldershaw

(odpowiedź pierwsza)

„Richmond, poniedziałek rano

Pani Oldershaw!

Prześlij mi moje dwadzieścia siedem szylingów i zajmij się swoim własnym interesem.

Twoja

L.G.”.

6. List panny Gwilt do pani Oldershaw

(odpowiedź druga)

„Richmond, środa wieczorem

Kochana przyjaciółko!

Zatrzymaj te dwadzieścia siedem szylingów i spal mój poprzedni list. Zmieniłam zdanie.

Pierwszy list napisałam po okropnej nocy. Tym razem piszę po konnej przejażdżce, kieliszku bordo i piersi kurczaka. Czy to wystarczające wyjaśnienie? Proszę, powiedz, że tak, bo chcę wrócić do mojego fortepianu.

Nie, jeszcze nie mogę do niego wrócić. Muszę wpierw odpowiedzieć na Twoje pytanie. Czy jesteś jednak ignorantką, by sądzić, że nie przejrzałam na wylot Ciebie i Twojego listu? Wiesz równie dobrze jak ja, że problem majora jest naszą szansą,

ale chcesz, żebym wzięła na siebie ciężar złożenia propozycji jako pierwsza, prawda? A co, jeśli podejść do tego w Twój zawołany sposób? A co, jeśli powiem: »Proszę, nie pytaj mnie, jak mam zamiar rozpalić pana Armadale'a i ostudzić zapędy panny Milroy, pytanie jest tak porażająco obcesowe, że nie mogę na nie odpowiedzieć. Zamiast tego zapytaj mnie, czy niewygórowaną ambicją mojego życia jest zostać guwernantką panny Milroy«. Tak, jeśli pani pozwoli, pani Oldershaw, i jeśli pomoże mi, polecając mnie.

Proszę bardzo! Jeśli wydarzy się jakaś poważna katastrofa (co bardzo możliwe), jak dobrze będzie pomyśleć, że to wszystko moja wina!

Teraz, kiedy to dla Ciebie zrobiłam, czy Ty zrobisz coś dla mnie? Chcę przepuścić przez palce ten krótki czas, który mi tu został, na mój własny sposób. Okaż się łaskawą Matką Oldershaw i oszczędź mi kłopotu sprawdzania wszystkich oraz rozważania szans za i przeciw w moim nowym przedsięwzięciu. Myśl za mnie, krótko mówiąc, zanim nie będę zobowiązana myśleć sama za siebie.

Lepiej już skończę, bo mogę napisać coś strasznego, co Ci się nie spodoba. Jestem dziś wieczorem w jednym z moich humorów. Chciałabym mieć pod ręką męża, którego mogłabym podrażnić, albo dziecko, które mogłabym zbić, albo coś w tym guście. Czy lubisz czasem patrzeć, jak letnie owady giną w płomieniu świecy? Ja tak. Dobranoc, pani Jezebel. Im dłużej pozwolisz mi tu zostać, tym lepiej. Powietrze mi służy i wyglądam czarująco,

L.G.”.

7. List pani Oldershaw do panny Gwilt

„czwartek

Moja droga Lydio!

Niektóre osoby na moim miejscu mogłyby poczuć się nieco urażone tonem Twojego ostatniego listu. Ale ja jestem tak bardzo do Ciebie przywiązana! A kiedy kogoś kocham, bardzo trudno, moja droga, jest temu komuś mnie urazić! Następnym razem nie odbywaj tak dalekich przejażdżek i wypij tylko pół kieliszka bordo. Nic więcej nie powiem.

Czy możemy już zakończyć naszą potyczkę i przejść do poważnych kwestii?

Dziwne, jak zawsze trudno jest kobietom zrozumieć się nawzajem, zwłaszcza gdy trzymają w rękach pióra! Ale spróbujmy.

A więc na początek: wnoszę z Twojego listu, że rozsądnie zdecydowałaś się spróbować eksperymentu z Thorpe Ambrose i zapewnić sobie, o ile dasz radę, znakomite położenie na wejściu poprzez zamieszkanie w domu majora Milroya. Jeśli okoliczności nie będą Ci sprzyjać i jakaś inna kobieta dostanie posadę guwernantki (o czym więcej za chwilę), nie będziesz miała innego wyboru, jak tylko zawrzeć znajomość z panem Armadale'em w innym charakterze. Tak czy owak, potrzebujesz mojego wsparcia i dlatego pierwszą kwestią, którą należy ustalić między nami, jest kwestia tego, co jestem gotowa zrobić i co mogę zrobić, by Ci pomóc.

Moja droga Lydio, kobieta z Twoim wyglądem, Twoimi manierami, Twoimi zdolnościami i Twoim wykształceniem może odbywać niemal wszystkie wycieczki w wyższe sfery, jakie sobie wymarzy, jeśli tylko ma pieniądze w kieszeni i szacowną osobę polecającą, do której może się uciec w razie kryzysu. Po pierwsze, co się tyczy pieniędzy... Zobowięzę się je znaleźć, pod warunkiem że odwdzięczysz mi się za pomoc odpowiednią gratyfikacją finansową, jeśli zdobędziesz łup Armadale'ów. Twoja obietnica, że będziesz w ten sposób o mnie pamiętać, zawierająca warunki wyrażone konkretnymi liczbami, zostanie sporządzona na piśmie przez mojego prawnika, żebyśmy mogły podpisać ją i załatwić wszystko od razu, gdy spotkamy się w Londynie.

Następnie, co się tyczy osoby polecającej...

Tutaj również moje usługi pozostają do Twojej dyspozycji, pod innym warunkiem. Oto on: przedstawiś się w Thorpe Ambrose nazwiskiem, do którego powróciłaś po tej okropnej historii z małżeństwem – mam na myśli Twoje własne panięskie nazwisko Gwilt. Mam tylko jeden powód, dla którego przy tym obstaję: nie chcę podejmować niepotrzebnego ryzyka. Doświadczenie poufnego doradcy moich klientów w różnych sprawach sercowych wymagających dyskrecji pokazało, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć przybrane nazwisko jest zupełnie niepotrzebną i bardzo niebezpieczną formą oszustwa. Nic nie byłoby w stanie uzasadnić przybierania fałszywego nazwiska prócz obawy, że młody Armadale Cię

przejrzy – obawy, od której na szczęście zostałyśmy uwolnione przez zapobiegliwość jego własnej matki, skrzętnie ukrywającej przed synem i innymi fakt, że byliście kiedyś ze sobą powiązane.

Kolejny i ostatni dylemat, moja droga, dotyczy tego, czy zdołasz znaleźć dojście do domu majora Milroya w charakterze guwernantki. Kiedy już raz zjawisz się pod jego dachem ze swoją znajomością muzyki i języków, możesz być pewna, że o ile tylko będziesz potrafiła trzymać nerwy na wodzy, utrzymasz posadę. Przy obecnym stanie rzeczy jedyne pytanie dotyczy tego, czy ją zdobędziesz.

Biorąc pod uwagę trudności, jakich obecnie doświadcza major w związku z edukacją córki, istnieje prawdopodobieństwo, że zamieści ogłoszenie w sprawie guwernantki. Powiedzmy, że faktycznie zamieści ogłoszenie – jaki poda adres, na który będą mogły pisać kandydatki?

Jeżeli poda adres w Londynie, żegnajcie nasze nadzieje z tego prostego względu, że nie zdołamy odróżnić jego ogłoszenia od ogłoszeń innych ludzi szukających guwernantki, którzy również podadzą londyńskie adresy. Jeżeli jednak szczęście będzie nam sprzyjać i major skieruje korespondencję na adres sklepu, poczty czy czegoś podobnego w Thorpe Ambrose, będziemy miały naszego ogłoszeniodawcę podanego na tacy. W tym przypadku nie mam prawie żadnych wątpliwości, że mając referencje ode mnie, znajdziesz się w kręgu rodzinnym majora. Posiadamy jedną wielką przewagę nad innymi kobietami, które odpowiedzą na ogłoszenie. Dzięki mojemu dochodzeniu na miejscu wiem, że major Milroy jest ubogi, a my ustalimy wysokość oczekiwanej przez Ciebie pensji na takim poziomie, że na pewno się skusi. Co zaś się tyczy stylu listu – jeśli Ty i ja do spółki nie potrafimy napisać skromnego i interesującego podania o wolną posadę, chciałabym wiedzieć, kto potrafi.

Wszystko to jednak dopiero przed nami. Na razie radzę Ci, zostań tam, gdzie jesteś, i przepuszczaj czas przez palce, ile dusza zapragnie, dopóki ponownie nie napiszę. Regularnie kupuję „Timesa” i możesz być pewna, że moje czujne oko nie przepuści właściwego ogłoszenia. Na szczęście możemy dać majorowi czas bez szkody dla własnych interesów, bowiem nie ma jeszcze w tym momencie obaw, że dziewczyna Cię uprzedzi. Oficjalne powitanie, jak wiemy, nie będzie gotowe przed

końcem miesiąca i możemy spokojnie założyć, że próżność młodego panicza zatrzyma go z dala od nowego domu, zanim wszyscy pochlebcy nie zbiorą się, by go powitać.

Czyż nie jest dziwne, jak wiele zależy od decyzji tego zubożałego oficera? Jeśli chodzi o mnie, będę się odtąd budzić każdego ranka z tym samym pytaniem: jeśli ukaże się ogłoszenie majora, jaki poda on adres – Thorpe Ambrose czy Londyn?

Na zawsze, moja droga Lydio, szczerze oddana,

Maria Oldershaw”.

⁶ Doctors’ Commons – londyńskie towarzystwo prawnicze zrzeszające specjalistów prawa cywilnego (przypis tłumacza).

II. ALLAN JAKO WŁAŚCICIEL ZIEMSKI

Wczesnie rano po pierwszej nocy spędzonej w Thorpe Ambrose Allan wstał i zlustrował widok rozciągający się z okna sypialni, oszołomiony dziwnym uczuciem, że jest obcy w swoim własnym domu.

Okna sypialni wychodziły na wielkie drzwi wejściowe, portyk, taras, następnie rząd schodów, a dalej szeroką połąć gęsto porośniętego drzewami parku, który zamykał widok. Poranna mgiełka łagodnie spowijała odległe drzewa, a stadko krów pasło się spokojnie w pobliżu żelaznego ogrodzenia oddzielającego park od podjazdu z przodu domu. „Wszystko moje!”, pomyślał Allan, wpatrując się w bezmyślnym zdumieniu w perspektywę swych własnych dóbr. „A niech mnie, jeśli mogę w to uwierzyć. Wszystko moje!”

Ubrał się, wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem prowadzącym do klatki schodowej i holu, po drodze kolejno otwierając mijane drzwi.

Pokoje w tej części domu stanowiły sypialnie oraz garderoby: jasne, przestronne, doskonale umeblowane i wszystkie puste, z wyjątkiem jednej sypialni przylegającej do pokoju Allana, która została przeznaczona dla Midwintera. Ten nadal spał, kiedy jego przyjaciel zajrzał do środka, jako że poprzedniej nocy siedział do późna, pisząc list do pana Brocka. Allan doszedł do końca pierwszego korytarza, skręcił w korytarz prostopadły do niego i pokonawszy go, dotarł do szczytu wielkich schodów. „Zero romantyczności”, powiedział do siebie, patrząc w dół wyściełanych eleganckim dywanem kamiennych stopni w kierunku jasnego, nowoczesnego holu. „Nic, co mogłoby szarpać wrażliwe nerwy Midwintera”. Faktycznie, nie było tam nic takiego. Zasadniczo powierzchowne spostrzeżenie Allana tym razem nie zwiódło

go. Rezydencja Thorpe Ambrose (wzniesiona po rozbiórce starego, podupadłego dworu) liczyła sobie zaledwie pięćdziesiąt lat. W żadnym jej zakamarku nie było widać nic malowniczego, nic w najmniejszym stopniu kojarzącego się z tajemnicą i romantycznością. Była to najzwyczajniejsza w świecie wiejska rezydencja – wytwór myśli klasycznej roztropnie przefiltrowanej przez pragmatyczny angielski umysł. Oglądana z zewnątrz przedstawiała przykład nowoczesnej budowli usiłującej naśladować starożytną świątynię. Oglądana od środka stanowiła cud luksusowego komfortu w każdym calu, od piwnicy aż po dach. „I bardzo dobrze”, pomyślał Allan, przechadzając się z zadowoleniem po szerokich, łagodnie schodzących w dół schodach. „Do diabła z tajemnicą i romantycznością! Ma być czysto i wygodnie, takie jest moje zdanie”.

Znalazłszy się w holu, nowy pan Thorpe Ambrose zawahał się i rozejrzał wokół siebie, nie wiedząc, gdzie się następnie skierować.

Cztery salony na parterze wychodziły na hol, po dwa z każdej strony. Allan na chybił trafił otworzył jedno z drzwi po prawej i znalazł się w bawialni. Tu jego oczom ukazała się pierwsza oznaka życia w najbardziej atrakcyjnej formie, jaką życie może przybrać. Bawialnia należała teraz wyłącznie do młodej dziewczyny. Miotelka z piór w dłoni sugerowała, że właścicielka ma coś wspólnego z utrzymaniem czystości w domu, jednak w tej akurat chwili zajęta była utwierdzaniem praw natury ponad obowiązkami służbowymi. Innymi słowy, była zaprzątnięta kontemplowaniem własnej twarzy w lustrze wiszącym nad kominkiem.

– Już dobrze! Nie bój się – powiedział Allan, gdy dziewczyna odskoczyła od lustra i spojrzała na niego z niewysłowionym zmieszaniem. – Całkowicie się tobą zgadzam, moja droga, twoja twarz warta jest wpatrywania się w nią. Kim jesteś? Ach tak, pokojówka. Jak masz na imię? Susan, tak? Zacznijmy od tego, że masz ładne imię. Czy wiesz, kim jestem, Susan? Jestem twoim panem, choć może byś nie zgadła. Twoje referencje? Ach, tak! Pani Blanchard wystawiła ci znakomite referencje. Zostaniesz tutaj, nie ma obaw. Będziesz dobrą dziewczyną, Susan, będziesz nosić szykowne czepeczki i fartuszki, jasne wstążki, ładnie wyglądać i odkurzać meble, prawda?

Po tym streszczeniu obowiązków pokojówki Allan powrócił do holu i znalazł

tam więcej oznak życia. Przed nim pojawił się służący i skłonił się, jak przystało wasalowi w płóciennej marynarce przed feudałem w kapeluszu z szerokim rondem.

– A ty kim jesteś? – zagadnął Allan. – To nie ty wpuszczałeś nas wczoraj wieczorem? Nie? Tak myślałem. Drugi lokaj, tak? Referencje? Ach, tak, znakomite referencje. Zostajesz, ma się rozumieć. Możesz mi usługiwać, tak? Szkoda fatygi na usługiwanie mi! Lubię sam się ubierać i sam szczotkować ubrania, kiedy już mam je na sobie, i gdybym tylko potrafił sam czernić sobie buty, słowo daję, robiłbym to z ochotą! Jaki to pokój? Pokój dzienny, tak? A oto jadalnia, oczywiście. Dobre nieba, co za stół! Jest tak długi jak mój jacht, a nawet dłuższy. A tak przy okazji, jak masz na imię? Richard? A więc, Richardzie, łódź, na której pływam, zbudowałem własnymi rękami! Co ty na to? Wyglądasz na kogoś, kto w sam raz nadawałby się na mojego stewarda na pokładzie. Jeśli tylko nie cierpisz na chorobę morską... Och, cierpisz na chorobę morską? No cóż, a zatem nie będziemy już wracać do tego tematu. A to jaki pokój? Ach, tak, biblioteka, rzecz jasna – coś bardziej dla pana Midwintera niż dla mnie. Pan Midwinter to dżentelmen, który tu ze mną przyjechał wczoraj wieczorem i pamiętaj, Richardzie, że wszyscy macie mu okazywać taką samą uprzejmość jak mnie. Gdzie teraz jesteśmy? Dokąd prowadzą tamte drzwi? Do pokoju bilardowego i palarni, tak? Kapitalnie. Jeszcze jedno drzwi! I kolejne schody! Dokąd prowadzą? I kto nimi idzie? Bez pośpiechu, proszę pani, nie jest pani już taka młoda jak dawniej... bez pośpiechu.

Przedmiotem troski Allana była korpulentna starsza kobieta w typie znanym jako „matczyny”. Od pana domu oddzielało ją zaledwie czternaście stopni. Wejściu na nie towarzyszyło czternaście przystanków i czternaście westchnień. Natura, zmienna we wszystkim, jest nieskończenie zmienna w przypadku płci pięknej. Istnieją kobiety, których walory osobiste kojarzą się ze słodyczą i gracją. Istnieją też takie, których walory osobiste przywodzą na myśl dokładki i garnek smalcu. Ta była właśnie jedną z tych kobiet.

– Cieszę się, że pani tak dobrze wygląda – powiedział Allan, gdy kucharka po przedstawieniu mu się stanęła przed nim w majestacie swojego urzędu. – Nazywa się pani Gripper, prawda? Uważam panią, pani Gripper, za najcenniejszą osobę w całym domu. Z tego powodu, że nikt w całym domu nie je codziennie obfitszego obiadu niż

ja. Polecenia? Och, nie, nie ma żadnych poleceń. Wszystko zostawiam pani. Dużo dobrze doprawionej zupy i pieczeń z sosem – oto w dwóch słowach moje wyobrażenie o dobrym żywieniu. Chwileczkę! Oto ktoś jeszcze. Ach, jakże by inaczej – kamerdyner. Kolejna cenna osoba. Zrobimy przegląd wszystkich win znajdujących się w piwnicy, panie kamerdynerze, i jeśli po tym nie będę potrafił dać panu rozsądnej opinii, mężnie nie poddamy się i zrobimy przegląd jeszcze raz. A skoro już mowa o winie... Halo! Kolejni nadchodzą po schodach. Spokojnie! Nie martwcie się. Wszyscy macie znakomite referencje i wszyscy zostaniecie tu ze mną. O czym to ja mówiłem? Ach tak, coś o winie. Wie pan co, panie kamerdynerze? Nie co dzień się zdarza, że nowy pan przyjeżdża do Thorpe Ambrose i moim życzeniem jest, abyśmy wszyscy zaczęli znajomość w jak najlepszej atmosferze. Niech służba urządzi sobie na dole fetę z okazji mojego przyjazdu i proszę dać im do picia to, czym zechcą wychylić toast za moje zdrowie. Nieszczęśliwe jest serce, które nigdy się nie weseli, prawda? Nie, nie będę teraz oglądał piwnicy; chcę wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć świeżego powietrza przed śniadaniem. Gdzie jest Richard? Czy mam tutaj ogród? Z której strony domu się znajduje? Z tej strony, tak? Nie musisz mnie prowadzić. Pójdę sam, Richardzie, i zgubię drogę, jeśli potrafię, we własnej posiadłości.

Z tymi słowami Allan zszedł po stopniach tarasu z przodu domu, wesoło pogwizdując. Wypełnił poważny obowiązek wydania dyspozycji personelowi domowemu w sposób, który całkowicie go satysfakcjonował. „Ludzie mówią, że trudno jest kierować służbą”, pomyślał Allan. „Co u licha mają na myśli? Ja nie widzę w tym nic trudnego”. Otworzył ozdobną bramkę na ścieżce odchodzącej od pojazdu z boku domu i, idąc za wskazówkami lokaja, wszedł w zarośla osłaniające ogrody Thorpe Ambrose.

– Miłe, cieniste miejsce na wypalenie cygara – powiedział Allan, przechadzając się z rękami w kieszeniach. – Chciałbym móc uwierzyć, że naprawdę należy do mnie.

Zarośla rozstały się przed rozległym ogrodem kwiatowym, który ukazał się w całej swej letniej krasie, zalany promieniami porannego słońca.

Po jednej stronie łukowato sklepione przejście wybite w murze prowadziło do

sadu. Po drugiej trawiasty taras schodził na teren położony niżej, gdzie urządzono ogród w stylu włoskim. Spacerując między fontannami i posągami, Allan dotarł do kolejnych zarośli, które najwidoczniej prowadziły do jakiejś odległej części posiadłości. Aż dotąd nigdzie nie było widać ani słyszeć żadnej istoty ludzkiej, ale gdy zbliżył się do końca zarośli, jego uszu dobiegł jakiś dźwięk dochodzący z drugiej strony listowia. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Wyraźnie słyszeć było rozmowę dwóch osób – starego głosu, który zdawał się bardzo zawzięty, i młodego, który brzmiał bardzo gniewnie.

– To na nic, panienko – mówił stary głos. – Nie mogę na to pozwolić i nie pozwolę. Co powiedziała by pan Armadale?

– Jeśli pan Armadale jest dżentelmenem, za jakiego go uważam, ty stary brutalu – odparł młody głos – powiedziała by: „proszę odwiedzać mój ogród, panno Milroy, tak często, jak pani zechce, i zbierać tyle bukietów, ile dusza zapagnie”.

Niebieskie oczy Allana zabłysły łobuzersko. Wiedziony nagłym pomysłem, zakradł się po cichu do końca zarośli, wypadł zza rogu i przesadziwszy pierścień niskiego ogrodzenia, znalazł się na niewielkim, schludnym wybiegu przeciętym żwirową alejką. Kawalek dalej, idąc wzdłuż muru, stała młoda dama, zwrócona do niego plecami, i próbowała przejść obok nieprzystępnego starszego mężczyzny z grabiami w rękę, który uparcie zagradzał jej drogę, potrząsając głową.

– Proszę odwiedzać mój ogród, panienko Milroy, tak często, jak panienka zechce, i zbierać tyle bukietów, ile dusza zapagnie – zawołał Allan, bez skrępowań powtarzając jej własne słowa.

Młoda dama obróciła się z krzykiem. Fragment muślinowej sukienki, który podtrzymywała z przodu, wypadł jej z dłoni i na żwirową alejkę wysypał się okazały bukiet kwiatów.

Zanim można było powiedzieć kolejne słowo, nieprzystępny, starszy mężczyzna z najwyższym spokojem wystąpił naprzód i podjął temat, który osobiście był dla niego ważny, zupełnie tak, jakby nic się nie stało i wokół nie było nikogo prócz niego i jego nowego chlebobawcy.

– Witam uniżenie w Thorpe Ambrose, sir – odezwał się strażnik ogrodu. –

Nazywam się Abraham Sage. Pracuję w posiadłości od ponad czterdziestu lat i mam nadzieję, że zechce pan zatrzymać mnie na stanowisku.

W ten oto sposób, mając ogłód nieugięte zawężony do widnokregu własnych korzyści, odezwał się ogrodnik, a odezwał się na próżno. Allan klęczał na żwirowej alejce, zbierając rozsypane kwiaty i wyrabiając sobie pierwsze wrażenia na temat panny Milroy od stóp w górę.

Była ładna, nie była ładna; urzeła, rozczarowywała, znów urzeła. Mierzona według obowiązujących standardów była zbyt niska i zbyt rozwinięta jak na swój wiek. A jednak trudno byłoby znaleźć parę męskich oczu, które rade byłyby widzieć jej kształty innymi. W jej pulchnych dłoniach widniały urocze dołeczki, tak że niemal nie dostrzegało się, jak jędrne były te dłonie obfitością młodości i zdrowia. Stopy wdzięcznie przeproszały za stare i źle dopasowane buty, zaś ramiona w nadmiarze rekompensowały defekty muślinowej sukni, którą miała na sobie. O uroku jej ciemnoszarych oczu stanowiły przejrzysta łagodność barwy oraz werwa, delikatność i pogodny nastrój wyrażony w spojrzeniu, a jej włosy (tam gdzie pozwalał je zobaczyć stary, znoszony kapelusz ogrodniczki) miały dokładnie ten jaśniejszy odcień brązu, który zyskuje w kontraście do ciemniejszych oczu. Kiedy jednak pominąć te walory, ponownie ukazywały się towarzyszące im drobne skazy i niedoskonałości tej pełnej sprzeczności dziewczyny. Nos miała zbyt krótki, usta za duże, twarz za okrągłą i zbyt rumianą. Nieubłagane sprawiedliwa fotografia nie miałaby dla niej litości, zaś rzeźbiarze antycznej Grecji z żalem wypraszałyby ją ze swoich pracowni. Uznając te i inne braki, należy jednak powiedzieć, że opaska wokół kibici panny Milroy była pasem Wenery, a klucz, jaki nosiła, był wytrychem otwierającym wszystkie serca. Nim Allan zdążył pozbiierać drugą garść kwiatów, był w niej zakochany.

– Nie, proszę, nie, panie Armadale! – rzekła, wzbraniając się przeciw podawaniu jej kwiatów, które Allan energicznie wsypywał z powrotem na podolek sukni. – Jakże mi wstyd! Nie chciałam wpraszać się w tak bezczelny sposób do pańskiego ogrodu, powiedziałam za dużo... bez dwóch zdań. Co mogę rzec na swoje usprawiedliwienie? Och, panie Armadale, co pan sobie musi o mnie myśleć?

Allan dostrzegł nagle okazję do komplementu i rzucił go w jej kierunku

bezzwłocznie, wraz z trzecią garścią kwiatów.

– Powiem panience, co o niej myślę, panno Milroy – rzekł jak zwykle bezceremonialnie i w chłopięcy sposób. – Myślę, że najszcześniejszym spacerem, jaki odbyłem w życiu, jest poranny spacer, który przywiódł mnie tutaj.

Wyglądał teraz przystojnie i na pełnego entuzjazmu. Nie zwracał się do kobiety znużonej podziwem, lecz do dziewczęcia, które właśnie zaczynało kobiece życie i nie szkodziło mu, w każdym razie, że przemawiał jako pan Thorpe Ambrose. Skruszony wyraz twarzy panny Milroy łagodnie ulotnił się, ze skromnym uśmiechem spojrzała w dół na kwiaty na podółku.

– Zasluguję na solidną reprimendę – rzekła – nie zaś na komplementy, panie Armadale, a już z pewnością nie od pana.

– Ależ zasługuje panienka! – zawołał bez namysłu Allan, żwawo prostując się. – Poza tym to nie komplement, to prawda. Jest panienka najpiękniejszą... Proszę wybaczyć, panno Milroy! Teraz to ja powiedziałem za dużo.

Spośród wszystkich ciężkich obowiązków, którymi obarcza się kobiecą naturę, być może najcięższym w wieku szesnastu lat jest obowiązek zachowania powagi. Panna Milroy walczyła ze sobą, zachichotała, znów walczyła i udało jej się opanować.

Ogrodnik, nadal stojący w miejscu, które zajmował od początku, nieruchomo czekając na następną okazję, dostrzegł ją teraz i temat, który osobiście był dla niego ważny, delikatnie wepchnął w pierwszą przerwę w rozmowie, jaka się pojawiła, odkąd Allan wkroczył na scenę.

– Uniżenie witam w Thorpe Ambrose, sir – odezwał się Abraham Sage, uparcie rozpoczynając swoją wstępną przemowę po raz drugi. – Nazywam się...

Zanim zdążył powiedzieć, jak się nazywa, panna Milroy spojrzała nieopatrnie na zawziętą twarz ogrodnika i w tej samej chwili bezpowrotnie straciła panowanie nad swoją powagą. Allan, który nigdy nie omieszkiwał pójść za hałaśliwym przykładem czegokolwiek, zawtórował jej do śmiechu z ochotą. Mędrzec z ogrodu nie okazał zdziwienia i nie obraził się. Odczekał na następny moment ciszy i znów delikatnie wkroczył z tematem, który osobiście był dla niego ważny, w chwili, gdy

dwoje młodych ludzi przestało się śmiać dla złapania oddechu.

– Pracuję w majątku – ciągnął Abraham Sage, nie zrażając się – od ponad czterdziestu lat...

– Będziesz pracował w majątku przez następne czterdzieści, jeśli tylko powstrzymasz język i oddalisz się! – zawołał Allan, gdy tylko mógł znowu mówić.

– Dziękuję panu uprzejmie – powiedział ogrodnik z najwyższą grzecznością, ale nie zdradzając zamiaru powstrzymania języka ani oddalenia się.

– A więc? – rzekł Allan.

Abraham Sage ostrożnie odchrząknął i przełożył grabie z jednej ręki do drugiej. Spojrzał w dół na swój nieoceniony przyrząd z pełnym powagi zainteresowaniem i uwagą, widząc zapewne nie długi trzon grabi, lecz odległą perspektywę pewnych możliwości w sprawie, która osobiście była dla niego bardzo ważna.

– Kiedy nadarzy się bardziej sprzyjająca okazja, sir – podjął ów niewzruszony człowiek – chciałbym, z całym szacunkiem, pomówić z panem o moim synu. Może w ciągu dnia okoliczności będą bardziej sprzyjające? Kłaniam się unizenie i stokrotne dzięki. Mój syn jest zagorzałym abstynentem. Jest obyty ze stajnią i należy do Kościoła anglikańskiego – bez żadnych osób na utrzymaniu.

Zasiawszy w ten sposób tymczasowo myśl o swoim potomstwie w głowie chlebobdawcy, Abraham Sage zarzucił sobie na ramię drogocenne grabie i wolnym krokiem pokuśtykał w swoją stronę.

– Jeśli to ma być przykład starego zaufanego sługi – rzekł Allan – chyba wolę zaryzykować bycie oszukanym przez nowego. Tak czy owak, nie będzie już panienki niepokoił, panno Milroy. Wszystkie rabaty w ogrodzie są do panny dyspozycji i wszystkie owoce w sezonie owocowym, wystarczy tylko przyjść i jeść.

– Och, panie Armadale, to bardzo, bardzo uprzejmie z pana strony. Jak mam panu dziękować?

Allan dostrzegł sposobność do kolejnego komplementu, tym razem w formie pułapki.

– Może mi panienka wyświadczyć największą z możliwych przysług – powiedział. – Może mi towarzyszyć w wyrabianiu sobie dobrego wrażenia o mojej

ziemi.

– Ojej! W jaki sposób? – spytała niewinnie panna Milroy.

Allan roztropnie zamknął natychmiast pułapkę tymi słowami:

– Zabierając mnie, panno Milroy, na swój poranny spacer.

Po czym uśmiechnął się i podał jej ramię.

Ona z kolei dostrzegła sposobność do małego flirtu. Położyła rękę na jego ramieniu, zarumieniła się, zawahała i niespodziewanie znów ją cofnęła.

– Wydaje mi się, że to niezbyt stosowne, panie Armadale – odezwała się, w największym skupieniu oddając się kontemplacji swojej kwiatowej kolekcji. – Czy nie powinniśmy mieć ze sobą jakiejś starszej damy? Czy nie jest niestosowne opieranie się na pańskim ramieniu, zanim nie poznam pana nieco lepiej? Jestem zmuszona pytać. Pobierałam tak niewiele nauk, tak mało bywałam w towarzystwie, a jeden z przyjaciół papy powiedział kiedyś, że moje zachowanie jest zbyt śmiałe jak na mój wiek. Co pan myśli?

– Myślę, że to bardzo dobrze, że nie ma tu teraz przyjaciela panny papy – odrzekł bezpośredni Allan. – Jest więcej niż pewne, że bym się z nim posprzeczał. Co zaś idzie o towarzystwo, panno Milroy, nikt nie wie o nim mniej niż ja, gdybyśmy mieli tu jednak starszą damę, myślę, że niebywale by zawadzała. Nie wydaje się panience? – zakończył Allan, błagalnie podając ramię po raz drugi. – Ależ proszę!

Panna Milroy rzuciła mu znad kwiatów spojrzenie z ukosa.

– Jest pan tak samo okropny jak pański ogrodnik, panie Armadale!

Znów spuściła wzrok w geście niezdecydowania.

– Jestem pewna, że to niestosowne – rzekła i zaraz potem bez chwili wahania oparła się o jego ramię.

Ruszyli razem przez usianą stokrotkami murawę wybiegu – młodzi, pogodni i szczęśliwi, mając nad głowami bezchmurne letnie niebo i poranne słońce, które oświetlało ukwieconą ścieżkę.

– Dokąd teraz zmierzamy? – zapytał Allan. – Do innego ogrodu?

Zaśmiała się wesoło.

– Jakie to dziwne, panie Armadale, że pan nie wie, skoro to wszystko należy do pana! Czyżby naprawdę widział pan Thorpe Ambrose po raz pierwszy? To musi być nieopisanie dziwne uczucie! Nie, nie, niech pan nie mówi mi teraz więcej pochlebnych rzeczy. Jeszcze zawróci mi pan w głowie. Nie mamy ze sobą starszej damy i naprawdę muszę na siebie uważać. Niech się na coś przydam. Opowiem panu o jego własnej posiadłości. Przechodzimy przez tę bramkę, przecinamy jedną z alei parkowych, potem przechodzimy przez rustykalny mostek i skręcamy za rogiem zagajnika, zmierzając – jak się panu wydaje, dokąd? Tam gdzie mieszkam, panie Armadale. Do uroczego domku, który wynajął pan papie. Ach, gdyby pan tylko wiedział, jak się cieszyliśmy, że go mamy!

Urwała, podniosła wzrok na towarzysza i zatrzymała kolejny komplement na niepoprawnych wargach Allana.

– Puszczę pańskie ramię – powiedziała kokieteryjnie – jeśli pan puści moje! Cieszyliśmy się, że dostaliśmy domek, panie Armadale. Tego samego dnia, którego to się stało, papa powiedział, że czuje się zobowiązany wobec pana za wynajęcie go nam. A ja to samo powtórzyłam nie dalej niż w zeszłym tygodniu.

– Panienska! – wykrzyknął Allan.

– Tak. Może to pana zdziwi, ale gdyby nie wynajął pan domku papie, myślę, że musiałbym znosić nieszczęście i poniżenie bycia wysłaną do szkoły.

Allan wrócił myślami do monety, którą rzucił na stół kajuty w Castletown. „Gdyby tylko wiedziała, że rzucałem monetą w jej sprawie!”, pomyślał ze wstydem.

– Zapewne nie wie pan, dlaczego odczuwam taki strach przed pójściem do szkoły – ciągnęła panna Milroy, opacznie rozumiejąc chwilowe milczenie swojego towarzysza. – Gdybym poszła do szkoły wcześniej, to znaczy w wieku, w którym inne dziewczęta idą do szkoły, nie miałabym teraz nic przeciwko niej. Ale wtedy było to niemożliwe. Mama zachorowała, zaś papa dokonał niefortunnej spekulacji, a ponieważ nie miał nikogo oprócz mnie, kto mógł go pocieszyć, rzecz jasna zostałam w domu. Niech się pan nie śmieje. Przydałam się do czegoś, mówię panu. Wspierałam papę w niedoli, siedząc mu na kolanach po kolacji i prosząc, by opowiedział mi o tych wszystkich niezwykłych ludziach, których poznał, kiedy był w wielkim świecie, w kraju i za granicą. Gdyby nie ja, która zabawiałam go

wieczorami, i zegar, który zajmował go w ciągu dnia...

– Zegar? – powtórzył Allan.

– Ach tak! Powinam była panu powiedzieć. Papa to niespotykany geniusz techniki. Zgodzi się pan ze mną, kiedy zobaczy zegar. Nie dorównuje mu wielkością, rzecz jasna, ale jest wzorowany na słynnym zegarze strasburskim. Proszę tylko pomyśleć, zaczął go budować, gdy miałam osiem lat, i (choć skończyłam szesnaście) wciąż jeszcze go nie ukończył. Niektórzy z naszych znajomych dziwili się, że zajął się czymś takim, gdy zaczęły się jego problemy. Ala papa zaraz im się odciął, przypomniał, że Ludwik XVI zajął się zegarmistrzostwem właśnie wtedy, kiedy popadł w kłopoty. To wszystkim wystarczyło.

Urwała i poczerwieniała z zakłopotania.

– Och, panie Armadale – rzekła, tym razem z prawdziwym skrępowaniem – znów mówię za dużo! Rozmawiam z panem w taki sposób, jakbym znała pana od lat! To właśnie miał na myśli przyjaciel papy, mówiąc, że moje zachowanie jest zbyt śmiałe. To prawda. Mam okropny zwyczaj spoufalania się z ludźmi, jeśli...

Nagle zreflektowała się, urywając tuż przed słowami: „jeśli ich polubię”.

– Nie, nie, proszę kontynuować! – poprosił Allan. – Ja też mam podobną przypadłość. Poza tym musimy się spoufalić – jesteśmy bliskimi sąsiadami. Jestem raczej nieokrzesanym typem i nie wiem, jak to powiedzieć, ale chciałbym, żeby domek panienki utrzymywał serdeczne i przyjazne kontakty z moim domem, a mój dom miał serdeczne i przyjazne kontakty z domkiem panienki. Tyle chciałem powiedzieć, choć wszystko źle wyraziłem. Proszę kontynuować, panno Milroy, bardzo proszę!

Uśmiechnęła się i zawahała.

– Nie pamiętam dokładnie, gdzie skończyłam – odrzekła. – Pamiętam tylko, że chciałam panu coś powiedzieć. Wszystko przez to, że oparłam się na pańskim ramieniu. Dużo łatwiej byłoby mi kontynuować, gdyby tylko zgodził się pan iść osobno. Nie? Skoro tak, czy podpowie mi pan, co chciałam powiedzieć? Gdzie byłam, nim zesłam na temat kłopotów papy i jego zegara?

– W szkole – odparł Allan, dzięki ogromnemu wysiłkowi pamięci.

– A raczej poza szkołą – powiedziała panna Milroy – a wszystko przez pana. Teraz mogę kontynuować, co bardzo mnie cieszy. Jestem najzupełniej poważna, panie Armadale, mówiąc, że zostałam wysłana do szkoły, gdyby odmówił pan papie wynajęcia domku. A było to tak... Kiedy zaczęliśmy się sprowadzać, pani Blanchard przysłała nam bardzo uprzejmy list z rezydencji, w którym pisała, że jej służba jest do naszej dyspozycji, gdybyśmy potrzebowali pomocy. Ja i papa mogliśmy zrobić przynajmniej tyle, że złożyliśmy jej wizytę i podziękowaliśmy. Spotkaliśmy się z panią Blanchard i panną Blanchard. Pani była ujmująca, a panienka wyglądała w żałobie prześlicznie. Z pewnością jest pan pod jej wrażeniem? Wysoka, blada i pełna gracji, wypisz wymaluj pański ideał piękna, jak sądzę?

– Ani trochę – zaczął Allan. – Mój ideał piękna w chwili obecnej...

Panna Milroy wyczuła, co miało nastąpić, i natychmiast cofnęła rękę.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy nie widziałem pani Blanchard ani jej bratanicy – poprawił się szybko Allan.

Panna Milroy łaskawie złagodziła swą surowość i z powrotem wsparła się na ramieniu Allana.

– Jakie to dziwne, że nigdy ich pan nie widział! – ciągnęła dalej. – Rety, wszystko i wszyscy w Thorpe Ambrose są panu zupełnie nieznani! No więc, siedziałam i rozmawiałam z panną Blanchard, kiedy w pewnym momencie usłyszałam, że pani Blanchard wspomniała moje imię i natychmiast wstrzymałam oddech. Pytała papę, czy zakończyłam edukację. Papa od razu wyznał swoją wielką troskę. Musi pan wiedzieć, że moja dawna guwernantka opuściła nas z powodu zamążpójścia na krótko przed naszym przyjazdem tutaj, a nikt z naszych znajomych nie potrafił polecić nam nowej, której warunki byłyby rozsądne. „Pani Blanchard, osoby, które lepiej znają się na rzeczy niż ja, mówią”, powiedział papa, „że dawanie ogłoszeń jest ryzykowne. W obliczu stanu zdrowia pani Milroy wszystko spada na mnie i przypuszczam, że skończy się to tym, iż będę musiał wysłać moją dziewczynkę do szkoły. Czy zna pani może jakąś szkołę będącą w zasięgu możliwości finansowych ubogiego człowieka?” Pani Blanchard potrząsnęła głową. Mogłabym z miejsca pocałować ją za ten gest. „Całe moje doświadczenie, majorze

Milroy”, powiedziała ta kobieta anioł, „przemawia za daniem ogłoszeń. Guwernantkę mojej bratanicy znalaziono dzięki ogłoszeniu i może sobie pan wyobrazić, jak bardzo ją ceniliśmy, skoro została przy rodzinie przez dziesięć lat z okładem”. Byłam gotowa paść na oba kolana i wielbić panią Blanchard w tej samej chwili, dziwię się, że tego nie zrobiłam! Papa był pod wrażeniem – to było widać – i wrócił do tematu w trakcie drogi powrotnej do domu. „Od dawna nie bywam w świecie, kochana”, powiedział papa, „ale potrafię rozpoznać wysoko urodzoną i rozsądną kobietę, kiedy taką spotkam. Doświadczenie pani Blanchard rzuca nowe światło na ogłoszenia, muszę to przemyśleć”. Przemyślał to i (choć nie przyznał tego otwarcie) wiem, że zdecydował się zamieścić ogłoszenie, nie dalej jak wczoraj wieczorem. Tak więc jeśli papa jest panu wdzięczny za wynajęcie domku, ja również jestem wdzięczna. Gdyby nie pan, nigdy nie poznalibyśmy drogiej pani Blanchard, a gdyby nie droga pani Blanchard, zostałabym wysłana do szkoły.

Allan nie zdążył odpowiedzieć, kiedy wyszli zza rogu zagajnika i oczom ich ukazał się domek. Opis jego jest zbyteczny, cały cywilizowany wszechświat zna ten rodzaj bardzo dobrze. Był to typowy domek znany z pierwszych lekcji nauczyciela rysunku, ze starannym cieniowaniem i szeroką ołówkową kreską, którą oddano równo przyciętą strzechę, bujne pnącza, dyskretne okna z małymi szybami, rustykalną werandę i wiklinową klatkę na ptaki, nie zapominając o niczym.

– Czyż nie jest śliczny? – powiedziała panna Milroy. – Zapraszam do środka!

– Mogę? – zapytał Allan. – Czy major nie pomyśli, że jest za wcześnie?

– Wcześnie czy późno, jestem pewna, że papa ucieszy się na pana widok.

Żwawo przemierzyła ogrodową ścieżkę i otworzyła drzwi do salonu. Gdy Allan wszedł za nią do małego pokoju, zobaczył w jego głębi mężczyznę siedzącego samotnie przy staromodnym sekretarzyku, odwróconego plecami do gościa.

– Papo! Niespodzianka! – powiedziała panna Milroy, odrywając go od zajęcia. – Pan Armadale przyjechał do Thorpe Ambrose, a ja go tu przyprowadziłam, żeby mógł cię poznać.

Major drgnął. Wstał, przez chwilę zdezorientowany, natychmiast się opanował i zbliżył, by powitać swego młodego gospodarza gościnnym gestem wyciągniętej

ręki.

Ktoś mający większe doświadczenie w świecie i obdarzony większym zmysłem obserwacji ludzi niż Allan mógłby wyczytać historię życia majora Milroya wrytą na jego twarzy. Problemy rodzinne, jakie go dotknęły, wyraźnie objawiały się w jego przygarbionej sylwetce i bladych, pooranych głębokimi zmarszczkami policzkach, kiedy po raz pierwszy ukazał się, wstając z krzesła. Niezmienny wpływ jednego monotonnego zajęcia i jednostajnego sposobu myślenia zdradziły następnie otępiałe, sennie ruchy i spojrzenie skierowane na córkę, kiedy ta do niego przemówiła. Następny moment, gdy podniósł się, by przywitać gościa, był momentem, który dopełnił swoistej prezentacji. To wtedy w zmęczonych oczach majora mignął błysk, będący wspomnieniem jego szczęśliwej przeszłości. To wtedy w otępiałych, sennych ruchach majora pojawiła się zmiana, która jednoznacznie wskazywała na zalety i umiejętności towarzyskie wyuczone w nie byle jakiej szkole życia przez człowieka, który od dawna uciekał przed problemami w swoją własną techniczną pasję, człowieka, który tylko z rzadka bywał wyrywany z odrętwienia, by ukazać się takim, jakim kiedyś był. Tak więc odkryty dla wszystkich oczu, które potrafiły właściwie go zobaczyć, major Milroy stał teraz naprzeciw Allana, tego pierwszego ranka znajomości, która miała okazać się ważnym wydarzeniem w życiu młodzieńca.

– Ogromnie się cieszę, że pana widzę, panie Armadale – powiedział jednostajnie cichym, stłumionym głosem, właściwym większości ludzi, których zajęcia należą do samotnych i monotonnych. – Już raz wyświadczył mi pan przysługę, wybierając mnie na lokatora, a teraz wyświadcza mi pan kolejną, składając tę przyjacielską wizytę. Jeśli jeszcze nie jadł pan śniadania, proszę pozwolić, że daruję sobie wszelkie ceremonie i zaproszę pana, by zajął pan miejsce przy naszym małym stole.

– Z największą przyjemnością, majorze Milroy, o ile nie przeszkadzam – odparł zachwycony tą propozycją Allan. – Z przykrością dowiedziałem się od panny Milroy, że pani Milroy jest chora. Być może fakt, że pojawiając się tak niespodziewanie, może widok nieznajomej twarzy...

– Rozumiem pańskie wahanie, panie Armadale – odrzekł major – ale jest ono zupełnie niepotrzebne. Choroba pani Milroy sprawia, że nie opuszcza ona swojego pokoju. Czy na stole jest wszystko, czego potrzebujemy, kochanie? – ciągnął,

zmieniając temat tak nagle, że ktoś bardziej spostrzegawczy od Allana mógłby sądzić, że jest on dla niego przykry. – Pójdiesz zrobić herbatę?

Uwaga panny Milroy wydawała się zaprzątnięta: nie odpowiedziała. Podczas gdy jej ojciec i Allan byli zajęci wymianą uprzejmości, ona porządkowała sekretarzyk i oglądała różne porzrzucone tam przedmioty z niepohamowaną ciekawością rozpieszczonego dziecka. W chwilę po tym, jak major zwrócił się do niej, znalazła skrawek papieru ukryty pomiędzy kartkami bibuły, złapała go, spojrzała na niego i natychmiast odwróciła się z okrzykiem zdumienia:

– Czy mój wzrok mnie myli, papo?! – spytała. – Czy też naprawdę pisałeś ogłoszenie, kiedy weszłam?

– Właśnie je skończyłem – odparł jej ojciec. – Ale kochanie, jest tu pan Armadale, czekamy na śniadanie.

– Pan Armadale już wszystko wie – odparła panna Milroy. – Powiedziałam mu w ogrodzie.

– O tak! – rzekł Allan. – Proszę, niech mnie pan nie traktuje jak obcego, majorze! Jeśli chodzi o guwernantkę, mam coś (w sposób niebezpośredni) z tym wspólnego.

Major Milroy uśmiechnął się. Nim zdążył odpowiedzieć, jego córka, która czytała ogłoszenie, zwróciła się do niego gwałtownie po raz drugi.

– Och, papo – powiedziała – jest tu jedna rzecz, która wcale mi się nie podoba! Dlaczego na końcu zamieściłeś inicjały babci? Dlaczego każesz im pisać na adres babci w Londynie?

– Moja droga! Twoja matka, jak wiesz, nie może zrobić w tej sprawie nic. Co zaś do mnie, (nawet gdybym pojechał do Londynu) wypytywanie nieznanomych dam o ich rekomendacje i dokonania jest ostatnią rzeczą na świecie, do której się nadaję. Twoja babcia jest na miejscu i jest przy tym właściwą osobą do odbioru listów i zasięgnięcia wszystkich niezbędnych informacji.

– Ale ja sama chcę zobaczyć listy – nalegało rozpущzone dziecko. – Niektóre z nich z pewnością będą zabawne...

– Nie będę przepraszał za to bezceremonialnie przyjęcie, panie Armadale – rzekł

major, zwracając się do Allana z oryginalnym i subtelnym poczuciem humoru. – Może być ono pożyteczne jako przestroga. Jeśli kiedyś zdarzy się panu ożenić i mieć córkę, proszę nie zaczynać, tak jak ja to zrobiłem, od pozwalania jej, by stawiała na swoim.

Allan zaśmiał się, a panna Milroy nie dawała za wygraną.

– Poza tym – ciągnęła – chciałabym pomóc zdecydować, na które odpiszemy, a na które nie. Myślę, że powinnam mieć coś do powiedzenia w kwestii wyboru mojej guwernantki. Dlaczego nie napisać, papo, aby nadsyłały listy tutaj, na adres poczty albo sklepu papierniczego, czy gdzie indziej chcesz? Kiedy już je przeczytamy, możemy przesłać wybrane listy babci, a ona o wszystko wypyta i wybierze najlepszą guwernantkę, tak jak sam zdecydowałeś, nie zostawiając mnie w całkowitej nieświadomości, co uważam (a pan, panie Armadale?) za dość okrutne. Pozwól mi zmienić adres, papo, proszę, mój kochany!

– Nie dostaniemy śniadania, panie Armadale, jeśli się nie zgodzę – powiedział major żartobliwie. – Zrób, jak chcesz, moja droga – dodał, odwracając się w stronę córki. – O ile tylko skończy się na tym, że babcia zajmie się sprawą w naszym imieniu, reszta nie ma wielkiego znaczenia.

Panna Milroy wzięła pióro ojca, przekreśliła ostatnią linijkę ogłoszenia i własną ręką napisała zmieniony adres:

„Oferty składać listownie u M., urząd pocztowy, Thorpe Ambrose, hrabstwo Norfolk”.

– Uff! – powiedziała, zajmując miejsce przy stole śniadaniowym. – Ogłoszenie może pójść teraz do Londynu, a jeśli naprawdę wyniknie z niego guwernantka, och, papo, kto to taki będzie? Kawy czy herbaty, panie Armadale? Naprawdę wstyd mi, że kazałam panu czekać. Ale to taka ulga – dodała zalotnie – załatwić wszystkie swoje sprawy przed śniadaniem!

Ojciec, córka i ich gość zasiedli pospołu przy okrągłym stoliku jako najlepsi z możliwych sąsiadów i przyjaciół.

Trzy dni później swoje sprawy przed śniadaniem załatwił jeden z londyńskich roznosicieli gazet. Jego rejonem była Diana Street w dzielnicy Pimlico, a ostatnią

z porannych gazet, które doręczył, była gazeta pozostawiona na progu salonu pani Oldershaw.

III. WYMOGI TOWARZYSKIE

Ponad godzinę po tym, jak Allan wyruszył na wyprawę badawczą po własnej posiadłości, Midwinter wstał i sam z kolei mógł w pełni podziwiać przepych nowego domu w świetle dnia.

Pokrzepiony długim snem, zszedł po wielkich schodach równie radośnie jak Allan. On także zajrzał po kolei do każdego z przestronnych pokoi na parterze, a ich piękno i wystawność zaparły mu dech w piersi. „Dom, w którym mieszkałem, będąc jako chłopiec na służbie, był piękny”, pomyślał radośnie, „ale w porównaniu z tym to było nic! Ciekawe, czy Allan jest równie zdziwiony i zachwycony jak ja?” Urok letniego poranka wywabił go przez otwarte drzwi holu na zewnątrz, podobnie jak wcześniej skłonił do wyjścia jego przyjaciela. Zbiegł rażno schodami, nucąc refren jednej ze starych włóczęgowskich piosenek, do których tańczył w dawnych czasach. Tego radosnego poranka nawet wspomnienia nieszczęśliwego dzieciństwa zdawały się nabierać jaśniejszych barw pod wpływem optymistycznej perspektywy, z której na nie patrzył. „Gdyby nie to, że straciłem wprawę”, pomyślał, opierając się na ogrodzeniu i spoglądając ponad nim na park, „spróbowałbym kilku moich dawnych akrobacji na tej rozkosznej trawie”. Odwrócił się i zobaczył dwóch służących, jak rozmawiali w pobliżu kępy krzewów, zapytał więc o pana domu.

Mężczyźni z uśmiechem wskazali w kierunku ogrodów. Pan Armadale poszedł w tamtą stronę ponad godzinę temu i spotkał (jak im doniesiono) pannę Milroy. Midwinter ruszył ścieżką między krzewami, ale doszedłszy do ogrodu kwiatowego, zatrzymał się, pomyślał przez chwilę i zawrócił. „Jeśli Allan spotkał młodą damę”, powiedział do siebie, „Allan mnie nie chce”. Zaśmiał się, wyciągnąwszy ten nieuchronny wniosek, i taktownie poszedł odkrywać uroki Thorpe Ambrose po

drugiej stronie domu.

Minąwszy narożnik frontowej ściany budynku, zszedł kilka stopni w dół, przemierzył brukowaną ścieżkę, skręcił za następnym winklem i znalazł się w części ogrodu na tyłach domu.

Za plecami miał rząd małych pokoi położonych na tym samym poziomie co pomieszczenia dla służby. Przed nim, po drugiej stronie małego ogrodu, wznosił się mur przesłonięty laurowym żywopłotem, z drzwiami przy jednym z końców, ciągnący się wzdłuż stajni do bramy, która wychodziła na gościniec. Zrozumiawszy, że odkrył jedynie skrót do domu używany przez służbę i dostawców, Midwinter ponownie zawrócił i przechodząc obok, zajrzał przez okno jednego z pokoi w suterenie. Czy były to pokoje służby? Nie, ich pokoje znajdowały się najwyraźniej w jakiejś innej części parteru – okno, przez które zajrzał do środka, należało do schowka. Następne dwa pokoje z rzędu były puste. Czwarte okno, kiedy się do niego zbliżył, przedstawiło pewną odmianę. Służyło również jako drzwi i teraz było otwarte na ogród.

Znęcony widokiem regałów, które dostrzegł na jednej ze ścian, Midwinter wszedł do środka.

Nieliczne książki nie zatrzymały go długo. Nie musiał nawet ściągać ich z półek, wystarczył rzut oka na grzbiety. Powieści z cyklu *Waverley*, opowieści pióra panny Edgeworth i jej licznych naśladowców, poezje pani Hemans oraz kilka przypadkowych tomów ilustrowanych książek pod choinkę stanowiło trzon niewielkiego księgozbioru. Midwinter obrócił się, by wyjść, kiedy jego uwagę zwrócił znajdujący się po jednej stronie okna przedmiot, którego wcześniej nie zauważył. Była to figurka stojąca na podpórcie – miniatura słynnej Niobe z florenckiego muzeum. Przeniósł wzrok z figurki na okno, ogarnięty nagłym niepokojem, który sprawił, że serce załomotało mu w piersi. Było to podłużne okno. Wyjrzał przez nie z nieufnością, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczył. Przed nim rozciągał się widok na trawnik i ogród. Przez chwilę jego umysł walczył na oślep z myślą, która nim owładnęła, ale walczył na próżno. Tuż obok siebie i wprost przed sobą miał, bezlitośnie cofający go ze szczęśliwej teraźniejszości w okropną przeszłość, pokój, który Allan ujrział w drugiej wizji, kiedy to zasnął na wraku

statku.

Nie ruszał się z miejsca, rozmyślając i rozglądając się dookoła. Jego twarz i zachowanie nie zdradzały nawet wielkiego niepokoju. Wędrował wzrokiem kolejno po nielicznych przedmiotach znajdujących się w pomieszczeniu, tak jakby odkrycie bardziej go zasmuciło, niż zdziwiło. Podłogę pokrywała jakaś egzotyczna mata. Meble ograniczały się do dwóch wyplatanych krzeseł i prostego stołu. Ściany wyłożone były jednolicie tapetą, a ich monotonię przerywały jedynie w jednym miejscu drzwi prowadzące w głąb domu, w drugim mały piecyk, a w trzecim regały, które już wcześniej zauważył. Powrócił do książek i tym razem zdjął kilka z półek.

Pierwsza, którą otworzył, zawierała kilka linijek skreślonych kobiecą ręką atramentem, który wyblakł ze starości. Przeczytał wpis: „Jane Armadale, od ukochanego ojca. Thorpe Ambrose, październik 1828”. W drugim, trzecim i czwartym tomie, które otworzył, pojawiał się ten sam wpis. Uprzednia wiedza o datach i osobach pozwoliła mu wysnuć właściwy wniosek z tego, co zobaczył. Książki musiały należeć do matki Allana i zapewne podpisała je swoim nazwiskiem w czasie pomiędzy powrotem z Madery do Thorpe Ambrose a narodzinami syna. Midwinter przeszedł do tomu na innej z półek – tej, która zawierała utwory pani Hemans. W tym wypadku pusta kartka na początku książki była zapisana z dwóch stron wierszami, a charakter pisma znów wskazywał na panią Armadale. Wiersze zatytułowano *Pożegnanie z Thorpe Ambrose* i opatrzone datą „marzec 1829” – zaledwie dwa miesiące po urodzeniu Allana.

Krótki wiersz sam w sobie nie przedstawiał nic nadzwyczajnego, a jedyną interesującą rzeczą była opowiedziana w nim historia rodzinna.

Opisywano ten sam pokój, w którym znajdował się teraz Midwinter – z widokiem na ogród, otwierającym się nań oknem, z regałami, Niobe oraz innymi bardziej nietrwałymi ozdobami, które zniszczył czas. To tu, poróżniona z braćmi, unikająca przyjaciół wdowa po zamordowanym odizolowała się, jak sama stwierdziła, do czasu narodzin dziecka, nie mając żadnej innej pociechy jak miłość i przebaczenie ojca. Łaskawość ojca i jego niedawna śmierć wypełniała dużą część wiersza, na szczęście zbyt niejasnego w swym ogólnikowym wyrazie skruchy i rozpacz, by wyjawic cokolwiek na temat historii małżeństwa zawartego na

Maderze nieznanemu prawdy czytelnikowi. Następnie wiersz napomykał o ochłodzeniu stosunków autorki z żyjącymi krewnymi i zbliżającym się wyjeździe z Thorpe Ambrose. Na końcu następowало stwierdzenie, że matka postanawia odciąć się od wszystkich dawnych skojarzeń, zostawić za sobą cały dobytek, nie wyłączając najmniejszych drobiazgów, które mogłyby przypominać jej nieszczęśliwą przeszłość, i zacząć nowe życie liczone od narodzin dziecka, które zostało jej na pocieszenie i które było teraz jedyną istotą na ziemi, będącą źródłem miłości i nadziei. I tak powiedziano po raz kolejny historię o żywym uczuciu, które woli znaleźć pocieszenie w słowach niż nie znaleźć go wcale. Tak kończył się wiersz napisany wyblakłym atramentem.

Midwinter z ciężkim westchnieniem odłożył książkę na miejsce i nie otworzył już żadnego z tomów znajdujących się na regałach. „Tu, w wiejskiej posiadłości, czy tam, na pokładzie wraku”, rzekł z goryczą, „gdziekolwiek nie pójde, podążają za mną ślady zbrodni mojego ojca”. Postąpił w stronę okna, zatrzymał się i spojrzał raz jeszcze na opuszczony, zaniedbany pokój. „Czy to przypadek?”, spytał sam siebie. „Miejsce, w którym cierpiała jego matka, jest tym, które widzi we śnie, a pierwszy poranek w nowym domu jest porankiem, który to odkrywa, nie przed nim, lecz przede mną. Och, Allanie, Allanie! Jak to się skończy?”

Ledwo ta myśl przemknęła mu przez głowę, usłyszał głos Allana dobiegający z brukowanej ścieżki z boku domu, wołający go po imieniu. Pośpiesznie wyszedł do ogrodu. W tej samej chwili zza rogu wypadł Allan, wylewając z siebie potok słów i przeprasząc za to, że w towarzystwie nowych sąsiadów zapomniał o swoich obowiązkach jako gospodarza względem przyjaciela.

– Naprawdę nie brakowało mi ciebie – rzekł Midwinter – i bardzo, bardzo cieszę się na wieść, że sąsiedzi wywarli na tobie tak dobre wrażenie.

Mówiąc, próbował poprowadzić Allana tą samą drogą naokoło domu, którą przyszedł, ale rozbieganą uwagę przyjaciela przykuło otwarte już na oścież okno i opuszczony pokój. Natychmiast wszedł do środka. Midwinter podążył za nim i z zapartym tchem przyglądał mu się, gdy ten rozglądał się wokół siebie. Allana nie niepokoilo żadne wspomnienie na temat snu. Z jego milczących ust nie padła najdrobniejsza aluzja co do niego.

– Gdybym miał sobie wyobrazić, że odkryjesz jakieś miejsce, to właśnie tak powinno ono wyglądać! – zawołał wesoło Allan. – Małe, przytulne i bezpretensjonalne. Znam cię dobrze, mistrzu Midwinterze! Będziesz się tu wymykał, gdy okoliczne rodziny będą przyjeżdżać w gości, i obawiam się, że w tych okropnych chwilach nie będę pozostawał daleko za tobą. O co chodzi? Wyglądasz na chorego i zgnębionego. Głodny? Jasne, że tak! To niewybaczalne, że kazałem ci czekać. Drzwi muszą dokądś prowadzić, spróbujemy znaleźć skrót do domu. Nie martw się, że nie dotrzymam ci towarzystwa przy śniadaniu. W domku niewiele zjadłem, syciłem oczy widokiem panny Milroy, jak mawiają poeci. Och, najdroższa, najdroższa! Wywracasz mój świat do góry nogami. Co do jej ojca, poczekaj, aż zobaczysz jego cudowny zegar! Jest dwa razy większy niż słynny zegar w Strasburgu i bije najpotężniej ze wszystkich zegarów, o jakich słyszała ludzkość!

Wygłaszając w tym duchu na cały głos pochwały na temat swoich nowych przyjaciół, Allan powiodł Midwintera kamiennymi korytarzami sutereny. Jak słusznie przypuszczał, prowadziły one do klatki schodowej łączącej się z holem. W drodze mijali pomieszczenia dla służby. Na widok kucharki i buzującego ognia, dostrzeżonych przez uchylone drzwi kuchni, myśli Allana zmieniły bieg, zaś jego dostojeństwo pierzchło jak zwykle na cztery wiatry.

– Oho, pani Gripper, tu pani jest, a wraz z panią jej garnki, patelnie i rozpalony piec ognisty! Trzeba by być Szadrachem, Mészachem i tym trzecim gościem, by móc nad tym stać. Śniadanie ma być tak szybko, jak się pani podoba. Jajka, kiełbaski, bekon, cynaderki, marmolada, rukiew, kawa i tak dalej. Mój przyjaciel i ja należymy do elitarnego grona, dla którego gotować jest przywilejem. Smakosze, pani Gripper, obaj z nas to smakosze. Zobaczysz – ciągnął Allan, kiedy ruszyli razem w kierunku schodów – na powrót odmłodzę to zacne stworzenie. Na panią Gripper działałam lepiej niż lekarz. Kiedy się śmieje, trzęsą jej się boczki, a kiedy trzęsą jej się boczki, wysila swój układ mięśniowy, a kiedy wysila swój układ mięśniowy... Ha! A oto i Susan. Nie wciskaj się tak w balustradę, moja droga. Jeśli tylko nie przeszkadza ci przepychanie się obok mnie na schodach, to i mnie ono nie przeszkadza, a nawet się podoba. Wygląda jak rozkwitła róża kiedy się rumieni, prawda? Poczekaj, Susan! Mam do wydania dyspozycje. Bądź bardzo staranna, jeśli

chodzi o pokój pana Midwintera: trzep jego pościel jak wściekła i odkurżaj meble, aż zaczną cię boleć te ładne, krągłe ramiona. Nonsens, mój drogi przyjacielu! Nie jestem z nimi za bardzo spoufalony, ja tylko przypominam im o ich obowiązkach. A więc, Richardzie, gdzie jemy śniadanie? Ach, tutaj. Tak między nami, Midwinter, te moje wykwintne pokoje są dla mnie o rozmiar za duże, nie sądzę, żebym kiedykolwiek był w wielkiej zażyłości z własnymi meblami. Moje upodobania w życiu są z rodzaju przytulnych i niedbałych, wiesz – krzesło kuchenne, niski sufit. Człek na tym świecie potrzebuje mało, i tego nawet niedługo⁷. Może to niedokładny cytat, ale oddaje moją myśl i damy sobie spokój z poprawianiem go aż do następnej okazji.

– Przepraszam – wtrącił Midwinter – ale czeka tu na ciebie coś, czego jeszcze nie widziałeś.

Mówiąc to, wskazał nieco niecierpliwym gestem na list leżący na stole nakrytym do śniadania. Mógł zataić przed Allanem złowróżbne odkrycie, którego dokonał rano, ale nie potrafił przewyciężyć skrytej nieufności, jaka teraz na powrót zrodziła się w jego przesądnej naturze – instynktownej podejrzliwości w odniesieniu do wszystkiego, choćby były to wydarzenia nie wiadomo jak pospolite i błahe, co wydarzało się owego pamiętnego dnia, gdy w nowym domu zaczynało się nowe życie.

Allan przeczytał pobieżnie list i rzucił go przyjacielowi przez stół.

– Nie mogę się w tym połapać – rzekł. – A ty?

Midwinter powoli zaczął czytać na głos. „Panie! Proszę wybaczyć, że pozwalam sobie przesłać ten krótki list, by czekał na Pana przybycie do Thorpe Ambrose. Gdyby z jakichś powodów nie był Pan skłonny powierzyć swoich spraw panu Darchowi...” W tym miejscu urwał nagle i przez chwilę się namyślał.

– Darch to nasz znajomy prawnik – powiedział Allan, myśląc, że Midwinter zapominał nazwiska. – Pamiętasz, jak rzucaliśmy monetą w kajucie, kiedy dostałem dwie oferty wynajęcia domku? Orzeł – major, reszka – prawnik. Oto i prawnik.

Nie odpowiadając, Midwinter czytał dalej. „Gdyby z jakichś powodów nie był Pan skłonny powierzyć swoich spraw panu Darchowi, pragnę donieść, że

z przyjemnością zajmę się pana interesami, o ile tylko zechce Pan zaszczyścić mnie swoim zaufaniem. Załączam adres moich agentów w Londynie, którzy mogą dostarczyć referencje (jeśli ma Pan takie życzenie) i raz jeszcze przepraszam za narzucanie się. Pozostaję z unizieniem, A. Pedgift, senior”.

– Jakichś powodów? – zapytał Midwinter, odkładając list. – Jakież to powody mogą cię skłaniać do tego, by nie powierzać spraw prawnych panu Darchowi?

– Żadne – odrzekł Allan. – Darch jest nie tylko rodzinnym prawnikiem w Thorpe Ambrose, ale i pierwszą osobą, która napisała do mnie do Paryża o otrzymaniu spadku i jeśli mamy do powierzenia jakiś interes, oczywistym jest, że to on powinien się nim zająć.

Midwinter nadal przyglądał się rozłożonemu na stole listowi z powątpiewaniem.

– Mam złe przeczucie, Allanie, że coś już jest nie tak – powiedział. – Ten człowiek nigdy by się nie odważył złożyć ci podobnej propozycji, gdyby nie miał jakiegoś poważnego powodu, by wierzyć, że mu się uda. Jeśli chcesz od razu na początku zrobić dobre wrażenie, wyślij dziś rano wiadomość panu Darchowi, że jesteś tutaj i że na razie nie będziesz zwracał uwagi na list pana Pedgifta.

Nim ktokolwiek zdołał coś więcej powiedzieć, pojawił się lokaj, który niósł na tacy śniadanie. W chwilę potem zjawił się kamerdyner, człowiek z gatunku zaufanych, mówiący modulowanym głosem, o wytwornych manierach i bulwiastym nosie. Każdy z wyjątkiem Allana poznałby po wyrazie jego twarzy, że wszedł do pokoju, mając coś ważnego do powiedzenia swemu chlebodawcy. Allan, który nie dostrzegał niuansów i którego myśli zaprzątnięte były listem prawnika, zatrzymał go pytaniem prostu z mostu:

– Kim jest pan Pedgift?

Znajomość miejscowych stosunków kamerdynera natychmiast przyszła z pomocą. Pan Pedgift był drugim z dwóch prawników w miasteczku. Nie działał tak długo, nie był tak bogaty i nie cieszył się tak powszechnym szacunkiem jak stary pan Darch. Nie zajmował się interesami najwyższej postawionych osób w hrabstwie i nie miał kontaktów ze śmietanką towarzyską tak jak stary pan Darch. Mimo to, na swój sposób, był bardzo przyzwoitym człowiekiem. Słynął w całej okolicy jako

absolutnie kompetentny i poważany prawnik. Krótko mówiąc, jako zawodowiec zajmował drugie miejsce zaraz po panu Darchu, a jako człowiek wydawał się nawet od niego lepszy (jeśli można użyć takiego określenia) pod tym względem, że Darch był zrzędą, a Pedgift nie.

Udzieliwszy tej informacji, kamerdyner, wykorzystując zręcznie sytuację, przeszedł bez chwili zwłoki od charakterystyki pana Pedgifta do sprawy, która sprowadziła go do jadalni. Zbliżało się letnie rozliczenie, a najemcy zwykli byli otrzymywać zawiadomienie o obiedzie w dniu płatności czynszu z tygodniowym wyprzedzeniem. Biorąc pod uwagę tę pilną sprawę, jak również brak poleceń i brak urzędującego zarządcy, wydawało się wskazanym, by jakaś zaufana osoba poruszyła tę kwestię. Ową zaufaną osobą był kamerdyner, wobec czego odważył się niepokoić swego pana.

W tym momencie Allan otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale przerwano mu, nim zdolał wymówić choć słowo.

– Zaczekaj! – wtrącił Midwinter, wnosząc z twarzy z Allana, że właśnie w tej chwili groziło mu publiczne ogłoszenie zarządcą. – Zaczekaj – powtórzył pośpiesznie – aż będę mógł najpierw z tobą pomówić.

Wytworne maniery kamerdynera pozostały niewzruszone niespodziewanym wtrąceniem się Midwintera i odesłaniem jego samego z pokoju. Z wyjątkiem czerwieni, ogarniającej stopniowo jego bulwiasty nos, nic nie zdradzało urazy, jaka wrzała w nim, gdy się oddalał. Z chwilą, gdy kamerdyner wycofał się z powrotem do sutereny, szansa pana Armadale'a na uraczenie tego dnia siebie i przyjaciela najlepszym winem z domowej piwnicy stanęła pod znakiem zapytania.

– Nie ma żartów, Allan – odezwał się Midwinter, gdy zostali sami. – W dniu zapłaty czynszu musi spotkać się z twoimi najemcami ktoś, kto naprawdę nadaje się do objęcia funkcji zarządcy. Mając nawet najlepsze w świecie chęci do nauki, nie zdołam opanować tej wiedzy w tydzień. Nie pozwól, proszę, by twoja troska o moje dobro stawiała cię w złym świetle w oczach innych ludzi! Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby z mojego powodu...

– Spokojnie, spokojnie! – zawołał Allan, zaskoczony niezwykłą szczerością przyjaciela. – Jeśli poślę do Londynu wieczorną pocztą po człowieka, który już tu

kiedyś był, czy to wystarczy?

Midwinter potrząsnął głową.

– Mamy mało czasu – rzekł – a ów człowiek może nie być wolny. Czemu by najpierw nie spróbować w okolicy? Miałeś zamiar napisać do pana Darcha. Napisz od razu i zobaczmy, czy nie będzie mógł nam pomóc, zanim odjedzie wieczorna poczta.

Allan usiadł do stolika, na którym leżały materiały piśmiennicze.

– Będziesz mógł zjeść spokojnie śniadanie, ty niespokojny duchu – odparł i niezwłocznie zwrócił się do pana Darcha ze swoją zwykłą lakonicznością. „Szanowny Panie! Jestem na miejscu, z całym swoim dobytkiem. Czy zgodzi się Pan zostać moim prawnikiem? Proszę o to, ponieważ chciałbym się Pana natychmiast poradzić. Proszę wstąpić do mnie w ciągu dnia i zostać na obiad, jeśli będzie Pan mógł. Z poważaniem, Allan Armadale”. Odczytawszy tę kompozycję na głos z nieskrywanym podziwem dla własnej szybkości, z jaką władał piórem, Allan zaadresował list do pana Darcha i zadzwonił w dzwonek.

– Richardzie, zanieś to od razu i poczekaj na odpowiedź. A jeśli w miasteczku słyhać jakieś nowiny, pochwyć je i przynieś tutaj. Popatrz, jak zarządzam moją służbą! – ciągnął Allan, dosiadając się do przyjaciela przy stole. – Popatrz, jak przyzwyczajam się do nowych obowiązków! Nie spędziłem tu nawet jednego dnia, a już interesuję się okolicą.

Po śniadaniu obaj przyjaciele wyszli próżnować w cieniu parkowego drzewa. Nadeszło południe, a Richard się nie pokazał. Wybiła pierwsza i nadal nie było ani śladu odpowiedzi od pana Darcha. Cierpliwość Midwintera nie była odporna na spóźnienie. Zostawił Allana drzemiącego na trawie i udał się do domu, by zasięgnąć języka. Dowiedział się, że miasteczko jest położone o nieco ponad dwie mile dalej, ale akurat tego dnia wypadał dzień targowy i Richarda bez wątpienia zatrzymali liczni znajomi, których z pewnością spotkał przy tej okazji.

Pół godziny później zawieruszony posłaniec wrócił i został odesłany, by zdać sprawozdanie swojemu panu pod drzewem w parku.

– Jest jakaś odpowiedź od pana Darcha? – spytał Midwinter, widząc, że Allan

jest zbyt leniwy, by sam o to zapytać.

– Pan Darch był zajęty, proszę pana. Kazał przekazać, że prześle odpowiedź później.

– Jakież nowiny w miasteczku? – zapytał Allan sennie, nie zadając sobie trudu, by otworzyć oczy.

– Nie, proszę pana, nic szczególnego.

Patrząc nieufnie na służącego, kiedy udzielał tej odpowiedzi, Midwinter poznał po jego twarzy, że nie mówi prawdy. Był zakłopotany i wyraźnie ulżyło mu, kiedy milczenie jego pana pozwoliło mu odejść. Po chwili namysłu Midwinter ruszył za nim i dogonił rejterującego sługę na podjeździe przed domem.

– Richardzie – powiedział cicho – gdybym domyślił się, że w miasteczku są nowiny i że nie chcesz ich powtórzyć swemu panu, czy odgadłbym prawdę?

Mężczyzna drgnął i zaczerwienił się.

– Nie wiem, jak pan się domyślił – rzekł – ale nie zaprzeczę, że zgadł pan dobrze.

– Jeśli pozwolisz mi wysłuchać nowin, wezmę na siebie obowiązek przekazania ich panu Armadale’owi.

Po krótkiej chwili wahania i nieufnego sondowania twarzy Midwintera Richard w końcu przemógł się, by powtórzyć to, co usłyszał tego dnia w miasteczku.

Wiść o niespodziewanym pojawieniu się Allana w Thorpe Ambrose dotarła do miasteczka na kilka godzin przed przyjazdem służącego. Gdziekolwiek by nie poszedł, okazywało się, że jego pan jest przedmiotem publicznej dyskusji. Prominentni mieszczenie, szlachta zamieszkująca okolicę i najważniejsi najemcy w majątku mieli jednoznacznie negatywne zdanie na temat zachowania Allana. Zaledwie dzień wcześniej komitet zajmujący się przygotowaniem oficjalnego powitania nowego dziedzica nakreślił trasę przejścia pochodu, omówił ważną kwestię łuków triumfalnych i wyznaczył kompetentną osobę do zebrania składek na flagi, kwiaty, biesiadę i kapelę. Przed upływem tygodnia pieniądze zostałyby zebrane i proboszcz napisałby do pana Armadale’a z prośbą o wyznaczenie dnia. A teraz, na skutek działań samego Allana, oficjalne powitanie przygotowywane na

jego cześć zostało ze wzgardą rzucone mieszkańcom w twarz! Wszyscy byli pewni (co było niestety prawdą), że dziedzic został potajemnie powiadomiony o planowanych działaniach. Wszyscy twierdzili, że celowo zakradł się do własnego domu jak złodziej pod osłoną nocy (jak to zostało ujęte), by uniknąć przyjęcia uprzejmości oferowanych przez sąsiadów. Krótko mówiąc, delikatne poczucie własnej wartości małego miasteczka zostało zranione do żywego, a po godnej pozycji, jaką Allan do niedawna zajmował w opinii sąsiadów, nie został nawet ślad.

Przez chwilę Midwinter przyglądał się posłańcowi przynoszącemu złe wieści w milczącej rozterce. Gdy chwila ta minęła, świadomość krytycznego położenia Allana poderwała go, teraz, skoro nieszczęście było już znane, do szukania ratunku.

– Czy krótka znajomość z twoim chlebodawcą, Richardzie, skłania cię, by go lubić? – zapytał.

Tym razem mężczyzna odpowiedział bez wahania.

– Nie sposób wyobrazić sobie miłszego i życzliwszego pana niż pan Armadale.

– Skoro tak myślisz, nie odmówisz udzielenia mi pewnych informacji, które pozwolą twojemu panu naprawić stosunki z sąsiadami. Chodź do domu.

Zaprowadził go do biblioteki i zadawszy niezbędne pytania, spisał listę nazwisk i adresów najbardziej wpływowych mieszkańców miasta i okolic. Gdy to zrobił, zadzwonił po głównego lokaja, wcześniej wysyłając Richarda do stajni z poleceniem, by za godzinę czekał gotowy do drogi otwarty powóz.

– Kiedy świętej pamięci pan Blanchard jeździł z wizytą po okolicy, ty mu towarzyszyłeś, prawda? – spytał, gdy pojawił się wyższy rangą służący. – Doskonale. Za godzinę bądź gotów, jeśli łaska, jechać z panem Armadale'em.

Wydawszy polecenie, ponownie wyszedł z domu, aby dołączyć do Allana, niosąc w ręce listę osób, które należy odwiedzić. Schodząc po schodach, uśmiechnął się z lekkim smutkiem. „Kto by się spodziewał”, pomyślał, „że moja znajomość zwyczajów szlachetnie urodzonych z czasów, gdy byłem lokajem, będzie pewnego dnia warta wspomnienia dla dobra Allana?”

Przedmiot powszechnego odium leżał tymczasem, niewinnie śpiąc na trawie, z kapeluszem zsuniętym na nos, rozpiętą kamizelką i nogawkami spodni

podwiniętymi do połowy wyprostowanych nóg. Midwinter bez wahania obudził go i bez skrupułów powtórzył wieści od służącego.

Przekazane bezpardonowo rewelacje w najmniejszym stopniu nie zwały spokoju Allana.

– Do diabła z nimi! – skwitował. – Zapalmy następne cygaro.

Midwinter wyjął mu z ręki cygaro i, nalegając, by potraktował sprawę poważnie, wyjaśnił w prostych słowach, że musi naprawić stosunki z urażonymi sąsiadami, osobiście udając się do nich z przeprosinami. Allan usiadł na trawie w osłupieniu i z pełnym niedowierzaniem przerażeniem patrzył na przyjaciela szeroko otwartymi oczami. Czy Midwinter na serio planował wcisnąć go w cylinder, starannie wyszczotkowany surdut i parę czystych rękawiczek? Czy naprawdę rozważano zamknięcie go w powozie, z lokajem na koźle i wizytownikiem w dłoni, i wysłanie na objazd od domu do domu, by powiedzieć bandzie głupców, że prosi o wybaczenie za to, iż nie pozwolił im zrobić z siebie publicznego widowiska? Jeśli faktycznie miało dojść do podobnie oburzającego absurdu, w każdym razie nie mogło do niego dojść tego dnia. Obiecał wrócić do domku uroczej panny Milroy i przyprowadzić ze sobą Midwintera. Na cóż mu była dobra opinia okolicznej szlachty? Jedynymi przyjaciółmi, jakich potrzebował, byli ci, których już miał. Niech cała okolica odwraca się do niego plecami, jeśli chce. Plecy czy twarz, dziedzic Thorpe Ambrose nic sobie z nich nie robi.

Pozwoliwszy mu poutyskiwać w ten sposób aż do wyczerpania całego arsenału obiekcji, Midwinter rozsądnie odwołał się do osobistego wpływu. Czule ujął dłoń Allana.

– Mam zamiar poprosić cię o wielką przysługę – rzekł. – Jeśli nie chcesz złożyć tym ludziom wizyty ze względu na siebie, czy zrobisz to, by sprawić przyjemność mnie?

Allan wydał z siebie jęk bólu, spojrzawszy w niemym osłupieniu na napiętą twarz przyjaciela i ustąpił. Kiedy Midwinter ujął go za ramię i zaczął prowadzić w stronę domu, obrzucił smutnym wzrokiem pasące się wokół bydło, leniwie machające ogonami w przyjemnym cieniu.

– Nie mów nikomu w sąsiedztwie – rzekł – ale chciałbym zamienić się miejscami z jedną z moich krów.

Midwinter zostawił go, aby się ubrał, umawiając się z nim w ten sposób, że wróci po niego, gdy zostanie podstawiony powóz. Nic nie wskazywało na to, by Allan śpieszył się z toaletą. Zaczął od czytania własnych biletów wizytowych, potem przeszedł do etapu przeglądania szafy i posyłania okolicznej szlachty do diabła. Zanim zdążył odkryć trzeci sposób na opóźnienie swoich działań, niezbędny pretekst sam się nawinął wraz z pojawieniem się Richarda z listem w dłoni. Właśnie przybył posłaniec z odpowiedzią od pana Darcha. Allan szybko zamknął szafę i całą uwagę skupił na liście prawnika. List ten nagrodził go tymi słowami:

„Szanowny Panie! Chciałbym potwierdzić otrzymanie Pańskiego listu z dzisiejszą datą, w którym zaszczyca mnie Pan dwiema propozycjami, mianowicie: jedną będącą zaproszeniem do pełnienia funkcji Pana radcy prawnego i drugą zapraszającą mnie do złożenia wizyty w Pańskim domu. Co do pierwszej propozycji, pozwoli Pan, że jej nie przyjmę. Co się tyczy drugiej – muszę Panu donieść, że doszły mnie słuchy na temat okoliczności wynajęcia domku w Thorpe Ambrose, które uniemożliwiają mi (jeśli chcę pozostać w zgodzie z sobą) przyjęcie Pańskiego zaproszenia. Ustaliłem, proszę Pana, że moja oferta trafiła do Pana w tym samym czasie co majora Milroya i że mając przed sobą dwie oferty, przedłożył Pan osobę zupełnie obcą, zwracającą się do Pana przez agenta nieruchomości, nad człowieka, który wiernie służył Pana krewnym przez dwa pokolenia i który jako pierwszy poinformował Pana o najważniejszym wydarzeniu w Pana życiu. Po tej próbie Pana stosunku do wymogów zwykłej grzeczności i zwykłej sprawiedliwości nie mogę sobie pochlebiać, że posiadam przymioty kwalifikujące mnie do zajęcia miejsca w gronie Pańskich przyjaciół.

Pozostaję Pana uniżonym sługą,

James Darch”.

– Zatrzymaj posłańca! – krzyknął Allan, zrywając się na równe nogi, z twarzą czerwoną z oburzenia. – Podaj mi pióro, atrament i papier! U kaduka, co za miłe towarzystwo zamieszkuje te rejony. Cała okolica zmówiła się, żeby mnie dręczyć!

Porwał pióro w przyływie epistolarnego natchnienia. „Szanowny Panie! Gardzę

Panem i Pańskim listem...” W tym momencie pióro zrobiło kleksa i piszącego zdjęło nagłe wahanie. „Za mocne”, pomyślał. „Odpowiem prawnikowi w jego własnym, chłodnym i ciętym stylu”. Zaczął od nowa na czystej kartce papieru. „Szanowny Panie! Przypomina mi Pan irlandzkiego byka. Mam na myśli tę historię z *Joe Millera*, w której Pat stwierdził, słysząc tuż obok merdnięcie ogona, że »cała wzajemność była po jednej stronie«. Pańska wzajemność jest cała po jednej stronie. Korzysta Pan z przywileju odmowy bycia moim prawnikiem, a potem uskarża się Pan na to, że ja skorzystałem z przywileju odmowy bycia Pana gospodarzem”. Z zadowoleniem zatrzymał się na tych ostatnich słowach. „Zgrabne!”, pomyślał. „Argument i porządne lanie w jednym. Ciekawe, skąd mam taki talent do pisania?” Wrócił do listu i skończył go dwoma zdaniami. „Co do rzucenia mi mojego zaproszenia w twarz, pragnę poinformować, że moja twarz wyszła z tego bez szwanku. Jestem równie szczęśliwy, nie mając Panu nic więcej do powiedzenia, ani jako przyjaciel, ani gospodarz. Allan Armadale”. Z zadowoleniem pokiwał głową nad własnym dziełem, adresując je i przekazując posłańcowi.

– Darch musi mieć naprawdę grubą skórę – rzekł – jeśli tego nie poczuje!

Odgłos kół na zewnątrz nagle przypomniał mu o dzisiejszej sprawie. Przed domem czekał powóz, by zabrać go na rundkę wizyt. Na posterunku był też Midwinter, przechadzając się tam i z powrotem po podjeździe.

– Przeczytaj to – zawołał Allan, wyrzucając przez okno list prawnika. – Odpisałem mu tak, że mu w pięty pójdzie.

Popędził do szafy wyjąć surdut. Zaszła w nim cudowna zmiana, niechęć do składania wizyt niemal zupełnie zniknęła. Przyjemne podniecenie towarzyszące odpisaniu na list pana Darcha wprawiło go w miły, buńczuczny nastrój sprzyjający utwierdzeniu swojej pozycji w okolicy. „Cokolwiek jeszcze mają na mój temat do powiedzenia, nie powiedzą przynajmniej, że bałem się stawić im czoła”. Rozpalony tą myślą, schwycił kapelusz i rękawiczki i wybiegając z pokoju, spotkał na korytarzu Midwintera z listem prawnika w ręku.

– Głowa do góry! – zawołał Allan, widząc niepokój w twarzy przyjaciela i opacznie go sobie tłumacząc. – Jeżeli nie będziemy mogli liczyć na pomoc Darcha w kwestii obowiązków zarządcy, pomoże nam Pedgift.

– Drogi Allanie, nie o tym myślałem. Myślałem o liście pana Darcha. Nie bronię tego drażliwego człowieka, ale obawiam się, że musimy przyznać, iż ma powód do narzekania. Proszę, nie daj mu kolejnej okazji do oskarżania cię. Gdzie twoja odpowiedź na list?

– Wysłana! – odparł Allan. – Zawsze kuję żelazo, póki gorące... słowo i cios, ale cios najpierw. Oto moja strategia. Nie martw się księgami rachunkowymi i dniem odbioru czynszu. Proszę! Oto pęk kluczy, który dostałem wczoraj wieczorem. Jeden z nich otwiera pokój, w którym są księgi rachunkowe. Idź tam i czytaj do mojego przyjazdu. Daję ci święte słowo honoru, że załatwię wszystko z Pedgiftem, zanim znów mnie zobaczysz.

– Chwileczkę – przerwał Midwinter – stanowczo zatrzymując go w drodze do powozu. – Nie mogę powiedzieć, że pan Pedgift nie jest osobą zasługującą na twoje zaufanie, ponieważ nie wiem nic, co mogłoby uzasadniać moją podejrzliwość. Ale sposób, w jaki dał ci o sobie znać, nie był zbyt taktowny i nie przyznał (co jest na moje oko całkiem jasne), że pisząc list, wiedział o nieprzyjaznych uczuciach pana Darcha względem ciebie. Poczekaj trochę, zanim pojedziesz do tego nieznanego, poczekaj, aż omówimy to dziś wieczór.

– Poczekaj! – odparł Allan. – Nie powiedziałem ci, że zawsze kuję żelazo, póki gorące? Zaufaj mojemu oku do ludzi, stary druhu, przejrzę Pedgifta na wylot i zachowam się adekwatnie. Na miłość boską, nie zatrzymuj mnie dłużej. Jestem w odpowiednim nastroju do rozprawienia się z miejscową szlachtą i jeśli nie wyruszę natychmiast, obawiam się, że może się on ulotnić.

Mając ten wyśmienity powód do pośpiechu, Allan gwałtownie się oddalił. Zanim ktokolwiek mógł go zatrzymać, wskoczył do powozu i odjechał.

^Z Cytat z powieści Olivera Goldsmitha *Wikary Wefildzki* w przekładzie Hipolita Błotnickiego (przypis tłumacza).

IV. ROZWÓJ WYDARZEŃ

Kiedy powóz zniknął z oczu Midwintera, jego twarz spochmurniała.

– Robiłem, co mogłem – rzekł, odwracając się w przygnębieniu w stronę domu. – Gdyby był tu nawet sam pan Brock, nic więcej nie mógłby zrobić!

Spojrzał na pęk kluczy, który Allan wcisnął mu do ręki, i jego wrażliwą, skłonną do samoudręczenia naturę opanowało nagłe pragnienie, by sprawdzić się przy księgach rachunkowych. Zapytawszy o drogę do pokoju, do którego po wynajęciu domku tymczasowo przeniesiono różne ruchomości należące do wyposażenia biura zarządcy, udał się do niego i zasiadł za biurkiem, by przekonać się, czy polegając tylko na własnych zdolnościach, zdoła rozeznać się w dokumentacji majątku Thorpe Ambrose. Efekty obnażyły przed nim bezmiar własnej ignorancji. Rejestry wprowadziły go w zdumienie, dzierżawy, projekty, nawet sama korespondencja mogły być jak dla niego równie dobrze napisane w nieznanym języku. Gdy opuszczał pokój, z goryczą wrócił pamięcią do trwającego dwa lata samouctwa w księgarni w Shrewsbury. „Gdybym tylko mógł wtedy zajmować się księgowością!”, pomyślał. „Gdybym tylko wiedział, że towarzystwo poetów i filozofów stanowiło zbyt wysokie progi dla takiego włóczęgi jak ja!”

Usiadł sam w wielkim holu. Cisza tego miejsca coraz bardziej przytłaczała gasnącego w nim ducha, piękno tego domu drażniło go jak obelga rzucona przez aroganckiego bogacza.

– Przekłęte miejsce! – rzekł, chwytając kapelusz i laskę. – Wolę najbardziej niegościnne górskie zbocze, jakie kiedykolwiek służyło mi za nocne schronienie, niż ten dom!

Niecierpliwie zszedł ze schodów i zatrzymał się na podjeździe, zastanawiając

się, jaką drogę powinien obrać, by wyjść z parku na otwartą przestrzeń. Jeśli wybierze drogę, którą odjechał powóz, ryzykował niepokojenie Allana przypadkowym spotkaniem w miasteczku. Jeśli wyjdzie tylną bramą, znał się zbyt dobrze, by wątpić, czy uda mu się przejść obok pokoju ze snu i ponownie do niego nie wstąpić. Pozostawała jednak jeszcze jedna droga: ta, którą obrał i porzucił rano. Teraz nie było obawy, że przeszkodzi Allanowi i córce majora. Niewiele myśląc, Midwinter ruszył przez ogrody, by zbadać tereny leżące po tamtej stronie majątku.

Wytrącony z równowagi wypadkami dnia, miał głowę pełną owego wściekłego sprzeciwu wobec nieuchronnej pewności siebie, jaką daje bogactwo, tak gorliwie potępianego przez zamożnych i tak dobrze znanego biednym. „Wrzosiec nic nie kosztuje!”, pomyślał, spoglądając wzgardliwie na morze rzadkich i pięknych kwiatów, które go otaczały. „A jaskry i stokrotki są tak jasne jak ty w najlepszym stroju”. Minął kunsztownie rozplanowane elipsy i kwadraty włoskiego ogrodu z obojętnością włączęgi wobec symetrii ich budowy i pomysłowości projektu.

– Ile funtów kosztowałaś? – powiedział, oglądając się lekceważącym wzrokiem na ostatnią z alejek, którą opuszczał. – Wij się daleko po wzgórzach i dolinach jak ścieżka wydeptana przez owce na zboczu góry, jeśli potrafisz!

Wszedł między krzewy, które Allan mijał przed nim, przeciął wybieg, przeszedł po rustykalnym mostku i dotarł do domku majora. Gdy tylko go zobaczył, jego bystry umysł od razu wyciągnął właściwy wniosek. Zatrzymał się przed furką, by popatrzeć na schludne mieszkanie, które nigdy nie byłoby puste i nigdy nie zostało wynajęte, gdyby nie chybiony pomysł Allana, by siłą narzucić przyjacielowi funkcję zarządcy.

Letnie popołudnie było ciepłe, powietrze duszne i nieruchome. Na parterze i piętrze domku pootwierano okna. Z jednego z nich na piętrze dobiegały głosy, wdzierając się w ciszę parku, na którego skraju, poza ogrodzeniem ogrodu, przystanął Midwinter. Dominował kobiecy głos – szorstki, wysoki, gniewnie utyskujący – głos, który stracił całą swoją świeżość i melodyjność i w którym została jedynie twarda gromkość. Od czasu do czasu mieszały się z nim głębsze i cichsze tony męskiego głosu, pełne łagodności i współczucia. Choć odległość nie pozwalała Midwinterowi rozróżnić pojedynczych słów, czuł niezręczność

pozostawiania w zasięgu głosów i nie czekając, ruszył przed siebie.

W tej samej chwili w otwartym oknie pokoju ukazała się twarz młodej dziewczyny (w której Midwinter bez trudu rozpoznał znaną z opisu Allana twarz panny Milroy). Mimo woli Midwinter zatrzymał się, by na nią popatrzeć. Młoda, jasna twarz, która tak ładnie uśmiechała się do Allana, miała wyraz znużony i zgnębiony. Przez chwilę dziewczyna patrzyła z roztargnieniem na park, po czym nagle odwróciła głowę w głąb pokoju. Najwyraźniej jej uwagę zwróciło coś, co właśnie w nim powiedziano.

– Och, mamó, mamó – zawołała z oburzeniem – jak możesz mówić takie rzeczy!

Słowa te padły blisko okna, dotarły do uszu Midwintera i wyгнаły go z miejsca, zanim mógł usłyszeć coś więcej. Jednak ujawnienie sytuacji rodzinnej majora Milroya miało mieć ciąg dalszy. Kiedy Midwinter skręcał za rogiem ogrodzenia otaczającego ogród, posłaniec od kupca wręczał właśnie służącej przy furtce paczkę.

– No i – odezwał się chłopiec z niepohamowanym zuchwalstwem swojej klasy – jak tam stara?

Kobieta podniosła rękę, aby wytargać go za uszy.

– Jak tam stara? – powtórzyła, gniewnie potrząsając głową, podczas gdy chłopak wziął nogi za pas, rzucając za sobą:

– Gdyby tylko Bóg zechciał zabrać starą, byłoby to błogosławieństwem dla wszystkich domowników.

Na radosnym obrazie mieszkańców domku, jaki przed oczami wyobraźni przyjaciela odmalował Allan, nie kładł się żaden podobny cień. Było jasne, że sekret lokatorów pozostawał na razie skrzętnie ukryty przed gospodarzem. Po pięciu minutach spaceru Midwinter dotarł do parkowej bramy. „Czy jestem skazany na to, aby dziś nie zobaczyć i nie usłyszeć nic, co dodałoby mi zachęty i nadziei na przyszłość?”, pomyślał, ze złością zatraskując za sobą bramę przy stróżówce. „Nawet ludzie, którym Allan wynajął domek, mają życie zatrute domowym nieszczęściem, które miałem pecha odkryć!”

Wybrał pierwszą drogę, która się przed nim rozciągała, i szedł, nie zwracając na nic uwagi, zatopiony we własnych myślach.

Minęła więcej niż godzina, zanim przyszło mu do głowy, że pora wracać. Skoro tylko zaświtał mu ten pomysł, spojrzął na zegarek i postanowił zawrócić, aby znaleźć się w domu przed powrotem Allana. Po dziesięciu minutach marszu stanął ponownie na rozstaju trzech dróg. Wystarczył rzut oka, by upewnić się, że będąc tu wcześniej, zupełnie nie zwrócił uwagi, którą z trzech dróg przyszedł. Nie widać było żadnego drogowskazu, okolica po obu stronach była bezludna i płaska, poprzecinana szerokimi rowami odwadniającymi i kanałami. Tu i ówdzie pasły się krowy, a w oddali ponad rzędem rosochatych wierzb, które porastały niski horyzont, wznosił się wiatrak. Nie było jednak widać ani śladu domu, a w perspektywie żadnej z trzech dróg nie pojawiła się ani jedna ludzka istota. Midwinter spojrzął w jedynym kierunku, który mu pozostał – w kierunku drogi, którą właśnie przyszedł. Ku swej uldze zobaczył tam ludzką postać, szybko zmierzającą w jego stronę.

Postać zbliżyła się, odziana od stóp do głów w ponurą czerń – ruchoma plamka na oślepiająco białej płaszczyźnie zalanej słońcem drogi. Był to szczupły, starszy, żałośnie poważny mężczyzna. Miał na sobie stary, czarny frak i tanią, brązową perukę, która nie próbowała nawet udawać jego naturalnych włosów. Krótkie, czarne spodnie przylgnęły do jego zasuszonych nóg jak oddani starzy słudzy, a znoszone, czarne ocieplacze jak mogły, tak ukrywały sękatę, niezgrabną stopę. Czarna krepa była adekwatnym dodatkiem do zbutwiałej i spłowiałej nędzy starego, bobrowego kapelusza, czarny moher w niemodnej formie halsztuka posępnie opasywał mu szyję, sięgając aż po wychudzoną zuchwę. Jedyne odrobinkę koloru, jaką miał przy sobie, stanowiła torba prawnika z niebieskiej serży, równie mizerna i zwiotczała jak on sam. Jedyne atrakcyjną częścią jego gładko ogolonej, znużonej, starej twarzy był rząd równych zębów – zębów (równie prawdziwych jak włosy), które otwarcie informowały wszystkie dociekliwe oczy: „Spędzamy nocę na lusterku, a dni w jego ustach”.

Kiedy Midwinter wyszedł mu na spotkanie i zapytał o drogę do Thorpe Ambrose, cała odrobina krwi znajdująca się w ciele mężczyzny delikatnie zabarwiła jego zapadnięte policzki. Zmęczone, wilgotne oczy zaczęły patrzeć to tu, to tam z wyrazem potwornego zakłopotania. Gdyby zamiast człowieka spotkał lwa i gdyby te kilka słów, które do niego skierowano, wyrażały groźbę zamiast pytania, nie mógł

wyglądać na bardziej zdezorientowanego i zatrwożonego niż teraz. Po raz pierwszy w życiu Midwinter zobaczył swe własne nieśmiałe zakłopotanie, jakiego doświadczał w obecności nieznanomych, odbite z dziesięć razy większą intensywnością, spowodowaną cierpieniem duchowym, w twarzy drugiego człowieka, i to człowieka na tyle starego, że mógłby być jego ojcem.

– Co ma pan na myśli: miasteczko czy dom? Przepraszam, że pytam, ale w tych stronach i jedno, i drugie jest znane pod tą samą nazwą.

W jego głosie był ton bojaźliwej łagodności, w uśmiechu przymilność, a w sposobie bycia ostrożna uprzejmość wskazujące na przyzwyczajenie do tego, że ludzie, do których się zazwyczaj zwraca, odpowiadają na jego grzeczność oschłością.

– Nie wiedziałem, że zarówno dom, jak i miasteczko nazywają się tak samo – rzekł Midwinter. – Miałem na myśli dom.

Podświadomie przewyciężył własną nieśmiałość i wypowiedział te słowa z serdecznością, która była u niego bardzo rzadka w odniesieniu do nieznanomych.

Człowiek niebudzący respektu zdawał się z wdzięcznością przyjąć odwzajemnienie swej uprzejmości: rozpromienił się i nabrał nieco odwagi. Chudy palec wskazujący wyciągnął w stronę właściwej drogi.

– Tędy, proszę pana – rzekł – a kiedy dojdzie pan do następnych rozstajów, proszę skrócić w lewo. Szkoda, że mam coś do załatwienia w drugą stronę, to znaczy w mieście. Z przyjemnością poszedłbym z panem i pokazał drogę. Piękna letnia pogoda, w sam raz na spacer, prawda? Na pewno pan trafi, jeśli będzie pan kierował się na lewo. Och, nie ma o czym mówić! Obawiam się, że pana zatrzymuję. Życzę miłej drogi powrotnej i dobrego dnia!

Zanim skończył mówić (zapewne wierząc, że im więcej mówi, tym bardziej jest uprzejmy), ponownie stracił odwagę. Zerwał się w swoją stronę, tak jakby próba Midwintera podziękowania mu wiązała się z serią doświadczeń zbyt przerażających, by stawić im czoła. Minęły dwie minuty i jego postać zmniejszyła się tak bardzo, że znów wyglądała jak na początku – ruchoma plamka na oślepiająco białej płaszczyźnie zalanej słońcem drogi.

W drodze powrotnej do domu myśli Midwintera uporczywie krążyły wokół spotkanego człowieka. Nie potrafił tego wyjaśnić. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że dostrzeżone w twarzy nieszczęśnika jawne ślady dawnych nieszczęść i obecne cierpienia duchowe mogą mu mimowolnie przypomnieć siebie samego. Czuł niewytłumaczalną odrazę do własnego przekornego zainteresowania tym przechodniem przypadkowo spotkanym na gościńcu, podobnie jak czuł odrazę do wszystkiego innego, co spotkało go od początku dnia.

– Czyżbym dokonał kolejnego pechowego odkrycia? – pytał sam siebie z irytacją. – Czy spotkam jeszcze tego człowieka? Kto to może być?

Niewiele dni miało upłynąć, a czas udzielił mu odpowiedzi na oba te pytania.

Gdy Midwinter wrócił do domu, nie zastał tam Allana. Nie wydarzyło się nic oprócz tego, że z domku nadszedł liścik z przeprosinami. „Pozdrowienia od majora Milroya. Przeprasza, ale choroba pani Milroy nie pozwoli mu przyjąć dziś pana Armadale’a”. Było jasne, że okresowe ataki choroby (albo złego humoru) pani Milroy powodowały coś więcej niż tylko przejściowe zakłócenia spokoju w rodzinie. Wyciągnąwszy ten oczywisty, po tym, co sam usłyszał trzy godziny wcześniej, przechodząc obok domku, wniosek, Midwinter usunął się do biblioteki, by tam w otoczeniu książek czekać cierpliwie na powrót przyjaciela.

Było po szóstej, gdy w holu rozległ się znowu dobrze znany, donośny głos. Allan wpadł do biblioteki w stanie gwałtownego podniecenia i bezceremonialnie pchnął Midwintera z powrotem na krzesło, z którego ten właśnie się podnosił, nim zdołał cokolwiek powiedzieć.

– Mam dla ciebie zagadkę, stary druhu! – zawołał Allan. – Dlaczego jestem jak dozorca stajni Augiasza, zanim sprowadzono Herkulesa, by usunął nieczystości? Ponieważ miałem utrzymać swoje miejsce, a poszedłem i zrobiłem z niego piekielny bałagan! Dlaczego się nie śmiesz? A niech mnie, on nie rozumie! Spróbujmy jeszcze raz. Dlaczego jestem jak dozorca...

– Na miłość boską, Allanie, zachowuj się przez chwilę poważnie! – przerwał Midwinter. – Nie masz pojęcia, jak jestem ciekawy, czy odzyskałeś dobre imię w oczach sąsiadów.

– To właśnie miała ci powiedzieć zagadka! – odrzekł Allan. – Ale jeśli chcesz, żebym wyjaśnił ci to, używając wielu słów, to muszę powiedzieć, że zrobiłbyś lepiej, gdybyś nie wyciągał mnie spod tamtego drzewa w parku. Liczyłem dokładnie i pragnę cię poinformować, że spadłem dokładnie o trzy poziomy niżej w opinii okolicznej szlachty od czasu, gdy miałem przyjemność widzieć cię po raz ostatni.

– No to wyjaśnisz mi żart – powiedział z goryczą Midwinter. – Cóż, skoro nie mogę się śmiać, mogę poczekać.

– Drogi przyjacielu, ja nie żartuję. Mówię serio. Dowiesz się, co zaszło, dostaniesz wyczerpujące sprawozdanie z mojej pierwszej wizyty. Ręczę, że wystarczy ono jako przykład wszystkich kolejnych. Przede wszystkim musisz wiedzieć, że zawiodły mnie najlepsze intencje. Kiedy udawałem się w odwiedzin, przyznaję, że byłem zły na tego starego bydlaka prawnika i miałem zamiar załatwić sprawy, nie oglądając się na nikogo. Ale w drodze jakoś mi przeszło i do pierwszej rodziny, jaką odwiedziłem, wszedłem, jak już mówiłem, z najlepszymi zamiarami. O rany! Kazano mi czekać w tym samym wypucowanym pokoju gościnnym, łączącym się z wykwintną oranżerią, którą widziałem raz po raz w każdym domu, do którego zawitałem. Wszędzie czekał na mnie ten sam wyborowy zestaw książek do przeglądania – książka religijna, książka o księciu Wellington, książka o sporcie i książka o niczym szczególnym, pięknie ilustrowana. Na dół schodził papa ze swoimi białymi włosami i mama w swoim koronkowym czepku, młody panicz o różowej twarzy i bokobrodach koloru słomy oraz panienka o pucołowatych policzkach i w szerokiej spódnicy. Niech ci się nie wydaje, że z mojej strony pojawił się choćby cień nieuprzejmości. Za każdym razem zaczynałem w ten sam sposób – wszystkim wkoło podawałem rękę. To ich już na wstępie bulwersowało. Kiedy dochodziłem do drażliwego tematu – tematu oficjalnego powitania – daję ci słowo honoru, że wychodziłem z siebie, przepraszając ich. Nie robiło to na nich żadnego wrażenia. Słuchali moich przeprosin jednym uchem, a wypuszczali je drugim, po czym czekali na więcej. Niektórzy byli zniechęceni. Z tymi postępowałem inaczej: zwracałem się do pana domu, a następnie przyjemnie to ujmowałem. „Prawda jest taka”, mówiłem, „że chciałem uniknąć perorowania – wstawania i mówienia wam wprost, jakimi to jesteście wspaniałymi ludźmi i że chciałbym wznieść toast za

wasze zdrowie, a potem waszego wstawania i mówienia mi wprost, jakim to ja jestem wspaniałym człowiekiem i że pragniecie mi podziękować, i tak dalej, jeden po drugim, wychwalając jeden drugiego i nawzajem nie dając sobie spokoju, wszyscy wokół stołu”. Tak to ująłem, w sposób luźny, lekki i przekonujący. Myślisz, że ktokolwiek z nich przyjął moje słowa w tym samym przyjacielskim duchu? Nikt! Podejrzewam, że mieli już gotowe przemowy na powitanie, flagi i kwiaty i że w głębi ducha mają mi za złe, że zamknąłem im otwarte usta akurat w momencie, gdy gotowi byli zacząć. Tak czy siak, za każdym razem, gdy dochodziliśmy do kwestii perorowania (nieważne, czy poruszali ją najpierw oni czy ja), byłem degradowany w ich mniemaniu do pierwszego z owych trzech poziomów, o których ci wspominałem. Nie myśl, że nie podejmowałem prób rehabilitowania się. Podejmowałem desperackie próby. Odkryłem, że wszyscy koniecznie chcieli się dowiedzieć, jakie życie prowadziłem, zanim odziedziczyłem majątek Thorpe Ambrose, a ja robiłem, co mogłem, aby ich zadowolić. Jak myślisz, co z tego wyszło? Niech mnie licho porwie, jeśli nie zawiodłem ich po raz drugi! Kiedy dowiedzieli się, że nigdy nie byłem w Eton, Harrow, Oxfordzie ani Cambridge, byli wręcz oniemiaali ze zdumienia. Myślę, że uznali mnie za jakiegoś odszczepieńca. Tak czy owak, wszyscy kolejno zamierali, a ja staczałem się niżej o następny stopień w ich mniemaniu. To nic! Nie miałem zamiaru dać się pokonać. Obiecałem ci, że będę robił, co w mojej mocy, i robiłem. W następnej kolejności próbowałem zagaić wesoło o okolicy. Kobiety nie mówiły nic szczególnego. Mężczyźni, ku mojemu niewysłowionemu zdumieniu, wszyscy zaczęli składać mi wyrazy współczucia. Nie znajdę sfory psów gończych, mówili, w promieniu dwudziestu mil od mojego domu i uważali za swój obowiązek przygotować mnie na to, jak haniebnie zaniedbano tereny łowieckie w Thorpe Ambrose. Pozwoliłem im sobie współczuć do woli, a potem, jak myślisz, co zrobiłem? Znów popełniłem gafę. „Och, proszę się nie martwić!”, powiedziałem. „Nie obchodzą mnie łowy ani strzelanie. Kiedy będąc na spacerze, spotykam ptaka, za nic na świecie nie mam ochoty go zabijać, wolę patrzeć, jak sobie lata i jest szczęśliwy”. Powinieneś być zobaczyć ich twarze! Wcześniej myśleli, że jestem odszczepieńcem. Potem najwyraźniej brali mnie za wariata. Po moich słowach zapadała grobowa cisza, a ja staczałem się

w powszechnej opinii coraz niżej. W każdym następnym domu było tak samo. Myślę, że w nas wszystkich wstąpił diabeł. W taki czy inny sposób wszędzie wychodziło na to, że nie potrafię wygłaszać przemów, że nie mam wyższego wykształcenia i że cieszy mnie jazda konna bez potrzeby gonienia za nieszczęsnym, śmierdzącym lisem albo biednym, zaszczytnym zającem. Te trzy wady są czymś niewybaczalnym, jak się wydaje, u obywatela ziemskiego (zwłaszcza jeśli na wstępie wykręcił się od oficjalnego powitania). Myślę, że w sumie najlepiej dogadywałem się z żonami i córkami. Kobiety i ja wcześniej czy później za każdym razem schodziliśmy na temat pani Blanchard i jej bratanicy. Zgadaliśmy się, że rozsądnie zrobiły, wyjeżdżając do Florencji, a jedynym powodem, jakim potrafiliśmy uzasadnić naszą opinię, było to, że kontemplacja arcydzieł włoskiej sztuki wyjdzie na dobre ich umysłom po bolesnej stracie, jakiej doświadczyły. Każda jedna dama, słowo daję, w każdym domu, do którego zawitałem, wcześniej czy później schodziła na stratę pani i panny Blanchard i arcydzieła sztuki włoskiej. Naprawdę nie mam pojęcia, co byśmy poczęli bez tej genialnej myśli. Jedynym miłym momentem w każdej z wizyt był ten, kiedy wszyscy potrzęsaliśmy głowami i oznajmiali, że arcydzieła je pocieszą. Co do reszty, można powiedzieć tylko jedno. Nie wiem, kim mógłbym być gdzie indziej, ale tutaj jestem niewłaściwym człowiekiem na niewłaściwym miejscu. Na przyszłość pozwól mi zadawać się tak jak chcę i z kim chcę, czyli z moją własną garstką przyjaciół, i proś, o co tylko zechcesz, tylko nie proś mnie więcej, żebym składał wizyty sąsiadom.

Tą znamiennej prośbą Allan zakończył sprawozdanie z wyprawy badawczej pomiędzy miejscową szlachtą. Midwinter przez chwilę milczał. Pozwolił Allanowi powiedzieć wszystko do końca, nie przerywając ani słowem. Katastrofalny efekt wizyt, który nastąpił po tym, co stało się wcześniej tego samego dnia, i groził Allanowi wykluczeniem z kręgu miejscowych sympatii na samym początku jego kariery, sprawił, że Midwinter nie potrafił opierać się dłużej przesądności, która z wolna go przytłaczała. Z wysiłkiem spojrzał na Allana i z trudem zebrał się na odpowiedź.

– Będzie tak, jak sobie życzysz – powiedział cicho. – Przykro mi z powodu tego, co się stało, ale niemniej jestem zobowiązany, Allanie, że spełniłeś moją prośbę.

Głowa opadła mu na piersi i uciszyła go ta sama fatalistyczna rezygnacja, która kiedyś uciszyła go na pokładzie wraku. „Co ma być, to będzie”, pomyślał. „Co mam począć z przeszłością? A co ma począć on?”

– Głowa do góry! – rzekł Allan. – Twoje sprawy, w każdym razie, przedstawiają się znakomicie. Złożyłem jedną przyjemną wizytę w miasteczku, o której jeszcze ci nie mówiłem. Poznałem Pedgifta i jego syna, który pomaga mu w kancelarii. To dwaj najprzyjemniejsi prawnicy, jakich spotkałem w życiu, i co więcej, mogą przedstawić ci człowieka, jakiego potrzebujesz, żeby nauczył cię fachu zarządcy.

Midwinter szybko podniósł wzrok. Nieufność w stosunku do odkrycia Allana wyraźnie malowała się na jego twarzy, ale nie powiedział nic.

– Pomyślałem o tobie – ciągnął Allan – jak tylko wychyliłem z oboma Pedgiftami kieliszek wina za naszą znajomość. Najlepsze sherry, jakie kiedykolwiek miałem w ustach, zamówiłem trochę tego samego, ale nie o tym mówimy. W dwóch słowach opowiedziałem tym zacnym ludziom o twoim problemie i w dwie sekundy stary Pedgift pojął wszystko. „Mam w kancelarii odpowiedniego człowieka”, rzekł, „i zanim nadejdzie dzień rozliczenia z największą przyjemnością oddam go do dyspozycji pańskiego przyjaciela”.

Po tym ostatnim stwierdzeniu nieufność Midwintera znalazła wyraz w słowach. Bezlitośnie zaczął wypytywać Allana.

Okazało się, że człowiek ów nazywał się Bashwood. Od jakiegoś czasu (Allan nie pamiętał, od jak dawna) pracował dla Pedgifta. Wcześniej był zarządcą pewnego dżentelmena (nazwiska nie pamiętał) w zachodniej części hrabstwa Norfolk. Stracił posadę zarządcy w związku z jakimś problemem rodzinnym mającym związek z jego synem, Allan nie potrafił podać szczegółów. Pedgift za niego ręczył i Pedgift przyśle go do Thorpe Ambrose na dwa lub trzy dni przed dniem poboru czynszu. Z powodu obowiązków w kancelarii nie będzie mógł przyjechać wcześniej. Nie ma powodów do niepokoju, Pedgift śmiał się na samą myśl, że mogą pojawić się jakieś problemy z najemcami. Dwa albo trzy dni pracy przy księgach rachunkowych w asyście człowieka, który posiada praktyczną wiedzę na ten temat, przygotuje Midwintera na rozliczenie, a inne kwestie mogą zaczekać.

– Widziałeś tego pana Bashwoda na własne oczy, Allanie? – zapytał Midwinter,

nadal uparcie mając się na baczności.

– Nie – odrzekł Allan – wyszedł, wyszedł z torbą, jak określił to młody Pedgift. Powiedzieli, że to przyzwoity starszy człowiek. Trochę podupadły na duchu z powodu swoich problemów i nieco skłonny do denerwowania się i mieszania w obecności nieznajomych, ale najzupełniej kompetentny i godny zaufania... to słowa samego Pedgifta.

Midwinter nie odpowiadał i namyślał się przez chwilę, nagle zainteresowany tematem. Nieznajomy, którego opis właśnie usłyszał, i nieznajomy, którego zapytał o drogę na rozstajach, byli do siebie zaskakująco podobni. Czyżby było to następne ogniwo w długim łańcuchu zdarzeń? Midwinter postanowił być podwójnie ostrożny, gdy tylko podejrzenie, że tak może być, w istocie przeszło mu przez myśl.

– Gdy zjawi się pan Bashwood – rzekł – czy pozwolisz mi spotkać się i pomówić z nim, zanim dojdzie do czegokolwiek?

– Oczywiście, że tak! – odparł Allan. Urwał i spojrzął na zegarek. – I powiem ci, co dla ciebie zrobię w międzyczasie – dodał. – Przedstawię cię najładniejszej dziewczynie w całym hrabstwie! Mamy akurat dość czasu, by dotrzeć do domku przed kolacją. Chodź ze mną i poznaj pannę Milroy.

– Nie możesz mnie dziś przedstawić panie Milroy – odparł Midwinter i powtórzył treść liściku z przeprosinami, otrzymanego po południu od majora.

Allan był zdziwiony i rozczarowany, ale nie zamierzał poddać się w swoim postanowieniu wstępowania w łaski u mieszkańców domku. Po krótkim namyśle wpadł na pomysł, jak obrócić obecne niesprzyjające okoliczności w coś dobrego.

– Okażę właściwą troskę o wyzdrowienie pani Milroy – powiedział poważnie. – Poślę jej jutro rano koszyk truskawek z wyrazami uszanowania.

Nic wartego odnotowania nie wydarzyło się więcej pierwszego dnia w nowym domu.

Jedynym szczególnym wydarzeniem następnego dnia było to, że po raz kolejny dała o sobie znać drażliwość pani Milroy. Pół godziny po tym, jak koszyk truskawek od Allana został doręczony do domku, powrócił z niego nietknięty (za pośrednictwem opiekunki chorej damy) wraz z krótką i kąśliwą wiadomością:

„Pozdrowienia i podziękowania od pani Milroy. Truskawki niezmiennie jej nie służą”. Jeśli ta dziwnie nieuprzejma reakcja na przyjacielski gest miała za zadanie rozdrażnić Allana, całkowicie minęła się z celem. Zamiast obrazić się na matkę, ten zaczął współczuć córce.

– Biedne maleństwo – powiedział tylko. – Musi mieć ciężkie życie z taką matką.

Nieco później sam udał się do domku, ale nie widział śladu panny Milroy. Była zajęta na piętrze. Major przywitał gościa w fartuchu roboczym. Był o wiele bardziej zaabsorbowany swoim cudownym zegarem i o wiele mniej otwarty na wpływy z zewnątrz, niż kiedy Allan widział go podczas ich pierwszej rozmowy. Był uprzejmy jak poprzednio, ale nie dało się z niego wydobyć ani słowa więcej na temat żony niż to, że pani Milroy „nie polepszyło się od wczoraj”.

Kolejne dwa dni minęły spokojnie i bez szczególnych wydarzeń. Allan uparcie nawiedzał domek, ale córkę majora widział tylko raz, przelotnie, gdy pojawiła się w oknie sypialni na piętrze. Nie było więcej wiadomości od pana Pedgifta, a pojawienie się pana Bashwooda nadal się odwlekało. Midwinter nie chciał podejmować żadnych posunięć w tej sprawie do czasu otrzymania od pana Brocka odpowiedzi na list, który napisał do proboszcza w noc przyjazdu do Thorpe Ambrose. Był niespotykanie milczący i spokojny, a większość dnia spędzał w bibliotece pośród książek. Czas włókł się ociężale. Miejskowa szlachta zareagowała na wizyty Allana, oficjalnie składając swoje bilety wizytowe. Od tego czasu nikt nie zbliżył się do domu. Pogoda była niezmiennie piękna. Allan zrobił się lekko niespokojny i niezadowolony. Zaczął gniewać się na chorobę pani Milroy, myślami wracał z żalem do swego porzuconego jachtu.

Kolejny dzień – dwudziesty czerwca – przyniósł wieści ze świata. Doręczono wiadomość od pana Pedgifta, że jego kancelista, pan Bashwood, nazajutrz stawi się osobiście w Thorpe Ambrose. Przyszła też odpowiedź od pana Brocka na list Midwintera.

List nosił datę osiemnastego czerwca, a nowiny, jakie przynosił, podniosły na duchu nie tylko Allana, ale i Midwintera.

Pan Brock donosił, że w dniu, w którym pisze, ma zamiar jechać do Londynu, wezwany tam w związku z interesem chorego krewnego, wobec którego pełnił

funkcję powiernika. Kiedy załatwi sprawę, ma nadzieję znaleźć w stolicy któregoś ze swoich znajomych duchownych, który zgodzi się zastąpić go na probostwie i, w takim wypadku, ufa, że uda mu się przyjechać z Londynu do Thorpe Ambrose za tydzień lub wcześniej. W zaistniałych okolicznościach zostawia większość tematów, o których pisał Midwinter, do omówienia na miejscu. Ale skoro czas nagli, co się tyczy zarządzania majątkiem Thorpe Ambrose, od razu powie, że nie widzi powodu, dla którego Midwinter nie mógłby rozpocząć nauki zawodu zarządcy i w ten sposób wydatnie nie przysłużyć się interesom przyjaciela.

Zostawiając Midwintera na czytaniu, wciąż od nowa, krzepiącego listu proboszcza, tak jakby miał zamiar wbić sobie każde zdanie w pamięć, Allan wcześniej niż zwykle udał się z codzienną wizytą do domku, albo, mówiąc prościej, poszedł podjąć czwartą próbę zacieśnienia znajomości z panną Milroy. Dzień zaczął się obiecująco i zdawało się, że jego dalszy ciąg również będzie zachęcający. Kiedy Allan wyszedł zza drugiej kępy zarośli i znalazł się w miejscu, gdzie po raz pierwszy spotkał córkę majora, ujrzał pannę Milroy we własnej osobie, jak bez celu przechadza się tam i z powrotem po trawie, najwyraźniej kogoś wyglądając.

Wzdrygnęła się lekko na widok Allana i bez wahania wyszła mu na spotkanie. Nie wyglądała najlepiej. Jej różana cera ucierpiała na zamknięciu w domu, a ładną twarzyczkę mącił wyraz zakłopotania.

– Doprawdy nie wiem, jak to wyznaczyć, panie Armadale – odezwała się skwapliwie, nim Allan zdołał otworzyć usta – ale z pewnością odważyłam się tu przyjść dziś rano w nadziei, że pana spotkam. Bardzo się martwiłam. Właśnie przez przypadek dowiedziałam się, jak mama przyjęła prezent w postaci owoców, który był pan jej uprzejmy podarować. Czy może pan spróbować jej wybaczyć? Od lat cierpi na wyniszczającą chorobę i nie zawsze jest sobą. Po tym, jak był pan tak bardzo dobry dla mnie (i papy), nie mogłam nie zakraść się tu w nadziei, że pana spotkam i powiem, jak bardzo mi przykro. Proszę, niech pan przebaczy i zapomni, panie Armadale, bardzo proszę! – Przy ostatnich słowach jej głos załamał się i w przypływie pragnienia, by pojednać go ze swoją matką, położyła dłoń na jego ramieniu.

Sam Allan był nieco zmieszany. Szczerłość dziewczyny zaskoczyła go, a jej

przekonanie, że został urażony, prawdziwie go zmartwiło. Nie wiedząc, co robić, poszedł za głosem instynktu i wziął ją za rękę.

– Moja droga panno Milroy, jeśli powie panienska choć słowo więcej, sprawi mi przykrość – odparł, nieświadomie i w zakłopotaniu ściskając coraz mocniej jej rękę.
– Nie byłem ani odrobinę urażony. Wziąłem poprawkę – na mój honor, tak było – na chorobę biednej pani Milroy. Urażony! – wykrzyknął Allan, powracając energicznie do swojej dawnej pochlebczej skłonności. – Chciałbym, żeby codziennie odsyłano mi koszyk owoców, gdybym tylko miał pewność, że z samego rana przywiedzie on panienkę tu, gdzie mogę ją spotkać.

Odrobina dawnego koloru zaczęła powracać na policzki panny Milroy.

– Och, panie Armadale, pańska uprzejmość nie ma końca – rzekła. – Nie wie pan nawet, jak mi ulżyło!

Urwała, jej nastrój ożywił się równie szczęśliwą gotowością wyzdrowienia jak nastrój dziecka, a wrodzona pogoda ponownie zabłysła w jej oczach, gdy podniosła wzrok, nieśmiało uśmiechając się do Allana.

– Czy nie uważa pan – spytała skromnie – że czas już puścić moją rękę?

Ich oczy się spotkały. Allan po raz drugi poszedł za głosem instynktu. Zamiast puścić jej rękę, uniósł ją do swych ust i pocałował. Wszystkie brakujące odcienie z palety różu powróciły na twarz panny Milroy w okamgnieniu. Wyrwała rękę, jakby Allan ją oparzył.

– Jestem pewna, że to niewłaściwe, panie Armadale – powiedziała i szybko odwróciła głowę, ponieważ śmiała się mimo woli.

– To miały być przeprosiny za... za zbyt długie trzymanie panny dłoni – wyjąkał Allan. – Przeprosiny nie mogą być czymś niewłaściwym, prawda?

Zdarzają się chwile, aczkolwiek nieliczne, kiedy kobiecy umysł właściwie docenia odwołanie do siły czystego rozumu. Pannie Milroy przedstawiono abstrakcyjne twierdzenie i panna Milroy dała się przekonać. A czy miało ono być przeprosinami, to już, przyznawała, zupełnie inna sprawa.

– Mam tylko nadzieję – rzekła kokietka, patrząc na niego chytrze – że mnie pan nie zwodzi. Choć teraz nie ma to większego znaczenia – dodała, z powagą

potrząsając głową. – Jeśli zrobiliśmy coś niestosownego, panie Armadale, raczej nie będziemy mieć okazji tego powtórzyć.

– Nie wyjeżdża chyba panienka? – wykrzyknął Allan w przerażeniu.

– Gorzej, panie Armadale. Przyjeżdża moja nowa guwernantka.

– Przyjeżdża? – powtórzył Allan. – Już przyjeżdża?

– Lada chwila przyjeżdża, powinnam była powiedzieć. Nie wiedziałam tylko, że chciał pan, abym była tak dokładna. Dziś rano przysły odpowiedzi na ogłoszenie. Papa i ja otworzyliśmy je i przeczytali razem pół godziny temu; oboje wybraliśmy ze wszystkich ten sam list. Ja go wybrałam, ponieważ był tak ładnie napisany, a papa wybrał go, ponieważ warunki były rozsądne. Dziś wysła pocztą list do mojej babci w Londynie i jeśli ona stwierdzi podczas rozmowy, że wszystko jest w porządku, zatrudnimy guwernantkę. Nie wie pan, jak bardzo zaczynam się już teraz denerwować: nieznana guwernantka to taka okropna perspektywa. Ale i tak jest lepsza niż pójście do szkoły, a ja wiąże z tą damą wielkie nadzieje, ponieważ napisała taki ładny list! Jak powiedziałam papie, dzięki niemu mogę niemal pogodzić się ze wstrętnym, nieromantycznym nazwiskiem.

– Jakie to nazwisko? – zapytał Allan. – Brown? Grubb? Scraggs? Coś w tym rodzaju?

– Sza! Sza! Nic aż tak straszego. Ma na nazwisko Gwilt. Okropnie mało poetyckie, prawda? Jednak osoba polecająca ją musi być kimś szacownym, bo mieszka w tej samej części Londynu co babcia. Stop, panie Armadale! Idziemy w złą stronę. Nie, nie mogę się doczekać, aż zobaczę te pana śliczne kwiaty dziś rano i bardzo dziękuję, ale nie mogę przyjąć pańskiego ramienia. Za długo już tu jestem. Papa czeka na śniadanie i będę musiała biec z powrotem całą drogę. Dziękuję, że był pan uprzejmy wziąć poprawkę na chorobę mamy, jeszcze raz dziękuję i do widzenia!

– Nie uściśniemy sobie rąk? – zapytał Allan.

Podąła mu rękę.

– Żadnych przeprosin więcej, jeśli można, panie Armadale – powiedziała zalotnie.

Ich oczy ponownie się spotkały i ponownie pulchna rączka z dołeczkami znalazła

drogę do warg Allana.

– Tym razem to nie są przeprosiny! – zawołał Allan, pośpiesznie się broniąc. – To... to wyraz szacunku.

Cofnęła się o kilka kroków i wybuchnęła śmiechem.

– Nie znajdzie mnie pan więcej w ogrodzie, panie Armadale – powiedziała wesoło – dopóki nie będzie przy mnie panny Gwilt, która się mną zaopiekuje!

Po tym pożegnaniu podwinęła spódnicę i co sił w nogach pobiegła do domu.

Allan stał, patrząc na nią w niemym zachwycie, dopóki nie zniknęła mu z oczu. Jego druga rozmowa z panną Milroy przyniosła niezwykły skutek. Po raz pierwszy od chwili, gdy został panem Thorpe Ambrose, zaczął się poważnie zastanawiać nad tym, co należy zrobić w nowej życiowej sytuacji. „Pytanie jest takie”, rozważał Allan, „czy nie powinienem naprawić moich relacji z sąsiadami, żeniąc się? Dam sobie dzień do namysłu, a jeśli nie zmienię zdania, jutro rano poradzę się Midwintera”.

Gdy nadszedł ranek i Allan zszedł do pokoju śniadaniowego, zdecydowany poradzić się przyjaciela w sprawie zobowiązań, które winien był swoim sąsiadom w ogóle, a pannie Milroy w szczególności, Midwintera nigdzie nie było. Okazało się, że widziano go w holu, zabrał ze stołu list, który przyszedł poranną pocztą, i natychmiast wrócił do swojego pokoju. Allan od razu z powrotem wszedł po schodach i zapukał do drzwi przyjaciela.

– Mogę wejść? – zapytał.

– Nie teraz – padła odpowiedź.

– Dostałeś list, prawda? – dociekał Allan. – Jakies złe wieści? Wydarzyło się coś niepomyślnego?

– Nic. Ale nie czuję się dziś najlepiej. Nie czekaj na mnie ze śniadaniem. Zejdę, jak tylko będę mógł.

Żadna ze stron nie powiedziała nic więcej. Allan wrócił do pokoju śniadaniowego nieco rozczarowany. Nastawił się, że bez zwłoki i bez namysłu poradzi się Midwintera, a teraz porada odwlekła się na czas nieokreślony. „Dziwny z niego jegomość!”, pomyślał Allan. „Co u diabła może on tam robić, zamknięty

sam w pokoju?”

Nie robił nic. Siedział przy oknie, trzymając w ręce otwarty list, który dostał tego ranka. Charakter pisma należał do pana Brocka, a spisane słowa były następujące:

„Mój drogi Midwinterze! Mam dosłownie dwie minuty, zanim odjedzie poczta, by donieść Ci, że właśnie spotkałem (w Ogrodach Kensington) kobietę, którą obaj znaleźliśmy do tej pory tylko jako kobietę w czerwonym szalu w tureckie wzory. Śledziłem ją i jej towarzyszkę (szacowną starszą damę) aż do ich mieszkania po tym, jak wyraźnie usłyszałem, że padło między nimi nazwisko Allana. Możesz być pewien, że nie stracę z oczu tej kobiety, dopóki się nie upewnię, że nie planuje jakiejś intrygi w Thorpe Ambrose. Spodziewaj się kolejnego listu ode mnie, gdy tylko dowiem się, jak zakończy się to niecodzienne odkrycie.

Bardzo oddany,
Decimus Brock”.

Przeczytawszy list po raz drugi, Midwinter złożył go w zamyśleniu i włożył do kieszonkowego notesu, tuż obok rękopisu streszczającego sen Allana.

– Pańskie odkrycie nie zakończy się na panu, panie Brock – powiedział. – Niech pan robi z tą kobietą, co chce. Kiedy nadejdzie czas, zjawi się ona tutaj.

V. MATKA OLDERSHAW MA SIĘ NA BACZNOŚCI

1. List pani Oldershaw (Diana Street, Pimlico) do panny Gwilt (West Place, Old Brompton)

„Salon kosmetyczny, 20 czerwca

Ósma wieczorem

Moja droga Lydio!

O ile dobrze pamiętam, minęły około trzy godziny od czasu, gdy wepchnęłam Cię bezceremonialnie do wnętrza mojego domu w West Place, powiedziałam Ci tylko, byś zaczekała, aż znów mnie zobaczysz, zatrzasnęłam między nami drzwi i zostawiłam Cię w holu. Znam Twoją wrażliwą naturę, moja droga, i obawiam się, że od tego czasu zdążyłaś już pomyśleć, iż jeszcze nigdy żaden gość nie został tak nikczemnie potraktowany przez gospodynię, jak ja potraktowałam Ciebie.

Uwierz mi, opóźnienie, z jakim wyjaśniam moje dziwne zachowanie, nie wynika z mojej winy. Kiedy zażywałyśmy dziś po południu świeżego powietrza w Ogrodach Kensington, zaszła (jak się później dowiedziałam) jedna z wielu drobnych trudności, które są zmorą tak poufnego interesu jak mój. Nie widzę możliwości, by wrócić do Ciebie przez kilka najbliższych godzin, a chciałabym Ci przekazać dyskretnie słówko ostrzeżenia, z którym już i tak zbyt długo zwlekałam. Muszę więc wykorzystać wolne minuty i napisać.

Oto ostrzeżenie pierwsze. Pod żadnym pozorem nie wychodź na zewnątrz dziś wieczorem i dopóki jest jasno, uważaj, aby nie pokazać się w którymś z frontowych okien. Mam podstawy, by się obawiać, że pewna czarująca osoba, która teraz u mnie

mieszka, może być obserwowana. Nie bój się ani nie denerwuj, zaraz dowiesz się dlaczego.

Aby wyjaśnić tę sytuację, muszę wrócić do naszego pechowego spotkania w ogrodach z owym czcigodnym dżentelmenem, który był uprzejmy iść za nami do mojego domu.

Kiedy byliśmy już blisko wejścia, przyszło mi do głowy, że za troską pastora o to, aby iść za nami, może stać motyw o wiele mniej chwalebny w jego oczach i o wiele niebezpieczniejszy dla nas obu niż ten, o który go podejrzewałaś. Innymi słowy, Lydio, mam poważne wątpliwości, czy spotkałaś się z kolejnym wielbicielem, za to nabrałam podejrzewania, że napotkałaś na swej drodze kolejnego wroga. Nie było czasu, by Ci to powiedzieć. Miałam tylko czas odprowadzić Cię bezpiecznie do domu i upewnić się co do pastora (w razie gdyby moje podejrzewania okazały się słuszne), odpłacając mu tym, czym on potraktował nas, to znaczy śledząc z kolei jego.

Na początku trzymałam się w pewnej odległości za nim, aby przemyśleć sprawę i mieć pewność, że moje wątpliwości mnie nie zwodzą. Nie mamy przed sobą tajemnic i powiem Ci, jakie to były wątpliwości.

Nie dziwię się, że go rozpoznałaś. Nie wygląda na zwykłego starszego pana, a Ty już dwa razy widziałaś go w hrabstwie Somerset – raz, gdy pytałaś go o drogę do domu pani Armadale, i raz, gdy wracałaś na dworzec kolejowy. Byłam jednak nieco zdziwiona (biorąc pod uwagę, że w obu przypadkach miałaś opuszczony welon, podobnie jak w ogrodach), że on rozpoznał Ciebie. Wątpię, by rozpoznał Twoją figurę w letniej sukni, podczas gdy widział Cię jedynie w sukni zimowej i choć rozmawialiśmy, kiedy nas spotkał, a Twój głos należy do jednego z Twoich licznych uroków, wątpię również, by rozpoznał Twój głos. A jednak miałam pewność, że Cię zna. »Jak?«, zapytasz. Moja droga, tak się pechowo złożyło, że rozmawialiśmy wtedy o młodym Armadale'u. Jestem pewna, że nazwisko było tym, co przykuło jego uwagę, a kiedy je usłyszał, przypomniał mu się z pewnością Twój głos, a może i Twoja figura. »A co jeśli tak?«, zapytasz. Zastanów się, Lydio, i powiedz mi, czy nie jest prawdopodobne, że pastor mieszkający tam, gdzie mieszkała pani Armadale, był jej przyjacielem. Jeśli miała ona przyjaciela, osobę, do której udałaby się po radę

po tym, jak ją nastraszyłaś i nad wyraz lekkomyślnie napomknęłaś na temat zwrócenia się do jej syna, był nim zapewne miejscowy proboszcz i zarazem sędzia pokoju, jak powiedział Ci sam właściciel gospody.

Teraz już rozumiesz, dlaczego zostawiłam Cię w tak niegrzeczny sposób, i mogę przejść do tego, co nastąpiło potem.

Szłam za staruszką, dopóki nie skręcił w zaciszną uliczkę, i zaczepiłam go, mając wyryty (jak sobie schlebiam) w każdej zmarszczce twarzy szacunek dla Kościoła.

»Proszę mi wybaczyć«, powiedziałam, »że ośmielę się spytać, czy rozpoznał pan damę, która spacerowała ze mną, kiedy przechodził pan koło nas w ogrodach?«

»Proszę wybaczyć, że spytam, ale dlaczego to panią interesuje?«, brzmiała cała odpowiedź.

»Spróbuję to panu wyjaśnić«, powiedziałam. »O ile moja przyjaciółka nie jest panu zupełnie nieznana, chciałabym zwrócić pana uwagę na bardzo delikatną sprawę związaną z pewną zmarłą damą i synem, który ją przeżył«.

Był zdumiony, widziałam to. Ale był również na tyle przebiegły, by powściągnąć język i poczekać, aż powiem coś więcej.

»Jeśli mylę się, mówiąc, że rozpoznał pan moją przyjaciółkę«, ciągnęłam, »pragnę przeprosić. Ale wydaje mi się niemal niemożliwością, by dżentelmen pana profesji szedł do domu za kobietą, która jest mu zupełnie nieznana«.

Tu go miałam. Zacerwienił się (wyobraź sobie, w jego wieku!) i wyznał prawdę w obronie swej szlacheckiej reputacji.

»Spotkałem już raz ową damę i przyznaję, że rozpoznałem ją w ogrodach«, rzekł. »Pozwoli pani, że nie będę się wdawał w kwestię tego, czy szedłem za nią celowo, czy też nie. Jeśli chce pani, bym ją zapewnił, że pani przyjaciółka nie jest mi osobą zupełnie nieznaną, daję pani to zapewnienie, a jeśli ma mi pani coś konkretnego do powiedzenia, pozostawiam pani decyzję, czy nadszedł już czas, aby to powiedzieć«.

Czekał i rozglądał się. Ja również czekałam i rozglądałam się. Powiedział, że ulica nie jest właściwym miejscem do rozmowy na delikatne tematy. Ja również powiedziałam, że ulica nie jest właściwym miejscem do rozmowy na delikatne

tematy. Nie zaproponował, że zaprowadzi mnie do swego domu. Ja również nie zaproponowałam, że zaprowadzę go do swego domu. Moja droga, czy widziałas kiedyś dwa nieznanome koty stojące nos w nos na dachu? Jeśli tak, to widziałas wypisz wymaluj mnie i pastora.

»A więc, proszę pani«, powiedział wreszcie, »będziemy kontynuować rozmowę bez względu na okoliczności?«

»Tak, proszę pana«, odparłam. »Na szczęście jesteśmy oboje w wieku, w którym możemy nie przejmować się okolicznościami« (widziałam, jak ten stary łajdak, patrząc na moje siwe włosy, upewniał się, że jego reputacja nie ucierpi, jeśli będzie ze mną widziany).

Po tym całym kłapaniu zębami i warczeniu w końcu przeszliśmy do rzeczy. Zaczęłam od wyznania, że boję się, iż jego zainteresowanie Tobą nie należy do przyjaznych. Przyznał to, oczywiście znowu w obronie swej reputacji. Następnie powtórzyłam mu wszystko o Twoich poczynaniach w hrabstwie Somerset, o których opowiedziałas mi, kiedy odkryłyśmy, że nas śledzi. Nie obawiaj się, moja droga – działałam zgodnie z pewną zasadą. Jeśli chce się sprawić, by potrawa z kłamstw była do przełknięcia, zawsze należy okrasić ją odrobiną prawdy. A więc, wzbudziwszy w ten sposób zaufanie czcigodnego dżentelmena, oświadczyłam następnie, że zmieniłaś się od czasu, gdy widział Cię po raz ostatni. Wskrzesałam tego martwego nędznika, Twojego męża (bez nazwisk, rzecz jasna), umieściłam go (pierwsze miejsce, które przyszło mi do głowy) w interesach w Brazylii i streściłam list, który napisał, z propozycją wybaczenia błędzącej żonie, o ile ta okaże skruchę i do niego powróci. Zapewniłam pastora, że szlachetny postępek Twojego męża zmiękczył Twoją upartą naturę, po czym, myśląc, że wywołałam właściwe wrażenie, śmiało przeszłam do ataku. Powiedziałam: »Właśnie w chwili, gdy nas pan spotkał, moja nieszczęsna przyjaciółka ze wzruszeniem, z poczuciem winy mówiła o swoim zachowaniu w stosunku do świętej pamięci pani Armadale. Zwierzyła mi się, że chciałaby, o ile to możliwe, w jakiś sposób zadośćuczynić synowi pani Armadale i to na jej usilną prośbę (jako że nie może zdobyć się na to, by spojrzeć panu w oczy) chciałabym móc teraz spytać, czy pan Armadale pozostaje wciąż jeszcze w hrabstwie Somerset i czy zgodziłby się odebrać w małych ratach sumę, którą, jak

przyznaje moja przyjaciółka, otrzymała, wykorzystując lęki pani Armadale«. To moje własne słowa. Nie opowiedziano jeszcze zgrabniejszej historii (tak dobrze wszystko wyjaśniającej). Historia ta mogłaby zmiękczyć kamień. Ale ten pastor z Somerset jest twardszy niż sam kamień. Wstyd mi za niego, moja droga, ponieważ był najwyraźniej na tyle obojętny, by nie uwierzyć w nic, co powiedziałam o Twojej przemianie, mężu w Brazylii i pełnym skruchy pragnieniu oddania pieniędzy. To doprawdy wstyd, że taki człowiek jest członkiem Kościoła. Podobna przebiegłość jest w najwyższym stopniu niestosowna u przedstawiciela stanu duchownego.

»Czy pani przyjaciółka ma zamiar dołączyć do męża najbliższym parowcem?«, raczył tylko zapytać, kiedy skończyłam.

Przyznaję, że byłam rozgniewana. Warknęłam na niego. Powiedziałam: »Tak«.

»Jak mam się z nią skontaktować?«, spytał.

Znów na niego warknęłam. »Listownie, za moim pośrednictwem«.

»Na jaki adres, proszę pani?«

Znowu go miałam. »Sam się pan dowiedział, jaki jest mój adres«, rzekłam. »Książka adresowa zdradzi panu moje nazwisko, jeśli zechce pan również sam się tego dowiedzieć. W przeciwnym wypadku oferuję swój bilet wizytowy«.

»Bardzo pani dziękuję. Jeśli pani przyjaciółka będzie chciała skontaktować się z panem Armadale'em, ja z kolei dam pani mój bilet«.

»Dziękuję panu«.

»Dziękuję pani«.

»Do widzenia panu«.

»Do widzenia pani«.

Tak się rozstaliśmy. Ja poszłam w swoją stronę na spotkanie w moim zakładzie, a on poszedł w swoją, pośpiesznie, co samo w sobie jest już podejrzane. Tym, czego nie mogę przeboleć, jest jego nieczułość. Niech niebo ma w opiece ludzi, którzy posyłają po niego, by podtrzymał ich na duchu na łożu śmierci!

Następne pytanie brzmi: co mamy robić? Jeśli nie znajdziemy właściwego sposobu, aby zamydląć oczy temu staremu łajdakowi, może sprawić, że poniesiemy porażkę w Thorpe Ambrose, i to właśnie w chwili, gdy nasz cel jest w zasięgu ręki.

Zaczekaj, aż przyjdę, z głową wolną, mam nadzieję, od innego problemu, który mnie tu dręczy. Czy można mieć większego pecha niż my? Pomyśl tylko, że ten człowiek opuścił swoich parafian i przyjechał do Londynu właśnie w momencie, gdy odpowiedziałyśmy na ogłoszenie majora Milroya i możemy się spodziewać rozmowy w przyszłym tygodniu! Nie mam do niego cierpliwości, jego biskup powinien interweniować w jego sprawie.

Czule oddana,

Maria Oldershaw”.

2. List panny Gwilt do pani Oldershaw

„West Place, 20 czerwca

Kochana, stara biedaczko!

Jak mało wiesz o mojej wrażliwej naturze, jak ją nazywasz! Zamiast czuć się urażoną po tym, jak mnie zostawiłaś, zasiadłam do fortepianu i zapomniałam o wszystkim aż do przybycia posłańca. Twój list jest wyborny, śmiałam się, czytając go, do utraty tchu. Ze wszystkich absurdalnych historii, jakie czytałam, historia, którą przedstawiłaś temu pastorowi z hrabstwa Somerset, jest najbardziej nedorzeczna. Co do waszej rozmowy na ulicy, grzechem byłoby zatrzymać ją dla siebie. Powinno się ją wystawić w teatrze jako farsę, by publiczność też mogła się pośmiać.

Przechodząc do poważniejszych spraw: na szczęście dla nas obu Twój posłaniec jest roztropnym człowiekiem. Wszedł na górę, aby dowiedzieć się, czy będzie odpowiedź. Mimo swojego rozbawienia zachowałam na tyle przytomności umysłu, aby posłać na dół i powiedzieć »tak«.

Jakiś łajdak napisał w pewnej książce, którą kiedyś czytałam, że kobieta nie jest zdolna prowadzić dwóch różnych wątków myślowych w tym samym czasie. Twierdzę, że właśnie niemal utwierdziłaś mnie w przekonaniu, że miał on rację. Po tym, jak umknęłaś niezauważona do swojego zakładu i jak przypuszczasz, że dom może być pod obserwacją, chcesz tu wrócić i sprawić, że pastor będzie mógł wpaść na Twój zgubiony ślad! Czyste szaleństwo! Zostań tam, gdzie jesteś, a kiedy uporasz się ze swoim problemem w Pimlico (ta sprawa dotyczy z pewnością jakiejś kobiety,

jakimże one są utrapieniem!), bądź tak dobra i przeczytaj, co mam do powiedzenia na temat naszego problemu w Brompton.

Po pierwsze, dom (tak jak podejrzewałaś) jest pod obserwacją. Pół godziny po tym, jak mnie zostawiłaś, grę na fortepianie przerwały donośne głosy na ulicy, więc podeszłam do okna. Koło domu naprzeciwko, gdzie wynajmują pokoje, stała dorożka i starszy mężczyzna, wyglądający na szacownego sługę, sprzeczał się z woźnicą o zapłatę. Z domu wyszedł starszy dżentelmen i uciszył ich. Dżentelmen ów wrócił do domu i ostrożnie ukazał się w oknie salonu. Znasz go, pocziwino. Kilka godzin temu okazał się on na tyle niewdzięczny, by wątpić, czy mówisz prawdę. Nie martw się, nie widział mnie. Kiedy spojrzał w górę po uregulowaniu sprawy z dorożkarzem, byłam skryta za zasłoną. Od tamtej pory raz lub dwa razy pojawiłam się za zasłoną i widziałam dość dużo, by upewnić się, że on i jego sługa będą zmieniać się przy oknie tak, by dzień i noc nie tracić z oczu Twojego domu. Oczywiście niemożliwością jest, aby pastor domyślał się prawdy. Ale to, że jest święcie przekonany, iż planuję jakoś zaszkodzić młodemu Armadale'owi, a Ty utwierdziłaś go w tym przekonaniu, jest pewne jak dwa a dwa cztery. I to wszystko teraz (jak bezradnie mi przypominasz), kiedy odpowiedziałyśmy na ogłoszenie i kiedy za kilka dni możemy spodziewać się rozmowy z majorem.

To okropne dla dwóch kobiet znaleźć się w takiej sytuacji, nieprawdaż? Absurdalny koniec całego planu! Mamy jednak wyjście, Matko Oldershaw, dzięki temu, do czego sama zmusiłam cię mniej niż trzy godziny przedtem, nim spotkałyśmy pastora.

Czy zajadła kłótnia stoczona dziś rano po tym, jak rzuciłyśmy się na ogłoszenie majora w gazecie całkowicie zatarła Ci się w pamięci? Czy zapomniałaś, jak obstawałam przy twierdzeniu, że jesteś o wiele zbyt dobrze znana w Londynie, aby bezpiecznie podawać się za osobę mnie polecającą pod własnym nazwiskiem albo przyjmować zainteresowaną damę lub dżentelmena (jak pochopnie zaproponowałaś) we własnym domu? Nie pamiętasz już, w jaką furję wpadłaś, gdy zakończyłam nasz spór, odmawiając udziału w sprawie, o ile nie będę mogła umieścić w aplikacji do majora Milroya adresu, pod którym nie byłaś znana, i nazwiska, które mogło być jakiegokolwiek, pod warunkiem, że nie było Twoje własne? Jakie spojrzenie mi

posłałaś, widząc, że nie było innego wyjścia, jak zarzucić całą intrygę albo pozwolić mi postawić na swoim! Jak się wściekałaś na poszukiwanie domu po drugiej stronie parku! I jak utyskiwałaś po powrocie, będąc już w posiadaniu umeblowanych pokoi w szanowanej dzielnicy Bayswater, na bezsensowny wydatek, na jaki Cię naraziłam!

Co myślisz o tych umeblowanych pokojach teraz, ty uparciuchu? Nam tu na każdym kroku grozi demaskacja i nie mamy szansy na ucieczkę, o ile nie zdołamy obmyślić sposobu, aby umknąć pastorowi pod osłoną ciemności. A tam czekają na nas pokoje w Bayswater, gdzie ani mnie, ani Ciebie nie wyśledził żaden dociekliwy nieznajomy, gotowe w każdej chwili nas przyjąć – pokoje, w których możemy uniknąć wszelkiego prześladowania i spokojnie odpowiedzieć na pytania majora. Czy wreszcie sięgasz wzrokiem dalej niż koniec swojego nędznego, starego nosa? Czy coś na tym świecie może Cię teraz powstrzymać, by bezpiecznie zniknąć z Pimlico i wprowadzić się pod nowy adres w charakterze szacownej osoby polecającej mnie jakiś czas później? Ba, ba, Matko Oldershaw! Padnij na kolana i dziękuj niebiosom, że miałaś dziś rano do czynienia z taką diablicą jak ja!

Przejdźmy teraz do jedyne go problemu wartego wzmianki – problemu ze mną. Skoro jestem obserwowana, jak mam dołączyć do Ciebie, nie przyprowadzając w ślad za sobą pastora albo jego służącego?

Skoro jestem, praktycznie rzecz biorąc, więźniem w tym domu, wydaje mi się, że nie mam innego wyboru, jak spróbować starego sposobu ucieczki z więzienia: przebrania. Przyglądałam się Twojej pokojówce. Poza tym, że obie jesteśmy szczupłe, jej twarz i włosy oraz moja twarz i włosy są tak do siebie niepodobne, jak to tylko możliwe. Ale wzrostem i posturą jest ona zbliżona do mnie i (gdyby tylko umiała się ubierać i miała mniejsze stopy) jej figura jest o wiele lepsza, niż wynikałoby to z jej statusu społecznego.

Wymyśliłam, że założę ubrania, które miałam na sobie dziś w ogrodach, i wysłę ją na ulicę, pozwalając naszemu czcigodnemu wrogowi pognać za nią; jak tylko droga będzie wolna, wymknę się sama i dołączę do Ciebie. Plan byłby oczywiście niemożliwy do wykonania, gdyby widziano mnie z podniesioną woalką. Ale tak się złożyło, że jedyną zaletą okropnego wystawienia się na pośmiewisko, jakie miało miejsce po moim małżeństwie, jest to, że rzadko, a w tak gęsto zaludnionych

miejscach jak Londyn nigdy nie pokazuję się publicznie bez gęstej woalki, i to woalki opuszczonej na twarz. Jeśli pokojówka założy moją suknię, nie widzę powodu, dlaczego nie mogłaby z powodzeniem uchodzić za mnie.

Jedynym pytaniem jest takie: czy można ufać tej kobiecie? Jeśli tak, przyślij mi wiadomość, w której każesz jej na mocy swojego autorytetu oddać się do mojej dyspozycji. Nie powiem jej ani słowa, dopóki najpierw nie otrzymam wiadomości od Ciebie.

Przyślij mi odpowiedź dziś wieczorem. Dopóki tylko rozmawialiśmy o ubieganiu się o posadę guwernantki, było mi obojętne, jak to się skończy. Ale teraz, gdy już odpowiedziliśmy na ogłoszenie majora Milroya, podchodzę do sprawy na poważnie. Mam zamiar zostać panią Armadale w Thorpe Ambrose i biada mężczyźnie lub kobiecie, którzy spróbują mnie powstrzymać!

Twoja,

Lydia Gwilt

PS Otwieram ponownie list, żeby uspokoić Cię, iż nie ma obawy, aby Twój posłaniec był śledzony w drodze powrotnej do Pimlico. Pojedzie do piwiarni, w której jest znany, odeśle dorożkę przy wejściu i wyjdzie tylnymi drzwiami, używanymi tylko przez gospodarza i jego znajomych. L. G.”.

List pani Oldershaw do panny Gwilt

„Diana Street, dziesiąta wieczorem

Droga Lydio!

Napisałaś do mnie nieczuły list. Gdybyś to Ty była w trudnej sytuacji, równie znękana jak ja, kiedy do Ciebie pisałam, byłabym bardziej wyrozumiała dla swojej przyjaciółki, widząc, że nie jest tak pomysłowa jak zwykle. Pod względem moralnym znajdujesz się w opłakanym stanie, moja droga, i potrzebujesz dobrego przykładu. Dostaniesz dobry przykład – wybaczam Ci.

Teraz, kiedy ulżyłam sobie poprzez zrobienie dobrego uczynku, co powiesz na to, że w następnej kolejności pokażę Ci (choć protestuję przeciw ordynarności tego określenia), iż potrafię sięgać wzrokiem dalej niż koniec mojego nędznego, starego nosa?

Najpierw odpowiem na Twoje pytanie dotyczące pokojówki. Możesz jej ufać bezwarunkowo. Przeżyła swoje i nauczyła się dyskrecji. Ponadto wygląda na Twój wiek, chociaż, trzeba jej to oddać, ma nad Tobą kilka lat przewagi. Załączam niezbędne polecenia, które oddadzą ją całkowicie do Twojej dyspozycji.

A co potem?

Potem zajmę się Twoim planem dołączenia do mnie w Bayswater. Jest bardzo dobry, ale wymaga jednej małej, rozsądnej poprawki. Istnieje konieczność (zaraz dowiesz się dlaczego) oszukania pastora daleko bardziej kompletnie, niż Ty to proponujesz. Chcę, żeby zobaczył twarz pokojówki w taki sposób, aby uwierzył, że to Twoja twarz. A potem, idąc o krok dalej, chcę, aby zobaczył, jak pokojówka wyjeżdża z Londynu. Chcę zaaranżować taką sytuację, żeby widział, jak udajesz się w pierwszy etap swojej podróży do Brazylii. Nie uwierzył w tę podróż, kiedy powiedziałam mu o niej dziś na ulicy. Może w nią jeszcze uwierzyć, jeśli postąpisz według wskazówek, które Ci teraz podam.

Jutro jest sobota. Wyślij pokojówkę na zewnątrz w Twojej wyjściowej sukni, tak jak proponujesz, ale sama nie wychodź i nie zbliżaj się do okna. Każ kobiecie spuścić woalkę, udać się na półgodzinny spacer (niech nie wie, rzecz jasna, o pastorze i jego słudze idących za nią), a potem wrócić do Ciebie. Gdy tylko przyjdzie, natychmiast wyślij ją do otwartego okna, każąc jej niedbale podnieść woalkę i wyrzucić na ulicę. Niech odejdzie od okna po minucie lub dwóch, zdejmie czepek i szal, a potem po raz drugi pojawi się w oknie, albo jeszcze lepiej na balkonie. Może się jeszcze pokazywać od czasu do czasu (ale nie za często) w ciągu dnia. Następnego dnia – jako że mamy do czynienia z zawodowcem – koniecznie wyślij ją do kościoła. Jeśli te zabiegi nie przekonają pastora, że twarz pokojówki jest Twoją twarzą i jeśli nie uczynią go bardziej skłonny do uwierzenia w Twoją wewnętrzną przemianę niż podczas rozmowy ze mną, okaże się, kochana, że przeżyłam sześćdziesiąt lat na tym łożu padole bez najmniejszego sensu.

Następnym dniem jest poniedziałek. Patrzyłam na ogłoszenia o rejsach i dowiedziałam się, że we wtorek odpływa z Liverpoolu parowiec do Brazylii. Nie można sobie wyobrazić bardziej dogodnej sytuacji: wyruszysz w swoją podróż na oczach samego pastora. Możesz to załatwić w ten sposób: o pierwszej wyślij

człowieka, który czyści noże i widelce, po dorożkę, a kiedy podstawi ją pod drzwi, niech wraca i sprowadzi drugą, w której sam będzie czekał za rogiem, na placu. Niech pokojówka (nadal w Twojej sukni) odjedzie z kuframi pierwszą dorożką na Dworzec Północno-Zachodni. Kiedy odjedzie, wymknij się sama do dorożki czekającej za rogiem i przyjeźdź do mnie do Bayswater. Mogą być gotowi ruszyć w ślad za dorożką pokojówki, ponieważ zobaczą ją przed drzwiami, ale nie będą gotowi jechać za Twoją dorożką, ponieważ będzie skryta za rogiem. Kiedy pokojówka dotrze na dworzec i zrobi, co może, by wmieszać się w tłum (wybrałam pociąg mieszany o 14:10, żeby zwiększyć jej szanse), Ty będziesz bezpieczna ze mną, a to, czy do tej pory odkryją, że tak naprawdę nie jedzie do Liverpoolu, czy nie, nie będzie miało znaczenia. Zgubią Twój ślad i mogą jechać za pokojówką przez pół Londynu, jeśli zechcą. Dałam jej instrukcje (w załączniku), żeby zostawiła puste kufry, które następnie trafią do biura rzeczy znalezionych, i udała się do swoich przyjaciół w City, pozostając tam, dopóki do niej nie napiszę, że ma wracać.

A po co to wszystko?

Moja droga Lydio, po to, żebyś była bezpieczna w przyszłości (i ja też). Może nam się udać albo nie udać przekonać pastora, że faktycznie wyjechałaś do Brazylii. Jeśli nam się uda, mamy z głowy wszelkie obawy przed nim. Jeśli nie, ostrzeże młodego Armadale'a, aby uważał na kobietę podobną do mojej pokojówki, a nie do Ciebie. Ta ostatnia korzyść jest bardzo ważna, bo nie wiemy, czy pani Armadale nie zdradziła mu Twojego panieńskiego nazwiska. W takim wypadku »panna Gwilt«, opisana jako osoba, która wymknęła mu się w Londynie, będzie tak zupełnie niepodobna do »panny Gwilt« sprowadzonej do Thorpe Ambrose, że wszyscy uwierzą, iż mają do czynienia ze zbieżnością nazwisk, nie zaś osób.

Co teraz powiesz na moją poprawkę do Twojego pomysłu? Nadal uważasz, że mój umysł jest tak przytępiony jak wtedy, gdy pisałaś list? Nie myśl, że za bardzo się chełpię moją pomysłowością. Lepsze sztuczki niż ta są wykorzystywane przez oszustów, aby zwieść ludzi, o czym co tydzień donoszą gazety. Chcę Ci tylko pokazać, że moje wsparcie jest teraz nie mniej przydatne, by udało się zrealizować nasz plan dotyczący Thorpe Ambrose, niż kiedy pozyskiwałam pierwsze ważne informacje za pomocą niewinnie wyglądającego młodzieńca i prywatnego biura

detektywistycznego z Shadyside Place.

Nie mam nic więcej do dodania poza tym, że zaraz wyjeżdżam do mojego nowego mieszkania z kufrem skierowanym na moje nowe nazwisko. Nadchodzą ostatnie chwile Matki Oldershaw z salonu kosmetycznego, a za pięć minut w dorożce nastąpią narodziny pani Mandeville, szacownej osoby polecającej pannę Gwilt. Zdaje się, że muszę wciąż jeszcze być młoda duchem, bo już zdążyłam się zakochać w moim romantycznym nazwisku. Brzmi prawie tak ładnie jak pani Armadale z Thorpe Ambrose, nieprawdaż?

Dobranoc, moja droga, i słodkich snów. Jeśli coś nieprzewidzianego zdarzy się od dziś do poniedziałku, od razu napisz do mnie pocztą. Jeśli nic się zdarzy, będziesz akurat na czas, aby odpowiedzieć na najwcześniejsze pytania majora, jakie może zadać. Moje ostatnie słowa: nie wychodź z domu i nie zbliżaj się do frontowych okien do poniedziałku.

Oddana Ci,

M.O.”.

VI. MIDWINTER ZAKŁADA MASKĘ

Dwudziestego pierwszego czerwca w okolicy południa panna Milroy, zwolniona od obowiązków przy łóżku chorej matki dzięki polepszeniu się jej stanu zdrowia, przechadzała się właśnie po przydomowym ogródku, kiedy uwagę jej zwróciły czyjeś głosy w parku. Jeden z nich natychmiast rozpoznała jako głos Allana, drugi natomiast był jej nieznany. Rozchyliła gałęzie krzewu rosnącego obok płotu i zaglądając między nimi, ujrzała Allana zbliżającego się do furki w towarzystwie szczupłego, smagłego, niskiego mężczyzny, który rozprawiał i śmiał się w podnieceniu na całe gardło. Panna Milroy pobiegła do domu, aby uprzedzić ojca o przybyciu pana Armadale'a i dodać, że przyprowadza hałaśliwego nieznajomego, który, wszystko na to wskazuje, jest przyjacielem mieszkającym z dziedzicem w jego rezydencji.

Czy córka majora odgadła dobrze? Czyżby głośny, rubaszny towarzysz dziedzica był tym samym nieśmiałym, wrażliwym Midwinterem co dawniej? Tak właśnie było. Tego ranka w obecności Allana w dotychczasowym spokojnym zachowaniu jego przyjaciela zaszła niezwykła przemiana.

Kiedy Midwinter, odłożywszy zdumiewający list pana Brocka, wszedł do pokoju śniadaniowego, Allan był zbyt zajęty, by zwrócić na niego szczególną uwagę. Nierozstrzygnięty problem wyznaczenia terminu rozliczenia znów domagał się rozwiązania i w końcu zdecydowano (za radą kamerdynera), że odbędzie się ono w sobotę dwudziestego ósmego. Dopiero gdy odwrócił się, aby uspokoić Midwintera, że ten ma mnóstwo czasu na opanowanie ksiąg rachunkowych, nawet ktoś tak roztrzepany jak Allan zauważył wyraźną zmianę w twarzy stojącego przed nim człowieka. Otwarcie skomentował zmianę w swój zwykły, obcesowy sposób

i w tej samej chwili oschła, niemal gniewna odpowiedź zamknęła mu usta. Obaj zasiedli pospołu do śniadania bez zwykłej serdeczności. Posiłkowi towarzyszyła ponura atmosfera aż do czasu, gdy Midwinter sam przerwał ciszę dziwnym wybuchem wesołości, który odkrył przed Allanem nowe, nieznanne oblicze przyjaciela.

Tak jak w przypadku większości osądów Allana tu również wniosek był błędny. To, co się ujawniło, nie było nowym wyrazem natury Midwintera, a jedynie nowym aspektem tej samej, niekończącej się walki, jaka toczyła się w jego życiu.

Rozdrażniony tym, że Allan odkrył zaszłą w nim zmianę, i w obawie przed pytaniami, jakie ciekawość mogłaby mu podsunąć, Midwinter podjął wysiłek, by zatrzeć wrażenie wywołane jego zmienioną powierzchownością. Był to jeden z tych wysiłków, których nikt nie podejmuje z równą determinacją jak ludzie tak zapalczywi i o tak wrażliwej, wręcz kobiecej konstytucji jak on. Podczas gdy cały jego umysł nadal owładnięty był głęboką wiarą w to, że od czasu przygody pastora w Ogrodach Kensington fatum zrobiło jeden wielki krok w kierunku Allana i jego samego, podczas gdy jego twarz nadal zdradzała oznaki cierpienia z powodu odrodzonego przekonania, że z każdym kolejnym wydarzeniem przestroga ojca wyrażona na łożu śmierci dążyła do tego, aby za wszelką cenę rozdzielić go z jedyną istotą, którą kochał, podczas gdy serce nadal miał ściśnięte obawą, że pierwsza tajemnicza wizja ze snu Allana może się ziścić, nim minie nowy dzień, który był świadkiem dwóch Armadale'ów złączonych razem, podczas gdy te potrójne okowy ukute przez jego własną przesadność pętały go jak jeszcze nigdy dotąd, on bezpardonowo zmusił się do wysiłku dorównania Allanowi wesołością i dobrym humorem w jego obecności.

Mówił, śmiał się i jak popadło nakładał sobie jedzenie na talerz z każdego półmiska znajdującego się na stole. Robił wiele szumu, opowiadając żarty, które nie były śmieszne, i historie pozbawione puenty. Najpierw wprowadził Allana w osłupienie, potem go rozbawił, następnie zdobył łatwo ośmielone zaufanie Allana w temacie panny Milroy. Ryczał ze śmiechu z powodu nagłej ewolucji Allana na temat małżeństwa, aż służba na dole zaczęła podejrzewać, że osobliwy przyjaciel ich pana zwariował. Wreszcie chętnie, mało tego, chętniej, niż zrobiliby to najmniej nieśmiały

z żyjących ludzi, przystał na sugestię Allana, że powinien zostać przedstawiony córce majora i sam ją ocenić. I oto stali teraz obaj przed furtką prowadzącą do domku, a głos Midwintera stawał się coraz głośniejszy, aż zagłuszył Allana. Zwykły sposób bycia Midwintera skrywał się (jak szaleńczo i nieudolnie, wiedział tylko on sam!) pod maską prymitywnego zuchwalstwa – oburzającego, nieznośnego zuchwalstwa nieśmiałego człowieka.

W salonie zostali powitani przez córkę w oczekiwaniu na przybycie majora we własnej osobie.

Allan próbował przedstawić przyjaciela zgodnie z przyjętymi zasadami. Ku jego zdumieniu Midwinter impertynencko przerwał mu i sam się przedstawił panie Milroy z pewnym siebie spojrzeniem, gromkim śmiechem i nieudolnie udawaną swobodą, które ukazywały go od jak najgorszej strony. Jego sztuczna wesołość, od rana bez ustanku rosnąca, osiągnęła teraz poziom hysterii, nad którą przestał panować. Patrzył i przemawiał z ową straszną swobodą, która w przypadku każdego nieśmiałego człowieka porzucającego swoją rezerwę jest naturalną konsekwencją tego samego wysiłku, dzięki któremu wyzbył się on krępujących go zahamowań. Wyrzucał z siebie bezładną mieszankę niechcianych przeprosin i komplementów zdolnych onieśmielić nawet dzikusa. Spoglądał to na pannę Milroy, to na Allana i oświadczył żartobliwie, że teraz rozumie, dlaczego jego przyjaciel odbywał wszystkie poranne spacerunki w tym samym kierunku. Pytał dziewczynę o matkę, po czym ucinął jej odpowiedzi uwagami na temat pogody. W jednej chwili mówił, że musi jej być nieznośnie gorąco, a w następnej stwierdzał, jakoby zazdrościł jej lekkiej muślinowej sukienki.

Do pokoju wszedł major.

Zanim zdążył powiedzieć choć dwa słowa, Midwinter obezwładnił go tym samym szalem poufałości i tym samym gorączkowym słowotokiem. Wyrażał zainteresowanie stanem zdrowia pani Milroy słowami, które byłyby przesadne nawet w ustach przyjaciela rodziny. Wylał z siebie powódź przeprosin za przeszkodzenie majorowi w jego majsterkowaniu. Cytował przesadzony opis zegara, jaki usłyszał od Allana, i wyrażał własne pragnienie ujrzenia go w sposób jeszcze bardziej przesadny. Afiszował się swoją powierzchowną książkową wiedzą na temat

wielkiego zegara w Strasburgu, opowiadając nieprawdopodobne anegdoty na temat niezwykłych figur, które zegar wprawia w ruch – o procesji dwunastu apostołów, która przechodzi pod tarczą w południe, i o kogucie, który pieje, gdy ukazuje się święty Piotr, a wszystko to wobec człowieka, który przestudiował każdy trybik w złożonym mechanizmie zegara i całe lata swojego życia poświęcił wysiłkowi skopiowania go.

– Słyszałem, że prześcignął pan zegar ze Strasburga pod względem liczby apostołów – wykrzyknął tonem przyjaciela, który czuje się uprawniony, aby darować sobie wszelkie ceregiele – i umieram, wprost umieram z ciekawości, majorze, chcąc zobaczyć, jak wygląda pana wspaniały zegar!

Kiedy major Milroy wszedł do pokoju, umysł jego zajęty był jak zwykle własnymi planami konstrukcyjnymi. Jednakże nagły szok wywołany poufałością Midwintera był na tyle silny, by natychmiast przywołać go do rzeczywistości i sprawić, że na chwilę stał się znów panem domu jako człowiek światowy.

– Przepraszam, że wejdę w słowo – rzekł, na moment przerywając Midwinterowi z wyrazem spokojnego zdziwienia. – Tak się składa, że widziałem zegar w Strasburgu i wydaje mi się niemal absurdem (jeśli pan wybaczy sformułowanie) próbować w jakiegokolwiek mierze porównywać mój mały eksperyment z tym wspaniałym dokonaniem. Na całym świecie nie ma nic podobnego!

Przerwał, aby opanować rosnący entuzjazm. Strasburski zegar był dla majora Milroya tym, czym nazwisko Michała Anioła było dla sir Joshuy Reynoldsa.

– Uprzejmość pana Armadale'a sprawiła, że lekko przesadził – ciągnął major, uśmiechając się do Allana i ignorując kolejną próbę Midwintera zabrania głosu, jak gdyby w ogóle nie miała ona miejsca. – Ale jako że faktycznie istnieje jeden punkt wspólny wielkiego zegara za granicą i małego zegara w kraju, mianowicie taki, że oba pokazują, na co je stać z wybiciem godziny dwunastej, i jako że właśnie zbliża się południe, jeśli nadal chce pan zobaczyć mój warsztat, panie Midwinter, im szybciej pana tam zaprowadzę, tym lepiej.

Otworzył drzwi i z wyraźną kurtuazją przeprosił Midwintera, że wyjdzie z pokoju pierwszy.

– Co sądzisz o moim przyjacielu? – wyszeptał Allan, kiedy wychodził za nimi wraz z panną Milroy.

– Mam powiedzieć panu prawdę, panie Armadale? – wyszeptała.

– Oczywiście!

– W takim razie wcale go nie lubię!

– To najlepszy i najukochańszy człowiek na ziemi – odparł bezpośredni Allan. – Polubi go panienka bardziej, kiedy go bliżej pozna, jestem tego pewien!

Panna Milroy zrobiła lekki grymas, mający oznaczać doskonałą obojętność wobec Midwintera i kokieteryjne zdziwienie faktem, że Allan tak gorliwie bronił zalet swego kompana. „Czy on nie ma mi nic ciekawszego do powiedzenia niż to”, zastanawiała się po cichu, „po tym, jak wczoraj rano dwa razy pocałował mnie w rękę?”

Zanim Allan miał okazję poruszyć jakiś bardziej atrakcyjny temat, wszyscy znaleźli się w warsztacie majora. Na szczycie prostej drewnianej skrzyni, która bez wątpienia skrywała mechanizm, znajdował się wspaniały zegar. Tarczę zwieńczał szklany postument wsparty na rzeźbionym hebanie w kształcie skały, a na szczycie postumentu siedziała figura Czasu z nieodłączną kosą w dłoni. Pod tarczą znajdowała się mała platforma z każdej strony zakończona niewielką budką wartowniczą z zamkniętymi drzwiami. To było wszystko, co ukazywało się oczom na zewnątrz, dopóki nie nadszedł magiczny moment wybicia południa.

Brakowało około trzech minut do dwunastej i major Milroy wykorzystał okazję, by wyjaśnić, o czym będzie widowisko, zanim się ono zacznie.

Wraz z pierwszymi słowami jego umysł skoncentrował się całkowicie na jedynym zajęciu życia. Zwrócił się do Midwintera (który mówił przez całą drogę z salonu i nadal nie przestawał) bez cienia chłodnego i zjadliwego opanowania, z którym odzywał się kilka minut wcześniej. Głośny, spoufalający się człowiek, w salonie będący prostackim intruzem, stał się w warsztacie uprzywilejowanym gościem z tej prostej przyczyny, że tutaj posiadał jedną zaletę, która wynagradzała wszystkie niedostatki: działanie wspaniałego zegara było mu nieznanne.

– Gdy zegar zacznie wybijać południe, panie Midwinter – rzekł major

z entuzjazmem – proszę obserwować figurę Czasu: poruszy kosą i skieruje ją na dół, wskazując na szklany postument. Następnie za szkłem ukaże się zadrukowana karteczka wskazująca dzień miesiąca i dzień tygodnia. Z ostatnim wybiciem zegara Czas cofnie kosę do pierwotnego położenia, a dzwony wybiją kurant. Po kurancie rozlegnie się melodia (ulubiony marsz mojego dawnego pułku) i wtedy nastąpi ostatni punkt programu. Budki wartownicze, które widzi pan po obu stronach, otworzą się w tym samym momencie. W jednej z nich pańskim oczom ukaże się wartownik, a z drugiej wyjdą kapral i dwóch szeregowców, przemaszerują po platformie, aby zmienić stróża, i znikną, zostawiając nowego wartownika na stanowisku. Muszę prosić pana o wyrozumiałość dla ostatniej fazy pokazu. Mechanizm jest nieco skomplikowany i posiada usterki, których, ze wstydem przyznaję, nie udało mi się jeszcze zadowolająco naprawić. Czasami figurki w ogóle nie działają tak, jak trzeba, a czasami funkcjonują właściwie. Mam nadzieję, że pokażą się od jak najlepszej strony, kiedy pan będzie oglądał je po raz pierwszy.

Kiedy major, ustawiony blisko zegara, wypowiedział ostatnie słowa, jego mała, trzyosobowa publiczność zebrana na przeciwległym krańcu pokoju zobaczyła, jak wskazówki godzinowa i minutowa jednocześnie wskazują na tarczy dwunastą. Rozległo się pierwsze uderzenie i Czas, posłuszny sygnałowi, poruszył kosą. Dzień miesiąca i dzień tygodnia zaanonsowały się drukiem zza szklanego postumentu. Midwinter powitał ich pojawienie się hałaśliwym i przesadnym okrzykiem zdumienia, który panna Milroy wzięła za grubiański sarkazm wobec wysiłków jej ojca i który Allan (widząc, że jest urażona) próbował stonować, dotykając łokcia przyjaciela. Wraz z ostatnim wybiciem dwunastej Czas podniósł kosę, dzwony zadzwoniły, rozległ się marsz dawnego pułku majora, a wieńczącą pokaz zmianę warty zapowiedziało wstępne drżenie budek wartowniczych i nagłe zniknięcie majora za zegarem.

Występ zaczął się od otwarcia budki wartowniczej z prawej strony platformy, które nastąpiło punktualnie, zgodnie z oczekiwaniami. Jednakże drzwiczki po drugiej stronie były mniej posłuszne, pozostawały uparcie zamknięte. Nieświadomi tego problemu, kapral i dwaj wartownicy pojawili się na swoich miejscach w stanie pełnej gotowości, chwiejnie przeszli po platformie, wszyscy trzej drżąc jak osiki,

rzucili się na oślep na zamknięte drzwiczki po drugiej stronie, ale nie zdołali zrobić najmniejszego wrażenia na nieruchomym wartowniku, który przypuszczalnie znajdował się w środku. Kapral i obaj szeregowcy nagle cofnęli się, tyłem przeszli po platformie i z trzaskiem drzwiczek zamknęli się w środku swojej budki. Dokładnie w tej samej chwili drugie drzwiczki otwały się po raz pierwszy i irytujący wartownik ukazał się z najwyższym namaszczeniem na swojej pozycji, czekając na zmianę. Pozwolono mu czekać. Nic nie działo się z drugą budką, poza sporadycznym pukaniem od środka, tak jakby kapral i jego żołnierze chcieli wydostać się na zewnątrz. Spomiędzy maszynierii znów dobiegł stukot narzędzi majora, kapral i spółka, nagle odzyskawszy wolność, pojawili się pośpiesznie i jak szaleni rzucili się przez platformę. Choć byli szybcy, wartownik po drugiej stronie, dotąd powolny, przekornie okazał się być jeszcze szybszy. Niczym błyskawica wycofał się do swojej siedziby, drzwi się za nim efektownie zamknęły, kapral i szeregowcy rzucili się na nie na oślep po raz drugi, a major, wychodząc zza rogu zegara, zapytał publiczność, jak gdyby nigdy nic, „czy byliby tak dobrzy i powiedzieli mu, czy wszystko odbyło się zgodnie z planem”.

Cudowna absurdalność pokazu, podbita w finale poważnym pytaniem majora, była tak nieodparcie komiczna, że goście śmiali się do rozpuku i nawet panna Milroy przy całej swej wyrozumiałości dla wrażliwej dumy majora z zegara nie mogła powstrzymać się od udziału w wesołości wywołanej katastrofą kukiełek. Nawet jednak swawola śmiechu ma swoje granice i właśnie te granice zostały wkrótce w tak skandaliczny sposób przekroczone przez jednego z członków wąskiego grona, tak że natychmiast ucichła pozostała dwójka. Kiedy pokaz kukiełek dobiegł końca, gorączka nienaturalnego nastroju Midwintera przerodziła się w istny szal. Ataki śmiechu następowały jeden za drugim z tak niepoohamowaną gwałtownością, że panna Milroy odskoczyła od niego w popłochu i nawet cierpliwy zwykle major popatrzył na niego wzrokiem, który mówił jasno: „wyjdz!”.

Allan, choć raz w życiu kierując się właściwym impulsem, chwycił Midwintera za ramię i siłą wywlókł go do ogrodu, a potem do parku.

– Dobrze nieba! Co cię napadło? – zawołał, przystanął, a potem cofnął się od umęczonej twarzy przyjaciela i po raz pierwszy popatrzył na nią uważnie.

Na razie Midwinter nie był w stanie odpowiedzieć. Histeryczny atak przechodził z jednej skrajności w drugą. Oparł się o drzewo, szlochając i łapiąc oddech, i wyciągnął rękę w niemej prośbie, by Allan dał mu trochę czasu.

– Lepiej by było, gdybyś nie opiekował się mną, gdym cierpiał na mój rozstrój – rzekł cicho, gdy tylko odzyskał mowę. – Jestem szalony i nieszczęśliwy, Allanie, nigdy tak naprawdę nie wyzdrowiałem. Wróc i poproś ich w moim imieniu o wybaczenie, ja sam się wstydzę. Nie mogę ci powiedzieć, jak to się stało, mogę tylko prosić ciebie i ich o wybaczenie.

Szybkim ruchem odwrócił głowę, by ukryć twarz.

– Nie zatrzymuj się tu – powiedział – nie patrz na mnie. Zaraz mi przejdzie.

Allan nadal się wahał i usilnie prosił, aby przyjaciel pozwolił mu zaprowadzić się z powrotem do domu. Wszystko na nic.

– Łamiesz mi serce swoją dobrocią – wybuchnął z pasją. – Na miłość boską, zostaw mnie samego!

Allan wrócił do domku i zaczął prosić o wyrozumiałość dla Midwintera z żarliwością i prostotą, dzięki którym nieskończenie zyskał w opinii majora, ale które nie wywarły równie pozytywnego wrażenia na pannie Milroy. Choć sama sobie tego nie uświadamiała, darzyła już Allana tak ciepłym uczuciem, że była zazdrosna o jego przyjaciela.

„Co za niedorzeczność!”, myślała z irytacją. „Tak jakby podobna osoba miała dla papy lub mnie jakiegokolwiek znaczenie!”

– Będzie pan tak miły, aby wstrzymać się z osądem, prawda, majorze Milroy? – powiedział Allan, jak zwykle serdecznie, przy pożegnaniu.

– Z największą przyjemnością! – odparł major, mocno ściskając rękę Allana.

– I panienka też, panno Milroy? – dodał Allan.

Panna Milroy oddała bezlitośnie oficjalny ukłon.

– Mój osąd, panie Armadale, nie ma żadnego znaczenia.

Allan opuścił domek boleśnie ukłuty nagłym i niewytłumaczalnym dystansem panny Milroy. Jego wspaniały pomysł zjednania sobie całej okolicy poprzez ożenek uległ pewnej modyfikacji, kiedy zamknął za sobą furtkę do ogrodu. Cnota zwana

roztropnością i dziedzic Thorpe Ambrose zawarli z tej okazji po raz pierwszy osobistą znajomość; Allan, jak zwykle wiele się nie namyślając, wkraczał na drogę prowadzącą do rozwoju moralnego – postanowił nie robić niczego w pośpiechu.

Jeśli przyjąć, że cnota jest nagrodą samą w sobie, człowiek wkraczający na drogę nawrócenia powinien być zajęty dążeniem w gruncie rzeczy budującym. Jednak cnota nie zawsze jest nagrodą samą w sobie, a droga prowadząca do nawrócenia jest zadziwiająco słabo oświetlona jak na tak zacną arterię. Zdało się, że zniechęcenie przyjaciela udzieliło się również Allanowi. Idąc do domu, on również zaczął wątpić – w sposób zupełnie inny i z zupełnie innych powodów – w to, czy życie w Thorpe Ambrose było naprawdę tak obiecujące, jak to się na początku wydawało.

VII. FABUŁA GĘSTNIEJE

W domu na Allana czekały dwie wiadomości. Jedną zostawił Midwinter. Wyszedł na długi spacer i prosi, by pan Armadale się nie niepokoił, jeśli nie wróci przed wieczorem. Drugą wiadomość zostawiła „osoba z kancelarii pana Pedgifta”, która przyszła zgodnie z ustaleniem, podczas gdy obaj dżentelmeni byli u majora. „Ukłony od pana Bashwooda”, będzie ponownie do usług pana Armadale’a wieczorem.

Około piątej wrócił Midwinter, blady i milczący. Allan pośpieszył z zapewnieniem, że zawarł w jego imieniu zgodę z mieszkańcami domku, a potem, aby zmienić temat, napomknął o wiadomości od pana Bashwooda. Umysł Midwintera był tak ospały albo tak dalece zaprzątnięty czymś innym, że zdawał się nie kojarzyć tego nazwiska. Allan musiał mu przypomnieć, że Bashwood to starszy kancelista, przysłany przez pana Pedgifta, aby wprowadził go w rolę zarządcy. Wysłuchał tego bez komentarzy, po czym zamknął się w swoim pokoju, aby odpocząć do kolacji.

Pozostawiony sam sobie Allan poszedł do biblioteki sprawdzić, czy uda mu się spędzić czas na lekturze książki.

Zdjął z półek wiele tomów, kilka z nich znów odłożył i na tym skończył. Panna Milroy zdołała w jakiś tajemniczy sposób wejść między czytelnika a jego lekturę. Mimo usilnych starań Allana, by o tym zapomnieć, jej oficjalny ukłon i chłodne słowa pożegnania ciągle do niego wracały. W miarę mijania godziny bezczynności w Allanie narastało pragnienie, aby odzyskać utracone względy. Zjawić się tego dnia ponownie w domku i zapytać, czy niechcący jej nie obraził, było niemożliwością. Zadać pytanie na piśmie, ubierając je w miłe słówka, okazało się, po pierwszej

próbie, zadaniem wykraczającym poza jego umiejętności literackie. Przemierzywszy pokój tam i z powrotem z piórem w ustach, postanowił zastosować bardziej dyplomatyczny zabieg (który w tym wypadku okazał się również najłatwiejszym) i napisać do panny Milroy tak serdecznie, jak gdyby nigdy nic, i przekonać się o jej względach na podstawie odpowiedzi, którą przyśle. Jakieś zaproszenie (uwzględniające jej ojca, rzecz jasna, ale zaadresowane bezpośrednio do niej) zobowiązałyby ją do przysłania odpowiedzi na piśmie, ale tu pojawiał się problem, jakiego rodzaju ma to być zaproszenie. W związku z obecną sytuacją związaną z miejscową szlachtą bal nie wchodził w rachubę. Uroczysty obiad, przy braku nieodzownej starszej damy mogącej przyjąć pannę Milroy – prócz pani Gripper, która mogła to zrobić jedynie w kuchni – był również niemożliwy. Na co miało być zaproszenie? Allan, który nigdy, kiedy potrzebował pomocy, nie wahał się o nią prosić na prawo i lewo, a teraz czuł, że jego własne pomysły się wyczerpały, spokojnie zadzwonił na służącego i zaskoczył go pytaniem, jak poprzedni właściciele Thorpe Ambrose zabawiali się i jakie zaproszenia mieli zwyczaj wysyłać znajomym.

– Robili to, co reszta szlachty, proszę pana – odparł mężczyzna, patrząc na swego chlebobawcę w zdumieniu. – Wydawali uroczyste kolacje i bale. A w piękne letnie dni, takie jak teraz, urządzali czasami przyjęcia w ogrodzie i pikniki...

– Wystarczy – zawołał Allan. – Piknik na pewno jej się spodoba. Richardzie, jesteś nieoceniony, możesz wracać na dół.

Richard oddalił się w zdumieniu, a jego pan chwycił za pióro.

„Droga Panno Milroy!

Po naszym rozstaniu nagle przyszła mi do głowy myśl, że możemy zrobić piknik. Mała odmiana i rozrywka (powiedziałbym: ubaw na całego, gdyby nie to, że piszę do młodej damy) jest dokładnie tym, czego panienka potrzebuje po tak długim zamknięciu w pokoju pani Milroy. Piknik stanowi odmianę i (jeśli ma się dobre wino) także rozrywkę. Zapyta panienka majora, czy zgodzi się na piknik i weźmie w nim udział? A jeśli ma panienka w okolicy jakichś przyjaciół, którzy lubią pikniki, proszę ich również zaprosić, bowiem ja nie mam żadnych. To będzie panienki piknik, ale ja wszystko dostarczę i wszystkich zabiorę. Może panienka

wybrać dzień, ponadto urządzimy piknik, gdzie panienska będzie chciała. Bardzo się cieszę na ten piknik.

Zawsze szczerze oddany,

Allan Armadale”.

Czytając tekst przed zapieczętowaniem, Allan tym razem uczciwie przyznał przed sobą, że nie jest on bezbłędny.

– Słowo „piknik” pojawia się trochę za często – rzekł. – Nieważne, jeśli pomysł jej się spodoba, nie będzie na to zważać.

Natychmiast wysłał list, każąc posłańcowi czekać na odpowiedź.

Pół godziny później przyszła poczta zwrotna na perfumowanym papierze, bez śladów zmazania, ciesząca nos zapachem, a oko swoim pięknem.

Przedstawienie nagiej prawdy jest jedną z tych rzeczy, przed którymi wzdryga się wrodzona subtelność kobiecej natury. Nigdy jeszcze sytuacja nie została tak całkowicie odwrócona jak teraz przez uroczą korespondentkę Allana. Sam Machiavelli nie domyśliłby się z listu panny Milroy, jak gorzko pożałowała rozdrażnienia okazanego młodemu dziedzicowi, gdy tylko się odwrócił, i jak bardzo była uszczęśliwiona, gdy zaproszenie od niego trafiło w jej ręce. Jej list stanowił kompozycję przykładnej młodej damy, której wszystkie uczucia są trzymane pod rodzicielskim kluczem i roztropnie serwowane, gdy tego wymagają okoliczności. Słowo „papa” pojawiało się w odpowiedzi panny Milroy równie często jak „piknik” w zaproszeniu Allana. Podobnie jak pan Armadale „papa” był tak dobry, aby pragnąć dla niej małej odmiany i rozrywki i zgodził się zaniechać swojego spokojnego zajęcia, aby wziąć udział w pikniku. Za aprobatą „papy” przyjmowała zatem z przyjemnością propozycję pana Armadale’a i za namową „papy” chciałaby skorzystać z uprzejmości pana Armadale’a i zabrać na piknik dwójkę przyjaciół, którzy niedawno osiedli w Thorpe Ambrose – owdowiałą damę oraz jej syna, z których ten ostatni otrzymał święcenia kapłańskie i jest delikatnego zdrowia. Jeśli najbliższy wtorek będzie pasował panu Armadale’owi, będzie pasował również „papie” jako pierwszy wolny dzień, w którym może się oderwać od naprawy zegara. Resztę, za radą „papy”, chciałaby zostawić całkowicie w gestii pana Armadale’a,

a w międzyczasie pozostaje, z pozdrowieniami od „papy”, oddana – Eleanor Milroy.

Kto by się spodziewał, że autorka listu skakała z radości, gdy przyszło zaproszenie od Allana? Kto by pomyślał, że w jej dzienniku pod tą samą datą widniał następujący wpis: „Najsłodszy, najdroższy list od znanej mi osoby. Jak długo żyję, nigdy więcej nie zachowam się wobec niej nieuprzejmie”? Co do Allana, był zachwycony powodzeniem swego posunięcia. Panna Milroy przyjęła zaproszenie, a co za tym idzie, nie była na niego obrażona. Wzmiankę o wymianie listów miał na końcu języka, gdy siadał z przyjacielem do kolacji. Jednakże w twarzy i zachowaniu Midwintera było coś (widoczne wyraźnie nawet dla Allana), co kazało mu wstrzymać się nieco z powracaniem do drażliwego tematu ich wizyty w domku. Za obopólną zgodą obaj unikali poruszania wszystkich tematów związanych z Thorpe Ambrose, nawet odwiedzin pana Bashwooda, które miały mieć miejsce wieczorem. Przez cały obiad zagłębiali się coraz bardziej w stary, niekończący się temat statków i żeglarstwa. Kiedy kamerdyner skończył usługiwać przy stole, zszedł na dół dręczony pewnym zagadnieniem żeglarskim i spytał innych służących, czy któryś z nich znał relatywne zalety płynięcia „pod wiatr” i „z wiatrem” w przypadku szkunera i brygu.

Tego dnia dwaj młodzieńcy siedzieli przy stole dłużej niż zwykle. Kiedy wyszli do ogrodu zapalić cygara, letni zmierzch otulał trawnik i rabaty kwiatowe szarym, przyćmionym światłem i stopniowo zacieśniał wokół nich delikatnie blaknący widnokrąg. Na trawie osiadała gęsta rosa, tak że po kilku minutach w ogrodzie postanowili wrócić na suchszy teren na podjeździe od frontu domu.

Zbliżali się do zakrętu, za którym znajdowały się zarośla, gdy nagle spomiędzy listowia wynurzyła się czarna postać – cień, poruszający się niemal bezszelestnie w przygaszonym świetle wieczoru. Na jego widok Midwinter zadrżał i nawet mniej napięte nerwy jego przyjaciela sprawiły, że mimowolnie zadygotał.

– Coś ty za jeden, u diabła? – zawołał Allan.

Postać obnażyła głowę w szarym świetle i wolno podeszła o krok bliżej. Midwinter z kolei też postąpił o krok naprzód i przyjrzał się uważniej. Był to ów człowiek o płochliwych ruchach i w żałobnym ubraniu, którego na rozstaju pytał o drogę do Thorpe Ambrose.

– Coś ty za jeden? – powtórzył Allan.

– Pokornie proszę pana o wybaczenie – zająknął się nieznajomy, w zmieszaniu cofając się ponownie. – Służący powiedzieli mi, że mam znaleźć pana Armadale’a...

– Czyżby pan Bashwood?

– Tak, jeśli pan pozwoli, sir.

– Przepraszam, że zwróciłem się do pana tak szorstko – powiedział Allan – ale prawda jest taka, że mnie pan trochę przestraszył. Nazywam się Armadale (proszę, niech pan założy kapelusz), a oto mój przyjaciel, pan Midwinter, który potrzebuje pańskiej pomocy na stanowisku zarządcy.

– Właściwie nie potrzebujemy przedstawienia – odezwał się Midwinter. – Spotkałem pana Bashwooda na spacerze kilka dni temu. Był tak miły, że pokazał mi drogę, gdy się zgubiłem.

– Proszę założyć kapelusz – powtórzył Allan, widząc, że pan Bashwood, nadal z obnażoną głową, stoi, kłaniając się w milczeniu, raz jednemu z dwóch młodzieńców, a raz drugiemu. – Mój drogi panie, proszę założyć kapelusz i pozwolić, że zaprowadzę pana do domu. Proszę wybaczyć, że o tym wspominał – dodał Allan, kiedy mężczyzna ze zdenerwowania i bezradności upuścił kapelusz zamiast go założyć – ale wydaje się pan być nieco rozstrojony. Kieliszek dobrego wina nie zaszkodzi, zanim przejdzie pan z moim przyjacielem do rzeczy. Gdzie spotkałeś pana Bashwooda, Midwinter, kiedy się zgubiłeś?

– Za mało znam okolicę, żeby powiedzieć. Musisz spytać pana Bashwooda.

– Dalej, niech pan powie nam, gdzie to było – rzekł Allan, nieco zbyt gwałtownie próbując uspokoić mężczyznę, kiedy wszyscy trzej wracali do domu.

Zdawało się, że donośność głosu Allana i bezceremonialność jego prośby doprowadziła nieodłączną bojaźliwość pana Bashwooda do granic możliwości. Wpadł w ten sam nieskładny słowotok, którym zalał Midwintera podczas pierwszego spotkania.

– Było to na drodze, sir – zaczął, zwracając się na przemian do Allana, którego tytułował „sir”, i do Midwintera, którego tytułował jego własnym nazwiskiem – mam na myśli, jeśli pan pozwoli, drogę do Little Gill Beck. Dziwaczna nazwa, panie

Midwinter, i dziwaczne miejsce. Nie mam na myśli wsi, mam na myśli okolicę, mam na myśli rozlewiska rozciągające się dalej za okolicą. Może pan słyszał o rozlewiskach Norfolk, sir? To, co w innych częściach Anglii nazywają jeziorami, tutaj nazywają rozlewiskami. Rozlewiska są dosyć liczne, myślę, że warto je odwiedzić. Zobaczyłby pan pierwsze z nich, panie Midwinter, gdyby poszedł kilka mil dalej od miejsca, gdzie miałem zaszczyt pana spotkać. Niezwykle liczne rozlewiska, sir, położone pomiędzy miejscem, gdzie teraz jesteśmy, a morzem. Jakieś trzy mile od morza, panie Midwinter, jakieś trzy mile. W większości płytkie, sir, przecinane rzekami. Piękne, odludne. Dość podmokły teren, panie Midwinter, dość, że tak powiem, odosobniony. Czasami odbywają się tam wycieczki, wycieczki rekreacyjne w łódkach. To cała nieduża sieć jezior, albo – tak, może raczej – stawów. Dobre miejsce do polowań zimową porą. Dzikie ptactwo jest tam całkiem liczne. Tak, rozlewiska warto odwiedzić, panie Midwinter, następnym razem, gdy wybierze się pan na spacer w tamtą stronę. Odległość stąd do Little Gill Beck, a potem z Little Gill Beck do rozlewiska Girdler, które jest pierwszym, do którego się dochodzi, wynosi w sumie nie więcej...

Będąc zbyt zdenerwowany, by przerwać, zapewne rozprawiłby o rozlewiskach Norfolk przez resztę wieczoru, gdyby jeden z jego słuchaczy bezceremonialnie nie wszedł mu w słowo, nim zdołał przejść do następnego zdania.

– Czy stąd do rozlewisk można łatwo dojechać tam i z powrotem w ciągu jednego dnia? – spytał Allan, czując, że jeśli tak jest, ma już miejsce na piknik.

– O, tak, sir, bardzo łatwo, można odbyć miłą przejażdżkę z tego pięknego miejsca!

Zdążyli już dojść do schodów prowadzących do domu. Allan szedł na górę pierwszy, wołając Midwintera i pana Bashwooda, by udali się za nim do biblioteki, gdzie paliła się lampa.

W oczekiwaniu na podanie wina Midwinter przyglądał się swojemu przypadkowemu znajomemu z gościńca z dziwną mieszaniną współczucia i nieufności – współczucia, które mimowolnie rosło z każdą chwilą, nieufności, która nieustannie malała, choćby nie wiem jak próbował, by było odwrotnie. Przed nim, przycupnięty niewygodnie na krawędzi krzesła, siedział biedny, załamany,

nerwowy nieszczęśnik w znoszonym, czarnym ubraniu, o wilgotnych oczach, w starej peruce, nędznym moherowym halsztuku i ze sztucznymi zębami. Siedział z uprzejmym zakłopotaniem, to kuląc się w ostrym świetle lampy, to znów drżąc na dźwięk gromkiego głosu Allana – sześćdziesięciolatek o twarzy poranej zmarszczkami, a zachowujący się jak dziecko w obecności nieznajomych. Jeśli kiedyś istniał jakiś obiekt godny politowania, to z pewnością to był on!

– Czegokolwiek się pan obawia – zawołał Allan, nalewając gościowi kieliszek wina – tego nie musi się pan bać! Można wypić solidną beczkę i nie martwić się o ból głowy! Proszę się rozgościć, zostawię pana z panem Midwinterem, żebyście mogli spokojnie porozmawiać o pracy. Wszystko jest w rękach pana Midwintera: jest on moim pełnomocnikiem i załatwia sprawy według własnego uznania.

Powiedział to, starannie dobierając słowa, co było do niego bardzo niepodobne i bez żadnych dalszych wyjaśnień raptownie skierował się do drzwi. Siedzący przy nich Midwinter dostrzegł wyraz jego twarzy, gdy wychodził. Jakkolwiek łatwo było zyskać przychyłność Allana, niewątpliwie pan Bashwood w jakiś niewytłumaczalny sposób nie zdołał tego dokonać!

Dwóch dziwnie dobranych towarzyszy zostało samych. Z pozoru zdawać by się mogło, że ci dwaj są nieskończenie dalecy od jakiegokolwiek możliwości wzajemnego zrozumienia, a jednak w niewidzialny sposób przyciągały ich do siebie owe magnetyczne podobieństwa temperamentu, które przekraczają wszelkie granice wieku i pozycji społecznej oraz opierają się pozornym różnicom intelektu i charakteru. Od chwili, gdy Allan wyszedł z pokoju, ukryty wpływ zaczął z wolna przyciągać ku sobie obu mężczyzn ponad wielką przepaścią społeczną, która do tego dnia się między nimi rozciągała.

Midwinter był pierwszym, który przeszedł do tematu spotkania.

– Mogę spytać – zaczął – czy zaznajomiono pana z moją rolą w tym miejscu i czy wie pan, dlaczego potrzebuję pańskiej pomocy?

Pan Bashwood, który był nadal ostrożny i płochliwy, ale któremu wyraźnie ulżyło po wyjściu Allana, siadł nieco głębiej na krześle i ośmielił się dodać sobie odwagi łyżkiem wina.

– Tak, proszę pana – odparł. – Pan Pedgift powiedział mi o wszystkich – przynajmniej tak mi się zdaje – okolicznościach. Mam nauczyć, lub też, powinienem raczej powiedzieć, doradzić...

– Nie, panie Bashwood. Pierwsze słowo było właściwsze. Jestem całkowitym ignorantem, jeśli chodzi o obowiązki, które uprzejmość pana Armadale’a kazała mi powierzyć. O ile dobrze rozumiem, nie może być wątpliwości co do pana zdolności nauczania mnie, ponieważ swego czasu sam pan zajmował stanowisko zarządcy. Czy mogę spytać, gdzie to było?

– U sir Johna Mellowshipa, proszę pana, w zachodniej części hrabstwa. Może chciałby pan – mam je przy sobie – zobaczyć moje referencje? Sir John mógł się obejść ze mną łagodniej, ale nie skarżę się, wszystko to już przeszłość!

Jego szkliste oczy stały się jeszcze bardziej szkliste, a drżenie rąk udzieliło się i wargom, gdy wyciągnął z kieszonkowego notesu stary, wyświechtany list i położył go otwarty na stole.

Referencje były zwięzłe i chłodne w tonie, ale w miarę przekonujące. Sir John donosił, że pod względem kompetencji i uczciwości nie ma swojemu zarządcy nic do zarzucenia. Gdyby tylko sytuacja rodzinna pana Bashwooda licowała z dalszym pełnieniem obowiązków w majątku, sir John z przyjemnością by go zatrzymał. Jednak niezręczności spowodowane sytuacją osobistą pana Bashwooda powodowały, że jego dalsze pozostawanie na usługach sir Johna było niepożądane. Z tego powodu i tylko z tego on i jego chlebodawca rozstali się. Tak wyglądały referencje sir Johna na temat pana Bashwooda. Kiedy Midwinter skończył czytać, pomyślał o innym liście, nadal znajdującym się w jego posiadaniu – o referencjach, które wystawiono mu w szkole, kiedy przepędzano chorego woźnego na cztery wiatry. Jego przesądna natura (nieufna wobec wszystkich nowych wydarzeń i twarzy w Thorpe Ambrose) nadal wątpiła w siedzącego przed nim człowieka. Kiedy jednak próbował ubrać te wątpliwości w słowa, jego serce skarciło go i w milczeniu położył list na stole.

Nagła przerwa w rozmowie najwyraźniej przestraszyła pana Bashwooda. Pokrzepił się kolejnym łyżkiem wina i, nie tykając listu, zaczął niepowstrzymanie wyrzucać z siebie słowa, jak gdyby cisza była dla niego czymś nieznośnym.

– Gotów jestem odpowiedzieć na każde pytanie – zaczął. – Pan Pedgift zalecił mi

odpowiedzieć na pytania, ponieważ ubiegam się o stanowisko, które wymaga zaufania. Pan Pedgift powiedział, że zapewne ani pan, ani pan Armadale nie uznacie referencji za wystarczające same w sobie. Sir John nie wyjaśnia – mógł to ująć łagodniej, ale nie skarżę się – sir John nie wyjaśnia, jakie problemy sprawiły, że straciłem posadę. Może chciałby pan wiedzieć...

Przerwał zmieszany, spojrzął na referencje i zamilkł.

– Gdyby chodziło wyłącznie o moje interesy – odparł Midwinter – zapewniam pana, że referencje wystarczyłyby mi w zupełności. Ale ponieważ dopiero wdrażam się w nowe obowiązki, to osoba, która mnie uczy, będzie tak naprawdę zarządcą majątku mojego przyjaciela. Jestem bardzo niechętny proszeniu pana, aby mówił na temat, który może być bolesny, i niestety nie mam doświadczenia w zadawaniu podobnych pytań w sposób, w który powinny być zadane, ale może dla dobra pana Armadale’a powinienem dowiedzieć się czegoś więcej, albo od pana, albo od pana Pedgifta, jeśli pan woli...

On również przerwał zmieszany, spojrzął na referencje i zamilkł.

Znów nastąpiła chwila ciszy. Noc była ciepła, a pan Bashwood, obok innych swoich bolączek, odznaczał się nieszczęsną przypadłością polegającą na poceniu się dłoni. Wyciągnął żalosalną bawełnianą chusteczkę do nosa, zwinął ją w kulkę i zaczął nią delikatnie uderzać wzdłuż wnętrza dłoni, przekładając ją z ręki do ręki z regularnością wahadła. W wykonaniu innych ludzi, w innych okolicznościach, czynność ta mogła być groteskowa. W wykonaniu tego człowieka, w momencie przełomowym rozmowy, była straszna.

– Czas pana Pedgifta jest zbyt cenny, proszę pana, by trwonił go na mnie – rzekł.
– Powiem, co powinno być powiedziane, sam, jeśli pan pozwoli. Dotknęło mnie nieszczęście rodzinne. Trudno jest je znieść, choć wydawać by się mogło, że nie ma tu wiele do opowiedzenia. Moja żona...

– Jedna z jego dłoni zacisnęła się szybko na chusteczce, zwilżył wyschłe wargi, przemógł się i ciągnął dalej.

– Moja żona, proszę pana – podjął – trochę stanęła mi na drodze, wyrządziła mi (obawiam się, że muszę to wyznać) pewną krzywdę w związku z sir Johnem.

Wkrótce po tym, jak objąłem posadę zarządcy, nabawiła się... podjęła... popadła (sam nie wiem, jak to powiedzieć) w zwyczaj picia. Nie potrafiłem jej od tego odwieść i nie zawsze udawało mi się ukrywać to przed sir Johnem. Wybuchła i... i raz czy dwa wystawiła jego cierpliwość na próbę, gdy odwiedził mnie w biurze w sprawach służbowych. Sir John wybaczył jej to, niezbyt może uprzejmie, ale wybaczył. Nie uskarżam się na sir Johna! Nie uskarżam się teraz na moją żonę.

Wskazał drżącym palcem na okryty krepą bobrowy kapelusz na podłodze.

– Noszę żałobę po niej – rzekł cicho. – Zmarła blisko rok temu w miejscowym przytułku.

Jego usta zaczęły drgać konwulsyjnie. Podniósł kieliszek z winem i zamiast pociągnąć z niego łyk, tym razem opróżnił go do dna.

– Niezbyt jestem przyzwyczajony do picia wina – rzekł, zapewne świadomy wypieków, jakie pojawiły się na jego twarzy po wypiciu alkoholu, i nadal stosujący się do wymogów grzeczności mimo całej goryczy przywoływanych wspomnień.

– Panie Bashwood, proszę nie dręczyć się opowiadaniem mi czegokolwiek więcej – rzekł Midwinter, cofając się przed dalszą zgodą z jego strony na zwierzenia, które już i tak do bólu odsłoniły przed nim utrapienia nieszczęśnika.

– Jestem panu bardzo zobowiązany – odparł pan Bashwood. – Mam nadzieję, że nie zatrzymuję pana zbyt długo... i jeśli będzie pan łaskaw pamiętać, że pan Pedgift dał mi bardzo wyraźne wskazówki... a poza tym wspomniałem o mojej zmarłej żonie tylko dlatego, że gdyby nie wystawiła cierpliwości sir Johna na próbę, sprawy mogłyby przybrać inny obrót...

Przerwał, porzucił porwane zdanie, w które się zaplątał, i spróbował innego.

– Miałem tylko dwoje dzieci – podjął, przechodząc do nowego punktu swojej opowieści – chłopca i dziewczynkę. Dziewczynka zmarła jako niemowlę. Syn dożył wieku dorosłego i to on sprawił, że straciłem posadę. Zrobiłem dla niego, co potrafiłem. Pomogłem mu dostać się do dobrej londyńskiej kancelarii. Nie chcieli go przyjąć bez poręczyciela. Obawiam się, że okazałem się nieroztropny, ale nie miałem bogatych znajomych, którzy mogliby mi pomóc, i sam zostałem jego poręczycielem. Mój syn okazał się niegodny zaufania. On... zapewne będzie pan tak

dobry, aby zrozumieć, co mam na myśli, jeśli powiem, że zachował się nieuczciwie. Na moją prośbę jego pracodawcy zgodzili się zwolnić go bez wnoszenia sprawy do sądu. Błagałem ich usilnie – kocham mojego Jamesa – zabrałem go do domu i robiłem, co mogłem, by sprowadzić go na dobrą drogę. Nie chciał ze mną zostać. Wrócił do Londynu, on... przepraszam pana, obawiam się, że mieszam fakty. Obawiam się, że odchodzę od tematu.

– Nie, nie – zaprzeczył uprzejmie Midwinter. – Jeśli uważa pan za właściwe opowiedzieć mi tę smutną historię, proszę opowiedzieć ją tak, jak pan chce. Czy widział pan syna po tym, jak wyjechał do Londynu?

– Nie, proszę pana. O ile wiem, nadal jest w Londynie. Kiedy ostatnim razem doszły mnie słuchy o nim, zarabiał na życie... niezbyt chlubnie. Pracował jako podległy inspektora w prywatnym biurze detektywistycznym na Shadyside Place.

Słowa te – wydawałoby się (w obecnym stanie rzeczy) najmniej istotne dla omawianej sprawy, która jak dotąd mu się wymykała, w rzeczywistości zaś (jak się miało wkrótce okazać) najważniejsze ze wszystkich, które dotąd padły z jego ust – wypowiedział w roztargnieniu, oglądając się na boki w zmieszaniu i na próżno próbując odnaleźć zgubiony wątek opowieści.

Midwinter, zdjęty współczuciem, przyszedł mu z pomocą.

– Mówił pan – rzekł – że pański syn był powodem, dla którego stracił pan posiadłość. Jak to się stało?

– Już wyjaśniam – powiedział pan Bashwood, w podnieceniu wracając na właściwy tor. – Jego pracodawcy zgodzili się mu odpuścić, ale ukarali jego poręczyciela, czyli mnie. Myślę, że nie można ich winić, poręczyciel miał pokryć ich straty. Nie byłem w stanie zapłacić za wszystko z moich oszczędności, musiałem się zapożyczyć – daję słowo, proszę pana, nie było rady – musiałem się zapożyczyć. Mój wierzyciel naciskał. Wydaje się to okrutne, ale jeśli chciał odzyskać pieniądze, myślę, że było to usprawiedliwione. Ogołoco no mnie ze wszystkiego. Śmiem twierdzić, że inni dżentelmeni powiedzieliby to samo co sir John, śmiem twierdzić, że większość ludzi nie chciałaby trzymać zarządcy, który miał na głowie komorników i którego meble rozprzedawano po okolicy. Tak to się skończyło, panie Midwinter. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać, oto adres sir Johna, jeśli chce się pan

z nim skontaktować.

Midwinter wielkodusznie odmówił przyjęcia adresu.

– Uprzejmie panu dziękuję – rzekł pan Bashwood, podnosząc się z drżeniem nóg.
– Nie ma nic więcej, jak sędzę, oprócz... oprócz tego, że pan Pedgift może coś o mnie powiedzieć, jeśli chciałby pan zapytać o moje sprawowanie się na jego usługach. Jestem bardzo zobowiązany wobec pana Pedgifta. Jest czasem dla mnie nieco szorstki, ale gdyby nie przyjął mnie do swojej kancelarii, myślę, że po odejściu od sir Johna trafiłbym do przytułku, tak byłem załamany.

Podniósł z podłogi swój stary, wyświechtany kapelusz.

– Nie będę się dłużej narzucał, proszę pana. Z chęcią przyjdę jeszcze raz, jeśli chce pan mieć trochę czasu do namysłu, zanim podejmie decyzję...

– Po tym, co pan powiedział, nie potrzebuję więcej czasu do namysłu – odparł ciepło Midwinter, wracając myślami do chwil, gdy on z kolei opowiedział swoją historię panu Brockowi i czekał w zamian na ciepłe słowo, podobnie jak teraz czekał na nie człowiek stojący przed nim. – Dziś jest sobota – ciągnął. – Czy może pan przyjść i udzielić mi pierwszej lekcji w poniedziałek rano? Proszę wybaczyć – dodał, przerywając panu Bashwoodowi wylewne wyrazy zgody i zatrzymując go w pokoju – jest jeszcze jedna rzecz, którą powinniśmy ustalić, czyż nie? Nie pomówiliśmy dotąd o pańskiej korzyści, to znaczy o warunkach.

Odnosił się, nieco chaotycznie, do finansowego aspektu sprawy. Pan Bashwood (zbliżając się coraz bardziej do drzwi) odpowiedział jeszcze bardziej bezładnie.

– Cokolwiek, proszę pana, cokolwiek uzna pan za stosowne. Nie będę się dłużej narzucał. Pozostawiam to panu i panu Armadale'owi.

– Poślę po pana Armadale'a, jeśli pan chce – powiedział Midwinter, odprowadzając go do holu. – Obawiam się jednak, że ma równie małe doświadczenie w tych sprawach co ja. Może, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, możemy poradzić się pana Pedgifta?

Pan Bashwood z chęcią przystał na tę sugestię, wycofując się jednocześnie aż pod same drzwi wejściowe.

– Tak, proszę pana, o tak! Nie ma nikogo lepszego jak pan Pedgift. Niech pan,

proszę, nie niepokoi pana Armadale'a!

Jego wilgotne oczy patrzyły z wyrazem przerażenia, gdy odwrócił się na chwilę w świetle wiszącej w holu lampy, aby wyrazić tę uprzejmą prośbę. Gdyby posłanie po Allana było równoznaczne ze spuszczeniem z łańcucha wściekłego cerbera, panu Bashwoodowi nie mogłoby bardziej zależeć, aby do tego nie dopuścić.

– Uprzejmie życzę panu dobrej nocy – ciągnął, wychodząc na schody. – Jestem panu wielce zobowiązany. W poniedziałek rano będę idealnie punktualny... mam nadzieję... myślę... jestem pewien, że wkrótce nauczy się pan wszystkiego, co mogę przekazać. To nie jest trudne, o nie, wcale nie jest trudne! Uprzejmie życzę panu dobrej nocy. Piękna noc! Tak, zaiste, piękna noc, w sam raz na spacer do domu.

Wyrzucając z siebie słowa jedno za drugim i pragnąc jak najszybciej wyjść, nie zauważył wyciągniętej ręki Midwintera. Zszedł bezszelestnie po schodach i zniknął w mroku nocy.

Kiedy Midwinter odwrócił się, by wejść z powrotem do domu, drzwi od jadalni otworzyły się i do holu wszedł jego przyjaciel.

– Pan Bashwood wyszedł? – zapytał Allan.

– Wszedł – odparł Midwinter – a wcześniej opowiedział mi bardzo smutną historię i zaczęło mi być trochę wstyd, że nie ufałem mu, nie mając do tego żadnego powodu. Ustaliliśmy, że udzieli mi pierwszej lekcji zarządzania majątkiem w poniedziałek rano.

– W porządku – rzekł Allan. – Nie musisz się obawiać, stary druhu, że będę przeszkadzał ci w nauce. Może się mylę, ale nie darzę pana Bashwooda sympatią.

– Może się mylę – odparł tamten nieco kąśliwie – ale ja darzę.

Niedzielny poranek zastał Midwintera w parku, gdzie miał nadzieję zatrzymać listonosza przynoszącego wieści od pana Brocka.

O zwykłej godzinie listonosz pojawił się i oddał wyczekiwany list w ręce Midwintera. Ten otworzył go, tym razem wolny od wszelkich obaw, że może być obserwowany, i przeczytał, co następuje:

„Drogi Midwinterze!

Piszę bardziej po to, by Cię uspokoić, niż przekazać coś konkretnego. W moim

ostatnim pośpiesznym liście nie miałem czasu napisać, że starsza z dwóch kobiet, które spotkałem w ogrodach, poszła w ślad za mną i rozmawiała ze mną na ulicy. Myślę, że to, co mi powiedziała, mogę określić (nie czyniąc jej żadnej niesprawiedliwości) od początku do końca jako stek kłamstw. Tak czy owak, utwierdziła mnie w podejrzeniu, że toczą się jakieś pokrętne działania, których Allan ma być ofiarą, i że prowodyrem spisku jest owa występna kobieta, która dopomogła w małżeństwie jego matki i przyśpieszyła jej śmierć.

Z tym przekonaniem nie zawahałem się zrobić dla Allana tego, czego nie zrobiłbym dla żadnego innego stworzenia na świecie. Opuściłem hotel i wprowadziłem się (z moim starym sługą Robertem) do budynku stojącego naprzeciwko domu, do którego doszedłem, śledząc obie kobiety. Dzień i noc na zmianę prowadzimy obserwację (nie wzbudzając podejrzeń, jestem pewien, u mieszkańców z naprzeciwka). Jako dżentelmen i duchowny całym sobą wzdragam się przed zajęciem, któremu się teraz oddaję, ale nie mam wyboru. Albo muszę zadać gwałt szacunkowi dla samego siebie, albo pozostawić Allana z jego prostodusznością i w bezbronny położeniu samemu sobie w walce z nędznicą, która, głęboko w to wierzę, gotowa jest bez skrępowań wykorzystać jego słabość i młody wiek. Nigdy nie straciłem z oczu ostatniej prośby jego matki i, niech Bóg mi dopomoże, teraz poniżam się z tego powodu we własnych oczach.

Poświęcenie już zostało nagrodzone. Dziś (w sobotę) zdobyłem ogromną przewagę – nareszcie udało mi się zobaczyć twarz tej kobiety. Wyszła z domu jak zwykle z opuszczoną woalką i Robert miał ją na oku, wiedząc, że jeśli zawróci w stronę domu, nie ma śledzić jej aż pod drzwi. Faktycznie wróciła do domu i, tak jak się spodziewałem, powzięty przez nas środek ostrożności sprawił, że przestała się pilnować. Widziałem jej odkrytą twarz w oknie, a następnie na balkonie. Gdyby zaszła konieczność opisanie jej dokładnie, dostaniesz ten opis. W tym momencie powiem tylko, że wygląda na pełny wiek (trzydzieści pięć lat), na który ją określiłeś, i że w żadnym razie nie jest tak piękna, jak (sam nie wiem czemu) się spodziewałem.

To wszystko, co mogę teraz napisać. Jeśli nic nowego nie wydarzy się do poniedziałku lub wtorku, nie będę miał innego wyboru jak udać się do moich

prawników po pomoc, choć jestem jak najbardziej niechętny powierzeniu tej delikatnej i niebezpiecznej sprawy w obce ręce. Odkładając jednak na bok moje własne uczucia, interes, który sprowadził mnie do Londynu, jest zbyt ważny, bym mógł go porzucić. Bez względu na wszystko możesz być pewien, że będę informował cię o rozwoju wypadków, i wiedz, że jestem Ci szczerze oddany,

Decimus Brock”.

Midwinter schował list tam, gdzie schował poprzedni – obok opisu snu Allana w kieszonkowym notesie.

– Ile jeszcze dni? – zapytał sam siebie, wracając do domu. – Ile jeszcze dni?

Niewiele. Chwila, na którą czekał, właśnie się zbliżała.

Nadszedł poniedziałek, sprowadzając pana Bashwooda punktualnie o wyznaczonej godzinie, podczas gdy Allan pochłonięty był przygotowaniami do pikniku. Przez cały dzień odbywał rozmowy w domu i poza nim. Załatwiał sprawy z panią Gripper, kamerdynerem i stangretem w trzech podległych im resortach jedzenia, picia i powożenia. Udał się do miasteczka, aby skonsultować się ze swymi fachowymi doradcami w kwestii rozlewisk oraz zaproponować obu prawnikom – ojcu i synowi – (z braku innych osób w sąsiedztwie, które mógłby zaprosić) przyłączenie się do pikniku. Pedgift senior (w ramach swojego resortu) dostarczył ogólnych informacji, ale poprosił, aby usprawiedliwić jego nieobecność na pikniku z powodu zobowiązań zawodowych. Pedgift junior (w ramach swojego resortu) dodał wszystkie szczegóły i, nic sobie nie robiąc ze zobowiązań zawodowych, przyjął zaproszenie z największą przyjemnością. Po powrocie z kancelarii następnym krokiem Allana było udanie się do domku majora i uzyskanie akceptacji panny Milroy dla proponowanej lokalizacji pikniku. Załatwiwszy to, wrócił do własnego domu, by zmierzyć się z ostatnim problemem, jaki mu pozostał: problemem, jak przekonać Midwintera do wzięcia udziału w wyprawie nad rozlewiska.

Gdy Allan po raz pierwszy poruszył ten temat, przyjaciel był absolutnie zdecydowany, że pozostanie w domu. Naturalną niechęć Midwintera do spotykania się z majorem i jego córką po tym, co wydarzyło się w domku, zapewne można było przezwyciężyć. Jednak determinacja młodzieńca, aby nie dopuścić do przerwania

toku nauki udzielanej przez pana Bashwooda, była odporna na wszelkie próby zachwiania jej. Wyczerpawszy do cna swoje możliwości perswazji, Allan musiał zadowolić się kompromisem. Midwinter zgodził się, aczkolwiek niechętnie, dołączyć do towarzystwa pod wieczór, w miejscu wyznaczonym na podanie herbaty po cygańsku, która miała być ostatnim akcentem dnia. Na to był w stanie przystać, aby skorzystać z okazji do zaprzyjaźnienia się z Milroyami. Więcej nie chciał ustąpić, nawet pod wpływem perswazji Allana, i nie było też sensu go o to prosić.

Nadszedł dzień pikniku. Śliczny poranek i radosne zamieszanie wokół przygotowań nie zdołały skusić Midwintera do zmiany postanowienia. O zwykłej godzinie odszedł od stołu śniadaniowego, aby spotkać się z panem Bashwoodem w biurze zarządcy. Obaj zamknęli się w ciszy nad księgami na tyłach domu, podczas gdy pakowanie się na piknik miało miejsce od frontu. Młody Pedgift (niskiej postury, elegancko ubrany, w obejściu pewny siebie) przybył na krótko przed godziną wyjazdu, by zrewidować wszystkie ustalenia i ewentualnie wprowadzić ostatnie poprawki, które jego znajomość miejscowych realiów mogłaby podsunąć. On i Allan nadal zajęci byli ustaleniami, gdy pojawiła się pierwsza przeszkoda. Doniesiono, że na dole służąca z domku czeka na odpowiedź na list, który przekazano w ręce Allana.

Tym razem emocje panny Milroy najwyraźniej wzięły górę nad jej poczuciem stosowności. Ton listu był rozgorączkowany, zaś linijki gięły się koślawo to w górę, to w dół, za nic mając należące do dobrego tonu opanowanie.

„Och, Panie Armadale (pisała córka majora), co za nieszczęście! Co my teraz zrobimy? Papa dostał rano list od babci dotyczący nowej guwernantki. Osoba, która ją poleca, odpowiedziała na wszystkie pytania, a ona sama jest gotowa przyjechać w każdej chwili. Babcia uważa (czy to nie przewrotne?), że im wcześniej, tym lepiej, i pisze, że możemy się jej spodziewać – mam na myśli guwernantkę – dziś lub jutro. Papa twierdzi (w stosunku do każdego chce być tak nedorzecznie taktowny!), że nie możemy pozwolić pannie Gwilt przyjechać tu (jeśli przyjedzie dziś) i nie zastać w domu nikogo, kto by ją przyjął. Co począć? Jestem gotowa rozplakać się ze zdenerwowania. Mam jak najgorsze przecucia (choć babcia uważa ją za czarującą osobę) na temat panny Gwilt. Czy może pan coś poradzić, drogi panie Armadale?

Jestem pewna, że papa ustąpiłby, gdyby mógł. Proszę nie tracić czasu na pisanie, tylko przekazać mi odpowiedź. Mam nowy kapelusz na piknik i, och, co za udręka nie wiedzieć, czy mam go zatrzymać, czy zdjąć. Oddana panu, E. M.”.

– Niech diabeł porwie pannę Gwilt! – powiedział Allan, patrząc na swojego doradcę prawnego w stanie bezsilnej konsternacji.

– Z całego serca, proszę pana, nie chciałbym się wtrącać – rzekł Pedgift junior. – Czy mogę zapytać, co się stało?

Allan powiedział mu. Pedgift młodszy mógł mieć swoje wady, ale brak pomysowości do nich nie należał.

– Istnieje wyjście z sytuacji, panie Armadale – rzekł. – Jeśli guwernantka przyjedzie dzisiaj, zaprosimy ją na piknik.

Oczy Allana zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Wszak wszystkie konie i powozy znajdujące się w stajni Thorpe Ambrose nie są potrzebne tak małej grupce jak nasza? – ciągnął Pedgift junior. – Oczywiście, że nie! Świetnie się składa. Jeśli panna Gwilt przyjedzie dziś, nie może być wcześniej niż o piątej. Znowu świetnie się składa. Pan, panie Armadale, każe podstawić otarty powóz pod drzwi domku majora o tej godzinie, a ja dam stangretowi wskazówki, gdzie ma jechać. Kiedy guwernantka przyjedzie do domku, niech zostanie tam zgrabny liścik z przeprosinami (wraz z porcją drobiu na zimno czy jakąś inną przekąską po podróży), w którym poprosimy ją o dołączenie do naszego pikniku i oddamy do jej wyłącznej dyspozycji powóz mający ją do nas zabrać. Do licha, proszę pana – dorzucił wesoło młody Pedgift – musiałyby być naprawdę drażliwa, gdyby czuła się zlekceważona po czymś takim!

– Genialnie! – zawołał Allan. – Będzie miała okazane wszelkie względy. Dam jej bryczkę z kucykiem i białą uprząż i będzie mogła sama powozić, jeśli zechce.

Skreślił zdanie, by uspokoić pannę Milroy, i wydał polecenia dotyczące bryczki. Dziesięć minut później powozy stały przed wejściem gotowe do wycieczki.

– Teraz, gdy już zadaliśmy sobie ten cały trud ze względu na nią – powiedział Allan, wracając do tematu guwernantki, kiedy wychodzili z domu – zastanawiam się, czy zobaczymy ją na pikniku... o ile rzeczywiście przyjedzie dziś!

– To zależy tylko i wyłącznie od jej wieku, proszę pana – zauważył młody Pedgift, wydając sąd z radosną pewnością siebie, która była jego cechą wyróżniającą. – Jeżeli jest stara, będzie wykończona podróżą i poprzestanie na zimnym drobiu i domku. Jeśli zaś jest młoda, to albo nie wiem nic o kobietach, albo kucyk w białej uprzęży przywiezie ją na piknik.

Wyruszyli do domku majora.

VIII. ROZLEWISKA HRABSTWA NORFOLK

Komuś niewtajemniczonemu, kto zobaczyłby małą grupkę zgromadzoną w salonie majora Milroya w oczekiwaniu na powozy z Thorpe Ambrose, zapewne nie przyszłoby do głowy, że ma przed sobą towarzystwo wybierające się na piknik. Byli tak posepni, że mogli uchodzić za towarzystwo czekające na pogrzeb.

Nawet sama panna Milroy, choć świadoma, że wygląda wspaniale w jasnej, muślinowej sukience i ozdobionym piórami nowym kapeluszu, była w tym niefortunnym momencie panną Milroy w chmurnym nastroju. Choć liścik od Allana zapewniał ją w najmocniejszych słowach, że udało się osiągnąć cel i pogodzić przyjazd guwernantki z piknikiem, nadal pozostawała wątpliwość, czy zaproponowane rozwiązanie – cokolwiek by to było – spotka się z aprobatą ojca. Mówiąc krótko, panna Milroy nie była pewna planowanej rozrywki, dopóki nie ukaże się powóz i nie zabierze jej spod drzwi. Major z kolei, wystrojony na tę okazję w obcisły, niebieski surdut, którego nie zakładał od lat, i mający przed oczami wizję rozstania na cały dzień ze swym starym przyjacielem i towarzyszem zegarem, czuł się nie na miejscu. Co do przyjaciół, których zaproszono pod wpływem sugestii Allana – owdowiałej damy (czyli pani Pentecost) oraz jej syna (czcigodnego Samuela), będącego delikatnego zdrowia – zdawało się, że dwoje ludzi mniej zdolnych, by wnieść w ten dzień nieco wesołości, trudno byłoby znaleźć jak Anglia długa i szeroka. Młody człowiek, który odgrywa ważną rolę w społeczeństwie i słuca innych z anemicznym uśmiechem, może być intelektualnym geniuszem i wzorem cnoty, ale zapewne nie jest właściwym kompanem na piknik. Starsza dama dotknięta głuchotą, której jedynym niewyczerpanym przedmiotem zainteresowania

jest jej syn i która (na szczęście w tych rzadkich chwilach, gdy jej syn otwiera usta) pyta wszystkich wokół: „Co powiedział mój syn?“, jest osobą godną pożałowania z powodu swoich niedomagań i godną podziwu ze względu na matczyne oddanie, lecz nie kimś, jeśli da się tego uniknąć, kogo warto zabrać na piknik. Jednakże takim właśnie mężczyzną był czcigodny Samuel Pentecost i taką kobietą była matka czcigodnego Samuela i z niedostatku innych gości mieli oni tego dnia jeść, pić i cieszyć się na wycieczce pana Armadale’a pośród rozlewisk hrabstwa Norfolk.

Przybycie Allana wraz z jego wiernym wyznawcą, Pedgiftem juniorem, o krok za nim sprawiło, że nastrój wśród towarzystwa zebranego w domku ożywił się. Plan, aby umożliwić guwernantce dołączenie do pikniku, o ile przyjedzie tego dnia, zadowolił nawet majora Milroya pragnącego okazać należny szacunek damie przybywającej pod jego dach. Napisawszy z największą starannością do nowej guwernantki liścik z przeprosinami oraz zaproszeniem, panna Milroy pobiegła na górę pożegnać się z matką. Wróciła z roześmianą twarzą i rzuciła ojcu pełne ulgi spojrzenie, ogłaszając tym samym, że już nic nie zatrzymuje ich ani chwili dłużej w domku. Towarzystwo od razu skierowało kroki ku ogrodowej furtce i tam stanęło twarzą w twarz z drugim wielkim problemem tego dnia. Jak rozdzielić sześciu uczestników pikniku pomiędzy dwa otwarte powozy, które na nich czekały?

I tu znowu Pedgift junior dał popis swej nieocenionej pomysłowości. Ów doskonale obyty młodzieniec posiadał w wysokim stopniu umiejętność mniej lub bardziej właściwą wszystkim młodym ludziom naszych czasów: był zdolny doświadczać przyjemności, nie tracąc z oczu własnego interesu. Klient taki jak pan Thorpe Ambrose rzadko trafiał się jego ojcu i otaczanie Allana przez cały dzień szczególną, lecz dyskretną troską było zajęciem, o którym młody Pedgift, okazując się być duszą towarzystwa, nigdy nie zapominał od początku zabawy aż do jej końca. Rzut oka wystarczył mu, by odkryć stosunki panujące pomiędzy panną Milroy a Allanem i natychmiast zadbał o skłonności swego klienta w tej materii, proponując, ze względu na swoją znajomość okolicy, że będzie pokazywał drogę w pierwszym powozie, i pytając majora Milroya oraz wikariusza, czy zaszczyliby go swoim towarzystwem.

– Będziemy przejeżdżać obok bardzo ciekawego dla żołnierza miejsca, sir –

powiedział młody Pedgift, zwracając się do majora ze swoją pogodną i niezachwianą pewnością siebie – pozostałości rzymskiego obozowiska. A mój ojciec, który jest darczyńcą, sir – ciągnął aspirujący prawnik, odwracając się do wikariusza – chciał, bym zasięgnął pańskiej opinii w sprawie budynków nowej szkoły powszechnej w Little Gill Beck. Czy będzie pan łaskaw podzielić się nią ze mną, kiedy będziemy przejeżdżać obok?

Otworzył drzwiczki powozu i pomógł wsiąść majorowi oraz wikariuszowi, zanim któryś z nich mógł zacząć stwarzać trudności. Nastąpił nieunikniony skutek. Allan i panna Milroy pojechali razem w jednym powozie z dodatkowym udogodnieniem w postaci obecności głuchej staruszki, która miała za zadanie utrzymywać komplementy dziedzica w granicach przyzwoitości.

Allan jeszcze nigdy nie cieszył się rozmową z panną Milroy tak jak teraz na drodze prowadzącej nad rozlewiska.

Kochana staruszka, wygłosiwszy jedną czy drugą anegdotę o swoim synu, zrobiła jedyną rzecz, która była w stanie zapewnić skończone szczęście dwojgu młodym towarzyszom: na tę okoliczność zrobiła się taktownie ślepa i głucha. Kwadrans po tym, jak powóz ruszył spod domku majora, stara pocziwina, podparta na miękkich poduszkach i owiewana łagodnym letnim powietrzem, spokojnie zapadała w sen. Allan robił umizgi, a panna Milroy przyjmowała je, oboje wyniośle obojętni na patetyczny basowy akompaniament na dwie nuty wygrywany przez niepodejrzewający niczego nos matki wikariusza. Jedyny przerywnik w umizgach (chrapanie, jako rzecz z natury poważniejsza i bardziej trwała nie było w ogóle przerywane) dochodził co jakiś czas z powozu na przedzie. Pedgift junior, któremu nie wystarczało myślenie o rzymskim obozowisku majora i szkole powszechnej wikariusza, co jakiś czas wstawał z miejsca i uprzejmie nawołując do pojazdu z tyłu przenikliwym tenorem i doskonale dobierając słowa, zwracał uwagę Allana na ciekawe obiekty znajdujące się po drodze. Jedyny sposób, aby go uciszyć, polegał na tym, że trzeba było coś odpowiedzieć, co też Allan niezmiennie robił, odkrzykując: „Tak, piękne”, po czym młody Pedgift znikał znów w zakamarkach pierwszego powozu i wracał do Rzymian i uczniów w miejscu, w którym ich ostatnio zostawił.

Sceneria, przez którą przejeżdżali teraz uczestnicy pikniku, zasługiwała na dużo

większą uwagę niż ta, którą obdarzali ją Allan i jego przyjaciele.

Godzina nieprzerwanej jazdy od domku majora sprawiła, że młody Armadale i jego goście znaleźli się dalej, niż doszedł Midwinter podczas swego samotnego spaceru, i teraz zbliżali się coraz bardziej do jednego z najdziwniejszych i najpiękniejszych cudów natury, które może objawić krajobraz leżący w głębi lądu nie tylko w hrabstwie Norfolk, ale i w całej Anglii. W miarę jak powozy zbliżały się do odległej i odludnej krainy rozlewisk, otoczenie zaczęło się zmieniać. Pola pszenicy i rzepy wyraźnie zaczęły rzednąć, a płaskie pastwiska po obu stronach drogi stawały się coraz bardziej rozległe, tworząc gładki, sięgający horyzontu bezmiar. Na brzegu drogi zaczęły się pojawiać sterty suchego sitowia i trzciny, przygotowane dla koszykarza i strzecharza. Stare domostwa o dwuspadowych dachach znane z początku podróży ustąpiły miejsca chatom o glinianych ścianach. Obok wiekowych wież kościelnych oraz wiatraków i młynów wodnych, które dotąd stanowiły jedyne obiekty górujące nad bagnistą równiną, teraz wzdłuż całego horyzontu ponad linią rosochatych wierzb sunęły wolno odległe żagle niewidzialnych łodzi płynących po niewidzialnych wodach. Wszystkie osobliwe i zdumiewające anomalie właściwe rolniczemu regionowi położonemu w głębi lądu i oddzielonemu od innych regionów skomplikowaną siecią stawów i strumieni, gdzie łączność ze światem i transport płodów rolnych odbywają się drogą wodną zamiast lądową, zaczęły ukazywać się oczom podróżnych jedna za drugą, z coraz bliższej odległości. Na płotach wokół chat pojawiły się sieci, małe płaskodenne łódki robiły nieco dziwne wrażenie, odpoczywając wśród kwiatów w ogródkach, parobcy przechadzali się odziani w stroje, w których mieszały się wpływy wybrzeża i uprawnego pola: kapelusze marynarzy, wysokie buty rybaków oraz koszule oraczy i nawet położony nisko labirynt wód, spowity tajemnicą odosobnienia, był mimo wszystko ukrytym labiryntem. Jeszcze minuta i powozy skręciły raptownie z utwardzonego gościńca w porośniętą zielskiem dróżkę. Koła obracały się bezgłośnie na wilgotnym, gąbczastym podłożu. Oczom podróżnych ukazała się samotna, leżąca na uboczu chata, w której otoczeniu walały się sieci i łódki. Jeszcze kilka jardów i ostatni skrawek solidnego gruntu urwał się nagle wraz z małą zatoczką i pomostem. Jeszcze jeden skręt, dotarcie do końca pomostu i oto przed

towarzystwem ukazało się pierwsze z rozlewisk hrabstwa Norfolk – wielka tafla wody, jasna i gładka, rozciągająca się daleko po prawej i lewej stronie, tak czysta w nieskazitelnym błękitcie i tak nieruchoma w niebiańskim spokoju jak letnie niebo ponad nią.

Powozy stanęły, umizgi zostały przerwane, a czcigodna pani Pentecost, momentalnie odzyskując władzę nad zmysłami, gdy tylko otworzyła oczy, surowo utkwiała wzrok w Allanie.

– Widzę po pana twarzy, panie Armadale – rzekła starsza dama ostro – iż myśli pan, że spałam.

Poczucie winy działa różnie u obu płci. W dziewięciu przypadkach na dziesięć jest to poczucie o wiele bardziej znośne dla kobiety niż dla mężczyzny. Całe zmieszanie powstałe przy tej okazji było po stronie mężczyzny. Podczas gdy Allan zaczerwienił się i wyglądał na zawstydzonego, bystra panna Milroy w jednej chwili wybuchnęła niewinnym śmiechem i rzuciła się uściskać starszą damę.

– Kochana pani Pentecost – rzekła mała hipokrytka – on nie jest zdolny pomyśleć czegoś równie niedorzecznego jak to, że pani spała!

– Chciałabym tylko, żeby pan Armadale wiedział – ciągnęła starsza dama, nadal podejrzliwa wobec Allana – że z powodu zawrotów głowy muszę zamykać oczy, jadąc powozem. Zamknąć oczy to jedno, panie Armadale, a zasnąć to drugie. Gdzie jest mój syn?

Czcigodny Samuel pojawił się w milczeniu przy drzwiach powozu i pomógł matce wyjść („Podobała ci się przejażdżka, Sammy?”, spytała starsza dama. „Piękne widoki, mój drogi, nieprawdaż?”). Młody Pedgift, na którego z kolei spadły przygotowania do eksplorowania rozlewisk, krzątał się wkoło, wydając polecenia wioślarzowi. Major Milroy siedział spokojnie i cierpliwie na odwróconej do góry dnem płaskodennej łodzi i w ukryciu zerkał na zegarek. Czy minęło już południe? Więcej niż godzinę temu. Po raz pierwszy od wielu lat słynny zegar w domu wybił dwunastą w pustym warsztacie. Czas uniósł swą wspaniałą kosę, a kapral i jego żołnierze zmienili wartę, podczas gdy obok nie było oczu mistrza, które mogłyby podziwiać ich pokaz, ani jego ręki, która zachęcałaby ich do wysiłku. Major westchnął i włożył zegarek z powrotem do kieszonki. „Chyba jestem za stary na

takie rzeczy”, pomyślał ów pocziwy człowiek, rozglądając się wokół z rozmarzeniem. „Nie cieszy mnie to tak, jak myślałem, że będzie. Zastanawiam się, gdzie zejdziemy na wodę. Gdzie jest Neelie?”

Neelie, a właściwie panna Milroy, była skryta za powozami wraz z organizatorem pikniku. Pochłaniał ich interesujący temat ich własnych imion, zaś Allan tak był bliski oświadczenia się prosto z mostu, jak tylko może być bezmyślny dzentelmen w wieku lat niespełna dwudziestu dwóch.

– Niech mi pan powie prawdę – odezwała się panna Milroy ze wzrokiem skromnie utkwionym w ziemię. – Kiedy dowiedział się pan, jak mam na imię, nie spodobało się ono panu, prawda?

– Podoba mi się wszystko, co do panienki należy – odparł Allan ochoczo. – Myślę, że Eleanor to piękne imię, a jednak, nie wiem czemu, major wprowadził ulepszenie, zmieniając je na Neelie.

– Mogę panu powiedzieć czemu, panie Armadale – powiedziała z powagą córka majora. – Są na tym świecie pewni nieszczęśliwi ludzie, których imiona są – jak to ująć? – których imiona to pomyłki. Moje jest pomyłką. Nie mam tego za złe rodzicom, bo kiedy byłam mała, nie można było oczywiście przewidzieć, jaka będę, kiedy dorosnę. Ale teraz widać, że ja i moje imię nie pasujemy do siebie. Kiedy słyszy pan, że jakaś młoda dama ma na imię Eleanor, przychodzi panu od razu na myśl wysoka, piękna, interesująca istota; zupełne przeciwieństwo mnie! Biorąc pod uwagę mój wygląd, Eleanor brzmi groteskowo, a Neelie, jak pan zauważył, jest w sam raz. Nie, nie! Proszę nic więcej nie mówić, mam dość tego tematu. Przychodzi mi do głowy inne imię, jeśli już musimy rozmawiać o imionach, które jest dużo bardziej warte dyskusji niż moje.

Rzuciła swojemu towarzyszowi spojrzenie, które jasno mówiło: „to imię należy do ciebie”. Allan podszedł o krok bliżej i bez najmniejszej potrzeby zniżył głos do tajemniczego szeptu. Panna Milroy natychmiast powróciła do przyglądania się ziemi. Patrzyła nań z tak niezwykłym zainteresowaniem, że geolog mógłby podejrzewać ją o naukowy flirt z warstwami powierzchniowymi.

– Jakie imię ma panienka na myśli? – spytał Allan.

Panna Milroy skierowała odpowiedź, w formie uwagi, do warstw powierzchniowych, pozwalając im zrobić z nią, co chciały, w ramach ich zdolności do przewodzenia dźwięku.

– Gdybym była mężczyzną – rzekła – tak bym chciała nazywać się Allan!

Poczuła na sobie jego wzrok i, odwracając głowę, zajęła się podziwianiem mazeru na desce z tyłu powozu.

– Jakże to piękne! – wykrzyknęła, nagle interesując się szerokim zagadnieniem lakieru. – Ciekawe, jak to się robi?

Mężczyzna nastaje, a kobieta ulega. Allan nie chciał przejść od problemu robienia umizgów do problemu robienia powozów. Panna Milroy zarzuciła temat.

– Proszę mi mówić po imieniu, jeśli się ono panience tak podoba – szepnęła przekonująco. – Proszę powiedzieć do mnie „Allanie”, tylko raz, na próbę.

Zawahała się, przy czym na jej twarz wystąpił rumieniec, a na usta czarujący uśmiech i potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie mogę – odparła cicho.

– A czy ja mogę mówić do panienki Neelie? Czy to nie za wcześnie?

Znów na niego spojrzała. Jej sukienka gwałtownie poruszyła się w okolicy gorsu, a w ciemnoszarych oczach pojawił się nagły błysk czułości.

– Pan wie najlepiej – powiedziała szeptem.

Allan miał oczywistą odpowiedź na końcu języka. W tym samym momencie jednak, w którym otwierał usta, ciszę przeszył nieznośny wysoki tenor Pedgifta juniora, wzywający „pana Armadale’a”. Równocześnie po drugiej stronie powozu ukazały się krzykliwe okulary czcigodnego Samuela, który kogoś gorliwie wypatrywał, a głos matki czcigodnego Samuela (która z wielką bystrością skojarzyła fakt bliskości wody i nagłego poruszenia wśród towarzystwa) zapytał w roztargnieniu, czy ktoś utonął. Sentyment ulatuje, a miłość drży, gdy wokół robi się głośno.

– A niech to – powiedział Allan i wrócił do młodego Pedgifta.

Panna Milroy westchnęła i uciekła do ojca.

– Udało mi się, panie Armadale! – zawołał młody Pedgift, wesoło pozdrawiając

swego klienta. – Możemy wszyscy wypłynąć, mam największą łódź na rozlewiskach. Te małe skify – dodał ciszej, prowadząc towarzysza w kierunku stopni pomostu – nie dość, że są wywrotne, to nie pomieszczą oprócz wioślarza więcej niż dwóch osób, a major powiedział mi, że czuje się w obowiązku płynąć razem z córką, jeśli mielibyśmy rozdzielić się na kilka łodzi. Pomyślałem, że to nie jest dobre rozwiązanie, sir – ciągnął Pedgift junior, z naciskiem na ostatnie słowa. – A poza tym, gdybyśmy umieścili starszą damę w skifie, jej waga (lekko licząc, szesnaście kamieni⁸) mogłaby sprawić, że połowę czasu spędziłaby w wodzie obok łódki wywróconej do góry dnem, co spowodowałoby opóźnienie i włożyło nam, jak to się mówi, kij między szprychy. Oto i łódź, panie Armadale. Co pan o niej sądzi?

Łódź stanowiła kolejną z osobliwości występujących na rozlewiskach. Była to ni mniej, ni więcej, tylko stara, solidna szalupa ratunkowa, która ostatnie swoje lata spędzała na spokojnych słodkich wodach po burzliwych czasach młodości przeżytych na wzburzonym, słonym morzu. Na środku łodzi dobudowano małą kajutę używaną przez myśliwych polujących zimą na ptactwo, a na przodzie umieszczono maszt i żagiel przystosowane do żeglowania po wodach śródlądowych. Miejsca było tyle, aby swobodnie pomieścić gości, obiad i trzech członków załogi. Allan z uznaniem poklepał po ramieniu wiernego porucznika i nawet pani Pentecost, kiedy wszyscy wygodnie zasiedli już na pokładzie, zaczęła zapatrywać się na piknik z umiarkowanym, ale jednak entuzjazmem.

– Gdyby coś się miało stać – powiedziała starsza pani, zwracając się do towarzystwa w ogólności – jedno jest dla nas wszystkich pocieszające. Mój syn potrafi pływać.

Łódź wypłynęła z zatoczki na spokojne wody rozlewiska i przed obecnymi ukazało się całe piękno otoczenia.

Gdy towarzystwo znalazło się na środku jeziora, ich oczom wyraźnie ukazały się zalane słońcem niskie brzegi na północy i południu, tu i ówdzie otoczone rzędami karłowatych drzew, a tam, gdzie przestrzeń była bardziej otwarta, urozmaicone gdzieniegdzie wiatrakami oraz krytymi trzciną chatami z gliny. Na południu wielka tafla wody stopniowo zwężała się w kierunku grupki skupionych blisko siebie wysepek, które zamykały widok, natomiast na wschodzie długa, łagodnie wyginająca

się linia trzcin podążała za krzywizną rozlewiska, zasłaniając znajdujące się za nią wody. Letnie powietrze było tak przejrzyste i lekkie, że jedyną chmurę na wschodniej części nieboskłonu stanowiła smuga dymu pozostawiona przez parowiec przepływający ponad trzy mile dalej po niewidocznym morzu. Gdy uczestnicy wycieczki nie odzywali się, nie słychać było żadnego dźwięku, jedynie ciche pluśnięcia wody koło dziobu, kiedy załoga powolnymi, rozmyślnymi pchnięciami długich tyczek posuwała cicho łódź naprzód po płytkiej wodzie. Zdawało się, że świat i jego rwetes pozostały na zawsze na brzegu. Cisza była ciszą zdolną zauroczyć – cudowną harmonią łagodnej czystości nieba i jasnego spokoju jeziora.

Rozlokowane wygodnie na łodzi – major z córką po jednej stronie, wikariusz z matką po drugiej, a Allan i młody Pedgift w środku – towarzystwo sunęło gładko w kierunku grupy wysp na końcu rozlewiska. Panna Milroy była zachwycona, Allan był uszczęśliwiony, a major po raz pierwszy zapomniał o swoim zegarze. Każdy na swój sposób chłonał spokój i piękno sceny. Pani Pentecost chłoneła je jak wieszczka – z zamkniętymi oczami.

– Niech pan spojrzysz w tył, panie Armadale – wyszeptał młody Pedgift. – Wikariusz chyba zaczyna dobrze się bawić.

Rzeczywiście, w tej właśnie chwili niezwykle ożywienie, zwiastujące zapewne mającą nastąpić wypowiedź, ogarnęło wikariusza. Pokręcił głową na boki jak ptak, odchrząknął, złożył ręce i spojrzał z łagodnym zainteresowaniem na towarzystwo. W przypadku tej znakomitej osoby wpadanie w dobry nastrój niepokojąco przypominało wstępowanie na kazalnicę.

– Nawet na widok takiego spokoju – odezwał się czcigodny Samuel, delikatnie wychodząc ze swoim pierwszym wkładem w rozmowę w postaci uwagi – umysł chrześcijanina wiedziony, że tak powiem, od jednej skrajności do drugiej z mocą uzmysławia sobie niestałość wszystkich ziemskich przyjemności. Co, jeśli ten spokój nie potrwa długo? Co, jeśli zerwie się wiatr i wzburzą się wody?

– Niech się pan o to nie martwi – rzekł młody Pedgift. – Czerwiec to tutaj okres pięknej pogody, a poza tym potrafi pan pływać.

Pani Pentecost (oczarowana zapewne bliskością syna) niespodziewanie otworzyła oczy i zapytała ze zwykłą skwapliwością:

– Co mówi mój chłopiec?

Czcigodny Samuel powtórzył swoją wypowiedź z głośnością dostosowaną do niedomagania matki. Starsza dama kiwnęła głową na znak zgody i pociągnęła wątek rozpoczęty przez syna za pomocą cytatu.

– Och! – westchnęła pani Pentecost z namaszczeniem. – Powozi on wichrem, Sammy, i dowodzi burzą!

– Święte słowa! – rzekł czcigodny Samuel. – Święte i dodające otuchy słowa!

– Do licha – szepnął Allan – co zrobimy, jeśli dalej będzie ciągnął w tym tonie?

– Mówiłam ci, tato. Zabieranie ich było ryzykowne – dodała panna Milroy również szeptem.

– Moja droga! – zaprotestował major. – Nikogo innego nie znamy w okolicy, a skoro pan Armadale był uprzejmy zasugerować, żebyśmy zabrali przyjaciół, cóż było począć?

– Nie wolno nam prowokować łodzi – zauważył młody Pedgift z sardoniczną powagą. – To, niestety, szalupa ratunkowa. Czy mogę zaproponować włożenie czegoś w usta czcigodnego dżentelmena? Zbliża się trzecia. Co by pan powiedział na to, żeby zadzwonić na obiad?

Jeszcze nigdy właściwy człowiek nie był bardziej na właściwym miejscu niż Pedgift junior na pikniku. W dziesięć minut później łódź zatrzymała się w trzcinach, kosze przywiezione z Thorpe Ambrose rozpakowano na dachu kajuty, a popis elokwencji duchownego został chwilowo powstrzymany.

Jak nieocenione zasługi moralne niesie za sobą, a zatem jak chwalebna jest sama w sobie, czynność jedzenia i picia! Przymioty towarzyskie koncentrują się w żołądku. Człowiek, który po obiedzie nie staje się lepszym mężem, ojcem i bratem, jest, mówiąc skrótowo, człowiekiem nieuleczalnie podłym. Jakie ukryte wdzięki ujawniają się, jakie uspięne uprzejmości się budzą, kiedy pospolita ludzkość zbiera się razem, by wydzielać soki żołądkowe! W chwili, gdy otwarto kosze piknikowe przywiezione z Thorpe Ambrose, słodka towarzyskość (pochodząca ze szczęśliwego mariażu cywilizacji i pani Gripper) powstała pomiędzy uczestnikami rejsu i stopiła w jedno skłócone ze sobą elementy, z których dotąd składało się

towarzystwo. Teraz czcigodny Samuel Pentecost, który dotąd trzymał swoje zalety pod korcem, wreszcie udowodnił, że coś potrafi, pokazując, że potrafi jeść. Z kolei Pedgift junior zaśnił jaśniej niż kiedykolwiek przedtem darem zgryźliwego poczucia humoru i niezwykłej pomysłowości. Dziedzic i jego uroczy gość dowiedli, że istnieje wzajemne powiązanie pomiędzy szampanem, który musuje, miłością, która staje się śmielsza, i oczami, których słownik nie zna słowa „nie”. Teraz w pamięci majora powróciły dawne, radosne czasy, a stare, wesołe historie nieopowiadane od lat znów znalazły się na jego ustach. Teraz też pani Pentecost, występując z całą siłą w swej chlubnej matczynej roli, chwyciła dodatkowy widelec i jęła nieustannie wtykać to pożyteczne narzędzie między najlepsze kęski spośród wszystkich dań i kilka skrawków wolnego miejsca na talerzu czcigodnego Samuela.

– Proszę nie śmiać się z mojego syna – zawołała starsza dama, widząc wesołość, jaką wzbudziły wśród wszystkich jej zabiegi. – To moja wina. Kochane biedactwo, zmuszam go, żeby jadł!

I pomyśleć, że są na świecie ludzie, którzy widząc podobne zachowania pojawiające się przy stole jak nigdzie indziej, potrafią mimo to traktować chlubny przywilej jedzenia obiadu na równi z najdrobniejszymi codziennymi zmartwieniami, do jakich zmuszana jest ludzkość, w rodzaju zapinania kamizelki albo sznurowania gorsetu! Nie powierzaj podobnemu potworowi swoich czułych sekretów, nie dziel się z nim swoimi sympatiami i antypatiami, nadziejami i obawami. Jego serce nie zostało skorygowane przez żołądek, a przymioty towarzyskie są mu obce.

Ostatnie łagodne godziny dnia i pierwsze chłodne powiewy długiego letniego wieczoru spotkały się, zanim wszystkie naczynia poszły na bok, a wszystkie butelki opróżniły się do dna. Gdy ten punkt programu został już zaliczony, uczestnicy pikniku spojrzeli leniwie na Pedgifta juniora, aby dowiedzieć się, co mają robić dalej. Ten niespożyty funkcjonariusz był jak zwykle gotów odpowiedzieć na wszystkie oczekiwania. Nim najszybszy z towarzystwa zdołał o nią zapytać, miał już w zanadrzu gotową nową rozrywkę.

– Lubi panienka muzykę na wodzie, panno Milroy? – spytał swoim najbardziej beztróskim i miłym głosem.

Panna Milroy uwielbiała muzykę, zarówno na wodzie, jak i na lądzie – zawsze

robiąc wyjątek dla tych chwil, kiedy sama oddawała się tej sztuce, grając na fortepianie w domu.

– Najpierw wypłyniemy z trzciny – oświadczył młody Pedgift.

Wydał polecenia wioślarzom, dziarsko zanurkował w kajucie i pojawił się z koncertyną w dłoni.

– Ładne, panno Milroy, prawda? – rzekł, wskazując na inkrustację z masy perłowej w formie swoich inicjałów. – Mam na imię Augustus, tak jak mój ojciec. Niektórzy przyjaciele pomijają „A” i wołają na mnie „Gustus junior”. Śpiewam trochę do własnego akompaniamentu, panie i panowie, i jeśli zechcecie, z dumą i przyjemnością pokażę, co potrafię.

– Stop! – zawołała pani Pentecost. – Mam bzika na punkcie muzyki.

Po tym niezwykłym oświadczeniu starsza pani otworzyła przepastną skórzaną torbę, z którą nie rozstawała się w dzień i w nocy i wyciągnęła staromodną trąbkę do słuchania, coś pomiędzy trąbką z klawiszami a waltornią.

– Zazwyczaj tego nie używam – wyjaśniła pani Pentecost – bo boję się, że mogę stać się jeszcze bardziej głucha, niż jestem. Ale nie mogę odpuścić sobie muzyki. Mam bzika na punkcie muzyki. Potrzymaj drugi koniec, Sammy, a ja włożę sobie ten do ucha. Neelie, kochanie, powiedz mu, żeby zaczynał.

Młodego Pedgifta nie krępowało zdenerwowanie. Zaczął natychmiast, nie od lekkich, współczesnych piosenek, jakich można by się spodziewać po amatorze w jego wieku i z jego osobowością, ale od patriotycznej poezji śpiewanej przeszedł do śmiałej i głośniejszej muzyki, którą ubóstwiali Anglicy na początku obecnego stulecia i którą, gdy tylko na nią trafią, nadal ubóstwiają. *Śmierć Marmiona*, *Bitwa na Bałtyku*, *Zatoka Biskajska*, *Nelson* w różnych aspektach wokalnych znanych z występów świętej pamięci Brahama – oto pieśni, którymi radowali się wspólnie rycząca koncertyna i ostry tenor Gustusa juniora.

– Panie i panowie, powiedzcie, kiedy będziecie zmęczeni – rzekł prawnik-rybałt.

– Nie jestem próżny. Może coś troszkę bardziej sentymentalnego dla odmiany? Mam zakończyć *Gałęzią jemioly* i *Biedną Mary Anne*?

Uraczywszy swoich słuchaczy tymi dwiema wesołymi piosenkami, młody

Pedgift uprzejmie poprosił resztę towarzystwa, by teraz ona poszła za jego przykładem, i zaproponował, że każdorazowo zagra „na bieżąco akompaniament” bez przygotowania, o ile tylko śpiewak będzie tak miły i poda mu tonację.

– Dalej, niech ktoś spróbuje! – zawołała pani Pentecost z niecierpliwością. – Powtarzam wam, mam bzika na punkcie muzyki. Jeszcze nawet nie doszliśmy do połowy, prawda Sammy?

Czcigodny Samuel nie odpowiedział. Nieszczęśnik miał własne powody – nie w piersi, ale nieco niżej – aby zachować milczenie pośród ogólnej wesołości i powszechnego aplauzu. Ach, ludzkości! Nawet matczyna miłość nie jest wolna od omylności śmiertelnika. Czcigodny Samuel, dość już zawdzięczając swojej znakomitej matce, był wobec niej dodatkowo zobowiązany z powodu ostrej niestrawności.

Na razie jednak nikt nie dostrzegł w twarzy wikariusza oznak wewnętrznej rewolucji. Każdy zajęty był usilnym proszeniem innych, by zaśpiewali. Panna Milroy zwróciła się do fundatora uczt.

– Ależ proszę, niech pan coś zaśpiewa, panie Armadale – powiedziała. – Tak bym chciała pana usłyszeć!

– Kiedy już pan zacznie – dodał uradowany Pedgift – zobaczy pan, że potem pójdzie niesamowicie gładko. Muzyka jest sztuką, która domaga się, by zaraz na początku chwycić ją za gardło.

– Z miłą chęcią – rzekł Allan pogodnie jak zawsze. – Znam wiele piosenek, ale najgorsze jest to, że nie pamiętam słów. Ciekawe, czy będę pamiętał którąś z pieśni Moora? Moja biedna matka lubiła uczyć mnie pieśni Moora, kiedy byłem mały.

– Czyich pieśni? – spytała pani Pentecost. – Moora? A tak! Znam Toma Moora na pamięć.

– Może w takim razie będzie pani tak dobra i mi pomoże, jeśli pamięć mnie zawiedzie – odrzekł Allan. – Zaśpiewam najłatwiejszą pieśń w całym zbiorze, jeśli pani pozwoli. Każdy ją zna: to *Alkowa Eveleen*.

– Narodowe pieśni angielskie, szkockie i irlandzkie są mi, ogólnie rzecz biorąc, znane – powiedział Pedgift junior. – Będę panu akompaniował z największą

przyjemnością. Tak to jakoś szło.

Usiadł po turecku na dachu kajuty i oddał się skomplikowanej muzycznej improwizacji miłej dla ucha – mieszaninie instrumentalnych ozdobników i jęków, jiga utemperowanego przez pieśń żałobną i pieśni żałobnej ożywionej za pomocą jiga.

– Tak to szło, proszę pana – odezwał się młody Pedgift, z uśmiechem wyrażającym niezbitą pewność siebie. – Śmiało, niech pan zaczyna!

Pani Pentecost uniosła swoją trąbkę, a Allan zaśpiewał:

– Nieszczęsna chwila, każdy to powie, gdy Eveleen w jej alkwie...

Urwał, akompaniament umilkł, publiczność czekała.

– Coś niesamowitego – rzekł Allan. – Zdawało mi się, że mam następną linijkę na końcu języka, a ona mi uciekła. Zacznę od początku, jeśli pozwolicie. Nieszczęsna chwila, każdy to powie, gdy Eveleen w jej alkwie...

– Ze ślubem fałszywym nawiedził pan doliny – powiedziała pani Pentecost.

– Dziękuję pani – rzekł Allan. – Teraz pójdzie mi gładko. Nieszczęsna chwila, każdy to powie, gdy Eveleen w jej alkwie ze ślubem fałszywym nawiedził pan doliny. Księżyc świecił jasno...

– Nie! – odezwała się pani Pentecost.

– Bardzo panią przepraszam – zaprotestował Allan. – Księżyc świecił jasno...

– Księżyc nic takiego nie robił – rzekła pani Pentecost.

Pedgift junior, wyczuwając wiszącą w powietrzu sprzeczkę, nie przestawał cicho akompaniować dla dobra harmonii.

– Słowa samego Moora – powiedział Allan – pochodzące z egzemplarza pieśni należącego do mojej matki.

– Egzemplarz pana matki się mylił – odparła pani Pentecost. – Czyż nie powiedziałam przed chwilą, że znam Toma Moora na pamięć?

Rozjemcza koncertyna Pedgifta juniora nadal wydawała z siebie ozdobniki i jęki w tonacji molowej.

– A zatem, co takiego robił księżyc? – spytał zdesperowany Allan.

– To, co księżyc powinien był zrobić, proszę pana, albo Tom Moore by tego nie

napisał – odparła pani Pentecost. – „Księżyc pozbawił blasku niebo aż do brzasku i zapłakał za chmurą nad hańbą dziewczyny!” Chciałabym, aby młody człowiek przestał grać – dodała pani Pentecost, wyładowując swoją rosnącą irytację na Gustusie juniorze. – Mam już dość: drażni moje uszy.

– To dla mnie powód do dumy – rzekł niezrażony Pedgift. – Cała sztuka muzyki opiera się na drażnieniu uszu.

– Chyba zmierzamy w stronę kłótni – zauważył łagodnym głosem major Milroy.
– Czy nie byłoby lepiej, gdyby pan Armadale śpiewał dalej?

– Proszę, niech pan śpiewa, panie Armadale! – dodała córka majora. – Proszę, niech pan gra, panie Pedgift!

– Jeden z nich nie zna słów, a drugi melodii – odezwała się pani Pentecost. – Niech grają i śpiewają, jeśli umieją!

– Proszę wybaczyć, ale będę musiał panią zawieść – powiedział Pedgift junior. – Ja w każdym razie jestem gotów grać. Dalej, panie Armadale!

Allan otworzył usta, aby podjąć pieśń w miejscu, w którym przerwał. Zanim jednak zdołał wydobyć z siebie choć jeden dźwięk, wikariusz nagle wstał. Jego twarz wyglądała okropnie, a rękę kurczowo przyciskał do ciała w środkowych rejonach kamizelki.

– Co się stało? – zawołali chórem wszyscy uczestnicy wycieczki.

– Bardzo źle się czuję – rzekł czcigodny Samuel Pentecost.

Łódź w jednej chwili pogrążyła się w chaosie. *Alkowa Eveleen* zamarała na ustach Allana i nawet niespożyta koncertyna Pedgifta wreszcie zamilkła. Niepokój okazał się zupełnie zbyteczny. Syn pani Pentecost posiadał matkę, a matka ta miała torbę. W ciągu dwóch sekund puste miejsce pozostawione w uwadze towarzystwa przez sztukę muzyki zajęła sztuka medycyny.

– Wyciągnę butelki i podam ci lek – powiedziała pani Pentecost. – To jego biedny żołądek, majorze. Niech ktoś potrzyma moją trąbkę i zatrzymajcie łódź. Neelie, ty potrzymaj tę butelkę, moja droga, a pan, panie Armadale, nich potrzyma tamtą. Podacie mi je, kiedy będą potrzebne. Ach, ty moje biedactwo! Wiem, co mu dolega. Brak tu energii, majorze. Imbir na rozgrzanie, soda na poprawę równowagi,

sole trzeźwiące na podtrzymanie. Proszę, Sammy! Wypij, zanim się osadzi, a potem idź i połóż się, mój drogi, w tej psiej budzie, którą nazywają kajutą. Koniec z muzyką! – dodała pani Pentecost, grożąc palcem właścicielowi koncertyny – chyba że zagra pan hymn, wtedy nie mam nic przeciwko temu.

Jako że najwidoczniej nikt nie był w nastroju, by śpiewać hymny, wszechstronny Pedgift sięgnął do swoich zasobów znajomości lokalnych realiów i wyciągnął stamtąd nowy pomysł. Pod jego dyktando łódź natychmiast zmieniła kurs. Po kilku minutach towarzystwo znalazło się w małej zatoczce na brzegu wyspy. Po jej przeciwległej stronie znajdowała się samotna chata, a widok wokół zamykał istny las trzciny.

– Co powiecie, panie i panowie, na wyjście na ląd, aby zobaczyć z bliska, jak wygląda chata trzciniarza? – zaproponował młody Pedgift.

– Pewnie, że się zgadzamy – odparł Allan. – Nasze nastroje nieco przygasły pod wpływem choroby pana Pentecosta i torby pani Pentecost – dodał szeptem, zwracając się do panny Milroy. – Odmiana taka jak ta jest właśnie tym, czego potrzebujemy, by wrócić do siebie.

Allan i młody Pedgift pomogli pannie Milroy wysiąść z łodzi. Major podążył w ślad za nimi. Pani Pentecost siedziała nieruchomo jak egipski Sfinks, z torbą na kolanach, strzegąc „Sammy’ego” w kajucie.

– Musimy cały czas rozkręcać zabawę – powiedział Allan, pomagając majorowi pokonać burtę łodzi. – Daleko nam jeszcze do końca dzisiejszej radości.

Jego głos tak dalece sekundował szczerzej wierze we własną przepowiednię, że doszedł nawet do uszu pani Pentecost, która złowieszczo pokręciła głową.

– Och! – westchnęła matka wikariusza. – Gdybyś miał tyle lat co ja, młody dzentelmenie, nie byłbyś taki pewny dzisiejszej radości!

Tymi słowami rozważa właściwa wiekowi dojrzałemu skarciła lekkomyślność młodości. Jak świat długi i szeroki, pesymistyczna perspektywa jest notorycznie perspektywą bezpieczną, a co za tym idzie, filozofia pani Pentecost okazuje się, ogólnie rzecz biorąc, słuszna.

8 1 kamień (*stone*) = 6,35 kg (przypis tłumacza).

IX. PRZYPADEK CZY PRZEZNACZENIE?

Gdy Allan wraz z przyjaciółmi wyszli na brzeg, dochodziła szósta. Z wolna zakradał się wieczór, otaczając samotny bezmiar wód ciszą i aurą tajemnicy.

Wybrzeże w tych dzikich stronach nie przypominało wybrzeża spotykanego gdzie indziej. Na oko stały grunt znajdujący się przed chatą trzciniarza był podmokły. Podnosił się i zapadał pod naciskiem stopy, a w pozostałych wgłębieniach ukazywała się woda. Wioślarze, którzy prowadzili zwiedzających, upominali ich, aby trzymali się ścieżki, wskazując na porośnięte trawą skrawki ziemi między kępami trzin i wierzb. W miejscach tych, na które ktoś nieznający terenu mógłby wkroczyć pewną nogą, warstwa ziemi nie była na tyle twarda, by utrzymać ciężar choćby dziecka, pod nią zaś kryła się niezmierna głębina mułu i wody. Samotna chata wzniesiona z desek poczernionych smołą stała na gruncie, który został wzmocniony palami. Drewniana wieżyczka wznosząca się na krawędzi dachu służyła w sezonie łowieckim jako ambona. Z jej wysokości wzrok sięgał daleko ponad uroczyskiem pełnym wodnych meandrów i samotnych bagien. Gdyby trzciniarz stracił swoją łódź, byłby równie całkowicie odcięty od świata, jak gdyby miał za mieszkanie latarniowiec zamiast chaty. Ani on jednak, ani jego rodzina nie narzekali na samotność, nie wydawali się też z jej powodu szorstcy czy nieszczęśliwi. Żona życzliwie przyjęła gości w przytulnym pokoiku, w którego suficie widniały krokwie i którego okna przypominały okna kajuty na statku. Jej ojciec opowiadał historie z przeszłości o tym, jak nocą zapuszczali się w te strony przemytnicy znad morza, pokonywali sieć rzek, wiosłując wyciszonymi wiosłami aż do samotnych rozlewisk, by zatopić w nich beczki z alkoholem, daleko poza

zasięgiem straży przybrzeżnej. Dzieci trzciniarza, małe dzikuski, bawiły się z gośćmi w chowanego, a ci spacerowali po domku i wokół niego, przemierzali wzdłuż i wszerz skrawek stałego gruntu, na którym stał, zdziwieni i urzeczeni nowością wszystkiego, co widzieli. Jediną osobą, która zauważyła zbliżający się wieczór, jedyną, która pomyślała o upływającym czasie i Pentecostach pozostawionych w łodzi, był młody Pedgift. Ten doświadczony sternik na rozlewiskach spojrzął z ukosa na zegarek i przy pierwszej sposobności odciągnął Allana na bok.

– Nie chciałbym pana popędzać – rzekł – ale robi się późno, a musimy pamiętać o pewnej damie.

– Damie? – powtórzył Allan.

– Tak, proszę pana – odparł młody Pedgift. – Damie z Londynu, związanej (jeśli mogę przypomnieć) z bryczką i białą uprzężą.

– Wielkie nieba, guwernantka! – zawołał Allan. – Na śmierć o niej zapomnieliśmy!

– Nich się pan nie martwi, jest mnóstwo czasu, o ile tylko zaraz wsiądziemy z powrotem do łodzi. Sprawa wygląda tak, panie Armadale. Ustaliliśmy, jak pan pamięta, że zrobimy herbatę po cygańsku nad następnym rozlewiskiem: Hurle Mere, prawda?

– Oczywiście – powiedział Allan. – To nad Hurle Mere obiecał spotkać się z nami mój przyjaciel Midwinter.

– Tam też przyjedzie guwernantka, sir, jeśli tylko pański stangret będzie się kierował moimi wskazówkami – ciągnął młody Pedgift. – Mamy przed sobą prawie godzinę wiosłowania przez meandry wąskich kanałów (zwanych tutaj cieśninami) dzielących to rozlewisko od Hurle Mere i według moich obliczeń musimy za pięć minut wracać na pokład łodzi, jeśli nie chcemy spóźnić się na spotkanie z guwernantką i pańskim przyjacielem.

– Pod żadnym pozorem nie możemy rozminąć się z moim przyjacielem – powiedział Allan. – I, oczywiście, z guwernantką. Dam znać majorowi.

Major Milroy właśnie miał wspiąć się na drewnianą wieżyczkę chaty, aby

zobaczyć widok. Jak zawsze użyteczny Pedgift zaofiarował się wejść razem z nim i odklepać wszystkie konieczne wyjaśnienia w czasie dwa razy krótszym, niż zrobiłby to trzciniarz, opisując nieznanemu swoją okolicę.

Allan pozostał przed chatą, cichszy i bardziej zamyślony niż zwykle. Rozmowa z młodym Pedgiftem przypomniała mu o nieobecny przyjacielu po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia pikniku. Był zdziwiony, że Midwinter, przy innych okazjach stale zaprzatający jego myśli, teraz tak długo był w nich nieobecny. Kiedy pomyślał o wiernym przyjacielu, który pozostał w domu, by ślęczyć nad księgami rachunkowymi z jego powodu i dla jego dobra, zaczęło dręczyć go coś na kształt wyrzutów sumienia. „Stary dobry druh”, pomyślał Allan. „Tak się ucieszę, widząc go nad Hurle Mere. Radość z wycieczki nie będzie pełna, dopóki do nas nie dołączy!”

– Będę miała rację czy nie, panie Armadale, jeśli zgadnę, że właśnie pan o kimś myślał? – odezwał się za nim jakiś cichy głos.

Allan obrócił się i znalazł się obok córki majora. Panna Milroy (nie zapomniawszy o pewnej miłej rozmowie, która miała miejsce za powozem) zobaczyła, jak jej adorator stoi sam zatopiony we własnych myślach i postanowiła dać mu kolejną szansę, podczas gdy jej ojciec i młody Pedgift znajdowali się na szczycie wieżyczki.

– Wie panienka wszystko – powiedział Allan z uśmiechem. – Właśnie o kimś myślałem.

Panna Milroy posłała mu ukradkowe spojrzenie, jakby delikatnie go zachęcając. Po tym, co wydarzyło się między nimi tego ranka, w głowie pana Armadale’a mogła być tylko jedna ludzka istota! Wyrazem litości byłoby powrócić natychmiast do przerwanej przed paroma godzinami rozmowy o imionach.

– Ja też o kimś myślałam – rzekła, na poły zapraszając, na poły broniąc się przed złożeniem wyznania. – Jeśli powiem panu pierwszą literę mojego kogoś, czy zdradzi mi pan pierwszą literę swojego?

– Powiem panience, co tylko zechce – odparł Allan z największym entuzjazmem. Nadal kokieteryjnie wzbraniała się przed tematem, do którego zmierzała.

– Proszę powiedzieć mi pierwszą literę – rzekła stłumionym głosem, odwracając wzrok.

Allan zaśmiał się.

– Moja pierwsza litera to „M”.

Lekko zadrżała. Dziwne, że myśląc o niej, używał nazwiska, a nie imienia, ale nie miało to większego znaczenia, o ile tylko myślał o niej.

– A jaka jest pierwsza litera panienki? – spytał Allan.

Zarumieniła się i uśmiechnęła.

– Jeśli pan chce wiedzieć, to „A”! – odparła szeptem, jakby niechętnie.

Posłała mu jeszcze jedno spojrzenie i z ochotą wydłużyła przyjemność z oczekiwania na wyznanie.

– Ile sylab ma nazwisko? – spytała, końcem parasolki rysując nieśmiało wzory na ziemi.

Żaden mężczyzna posiadający choćby znikomą znajomość płci przeciwnej nie śpieszyłby się na miejscu Allana z wyznaniem prawdy. Allan, który o kobiecej naturze nie wiedział zgoła nic i który zwykł był w każdej sytuacji mówić prawdę, odpowiedział tak, jak gdyby był na przesłuchaniu w sądzie.

– To nazwisko ma trzy sylaby – rzekł.

Spuszczone oczy panny Milroy podniosły się z szybkością błyskawicy.

– Trzy! – powtórzyła w najwyższym osłupieniu.

Allan był zbyt prostoduszny, by nawet w tym momencie skorzystać z ostrzeżenia.

– Wiem, nie jestem zbyt dobry w gramatyce – rzekł ze swoim beztroskim uśmiechem. – Ale chyba się nie mylę, mówiąc, że nazwisko Midwinter ma trzy sylaby. Myślałem o moim przyjacielu, ale nie mówmy o moich myślach. Niech mi panienka powie, kim jest „A”... o kim panienka myślała?

– O pierwszej literze alfabetu, panie Armadale, i chciałabym pana poinformować, że o niczym więcej!

Po tej druzgoczącej odpowiedzi córka majora uniosła parasolkę i sama poszła do łodzi.

Allan stał skamieniały ze zdumienia. Gdyby panna Milroy wytargowała go za uszy (a nie da się zaprzeczyć, że skrycie miała ochotę użyć ręki w tym celu), nie mógłby być bardziej osłupiały niż teraz.

– Co też takiego zrobiłem? – pytał bezradnie sam siebie, gdy major z młodym Pedgiftem dołączyli do niego i wszyscy trzej szli nad wodę. – Ciekawe, co mi teraz powie?

Nie powiedziała zupełnie nic, nawet nie spojrzała na Allana, gdy zajął miejsce w łodzi. Siedziała z oczami i policzkami bardziej promiennymi niż zwykle, żywo interesując się postęпами w leczeniu wikariusza, nastrojem pani Pentecost, Pedgiftem juniorem (któremu ostentacyjnie zrobiła miejsce koło siebie), krajobrazem i chatą trzciniarza, wszystkimi i wszystkim oprócz Allana, którego pięć minut wcześniej z największą przyjemnością by poślubiła. „Nigdy mu nie wybaczę”, myślała córka majora. „Myśleć o tym źle wychowanym łachudrze, kiedy ja myślałam o nim, i zmusić mnie, bym to wyznała, zanim go przejrzałam! Dzięki Bogu, w łodzi jest pan Pedgift!”

W takim nastroju panna Neelie oddała się natychmiast zachwytom nad Pedgiftem i postponowaniu Allana.

– Och, panie Pedgift, jak to mądrze i uprzejmie z pana strony, że pomyślał pan o pokazaniu nam tej uroczej chaty! Samotna, panie Armadale? Wcale nie myślę, że jest samotna, ze wszystkich miejsc na świecie chciałabym mieszkać właśnie tam. Co to byłby za piknik bez pana, panie Pedgift, nawet pan nie wie, jak bardzo mi się podoba, odkąd wsiedliśmy do łodzi. Chłodno, panie Armadale? Co też pan ma na myśli, mówiąc, że jest chłodno? To najcieplejszy wieczór, jaki mieliśmy tego lata. A muzyka, panie Pedgift! Jak to miło, że zabrał pan ze sobą koncertynę. Zastanawiam się, czy mogłabym akompaniować panu na fortepianie? Tak bym chciała spróbować. Ach tak, panie Armadale, bez wątpienia też chciał pan trochę pomuzykować i ośmielę się twierdzić, że śpiewa pan bardzo dobrze, kiedy zna pan słowa. Ale, mówiąc szczerze, nigdy nie lubiłam i nigdy nie przekonam się do pieśni Moora!

I tak, z bezlitosną zręcznością panna Milroy wywijiała tym najostrzejszym kobiecym orężem zniewagi, jakim jest język. Używałaby go i dłużej, gdyby tylko

Allan okazywał konieczną zazdrość, a Pedgift dostarczał odpowiedniej zachęty. Jednak zły los sprawił, że wybrała na swoje ofiary dwóch mężczyzn zasadniczo nieczułych na ataki w obecnych warunkach. Allan za mało znał się na kobiecych subtelnościach i czułych punktach, by cokolwiek rozumieć poza tym, że urocza Neelie była na niego zła bez żadnego powodu. Ostrożny Pedgift, jak przystało na przedstawiciela rozgarniętego obecnego młodego pokolenia, ulegał kobiecemu wpływowi, ani na chwilę nie tracąc z oczu własnych interesów. Niejeden młodzieniec poprzedniego pokolenia, nie będąc głupcem, poświęcał wszystko dla miłości. W dzisiejszych czasach ani jeden na dziesięć tysięcy młodzieńców nie poświęci nawet pół pensa, chyba że jest głupcem. Córki Ewy nadal dziedziczą zalety swojej matki i popełniają te same błędy co ona. Ale synowie Adama to obecnie mężczyźni, którzy oddaliby słynne jabłko z ukłonem i słowami: „Nie, dziękuję. Mogę mieć przez to kłopoty”. Gdy Allan, zdziwiony i rozczarowany, uciekł od panny Milroy na przód łodzi, Pedgift junior wstał i poszedł za nim. „Bardzo miła z ciebie dziewczyna”, myślał ten nie w ciemną bity młody człowiek, „ale klient to klient i z przykrością muszę panience powiedzieć, że nic z tego nie będzie”. Zaraz też zabrał się za rozweselenie Allana, kierując jego uwagę ku nowemu tematowi. Tej jesieni na jednym z rozlewisk miały się odbyć regaty i opinia jego klienta jako żeglarza mogła okazać się cenna dla komisji.

– Wyścigi żeglarskie na słodkiej wodzie to, jak sądzę, dla pana coś nowego? – zapytał swoim najbardziej przymilnym tonem.

Allan, z miejsca zainteresowany, odrzekł:

– Całkiem nowego. Proszę, niech mi pan o tym opowie!

Co do reszty towarzystwa na przeciwnym końcu łodzi, było ono na dobrej drodze, by potwierdzić wątpliwość pani Pentecost co do tego, czy radość z pikniku będzie trwała do końca dnia. Jeśli chodzi o nieszczęsną Neelie, jej zrozumiała złość z racji zawodu, jaki sprawiła jej niezręczność Allana, przeszła teraz pod wpływem własnego dojmującego poczucia poniżenia i klęski w cichą i upartą urazę. Major popadł w swój zwyczajny rozmarzony, nieobecny nastrój. Jego umysł pracował na wolnych obrotach w rytm trybów zegara. Wikariusz w dalszym ciągu ukrywał przed światem swoją niestrawność w najgłębszym kącie kajuty, zaś jego matka z drugą

dawką lekarstwa w pogotowiu trzymała wartość przy drzwiach. Kobiety w wieku i pokroju pani Pentecost zwykle lubują się we własnym złym nastroju.

– Oto – westchnęła starsza dama, kiwając głową z uśmiechem pełnym złośliwej satysfakcji – co nazywacie przyjemnością, nieprawdaż? Ach, co z nas wszystkich byli za głupcy, że zostawiliśmy nasze wygodne domy!

W międzyczasie łódź gładko sunęła poprzez meandry wodnego labiryntu łączącego oba rozlewiska. Widok z obu stron ograniczał teraz niekończący się las trzciny. Nigdzie wokół, daleko czy blisko, nie dał się słyszeć żaden dźwięk, nigdzie nie było widać ani skrawka uprawnej albo zamieszkałej ziemi.

– Nieco posępna okolica, panie Armadale – zauważył jak zawsze pogodny Pedgift. – Ale już ją opuszczamy. Proszę spojrzeć przed siebie! Jesteśmy na Hurle Mere.

Trzciny po prawej i po lewej rozstały się i łódź wpłynęła niespodziewanie na szeroki krąg wody. Leżącą bliżej połowę kręgu nadal porastały niekończące się trzciny. Na krawędzi wokół drugiej połowy ponownie ukazał się ląd, miejscami pokryty opuszczonymi wydmami, a gdzie indziej górując nad rozlewiskiem pasem trawiastego wybrzeża. W jednym miejscu teren zajmował zagajnik, a w innym zabudowania wokół starego, samotnego domu z czerwonej cegły i skrawek drogi, która opasywała mur wokół ogrodu i schodziła nad wodę. Na tle bezchmurnego nieba zachodziło słońce, a tam, gdzie nie zdołały zabarwić jej refleksy, woda zaczynała robić się ciemna i zimna. Samotność, która na pierwszym rozlewisku była kojąca, i cisza, która tam, w pełni dnia, była magiczna, tutaj, w bezruchu i melancholii słońca stawały się samotnością, która przygnębiała, i ciszą, która przeszywała swoim zimnem.

Łódź skierowano przez środek jeziora do zatoczki na porośniętym trawą brzegu. W zatoczce leżały dwie małe, płaskodenne łódki charakterystyczne dla rozlewisk, a ich właściciele, zbieracze trzciny, zdziwieni przybyciem obcych, wyszli zza załomu starego muru okalającego ogród i przyglądali się im w milczeniu. Poza tym nigdzie nie widać było znaku życia. Robotnicy nie widzieli śladu bryczki ani żadnego nieznanego, mężczyzny bądź kobiety, który tego dnia zbliżyłby się do brzegów Hurle Mere.

Młody Pedgift jeszcze raz spojrział na zegarek i zwrócił się do panny Milroy:

– Kiedy wróci panienka do Thorpe Ambrose, może spotkać tam guwernantkę. Ale wszystko wskazuje na to, że tutaj jej panienka nie znajdzie. Pan wie najlepiej, panie Armadale – dodał, zwracając się do Allana – czy na pańskim przyjacielu można polegać... stawi się na umówionym miejscu?

– Jestem pewien, że można na nim polegać – odparł Allan, rozglądając się wokół z nieskrywanym rozczarowaniem z powodu nieobecności Midwintera.

– Znakomicie – ciągnął Pedgift junior. – Jeśli rozpalimy ognisko na naszą herbatę po cygańsku na otwartym terenie, pański przyjaciel trafi do nas, widząc dym. To indiański sposób na to, jak odnaleźć człowieka zagubionego na prerii, panno Milroy, a tutaj jest prawie tak dziko jak na prerii!

Istnieją pokusy, zwłaszcza te z rodzaju bardziej małodusznych, którym kobieca natura nie jest się w stanie oprzeć. Pokusa, aby użyć całego swego wpływu jako jedynej młodej damy w towarzystwie w celu natychmiastowego storpedowania planu Allana spotkania ze swoim przyjacielem, okazała się dla córki majora zbyt silna. Odwróciła się do uśmiechniętego Pedgifta ze spojrzeniem, które powinno go rozbroić. Ale czy komuś udało się kiedyś rozbroić prawnika?

– Zdaje mi się, że to najbardziej samotne, ponure, okropne miejsce, jakie widziałam w życiu! – odezwała się panna Neelie. – Jeśli koniecznie chce pan tu robić herbatę, panie Pedgift, proszę nie robić jej dla mnie. Nie! Zostaję w łodzi i chociaż umieram wprost z pragnienia, nie dotknę niczego, dopóki nie wrócimy na poprzednie rozlewisko!

Major otworzył usta, by zaprotestować. Ku niewypowiedzianej uciechu jego córki pani Pentecost wstała z miejsca, nim zdążył powiedzieć choć słowo, i zmierzwiwszy wzrokiem cały brzeg, na którym nie dostrzegła nic, co przypominałoby pojazd, spytała z oburzeniem, czy mają wracać całą drogę tam, gdzie w środku dnia zostawili powozy. Upewniwszy się, że taki faktycznie był plan i że ze względu na ukształtowanie terenu powozów nie dało się sprowadzić nad Hurle Mere, nie odsyłając ich najpierw całą drogę z powrotem do Thorpe Ambrose, pani Pentecost (mając na uwadze dobro syna) z miejsca oświadczyła, iż żadna siła nie zmusi jej do przebywania na wodzie po zapadnięciu zmroku.

– Wezwijcie dla mnie łódkę! – zawołała wielce wzburzona starsza dama. – Tam gdzie jest woda, jest i nocna mgła, a gdzie jest nocna mgła, mój syn Samuel łapie przeziębienie. Nie chcę słyszeć o waszym świetle księżycy i robieniu herbaty – wszyscy powariowaliście! Halo! Wy dwaj na brzegu! – zawołała pani Pentecost do milczących zbieraczy trzciny. – Po sześć pensów dla każdego z was, jeśli zabierzecie mnie i mojego syna z powrotem waszymi łodziami!

Zanim młody Pedgift zdołał się wtrącić, Allan tym razem sam rozwiązał problem, zachowując przy tym anielską cierpliwość i dobry nastrój.

– Nie mogę sobie wyobrazić, pani Pentecost, że wraca pani w innej łodzi niż ta, w której pani przypłynęła – rzekł. – Nie ma najmniejszego powodu (skoro pani i pannie Milroy się tu nie podoba), aby ktokolwiek oprócz mnie miał schodzić na ląd. Ja sam muszę zejść. Mój przyjaciel Midwinter jeszcze nigdy nie złamał danego mi słowa i nie mogę się zgodzić, aby opuścić Hurle Mere, dopóki istnieje szansa, że pojawi się na umówionym miejscu. Nie ma jednak najmniejszego powodu, dla którego miałbym wchodzić wam w drogę. Jest z wami major Milroy, który się wami zaopiekuje, i jeśli wyruszycie od razu, dotrzecie do powozów przed zmrokiem. Ja tymczasem zaczekam tutaj i dam mojemu przyjacielowi jeszcze pół godziny, a potem mogę popłynąć za wami w jednej z łodzi należących do zbieraczy trzciny.

– To najsensowniejsza rzecz, jaką pan dziś powiedział, panie Armadale – zauważyła pani Pentecost, na powrót sadowiąc się w wielkim pośpiechu.

– Powiedzcie im, żeby się pośpieszyli! – zawołała starsza pani, potrząsając pięścią w kierunku wioślarzy. – Powiedzcie im, żeby się pośpieszyli!

Allan wydał stosowne polecenia i zszedł na ląd. Ostrożny Pedgift (który przylgnął mocno do swojego klienta) próbował pójść za nim.

– Nie możemy zostawić tu pana samego – powiedział, gwałtownie protestując ściszym głosem. – Niech major zajmie się paniami, a ja dotrzymam panu towarzystwa nad rozlewiskiem.

– Nie, nie! – odrzekł Allan, zawracając go. – Wszyscy na łodzi mają kwaśne humory. Jeśli chce mi pan wyświadczyć przysługę, proszę pozostać tam, gdzie jest, i zrobić co w pana mocy, aby poprawić im nastrój.

Pomachał ręką, a wiosłarze odbili od brzegu. Wszyscy pozostali odmachali mu z wyjątkiem córki majora, która siedziała z boku, z twarzą ukrytą pod parasolką. Oczy Neelie zasnuły się łzami. Jej złość na Allana minęła, a skruszone serce powróciło do niego, gdy tylko wyszedł z łodzi. „Jaki on dla nas wszystkich dobry!”, pomyślała, „a jaka ze mnie niewdzięcznica!” Wszystkie szlachetne odruchy jej natury nagliły ją, aby mu zadośćuczyniła. Niepomna na konwenanse wstała i popatrzyła za nim pałającym wzrokiem i z wypiekami na twarzy, gdy stał tak samotny na brzegu.

– Niech pan niedługo wraca, panie Armadale! – powiedziała z desperackim lekceważeniem wobec tego, co pomyśla sobie o niej inni.

Łódź była już daleko od brzegu i mimo całej determinacji Neelie słowa te zostały wypowiedziane słabym głosem, który nie zdołał dotrzeć do uszu Allana. Jedynym dźwiękiem, który słyszał, gdy łódź dotarła do przeciwległego krańca jeziora i powoli skryła się w trzcinach, był odgłos koncertyny. Niestrudzony Pedgift poprawiał nastroje – najwyraźniej pod auspicjami pani Pentecost – grając pieśń kościelną.

Pozostawszy sam, Allan zapalił cygaro i przeszedł się tam i z powrotem po brzegu. „Mogła powiedzieć mi coś na pożegnanie!”, myślał. „Starałem się, jak mogłem. Praktycznie wyznałem jej, jak bardzo mi na niej zależy, a ona tak mnie traktuje!” Przystanął i spojrział z roztargnieniem na zachodzące słońce i ciemniejące szybko wody jeziora. Jakaś nieodgadniona siła drzemiąca w tej scenie zakradła się do jego umysłu i kazała mu odwrócić myśli od panny Milroy w stronę nieobecnego przyjaciela. Wzdrygnął się i rozejrzał wokół siebie.

Zbieracze trzcin wrócili do swojej kryjówki za załomem muru. Wokół nie widać było żywego ducha, z posępnego brzegu nie dochodził żaden dźwięk. Nawet Allan zmarkotniał. Minęła już prawie godzina, odkąd Midwinter obiecał stawić się nad Hurle Mere. Sam zaproponował, że dotrze pieszo do jeziora (wraz z chłopcem stajennym z Thorpe Ambrose w charakterze przewodnika) skrótem wzdłuż polnych dróg i ścieżek. Chłopiec znał dobrze okolicę, a Midwinter zawsze był punktualny. Czy coś się stało w Thorpe Ambrose? Czy po drodze zdarzył się jakiś wypadek? Allan postanowił, że nie będzie więcej zwlekał i zachodził w głowę, tylko wyruszy

w głąb łądu w nadziei na spotkanie przyjaciela po drodze. Zaraz też udał się za załom muru i poprosił jednego z robotników, aby wskazał mu ścieżkę prowadzącą do Thorpe Ambrose.

Człowiek ów wyprowadził go z dala od drogi i wskazał w kierunku ledwo widocznego odstępu między drzewami po drugiej stronie zagajnika. Zatrzymawszy się, by jeszcze raz daremnie rozejrzeć się wokół siebie, Allan odwrócił się plecami do Hurle Mere i ruszył w stronę drzew.

Przez chwilę ścieżka biegła prosto przez zagajnik. Potem gwałtownie skręciła, a woda i otwarta przestrzeń zniknęły z oczu. Allan szedł dalej trawiastą dróżką, nie widząc ani nie słysząc nic wokół, aż doszedł do kolejnego zakrętu. Skręciwszy, zobaczył niewyraźnie ludzką sylwetkę siedzącą samotnie pod jednym z drzew. Dwa kroki wystarczyły, by rozpoznał postać.

– Midwinter! – zawołał zdziwiony. – To nie tutaj się umawialiśmy. Na co tu czekasz?

Midwinter wstał, nie odpowiadając. Wieczorny mrok zalegający między drzewami skrywał mu twarz, czyniąc jego milczenie jeszcze bardziej zagadkowym. Allan nie przestawał go wypytywać.

– Sam tu przyszedłeś? – zapytał. – Myślałem, że przyprowadzi cię chłopak?

Tym razem Midwinter odpowiedział.

– Kiedy doszliśmy tutaj – rzekł – odesłałem go. Powiedział, że jestem już blisko celu i na pewno nie zabłądzę.

– Co sprawiło, że się tu zatrzymałeś? – odparł Allan. – Dlaczego nie poszedłeś dalej?

– Nie gardź mną – odrzekł tamten. – Nie miałem odwagi!

– Nie miałeś odwagi? – powtórzył Allan. Zatrzymał się na chwilę. – Ach, wiem! – podjął wesoło, kładąc rękę na ramieniu Midwintera. – Nadal unikasz Milroyów. Co za nonsens, przecież sam ci mówiłem, że zawarłem w twoim imieniu zgodę z mieszkańcami domku!

– Allanie, nie myślałem o twoich przyjaciółach w domku. Prawda jest taka, że dziś jestem jakiś nieswój. Czuję się chory i wytrącony z równowagi, byle co potrafi

mnie wystraszyć.

Urwał i cofnął się pod baczny, zaniepokojonym spojrzeniem Allana.

– Skoro koniecznie chcesz wiedzieć – wybuchnął – strach, który ogarnął mnie tamtej nocy na pokładzie wraku, znów mnie dopadł. Okropne myśli nie dają mi spokoju, okropny ciężar przytłacza mi serce. Boję się, że przytrafi nam się coś złego, jeśli nie rozstaniemy się, nim minie dzień. Nie mogę złamać danej ci obietnicy. Na Boga, zwolnij mnie z niej i pozwól mi zawrócić!

Dla każdego, kto znał Midwintera, było jasne, że protesty na nic się teraz nie zdadzą. Allan ustąpił mu.

– Wyjdź z tego ciemnego, dusznego miejsca – rzekł – i porozmawiamy. Woda i otwarte niebo są o rzut kamieniem stąd. Nie znoszę lasu wieczorem, nawet mnie cierpnie wtedy skóra. Jesteś zmęczony pracą nad księgami. Wyjdź i odetchnij pełną piersią na otwartej przestrzeni.

Midwinter zawahał się, zastanawiał przez chwilę i niespodziewanie ustąpił.

– Masz rację – powiedział – a ja się mylę, jak zwykle. Trwonię czas i martwię cię bez powodu. Co za głupota prosić cię, byś pozwolił mi zawrócić! Co by było, gdybyś się zgodził?

– No co? – zapytał Allan.

– Co? – powtórzył Midwinter. – Zanim zrobiłbym pierwszy krok, zdarzyłoby się coś, co by mnie zatrzymało, to wszystko. Chodźmy.

Szli razem w milczeniu w kierunku stawu.

Przed ostatnim zakrętem ścieżki Allanowi zgasło cygaro. Zatrzymał się, by je zapalić, podczas gdy Midwinter szedł dalej i pierwszy wyszedł na otwartą przestrzeń.

Allan właśnie zapalił zapalniczkę, gdy, ku jego zdziwieniu, przyjaciel z powrotem wyłonił się zza zakrętu. W tej części zagajnika było na tyle jasno, że wyraźniej dało się dostrzec każdy szczegół. Kiedy Midwinter stanął przed Allaniem, zapalniczka natychmiast wypadła mu z ręki.

– Dobry Boże! – wykrzyknął, cofając się. – Wyglądasz tak jak na pokładzie wraku!

Midwinter uniósł rękę, uciszając przyjaciela. Mówił z dzikim wzrokiem utkwionym w twarzy Allana i z bladymi wargami tuż przy jego uchu:

– Pamiętasz, jak wyglądałem – odpowiedział szeptem. – A pamiętasz, co powiedziałem, kiedy rozmawiałaś z doktorem na temat snu?

– Zapomniałem o tym śnie – odrzekł Allan.

Kiedy to powiedział, Midwinter wziął go za rękę i wyprowadził za ostatni zakręt ścieżki.

– Teraz sobie przypominasz? – zapytał, wskazując na rozlewisko.

Słońce zachodziło nad bezchmurnym nieboskłonem. Wody Hurle Mere leżały w dole, czerwone od gasnącego światła. Wokół rozciągała się otwarta przestrzeń, po prawej i lewej stronie pogrążając się już w złowrogim mroku. A nad bliższym brzegiem stawu, tam, gdzie wcześniej było pusto, teraz, twarzą do zachodzącego słońca, stała kobieca postać.

Dwóch Armadale'ów stało razem w milczeniu, patrząc na samotną postać i posępny widok.

Midwinter odezwał się jako pierwszy.

– Widziałeś to na własne oczy – rzekł. – Teraz spójrz na swoje własne słowa.

Wyciągnął opis snu i podsunął Allanowi pod nos. Palcem wskazywał fragment, który odnosił się do pierwszej wizji. Słabnym głosem powtórzył słowa:

„Ogarnęło mnie poczucie, że zostałem sam w ciemności.

Czekałem.

Ciemność rozstąpiła się i ukazała mi wizję, jak na obrazie, szerokiego, samotnego stawu otoczonego otwartym terenem. Nad przeciwległym brzegiem stawu zobaczyłem bezchmurne niebo, czerwone od zachodzącego słońca.

Nad bliższym brzegiem stawu stał cień kobiety”.

Urwał, pozwalając, by ręka trzymająca rękopis opadła. Drugą ręką wskazał na samotną postać, odwróconą do nich plecami, a twarzą do zachodzącego słońca.

– Tam – powiedział – w miejscu cienia stoi żywa kobieta! Pierwsza przestroga ze snu przemówiła do mnie i do ciebie! Niech przyszłość zastanie nas nadal razem, a druga postać, która pojawi się w miejscu cienia, to będę ja.

Okrutne przekonanie, z którym mówił, sprawiło, że nawet Allan nie mógł wydobyć z siebie słowa.

W ciszy, która nastąpiła, postać nad brzegiem stawu poruszyła się i zaczęła wolno się przechadzać wzdłuż brzegu. Allan wyszedł spomiędzy drzew i rozejrzał się dokoła. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, była bryczka z Thorpe Ambrose.

Pośpieszył z powrotem do Midwintera z uśmiechem ulgi.

– Co za bzdury wygadujesz! – rzekł. – I co za bzdur słucham! To wreszcie przyjechała guwernantka.

Midwinter nie odpowiedział. Allan ujął go za ramię i próbował pociągnąć za sobą. Ten uwolnił się nagle i złapał Allana obiema rękami, odciągając od postaci nad brzegiem, podobnie jak odciągał go od drzwi kajuty na pokładzie frachtowca. Wysilek znów okazał się daremny. Allan znów uwolnił się równie łatwo jak poprzednio.

– Któryś z nas musi z nią porozmawiać – rzekł. – Jeśli nie ty, to ja.

Postąpił zaledwie kilka kroków w kierunku Hurle Mere, kiedy usłyszał, albo zdawało mu się, że słyszał, jak ktoś cicho woła za nim, jeden jedyny raz, słowo „żegnaj”. Przystanął pod wpływem niemiłego zdziwienia i rozejrzał się wkoło.

– To ty, Midwinter? – zapytał.

Nikt nie odpowiedział. Po chwili wahania Allan powrócił do zagajnika. Midwintera nie było.

Obejrzał się za siebie w kierunku stawu, niepewny, co dalej robić. W międzyczasie samotna postać zdążyła zmienić kierunek marszu. Zawróciła i zbliżała się teraz do drzew. Allan musiał zostać usłyszany lub zauważony. Niemożnością było zostawić kobietę samą w tak bezradnym położeniu i w odludnym miejscu. Allan po raz drugi wyszedł spomiędzy drzew na jej spotkanie.

Kiedy zbliżył się na tyle, że mógł dostrzec jej twarz, przystanął w niepohamowanym zdumieniu. Uroda, jaką nagle go olśniła, uśmiechając się i patrząc na niego pytająco, sprawiła, że jego kończyny były jak sparaliżowane, a słowa uwięzły mu w gardle. Ogarnęła go niejasna wątpliwość, czy naprawdę ma przed sobą guwernantkę.

Przemógł się i, postępując kilka kroków naprzód, przedstawił się.

– Mogę spytać – dodał – czy mam przyjemność...?

Kobieta z ochotą i wdziękiem dokończyła za niego:

– Guwernantka majora Milroya – rzekła. – Panna Gwilt.

X. TWARZ POKOJÓWKI

W całym Thorpe Ambrose panowała cisza. Hol stał pusty, w pokojach było ciemno. Służący, którzy czekali, aż nadejdzie pora kolacji, w ogrodzie na tyłach domu, popatrzyli na czyste niebo i wschodzący księżyc i orzekli, że powrót towarzystwa z pikniku wcześniej niż późnym wieczorem jest mało prawdopodobny. Zgodnie z ogólną opinią, popartą autorytetem kucharki, przyjęto, że mogą spokojnie zasiadać do jedzenia, bez najmniejszej obawy, że przerwie im dzwonek. Doszedłszy do tego wniosku, służący zasiedli wokół stołu i dokładnie w momencie, w którym to zrobili, dzwonek zadzwonił.

Lokaj, zachodząc w głowę, poszedł na górę otworzyć drzwi i ku swemu zdziwieniu ujrzał Midwintera siedzącego samotnie na progu i wyglądającego (zdaniem lokaja) na strasznie zmarniałego. Poprosił o światło i mówiąc, że niczego więcej nie potrzebuje, natychmiast udał się do swego pokoju. Lokaj powrócił do reszty służących i oświadczył, że coś musiało się stać przyjacielowi jego pana.

Po wejściu do pokoju Midwinter zamknął drzwi i pośpiesznie spakował do torby rzeczy potrzebne do podróży. Uczyniwszy to, wyciągnął z zamykanej na klucz szuflady i umieścił w kieszonce na piersi płaszcz kilka drobnych upominków od Allana – papierośnicę, portfel i parę ćwieków z czystego złota. Zabrawszy te pamiątki, złapał torbę i położył rękę na klamce. Tam po raz pierwszy się zatrzymał. Ciąg podjętych na oślep czynności nagle się urwał, a wyraz zaciętej rozpacz w jego twarzy zaczął ustępować. Czekał z ręką na klamce.

Dotąd docierał do niego tylko jeden motyw, który go napędzał, jeden cel, który był zdecydowany osiągnąć. „Dla dobra Allana!”, powiedział do siebie, gdy obejrzał się w kierunku feralnej sceny i zobaczył, jak jego przyjaciel opuszcza go, by spotkać

się z kobietą nad stawem. „Dla dobra Allana!”, powtórzył, gdy wyszedł na odsłonięty teren za lasem i dostrzegł w dali, spowitą w szary zmierzch, długą linię nasypu i małe, migoczące światełka lamp kolejowych wzywające go na tory.

Dopiero teraz, gdy zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami, gdy jego własny pośpiech został po raz pierwszy poddany refleksji, to, co szlachetne w jego naturze, podniosło sprzeciw wobec zabobonnej rozpacz, która przynaglała go do porzucenia wszystkiego, co było mu drogie. Przekonanie, że musi koniecznie opuścić Allana dla jego dobra, ani na moment nie zostało zachwiane od czasu, gdy ujrzał, jak nad brzegiem Hurle Mere spełnia się pierwsza senna wizja. Jednak teraz po raz pierwszy jego własne serce zaczęło mu robić wyrzuty. „Idź, jeśli musisz i chcesz! Ale przypomnij sobie, jak byłeś chory, a on siedział przy twoim łóżku, jak byłeś samotny, a on otworzył przed tobą swe serce, i pisz, skoro boisz się mówić, pisz i poproś go o przebaczenie, zanim odejdziesz na zawsze!”

Wpółotwarte drzwi z powrotem cicho się zamknęły. Midwinter usiadł przy biurku i wziął do ręki pióro.

Raz, drugi i kolejny próbował napisać słowa pożegnania. Próbował, dopóki cała podłoga wokół niego nie pokryła się podartymi kartkami papieru. Gdziekolwiek by przed nimi nie uciekał, dawne czasy powracały do niego i stawały mu jak wyrzut przed oczami. Przestronna sypialnia, w której siedział, skurczyła się na przekór niemu do rozmiarów pokoiku na poddaszu gospody, w którym leżał, będąc chory. Dobra ręka, która kiedyś poklepywała go po ramieniu, znów go dotknęła, miły głos, który w przeszłości go pocieszał, nadal przemawiał dawnym, przyjacielskim tonem. Zrzucił ramiona na stół i ukrył w nich twarz w niemej rozpacz, nie roniąc łez. Słów pożegnania, których jego język nie był zdolny wymówić, pióro nie mogło napisać. Jego przesądność bezlitośnie nagliła go do wyjazdu, póki był jeszcze czas, zaś miłość do Allana równie bezlitośnie wstrzymywała go do chwili, gdy napisze swoją pożegnalną prośbę o przebaczenie i litość.

Wstał z nagłym postanowieniem i zadzwonił po służącego.

– Kiedy wróci pan Armadale – rzekł – poproś, żeby wybaczył moją nieobecność na dole, i powiedz, że próbuję zasnąć.

Zamknął drzwi na klucz, zgasił światło i usiadł sam w ciemnościach.

– Noc nas rozdzieli – powiedział – a czas pomoże mi pisać. Mogę wyjechać wcześniej rano, mogę wyjechać, gdy...

Myśl zgasła niedokończona, a udręka zmagania sprawiła, że z gardła wyrwał mu się pierwszy szloch boleści.

Czekał w ciemności.

W miarę upływu czasu jego zmysły machinalnie pozostawały w stanie czuwania, ale umysł zaczął z wolna wyłączać się pod wpływem ogromnego wysiłku, który ciążył na nim od kilku godzin. Ogarnęło go ośpienie, nie próbował zapalić światła ani wrócić do pisania. Ani przez chwilę się nie poruszył, nie podszedł nawet do otwartego okna, gdy pierwszy odgłos toczących się kół przerwał ciszę nocy. Słyszał, jak powozy zajechały pod drzwi, słyszał jak konie gryzą wędzidła, słyszał głosy Allana i młodego Pedgifta na schodach i nadal siedział cicho w ciemności, nadal dźwięki dochodzące do jego uszu z zewnątrz nie zdołały wzbudzić jego zainteresowania.

Głosy dały się słyszeć jeszcze po tym, jak odprowadzono powozy. Dwaj młodzieńcy najwyraźniej zwlekali z pożegnaniem, stojąc na schodach. Każde ich słowo docierało do Midwintera przez otwarte okno. Jedynym ich tematem była nowa guwernantka. Allan głośno ją wychwalał. Nigdy w życiu nie spędził równie rozkosznej godziny jak godzina spędzona w łódce z panną Gwilt w drodze z Hurle Mere do reszty uczestników pikniku czekających nad drugim rozlewiskiem. Zgadając się ze wszystkim, co jego klient mówił na korzyść uroczej nieznajomej, młody Pedgift zdawał się podchodzić do tematu z innej strony. Zalety panny Gwilt nie zaprzątnęły jego uwagi aż tak bardzo, aby umknęło mu wrażenie, jakie nowa guwernantka wywarła na swoim chlebodawcy i uczniu.

– Coś nie gra w rodzinie majora Milroya, proszę pana – odezwał się głos młodego Pedgifta. – Widział pan spojrzenia majora i jego córki, gdy panna Gwilt usprawiedliwiała swoje spóźnienie nad Hurle Mere? Nie pamięta pan? Pamięta pan, co powiedziała panna Gwilt?

– Coś na temat pani Milroy, czyż nie? – odparł Allan.

Głos młodego Pedgifta ściszył się tajemniczo o jeden ton.

– Panna Gwilt dotarła do domku dziś po południu, proszę pana, o godzinie, o której powiedziałem, że dotrze, i dołączyłaby do nas o godzinie, o której powiedziałem, że dołączy, gdyby nie pani Milroy. Pani Milroy posłała po nią, gdy tylko ta przekroczyła próg domu, i zatrzymała ją u siebie na górze dobre pół godziny albo i dłużej. Takie wytłumaczenie spóźnienia nad Hurle Mere podała panna Gwilt.

– No więc... co w związku z tym?

– Chyba pan zapomniał, panie Armadale, że cała okolica dowiedziała się o pani Milroy zaraz po tym, jak major się tu sprowadził. Wszystkim nam powiedziano, co potwierdził sam lekarz, że pani Milroy jest zbyt cierpiąca, aby przyjmować nieznanomych. Nie wydaje się panu trochę dziwne, że nagle polepszyło jej się na tyle, iż mogła przyjąć pannę Gwilt (pod nieobecność męża), skoro tylko panna Gwilt weszła do domu?

– Ani trochę! Oczywiście jest, że chciała poznać guwernantkę swojej córki.

– Bardzo możliwe, panie Armadale. Ale major i panna Neelie inaczej na to patrzą. Miałem na nich oboje oko, kiedy guwernantka powiedziała, że pani Milroy po nią posłała. Jeśli kiedykolwiek widziałem dziewczynę na wskroś wystraszoną, dziewczyną tą była panna Milroy i (jeśli wolno mi w największym zaufaniu oczernić walecznego żołnierza) muszę powiedzieć, że sam major był również w podobnym stanie. Niech mi pan wierzy, w naszym ładnym domku na piętrze coś jest nie tak i panna Gwilt już została w to zamieszana!

Nastąpiła minuta ciszy. Kiedy Midwinter ponownie usłyszał głosy, rozległy się one w pewnym oddaleniu od domu, Allan zapewne odprowadzał kawałek młodego Pedgifta.

Po chwili w portyku znów dał się słyszeć głos Allana, który pytał o swojego przyjaciela. Głos służącego przekazał wiadomość od Midwintera. Po tej krótkiej wymianie zdań ciszy nie zakłócało nic aż do chwili, gdy nadszedł czas zamykania domu. Kroki służących chodzących tam i z powrotem, szcęk zamykanych drzwi, szczekanie zaniepokojonego psa na dziedzińcu stajennym – dźwięki te dały Midwinterowi znać, że robi się późno. Wstał mechanicznie, aby zapalić światło. Jednak w głowie mu się kręciło, ręka mu drżała, odłożył zapałki i wrócił na krzesło. Rozmowa między Allanem a młodym Pedgiftem przestała go zajmować w chwili,

w której przestała dobiegać do jego uszu, i teraz znowu poczucie, że cenny czas ucieka, minęło, gdy tylko odgłosy krzątania, które je wzbudziły, ucichły. Był wyczerpany zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Z obojętną rezygnacją czekał na troski, które miał przynieść następny dzień.

Minął jakiś czas i ciszę ponownie zakłóciły głosy z zewnątrz. Tym razem były to głosy mężczyzny i kobiety. Kilka pierwszych słów, jakie zamienili, zdradziły, że chodzi o spotkanie z rodzaju potajemnych i że mężczyzną jest jeden ze służących w Thorpe Ambrose, a kobietą jedna ze służących w domku.

I znowu po tym, jak wymieniono słowa powitania, głównym tematem rozmowy stała się nowa guwernantka.

Służąca majora pełna była przeczuc (zrodzonych wyłącznie na podstawie urody panny Gwilt), które bez umiaru wylewała na swoje „kochanie”, bez względu na to, jak bardzo ten się starał zainteresować ją innymi sprawami. Wcześniej czy później jeszcze wspomni jej słowa, w domku nastąpi straszny krach. Może powiedziec w zaufaniu, że jej pan wie o nędznej żywocie z panią. Major to złoty człowiek, nie myśli o niczym innym jak tylko o córce oraz swoim nieśmiertelnym zegarze. Ale niech tylko zbliży się do niego ładna kobieta, pani Milroy robi się o nią zazdrosna – wprost szalona z zazdrości, jak kobieta opętana, na tym swoim nieszczęsnym łożu boleści. Nawet gdyby panna Gwilt (która bez wątplenia jest ładna, pomimo swoich ohydnych włosów) nie dołała oliwy do ognia, już wcześniej pani nie była sobą. Cokolwiek się wydarzyło, wina tym razem leżała po stronie matki majora. Starsza dama i pani dwa lata temu strasznie się pokłóciły. Starsza dama wyjechała wściekła, oświadczając synowi przy całej służbie, że gdyby miał choć odrobinę ikry, nigdy by tak nie ulegał humorom żony. Zapewne trudno posądzać matkę majora o to, że specjalnie wybrała ładną guwernantkę na złość pani majorowej. Ale można śmiało powiedziec, że starsza dama jest ostatnią osobą na świecie, która ulegałaby zazdrości pani, odmawiając zaangażowania zdolnej i cieszącej się poważaniem guwernantki dla wnuczki tylko dlatego, że guwernantka ta została obdarzona urodą. Jak się to wszystko skończy (poza tym że na pewno skończy się źle), nikt z ludzi nie jest w stanie przewidziec. Sprawy miały się już tak źle jak tylko można sobie wyobrazić. Panna Milroy płakała po dniu spędzonym na zabawie (pierwszy zły

znak), pani nikogo nie ganiła (drugi zły znak), pan życzył jej dobranoc przez zamknięte drzwi (trzeci), a guwernantka zamknęła się w swoim pokoju (co było znakiem najgorszym ze wszystkich, bo wyglądało tak, jakby nie ufała służbie). I tak wylewał się potok kobiecych plotek, docierając przez okno do uszu Midwintera, dopóki zegar na dziedzińcu stajennym nie wybił godziny i nie uciszył mówiących. Kiedy umilkły ostatnie drgania dzwonu, głosów nie było już słyszeć i wokół zaległa niezmacona niczym cisza.

Minęło trochę czasu i Midwinter zmobilizował się, aby wstać. Tym razem bez wahania zapalił światło i wziął pióro w dłoń.

Przy pierwszym podejściu poczuł taką łatwość wyrażania się, wręcz zaskakującą go, gdy pisał, która jednak skończyła się tym, że wzbudziła w nim niejasne podejrzenie wobec samego siebie. Odszedł od biurka, zmoczył twarz i głowę w wodzie i wrócił, aby przeczytać to, co napisał. Język był ledwo zrozumiały, zdania urywały się, słowa były poprzestawiane. Każda linijka wyrażała sprzeciw umęczonego umysłu wobec bezlitosnej woli, która zmusiła go do działania. Midwinter podarł kartkę tak, jak podarł wszystkie poprzednie, i dając wreszcie za wygraną, złożył utrudzoną głowę na poduszce. Niemal natychmiast ogarnęło go znużenie i nim zdążył zgasić światło, zapadł w sen.

Obudził go hałas przy drzwiach. Pokój zalany był słońcem, świeca wypaliła się w lichtarzu, a na zewnątrz czekał służący z listem, który przyszedł poranną pocztą.

– Ośmieliłem się pana niepokoić – powiedział mężczyzna, gdy Midwinter otworzył drzwi – ponieważ list oznaczono jako „pilny” i wydawało mi się, że może to być ważne.

Midwinter podziękował mu i spojrzał na list. Był on ważny – charakter pisma należał do pana Brocka.

Zatrzymał się, aby zebrać myśli. Podarte kartki papieru na podłodze w okamgnieniu przypominały mu o własnym położeniu. Ponownie zamknął drzwi na klucz w obawie, że Allan może wstać wcześniej niż zwykle i zjawić się z pytaniami. Następnie – czując dziwnie małe zainteresowanie wszystkim, co proboszcz mógł do niego napisać – otworzył list od pana Brocka i przeczytał:

„Wtorek.

Mój drogi Midwinterze!

Czasami najlepiej jest przekazać złe wieści wprost, w kilku słowach. Pozwól, że przekażę swoje od razu, w jednym zdaniu. Moje środki ostrożności zawiodły: kobieta wymknęła mi się.

Nieszczęście to, bo tak je trzeba nazwać, wydarzyło się wczoraj (w poniedziałek). Między jedenastą a dwunastą sprawa, dla której przebywałem w Londynie, zmusiła mnie, abym udał się do Doctors' Commons, zostawiając Roberta, mojego sługę, na czatach, dopóki nie wrócę. Około półtorej godziny po moim wyjściu zauważył on, jak przed drzwiami domu zajechała pusta dorożka. Najpierw ukazały się kufry i walizy, potem kobieta we własnej osobie, ubrana w suknię, w której po raz pierwszy ją zobaczyłem. Robert, który wcześniej już wystarał się o dorożkę, śledził kobietę aż do Dworca Północno-Zachodniego, widział, jak przechodzi obok kas, miał ją na oku, dopóki nie weszła na peron, i tam, wśród tłumu i zamętu spowodowanego odjazdem dużego pociągu mieszanego, zgubił ją. Muszę mu przyznać, że w tej trudnej sytuacji od razu postąpił właściwie. Zamiast marnować czas na szukanie jej na peronie zaczął obserwować wagony i zapewnia, że nie dostrzegł jej w żadnym z nich. Przyznaje równocześnie, że jego poszukiwania (przeprowadzone pomiędzy godziną drugą, kiedy to stracił ją z oczu, a drugą dziesięć, kiedy odjeżdżał pociąg) były w ogólnym zamęcie z konieczności niedoskonałe. Wydaje mi się jednak, że ta druga okoliczność nie ma wielkiego znaczenia. Jestem równie silnie przekonany o tym, że kobieta nie odjechała tym pociągiem, jak gdybym własnoręcznie przetrząsnął każdy wagon, i nie wątpię, że się ze mną zgodzisz.

Wiesz, jak doszło do katastrofy. Nie traćmy czasu i słów na lamentowanie. Nieszczęście się stało i teraz musimy wspólnie znaleźć sposób, aby je naprawić.

To, co udało mi się już zrobić, można streścić w dwóch słowach. Jeśli wcześniej miałem jakieś opory przed powierzaniem tej delikatnej sprawy w ręce nieznanym, pozbyłem się ich w momencie, gdy Robert powiedział mi, co się stało. Natychmiast wróciłem do miasta i w zaufaniu przedstawiłem sprawę prawnikom. Nasza narada trwała długo i kiedy wyszedłem z kancelarii, było już po

godzinie odjazdu poczty, inaczej napisałbym do ciebie w poniedziałek zamiast dzisiaj. Moja rozmowa z prawnikami nie była zbyt zachęcająca. Mówią wprost, że ogromnie trudno będzie odnaleźć zgubiony ślad. Ale obiecali, że zrobią, co w ich mocy, i ustaliliśmy sposób działania, z wyjątkiem jednego punktu, w którym całkowicie się różnimy. Muszę powiedzieć ci o tej różnicy, ponieważ tak długo, jak moje sprawy nie pozwalają mi pojechać do Thorpe Ambrose, jesteś jedyną osobą, której mogę zaufać, że sprawdzi, czy moje przekonania są słuszne.

Prawnicy są zdania, że kobieta od początku wiedziała, iż jest śledzona i że w związku z tym nie ma na razie obawy, aby śpieszyła się z pojawieniem się w Thorpe Ambrose we własnej osobie. Uważają dalej, że jeśli planuje jakiś podstęp, posłuży się w pierwszej kolejności kimś innym i że jedynym sensownym rozwiązaniem jest czekać bezczynnie na rozwój wypadków. Moje zdanie w tej sprawie jest diametralnie różne. Po tym, co się stało na dworcu, nie przeczę, że kobieta musiała odkryć, że ją śledziłem. Ale nie ma powodu, by sądzić, że nie udało jej się mnie przechytrzyć, i jestem przekonany, że jest na tyle śmiała, aby działać z zaskoczenia i siłą lub podstępem zdobyć zaufanie Allana, nim będziemy gotowi ją powstrzymać.

Ty i tylko Ty (podczas gdy ja przebywam w Londynie) możesz rozstrzygnąć, czy mam rację, czy nie, a zrobisz to w następujący sposób. Upewnij się jak najszybciej, czy jakaś nieznana w okolicy kobieta pojawiła się od ostatniego poniedziałku w Thorpe Ambrose lub w jego pobliżu. Jeśli zauważono kogoś takiego (a na wsi nie sposób ukryć się przed ludzkim wzrokiem), znajdź pierwszą lepszą okazję, aby ją zobaczyć, i odpowiedz sobie na pytanie, czy jej twarz odpowiada pewnym cechom, które zaraz Ci opiszę. Możesz polegać na mojej dokładności. Widziałem tę kobietę bez woalki więcej niż raz, a ostatnim razem przez doskonałe szkło.

1. Czy jej włosy są jasnobrązowe i (najwyraźniej) niezbyt gęste?
2. Czy czoło jest wysokie, wąskie i zaokrąglone od brwi w stronę czubka głowy?
3. Czy brwi są ledwo zaznaczone, a oczy małe i bardziej ciemne niż jasne – szare albo orzechowe (nie widziałem jej na tyle blisko, by mieć pewność)?
4. Czy nos jest orli?
5. Czy wargi są wąskie, a górna warga wydłużona?
6. Czy jej cera wygląda na cerę niegdyś jasną, która się pogorszyła, przechodząc w ziemistą, chorobliwą bladość?

7 (w końcu). Czy ma cofniętą brodę, na której po lewej stronie znajduje się jakieś znamię – pieprzyk albo blizna (nie jestem pewien)?

Celowo nie piszę niczego na temat mimiki, ponieważ masz szansę widzieć ją w sytuacji, mogącej zmienić ją w stosunku do tego, co widziałem ja. Zbadaj jej rysy twarzy, których żadne okoliczności nie zmieniają. Jeśli w okolicy pojawi się nieznajoma i jeśli jej twarz odpowiada mojemu opisowi, znalazłeś tę kobietę! W takim wypadku idź natychmiast do najbliższego prawnika, powołaj się na mnie i zapewnij, że pokryję wszystkie koszty, jakie może ponieść w związku z obserwowaniem jej dzień i noc. Kiedy to już zrobisz, jak najszybciej daj mi znać i niezależnie od tego, czy moje sprawy będą załatwione, czy nie, wsiądę do pierwszego pociągu jadącego do hrabstwa Norfolk.

Zawsze Twój przyjaciel,
Decimus Brock”.

Zatwardziały pod wpływem fatalistycznego przekonania, które teraz go opanowało, Midwinter przeczytał od początku do końca przyznanie się proboszcza do porażki, nie zdradzając najmniejszej oznaki zainteresowania czy zdziwienia. Jedynym fragmentem listu, na który spojrzął ponownie, było zakończenie. „Wiele zawdzięczam dobroci pana Brocka”, pomyślał, „i nigdy go już nie zobaczę. To bezsensowne i beznadziejne, ale prosi mnie o to i trzeba to zrobić. Jedno spojrzenie na nią wystarczy – jedno spojrzenie na nią z listem w ręku – i jedno zdanie, w którym napiszę, że ta kobieta jest tutaj!”

Znów zatrzymał się z wahaniem w półotwartych drzwiach. Ponownie stanął oko w oko z okrutną koniecznością napisania pożegnalnego listu do Allana.

Spojrzał z powątpiewaniem na list proboszcza.

– Napiszę oba za jednym razem – powiedział. – Jeden pomoże mi napisać drugi.

Jego twarz okryła się głębokim rumieńcem, kiedy wyrwały mu się te słowa. Zdał sobie sprawę, że robi coś, czego jeszcze dotąd nie zrobił – z własnej woli odwleka godzinę próby, używa pana Brocka jako pretekstu, aby zyskać ostatnie wytchnienie, jakie zostało – zwłokę.

Za otwartych drzwi dochodził jedynie odgłos głośnej krzątaniny Allana

w sąsiednim pokoju. Nie zwlekając, wyszedł na pusty korytarz i, nie spotykając nikogo na schodach, opuścił dom. Obawa, że jego decyzja, aby zostawić Allana, może osłabnąć, jeśli znów rankiem zobaczy przyjaciela, towarzyszyła mu równie mocno jak przez całą noc. Schodząc po schodach prowadzących do domu, wydał głębokie westchnienie ulgi. Była to ulga z powodu ucieczki przed serdecznym porannym pozdrowieniem jedynej ludzkiej istoty, którą kochał!

Wszedł między zarośla z listem od pana Brocka w ręku i obrał najkrótszą drogę w kierunku domku majora. W jego pamięci nie pozostał nawet strzęp rozmowy, która dotarła do jego uszu poprzedniej nocy. Jedyńm powodem, dla którego zdecydowany był zobaczyć kobietę, był powód podsunięty mu przez proboszcza. Jedyńm wspomnieniem, które wiodło go do miejsca, gdzie mieszkała, było wspomnienie słów Allana, kiedy po raz pierwszy rozpoznał w postaci nad stawem guwernantkę.

Dotarłszy pod furtkę domku, przystanął. Naszła go myśl, że mógłby sam sobie zaszkodzić, gdyby czytał pytania proboszcza w obecności kobiety. Zapewne nabrałaby podejrzeń już na wieść, że prosi o spotkanie z nią (tak jak zdecydował się poprosić, używając wymówki lub nie), a pojawienie się listu w jego ręce tylko by je umocniło.

Mogła go pokonać, natychmiast wychodząc z pokoju. Zdecydowany najpierw zapamiętać opis, a potem się z nią skonfrontować, otworzył list i powoli okrążając dom, przeczytał siedem pytań, na które – był o tym z góry głęboko przekonany – twarz kobiety odpowie twierdząco.

W porannej ciszy parku delikatne odgłosy rozchodzą się daleko. Delikatny odgłos oderwał Midwintera od lektury listu.

Podniósł wzrok i zobaczył, że znajduje się na skraju szerokiego, porośniętego trawą rowu, mając po jednej stronie park, po drugiej zaś wysoki laurowy żywopłot. Żywopłot najwyraźniej okalał ogród z tyłu domku, a rów miał go chronić przed zniszczeniem przez bydło pasące się w parku.

Wsłuchawszy się uważniej w delikatny odgłos, rozpoznał w nim szelest kobiecych sukien. Kilka kroków dalej nad rowem przerzucona była kładka (zamknięta wiklinową furtką), łącząca ogród z parkiem. Minął furtkę, przeszedł

przez kładkę i, otworzywszy drzwi po drugiej stronie, znalazł się w altanie gęsto porośniętej pnączem i zapewniającej doskonały widok na cały ogród.

Spojrzał i zobaczył dwie postacie kobiece wolno idące w kierunku domku. Niższa z nich ani na chwilę nie przykuła jego uwagi. Nawet się nie zastanawiał, czy jest to córka majora, czy nie. Jego oczy utkwione były w drugiej postaci – tej, która z uwodzicielskim wdziękiem poruszała się po ogrodowej alejce w długiej, lekko opinającej ciało sukni. Miał przed sobą, dokładnie w taki sposób, w jaki raz już ją widział, plecami odwróconą w jego kierunku kobietę znad stawu!

Istniała szansa, że zrobią kolejną rundkę po ogrodzie, zawracając w kierunku altany. Na tę szansę czekał Midwinter. Przy drzwiach altany nie zatrzymała go myśl o wtargnięciu na cudzy teren i myśl ta nie dręczyła go nawet teraz. Wszelka wrażliwość w jego naturze została stłumiona przez okrutną szarpaninę minionej nocy. Ślepa determinacja, aby zrobić to, po co przyszedł, była jedyną siłą, która go poruszała. Zachowywał się, a nawet wyglądał tak, jak najpowściągliwszy z ludzi mógł zachowywać się i wyglądać na jego miejscu. Miał w sobie na tyle opanowania, by w chwili oczekiwania na to, aż guwernantka i jej uczennica dotrą do końca alejki, otworzyć list pana Brocka i wspomóc pamięć ostatnim rzutem oka na akapit opisujący jej twarz.

Był jeszcze zajęty czytaniem, kiedy usłyszał delikatny szelest sukien zbliżających się postaci. Stojąc ukryty w cieniu altany, czekał, aż zmniejszy się dzieląca ich odległość. Kiedy kobieta się zbliżyła, miał już w pamięci dokładnie wyryty jej portret, a jasne światło poranka pomogło jego oczom zbadać jej twarz.

Włosy z opisu proboszcza były jasnobrązowe i niezbyt gęste. Włosy kobiety, którą miał przed sobą, niespotykane bujne, miały jedyny zadziwiający odcień, którego uprzedzenie ludów Północy nigdy do końca nie wybacza – były rude! Czoło z opisu proboszcza było wysokie, wąskie i zaokrąglone od brwi w stronę czubka głowy, brwi były słabo zaznaczone, a oczy małe, szare albo orzechowe. Czoło tej kobiety było niskie, proste i szerokie w kierunku skroni, jej brwi, jednocześnie subtelne i wyraziste, były o ton ciemniejsze od włosów, oczy – duże, promienne i ładnie oprawione – miały ów odcień czystego błękitu bez domieszki szarości czy zieleni, który tak często zdarza się nam podziwiać w obrazach i książkach, a tak

rzadko spotyka w żywej twarzy. Nos z opisu proboszcza był orli. Nos tej kobiety nie był wygięty ani w górę, ani w dół – był to prosty, delikatnie ukształtowany nos (nad krótką górną wargą) znany z antycznych posągów i popiersi. Wargi z opisu proboszcza były wąskie, a górna – wydłużona, cera była ziemista, chorobliwie blada, broda cofnięta, z pieprzykiem lub blizną po lewej stronie. Usta tej kobiety były pełne, dorodne i zmysłowe. Miała piękną cerę, która zwykle towarzyszy włosom takim jak jej – delikatnie jasną w swoich różowych tonach, odznaczającą się kremową bielą w jaśniejszych partiach na czole i szyi. Jej broda – okrągła, z dołeczkiem – nie miała nigdzie najmniejszej skazy i była aż po czubek idealnie w jednej linii z czołem. Zbliżała się coraz bardziej, opromieniona światłem poranka – najbardziej zdumiewające, najbardziej niezaprzeczalne przeciwieństwo opisu z listu proboszcza, jakie oko mogło zobaczyć lub umysł stworzyć.

Zanim guwernantka i uczennica popatrzyły w tę stronę i zobaczyły Midwintera, były już blisko altany. Guwernantka dostrzegła go jako pierwsza.

– Panienki przyjaciel, panno Milroy? – zapytała cicho, bez jednego drgnięcia czy oznaki zdziwienia.

Neelie rozpoznała go natychmiast. Była już wcześniej uprzedzona wobec Midwintera z powodu jego zachowania, gdy został przedstawiony przez przyjaciela w domku, a teraz wręcz go nienawidziła jako nieszczęsną przyczynę poróżnienia się z Allanem na pikniku. Jej twarz poczerwieniała, kiedy odsunęła się od altany z wyrazem bezlitosnego zdumienia.

– To przyjaciel pana Armadale’a – odparła ostro. – Nie wiem, czego chce ani skąd się tu wziął.

– Przyjaciel pana Armadale’a!

Gdy guwernantka powtarzała te słowa, jej twarz rozpromieniła się pod wpływem nagłego zainteresowania. Odwzajemniła spojrzenie Midwintera, nadal w niej utkwione, równie długim spojrzeniem.

– Jeśli o mnie chodzi – ciągnęła Neelie, mając żal do Midwintera, że ignoruje jej obecność – myślę, że to wielkie nadużycie traktować ogród papy tak, jak gdyby był to ogólnie dostępny park!

Guwernantka obróciła się i delikatnie wtrąciła:

– Moja droga panno Milroy – zaprotestowała – należy zachować pewne rozróżnienie. Ten dżentelmen jest przyjacielem pana Armadale’a. Wyraża się panienka tak ostro, jakby miała do czynienia co najmniej z kimś zupełnie nieznanym.

– Wyrażam tylko swoją opinię – odparła Neelie, poirytowana ironicznym pobłażliwym tonem, jakim zwróciła się do niej guwernantka. – To kwestia gustu, panno Gwilt, a gusta są różne.

Nadaśana, odwróciła się na pięcie i zawróciła w stronę domku.

– Jest bardzo młoda – powiedziała panna Gwilt, z uśmiechem odwołując się do wyrozumiałości Midwintera – i, jak sam pan widzi, rozpuszczona.

Urwała. Tylko przez moment dała po sobie poznać, że jest zdumiona dziwnym milczeniem Midwintera i jego uporczywym spojrzeniem, a następnie z czarującym wdziękiem ochoczo pośpieszyła, aby pomóc mu w niezręcznym położeniu, w jakim się znalazł.

– Skoro przedłużył pan swój spacer aż tutaj – podjęła – może będzie pan tak uprzejmy, by po powrocie przekazać wiadomość swojemu przyjacielowi? Pan Armadale był tak dobry i zaprosił mnie, abym zwiedziła dziś rano ogrody Thorpe Ambrose. Czy przekaże mu pan, że major Milroy pozwolił mi przyjąć zaproszenie (w towarzystwie panny Milroy) między godziną dziesiątą a jedenastą?

Przez moment jej wzrok spoczął z ponownym zainteresowaniem na twarzy Midwintera. Czekwała, nadal nadaremno, na odpowiedź, uśmiechnęła się, tak jakby to niezwykle milczenie bardziej ją bawiło, niż złościło, i poszła do domu w ślad za uczennicą.

Dopiero kiedy zupełnie zniknęła z pola widzenia, Midwinter ocknął się i spróbował zrozumieć położenie, w jakim obecnie się znalazł. Jej uroda nie była w żadnej mierze powodem osłupienia, które sprawiło, że stał jak zaczarowany aż do teraz. Wrażenie, jakie na nim zrobiła, było od początku do końca wynikiem odkrycia przez niego zdumiewającego przeciwieństwa wyglądu jej twarzy, szczególnie, w stosunku do opisu z listu pana Brocka. Wszystko poza tym wydawało

się mgliste i niewyraźne – niejasne wspomnienie wysokiej, eleganckiej kobiety i miłych słów wypowiedzianych do niego skromnie i z wdziękiem, to wszystko.

Nie wiedząc czemu, postąpił kilka kroków w głąb ogrodu. Przystanął, rozglądając się tu i tam jak człowiek, który się zgubił, z wysiłkiem rozpoznał altanę, jak gdyby od czasu, kiedy ją widział, minęły całe lata, i wreszcie powrócił do parku. Nawet tutaj wędrował najpierw w jednym kierunku, potem w innym. Jego umysł nadal nie mógł się otrząsnąć z szoku, jaki na niego spadł, jego zmysły były otepiałe. Coś kazało mu poruszać się jak automat – iść przed siebie bez celu, nie wiedząc dokąd.

Nawet ktoś dużo mniej wrażliwy mógłby czuć się w takiej chwili przytłoczony, tak jak on był przytłoczony, olbrzymią, natychmiastową odrazą do uczucia, które zrodziło się w jego umyśle pod wpływem tego, co wydarzyło się kilka minut wcześniej. W pamiętnej chwili, gdy otwierał drzwi prowadzące do altany, nie dręczyły go żadne wątpliwości. Jeśli chodziło o jego zachowanie względem przyjaciela, na drodze niepodważalnych procesów myślowych podjął już ostateczną i nieodwracalną decyzję. Cała siła motywacji, która doprowadziła go do postanowienia, że rozstanie się z Allanem, opierała się na przekonaniu, że oto nad brzegiem Hurle Mere ujrzał nieszczęsne spełnienie pierwszej wizji z jego snu. Z kolei to przekonanie opierało się z konieczności na wierze, iż kobieta, która była jedyną żyjącą uczestniczką tragedii na Maderze, musi być tą samą kobietą, którą widział stojącą nad brzegiem stawu w miejscu cienia. Będąc głęboko o tym przekonany, sam porównał przedmiot swoich podejrzeń oraz podejrzeń proboszcza z opisem autorstwa tego ostatniego – opisem niezwykle szczegółowym, który wyszedł spod pióra człowieka całkowicie wiarygodnego – i na własne oczy przekonał się, że kobieta, którą widział nad rozlewiskiem, i kobieta, którą pan Brock widział w Londynie, nie były tymi samymi, ale dwiema różnymi kobietami! W miejscu cienia ze snu, jak zaświadczał list proboszcza, stało nie narzędzie w rękach fatum, ale nieznajoma!

Odkrycie, którego dokonał, nie zrodziło w jego umyśle wątpliwości, które mogłyby niepokoić kogoś mniej przesądnego niż on.

Teraz, kiedy list przekonał go, że postacią z sennego krajobrazu była

nieznajoma, ani na chwilę nie przyszło mu do głowy, aby zastanowić się, czy fatum nie mogło posłużyć się w swoich zamysłach ową nieznajomą. Nic takiego nie zrodziło się, ani nie mogło się zrodzić w jego umyśle. Jediną kobietą, której obawiała się jego przesądna natura, była ta, której droga życia splotła się z drogami życia dwóch Armadale'ów w pierwszym pokoleniu i z losami obu Armadale'ów w drugim, ta, przed którą wyraźnie ostrzegał go ojciec na łożu śmierci i która jednocześnie była pierwszą przyczyną ciągu tragedii rodzinnych, otwierających Allanowi drogę do majątku Thorpe Ambrose, jednym słowem, kobieta, którą instynktownie utożsamiałby z tą, którą właśnie zobaczył, gdyby nie list pana Brocka.

Patrząc na zdarzenia, które właśnie miały miejsce, przez pryzmat błędnych przekonań, do których skłonił go nieumyślnie proboszcz, jego umysł z miejsca dostrzegł i uczepił się nowego wniosku, zachowując się dokładnie tak, jak zachował się już raz podczas rozmowy z panem Brockiem na Wyspie Man.

Tak jak niegdyś stwierdził, że fakt, iż podczas swoich rozlicznych morskich podróży nigdy nie zetknął się z frachtowcem, wystarczy do odrzucenia idei fatum, tak teraz uczepił się podobnie wywiedzionego wniosku, że wszelkie pretensje snu do nadprzyrodzonego pochodzenia zostały obalone z chwilą, gdy w miejsce cienia pojawiła się nieznajoma. Kiedy już wyszedł z tego punktu, kiedy już został zachęcony, aby jego miłość do Allana znów niepodzielnie nim zawładnęła, jego umysł podążył całym wynikającym z niego ciągiem myślowym lotem błyskawicy. Jeśli okazało się, że sen nie jest przestrogą z tamtego świata, wynikało z tego niezbitcie, że noc spędzona na wraku była dziełem przypadku, nie zaś zrządzeniem losu i że wszystkie zdarzenia mające miejsce od czasu rozstania z panem Brockiem były wydarzeniami niewinnymi, które tylko jego przesądność wypaczyła ponad miarę. W jednej chwili lotna wyobraźnia przeniosła go z powrotem do owego poranka w Castletown, kiedy to wyjawiał proboszczowi sekret swojego nazwiska, kiedy z listem ojca w ręku oświadczył mu, że ma w sobie wiarę w dobro. Jeszcze raz czuł, że jego serce uczepiło się braterskiej więzi pomiędzy nim a Allanem, jeszcze raz mógł powiedzieć z dawną szczerością: „Jeśli myśl o rozstaniu z nim łamie mi serce, myśl ta jest zła!”. W momencie gdy to szlachetne przekonanie ponownie zagościło w jego umyśle, łagodząc panujące w nim wzburzenie i zamęt, spomiędzy

drzew ukazał się widok rezydencji Thorpe Ambrose z Allanem, który stał na schodach, czekając na niego i wypatrując go. Poczucie nieskończonej ulgi uniosło jego ducha wysoko ponad troski, wątpliwości i obawy, które tak długo go uciskały, i raz jeszcze ukazało mu lepszą i jaśniejszą przyszłość z jego dawnych marzeń. Jego oczy zaszkliły się od łez. Z właściwą sobie dzikością i żarliwością przycisnął do ust list proboszcza, patrząc na Allana widocznego pomiędzy drzewami. „Gdyby nie ten skrawek papieru”, pomyślał, „moje życie byłoby jednym wielkim pasmem utrapień, a zbrodnia mego ojca rozdzieliłaby nas na zawsze!”

Oto efekt fortelu, dzięki któremu twarz pokojówki została ukazana panu Brockowi jako twarz panny Gwilt. I tak, rozwiewając wiarę Midwintera we własną przesadność w jednym jedynym przypadku, w którym przesadność ta mogła doprowadzić do prawdy, przebiegłość Matki Oldershaw zatryumfowała nad trudnościami i niebezpieczeństwami, o których ona sama nigdy by nawet nie pomyślała.

XI. PANNA GWILT WKRACZA NA GRZAŚKI GRUNT

1. List Czcigodnego Decimusa Brocka do Oziasa Midwintera

„Czwartek.

Mój drogi Midwinterze!

Żadne słowa nie wyrażą, jaką ulgę sprawił mi Twój list, który przyszedł dziś rano, i jak szczerze się cieszę, że moje lęki jak dotąd okazały się bezpodstawne. Środki ostrożności, które podjąłeś na wypadek, gdyby kobieta potwierdziła moje obawy, pojawiając się w Thorpe Ambrose, wydają się zupełnie wystarczające. Niewątpliwie doniesie Ci o niej któraś z osób pracujących w kancelarii prawnika, którą poprosiłeś o zgłoszenie pojawienia się w miasteczku nieznanym.

Cieszę się, że mogę całkowicie polegać na Tobie w tej sprawie, tym bardziej że najprawdopodobniej będę zmuszony zostawić sprawy Allana wyłącznie w Twoich rękach dłużej, niż przypuszczałem. Mój przyjazd do Thorpe Ambrose musi, niestety, odwlec się o kolejne dwa miesiące. Jedyńy z moich współbraci pastorów w Londynie, który mógłby przejąć w zastępstwie moje obowiązki, nie może przenieść się z rodziną do hrabstwa Somerset przed tym czasem. Nie mam innego wyjścia, jak załatwić swoje sprawy w stolicy i w przyszłą sobotę wrócić do mojej parafii. Gdyby cokolwiek się stało, dasz mi, ma się rozumieć, natychmiast znać i w takim razie nie zważając na niedogodności, wyruszę do Thorpe Ambrose. Jeśli natomiast wszystko będzie szło bardziej gładko, niż pozwalają mi w to wierzyć moje własne nieustępliwe obawy, wtedy niech Allan (do którego także napisałem) nie spodziewa się mnie wcześniej niż za równe dwa miesiące.

Jak na razie nasze wysiłki, aby odnaleźć ślad zgubiony na dworcu, nie zostały

nagrodzone. Zostawiam jednak list do Ciebie otwarty do czasu odjazdu poczty, na wypadek gdyby następne kilka godzin przyniosły jakieś wieści.

Zawsze Ci oddany,

Decimus Brock.

PS Właśnie dostałem wiadomość od prawników. Odkryli nazwisko, pod którym kobieta występowała w Londynie. Jeśli to odkrycie (obawiam się, że niezbyt ważne) podsunie Ci jakiś nowy sposób działania, nie wahaj się go wykorzystać. Nazwisko brzmi panna Gwilt”.

2. List panny Gwilt do pani Oldershaw

„Domek, Thorpe Ambrose, sobota, 28 czerwca

Jeśli obiecasz, że się nie przestraszysz, Mateczko Oldershaw, zacznę ten list w bardzo dziwny sposób – przepiszę jedną stronę listu kogoś innego. Masz znakomitą pamięć i nie mogłaś zapomnieć, że w ostatni poniedziałek otrzymałam liścik od matki majora Milroya (po tym, jak zatrudniła mnie jako guwernantkę). Został datowany i podpisany, oto pierwsza jego strona: »23 czerwca, 1851. Szanowna Pani! Proszę wybaczyć, że zawracam Pani głowę przed wyjazdem do Thorpe Ambrose jeszcze słówkiem na temat zwyczajów panujących w domu mojego syna. Kiedy miałam przyjemność spotkać się z Panią dziś o godzinie drugiej na Kingsdown Crescent, miałam inne spotkanie w oddalonej części miasta o trzeciej i w pośpiechu umknęły mi jedna czy dwie rzeczy, na które, jak uważam, powinna Pani zwrócić uwagę«. Reszta listu nie ma najmniejszego znaczenia, ale te kilka zdań, które przepisałam, zasługują na Twoje najwyższe skupienie. Uratowały mnie one przed zdemaskowaniem, zanim zdążyłam przepracować tydzień u majora Milroya!

Stało się to nie dalej jak wczoraj wieczorem, a zaczęło i skończyło tak:

Jest tu pewien dżentelmen (więcej o nim za chwilę), który jest bliskim przyjacielem młodego Armadale’a, a który nosi dziwaczne nazwisko Midwinter. Udało mu się wczoraj odbyć ze mną rozmowę sam na sam w parku. Niemal gdy tylko się odezwał, dowiedziałam się, że moje nazwisko zostało odkryte w Londynie (bez wątplenia przez pastora z hrabstwa Somerset) i że pan Midwinter został

wybrany (najwyraźniej przez tę samą osobę), aby zidentyfikować pannę Gwilt, która zniknęła z Brompton, jako pannę Gwilt, która pojawiła się w Thorpe Ambrose. Pamiętam, że przewidziałaś to niebezpieczeństwo, ale nie wyobrażałam sobie, że zdemaskowanie zagrozi nam tak szybko.

Oszczędzę Ci szczegółów naszej rozmowy i przejdę do finału. Pan Midwinter przedstawił sprawę bardzo delikatnie, ku memu zdziwieniu oświadczając, że sam jest przekonany, iż nie jestem tą samą panną Gwilt, której szuka jego przyjaciel, i że działa jedynie przez wzgląd na obawy osoby, z której życzeniami musi się liczyć. Czy pomogę mu ostatecznie uspokoić te obawy, na tyle, na ile o mnie chodzi, odpowiadając na jedno proste pytanie – które zadaje, licząc wyłącznie na moją wyrozumiałość? Panna Gwilt, której ślad zgubiono, była widziana w ostatni poniedziałek o drugiej w tłumie na peronie Dworca Północno-Zachodniego, na Euston Square. Czy upoważnię go, by mógł śmiało powiedzieć, że tego dnia i o tej godzinie panna Gwilt, która jest guwernantką majora Milroya, nie znajdowała się w pobliżu tego miejsca?

Nie muszę Ci chyba mówić, że wykorzystałam wspaniałą okazję, jaką mi dał, aby rozwiać wszelkie przysze wątpliwości. Od razu przystąpiłam do ofensywy i podsunęłam mu list starszej damy. Uprzejmie odmówił oglądania go. Ja z kolei nastawałam, aby go obejrzał. »Nie chcę, aby ktoś mnie wziął«, rzekłam, »za kobietę, która może mieć złą reputację, tylko dlatego, że nosi albo przybrała to samo nazwisko co ja. Nalegam, aby przeczytał pan pierwszą część listu, jeśli nie ze względu na siebie, to ze względu na mnie«. Musiał się zgodzić. I oto, spisany charakterem pisma starszej damy, miał przed sobą dowód na to, że w ostatni poniedziałek o drugiej po południu ona i ja byłyśmy razem na Kingsdown Crescent, która, jak może sprawdzić w dowolnej książce adresowej, jest ulicą w Bayswater! Możesz sobie wyobrazić, jak mnie przeproszał i z jakim wdziękiem przyjąłam przeprosiny.

Gdybym nie zachowała listu, mogłabym oczywiście odesłać go do Ciebie albo matki majora z tym samym skutkiem. Ale tak cel został osiągnięty bez problemu i bez zwłoki. Udowodniłam, że nie jestem sobą, i jedno z wielu niebezpieczeństw, jakie groziły mi w Thorpe Ambrose, zostało od tej chwili oddalone. Twarz Twojej

pokojówki raczej nie grzeszy urodą i nie da się ukryć, że bardzo nam się tym przysłużyła.

To tyle o przeszłości, a teraz przyszłość. Dowiesz się, jak układa mi się z ludźmi wokół, i sama będziesz mogła ocenić, jakie mam szanse zostać panią Thorpe Ambrose.

Pozwól, że zacznę od młodego Armadale'a – ponieważ to oznacza dobre wieści na początek. Zdążyłam już wyrzeć na nim odpowiednie wrażenie i Bóg jeden wie, że nie ma się czym chwalić! Każda przeciętnie ładna kobieta, która zadałaby sobie trochę trudu, mogłaby go w sobie rozkochać. To roztrzepany młody głupiec – jeden z tych głośnych, rumianych, jasnowłosych, wesołych młokosów, których szczególnie nie znoszę. Spędziłam z nim całą godzinę w łódce pierwszego dnia, kiedy tu przyjechałam, i od tamtej pory aż do dziś nie traciłam czasu. Jedyna trudność z nim polega na tym, że nie potrafię ukryć własnych uczuć, zwłaszcza gdy zmienia moją niechęć w otwartą nienawiść, czasami przypominając mi jego matkę. Naprawdę, nigdy jeszcze nie spotkałam mężczyzny, któremu tak chciałabym dokuczyć, gdybym tylko miała okazję. Wierzę, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, da mi taką okazję wcześniej, niż na to liczyłyśmy. Właśnie wróciłam z przyjęcia w rezydencji wydanego z okazji dnia pobierania czynszu. Atencje okazywane mi przez dziedzica i skromna powściągliwość, z jaką je przyjmowałam, już wzbudziły ogólne zainteresowanie.

Następną osobą jest moja uczennica – panna Milroy. Ona również jest rumiana i głupia, co więcej, niezgrabna, przysadzista i piegowata, a poza tym drażliwa i źle ubrana. Nie ma się czego obawiać z jej strony, choć nienawidzi mnie jak wściekła, co bardzo dobrze się składa, bo dzięki temu z łatwością pozbywam się jej po lekcjach i spacerach. Widać jak na dłoni, że robiła, co mogła, by usidlić młodego Armadale'a (czego, nawiasem mówiąc, w ogóle nie brałyśmy pod uwagę) i że była na tyle głupia, aby pozwolić mu się wymknąć. Kiedy powiem, że musi dla zachowania pozorów uczestniczyć z ojcem i ze mną w drobnych rozrywkach w Thorpe Ambrose i widzi, jak młody Armadale mnie wielbi, zrozumiesz, jakie miejsce zajmuję w jej sercu. Doprowadziłaby mnie do granic wytrzymałości, gdybym nie widziała, że mój spokój ją irytuje, więc rzecz jasna go zachowuję. Jeśli

naprawdę wybuchnę, to z powodu lekcji – bynajmniej nie francuskiego, gramatyki, historii czy globusa – ale muzyki. Żadne słowa nie opiszą, jak bardzo mi jest żal jej biednego fortepianu. Połowie młodych adeptek muzyki w Anglii powinno się obciąć palce dla dobra ogółu i gdybym tylko miała coś do powiedzenia, palce panny Milroy pierwsze padłyby ofiarą egzekucji.

Co do majora, trudno sobie wyobrazić, żeby mógł mieć o mnie lepsze mniemanie, niż ma teraz. Zawsze jestem gotowa przygotować mu śniadanie, a jego córka nie. Zawsze potrafię znaleźć rzeczy, które zgubił, a jego córka nie. Nigdy nie ziewam, kiedy głądzi, a jego córka tak. Lubię tego drogiego, starego, nieszkodliwego biedaka, więc nie wspomnę już o nim ani słowem.

No i jak, czy widoki na przyszłość nie są obiecujące? Moja dobra Oldershaw, jeszcze nie było widoku, który nie posiadałby jakiejś skazy. Mój widok ma dwie. Jedna z nich nazywa się pani Milroy, a druga – pan Midwinter.

Najpierw o pani Milroy. W dniu mojego przyjazdu nie spędziłam nawet pięciu minut w domku, kiedy... jak myślisz, co zrobiła? Posłała na dół i powiedziała, że chce się ze mną widzieć. Wiadomość ta zaskoczyła mnie, bo starsza pani w Londynie powiedziała, że jej synowa jest osobą zbyt cierpiącą, by się z kimkolwiek spotykać. Ale oczywiście kiedy dostałam wezwanie, nie miałam innego wyjścia, jak pójść na górę do pokoju chorej. Zastałam ją przykutą do łóżka za sprawą nieuleczalnej choroby kręgosłupa. Był to zaiste okropny widok – kobieta rozkapryszona i, o ile się nie mylę, tak kłamliwa i o tak paskudnym usposobieniu, że w całym swoim długim doświadczeniu nie spotkałaś drugiej takiej. Jej przesadna uprzejmość i ukrywanie własnej twarzy w cieniu kotary łóżka, podczas gdy robiła wszystko, by moja twarz była oświetlona, dały mi do myślenia, gdy tylko weszłam do pokoju. Spędziłyśmy razem ponad pół godziny i nie dałam się złapać w żadną ze sprytnych drobnych pułapek, które na mnie zastawiła. Jediną zagadką w jej zachowaniu, której nie zdołałam wtedy przejrzeć, było ciągłe proszenie mnie, abym podawała jej rzeczy (których ewidentnie nie potrzebowała) leżące w różnych częściach pokoju.

Od tamtego czasu kolejne zdarzenia mnie oświeciły. Pierwsze podejrzenia wzbudziły we mnie podsłuchane rozmowy służących, a zachowanie opiekunki pani

Milroy tylko mnie w nich utwierdziło.

Przy kilku okazjach, gdy byłam sam na sam z majorem, opiekunka akurat też chciała coś od swego pana i zawsze bez wyjątku zapominała, aby zapowiedzieć swoje przyjście pukaniem do drzwi. Czy rozumiesz teraz, dlaczego pani Milroy posłała po mnie, gdy tylko przekroczyłam próg domu, i po co kazała mi chodzić tam i nazad to po jedną rzecz, to po drugą? Nie ma chyba takiego korzystnego światła pozwalającego zobaczyć moją twarz i figurę, w którym zazdrosne oczy tej kobiety nie dokonały ich oględzin. Nie dziwię się już, dlaczego ojciec i córka aż podskoczyli i wymienili spojrzenia, gdy zostałam im przedstawiona, albo dlaczego służący nadal patrzą na mnie z szelmowskim wyczekiwaniem w oczach, kiedy dzwonię i o coś proszę. Nie ma sensu ukrywać między nami prawdy, Matko Oldershaw. Kiedy poszłam na górę do pokoju chorej, wpadłam nieświadomie w szpony zazdrośnicy. Jeśli pani Milroy będzie mogła wyrzucić mnie z domu, zrobi to, a w dzień i nocy nie ma nic innego do roboty w tym swoim łóżku-więzieniu niż obmyślać sposób, jak tego dokonać.

W tym niezręcznym położeniu mojemu ostrożnemu zachowaniu w podziwu godny sposób sprzyja całkowita obojętność starego, drogiego majora. Zazdrość jego żony jest urojeniem godnym domu wariatów: to wytwór jej paskudnego usposobienia, pogłębiony jeszcze nieuleczalną chorobą. Biedny mąż nie myśli o niczym innym jak o swoim mechanicznym hobby i zdaje mi się, że dotąd nie wie nawet, czy jestem ładną kobietą, czy nie. Mając po swojej stronie tę okoliczność, mogę mieć nadzieję, że uda mi się przeciwstawić najściom opiekunki i knowaniom pani, w każdym razie przez jakiś czas. Wiesz jednak, jaka potrafi być zazdrosna kobieta, ja zaś wiem, jaka jest pani Milroy, i przyznaję, że odetchnę z ulgą w dniu, w którym młody Armadale otworzy swoje głupie usta w jakimś sensownym celu i zmusi majora do poszukiwania nowej guwernantki.

Nazwisko Armadale'a przypomina mi o przyjacielu Armadale'a. Z tej strony grozi mi większe niebezpieczeństwo i, co gorsza, nie czuję się nawet w połowie tak dobrze przygotowana na odparcie ataków pana Midwintera jak na pani Milroy.

Zacznijmy od tego, że wszystko w tym człowieku jest mniej lub bardziej tajemnicze, co mi się nie podoba. Jak to się stało, że został powiernikiem pastora

z hrabstwa Somerset? Jak wiele pastor mu powiedział? Jak to możliwe, że kiedy rozmawiał ze mną w parku, był tak mocno przekonany o tym, iż nie jestem tą samą panną Gwilt, której szukał jego przyjaciel? Nie potrafię w żaden sposób odpowiedzieć na żadne z tych trzech pytań. Nie mogę nawet się dowiedzieć, kim jest ani jak on i młody Armadale się poznali. Nienawidzę go. Nie, chcę się tylko więcej o nim dowiedzieć. Jest bardzo młody, niewysoki i szczupły, ruchliwy i ciemny, o promiennych, czarnych oczach, które mówią wprost: »Należymy do człowieka, który ma rozum i wolę, człowieka, który nie spędził całego życia, snując się po wiejskiej rezydencji na usługach głupca«. Tak, jestem przekonana, że pan Midwinter, jakkolwiek młody, robił coś albo przeszedł przez coś w swoim przeszłym życiu i nie wiem, co bym dała, aby się tego dowiedzieć. Nie gniewaj się, że poświęcam mu tak wiele miejsca. Jego wpływ na młodego Armadale'a jest na tyle duży, aby stanowił bardzo niewygodną przeszkodę dla mnie, chyba że od początku uda mi się zaskarbić jego sympatię.

A więc, zapytasz, cóż może Ci przeszkodzić w pozyskaniu jego dobrego zdania na swój temat? Niestety, obawiam się, Matko Oldershaw, że zjednałam go sobie na zasadach, o których wcześniej nawet nie śniłam, ponieważ, jak sądzę, Midwinter już zdążył się we mnie zakochać.

Nie potrząsaj głową, mówiąc: »Ależ ona jest próżna!«. Po koszmarze, przez jaki przeszłam, nie mam w sobie już ani krzty próżności, a mężczyzna, który mnie wielbi, jest kimś, przed kim wzdrygam się z niesmakiem. Przyznaję, był czas... phi! Co ja wypisuję? Sentyment, daję słowo! Sentyment do Ciebie! Śmieję się z tego, moja droga. Co do mnie, ani się nie śmieję, ani nie płaczę. Poprawiam pióro i kontynuuję – jak to nazywają mężczyźni? – mój raport.

Jedyną rzeczą, o którą warto zapytać, jest to, czy moje odczucia na temat wrażenia, jakie na nim zrobiłam, są słuszne czy nie.

Zobaczmy. Cztery razy znalazłam się w jego towarzystwie. Pierwszy raz był w ogrodzie majora, gdzie spotkaliśmy się niespodziewanie twarzą w twarz. Stał i patrzył na mnie jak skamieniały, nie mówiąc ani słowa. Może to przez te moje wstrętne rude włosy? Bardzo możliwe, złożmy to na karb włosów. Drugi raz zdarzył się podczas zwiedzania posiadłości, z młodym Armadale'em po mojej jednej

stronie, a uczennicą (w dąsach) po drugiej. A tu nagle dołącza do nas pan Midwinter, chociaż miał pracę do zrobienia w biurze zarządcy, której podobno nigdy wcześniej nie zaniedbywał. Lenistwo? A może przywiązanie do panny Milroy? Nie potrafię powiedzieć. Możemy to złożyć na pannę Milroy, jeśli chcesz. Wiem tylko, że nie robił nic innego, tylko na mnie patrzył. Trzeci raz był na osobności w parku podczas rozmowy, o której już Ci pisałam. Nigdy w życiu nie widziałam mężczyzny, który byłby równie wzburzony, zadając kobiecie delikatne pytanie. Ale może to tylko niezręczność, a jego ciągle odwracanie się za mną, gdy się rozeszliśmy, mogło być tylko patrzeniem na widok. Złóż to na karb widoku, jak najbardziej, złóż to na karb widoku! Czwarty raz zdarzył się dzisiaj wieczorem, na przyjęciu. Zmusili mnie, żebym zagrała, a że fortepian był dobry, starałam się, jak mogłam. Całe towarzystwo zebrało się wokół mnie i prawilo mi komplementy (moja urocza uczennica robiła to z takim wyrazem twarzy jak kot, który zaraz ma fuknąć) oprócz pana Midwintera. Odczekał, aż przyszła pora pożegnania, i złapał mnie na chwilę samą w holu. Zdążył tylko schwycić mnie za rękę i powiedzieć dwa słowa. Czy mam Ci napisać, w jaki sposób schwycił moją rękę i jak brzmiał jego głos, kiedy mówił? To zupełnie niepotrzebne! Zawsze mi opowiadałaś, jak świętej pamięci pan Oldershaw Cię hołubił. Przypomnij sobie tylko, jak pierwszy raz wziął Cię za rękę i wyszeptał kilka słów przeznaczonych tylko dla Twoich uszu. Czemu przypisywałaś jego zachowanie w tamtej chwili? Nie wątpię, że jeśli tamtego wieczoru grałaś na fortepianie, przypisywałaś je wyłącznie muzyce!

Nie! Masz moje słowo, nieszczęście się stało. Ten mężczyzna nie jest roztrzepanym głupcem, który zmienia swoje kaprysy równie łatwo jak ubrania. Gdy już raz jakaś kobieta rozpałała ogień w tych jego wielkich czarnych oczach, nie będzie go łatwo ugasić. Nie chcę Cię martwić, nie twierdzę, że te wydarzenia działają na naszą niekorzyść. Ale w sytuacji, gdy z jednej strony zagraża mi pani Milroy, a z drugiej pan Midwinter, ryzykiem najgorszym ze wszystkich jest ryzyko tracenia czasu. Młody Armadale napomknął już, tak jak to gamoń potrafi, o rozmowie na osobności! Oczy panny Milroy są bystre, a oczy opiekunki jej matki jeszcze bystrzejsze i jeśli któraś z nich mnie zdemaskuje, na pewno stracę posadę. Nieważne! Muszę spróbować i odbyć z nim rozmowę. Niech no tylko dopadnę go

samego, niech tylko umknę wścibskim oczom kobiet, a – o ile jego przyjaciel nie stanie mi na drodze – ręczę za wynik!

W międzyczasie zastanawiam się, o czym powinnam Ci jeszcze powiedzieć... Czy w Thorpe Ambrose ktoś jeszcze stoi na naszej drodze? Nie ma nikogo więcej! Żadna z miejscowych rodzin tu nie zagląda, ponieważ, tak się świetnie składa, młody Armadale nie jest mile widziany w okolicy. Nie ma pięknych, dobrze urodzonych kobiet, które odwiedzałyby rezydencję, ani liczących się osób, które mogłyby krytykować jego zaloty do guwernantki. Jedynymi gośćmi, których zdołał zebrać na dzisiejszym przyjęciu, był prawnik z rodziną (żona, syn, dwie córki) i głucha staruszka z synem – wszyscy to ludzie nic nieznaczący i uniżeni słudzy młodego, głupiego dziedzica.

A skoro już mowa o uniżonych sługach, mieszka tu jeszcze jedna osoba zatrudniona w biurze zarządcy – nędzny, obdarty, zmizerowany staruszek nazwiskiem Bashwood. Zupełnie go nie znam, a on ewidentnie nie zna mnie, bo wypytywał pokojówkę w domku o to, kim jestem. Nie będzie to dla mnie wielkim pochlebstwem, ale i nie będzie nieprawdą, kiedy przyznam, że zrobiłam na tym biedaczynie niezwykle wrażenie, kiedy po raz pierwszy mnie zobaczył. Przybrał po kolei wszystkie możliwe kolory i stał, drżąc i gapiąc się na mnie, jak gdyby w mojej twarzy było coś przerażającego. Przez chwilę byłam całkiem zaskoczona, bo choć mężczyźni patrzyli na mnie w różny sposób, żaden jeszcze nie patrzył tak jak on. Czy widziałaś kiedyś, jak karmią boa dusiciela w ogrodzie zoologicznym? Wkładają mu do klatki żywego królika i wtedy następuje chwila, w której te dwie istoty patrzą na siebie nawzajem. Stwierdzam, że pan Bashwood przypominał mi królika.

Dlaczego o tym wspominam? Nie wiem. Może zbyt długo już piszę i głowa zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa. Może sposób, w jaki pan Bashwood okazuje mi swój podziw, uderza mnie swoją świeżością. Nonsens! Tylko się ekscytuję i zawracam Ci głowę byle czym. Och, co za długi, męczący list napisałam! I jak jasno błyszczą gwiazdy za oknem i jaka strasznie cicha noc! Przyślij mi jeszcze trochę tabletek na sen i napisz jeden z Twoich miłych, złośliwych, zabawnych listów. Odezwę się znowu, gdy tylko będę wiedziała coś więcej, jak to wszystko może się skończyć. Dobranoc i zachowaj w swoim kamiennym sercu kącik dla

L.G.”.

3. List pani Oldershaw do panny Gwilt

„Diana Street, Pimlico, poniedziałek

Moja droga Lydio!

Nie jestem w nastroju, aby pisać do Ciebie zabawny list. Wydarzenia, o których donosisz, są bardzo niepokojące, a niefrasobliwość Twojego tonu wręcz mnie zatrważa. Pomyśl o pieniądzach, które już zainwestowałam, i o naszym wspólnym interesie, który wchodzi w grę. Możesz być, jaka chcesz, ale na miłość boską nie bądź niefrasobliwa.

Jako kobieta interesu zadaję sobie pytanie, co mogę zrobić, aby Ci pomóc. Nie mogę Ci doradzić, bo nie ma mnie na miejscu i nie wiem, jak sytuacja może się zmienić z dnia na dzień. W naszym obecnym położeniu mogę się przydać tylko w jeden sposób. Mogę odkryć nową przeszkodę, która Ci zagraża, i myślę, że również ją usunąć.

Piszesz, całkowicie słusznie, że jeszcze nie było widoku, który nie posiadałby jakiejś skazy i że w Twoim widoku widnieją aż dwie. Moja droga, mogą być nawet trzy, jeśli nie zrobię nic, aby temu zapobiec, a ta trzecia nazywa się... Brock! Czy to możliwe, że potrafisz wspominać, tak jak to zrobiłaś, o pastora z hrabstwa Somerset, nie dostrzegając, że o zacieśnieniu znajomości z młodym Armadale'em wcześniej czy później doniesie mu jego przyjaciel? Teraz, gdy o tym myślę, zdaje mi się, że jesteś podwójnie zdana na łaskę proboszcza! Jesteś zdana na łaskę jakiego bądź nowego podejrzenia, które może sprowadzić go do Thorpe Ambrose w ciągu jednego dnia, i zdana na łaskę jego interwencji w chwili, gdy dowie się, że dziedzic chce się związać z guwernantką. O ile nic innego nie mogę zrobić, mogę uchronić nas przed tym dodatkowym problemem. Ach, Lydio, z jaką skwapliwością zadam sobie trud po tym, jak ten stary drań obraził mnie, kiedy opowiedziałam mu na ulicy tę żalną historijkę! Wprost drzę z radości na myśl o okpieniu pana Brocka.

A jak to zrobić? Tak jak już raz to zrobiłyśmy, ani chybi. Zgubił »pannę Gwilt« (czyli moją pokojówkę), prawda? Znakomicie. Odnajdzie ją znowu, niezależnie od tego, gdzie teraz jest. Nagle zamieszka ona tuż pod jego bokiem. Tak długo, jak ona

będzie na miejscu, on również tam pozostanie, a skoro wiemy, że nie ma go w Thorpe Ambrose, jesteś od niego wolna! Podejrzenia starego dżentelmena przysporzyły nam dotąd dużo problemów. Zróbmy z nich wreszcie jakiś użytek, przywiążmy go, za pomocą jego podejrzeń, do tasemek fartucha mojej pokojówki. Co za miła odmiana. Prawdziwa kara niebios, nie sądzisz?

Jedyna pomoc, o jaką Cię proszę, to rzecz bardzo prosta do wykonania. Dowiedz się od pana Midwintera, gdzie przebywa obecnie pastor, i daj mi o tym znać pocztą zwrotną. Jeśli przebywa w Londynie, osobiście dopomogę mojej pokojówce w zmyleniu go. Jeśli przebywa gdzie indziej, wyślę ją w ślad za nim w towarzystwie osoby, na której dyskrecji mogę bezwarunkowo polegać.

Tabletki na sen dostaniesz jutro. Na razie powtórzę na końcu to, co powiedziałam na początku – żadnej niefrasobliwości. Nie rozmarzaj się patrzeniem w gwiazdy i nie mów, że noc jest strasznie cicha. Są ludzie (w obserwatoriach), którym płaci się za to, że patrzą za Ciebie w gwiazdy, zostaw to im. Co do nocy, zrób to, co Opatrzność chciała, abyś robiła nocą, kiedy wyposażała Cię w powieki – idź spać.

Oddana Ci,

Maria Oldershaw”.

4. List Czcigodnego Decimusa Brocka do Oziasa Midwintera

„Probostwo Bascombe, zachodnie Somerset, czwartek, 8 lipca

Mój drogi Midwinterze!

Jedno zdanie nim odjedzie poczta, aby uwolnić Cię od wszelkiego poczucia obowiązku w Thorpe Ambrose i przekazać moje przeprosiny damie, która mieszka jako guwernantka z rodziną majora Milroya.

Panna Gwilt, albo raczej kobieta, która się za nią podaje, ku mojemu najwyższemu zdumieniu otwarcie pojawiła się tutaj, w mojej własnej parafii! Mieszka w gospodzie, w towarzystwie wiarygodnie wyglądającego człowieka, który uchodzi za jej brata. Co ma naprawdę oznaczać ten bezczelny ruch, chyba że stanowi nowy krok w intrydze przeciwko Allanowi, powzięty pod wpływem jakiegoś nowego pomysłu, tego nie mogę rzecz jasna na razie dociec.

Zgaduję, że uzmysłowili sobie, iż nie osiągną Allana, nie natrafiając na swojej drodze na przeszkodę w postaci mnie (lub Ciebie), i że będą chcieli wykorzystać sytuację, śmiało próbując skontaktować się z nim przeze mnie. Mężczyzna wygląda na zdolnego do każdej zuchwałości i zarówno on, jak i kobieta mieli czelność ukłonić mi się, kiedy spotkałem ich w wiosce pół godziny temu. Zdążyli już rozpytywać o matkę Allana tutaj, gdzie jej przykładne życie może pomyślnie przejść najbardziej skrupulatną kontrolę. Jeśli tylko spróbują wyłudzić pieniądze jako cenę za milczenie kobiety na temat zachowania biednej pani Armadale na Maderze w związku z jej zamążpójściem, przekonają się, że jestem dobrze przygotowany na taką ewentualność. Posyłam tą pocztą wiadomość do moich prawników, aby przysłali mi kogoś kompetentnego do pomocy. Zostanie na probostwie w charakterze kogokolwiek, za kogo uzna za stosowne uchodzić w obecnej sytuacji.

Za dzień lub dwa napiszę, co się wydarzyło.

Zawsze szczerze oddany,

Decimus Brock”.

XII. CHMURY NAD THORPE AMBROSE

Minęło dziewięć dni, a dziesiąty właśnie się kończył, od czasu, gdy panna Gwilt i jej uczennica wybrały się na pamiętny poranny spacer po ogrodzie.

Noc była pochmurna. Od chwili, gdy zaszło słońce, na niebie ukazywały się znaki, które w powszechnej opinii zwiastują deszcz. Pokoje gościnne w rezydencji były puste i ciemne. Allan wyszedł, spędzał wieczór u Milroyów, a Midwinter czekał jego powrotu – nie tam, gdzie zwykle, pośród książek w bibliotece, ale w małym pokoiku na tyłach domu, który zajmowała matka Allana w ostatnich dniach pobytu w Thorpe Ambrose.

Od czasu gdy Midwinter po raz pierwszy ujrzał ten pokój, niczego w nim nie ubyło, a wiele rzeczy dodano. Książki, które pozostawiła pani Armadale, meble, stara mata na podłodze, ta sama tapeta na ścianach – wszystko pozostało tak, jak było. Figurka Niobe nadal stała na podpórce, a podłużne okno nadal otwierało się na ogród. Teraz jednak do pamiątek pozostałych po matce dodano osobiste przedmioty należące do jej syna. Ścianę, dotąd pustą, zdobiły akwarele: portret pani Armadale wiszący pomiędzy widokiem dawnego domu w hrabstwie Somerset a przedstawieniem jachtu. Obok książek zawierających zapiski sporządzone wyblakłym atramentem, pochodzących „od mojego ojca”, pojawiły się inne książki, z zapiskami skreślonymi tą samą ręką, ale świeższym atramentem, dedykowane „mojemu synowi”. Niezliczone drobiazgi – wiszące na ścianach, ustawione na kominku, rozrzucone na stole, jedne pamiętające dawne życie Allana, inne towarzyszące mu w codziennych rozrywkach i zajęciach – wszystkie dobitnie świadczyły o tym, że pokój, który zwykle zajmował w Thorpe Ambrose, był tym

samym pokojem, który niegdyś przypomniał Midwinterowi drugą wizję ze snu. To tu, dziwnie niewzruszony otoczeniem, które jeszcze do niedawna było przedmiotem zabobonnej nieufności, przyjaciel Allana czekał teraz na jego powrót. Ze zdumieniem patrzył on na zmianę wystroju, która dokonała się wyłącznie dzięki niemu. To on przecież ujawnił odkrycie, którego dokonał pierwszego ranka w nowym domu. Jego własny, dobrowolny czyn skłonił Allana do urządzenia się w pokoju matki.

Co sprawiło, że powiedział mu o tym? Nic, co nie wynikałoby naturalnie z jego nowych zainteresowań i nowych nadziei, które żywił. Nie byłby sobą, gdyby ukrył przed Allanem całkowitą zmianę, jaka zaszła w jego przekonaniach po pamiętnym wydarzeniu, kiedy to stanął twarzą w twarz z panną Gwilt. Powiedział o tej zmianie otwarcie, tak jak zwykł był mówić. Wzdragał się przed ogłoszeniem swojego zwycięstwa polegającego na pokonaniu własnej przesądności, nim wpierył bezlitośnie nie obnażył jej najsłabszych punktów.

Dopiero wtedy, gdy w pełni przyznał się do impulsu, pod wpływem którego zostawił Allana nad Hurle Mere, swoje zwycięstwo mógł uznać za nowy punkt widzenia, z którego mógł postrzegać sen. Dopiero teraz mówił o spełnieniu się pierwszej wizji tak, jak mógłby o niej rozprawiać lekarz z Wyspy Man. Zadał pytanie, które mógłby zadać tamten: co było dziwnego w tym, że zobaczyli staw o zachodzie słońca, kiedy wszędzie wokół, w zasięgu kilku godzin jazdy, mieli całą sieć stawów? I co takiego niezwykłego było w tym, że zobaczyli kobietę stojącą nad Hurle Mere, jeśli prowadziły do niego drogi, w pobliżu znajdowały się wioski, pływały po nim łodzie i odwiedzały go wycieczki? A zatem znowu czekał z uzasadnieniem nowej perspektywy, z której patrzył w przyszłość, do czasu, aż najpierw ujawni wszystkie błędy przeszłości, jakie teraz dostrzegał. Zlekceważenie interesów przyjaciela, okazanie się niegodnym zaufania, jakie ten okazał, dając mu posadę zarządcy, bycie niepomnym na pokładaną w nim ufność pana Brocka – wszystkie one, implikowane w jednym pomysłu opuszczenia Allana – zostały wytknięte. Potem z kolei zostały bezlitośnie obnażone rażące sprzeczności objawiające się przyjęciem tezy, że sen jest ujawnieniem fatum, a zarazem próbą ucieczki przed tym fatum za sprawą aktu wolnej woli; wysiłkami, by przyswoić

sobie znajomość obowiązków zarządcy na przyszłość, a zarazem niedopuszczeniem, aby owa przyszłość zastała go w domu Allana. Przyznał się do każdego błędu, do każdej niespójności, zanim odważył się zwrócić z ostatnią zamykającą wszystko prośbą: „Czy zaufasz mi w przyszłości? Czy przebaczysz i zapomnisz o tym, co było?”.

Człowiek, który tak całkowicie otworzył swoje serce, nie ukrywając niczego przez wzgląd na siebie, nie mógł zapomnieć o żadnym drobnym niedopowiedzeniu, którego mógł stać się winny wobec przyjaciela za sprawą własnej słabości. Na sumieniu Midwintera mocno ciążyła świadomość, że zataił przed Allanem odkrycie, które powinien był ujawnić w najlepszym interesie Allana – odkrycie pokoju jego matki.

Jedna tylko wątpliwość nadal krępować mu język – mianowicie, czy poczynania pani Armadale na Maderze nie zostały ujawnione po jej powrocie do Anglii.

Ostrożny wywiad, najpierw wśród służących, potem najemców, uważne przysłuchanie się kilku relacjom z tamtych lat powtórzonym przez tych kilka osób, które je pamiętały, przekonały go ostatecznie, że sekrety nie wyszły poza krąg rodziny. Upewniony w tym, że jakiegokolwiek pytania, jakie mógłby zadać syn, nie doprowadzą do odkrycia mogącego splamić pamięć matki, Midwinter dłużej się nie wahał. Powiedział otwarcie: „Nie powiedziałem ci o tym wcześniej tylko dlatego, że bałem się obudzić w Tobie zainteresowanie pokojem, na który patrzyłem ze zgrozą jako drugą ze scen pojawiających się w śnie. Wybacz mi i to, a wybaczysz mi wszystko”.

Wziąwszy pod uwagę cześć Allana dla pamięci matki, wyznanie to mogło mieć tylko jeden skutek. Od początku spodobał mu się ten pokój, stanowiący miłą przeciwwagę dla przytłaczającego przepychu innych pokoi w Thorpe Ambrose, a teraz, kiedy dowiedział się, jakie łączą się z nim wspomnienia, z miejsca podjął decyzję, aby urządzić go specjalnie dla siebie. Tego samego dnia wszystkie jego przedmioty osobiste zostały zebrane i umieszczone w pokoju matki – w obecności Midwintera i przy jego pomocy.

W takich oto okolicznościach dokonała się obecna zmiana wystroju i w taki też sposób – czyniąc z Allana codziennego lokatora pokoju, do którego inaczej może

wcale by nie wchodził – zwycięstwo Midwintera nad własnym fatalizmem ułatwiło spełnienie się drugiej wizji ze snu.

Czas włókł się ospale, gdy przyjaciel Allana siedział, czekając na jego powrót. Nie dręczyły go teraz żadne dokuczliwe troski, żadne złowróźbne wątpliwości. Dzień poboru czynszu, którego tak się bał, nastał i minął niegroźnie. Między Allanem a jego najemcami nawiązały się przyjaźniejsze relacje, pan Bashwood okazał się godny pokładanego w nim zaufania, a Pedgiftowie, ojciec i syn, w pełni zasłużyli na dobrą opinię ich klienta. Gdzie by nie spojrzął Midwinter, przyszłość rysowała się w jasnych kolorach, na horyzoncie nie widać było ani jednej chmurki.

Przyciął knot lampy naftowej na stole obok i wyjrzał w noc. Kiedy podchodził do okna, zegar stajenny wybijał wpół do dwunastej i z nieba zaczynały spadać pierwsze krople deszczu. Trzymał już rękę na dzwonku, by wezwać służącego i posłać go z parasolem do domku, ale powstrzymał go odgłos znajomych kroków na alejce.

– Jak późno przychodzisz! – powiedział Midwinter, kiedy Allan wszedł do środka przez otwarte drzwi werandowe. – Czyżby w domku było przyjęcie?

– Nie! Byliśmy tylko my. Czas tak szybko przeleciał – odparł cichszym niż zwykle głosem i z westchnieniem opadł na krzesło.

– Wydajesz się nie w humorze – ciągnął Midwinter. – Co się stało?

Allan się zawahał.

– Właściwie mogę ci powiedzieć – powiedział po chwili. – Nie ma się czego wstydzić. Dziwię się tylko, że wcześniej nie zauważyłeś. Chodzi o kobietę, jak zwykle. Zakochałem się.

Midwinter zaśmiał się.

– Czy panna Milroy była dziś bardziej urocza niż zazwyczaj? – zapytał wesoło.

– Panna Milroy! – powtórzył Allan. – Co ty sobie myślisz? Nie jestem zakochany w panie Milroy.

– A więc w kim?

– W kim! Co za pytanie! W kimże by innym, jak nie w panie Gwilt?

Nagle zaległa cisza. Allan siedział obojętnie z rękami w kieszeniach, patrząc przez otwarte okno na deszcz. Gdyby wspomniawszy nazwisko panny Gwilt,

odwrócił się do przyjaciela, mógłby być lekko zaskoczony zmianą, jaka zaszła w jego wyrazie twarzy.

– Pewnie tego nie pochwalasz? – rzekł po chwili wyczekiwania.

Nie było odpowiedzi.

– Za późno na sprzeciwy – ciągnął Allan. – Mówię poważnie, że jestem w niej zakochany.

– Dwa tygodnie temu byłeś zakochany w panie Milroy – odrzekł tamten spokojnie i z namysłem.

– Phi! To był zwykły flirt. Tym razem jest inaczej. O panie Gwilt myślę poważnie.

Obejrzał się, mówiąc. Midwinter natychmiast odwrócił twarz i pochylił się nad książką.

– Widzę, że tego nie pochwalasz – ciągnął Allan. – Masz coś przeciwko temu, że jest tylko guwernantką? Jestem pewien, że nie. Gdybyś ty był na moim miejscu, fakt, że jest tylko guwernantką, nie przeszkadzałby ci?

– Nie – powiedział Midwinter. – Nie, mogę szczerze powiedzieć, że to by mi przeszkadzało.

Udzielił tej odpowiedzi niechętnie i odsunął krzesło poza krąg światła lampy.

– Guwernantka to dama, która nie jest bogata – stwierdził Allan sentencjonalnie – a księżna to dama, która nie jest biedna. To jedyna różnica, jaką uznaję między nimi. Panna Gwilt jest starsza ode mnie, nie przeczę. Ile lat byś jej dał, Midwinter? Ja bym powiedział, że dwadzieścia siedem lub osiem. Co ty na to?

– Nic. Zgadza się z tobą.

– Myślisz, że dwadzieścia siedem lub osiem lat to dla mnie za dużo? Gdybyś ty się zakochał, nie uważałbyś, że to za dużo, prawda?

– Nie twierdzę, że byłoby to za dużo, gdybym...

– Gdybyś był w niej naprawdę zakochany?

Po raz kolejny nie było odpowiedzi.

– A zatem – podjął Allan – jeśli nie ma nic złego w tym, że jest tylko guwernantką i że jest nieco starsza ode mnie, jakie masz zastrzeżenie do panny

Gwilt?

– Nie zgłaszałem zastrzeżeń.

– Nie mówię, że zgłaszałeś. Ale wydaje mi się, że nie podoba ci się mój zamiar.

Znowu nastąpiła chwila ciszy. Midwinter pierwszy przerwał milczenie.

– Jesteś pewien, Allanie? – zapytał z twarzą ponownie pochyloną nad książką. – Jesteś naprawdę przywiązany do tej kobiety? Czy myślałeś już poważnie o tym, żeby się jej oświadczyć?

– Myślę o tym poważnie nawet w tej chwili – powiedział Allan. – Nie mogę być szczęśliwy... nie mogę bez niej żyć. Na moją duszę, wielbię nawet ziemię, po której stąpa!

– Od jak dawna... – głos mu się załamał i urwał. – Od jak dawna – powtórzył – wielbisz ziemię, po której stąpa?

– Dłużej, niż myślisz. Wiem, że mogę powiedzieć ci wszystko...

– Nie mów mi!

– Nonsens! Powiem ci. Jest pewien mały problem, o którym ci jeszcze nie wspominałem. To delikatna sprawa i chcę się ciebie poradzić. Mówiąc między nami, spotykałem się z panną Gwilt na osobności...

Midwinter zerwał się nagle na równe nogi i otworzył drzwi.

– Porozmawiamy o tym jutro – rzekł. – Dobranoc.

Allan obejrzał się zaskoczony. Drzwi się zamknęły i został sam w pokoju.

– Nawet nie uścisnął mi ręki! – zawołał Allan, patrząc w osłupieniu na puste krzesło.

Gdy słowa te padły z jego ust, drzwi się otwały i znów pojawił się Midwinter.

– Nie uścisnęliśmy sobie rąk – powiedział obcesowo. – Niech cię Bóg błogosławi, Allanie! Porozmawiamy o tym jutro. Dobranoc.

Allan stał samotnie w oknie, patrząc na strugi deszczu. Nie wiedzieć czemu, czuł się nieswojo. „Midwinter zachowuje się coraz dziwniej”, pomyślał. „Do czego zmierza, odkładając rozmowę na jutro, skoro ja chciałem porozmawiać z nim dzisiaj?” Wziął swoją sypialnianą świecę z pewną irytacją, znów ją postawił i, wróciwszy do otwartego okna, stanął, patrząc w kierunku domku.

– Ciekawe, czy o mnie teraz myśli? – powiedział cicho do siebie.

Myślała o nim. Przed chwilą otworzyła biurko, aby napisać list do pani Oldershaw, a jej pióro właśnie w tym momencie skreśliło pierwszą linijkę: „Możesz być spokojna. Mam go!”.

XIII. WYJŚCIE

Padło całą noc i kiedy nastał ranek, deszcz nadal padał.

Inaczej niż miał w zwyczaju, gdy Allan wszedł do pokoju śniadaniowego, Midwinter już tam czekał. Wyglądał na znużonego, ale jego uśmiech był łagodniejszy, a sposób bycia bardziej opanowany niż zwykle. Ku zdziwieniu Allana sam powrócił do ostatniej rozmowy, skoro tylko służący wyszedł z pokoju.

– Obawiam się, że wydałem ci się wczorajszego wieczoru bardzo poirytowany i szorstki – rzekł. – Postaram się to zrekompensować dziś rano. Wysłucham wszystkiego, co masz mi do powiedzenia na temat panny Gwilt.

– Nie chciałbym cię niepokoić – rzekł Allan. – Wyglądasz tak, jakbyś źle spał.

– Od jakiegoś czasu nie śpię dobrze – odparł Midwinter cicho. – Coś jest ze mną nie tak. Ale myślę, że znalazłem sposób, by wrócić do siebie, nie trapiąc lekarzy. Dziś przed południem powiem ci o tym coś więcej. Najpierw powróćmy do tego, o czym mówiłeś wczoraj wieczorem. Mówiłeś o jakimś problemie... – zawahał się i dokończył tak cicho, że Allan go nie usłyszał. – Może byłoby lepiej – ciągnął – gdybyś zamiast rozmawiać ze mną porozmawiał z panem Brockiem?

– Wolałbym porozmawiać z tobą – rzekł Allan. – Ale najpierw powiedz mi, czy miałem rację, czy nie, gdy wczoraj wieczorem zdawało mi się, że nie pochwalasz mojego uczucia do panny Gwilt?

Szczupłe, ruchliwe palce Midwintera zaczęły kruszyć chleb na talerzu. Jego wzrok po raz pierwszy uciekł przed wzrokiem Allana.

– Jeśli masz jakieś zastrzeżenia – naciskał Allan – chciałbym o nich wiedzieć.

Midwinter nagle podniósł wzrok. Jego policzki stały się blado popielate, a błyszczące czarne oczy utkwili wprost w twarzy Allana.

– Kochasz ją – powiedział. – Czy ona kocha ciebie?

– Nie pomyślisz, że jestem próżny? – odparł Allan. – Mówiłem ci wczoraj, że spotykałem się z nią sam na sam...

Midwinter znów spuścił wzrok na okruchy leżące na talerzu.

– Rozumiem – wtrącił pośpiesznie. – Wczoraj się myliłeś. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

– Nie pogratulujesz mi? – zapytał Allan. – Taka piękna kobieta! Taka mądra!

Midwinter wyciągnął dłoń.

– Jestem ci winien więcej niż tylko gratulacje – rzekł. – We wszystkim, co służy twojemu szczęściu, winien ci jestem pomoc.

Ujął dłoń Allana i mocno ją uściskał.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytał, blednąc coraz bardziej.

– Drogi przyjacielu – zawołał Allan – co z tobą? Twoja ręka jest zimna jak lód.

Midwinter uśmiechnął się blado.

– Ciągle popadam w skrajności – rzekł. – Moja ręka była gorąca jak ogień, kiedy po raz pierwszy dotknąłeś jej w gospodzie. Powiedz mi o tym problemie, o którym jeszcze mi nie mówiłeś. Jesteś młody, bogaty, sam sobie panem... a ona cię kocha. Gdzie tu jest problem?

Allan się zawahał.

– Sam nie wiem, jak to powiedzieć – odparł. – Tak jak powiedziałaś, Kocham ją, a ona mnie. A jednak jest między nami jakaś obcość. Kiedy ktoś się zakocha, dużo o sobie opowiada, przynajmniej ja tak robię. Powiedziałem jej wszystko o mnie i mojej matce, jak wszedłem w posiadanie tego miejsca i całą resztę. No więc, chociaż nie dziwi mnie to, gdy jesteśmy razem, to czasami, gdy jestem z dala od niej, nachodzi mnie myśl, że ona nie mówi zbyt dużo o sobie. Tak naprawdę nie wiem o niej więcej od ciebie.

– Masz na myśli to, że nie wiesz nic o rodzinie i przyjaciółkach panny Gwilt?

– Właśnie.

– Nigdy jej o to nie pytałeś?

– Wspomniałem coś o tym któregoś dnia – odparł Allan – i obawiam się, że jak

zwykle powiedziałem coś nie tak. Wyglądała na... nie potrafię powiedzieć, na jaką, może nie niezadowoloną, ale... och, co za kłopot z tymi słowami! Oddałbym wszystko, Midwinter, żebym tylko potrafił znaleźć odpowiednie słowo, kiedy go potrzebuję, równie łatwo jak ty.

– Czy panna Gwilt coś ci odpowiedziała?

– Właśnie do tego zmierzałem. Powiedziała: „Pewnego dnia opowiem panu smutną historię, panie Armadale, o mnie i mojej rodzinie, ale wygląda pan na tak radosnego, a okoliczności tej sprawy są tak niepokojące, że nie mam serca wspominać o nich teraz”. Ach, jak ona potrafi się wyrażać – ze łzami w oczach, drogi przyjacielu, ze łzami w oczach! Od razu zmieniłem temat, rzecz jasna. Pytanie, jak do tego teraz delikatnie wrócić, żeby znów nie płakała. Bo musimy do tego wrócić. Nie ze względu na mnie. Ja mogę równie dobrze najpierw się z nią ożenić, a potem dowiedzieć o nieszczęściach rodzinnych biedaczki. Ale znam pana Brocka. Jeśli nie poinformuję o jej rodzinie, kiedy będę pisał list, aby mu powiedzieć (co oczywiście muszę zrobić), będzie przeciwny wszystkiemu. Jestem panem siebie, rzecz jasna, i mogę robić, co mi się podoba. Ale poczciwy stary Brock był tak dobrym przyjacielem mojej matki i tak dobrym moim przyjacielem... wiesz, co mam na myśli, prawda?

– Oczywiście, Allanie. Pan Brock był dla ciebie drugim ojcem. Jakikolwiek nieporozumienie między wami w tak poważnej sprawie byłoby najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się zdarzyć. Powinieneś go przekonać, że panna Gwilt jest (a jestem przekonany, że taką się okaże) godna, pod każdym względem godna...

Głos go zawiódł i pozostawił zdanie niedokończone.

– Dokładnie tak samo myślałem! – wtrącił Allan bez zająknienia. – Teraz możemy przejść do sprawy, w której szczególnie chciałem się ciebie poradzić. Jeśli chodziłoby o ciebie, Midwinter, potrafiłbyś dobrać właściwe słowa w rozmowie z nią; ująłbyś to delikatnie, nawet gdybyś poruszał się po omacku. Ja tak nie potrafię. Niezdarny ze mnie człowiek i strasznie się boję, że jeśli nie poznam choć odrobiny prawdy, która da mi jakiś punkt zaczepienia, powiem coś, co ją zmartwi. Nieszczęścia rodzinne to takie drażliwe sprawy, zwłaszcza w przypadku tak wyrafinowanej, tak wrażliwej kobiety jak panna Gwilt. Może w jej rodzinie była

jakaś straszna śmierć, jakiś krewny, który się skompromitował, jakieś diabelne okrucieństwo, które zmusiło biedaczkę do wyruszenia w świat i zarabiania jako guwernantka. No więc, kiedy o tym myślałem, przyszło mi do głowy, że major może mnie naprowadzić na właściwy trop. Całkiem możliwe, że słyszał o sytuacji rodzinnej panny Gwilt, zanim ją zatrudnił, prawda?

– To jest możliwe, Allanie, z pewnością.

– I znów myślimy podobnie! Mam pomysł, żeby porozmawiać z majorem. Gdybym tylko zdołał wydobyć od niego najpierw tę historię, o ileż lepiej bym wiedział, jak rozmawiać o niej później z panną Gwilt. Radzisz mi zapytać majora, czy tak?

Zanim Midwinter odpowiedział, nastąpiła chwila ciszy. Kiedy zaś odpowiedział, zrobił to z pewnym ociąganiem.

– Sam nie wiem, co ci doradzić, Allanie – rzekł. – To bardzo delikatna sprawa.

– Myślę, że spytałbyś majora, będąc na moim miejscu – odparł Allan, powracając do swego charakterystycznego sposobu zadawania pytań.

– Być może – powiedział Midwinter z coraz większą niechęcią. – Ale gdybym faktycznie rozmawiał z majorem, na twoim miejscu bardzo bym uważał, aby nie postawić się w niezręcznej sytuacji. Byłbym bardzo ostrożny, aby nikt nie posądził mnie o to, że jestem na tyle nikczemny, by wtrącać się w sekrety kobiety za jej plecami.

Twarz Allana spłonęła rumieńcem.

– Wielkie nieba, Midwinter – zawołał – kto mógłby mnie o to posądzać?

– Nikt, kto naprawdę dobrze cię zna.

– Major mnie zna. Major jest ostatnią osobą na świecie, która mogłaby mnie źle zrozumieć. Wszystko, czego oczekuję, to żeby pomógł mi (jeśli może) pomówić z panną Gwilt na delikatny temat, nie raniąc jej uczuć. Czy może być coś prostszego między dwoma dżentelmenami?

Zamiast odpowiedzieć Midwinter, nadal mówiąc w wymuszony sposób, sam zadał pytanie:

– Czy masz zamiar powiedzieć majorowi – rzekł – jakie są twoje prawdziwe

zamiary względem panny Gwilt?

Zachowanie Allana zmieniło się. Zawahał się i wyglądał na zmieszanego.

– Myślałem o tym – odparł – i zamierzam najpierw zrobić rozeznanie, a potem powiedzieć mu lub nie, zależnie od obrotu spraw.

Tak ostrożne działanie zbyt mocno nie licowało z charakterem Allana, by nie wzbudzić zdziwienia w każdej osobie, która go znała. Midwinter jawnie okazał swoje zdziwienie.

– Zapominasz o tym głupim flircie z panną Milroy – ciągnął Allan, z coraz większym zmieszaniem. – Major mógł go zauważyć i pomyśleć sobie, że zamierzam... cóż, coś, czego nie zamierzałem. Mogłoby być niezręcznie prosić wprost o rękę jego guwernantki zamiast o rękę córki, nieprawdaż?

Czekał na odpowiedź, ale nie padła. Midwinter otworzył usta, aby przemówić, i nagle się powstrzymał. Allan, skrępowany jego milczeniem, podwójnie skrępowany pewnymi wspomnieniami o córce majora, które wywołała rozmowa, wstał od stołu i z lekkim zniecierpliwieniem skrócił konwersację.

– No, dalej! – wykrzyknął. – Siedzisz i wyglądasz tak, że nie da się opisać. Nie rób z igły widły. Masz młode ramiona, a na nich taką strasznie starą głowę. Skończmy z tymi za i przeciw. Czy chcesz mi powiedzieć wprost, że rozmowa z majorem nic nie da?

– Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności powiedzenia ci tego, Allanie. Mówiąc jeszcze bardziej wprost, nie mogę ręczyć za trafność żadnej rady, którą mógłbym ci dać w... w naszym obecnym położeniu względem siebie. Jestem pewien tylko tego, że nie pomylę się, prosząc cię o dwie rzeczy.

– Jakie to?

– Jeśli będziesz rozmawiał z majorem Milroyem, pamiętaj, proszę, o przestrodze, którą ci dałem! Proszę, pomyśl, zanim coś powiesz!

– Pomyślę, bez obaw! Co dalej?

– Zanim podejmiesz jakieś poważne kroki w tej sprawie, napisz do pana Brocka. Obiecujesz, że to zrobisz?

– Z całego serca. Coś jeszcze?

– Już nic. Skończyłem.

Allan skierował się w stronę drzwi.

– Chodź do mojego pokoju – powiedział – poczęstuję cię cygarem. Zaraz zjawią się tu służący, aby uprzątnąć ze stołu, a ja chcę jeszcze porozmawiać o panie Gwilt.

– Nie czekaj na mnie – odparł Midwinter. – Przyjdę za kilka minut.

Pozostał na krześle, dopóki Allan nie zamknął drzwi, potem wstał i z kąta pokoju, gdzie leżał ukryty za zasłoną, wyjął plecak gotowy do drogi. Kiedy stał w oknie, rozmyślając, z plecakiem w dłoni, jego twarz przybrała dziwnie starchy, stroskany wyraz. Zdawało się, że w jednej chwili uszła z niego cała młodość.

To, co kobieca intuicja odkryła wiele dni wcześniej, mniejsza spostrzegawczość mężczyzny dostrzegła dopiero ostatniego wieczoru. Ukłucie, jakie poczuł w sercu, słysząc wyznanie Allana, po raz pierwszy uświadomiło Midwinterowi prawdę. Zdawał sobie sprawę, że przy kolejnym spotkaniu po pamiętnej rozmowie w ogrodzie majora patrzy na pannę Gwilt innym wzrokiem i inaczej o niej myśli, ale nigdy dotąd nie brał namiętności, jaką w nim wzbudzała, za to, czym naprawdę była. Kiedy wreszcie zdał sobie z niej sprawę i świadomie poczuł, jak całkowicie nim owładnęła, zdobył się na odwagę, której nie miałby żaden człowiek o przyjemniejszych doświadczeniach życiowych – odwagę, by przypomnieć sobie, z czego zwierzył mu się Allan, i zdecydowanie spojrzeć w przyszłość przez pryzmat swoich pełnych wdzięczności wspomnień.

Podczas bezsennych godzin nocnych niezachwianie przekonywał samego siebie, że ze względu na Allana musi przezwyciężyć namiętność, jaka nim owładnęła, i że jedynym sposobem, aby to zrobić, jest odejście. Gdy nadszedł ranek, nie targały nim żadne wątpliwości co do poświęcenia, jakiego miał dokonać, i teraz również ich nie odczuwał. Jediną kwestią, która sprawiała, że się wahał, była kwestia opuszczenia Thorpe Ambrose. Choć list pana Brocka uwolnił go od konieczności wypatrywania w hrabstwie Norfolk kobiety, o której wiadomo było, że przebywa w Somerset, choć obowiązki zarządcy mogły być z powodzeniem powierzone w sprawdzone i godne zaufania ręce pana Bashwooda, to nadal, biorąc pod uwagę powyższe względy, niepokoiła go myśl o tym, że ma zostawić Allana w przełomowym momencie życia.

Luźno przerzucił sobie plecak przez ramię i po raz pierwszy spytał się swojego sumienia: „Czy możesz sobie dowierzać, widząc ją dzień po dniu, tak jak będziesz musiał ją widzieć – czy możesz sobie dowierzać, słysząc, jak o niej mówi, godzina po godzinie, tak jak będziesz musiał go słyszeć – jeśli zostaniesz w tym domu?”. I znów nasunęła się odpowiedź, ta sama co w ciągu nocy. I znów serce przestrzegło go, by dla dobra przyjaźni, będącej dla niego świętością, wyjechał póki czas, zanim kobieta, która zdobyła jego miłość, nie pozbawi go zdolności do poświęcenia i odczuwania wdzięczności.

Przed wyjściem rozejrzał się machinalnie po pokoju. Każde wspomnienie rozmowy, która miała przed chwilą miejsce między nim a Allanem, nasuwało jeden i ten sam wniosek i ponaglało go, podobnie jak sumienie, do odejścia.

Czy otwarcie powiedział o zastrzeżeniach, jakie on czy inny człowiek musiał mieć do miłości Allana? Czy znając niefrasobliwy charakter swego przyjaciela, ostrzegł Allana, by nie szedł za chwilowym impulsem i poddał się próbie czasu oraz rozłąki, zanim upewni się, że szczęście jego życia zależy od panny Gwilt? Nie. Wątpliwość, czy wspominając o tych rzeczach, przemawiałby bezinteresownie, zamknęła mu usta i zamknie mu usta na przyszłość, aż minie czas, by przemówić. Czy człowiek, który oddałby wszystko, aby znaleźć się na miejscu Allana, był właściwą osobą, by go powstrzymywać? W sytuacji, w której się znajdował, dla uczciwego i wdzięcznego człowieka było tylko jedno wyjście. Będąc daleko od okazji do widzenia jej i słyszenia o niej, sam na sam z wiernym wspomnieniem o tym, co winien jest przyjacielowi, mógł mieć nadzieję przewyciężyć uczucie, tak jak w dzieciństwie przewyciężył łzy wyciśnięte kijem cygańskiego pana i jak przewyciężył nędzę młodzieńczej samotności w prowincjonalnej księgarni.

– Muszę iść – rzekł, odwracając się ociężale od okna – zanim wróci do domu. Muszę iść, nim minie kolejna godzina.

Z tym postanowieniem wyszedł z pokoju i, robiąc to, postawił nieodwracalny krok z teraźniejszości w przyszłość.

Deszcz nadal padał. Chmury zakrywające całe niebo nadal zwieszały się nisko, ciemne i ciężkie od wody, gdy gotowy do podróży Midwinter pojawił się w pokoju Allana.

– Wielkie nieba! – zawołał Allan, wskazując na plecak. – Co to ma znaczyć?

– Nic szczególnie niezwykłego – rzekł Midwinter. – Tylko „do widzenia”.

– Do widzenia?! – powtórzył Allan, w osłupieniu zrywając się na równe nogi.

Midwinter łagodnie usadził go z powrotem i przyciągnął krzesło dla siebie.

– Kiedy zauważyłeś dziś rano, że wyglądam źle – odezwał się – powiedziałem ci, że obmyślam sposób, aby wrócić do zdrowia, i że mam zamiar porozmawiać z tobą o tym później. Teraz jest to później. Od jakiegoś czasu jestem, jak to się mówi, nie w sosie. Sam to zauważyłeś, Allanie, więcej niż raz i przez twoją zwykłą uprzejmość usprawiedliwiłeś tym wiele rzeczy w moim zachowaniu, które inaczej byłyby niewybaczalne, nawet w twoich życzliwych oczach.

– Drogi przyjacielu – wtrącił Allan – nie chcesz chyba powiedzieć, że wybierasz się na pieszą wycieczkę w strugach deszczu!

– Co mi tam deszcz – odparł Midwinter. – Ja i deszcz to starzy przyjaciele. Wiesz coś na temat życia, jakie wiodłem, nim się spotkaliśmy, Allanie. Od dzieciństwa przyzwyczałem się do niewygód i złej pogody. Dniem i nocą, czasem całymi miesiącami, nie miałem dachu nad głową. Przez lata prowadziłem życie dzikiego zwierzęcia, a może raczej dzikusa, podczas gdy ty mieszkałeś szczęśliwy w domu. Nadal mam w sobie coś z włóczęgi: wędrownego zwierzęcia albo tułacza, sam nie wiem, z którego bardziej. Smuci cię, gdy mówię o sobie w ten sposób? Nie chcę cię smucić. Chcę tylko powiedzieć, że wygoda i zbytek życia tutaj to czasami za dużo, zdaje mi się, dla człowieka, któremu wszelkie wygody i zbytki są obce. Nie potrzebuję nic, aby wrócić do siebie, tylko więcej powietrza i ruchu, mniej sutych śniadań i obiadów, drogi przyjacielu. Pozwól mi wrócić do pewnych niewygód, do których ten komfortowy dom, jako że tak został stworzony, nigdy nie dopuści. Pozwól mi wyjść naprzeciw wiatrowi i złej pogodzie, tak jak to robiłem, będąc chłopcem, pozwól, że znów poczuję przez chwilę zmęczenie, nie mając pod ręką powozu, który by mnie zabrał, i głód, kiedy zapada noc, podczas gdy od kolacji dzielą mnie całe mile drogi. Daj mi tydzień lub dwa wędrówki, Allanie – na północ, do wrzosowisk Yorkshire – a obiecuję, że powrócę do Thorpe Ambrose, będąc lepszym towarzystwem dla ciebie i twoich przyjaciół. Wrócę, nim zdążysz się za mną stęsknić. Pan Bashwood zajmie się interesami w biurze. To tylko dwa tygodnie

i dobrze mi to zrobi; pozwól mi iść!

– Nie podoba mi się to – rzekł Allan. – Nie podoba mi się, że zostawiasz mnie tak niespodziewanie. Jest w tym coś dziwnego i mrocznego. Dlaczego nie spróbujesz jazdy konnej, jeśli potrzebujesz więcej ruchu? Wszystkie konie w stajni są do twojej dyspozycji. Tak czy owak, nie możesz iść dzisiaj. Popatrz, jak pada!

Midwinter spojrział w kierunku okna i lekko potrząsnął głową.

– Nic sobie nie robiłem z deszczu – rzekł – kiedy byłem zaledwie dzieckiem i pracowałem na chleb, tańcząc z psami. Dlaczego miałbym sobie robić coś z niego teraz? Moje przemoknięcie i twoje przemoknięcie to dwie zupełnie różne rzeczy, Allanie. Kiedy byłem pomocnikiem rybaka na Hebrydach, nie miałem na sobie suchej nitki przez całe tygodnie.

– Ale teraz nie jesteś na Hebrydach – nie ustępował Allan – a jutro wieczorem spodziewam się przyjaciół z domku. Nie możesz wyruszyć wcześniej niż pojutrze. Panna Gwilt ma nam jeszcze zagrać, a wiesz, jak ona gra.

Midwinter odwrócił się w bok, aby zapiąć sprzączki na paskach plecaka.

– Będzie okazja posłuchać panny Gwilt, kiedy wrócę – rzekł ze zwieszoną głową i rękami zajętymi dopinaniem plecaka.

– Masz jedną wadę, drogi kolego, i wydajesz się nią coraz bardziej obarczony – zaprotestował Allan. – Kiedy już raz przybierzesz sobie coś do głowy, jesteś najbardziej upartym człowiekiem na świecie. Nie da się przemówić ci do rozumu. Jeśli pójdziesz – dodał Allan, wstając nagle, podczas gdy Midwinter w milczeniu podniósł kapelusz i laskę – jestem niemal skłonny pójść z tobą i też spróbować trochę niewygód.

– Chodź ze mną! – podchwycił Midwinter z nagłą goryczą w głosie. – I zostaw pannę Gwilt!

Allan usiadł ponownie i przyjął sugestię z wiele mówiącym milczeniem. Nie odzywając się więcej ani słowem, Midwinter wyciągnął rękę na pożegnanie. Oboje byli głęboko poruszeni i każdy chciał koniecznie ukryć wzburzenie przed drugim. Allan schwycił się ostatniej deski ratunku, jaką pozostawiła mu nieugięta postawa przyjaciela: próbował złagodzić moment pożegnania za pomocą żartu.

– Coś ci powiem – rzekł. – Zaczynam mieć wątpliwości, czy wyleczyłeś się całkiem z wiary w sen. Podejrzewam, że jednak przede mną uciekasz!

Midwinter spojrzał na niego, nie będąc pewny, czy przyjaciel żartuje, czy mówi serio.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Co mi powiedziałaś – odparł Allan – kiedy zabrałaś mnie tu kiedyś i wyrzuciłaś to z siebie? Co mówiłaś o tym pokoju i drugiej wizji ze snu? Na Jowisza! – zawołał, raz jeszcze zrywając się na równe nogi – teraz, gdy przyglądam się jeszcze raz, oto jest druga wizja! W szybę bębnią krople deszczu, na zewnątrz jest trawnik i ogród kwiatowy, stoję tam, gdzie stałem we śnie, a ty tam, gdzie stał cień. Cała scena jest kompletna, w domu i poza nim, i tym razem ja to odkryłem!

Przez chwilę w obumarłej przesądności Midwintera znów zatliło się życie. Spłonił się i stanowczo, niemal zaciekle, przeciwstawił się konkluzji Allana.

– Nie! – rzekł, wskazując palcem na marmurową figurkę na podpórcie – scena nie jest kompletna, jak zwykle o czymś zapomniałaś. Tym razem sen się myli, dzięki Bogu, myli się całkowicie! W wizji, którą ujrzałaś, posążek leżał na podłodze rozbity na kawałki, a ty pochylałaś się nad nimi ze złością i smutkiem. Oto figurka stoi cała i bezpieczna! A ty nie masz w sobie ani krzty złości, prawda?

Odruchowo schwycił Allana za rękę. W tej samej chwili uzmysłowił sobie, że mówił i działał z taką powagą, jak gdyby nadal wierzył w sen. Rumieniec powrócił mu na policzki, a on odwrócił się w pełnym zmieszania milczeniu.

– Mówiłem ci? – zapytał Allan, śmiejąc się nieco nerwowo. – Tamta noc na wraku ciąży ci tak samo jak dawniej.

– Nic mi nie ciąży – zaripostował Midwinter w nagłym przypiływie irytacji – tylko plecak na plecach i czas, który tu tracę. Wyjdę i sprawdzę, czy się nie rozchmurza.

– Wrócisz? – wtrącił Allan.

Midwinter otworzył ogrodowe drzwi i wyszedł do ogrodu.

– Tak – powiedział, a ton jego głosu znów złagodniał – wrócę za dwa tygodnie. Do zobaczenia, Allanie, i powodzenia z panną Gwilt!

Zamknął za sobą drzwi i oddalił się, zanim jego przyjaciel zdążyłby otworzyć je znowu i ruszyć za nim.

Allan wstał i postąpił jeden krok w głąb ogrodu, potem zawahał się i wrócił na krzesło. Zbyt dobrze znał Midwintera, by nie wiedzieć, że próby pójścia czy wołania za nim okażą się całkowicie daremne. Odszedł i przez najbliższe dwa tygodnie nie było nadziei na to, że znów się pokaże. Minęła godzina, deszcz nadal padał, a niebo się nie rozchmurzało. Allana ogarniało coraz silniejsze poczucie samotności i przygnębienia na myśl o wszystkich ludziach, do zrozumienia i tolerowania których jego poprzednie życie zupełnie go nie przygotowało. Pod wpływem trwogi, jaką napawał go jego własny opustoszały dom, zadzwonił po kapelusz i parasol i postanowił poszukać schronienia w domku majora.

„Mogłem go kawałek odprowadzić”, pomyślał Allan, którego myśli nadal krążyły wokół Midwintera, gdy nakładał kapelusz. „Powiniennem był się upewnić, że mój dobry stary przyjaciel szczęśliwie wyruszy w podróż”.

Wziął parasol. Gdyby zauważył wyraz twarzy służącego, który go podawał, może zadałby kilka pytań i usłyszał pewne nowiny, mogące go obecnie zainteresować. Wyszedł jednak, nie patrząc na niego i nie domyślając się, że jego służący wiedzą więcej o ostatnich chwilach Midwintera w Thorpe Ambrose niż on sam. Mniej niż dziesięć minut wcześniej sklepikarz i rzeźnik zgłosili się po zapłatę za rachunki i widzieli, jak Midwinter wyruszał w podróż.

Najpierw, niedaleko od domu, spotkał go sklepikarz. Midwinter zatrzymał się w strumieniach deszczu, aby porozmawiać z małym, obdartym urwisem, utrapieniem okolicy. Zwyczajna zuchwałość chłopaka dała o sobie znać jeszcze bardziej niż zwykle na widok plecaka dżentelmena. Czymże odwzajemnił się dżentelmen? Zatrzymał się z zatroskaną miną i łagodnie położył obie ręce na ramionach chłopca. Sklepikarz widział to na własne oczy i słyszał na własne uszy, jak Midwinter mówi: „Biedny chłopcze! Wiem, jak wiatr szarpie, a deszcz moczy ciało przez potarganą kurtkę, lepiej niż większość tych, którzy mają na grzbiecie porządny płaszcz”. Z tymi słowami włożył rękę do kieszeni i nagrodził zuchwałość chłopaka szylingiem. „Pomyłony”, powiedział sklepikarz, dotykając czoła. „Oto co sądzę o przyjacielu pana Armadale’a”.

Rzeźnik spotkał go dalej, na drugim końcu miasteczka. Zatrzymał się – znów w strugach deszczu – tym razem, aby pochylić się nad czymś tak pospolitym jak na wpół żywy z głodu kundel drżący na progu. „Przyglądałem mu się”, powiedział rzeźnik, „jak pani myśli, co zrobił? Przeszedł przez ulicę prosto do mojego sklepu i kupił kawał mięsa odpowiedni dla chrześcijanina. Znakomicie. Mówi do widzenia i wraca z powrotem, po czym, daję słowo, klęka na mokrym progu, wyjmuje nóż, kroi mięso i daje je psu. Mięso, powtarzam, odpowiednie dla chrześcijanina! Nie jestem zatwardziały, proszę pani”, dokończył rzeźnik, zwracając się do kucharki, „ale mięso to mięso i dobrze zrobi przyjacielowi pani chlebowdawcy, jeśli doczeka chwili, w której za nim zatęskni”.

Odprowadzany w swojej samotnej wędrówce przez te stare, niezapomniane sympatie, Midwinter zostawił za sobą miasteczko i zniknął w mżącym deszczu. Sklepiarz i rzeźnik widzieli go jako ostatni i ocenili wielki charakter tak, jak wszystkie wielkie charaktery są oceniane z punktu widzenia sklepiarza i rzeźnika.

KONIEC KSIĘGI DRUGIEJ

KSIĘGA TRZECIA

I. PANI MILROY

Dwa dni po wyjeździe Midwintera z Thorpe Ambrose pani Milroy, zakończywszy toaletę poranną i odesławszy opiekunkę, pięć minut później ponownie ją przywołała i niecierpliwie spytała, czy nadeszła już poranna poczta.

– Poczta? – powtórzyła jak echo opiekunka. – Nie ma pani zegarka? Nie wie, że jest dobre pół godziny za wcześnie, aby pytać o listy?

Mówiła z pewną siebie zuchwałością służącej od dawna nawykłej do wykorzystywania niemocy i zależności swej pani. Pani Milroy z kolei zdawała się być nawykła do zachowania opiekunki. Wydawała polecenia spokojnie, nie zważając na ową zuchwałość.

– Kiedy przyjdzie listonosz – rzekła – spotkaj się z nim osobiście. Czekam na list, który powinien był przyjść dwa dni temu. Nie rozumiem tego. Zaczynam podejrzewać służących.

Opiekunka uśmiechnęła się pogardliwie.

– Kogo będzie pani podejrzewać w następnej kolejności? – zapytała. – Niech się pani nie kłopotuje. Dzisiaj to ja odpowiem na dzwonek przy furtce i zobaczymy, czy nie przyniosę pani listu, kiedy przyjdzie listonosz.

To powiedziawszy, takim tonem i w taki sposób, jakby uciszała marudne

dziecko, kobieta wyszła z pokoju, nie czekając, aż pani ją odprawi.

Gdy tylko została znowu sama, pani Milroy obróciła się wolno i ociężała na łóżku, pozwalając światłu wpadającemu przez okno oświetlić swoją twarz. Była to twarz kobiety niegdyś pięknej i nadal, jeśli chodzi o metrykę, znajdującej się w kwiecie wieku. Długotrwałe cierpienie fizyczne i przedłużające się napięcie nerwowe wycieńczyły ją, sprawiając, że, jak to się obrazowo mówi, zostały z niej skóra i kości. Całkowita ruina urody była zjawiskiem tym straszniejszym, że chora podejmowała desperackie próby ukrycia jej przed własnym wzrokiem, przed oczami męża i dziecka, a nawet opiekującego się nią lekarza, którego zadaniem było przeniknięcie prawdy. Głowa, z której wypadła większość włosów, stanowiłaby mniej wstrząsający widok niż okropna, młodzieńcza peruka, pod którą chora próbowała ukryć łysinę. Żadne pogorszenie cery, żadne zmarszczki nie byłyby tak niemiłe dla oka jak gruba warstwa różu na policzkach i biała emalia naklejona na czoło. Delikatna koronka i jaskrawa lamówka podomki, kokardy na czepku i pierścionki na kościstych palcach, wszystko to, co miało za zadanie odwrócić uwagę od zmiany, jaka w niej zaszła, przynosiło efekt wręcz przeciwny – podkreślało ją, prawem kontrastu czyniąc jeszcze bardziej beznadziejną i straszną niż w rzeczywistości. Na łóżku, z którego nie podnosiła się od lat, chyba że z pomocą opiekunki, leżał ilustrowany katalog mody, w którym kobiety prezentowały wytworne stroje za pomocą swobodnego ruchu kończyn. Obok książki, pod ręką, leżało lustro. Kiedy jej pomocnica wyszła z pokoju, chora wzięła do ręki lustro i spojrzała na swoją twarz z nieskrywaną ciekawością i uwagą, której powstydziliby się w wieku lat osiemnastu.

– Coraz starsza i coraz chudsza! – powiedziała. – Major wkrótce znów będzie wolnym mężczyzną, ale najpierw pozbędę się z domu tej rudej lafiryndy!

Opuściła lustro na narzutę i zacisnęła na nim dłoń. Nagle utkwiała wzrok w małym, narysowanym kredką portrecie męża wiszącym na przeciwległej ścianie. Patrzyła na podobiznę z zaciętą i okrutną bystrością, jaką mają oczy drapieżnego ptaka.

– Na stare lata gustujesz w rudym, prawda? – powiedziała do portretu. – Rude włosy i skrofuliczna cera, krągłości, krok baletnicy i zwinne palce kieszonkowca.

Panna Gwilt! Panna, z tymi oczami i tym krokiem!

Gwałtownie obróciła głowę na poduszce i wybuchnęła ochryłym, szyderczym śmiechem. „Panna!”, powtarzała w kółko z jadowicie uszczypliwym akcentem najbardziej bezlitosnej ze wszystkich znanych ludzkości form pogardy – pogardy jednej kobiety dla drugiej.

Czasy, w których żyjemy, nie uznają usprawiedliwienia dla żadnej ludzkiej istoty. Czy może być jakieś usprawiedliwienie dla pani Milroy? Pozwólmy, aby historia jej życia odpowiedziała na to pytanie.

Poślubiła majora w wyjątkowo młodym wieku i robiąc to, związała się z mężczyzną, który był na tyle stary, że mógł być jej ojcem; był człowiekiem w owym czasie cieszącym się zasłużoną opinią mężczyzny, który swobodnie korzystał ze swych zalet towarzyskich i wyglądu, otaczając się wianuszkami kobiet. Słabo wykształcona i ustępująca mężowi położeniem społecznym, początkowo przyjmowała jego awanse, ponieważ łechtały jej próżność, a potem podziałał na nią ten sam urok, który major Milroy w młodszym wieku roztaczał wobec kobiet nieskończenie prześcigających ją pod względem intelektu. Jego z kolei ujęło jej oddanie, ponadto był pod wrażeniem jej urody, świeżości i młodości. Aż do czasu, gdy ich jedynaczka skończyła osiem lat, pożycie małżeńskie państwa Milroyów było niezwykle udane. Wtedy to na rodzinę spadło podwójne nieszczęście: pogorszenie się stanu zdrowia żony oraz niemal całkowita utrata majątku męża, od tego momentu szczęście domowe małżonków praktycznie się skończyło.

Osiągnąwszy wiek, w którym mężczyźni przytłoczeni niedolą są, ogólnie rzecz biorąc, bardziej skłonni do rezygnacji niż walki, major zabezpieczył skromne pozostałości majątku, wycofał się na wieś i uciekł w majsterkowanie. Kobieta bliższa mu wiekiem albo lepiej wyedukowana i cierpliwsza z natury niż jego żona zrozumiałaby postępowanie męża i znalazła pocieszenie w jego pogodzeniu się. Pani Milroy nie znajdowała pocieszenia w niczym. Ani natura, ani wykształcenie nie dopomogły jej przyjąć z pokorą okrutnej niedoli, która spadła na nią w rozkwicie kobiecości i urody. Przekleństwo nieuleczalnej choroby złamało ją z miejsca i na całe życie.

Cierpienie może wydobyć z człowieka ukryte w nim zło, jak również dobro.

Dobro, które leżało w naturze pani Milroy, skurczyło się pod destruktywnym działaniem tej samej siły, która sprawiała, że zło rozkwitało. Miesiąc za miesiącem, w miarę jak stawała się coraz słabsza fizycznie, stawała się też coraz gorsza pod względem moralnym. Wszystko, co było w niej małoduszne, okrutne i obłudne, rozrastało się wprost proporcjonalnie do kurczenia się tego, co niegdyś było wielkoduszne, łagodne i prawdziwe. Dawne podejrzania, że mąż gotów jest powrócić do nawyków z czasów kawalerskich, o których otwarcie mu powiedziała, będąc jeszcze zdrowszą na ciele i umyśle, i które wcześniej czy później zawsze okazywały się bezpodstawne, teraz, gdy choroba ich rozdzieliła, powróciły w postaci owej nikczemnej małżeńskiej nieufności, która sprytnie się maskuje, zbiera jedna po drugiej zapalne iskry w stos i podpała w umyśle tłący się z wolna szal zazdrości. Żaden dowód, jaki stanowiło przykładne i spokojne życie męża, żadne odwołanie się do szacunku majorowej do samej siebie lub do dorastającej córki nie mogło rozproszyć potwornego urojenia zrodzonego z jej nieuleczalnej choroby i rozwijającego się stopniowo wraz z nią. Jak każde szaleństwo, miało ono swoje przyływy i odpływy, okresy dokuczliwego nasilenia i zwodniczej remisji, ale czynne czy bierne, nigdy jej nie opuszczało. Raniło niewinnych służących i znieważało Bogu ducha winnych nieznanomych. Wyciskało z oczu jej córki pierwsze łzy wstydu i żalu, a w twarzy męża żłobiło najgłębsze zmarszczki, jakie się w niej rysowały. Przez lata stanowiło sekretne utrapienie rodziny, teraz zaś miało wyjść poza jej krąg i wpłynąć na mające się wydarzyć wypadki w Thorpe Ambrose, które bezpośrednio dotyczyły przyszłości Allana i jego przyjaciela.

Rzut oka na sytuację rodzinną w domku poprzedzającą zatrudnienie nowej guwernantki jest nieodzowny dla właściwego zrozumienia poważnych konsekwencji, jakie pociągnęło za sobą pojawienie się na scenie panny Gwilt.

Po tym, jak poprzednia wieloletnia guwernantka (kobieta, której wiek i wygląd trzymały na wodzy nawet zazdrość pani Milroy) wyszła za mąż, major rozważał odesłanie córki z domu o wiele poważniej, niż jego żona mogła przypuszczać. Zdawał sobie sprawę, że w domu rozgrywały się sceny, których młoda dziewczyna nie powinna być świadkiem, ale odczuwał nieprzepartą niechęć do zastosowania jedynego skutecznego rozwiązania, jakim było trzymanie córki z dala od domu

zarówno w czasie nauki szkolnej, jak i wakacji. Kiedy udało się wreszcie uciszyć powstałe w jego umyśle zmaganie postanowieniem, że zamieści ogłoszenie o poszukiwaniu nowej guwernantki, wrodzona skłonność majora Milroya, by unikać kłopotów, nie zaś wychodzić im naprzeciw, dała o sobie znać w zwykły sposób. Jak zawsze przymknął oczy na problemy domowe i tak, jak zwykł to być robić setki razy, powrócił do krzepiącego towarzystwa swego starego przyjaciela zegara.

Zupełnie inaczej miały się sprawy z panią majorową. Możliwość, jakiej w ogóle nie wziął pod uwagę jej mąż, a mianowicie, że nowa guwernantka może być kobietą młodszą i atrakcyjniejszą niż poprzednia, była pierwszą myślą, która przyszła do głowy pani Milroy. Nie powiedziała nic. Czekwała spokojnie, skrycie żywiąc swą notoryczną podejrzliwość, i przy okazji pikniku zachęciła męża oraz córkę, aby zostawili ją samą po to tylko, by mieć możliwość zobaczenia nowej guwernantki sam na sam. Guwernantka pokazała się, a tłący się ogień zazdrości pani Milroy wybuchnął mocnym płomieniem, gdy tylko ona i piękna nieznajoma po raz pierwszy się ujrzały.

Po rozmowie podejrzenia pani Milroy natychmiast i bez odwołania padły na matkę jej męża.

Dobrze wiedziała, że w Londynie nie było nikogo innego, kogo major mógł poprosić o przesłuchanie kandydatek. Wiedziała również, że panna Gwilt ubiegała się o stanowisko jako nieznajoma, odpowiadając na ogłoszenie zamieszczone w gazecie. A jednak z uporem szaleńca cierpiącego na najbardziej ślepą ze wszystkich pasji zamknęła oczy na leżące przed nią fakty i patrząc wstecz na ostatnią z wielu kłótni ze starszą damą, która skończyła się rozłamem pomiędzy nimi, doszła do konkluzji, że zatrudnienie panny Gwilt wynikało z mściwej chęci teściowej, aby zasiać niezgodę w jej domu. Prawidłowy wniosek, jaki wyciągnęła sama służba, będąca świadkiem rodzinnego skandalu, a mianowicie, że matka majora, zapewniając synowi usługi gorąco polecanej guwernantki, nie uznała za część swoich obowiązków uwzględnienia wyglądu owej guwernantki dla zaspokojenia wydumanych kaprysów pani majorowej, był czymś, co po prostu nie docierało do pani Milroy. Ledwo drzwi pokoju chorej zamknęły się za panną Gwilt, gdy pani Milroy syknęła:

– Zanim minie kolejny tydzień, moja damo, odejdiesz stąd!

Od tej chwili w bezsenną noc i w dłużyący się dzień jedynym celem życia przykutej do łóżka kobiety stało się obmyślanie sposobu, jak pozbyć się z domu nowej guwernantki.

Pani Milroy zapewniła sobie pomoc opiekunki w charakterze szpiega, podobnie jak zwykła była zapewniać sobie inne dodatkowe usługi, do których nie była zobowiązana służąca – podarowała jej jedną ze swoich sukien. Jedne po drugim elementy garderoby, które były już niepotrzebne majorowej, służyły w ten sposób zaspokojeniu chciwości opiekunki – niewyczerpanemu apetytowi brzydkiej kobiety na piękne ubrania. Przekupiony najelegantszą z sukien, jakie do tej pory pozyskał, domowy szpieg odebrał tajne rozkazy i ze złośliwą przyjemnością zabrał się do potajemnej pracy.

Dni mijały, praca wrzała, ale nic z niej nie wynikało. Pani i służąca miały do czynienia z godnym siebie przeciwnikiem.

Powtarzające się nachodzenie majora, podczas gdy guwernantka przebywała w tym samym pokoju, nie doprowadziło do odkrycia najdrobniejszej choćby niestosowności w mowie, spojrzeniu czy zachowaniu po żadnej ze stron. Ukradkowe podglądanie i podsłuchiwanie pod drzwiami sypialni guwernantki ujawniło, że do późna pali się u niej światło i że we śnie jęczy i zgrzyta zębami, nic więcej. Uważna obserwacja za dnia wykazała, że regularnie własnoręcznie wysyła swoje listy zamiast oddawać je służącej i że czasami, kiedy ma do dyspozycji czas wolny po lekcjach i spacerach z podopieczną, nagle znika z ogrodu, a potem sama wraca do niego od strony parku. Tylko raz opiekunce udało się śledzić ją po wyjściu z ogrodu, ale zaraz została odkryta i zapytana z najbardziej irytującą uprzejmością, czy chciałaby towarzyszyć panie Gwilt w spacerze. Odkryto wiele drobiazgów tego rodzaju, wystarczająco podejrzanych w oczach zazdrośnicy. Ale okoliczności, które mogłyby stanowić podstawę do skargi u majora, zupełnie nie było. Mijały dzień za dniem, a panna Gwilt pozostawała uparcie nienaganna w swoim zachowaniu i bez zarzutu w relacjach z chlebodawcą i uczennicą.

Nie mogąc nic zdziałać w tym kierunku, pani Milroy próbowała następnie znaleźć słaby punkt w charakterystyce guwernantki dostarczonej przez osobę ją

polecającą.

Otrzymawszy od majora szczegółowy raport na ten temat, jaki skierowała do niego matka, pani Milroy przeczytała go wielokrotnie i nie zdołała znaleźć w nim nigdzie słabego punktu, którego szukała. Zadano wszystkie pytania, jakie zazwyczaj padają w podobnych okolicznościach, i na wszystkie odpowiedziano otwarcie i wyczerpująco. Jedyne miejsce, które dawało asumpt do ataku, pojawiała się w ostatnich zdaniach listu, po tym, jak uporano się już z bardziej praktycznymi kwestiami.

„Gracja i dystygowanie panny Gwilt tak mnie uderzyły”, donosił list, „że kiedy wyszła z pokoju, skorzystałam z okazji, by zapytać, jak to się stało, że została guwernantką. »Zwyczajnie«, usłyszałam. Okazało się, że powodem było nieszczęście rodzinne, w którym zachowała się godnie. Jest osobą niezwykle wrażliwą i unika mówienia o tym w obecności nieznajomych. To zrozumiała niechęć, której poszanowanie zawsze było dla mnie wyrazem taktu. Usłyszawszy to, oczywiście chciałam zachować ten sam takt. Moim obowiązkiem nie było wtrącanie się w osobiste problemy biedaczki, miałam jedynie na celu zrobić to, co właśnie zrobiłam – upewnić się, że zatrudniłam kompetentną i porządną guwernantkę dla mojej wnuczki”.

Po dokładnym rozważeniu tych zdań przez panią Milroy, która koniecznie chciała znaleźć w nich coś podejrzanego, odpowiednio uznała je za podejrzanego. Postanowiła przeświecić na wskroś tajemnicę nieszczęścia rodzinnego panny Gwilt i sprawdzić, czy nie da się znaleźć tam czegoś, co mogłoby posłużyć do jej własnych celów. Mogła to zrobić na dwa sposoby: zacząć od wypytania samej guwernantki albo osoby, która ją poleciła. Mając w pamięci zręczność, z jaką panna Gwilt odpowiadała na niewygodne pytania podczas ich pierwszej rozmowy, pani Milroy zdecydowała się na ten drugi sposób. „Najpierw wyciągnę szczegóły od osoby polecającej”, myślała, „a potem wypytam to stworzenie i zobaczę, czy obie historie się zgadzają”.

List z zapytaniem był krótki i na temat.

Pani Milroy zaczęła od zawiadomienia swojej adresatki, że stan zdrowia zmusza ją do pozostawienia córki pod wyłączną opieką guwernantki. W związku z tym

bardziej niż większość matek troszczy się o to, aby być pod każdym względem poinformowaną o osobie, której powierza wyłączną pieczę nad jedynaczką. Mając na uwadze tę troskę, być może można jej wybaczyć pytanie mogące wydawać się nieco zbyteczne przy doskonałych referencjach panny Gwilt, jakie otrzymała. Po tym wstępie pani Milroy przeszła do sedna sprawy i poprosiła, aby napisać jej o okolicznościach, jakie zmusiły pannę Gwilt do poszukiwania szczęścia w świecie jako guwernantka.

Ujęty w tych słowach list został nadany tego samego dnia. Rankiem, którego miała nadejść odpowiedź, nie pojawił się żaden list. Nadszedł kolejny poranek i znów nie było odpowiedzi. Trzeciego ranka pani Milroy straciła wszelką cierpliwość. Zadzwoiła po opiekunkę w sposób, który opisano, i kazała jej czekać w pogotowiu na osobisty odbiór poczty, która miała nadejść tego dnia. Tak się sprawy miały w owym czasie i w tych okolicznościach zaczął się nowy ciąg wydarzeń w Thorpe Ambrose.

Pani Milroy właśnie spojrzała na zegarek i ponownie chwyciła za sznurek od dzwonka, gdy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła opiekunka.

– Przyszedł listonosz? – spytała pani Milroy.

Opiekunka bez słowa położyła list na łóżku i z nieskrywaną ciekawością czekała na reakcję, jaką wywoła on u jej pani.

Pani Milroy rozerwała kopertę, gdy tylko ta znalazła się w jej dłoni. Ukazała się zadrukowana kartka (którą odrzuciła na bok) otaczająca list (na który spojrzała) pisany jej własną ręką! Chwyciła zadrukowaną kartkę. Był to zwyczajny list urzędowy zawiadamiający, że list doręczono pod wskazany adres, ale nie znaleziono tam osoby, do której pisała.

– Coś nie tak? – spytała opiekunka, widząc zmianę w wyrazie twarzy pani.

Pytanie przeszło niezauważone. Pulpit pani Milroy znajdował się na stole koło łóżka. Wzięła z niego list, jaki matka majora napisała do syna, i otworzyła go na stronie zawierającej nazwisko i adres osoby polecającej Pannę Gwilt. „Pani Mandeville, Kingsdown Crescent 18, Bayswater”, przeczytała na głos, po czym spojrzała na adres widniejący na swoim własnym zwróconym liście. Nie było

pomyłki, dane były dokładnie takie same.

– Coś nie tak? – powtórzyła opiekunka, podchodząc o krok bliżej łóżka.

– Tak, dzięki Bogu! – zawołała pani Milroy w nagłym wybuchu euforii.

Rzuciła list urzędowy opiekunce i uderzyła kościstymi dłońmi w kołdrę w ekstazie spodziewanego triumfu.

– Panna Gwilt to oszustka! Panna Gwilt to oszustka! Choćbym miała przypłacić to życiem, Rachel, zanosą mnie do okna, abym mogła zobaczyć, jak zabiera ją policja!

– Powiedzieć za jej plecami, że jest oszustką, to jedno, a udowodnić jej oszustwo, to drugie – zauważyła opiekunka.

Mówiąc to, włożyła rękę do kieszeni fartucha, po czym popatrzyła znacząco na swoją panią i wyjęła drugi list.

– Do mnie? – zapytała pani Milroy.

– Nie! – odparła opiekunka. – Do panny Gwilt!

Kobiety spojrzały na siebie i zrozumiały się bez słów.

– Gdzie ona jest? – spytała pani Milroy.

Opiekunka wskazała w stronę parku.

– Znów na zewnątrz. Wyszła na kolejny spacer przed śniadaniem, sama.

Pani Milroy dała znak opiekunce, aby pochyliła się nad nią.

– Możesz go otworzyć, Rachel? – wyszeptwała.

Rachel kiwnęła głową.

– Możesz zakleić go ponownie tak, żeby nikt nie poznał?

– Może pani poświęcić szal, który pasuje do gołąbkowej sukni? – spytała Rachel.

– Weź go! – odparła pani Milroy niecierpliwie.

Opiekunka w milczeniu otworzyła szafę, milcząco wyjęła szal i bez słowa wyszła z pokoju. Nie minęło pięć minut, a wróciła z otwartym listem do panny Gwilt w ręce.

– Dziękuję za szal, proszę pani – powiedziała Rachel, spokojnie kładąc list na narzucie łóżka.

Pani Milroy spojrzała na kopertę. Została zaklejona jak zwykle za pomocą gumy

samoprzylepnej, która ustępuje pod wpływem pary. Kiedy pani Milroy brała list, jej ręka gwałtownie drżała, a biała emalia popękała na czole, tworząc siatkę zmarszczek.

Rachel cofnęła się pod okno, żeby mieć oko na park.

– Proszę się nie śpieszyć – rzekła. – Nie widać jej jeszcze.

Pani Milroy nadal zwlekała, trzymając w dłoni ten tak bardzo ważny skrawek papieru. Mogłaby pozbawić pannę Gwilt życia, ale wahała się przeczytać jej list.

– Nachodzą panią skrupuły? – spytała opiekunka z szyderczym uśmiechem. – Proszę pomyśleć o tym, co jest pani winna córce.

– Ty łajdaczko!

Wyraziwszy tę opinię, pani Milroy otworzyła list.

Wszystko wskazywało na to, że został napisany w pośpiechu, nie miał daty, a podpisano go jedynie inicjałami. Brzmiał następująco:

„Diana Street

Droga Lydio!

Dorożka czeka przed drzwiami i mam tylko chwilę, aby Ci donieść, że muszę wyjechać z Londynu w interesach na trzy lub cztery dni, najdłużej tydzień. Gdybyś chciała napisać, wiedz, że moje listy będą mi dostarczane. Dostałam Twój list wczoraj i zgadzam się z Tobą, że koniecznie należy go odwozić od niezręcznego tematu dotyczącego Ciebie i Twojej rodziny tak długo, jak to możliwe, nie wzbudzając podejrzeń. Im lepiej go poznasz, tym łatwiej będzie Ci wymyślić odpowiednią historię. Kiedy już raz ją opowiesz, będziesz musiała się jej trzymać, a skoro tak, uważaj, aby jej nie komplikować i nie wymyślać w pośpiechu. Jeszcze napiszę do Ciebie na ten temat i podsunę Ci własne pomysły. Do tego czasu nie ryzykuj zbyt częstych spotkań z nim w parku.

Twoja,

M.O.”.

– A więc? – spytała opiekunka, wracając w stronę łóżka. – Skończyła pani?

– Spotkań z nim w parku! – powtórzyła pani Milroy ze wzrokiem wciąż jeszcze utkwionym w list. – Z nim! Rachel, gdzie jest major?

- W swoim pokoju.
- Nie wierzę!
- Jak pani chce. Proszę oddać mi list i kopertę.
- Potrafisz zakleić go tak, żeby się nie domyśliła?
- To, co potrafię otworzyć, potrafię i zamknąć. Coś jeszcze?
- Już nic.

Pani Milroy znów została sama, aby zrewidować plan ataku w nowym świetle, które padło na pannę Gwilt.

Informacja zdobyta poprzez otwarcie listu guwernantki jednoznacznie wskazywała na to, że intrygantka wkradła się pod dach majora za pomocą fałszywych referencji. Będąc jednak pozyskaną w sposób nieuczciwy, do którego nie można się było przyznać, informacji tej nie dało się wykorzystać ani do ostrzeżenia majora ani zdemaskowania panny Gwilt. Jedynym orężem w rękach pani Milroy był oręż dostarczony przez jej własny zwrócony list i pozostawało teraz rozstrzygnąć, jak najlepiej i najszybciej go użyć.

Im dłużej nad tym rozmyślała, tym bardziej przedwczesna wydawała jej się euforia, jaką poczuła na widok listu urzędowego. To, że kobieta występująca jako osoba polecająca guwernantkę opuściła miejsce zamieszkania, nie zostawiając za sobą żadnego śladu i nie podając nawet adresu, na który należy kierować listy, było już samo w sobie okolicznością wystarczająco podejrzaną, aby powiedzieć o niej majorowi. Ale choć opinia pani Milroy na temat męża była pod wieloma względami nietrafna, znała go na tyle, by mieć pewność, że jeśli powie, co zaszło, on otwarcie zwróci się do guwernantki z prośbą o wyjaśnienia. Bystrość i spryt panny Gwilt z pewnością pomogłyby jej od ręki wymyślić wiarygodną odpowiedź, którą major przez swoją stronniczość z ochotą by przyjął, ona zaś w tym samym czasie bez wątpienia przystąpiłaby do rzeczy, prosząc listownie swoją współpracowniczkę w Londynie o dostarczenie pocztą niezbędnego potwierdzenia. Było jasne, że jedynym bezpiecznym rozwiązaniem, kiedy ma się do czynienia z takim mężczyzną, jak major, i taką kobietą, jak panna Gwilt, było na razie milczeć i wszczać (za plecami guwernantki) śledztwo, które doprowadzi do odkrycia niepodważalnych dowodów.

Sama będąc bezsilna, komu pani Milroy mogła powierzyć trudne i niebezpieczne zadanie prowadzenia śledztwa? Opiekunka, choć zaufana, nie mogła pozwolić sobie na to, by oddalić się z dnia na dzień, nie mogła też zostać odesłana niepostrzeżenie. Czy była jeszcze jakaś kompetentna i godna zaufania osoba, czy to w Thorpe Ambrose, czy w Londynie, którą można by zaangażować? Pani Milroy przewracała się z boku na bok na łóżku, wysilając umysł w poszukiwaniu odpowiedzi, ale na próżno. „Ach, gdybym tylko znalazła człowieka, któremu mogłabym zaufać!”, myślała z rozpaczą. „Gdybym tylko wiedziała, gdzie szukać pomocy!”

Gdy tylko myśl ta wpadła jej do głowy, poderwał ją głos córki stojącej za drzwiami.

– Mogę wejść? – spytała Neelie.

– Czego chcesz? – odparła niecierpliwie pani Milroy.

– Przyniosłam ci śniadanie, mamó.

– Śniadanie? – powtórzyła pani Milroy w zdumieniu. – Dlaczego nie przynosi go jak zwykle Rachel?

Przez chwilę namyślała się, po czym zawołała ostrym głosem:

– Wejdz!

II. JEST KTOŚ TAKI

Neelie weszła do pokoju, trzymając w rękach tacę z herbatą, suchym tostem i kawałeczkiem masła, które niezmiennie składały się na śniadanie inwalidki.

– Co to ma znaczyć? – zapytała pani Milroy takim tonem i z taką miną, jakby do pokoju weszła niewłaściwa służąca.

Neelie postawiła tacę na nocnym stoliku.

– Pomyślałam, że mogłabym przynieść ci śniadanie, mamó, przynajmniej raz na jakiś czas – odparła – i poprosiłam Rachel, aby mi pozwoliła.

– Podejź tu – rzekła pani Milroy – i przywitaj się ze mną.

Neelie posłuchała. Kiedy nachyliła się, aby pocałować matkę, pani Milroy złapała ją za ramię i szorstko odwróciła w kierunku światła. W twarzy córki widać było wyraźne oznaki niepokoju i zmartwienia. Panią Milroy natychmiast przeszył dreszcz przerażenia. Podejrzewała, że panna Gwilt odkryła fakt otwarcia listu i w rezultacie opiekunka trzymała się z dala od pani.

– Puść mnie, mamó – powiedziała Neelie, zwijając się pod wpływem uchwytu matki. – To boli.

– Powiedz, dlaczego przyniosłaś dziś śniadanie – nalegała pani Milroy.

– Już powiedziałam, mamó.

– Nie powiedziałaś! Podałaś wymówkę, widzę to po twojej twarzy. No już! O co chodzi?

Determinacja Neelie okazała się słabsza od determinacji jej matki. Nerwowo spojrziała na rzeczy leżące na tacy.

– Zdenerwowałam się – rzekła z wysiłkiem – i nie chciałam zostać w jadalni. Chciałam przyjść tutaj i porozmawiać z tobą.

– Zdenerwowałaś się? Kto cię zdenerwował? Co się stało? Czy panna Gwilt ma z tym coś wspólnego?

Neelie obejrzała się na matkę z nagłym zainteresowaniem i niepokojem.

– Mamo! – powiedziała – czytasz w moich myślach. Przerażasz mnie. To była właśnie panna Gwilt.

Zanim pani Milroy zdołała coś powiedzieć, drzwi się uchyliły i do środka zajrzała opiekunka.

– Ma pani wszystko, co potrzeba? – spytała spokojnie, jak gdyby nigdy nic. – Panienska koniecznie chciała zanieść dziś pani śniadanie. Czy coś rozbiła?

– Podejź do okna, chcę rozmawiać z Rachel – powiedziała pani Milroy.

Gdy tylko jej córka się odwróciła, chora skwapliwie przywołała gestem opiekunkę.

– Coś jest nie tak? – spytała szeptem. – Myślisz, że nas podejrzewa?

Opiekunka odwróciła się ze swoim drwiącym uśmiechem.

– Mówiłam pani, że trzeba to zrobić – rzekła – i stało się. Nie ma ani cienia podejrzenia. Czekałam w pokoju i widziałam, jak bierze i otwiera list.

Pani Milroy odetchnęła z ulgą.

– Dziękuję – powiedziała na głos, tak żeby córka ją usłyszała. – Nic więcej nie potrzeba.

Pokojówka wyszła, a Neelie wróciła spod okna. Pani Milroy wzięła ją za rękę i spojrzała na nią uważniej i życzliwiej niż zwykle. Tego ranka jej córka interesowała ją, ponieważ miała coś do powiedzenia na temat panny Gwilt.

– Wydawało mi się, że obiecałaś być ładną, moje dziecko – rzekła, ostrożnie powracając do przerwanej rozmowy okrężną drogą. – Ale zdaje się, że nie dotrzymujesz obietnicy. Wyglądasz na chorą i nie w humorze. Co się z tobą dzieje?

Gdyby między matką a dzieckiem istniało porozumienie, Neelie mogłaby wyjawić prawdę. Mogłaby powiedzieć szczerze: „Wyglądam na chorą, ponieważ jestem nieszczęśliwa. Zależy mi na panu Armadale’u, a panu Armadale’owi niegdyś zależało na mnie. Mieliśmy tylko jedno nieporozumienie, jedno jedyne, w którym to ja byłam winna. Chciałam mu to od razu powiedzieć, i chcę mu to powiedzieć cały

czas od tamtej pory, ale panna Gwilt stanęła między nami i nie pozwala mi. Sprawiała, że staliśmy się dla siebie jak obcy, odmieniła go i zabrała mi. On nie patrzy już na mnie tak jak dawniej, nie mówi do mnie jak dawniej, nigdy nie jest już ze mną sam na sam, nie mogę powiedzieć mu tego, co chciałabym powiedzieć, i nie mogę do niego napisać, bo wyszłoby na to, że chcę go odzyskać. Między mną a panem Armadale'em wszystko już skończone i to wina tej kobiety. Przez cały czas jest między mną a panną Gwilt wrogość. Cokolwiek zrobię czy powiem, ona zawsze ma nade mną przewagę i sprawia, że to, co robię, wydaje się złe. Zanim się zjawiła, wszystko, co widziałam w Thorpe Ambrose, mnie cieszyło, wszystko, co robiłam, sprawiało mi radość. Teraz nic mnie nie cieszy i nic nie sprawia mi radości!”. Gdyby Neelie miała w zwyczaju zwracać się do matki o radę albo zwierzać się jej, mogłaby wyrzec podobne słowa. Teraz jednak łzy napłynęły jej do oczu i w milczeniu spuściła głowę.

– No dalej! – powiedziała pani Milroy, zaczynając tracić cierpliwość. – Masz mi coś do powiedzenia na temat panny Gwilt. Co to takiego?

Neelie stłumiła łzy i zdobyła się na odpowiedź:

– Irytuje mnie do granic możliwości, mamó. Nie mogę jej znieść. Chyba coś zrobię... – Neelie urwała i ze złością tupnęła nogą. – Rzucę czymś w jej głowę, jak tak dalej będzie! Już dziś bym w nią czymś rzuciła, gdybym nie wyszła z pokoju. Och, proszę, porozmawiaj o tym z papą! Znajdź jakiś sposób, żeby ją odesłać, błagam! Pójdę do szkoły... Zrobię wszystko, żeby tylko pozbyć się panny Gwilt!

Pozbyć się panny Gwilt! Na te słowa, usłyszane z ust córki, a będące echem jednego przemożnego pragnienia, które tała w swoim sercu, pani Milroy powoli podniosła się na łóżku. Co to miało znaczyć? Czyżby pomoc, której potrzebowała, nadchodziła z najmniej spodziewanej strony?

– Dlaczego chcesz się pozbyć panny Gwilt? – zapytała. – Co możesz jej zarzucić?

– Nic! – odparła Neelie. – To jest właśnie najgorsze. Pannie Gwilt nic nie można zarzucić. Jest potwornie nieznośna, doprowadza mnie do szału, a jednocześnie jest chodzącym ideałem. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale nic mnie to nie obchodzi; nienawidzę jej!

Wzrok pani Milroy badał twarz córki uważnie jak jeszcze nigdy dotąd. Najwyraźniej coś kryło się pod powierzchnią, coś, czego odkrycie mogło mieć kolosalne znaczenie dla jej własnych celów, a co się jeszcze nie ukazało. Zaczęła coraz głębiej sondować umysł dziewczyny z coraz większą sympatią dla jej sekretu.

– Nalej mi filiżankę herbaty – powiedziała – i nie ekscytuj się tak, moja droga. Dlaczego mi o tym mówisz? Dlaczego nie porozmawiasz z ojcem?

– Próbowałam rozmawiać z papą – rzekła Neelie. – Ale to na nic. Jest zbyt dobry, by dostrzec, jaka to nędznica. Zawsze zachowuje się przy nim najlepiej, jak potrafi, ciągle obmyśla, jak tu być mu pomocną. Nie potrafię sprawić, że zrozumie, dlaczego nie lubię panny Gwilt, nie potrafię sprawić, że ty to zrozumiesz; tylko ja to rozumiem.

Próbowała nalać herbatę i przewróciła filiżankę.

– Wróć już na dół! – zawołała Neelie, wybuchając płaczem. – Nie nadaję się do niczego, nawet nie potrafię nalać filiżanki herbaty!

Pani Milroy złapała ją za rękę i zatrzymała. Choć przelotna, wzmianka Neelie na temat relacji pomiędzy majorem a panną Gwilt wznieciła nigdy niegasnącą zazdrość matki. Zahamowania, jakie miała dotąd pani Milroy, zniknęły w jednej chwili, mimo że chodziło o szesnastoletnią dziewczynę, będącą na dodatek jej własnym dzieckiem!

– Zaczekaj – powiedziała ochoczo. – Zwróciłaś się we właściwe miejsce i do właściwej osoby. Wyzywaj dalej pannę Gwilt. Chcę cię posłuchać; ja też jej nienawidzę!

– Ty, mamó! – wykrzyknęła Neelie, patrząc na matkę w osłupieniu.

Pani Milroy przez moment zawahała się. Resztki wspomnień o małżeńskim życiu za dawnych szczęśliwych lat usilnie upominały ją, aby miała wzgląd na młodość i płeć swego dziecka. Ale zazdrość nie ma względu na nic, ani na to, co w górze, na niebie, ani na to, co w dole, na ziemi, na nic prócz siebie samej. Wolny ogień samoudręczenia, tłący się dzień i noc w piersi wynędzniałej kobiety, zapłonął w jej oczach upiornym blaskiem, podczas gdy z jej ust powoli sączyły się zjadliwe słowa.

– Gdybyś miała oczy, nigdy nie poszłabyś do ojca – powiedziała. – Twój ojciec ma własne powody po temu, aby nie słyszeć nic, co ty czy ktokolwiek inny ma do powiedzenia przeciwko pannie Gwilt.

Niejedna dziewczyna w wieku Neelie nie dostrzegłaby ukrytego znaczenia tych słów. W tym wypadku córka miała nieszczęście na tyle znać własną matkę, by ją zrozumieć. Neelie odsunęła się od łóżka z wypiekami na twarzy.

– Mamo! – powiedziała. – Mówisz okropne rzeczy! Papa to najlepszy, najukochańszy, najmiłszy... Och, nie chcę tego słuchać! Nie chcę!

Gniew pani Milroy wybuchnął w jednej chwili. Wybuchnął tym gwałtowniej, że na przekór sobie czuła, iż była w błędzie.

– Ty bezczelna mała idiotko! – odparowała z wściekłością. – Myślisz, że chcę, żebyś mi przypominała, co jestem winna twojemu ojcu? Mam się uczyć, jak mówić o twoim ojcu, jak o nim myśleć, jak go kochać i czcić, od takiej bezczelnej arogantki jak ty?! Powiem ci, że byłam bardzo zawiedziona, kiedy się urodziłaś: chciałam mieć chłopca, ty źle wychowana dziewczucho! Jeśli kiedykolwiek znajdziesz mężczyznę na tyle głupiego, aby się z tobą ożenił, możesz go nazwać szczęściarzem, jeśli tylko będziesz kochać go w połowie tak bardzo, w jednej czwartej tak bardzo, w jednej stutysięcznej tak bardzo, jak ja kochałam twojego ojca. Ach, możesz sobie płakać, kiedy jest już za późno, możesz przyjść do matki na kolanach prosić o przebaczenie po tym, jak ją znieważyłaś. Ty mała smarkulo bez cienia gustu! Kiedy wychodziłam za twego ojca, byłam ładniejsza, niż ty będziesz kiedykolwiek. Poszłabym za twoim ojcem w ogień! Gdyby poprosił mnie, abym obcięła sobie ramię, zrobiłabym to, zrobiłabym to dla niego!

Nagle odwróciła się twarzą do ściany, zapominając o córce, zapominając o mężu, zapominając o wszystkim oprócz męczącego wspomnienia o straconej urodzie.

– Moje ramiona! – powtórzyła sama do siebie słabym głosem. – Jakie ja miałam ramiona, gdy byłam młoda!

Ukradkiem chwyciła rękaw podomki i zadrżała.

– Ach, popatrz na to tylko! Tylko popatrz!

Neelie upadła na kolana przy łóżku i skryła twarz. Nie wiedząc, gdzie szukać

wsparcia i pomocy w swojej rozpacz, odruchowo zdała się na łaskę matki i oto jak to się skończyło!

– Och, mamó – błagała – wiesz, że nie chciałam cię urazić! Nie mogłam się powstrzymać, gdy mówiłaś w ten sposób o ojcu. Proszę, wybac mi!

Pani Milroy ponownie obróciła się na poduszce i popatrzyła tępo na córkę.

– Wybaczyć ci? – powtórzyła, myślami nadal będąc w przeszłości i po omacku próbując znaleźć drogę powrotną do terażniejszości.

– Błagam o wybaczenie, mamó! Błagam cię na kolanach. Jestem taka nieszczęśliwa, tak bardzo potrzebuję trochę dobroci! Nie wybacysz mi?

– Poczekaj – odparła pani Milroy. – Ach – powiedziała po chwili – teraz już wiem! Wybaczyć ci? Tak, wybaczę ci, pod jednym warunkiem.

Uniosła głowę Neelie i pytająco na nią spojrzała.

– Powiedz mi, dlaczego nienawidzisz panny Gwilt! Masz jakiś własny powód, dlaczego jej nienawidzisz, i jeszcze go nie wyjawiałaś.

Głowa Neelie ponownie opadła. Płomienny kolor, który ukrywała, chowając twarz, ukazał się na szyi. Jej matka dostrzegła go i dała jej chwilę.

– Powiedz – powtórzyła pani Milroy, tym razem łagodniej – dlaczego jej nienawidzisz?

Odpowiedź nadeszła z ociąganiem, po kawałku.

– Ponieważ próbuje...

– Próbuje co?

– Próbuje zmusić kogoś, kto jest o wiele...

– O wiele co?

– O wiele dla niej za młody...

– Żeby się z nią ożenił?

– Tak, mamó.

Pani Milroy z zapartym tchem nachyliła się i pieszczotliwie zanurzyła rękę we włosach córki.

– Kto to taki, Neelie? – zapytała szeptem.

– Nigdy nie zdradzisz, że ci powiedziałam, mamó?

– Nigdy! Kto to jest?

– Pan Armadale.

Pani Milroy w grobowym milczeniu oparła się na poduszce. Otwarte wyznanie pierwszej miłości, jakiego właśnie dokonała córka, skupiłoby całą uwagę innych matek, ale zupełnie nie zwróciło uwagi tej. Jej zazdrość, wykrzywająca wszystko tak, aby nagiąć to do własnych wniosków, była zajęta wypaczaniem informacji, którą właśnie usłyszała. „Podstęp”, pomyślała, „który zwiódł moje dziecko. Ale mnie nie zwiedzie”.

– Czy panna Gwilt ma szansę dopiąć swego? – spytała głośno. – Czy pan Armadale zdradza jakieś zainteresowanie nią?

Neelie po raz pierwszy spojrzała na matkę. Najtrudniejszą część wyznania miała już za sobą. Wyjawiała prawdę na temat panny Gwilt i otwarcie wymieniła nazwisko Allana.

– Okazuje zupełnie niewytłumaczalne zainteresowanie nią – rzekła. – Nie można tego zrozumieć. To zwyczajne zadurzenie. Nie mam siły o tym rozmawiać!

– Jak to się stało, że znasz sekrety pana Armadale’a? – zapytała pani Milroy. – Czy to właśnie ciebie wybrał ze wszystkich ludzi na świecie, aby powiedzieć o swoim zainteresowaniu panną Gwilt?

– Mnie! – zawołała Neelie z oburzeniem. – Wystarczy, że powiedział już papie.

Wraz z ponownym pojawieniem się na scenie majora ciekawość pani Milroy osiągnęła punkt kulminacyjny. Uniosła się na poduszce.

– Przynieś krzesło – rzekła. – Usiądź, dziecko, i opowiedz mi wszystko. Co do joty!

– Mogę ci powiedzieć tylko to, co powiedział mi papa.

– Kiedy?

– W sobotę. Poszłam do warsztatu papy zanieść mu obiad, a on powiedział: „Właśnie odwiedził mnie pan Armadale i teraz, gdy o tym myślę, chciałbym cię przed czymś przestrzec”. Nic nie mówiłam, mam, tylko czekałam. Papa powiedział, że pan Armadale rozmawiał z nim na temat panny Gwilt i że pytał o pewną rzecz związaną z nią, o którą nikt w jego sytuacji nie miał prawa pytać.

Papa powiedział, że był zmuszony dobrodusznie upomnieć Allana, aby następnym razem był nieco bardziej taktowny, bardziej ostrożny. Nie byłam tym zbyt zainteresowana, mammo. Nie było dla mnie ważne, co powiedział albo zrobił pan Armadale. Dlaczego miałoby to mnie obchodzić?

– Mniejsza z tobą – wtrąciła ostro pani majorowa. – Mów dalej, co powiedział ojciec. Co robił, kiedy mówił o panie Gwilt? Jak wyglądał?

– Tak jak zwykle, mammo. Chodził tam i z powrotem po warsztacie, a ja wzięłam go pod ramię i chodziłam z nim.

– Nie obchodzi mnie, co robiłaś – powiedziała pani Milroy, coraz bardziej zniecierpliwiona. – Czy ojciec powiedział ci, o co pytał pan Armadale?

– Tak, mammo. Powiedział, że pan Armadale zaczął od nadmienienia, że bardzo interesuje go panna Gwilt, a potem zapytał, czy papa mógłby mu coś powiedzieć o jej nieszczęściach rodzinnych...

– Co? – zawołała pani Milroy.

Z jej piersi wyrwał się niemal krzyk, a biała emalia popękała na jej twarzy we wszystkich kierunkach.

– Pan Armadale tak powiedział? – ciągnęła, coraz bardziej wychylając się ponad krawędzią łóżka.

Neelie poderwała się i próbowała oprzeć matkę z powrotem o poduszkę.

– Mammo! – zawołała. – Czy coś cię boli? Jesteś chora? Przestraszyłaś mnie!

– To nic, to nic – powtarzała pani Milroy.

Była zbyt wzburzona, by zdobyć się na coś więcej niż najbardziej pospolita wymówka.

– Mam dziś słabe nerwy, nie przejmuj się. Spróbuję położyć się na drugim końcu poduszki. Mów! Mów! Słucham cię, choć na ciebie nie patrzę.

Odwróciła się twarzą do ściany i konwulsyjnie zacisnęła drżące ręce pod kołdrą.

– Mam ją! – wyszeptała pod nosem. – Wreszcie ją mam!

– Boję się, że za dużo mówiłam – rzekła Neelie. – Boję się, że za długo tu jestem. Mam zejść, mammo, i wrócić później?

– Mów – powtórzyła mechanicznie pani Milroy. – Co ci jeszcze powiedział

ojciec? Coś o panu Armadale’u?

– Nic więcej ponad to, jak papa mu odpowiedział – odparła Neelie. – Papa przytoczył swoje własne słowa, kiedy mi o tym mówił. Powiedział: „Z braku jakichkolwiek wyjaśnień udzielonych dobrowolnie przez tę damę, panie Armadale, jedynym, co wiem i co mnie interesuje – i musi mi pan wybaczyć, że to powiem, ale jedynym, co powinno interesować innych – jest fakt, że panna Gwilt dostarczyła mi zupełnie przekonujące referencje, zanim weszła do mego domu”. Ostre słowa, mamó, nieprawdaż? Nie żałuję go ani trochę, zasłużył sobie na to. Następnie papa udzielił mi przestrogi. Powiedział, żebym powstrzymała ciekawość pana Armadale’a, gdyby następnie zwrócił się do mnie. Tak jakby było prawdopodobne, że się do mnie zwróci! I jakbym miała go słuchać, jeśli to zrobi! To wszystko, mamó. Nie pomyślisz sobie, że powiedziałam ci o tym, bo chcę przeszkodzić panu Armadale’owi w poślubieniu panny Gwilt, prawda? Niech się z nią żeni! Nie obchodzi mnie to! – powiedziała Neelie głosem, który nieco się łamał, i z miną, o której trudno powiedzieć, że była dość opanowana, aby licować z deklaracją obojętności. – Chcę jedynie uwolnić się od udręki bycia uczennicą panny Gwilt. Wolę już iść do szkoły. Chciałabym pójść do szkoły. Zmieniłam zdanie w tej sprawie, nie mam tylko siły powiedzieć o tym papie. Nie wiem, co się ze mną stało, nie mam teraz dość siły na nic, a gdy papa sadza mnie sobie wieczorem na kolanach i mówi: „Porozmawiajmy, Neelie”, chce mi się płakać. Czy mogłabyś mi powiedzieć, mamó, że zmieniłam zdanie i chcę iść do szkoły?

Oczy zaszły jej łzami i nie zauważyła, że matka nawet się nie odwróciła na poduszce, by na nią spojrzeć.

– Tak, tak – powiedziała pani Milroy bezmyślnie. – Dobra z ciebie dziewczyna, pójdiesz do szkoły.

Okrutna lakoniczność odpowiedzi i ton, w jakim jej udzielono, jasno dały Neelie do zrozumienia, że matka myślami jest gdzieś daleko i że przedłużanie rozmowy jest bezcelowe i niepotrzebne. Odsunęła się cicho, bez słowa skargi. Fakt, że matka się od niej odwróciła, nie był dla niej niczym nowym. Spojrzała na swoje oczy w lustrze i, nalawszy trochę zimnej wody, umyła twarz. „Panna Gwilt nie zobaczy, że płakałam!”, myślała Neelie, podchodząc do łóżka, aby się pożegnać.

– Zmęczyłam cię, mamó – powiedziała łagodnym głosem. – Pozwól mi odejść. I pozwól, że wrócę trochę później, jak odpoczniesz.

– Tak – powtórzyła matka, jak zwykle machinalnie – trochę później, jak odpocznę.

Neelie wyszła. Minutę później pani Milroy zadzwoniła po opiekunkę. W obliczu historii, którą właśnie usłyszała, i wobec wszelkiej rozsądnej oceny prawdopodobieństwa trwała przy swoich zrodzonych z zazdrości wnioskach równie mocno jak zawsze. „Pan Armadale może jej wierzyć i moja córka również”, myślała rozwścieczona kobieta, „ale ja znam majora i mnie ona nie oszuka!”

Opiekunka weszła do pokoju.

– Posadź mnie – odezwała się pani Milroy. – I podaj mi pulpit. Chcę coś napisać.

– Jest pani wzburzona – odparła opiekunka. – Nie jest pani w stanie pisać.

– Podaj mi pulpit – odparła ostro pani Milroy.

– Coś jeszcze? – spytała Rachel, powtarzając niezmienną formułkę, kiedy ustawiała pulpit na łóżku.

– Tak. Przyjdź za pół godziny. Chciałabym, żebyś zaniósła do rezydencji list.

Dotychczasowy spokój opiekunki tym razem ją opuścił.

– Boże, zmiłuj się! – zawołała z autentycznym zdumieniem. – I co dalej? Nie chce pani chyba powiedzieć, że napisze...?

– Napiszę do pana Armadale’a – przerwała pani Milroy – a ty zanieśesz mu list i poczekaś na odpowiedź, i uważaj, oprócz nas dwóch nikt w domu nie może się o tym dowiedzieć.

– Dlaczego pisze pani do pana Armadale’a? – spytała Rachel. – I dlaczego nikt oprócz nas dwóch nie może się o tym dowiedzieć?

– Zaczekaj – odparła pani Milroy – a zobaczysz.

Ciekawość opiekunki, będąc ciekawością kobiety, nie chciała czekać.

– Pomogę pani z otwartymi oczami – rzekła – ale nie na oślep.

– Och, gdybym tylko miała władzę nad swoimi kończynami! – jęknęła pani Milroy. – Ty niewdzięcznico, gdybym tylko mogła radzić sobie bez ciebie!

– Ma pani władzę nad swoją głową – odparła nieprzystępna opiekunka. –

I powinna pani wiedzieć, że teraz już za późno na niedowierzenie mi.

Choć brutalnie ujęta, była to prawda – podwójna prawda po tym, jak otworzono list panny Gwilt. Pani Milroy ustąpiła.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała. – Powiedz mi i odejdz.

– Chcę wiedzieć, o czym pisze pani do pana Armadale’a.

– O panie Gwilt.

– Co pan Armadale ma wspólnego z panią i panną Gwilt?

Pani Milroy podniosła list, który został jej zwrócony przez pocztę.

– Nachyl się – rzekła. – Panna Gwilt może podsłuchiwać pod drzwiami. Powiem szeptem.

Opiekunka nachyliła się ze wzrokiem utkwionym w drzwi.

– Wiesz, że listonosz zaniósł ten list na Kingsdown Crescent? – powiedziała pani Milroy. – I wiesz, że dowiedział się, iż pani Mandeville wyjechała i nikt nie wie dokąd?

– No więc – wyszeptała Rachel – co dalej?

– To dalej. Kiedy pan Armadale dostanie list, który mam zamiar do niego napisać, pójdzie tą samą drogą co listonosz i zobaczymy, co się stanie, gdy zapuka do drzwi pani Mandeville.

– Jak trafi do tych drzwi?

– Powiem mu, aby poszedł do osoby polecającej pannę Gwilt.

– Czy on kocha się w panie Gwilt?

– Tak.

– Ach! – powiedziała opiekunka. – Rozumiem!

III. O KROK OD ODKRYCIA

Tego samego ranka, kiedy w domku miała miejsce rozmowa pani Milroy z córką, w rezydencji dziedzic oddawał się poważnej refleksji.

Nawet dobroduszna natura Allana nie była odporna na niepokój, który przyniosły ze sobą wypadki ostatnich trzech dni. Nagłe odejście Midwintera zirytowało go, a sposób, w jaki major Milroy przyjął jego pytanie dotyczące panny Gwilt, nieznośnie ciążył mu na sercu. Od wizyty w domku czuł się po raz pierwszy w życiu rozdrażniony i nieswój wobec każdego, kto się do niego zbliżył. Drażnił go Pedgift junior, który przyszedł poprzedniego wieczoru, aby zawiadomić, że następnego dnia wyjeżdża służbowo do Londynu i oddaje swoje usługi do dyspozycji klienta; czuł się nieswój w obecności panny Gwilt podczas porannej schadzki w parku; nieswój w swoim własnym towarzystwie, kiedy tak stał melancholijnie, paląc cygaro w zaciszu swego pokoju. „Nie dam rady dłużej wieść takiego życia”, myślał Allan. „Jeśli nikt nie pomoże mi zadać kłopotliwego pytania pannie Gwilt, będę musiał wpaść na jakiś sposób, aby sam je zadać”.

Jaki sposób? Odpowiedź na to pytanie była jak zwykle trudna. Allan próbował pobudzić swoją ospałą inwencję, przechadzając się tam i z powrotem po pokoju. Pierwszy zwrot przerwało mu pojawienie się lokaja.

– O co chodzi? – zapytał niecierpliwie.

– List, sir. Posłaniec czeka na odpowiedź.

Allan spojrział na adres. Charakter pisma był mu nieznany. Otworzył list i na podłogę wypadła z niego krótka wiadomość, która była dołączona do listu. Wiadomość, również napisana nieznany charakterem pisma, skierowana była do „Pani Mandeville, Kingsdown Crescent 18, Bayswater. Przez ręce Pana

Armada'le'a". Allan, coraz bardziej zdziwiony, postanowił poszukać informacji w podpisie na końcu listu. Brzmiał on: „Anne Milroy”.

– Anne Milroy? – powtórzył. – To musi być żona majora. Czego ona może ode mnie chcieć?

Aby odkryć, czego chciała, Allan zrobił wreszcie to, co powinien był zrobić raczej na początku. Usiadł do czytania listu.

„(prywatne) Domek, poniedziałek

Szanowny Panie!

Nazwisko na końcu tego listu przypomni Panu, jak się obawiam, bardzo nieuprzejmą reakcją, jaka jakiś czas temu miała miejsce z mojej strony na Pana dobrosąsiedzki gest. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że jestem bardzo cierpiąca i jeśli pod wpływem gorszego nastroju spowodowanego silnym bólem odesłałam podarowane mi przez Pana owoce, żałuję tego do dziś. Jeśli Pan pozwoli, proszę przypisać ten list mojej chęci zadośćuczynienia i w miarę możliwości okazania się pomocną naszemu dobremu przyjacielowi i gospodarzowi.

Dowiedziałam się o pytaniu, jakie zadał pan przedwczoraj mojemu mężowi na temat panny Gwilt. Na podstawie wszystkiego, co o Panu słyszałam, jestem pewna, że Pańskie pragnienie, aby dowiedzieć się więcej o tej czarującej osobie, niż wie Pan obecnie, jest oparte na najszlachetniejszych przesłankach. Będąc o tym przekonana, nawet tak nieuleczalna inwalidka jak ja czuję kobiecą potrzebę, by Panu pomóc. Jeśli chce Pan dowiedzieć się czegoś o sytuacji rodzinnej panny Gwilt, nie zwracając się bezpośrednio do niej, obowiązek odkrycia jej spoczywa na Panu, ja zaś mogę podpowiedzieć, jak tego dokonać.

Tak się składa, że kilka dni temu napisałam po cichu list do osoby polecającej pannę Gwilt na ten właśnie temat. Dawno już zauważyłam, że moja guwernantka dziwnie niechętnie mówi o swojej rodzinie i przyjacielach i, nie przypisując jej milczenia niczemu innemu jak godziwym powodom, czułam, że winna jestem córce dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Odpowiedź, jaką otrzymałam, jest jako taka zadowolająca. Moja korespondentka informuje, że historia panny Gwilt jest bardzo smutna i że jej własne zachowanie w tej sytuacji było w najwyższym stopniu

godne pochwały. Okoliczności (natury rodzinnej, jak się domyślam) są jasno wyłożone w zbiorze listów, będących obecnie w posiadaniu osoby polecającej pannę Gwilt. Dama ta jest jak najbardziej skłonna pokazać mi owe listy, jednak nie posiadając ich kopii i będąc osobiście odpowiedzialną za ich bezpieczeństwo, wolałaby, o ile to nie jest konieczne, nie powierzać ich poczcie, i prosi mnie, abym poczekała, aż jedna z nas znajdzie zaufaną osobę, która mogłaby przekazać paczkę z jej rąk do moich.

W powyższych okolicznościach przyszło mi do głowy, że skoro jest Pan zainteresowany tą sprawą, może zechcieć zaopiekować się listami. Jeżeli się mylę i jeżeli po tym, co napisałam, nie jest Pan skłonny narażać się na fatywę i koszty podróży do Londynu, wystarczy, że spali Pan mój list i załącznik i więcej nie będzie o tym myślał. Jeżeli natomiast zdecyduje się Pan zostać moim wysłannikiem, z chęcią zaopatrzę Pana w stosowny list polecający do pani Mandeville. Wystarczy, że po okazaniu go odbierze Pan listy w zapieczętowanej paczce, wyśle je do mnie po powrocie do Thorpe Ambrose i będzie czekał na szybką wiadomość, w której przekażę Panu wyniki.

Podsumowując, pozostaje mi tylko dodać, iż nie widzę żadnej niestosowności w podjęciu przez Pana (jeśli jest Pan do tego skłonny) kroków, które proponuję. Sposób, w jaki panna Gwilt przyjęła aluzje, jakie czyniłam do jej sytuacji rodzinnej, sprawił, że jest dla mnie rzeczą przykrą (a dla Pana zupełnie niemożliwą) szukać informacji w pierwszej kolejności u niej. Z pewnością mam słuszość, zwracając się do osoby ją polecającej, Panu zaś nie można nic zarzucić jako pośrednikowi bezpiecznie przewożącemu zapieczętowaną korespondencję od jednej damy do drugiej. Jeśli w korespondencji tej znajdę sekrety rodzinne, których honor nie pozwoli mi wyjawić osobie trzeciej, będę rzecz jasna zobowiązana kazać Panu czekać do czasu, aż rozmówię się z panną Gwilt. Jeśli zaś nie znajdę nic poza faktami świadczącymi na jej korzyść, które z pewnością przyczynią się do tego, że będzie miał Pan o niej jeszcze wyższe mniemanie, niezaprzeczalnie wyświadczę jej przysługę, wtajemnicząc Pana. Tak zapatruję się na tę sprawę, ale nie chciałabym Panu nic narzucać.

Tak czy owak, muszę postawić jeden warunek, który z pewnością uzna Pan za

konieczny. Nawet najbardziej niewinne poczynania są w naszym nikczemnym świecie narażone na jak najgorszą interpretację, dlatego też proszę, aby uważał Pan naszą korespondencję za ściśle prywatną. Piszę do Pana w zaufaniu, które pod żadnym pozorem (dopóki okoliczności nie pozwolą, w mojej opinii, na uzasadnione ujawnienie) nie może wyjść poza nas dwoje.

Oddana Panu,
Anne Milroy”.

W ten kuszący sposób pozbawiona skrupułów pomysłowość żony majora zastawiła pułapkę. Allan bez chwili wahania poszedł jak zwykle za głosem impulsu i wpadł prosto w nią, odpisując na list i jednocześnie snując własne rozważania w typowym dla siebie stanie umysłowego zamętu.

„Na Jowisza, jak to miło ze strony pani Milroy!” („Szanowna Pani!”) „Właśnie to, czego potrzebowałem, i to w najbardziej odpowiedniej chwili!” („Nie wiem, jak wyrazić Pani wdzięczność za jej uprzejmość inaczej, niż jadąc do Londynu i przywożąc listy z największą przyjemnością”). „Będzie dostawała kosz owoców codziennie, przez cały sezon”. („Wyjadę natychmiast, droga Pani, i wrócę jutro”). „Ach, nie ma to jak kobiety, kiedy trzeba pomóc zakochanej osobie! Dokładnie to samo zrobiłaby moja biedna matka na miejscu pani Milroy”. („Daję słowo honoru dżentelmena, że zajmę się listami z najwyższą starannością, a całą sprawę zachowam dla siebie, jak Pani prosi”). „Dałbym pięćset funtów każdemu, kto podsunąłby mi właściwy sposób na rozmówienie się z panną Gwilt, a ta błogosławiona kobieta robi to za darmo”. („Oddany z wdzięcznością, Allan Armadale”).

Wysławszy odpowiedź posłańcowi pani Milroy, Allan stanął wobec chwilowej rozterki. Następnego ranka był umówiony w parku z panną Gwilt. Koniecznie należało jej przekazać, że nie będzie mógł przyjść. Zabroniła mu pisać, a tego dnia nie miał już możliwości zobaczyć się z nią sam na sam. Wobec tego postanowił, że konieczne napomknienie zostanie jej przekazane poprzez wiadomość skierowaną do majora, w której zawiadomi o swoim wyjeździe do Londynu w interesach i zapyta, czy może jakoś się przysłużyć któremuś z członków rodziny. Usunąwszy w ten sposób jedyną przeszkodę stojącą mu na drodze, Allan spojrzął na rozkład jazdy i ku

swemu rozczarowaniu odkrył, że pozostała jeszcze dobra godzina do czasu, kiedy trzeba będzie jechać na stację. W obecnym usposobieniu nieskończenie bardziej wolałby wyruszyć do stolicy w wielkim pośpiechu.

Kiedy wreszcie czas nadszedł, Allan, przechodząc obok biura zarządcy, zabębnił w drzwi i zawołał przez nie pana Bashwooda:

– Wyjeżdżam do miasta, wracam jutro.

Z wnętrza nie padła żadna odpowiedź, zaś służący, wtrącając się, poinformował swego pana, że pan Bashwood z braku zajęcia tego dnia zamknął biuro i wyszedł z domu kilka godzin wcześniej.

Po przybyciu na stację pierwszą osobą, którą spotkał Allan, był Pedgift junior udający się do Londynu w sprawie służbowej, o której wspomniał poprzedniego wieczoru. Padły stosowne wyjaśnienia i zdecydowano, że obaj panowie pojedą w tym samym wagonie. Allan cieszył się, że będzie miał towarzysza, Pedgift zaś, jak zwykle zachwycony tym, że przysłuży się swemu klientowi, pobiegł kupić bilety i dopilnować bagażu. Przechadzając się tam i z powrotem po peronie w oczekiwaniu na wiernego towarzysza, Allan natknął się niespodziewanie na nie kogo innego jak pana Bashwooda we własnej osobie. Staruszek stał na uboczu obok konduktora i skrycie przekazywał mu list (wraz z opłatą, jak się wydawało).

– Halo! – zawołał Allan serdecznie jak zwykle. – Coś ważnego, panie Bashwood, prawda?

Gdyby pan Bashwood został przyłapany na popełnianiu morderstwa, nie mógłby okazać większego zatrwożenia, niż okazywał teraz, będąc nagle zauważonym przez Allana. Zrywając z głowy swój stary, wyświechtany kapelusz, ukłonił się, drżąc cały z nerwów jak osika.

– Nie, sir, nie, sir. To tylko mały liścik, mały liścik, mały liścik – powiedział zastępca zarządcy, szukając ratunku w powtórzeniach i czym prędzej wycofując się w ukłonach jak najdalej od swego chlebobawcy.

Allan lekceważąco obrócił się na pięcie. „Chciałbym przekonać się do tego człowieka”, pomyślał, „ale nie potrafię. Straszny z niego tchórz! Co się takiego stało, u licha, żeby drzeć? Czy on myśli, że chcę się wtrącać w jego sekrety?”

W tym wypadku sekret pana Bashwooda dotyczył Allana bardziej, niż ten przypuszczał. List, który powierzał konduktorowi, był ni mniej, ni więcej, tylko ostrzeżeniem skierowanym do pani Oldershaw, a napisanym przez pannę Gwilt.

„Jeśli możesz przyśpieszyć załatwianie swoich interesów” (pisała guwernantka majora), „zrób to i natychmiast wracaj do Londynu. Tutaj dzieje się źle, a za intrygą stoi panna Milroy. Dziś rano uparła się, że zanieśnie matce śniadanie, które zawsze znosi opiekunka. Odbyły długą pogawędkę na osobności i pół godziny później widziałam, jak opiekunka wymknęła się z listem i poszła w kierunku rezydencji. Po wysłaniu listu nastąpił nagły wyjazd młodego Armadale’a do Londynu, pomimo że był on ze mną umówiony na jutro rano. Sprawa wygląda poważnie. Dziewczyna jest ewidentnie na tyle zuchwała, że będzie walczyć o status pani Armadale z Thorpe Ambrose i znalazła jakiś sposób, aby wciągnąć w pomoc matkę. Nie myśl, że jestem choć odrobinę zdenerwowana czy zniechęcona i nie rób nic, dopóki ponownie nie napiszę. Wracaj tylko do Londynu, ponieważ mogę potrzebować Twojej pomocy w ciągu najbliższych kilku dni.

Wysłałam list do stolicy (aby nie czekać na pocztę) południowym pociągiem, pod opieką konduktora. Skoro chcesz znać każdy mój krok w Thorpe Ambrose, mogę Ci również powiedzieć, że moim posłańcem (jako że nie mogę wybrać się sama na stację) jest ten dziwaczny staruszek, o którym wspominałam w pierwszym liście. Od tamtego czasu ciągle się tu kręci, żeby na mnie popatrzeć. Nie jestem pewna, czy go przerażam, czy raczej fascynuję, może jedno i drugie. Wystarczy Ci wiedzieć, że mogę go wykorzystywać do drobnych posług, a z czasem może i do czegoś więcej. L.G.”.

W międzyczasie pociąg wyjechał ze stacji Thorpe Ambrose i dziedzic wraz z towarzyszem podróży byli w drodze do Londynu.

Niektórzy mężczyźni, znalazłszy się w towarzystwie Allana w obecnej sytuacji, mogliby odczuwać zaniepokojenie charakterem jego interesu w stolicy. Nieomylny instynkt młodego Pedgifta jako człowieka światowego przeniknął tajemnicę bez najmniejszego problemu. „Stara bajka”, pomyślała czujna, doświadczona głowa, kiwając się skrycie na krzepkich, młodych ramionach. „W grę wchodzi kobieta, jak zwykle. Każda inna sprawa zostałaby powierzona mnie”. W zupełności

usatysfakcjonowany tym wnioskiem, Pedgift młodszy zajął się następnie, mając na oku swój interes, przysługiwaniem się swojemu klientowi w charakterze dobrowolnego przewodnika. Wziął na siebie całą organizacyjną stronę podróży do Londynu, tak jak wcześniej wziął na siebie stronę organizacyjną pikniku na rozlewiskach. Po przybyciu na stację końcową Allan był gotów udać się do jakiego bądź hotelu, który zostałby mu polecony. Jego nieoceniony radca prawny zabrał go prosto do hotelu, w którym rodzina Pedgiftów miała zwyczaj nocować od trzech pokoleń.

– Nie przeszkadzają panu warzywa, sir? – spytał wesoły Pedgift, kiedy dorożka zatrzymała się pod hotelem przy Covent Garden Market⁹. – Znakomicie, może pan zostawić resztę mojemu dziadkowi, ojcu i mnie. Nie wiem, który z nas jest najbardziej uwielbiany i szanowany w tym hotelu. Jak się masz, Williamie? (Nasz *maître d’hôtel*, panie Armadale). Czy reumatyzm twojej żony odpuścił, a synek dobrze radzi sobie w szkole? Twojego pana nie ma, prawda? Nieważne, wystarczysz ty. Williamie, to jest pan Armadale z Thorpe Ambrose. Namówiłem pana Armadale’a, aby wypróbował nasz hotel. Przygotowałeś pokój, o który prosiłem? Wyśmienicie. Niech pan Armadale zajmie go zamiast mnie. Ulubiony pokój mojego dziadka, sir, numer 57, na drugim piętrze, proszę, niech pan go zajmie, ja mogę spać gdziekolwiek. Czy chce pan, żeby położyć piernat na materacu? Słyszysz, Williamie? Powiedz Matildzie, piernat na materacu. Jak się ma Matilda? Czy jak zwykle boli ją ząb? Główna pokojówka, panie Armadale, i zupełnie niezwykła kobieta. Za nic nie chce się rozstać z dziurawym zębem w żuchwie. Mój dziadek mówi: „wyrwij go”, mój ojciec mówi: „wyrwij go”, ja mówię: „wyrwij go”, a Matilda nikogo nie słucha. Tak, Williamie, tak, jeśli pan Armadale się zgodzi, ten salon wystarczy. Co z obiadem, sir? W takim razie, powiedzmy, wpół do ósmej? Williamie, wpół do ósmej. Nie ma potrzeby niczego zamawiać, panie Armadale. Wystarczy, że *maître d’hôtel* przekaże pozdrowienia ode mnie kucharzowi, a przyślą nam najlepszy obiad w Londynie, punktualnie co do minuty. Bądź tak dobry, Williamie, i powiedz, że chodzi o pana Pedgifta juniora. W przeciwnym razie, sir, moglibyśmy dostać obiad mojego dziadka albo ojca, a one mogłyby się okazać nieco zbyt ciężkie i staromodne jak na nasze żołądki. Co do wina, Williamie, do obiadu

szampan i sherry, które mój ojciec uważa za wstrętne. Po obiedzie bordo z niebieską pieczęcią – wino, o którym mój niewinny dziadek powiedział, że nie jest warte sześciu pensów. Ha, ha! Biedny staruszek! Przyślesz nam na górę wieczorne gazety i programy teatralne, tak jak zwykle, i... to by było na tyle? Myślę, że na razie tak, Williamie. Nieoceniony sługa, panie Armadale, wszyscy służący w tym hotelu są nieocenieni. Może nie jest to najbardziej wykwintne miejsce, sir, ale za to jakie wygodne! Dorożka? Chciałby pan zamówić dorożkę? Proszę się nie ruszać! Zadzwoiłem dwa razy, co oznacza „dorożka pilnie potrzebna”. Czy mogę zapytać, panie Armadale, w którą stronę gna pana interes? W kierunku Bayswater? Czy mógłby pan podwieźć mnie do parku? Kiedy jestem w Londynie, mam zwyczaj zażywać świeżego powietrza w otoczeniu arystokratów. Pański oddany sługa, sir, potrafi docenić piękną kobietę i pięknego konia, a kiedy jest w Hyde Parku, znajduje się w swoim żywiole.

Tak perorował wszechstronnie utalentowany Pedgift i dzięki tym drobnym sztuczkom próbował zaskarbić sobie dobrą opinię klienta.

Kiedy pora obiadu ponownie zjednoczyła towarzyszy podróży w hotelowym salonie, nawet ktoś dużo mniej spostrzegawczy niż młody Pedgift musiałby dostrzec wyraźną zmianę w zachowaniu Allana. Zdawał się być podenerwowany i zakłopotany. Siedział bez słowa, bębniąc palcami w blat stołu.

– Mam wrażenie, że od czasu naszego rozstania w parku stało się coś, co pana zdenerwowało – odezwał się Pedgift junior. – Proszę wybaczyć uwagę. Mówię to tylko na wypadek, gdybym mógł się do czegoś przydać.

– Stało się coś, czego nigdy bym się nie spodziewał – odparł Allan. – Nie wiem, co o tym myśleć. Chciałbym poznać pana zdanie – dodał po chwili wahania – to znaczy, o ile wybaczy pan, że nie będę się wdawał w szczegóły.

– Oczywiście! – zgodził się młody Pedgift. – Proszę zarysować sprawę ogólnie, sir! Wystarczy najmniejsza wzmianka, nie urodziłem się wczoraj.

„Ach, te kobiety!”, westchnął młodociany filozof na marginesie.

– A więc – powiedział Allan – wie pan, co powiedziałem, gdy dotarliśmy do hotelu. Powiedziałem, że mam się udać w pewne miejsce w Bayswater – (Pedgift

odhaczył w głowie pierwszy punkt: przypadek na przedmieściach, w Bayswater) – i że jest pewna osoba... to znaczy... nie... tak jak powiedziałem, osoba, o którą muszę się dowiedzieć. – (Pedgift odhaczył następny punkt: w grę wchodzi pewna osoba. Ona czy on? Ona, bez dwóch zdań!) – No więc, poszedłem do tego domu i kiedy spytałem o nią... to znaczy o tę osobę... ona... to znaczy osoba... och, niech to diabli wezmą! – zawołał Allan – doprowadzę siebie do szału i pana też, jeśli będę próbował opowiedzieć tę historię w taki zawoalowany sposób. Oto ona w dwóch słowach. Poszedłem na Kingsdown Crescent 18, aby spotkać się z damą nazwiskiem Mandeville i kiedy o nią zapytałem, służący powiedział, że pani Mandeville wyjechała, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie, ani nawet nie zostawiając adresu, na który można by kierować listy. Oto cała historia! Co pan o niej teraz myśli?

– Proszę mi najpierw powiedzieć, sir – rzekł czujny Pedgift – jakie pytania pan zadał, kiedy dowiedział się, że owa dama zniknęła?

– Pytania! – powtórzył Allan. – Byłem zupełnie oniemiały. W ogóle się już nie odezwałem. Jakież to pytania powinienem był zadać?

Pedgift junior odchrząknął i założył nogę na nogę w ściśle profesjonalny sposób.

– Nie chciałbym, panie Armadale – zaczął – wypytywać o pański interes z panią Mandeville...

– Nie – przerwał bez ogródek Allan – mam nadzieję, że nie będzie pan o niego wypytywał. Mój interes z panią Mandeville musi pozostać tajemnicą.

– Ale – ciągnął Pedgift, dając Allanowi wykład z pomocą palca wskazującego jednej ręki położonego na otwartej dłoni drugiej – może wolno zapytać ogólnie, czy interes z panią Mandeville jest dla pana na tyle ważny, aby chciał pan odnaleźć jej obecne miejsce zamieszkania?

– Oczywiście! – powiedział Allan. – Mam bardzo szczególny powód, dla którego pragnę się z nią spotkać.

– W takim razie, sir – odrzekł Pedgift junior – istniały dwa oczywiste pytania, które powinien pan był zadać na początek, mianowicie: kiedy wyjechała pani Mandeville i w jaki sposób wyjechała. Dowiedziawszy się tego, powinien pan następnie ustalić, w jakich okolicznościach wyjechała: czy w grę wchodziło jakieś

nieporozumienie, na przykład o pieniądze. Następnie, czy wyjechała sama, czy z kimś. Następnie, czy dom należy do niej, czy tylko go wynajmowała. A w tym ostatnim przypadku...

– Dość! Dość! W głowie mi się kręci – zawołał Allan. – Nie rozumiem tych wszystkich szczegółów. Nie przywykłem do czegoś takiego.

– Ja przywykłem do tego od dzieciństwa, sir – powiedział Pedgift. – I jeśli mogę jakoś pomóc, proszę tylko powiedzieć słówko.

– Jest pan bardzo miły – odparł Allan. – Gdyby tylko pomógł mi pan odnaleźć panią Mandeville i nie miał nic przeciwko temu, że zostawi później sprawę wyłącznie w moich rękach...

– Z największą przyjemnością zostawię sprawę w pańskich rękach, sir – powiedział Pedgift junior. („I idę o zakład”, dodał w myślach, „że gdy nadejdzie pora, zostawi ją pan w moich”). – Pojedziemy do Bayswater razem, panie Armadale, jutro rano. W międzyczasie oto zupa. Sprawa, jaka toczy się teraz przed sądem, to przyjemność przeciwko interesom. Nie wiem, co pan mówi, ale ja mówię bez chwili wahania: werdykt na korzyść powódki. Rwijmy róż pąki, póki młode. Proszę wybaczyć mój dobry humor, panie Armadale. Choć zaszyłem się na wsi, zostałem stworzony do życia w Londynie. Już samo miejskie powietrze mnie odurza.

Po tym wyznaniu nieodparty Pedgift podsunął krzesło swojemu stałemu klientowi i wesoło wydał polecenia swemu namiestnikowi – *maître d'hôtel*.

– Mrożony poncz, Williamie, po zupie. Ręczę za poncz, panie Armadale, jest robiony według przepisu mego stryjecznego dziadka. Prowadził pub i dorobił się majątku. Nie wstydzę się mówić, że Pedgiftowie mieli w rodzinie szynkarza, nie ma we mnie źle pojętej dumy. „Że z zalet jest człowieka od gminu różnica (jak mówi Pope), nikogo skóra ani jedwab nie zaszczycą”¹⁰. W czasie wolnym uprawiam poezję na równi z muzyką, sir. Prawdę powiedziawszy, utrzymuję bliższe lub dalsze kontakty ze wszystkimi dziewięcioma muzami. Ach! A oto i poncz! Toast za pamięć mojego stryjecznego dziadka, szynkarza, panie Armadale, wypity w uroczystej ciszy!

Allan próbował ze wszystkich sił dorównać swemu kompanowi wesołością

i dobrym humorem, ale z bardzo mizernym skutkiem. Wizyta na Kingsdown Crescent coraz to powracała w jego pamięci przez cały obiad i w czasie rozrywek na mieście, którym on i jego radca prawny oddali się późnym wieczorem. Gdy Pedgift junior gasił tego wieczora świecę, pokręcił swoją przezorną głową i ze smutkiem po raz drugi tego dnia pomyślał na marginesie o kobietach.

Następnego dnia przed dziesiątą niestrudzony Pedgift pojawił się na posterunku. Ku wielkiej uldze Allana zaproponował, że sam zasięgnie języka w domu na Kingsdown Crescent, podczas gdy jego klient będzie czekał tuż obok, w dorożce, która przywiozła ich z hotelu. Po mniej niż pięciu minutach pojawił się znowu, będąc w posiadaniu wszystkich szczegółów, które były osiągalne. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było poproszenie Allana, by wysiadł z dorożki i zapłacił dorożkarzowi. Następnie uprzejmie posłużył ramieniem i poprowadził klienta wzdłuż zakola ulicy, przez plac i w boczną uliczkę, która była niezwykle ruchliwa za sprawą postoju dorożek. Tutaj przystanął i zapytał żartobliwie, czy pan Armadale dostrzega już dalszy sposób postępowania, czy też będzie konieczne wystawienie jego cierpliwości na próbę poprzez złożenie wyjaśnień.

– Czy dostrzegam sposób postępowania? – powtórzył Allan w oszołomieniu. – Nie dostrzegam nic oprócz postoju dorożek.

Pedgift junior uśmiechnął się z politowaniem i przystąpił do swoich wyjaśnień. Na początku zauważył, że dom na Kingsdown Crescent oferował pokoje do wynajęcia. Prawnik domagał się widzenia z właścicielką. Bardzo miła osoba, wszystko wskazuje na to, że jakieś pięćdziesiąt lat temu była ładną dziewczyną, nawet w guście Pedgifta, gdyby tylko żył na początku wieku. Ale może pan Armadale wolałby dowiedzieć się czegoś o pani Mandeville? Niestety, na ten temat nie było nic do powiedzenia. Nie było żadnej kłótni, pobyt opłacono co do pensa. Lokatorka wyjechała i nie było nic, co mogłoby naświetlić okoliczności jej wyjazdu. Albo tak miała zwyczaj znikać, albo chodziło o coś innego, co jeszcze nie zostało odkryte. Pedgift znał datę jej wyjazdu, godzinę wyjazdu i sposób wyjazdu. Sposób mógłby pomóc w znalezieniu jej. Wyjechała dorożką, którą służąca sprowadziła z najbliższego postoju. Postój znajdował się teraz przed nimi, a pierwszą osobą, do której należało uderzyć, był nosiwoda, jako że udanie się do nosiwody było

najwyraźniej (jeśli pan Armadale wybaczy żart) udaniem się do źródła. Podchodząc do tematu w ten nonszalancki sposób i informując Allana, że wróci za chwilę, Pedgift junior przeszedł ulicę spacerowym krokiem i ukradkowo skinął na nosiwodę, aby ten udał się z nim do najbliższego pubu.

Po chwili obaj pojawili się znowu, a nosiwoda zaprowadził Pedgifta kolejno do pierwszego, trzeciego, czwartego i szóstego z dorożkarzy, których pojazdy stały na postoju. Najdłuższa rozmowa miała miejsce z szóstym dorożkarzem, a skończyła się tym, że szósta dorożka nagle podjechała do miejsca, w którym czekał Allan.

– Proszę wsiadać – rzekł Pedgift, otwierając drzwi. – Znalazłem go. Pamięta ową damę i choć zapomniał, jak nazywała się ulica, wydaje mu się, że potrafi odnaleźć miejsce, w które ją zawiózł, kiedy już znajdzie się w okolicy. Z przyjemnością donoszę, panie Armadale, że jak dotąd sprzyja nam szczęście. Poprosiłem nosiwodę, aby wskazał mi stałych woźniców na postoju, i okazuje się, że jeden z nich odwoził panią Mandeville. Nosiwoda ręczy za niego – to prawdziwy ewenement: porządny dorożkarz, powozi własnym koniem i nigdy nie wdał się w żadne kłopoty. Oto ludzie, sir, którzy podtrzymują wiarę w człowieka. Przypatrzyłem się naszemu przyjacielowi i zgadzam się z nosiwodą: myślę, że możemy na nim polegać.

Śledztwo wymagało początkowo nieco cierpliwości. Dopiero gdy dorożka przemierzyła dystans dzielący Bayswater i Pimlico, woźnica zwolnił i zaczął rozglądać się wokół siebie. Dorożka raz czy drugi zawróciła, a potem wjechała w cichą, boczną uliczkę zakończoną ślepym murem i zatrzymała się przed ostatnim domem po lewej, tym, który sąsiadował z murem.

– To tutaj, panowie – powiedział dorożkarz, otwierając drzwi pojazdu.

Allan i jego doradca wysiedli i obaj spojrzeli na dom z tą samą instynktowną podejrzliwością.

Budynki mają swoją fizjonomię, zwłaszcza te w dużych miastach, a oblicze tego domu miało zasadniczo wyraz skryty. Wszystkie frontowe okna były zamknięte, a żaluzje spuszczone. Dom oglądany od frontu nie wyglądał na większy niż inne domy na tej samej ulicy, ale zwodniczo ciągnął się w głąb i zyskiwał na metrażu za sprawą większej głębokości. Część na parterze stwarzała pozory sklepu, ale w przestrzeni między oknem a wiszącym wewnątrz rzędem czerwonych zasłon,

całkowicie skrywających wewnątrz, nie było widać nic. Po jednej stronie znajdowały się drzwi, za których oszkloną częścią widniała kolejna czerwona zasłona, a do których drewnianej części przymocowano mosiężną tabliczkę z nazwiskiem Oldershaw. Po drugiej stronie znajdowało się osobne wejście z dzwonkiem oznaczonym jako „gabinet” i jeszcze jedną mosiężną tabliczką wskazującą na to, że tę część domu zajmował lokator parający się medycyną, ponieważ umieszczono na niej inskrypcję „Doktor Downward”. Gdyby cegła i zaprawa murarska potrafiły mówić, te powiedziałby wprost: „Skrywamy w swoim wnętrzu pewne tajemnice i mamy zamiar ich strzec”.

– To nie może być tutaj – odezwał się Allan. – Musi być jakiś błąd.

– Pan wie najlepiej, sir – zauważył Pedgift junior z ironiczną powagą. – Zna pan zwyczajnie pani Mandeville.

– Ja! – zawołał Allan. – Może to pana zdziwi, ale pani Mandeville jest dla mnie osobą zupełnie obcą.

– Wcale się nie dziwię, słysząc to. Właścicielka domu na Kingsdown Crescent powiedziała mi, że pani Mandeville jest stara. Może zapytamy? – dodał nieprzenikniony Pedgift, spoglądając na czerwone zasłony w oknie wystawowym z mocnym podejrzeniem, że może się za nimi kryć wnuczka pani Mandeville.

Najpierw spróbowali otworzyć drzwi sklepu. Były zamknięte. Zadzwonili. Otworzyła im szczupłą, młodą kobietą o poźółkłej cerze, z wyświechtaną francuską powieścią w ręku.

– Dzień dobry, panienko – odezwał się Pedgift. – Czy zastaliśmy panią Mandeville?

Młoda kobieta o poźółkłej cerze spojrzała na niego w osłupieniu.

– Osoba o tym nazwisku nie jest tu znana – odparła ostro, z obcym akcentem.

– Może znają ją w drugiej części domu? – zasugerował Pedgift junior.

– Może – odpowiedziała kobieta i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

– Co za krewka osóbką, sir – powiedział Pedgift. – Gratuluję pani Mandeville, że jej nie zna.

Mówiąc to, podszedł do części domu należącej do doktora Downwarda

i zadzwonił w dzwonek.

Tym razem drzwi otwarł mężczyzna w podniszczonej liberii. On również zdziwił się, gdy padło nazwisko Mandeville i on również nie znał takiej osoby.

– Bardzo dziwne – powiedział Pedgift, zwracając się do Allana.

– Co jest dziwne? – zapytał cicho mężczyzna w czerni, który nagle pojawił się na progu drzwi do salonu.

Pedgift junior uprzejmie wyjaśnił, o co chodzi, i zapytał, czy ma przyjemność rozmawiać z doktorem Downwardem.

Doktor skłonił się. Jeśli można wybaczyć takie sformułowanie, był to jeden z tych starannie skonstruowanych lekarzy, którym opinia publiczna, zwłaszcza kobiety, bezwarunkowo ufają. Posiadał nieodzowną łysinę, nieodzowne binokle, nieodzowne czarne ubranie i nieodzowną powściągliwość w sposobie bycia, wszystko, co potrzeba. Jego głos był kojący, ruchy przemyślane, uśmiech konfidencjonalny. Tabliczka na drzwiach nie zdradzała, jaką dziedzinę medycyny uprawiał doktor Downward, ale zupełnie rozminął się z powołaniem, jeśli nie był lekarzem od spraw kobiecych.

– Są panowie pewni, że nie pomylili nazwiska? – zapytał doktor, a jego zachowanie było podszyte silnym niepokojem. – Wiem, że z pomylenia nazwisk mogą czasem wyniknąć poważne kłopoty. Nie? Na pewno nie ma mowy o pomyłce? W takim razie, panowie, mogę jedynie powtórzyć to, co powiedział wam mój służący. Proszę nie przepraszać. Do widzenia.

Doktor wycofał się równie bezgłośnie jak się pojawił, mężczyzna w znoszonej liberii w milczeniu zamknął drzwi i Allan wraz z towarzyszem ponownie znaleźli się na ulicy.

– Panie Armadale – rzekł Pedgift. – Nie wiem, jak pan, ale ja jestem zdezorientowany.

– Trudna sprawa – odparł Allan. – Właśnie miałem pana zapytać, co powinniśmy robić dalej.

– Nie podoba mi się to miejsce, sklepikarka i doktor – ciągnął tamten. – A jednak nie mogę powiedzieć, bym miał wrażenie, iż nas oszukują. Nie wydaje mi

się, żeby tak naprawdę znali nazwisko pani Mandeville.

Przecucia rzadko kiedy zwodziły Pedgifta juniora i teraz również go nie zwiodły. Ostrożność, która kazała pani Oldershaw skrycie opuścić Bayswater, jest ostrożnością, która często przecenia własne możliwości. Przestrzegła ją, aby nikomu w Pimlico nie zdradziła nazwiska przybranego na potrzeby wystawienia referencji pannie Gwilt, ale zupełnie nie przygotowała jej na sytuację awaryjną, która rzeczywiście miała miejsce. Jednym słowem, pani Oldershaw przewidziała wszystko oprócz jednej niewyobrażalnej ewentualności, jaką było ponowne zapytanie o referencje panny Gwilt.

– Musimy coś zrobić – powiedział Allan. – Nie ma sensu tu się zatrzymywać.

Jeszcze nikt nigdy nie przyłapał Pedgifta juniora na tym, że wyczerpały mu się pomysły, i Allanowi również się to teraz nie udało.

– Zgadzam się z panem – rzekł. – Musimy coś zrobić. Przesłuchamy dorożkarza.

Dorożkarz okazał się nieugięty. Kiedy zarzucono mu, że pomylił miejsce, wskazał na pustą wystawę.

– Nie wiem, co panowie widzieli – rzekł – ale ja widziałem w życiu tylko jedną wystawę sklepową, na której by nic nie było. To sprawiło, że miejsce to utkwilo mi w pamięci i rozpoznaję je, kiedy je widzę.

Gdy zarzucono mu, że pomylił osobę, dzień lub dom, spod którego zabrał tę osobę, dorożkarz znów okazał się nie do ruszenia. Służąca, która go sprowadziła, była dziewczyną dobrze znaną na postoju. Dzień wyróżniał się tym, że był najbardziej pechowym dniem, jaki miał w pracy od początku roku, a dama wyróżniała się tym, że miała pieniądze przygotowane w stosownej chwili (co nie przytrafia się nawet jednej na sto starszych dam) i na żądanie zapłaciła mu sumę za przejazd bez szemrania (co nie zdarza się nawet jednej na sto staruszek).

– Proszę zapisać mój numer, panowie – zakończył dorożkarz – i zapłacić mi za mój czas, a to, co wam powiedziałem, powiem pod przysięgą każdemu.

Pedgift zanotował w notesie numer dorożkarza. Zapisawszy ponadto nazwę ulicy i nazwiska na obu mosiężnych tabliczkach, bez słowa otworzył drzwi dorożki.

– Jak na razie, poruszamy się po omacku – rzekł. – Może wymacamy drogę

powrotną do hotelu?

Wydawał się bardziej poważny niż zazwyczaj. Fakt, że „pani Mandeville” zmieniła miejsce zamieszkania, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie, ani nie zostawiając adresu, na jaki można by kierować listy, i który dyktowana zazdrością nikczemność pani Milroy zinterpretowała jako bez wątpienia podejrzany, sam w sobie nie wywarł większego wrażenia na bezstronnym osądzie radcy prawnego Allana. Ludzie często opuszczali miejsce zamieszkania bez rozgłosu, mając zupełnie zrozumiałe powody. Jednak wygląd miejsca, do którego, jak upierał się dorożkarz, odwiózł „panią Mandeville”, stawiał charakter i poczynania owej tajemniczej damy w nowym świetle. Jego osobiste zainteresowanie śledztwem nagle się wzmoгло i zaczął odczuwać chęć poznania prawdziwego charakteru interesu Allana, której to ciekawości dotąd nie odczuwał.

– Nasz następny krok, panie Armadale, nie jest łatwy do przewidzenia – powiedział, gdy wracali z powrotem do hotelu. – Czy mógłby pan wtajemniczyć mnie w jakieś bliższe szczegóły?

Allan zawahał się i Pedgift junior dostrzegł, że posunął się trochę za daleko. „Nie mogę go zmuszać”, pomyślał. „Muszę dać mu czas i pozwolić, aby wyszło to od niego”.

– Z braku innych danych, sir – podjął – co by pan powiedział na to, że rozpytam się na temat tajemniczego sklepu i tych dwóch nazwisk na tabliczkach? Mój interes w Londynie ma charakter służbowy i kiedy pana zostawię, udam się właśnie we właściwe miejsce, by zdobyć informacje, jeśli jest taka potrzeba.

– Wydaje się, że nie ma nic złego w rozpytaniu się – odparł Allan.

On również mówił z większą powagą niż zazwyczaj i on także zaczynał odczuwać przemożną chęć dowiedzenia się czegoś więcej. W jego głowie zaczynała świtać myśl, że istnieje jakiś niejasny związek pomiędzy trudnością dotarcia do wiedzy na temat sytuacji rodzinnej panny Gwilt a trudnością dotarcia do osoby ją polecającej.

– Wsiądę i przejdę się, a pan niech jedzie załatwiać swoje sprawy – powiedział.
– Chcę się trochę nad tym zastanowić, a spacer i cygaro mi w tym pomogą.

– Załatwię swoje sprawy między pierwszą a drugą – rzekł Pedgift, gdy dorożka zatrzymała się i Allan wysiadł. – Może spotkamy się o drugiej w hotelu?

Allan skinął głową i dorożka odjechała.

⁹ Covent Garden Market – największa i najsłynniejsza giełda owocowo-warzywna w Londynie (przypis tłumacza).

¹⁰ Fragment *Wiersza o człowieku* Alexandra Pope’a w przekładzie Ludwika Kamińskiego (przypis tłumacza).

IV. ALLAN W POTRZASKU

Nadeszła druga, a wraz z nią, punktualnie co do minuty, pojawił się Pedgift junior. Jego poranne ożywienie zupełnie uleciało. Powitał Allana ze zwykłą uprzejmością, ale bez zwykłego uśmiechu, a kiedy pojawił się *maître d'hôtel*, czekając na polecenia, natychmiast został odprawiony słowami, jakie jeszcze nigdy nie padły z ust Pedgifta w tym hotelu:

– Na razie nic.

– Wydaje się pan w kiepskim nastroju – powiedział Allan. – Nie możemy zdobyć informacji? Czy nikt nie był w stanie powiedzieć panu nic o domu w Pimlico?

– Trzy różne osoby mówiły mi o nim, panie Armadale, i wszystkie trzy powiedziały to samo.

Allan skwapliwie przysunął krzesło bliżej miejsca, które zajmował jego towarzysz podróży. Przemyślenia, jakie poczynił od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, nie uspokoiły go. Ów dziwny związek pomiędzy trudnością dotarcia do wiedzy na temat sytuacji rodzinnej panny Gwilt a trudnością dotarcia do osoby ją polecającej, tak łatwo wyczuwalny, a tak trudny do wyjaśnienia, który już wcześniej zalał mu się w głowie, do tej pory zdążył już ukradkowo zdominować jego myśli. Dręczyły go wątpliwości, których ani nie rozumiał, ani nie potrafił wyrazić. Opanowała go ciekawość, którą na poły pragnął, na poły bał się zaspokoić.

– Obawiam się, że muszę panu zadać kilka pytań, sir, zanim przejdę do rzeczy – odezwał się Pedgift junior. – Nie chcę zmuszać pana do zwierzeń. Pragnę jedynie rozeznąć się w sytuacji, która na moje oko wygląda bardzo niezręcznie. Może mi pan powiedzieć, czy inne osoby poza panem są zainteresowane naszym śledztwem?

– Są nim zainteresowane inne osoby – odparł Allan. – Nie ma powodu, aby to

przed panem ukrywać.

– Czy jest jeszcze jakaś osoba będąca przedmiotem śledztwa poza panią Mandeville? – ciągnął Pedgift, drażąc tajemnicę nieco głębiej.

– Tak, jest jeszcze jedna osoba – odpowiedział Allan z lekką niechęcią.

– Czy ta osoba to młoda kobieta, panie Armadale?

Allan drgnął.

– Jak pan do tego doszedł? – zaczął, po czym, gdy było już za późno, zreflektował się. – Proszę nie zadawać mi więcej pytań – podjął. – Nie potrafię bronić się przed takim bystrym człowiekiem jak pan, a jestem związany słowem honoru, że zatrzymam szczegóły tej sprawy dla siebie.

– To już koniec pytań, sir – powiedział – i mam coś do dodania ze swojej strony. Podczas nieobecności mojego ojca może byłby pan skłonny uważać mnie za swojego doradcę prawnego... Jeśli mogę panu coś poradzić, proszę nie wchodzić dalej w to śledztwo.

– Co ma pan na myśl? – przerwał Allan.

– Istnieje możliwość, panie Armadale, że dorożkarz, jakkolwiek pewny swego, jest w błędzie. Z całego serca radzę panu przyjąć, że jest on w błędzie, i na tym poprzestać.

Ostrzeżenie zostało wyrażone w dobrej wierze, ale przyszło za późno. Allan zrobił to, co dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na stu zrobiliby na jego miejscu – odmówił przyjęcia rady swojego prawnika.

– Bardzo dobrze, sir – rzekł Pedgift junior. – Skoro chce pan wiedzieć, dowie się pan.

Nachylił się do ucha Allana i wyszeptał to, co usłyszał o domu w Pimlico i ludziach, którzy go zamieszkują.

– Proszę mnie nie winić, panie Armadale – dodał, kiedy padły już nieodwracalne słowa. – Próbowałem pana oszczędzić.

Allan przyjął wstrząs w milczeniu, tak jak przyjmuje się wszystkie wielkie wstrząsy. Pierwszy impuls kazałby mu na oślep szukać ratunku w tej samej opinii na temat zapewnienia dorożkarza, którą mu właśnie podsunięto, gdyby nie jedna

obciążająca okoliczność, która nieubłaganie wchodziła mu w drogę. Wyraźna niechęć panny Gwilt do poruszania historii jej przeszłego życia ciągle powracała mu w pamięci, w niebezpośredni, ale potworny sposób potwierdzając dowód, który łączył osobę polecającą pannę Gwilt z domem w Pimlico. Nasuwał mu się jeden i tylko jeden wniosek – ten sam, który wyciągnąłby każdy inny człowiek, słysząc to, co on właśnie usłyszał, i nie wiedząc nic ponadto. Nieszczęsna, upadła kobieta, która będąc w krytycznym położeniu, uciekła się do pomocy niegodziwców biegłych w ukrywaniu przestępczej działalności, która wkradła się z powrotem na łono uczciwego społeczeństwa i wróciła do cieszącego się poważaniem zarobkowania za pomocą fałszywych referencji i której sytuacja wymuszała obecnie konieczność ciągłej dyskrecji i ciągłego kłamstwa w odniesieniu do dawnego życia – oto w jakim świetle jawiła się teraz oczom Allana piękna guwernantka z Thorpe Ambrose!

Światło to ukazywało ją w prawdzie czy zakłamywało ją? Czy wkradła się z powrotem na łono uczciwego społeczeństwa i wróciła do cieszącego się poważaniem zarobkowania za pomocą fałszywych referencji? Tak. Czy jej sytuacja wymuszała obecnie konieczność ciągłej dyskrecji i ciągłego kłamstwa w odniesieniu do dawnego życia? Tak. Czy była godną pożałowania ofiarą zdrady nieznanego człowieka, za jaką brał ją Allan? Nie była. Wniosek, który wyciągnął Allan, wniosek, który przedstawione mu fakty dosłownie mu narzuciły, był jednak wnioskiem jak najdalszym od prawdy. Prawdziwa historia związków panny Gwilt z domem w Pimlico i zamieszkującymi go ludźmi – domem, o którym słusznie mówiło się, że pełen jest ciemnych sekretów, i ludźmi, których słusznie przedstawiano jako żyjących w ustawicznym strachu przed karzącą ręką prawa – była czymś, co nadchodzące wypadki dopiero miały ujawnić. Była to historia nieskończenie mniej odrażająca, a jednak nieskończenie potworniejsza, niż Allan lub jego towarzysz mogli przypuszczać.

– Próbowałem pana oszczędzić, panie Armadale – powtórzył Pedgift. – Chciałem, o ile to możliwe, pana nie martwić.

Allan podniósł wzrok i dokonał wysiłku, aby się opanować.

– Zmartwił mnie pan okropnie – rzekł. – Całkowicie mnie pan załamał. Ale to nie pańska wina. Powinienem myśleć o tym jako o przysługę, którą mi pan

wyświadczył, i kiedy dojdę do siebie, zrobię to, co należy zrobić. Jest jedna rzecz – dodał Allan po chwili bolesnego rozważania – którą musimy sobie od razu wyjaśnić. Rada, jakiej mi pan właśnie udzielił, płynęła z dobrego serca i była najlepszą radą, jaką można było dać. Przyjmę ją z wdzięcznością. Nigdy nie wrócimy już do tego tematu, jeśli pan pozwoli, i błagam pana, aby nigdy nie wspominał o tym nikomu innemu. Może mi pan to obiecać?

Pedgift złożył obietnicę z wyraźną szczerością, jednak bez swej profesjonalnej pewności siebie. Smutek rysujący się na twarzy Allana zdawał się go onieśmielać. Po chwili nietypowego dla siebie wahania taktownie wyszedł z pokoju.

Pozostawszy sam, Allan zadzwonił po materiały piśmiennicze i wyjął z kieszonkowego notesu nieszczęsny list polecający do „pani Mandeville”, który otrzymał od żony majora.

Człowiek nawykły do brania pod uwagę konsekwencji i poprzedzania czynów przemyśleniami miałby w obecnym położeniu Allana pewne trudności z decyzją, jakie kroki należałoby podjąć, aby były one jak najmniej niezręczne i jak najmniej niebezpieczne. Nawykły do kierowania się impulsami w każdym innym wypadku, Allan postąpił tak samo również w obliczu obecnego kryzysu. Choć jego przywiązanie do panny Gwilt w niczym nie przypominało głębokiego uczucia, choć szczerze wierzył, że takim jest, zwykł był myśleć o niej z ponadprzeciętnym podziwem, a teraz, gdy o niej myślał, napełniała go nieprzeciętnym żalem. Teraz, w krytycznym momencie życia, jego najgłębszym życzeniem było litościwe pragnienie, aby uchronić od zdemaskowania i ruiny nieszczęsną kobietę, która straciła swą pozycję w jego oczach, nie tracąc jednocześnie prawa do wyrozumiałości, która mogła ją oszczędzić, i współczucia, które mogło ją ochronić. „Nie mogę wrócić do Thorpe Ambrose. Nie mogę zdobyć się na to, aby z nią porozmawiać albo znów ją zobaczyć. Ale mogę zachować dla siebie jej nieszczęsny sekret i zrobię to!” Z tą myślą Allan przystąpił do spełnienia pierwszego i najważniejszego obowiązku, który teraz przed nim stał – obowiązku skontaktowania się panią Milroy. Gdyby tylko posiadał większy potencjał umysłowy i szerszy ogląd, mógłby stwierdzić, że napisanie listu nie należy do łatwych. W chwili obecnej jednak nie rozmyślał nad konsekwencjami i nie doświadczał

żadnej trudności. Instynkt przynaglał go, by jak najszybciej wycofał się ze zobowiązania, jakie wziął na siebie względem żony majora, więc napisał to, co instynkt podpowiadał mu w obecnej sytuacji, tak szybko, jak tylko pióro potrafi kreślić po papierze:

„Hotel Dunn’s, Covent Garden, wtorek

Szanowna Pani!

Proszę wybaczyć, że nie przyjadę do Thorpe Ambrose dzisiaj, tak jak obiecałem. Nieprzewidziane okoliczności zmuszają mnie, bym pozostał w Londynie. Z przykrością zawiadamiam, że nie udało mi się spotkać z panią Mandeville, co sprawia, że nie jestem w stanie załatwić powierzonej mi sprawy i dlatego też pozwalam sobie zwrócić list polecający, za co usilnie przepraszam. Mam nadzieję, że pozwoli mi Pani zakończyć stwierdzeniem, iż jestem bardzo zobowiązany za okazaną mi życzliwość, której nie ośmielę się więcej nadużywać.

Pozostaję oddany,

Allan Armadale”.

Tymi prostymi słowami, nadal całkowicie nieświadomy prawdziwej natury kobiety, z którą miał do czynienia, Allan włożył w ręce pani Milroy narzędzie, którego potrzebowała.

List wraz z załącznikiem zostały zapieczętowane i zaadresowane, a Allan mógł wreszcie pomyśleć o sobie i swojej przyszłości. Kiedy siedział, bezmyślnie kreśląc piórem linie po bibule, po raz pierwszy napłynęły mu do oczu łzy, łzy, w których nie miała udziału kobieta, która go oszukała. Myślami powrócił do zmarłej matki. „Gdyby żyła”, pomyślał, „zwierzyłbym się jej, a ona by mnie pocieszyła”. Nie było sensu się nad tym rozwodzić. Otarł łzy i z gorzką rezygnacją znaną każdemu z nas powrócił myślami do życia i bieżących spraw.

Napisał krótki list do pana Bashwooda, informując zastępcę zarządcy, że jego nieobecność w Thorpe Ambrose może się nieco przedłużyć i że w obecnej sytuacji wszelkie dalsze dyspozycje, o ile będą konieczne, zostaną przekazane przez pana Pedgifta starszego. Zrobiwszy to i wysławszy listy na pocztę, ponownie wrócił myślami do siebie. I znów przyszłość czekała niczym niezapisana kartka papieru na

zapełnienie, a jego serce znów uciekło przed nią w przeszłość.

Tym razem umysł jego wypełniły inne obrazy niż obraz matki. Obudziło się w nim na powrót żywe zainteresowanie znane z dawnych lat. Pomyślał o morzu, pomyślał o jachcie stojącym bezczynnie w porcie rybackim w jego rodzinnej miejscowości na zachodzie kraju. Opanowała go dawna tęsknota, by usłyszeć plusk fal, zobaczyć, jak wiatr wypełnia żagle, poczuć, jak znów kołysze się pod nim łódź, którą pomogły wybudować jego własne ręce. Jak zwykle pochopnie zerwał się, aby zadzwonić po rozkład jazdy i wsiąść w pierwszy pociąg do hrabstwa Somerset, kiedy strach przed pytaniami, jakie mógłby zadać pan Brock, obawa przed zmianą, jaką mógłby on w nim dostrzec, ponownie osadziła go na krześle. „Napiszę”, pomyślał, „aby ożaglowano i wyposażono jacht, i poczekam z wyjazdem do hrabstwa Somerset do czasu, aż będzie mógł ze mną jechać Midwinter”. Westchnął, gdy przypomniał sobie o nieobecny przyjacielu. Nigdy jeszcze nie odczuwał pustki, jaką w jego życiu uczynił wyjazd Midwintera, równie boleśnie jak teraz, w najbardziej dotkliwej ze wszystkich samotności – samotności, jaką obcy odczuwa w Londynie, pozostawiony sam sobie w hotelu.

Wkrótce potem zajrzał do pokoju Pedgift, przepaszając za najście. Allan czuł się zbyt samotny i opuszczony, by nie powitać towarzysza z wdzięcznością.

– Nie wracam do Thorpe Ambrose – rzekł. – Mam zamiar zostać przez jakiś czas w Londynie. Mam nadzieję, że będzie pan mógł zostać ze mną?

Trzeba Pedgiftowi oddać tę sprawiedliwość, że wzruszyło go przykre położenie, w którym znajdował się obecnie właściciel wielkiego majątku Thorpe Ambrose. Jeszcze nigdy w kontaktach z Allanem nie zapomniał o swoim interesie równie całkowicie jak teraz.

– Dobrze pan robi, sir, zatrzymując się tutaj. Londyn to właściwe miejsce, żeby się rozerwać – powiedział wesoło Pedgift. – Każdy interes jest mniej lub bardziej elastyczny z natury, panie Armadale. Naciągnę mój interes i dotrzymam panu towarzystwa z największą przyjemnością. Obaj jesteśmy przed trzydziestką, sir, bawmy się. Co pan powie na wczesny obiad i wyjście do teatru, a jutro po śniadaniu odwiedzenie Wielkiej Wystawy w Hyde Parku? Jeżeli tylko będziemy dobrze jeść i ciągle korzystać z dostępnych rozrywek, wkrótce osiągniemy ideał starożytnych –

mens sana in corpore sano. Niech pana nie trwoży cytat, sir. Po pracy trochę się zajmuję amatorsko łaciną i poszerzam horyzonty sporadyczną lekturą pogańskich autorów, z pomocą bryka. William, obiad o piątej i, jako że dziś jest on wyjątkowo ważny, sam porozmawiam z kucharzem.

Minął wieczór, minął następny dzień. Czwartkowy poranek przyniósł list do Allana. Adres napisano charakterem pisma pani Milroy, a użyte w liście pozdrowienie zaraz po jego otwarciu napełniło Allana przeczuciem, że coś jest nie tak.

„(prywatne)

Domek, Thorpe Ambrose, środa

Panie!

Właśnie otrzymałam pana tajemniczy list. Powiedzieć, że mnie zdziwił, to mało. Zaniepokoił mnie. Po jak najzyczliwszych uprzejmościach z mojej strony nagle okazuje się, że pozbawia mnie pan swego zaufania w najbardziej niezrozumiały i, muszę dodać, najbardziej niegrzeczny sposób. Niemożliwym jest, abym pozwoliła sprawom stanąć w miejscu, w którym je Pan zostawił. Jedynym wnioskiem, jaki nasuwa mi się po lekturze Pańskiego listu, jest to, że moje zaufanie zostało w jakiś sposób nadużyte i że musi Pan wiedzieć dużo więcej, niż jest mi skłonny powiedzieć. Mając na uwadze dobro córki, żądam, aby powiadomił mnie Pan o okolicznościach, jakie przeszkodziły Panu w spotkaniu z panią Mandeville, i spowodowały, że wycofał się Pan z pomocy, którą bezwarunkowo obiecał w liście z ostatniego poniedziałku.

Przy moim stanie zdrowia nie mogę wdawać się w dłuższą korespondencję. Muszę próbować przewidzieć pańskie zastrzeżenia i napisać wszystko, co mam do napisania, w obecnym liście. W przypadku (który jestem jak najbardziej niechętna uznać za możliwy) gdyby Pan nie przystał na żądanie, jakie wysunęłam, chciałabym zaznaczyć, że uważam za obowiązek wobec mojej córki wyjaśnić tę nieprzyjemną sprawę. Jeśli nie otrzymam od Pana pocztą zwrotną odpowiedzi, która w pełni mnie usatysfakcjonuje, będę zmuszona powiedzieć memu mężowi, iż zaszły okoliczności uzasadniające natychmiastowe sprawdzenie przyzwoitości osoby polecającej pannę Gwilt. Kiedy zaś spyta mnie o podstawy, skieruję go do Pana.

Pańska unizona sługa,
Anne Milroy”.

Tymi oto słowami żona majora zrzuciła maskę, pozwalając swej ofierze do woli oglądać pułapkę, w którą ją złapała. Wiara Allana w dobre chęci pani Milroy była tak bezwarunkowa, że jej list wprost go oszołomił. Dostrzegając mgliście, że w pewien sposób został oszukany i że sąsiedzkie zainteresowanie, jakie przejawiała nim pani Milroy, nie było tym, czym się z pozoru wydawało. Więcej nie dostrzegł. Groźba zwrócenia się do majora, na którą pani Milroy z kobiecą nieznajomością męskiej natury liczyła, że wyrzeze na Allanie odpowiednie wrażenie, była jedynym fragmentem listu, do którego Allan powracał z niejakim zadowoleniem: uspokajał go on zamiast trwożyć. „Jeśli ma wyniknąć z tego jakaś awantura”, myślał, „pocieszam się, że przynajmniej będę ją toczył z mężczyzną”.

Zdecydowany za wszelką cenę chronić nieszczęsną kobietę, której sekret – jak mylnie sądził – odkrył, Allan zasiadł do pisania przeprosin do pani majorowej. Wystosowawszy trzy uprzejme oświadczenia, jedno po drugim, wycofał się z placu boju. „Jest mu niezwykle przykro, że uraził panią Milroy. Jego intencją nie było urażenie pani Milroy. Pozostawał oddany pani Milroy”. Jeszcze nigdy zwyczajowa zwięzłość Allana jako autora listów nie przysłużyła mu się bardziej niż teraz. Przy większej zręczności we władaniu piórem mógłby dać swojemu wrogowi nawet większą przewagę nad sobą, niż miał on teraz.

Nastąpił dzień przerwy, po czym następnego ranka groźba pani Milroy zmaterializowała się w postaci listu od jej męża. Major pisał mniej oficjalnie niż jego żona, za to jego pytania były bezlitośnie do rzeczy:

„(prywatne)

Domek, Thorpe Ambrose, piątek, 11 lipca 1851

Szanowny Panie!

Kiedy zaszczycił mnie Pan swoją wizytą kilka dni temu, zadał mi Pan pytanie dotyczące guwernantki mojej córki, panny Gwilt, które uznałem wtedy za dość dziwne i które, jak Pan zapewne pamięta, doprowadziło między nami do chwilowej konsternacji.

Dziś rano temat panny Gwilt powrócił do mnie w sposób, który wywołał moje najwyższe zdumienie. Krótko mówiąc, pani Milroy poinformowała mnie, że panna Gwilt naraziła się na podejrzenie oszukania nas za pomocą fałszywych referencji. Kiedy wyraziłem zdziwienie tym niezwykłym oświadczeniem i zażądałem, aby natychmiast je uzasadnić, wpadłem w jeszcze większe zdumienie, słysząc, że o wszystkie szczegóły mam pytać nie kogo innego jak pana Armadale'a. Na próżno prosiłem panią Milroy o dalsze wyjaśnienia: uparcie milczy i kieruje mnie do Pana.

W tych nadzwyczajnych okolicznościach, aby oddać sprawiedliwość wszystkim stronom, jestem zmuszony zadać Panu kilka pytań, które spróbuję sformułować na tyle jasno, na ile to tylko możliwe, i na które, w co jestem skłonny wierzyć (na podstawie dotychczasowej znajomości z Panem), odpowie Pan szczerze.

Po pierwsze, chciałbym spytać, czy potwierdza Pan, czy zaprzecza temu, co utrzymuje pani Milroy, a mianowicie że zapoznał się Pan ze szczegółami dotyczącymi panny Gwilt albo osoby ją polecającej, które są mi zupełnie nieznane. Po drugie, jeśli przyznaje Pan, że to, co utrzymuje pani Milroy, jest prawdą, chciałbym wiedzieć, jak poznał Pan te szczegóły. Wreszcie po trzecie, chciałbym spytać, co to są za szczegóły.

Jeśli potrzebne jest jakieś wyjątkowe uzasadnienie zadania powyższych pytań, co z czystej uprzejmości względem Pana jestem skłonny uwzględnić, chciałbym przypomnieć, że najważniejsza piecza w moim domu, piecza nad moją córką, została oddana pannie Gwilt, a w świetle oświadczenia pani Milroy wszystko wskazuje na to, że jest Pan osobą kompetentną, by powiedzieć mi, czy piecza ta została powierzona w dobre ręce, czy też nie.

Pozostaje mi tylko dodać, iż jako że jak dotąd nie zdarzyło się nic, co uzasadniałoby najdrobniejsze podejrzenie wobec mojej guwernantki lub osoby ją polecającej, będę czekał ze zwróceniem się do panny Gwilt do czasu, aż otrzymam Pańską odpowiedź, której oczekuję pocztą zwrotną.

Oddany Panu,
David Milroy”.

Ten bezpośredni list z miejsca rozwiął zamęt panujący dotąd w głowie Allana.

Dostrzegł sidła, w które wpadł (choć nadal nie potrafił zrozumieć, dlaczego zostały na niego zastawione). Pani Milroy wyraźnie postawiła go pomiędzy dwiema możliwościami – znalezienia się w niezręcznej sytuacji, jeśli odmówi odpowiedzi na pytania jej męża, albo tchórzliwego unikania odpowiedzialności poprzez skrywanie się za odpowiedzialnością kobiety, jeśli powie prosto w oczy majorowi, że jego żona go oszukała.

Wobec tej trudności Allan działał jak zawsze – bez wahania. Jego zobowiązanie wobec pani Milroy, że treść ich korespondencji pozostanie tajemnicą, nadal go wiązało, bez względu na to, jak haniebnie go ona nadużyła. Nadal też trwał niezłomnie w postanowieniu, że nic na świecie nie skłoni go, by zdradzić pannę Gwilt. „Może zachowałem się jak głupiec”, pomyślał, „ale nie złamię danego słowa i nie przysłużę się do wygnania ponownie w świat tej nieszczęsnej kobiety”.

Napisał do majora tak prosto i zwięźle, jak wcześniej napisał do jego żony. Oświadczył, że nie chciałby sprawiać przyjacielowi i sąsiadowi żadnego zawodu, o ile to tylko możliwe. W tym wypadku nie miał innego wyboru. Pytania zadane przez majora były pytaniami, na które nie mógł zgodzić się odpowiedzieć. Nie potrafi się zręcznie wyrażać i ma nadzieję, że wybaczy się mu sformułowanie tego w ten sposób, jak również to, że nic więcej nie napisze.

Poniedziałkowa poczta przyniosła replikę majora, tym samym zakańczając wymianę listów.

„Domek, Thorpe Ambrose, niedziela

Panie!

Pańską odmowę odpowiedzi na moje pytania, której nie towarzyszył nawet cień uzasadnienia, można zinterpretować tylko w jeden sposób. Poza tym, że jest ona cichym potwierdzeniem, iż oświadczenie pani Milroy było prawdziwe, stanowi ona również ukrytą krytykę wobec charakteru mojej guwernantki. Aby oddać sprawiedliwość damie, która znajduje schronienie pod moim dachem i nie dała mi żadnych powodów do podejrzeń, pokażę teraz naszą korespondencję pannie Gwilt i powtórzę jej rozmowę, jaką odbyłem na jej temat z panią Milroy, w obecności tej ostatniej.

Jeszcze słówko odnośnie do naszych przyszłych stosunków. Śmiem twierdzić, że moje poglądy na pewne sprawy są poglądami człowieka staromodnego. W moich czasach mieliśmy kodeks honorowy, który regulował nasze zachowanie. Zgodnie z tym kodeksem jeśli mężczyzna potajemnie dowiadywał się o sprawy damy, nie będąc jej mężem, ojcem lub bratem, brał na siebie odpowiedzialność za uzasadnienie swojego postępowania wobec innych, a jeśli uchylał się przed tą odpowiedzialnością, rezygnował z pretendowania do bycia dżentelmenem. Bardzo możliwe, że ten staroświecki sposób myślenia już nie istnieje, ale dla mnie w moim wieku jest już za późno, by przyjmować bardziej nowoczesne poglądy. Dokładam wszelkich starań, widząc, że żyjemy w czasach i w kraju, w którym jedynym sądem honorowym jest kolegium do spraw wykroczeń, aby przy tej ostatniej okazji, jaką będę mieć do kontaktowania się z Panem, wyrażać się z jak największym umiarem. Proszę mi zatem pozwolić zauważyć, że nasze pojęcia o zachowaniu, jakie przystoi dżentelmenowi, znacząco się różnią i w związku z tym poprosić, aby w przyszłości uważał się Pan za osobę obcą mojej rodzinie i mnie samemu.

Pański uniżony sługa,
David Milroy”.

Poniedziałkowy poranek, w którym jego klient otrzymał list od majora, był najczarniejszym poniedziałkiem odnotowanym dotąd w kalendarzu Pedgifta. Kiedy minęła pierwsza złość Allana z powodu pogardliwego tonu, jakim jego przyjaciel i sąsiad wydał na niego wyrok, pogrążył się on w smutku, z którego przez resztę dnia nie mogły go wyrwać żadne zabiegi podejmowane przez towarzysza podróży. Teraz, gdy padł wyrok skazujący go na wygnanie z domku, Allan naturalnie wrócił pamięcią do początków swoich kontaktów z jego mieszkańcami, a jego myśli, pełniejsze żalu i skruchy niż kiedykolwiek, powędrowały w kierunku Neelie. „Gdyby to ona, a nie jej ojciec zamknęła przede mną drzwi, nie protestowałbym ani słowem. Uważałbym, że zasłużyłem sobie na to” – z taką oto gorzką refleksją Allan spoglądał teraz w przeszłość.

Następny dzień przyniósł kolejny list – tym razem list z zaproszeniem od pana Brocka. Allan kilka dni wcześniej napisał do hrabstwa Somerset o potrzebie

wyposażenia jachtu. List zastał proboszcza zajętego, jak mu się naiwnie wydawało, ochroną dawnego ucznia przed kobietą, którą obserwował w Londynie i która teraz, jak wierzył, pojechała za nim w jego rodzinne strony. Działając zgodnie z wytycznymi, jakie otrzymała, pokojówka pani Oldershaw skutecznie zwiódła pana Brocka. Uciszyła wszystkie dalsze obawy proboszcza, wręczając mu pisemne zobowiązanie (jako panna Gwilt), że nigdy więcej nie zbliży się do pana Armadale'a, czy to osobiście, czy za pośrednictwem listu! Będąc święcie przekonany, że nareszcie odniósł zwycięstwo, biedny pan Brock odpowiedział na wiadomość Allana z wielkim entuzjazmem, wyrażając pewne zrozumiałe zdziwienie, że jego wychowanek opuścił Thorpe Ambrose, ale skwapliwie obiecując, że jacht zostanie wyposażony, i otwierając przed nim bramy plebanii w najbardziej serdecznych słowach.

List ten działał cuda dla poprawy samopoczucia Allana. Dał mu nowy cel, całkowicie niezwiązany z jego przeszłym życiem w hrabstwie Norfolk. Zaczął liczyć dni pozostałe do powrotu nieobecnego przyjaciela. Był wtorek. Jeśli Midwinter wróci ze swojej wędrówki po dwóch tygodniach, tak jak zapowiedział, w sobotę będzie w Thorpe Ambrose. Wiadomość wysłana na spotkanie podróżnego może go sprowadzić do Londynu tego samego dnia wieczorem i, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zanim minie kolejny tydzień, obaj znajdą się na morzu.

Następny dzień minął, ku uldze Allana, nie przynosząc żadnych listów. Nastrój Pedgifta polepszał się wraz z nastrojem jego klienta. Gdy zbliżała się pora obiadu, powrócił do zasady starożytnych *mens sana in corpore sano* i wydał polecenia Williamowi bardziej po królewsku niż zwykle.

Nadszedł czwartek i przyniósł nieszczęsnego listonosza wraz z wieściami z Norfolk. Na scenę wkroczył nadawca, który jeszcze się na niej nie pojawił, i plany Allana wyjazdu do hrabstwa Somerset zostały w jednej chwili zniweczone.

Tak się złożyło, że Pedgift junior zasiadł tego dnia jako pierwszy do stołu. Na widok Allana z powrotem popadł w swój oficjalny sposób bycia i wręczył swojemu klientowi list wraz z ukłonem, któremu towarzyszyło posępne milczenie.

– Do mnie? – zapytał Allan, instynktownie wzdrygając się przed nowym korespondentem.

– Do pana, sir. List od mojego ojca – odparł Pedgift – załączony w liście do mnie. Może pozwoli mi pan powiedzieć w ramach przygotowania pana na... na drobną nieprzyjemność, że zjemy dziś wyjątkowo dobry obiad i (o ile tylko nie grają dziś wieczorem żadnej współczesnej niemieckiej muzyki) myślę, że dobrze zrobimy, kończąc dzień akcentem muzycznym w operze.

– Coś złego stało się w Thorpe Ambrose? – zapytał Allan.

– Tak, panie Armadale, coś złego stało się w Thorpe Ambrose.

Allan usiadł z rezygnacją i otworzył list.

„(prywatne i poufne)

High Street, Thorpe Ambrose, 17 lipca 1851

Szanowny Panie!

Moje poczucie obowiązku względem Pana nie pozwala mi dłużej pozostawiać Pana w niewiedzy co do pogłosek krążących po miasteczku i okolicy, które, jak stwierdzam z przykrością, dotyczą również Pana.

Pierwszy sygnał o czymś nieprzyjemnym dotarł do mnie w ostatni poniedziałek. W miasteczku pojawiły się plotki, że w domu majora Milroya wystąpił jakiś problem z nową guwernantką i że jest w to zamieszany pan Armadale. Nie przywiązywałem wówczas do tego wagi, myśląc, że jest to jedna z wielu bzdurnych afer, jakie ciągle się tu pojawiają i są mieszkańcom tego niezwykle poważanego miejsca równie niezbędne jak powietrze, którym oddychają.

Jednakże wtorek rzucił nowe światło na tę sprawę. Najbardziej interesujące szczegóły były rozpowszechniane w oparciu o najwyższe autorytety. We środę okoliczna szlachta włączyła się do sprawy i powszechnie potwierdziła opinię, jaką wyraziło miasteczko. Dzisiaj nastawienie opinii publicznej osiągnęło swój szczyt i czuję się zmuszony zapoznać Pana z tym, co się stało.

Zacznijmy od początku. Twierdzi się, że w zeszłym tygodniu miała miejsce wymiana listów między Panem a majorem Milroym, w której podał Pan w poważną wątpliwość zacność panny Gwilt, nie precyzując swoich zarzutów ani (wbrew prośbom) nie przedstawiając żadnych dowodów. Wobec tego wydaje się, że major poczuł się w obowiązku (zapewniając ją o swojej własnej niezachwianej wierze w jej

uczciwość) poinformować guwernantkę o tym, co się stało, aby nie dostarczać jej w przyszłości powodów do skargi, że ukrywał przed nią pewne rzeczy mające wpływ na jej reputację. Bardzo to wielkodusznie ze strony majora, ale przekona się Pan wkrótce, że panna Gwilt okazała się jeszcze bardziej wielkoduszna. Wyraziwszy swoje podziękowania w najbardziej stosowny sposób, poprosiła o pozwolenie na wycofanie się ze służby u majora Milroya.

Krążą różne pogłoski na temat powodu, dla którego guwernantka podjęła ten krok.

Według autoryzowanej wersji (potwierdzonej przez miejscową szlachtę) panna Gwilt miała powiedzieć, że nie może zniżyć się do tego, aby, jeśli chce oddać sprawiedliwość sobie i cieszącej się ogólnym poważaniem osobie ją polecającej, bronić swojej reputacji przed niesprecyzowanymi oszczerstwami rzuconymi przez osobę stosunkowo nieznaną. Jednocześnie uważała za niemożliwe podjęcie podobnych kroków, dopóki nie będzie miała swobody działania niedającej się pogodzić z zajmowaniem zależnego stanowiska guwernantki. Z tego powodu czuła się zobowiązana do odejścia ze swojej posady. Robiąc to jednak, była równie zdecydowana nie dopuścić do jakiegokolwiek niezrozumienia jej pobudek, do jakich mogłoby doprowadzić oddalenie się z okolicy. Bez względu na niewygody ma zamiar pozostać w Thorpe Ambrose na tyle długo, by doczekać się jakichś bardziej sprecyzowanych zarzutów dotyczących swojej reputacji i odeprzeć je publicznie w chwili, w której przybiorą namacalną formę.

Takie oto stanowisko zajęła ta szlachetna dama, co wywarło znakomity skutek na opinię publiczną w tych stronach. Najwyraźniej panna Gwilt ma interes w tym, aby odejść ze swojej posady, nie opuszczając okolicy. W ostatni poniedziałek wynajęła tanie mieszkanie na obrzeżach miasteczka. Tego samego dnia najprawdopodobniej napisała do osoby ją polecającej, ponieważ wczoraj major Milroy otrzymał list od owej damy pełen świętego oburzenia, w którym domaga się pełnego śledztwa. List pokazano publicznie i niezwykle wzmocnił on pozycję panny Gwilt. Uważa się ją teraz za swego rodzaju bohaterkę. „Thorpe Ambrose Mercury” zamieścił obszerny artykuł na jej temat, w którym porównuje się ją do Joanny d’Arc. Bardzo możliwe, że w najbliższą niedzielę zostanie wspomniana w kazaniu. Szacuje się, że w okolicy

mieszka pięć stanowczych niezamężnych dam i wszystkie one złożyły jej wizytę. Pojawił się pomysł napisania listu polecającego, ale zarzucono go na prośbę samej panny Gwilt, a mieszkańcy masowo zgłaszają się do niej z propozycją zatrudnienia jako nauczycielki muzyki. I wreszcie, miałem ten zaszczyt, że dama ta osobiście złożyła mi wizytę w charakterze męczennicy, aby w najbardziej ujmujący z możliwych sposobów powiedzieć mi, że nie wini pana Armadale'a i że uważa go za niewinne narzędzie w rękach innych, bardziej podstępnych osób. Byłem bardzo ostrożny wobec panny Gwilt, ponieważ nie do końca jej dowierzam i jako prawnik mam swoje podejrzenia co do motywu, który leży u podstaw jej obecnych działań.

Do tej pory, mój drogi Panie, pisałem bez większego wahania czy skrępowania. Obecna sprawa posiada jednak oprócz swej groteskowej strony również stronę poważną i muszę, acz niechętnie, poruszyć ją, zanim skończę list.

Wydaje się, jak sędzę, niemożliwością, by pozwalał Pan na mówienie o sobie w taki sposób jak teraz, nie interweniując osobiście. Niestety zrobił Pan tu sobie wielu wrogów, a pierwszym z nich jest mój kolega po fachu – pan Darch. Obnosił się wszędzie z nieco zbyt pochopnie sformułowanym listem, który napisał Pan do niego na temat wynajęcia domku majorowi Milroyowi zamiast jemu i to przyczyniło się do zaostrenia nastrojów przeciwko Panu. Mówi się wprost i bez skrępowań, że wtrącał się Pan w sprawy rodzinne panny Gwilt z najbardziej haniebnymi pobudek, że dla własnych wyuzdanych korzyści próbował Pan zniszczyć jej reputację i pozbawić ją opieki, jaką stanowił dla niej dom majora Milroya, i że po tym, jak poproszono Pana o poparcie dowodami podejrzeń rzuconych na reputację bezbronnej kobiety, zachował Pan milczenie, które pogrąża Pana w oczach wszystkich ludzi honoru.

Mam nadzieję, że nie muszę dodawać, iż nie daję ani krzty wiary tym haniebnym pogłoskom. Są jednak zbyt szeroko rozpowszechnione i wierzy im zbyt wielu ludzi, by je lekceważyć. Gorąco Pana nakłaniam, aby Pan natychmiast wrócił do Thorpe Ambrose i z moją pomocą jako Pańskiego radcy prawnego podjął stosowne kroki w celu obrony swojego dobrego imienia. Od czasu rozmowy z panną Gwilt wyrobiłem sobie własną, bardzo zdecydowaną opinię na temat owej damy, której nie ma konieczności przelewać na papier. Wystarczy, jeśli powiem, że znam sposób,

w jaki może Pan uciszyć oszczercze języki sąsiadów, za skuteczność którego rękę moją zawodową reputacją, o ile tylko wesprze mnie Pan swoją obecnością i autorytetem.

Może do przekonania Pana o konieczności powrotu pomoże jeszcze jedno twierdzenie dotyczące Pana, które jest na ustach wszystkich. Przykro mi o tym mówić, ale Pańską nieobecność przypisuje się jak najniższym pobudkom. Mówi się, że pozostaje Pan w Londynie, ponieważ boi się pokazać w Thorpe Ambrose.

Pański uniżony sługa,

A. Pedgift senior”.

Allan był na tyle dorosły, by zrozumieć przytyk zawarty w ostatnim zdaniu listu. Zerwał się na równe nogi w przypływie oburzenia, co Pedgiftowi juniorowi ukazało jego osobowość w zupełnie nowym świetle.

– Gdzie jest rozkład jazdy? – zawołał Allan. – Muszę wracać do Thorpe Ambrose najbliższym pociągiem! Jeśli nie odjeżdża wkrótce, zamówię specjalną lokomotywę. Muszę wracać natychmiast i wrócę natychmiast, bez względu na koszty!

– A może zatelegrafujemy do mojego ojca, sir? – podsunął roztropny Pedgift. – To najszybsza metoda, aby wyrazić uczucia, a przy tym najtańsza.

– Zgadza się – rzekł Allan. – Dziękuję, że mi pan o niej przypomniał. Zatelegrafujemy do nich! Powiedz swojemu ojcu, aby przekazał każdemu w Thorpe Ambrose wiadomość ode mnie: „Jesteś kłamcą!”. Napisz ją wielkimi literami, Pedgift, wielkimi literami!

Pedgift uśmiechnął się i potrząsnął głową. Jeśli nawet nie znał żadnej innej odmiany ludzkiej natury, dogłębnie znał tę, która występuje u mieszkańców prowincjonalnych miasteczek.

– To nie zrobi na nich najmniejszego wrażenia, panie Armadale – zauważył cicho. – Będą tylko kłamać bardziej niż dotąd. Jeśli chce Pan wywołać zamęt w całym miasteczku, wystarczy jedna linijka. Z pomocą pracy człowieka i odrobiny fluidu elektrycznego (po godzinach param się trochę amatorsko nauką) wartymi pięć szylingów detonujemy bombę w Thorpe Ambrose!

Mówiąc to, wyprodukował bombę na kawałku papieru: „A. Pedgift junior do

A. Pedgifta seniora. Rozgłoś wszędzie, że pan Armadale przyjeżdża najbliższym pociągiem”.

– Więcej słów! – zasugerował Allan, zaglądając mu przez ramię. – Niech to będzie mocniejsze!

– Proszę zostawić wzmocnienie przekazu mojemu ojcu, sir – odparł ostrożny Pedgift. – Mój ojciec jest na miejscu, a jego zręczność w operowaniu językiem jest wprost niebywała.

Zadzwoił w dzwonek i przekazał telegram.

Teraz, gdy coś zostało uczynione, Allan z wolna ochłonął. Spojrzał ponownie na list od pana Pedgifta, a następnie wręczył go jego synowi.

– Czy domyśla się pan, jak ojciec ma zamiar przywrócić moje dobre imię w okolicy? – zapytał.

Pedgift młodszy potrząsnął swoją mądrą głową.

– Wydaje się, że jego plan ma jakiś związek z jego opinią na temat panny Gwilt.

– Ciekawe, co on o niej myśli... – powiedział Allan.

– Nie zdziwiłbym się, panie Armadale – odparł Pedgift junior – gdyby jego opinia wprawiła pana w lekkie osłupienie, kiedy ją pan pozna. Mój ojciec jako prawnik miał okazję dobrze poznać ciemną stronę płci pięknej, a swego zawodu uczył się w Old Bailey¹¹.

Allan o nic już nie pytał. Wydawało się, że chce uniknąć drażenia tematu po tym, jak sam go poruszył.

– Zróbmy coś, aby zabić czas – rzekł. – Spakujmy się i zapłaćmy rachunek.

Spakowali się i zapłacili rachunek. Nadeszła godzina odjazdu i pociąg wreszcie wyruszył do hrabstwa Norfolk.

Kiedy podróżni byli w drodze powrotnej do domu, w przeciwnym kierunku – z Thorpe Ambrose do Londynu – po drutach mknęła wiadomość telegraficzna nieco dłuższa od tej, którą nadał Allan. Była ona zaszyfrowana, a gdyby odczytać znaki, brzmiałaby ona tak: „Lydia Gwilt do Marii Oldershaw. Dobre wieści! Wraca. Mam zamiar z nim porozmawiać. Wszystko wygląda obiecująco. Teraz, kiedy wyprowadziłam się z domku, nie muszę obawiać się ciekawskich oczu kobiet i mogę

wychodzić i wracać, kiedy mi się podoba. Pana Midwintera na szczęście nie ma. Jeszcze nie straciłam nadziei na zostanie panią Armadale. Cokolwiek się stanie, możesz być pewna, że będę się trzymać z daleka od Londynu, dopóki nie będę pewna, że nie przyprowadzę do Ciebie w ślad za sobą jakichś szpiegów. Nie śpieszę się z wyjazdem z Thorpe Ambrose. Najpierw chcę wyrównać rachunki z panną Milroy”.

Wkrótce po tym, jak wiadomość dotarła do Londynu, Allan znalazł się z powrotem we własnym domu.

Był wieczór – Pedgift junior właśnie wyszedł, a Pedgift senior miał pojawić się w sprawach służbowych za godzinę.

¹¹ Old Bailey – centralny sąd karny w Londynie (przypis tłumacza).

V. REMEDIUM PEDGIFTA

Po odbyciu wstępnej narady z synem pan Pedgift starszy osobiście udał się do rezydencji, aby porozmawiać z Allanem.

Pomijając różnicę wieku, syn był w tym przypadku tak wierną kopią ojca, że znajomość któregośkolwiek z dwóch Pedgiftów była niemalże równoznaczna ze znajomością ich obu. Wystarczy dodać nieco wzrostu i tuszy sylwetce Pedgifta juniora, trochę rozmachu i śmiałości jego usposobieniu oraz stałości i opanowania jego pewności siebie, a będzie się miało z grubsza wyobrażenie o wyglądzie i charakterze Pedgifta seniora.

Prawnik przybył do Thorpe Ambrose własnym eleganckim gikiem ciągniętym przez jego słynną rączką klacz. Miał w zwyczaju powozić sam i był to jeden z drobnych zewnętrznych szczegółów, którymi różnili się on i syn i który wymuszał na jego stroju pewien sportowy sznyt. Brunatnozielone spodnie Pedgifta starszego ściśle przylegały do nóg, buty z cholewami, niezależnie od tego, czy pora była mokra czy sucha, miały nieodłączną grubą podeszwę, kieszenie surduta nachodziły na biodra, zaś jego ulubiony letni fular uszyty był z lekkiego, nakrapianego muślinu i zawiązany w najzgrabniejszą z kokard. Podobnie jak syn używał tytoniu, ale w innej formie. O ile młodszy z mężczyzn palił cygara, starszy obficie zażywał tabaki, a ci, którzy go dobrze znali, wiedzieli, że zawsze trzymał swoją „szczyptę” w zawieszaniu pomiędzy tabakierą a nosem, kiedy miał zamiar sfinalizować dobry interes albo wygłosić słuszną uwagę. Sztuka dyplomacji stanowi ważny element praktyki wszystkich wziętych prawników niższego szczebla. W przypadku pana Pedgifta przez całe życie przybierała ona tę samą formę i objawiała się za każdym razem, gdy chciał użyć swojej siły perswazji w rozmowie z drugim człowiekiem.

Nieodmiennie zachowywał swój najsilniejszy argument albo najbardziej śmiałą sugestią na sam koniec i nieodmiennie przypominał sobie o niej w drzwiach (pożegnawszy się wcześniej), tak jakby było to czysto przypadkowe przemyślenie, które właśnie w tym momencie wpadło mu do głowy. Dowcipni przyjaciele, dobrze znając już ten zwyczaj, nazwali go „postscriptum Pedgifta”. Niewielu było takich w Thorpe Ambrose, którzy nie wiedzieli, co znaczyło, gdy prawnik nagle zatrzymywał się w otartych drzwiach, spokojnie wracał na krzesło ze szczyptą tabaki zawieszoną pomiędzy tabakierą a nosem, mówił: „a tak na marginesie, coś mi przyszło do głowy” i od ręki rozstrzygał sprawę po tym, jak minutę wcześniej zrozpaczony ją porzucił.

Tego oto człowieka rozwój wypadków w Thorpe Ambrose kapryśnie wysunął na czołowe miejsce. Był to jedyny przyjaciel, do którego osamotniony Allan mógł się zwrócić w potrzebie po radę.

– Dobry wieczór, panie Armadale. Wielkie dzięki za to, że tak szybko zareagował pan na mój bardzo niemiły list – powiedział Pedgift senior, wesoło zaczynając rozmowę, gdy tylko przestąpił próg domu swego klienta. – Mam nadzieję, że rozumie pan, iż w obecnej sytuacji nie miałem innego wyjścia, jak napisać to, co napisałem?

– Mam bardzo niewiele przyjaciół, panie Pedgift – odparł Allan z prostotą. – I jestem pewien, że jest pan jednym z nich.

– Jestem bardzo zobowiązany, panie Armadale. Zawsze starałem się zasłużyć na pańską przychylność i jeśli mogę, chciałbym zasłużyć na nią również teraz. Mam nadzieję, że dobrze się pan czuł w hotelu w Londynie? Nazywamy go naszym hotelem. W jego piwnicy leżakuje pewne nadzwyczajne stare wino, na które zwróciłbym pańską uwagę, gdybym tylko miał zaszczyt bawić tam z panem. Mój syn niestety kompletnie nie zna się na winie.

Allanowi zbyt mocno doskwierała niezręczna sytuacja, w jakiej znalazł się wobec sąsiadów, aby móc rozmawiać o czymkolwiek innym niż główny temat wieczoru. Uprzejmie określona droga, jaką jego prawnik zmierzał do bolesnej sprawy, o której mieli rozmawiać, bardziej go irytowała, niż uspokajała. Bez ogródek, tak jak to miał w zwyczaju, od razu przeszedł do rzeczy.

– Hotel był bardzo wygodny, panie Pedgift, a pański syn ogromnie dla mnie miły. Ale nie jesteśmy teraz w Londynie i chciałbym porozmawiać z panem o tym, jak mam stawić czoła kłamstwu, które się tu o mnie opowiada. Niech pan wskaże kogokolwiek – zawołał Allan, podnosząc głos i czerwieniąc się – kogokolwiek, kto twierdzi, że boję się pokazać w okolicy, a wybatożę go publicznie, nim minie następny dzień!

Pedgift senior uraczył się szczyptą tabaki i spokojnie pozwolił, aby ta zawisła pomiędzy jego tabakierą a nosem.

– Może pan wybatożyć jednego człowieka, sir, ale nie całą okolicę – odezwał się prawnik na swój uprzejmie epigramatyczny sposób. – Stoczmy bitwę, jeśli pan pozwoli, nie wypożyczając narzędzi od woźnicy, w każdym razie jeszcze nie teraz.

– Ale od czego zaczniemy? – zapytał niecierpliwie Allan. – Jak mam zdementować haniebne plotki, które się o mnie opowiada?

– Są dwie drogi, które pozwolą na wybrnięcie z pańskiej obecnej niezręcznej sytuacji, sir – krótsza i dłuższa – odparł Pedgift senior. – Krótsza droga (która zawsze jest lepsza) przyszła mi do głowy po tym, jak dowiedziałem się od syna o pana poczynaniach w Londynie. Rozumiem, że pozwolił mu pan wtajemniczyć mnie w pańskie sprawy po otrzymaniu mojego listu. Na podstawie tego, co mi powiedział, wysnułem różnorakie wnioski, którymi być może będę musiał się z panem obecnie podzielić. W międzyczasie chciałbym się dowiedzieć, w jakich okolicznościach pojechał pan do Londynu prowadzić owo niefortunne śledztwo w sprawie panny Gwilt. Czy odwiedzenie pani Mandeville było pana własnym pomysłem? A może działał pan pod wpływem innej osoby?

Allan zawahał się.

– Nie mogę uczciwie powiedzieć, że to był mój własny pomysł – odparł i zamilkł.

– Tak właśnie myślałem! – oznajmił Pedgift senior tryumfalnie. – Krótsza droga wiedzie prosto przez tę inną osobę, pod której wpływem pan działał. Tę inną osobę należy bezzwłocznie wskazać opinii publicznej i postawić ją na właściwym miejscu. Na początek, jeśli będzie pan łaskaw, proszę mi podać nazwisko, sir... zaraz

przejdziemy do okoliczności.

– Przykro mi to mówić, panie Pedgift, ale jeśli pan nie ma nic przeciwko temu, musimy spróbować dłuższej drogi – odparł cicho Allan. – Krótszej nie mogę w tym wypadku obrać.

Ludzie, którzy robią karierę w dziedzinie prawa, nie uznają odpowiedzi „nie”. Pedgift starszy zrobił karierę w dziedzinie prawa i teraz nie uznał odpowiedzi „nie”. Jednak każda dociekliwość, nawet ta zawodowa, wcześniej czy później napotyka na opór i prawnik, podwójnie wzmocniony długim doświadczeniem i obfitymi szczyptami tabaki, napotkał na opór na samym początku rozmowy. Niemożliwym było, aby Allan mógł uszanować zaufanie, którym, zdradliwie udając, pani Milroy go obdarzała. Miał jednak szacunek, jakim uczciwy człowiek darzy dane przez siebie słowo, szacunek, który patrzy prosto na fakt i nigdy nie ogląda się na boki na okoliczności i nawet największa wytrwałość Pedgifta seniora nie była w stanie odwieść Allana o krok od raz podjętego postanowienia. „Nie” to najmocniejsze słowo w języku angielskim w ustach każdego, kto ma odwagę powtarzać je dość często, a Allan w tym momencie miał odwagę powtarzać je bardzo często.

– Dobrze, sir – powiedział prawnik, przyjmując porażkę i ani trochę nie dając się przy tym wytrącić z równowagi. – Wybór należy do pana i dokonał go pan. Pójdziemy dłuższą drogą. Zaczyna się ona (proszę pozwolić, że poinformuję) w mojej kancelarii, a wiedzie (jak mocno podejrzewam) przez bardzo grząski teren do... panny Gwilt.

Allan spojrzał na swojego radcę prawnego w niemym osłupieniu.

– Jeśli nie chce pan ujawnić osoby będącej odpowiedzialnej za śledztwo, w które pan się niefortunnie zaangażował, sir – ciągnął Pedgift starszy – w obecnej sytuacji pozostaje panu jedynie uzasadnić samo śledztwo.

– Ale jak to zrobić? – zapytał Allan.

– Udowadniając wszystkim, panie Armadale, coś, o czym jestem przekonany, że jest prawdą, a mianowicie, iż pupilka całej okolicy to w rzeczywistości intrygantka najgorszego sortu, kobieta bezsprzecznie niegodziwa i niebezpieczna. Mówiąc prościej, sir, poświęcając wystarczająco dużo czasu i pieniędzy, by odkryć prawdę

o panie Gwilt.

Nim Allan zdążył odpowiedzieć, coś zakłóciło rozmowę. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł jeden ze służących.

– Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzać – powiedział Allan z irytacją. – Wielkie nieba! Czy to się nigdy nie skończy? Kolejny list!

– Tak, sir – odezwał się służący, podając list. – I – dodał, wypowiadając złowróżbne słowa – posłaniec czeka na odpowiedź.

Allan spojrział na adres, spodziewając się natrafić na charakter pisma żony majora. Jego oczekiwanie nie zostało spełnione. Osoba, która do niego pisała, ewidentnie była kobietą, ale kobietą tą nie była pani Milroy.

– Kto to może być? – powiedział, patrząc machinalnie na Pedgifta seniora, kiedy otwierał kopertę.

Pedgift senior delikatnie zastukał w tabakierę i rzekł bez wahania:

– Panna Gwilt.

Allan otworzył list. Dwa pierwsze słowa, jakie zobaczył, były echem dwóch słów właśnie wypowiedzianych przez prawnika. Panna Gwilt!

Allan ponownie spojrział na swojego radcę prawnego w niemym osłupieniu.

– W swoim czasie znałem takich wiele – wyjaśnił Pedgift senior ze skromnością równie rzadką, co stosowną u człowieka w jego wieku. – Nie tak pięknych jak panna Gwilt, przyznaję. Ale, śmiem twierdzić, równie złych. Proszę przeczytać list, panie Armadale... proszę przeczytać.

Allan przeczytał:

Panna Gwilt przesyła pozdrowienia panu Armadale'owi i prosi o wiadomość, czy byłby tak miły i znalazł czas na rozmowę z nią dziś wieczorem lub jutro rano. Panna Gwilt nie przeprosza za obecną prośbę. Ufa, że pan Armadale spełni ją jako gest sprawiedliwości wobec pozbawionej przyjaciół kobiety, do której skrzywdzenia niechcący się przyczynił i która szczerze pragnie przywrócić swoje dobre imię w jego oczach.

Allan w niemej konsternacji i strapieniu wręczył list swojemu prawnikowi.

Kiedy z kolei Pedgift starszy przeczytał list i oddał go, jego twarz wyrażała tylko

jedno uczucie – głęboki podziw.

– Co też byłby z niej za prawnik – zawołał z zapalem – gdyby tylko była mężczyzną!

– Nie mogę podchodzić do tego równie lekko jak pan, panie Pedgift – rzekł Allan. – To dla mnie strasznie przykre. Tak bardzo była mi miła... – dodał ciszej – Tak bardzo była mi kiedyś miła.

Pedgift senior nagle spoważniał.

– Chce pan powiedzieć, sir, że rozważa spotkanie z panną Gwilt? – zapytał z wyrazem autentycznej trwogi.

– Nie mogę być dla niej bezwzględny – odparł Allan. – Przyczyniłem się do jej krzywdy, Bóg mi świadkiem, że nieumyślnie! Nie mogę być dla niej po tym bezwzględny!

– Panie Armadale – rzekł prawnik – chwilę temu zaszczycił mnie pan wyznaniem, że uważa mnie za swego przyjaciela. Czy wolno mi jako przyjacielowi ośmielić się zadać panu jedno lub dwa pytania, zanim doprowadzi się pan prostą drogą do zguby?

– Proszę pytać, o co pan chce – powiedział Allan, spoglądając ponownie na list, jedyny list, jaki kiedykolwiek otrzymał od panny Gwilt.

– Zastawiono już na pana jedną pułapkę, sir, i wpadł pan w nią. Czy chce pan wpaść w kolejną?

– Zna pan odpowiedź na to pytanie, panie Pedgift, podobnie jak ja.

– Spróbuję jeszcze raz, panie Armadale. My, prawnicy, nie zniechęcamy się tak łatwo. Czy myśli pan, że po tym, co pan i mój syn odkryliście w Londynie, jakakolwiek deklaracja złożona przez pannę Gwilt, o ile faktycznie się pan z nią spotka, będzie wiarygodna?

– Może wyjaśni mi to, co odkryliśmy w Londynie – zasugerował Allan, nadal patrząc na list i myśląc o ręce, która go skreśliła.

– Może wyjaśni? Mój drogi panie, z pewnością wyjaśni! Oddam jej sprawiedliwość: uważam, że potrafiłaby poprowadzić sprawę od początku do końca bez jednego błędu.

Te ostatnie słowa zmusiły Allana do odwrócenia uwagi od listu. Okrutny zdrowy rozsądek prawnika nie miał dla niego litości.

– Jeśli spotka się pan jeszcze raz z tą kobietą – ciągnął Pedgift senior – zrobi pan najbardziej lekkomyślne głupstwo, o jakim słyszałem w całej mojej karierze. Panna Gwilt może mieć tylko jeden cel, przychodząc tutaj – wykorzystać pańską słabość do niej. Nikt nie potrafi przewidzieć, do jakiego błędnego kroku może pana przywieść, jeśli choć raz da jej pan po temu okazję. Sam pan przyznaje, że była panu miła, a atencje, jakie pan jej okazywał, nie przeszły niezauważone. Jeśli nawet nie zaproponował pan jej wprost możliwości zostania panią Armadale, zrobił pan coś bardzo zbliżonego i wiedząc o tym wszystkim, chce pan się z nią spotkać i pozwolić, aby wpływała na pana za sprawą swojej piekielnej urody i piekielnego sprytu, w charakterze pana jako zajmującej ofiary! Pan, który jest jedną z najlepszych partii w całej Anglii! Pan, który jest oczywistym celem wszystkich niezamężnych kobiet w okolicy! Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem, nigdy, w całej swojej karierze nie słyszałem czegoś podobnego! Jeśli koniecznie chce pan się narażać, panie Armadale – zakończył Pedgift starszy z nieodłączną szczyptą tabaki zawieszoną pomiędzy tabakierą a nosem – w przyszłym tygodniu przyjeżdża do miasteczka pokaz dzikich zwierząt. Niech pan wpuści do siebie tygrysicę, ale proszę nie wpuszczać panny Gwilt!

Allan po raz trzeci spojrzął na prawnika. I po raz trzeci prawnik zupełnie niezbity z tropu odwzajemnił jego spojrzenie.

– Zdaje się, że ma pan bardzo złe zdanie na temat panny Gwilt – odezwał się Allan.

– Najgorsze z możliwych, panie Armadale – odparował chłodno Pedgift senior. – Wrócimy do niego, gdy odeślemy z powrotem posłańca owej damy. Posłucha pan mojej rady? Odmówi pan spotkania z nią?

– Z chęcią bym odmówił, byłoby ono potwornie przykre dla nas obojga – rzekł Allan. – Z chęcią bym odmówił, gdybym tylko wiedział jak.

– A niech mnie, panie Armadale, toż to dziecinnie proste! Niech pan nie angażuje się w pisanie. Proszę przekazać posłańcowi wiadomość, że nie ma odpowiedzi.

To proste wyjście z sytuacji było wyjściem, na które Allan nie chciał się zdecydować.

– To okrutne względem niej – powiedział. – Nie mogę i nie zamierzam tego robić.

Po raz kolejny dociekliwość Pedgifta starszego napotkała na opór i raz jeszcze ten mądry człowiek taktownie przystał na kompromis. Otrzymawszy od swego klienta obietnicę, że nie spotka się z panną Gwilt, pozwolił na to, aby Allan zaangażował się w pisanie pod dyktando swego prawnika. Powstały w ten sposób list wzorowany był na stylu samego Allana: kończył się na jednym zdaniu. „Pan Armadale przesyła pozdrowienia pannie Gwilt i żałuje, że nie będzie miał przyjemności spotkania z nią w Thorpe Ambrose”. Allan z całych sił dopominał się o drugie zdanie, wyjaśniające, że odmawia spełnienia prośby panny Gwilt jedynie z powodu przekonania, że rozmowa sprawiłaby obu stronom niepotrzebną przykrość. Jednak jego radca prawny stanowczo odrzucił proponowany dopisek.

– Kiedy mówi pan „nie” kobiecie – stwierdził Pedgift senior – proszę zawsze mówić to jednym słowem. Jeśli zacznie pan przedstawiać swoje powody, ona niechybnie pomyśli, że ma pan na myśli „tak”.

Wydobywszy tę perełkę z bogatej kopalni swojego doświadczenia zawodowego, Pedgift starszy wysłał odpowiedź posłańcowi panny Gwilt i polecił służącemu „upewnić się, że człowiek ten, kimkolwiek jest, odejdzie z dala od domu”.

– Teraz, sir – powiedział prawnik – powrócimy, jeśli ma pan ochotę, do mojego zdania na temat panny Gwilt. Obawiam się, że jest zupełnie odmienne od pańskiego. Uważa ją pan za osobę zasługującą na litość – to naturalne w pana wieku. Ja z kolei uważam ją za osobę zasługującą na więzienną celę – to naturalne w moim wieku. Zaraz usłyszysz pan przesłanki, na których wyrobiłem sobie swoje zdanie. Proszę pozwolić, że udowodnię, iż nie żartuję, poddając najpierw moje zdanie pewnej próbie. Czy uważa pan, panie Armadale, że panna Gwilt nadal będzie nalegać na spotkanie z panem po odpowiedzi, którą właśnie pan jej przesłał?

– To niepodobna! – zawołał Allan ciepło. – Panna Gwilt jest damą. Po liście, który do niej napisałem, nigdy więcej się do mnie nie zbliży.

– I tu się nie zgadzamy – zawołał Pedgift senior – ja twierdzę, że nie będzie sobie robiła nic z pana listu (co było jednym z powodów, dla których sprzeciwiałem się pisaniu go). Twierdzę, że według wszelkiego prawdopodobieństwa czeka teraz na powrót posłańca gdzieś na terenie pana posiadłości albo w jej pobliżu. Twierdzę, że będzie próbowała pana najść, zanim miną dwadzieścia cztery godziny. Na Boga, sir! – wykrzyknął pan Pedgift, patrząc na zegarek – jest dopiero siódma. Jest na tyle śmiała i sprytna, by złapać pana z zaskoczenia jeszcze dziś wieczorem. Proszę pozwolić mi zadzwonić po służącego, pozwolić mi poprosić, aby natychmiast polecił mu pan mówić, że nie ma pana w domu. Niech się pan nie zastanawia, panie Armadale! Jeśli ma pan rację co do panny Gwilt, to zwykła formalność. Jeśli ja mam rację, to rozsądny środek ostrożności. Niech pan uzasadni swoje zdanie, sir – powiedział pan Pedgift, dzwoniąc w dzwonek – a ja uzasadnię swoje!

Kiedy rozległ się dzwonek, Allan był wystarczająco rozdrażniony, aby wydać polecenie. Skoro jednak zjawił się służący, wspomnienia z przeszłości wzięły nad nim górę i słowa uwięzły mu w gardle.

– Niech pan wyda polecenie – powiedział do pana Pedgifta i nagle odszedł w stronę okna.

„Masz dobre serce!”, pomyślał stary prawnik, oglądając się za nim i w mig odgadując przyczynę. „Szpony tej diablicy nie zadrasną cię, póki mogę coś na to zaradzić”.

Służący niewzruszenie czekał na rozkazy.

– Jeśli przyjdzie tu panna Gwilt, dziś wieczorem lub kiedykolwiek indziej – odezwał się Pedgift senior – pana Armadale’a nie ma w domu. Zaczekaj! Jeśli spyta, kiedy pan Armadale wróci, nie wiesz. Zaczekaj! Jeśli zaproponuje, że wejdzie i zaczeka, otrzymałeś polecenie, że nikt nie może wchodzić i czekać, o ile nie jest umówiony z panem Armadale’em. Idź! – zawołał stary Pedgift, wesoło zacierając ręce, gdy służący wyszedł. – Zatrzymałem ją, przynajmniej na razie! Polecenia wydane. Możemy kontynuować rozmowę.

Allan wrócił spod okna.

– Ta rozmowa nie należy do przyjemnych – rzekł. – Bez obrazy, ale chciałbym,

żeby już się skończyła.

– Skończymy ją tak szybko, jak to możliwe, sir – powiedział Pedgift senior, nadal uparcie, tak jak to tylko prawnicy i kobiety potrafią, zbliżając się krok po kroku do upatrzonego celu. – Wróćmy, jeśli pan pozwoli, do rady, jaką dałem panu, gdy służący przyniósł list od panny Gwilt. Istnieje, powtarzam, tylko jeden sposób na wyjście z obecnej niezręcznej sytuacji. Musi pan dokończyć śledztwo w sprawie tej kobiety, w nadziei (która graniczy z pewnością), że wynik usprawiedliwi pana w oczach sąsiadów.

– Na Boga, żałuję, że w ogóle wdawałem się w jakieś śledztwo! – wykrzyknął Allan. – Nic mnie nie skłoni, panie Pedgift, aby to dalej robić.

– Dlaczego? – zapytał prawnik.

– Pyta mnie pan dlaczego – odparł Allan ostro – po tym, co usłyszał od syna na temat informacji, jakie zdobyliśmy w Londynie? Nawet gdybym miał mniejsze powody, aby... aby współczuć panie Gwilt, niż mam, nawet gdyby chodziło o jakąś inną kobietę, myśli pan, że drążyłbym dalej sekret biednej, zdradzonej istoty, a co dopiero wyciągał go na światło dzienne? Gdybym zrobił coś takiego, uważałbym się za równie wielkiego łotra co mężczyzna, który zostawił ją bezbronną na pastwę losu. Dziwię się, że zadaje mi pan takie pytanie, na mą duszę, dziwię się, że je pan zadaje!

– Proszę podać mi rękę, panie Armadale! – zawołał serdecznie Pedgift senior. – Imponuje mi, że tak się pan na mnie rozgniewał. Sąsiedzi mogą sobie mówić, co chcą, ale jest pan dżentelmenem, sir, w najlepszym znaczeniu tego słowa. A teraz – ciągnął prawnik, puszcżając rękę Allana i natychmiast przechodząc ponownie od sentymentów do interesów – proszę posłuchać, co mam na swoją obronę. Założmy, że prawdziwe położenie panny Gwilt w niczym nie przypomina położenia, w które pan tak wielkodusznie zdecydował się wierzyć.

– Nie mam powodów, by podejrzewać coś takiego – powiedział Allan stanowczo.

– To pana zdanie, sir – nie ustępował Pedgift. – Moje, oparte na tym, co powszechnie wiadomo o poczynaniach panny Gwilt w okolicy, i na tym, co sam zauważyłem podczas spotkania z nią, jest takie, że jest równie daleka od bycia niewinną ofiarą, za jaką ją pan uważa, jak ja. Spokojnie, panie Armadale! Proszę

pamiętać, że poddałem moją opinię próbie, i wstrzymać się z bezceremonialną krytyką do czasu, aż wypadki ją uzasadnią. Niech pan pozwoli, że przedstawię swoje argumenty, sir. Niech pan weźmie poprawkę na to, że jestem prawnikiem, i pozwolmi przedstawić argumenty. Pan i mój syn jesteście młodzi i nie zaprzeczam, że okoliczności sprawy z pozoru zdają się uzasadniać wnioski, które, jako młodzi ludzie, wysnuliście na ich podstawie. Ja natomiast jestem stary, wiem, że okoliczności nie zawsze są takie, jak się wydaje, i w obecnym przypadku posiadam tę wielką przewagę, że mam za sobą lata doświadczenia zawodowego pomiędzy najbardziej nikczemnymi z kobiet, jakie kiedykolwiek ziemia nosiła.

Allan otworzył usta, by zaprotestować, i powstrzymał się, tracąc nadzieję na to, że jego protest zrobi na rozmówcy jakiegokolwiek wrażenie. Pedgift senior skinął głową na znak, że docenia powściągliwość klienta, i natychmiast wykorzystał ją, by ciągnąć dalej.

– Wszystkie poczynania panny Gwilt – podjął – od czasu pańskiej nieszczęsnej wymiany listów z majorem wskazują na to, że jest ona biegła w oszustwie. W chwili, gdy grozi jej zdemaskowanie (a po tym, co odkrył pan w Londynie, nie ma wątpliwości, że jakieś zdemaskowanie wchodzi w grę), wykorzystuje pańskie honorowe milczenie w najlepszy możliwy sposób i odchodzi ze służby u majora jako męczennica. Kiedy już opuściła jego dom, co następnie robi? Prowokacyjnie zatrzymuje się w okolicy i w ten sposób osiąga trzy znakomite cele. Po pierwsze, pokazuje wszystkim, że nie boi się stawić czoła kolejnemu atakowi na jej reputację. Po drugie, jest w pobliżu, aby owinąć sobie pana wokół palca i zostać panią Armadale mimo przeciwności, o ile tylko pan (i ja) da jej na to szansę. Po trzecie, jeśli pan (i ja) będzie na tyle przezorny, by jej nie ufać, ona okaże się równie przezorna i nie da panu sposobności podążenia w ślad za nią do Londynu i skojarzenia jej ze współnikami. Czy tak postępuje nieszczęśliwa kobieta, która straciła dobre imię w chwili słabości i która została niechcący wplątana w oszustwo, aby to imię odzyskać?

– Zręcznie pan to ujął – powiedział Allan, odpowiadając z wyraźną niechęcią. – Nie da się zaprzeczyć, że zręcznie pan to ujął.

– Pana własny zdrowy rozsądek, panie Armadale, zaczyna panu podpowiadać, że

ująłem to słusznie – rzekł Pedgift senior. – Nie podejmuję się jeszcze orzec, jaki związek ma ta kobieta z tamtymi ludźmi w Pimlico. Twierdzę tylko, że nie jest to związek, o którym pan myśli. Przedstawivszy fakty, pozostaje mi jedynie podzielić się z panem moim osobistym wrażeniem na temat panny Gwilt. Postaram się pana nie zszokować. Zobaczę, czy uda mi się znowu zręcznie to ująć. Przyszła do mojej kancelarii (jak napisałem w liście) bez wątpienia po to, aby w miarę możliwości zaprzyjaźnić się z pańskim prawnikiem i jak przykładna, przebacząjąca chrześcijanka powiedzieć mi, że nie ma do pana pretensji.

– Czy pan czasem komuś wierzy, panie Pedgift? – przerwał Allan.

– Czasami, panie Armadale – odparł Pedgift starszy, jak zwykle nie dając się zbić z tropu. – Wierzę tak często, jak może wierzyć prawnik. Kontynuując, sir... Kiedy zajmowałem się prawem karnym, przypadło mi w udziale wysłuchiwać zeznań kobiet oczekujących na proces. Jakiekolwiek nie dzieliłyby ich różnice, z czasem zauważyłem, że te z nich, które były szczególnie niegodziwe i niewątpliwie winne, miały jedną wspólną cechę. Wysokie i niskie, stare i młode, ładne i brzydkie – wszystkie odznaczały się niezwykłym opanowaniem, którego nic nie było w stanie zachwiać. Z pozoru były tak różne, jak to tylko możliwe. Jedne oburzone, inne zalewały się łzami, zdarzały się pełne nabożnej ufności albo też i takie, które zdecydowane były popełnić samobójstwo, zanim wstanie kolejny dzień. Ale wytknij tylko nagle nieściskość w historii opowiedzianej przez którąkolwiek z nich, a kończyła się jej wściekłość, łzy, pobożność albo rozpacz i ukazywała się jej prawdziwa natura, w pełni swoich władz, zdolna wymyślić zgrabne kłamstewko, które idealnie pasowało do okoliczności sprawy. Panna Gwilt ronila łzy, sir – twarzowe łzy, od których jej nos nie robił się czerwony – gdy ja nagle wytknąłem nieściskość w jej opowieści. Natychmiast z jej pięknych, niebieskich oczu opadła chusteczka i ukazała się jej prawdziwa natura zdolna wymyślić zgrabne kłamstewko, które idealnie pasowało do okoliczności! Z miejsca poczułem się dwadzieścia lat młodszy, panie Armadale. Zdawało mi się, że znów jestem w areszcie w Newgate z notatnikiem w ręku i spisuję zeznania!

– Zaraz pan powie – zawołał Allan ze złością – że panna Gwilt była w więzieniu!
Pedgift senior spokojnie zastukał w tabakierę i już miał gotową odpowiedź:

– Całkiem możliwe, że zasłużyła sobie na to, by zobaczyć więzienie od środka, panie Armadale, ale w czasach, w których przyszło nam żyć, to jest właśnie jeden znakomity powód, aby nigdy nie zbliżyła się na krok do podobnego miejsca. Więzienie, przy obecnym tkliwym nastawieniu opinii publicznej, dla tak czarującej kobiety jak panna Gwilt! Mój drogi panie, gdyby spróbowała zamordować pana lub mnie i gdyby jakiś bezduszny sędzia i ława przysięgłych wysłali ją do więzienia, pierwszą rzeczą, jaką zrobiłoby dzisiejsze społeczeństwo, byłoby nie dopuścić do tego, aby się tam znalazła, a gdyby okazało się to niemożliwe, następną rzeczą byłoby ją uwolnić tak szybko, jak to tylko możliwe. Niech pan poczyta gazety, panie Armadale, a przekona się pan, że żyjemy w czasach, w których czarne owce w społeczeństwie mogą spać spokojnie, o ile tylko są wystarczająco czarne. Upieram się przy twierdzeniu, sir, że mamy w tym wypadku do czynienia z jedną z najczarniejszych z całej bandy. Twierdzę, że przy okazji swojego niefortunnego śledztwa miał pan rzadkie szczęście trafić na kobietę, która w interesie dobra wspólnego powinna być przedmiotem śledztwa. Może się pan ze mną nie zgadzać tak bardzo jak pan chce, ale proszę nie przesądzać o panie Gwilt, dopóki wypadki nie poddadzą naszych dwóch przeciwstawnych opinii próbie, którą zaproponowałem. Nie może być bardziej bezstronnego testu. Zgadzam się z panem, że żadna dama godna tego miana nie próbowałaby pana nachodzić po otrzymaniu pańskiego listu. Ale uważam, że panna Gwilt nie jest go godna, i twierdzę, że będzie się tu próbowała dostać wbrew pana woli.

– A ja mówię, że nie będzie! – zareplikował Allan z przekonaniem.

Pedgift senior uśmiechnął się, po czym odchylił na krześle do tyłu. Nastąpiła chwila ciszy i w tej ciszy rozległ się dzwonek u drzwi.

Prawnik i jego klient obaj spojrzeli wyczekująco w kierunku holu.

– Nie! – zawołał Allan bardziej gniewnie niż dotychczas.

– Tak! – zawołał Pedgift senior, sprzeciwiając się mu z największą grzecznością.

Czekali na to, co się wydarzy. Dało się słyszeć otwieranie drzwi, ale pokój zbyt był od nich odległy, aby dotarły do niego również odgłosy rozmowy. Po długiej chwili oczekiwania wreszcie do uszu nasłuchujących dotarł dźwięk zamykanych drzwi. Allan poderwał się gwałtownie i zadzwonił po służącego. Pan Pedgift starszy

siedział w najwyższym spokoju, racząc się z przyjemnością największą szczyptą tabaki, jaką dotąd wziął.

– Ktoś do mnie? – zapytał Allan, kiedy wszedł służący.

Ten spojrział na Pedgifta seniora z wyrazem niewysłowionego uznania i odparł:

– Panna Gwilt.

– Nie chciałbym nad panem tryumfować, sir – odezwał się Pedgift starszy, gdy służący wyszedł. – Ale co pan teraz myśli o panie Gwilt?

Allan potrząsnął głową w niemym zniechęceniu i smutku.

– Czas odgrywa tu pewną rolę, panie Armadale. Po tym, co się przed chwilą stało, czy nadal wzbrania się pan przed podjęciem kroków, które miałem zaszczyt panu zaproponować?

– Nie mogę, panie Pedgift – rzekł Allan. – Nie mogę być przyczyną skompromitowania jej w okolicy. Wolę już sam się skompromitować, tak jak się skompromitowałem.

– Proszę pozwolić, że ujmę to inaczej, sir. Niech pan wybaczy moją natarczywość. Jest pan bardzo uprzejmy dla mnie i mojej rodziny i zależy mi na panu ze względów osobistych, jak również zawodowych. Skoro nie może pan przemóc się, aby pokazać charakter tej kobiety we właściwym świetle, czy podejmie pan przynajmniej zwykłe środki ostrożności uniemożliwiające jej wyrządzenie więcej zła? Czy zgodzi się pan na to, aby była potajemnie śledzona tak długo, jak przebywa w okolicy?

Allan po raz drugi potrząsnął głową.

– Czy to pańska ostateczna decyzja, sir?

– Tak, panie Pedgift. Ale mimo to jestem panu bardzo wdzięczny za radę.

Pedgift senior podniósł się z wyrazem łagodnej rezygnacji i wziął kapelusz.

– Dobranoc, sir – rzekł zafrasowany, po czym skierował się do drzwi.

Allan również wstał, myśląc naiwnie, że rozmowa dobiegła końca. Osoby lepiej znające zwyczaje jego radcy prawnego poradziłyby mu, aby pozostał na miejscu. Nadszedł czas na „postscriptum Pedgifta” i w momencie, gdy jedną ręką otwierał on drzwi, w drugiej pojawiła się wiele mówiąca tabakiera.

– Dobranoc – powiedział Allan.

Pedgift senior otworzył drzwi, zatrzymał się, zawahał, ponownie zamknął drzwi, odwrócił się niepewnie, trzymając szczyptę tabaki zawieszoną pomiędzy tabakierą a nosem i wypowiadając niezmienną formułę: „a tak na marginesie, coś mi przyszło do głowy”, i spokojnie wrócił na puste krzesło.

Allan, zachodząc w głowę, co się nagle wydarzyło, także wrócił na miejsce, z którego co dopiero wstał. Prawnik i jego klient raz jeszcze spojrzeli na siebie i rozmowa zaczęła się na nowo.

VI. POSTSCRIPTUM PEDGIFTA

– Wspomniałem, że coś mi przyszło do głowy, sir – odezwał się Pedgift senior.

– W istocie – rzekł Allan.

– Chciałby pan usłyszeć, co to takiego, panie Armadale?

– Jeśli pan pozwoli – powiedział Allan.

– Z całego serca, sir! Oto moja myśl. Wydaje mi się bardzo ważne, jeśli już nic innego nie można zrobić, aby panna Gwilt była dyskretnie śledzona tak długo, jak długo pozostaje w Thorpe Ambrose. Już w drzwiach przyszło mi do głowy, że to, czego nie chce pan zrobić dla własnego bezpieczeństwa, może pan zrobić dla bezpieczeństwa innej osoby.

– Jakiej innej osoby? – zapytał Allan.

– Młodej damy, która jest pana bliską sąsiadką, sir. Czy mam w zaufaniu wymienić nazwisko? Panna Milroy.

Allan drgnął i poczerwieniał.

– Panna Milroy! – powtórzył. – Czy ta brudna sprawa może jej dotyczyć? Mam nadzieję, że nie, panie Pedgift. Mam szczerą nadzieję, że nie.

– Dla pana dobra złożyłem dziś rano wizytę w domku, sir – ciągnął Pedgift senior. – Dowie się pan, co tam zaszło, i sam oceni. Major Milroy dość swobodnie wyrażał swoje zdanie o panu i uznałem za bardzo wskazane go ostrzec. Zawsze tak jest z tymi cichymi, otumanionymi ludźmi: kiedy już raz się obudzą, nie sposób dyskutować z ich uporem ani uciszyć ich wzburzenia. Tak więc, sir, dziś rano poszedłem do domku. Major i panna Neelie byli w salonie. Panienska nie wyglądała tak ładnie jak zwykle: była blada, pomyślałem, blada, zmęczona i niespokojna. Otumaniony major zerwał się nagle (nie spodziewałbym się tego po człowieku, sir,

który potrafi przez pół życia zajmować się robieniem zegara!), a więc otumaniony major zerwał się nagle w najbardziej wyniosły z możliwych sposobów i ni mniej, ni więcej, tylko spróbował skarcić mnie spojrzeniem. Ha, ha! Pomyśleć tylko, że ktoś mógłby mnie, w moim wieku, karcić spojrzeniem. Zachowałem się, jak przystoi na chrześcijanina i uprzejmie skłoniłem się majorowi „Która godzina?”. „Ładny dzień, majorze”, powiedziałem. „Ma pan do mnie jakąś sprawę?”, zapytał. „Tylko słówko”, ja na to. Panna Neelie, będąc osobką roztropną, wstała, by wyjść z pokoju, a co wtedy zrobił jej niepoważny ojciec? Zatrzymał ją. „Nie musisz wychodzić, moja droga, nie mam panu Pedgiftowi nic do powiedzenia”, powiedział ten stary wojskowy idiota, obrócił się do mnie i znów spróbował skarcić mnie spojrzeniem. „Jest pan prawnikiem pana Armadale’a”, odezwał się. „Jeśli przychodzi pan w interesie, który dotyczy pana Armadale’a, odsyłam pana do mojego radcy prawnego”. (Jego radcą prawnym jest Darch, a Darch ma już dość interesów ze mną, mówię panu!) „Sprawa, z jaką przychodzę, majorze, z pewnością dotyczy pana Armadale’a”, powiedziałem, „ale nie ma nic wspólnego z pana prawnikiem, w każdym razie jeszcze nie teraz. Chciałbym przestrzec pana, aby wstrzymał się z wydawaniem opinii o moim kliencie, albo, jeśli pan tego nie zrobi, aby uważał pan, wyrażając ją publicznie. Ostrzegam pana, że nasza kolej nadejdzie i że skandal z panną Gwilt jeszcze się nie skończył”. Przyszło mi do głowy, że zapewne straci panowanie nad sobą, kiedy stawi mu się czoła w ten sposób, i spełni moje oczekiwania. Wypowiadał się w sposób dość napastliwy, biedaczyna, napastliwy wobec mnie! Znów zachowałem się jak na chrześcijanina przystało. Ukłoniłem się uprzejmie i życzyłem mu dobrego dnia. Kiedy rozejrzałem się wokół siebie, aby życzyć dobrego dnia również pannie Neelie, nie było jej. Wydaje się pan niespokojny, panie Armadale – zauważył Pedgift senior, podczas gdy Allan, czując ukłucie w sercu na wspomnienie dawnych wydarzeń, nagle wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju tam i z powrotem. – Nie będę dłużej wystawiał pana cierpliwości na próbę, sir. Właśnie przechodzę do rzeczy.

– Przepraszam pana, panie Pedgift – rzekł Allan, wracając na miejsce i próbując patrzeć spokojnie na prawnika, mimo powracającego obrazu panny Neelie, jaki on przywołał.

– A więc, sir, wyszedłem z domku – podjął Pedgift senior. – Zdążyłem tylko skręcić za rogiem ogrodu w stronę parku i na kogóż wpadam, jeśli nie na pannę Neelie we własnej osobie, najwyraźniej czekającą na mnie. „Chciałabym chwilę z panem pomówić, panie Pedgift!”, odzywa się. „Czy pan Armadale uważa, że jestem zamieszana w tę sprawę?” Była bardzo wzburzona: miała w oczach łzy, sir, z rodzaju tych, do których widoku nie przywykłem w mojej karierze prawniczej. Całkiem się zapomniałem, podałem jej ramię i łagodnie wyprowadziłem pomiędzy drzewa. (Niezły widok, gdyby tylko któryś z miejscowych łowców sensacji szedł akurat w tę stronę!) „Droga panno Milroy”, powiadam, „dlaczego pan Armadale miałby uważać, że jest panienka w to zamieszana?”

– Powinien pan jej od razu powiedzieć, że nic takiego nie przyszło mi na myśl! – zawołał Allan z oburzeniem. – Dlaczego pozostawił ją pan choćby na chwilę w niepewności?

– Ponieważ jestem prawnikiem, panie Armadale – odparł Pedgift senior cierpko. – Nawet w nastrojowych chwilach, w cieniu drzew, z ładną dziewczyną opartą na moim ramieniu nie mogę całkowicie wyzbyć się mojej zawodowej ostrożności. Proszę się nie martwić, sir! Wszystko wyjaśniłem w swoim czasie. Zanim rozstałem się z panną Milroy, powiedziałem jej otwarcie, że nic takiego nie przyszło panu na myśl.

– Uspokoiła się? – zapytał Allan.

– Mogła już obyć się bez mojego ramienia, sir – odparł stary Pedgift jak zwykle oschle – i zobowiązać mnie do nienaruszalnej dyskrecji na temat naszej rozmowy. Bardzo jej zależało, żeby pan się o niej nie dowiedział. Jeśli zastanawia się pan, dlaczego teraz zdradzam jej zaufanie, pragnę poinformować, że jej zwierzenia dotyczyły nie kogo innego jak damy, która była łaskawa przyjść przed chwilą do pana domu, panny Gwilt.

Allan, który znów niespokojnie kręcił się po pokoju, przystanął i wrócił na krzesło.

– Czy to coś poważnego? – spytał.

– Niezwykle poważnego, sir – odparł Pedgift senior. – Zdradzam sekret panny

Neelie dla jej własnego dobra. Powróćmy do tego ostrożnego pytania, które jej zadałem. Miała małą trudność z odpowiedzią na nie, ponieważ ta sprawiła, że wdała się w opowieść o swoim rozstaniu z guwernantką. Oto jej sedno. Kiedy panna Gwilt żegnała się z uczennicą, były one same, a słowa, jakich użyła (zgodnie z relacją panny Neelie), brzmiały następująco. Powiedziała: „Twoja matka odmówiła mi pożegnania. Czy ty również mi go odmówisz?”. Odpowiedź panny Neelie była niebywale rozsądna jak na dziewczynę w jej wieku. „Nie byłyśmy dobrymi przyjaciółkami”, rzekła, „i myślę, że obie tak samo cieszymy się, iż się rozstajemy. Ale nie mam zamiaru odmawiać pani pożegnania”. Mówiąc to, wyciągnęła rękę. Panna Gwilt stała, przyglądając się jej bacznie i nie dotykając podanej ręki, po czym zwróciła się do niej tymi słowami: „Nie jesteś jeszcze panią Armadale”. Spokojnie, sir! Niech pan się nie denerwuje. Nie ma nic dziwnego w tym, że jakaś kobieta, świadoma własnych zakusów na pana. przypisuje podobne zakusy młodej damie, która akurat jest pana bliską sąsiadką. Pozwoli pan, że będę kontynuował. Panna Neelie, jak sama wyznała, poczuła się bardzo urażona (myślę, że całkiem zrozumiale). Przyznaje, że odpowiedziała: „Ty bezwstydnico, jak śmiesz mówić do mnie coś takiego!”. Riposta panny Gwilt była dość niezwykła; zdaje się, że jej gniew jest z gatunku chłodnych, spokojnych i zjadliwych. „Jeszcze nie zdarzyło się, żeby ktoś mnie zranił, panno Milroy”, rzekła, „wcześniej czy później gorzko tego nie żałując. Ty też gorzko tego pożałujesz”. Stała przez chwilę, patrząc na swoją uczennicę w grobowym milczeniu, po czym wyszła z pokoju. Zdaje się, że panna Neelie o wiele boleśniej odczuła pomówienie zarzucone jej w związku z panem niż groźbę. Wiedziała już wcześniej, tak jak każdy w domu wiedział, że w wyniku jakichś pana niepotwierdzonych działań w Londynie panna Gwilt dobrowolnie zrezygnowała z posady. Teraz, na podstawie słów, jakie do niej skierowano, doszła do wniosku, że panna Gwilt myśli, iż to ona doprowadziła do wszczęcia tych działań, aby zyskać w pana oczach oraz pogrzyźć guwernantkę. Spokojnie, sir, spokojnie! Jeszcze nie skończyłem. Gdy tylko panna Neelie doszła do siebie, udała się na górę, aby pomówić z panią Milroy. Ohydne pomówienie panny Gwilt zaskoczyło ją i najpierw uciekła się do matki po wyjaśnienia i radę. Nie dostała ani jednego, ani drugiego. Pani Milroy oświadczyła, że jest zbyt chora, aby poruszać ten temat, i od

tamtej pory pozostaje zbyt chora, aby to zrobić. Następnie panna Neelie zwróciła się do ojca. Major powstrzymał ją, gdy tylko pańskie nazwisko padło z jej ust. Oświadczył, że nie życzy sobie, aby ktoś z jego rodziny kiedykolwiek wspominał o panu. Od tamtej chwili aż do teraz pozostawała w niewiedzy, nie mając pojęcia, jak bardzo fałszywie mogła zostać przedstawiona przez pannę Gwilt albo do wiary w jakie kłamstwa na jej temat mógł pan być skłoniony. W moim wieku i w moim zawodzie nie twierdzę, że posiadam szczególnie miękkie serce. Jestem jednak przekonany, panie Armadale, że sytuacja panny Neelie zasługuje na nasze współczucie.

– Zrobię wszystko, żeby jej pomóc! – zawołał Allan impulsywnie. – Nie wie pan, panie Pedgift, jaki mam powód... – Zreflektował się i w zmieszaniu powtórzył swe pierwsze słowa. – Zrobię wszystko, wszystko w świecie, żeby jej pomóc!

– Naprawdę pan tak uważa, panie Armadale? Proszę wybaczyć, że pytam, ale może pan bardzo konkretnie pomóc pani Neelie, jeśli pan zechce!

– Jak? – zapytał Allan. – Niech mi pan tylko powie jak!

– Upoważniając mnie, sir, do ochrony jej przed panną Gwilt.

Powiedziawszy te słowa klientowi prosto w oczy, mądry prawnik zawiesił na chwilę głos, aby zdążyły one zrobić właściwe wrażenie.

Allan spochmurniał i niespokojnie poprawił się na krześle.

– Trudno się uporać z pańskim synem, panie Pedgift – rzekł – a z panem jeszcze trudniej.

– Dziękuję, sir – odparł cięty Pedgift – w imieniu syna i własnym za szczególnie komplement pod adresem firmy. Jeśli faktycznie chce pan pomóc pani Neelie – ciągnął poważniejszym tonem – pokazałem panu, jak tego dokonać. Nie może pan zrobić nic, aby złagodzić jej niepokój, czego ja już bym nie zrobił. Gdy tylko zapewniłem ją, że nie ma pan błędnych wyobrażeń na temat jej zachowania, odeszła uspokojona. Wydaje się, że nie wzięła sobie bardzo do serca pożegnalnej groźby swojej guwernantki. Powiem panu jednak, panie Armadale, że ja tak! Zna pan moją opinię na temat panny Gwilt i wie pan, co sama panna Gwilt zrobiła dziś wieczorem, aby uzasadnić tę opinię nawet w pańskich oczach. Mogę spytać, czy po tym

wszystkim, co zaszło, uważa pan, że jest kobietą, która ograniczy się do czczych pogroźek?

Trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Allan, który pod naporem oczywistych faktów konsekwentnie wycofywał się ze stanowiska zajmowanego na początku rozmowy, po raz pierwszy zaczął zdradzać oznaki ustępowania w kwestii panny Gwilt.

– Nie ma innego sposobu, by chronić pannę Milroy, niż ten, o którym pan wspomniał? – zapytał niepewnie.

– Myśli pan, że major posłuchałby pana, gdyby pan z nim porozmawiał? – spytał sarkastycznie Pedgift senior. – Obawiam się, że mnie nie zaszczyciłby swoją uwagą. A może wolałby pan niepokoić pannę Neelie, mówiąc jej otwarcie, że obaj uważamy, iż znajduje się w niebezpieczeństwie? Albo może wyśle mnie pan do panny Gwilt z poleceniem, bym uświadomił ją, iż wyrządziła swojej uczennicy rażącą niesprawiedliwość? Kobiety słyną z tego, że są gotowe posłuchać głosu rozsądku i że są ogólnie skłonne zmienić zdanie na temat innej kobiety, kiedy się o to prosi; zwłaszcza gdy jedna z nich uważa, że druga zniszczyła jej widoki na zawarcie korzystnego małżeństwa. Proszę się mną nie przejmować, panie Armadale, jestem tylko prawnikiem i mogę uniknąć kolejnego prysznicu z łez panny Gwilt!

– Do diabła z tym, panie Pedgift, niech mi pan powie wprost, co pan chce zrobić! – zawołał Allan, w końcu tracąc panowanie nad sobą.

– Mówiąc wprost, panie Armadale, chcę mieć po kryjomu oko na działania panny Gwilt, tak długo, jak długo pozostaje ona w okolicy. Ręczę za znalezienie osoby, która będzie ją śledzić ostrożnie i dyskretnie. I zgadzam się, by przerwać nawet tę nieszkodliwą kontrolę nad jej działaniami, o ile nie będzie uzasadnionych powodów do kontynuowania jej po tygodniu, ku pana zadowoleniu. Wysuwam tę nieśmiałą propozycję, sir, głęboko wierząc, że leży ona w interesie panny Milroy, i czekam na pańską odpowiedź: tak lub nie.

– Czy mogę mieć czas do namysłu? – zapytał Allan, uciekając się do ostatniego, beznadziejnego wybiegu w postaci zwłoki.

– Oczywiście, panie Armadale. Ale podczas gdy będzie się pan namyślał, proszę

nie zapominać, że panna Milroy ma w zwyczaju odbywać samotne przechadzki po parku, będąc zupełnie nieświadomą niebezpieczeństwa, i że panna Gwilt ma zupełną swobodę wykorzystania sytuacji w sposób, jaki uzna za stosowny.

– Niech pan robi, jak uważa! – zawołał zdesperowany Allan. – I, na Boga, niech mnie pan więcej nie dręczy!

Powszechnie panujące uprzedzenie może temu przeczyć, ale zawód prawnika jest właściwie zawodem zgodnym z duchem chrześcijaństwa, przynajmniej pod jednym względem. Z całego bogatego zbioru gotowych odpowiedzi czekających na rozmówcę w ustach prawnika żadna nie jest utrzymywana w stanie większej gotowości niż „odpowiedź łagodna, co uśmierza gniew”. Pedgift senior poderwał się na nogi ze żwawością młodzieniaszka i odezwał z rozsądną powściągliwością człowieka dojrzałego.

– Stokrotne dzięki, sir – rzekł – za uwagę, którą mi pan poświęcił. Gratuluje panu podjętej decyzji i życzę dobrej nocy.

Tym razem, kiedy otwierał drzwi, nie miał w ręku wiele mówiącej tabakiery i zniknął, nie wracając na kolejne postscriptum.

Allan, zostawszy sam, spuścił głowę na piersi.

– Gdyby tylko był już koniec tygodnia! – westchnął z tęsknotą. – Gdybym tylko miał Midwintera z powrotem przy sobie!

W chwili, gdy pragnienie to wyrwało się z ust jego klienta, prawnik wesoło wskoczył do swojego giga.

– Wio, staruszko! – zawołał Pedgift senior, poklepując swą rączą klacz końcem bata. – Nigdy nie każę na siebie czekać damie, a dziś wieczorem mam do załatwienia sprawę z przedstawicielką twojej płci.

VII. MĘCZEŃSTWO PANNY GWILT

Obrzeża niewielkiego miasta Thorpe Ambrose leżące najbliżej „rezydencji” zyskały lokalną sławę jako najładniejsze peryferia tego typu, jakie można było spotkać we wschodniej części hrabstwa. Wille i ogrody były tu w większości wybudowane i zaprojektowane z doskonałym smakiem, drzewa znajdowały się w swoim największym rozkwicie, a zielone błonia rozciągające się za domami wznosiły się i opadały, tworząc cudownie malowniczy i urozmaicony krajobraz. Moźni, modni i piękni mieszkańcy miasteczka upodobali sobie to miejsce jako cel wieczornych przechadzek, a kiedy jakiś gość wybierał się na przejażdżkę, o ile tylko zostawiał wybór stangretowi, ten rutynowo zaczynał od błoń.

Przedmieścia leżące po przeciwnej stronie, to jest najdalej od „rezydencji” (w roku 1851), były solą w oku wszystkich, którym zależało na reputacji miasteczka.

Przyroda była tu niezachęcająca, człek biedny, a postęp społeczny wyrażony w formie budowli został żałośnie zahamowany. W miarę oddalania się od centrum miasta zabudowa sukcesywnie zmniejszała się, by w końcu na jałowym otwartym terenie przejść w atrofię nieukończonych chat. Tutejsi budowniczości zdawali się powszechnie zarzucać swe konstrukcje na wstępnym etapie powstawania. Właściciele działek zakładali uprawy na spisanych na straty skrawkach ziemi i bez wielkich nadziei ogłaszali, że są one do wydzierżawienia pod zabudowę, a w międzyczasie, nie mogąc znaleźć chętnego nabywcy, zbierali z nich mizerne plony. Wszystkie papierowe śmieci z miasteczka przylatywały z wiatrem w ten zaniebdany zakątek, jakby się umówiły, a wszystkie płaczące dzieci przychodziły tu i zawodziły pod opieką niechlujnych piastunek, przynoszących hańbę temu miejscu. Jeśli ktoś z Thorpe Ambrose chciał wysłać wycieńzonego konia na rzeź, było

pewne, że koń ten będzie czekał na swój los na polu po tej stronie miasteczka. Nie rosły tu żadne drzewa ani krzewy, a jedynie sterty wyschniętych odpadków, i nie radowały się żadne stworzenia poza stworzeniami nocnymi – robactwem w łózkach tu i ówdzie oraz wszechobecnymi kotami na ulicach.

Słońce już zaszło i gęstniał letni zmierzch. Płaczliwe dzieci zawodziły w kołyskach, koń przeznaczony na rzeź drzemał opuszczony na polu, będącym jego więzieniem, koty czaiły się po kątach w oczekiwaniu na noc. Na opustoszałych peryferiach ukazała się jednak jedna ludzka sylwetka – sylwetka pana Bashwooda. Okropną ciszę mącił jeden nikły dźwięk – dźwięk miękko stąpających stóp kancelisty.

Poruszając się wolno wzdłuż stert cegieł wznoszących się co jakiś czas przy drodze, lawirując ostrożnie wokół starego żelastwa i potłuczonych dachówek rozrzuconych tu i ówdzie pod nogami, pan Bashwood zbliżał się od strony pól w kierunku jednej z niedokończonych ulic przedmieścia. Tego dnia własny jego wygląd stał się najwidoczniej przedmiotem szczególnej uwagi kancelisty. Sztuczne zęby były olśniewająco białe, peruka starannie wyszczotkowana, strój żałobny, gruntownie odświeżony, lśnił ohydny, oślizgłym połyskiem taniego, czarnego materiału. Staruszek poruszał się z nerwową dziarskością i rozglądał z bezmyślnym uśmiechem na twarzy. Gdy dotarł do pierwszej z chat, jego szkliste oczy po raz pierwszy utkwily spojrzenie w perspektywie rozciągającej się przed nim ulicy. W następnej chwili drgnął, jego oddech przyśpieszył, oparł się, rumieniąc i drżąc, na niedokończonym murze wznoszącym się tuż obok. Choć nadal odległa, w jego kierunku zbliżała się ulicą jakaś dama.

– Nadchodzi! – wyszeptał z dziwną mieszaniną zachwytu i strachu w głosie, a jego wynędzniała twarz na przemian czerwieniła się i bladła. – Chciałbym być ziemią, po której stąpa! Chciałbym być rękawiczką, którą ma na dłoni!

Zdawało się, że w wypowiedaniu tych przesadnych zwrotów znajdował intensywną rozkosz, która sprawiała, że jego anemiczna sylwetka dygotała od stóp do głów.

Dama zbliżała się z lekkością i wdziękiem, aż oczom pana Bashwooda ukazał się widok, który jego przecucie rozpoznało od pierwszej chwili – twarz panny Gwilt.

Jej strój jednoznacznie zdradzał oszczędność nakładów. Na głowie miała najskromniejszy słomkowy czepek, jaki można było kupić, skąpo wykończony najtańszą białą wstążką. Ascetyczny i gustowny niedostatek wyrażał się w nieskazitelnej czystości i oszczędnym kroju lekkiej „drukowanej” sukni oraz skąpej, zarzuconej na nią, mantyli z taniego, czarnego jedwabiu, obrzeżonej prostą falbaną z tego samego materiału. Jej okropne rude włosy śmiało błyszcząły w plecionej koronie nad czołem i jednym zbłąkanym zalotnym loczku, idealnie skręconym, który spływał na lewe ramię. Rękawiczki, przylegające do dłoni jak druga skóra, miały stonowany brązowy odcień, na którym najpóźniej widać ślady zużycia. Jedną ręką z gracją podtrzymywała suknię, chroniąc ją przed brudem ulicy, w drugiej niosła bukiet z pospolitych kwiatów ogrodowych. Zbliżała się bezgłośnie i płynnie, z delikatnym, rytmicznym falowaniem drukowanej sukni, z zalotnym loczkiem co i rusz łagodnie unoszonym powiewem wieczornego wietrzyka, z głową lekko spuszczoną i wzrokiem utkwionym w ziemi. Każdy jej krok, spojrzenie, gest, każdy swobodny ruch emanował tą ledwo uchwytną mieszanką zmysłowości i skromności, która ze wszystkich pociągających skrajności występujących u kobiet w męskich oczach jest najbardziej nieodparta ze wszystkich.

– Pan Bashwood! – zawołała głośno i wyraźnie, co wskazywało na najwyższe zdumienie. – Co za niespodzianka! Myślałam, że na tę stronę miasteczka nie zapuszcza się nikt poza jej nieszczęsnymi mieszkańcami. Cicho! – dodała szybko półgłosem. – Dobrze pan słyszał, kiedy dowiedział się, że pan Armadale zamierza mnie śledzić i obserwować. Za jednym z domów ukrywa się mężczyzna. Musimy rozmawiać głośno o rzeczach obojętnych i sprawiać wrażenie, jakbyśmy się spotkali przez przypadek. Niech mnie pan zapyta, co robię. Głośno! Już! Nigdy więcej pan mnie nie zobaczy, jeśli natychmiast nie przestanie się trząść i nie będzie robił tego, co każę!

Mówiła z niecierpiącym sprzeciwu despotyzmem w oczach i głosie, bezlitośnie wykorzystując swoją władzę nad słabą istotą, do której się zwracała. Pan Bashwood wykonał polecenie drżącym ze wzburzenia głosem, jednocześnie pozerając ją wzrokiem pełnym dziwnej grozy i zachwyty.

– Próbuje zarobić trochę pieniędzy, ucząc muzyki – rzekła głosem, który miał

dotrzeć do uszu szpiega. – Jeśli może mi pan polecić jakichś uczniów, panie Bashwood, pana dobre słowo wyświadczy mi przysługę. Był pan dziś na terenie posiadłości? – ciągnęła, na powrót zniżając głos do szeptu. – Czy pan Armadale zbliżał się do domku? Czy panna Milroy wyszła z ogrodu? Nie? Jest pan pewien? Niech pan ich wygląda jutro, pojutrze i popojutrze. Na pewno znów się spotkają i pogodzą, a ja muszę o tym wiedzieć. Ciii! Niech mnie pan zapyta o moje warunki jako nauczycielki. Czego się pan boi? To mnie śledzi ten człowiek, nie pana. Głośniej niż wtedy, gdy pytał mnie pan, co robię, teraz, głośniej albo nie będę panu więcej ufać i znajdę sobie kogoś innego!

Po raz kolejny pan Bashwood posłuchał.

– Niech pani się na mnie nie gniewa – wymamrotał cicho, gdy już powiedział, co miał powiedzieć. – Serce tak mi bije, że zaraz skonam!

– Biedny staruszek! – wyszeptała, nagle zmieniając ton na ironicznie czuły. – Po co panu serce w pana wieku? Niech pan będzie tu jutro o tej samej porze i powie mi, co zobaczył na terenie posiadłości. Biorę tylko pięć szylingów za lekcję – ciągnęła głośniej. – To z pewnością niewiele, panie Bashwood. Udzielam bardzo długich lekcji, a nuty dla moich uczniów kupuję za połowę ceny.

Naraz ponownie ściszyła głos i wzrokiem zmusiła rozmówcę do natychmiastowej uległości.

– Niech pan jutro nie traci z oczu pana Armadale’a! Jeśli ta dziewczyna zdoła z nim porozmawiać, a ja się o tym nie dowiem, to mnie pan popamięta! Jeśli zaś się o tym dowiem, pocałuję pana! Ciii! Niech mi pan życzy dobrej nocy, sam idzie do miasta, a mnie pozwoli odejść w przeciwnym kierunku. Nie potrzebuję pana: nie boję się człowieka, który stoi za domem. Sama się z nim rozprawię. Proszę powiedzieć „dobranoc”, a pozwolę panu uścisnąć swoją dłoń. Proszę powiedzieć to głośniej, a dam panu jeden z moich kwiatków, jeśli tylko pan obieca, że się w nim nie zakocha.

Ponownie podniosła głos:

– Dobranoc, panie Bashwood. Proszę nie zapomnieć o moich warunkach. Pięć szylingów za lekcję, jedna trwa godzinę, a nuty dla moich uczniów kupuję za pół

ceny, co jest bardzo korzystne, nieprawdaż?

Wsunęła mu kwiatek do ręki, zmarszczyła brwi, aby zmusić go do posłuszeństwa, i w tej samej chwili rzuciła uśmiech w nagrodę za uległość. Następnie uniosła rąbek sukni ponad brud ulicy i poszła w swoją stronę z pełnym gracji, nieśpiesznym namaszczeniem, podobnie jak kot, który idzie w swoją stronę po tym, jak znudziło mu się igranie z myszą.

Pozostawszy sam, pan Bashwood zbliżył się do niskiego muru okalającego chatę, obok której stał, i opierając się o niego ze znużeniem, spojrzął na kwiatek trzymany w ręce.

Jego dotychczasowe życie nauczyło go znosić klęski i zniewagi mężniej niż niejeden szczęśliwszy od niego człowiek byłby w stanie, ale nie przygotowało na to, że u schyłku życia, kiedy jego męskość więdła pod wpływem podwójnej klątwy małżeńskiej porażki i rodzicielskiego zmartwienia, po raz pierwszy poczuje największą ze wszystkich znanych człowiekowi namiętności.

– Ach, gdybym tylko znów był młody! – wymamrotał nieszczęśnik, opierając się ramionami o mur i dotykając kwiatka wyschłymi, rozpalonymi wargami w ukradkowym zachwycie. – Mógłbym jej się podobać, gdybym znów miał dwadzieścia lat.

Nagle wyprostował się i rozejrzał z wyrazem bezprzytomnego zakłopotania i trwogi.

– Powiedziała, że bym wracał do domu – rzekł z przestachem. – Dlaczego się tu zatrzymuję?

Odwrócił się i pośpieszył do miasteczka w tak wielkim strachu przed jej gniewem, gdyby obejrzała się i zobaczyła go, że ani razu nie spojrzął za siebie na drogę, którą się oddaliła, i nie dostrzegł szpiega podążającego jej tropem pod osłoną opuszczonych domostw i stert cegieł leżących na poboczu.

Panna Gwilt z gracją zmierzała w kierunku otwartych pól za miasteczkiem, uważając, by zachować nieskazitelną czystość sukni, nie przyspieszając kroku i ani razu nie oglądając się za siebie. Podmiejska droga rozwidlała się na końcu w dwóch kierunkach. Po lewej ścieżka wiła się środkiem nędznego, małego zagajnika,

prowadząc na pastwiska pobliskiej farmy. Po prawej wiodła przez leżący wśród pustkowi pagórek i dochodziła do gościńca. Panna Gwilt przystanęła na moment, nie odwracając się jednak za siebie, aby szpieg nie pomyślał, że domyśla się jego obecności, dopóki miał w zasięgu kryjówkę, po czym wybrała ścieżkę wiodącą przez pagórek.

– Tam go dopadnę – powiedziała do siebie, patrząc spokojnie na prostą, długą wstęgę otwartego gościńca.

Znalazszy się na terenie, który wybrała do swego celu, stawiała czoła trudnościom położenia z najwyższym taktem i opanowaniem. Przeszedłszy jakieś trzydzieści jardów wzdłuż drogi, upuściła bukiet, wykonała pół obrotu za siebie, aby go podnieść, dostrzegła mężczyznę, który w tej samej chwili zatrzymał się za nią, i natychmiast ruszyła przed siebie, coraz bardziej przyspieszając, dopóki nie zaczęła iść najszybciej, jak potrafiła. Szpieg wpadł w zastawioną na niego pułapkę. Widząc, że zbliża się noc, i bojąc się, że może zgubić kobietę w ciemnościach, gwałtownie zmniejszył dzielący ich dystans. Panna Gwilt szła coraz szybciej, a kiedy usłyszała za sobą kroki, zatrzymała się, odwróciła i stanęła twarzą w twarz z nieznanym.

– Pozdrowienia dla pana Armadale’a – odezwała się – i proszę mu powiedzieć, że przyłapałam pana na śledzeniu mnie.

– Nie śledzę panienki – odparł szpieg, zaskoczony śmiałą bezpośredniością słów, którymi się do niego zwróciła.

Panna Gwilt zmierzyła go pogardliwie wzrokiem z góry na dół. Był to chuderlawy, niewysoki mężczyzna. Z nich dwojga to ona była wyższa i (całkiem prawdopodobnie) silniejsza.

– Zdejmij kapelusz, łajdaku, gdy mówisz do damy – powiedziała i w jednej chwili zrzuciła mu kapelusz, który przeleciał nad rowem i wylądował w kałuży po drugiej stronie drogi.

Tym razem szpieg nie dał się zaskoczyć. Podobnie jak panna Gwilt dobrze wiedział, jaki użytek można zrobić z cennych minut, podczas których odwróciłby się do niej plecami, by przeskoczyć przez rów i podnieść kapelusz.

– Masz szczęście, że jesteś kobietą – powiedział, patrząc na nią gniewnie w szybko zapadającym zmroku.

Panna Gwilt spojrzała z ukosa na drogę i w gęstniejącej ciemności dostrzegła samotną sylwetkę mężczyzny szybko nadchodzącego w jej kierunku. Niektóre kobiety przyjęłyby pojawienie się nieznajomego o tej godzinie i na tym odludziu z pewnym niepokojem. Panna Gwilt zbyt mocno wierzyła w swoją zdolność perswazji, aby nie liczyć z góry na pomoc mężczyzny, kimkolwiek by on nie był, tylko dlatego, że był mężczyzną. Spojrzała na szpiega ze wzmocnioną pewnością siebie i ponownie zmierzyła go pogardliwie wzrokiem z góry na dół.

– Ciekawe, czy jestem dość silna, aby rzucić cię w ślad za kapeluszem? – spytała. – Przejdę się i to przemyślę.

Nieśpiesznie postąpiła kilka kroków w kierunku zbliżającej się sylwetki.

Szpieg ruszył tuż za nią.

– Spróbuj – powiedział ostro. – Jesteś piękną kobietą, nie mam nic przeciwko temu, żebyś zarzuciła na mnie ramiona, jeśli chcesz.

W chwili, gdy wyrwały mu się te słowa, on również dostrzegł nieznajomego. Cofnął się o krok i czekał. Panna Gwilt z kolei postąpiła o krok naprzód i również czekała.

Nieznajomy zbliżał się lekkim, sprężystym krokiem wprawnego piechura, wywijając laską i dźwigając na ramionach plecak. Jeszcze kilka kroków i ukazała się jego twarz. Był mężczyzną o ciemnych, przyprószonych pyłem włosach. Miał czarne oczy, a jego spojrzenie utkwione było w drodze przed nim.

Panna Gwilt podeszła bliżej, zdradzając pierwsze jak dotąd oznaki wzburzenia.

– Czy to możliwe? – powiedział cicho. – Czy to naprawdę pan?

Był to Midwinter wracający do Thorpe Ambrose po dwóch tygodniach spędzonych na wrzosowiskach hrabstwa York.

Przystanął i patrzył na nią w osłupieniu. Miał w głowie obraz tej kobiety, a teraz ona sama do niego przemówiła.

– Panna Gwilt! – zawołał i odruchowo wyciągnął dłoń.

Wzięła ją i delikatnie uścisnęła.

– Byłabym rada widzieć pana o każdej porze – powiedziała. – Nie wie pan, jak bardzo jestem rada widzieć go teraz. Mógłby pan porozmawiać z tym człowiekiem? Śledził mnie i irytował całą drogę z miasteczka.

Midwinter przeszedł obok niej bez słowa. Choć było już dość ciemno, szpieg dostrzegł, co się szykuje, i odwracając się w jednej chwili, przeskoczył rów biegnący wzdłuż drogi. Zanim Midwinter zdążył za nim skoczyć, dłoń panny Gwilt znalazła się na jego ramieniu.

– Nie – rzekła. – Nie wie pan, kto mu płaci.

Midwinter zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Dziwne rzeczy się tu działy, odkąd nas pan opuścił – ciągnęła. – Zostałam zmuszona do odejścia z posady i jestem śledzona i obserwowana przez wynajętego szpiega. Proszę mnie nie pytać, kto zmusił mnie do odejścia z posady i kto opłaca szpiega, w każdym razie jeszcze nie teraz. Nie zdecyduję się panu powiedzieć, zanim się trochę nie uspokoję. Niech łajdak sobie idzie. Czy mógłby mnie pan odprowadzić bezpiecznie do domu? Ma pan po drodze. Mogę... mogę wesprzeć się na pańskim ramieniu? Moje nikłe zasoby odwagi całkiem się wyczerpały.

Wzięła go pod ramię i mocno do niego przyłgnęła. Kobieta, która tyranizowała pana Bashwooda, zniknęła, podobnie jak kobieta, która wrzuciła kapelusz szpiega do kałuży. Teraz panna Gwilt przedzierzgnęła się w nieśmiałą, kulącą się, potrzebującą wsparcia istotę. Przyłożyła chusteczkę do oczu.

– Mówi się, że tonący brzytwy się chwyta – wymamrotała cicho. – Traktuję pana jak starego przyjaciela. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebuję kogoś takiego!

Zmierzali w kierunku miasteczka. Panna Gwilt doszła do siebie, wykazując poruszający hart ducha. Schowała chusteczkę z powrotem do kieszeni i robiła wszystko, aby skierować rozmowę na temat pieszej wycieczki Midwintera.

– Wystarczy, że jestem dla pana ciężarem – rzekła, delikatnie przyciskając jego ramię. – Nie mogę dodatkowo jeszcze pana martwić. Proszę mi powiedzieć, gdzie pan był i co widział. Proszę zająć mnie opowieścią o swojej podróży, pomóc mi uciec przed samą sobą.

Dotarli do małego, skromnego mieszkania na nędznym przedmieściu. Panna

Gwilt westchnęła i zdjęła rękawiczkę, zanim ujęła dłoń Midwintera.

– Tu się schroniłam – wyznała. – Jest spokojnie i czysto. Jestem zbyt biedna, aby oczekiwać czegoś więcej. Musimy się pożegnać, jak sądzę, chyba że... – wstydliwie zawiesiła głos i szybko oglądając się wokół, upewniła się, że nikt ich nie obserwuje – chyba że chciałby pan wejść i chwilę odpocząć? Tak bardzo jestem panu wdzięczna, panie Midwinter! Myśli pan, że może być coś złego w tym, że proponuję panu filiżankę herbaty?

Zniewalający wpływ jej dotyku przyprawiał go o dreszcze. Zmiana otoczenia i rozstanie, na które liczył, że osłabią jej panowanie nad nim, zdradziecko tylko je umocniły. On, mężczyzna wyjątkowo wrażliwy, niezwykle czysty w swoim dotychczasowym życiu, stał teraz, splatając dłonie w kuszącym mroku nocy z pierwszą kobietą, która roztoczyła nad nim nieodparty urok swojej płci. Kto, będąc w jego wieku i w jego położeniu, mógłby ją zostawić? Jeszcze się taki mężczyzna nie narodził. Midwinter wszedł do środka.

Drzwi domu otworzył nierozgarnięty, zaspany chłopak. Jednak nawet on, będąc istotą płci męskiej, rozpromienił się na widok panny Gwilt.

– Termos, John – rzekła uprzejmie – i dodatkowa filiżanka ze spodkiem. Pożyczę twoją świecę, aby zapalić swoje na górze, i już nie będę cię dziś kłopotać.

John w jednej chwili zrobił się czujny i żwawy.

– Żaden kłopot, panienko – powiedział z niezdarną grzecznością.

Panna Gwilt wzięła od niego świecę z uśmiechem.

– Jakże dobrzy są dla mnie ludzie! – szepnęła niewinnie do Midwintera, prowadząc go na piętro do małego saloniku.

Zapaliła świece i, odwracając się szybko w stronę gościa, zatrzymała go przy pierwszej próbie zdjęcia plecaka.

– Nie – powiedziała miękko – w starych, dobrych czasach zdarzało się, że damy rozbijały swoich rycerzy. Roszczę sobie prawo do rozbicia mojego rycerza.

Jej zwinne palce przechwyciły paski i sprzączki z jego palców i nim zdołał zaprotestować, zdjęła zakurzony plecak.

Usiedli przy jedynym w salonie niewielkim stole. Pokój był bardzo skromnie

urządzony, ale miał w sobie coś z wykwintnej elegancji mieszkanki, co widać było w ułożeniu nielicznych ozdób na kominku, kilku ładnie oprawionych tomach na szyfonierze, kwiatach na stole i niepozornym koszyczku na robótki w oknie.

– Nie wszystkie kobiety to kokietki – odezwała się, zdejmując czepek i mantylę i kładąc je ostrożnie na krześle. – Nie chcę iść do swojego pokoju, patrzeć w lustro i upiększać się; będzie pan mnie widział taką, jaką jestem.

Jej ręce zręcznie i bezgłośnie poruszały się pomiędzy naczyniami do herbaty. Jej wspaniałe włosy błyskały w płomieniu świec szkarłatem, kiedy odwracała głowę to tu, to tam, ze swobodnym wdziękiem szukając potrzebnych rzeczy na tacy. Wysiłek sprawił, że jej cera była jeszcze bardziej promienna, a wyraz oczu zmieniał się szybciej niż zwykle – w jej spojrzenie zakradało się to rozkoszne rozmarzenie, kiedy słuchała albo namyślała się, to znów żywa bystrość, wyrażona łagodnym błyskiem, kiedy mówiła. W jej najbardziej błahym słowie, w najdrobniejszym ruchu było coś, co delikatnie odwoływało się do serca siedzącego z nią mężczyzny. Idealnie skromna w obejściu, mając do perfekcji opanowane umiar i wyrafinowanie, jakie przystają damie, posiadała jednocześnie wszystkie ponęty miłe dla oka, wszystkie przymioty uwodzicielki, które działają na zmysły – subtelną sugestywność w milczeniu i zmysłowy czar w uśmiechu.

– Czy pomyłę się – zapytała, nagle ucinając rozmowę, która do tej pory konsekwentnie ograniczała się do tematu wycieczki Midwintera – jeśli zgadnę, że nachodzą pana jakieś myśli, myśli, których ani herbata, ani rozmowa nie potrafią rozgonić? Czy mężczyźni są równie ciekawscy jak kobiety? Czy te myśli dotyczą... mnie?

Midwinter walczył z fascynacją, jaką odczuwał, patrząc na nią i słuchając jej głosu.

– Bardzo bym chciał usłyszeć, co się wydarzyło od czasu mojej wycieczki – powiedział. – Ale jeszcze bardziej zależy mi na tym, panno Gwilt, aby nie niepokoić pani rozmową na bolesny temat.

Spojrzała na niego z wdzięcznością.

– To ze względu na pana omijałam bolesny temat – rzekła, bawiąc się łyżeczką

i fusami na dnie pustej filiżanki. – Ale jeśli nie ode mnie, usłyszysz pan o tym od innych, a powinien pan wiedzieć, jak to się stało, że zastaje mnie w tej dziwnej sytuacji i spotyka w tym miejscu. Na początek, proszę pamiętać o jednym: nie mam żalu do pańskiego przyjaciela, pana Armadale’a. Mam żal do ludzi, w rękach których jest on narzędziem.

Midwinter drgnął.

– Czy to możliwe – zaczął – żeby Allan był w jakiś sposób za to odpowiedzialny...?

Urwał i spojrzał na pannę Gwilt w niemym osłupieniu.

Delikatnie położyła swoją dłoń na jego dłoni.

– Proszę się na mnie nie gniewać tylko dlatego, że powiem prawdę – rzekła. – Pana przyjaciel jest odpowiedzialny za wszystko, co mnie spotkało, niewinnie odpowiedzialny, panie Midwinter, jestem o tym głęboko przekonana. Oboje staliśmy się ofiarami. On jest ofiarą swojej pozycji jako najbogatszego nieżonatego mężczyzny w okolicy, ja zaś jestem ofiarą determinacji panny Milroy, by go poślubić.

– Panny Milroy? – powtórzył Midwinter, coraz bardziej zdumiony. – Jak to, Allan sam mi powiedział...

Ponownie urwał.

– Powiedział panu, że mnie uwielbia? Biedaczek, on uwielbia każdego. Jego głowa jest niemal tak pusta jak to – powiedziała panna Gwilt, uśmiechając się znacząco do pustej filiżanki.

Odłożyła łyżeczkę, westchnęła i znów spoważniała.

– Moja wina polega na tym, że byłam zbyt próżna – ciągnęła ze skruchą. – Pozwalałam mu uwielbiać mnie, nie będąc zdolna odwzajemnić nawet przelotnego zainteresowania, którym mnie obdarzał, co mogłoby stanowić pewne usprawiedliwienie. Nie umniejszam jego godnych podziwu zalet ani znakomitej pozycji, jaką może zaoferować swojej żonie. Ale kobiecemu sercu nie można rozkazywać; nie, panie Midwinter, nie może mu nawet rozkazywać szczęśliwy dziedzic Thorpe Ambrose, który rozkazuje wszystkim innym.

Wypowiadając tę szlachetną myśl, spojrzała mu prosto w twarz. On wtedy spuścił oczy, a jego ciemna cera pociemniała jeszcze bardziej. Jej wyznanie obojętności wobec Allana sprawiło, że serce podskoczyło mu w piersi. Po raz pierwszy od początku znajomości poczuł, że jego dążenia są otwarcie przeciwne dążeniom Allana.

– Moja wina polega na tym, że z powodu próżności pozwalałam panu Armadale’owi uwielbiać mnie i za to zapłaciłam – podjęła panna Gwilt. – Gdyby między mną a moją uczennicą istniało jakiegokolwiek zaufanie, mogłabym bez trudu zapewnić ją, że gdyby tylko miała taką możliwość, mogłaby zostać panią Armadale, nie musząc obawiać się konkurencji z mojej strony. Ale panna Milroy od początku mnie nie lubiła i nie ufała mi. Bez wątpienia była zazdrosna o bezmyślne atencje okazywane mi przez pana Armadale’a. W jej interesie leżało podkopanie pozycji, takiej, jaką była, zajmowanej przeze mnie w oczach pana Armadale’a, i jest bardzo możliwe, że uzyskała w tym pomoc matki. Pani Milroy również miała swój powód (który doprawdy wstyd wymieniać), aby chcieć pozbyć się mnie z domu. Tak czy owak, spisek się powiódł. Zostałam zmuszona (z pomocą pana Armadale’a) do odejścia ze służby u majora. Proszę się nie oburzać, panie Midwinter! Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków! Śmiem twierdzić, że panna Milroy ma pewne zalety, chociaż ja ich nie znalazłam, i wciąż na nowo zapewniam, że nie mam żalu do pana Armadale’a. Mam żal do ludzi, w rękach których jest on narzędziem.

– Jak może być ich narzędziem? Jak może być narzędziem w rękach jakiegokolwiek pani wroga? – zapytał Midwinter. – Proszę wybaczyć moje wzburzenie, panno Gwilt. Dobrze imię Allana jest mi równie drogie jak moje własne!

Wzrok panny Gwilt ponownie skierował się wprost na niego, a jej serce prostodusznie oddało się wybuchowi entuzjazmu.

– Jakże podziwiam pańską szczerłość! – rzekła. – Jakże podoba mi się pana troska o przyjaciela! Och, gdyby tylko kobiety potrafiły zawierać takie przyjaźnie! Och, jakże szczęśliwi są mężczyźni!

Jej głos się załamał i po raz trzeci mogła się zająć trzymaną w ręce filiżanką.

– Oddałabym całą niewielką urodę, jaką mam – powiedziała – gdybym tylko mogła znaleźć takiego przyjaciela, jakiego pan Armadale znalazł w panu. Nigdy się

to nie stanie, panie Midwinter, nigdy. Wróćmy do tego, o czym rozmawialiśmy. Żeby wyjaśnić panu, w jaki sposób pana przyjaciel jest zamieszany w moje nieszczęście, muszę najpierw powiedzieć coś o sobie. Jestem jak każda inna guwernantka ofiarą trudnej sytuacji rodzinnej. Może jestem słaba, ale przeraża mnie wspomnianie o prywatnych sprawach w obecności nieznajomych. Moje milczenie na temat rodziny i przyjaciół naraża mnie na błędną ocenę mojej sytuacji. Czy szkodzi mi ono, panie Midwinter, w pana oczach?

– Broń Boże! – zaprzeczył gorąco Midwinter. – Nie ma na świecie człowieka – ciągnął, rozmyślając o własnej historii rodzinnej – który miałby lepszy powód zrozumieć i uszanować pani milczenie niż ja.

Panna Gwilt impulsywnie chwyciła go za rękę.

– Och – rzekła – wiedziałam od pierwszej chwili, gdy pana zobaczyłam! Wiedziałam, że pan również cierpiał, że pan także przeżył niedole, które były dla pana święte! Dziwna, bardzo dziwna empatia! Wierzę w mesmeryzm, a pan?

Nagle zreflektowała się i zadygotała.

– Och, co ja zrobiłam? Co pan sobie o mnie pomyśli? – zawołała, gdy on poddał się zniewalającej fascynacji jej dotykiem i, zapominając o wszystkim prócz dłoni, która spoczywała ciepła w jego własnej, pochylił się i pocałował ją. – Niech mnie pan oszczędzi! – powiedziała cicho, czując na sobie palący dotyk jego warg. – Jestem taka opuszczona przez wszystkich! Tak całkowicie zdana na pana łaskę!

Odwrócił się od niej i ukrył twarz w dłoniach. Drżał, a ona to zauważyła. Patrzyła na niego, gdy odwracał twarz, patrzyła z ukradkową ciekawością i zdziwieniem. „Jak ten człowiek mnie kocha!”, pomyślała. „Ciekawe, czy był kiedyś czas, kiedy ja również mogłam go pokochać?”

Przez kilka minut nic nie przerywało ciszy, jaka między nimi zaległa. Midwinter przychylił się do jej prośby o wyrozumiałość bardziej, niż spodziewała się i chciała, by się przychylił. Wahał się znów na nią spojrzeć i odezwać się do niej.

– Czy mam kontynuować moją opowieść? – zapytała. – Zapomnimy i wybaczymy sobie nawzajem?

Niepoprawna słabość kobiety dla każdej oznaki męskiego uwielbienia, która

mieści się w graniach osobistego szacunku, delikatnie wygięła jej wargi w czarującym uśmiechu. W zamyśleniu spuściła wzrok na suknię i z pochlebczym westchnieniem strąciła z kolan okruszek.

– Mówiłam panu – podjęła – o niechęci do dzielenia się z nieznajomymi moją smutną historią rodzinną. W ten właśnie sposób, jak się później okazało, naraziłam się na złą wolę i podejrzliwość panny Milroy. Za moimi plecami zwrócono się do damy, która wystawiła mi referencje – z inicjatywy panny Milroy, nie mam co do tego złudzeń. Przykro mi o tym mówić, ale to jeszcze nie jest najgorsze. W jakiś podstępny sposób, o którym nic mi nie wiadomo, została wykorzystana prostoduszność pana Armadale’a i kiedy zwrócono się potajemnie do osoby mnie polecającej w Londynie, odbyło się to, panie Midwinter, za pośrednictwem pańskiego przyjaciela.

Midwinter nagle wstał z krzesła i spojrzał na nią. Urok, jaki nad nim roztoczyła, jakkolwiek potężny, został zawieszony w chwili, gdy wreszcie z jej ust padły wprost wyrażone fakty. Spojrzał na nią i znowu usiadł jak ktoś zdezorientowany, nie wypowiadając przy tym ani słowa.

– Proszę pamiętać, jaki on słaby – poprosiła łagodnie panna Gwilt – i mieć na to wzgląd podobnie jak ja. Błaha okoliczność, polegająca na tym, że nie zastał osoby mnie polecającej pod wskazanym mu adresem, nie wiem czemu wzbudziła podejrzenia pana Armadale’a. W każdym razie zatrzymał się w Londynie. Co tam robił, nie jestem w stanie orzec. Byłam w zupełnej niewiedzy, nikomu nie mogłam ufać. Byłam tak szczęśliwa, wykonując swoje codzienne obowiązki, jak tylko to było możliwe, mając uczennicę, której sympatii co prawda nie zdołałam sobie zaskarbić, gdy pewnego ranka ku memu niewysłowionemu zaskoczeniu major Milroy pokazał mi listy, jakie wymienił z panem Armadale’em. Rozmawiał ze mną w obecności żony. Biedaczka, nie uskarżam się na nią: takie cierpienie jak jej usprawiedliwia wszystko. Chciałabym móc dać panu jakieś pojęcie o listach pana Armadale’a i majora Milroya, ale moja głowa jest jedynie głową kobiety, a ja byłam wtedy taka zdezorientowana i zaniepokojona! Mogę tylko powiedzieć, że pan Armadale zdecydował się zachować milczenie na temat swoich poczynań w Londynie w sposób, który sprawił, że milczenie to stało się komentarzem na temat

mojej reputacji. Major okazał się bardzo uprzejmy, jego wiara we mnie pozostała niezachwiana, ale czy jego wiara mogła mnie ustrzec przed uprzedzeniem jego żony i złą wolą córki? Ach, surowość, z jaką kobiety traktują się nawzajem! Cóż by to było za upokorzenie, gdyby tylko mężczyźni znali niektóre z nas takimi, jakie jesteśmy naprawdę! Co mogłam zrobić? Nie mogłam bronić się przed zwykłymi pomówieniami i nie mogłam zostać na stanowisku po tym, jak rzucono na mnie oszczerstwo. Duma (niech Bóg mi wybaczy, zostałam wychowana jak kobieta szlachetnie urodzona i mam wrażliwość, która nie osłabła nawet teraz!) – duma wzięła nade mną górę i odeszłam stamtąd. Niech pan się tym nie martwi, panie Midwinter! Jest dobra strona tego wszystkiego. Okoliczne damy zaskoczyły mnie swoją dobrocią, mam szansę na zdobycie uczniów, ominęło mnie upokorzenie stania się ponownie ciężarem dla moich przyjaciół. Jedyna skarga, jaką mogę złożyć, jest, jak sądzę, uzasadniona. Pan Armadale od kilku dni znów jest w Thorpe Ambrose. Prosiłam go listownie o rozmowę, chciałam, żeby powiedział mi o swoim okropnym podejrzeniu względem mnie i pozwolił mi odzyskać dobre imię w jego oczach. Uwierzy pan? Odmówił spotkania ze mną, pod wpływem innych, nie z własnej woli, to pewne. Okrutne, prawda? Ale on potraktował mnie jeszcze bardziej okrutnie: nadal mi nie ufa, to on kazał mnie śledzić. Och, panie Midwinter, niech pan nie znienawidzi mnie za to, że powiem coś, co musi pan wiedzieć! Mężczyzna, którego spotkał pan, prześladowającego i straszącego mnie, dziś wieczorem, zarabia na życie jako szpieg pana Armadale’a.

Midwinter po raz kolejny poderwał się z miejsca. Tym razem jego myśli znalazły ujście w słowach.

– Nie mogę w to uwierzyć, nie uwierzę w to! – zawołał z oburzeniem. – Jeżeli ten człowiek to pani powiedział, kłamał. Przepraszam, panno Gwilt, z głębi serca przepraszam. Proszę, niech pani nie myśli, że pani nie dowierzam. Mówię tylko, że popełniono jakiś straszny błąd. Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem wszystko, co mi pani powiedziała. Ale rozumiem tę ostatnią haniebną podłość, o której myśli pani, że winien jej jest Allan. Przysięgam pani, on jest do tego niezdolny! Jakiś łotr go wykorzystuje, jakiś łotr używa jego nazwiska. Udowodnię to pani, proszę tylko dać mi czas. Proszę pozwolić mi wyjść i od razu wszystko wyjaśnić. Nie zaznam

spokoju, nie mogę znieść myśli o tym, nie potrafię nawet czerpać przyjemności z bycia tutaj. Och – wybuchnął z rozpaczą – po tym, co pani powiedziała, jestem pewien, że pani mi współczuje, a ja współczuję pani!

Urwał zmieszany. Oczy panny Gwilt znów na niego spoglądały, a jej dłoń znów znalazła się w jego dłoni.

– Jest pan najszlachetniejszym z ludzi – powiedziała łagodnie. – Uwierzę w to, w co pan mi każe wierzyć. Proszę już iść – dodała szeptem, nagle wypuszczając jego dłoń i odwracając się w drugą stronę. – Dla dobra nas obojga, proszę iść!

Serce biło mu mocno. Spojrzał na nią, gdy opadła na krzesło i podniosła do oczu chusteczkę. Przez moment się zawahał. W następnej chwili złapał leżący na podłodze plecak i pośpiesznie wyszedł, nie oglądając się za siebie ani nie żegnając ani słowem.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, wstała. W chwili, w której została sama, zaszła w niej zmiana. Rumieniec na jej policzkach zbladł, uroda w jej oczach zgasła, jej twarz stężała w niemej rozpacz.

– To jeszcze bardziej podła robota, niż się spodziewałam – rzekła – oszukiwać go.

Przeszedłszy kilkakrotnie pokój tam i z powrotem, przystanęła ze znużeniem przed lustrem wiszącym nad kominkiem.

– Dziwne z siebie stworzenie! – wymamrotała, opierając się łokciami o gzyms kominka i leniwie zwracając się do swojego odbicia w lustrze. – Czy zostały ci jeszcze jakieś resztki sumienia? I czy ten mężczyzna je obudził?

Odbicie jej twarzy powoli zmieniało się. Rumieniec wrócił na policzki, rozkoszne rozmarzenie na powrót wypełniło oczy. Wargi delikatnie rozchyliły się, a przyspieszony oddech zaczął matowić powierzchnię lustra. Po chwili zatapiając się we własnych myślach odsunęła się od niego z przerażeniem.

– Co ja wyprawiam? – zapytała sama siebie w nagłym popłochu. – Czy jestem na tyle szalona, by myśleć o nim w ten sposób?

Wybuchnęła szyderczym śmiechem i niebacznie otworzyła z łoskotem pulpit na stole.

– Najwyższy czas porozmawiać z Matką Jezabel – rzekła i zasiadła do pisania listu do pani Oldershaw.

„Spotkałam pana Midwintera”, zaczęła, „w bardzo szczęśliwych okolicznościach i dobrze wykorzystałam okazję. Właśnie wyszedł ode mnie, by wrócić do swego przyjaciela Armadale’a i jutro wydarzy się jedna z dwóch dobrych rzeczy. Jeśli się nie pokłóca, drzwi Thorpe Ambrose znowu staną przede mną otworem za wstawiennictwem pana Midwintera. Jeśli się pokłóca, będę nieszczęsną przyczyną tej kłótni i jakoś się tam wślizgnę z chrześcijańską misją pogodzenia ich”.

Zawahała się, nim napisała kolejne zdanie. Napisała kilka pierwszych słów, skreśliła je, po czym kapryśnie podarła list na drobne kawałki i cisnęła pióro na drugi koniec pokoju. Odwróciwszy się szybko na krześle, spojrzała na miejsce, które zajmował Midwinter, z nogą niespokojnie uderzającą w podłogę i chusteczką wciśniętą jak knebel pomiędzy zagryzione zęby. „Choć jesteś młody”, pomyślała, starając się odtworzyć w myślach jego obraz na pustym krześle, „w twoim życiu zdarzyło się coś niezwykłego, a ja dowiem się co!”

Domowy zegar wybił godzinę i poderwał ją. Westchnęła i, wróciwszy przed lustro, znużonym ruchem rozpięła suknię, wyjęła spinki ze szmizetki, którą miała pod spodem, i położyła je na gzymsie kominka. Leniwie przyglądała się odbitym wspaniałościom swej szyi i dekoltu, rozplatając warkocz i przerzucając burzę włosów ponad ramionami. „Ciekawe”, pomyślała, „jakby mnie teraz zobaczył!” Wróciła do stołu i ponownie westchnęła, gasząc jedną świecę i zabierając drugą.

– Midwinter? – powiedziała, przechodząc przez rozsuwane drzwi dzielące salon od sypialni. – Zacznijmy od tego, że nie wierzę w jego nazwisko!

Noc posunęła się o więcej niż godzinę, zanim Midwinter dotarł do rezydencji.

Jakkolwiek dobrze znał drogę do domu, dwa razy z niej zboczył. Wypadki wieczoru – rozmowa z panną Gwilt we własnej osobie, po tym, jak przez dwa tygodnie rozmyślał o niej w samotności, niezwykła zmiana, jaka zaszła w jej położeniu od czasu, gdy widział ją po raz ostatni, i zaskakujące twierdzenie, że Allan ma z tym coś wspólnego – wszystko to sprawiło, że w jego głowie powstał niedający się opanować zamęt. Ciemność pochmurnej nocy przyczyniła się do jeszcze większej dezorientacji. Nawet znajoma brama Thorpe Ambrose wydała mu się obca.

Kiedy później o tym myślał, dziwił się, jak w ogóle zdołał dotrzeć na miejsce.

Front domu był ciemny, a drzwi zamknięte na noc. Midwinter okrążył budynek. Kiedy się zbliżał, do jego uszu doszły męskie głosy. Wkrótce rozpoznał w nich głosy pierwszego i drugiego lokaja, a tematem ich rozmowy był ich pan.

– Założę się choćby o pół korony, że przepędzą go z okolicy, nim minie tydzień – odezwał się pierwszy lokaj.

– Zgoda na zakład! – rzekł drugi. – Nie da się tak łatwo przepędzić, jak myślisz.

– Czyżby? – odparł pierwszy. – Tłum go rozniesie, jeśli tu zostanie! Powtórzę raz jeszcze, już teraz nie podoba mu się to całe zamieszanie, w które się wplątał. Wiem na pewno: kazał śledzić guwernantkę.

Po tych słowach Midwinter machinalnie przystanął, zanim skręcił za róg domu. Po raz pierwszy naszała go wątpliwość co do planowanego apelu do Allana, przenikając go jak nagły dreszcz. Głos publicznego skandalu zachowuje się wbrew zwykłemu prawom fizyki. Najsilniej działa nie przez skupienie, ale przez rozproszenie. Możemy pozostać głusi na pierwotny dźwięk, ale jego echo jest nieodparte. W drodze powrotnej do domu jedynym pragnieniem Midwintera było znaleźć Allana i natychmiast z nim porozmawiać. Obecnie jego największym marzeniem było zyskać czas, aby powalczyć z nowymi wątpliwościami i uciszyć nowe obawy. Teraz chciał jedynie usłyszeć, że Allan położył się spać. Skręcił za róg domu i ukazał się mężczyznom palącym fajki w ogrodzie na tyłach. Gdy tylko opadło z nich pierwsze zdziwienie i odzyskali mowę, zaproponowali, że obudzą pana. Allan stracił już nadzieję, że tego wieczora zobaczy przyjaciela, i poszedł spać około pół godziny temu.

– Było szczególną wolą pana, sir – powiedział pierwszy lokaj – aby poinformować go, jeśli pan wróci.

– A ja szczególnie chciałbym – odparł Midwinter – abyś go nie niepokoił.

Służący spojrzeli po sobie ze zdumieniem, kiedy wziął świecę i odszedł.

VIII. ONA WCHODZI POMIĘDZY NICH

Stałe pory różnych codziennych czynności były w Thorpe Ambrose rzeczą nieznaną. Niesystematyczny we wszystkim, Allan nie stosował się do żadnych ustalonych pór (z jednym jedynym wyjątkiem pory obiadu) dnia i nocy. Kładł się spać wcześniej lub późno i wcześniej lub późno wstawał, zależnie od swojego widzimisie. Służący mieli zakaz budzenia go, a pani Gripper przyzwyczaiła się już, najlepiej jak się dało, do improwizowania śniadania, poczynawszy od chwili, gdy po raz pierwszy rozpalano ogień w kuchennym piecu, do chwili, gdy zegar wybijał południe.

Następnego ranka po powrocie około godziny dziewiętej Midwinter zapukał do drzwi sypialni Allana i wszedłszy do środka, zastał pokój pusty. Kiedy zasięgnął języka wśród służby, dowiedział się, że Allan wstał tego dnia wcześniej niż człowiek, który mu usługiwał, i że jedna z pokojówek, która jeszcze nie wiedziała nic o powrocie Midwintera, przyniosła panu pod drzwi gorącą wodę. Nikt nie widział swego pracodawcy ani na schodach, ani w holu. Nikt nie słyszał, aby, jak miał w zwyczaju, dzwonił, prosząc o śniadanie. Krótko mówiąc, nikt nic o nim nie wiedział oprócz tego, co było jasne dla wszystkich – że nie było go w domu.

Midwinter wyszedł na zewnątrz i stanął na szczycie schodów wielkiego portyku, zastanawiając się, w którą stronę wyruszyć na poszukiwania przyjaciela. Niespodziewana nieobecność Allana stanowiła kolejną niepokojącą okoliczność, która wprowadzała zamęt w jego głowie. Był w nastroju, w którym byle głupstwo jest w stanie rozdrażnić człowieka, a wyobrażenia mają moc podnieść go na duchu bądź pogrążyć w smutku.

Niebo było zachmurzone, a od południa wiał porywisty wiatr. Dla kogoś, kto potrafi odczytywać takie sygnały, było jasne, że zanoszą się na deszcz. Podczas gdy Midwinter nadal się wahał, dołem przechodził jeden ze stajennych. Okazało się, że był on lepiej zorientowany w poczynaniach swego pana niż służba wewnątrz domu. Ponad godzinę wcześniej widział, jak Allan mija stajnię, udając się tylnym przejściem do parku z bukiecikiem w dłoni.

Z bukiecikiem w dłoni? Bukiecik nie dawał spokoju Midwinterowi, gdy ten obchodził dom w nadziei na spotkanie Allana.

– Co ma znaczyć bukiecik? – pytał sam siebie, odczuwając niewyjaśnioną irytację, a pytaniu towarzyszyło pełne złości kopnięcie kamyka, który leżał mu na drodze.

Znaczył on tyle, że Allan jak zwykle szedł za głosem impulsu. Jedynym przyjemnym wrażeniem, jakie zostało mu w głowie po naradzie z Pedgitem seniorem, był opis rozmowy prawnika z Neelie w parku. Troska o to, aby Allan nie myślał o niej źle, tak szczerze wyrażona przez córkę majora, sprawiła, że w oczach dziedzica stała się ona niezwykle cenna jako jedyna osoba w sąsiedztwie, która nadal miała resztki szacunku dla jego dobrego imienia. Szczególnie boleśnie odczuwając skutki odrzucenia teraz, gdy w pustym domu nie było Midwintera mogącego dotrzymać mu towarzystwa, spragniony każdego dobrego słowa i przyjaznego spojrzenia, Allan z coraz większym żalem i tęsknotą zaczął myśleć o jasnej, młodej twarzy, z którą łączyły się jakże miłe wspomnienia jego pierwszych i najszcześniejszych dni w Thorpe Ambrose. Być świadomym podobnych uczuć oznaczało, w przypadku charakteru takiego jak u Allana, iść za nimi na oślep, dokądkolwiek go zaprowadzą. Poprzedniego ranka wyszedł na poszukiwania Neelie z bukiecikiem kwiatów na zgodę, nie mając jednak sprecyzowanego pomysłu, co powinien powiedzieć, jeśli się spotkają. Nie zastawszy jej na trasie zwyczajowego spaceru, w typowy dla siebie sposób nie dał za wygraną i kolejnego ranka podjął drugą próbę, tym razem z większym bukiecikiem kwiatów. Nadal nie mając pojęcia o powrocie przyjaciela, był teraz dość daleko od domu, przeczesując park w rejonie, którego jeszcze nie sprawdził.

Midwinter wyszedł kilkaset jardów za stajnię, po czym, nie znalazłszy żadnego

śladu Allana, wrócił i czekał na jego powrót, przechadzając się wolnym krokiem po skrawku ogrodu tuż za domem.

Co jakiś czas, mijając go, zaglądał z roztargnieniem do wnętrza pokoju należącego w przeszłości do pani Armadale, a teraz (za jego sprawą) zwyczajowo zajmowanego przez jej syna – pokoju z posązką na podpórce i podłużnymi oszklonymi drzwiami, pokoju, który swego czasu przypominał mu drugą wizję ze snu. Cień mężczyzny, który Allan widział, stojący naprzeciwko niego przy szklanych drzwiach, widok na trawnik i ogród kwiatowy, bębnienie kropli deszczu o szybę, cień wyciągający rękę, upadek i roztrzaskanie się posążka o podłogę – wszystkie elementy sennej wizji, niegdyś tak wyraźnie wyryte w jego pamięci, zostały teraz wyparte przez późniejsze wspomnienia i z wolna bledły, wtapiając się w mgliste tło czasu. Samotny i niespokojny, potrafił teraz mijać pokój raz po raz i nawet nie pomyśleć o łódce dryfującej w świetle księżyca i nocy spędzonej na rozbitym statku!

Okolo dziesiątej znajomy głos Allana dał się nagle słyszeć od strony stajni. W chwilę później był on już widoczny z ogrodu. Wszystko wskazywało na to, że druga próba odnalezienia Neelie zakończyła się powtórnią klęską. W jego ręku nadal tkwił bukiet, on zaś z rezygnacją podarował go jednemu z dzieci stangreta.

Midwinter odruchowo wykonał krok w kierunku stajni, ale gwałtownie zatrzymał się.

Był świadomy, że jego stosunek do przyjaciela zmienił się ze względu na pannę Gwilt i pierwsze spojrzenie na Allana napełniło go nagłą nieufnością wobec wpływu, jaki miała na niego guwernantka, do tego stopnia, że niemal nie ufał samemu sobie. Wiedział, że wyruszał z wrzosowisk w drogę powrotną do Thorpe Ambrose z postanowieniem, iż przyzna się do trawiącej go namiętności i będzie się domagał, jeśli trzeba, drugiej, dłużej nieobecności będącej wyrazem poświęcenia, jakiego zdecydował się dokonać dla dobra przyjaciela. Co się teraz stało z tym postanowieniem? Odkrycie zmienionej sytuacji panny Gwilt i jej dobrowolna deklaracja obojętności względem Allana sprawiły, że prysło ono jak bańka mydlana. Słowa, którymi miał powitać przyjaciela, gdyby nic nie zdarzyło się w drodze powrotnej, zdążył już odrzucić. Poczł wpływ panny Gwilt i cofnął się w ostatniej

chwili z instynktowną lojalnością wobec Allana, podejmując walkę, aby się od tego wpływu uwolnić.

Allan, pozbywszy się niepotrzebnego bukietu, skierował się do ogrodu i w chwili, gdy do niego wszedł, powitał Midwintera głośnym okrzykiem zdziwienia i radości.

– Czy ja śnię? – zawołał, w podnieceniu łapiąc przyjaciela za obie ręce. – Dobry, stary Midwinter! Wskoczyłeś spod ziemi czy spadłeś z nieba?

Dopiero kiedy Midwinter ze szczegółami wyjaśnił tajemnicę swego niespodziewanego pojawienia się, Allan dał się namówić na powiedzenie czegoś o sobie. Kiedy już przemówił, potrząsnął smętnie głową i ściszył swój serdeczny, gromki głos, najpierw jednak upewniwszy się, że w jego zasięgu nie ma żadnych służących.

– Nauczyłem się ostrożności, odkąd mnie zostawiłeś – powiedział Allan. – Mój drogi przyjacielu, nie masz pojęcia, co się tu wydarzyło i w jakich strasznych jestem teraz tarapatach!

– Mylisz się, Allanie. Słyszałem więcej o tym, co się wydarzyło, niż myślisz.

– Co?! O tej okropnej historii z panną Gwilt?! Awanturze z majorem? Piekielnym rozsiewaniu plotek po okolicy? Nie chcesz chyba powiedzieć...?

– Tak – przerwał cicho Midwinter – słyszałem o wszystkim.

– Dobrze nieba! Jak? Zatrzymałeś się w Thorpe Ambrose w drodze powrotnej? Byłeś w hotelowej kawiarni? Spotkałeś Pedgifta? Wstąpiłeś do czytelnicy i widziałeś to, co nazywają wolnością druku, w lokalnej gazecie?

Midwinter zwlekał z odpowiedzią, spojrzał w niebo. Chmury zbierały się nad ich głowami, zaczynały padać pierwsze krople deszczu.

– Wejź do środka – powiedział Allan. – Pójdziemy tędy na śniadanie.

Poprowadził Midwintera przez otwarte drzwi werandowe do swojego saloniku. Wiatr wiał w tę właśnie stronę domu, a deszcz wpadł za nimi do środka. Midwinter, który szedł jako drugi, odwrócił się i zamknął drzwi.

Allan zbyt był ciekaw odpowiedzi, którą odroczyła pogoda, aby czekać, aż znajdą się w jadalni. Zatrzymał się blisko okna i do litanii pytań dodał jeszcze dwa.

– Jak to się stało, że dowiedziałeś się o mnie i panie Gwilt? – zapytał. – Kto ci powiedział?

– Panna Gwilt we własnej osobie – odparł poważnie Midwinter.

Zachowanie Allana zmieniło się w chwili, w której nazwisko guwernantki padło z ust przyjaciela.

– Szkoda, że najpierw nie wysłuchałeś mojej historii – rzekł. – Gdzie się spotkałeś z panną Gwilt?

Nastąpiła chwila przerwy. Obaj stali przy oknie, pochłonięci rozmową. Obaj zapomnieli, że ich planowanym miejscem schronienia przed deszczem miała być jadalnia na górze.

– Zanim odpowiem na twoje pytanie – powiedział nieco nienaturalnie Midwinter – chcę cię zapytać o coś, Allanie. Czy to prawda, że jesteś w jakiś sposób zamieszany w sprawę odejścia panny Gwilt ze służby u majora?

Nastąpiła kolejna chwila milczenia. Allan był coraz bardziej zmieszany.

– To długa historia – zaczął. – Oszukano mnie, Midwinterze. Zostałem wykorzystany przez osobę, która – muszę to powiedzieć – podstępnie nakłoniła mnie do obiecania czegoś, czego nie powinienem był obiecywać, i zrobienia czegoś, czego nie powinienem był robić. Mówiąc tobie o tym, nie złamię przyrzeczenia. Mogę liczyć na twoją dyskrecję, czyż nie? Nigdy nikomu nic nie powiesz, prawda?

– Stop! – rzekł Midwinter. – Nie powierzaj mi żadnych sekretów, które nie są twoje. Jeśli złożyłeś obietnicę, nie lekceważ jej, nawet w rozmowie z tak bliskim przyjacielem jak ja.

Delikatnie i przyjacielsko położył dłoń na ramieniu Allana.

– Widzę, że sprawiłem, iż czujesz się nieco nieswój – ciągnął. – Widzę, że moje pytanie nie jest tak łatwe, jak miałem nadzieję i spodziewałem się, że jest. Może chwilę odczekamy? Może pójdziemy na górę i najpierw zjemy śniadanie?

Allanowi zbyt bardzo zależało na tym, aby przedstawić przyjacielowi swoje zachowanie we właściwym świetle, by zważyć na propozycję Midwintera. Od razu przemówił z zapalem, nie ruszając się spod okna.

– Drogi przyjacielu, to jest dziecinnie łatwe pytanie, tylko – zawahał się –

wymaga czegoś, w czym jestem kiepski: wymaga wyjaśnienia.

– Chcesz powiedzieć – odezwał się Midwinter, poważniej, ale nie mniej łagodnie niż poprzednio – że najpierw musisz się usprawiedliwić, a potem odpowiedzieć na pytanie?

– Właśnie tak! – rzekł Allan z ulgą. – Trafiłeś w sedno, jak zwykle.

Twarz Midwintera po raz pierwszy pociemniała.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział, ścisząc głos i spuszcżając wzrok na podłogę.

Zaczął padać rżęsisty deszcz. Przemknął przez ogród i uderzył wprost w zamknięte drzwi, głośno bębniąc w szybę.

– Przepraszam! – powtórzył Allan. – Drogi przyjacielu, jeszcze nie poznałeś szczegółów. Pozwól mi najpierw wyjaśnić.

– Jesteś kiepski w wyjaśnianiu – powiedział Midwinter, powtarzając własne słowa Allana. – Nie stawiaj się w niekorzystnym położeniu. Nic nie wyjaśniaj.

Allan spojrział na niego w niemym zakłopotaniu i zdziwieniu.

– Jesteś moim przyjacielem: najlepszym i najdroższym przyjacielem – ciągnął Midwinter. – Nie mogę znieść tego, żeby pozwalać ci się przede mną usprawiedliwiać tak, jakbym był twoim sędzią albo jakbym ci nie dowierzał.

Mówiąc to, popatrzył na Allana przyjaźnie i szczerze.

– Poza tym – podjął – myślę, że jeśli sięgnę wstecz pamięcią, jestem w stanie przewidzieć twoją odpowiedź. Zanim odszedłem, rozmawialiśmy przez chwilę o pewnych bardzo delikatnych pytaniach, które chciałeś zadać majorowi Milroyowi. Pamiętam, że cię ostrzegałem. Pamiętam, że miałem swoje obawy. Czy będę miał rację, jeśli powiem, że to te pytania w jakiś sposób sprawiły, że znalazłeś się w kłopotliwej sytuacji? Jeśli to prawda, że byłeś zamieszany w odejście panny Gwilt z posady, czy jest również prawdą, czy jest oddaniem ci sprawiedliwości wierzenie w to, że krzywda, za którą odpowiadasz, została wyrządżona niechcący?

– Tak – powiedział z kolei nieco wymuszenie Allan. – Mówiąc to, tylko oddajesz mi sprawiedliwość.

Urwał i w zamyśleniu zaczął rysować palcem linie na zaparowanej szybie

okiennej.

– Nie jesteś taki jak inni, Midwinter – podjął nagle z wysiłkiem – i chciałbym, żebyś mimo wszystko usłyszał wszystkie szczegóły.

– Wysłucham ich, jeśli tego chcesz – odparł Midwinter. – Ale na razie jestem zadowolony, że nie stałeś się celowo narzędziem do pozbawienia panny Gwilt jej posady. Jeśli to jest między nami jasne, myślę, że nie musisz mówić nic więcej. Poza tym, mam jeszcze jedno pytanie, dużo ważniejsze, pytanie, które narzuciło mi się po tym, co widziałem na własne oczy i słyszałem na własne uszy wczoraj wieczorem.

Urwał, mimowolnie wzdragając się.

– Może najpierw pójdziemy na górę? – zapytał nagle, postępując w kierunku drzwi i próbując zyskać na czasie.

Bez skutku. Po raz kolejny pokój, z którego obaj mogli swobodnie wyjść, a który jeden z nich już dwukrotnie próbował opuścić, trzymał ich, jak gdyby byli jego więźniami.

Nie odpowiadając, nie zdradzając nawet, że posłyszał propozycję Midwintera udania się na górę, Allan machinalnie poszedł za nim aż na drugą stronę przeszkłonych drzwi. Tam się zatrzymał.

– Midwinter! – wybuchnął, zdjęty nagłym zdumieniem i niepokojem. – Zdaje mi się, że między nami dzieje się coś dziwnego! Nie jesteś sobą. O co chodzi?

Midwinter obrócił się z ręką na klamce i spojrzał na pokój. Nadszedł właściwy moment. Prześladowająca go obawa przed wyrządzeniem przyjacielowi krzywdy doszła do głosu w powściągliwości mowy, spojrzenia i gestu – dość wyraźnych, aby nie uszły uwagi Allana. Jedynym, co pozostało dla dobra łączącej ich przyjaźni, było przemówić od razu i to śmiało.

– Między nami jest coś dziwnego – powtórzył Allan. – Na miłość boską, co to jest?

Midwinter zdjął rękę z klamki i powrócił od drzwi, stojąc przodem do Allana. Z konieczności zajął miejsce, które przed chwilą opuścił Allan. Znajdowało się ono po tej samej stronie okna, po której stał posązek. Figurka, umieszczona na

wystającej podpórce, była tuż za nim po jego prawej stronie. Na burzowym niebie nie widać było żadnych zmian. Deszcz nadal zacinał i głośno bębnił w szybę.

– Podaj mi rękę, Allanie.

Allan podał rękę, a Midwinter trzymał ją mocno, mówiąc:

– Jest między nami coś dziwnego – rzekł. – Trzeba wyjaśnić coś, co bezpośrednio cię dotyczy, a co nie zostało jeszcze wyjaśnione. Spytałeś mnie przed chwilą, gdzie spotkałem pannę Gwilt. Spotkałem ją w drodze powrotnej tutaj, na gościńcu po drugiej stronie miasta. Poprosiła mnie, abym obronił ją przed mężczyzną, który ją śledził i straszył. Widziałem łotra na własne oczy i dorwałbym go w swoje ręce, gdyby sama panna Gwilt mnie nie powstrzymała. Podała bardzo dziwny powód tego powstrzymania. Powiedziała, że nie wiem, kto mu płaci.

Rumieniec na twarzy Allana nagle pogłębił się, po czym on sam szybko uciekł wzrokiem za okno i popatrzył na lejący deszcz. W tej samej chwili ich ręce się rozłączyły i po obu stronach zapadła cisza. Midwinter odezwał się jako pierwszy:

– Później tego samego wieczoru – ciągnął – panna Gwilt wyjaśniła mi sytuację. Powiedziała dwie rzeczy. Stwierdziła, że mężczyzna, którego widziałem śledzącego ją, był wynajętym szpiegiem. Zdziwiłem się, ale nie mogłem tego podważyć. Następnie powiedziała mi, Allanie, coś, co, jak całym sercem wierzę, jest fałszem, który wmówiono jej jako prawdę... powiedziała mi, że to ty wynająłeś szpiega!

Allan natychmiast odwrócił się od okna i ponownie spojrzął Midwinterowi prosto w twarz.

– Tym razem muszę coś wyjaśnić – powiedział zdecydowanie.

Popielata bladość, charakterystyczna dla niego w chwilach, gdy doświadczał silnych emocji, zaczęła pojawiać się na policzkach Midwintera.

– Kolejne wyjaśnienia! – powiedział i cofnął się o krok ze wzrokiem utkwionym w twarz Allana i z wyrazem nagłej trwogi.

– Nie wiesz tego, co wiem ja, Midwinter. Nie wiesz, że to, co zrobiłem, nie stało się bez powodu. A poza tym nie polegałem wyłącznie na sobie, miałem dobrego doradcę.

– Słyszałeś, co przed chwilą powiedziałem? – zapytał z niedowierzaniem

Midwinter. – Nie słuchałeś... z pewnością mnie nie słuchałeś?

– Nie uroniłem ani słowa – odparł Allan. – Powtarzam raz jeszcze: nie wiesz o pannie Gwilt tego co ja. Groziła pannie Milroy. Panna Milroy znajduje się w niebezpieczeństwie, dopóki jej guwernantka przebywa w okolicy.

Midwinter skwitował pojawienie się panny Milroy w rozmowie lekceważącym ruchem dłoni.

– Nie chcę słyszeć o pannie Milroy – rzekł. – Nie mieszaj w to panny Milroy. Boże, czy mam rozumieć, że szpieg mający śledzić pannę Gwilt wykonywał swoją ohydłą robotę za twoją zgodą?

– Po raz ostatni, drogi przyjacielu, pozwolisz mi wyjaśnić czy nie?

– Wyjaśnić! – zawołał Midwinter. Wzrok miał pałający, a jego gorąca kreolska krew nabiegła mu do twarzy. – Wyjaśnić wynajęcie szpiega? Cóż to? Po tym jak zmusiłeś pannę Gwilt do odejścia z posady, mieszając się w jej sprawy prywatne, znów się mieszasz w sposób najbardziej nikczemny ze wszystkich... za pomocą płatnego szpiega? Każesz obserwować kobietę, którą, jak sam mi powiedziałeś zaledwie dwa tygodnie temu, kochasz, kobietę, o której myślałeś jako o swojej żonie! Nie wierzę, nie uwierzę. Czy mnie się zdaje? Czy rozmawiam z Allanem Armadale'em? Czy to oczy Allana Armadale'a na mnie patrzą? Przestań! Działasz pod wpływem jakichś źle pojętych pobudek.

Allan zdobył się na opanowanie z podziwu godną cierpliwością i tolerancją dla złego humoru przyjaciela.

– Jeśli koniecznie nie chcesz mnie wysłuchać – rzekł – nie pozostaje mi nic innego jak poczekać, aż przyjdzie moja kolej.

– Powiedz, że nie masz nic wspólnego z zatrudnieniem tego człowieka, a chętnie cię wysłucham.

– A co jeśli istnieje konieczność zatrudnienia tego człowieka, o której nic nie wiesz?

– Nie uznaję żadnej konieczności tchórzliwego prześladowania bezbronnej kobiety.

Przelotny wyraz rozdrażnienia – przelotny, nic więcej – przebiegł przez twarz

Allana.

– Nie myślałbyś, że jest tak bezradna – rzekł – gdybyś znał prawdę.

– I to ty masz powiedzieć mi prawdę? – odparł tamten. – Ty, który nie pozwoliłeś przemówić jej we własnej obronie! Ty, który zamknąłeś przed nią drzwi tego domu!

Allan nadal nad sobą panował, ale wysiłek, z jakim to robił, zaczynał już być widoczny.

– Wiem, że raptus z ciebie – powiedział. – Ale mimo to twoja gwałtowność mnie dziwi. Nie potrafię jej wyjaśnić, chyba że... – zawahał się na chwilę, po czym skończył zdanie w swój szczerzy, bezpośredni sposób – chyba że sam kochasz się w pannie Gwilt.

Ostatnie słowa dolały oliwy do ognia. Z miejsca odarły prawdę ze wszystkich przemilczeń i kamuflaży i ukazały ją taką, jaka była. Instynkt podpowiedział Allanowi właściwą odpowiedź i prawdziwa przyczyna zainteresowania Midwintera panną Gwilt ujrzała światło dzienne.

– Jakie masz prawo mówić coś takiego? – zapytał podniesionym głosem, patrząc groźnie.

– Ja ci powiedziałem – odparł prostodusznie Allan – kiedy zdawało mi się, że sam się w niejkocham. Nawet jeśli ją kochasz, myślę, że trochę trudno jest wierzyć we wszystko, co ci mówi, i nie pozwolić mi powiedzieć ani słowa. Czy chcesz, żeby tak między nami było?

– Tak, chcę! – zawołał tamten, rozgniewany drugą aluzją Allana do panny Gwilt. – Kiedy mam wybierać pomiędzy pracodawcą szpiega a ofiarą szpiega, staję po stronie ofiary!

– Nie wystawiaj mnie na zbyt wielką próbę, Midwinter. Ja też mogę stracić panowanie nad sobą.

Urwał, zmagając się z samym sobą. Udręka pasji widoczna w twarzy Midwintera, przed którą mniej prostoduszna i mniej szlachetna natura mogłaby cofnąć się z przerażeniem, nagle dotknęła Allana szczerą boleścią, która w tym momencie była niemal wzniosła. Zbliżył się do przyjaciela z wyciągniętą ręką

i wilgotniejącymi oczami.

– Przed chwilą poprosiłeś, bym podał ci rękę – rzekł – i podałem ją. Czy wspominając na dawne czasy, podasz mi swoją, nim będzie za późno?

– Nie! – odparł z wściekłością Midwinter. – Mogę znów spotkać pannę Gwilt i mogę potrzebować wolnej ręki, aby rozprawić się z twoim szpiegiem!

Cofał się wzdłuż ściany, podczas gdy Allan się zbliżał, dopóki podpórka, na której stał posążek, nie znalazła się przed nim zamiast za nim. W zaślepieniu nie widział nic prócz twarzy stojącego przed nim Allana. Odpowiadając, w zapamiętaniu wyciągnął prawą rękę i pogroził nią w powietrzu. Uderzył w występ podpórki i w następnym momencie posążek leżał na podłodze roztrzaskany na kawałki.

Deszcz padał ukośnie na rabaty kwiatowe i trawnik, a gęste krople bębniły w szybę. Dwaj Armadale'owie stali przy oknie, tak jak dwa cienie stały w drugiej wizji snu, mając między sobą szczątki posążka.

Allan pochylił się nad fragmentami figurki i jedna po drugiej zebrał je z podłogi.

– Zostaw mnie – powiedział, nie podnosząc wzroku – albo obaj pożałujemy.

Midwinter powoli wycofał się bez słowa. Po raz drugi stanął z ręką na klamce i rzucił ostatnie spojrzenie na pokój. Trwoga nocy spędzonej na wraku znów go dopadła, a ogień jego pasji został zdławiony w jednej chwili.

– Sen! – wyszeptał pod nosem. – Znowu ten sen!

Ktoś poruszył klamką z drugiej strony i pojawił się służący, przynosząc białą wiadomość, że śniadanie gotowe.

Midwinter spojrzał na niego z wyrazem pustej, potwornej bezradności na twarzy.

– Wyrowadź mnie stąd – odezwał się. – To miejsce jest mroczne, a pokój wiruje razem ze mną.

Służący wziął go za ramię i wyprowadził w milczeniu.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Allan podniósł ostatni kawałek rozbitego posążka. Usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach. Opanowanie, mężnie zachowywane wobec okazywanej złości, teraz, kiedy został sam w pokoju, w końcu go opuściło i w obliczu pierwszych oznak wrogich uczuć, jakie wzorem wszystkich innych okazał mu Midwinter, wybuchnął płaczem.

Minuty mijały jedna za drugą, czas się włókł. Z wolna w letniej burzy zaczęły ukazywać się oznaki zmienności żywiołów. Po niebie przemknął cień pogłębiającej się ciemności. Bębnienie deszczu przycichło wraz z osłabieniem wiatru. Zapanował chwilowy bezruch. Potem deszcz lunął nagle jak wodospad i w zamierającym powietrzu przetoczył się niski pomruk grzmotu.

IX. ONA ZNA PRAWDE

1. List pana Bashwooda do panny Gwilt

„Thorpe Ambrose, 20 lipca 1851

Szanowna Pani!

Wczoraj za pośrednictwem posłańca otrzymałem Pani uprzejmy list, w którym poleca mi Pani kontaktować się z sobą tylko za pośrednictwem poczty, dopóki istnieją podstawy, aby sądzić, że goście, którzy Panią odwiedzają, mogą być obserwowani. Czy wolno mi powiedzieć, że z niecierpliwością czekam, aż będzie mi wolno znów doświadczyć jedyne prawdziwego szczęścia, jakie znam – możliwości osobistej rozmowy z Panią?

Zgodnie z Pani życzeniem, bym nie przepuścił dzisiejszego dnia (niedzieli), nie obserwując ukradkowo, co się dzieje w rezydencji, wziąłem klucze i poszedłem rano do biura zarządcy. Swoją obecność wytłumaczyłem służącemu w ten sposób, że mam do wykonania pracę, którą należy jak najprędzej skończyć. Ta sama wymówka wystarczyłaby panu Armadale'owi gdybyśmy się spotkali, ale do takiego spotkania nie doszło.

Chociaż dotarłem do Thorpe Ambrose dość, jak mi się wydawało, wcześniej, byłem zbyt późno, by na własne uszy usłyszeć poważną kłótnię, która, jak wszystko na to wskazuje, miała miejsce pomiędzy panem Armadale'em a panem Midwinterem tuż przed moim przyjściem.

Jedyne informacje, jakie mogę Pani przekazać w związku z tym, pochodzą od jednego ze służących. Powiedział mi on, że usłyszał podniesione głosy obu dżentelmenów w salonie pana Armadale'a. W chwilę potem wszedł, aby zapowiedzieć śniadanie, i zastał pana Midwintera w stanie tak wielkiego

wzburzenia, że musiał mu pomóc wyjść z pokoju. Służący próbował zaprowadzić go na górę, aby pan Midwinter mógł się położyć i uspokoić. Ten jednak odmówił, decydując, że najpierw zaczeka chwilę w jednym z pokojów na dole, i poprosił, aby zostawić go samego. Służący ledwo zdążył zejść na dół, a usłyszał, jak drzwi wejściowe otwierają się i zamykają. Pobiegł z powrotem i odkrył, że pana Midwintera nie ma. Lał wtedy deszcz, a wkrótce potem nadeszły błyskawice i grzmoty. Okropna pogoda na wychodzenie z domu. Służący uważa, że nerwy pana Midwintera zostały rozstrojone. Mam szczerą nadzieję, że tak się nie stało. Pan Midwinter jest jednym z niewielu ludzi, jakich spotkałem w życiu, który traktował mnie dobrze.

Usłyszawszy, że pan Armadale nadal przebywa w salonie, poszedłem do biura zarządcy (które, jak Pani może pamiętać, jest po tej samej stronie domu), zostawiłem drzwi otwarte na oścież i otworzyłem okno, czekając i nasłuchując, co się wydarzy. Droga Pani, był czas, kiedy uważałem, że robienie czegoś takiego w domu mojego chlebodawcy nie przystoi. Proszę pozwolić mi zapewnić, że teraz już tak nie myślę. Chlubię się wszystkim, co sprawia, że jestem Pani przydatny.

Pogoda wydawała się wybitnie nie sprzyjać owemu odnowieniu stosunków pomiędzy panem Armadale'em a panną Milroy, którego Pani z taką ufnością oczekuje i o którym tak bardzo chciałaby Pani być powiadomiona. A jednak tak się osobliwie składa, że to właśnie na skutek pogody mogę teraz podzielić się z Panią dokładnie tą informacją, której Pani żąda. Pan Armadale i panna Milroy spotkali się około godziny temu. Okoliczności były następujące.

Właśnie gdy rozpętała się burza, zobaczyłem, jak jeden ze stajennych biegnie od strony stajni, i usłyszałem, jak uderza w okno pokoju pana. Pan Armadale otworzył okno i spytał, co się stało. Stajenny powiedział, że przyszedł z wiadomością od żony stangreta. Widziała ze swojego pokoju nad stajnią (którego okna wychodzą na park) pannę Milroy zupełnie samą, jak stała pod jednym z drzew, skrywając się przed deszczem. Jako że ta część parku jest dość oddalona od domku, pomyślała, że jej pan może zechce posłać kogoś i zaprosić panienkę do domu, zwłaszcza że ta znalazła się, w obliczu nadciągającej burzy, w bardzo niebezpiecznym położeniu.

Gdy tylko pan Armadale pojął wiadomość, kazał sobie przynieść nieprzemakalne

rzeczy i parasole, a następnie wybiegł sam, zamiast zostawić sprawę służącym. Wkrótce potem on i stajenny wrócili, prowadząc między sobą pannę Milroy, tak dobrze chronioną od deszczu, jak to tylko możliwe.

Dowiedziałem się od jednej ze służących, która zabrała panienkę do sypialni i dała jej suche rzeczy, że panna Milroy została następnie zaprowadzona do salonu i że był z nią pan Armadale. Jedynym sposobem na to, by postąpić zgodnie z pani poleceniem i dowiedzieć się, co zaszło między nimi, było pójść dookoła domu w strugach deszczu i dostać się do oranżerii (która otwiera się na salon) zewnętrznymi drzwiami. W służbie Pani nie cofam się przed niczym, chętnie przemakałbym codziennie, aby Panią zadowolić. Poza tym, choć na pierwszy rzut oka mogę wydawać się raczej starszym człowiekiem, przemakanie nie jest dla mnie groźne. Zapewniam Panią, że nie jestem tak stary, jak się wydaje, i mam silniejszy organizm, niż można by się spodziewać.

Nie mogłem podejść w oranżerii na tyle blisko, aby zobaczyć, co dzieje się w salonie, nie ryzykując przy tym zostania odkrytym. Jednak usłyszałem większość rozmowy, poza tymi momentami, kiedy ścisiali głos. Oto sedno tego, co usłyszałem.

Wywnioskowałem, że panna Milroy wbrew swojej woli została nakłoniona, by skryć się przed burzą w domu pana Armadale'a. Tak przynajmniej powiedziała i podała dwa powody. Po pierwsze, jej ojciec zabronił wszelkich kontaktów pomiędzy domkiem a rezydencją. Pan Armadale odpowiedział na tę obiekcję stwierdzeniem, iż ojciec panienki wydał zakaz, będąc w całkowitym błędzie co do prawdy, i poprosił ją, aby nie traktowała go równie bezwzględnie jak major. W tym miejscu wdał się, jak sędzę, w jakieś wyjaśnienia, ale ponieważ ściszył głos, nie potrafię powiedzieć jakie. To zaś, co słyszałem, było mówione beładnie i nieskładnie. Zdaje się jednak, że wyjaśnienia były na tyle zrozumiałe, by przekonać pannę Milroy, że jej ojciec działał pod wpływem mylnego osądu sytuacji. Przynajmniej tak wnoszę, bo kiedy ponownie usłyszałem rozmowę, panienka powróciła do swojej drugiej obiekcji wobec przebywania w tym domu, a mianowicie takiej, że pan Armadale zachował się wobec niej bardzo nieładnie i zasłużył sobie na to, żeby nigdy więcej się do niego nie odezwała.

W tym drugim przypadku pan Armadale nie próbował się w żaden sposób bronić.

Zgodził się z nią, że zachował się nieładnie i że zasłużył sobie na to, żeby nigdy więcej się do niego nie odezwała. Jednocześnie błagał ją, by pamiętała, że już został ukarany. Skompromitował się w oczach sąsiadów, a jego najdroższy przyjaciel, jedyny bliski przyjaciel, jakiego miał na świecie, tego ranka obrócił się przeciwko niemu jak inni. Daleko czy blisko, nie było ani jednej miłej mu istoty, która mogłaby go pocieszyć albo powiedzieć mu dobre słowo. Był samotny i nieszczęśliwy, a jego serce tęskniło za odrobiną dobroci i było to jedyne usprawiedliwienie, dla którego prosił pannę Milroy o zapomnienie i wybaczenie przeszłości.

Obawiam się, że muszę Pani pozostawić ocenę tego, jaki skutek wywarły te słowa na panience, ponieważ, choć wyteżalem słuch, nie zdołałem usłyszeć, co powiedziała. Jestem niemal pewien, że słyszałem, jak płacze, a pan Armadale prosi ją, by nie łamała mu serca. Dużo szeptali, co mnie irytowało. Później zaniepokoiło mnie wejście pana Armadale'a do oranżerii w celu zerwania kilku kwiatów. Na szczęście nie doszedł tam, gdzie się ukrywałem. Potem ponownie wszedł do salonu i nastąpiły dalsze rozmowy (domyślam się, że w bliskiej odległości), których, wielce żałuję, ale nie zdołałem dosłyszeć. Proszę mi wybaczyć, że mam tak mało do powiedzenia. Mogę tylko dodać, że kiedy burza minęła, panna Milroy wyszła z kwiatami w dłoni, odprowadzana przez pana Armadale'a. Moje własne skromne zdanie jest takie, że przez całą rozmowę miał potężnego sprzymierzeńca w sympatii panienki do niego.

To wszystko, co mam w tej chwili do powiedzenia, z wyjątkiem jeszcze jednej rzeczy, którą usłyszałem, a o której wstyd mi wspominać. Ale Pani słowo jest dla mnie rozkazem, a kazała mi Pani niczego nie ukrywać.

Rozmowa zeszła raz na Panią. Zdaje mi się, że usłyszałem słowo „stworzenie” z ust panny Milroy, i jestem pewien, że pan Armadale, przyznając, że swego czasu Panią podziwiał, dodał jednocześnie, iż od tamtej pory okoliczności upewniły go o jego „głupocie”. Cytuję jego własne wyrażenie. Sprawilo ono, że wręcz zatrząsałem się z oburzenia. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, mężczyzna, który podziwia pannę Gwilt, żyje w raju. Jeśli już nic innego, szacunek powinien był zamknąć usta panu Armadale'owi. Jest moim chlebodawcą, wiem, ale po tym jak nazwał głupotą

podziwianie Pani (choć jestem zastępcą jego zarządcy), gardzę nim całkowicie.

Ufając, że mogłem mieć to szczęście, aby Panią jak dotąd zadowolić, i szczerze pragnąc zasłużyć sobie na zaszczyt Pani dalszego zaufania do mnie, pozostaję wdzięcznym i oddanym sługą Pani.

Felix Bashwood”.

2. List pani Oldershaw do panny Gwilt

„Diana Street, poniedziałek, 21 lipca

Droga Lydio!

Niepokoję Cię kilkoma zdaniem. Są one pisane pod wpływem poczucia obowiązku, jakie jestem sobie winna w naszym obecnym położeniu względem siebie.

Nie podoba mi się ton Twoich dwóch ostatnich listów, a jeszcze bardziej nie podoba mi się to, że dziś rano zostawiłaś mnie w ogóle bez żadnego listu, i to wszystko w chwili, kiedy ustaliłyśmy, że wobec niepewności naszych widoków na przyszłość masz do mnie pisać codziennie. Mogę wytłumaczyć Twoje zachowanie tylko w jeden sposób. Wnoszę, że sprawy w Thorpe Ambrose, już wcześniej niewłaściwie pokierowane, mają się teraz bardzo źle.

Nie jest obecnie moim celem czynienie Ci wyrzutów, dlaczego bowiem miałabym trwonić czas, słowa i papier? Pragnę jedynie przypomnieć Ci o pewnych względach, które zdajesz się pomijać. Czy mam je przedstawić wprost? Tak, ponieważ przy wszystkich moich wadach jestem wcieleniem szczerości.

A zatem, po pierwsze: w moim interesie, podobnie jak w Twoim, leży, abyś została panią Armadale z Thorpe Ambrose. Po drugie: dostarczyłam Ci (nie wspominając już o dobrych radach) pieniądze potrzebne do osiągnięcia tego celu. Po trzecie: mam twoje weksle, z krótkim terminem płatności, na każdy pożyczony Ci szeląg. Wreszcie, po czwarte: chociaż jako przyjaciółka jestem pobłażliwa dla błędów, jako kobieta interesu, moja droga, nie pozwolę się lekceważyć. To wszystko, Lydio, przynajmniej na razie.

Proszę, nie myśl, że piszę w gniewie. Jest mi tylko przykro i smutno. Mój stan ducha przypomina stan ducha Davida. Gdybym miała skrzydła jak gołębicą,

uciekłabym i miałabym spokój.

Oddana Ci,

Maria Oldershaw”.

3. List pana Bashwooda do panny Gwilt

„Thorpe Ambrose, 21 lipca

Szanowna Pani!

Prawdopodobnie otrzyma Pani tę wiadomość kilka godzin po tym, jak dotrze do Pani moja wczorajsza. Wysłałem ostatni list wczoraj wieczorem, a ten pošlę dziś przed południem.

Obecnie piszę do Pani, aby przekazać nowe wieści z rezydencji. Mam niewysłowioną przyjemność ogłosić, że haniebna ingerencja pana Armadale’a w Pani prywatność dobiega końca. Obserwacja Pani poczynañ ma zostać wstrzymana jeszcze dziś. Piszę, droga Pani, ze łzami w oczach wywołanymi uczuciami, które ośmieliłem się wyrazić w poprzednim liście (proszę sprawdzić akapit pod koniec listu). Proszę wybaczyć tę osobistą aluzję. Dużo łatwiej zwracać mi się do Pani (nie wiem czemu) za pomocą pióra niż języka.

Proszę pozwolić, że się uspokoję i będę kontynuował opowieść.

Ledwie przybyłem dziś rano do biura zarządcy, a pan Pedgift starszy przyjechał do rezydencji na specjalne wezwanie pana Armadale’a. Nie trzeba wspominać, że od razu odłożyłem na później tę drobną pracę, jaką miałem do wykonania, przeczuwając, że w grę może wchodzić Pani interes. Z przyjemnością dodam, że tym razem okoliczności mi sprzyjały. Udało mi się stanąć pod otwartym oknem i słyszeć całą rozmowę.

Pan Armadale od razu otwarcie wyjaśnił, o co mu chodzi. Poleciał, aby osoba, którą wynajęto do śledzenia Pani, była natychmiast zwolniona. Poproszony o wyjaśnienie tej nagłej zmiany planów, nie ukrywał, że doszedł do niej na podstawie wniosków wyciągniętych z tego, co zaszło wczoraj pomiędzy nim a panem Midwinterem. Słowa pana Midwintera, choć okrutnie niesprawiedliwe, przekonały go jednakże, że żadna konieczność nie może uzasadniać poczynania tak z gruntu nikczemnego jak zatrudnienie szpiega i zgodnie z tym przekonaniem ma

teraz zamiar postępować.

Gdyby nie Pani wyraźne polecenie, aby nie ukrywać żadnej wzmianki o Pani, byłoby mi naprawdę wstyd przytoczyć słowa pana Pedgifta. Jest dla mnie dobry, wiem. Ale gdyby nawet był moim rodzonym bratem, nigdy nie wybaczyłbym mu tonu, jakim się o Pani wyrażał, ani uporu, z jakim próbował skłonić pana Armadale'a do zmiany zdania.

Zaczął od ataku na pana Midwintera. Oświadczył, że zdanie pana Midwintera jest najgorszym zdaniem, jakie można brać pod uwagę, ponieważ bez żadnych wątpliwości owinęła go Pani sobie wokół palca. Nie zrobiwszy żadnego wrażenia tą prostą sugestią (w którą nawet przez moment nie uwierzy nikt, kto Panią zna), pan Pedgift wspomniał następnie o pannie Milroy i spytał pana Armadale'a, czy zarzucił pomysł chronienia jej. Co to miało oznaczać, nie potrafię sobie wyobrazić. Piszę o tym tylko po to, aby mogła to Pani wziąć pod osobistą rozważę. Pan Armadale w skrócie odpowiedział, że ma swój własny plan, jak chronić pannę Milroy, i że pod tym względem okoliczności się zmieniły, czy coś podobnego. Pan Pedgift nadal nalegał. Zapędzał się (wstyd mi o tym wspominać) coraz bardziej. Próbował nawet przekonać pana Armadale'a, by wniósł pozew do sądu przeciwko jednej czy drugiej osobie, która w okolicy najbardziej potępiała jego zachowanie, w celu – doprawdy nie wiem, jak to napisać – postawienia Pani przed sądem w miejscu dla świadka. Co gorsza: kiedy pan Armadale nadal protestował, pan Pedgift, mający, jak wnosilem z jego głosu, zaraz wyjść z pokoju, sprytnie powrócił i zaproponował posłanie do Londynu po oficera śledczego po to tylko, aby na Panią spojrzeć. »Ta cała tajemnica wokół referencji panny Gwilt«, rzekł, »może sprowadzać się do kwestii tożsamości. Ściągnięcie policjanta z Londynu nie będzie wiele kosztować, a warto sprawdzić, czy jej twarz nie jest znana policji«. Zapewniam po raz kolejny, najdroższa Pani, że powtarzam te odrażające słowa tylko z poczucia obowiązku wobec Pani. Zapewniam, że słysząc je, zadrżałem od stóp do głów.

Wracając do rzeczy... jest bowiem więcej nowin.

Pan Armadale (co się mu chwali, nie ukrywam, choć go nie lubię) nadal się opierał. Wydawał się poirytowany uporem pana Pedgifta i przemawiał w sposób

niewiele porywczy. »Ostatnio, kiedy o tym rozmawialiśmy«, powiedział, »nakłonił mnie pan do zrobienia czegoś, czego z całego serca się wstydzę. Nie uda się panu, panie Pedgift, nakłonić mnie po raz drugi«. Oto jego słowa. Pan Pedgift odpowiedział mu szorstko i on z kolei zdawał się być poirytowany.

»Jeśli tak zapatruje się pan na moje rady, sir«, rzekł, »im mniej ich będzie na przyszłość, tym lepiej. W sprawie pomiędzy panem a panną Gwilt idzie, jak powszechnie wiadomo, zarówno o pańską reputację, jak i pozycję, a pan w najbardziej krytycznym momencie upiera się, żeby postąpić według własnego widzimisie, co, jak sądzę, źle się skończy. Po tym, jak zaangażowałem się już w tę bardzo poważną sprawę, nie mogę zgodzić się, aby nadal ją prowadzić, mając związane ręce, i nie mogę zostawić jej z chlubą dla siebie, nadal będąc znany wszystkim jako pański doradca. Nie pozostawia mi pan innego wyjścia, sir, jak zrezygnować z zaszczytu bycia pańskim radcą prawnym«. »Przykro mi to słyszeć«, powiedział pan Armadale, »ale dość już wycierpiałem, wtrącając się w sprawy panny Gwilt. Nie mogę i nie będę więcej się w to mieszać«. »Może pan się już w to nie mieszać, sir«, powiedział pan Pedgift, »i ja również nie będę się w to mieszać, ponieważ straciłem zainteresowanie zawodowe tym problemem. Ale wspomni pan moje słowa, panie Armadale, to jeszcze nie koniec tej sprawy. Ciekawość kogoś innego może sprawić, że zacznie w miejscu, w którym pan (i ja) skończył, i ręka kogoś innego może jeszcze odsłonić przed światem prawdziwe oblicze panny Gwilt«.

Ufam, że odtwarzam ich wypowiedzi, droga Pani, niemal słowo w słowo, tak jak je słyszałem. Wywarły one na mnie nieopisane wrażenie, napełniły mnie, sam nie wiem czemu, potwornym niepokojem. Zupełnie ich nie rozumiem, a jeszcze mniej rozumiem to, co nastąpiło później.

Głos pana Pedgifta, kiedy wypowiadał ostatnie słowa, zdawał się dobiegać z bardzo bliska. Musiał stać przy otwartym oknie i musiał, jak się obawiam, zobaczyć mnie pod nim. Zanim wyszedł z domu, zdążyłem po cichu wydostać się spomiędzy wawrzynów, ale nie wrócić do biura. W związku z tym poszedłem wzdłuż podjazdu w stronę stróżówki, tak jakbym udawał się w jakiejś sprawie związanej z pracą zarządcy.

Po chwili wyprzedził mnie w swoim gigu pan Pedgift i zatrzymał się. »A więc interesuje się pan panną Gwilt, tak?«, zapytał. »Proszę zaspokoić swoją ciekawość, jak najbardziej. Nie mam nic przeciwko temu«. Byłem, co zrozumiałe, zdenerwowany, ale zdołałem zapytać go, co ma na myśli. Nie odpowiedział, tylko przeszył mnie z wysokości swojego giga bardzo dziwnym spojrzeniem i zaśmiał się. »Widziałem większe dziwa niż to!«, powiedział nagle do siebie i odjechał.

Ośmielam się niepokoić Panią tym incydem, choć w Pani oczach może on być bez znaczenia, w nadziei, że Pani lepszy osąd może go wyjaśni. Moje ograniczone zdolności umysłowe nie są w stanie, przyznaję, dociec, co miał na myśli pan Pedgift. Wiem jedynie, że nie ma prawa oskarżać mnie o podobnie zuchwałe uczucia, jak ciekawość wobec damy, którą ogromnie cenię i gorąco podziwiam. Nie ośmielam się wyrazić tego w cieplejszych słowach.

Pozostaje mi tylko dodać, że mogę być dla Pani nadal użyteczny, jeśli Pani chce. Pan Armadale właśnie zajrzał do biura i powiedział krótko, że wobec przedłużającej się nieobecności pana Midwintera nadal mam pełnić funkcję zastępcy zarządcy aż do odwołania.

Gorąco oddany,
Felix Bashwood”.

4. List Allana Armadale’a do czcigodnego Decimusa Brocka

„Thorpe Ambrose, wtorek
Drogi Panie Brock!

Znalazłem się w smutnym położeniu. Midwinter się ze mną pokłócił i odszedł, mój prawnik się ze mną pokłócił i odszedł i wszyscy sąsiedzi (z wyjątkiem kochanej pani Milroy, która mi przebaczyła) odwrócili się ode mnie. Jest tu dużo „mną” i „mi”, ale nic na to nie poradzę. Jestem bardzo nieszczęśliwy sam w domu. Proszę, niech Pan przyjedzie i mnie odwiedzi! Jest Pan jedynym przyjacielem, jaki mi pozostał, i tak bardzo chciałbym Panu o tym opowiedzieć.

PS Słowo honoru dżentelmena, to nie moja wina.

Oddany Panu,
Allan Armadale

PS Pojechałbym do Pana (jako że to miejsce całkiem mi obrzydło), ale mam powód, aby nie oddalać się na razie zbyt daleko od panny Milroy”.

5. List Roberta Stapletona do Allana Armadale’a

„Plebania w Bascombe, czwartek rano

Wielce Szanowny Panie!

Na stole pomiędzy innymi widzę pański list, którego, o czym z przykrością donoszę, mój pan nie czuje się na siłach otworzyć. Cierpi na jakąś gorączkę. Lekarz mówi, że wywołały ją frasunek i niepokój, którym mój pan nie podołał. To wydaje się prawdopodobne, ponieważ w zeszłym miesiącu pojechałem z nim do Londynu i kiedy zajmował się swoją własną sprawą, a także gdy obserwował tę osobę, która później nam się wymknęła, cały czas martwił się i niepokoił, i, prawdę mówiąc, ja też.

Mój pan wspominał o Panu wczoraj czy przedwczoraj. Nie chciał, aby dowiedział się Pan o jego chorobie, chyba że mu się pogorszy. Ale myślę, że powinien Pan o niej wiedzieć. Jednocześnie nie pogarsza mu się, a może nawet leciutko polepsza. Lekarz mówi, że musi mieć spokój i że pod żadnym pozorem nie można go niepokoić. Proszę więc zbytnio się tym nie przejmować – mam na myśli to, że nie ma potrzeby przyjeżdżać na plebanię. Doktor polecił mi przekazać, że to niepotrzebne i że w jego obecnym stanie tylko by to mojego pana rozstroiło.

Napiszę znowu, jeśli Pan chce. Proszę przyjąć moje wyrazy szacunku.

Uniżony sługa Pana,

Robert Stapleton.

PS Jacht został ożaglowany i odmalowany, czeka na komendy. Wygląda pięknie”.

6. List pani Oldershaw do panny Gwilt

„Diana Street, 24 lipca

Panno Gwilt!

Pora dostarczania poczty minęła przez trzy kolejne ranki, nie przynosząc mi odpowiedzi na mój list. Celowo chcesz mnie obrazić? Czy może wyjechałaś

z Thorpe Ambrose? W każdym z tych przypadków nie będę już dłużej tolerować Twojego zachowania. Jeśli ja nie potrafię przywołać Cię do porządku, zrobi to prawo.

Twój pierwszy weksel (opiewający na 30 funtów) ma zostać spłacony w następny wtorek, 29 lipca. Gdybyś zachowała się w stosunku do mnie z elementarną uprzejmością, z przyjemnością pozwoliłabym Ci go przedłużyć. W obecnej sytuacji okażę weksel i, o ile nie zostanie spłacony, każę mojemu pełnomocnikowi podjąć zwyczajne kroki.

Twoja,
Maria Oldershaw”.

7. List panny Gwilt do pani Oldershaw

„Paradise Place 5, Thorpe Ambrose, 25 lipca

Pani Oldershaw!

Jako że czas Twojego pełnomocnika jest bez wątpienia cenny, piszę słówko, aby pomóc mu, kiedy podejmie zwyczajne kroki. Zastanie mnie czekającą na aresztowanie w mieszkaniu na pierwszym piętrze pod niniejszym adresem. W mojej obecnej sytuacji i stanie umysłowym najlepszą przysługą, jaką możesz mi wyświadczyć, jest mnie zamknąć.

L. G.”.

8. List pani Oldershaw do panny Gwilt

„Diana Street, 26 lipca

Ukochana Lydio!

Im dłużej żyję na tym nikczemnym świecie, tym wyraźniej widzę, że największym wrogiem, z jakim muszą zmierzyć się kobiety, są ich własne humory. W co za pożałowania godny styl popadłyśmy obie! Co za przykry brak opanowania, moja droga, po mojej i Twojej stronie!

Pozwól, że to ja, jako starsza wiekiem, będę pierwszą, która się usprawiedliwi, pierwszą, która zarumieni się na myśl o mym własnym braku opanowania. Twoje okrutne lekceważenie, Lydio, pchnęło mnie do tego, żeby napisać to, co napisałam.

Jestem bardzo wrażliwa na złe traktowanie, kiedy pochodzi ono od osoby, którą kocham i podziwiam, i choć skończyłam sześćdziesiątkę, nadal jestem (na nieszczęście dla siebie) bardzo młoda duchem. Przyjmij przeprosiny za to, że użyłam pióra, podczas gdy powinnam była zadowolić się szukaniem ratunku w chusteczce do nosa. Wybacz przywiązanej do Ciebie Marii bycie nadal młodą duchem!

Ale, moja droga, pomimo że Ci groziłam, och, jak to okrutnie z Twojej strony brać sobie moje groźby do serca. Jakie to przykre, że, nawet gdyby Twój dług był dziesięć razy większy, podejrzewasz, że byłabym zdolna (cokolwiek bym nie mówiła) do odrażającej niegodziwości, jaką jest aresztowanie serdecznej przyjaciółki! Wielkie nieba! Czy zasłużyłam sobie na to, aby tak bezlitośnie dosłownie brać sobie moje groźby do serca po dziesięciu latach czulej zażyłości, jaka nas łączyła? Nie skarżę się jednak. Opłakuję tylko ułomność naszej ludzkiej natury. Oczekujmy od siebie nawzajem jak najmniej, moja droga; obie jesteśmy kobietami i nic na to nie poradzimy. Słowo daję, kiedy rozmyślam nad pochodzeniem naszej nieszczęsnej płci, kiedy przypomnę sobie, że wszystkie kiedyś powstałyśmy z niczego więcej jak żebra mężczyzny (i to tak mało istotnego dla jego posiadacza, że od tamtego czasu nigdy nie wydawał się za nim tęsknić), nasze zalety wprawiają mnie w istne osłupienie, podczas gdy nasze wady wcale mnie nie dziwią.

Trochę się rozmarzam. Pograżam się w poważnych rozmyślaniach, podobnie jak owa urocza postać z Szekspira, która była „niczym nieskrępowana”. Ostatnie słowo, najdroższa. Wiedz, że moje pragnienie otrzymania odpowiedzi na ten list wynika tylko i wyłącznie z tego, że chciałabym, byś znów napisała do mnie w Twoim dawnym, przyjaznym tonie i nie ma nic wspólnego z ciekawością tego, co porabiasz w Thorpe Ambrose, z wyjątkiem ciekawości, którą sama byś pochwaląa. Czy muszę dodawać, że proszę Cię, abyś wyświadczyła mi tę grzeczność i przedłużyła go na zwykłych zasadach? Mam na myśli ten mały rachunek, który ma być płatny w przyszły wtorek, i ośmielam się proponować sześć tygodni od tego dnia.

Twoja, z prawdziwie matczynymi uczuciami,

Maria Oldershaw”.

9. List panny Gwilt do pani Oldershaw

„Paradise Place, 27 lipca

Właśnie dostałam Twój ostatni list. Jego bezwstydną tupet mnie oburzył. Mam być traktowana jak dziecko, tak? – najpierw się mi grozi, a potem, kiedy groźba na nic się nie zdaje, przypochlebia się mi? Jeszcze będziesz się mi przypochlebiać. Dowiesz się, moja matczyzna przyjaciółko, z jakim dzieckiem masz do czynienia.

Miałam powody, Matko Oldershaw, do milczenia, które tak bardzo Cię uraziło. Bałam się – dosłownie się bałam – wtajemniczyć Cię w moje myśli. Teraz już nie dręczą mnie podobne obawy. Jedyną troską dzisiejszego poranka jest złożyć Ci jak najlepsze podziękowania za sposób, w jaki do mnie napisałaś. Po starannych przemyśleniach doszłam do wniosku, że najgorszą przysługą, jaką mogę Ci zrobić, jest powiedzieć Ci to, co tak bardzo chciałabyś wiedzieć. Tak więc siedzę przy biurku, zdecydowana o tym napisać. Jeśli kończąc czytać ten list, gorzko nie pożałujesz, że nie wytrwałaś w swoim pierwszym postanowieniu i póki miałas możliwość, nie zamknęłaś mnie tam, gdzie nie mogłam zrobić nic złego, nie nazywam się Lydia Gwilt.

Na czym ostatnio skończyłam? Nie pamiętam i nie obchodzi mnie to. Sama się domyśl. Nie cofam się dalej niż o tydzień, to jest do ostatniej niedzieli.

Rano była burza. Około południa zaczęło się przejaśniać. Nie wychodziłam. Czekałam na Midwintera albo wiadomość od niego. (Dziwisz się, że nie piszę »pan« przed nazwiskiem? Staliśmy się sobie tak bliscy, moja droga, że słowo »pan« byłoby zupełnie nie na miejscu). Rozstaliśmy się poprzedniego wieczora w bardzo ciekawych okolicznościach. Powiedziałam mu, że jego przyjaciel Armadale prześladowuje mnie za pomocą wynajętego szpiega. Nie chciał uwierzyć i poszedł prosto do Thorpe Ambrose wyjaśnić sprawę. Pozwoliłam mu pocałować się w rękę, zanim wyszedł. Obiecał, że wróci następnego dnia (w niedzielę). Czułam, że zdołałam go omotać, i wierzyłam, że dotrzyma słowa.

A więc burza, jak powiedziałam, minęła. Wypogodziło się, ludzie wyszli na ulice w najlepszych ubraniach, z piekarni przysłano obiady. Usiadłam, rozmarzając się, do mojego paskudnego, wynajętego pianina – wystrojona i wyszykowana, a Midwinter nadal się nie pojawiał. Było późne popołudnie i zaczynałam już czuć się urażona,

kiedy przyniesiono mi list. Zostawił go nieznany posłaniec, który od razu odszedł. Spojrzałam na list. Wreszcie Midwinter – za pośrednictwem listu zamiast osobiście. Zaczęłam się czuć bardziej urażona niż kiedykolwiek, ponieważ, jak Ci napisałam, myślałam, że omotałam go sobie bardziej.

List, kiedy już go przeczytałam, odmienił bieg moich myśli. Zdziwił mnie, zaintrygował, zaciekawił. Myślałam o nim wciąż na nowo przez całą resztę dnia.

Zaczął od przeprosin za to, że wątpił w moje słowa. Pan Armadale potwierdził je własnymi ustami. Pokłócili się (tak jak przewidywałam) i on oraz mężczyzna, który był niegdyś jego najdroższym na świecie przyjacielem, rozstali się na zawsze. Do tego momentu nie byłam zdziwiona. Bawiło mnie, jak w swój przesadny sposób pisze, że on i jego przyjaciel rozstali się na zawsze, i zastanawiałam się, co by pomyślał, gdybym wprowadziła w życie swój plan i dostała się do rezydencji pod pozorem pogodzenia ich.

Ale druga część listu dała mi do myślenia. Oto ona, jego własnymi słowami.

»Tylko stoczywszy walkę z samym sobą (żadne słowa nie opiszą, jak trudną), zdecydowałem się napisać do Pani zamiast porozmawiać z nią. Bezwzględna konieczność domaga się ofiary z mojego przyszłego życia. Muszę opuścić Thorpe Ambrose, muszę opuścić Anglię, bez wahania, nie oglądając się wstecz. Istnieją powody – potworne powody, z którymi szaleńczo igrałem – dla których nigdy nie powinienem dopuścić, aby pan Armadale na mnie spojrzeł albo o mnie usłyszał po tym, co między nami zaszło. Muszę wyjechać, aby nigdy więcej nie mieszkać pod tym samym dachem, nigdy więcej nie oddychać tym samym powietrzem co on. Muszę ukrywać się przed nim pod przybranym nazwiskiem, muszę sprawić, by rozdzieliły nas góry i morza. Dostałem ostrzeżenie, jakiego nie dostała przede mną żadna ludzka istota. Wierzę – nie śmiem wyznać Pani czemu, ale wierzę – że jeśli fascynacja, jaką we mnie Pani wzbudza, pociągnie mnie z powrotem ku Pani, przyniesie to oplakane skutki dla mężczyzny, którego życie tak dziwnie splotło się z Pani i moim – mężczyzny, który był niegdyś Pani admiratorem i moim przyjacielem. A jednak, pomimo tych uczuć i pomimo, że widzę ową konieczność zupełnie wyraźnie, tak jak wyraźnie widzę niebo nad głową, jest we mnie słabość, która nadal cofa się przed koniecznym poświęceniem, jakim jest nie zobaczyć Pani

nigdy więcej. Walczę z nią tak jak człowiek walczy ze swoją rozpaczą. Byłem blisko, mniej niż godzinę temu, żeby zobaczyć dom, w którym Pani mieszka, i zmusiłem się do odwrotu poza zasięg wzroku. Czy potrafię zmusić się do odejścia jeszcze dalej, teraz, kiedy napisałem swój list, teraz, gdy wrywa mi się bezcelowe wyznanie, i przyznaję, że kocham Panią pierwszą miłością, jaką znam, i ostatnią, jaką kiedykolwiek poczuję? Niech czas odpowie na to pytanie, ja nie ośmielam się o nim więcej pisać ani myśleć».

Tak brzmiały ostatnie słowa. W ten dziwny sposób kończył się list.

Poczułam nieprzewartą chęć dowiedzenia się, co miał na myśli. To, że mnie kochał, było, rzecz jasna, łatwo zrozumieć. Ale o co mu chodziło, kiedy pisał, że dostał ostrzeżenie? Dlaczego nigdy więcej nie miał mieszkać pod tym samym dachem, oddychać tym samym powietrzem co młody Armadale? Cóż to mogła być za kłótnia, która zmuszała jednego człowieka do ukrywania się przed drugim pod przybranym nazwiskiem i sprawienia, by rozdzieliły ich góry i morza? A nade wszystko, jeśli by wrócił i pozwolił, bym nadal go fascynowała, dlaczego miałyby to mieć oplakane skutki dla tego znienawidzonego gamonia, który posiada szlachecki majątek i mieszka w rezydencji?

Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego tak, jak spotkać go znowu i zadać mu te pytania. W miarę upływu dnia robiłam się nieco przesądna na tym punkcie. Na obiad podali mi trzustkę cielęcą i pudding wiśniowy. Wróżyłam sobie z pestek na talerzu, czy przyjdzie! Przyjdzie, nie przyjdzie, przyjdzie, nie przyjdzie – i tak dalej. Stało na »nie przyjdzie«. Zadzwoiłam po służbę i kazałam zabrać naczynia. Dość zdecydowanie rzuciłam wyzwanie przeznaczeniu. Powiedziałam »przyjdzie« i czekałam na niego w domu.

Nawet nie wiesz, jaką przyjemność sprawia mi przedstawianie Ci tych wszystkich drobnych szczegółów. Policz, moja serdeczna przyjaciółko, moja druga matko, policz pieniądze, jakie zainwestowałam w nadziei na to, że zostanę panią Armadale, a potem pomyśl o moim ogromnym zainteresowaniu innym mężczyzną. Och, Pani Oldershaw, jak intensywną przyjemność sprawia mi drażnienie Cię!

Dzień miał się ku wieczorowi. Ponownie zadzwoniłam po służbę i kazałam przynieść sobie rozkład jazdy pociągów. Jakimi pociągami mógł wyjechać

w niedzielę? Ogólnonarodowy szacunek dla dnia świętego okazał się moim sprzymierzeńcem. Był tylko jeden pociąg, który odjeżdżał kilka godzin przed tym, jak do mnie napisał. Poszłam poradzić się lustra. Sprawilo mi radość, przeciwstawiając się wróżbie z pestek wiśni. Lustro powiedziało mi: »Ukryj się za kotarą, nie przeżyje długiego, samotnego wieczoru, nie wracając ponownie, aby spojrzeć na dom«. Ukryłam się za kotarą i czekałam z listem od niego w ręku.

Posępne niedzielne światło przygasło, a posępna niedzielna cisza na ulicy jeszcze bardziej się pogłębiła. Nastal zmierzch, a wraz z nim usłyszałam w ciszy kroki. Serce lekko podskoczyło mi w piersi – tylko pomyśl, mam jeszcze jakieś serce! Powiedziałam do siebie: »Midwinter!«. I to był on.

Kiedy ukazał się w zasięgu wzroku, szedł wolno, co jakieś dwa–trzy kroki zatrzymując się i namyślając. Zdawało się, że moje brzydkie okno od salonu wabi go wbrew niemu. Oczekawszy, aż się zatrzyma, nieco na uboczu, ale nadal mając w zasięgu wzroku moje nieodparte okno, ubrałam się i tylnymi drzwiami wymknęłam do ogrodu. Gospodarz i jego rodzina jedli kolację i nikt mnie nie widział. Otwarłam drzwi w murze i boczną dróżką wydostałam się na ulicę. W tym niezręcznym momencie nagle sobie przypomniałam, że obserwuje mnie szpieg, który bez wątpienia czai się gdzieś blisko domu.

Koniecznym było zdobyć czas do namysłu, a było niemożliwe (w moim stanie umysłowym) pozwolić Midwinterowi odejść, nie rozmówiwszy się z nim. W trudnych chwilach człowiek na ogół podejmuje decyzję natychmiast, o ile w ogóle. Zdecydowałam, że umówię się z nim na następny wieczór, a w międzyczasie zastanowię się, jak to zrobić, aby spotkanie pozostało niezauważone. Wtedy oznaczało to dla mnie, że moja ciekawość będzie mnie nękać przez potworne dwadzieścia cztery godziny, ale jaki miałam wybór? Odbyć spotkanie na osobności z Midwinterem w zasięgu wzroku, a może i słuchu szpiega Armadale'a oznaczało w praktyce porzucenie raz na zawsze nadziei na zostanie panią Thorpe Ambrose.

Znalazłam w kieszeni Twój stary list, wycofałam się w głąb dróżki i małym ołówkiem, który noszę zawieszony na łańcuszku od zegarka, napisałam na pustej kartce: »Koniecznie muszę z Panem porozmawiać. Dziś wieczorem to niemożliwe,

ale proszę być na ulicy jutro o tej samej porze, a potem zostawić mnie na zawsze, jeśli Pan zechce. Kiedy Pan to przeczyta, niech mnie Pan wyprzedzi i mijając, powie, nie zatrzymując się ani nie oglądając, »tak, obiecuję«.

Złożyłam kartkę i niespodziewanie zaszłam go od tyłu. Kiedy wzdrygnął się i obejrzał, włożyłam mu liścik w dłoń, ścisnęłam ją i poszłam dalej. Nim uszłam dziesięciu kroków, kiedy usłyszałam, jak za mną idzie. Nie mogę powiedzieć, że się nie obejrzałam – zobaczyłam jego czarne oczy, płomienne i lśniące w półmroku, jak w jednej chwili pozerają mnie całą wzrokiem... poza tym zrobił, co mu kazałam. »Niczego Pani nie potrafię odmówić«, wyszeptał, »obiecuję«. Minął mnie i odszedł. Nie mogłam nie pomyśleć wtedy, jak ten nieokrzesany i głupi Armadale w podobnej sytuacji wszystko by zepsuł.

Przez całą noc myślałam tylko o tym, jak to zrobić, żeby nasza rozmowa planowana na następny wieczór nie została odkryta, ale na próżno. Już wtedy zaczynałam mieć wrażenie, że list Midwintera w jakiś niewyjaśniony sposób mnie otępił.

Poniedziałek rano pogorszył sprawę. Od mojego wiernego sprzymierzeńca, pana Bashwooda, nadeszły wieści, że panna Milroy i Armadale znów się spotkali i pogodzili. Możesz sobie wyobrazić mój stan! Jakies dwie godziny później nadeszły kolejne wieści od pana Bashwooda – tym razem dobre. Ten złośliwy dureń z Thorpe Ambrose wreszcie objawił dość rozsądku, aby się siebie wstydzić. Tego samego dnia zdecydował się zrezygnować ze szpiega i w konsekwencji on i jego prawnik się pokłócili.

Tak więc przeszkoda, którą byłam zbyt głupia, aby sama usunąć, została uprzejmiem zlikwidowana! Koniec martwienia się o mającą nastąpić rozmowę z Midwinterem i mnóstwo czasu na przemyślenie dalszych kroków teraz, kiedy już panna Milroy i jej drogocenny luby na powrót się zeszli. Uwierzyłybyś? List albo jego autor (sama tego nie wiem) tak mną zawładnął, że chociaż robiłam wszystko, co mogłam, nie potrafiłam skupić się na niczym innym, i to akurat w momencie, gdy miałam wszelkie podstawy do obaw, że panna Milroy jest na dobrej drodze do zmiany nazwiska na Armadale, i gdy wiedziałam, że mój dług wdzięczności wobec niej wciąż nie został spłacony. Czy była kiedyś większa przekora? Nie potrafię tego

wyjaśnić, a Ty?

Wreszcie nadszedł zmierzch. Wyrzłałam przez okno – był tam!

Dołączyłam do niego od razu, jako że mieszkańcy domu byli, podobnie jak poprzednio, zbyt zajęci jedzeniem i piciem, aby coś zauważyć. »Nie mogą nas widzieć tu razem«, szepnęłam. »Ja pójdę pierwsza, a pan za mną«.

Nic nie odpowiedział. Nie mam pojęcia, co się działo w jego głowie, ale choć stawił się na spotkanie, ociągał się tak, jakby był na poły skłonny odejść.

»Wygląda pan tak, jakby się mnie bał«, rzekłam.

»Boję się pani«, odparł, »pani i siebie«.

To nie brzmiało zachęcająco, nie brzmiało też pochlebnie. Ale w tamtej chwili byłam ogarnięta tak wielką ciekawością, że nawet gdyby był mniej uprzejmy, nic bym sobie z tego nie robiła. Postąpiłam kilka kroków w kierunku nowych budynków, zatrzymałam się i obejrzałam za nim.

»Czy mam pana prosić o to jako o przysługę«, rzekłam, »po złożonej przez pana obietnicy i po liście, jaki do mnie napisał?«

Coś go nagle odmieniło. W okamgnieniu znalazł się u mego boku. »Przepraszam, panno Gwilt, proszę zaprowadzić mnie tam, gdzie pani chce«. Powiedziawszy to, został nieco z tyłu i słyszałam, jak mówi do siebie: »Co ma być, to będzie. Co mam począć, a co ma począć ona?«.

Raczej nie były to jego słowa, bo ich nie rozumiałam – to ton jego głosu musiał sprawić, że poczułam przelotne drzenie. Byłam niemal skłonna, nie mając po temu najmniejszego powodu, życzyć mu dobrej nocy i wrócić do domu. To do ciebie niepodobne, powiesz. Niepodobne, prawda! Nie trwało to nawet chwili. Twoja droga Lydia wkrótce się otrząsnęła.

Poprowadziłam go w kierunku niedokończonych chat i rozciągających się za nimi pól. Dużo bardziej w moim guście byłoby zaprowadzić go do domu i odbyć z nim rozmowę w blasku świec. Ale raz już to zaryzykowałam, a w tym spragnionym skandalu miejscu i w mojej krytycznej sytuacji bałam się ryzykować ponownie. Ogród również nie wchodził w grę, ponieważ gospodarz po kolacji pali w nim fajkę. Nie było innego wyjścia jak wyprowadzić go z miasteczka.

Od czasu do czasu oglądałam się za siebie. Był tam, zawsze w pewnej odległości, majaczący w półmroku jak widmo, milcząco idący za mną.

Muszę przerwać na chwilę. Dzwony kościelne się rozdzwoniły, a ich dźwięk doprowadza mnie do szaleństwa. W dzisiejszych czasach, kiedy wszyscy mają zegary i zegarki, po co nam dzwony kościelne przypominające, kiedy zaczyna się nabożeństwo? Nie oczekujemy, że będą na nas dzwonić do teatru. Jakie to strasznie kompromitujące dla duchownych musieć wzywać ludzi dzwonami do kościoła!

Wreszcie zwołali wiernych: mogę wziąć do ręki pióro i pisać dalej.

Nie bardzo wiedziałam, gdzie go zaprowadzić. Po jednej stronie miałam gościniec, ale, choć zdawał się on pusty, ktoś mógł nim przechodzić, kiedy najmniej się tego będziemy spodziewać. Druga droga wiodła przez zagajnik. Poprowadziłam go przez zagajnik.

Na skraju zagajnika, po drugiej stronie, było małe obniżenie terenu, na którym leżało kilka powalonych pni drzew, a dalej rozciągał się niewielki staw – spokojny, biały i lśniący w świetle zmierzchu. Na jego przeciwległym brzegu wznosiło się rozległe pastwisko, nad którym gęstniała mgła, a dalej niewyraźna czarna linia wyznaczała procesję krów wolno zmierzających do domu. Wokół nie było żywej duszy, uszu nie dochodził żaden dźwięk. Usiadłam na jednym z powalonych pni i obejrzałam się za nim. »Niech pan podejdzie«, powiedziałam łagodnie. »Niech pan podejdzie i usiądzie obok mnie«.

Dlaczego jestem taka szczegółowa? Sama nie wiem. Miejsce to nie wiedzieć czemu zrobiło na mnie silne wrażenie i nie mogę powstrzymać się, by go nie opisać. Jeśli marnie skończę – powiedzmy, że na szubienicy – myślę, że ostatnią rzeczą, jaką będę mieć przed oczami, zanim kat otworzy zapadnię, będzie ten mały, lśniący staw, rozległe, spowite mgłą pastwisko i krowy ciągnące do domu w zapadającym zmroku. Nie bój się, Ty zacna istoto! Moja wyobraźnia płata mi czasem figle, a w tej części listu jest, śmiem twierdzić, odrobina wczorajszego laudanum.

Podszedł – dziwnie milcząco, jak człowiek chodzący we śnie – podszedł i usiadł obok mnie. Noc była już bardzo blisko, ale byłam wtedy dosłownie jak w gorączce: nie mogłam znieść czepka na głowie, rękawiczek na rękach. Chęć spojrzenia na

niego i przekonania się, co znaczyło jego dziwne milczenie, a przy tym niemożność zrobienia tego w gęstniejących ciemnościach szarpały mi nerwy, do tego stopnia, iż chciało mi się krzyczeć. Wzięłam go za rękę, aby sprawdzić, czy to mi pomoże. Była rozpalona i natychmiast zacisnęła się na mojej – wiesz jak. Po czymś takim nie było mowy o milczeniu. Jedynym bezpiecznym sposobem, aby zacząć, było od razu do niego przemówić.

»Proszę mną nie pogardzać«, rzekłam. »Musiałam przyprowadzić pana na to odludzie. Straciłabym dobre imię, gdyby zobaczono nas razem«.

Odczekałam chwilę. Jego ręka ponownie ostrzegła mnie przed trwaniem w milczeniu. Postanowiłam tym razem zmusić go do przemówienia.

»Zaciekawił mnie pan i przestraszył«, ciągnęłam. »Napisał pan do mnie bardzo dziwny list. Muszę wiedzieć, co on oznacza«.

»Za późno, by pytać. Obrąła pani drogę i ja obrałem drogę, z której nie ma odwrotu«. Wygłosił tę dziwną uwagę tonem, który był mi całkiem nieznanym i który sprawił, że poczułam się jeszcze bardziej nieswojo niż pod wpływem jego milczenia chwilę wcześniej. »Za późno«, powtórzył, »za późno! Pozostaje zadać mi tylko jedno pytanie«.

»Jakie?«

Kiedy zapytałam, z jego ręki wyszło nagłe drżenie, które przeszło moją rękę, i w tej samej chwili zrozumiałam, że lepiej było ugryźć się w język. Zanim odzyskałam zdolność, by się poruszyć czy pomyśleć, miał mnie w swoich ramionach. »Proszę zapytać, czy panią kocham«, wyszeptał. W tym samym momencie jego głowa opadła mi na piersi i jakaś niewysłowiona udręka, która w nim była, znalazła ujście, podobnie jak to się dzieje u nas, w spazmach szlochów i łez.

Mój pierwszy odruch był odruchem idiotki. Byłam bliska okazania naszego zwyczajnego protestu i wzbraniania się w nasz zwykły sposób. Szczęśliwie lub nieszczęśliwie, sama nie wiem, zatraciłam młodzieńczą wrażliwość i wstrzymałam pierwsze odruchy dłoni oraz pierwsze słowa. Ach, kochana, żebyś wiedziała, jak staro się czułam, kiedy on tak wypłakiwał mi się na piersi! Myślałam o czasach,

kiedy mógł być zdobyć moją miłość! Jedynym, co teraz zdobył, była moja kibić.

Zastanawiam się, czy go żałowałam. Jeśli tak, nie ma to znaczenia. Tak czy owak, moja dłoń jakimś cudem się podniosła, a palce delikatnie wplotły w jego włosy. Dopadły mnie straszne wspomnienia dawnych czasów i sprawiły, że przebiegł mnie dreszcz, gdy go dotknęłam. A jednak to zrobiłam. Jakimi idiotkami są kobiety!

»Nie będę tego panu wypominać«, powiedziała łagodnie. »Nie powiem, że to okrutny sposób, aby mnie wykorzystać, w takim położeniu, w jakim jestem. Jest pan strasznie wzburzony. Pozwolę panu nieco odczekać i uspokoić się«.

Doszedłszy aż dotąd, zaczęłam się zastanawiać, jak zadać mu palące mnie pytania. Byłam jednak zbyt zdezorientowana, a może zbyt niecierpliwa, aby się zastanawiać. Wyrzuciłam z siebie to, o czym myślałam przede wszystkim, słowami, które nasunęły mi się jako pierwsze.

»Nie wierzę, że pan mnie kocha«, rzekłam. »Pisze pan dziwne rzeczy, przeraża mnie zagadkami. Co miał pan na myśli, pisząc w liście, że byłoby opłakane w skutkach dla pana Armadale'a, gdyby pan do mnie wrócił? Jakie niebezpieczeństwo może czyhać na pana Armadale'a?«

Nim zdążyłam zadać pytanie, on nagle podniósł głowę i zwolnił uścisk ramion. Najwyraźniej dotknęłam jakiejś bolesnej struny, która przywołała go do porządku. Zamiast żebym to ja się od niego odsuwała, on odsunął się ode mnie. Poczulałam się urażona. Dlaczego? Nie wiem. Ale byłam urażona i podziękowałam mu z najbardziej gorzką emfazą za to, że wreszcie przypomniał sobie, co jest mi winien!

»Czy wierzy pani w sny?«, wykrzyknął w sposób najbardziej nieoczekiwany, zupełnie nie zważając na to, co powiedziałam. »Niech mi pani powie«, ciągnął, nie dając mi czasu na odpowiedź, »czy pani lub jakiś pani krewny miał jakikolwiek związek z ojcem lub matką Allana Armadale'a? Czy pani albo jakiś pani krewny był kiedykolwiek na Maderze?«

Wyobraź sobie moje osłupienie, jeśli możesz. Zesztywniałam. W jednej chwili cała zesztywniałam. Najwyraźniej wiedział, co wydarzyło się, kiedy byłam w służbie pani Armadale na Maderze – najprawdopodobniej zanim się urodził! To już samo

w sobie było zdumiewające. I ewidentnie miał jakieś powody, aby próbować mnie połączyć z tamtymi wydarzeniami – co było jeszcze bardziej zdumiewające.

»Nie«, odrzekłam, gdy tylko odzyskałam mowę. »Nic nie wiem o jego ojcu ani matce«.

»I nic o Maderze?«

»Nic o Maderze«.

Odwrócił głowę i zaczął mówić sam do siebie:

»Dziwnie!«, rzekł. »Równie pewnie jak to, że ja stałem w miejscu cienia przy oknie, jest to, że ona stała w miejscu cienia nad stawem!«

W innych okolicznościach jego niezwykle zachowanie mogłoby mnie zaniepokoić. Ale po tym jak zapytał o Maderę, był we mnie większy strach, który oddalał wszelki pospolity niepokój. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłam do niczego tak zdeterminowana, jak do tego, aby dowiedzieć się, skąd ma te informacje i kim naprawdę jest. Było dla mnie całkiem jasne, że swoim pytaniem o Armadale'a obudziłam w nim jakieś tajone uczucie, które było równie mocne jak jego uczucie do mnie. Co się stało z moim wpływem na niego?

Tego nie potrafiłam sobie wyobrazić, ale potrafiłam sprawić, by znowu go poczuł, więc zabrałam się do pracy.

»Proszę nie być dla mnie tak okrutnym«, powiedziałam. »Ja dla pana przed chwilą nie byłam. Och, panie Midwinter, tu jest tak odludnie, tak ciemno – niech pan mnie nie przeraża!«

»Przerażać panią!« W jednej chwili znów był blisko mnie. »Przerażać panią!« Powtórzył te słowa w takim osłupieniu, jakbym obudziła go ze snu i oskarżyła o coś, co powiedział przez sen.

Widząc, jak jest zaskoczony, już miałam wykorzystać jego brak skupienia i zapytać, dlaczego moje pytanie o Armadale'a wywołało taką zmianę w jego zachowaniu w stosunku do mnie. Ale po tym, co się stało, bałam się ryzykować zbyt szybki powrót do tematu. Coś – śmiem twierdzić, że coś, co zważy instynktem – ostrzegło mnie, aby na razie zostawić Armadale'a w spokoju i najpierw pomówić z Midwinterem o nim samym. Jak napisałam Ci w jednym z moich wcześniejszych

listów, zauważyłam w jego zachowaniu i wyglądzie pewne cechy, które upewniły mnie, że, jakkolwiek młody, robił coś albo przeszedł przez coś niezwykłego w swoim minionym życiu. Za każdym razem, kiedy go widziałam, z coraz większą podejrzliwością zadawałam sobie pytanie, czy jest tym, kim wydaje się być, a największa wątpliwość dotyczyła tego, czy jest nam znany pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Jako osoba, która ma własne tajemnice i która w przeszłości występowała pod niejednym przybranym nazwiskiem, myślę, że jestem bardziej skłonna podejrzewać innych, kiedy dostrzegę w nich coś tajemniczego. Tak czy owak, mając na uwadze owo podejrzenie, postanowiłam go zaskoczyć, tak jak on mnie zaskoczył, niespodziewanym pytaniem z mojej strony, pytaniem o nazwisko.

Podczas gdy ja myślałam, myślał i on i, jak się wkrótce okazało, o tym, co przed chwilą powiedziałam. »Tak mi przykro, że panią przestraszyłem«, wyszeptał z delikatnością i pokorą, których wszystkie serdecznie nienawidzimy, gdy mężczyzna zwraca się do innych kobiet, i które wszystkie tak bardzo lubimy, kiedy zwraca się do nas. »Sam nie wiem, co mówiłem«, ciągnął, »mam straszny zamęt w głowie. Proszę mi wybaczyć, jeśli pani potrafi. Dziś wieczór nie jestem sobą«.

»Nie gniewam się«, powiedziałam. »Nie ma czego wybaczać. Oboje jesteśmy nierozważni; oboje jesteśmy nieszczęśliwi«. Położyłam mu głowę na ramieniu. »Naprawdę mnie pan kocha?«, wyszeptałam.

Jego ramię znów mnie otoczyło i poczułam, jak jego i tak szybkie bicie serca jeszcze bardziej przyśpiesza. »Gdyby tylko pani wiedziała!«, odszepnął. »Gdyby tylko pani wiedziała...« Nic więcej nie mógł powiedzieć. Poczułam, jak jego twarz odwraca się ku mojej, opuściłam głowę i powstrzymałam go przed pocałunkiem.

»Nie«, powiedziałam. »Jestem jedynie kobietą, która wpadła panu w oko. Nie traktuje mnie pan, jakbym była przyrzeczoną panu żoną«.

»Niech pani zostanie przyrzeczoną mi żoną!«, wyszeptał żarliwie i próbował unieść moją głowę. Trzymałam ją spuszczoną. Koszmar dawnych wspomnień, które znasz, powrócił i sprawił, że lekko zadrżałam, kiedy poprosił mnie, bym została jego żoną. Nie wydaje mi się, abym faktycznie omdlała, ale coś na kształt omdlenia kazało mi zamknąć oczy. Skoro tylko je zamknęłam, ciemność zdawała się rozstąpić

jak rozdarta piorunem i widma innych mężczyzn powstały z potwornej otchłani i spojrzały na mnie.

»Niech się pani odezwie!«, wyszeptał czule. »Moje kochanie, mój aniele, odezwij się!«

Dźwięk jego głosu pomógł mi odzyskać przytomność umysłu. Byłam na tyle przytomna, aby przypomnieć sobie, że czas mija i że jeszcze nie zapytałam go o jego nazwisko.

»Przypuśćmy, że czuję do pana to, co pan do mnie«, rzekłam. »Przypuśćmy, że kocham pana na tyle mocno, aby powierzyć panu szczęście całego mego przyszłego życia«.

Urwałam na chwilę, aby złapać oddech. Było nieznośnie duszno i parno. Zdawało się, że wraz z nadejściem nocy powietrze zamarło.

»Czy ożeniłby się pan ze mną honorowo«, ciągnęłam, »żeniąc się ze mną pod swoim aktualnym nazwiskiem?«

Jego ręka opadła z mojej talii i poczułam, jak przeszywa go pojedynczy, silny dreszcz. Potem siedział przy mnie nieruchomy, zimny i milczący, jakby moje pytanie odebrało mu mowę. Objęłam go za szyję i ponownie oparłam mu głowę na ramieniu. Bez względu na to, jaki urok na niego rzuciłam, bliskość fizyczna zdawała się go rozpędzać.

»Kto pani powiedział?« Urwał. »Nie«, ciągnął, »nikt nie mógł pani powiedzieć. Jak się pani domyśliła...?« Znowu urwał.

»Nikt mi nie powiedział«, rzekłam, »i nie wiem, jak się domyśliłam. Kobiety mają czasem dziwne wyobrażenia. Czy Midwinter to pańskie prawdziwe nazwisko?«

»Nie mogę pani okłamywać«, rzekł po chwili milczenia. »Midwinter to nie jest moje prawdziwe nazwisko«.

Wtuliłam się w niego nieco mocniej.

»Jak brzmi pana prawdziwe nazwisko?«, zapytałam.

Zawahał się.

Podniosłam twarz, aż mój policzek dotknął jego. Nie ustępowałam, trzymając wargi tuż przy jego uchu:

»Nawet teraz jeszcze mi pan nie ufa! Nie ufa kobiecie, która niemal wyznała, że pana kocha, która niemal zgodziła się być pańską żoną!«

Obrócił twarz w kierunku mojej. Po raz drugi próbował mnie pocałować i po raz drugi go powstrzymałam.

»Jeśli powiem pani, jak mam na nazwisko«, rzekł, »będę musiał powiedzieć pani więcej«.

Znów pozwoliłam, aby nasze policzki się zetknęły.

»A dlaczego by nie?«, powiedziała. »Jak mam kochać mężczyznę, nie mówiąc już o wychodzeniu za niego za mąż, jeśli nie chce, abym go poznała?«

Myślałam, że na ten argument nie ma odpowiedzi. Ale on ją znalazł.

»To straszna historia«, powiedział. »Jeśli ją pani pozna, może położyć się cieniem na całym pani życiu, tak jak położyła się na moim«.

Objęłam go drugim ramieniem i nalegałam. »Opowiedz mi ją, nie boję się«.

Zaczął ustępować pod wpływem dotyku mojego drugiego ramienia.

»Czy zachowa ją pani w najgłębszej tajemnicy?«, zapytał. »Nigdy nie wspomni o niej słowem, pozwoli, aby pozostała znana tylko nam dwojgu?«

Obiecałam, że pozostanie tajemnicą. Czekałam w szalonym napięciu. Dwukrotnie zaczynał i dwukrotnie odwaga go zawodziła.

»Nie mogę!«, zawołał gwałtownie i bezradnie. »Nie mogę jej opowiedzieć!«

Moja ciekawość, a może raczej moja złość przekroczyła wszelkie granice. Zdenerwował mnie do tego stopnia, że nie zważałam na to, co mówię i robię. Nagle przyciągnęłam go do siebie i przycisnęłam wargi do jego warg.

»Kocham pana!«, wyszeptałam, całując go. »Teraz mi pan powie?«

Na chwilę zaniemówił. Nie wiem, czy zrobiłam to celowo, aby doprowadzić go do szaleństwa, czy może nieświadomie, w przypiływie wściekłości. Nic nie jest pewne, poza tym, że źle zinterpretowałam jego milczenie. Zaraz po tym, jak go pocałowałam, odepchnęłam go od siebie w furii. »Nienawidzę pana!«, rzekłam. »Zawrócił mi pan w głowie tak, że się zapomniałam. Niech mnie pan zostawi. Nie dbam o ciemności. Niech mnie pan w tej chwili zostawi i nigdy nie wraca!«

Złapał mnie za rękę i zatrzymał. Mówił zmienionym głosem. Nagle dowodził,

tak jak tylko mężczyźni potrafią.

»Proszę usiąść«, rzekł. »Przywróciła mi pani odwagę, dowie się pani, kim jestem«.

W otaczającej nas ciszy i ciemności posłuchałam go i usiadłam.

W tej samej ciszy i ciemności znów wziął mnie w ramiona i powiedział mi, kim jest.

Mam powierzyć Ci jego historię? Mam zdradzić Ci, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko? Mam wyjawić, tak jak groziłam, myśli, które zrodziły się w mojej głowie po rozmowie z nim i po tym, co przydarzyło mi się od tego czasu?

Czy może mam dotrzymać tajemnicy, jak obiecałam? A przy tym zachować swoje własne tajemnice, kończąc ten długi, nużący list akurat w tym momencie, w którym nie możesz doczekać się dalszego ciągu!

To poważne pytania, Pani Oldershaw, poważniejsze, niż Ci się wydaje. Miałam czas, żeby ochłonąć, i zaczynam dostrzegać to, czego nie dostrzegłam, kiedy ujęłam pióro w dłoń, by napisać list – sens myślenia o skutkach. Czy próbując nastraszyć Ciebie, sama się przestraszyłam? Możliwe, jakkolwiek dziwne się to wydaje, naprawdę jest to możliwe.

Przez ostatnie kilka minut stałam przy oknie, rozmyślając. Jest mnóstwo czasu na rozmyślanie przed odjazdem poczty. Ludzie dopiero teraz wychodzą z kościoła.

Doszłam do wniosku, że odłożę list i zajrzę do mojego dziennika. Mówiąc prościej, muszę zobaczyć, co ryzykuję, jeśli Ci się zdecyduję zaufać, a mój dziennik podpowie mi to, czego zmęczona głowa nie da rady sama skalkulować. Przez ostatni tydzień znacznie regularniej niż zwykle spisywałam kronikę moich dni (a czasami i nocy), mając swoje powody, aby w obecnych okolicznościach być szczególnie staranną pod tym względem. Jeśli na końcu zrobię to, co umyśliłam sobie zrobić, byłoby szaleństwem polegać na mojej pamięci. Pominięcie najbliższego zdarzenia mającego miejsce pomiędzy wieczorem, w którym odbyłam rozmowę z Midwinterem, a chwilą obecną mogłoby doprowadzić mnie do całkowitej ruiny.

»Całkowitej ruiny!«, powiesz. »Jakąż to ruinę ma na myśli?«

Poczekaj chwilę, aż poradzę się mojego dziennika, czy mogę Ci bezpiecznie

powiedzieć”.

X. DZIENNIK PANNY GWILT

Poniedziałek, 21 lipca, jedenasta wieczorem

Midwinter właśnie odszedł. Na moją prośbę rozstaliśmy się na ścieżce na skraju zagajnika. On poszedł w stronę hotelu, a ja do mieszkania.

Udało mi się uniknąć umawiania się z nim na kolejne spotkanie, zapewniając, że napiszę do niego jutro rano. To daje mi całą noc na to, aby się uspokoić i nakierować moje myśli (o ile potrafię) na własne sprawy. Czy noc minie, a rano zastanie mnie rozmyślającą nadal o liście, który dotarł do niego z łoża śmierci ojca, o bezsennej nocy spędzonej na wraku i, ponad wszystko, o pierwszej pełnej napięcia chwili, w której wyjawiał mi swoje prawdziwe nazwisko?

Zastanawiam się, czy łatwiej byłoby mi otrząsnąć się z tych wrażeń, gdybym spróbowała je opisać? Wtedy nie byłoby obawy, że mogłabym zapomnieć o czymś ważnym. A może to właśnie obawa przed tym, że zapomnę o czymś, o czym powinnam pamiętać, sprawia, że opowieść Midwintera tak nie daje mi spokoju? Tak czy owak, warto spróbować. W mojej obecnej sytuacji mój umysł musi być czysty, aby myślał o innych rzeczach, albo nigdy nie uda mi się pokonać wszystkich trudności, które staną mi na drodze do Thorpe Ambrose.

Niech pomyślę. Co nie daje mi spokoju?

Nie daje mi spokoju to, że nazywają się tak samo. Powtarzam sobie raz za razem: takie same – zarówno imię, jak i nazwisko mają takie same! Jasnowłosy Allan Armadale, o którym wiem od dawna i który jest synem mojej dawnej pani. Ciemnowłosy Allan Armadale, o którym dowiedziałam się dopiero teraz i który jest znany innym jedynie jako Ozias Midwinter. Co jeszcze dziwniejsze, to nie pokrewieństwo ani nie przypadek sprawiły, że są imiennikami. Ojciec jasnowłosego

Armadała był tym, który odziedziczył nazwisko rodowe i stracił rodowe dziedzictwo. Ojciec ciemnowłosego Armadała przyjął nazwisko jako warunek otrzymania spadku – i dostał go.

A więc jest ich dwóch – nie mogę przestać o tym myśleć – obaj nieżonaci. Jasnowłosy Armadale, który oferuje zdołającej go zdobyć kobiecie osiem tysięcy rocznie za życia i tysiąc dwieście rocznie po śmierci, który musi się ze mną ożenić i robi to z tych dwóch ważnych powodów i którego nienawidzę tak, jak jeszcze nigdy nikogo nie nienawidziłam. I ciemnowłosy Armadale, który ma mizerny dochód, mogący co najwyżej opłacić modystkę jego żony, o ile ta nie jest rozrzutna, który właśnie się ze mną rozstał w przekonaniu, że mam zamiar wyjść za niego za mąż i którego... cóż, którego mogłabym pokochać niegdyś, zanim stałam się kobietą, którą jestem.

Allan jasnowłosy nie wie, że ma imiennika. Allan ciemnowłosy nie wyjawiał tajemnicy nikomu poza pastorem z hrabstwa Somerset (na którego dyskrecji może polegać) i mną.

Jest więc dwóch Allanów Armadałów... dwóch Allanów Armadałów... dwóch Allanów Armadałów. Otóż to! Trzy to szczęśliwa liczba. Spróbuj teraz nie dawać mi spokoju!

Co dalej? Morderstwo na frachtowcu? Nie, morderstwo stanowi dobry powód, dla którego ciemnowłosy Armadale, którego ojciec je popełnił, powinien utrzymać wszystko w tajemnicy przed jasnowłosym Armadałem, którego ojciec został zamordowany, ale to nie dotyczy mnie. Pamiętam, że wtedy na Maderze chodziły słuchy, że stało się coś złego. Czy to było złe? Czy mężczyznę, któremu podstępem zabrano kobietę, można winić za to, że zamknął drzwi kajuty i pozwolił, aby mężczyzna, który go oszukał, utonął na wraku? Owszem: kobieta nie była tego warta.

Czy coś z tego naprawdę dotyczy mnie?

Jestem pewna jednej ważnej rzeczy. Jestem pewna, że Midwinter – muszę używać jego brzydkiego fałszywego nazwiska albo zanim skończę, pomylę obu Armadałów – jestem pewna, że Midwinter nie ma pojęcia o tym, że ja i mała, dwunastoletnia psotnica, która usługiwała pani Armadale na Maderze i podrabiała

listy, mające nadejść z Indii Zachodnich, to jedna i ta sama osoba. Niewiele jest dwunastolatek, które potrafiłyby podrobić czyjeś pismo, po czym trzymać język za zębami tak jak ja. Ale to jest teraz nieważne. Ważne jest to, że wiara Midwintera w sen jest jedynym powodem, dla którego próbuje mnie połączyć z Allanem Armadale'em poprzez związek z jego rodzicami. Zapytałam, czy uważa mnie za na tyle starą, że mogłam znać któregoś z nich. A on, biedaczek, zaprzeczył, okazując niewinne zdumienie. Czy zaprzeczyłby, widząc mnie teraz? Mam podejść do lustra i sprawdzić, czy wyglądam na swoje trzydzieści pięć lat? Czy może pisać dalej? Będę pisać dalej.

Jest jeszcze jedna rzecz, która nie daje mi spokoju niemal tak uparcie jak nazwiska.

Zastanawiam się, czy mam rację, licząc na to, że przesądność Midwintera pomoże mi trzymać go na dystans. Po tym, jak pod wpływem chwilowego podniecenia powiedziałam więcej, niż powinnam była, z pewnością będzie na mnie naciskał, z pewnością powróci, z okropnym egoizmem i niecierpliwością w kwestii małżeństwa, jakie przejawiają mężczyźni w takich sprawach. Czy sen pomoże mi go powstrzymać? Po tym, jak na zmianę wierzył w niego i go odrzucał, teraz, jak sam wyznał, znów w niego wierzy. Czy mogę powiedzieć, że także w niego wierzę? Mam po temu większe powody, niż myśli. Jestem nie tylko tą, która przyłożyła rękę do zamążpójścia pani Armadale, pomagając jej nadużyć zaufania własnego ojca. Jestem kobietą, która próbowała się utopić, kobietą, która rozpoczęła ciąg wydarzeń, jakie doprowadziły do odziedziczenia przez młodego Armadale'a jego fortuny, kobietą, która przyjechała do Thorpe Ambrose, aby poślubić go dla owej fortuny i, co jeszcze bardziej niezwykle, kobietą, która stanęła w miejscu cienia nad stawem! Może to tylko zbiegi okoliczności, ale bardzo dziwne zbiegi okoliczności. Chyba sama zaczynam wierzyć w ten sen!

Załóżmy, że mu powiem: „Myślę podobnie jak ty. Mówię to samo, co ty napisałeś w liście do mnie. Rozstańmy się, zanim wydarzy się coś złego. Odejdź ode mnie, nim spełni się trzecia wizja ze snu. Odejdź ode mnie i spraw, aby ciebie i człowieka, który nosi twoje nazwisko, rozdzieliły góry i morza!”.

Załóżmy, z kolei, że jego miłość do mnie sprawi, iż stanie się niepomny na

wszystko inne... Załóżmy, że znowu wypowie te desperackie słowa, które teraz rozumiem: Co ma być, to będzie. Co mam z tym począć? A co ma począć ona? Załóżmy, załóżmy...

Nie będę więcej pisać. Nienawidzę pisania. Nie przynosi mi ulgi – sprawia tylko, że gorzej się czuję. Jestem dalsza od myślenia o wszystkim, o czym muszę myśleć, niż kiedy zasiadałam do pisania. Jest po północy. Jutro już nadeszło, a ja siedzę tu tak bezradna jak najgłupsza kobieta na świecie! Łóżko to jedyne właściwe dla mnie miejsce.

Łóżko? Gdyby teraz było dziesięć lat wcześniej i gdybym poślubiła Midwintera z miłości, mogłabym teraz iść do łóżka, nie mając żadnych większych zmartwień niż zakraść się na palcach do pokoju dziecinnego i po raz ostatni sprawdzić, czy dzieci śpią spokojnie w łóżeczkach. Ciekawe, czy kochałabym moje dzieci, gdybym jakieś miała? Może tak, może nie. To nie ma znaczenia.

Wtorek rano, dziesiąta

Kim był człowiek, który wymyślił laudanum? Kimkolwiek był, dziękuję mu z głębi serca. Gdyby ci wszyscy cierpiący na duszy i ciele nieszczęśnicy, których jest wspomóżeniem, mogli spotkać się w jednym miejscu i zaśpiewać pieśń pochwalną na jego cześć, cóż to byłby za chór! Mam za sobą sześć cudownych godzin zapomnienia. Obudziłam się z czystym umysłem, napisałam doskonały liścik do Midwintera, z prawdziwą rozkoszą wypijałam filiżankę dobrej herbaty, z cudownym poczuciem ulgi celebrowałam poranną toaletę, a wszystko przez niepozorną buteleczkę, która teraz stoi u mnie w sypialni na kominku. Krople – jesteście kochane! Nawet jeśli nic innego nie kocham, kocham was.

List do Midwintera został wysłany pocztą i kazałam mu odpisać w ten sam sposób.

Nie czuję niepokoju na myśl o jego odpowiedzi – może odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Poprosiłam o trochę czasu do namysłu, ponieważ moja sytuacja rodzinna wymaga pewnego zastanowienia – dla jego dobra, jak również dla mojego. Zobowiązałam się, że opowiem mu o tej sytuacji (ciekawe, co mam powiedzieć?), kiedy spotkamy się następnym razem, a w międzyczasie poprosiłam go, aby na razie zachował w tajemnicy wszystko, co między nami zaszło. Jeśli chodzi o to, co ma

robić on sam, podczas gdy ja się namyślałam, zostawiłam to do jego uznania, przypominając mu jedynie, że próby spotkania się ze mną ponownie (podczas gdy nasze relacje względem siebie nie mogą być otwarcie ujawnione) zaszkodzą mojej reputacji. zaproponowałam, że będę do niego pisać, jeśli chce, i zakończyłam obietnicą, że okres naszej koniecznej rozłąki uczynię tak krótkim, jak to tylko możliwe.

Taki prosty, nieudawany list, który mogłam napisać do niego ostatniej nocy, gdyby nie to, że jego opowieść nie dawała mi spokoju, ma jedną wadę, wiem. Z pewnością trzyma go w bezpiecznej odległości, podczas gdy ja będę po raz drugi zarzucać sieć i łowić moją złotą rybkę w rezydencji, ale odsuwa w czasie niezręczną chwilę, kiedy przyjdzie mi wziąć pod uwagę Midwintera, jeśli mi się uda. Jak mam nim pokierować? Co mam zrobić? Powinam zmierzyć się z tymi dwoma pytaniami tak śmiało jak zwykle, ale jakimś cudem odwaga mnie zawodzi i nie mam zbytnej ochoty stawiać czoła problemowi, zanim nie przyjdzie pora, kiedy będę zmuszona. Czy mam wyznać dziennikowi, że współczuję Midwinterowi i z niepokojem myślę o chwili, w której dowie się, że jestem panią w rezydencji?

Ale jeszcze nią nie jestem i nie mogę postąpić ani kroku w kierunku rezydencji, dopóki nie otrzymam odpowiedzi na mój list i nie będę mieć pewności, że Midwinter nie stoi mi na drodze. Cierpliwości! Cierpliwości! Muszę pójść i szukać zapomnienia przy pianinie. Na pulpicie stoi, kusząc mnie, otwarta *Sonata Księżycowa*. Czy mam dość odwagi, by ją zagrać? Czy jej tajemniczość i groza przyprawiają mnie o dreszcze, tak jak kiedyś?

Piąta. Dostałam odpowiedź od Midwintera. Moja najmniejsza prośba jest dla niego rozkazem. Wyjechał i przysłał mi swój adres w Londynie. „Są dwa względy” (pisze), „które sprawiają, że łatwiej mi pogodzić się z rozstaniem z Tobą. Pierwszy jest taki, że sobie tego życzysz i że to będzie tylko chwilowe. Drugi jest taki, że, jak sądzę, mogę postarać się w Londynie, aby dorobić do mojego dochodu pracą własnych rąk. Nigdy nie dbałem o pieniądze dla samego siebie, ale nie masz pojęcia, jak bardzo zaczynam cenić sobie zbytki i wygody, które mogą zapewnić pieniądze dla dobra mojej żony”. Biedaczek! Niemal żałuję, że napisałam do niego w ten sposób, niemal żałuję, że go odesłałam.

Ciekawe, co by było, gdyby Matka Oldershaw zobaczyła tę stronę w moim dzienniku? Dziś rano dostałam od niej list – list, który ma mi przypomnieć o moich zobowiązaniach i poinformować mnie, że podejrzewa, iż sprawy mają się źle. Niech sobie podejrzewa! Nie będę sobie zawracać głowy odpisywaniem. W moim obecnym stanie nie mogę martwić się tą starą łajdaczką.

Jest piękne popołudnie, potrzebuję spaceru, nie wolno mi myśleć o Midwinterze. Może włożę czepek i od razu spróbuję szczęścia w rezydencji? Wszystko działa na moją korzyść. Nie ma szpiega, który by mnie śledził, ani prawnika, który broniłby mi dostępu. Czy jestem dziś dość piękna? No cóż, tak, jestem dość piękna, aby być godnym przeciwnikiem dla małego, niemodnego, piegowatego stworzenia, które powinno się usadzić w szkolnej ławce i przywiązać do deski, aby prostować zgarbione ramiona.

„A kiedy zaczniesz mówić, to od zalęknienia / Nie złożysz kilku razem słów bez zająknienia”¹².

Jak znakomicie Byron opisał dziewczęta w wieku lat nastu!

Ósma wieczorem. Właśnie wróciłam z domu Armadale’a. Spotkałam go i rozmawiałam z nim, a wynik można streścić w dwóch słowach: poniosłam porażkę. Moje szanse na zostanie panią Armadale z Thorpe Ambrose są takie same jak na zostanie królową Anglii.

Mam o tym napisać Oldershaw? Mam wrócić do Londynu? Nie wcześniej, niż to przemyślę. Jeszcze nie.

Niech się zastanowię. Poniosłam całkowitą porażkę – porażkę tam, gdzie wszystkie okoliczności mi sprzyjały. Złapałam go samego na podjeździe przed domem. Był strasznie zakłopotany, ale jednocześnie skory mnie wysłuchać. Próbowałam – najpierw po cichu, potem ze łzami w oczach i tak dalej. Przedstawiłam się jako biedna, niewinna kobieta, którą niechcący skrzywdził. Bałamuciłam go, zajmowałam, przekonywałam. Potem przeszłam do chrześcijańskiej części mojej misji i tak żarliwie mówiłam o jego rozstaniu z przyjacielem, do którego mimochodem się przyczyniłam, że jego wstrętne, rumiana twarz zupełnie zbladła i w końcu błagał, bym go nie dręczyła. Ale jakiegokolwiek uczucia w nim budziłam, ani razu nie obudziłam dawnego uczucia do

mnie. Widziałam to w jego oczach, gdy na mnie patrzył, czułam to w jego palcach, gdy podawaliśmy sobie ręce. Rozstaliśmy się jako przyjaciele, to wszystko.

Czy to po to, panno Milroy, opierałam się pokusie poranek za porankiem, wiedząc, że jesteś sama w parku? Dałam ci akurat tyle czasu, abyś wślizgnęła się w łaski pana Armadale'a i zajęła moje miejsce, czyż nie? Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, bym opierała się pokusie i nie cierpiała potem z tego powodu, tak jak teraz! Gdybym tylko posłuchała wewnętrznego głosu w dniu, w którym od ciebie odeszłam, moja młoda damo – no cóż, teraz to już nieważne. Mam przed sobą przyszłość. Jeszcze nie jesteś panią Armadale! I powiem ci jeszcze jedno – nieważne, kogo poślubi, nigdy nie poślubi ciebie. Nawet jeśli nie wyrównam z tobą rachunków w żaden inny sposób, wierz mi, cokolwiek z tego wyniknie, wyrównam z tobą rachunki pod tym względem!

Ku własnemu zdziwieniu nie jestem rozwścieczona. Ostatnim razem, gdy zachowałam podobny chłodny spokój w obliczu poważnej prowokacji, wynikło z tego coś, o czym nie śmiem pisać nawet w moim prywatnym dzienniku. Nie zdziwiłabym się, gdyby i teraz coś z tego wynikło.

Wracając, wstąpiłam do mieszkania pana Bashwooda w miasteczku. Nie zastałam go w domu i zostawiłam wiadomość, każąc mu przyjść dziś wieczór tutaj, by ze mną pomówić. Mam zamiar natychmiast zwolnić go z obowiązku śledzenia Armadale'a i panny Milroy. Jeszcze nie znalazłam sposobu, jak zniweczyć jej nadzieje na Thorpe Ambrose równie całkowicie, jak ona zniweczyła moje. Ale kiedy nadejdzie pora i wymyślę sposób, nie wiem, do czego popchnie mnie moje poczucie krzywdy, a wtedy posiadanie powiernika w stworzeniu o tak zajęczym sercu jak pan Bashwood może być niewygodne, a nawet niebezpieczne.

Wszystko to martwi mnie bardziej, niż myślałam. Opowieść Midwintera znów bez żadnego powodu zaczyna nie dawać mi spokoju.

Ciche, szybkie, drżące pukanie do drzwi wejściowych! Wiem, kto to. Tylko ręka starego Bashwooda może pukać w ten sposób.

Dziewiąta wieczorem. Właśnie się go pozbyłam. Zaskoczył mnie, przybywając w nowej roli.

Wygląda na to (choć go nie nakryłam), że był w rezydencji, podczas gdy ja przebywałam w towarzystwie Armadale'a. Widział, jak rozmawiamy na podjeździe, a potem słyszał, co mówią służący, którzy również nas widzieli. Wśród służby panuje przekonanie, że „pogodziliśmy się” i że ich pan może mnie jeszcze poślubić. „Ma słabość do jej rudych włosów”, jak to elegancko ujęto w kuchni. „Młoda panienka nie może się z nią pod tym względem równać i źle na tym wyjdzie”. Jak ja nie cierpię prostactwa niższych klas!

Kiedy stary Bashwood opowiadał mi to wszystko, wydawało mi się, że jest jeszcze bardziej zmieszany i nerwowy niż zwykle. Jednak nie zorientowałam się, o co naprawdę chodzi, dopóki nie powiedziałam mu, że ma pozostawić dalsze szpiegowanie pana Armadale'a i panny Milroy mnie. Zdało się, że każda kropla krwi, która została jeszcze w cherlawym ciele staruszka, napłynęła mu do twarzy. Wykonał ponadludzki wysiłek, sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz paść trupem ze strachu przed swoją śmiałością, ale mimo wszystko, jękając się, obiema rękami gniotąc desperacko rondo swojego ohydneho, wielkiego kapelusza, wydusił z siebie pytanie: „Proszę wybaczyć, panno Gwi... Gwi... Gwilt! Nie za... za... zamierza pani rzeczywiście wychodzić za pana Armadale'a, prawda?”. Zazdrość – jeśli kiedykolwiek widziałam ją w męskiej twarzy, to była jego twarz. Pomyśleć, że był autentycznie zazdrosny o Armadale'a, i to w jego wieku! Gdybym była w nastroju, roześmiałabym mu się w twarz. Wtedy jednak byłam zła i straciłam do niego wszelką cierpliwość. Powiedziałam mu, że jest głupcem i kazałam mu zająć się zwykłymi sprawami, dopóki nie napiszę, że znów jest potrzebny. Był posłuszny jak zwykle, ale kiedy wychodził, w jego wilgotnych oczach czaiło się coś nieokreślonego, czego nigdy wcześniej w nich nie widziałam. Miłość jest zdolna wywołać w człowieku różne dziwne przemiany. Czyżby miłość sprawiła, że pan Bashwood na tyle zmężniał, aby się na mnie rozgniewać?

Środa. Znajomość zwyczajów panny Milroy nasunęła mi wczoraj wieczorem podejrzenie, które postanowiłam dziś rano zweryfikować.

Kiedy mieszkałam w domku, panna Milroy miała zwyczaj wychodzić na spacer codziennie rano przed śniadaniem. Biorąc pod uwagę, że często sama wybierałam tę porę na potajemne spotkania z Armadale'em, przyszło mi do głowy, że moja była

uczennica może brać ze mnie przykład i że mogę dokonać pewnych cennych odkryć, jeśli udam się w kierunku ogrodu majora o odpowiedniej godzinie. Zrezygnowałam z moich kropli, aby mieć pewność, że się obudzę. W efekcie miałam kiepską noc, ale byłam gotowa wstać o szóstej, by przemaszerować dystans dzielący moje mieszkanie od domku w rześkim powietrzu poranka.

Nie spędziłam w parku za ogrodzeniem ogrodu nawet pięć minut, kiedy zobaczyłam, że wychodzi.

Wyglądało na to, że też źle spała. Oczy miała zapuchnięte i czerwone, a wargi i policzki obrzmiały jak od płaczu. Najwyraźniej o czymś rozmyślała, o czymś, co jak wkrótce odkryłam, kazało jej wyjść z ogrodu do parku. Poszła (o ile można to nazwać chodzeniem, przy takich nogach!) prosto do altany, otworzyła drzwi, przeszła przez mostek i przyśpieszając kroku, skierowała się w stronę obniżenia terenu w parku, tam, gdzie drzewa rosną najgęściej. Podążyłam za nią bezkarnie przez otwarty teren, korzystając z jej roztargnienia, a kiedy zaczęła zwalniać pośród drzew, ja również znalazłam się wśród nich i nie obawiałam się już, że mnie zobaczy.

Wkrótce potem rozległ się trzask i odgłos ciężkich kroków dochodzący spomiędzy zarośli porastających głęboki jar. Znałam ten krok równie dobrze jak ona. „Tu jestem”, odezwała się cicho. Trzymałam się kilka jardów dalej za drzewami, nie wiedząc, z której strony Armadale wyłoni się z zarośli. Wyszedł zza zbocza jaru naprzeciwko drzewa, za którym stałam. Usiedli razem na zboczu. Siadałam schowana za drzewem i obserwowałam ich zza zarośli, bez najmniejszej trudności słysząc każde słowo.

Rozmowa zaczęła się od uwagi, że panna Milroy wygląda na przygnębioną, i pytania, czy coś złego stało się w domku. Przebiegła kokietka nie traciła czasu na zrobienie na nim odpowiedniego wrażenia: zaczęła płakać. Wziął ją za rękę i w swój grubiańsko bezpośredni sposób próbował ją pocieszać. Nie, nie dała się pocieszyć. Miała przed sobą smutną perspektywę, całą noc nie spała, myśląc o niej. Poprzedniego wieczoru ojciec zawołał ją do swojego pokoju, mówił o stanie jej wykształcenia i powiedział wprost, że ma wyjechać do szkoły. Miejsce zostało już wybrane, warunki ustalone i gdy tylko jej ubrania będą gotowe, panienska ma się tam

udać.

„Gdy ta okropna panna Gwilt była w domu”, powiedziała ta przykładna młoda osóbką, „byłam chętna, by chodzić do szkoły – chciałam do niej iść. Ale teraz to co innego. Inaczej o tym myślę, czuję się za duża na szkołę. Jestem zupełnie załamana, panie Armadale”. W tym miejscu urwała, jakby chciała powiedzieć więcej i spojrzała na niego w sposób, który jednoznacznie sugerował zakończenie zdania: „Jestem zupełnie załamana, panie Armadale, teraz, kiedy znów jesteśmy przyjaciółmi, na myśl o rozstaniu z panem!”. Jeśli ktoś chce mieć przykład jawnego, bezwstydного zuchwalstwa, jakiego powstydziliby się dorosła kobieta, niech spojrzy na młode dziewczęta, których „skromność” tak uparcie wychwalają w obecnych czasach obrzydliwi rodzimi sentymentalisci.

Nawet ten idiota Armadale ją zrozumiał. Przez chwilę plątał się w labiryncie słów, które do niczego nie prowadziły, po czym objął ją – nie można powiedzieć, że wokół talii, bo jej nie posiada – objął ją na wysokości ostatniej haftki przy rozcięciu sukni i przychodząc jej na ratunek przed poniżeniem związanym z pójściem do szkoły w jej wieku, ni mniej, ni więcej, tylko się jej oświadczył.

Gdybym mogła ich w tym momencie zabić, podnosząc mały palec, nie mam najmniejszej wątpliwości, że bym go podniosła. W tej sytuacji jednak czekałam tylko na to, co zrobi panna Milroy.

Uznała za konieczne – pamiętając, jak sądzę, że spotkała się z nim bez wiedzy ojca, i nie zapominając, że to przeze mnie stała się ulubionym obiektem ciepłych myśli pana Armadale’a – okazać stanowczość poprzez wybuch świętego oburzenia. Była ciekawa, jak mógł pomyśleć o czymś takim po swoim zachowaniu w stosunku do panny Gwilt i po tym, jak jej ojciec zabronił mu wstępu do domu! Czy chciał, by poczuła, jak niewybaczalnie zapominała o tym, co była sobie winna? Czy godnym dżentelmena było proponować coś, co, jak oboje wiedzieli, było niemożliwe? I tak dalej, i tak dalej. Każdy mężczyzna mający choć trochę oleju w głowie wiedziałby, co naprawdę miała znaczyć ta cała fanfaronada. Armadale wziął ją tak na serio, że próbował się usprawiedliwić.

Bez namysłu i nieudolnie jak zwykle oświadczył, że mówi całkiem poważnie, że on i jej ojciec mogą się pogodzić i ponownie zaprzyjaźnić, a jeśli major będzie nadal

traktował go jak obcego, istnieje znakomite wyjście z sytuacji, młode panny i kawalerowie nie od dziś uciekają i zawierają małżeństwa, zaś ojcowie i matki, którzy wcześniej nie chcieli im przebaczyć, robią to po fakcie. Tak oburzająco bezpośrednio umizgi jak te pozostawiały pannie Milroy oczywiście tylko dwie możliwości: przyznać, że mówiła „nie”, podczas gdy miała na myśli „tak”, albo szukać ucieczki w kolejnym wybuchu oburzenia. „Jak pan śmie, panie Armadale? Niech pan natychmiast sobie idzie! To niegodne, bezduszne, całkowicie haniebne mówić mi takie rzeczy!”, i tak dalej, i tak dalej. Wydaje się to nieprawdopodobne, ale faktem jest, że był na tyle głupi, by jej uwierzyć. Przeprosił ją i odszedł jak dzieciak stawiany do kąta – najbardziej godny pogardy obiekt w postaci mężczyzny, jaki widziały ludzkie oczy!

Po tym, jak odszedł, odczekała, aż się uspokoi, a ja stałam wciąż za drzewami, żeby zobaczyć, co zrobi dalej. Jej wzrok ukradkowo powędrował w kierunku ścieżki, którą odszedł. Uśmiechnęła się (z jej ustami należałoby raczej powiedzieć: „wyszczrzyła się”), podeszła kilka kroków na palcach, aby za nim popatrzeć, znów się odwróciła i nagle wybuchnęła głośnym płaczem. Nie daję się tak łatwo nabrać jak Armadale i dobrze wiedziałam, co to wszystko ma znaczyć.

„Jutro”, pomyślałam sobie, „znów będziesz w parku, panienko, zupełnie przez przypadek. Pojutrze skłonisz go do oświadczenia ci się po raz drugi. Następnego dnia on zaryzykuje powrót do tematu ucieczki i potajemnego ślubu, a ty będziesz tylko na tyle zmieszana, aby zachować pozory przyzwoitości. A jeszcze kolejnego, jeśli będzie ci miał do zaproponowania plan, a ty ubrania gotowe do szkoły, posłuchasz go”. Tak, tak. Tam gdzie w grę wchodzi kobieta, czas zawsze działa na korzyść mężczyzny, o ile tylko ten jest dość cierpliwy, aby pozwolić mu sobie pomóc.

Pozwoliłam, by odeszła stamtąd i wróciła do domku zupełnie nieświadoma, że ją obserwowałam. Czekałam między drzewami, rozmyślając. Prawda jest taka, że byłam pod trudnym do opisanie wrażeniem tego, co widziałam i co słyszałam. Wydarzenie to rzuciło nowe światło na całą sprawę. Pokazało mi coś, czego nie podejrzewałam aż do dzisiejszego ranka – że ona naprawdę go kocha.

Jakkolwiek wielki jest wobec niej mój dług, nie ma teraz obaw, że nie spłacę go

co do pensa. Byłoby dla mnie nie lada sukcesem stanąć pomiędzy panną Milroy a jej ambicją zostania jedną z najznamienitszych dam w hrabstwie. Ale czymś o wiele większym, tam, gdzie w grę wchodzi jej pierwsza miłość, jest stanąć pomiędzy panną Milroy a pragnieniem jej serca. Czy mam wspomnieć na mą własną młodość i oszczędzić ją? Nie! Pozbawiła mnie jedynej szansy, aby zerwać więzy łączące mnie z dawnym życiem, zbyt strasznym, by o nim myśleć. Znów zostałam zepchnięta do położenia, w porównaniu z którym położenie ulicznego włóczęgi jest znośne i godne pozazdroszczenia. Nie, panno Milroy, nie, panie Armadale – nie oszczędzę żadnego z was.

Od kilku godzin jestem z powrotem w domu. Rozmyślałam i nic z tego nie wynikło. Od czasu, gdy w ostatnią niedzielę dostałam ten dziwny list od Midwintera, moja zwykła pomysłowość w trudnych chwilach opuściła mnie. Kiedy nie myślę o nim i jego historii, mój umysł jest całkiem otępiały. Ja, która w innych sytuacjach zawsze wiedziałam, co robić, teraz nie wiem, co począć. Oczywiście byłoby rzeczą całkiem prostą ostrzec majora Milroya o posunięciach córki. Ale major kocha swoją córkę, Armadale chce się z nim pogodzić, Armadale jest bogaty i żyje w dobrobycie, a także gotów jest podporządkować się starszemu mężczyźnie i wcześniej czy później znów będą przyjaciółmi, a potem nastąpi małżeństwo. Ostrzeżenie majora Milroya wywoła w nich tylko przelotny wstyd. Nie jest to sposób na to, by rozdzielić ich na dobre.

A zatem, jaki jest na to sposób? Nie znajduję go. Mogłabym rwać włosy z głowy! Mogłabym spalić dom! Gdyby pod kulą ziemską znajdował się pociąg z prochem, mogłabym go podpalić i wysadzić cały świat w powietrze – w takiej jestem furii, w takiej wściekłości na siebie za to, że nie znajduję sposobu.

Biedny, kochany Midwinter! Tak, „kochany”. Nie dbam o to. Jestem samotna i bezradna. Chciałabym, żeby zajął się mną ktoś delikatny i czuły. Chciałabym znów mieć jego głowę na piersi. Miałabym ochotę pojechać do Londynu i wyjść za niego za mąż. Czy jestem szalona? Tak. Wszyscy ludzie, którzy są tak nieszczęśliwi jak ja, są szaleni. Muszę podejść do okna i przewietrzyć się. Powinnam wyskoczyć? Nie, to tak strasznie zniekształca, a dochodzenie przyczyny zgonu oznacza, że wielu ludzi zobaczyłoby ten okropny widok.

Powietrze mnie orzeźwiło. Zaczynam sobie przypominać, że czas jest po mojej stronie. Nikt oprócz mnie nie wie, że pierwszą rzeczą, jaką robią rano, jest schadzka w parku. Jeśli stary, zazdrosny, przebiegły Bashwood spróbuje po kryjomu śledzić Armadale'a we własnym interesie, będzie to robił w godzinach pracy w biurze zarządcy. Nie wie nic o porannych zwyczajach panny Milroy i nie będzie go na miejscu, dopóki Armadale nie wróci do domu. Przez następny tydzień mogę czekać, obserwować ich i wybrać właściwy moment na interwencję, kiedy zobaczę, że Armadale ma szansę wykorzystać jej wahanie i skłonić ją, by powiedziała „tak”.

Tak więc czekam, nie wiedząc, jak się skończą sprawy, podczas gdy Midwinter jest w Londynie, moja portmonetka robi się coraz bardziej pusta, a na horyzoncie nie widać żadnych uczniów, którzy mogliby ją napełnić. Matka Oldershaw na pewno będzie się domagać zwrotu pieniędzy, gdy tylko odkryje, że zawiodłam. Zostałam bez perspektyw, bez przyjaciół, bez jakichkolwiek nadziei – jednym słowem, jestem kobietą zgubioną. No cóż! Powtarzam na okrągło – nie dbam o to. Zostaję tutaj, choćbym miała sprzedać ubrania, które mam na grzbiecie, choćbym miała nająć się w pubie i przygrywać brutalom przy barze, zostaję tutaj, aż nadejdzie czas i znajdę sposób na to, by rozdzielić na zawsze Armadale'a i pannę Milroy!

Siódma wieczorem. Czy są jakieś oznaki, że czas nadchodzi? Nie wiem. Są za to oznaki zmiany mojej pozycji w okolicy.

Przed chwilą przyszły dwie najstarsze i najbrzydsze z wielu starych i brzydkich dam, które zabrały stanowisko w mojej sprawie, kiedy opuściłam służbę u majora Milroya, z nieznośną zuchwałością wspaniałomyślnych Angielek zapowiadając się jako delegacja moich protektorek. Wygląda na to, że wiadomość o moim pojednaniu z Armadale'em wyciekła z pokojów służbowych w rezydencji i rozniosła się po miasteczku.

Jak zgodnie twierdzą moje „protektorki” (i major Milroy, z którym również się konsultowano), zachowałam się z najbardziej niewybaczalną nierozwagą, idąc do domu Armadale'a i rozmawiając na przyjaznej stopie z mężczyzną, którego zachowanie w stosunku do mnie uczyniło z jego nazwiska obelgę w całej okolicy. Mój całkowity brak szacunku dla samej siebie dał podstawy pogłoskom, że jak zwykle chcę coś sprytnie ugrać moją urodą i że ostatecznie mogę równie dobrze

skończyć, skłaniając Armadale'a do ożenienia się ze mną, jak i nie. Moje „protektorki” są rzecz jasna zbyt wspaniałomyślne, aby w to wierzyć. Czują się jedynie w obowiązku upomnieć mnie w duchu chrześcijańskim i ostrzec, że druga podobna nierozwaga z mojej strony zmusi wszystkich moich najlepszych przyjaciół tutaj do wycofania poparcia i protekcji, jakimi się teraz cieszę.

Zwróciwszy się do mnie naprzemiennie tymi słowami (ewidentnie przeciwionymi zawczasu), moje dwie gorgony wyprostowały się na krzesłach i spojrzały na mnie, jakby chciały powiedzieć: „Mogłaś wiele razy słyszeć o cnoce, panno Gwilt, ale nigdy tak naprawdę nie widziałaś jej w całej okazałości, dopóki nie złożyłyśmy ci wizyty”.

Widząc, że chcą koniecznie mnie sprowokować, zachowałam opanowanie i odpowiedziałam, jak mogłam najmilej. Zauważyłam, że wśród pewnej klasy poważanych ludzi chrześcijaństwo zaczyna się w niedzielę o jedenastej rano wraz z otwarciem modlitewnika, a kończy o pierwszej po południu wraz z jego zamknięciem. Nic tak nie zdumiewa i nie znieważa chrześcijan tego rodzaju, jak przypominanie im o ich chrześcijaństwie w dzień powszedni. Zgodnie z tą myślą przemówiłam.

„Co takiego złego zrobiłam?”, spytałam niewinnie. „Pan Armadale mnie skrzywdził, a ja poszłam do jego domu i wybaczyłam mu krzywdę. Tu na pewno musi być jakiś błąd. Nie mogą panie przychodzić tu upominać mnie w duchu chrześcijańskim za spełnienie chrześcijańskiego uczynku, prawda?”

Obie gorgony wstały. Jestem głęboko przekonana, że niektóre z kobiet mają nie tylko kocie twarze, ale i kocie ogony. Jestem pewna, że ogony tych dwóch konkretnych kotek poruszały się wolno pod ich halkami i powiększyły się cztery razy w stosunku do normalnej wielkości.

„Byłyśmy przygotowane na złość, panno Gwilt, ale nie na bezbożność”, rzekły. „Życzymy dobrej nocy”.

Wyszły i w ten oto sposób okoliczne protektorki przestały się interesować „panną Gwilt”.

Ciekawe, co wyniknie z tej tandetnej awantury? Wyniknie jedna rzecz, którą już

jestem w stanie przewidzieć. Pogłoska dotrze do uszu panny Milroy, ta będzie nalegać, aby Armadale się usprawiedliwić, zaś on zapewni ją o swojej niewinności, oświadczając się po raz wtóry. Całkiem możliwe, że to przyspieszy rozwój wydarzeń między nimi, przynajmniej tak by było w moim przypadku. Gdybym znalazła się na jej miejscu, pomyślałabym „usidlę go, póki mogę”. Jeśli jutro nie będzie padać, chyba odbędę kolejny poranny spacer w kierunku parku.

Północ. Skoro nie mogę zażyć moich kropli, mając w planach poranny spacer, mogę równie dobrze zapomnieć o spaniu i pisać dalej. Zresztą nawet gdybym wzięła krople, wątpię, czy udałoby mi się spokojnie zasnąć. Od czasu, gdy minęło drobne wzburzenie wywołane incydem z moimi „protektorkami”, dręczą mnie obawy, które nie dałyby mi wielkich szans na odpoczynek.

Nie wiem czemu, ale pożegnalne słowa, jakie wypowiedział ten drań prawnik do Armadale’a, powróciły do mnie! Oto one, przytoczone w liście pana Bashwoda: „Ciekawość kogoś innego może sprawić, że zaczniesz w miejscu, w którym pan (i ja) skończył, i ręka kogoś innego może jeszcze odsłonić przed światem prawdziwe oblicze panny Gwilt”.

Co on miał na myśli? I co miał na myśli potem, kiedy wyprzedził starego Bashwoda na podjeździe i powiedział mu, żeby zaspokoił swoją ciekawość? Czy ten wstrętny Pedgift przypuszcza, że jest szansa...? Absurd! Wystarczy, że spojrzę na to cherlawe stworzenie, a nie ośmieli się podnieść małego palca, zanim mu nie rozkażę. On i węszenie w moim dawnym życiu, dobre sobie! Ludzie, którzy mieli dziesięć razy cięższe głowy od niego i sto razy większą odwagę, próbowali i bardzo rozsądnie się wycofywali.

Może jednak lepiej było nie wpadać w złość, kiedy Bashwood był tu ostatnio? A jeszcze lepiej byłoby, gdybym spotkała go jutro i pozwoliła ponownie wkupić się w moje łaski, dając mu zadanie do wykonania. Może by tak powiedzieć mu, by miał oko na obu Pedgiftów i zorientował się, czy istnieje szansa, że odnowią stosunki z Armadale’em? Na nic takiego się nie zanosz, ale gdybym zleciła staremu Bashwoodowi to zadanie, schlebiłoby to jego poczuciu, że jest dla mnie ważny, a jednocześnie miałyby ten znakomity skutek, że nie wchodziłby mi w drogę.

Czwartek rano, dziewiąta. Właśnie wróciłam z parku.

Chociaż raz okazałam się dobrym prorokiem. Byli razem, o tej samej godzinie, w tym samym ustronnym miejscu wśród drzew, a panienska miała dokładny meldunek o mojej wizycie w rezydencji i uderzyła w stosowny ton.

Powiedziawszy kilka rzeczy o mnie, których na pewno mu nie zapomnę, Armadale zaczął przekonywać ją o swej stałości, co z góry czułam, że zrobi. Ponowił propozycję małżeństwa, tym razem ze znakomitym skutkiem. Pojawiły się łzy, pocałunki i protesty i moja była uczennica wreszcie otworzyła przed nim serce w sposób jak najbardziej niewinny. Dom, jak przyznała, tak jej ostatnio obrzydł, że obrzydliwsze było tylko pójście do szkoły. Nastrój matki robił się z dnia na dzień coraz bardziej wybuchowy i nieznośny. Opiekunka, będąca jedyną osobą, która miała na nią jakiś wpływ, odeszła zniechęcona. Ojca coraz bardziej pochłaniał zegar, a przygnębiające sceny z udziałem matki, które powtarzały się teraz niemal dzień w dzień, tylko utwierdzały go w przekonaniu, że córkę należy odesłać z domu. Czekałam, wysłuchując tych wszystkich rodzinnych rewelacji i mając nadzieję, że usłyszę, jak dyskutują o planach na przyszłość. W końcu, po długiej próbie, moja cierpliwość została wreszcie nagrodzona.

Pierwsza sugestia (co było naturalne w przypadku takiego głupca, jak Armadale) wyszła od dziewczyny.

Poddała pomysł, którego, przyznaję, nie przewidziałam. Zaproponowała, żeby Armadale napisał list do jej ojca i, jeszcze sprytniej, zapobiegła wszelkim obawom, że popełni gafę, podpowiadając mu, co ma napisać. Miał się przedstawić jako głęboko zasmucony oziębieniem stosunków z majorem i poprosić, aby wolno mu było złożyć wizytę w domku i powiedzieć kilka słów na swoje usprawiedliwienie. To wszystko. Listu nie należy wysyłać dzisiaj, ponieważ do domku przychodzą kandydatki na opiekunkę pani Milroy, a przyjmowanie i indagowanie ich wprawi ojca, który nie lubi takich rzeczy, w nastrój niesprzyjający przychylnemu rozpatrzeniu prośby Armadale'a. Najlepszym dniem na wysłanie listu będzie piątek, a w sobotę rano, o ile odpowiedź nie okaże się przychylna, mogą spotkać się znowu. „Nie chcę oszukiwać ojca. Zawsze był dla mnie taki dobry. I nie będzie potrzeby oszukiwać go, Allanie, jeśli tylko zdołamy z powrotem was pogodzić”. Tak brzmiały ostatnie słowa małej obłudnicy, gdy odchodziłam.

Co zrobi major? Sobotni poranek pokaże. Nie będę o tym myśleć, dopóki nie przyjdzie i nie minie sobota rano. Nie są jeszcze mężem i żoną i powtarzam jeszcze raz, choć moja głowa nadal jest bezradna, nigdy nimi nie będą.

Wracając do domu, zobaczyłam Bashwooda przy stole nakrytym do śniadania, na którym znajdowały się stary, czarny imbryk, mały bochenek chleba, jeden tani kawałek tłustego masła i brudna, pocerowana serweta. Mdli mnie na samo wspomnienie o tym.

Przymilałam się i pokrzepiałam to stare, nieszczęsne stworzenie, aż łzy stanęły mu w oczach i zarumienił się z przyjemności. Nader skwapliwie zobowiązał się mieć oko na Pedgiftów. O Pedgificie starszym powiedział, że kiedy już raz się go podburzy, jest najbardziej upartym człowiekiem na świecie; nic nie skłoni go, aby ustąpił, chyba że Armadale również ustąpi ze swej strony. Pedgift młodszy jest z nich dwóch o wiele bardziej skłonny do zgody. Takie jest przynajmniej zdanie Bashwooda. Teraz to, co się zdarzy, nie ma większego znaczenia. Najważniejsze to znów podporządkować sobie mojego leciwego wielbiciela. A to się udało.

Dziś rano poczta się spóźniła. Przyszła dopiero co i przyniosła mi list od Midwintera.

To czarujący list. Schlebia mi i przyprawia mnie o dreszczyk, zupełnie jakbym znowu była młodą dziewczyną. Żadnych wymówek, że ani razu nie napisałam, żadnego wstrętnego poganiania mnie, abym go poślubiła. Pisze tylko, żeby przekazać mi wiadomość. Za pośrednictwem swoich prawników znalazł możliwość zatrudnienia jako nieregularny korespondent gazety, która ma zacząć wychodzić w Londynie. Praca będzie wymagała opuszczenia Anglii i udania się na kontynent, co jest idealnie zgodne z jego własnymi życzeniami, nie może jednak rozważyć propozycji na poważnie, dopóki nie upewni się, że jest ona zgodna również z moimi życzeniami. Nie zna żadnej innej woli, jak moja własna i mnie pozostawia decyzję, wymieniając termin, do którego może nadesłać odpowiedź. Jest to data, rzecz jasna (jeśli zgodzę się na jego wyjazd), określająca, do kiedy muszę go poślubić. Ale o tym nie ma ani słowa w liście. Nie prosi o nic więcej jak widok mojego pisma, które pomoże mu przetrwać okres rozłąki.

List, niezbyt długi, ale tak ładnie sformułowany.

Myślę, że znam sekret jego chęci wyjazdu za granicę. Ten szalony pomysł, aby sprawić, że jego i Armadale'a rozdzielią góry i morza, nadal chodzi mu po głowie. Tak jakbyśmy on albo ja mogli uciec przed tym, co jest nam przeznaczone – pod warunkiem, że faktycznie jest nam przeznaczone – oddalając się od Armadale'a o kilkaset lub kilka tysięcy mil! Co za dziwna niedorzeczność i brak logiki! A jednak lubię go za to, że jest niedorzeczny i nielogiczny. Czy nie dostrzegam bowiem jasno, że to moja osoba znajduje się u podstaw takiego stanu rzeczy? Kto prowadzi tego bystrego mężczyznę na manowce wbrew niemu? Kto zaślepia go tak, że w swoim własnym zachowaniu nie widzi sprzeczności, którą wyraźnie widziałby w zachowaniu kogoś innego? Jak wielką ciekawość wobec niego czuję! Jakże niebezpiecznie blisko jestem momentu, w którym przymknę oko na przeszłość i pozwolę sobie zakochać się w nim! Ciekawe, czy Ewa bardziej kochała Adama po tym, jak namówiła go na zjedzenie jabłka? Ja na jej miejscu wprost bym go uwielbiała. (Ważne: napisać czarujący liścik do Midwintera, załączając pocałunki, i, jako że dano mu czas na nadesłanie odpowiedzi, również poprosić go o czas do namysłu, nim napiszę, czy pojedę z nim za granicę, czy też nie).

Piąta. Męcząca wizyta mojej gospodyni, spragnionej pogawędki, przynosząca pełno nowinek, które według niej mnie zainteresują.

Okazuje się, że zna była opiekunkę pani Milroy i dziś po południu odprowadzała swoją przyjaciółkę na stację. Rozmawiały, rzecz jasna, o sytuacji w domku i w rozmowie padło moje nazwisko. Według opiekunki, o ile można jej wierzyć, myślę się, uważając, że to panna Milroy jest odpowiedzialna za wysłanie pana Armadale'a do osoby mnie polecającej w Londynie. Panienka tak naprawdę o niczym nie wiedziała, a wszystko zaczęło się od ślepej zazdrości jej matki o mnie. Obecna napięta sytuacja w domku ma wyłącznie ten sam powód. Pani Milroy jest głęboko przekonana, że pozostaję w Thorpe Ambrose, ponieważ mam jakieś sekretne sposoby porozumiewania się z majorem, których ona nie potrafi odkryć. Żywiąc to przekonanie, stała się tak nieznośna, że nikt nie zagrzeje miejsca na służbie u niej i prędzej czy później major, czy tego chce, czy nie, będzie musiał oddać ją pod fachową opiekę medyczną.

Oto sedno tego, co miała mi do powiedzenia moja nużąca gospodyni. Nie muszę

dodawać, że nic a nic mnie to nie obeszło. Nawet jeśli zapewnienie opiekunki jest wiarygodne, w co wątpię, nie ma to teraz znaczenia. Wiem, że to panna Milroy i tylko ona całkowicie zniszczyła moje widoki na zostanie panią Armadale z Thorpe Ambrose i nic więcej mnie nie obchodzi. Jeśli to prawda, że jej matka próbowała zdemaskować moje fałszywe referencje, przynajmniej wydaje się teraz z tego powodu cierpieć. Tak więc: do widzenia pani Milroy i niech mnie niebiosa bronią przed kolejnymi pożegnalnymi rzutami oka na domek przez okulary mojej gospodyni!

Dziewiąta wieczorem. Bashwood, który przyniósł wieści z rezydencji, właśnie wyszedł. Dziś Pedgift młodszy próbował doprowadzić do zgody i poległ. Jestem wyłącznym powodem tej porażki. Armadale jest całkiem skłonny pogodzić się, o ile Pedgift starszy będzie na przyszłość unikał okazji do sporów, nie powracając już do tematu panny Gwilt. Jednak jest to dokładnie ten warunek, którego ojciec Pedgifta – mając swoje zdanie na temat mnie i moich sprawek – uważa za swój obowiązek wobec Armadale'a nie przyjąć. Tak więc prawnik i jego klient pozostają sobie równie dalecy jak dotąd i przeszkoda w postaci Pedgiftów zostaje usunięta z mojej drogi.

Mogła to być bardzo kłopotliwa przeszkoda, jeśli chodzi o Pedgifta starszego, jeżeli wprowadzono by w życie jedną z jego propozycji, to znaczy gdyby ściągnięto z Londynu policjanta, aby na mnie spojrział. Nawet teraz aktualnym pozostaje pytanie, czy nie lepiej bym zrobiła, zakładając gęsty woal, który zawsze noszę w Londynie i innych ludnych miejscach. Jedyne problemy polegają na tym, że w tej ciekawskiej mieścinie widok mnie chodzącej w lecie w gęstym woalu zwróciłby powszechną uwagę.

Jest dziesiąta. Mitręzę czas nad moim dziennikiem dłużej, niż myślałam.

Żadne słowa nie opiszą, jak znużona i ospała się czuję. Czemu nie wezmę kropli na sen i nie pójdę się położyć? Jutro rano nie ma spotkania Armadale'a i panny Milroy, które zmusiłoby mnie do wczesnego wstawania. Czy próbuję po raz setny ułożyć sobie plan na przyszłość, czy próbuję, przy moim obecnym zmęczeniu, znów być tą bystrą kobietą, którą kiedyś byłam, zanim zwały się na mnie wszystkie troski? Czy też przekornie boję się łóżka, kiedy najbardziej go potrzebuję? Nie

wiem. Jestem zmęczona i nieszczęśliwa. Wyglądam okropnie staro i mizernie. Przy odrobinie zachęty mogłabym być na tyle głupia, aby się rozpłakać. Na szczęście nie ma nikogo, kto by mnie zachęcił. Ciekawa jestem, jakże okaże się ta noc...

Pochmurna noc, z księżycem, który ukazuje się co jakiś czas, i wzmagającym się wiatrem. Słysząc teraz jego wycie pomiędzy ruderami na końcu ulicy. Muszę mieć nieco skołatane nerwy. Właśnie przed chwilą przestraszył mnie cień na ścianie. Dopiero po chwili zebrałam się na odwagę, aby spojrzeć, gdzie jest świeca, i przekonać się, że to był mój własny cień.

Cienie przypominają mi o Midwinterze, albo, jeśli nie cienie, coś innego mi o nim przypomina. Muszę jeszcze raz spojrzeć na jego list, a potem bezwzględnie pójść spać.

W końcu się w nim zakocham. Jeśli będę dłużej pozostawać w tym samotnym, niepewnym stanie, taka chwiejna, tak inna od mojego zwykłego sposobu bycia, w końcu się w nim zakocham. Co za szaleństwo! Tak jakbym kiedykolwiek znów mogła kochać mężczyznę!

A gdybym tak powzięła jedną z moich nagłych decyzji i go poślubiła? Jakkolwiek biedny, dałby mi, jako swojej żonie, nazwisko i pozycję. Przekonajmy się, jak nazwisko – jego własne nazwisko – wyglądałoby, gdybym faktycznie zgodziła się je przyjąć.

Pani Armadale! Ładnie.

Pani Allanowa Armadale! Jeszcze ładniej.

Muszę mieć skołatane nerwy. Teraz przeraża mnie moje własne pismo! Jest takie dziwne, że mogłoby przerazić każdego. Zbieżność tych dwóch nazwisk nigdy wcześniej nie uderzyła mnie pod tym względem. Nieważne, którego bym poślubiła, moje nazwisko, rzecz prosta, byłoby takie samo. Byłabym panią Armadale, gdybym poślubiła jasnowłosego Allana w rezydencji. I mogę nadal być panią Armadale, jeśli poślubię ciemnowłosego Allana w Londynie. Pisanie o tym doprowadza mnie niemal do szału – czuję, że coś powinno z tego wyniknąć, a okazuje się, że nie wynika nic.

Jak coś może z tego wyniknąć? Gdybym naprawdę pojechała do Londynu i poślubiła go pod jego prawdziwym nazwiskiem (tak jak oczywiście musiałabym go

poślubić), czy pozwoliliby mi go potem używać? Mając te wszystkie powody, aby ukrywać swoje prawdziwe nazwisko, nalegałby – nie, zbyt bardzo mnie kocha, aby to zrobić – poprosiłby mnie, abym przyjęła nazwisko, które przybrał. Pani Midwinter. Ohydnie. Ozias również, gdybym chciała zwracać się do niego poufale, jak na żonę przystało. Gorzej niż ohydnie!

A jednak znalazłby się pewien powód, aby mu pod tym względem ustąpić, gdyby mnie poprosił.

Niech ten drań z rezydencji przypadkiem opuści te strony jako kawaler i niech, podczas jego nieobecności, ktoś z ludzi, którzy go znają, usłyszy o pani Allanowej Armadale, od razu pomyśli, że chodzi o jego żonę. Nawet gdyby mnie zobaczyli, nawet gdybym pojawiła się między nimi pod tym nazwiskiem, a nie byłoby jego, żeby temu zaprzeczyć, jego własni służący pierwsi powiedzieliby: „Wiedzieliśmy, że jednak za niego wyjdzie!”. A moje protektorki, które teraz, po naszej kłótni, gotowe będą uwierzyć we wszystko, co się o mnie powie, dołączą się do chóru półgłosem: „Pomyśl tylko, kochana, pogłoski, które tak nas zszokowały, okazują się jednak być prawdziwe!”. Nie. Jeśli poślubię Midwintera, albo będę musiała bezustannie stawiać siebie i mojego męża w niezręcznej sytuacji, albo muszę zostawić jego prawdziwe nazwisko, jego ładne, romantyczne nazwisko za drzwiami kościoła.

Mojego męża! Tak jakbym naprawdę miała go poślubić! Nie poślubię go i dosyć tego.

Wpół do jedenastej. O Boże! O Boże! Jak pulsuje mi w skroniach i jak pieką mnie moje zmęczone oczy! Księżyc zagląda do mnie przez okno. Jak szybko pojedyncze, małe obłoczki przemykają gnane wiatrem! Raz odsłaniają księżyc, a raz zasłaniają. Jakie dziwne kształty przybierają plamki żółtego światła i znów w jednej chwili je zatracają! Gdziekolwiek spojrzę, nie ma dla mnie ukojenia. Świeca nie przestaje migotać i nawet niebo jest tej nocy niespokojne.

„Do łóżka! Do łóżka!”, jak mówi Lady Macbeth. À propos, ciekawe, co Lady Macbeth zrobiłaby na moim miejscu? Zabiłaby kogoś, gdy tylko zaczęłyby się jej kłopoty. Najpewniej Armadale’a.

Piątek rano. Przespana noc, znowu dzięki moim kroplom. Poszłam na śniadanie

w lepszym nastroju i otrzymałam poranne pozdrowienie w postaci listu od pani Oldershaw.

Moje milczenie nie pozostawiło Matki Jezabel obojętnej. Przypisuje je właściwym powodom i wreszcie pokazuje pazurki. Jeśli nie dam rady spłacić mojego weksla na trzydzieści funtów w następny wtorek, jej prawnik ma „podjąć zwyczajne kroki”. Nie dam rady go spłacić! Po tym, jak dziś zapłaciłam mojemu gospodarzowi, zostało mi jedynie pięć funtów! Nie mam żadnych widoków na to, że do wtorku zarobię jakieś pieniądze, a nie posiadam tutaj przyjaciela, który pożyczylby mi chociaż sześć pensów. Przy wszystkich problemach, jakie na mnie spadły, brakowało tylko tego jednego do kompletu i proszę, oto jest.

Midwinter pomógłby mi, rzecz jasna, gdybym potrafiła zdobyć się na to, aby go prosić o pomoc. Ale to oznacza wyjście za niego za męża. Czy naprawdę jestem już tak zdesperowana i tak bezradna, aby skończyć w ten sposób? Nie, jeszcze nie teraz.

Głowa mi ciąży. Muszę wyjść na świeże powietrze i to przemyśleć.

Druga. Myślę, że zaraziłam się od Midwintera przesądnością. Zaczynam wierzyć, że wypadki popychają mnie coraz bliżej jakiegoś celu, którego jeszcze nie widzę, ale który, o czym jestem głęboko przekonana, nie jest już daleko.

Zostałam znieważona – umyślnie znieważona przy świadkach – przez pannę Milroy.

Po tym, jak przeszłam się, jak zwykle, w najmniej uczęszczane miejsce, jakie mogłam znaleźć, i po niezbyt udanych próbach obmyślenia z jakimś dobrym skutkiem, co mam dalej robić, przypomniałam sobie, że potrzebuję papieru do pisania i piór i wróciłam do miasteczka do sklepu papierniczego. Może rozsądnej było posłać po potrzebne rzeczy. Ale miałam dość siebie i swoich pustych pokoi i postanowiłam sama załatwić sprawunki, po to jedynie, aby czymś się zająć.

Właśnie weszłam do sklepu i prosiłam o potrzebne rzeczy, kiedy weszła inna klientka. Obie podniosłyśmy wzrok i rozpoznałyśmy się w tej samej chwili: była to panna Milroy.

Oprócz mężczyzny, który mnie obsługiwał, za ladą byli jeszcze kobieta i chłopak. Kobieta uprzejmie zwróciła się do nowej klientki: „Co możemy dla

panienki zrobić?”. Dla podkreślenia swych słów panna Milroy spojrzała mi prosto w oczy, po czym odpowiedziała: „Na razie nic, dziękuję. Wrócę, gdy sklep będzie pusty”.

Wyszła. Trzy osoby znajdujące się w sklepie spojrzały na mnie w milczeniu. Ja z kolei w milczeniu zapłaciłam za sprawunki i wyszłam. Nie wiem, jak bym się poczuła, gdybym była w swoim zwykłym nastroju. W moim obecnym stanie niepokoju i wzburzenia nie zaprzeczam, że dziewczyna mnie ubodła.

W chwili słabości (bo nic innego to nie było) bliska byłam odpłacenia jej za ową drobną złośliwość równie drobną złośliwością z mojej strony. Przemierzyłam całą ulicę w stronę domku majora z postanowieniem, że wyjawię mu sekret porannych spacerów jego córki, dopóki nie poszłam po rozum do głowy. Kiedy już ochłonęłam, natychmiast zawróciłam i wróciłam do domu. Nie, nie, panno Milroy, chwilowe zamieszanie w domku, które skończyłoby się tylko tym, że twój ojciec by ci przebaczył, a Armadale skorzystał na jego pobłażliwości, ani w ułamku nie spłaci długu, jaki u ciebie zaciągnęłam. Nie zapomniałam, że upatrzyłaś sobie Armadale’a i że major, cokolwiek by nie mówił, zawsze dotąd ci ustępował. Może mój rozum staje się coraz bardziej przytępiały, ale jeszcze mnie całkiem nie zawiódł.

W międzyczasie, jest tu list Matki Oldershaw, który uparcie czeka na odpowiedź, a ja nie wiem, co z nim zrobić. Mam na niego odpisać czy nie? Na razie to nie ma znaczenia. Do odjazdu poczty pozostało jeszcze kilka godzin.

A gdybym tak poprosiła Armadale’a, żeby pożyczył mi pieniędzy? Z przyjemnością coś bym od niego wyciągnęła i myślę, że przy obecnych stosunkach z panną Milroy zrobiłby wszystko, byle się mnie pozbyć. To byłoby dość podłe z mojej strony. Phi! Kiedy się kogoś nienawidzi i gardzi nim tak, jak ja nienawidzę i gardzę Armadale’em, kto by się przejmował tym, że okaże się podły w jego oczach?

A jednak moja duma – albo coś innego, nie wiem co – wzbrania się przed tym.

Wpół do trzeciej, dopiero wpół do trzeciej. Ach, to okropne znużenie długich, letnich dni! Nie mogę dłużej tak rozmyślać i rozmyślać, muszę zrobić coś, żeby się rozerwać. Może zasiąść do pianina? Nie, nie nadaję się do tego. Robótka? Nie, znów

zacznę rozmyślać, kiedy wezmę do ręki igłę. Mężczyzna na moim miejscu szukałby uciezki w picciu. Nie jestem mężczyzną i nie potrafię pić. Będę mitrzyć czas nad moimi sukniami i uporządkuję rzeczy.

Minęła godzina? Ponad godzina. Wydaje się, jakby to była minuta.

Nie mogę wracać do wcześniej zapisanych stron, ale wiem, że napisałam gdzieś, iż czuję, jakbym zbliżała się coraz bliżej jakiegoś celu, który nadal jest przede mną zakryty. Cel nie jest już zakryty. Mgła, która mąciła mi umysł, rozwiała się, bielmo spadło mi z oczu. Widzę go, widzę!

Sam do mnie przyszedł – nie szukałam go. Nawet gdybym leżała na łożu śmierci, mogłabym z czystym sumieniem przysiąc, że go nie szukałam.

Przeglądałam tylko swoje rzeczy. Byłam zajęta czynnością tak bezmyślną i błahą, jakbym była najbardziej bezmyślną i niefrasobliwą kobietą na świecie. Przeglądałam suknie i bieliznę. Czy może być coś bardziej niewinnego? Dzieci przeglądają suknie i bieliznę.

Był taki długi, letni dzień, a ja czułam się tak znużona sobą. Następnie przeszłam do moich kufków. Najpierw przejrzałam duży, który zazwyczaj zostawiam otwarty, a potem zajęłam się małym, który zawsze trzymam zamknięty na klucz.

Przeglądając po kolei zawartość kufra, doszłam wreszcie do pliku listów na dnie – listów od mężczyzny, dla którego niegdyś poświęciłam i wycierpiałam wszystko, mężczyzny, który sprawił, że stałam się tym, czym jestem.

Sto razy postanawiałam spalić te listy, ale nigdy tego nie zrobiłam. Tym razem powiedziałam tylko: „Nie przeczytam ich!”. I przeczytałam.

Łajdak – fałszywy, tchórzliwy, bezduszny łajdak – co mam teraz zrobić z jego listami? Och, niedola bycia kobietą! Och, nędza, do której może nas skusić pamięć o mężczyźnie po tym, jak miłość do niego dawno uleciała! Przeczytałam listy. Czułam się tak samotna i nieszczęśliwa, że przeczytałam listy.

Doszłam do ostatniego – listu, który napisał, aby mnie zachęcić w chwili

wahania, kiedy zbliżała się straszna godzina, listu, który mnie pobudził, gdy w ostatnim momencie zachwiałam się w swoim postanowieniu. Czytałam linijka po linijce, aż dotarłam do tych słów:

„Doprawdy, nie mam cierpliwości do tych głupstw, które wypisujesz. Piszesz, że popycham Cię do zrobienia czegoś, co przekracza odwagę kobiety. Czyżby? Mogę Cię odesłać do dowolnego zbioru procesów sądowych, angielskich i zagranicznych, aby Ci udowodnić, jak bardzo się mylisz. Ale taki zbiór może być dla Ciebie niedostępny, więc przedstawię Ci tylko przypadek, o którym wspomina wczorajsza gazeta. Okoliczności są zupełnie różne od naszych, ale przykład kobiecego zdecydowania wart jest Twojej uwagi.

Znajdziesz tam, pomiędzy sprawozdaniami z rozpraw sądowych, przypadek zamężnej kobiety oskarżonej o nielegalne podawanie się za zaginioną wdowę po oficerze marynarki handlowej, który przypuszczalnie utonął. Tak się złożyło, że imię i nazwisko (oba bardzo popularne) męża (żyjącego) oskarżonej i oficera były identyczne. W grę wchodziło zdobycie pieniędzy (rozpaczliwie potrzebnych mężowi oskarżonej, któremu była niezwykle oddana) w razie, gdyby oszustwo się powiodło. Kobieta wzięła wszystko na siebie. Jej mąż był bezradny i chory, ścigany przez komorników. Okoliczności, jak sama możesz przeczytać, były po jej stronie i tak dobrze potrafiła je wykorzystać, że sami prawnicy przyznali, iż mogło jej się udać, gdyby rzekomy topielec w ostatniej chwili nie zjawił się żywy, aby jej zaprzeczyć. Scena ta miała miejsce w kancelarii prawniczej, a ujrzała światło dzienne w zeznaniach złożonych w sądzie do spraw wykroczeń. Kobieta była piękna, a marynarz dobronny. Najpierw, jeśli prawnicy by na to pozwolili, chciał, aby darowano jej winę. Powiedział do niej między innymi: „Nie spodziewała się pani, że topielec wróci cały i zdrowy, prawda?”. „Ma pan szczęście”, rzekła, „że się tego nie spodziewałam. Uszedł pan morzu, ale nie uszedłby mnie”. „Jak to, co by pani zrobiła, gdyby dowiedziała się, że wróciłem?”, pyta marynarz. Spojrzała mu prosto w oczy i odparła: „Zabiłabym pana”. Proszę! Czy myślisz, że kobieta taka jak ta napisałaby do mnie, że popycham ją do czegoś, czego nie ma odwagi zrobić? Piękna kobieta, tak jak Ty. Doprowadziłabyś niektórych mężczyzn w mojej sytuacji do tego, że chcieliby ją mieć”.

Dalej nie czytałam. Kiedy linijka po linijce doszłam do tych słów, doznałam olśnienia. W jednej chwili zobaczyłam to równie jasno, jak widzę teraz. To straszne, niesłychane, przekracza najśmielszą śmiałość, ale jeśli tylko potrafię zdobyć się na to, aby stawić czoła jednej strasznej konieczności, jest to wykonalne. Mogę podszyć się pod dobrze uposażoną wdowę po Allanie Armadale'u z Thorpe Ambrose, jeśli mogę liczyć na śmierć Allana Armadale'a we właściwym czasie.

Oto, nie owijając w bawełnę, jest straszliwa pokusa, której, teraz czuję, ulegam. Jest ona straszliwa pod więcej niż jednym względem, ponieważ pochodzi wprost od innej pokusy, której uległam w przeszłości.

Tak, list czekał na mnie w kufrze, aby posłużyć do celu, o którym nigdy się nie śniło jego autorowi. Jest w nim przypadek, jak on to nazwał, przytoczony tylko po to, by mi dokuczyć, zupełnie inny niż mój własny przypadek w owym czasie. Czekał na mnie, przyczajony, przez wszystkie zawirowania, jakie miały miejsce w moim życiu, aż w końcu zaczął przypominać mój przypadek.

Fakt dostrzeżenia tego mógłby przestraszyć każdą kobietę, ale nawet nie to jest najgorsze. Wszystko było w moim dzienniku od wielu dni, a ja o tym nie wiedziałam! Każdy płonny pomysł, który rodził się w mojej głowie, prowadził po cichu w tym kierunku! A ja nigdy tego nie dostrzegałam, nigdy nie podejrzewałam, dopóki lektura listu nie ukazała mi moich własnych myśli w nowym świetle, dopóki nie ujrzałam cienia mojego własnego położenia odbitego w jednej szczególnej okoliczności przypadku tamtej kobiety!

Można to zrobić, jeśli tylko potrafię stanąć twarzą w twarz z koniecznością. Można to zrobić, jeśli mogę liczyć na śmierć Allana Armadale'a we właściwym czasie.

Wszystko oprócz jego śmierci jest proste. Cały ciąg wydarzeń, na które ślepo utyskiwałam i którymi się martwiłam przez ponad tydzień, był ciągiem wydarzeń działających – choć byłam zbyt głupia, aby to zauważyć – na moją korzyść, wydarzeń, które torowały mi prostą drogę do celu.

Cel ten można osiągnąć w trzech – zaledwie trzech! – śmiałych krokach. Krok pierwszy: niech Midwinter poślubi mnie w tajemnicy, pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Krok drugi: niech Armadale wyjedzie z Thorpe Ambrose jako kawaler

i umrze w jakimś odległym miejscu wśród obcych.

Dlaczego się waham? Dlaczego nie przejść do trzeciego i ostatniego kroku?

Zrobię to. Krok trzeci i ostatni to moje pojawienie się po tym, jak wiadomość o śmierci Armadale'a dotrze w te strony, w charakterze wdowy po Armadale'u z metryką ślubu w dłoni na poparcie mojego tytułu do roszczeń. To jasne jak słońce. Dzięki zbieżności nazwisk i dzięki ostrożności, z jaką tajemnica tej zbieżności była strzeżona, mogę być żoną ciemnowłosego Allana Armadale'a, znanego pod tym nazwiskiem tylko sobie i mnie, i mogę, wychodząc z tej samej pozycji, podawać się za wdowę po jasnowłosym Allanie Armadale'u, mając na swoje poparcie dowód (w postaci metryki ślubu), który byłby wiarygodny w oczach największego sceptyka.

Pomyśleć tylko, że wszystko to zawarłam w swoim dzienniku! Pomyśleć, że rozważałam tę właśnie sytuację, nie widząc w niej wtedy niczego więcej jak powodu (gdybym poślubiła Midwintera), aby zgodzić się występować pod przybranym nazwiskiem mojego męża!

Co mnie onieśmiela? Obawa przed przeszkodami? Lęk przed odkryciem?

Gdzie są przeszkody? Gdzie jest lęk przed odkryciem?

Cała okolica podejrzewa mnie o to, że intryguję, aby zostać panią Thorpe Ambrose. Jestem jedyną osobą, która wie, w jakim kierunku zwróciły się sympatie Armadale'a. Żadna istota poza mną nie jest jak dotąd świadoma jego porannych spotkań z panną Milroy. Jeśli koniecznym będzie ich rozdzielić, mogę to zrobić w każdej chwili, wysyłając anonimowy liścik do majora. Jeśli koniecznym będzie usunąć Armadale'a z Thorpe Ambrose, mogę go wywabić w przeciągu trzech dni. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, z jego własnych ust padło zapewnienie, że poszedłby na koniec świata, aby na powrót zaprzyjaźnić się z Midwinterem, gdyby ten tylko mu na to pozwolił. Wystarczy, że powiem Midwinterowi, aby napisał z Londynu i poprosił o zgodę, a Midwinter mnie posłucha i Armadale pojedzie do Londynu. Każda trudność zostaje przede mną usunięta już na starcie. Z każdą dalszą trudnością sama będę mogła sobie poradzić. W całym tym przedsięwzięciu – jakkolwiek karkołomne może wydawać się udawanie wdowy po jednym mężczyźnie, podczas gdy cały czas jest się żoną drugiego – nie ma absolutnie żadnej

konieczności, nad którą trzeba by się dwa razy zastanawiać, z wyjątkiem tej jednej strasznej konieczności, jaką jest śmierć Armadale'a.

Jego śmierć! Może być straszną koniecznością dla każdej innej kobiety, ale czy jest, czy powinna być straszna dla mnie?

Nienawidzę go z powodu jego matki. Nienawidzę go z jego własnego powodu. Nienawidzę go za to, że za moimi plecami pojechał węszyć za mną do Londynu. Nienawidzę go za to, że zmusił mnie do odejścia z posady, nim sama zechciałam odejść. Nienawidzę go za to, że niszczył wszelkie moje nadzieje na poślubienie go i pchnął mnie, bezradną, z powrotem w koszmar mojego nieszczęsnego życia. Ale, och, po tym, co już raz zrobiłam w przeszłości, jak mogę? Jak mogę?

Dziewczyna również... Dziewczyna, która weszła pomiędzy nas, która mi go odebrała, która otwarcie mnie dziś znieważyla... Jak dziewczyna, która go sobie upatrzyła, czułaby się, gdyby umarł!? Jakaż to byłaby na niej zemsta, gdybym to zrobiła! A gdybym została przyjęta jako wdowa po Armadale'u – co za triumf dla mnie. Triumf! To więcej niż triumf – to dla mnie ocalenie. Nazwisko, którego nie można podważyć, niepodważalna pozycja społeczna, która da mi schronienie przed moim dawnym życiem! Wygoda, zbytek, bogactwo! Dochód w wysokości tysiąca dwustu funtów rocznie, jaki zapewni mi testament potwierdzony przez prawnika, dochód, który będzie zapewniony niezależnie od tego, co powie lub zrobi sam Armadale! Nigdy nie miałam tysiąca dwustu rocznie. W najlepszych czasach nie miałam nawet połowy tych pieniędzy, które byłyby moje własne. Co mam teraz? Wszystkiego zostało mi zaledwie pięć funtów, a w przyszłym tygodniu czeka mnie więzienie za długi.

Ale, och, po tym, co już raz kiedyś zrobiłam, jak mogę? Jak mogę?

Niektóre kobiety na moim miejscu, mające podobne wspomnienia, myślałyby inaczej. Niektóre kobiety powiedziałyby: „Za drugim razem jest łatwiej”. Dlaczego ja tak nie potrafię? Dlaczego nie potrafię?

Och, co za diabeł mnie kusi, czy w pobliżu nie ma żadnego anioła, który pomiędzy dziś a jutrem w porę postawiłby jakąś przeszkodę, która pomogłaby mi nie ulec?

Ulegnę jej, ulegnę, jeśli dłużej będę o tym pisać lub myśleć! Zamknę ten dziennik i znów wyjdę na zewnątrz. Wezmę ze sobą jakąś zwyczajną osobę i będziemy rozmawiać o zwyczajnych rzeczach. Wezmę panią domu i jej dzieci. Pójdziemy coś zobaczyć. W miasteczku gości jakiś pokaz – zaproszę ich na niego. Jeśli się postaram, nie jestem taka zła, a gospodyni jest dla mnie naprawdę miła. Z pewnością będę mogła na chwilę zająć czymś myśli, widząc, jak ona i jej dzieci się bawią.

Minutę temu zamknęłam ten dziennik tak, jak zapowiedziałam, a teraz znów go otwarłam. Nie wiem czemu. Czuję, jakby coś mi umknęło. Czuję, że uda mi się to znaleźć tutaj.

Znalazłam! Midwinter!!!

Czy to możliwe, że przez ostatnią godzinę rozmyślałam nad argumentami za i przeciw, pisząc w kółko nazwisko Midwintera, rozważając na poważnie poślubienie go, i ani razu nie przyszło mi do głowy, że nawet jeśli zostaną usunięte wszystkie przeszkody, on sam, gdy nadejdzie czas, będzie przeszkodą nie do pokonania? Czyżby wysiłek, aby zmierzyć się z możliwością śmierci Armadale'a, pochłonął mnie aż do tego stopnia? Chyba tak. Nie mogę inaczej wytłumaczyć tak niesłychanego roztargnienia z mojej strony.

Czy mam się zatrzymać i to przemyśleć, tak jak przemyślałam całą resztę? Mam zadać sobie pytanie, czy przeszkoda w postaci Midwintera byłaby, gdy czas nadejdzie, nieprzewyciężoną przeszkodą, którą się teraz wydaje? Nie! Po cóż by o tym myśleć? Postanowiłam zapanować nad pokusą. Postanowiłam sprawić radość mojej gospodyni i jej dzieciom. Postanowiłam zamknąć dziennik. I zostanie on zamknięty.

Szósta. Paplanina gospodyni jest nie do wytrzymania, a jej dzieci mnie rozpraszają. Zostawiłam ich, żeby przybiec tutaj przed odjazdem poczty i napisać słówko do pani Oldershaw.

Strach przed tym, że ulegnę pokusie, spotęgował się. Postanowiłam sprawić, aby podążenie własną drogą i kierowanie się własną wolą znalazło się poza moim zasięgiem. Matka Oldershaw po raz pierwszy od czasu, gdy ją poznałam, będzie dla mnie ratunkiem. Jeśli nie będę mogła spłacić mojego weksla, grozi mi

aresztowaniem. Cóż, a zatem niech mnie aresztuje. W obecnym stanie mojego umysłu najlepszym, co może mnie spotkać, jest zostać zabraną z Thorpe Ambrose, czy mi się to podoba, czy nie. Napiszę jej, gdzie można mnie znaleźć. Napiszę jej wprost, że najlepszą przysługą, jaką może mi wyświadczyć, jest mnie zamknąć.

Siódma. List został wysłany. Już się nieco uspokoiłam, kiedy dzieci przysły mi podziękować za zabranie ich na pokaz. Jedno z nich to dziewczynka i ona mnie zmartwiła. Jest pewnym siebie dzieckiem, a jej włosy są niemal koloru moich. Powiedziała: „Będę taka jak pani, kiedy dorosnę, prawda?”. Ta idiotka jej matka powiedziała: „Proszę, niech jej pani wybaczy” i wyprowadziła ją z pokoju, śmiejąc się. Taka jak ja! Nie udaję, że lubię dzieci, ale pomyśleć, że mogłaby być taka jak ja!

Sobota rano. Chociaż raz dobrze zrobiłam, idąc za głosem impulsu i pisząc do pani Oldershaw to, co napisałam. Jedyna nowa okoliczność, która zaszła, jest kolejną, która mi sprzyja!

Major Milroy odpisał na list, w którym Armadale prosi o pozwolenie na odwiedzenie domku i usprawiedliwienie się. Jego córka przeczytała odpowiedź po cichu, kiedy Armadale wręczył ją jej podczas porannego spotkania w parku. Ale później rozmawiali o niej na tyle głośno, że ich słyszałam. Major upiera się przy swojej decyzji. Twierdzi, że jego opinia o postępowaniu Armadale'a została oparta nie na zwykłych pogłoskach, ale na listach samego Armadale'a, i nie widzi powodu, dla którego miałyby zmieniać wniosek, do jakiego doszedł w chwili zamknięcia korespondencji pomiędzy nimi.

Ten szczegół, przyznaję, umknął mojej pamięci. Mogło się to dla mnie skończyć niezręcznie. Gdyby major Milroy nie był tak uparcie przywiązany do swojej opinii, Armadale'owi udałoby się usprawiedliwić, zaręczyny zostałyby zaaprobowane, a moje możliwości wpływu na sytuację skończyłyby się. Tak jednak muszą nadal trzymać swoje zaręczyny w ścisłej tajemnicy, a prawdopodobieństwo, że panna Milroy, która od czasu burzy nie zbliżyła się do rezydencji, zbliży się do niej teraz, jest mniejsze niż kiedykolwiek. Mogę ich rozdzielić, kiedy mi się spodoba. Jeden anonimowy liścik do majora i sprawa załatwiona!

Po omówieniu listu rozmowa zeszła na to, co mają robić dalej. Surowość majora Milroya, jak się wkrótce okazało, odniosła zwyczajny skutek. Armadale powrócił do

tematu ucieczki i tym razem panna Milroy go posłuchała. Jest wszystko, co potrzeba, by pchnąć ją do tego kroku. Jej komplet ubrań jest już prawie gotowy, zaś wakacje w szkole, którą dla niej wybrano, kończą się z końcem przyszłego tygodnia. Kiedy ich zostawiałam, postanowili spotkać się i ustalić coś w poniedziałek.

Ostatnie słowa, jakimi się do niej zwrócił, zanim odeszłam, lekko mną wstrząsnęły. Powiedział: „W każdym razie jest jedna rzecz, Neelie, o którą nie musimy się martwić. Mam dużo pieniędzy”. A potem ją pocałował. Ewentualność pozbawienia go życia zaczęła wydawać mi się łatwiejsza, kiedy powiedział o swoich pieniądzach i pocałował ją.

Minęło kilka godzin i im więcej o tym myślę, tym bardziej boję się pustego interwału dzielącego mnie od chwili, w której pani Oldershaw odwoła się do prawa i obroni mnie przed samą sobą. Może lepiej było zostać dziś rano w domu. Ale jak mogłam zostać? Po zniewadze, jaką wczoraj mi zafundowała, aż cała drżałam z niecierpliwości, aby pójść i na nią popatrzeć.

Dziś, niedziela, potem poniedziałek, wtorek. Nie mogą mnie aresztować za długi przed środą. A moje marne pięć funtów topnieje do czterech! A on powiedział jej, że ma dużo pieniędzy! A ona zarumieniła się i zadrżała, kiedy ją pocałował. Może lepiej by było dla niego, dla niej i dla mnie, gdyby termin spłaty mojego długu wypadał wczoraj i komornicy mieli mnie już w swoich rękach.

Co by było, gdybym miała środki, aby opuścić Thorpe Ambrose najbliższym pociągiem, wyjechać gdzieś za granicę i zająć się czymś nowym w otoczeniu nowych ludzi? Czy potrafiłabym to zrobić zamiast kontemplować ponownie to łatwe rozwiązanie, jakim byłoby pozbawienie go życia torujące mi drogę do wszystkiego innego?

Może bym potrafiła. Ale skąd wziąć pieniądze? Jakiś sposób na zdobycie ich wpadł mi chyba do głowy kilka dni temu. Tak, podła myśl, aby poprosić Armadale'a o pomoc! No cóż, choć raz będę podła. Dam mu szansę, aby w jakimś wielkodusznym celu wykorzystał tę swoją wypchaną portmonetkę, o której z taką ulgą myśli w swoim obecnym położeniu. Moje serce zmiękłoby w stosunku do każdego mężczyzny, który pożyczylby mi pieniądze w mojej obecnej skrajnej nędzy i, jeśli Armadale pożyczycy mi pieniądze, moje serce może zmięknąć także w stosunku

do niego. Kiedy mam pójść? Natychmiast! Nie będę zwlekać, bo jeszcze mogłabym odczuć poniżenie i zmienić zdanie.

Trzecia. Zwracam uwagę na tę godzinę. Przypieczętował swój los. Znieważył mnie.

Minęłam miasto i przeszłam kilkaset jardów drogą, która prowadzi do rezydencji, kiedy zobaczyłam Armadale'a zmierzającego w moim kierunku. Szedł szybko – najwyraźniej miał coś do załatwienia w miasteczku. Gdy tylko mnie dostrzegł, przystanął, zaczerwienił się, zdjął kapelusz, zawahał się i skręcił w boczną ścieżkę, która, jak skądinąd zakładam, prowadzi w kierunku zupełnie przeciwnym do tego, w którym wcześniej zmierzał. Jego zachowanie mówiło wprost: „Panna Milroy może się o tym dowiedzieć. Nie będę ryzykował, że ktoś zobaczy, jak rozmawiamy”. Mężczyźni obchodzili się ze mną okrutnie, mężczyźni robili ze mną i mówili mi straszne rzeczy, ale jeszcze żaden mężczyzna nie potraktował mnie, jakbym była trędowata, jak gdyby nawet powietrze wokół mnie było zainfekowane!

Nie powiem nic więcej. Kiedy odwrócił się ode mnie i odszedł ścieżką, ruszył na spotkanie ze śmiercią. Napisałam do Midwintera, aby spodziewał się mnie w Londynie w przyszłym tygodniu i był gotowy na ślub wkrótce potem.

Czwarta. Pół godziny temu założyłam czepek, zamierzając wyjść i nadać list do Midwintera. Tymczasem nadal jestem w swoim pokoju, rozdarta wątpliwościami, a list leży na stole.

Armadale liczy się tyle co nic, jeśli chodzi o dręczące mnie dylematy. To Midwinter sprawia, że się waham. Czy mogę postawić pierwszy z owych trzech kroków, które zaprowadzą mnie do celu, nie zachowując elementarnej przezorności, jaką jest myślenie o skutkach? Czy mogę poślubić Midwintera, nie wiedząc wcześniej, jak uporać się z przeszkodą w postaci męża, kiedy nadejdzie chwila, która przemieni mnie z żony żyjącego Armadale'a we wdowę po zmarłym Armadale'u?

Dlaczego nie mogę o tym myśleć, kiedy wiem, że myśleć muszę? Dlaczego nie mogę patrzeć na to tak niewzruszenie, jak patrzyłam na całą resztę? Czuję jego pocałunki na swoich wargach, jego łzy na swojej piersi, znów czuję jego ramiona. Jest daleko stąd, w Londynie, a jednak jest tutaj i nie pozwala mi o tym myśleć!

Dlaczego nie mogę trochę poczekać? Dlaczego nie mogę pozwolić, aby czas przyszedł mi z pomocą? Czas? Jest sobota! Nie ma potrzeby zaprzętać sobie tym głowy, chyba że koniecznie chcę. Dziś nie odjeżdża poczta do Londynu. Gdybym wysłała list i tak by nie poszedł. Poza tym jutro może napisać pani Oldershaw. Powinnam poczekać, aż dostanę list od niej. Nie mogę uważać się za wolną kobietę, dopóki nie będę wiedzieć, co planuje pani Oldershaw. Muszę poczekać do jutra. Zdejmę czepek i zamknę list w pulpicie.

Niedziela rano. Niemożnością jest przeciwstawienie się temu! Okoliczności napierają na mnie jedna po drugiej. Jest ich coraz więcej i wszystkie popychają mnie w jedną stronę.

Dostałam odpowiedź od Matki Oldershaw. Łajdaczka przymila się i płaszczy przede mną. Widzę równie jasno, jak gdyby sama to przyznała, iż podejrzewa mnie, że znalazłam sposób na to, jak osiągnąć swój cel w Thorpe Ambrose bez jej pomocy. Przekonawszy się, że groźbami nic nie wskóra, teraz próbuje się do mnie przymilać. Znowu jestem jej ukochaną Lydią! Jest wstrząśnięta tym, że mogłam pomyśleć, iż naprawdę chciała aresztować serdeczną przyjaciółkę, i prosi mnie tylko, abym wyświadczyła jej tę grzeczność i przedłużyła rachunek!

Powtarzam raz jeszcze: żaden śmiertelnik nie potrafiłby się temu przeciwstawić! Raz po raz próbowałam uciec przed pokusą i za każdym razem okoliczności kazały mi zawrócić. Nie mogę już dłużej walczyć. Poczta, która zabierze dziś wieczorem listy, zabierze wraz z nimi również mój list do Midwintera.

Dziś wieczorem! Jeśli dam sobie czas do wieczora, może się wydarzyć coś innego. Jeśli dam sobie czas do wieczora, znowu mogę się zawahać. Jestem udręczona brakiem zdecydowania. Muszę koniecznie ulżyć sobie teraz, bez względu na to, ile mnie to będzie kosztować w przyszłości. List do Midwintera doprowadzi mnie do szaleństwa, jeśli dalej będzie na mnie zerkał z pulpitu. Mogę go wysłać w ciągu dziesięciu minut – i zrobię to!

Stało się. Pierwszy z trzech kroków prowadzących do celu został podjęty. Mam spokojniejszą głowę – list jest na poczcie.

Midwinter dostanie go do jutra. Przed końcem tygodnia Armadale musi jawnie wyjechać z Thorpe Ambrose, a ja muszę jawnie wyjechać wraz z nim.

Czy pomyślałam o skutkach mojego małżeństwa z Midwinterem? Nie! Czy wiem, jak uporać się z przeszkodą w postaci męża, kiedy nadejdzie chwila, która przemieni mnie z żony żyjącego Armadale'a we wdowę po zmarłym Armadale'u?

Nie! Gdy nadejdzie czas, będę musiała uporać się z tą przeszkodą najlepiej, jak umiem. Czy zatem podejmuję na oślep – jeśli chodzi o Midwintera – to straszne ryzyko? Tak, na oślep. Zwariowałam? Bardzo możliwe. A może lubię go odrobinę za bardzo, aby spojrzeć prawdzie w oczy? Zapewne. Kogo to obchodzi?

Nie będę o tym myślała. Nie, nie, nie! Czyż nie mam swojej woli? I nie mogę pomyśleć o czymś innym, jeśli zechcę?

Służalczy list Matki Jezabel. Oto coś innego, o czym można pomyśleć. Odpiszę na niego. Jestem w dobrym nastroju, aby odpisać Matce Jezabel.

Zakończenie listu panny Gwilt do pani Oldershaw:

„Zanim przerwałam, pisałam Ci, że zaczekam z dokończeniem listu i zapytam mój dziennik, czy mogę bezpiecznie powierzyć ci moje plany. Tak więc zapytałam, a dziennik odpowiedział: »Nie powierzaj jej!«. W tej sytuacji kończę list, mając znakomitą wymówkę, aby pozostawić Cię w niewiedzy.

Prawdopodobnie wkrótce będę w Londynie i może powiem Ci osobiście to, czego bezpieczniej będzie nie pisać w liście. Zauważ, nic nie obiecuję! Wszystko zależeć będzie od tego, jakie będę miała wtedy wobec Ciebie odczucia. Nie wątpię w Twoją dyskrecję, ale (w pewnych okolicznościach) nie jestem pewna Twojej odwagi. L.G.

PS Serdeczne podziękowania za pozwolenie na przedłużenie weksla. Nie skorzystam z propozycji. Pieniądze będą gotowe w dniu, w którym będą należne. Mam teraz w Londynie przyjaciela, który zapłaci, jeśli go o to poproszę. Zastanawiasz się może, kto to taki? Jeszcze niejedno Cię zastanowi, pani Oldershaw, zanim upłynie najbliższych kilka tygodni”.

¹² Fragment poematu *Beppo* Goerge'a Byrona w przekładzie Antoniego Czaykowskiego (przypis tłumacza).

XI. MIŁOŚĆ I PRAWO

W poniedziałkowy poranek 28 lipca panna Gwilt – raz jeszcze wypatrując Allana i Neelie – dotarła okrężną drogą na swoje zwykłe stanowisko obserwacyjne.

Zdziwiła się nieco, zastając Neelie samą. Była jeszcze bardziej zdziwiona, gdy Allan pojawił się dziesięć minut później, wspinając się po zboczu jaru z opasłym tomem pod pachą, i gdy wyjaśnił spóźnienie, mówiąc, że „zasiedział się, szukając książek, i że w końcu znalazł tylko jedną, która miała szansę choć odrobinę wynagrodzić jemu i Neelie trud jej szukania”.

Gdyby w ostatnią sobotę panna Gwilt poczekała w parku na tyle długo, by usłyszeć słowa pożegnania kochanków, nie dziwiłaby się tomowi pod pachą Allana i zrozumiałaby przeprosiny za spóźnienie równie łatwo jak sama Neelie.

Istnieje w życiu jedna wyjątkowa okazja, a mianowicie zamążpójście, kiedy dziewczęta nawet nastoletnie stają się czasem zdolne (mniej lub bardziej histerycznie) do myślenia o skutkach. W sobotę w chwili pożegnania Neelie wybiegła nagle myślami w przyszłość i zupełnie skonfundowała Allana pytaniem, czy planowana ucieczka jest przewinieniem karanym przez prawo. Pamięć podpowiada jej, że kiedyś czytała w jakiejś książce (możliwe, iż była to powieść) o ucieczce zakończonej strasznym finałem – panna młoda została zawleczona do domu w ataku hysterii, a pan młody został skazany na gnicie w więzieniu po tym, jak na mocy ustawy ścięto jego piękne włosy tuż przy skórze. Zakładając, że panna Milroy w ogóle zgodzi się na ucieczkę – czego w żadnym razie nie może obiecać – musi najpierw dowiedzieć się, czy nie ma obaw, że ich ślubem oprócz pastora i urzędnika będzie zainteresowana również policja. Allan, jako mężczyzna, powinien to wiedzieć i do Allana zwróciła się po informację, zachęcając go zapewnieniem, że

woli, aby tysiąc razy z rzędu pękło jej serce niż niechcący przyczynić się do tego, że jej ukochany zostanie skazany na gnienie w więzieniu po uprzednim ścięciu na mocy ustawy jego włosów tuż przy skórze.

– To nie są żarty – powiedziała na koniec rezolutnie Neelie. – Nie chcę nawet słyszeć o małżeństwie, dopóki kwestia prawa nie da mi spokoju.

– Ale ja wiem o prawie tyle co nic, mniej nawet niż ty – powiedział Allan. – Do diabła z prawem! Nie mam nic przeciwko obcięciu włosów. Zaryzykujemy.

– Zaryzykujemy? – powtórzyła Neelie z oburzeniem. – Nie masz względu na mnie? Ja nie będę ryzykować. Dla chcącego nic trudnego. Musimy sami dowiedzieć się, co mówi prawo.

– Zgadzam się z całego serca – odparł Allan. – Jak?

– Z książek, rzecz jasna! Ta twoja ogromna biblioteka musi być kopalnią wiedzy. Jeśli naprawdę mnie kochasz, nie odmówisz przejrzenia grzbietów kilku tysięcy książek ze względu na mnie!

– Przejrzę grzbiety dziesięciu tysięcy książek! – zawołał Allan serdecznie. – Czy możesz mi powiedzieć, czego mam szukać?

– „Prawa”, ma się rozumieć! Kiedy natrafisz na grzbiecie na słowo „prawo”, otwórz książkę i poszukaj ustępu o małżeństwie. Przeczytaj każde słowo, a potem przyjdź tu i mi wyjaśnij. Jak to? Nie ufasz sobie, że potrafisz zrobić taką prostą rzecz?

– Jestem pewien, że nie potrafię – rzekł Allan. – Nie możesz mi pomóc?

– Oczywiście, że mogę, jeśli nie poradzisz sobie beze mnie! Może i prawo jest trudne, ale nie może być trudniejsze niż muzyka, a ja muszę się dowiedzieć. W poniedziałek rano przynieś mi wszystkie książki, jakie znajdziesz – na taczkach, jeśli będzie ich dużo i nie dasz rady inaczej.

W wyniku tej rozmowy w ten sam feralny poniedziałkowy poranek, w którym pisemna zgoda panny Gwilt na małżeństwo trafiła do rąk Midwintera, Allan pojawił się w parku z tomem *Komentarzy Blackstone’a* pod pachą. I tu znowu, tak jak we wszystkich ludzkich sprawach, to, co śmieszne i straszne, spotkało się tym subtelnym prawem kontrastu, które jest jednym z praw życia na ziemi. Pośród

narastających problemów, które nad nimi wisały, w cieniu planowanego morderstwa zakradającego się w kierunku jednego z nich z kryjówki panny Gwilt dwoje nieświadomych przyszłości zakochanych usiadło z książką pomiędzy nimi i oddało się zgłębianiu prawa małżeńskiego z mocnym postanowieniem, że je rozumieją, co w przypadku dwóch podobnych adeptów stanowiło parodię samo w sobie!

– Znajdź ustęp – powiedziała Neelie, gdy tylko usiedli wygodnie. – Musimy się z tym uporać za pomocą tak zwanego podziału obowiązków. Ty będziesz czytał, a ja będę notować.

Wyjęła ołówek i mały kieszonkowy notes i otworzyła go na środku, tam, gdzie po lewej i po prawej widniała pusta strona. Na górze strony po prawej napisała słowo „dobrze”, na górze strony po lewej zaś – „źle”.

– „Dobrze” oznacza punkty, w których prawo stoi po naszej stronie, a „źle” te, gdzie prawo jest przeciwko nam. Będziemy mieć to, co dobre, i to, co złe, naprzeciwko siebie, wypunktowane z góry na dół, a gdy dotrzemy do końca strony, zrobimy podsumowanie i wedle niego będziemy działać. A mówi się, że dziewczęta nie mają głowy na karku. Czyżby? Nie patrz na mnie – patrz na Blackstone’a i zaczynaj.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, żeby najpierw mnie pocałować? – zapytał Allan.

– Bardzo dużo bym miała. W naszym poważnym położeniu, gdy oboje musimy wyteżać umysły, dziwię się, że w ogóle prosisz o coś takiego!

– Właśnie dlatego o to poprosiłem – odparł bezwstydy Allan. – Czuję, że pomogłoby mi to lepiej się skupić.

– Och, jeśli to pomogłoby ci lepiej się skupić, to co innego! W takim razie muszę oczywiście pomóc ci za wszelką cenę. Pamiętaj, tylko jeden – wyszeptała zalotnie – i proszę, uważaj na Blackstone’a, bo zgubisz stronę.

Tu w rozmowie nastąpiła przerwa. Blackstone i notes potoczyły się razem po ziemi.

– Jeśli to się powtórzy – odezwała się Neelie, podnosząc notes, podczas gdy jej

oczy i cera promieniały – będę siedziała plecami do ciebie przez resztę poranka. Możesz kontynuować?

Allan po raz drugi odszukał właściwy ustęp i wpadł w bezdenną czeluść angielskiego prawa.

– Strona 280 – zaczął. – Prawo małżeńskie. Na początek jest coś, czego nie rozumiem: „Można ogólnie zauważyć, że prawo rozpatruje małżeństwo w kategoriach kontraktu”. Co to znaczy? Myślałem, że kontrakt to coś, co podpisuje przedsiębiorca budowlany, kiedy obiecuje, że robotnicy opuszczą dom w określonym terminie, a kiedy termin nadchodzi (jak mawiała moja biedna matka), robotnicy nadal tam tkwią.

– Nie ma tam nic o miłości? – zapytała Neelie. – Popatrz trochę niżej.

– Ani słowa. Cały czas mowa jest o tym przeklętym kontrakcie.

– W takim razie jest draniem. Przejdź do czegoś, co bardziej nas dotyczy.

– Tu jest fragment, który bardziej nas dotyczy: „Przeszkody. Jeśli łączą się ze sobą osoby w warunkach istnienia przeszkody prawnej, ich związek nie jest związkiem małżeńskim, ale nierządny”. (Blackstone lubi trudne słowa. Ciekawe, co ma na myśli, pisząc: „nierządny”?) „Pierwszą z przeszkód prawnych jest wcześniejsze małżeństwo i ktoś, kogo mąż lub żona żyje...”

– Stop! – powiedziała Neelie. – Muszę to zanotować.

Z powagą zrobiła pierwszy wpis na stronie z napisem „dobrze”. Brzmiał on tak: „Nie mam męża, a Allan nie ma żony. Oboje jesteśmy obecnie całkowicie wolni”.

– Jak na razie w porządku – zauważył Allan, zaglądając jej przez ramię.

– Czytaj dalej – rzekła Neelie.

– Kolejną przeszkodą – ciągnął Allan – jest niepełnoletność. „Wiek, w którym następuje przyzwolenie na małżeństwo, to czternaście lat w przypadku mężczyzn i dwanaście w przypadku kobiet”. A niech mnie! – zawołał wesoło Allan. – Blackstone zaczyna dość wcześnie!

Neelie była zbyt poważna, by robić jakieś uwagi, z wyjątkiem niezbędnej uwagi w notesie. Zrobiła następny wpis poniżej nagłówka „dobrze”: „Jestem wystarczająco dorosła, aby otrzymać przyzwolenie i tak samo Allan”.

– Dalej – podjęła Neelie, zaglądając lektorowi przez ramię. – Pomińmy to całe gładzenie Blackstone’a o mężu będącym w wieku odpowiedzialności prawnej za czyny i żonie poniżej dwunastego roku życia. Obrzydliwy łajdak! Żona poniżej dwunastego roku życia! Przejdź do następnej przeszkody, jeśli jakaś jest.

– Trzecią przeszkodą – ciągnął Allan – są zaburzenia psychiczne.

Neelie natychmiast dokonała kolejnego wpisu po stronie „dobrze”: „Allan i ja oboje jesteśmy zdrowi psychicznie”.

– Przejdź do następnej strony.

Allan przeszedł.

– Czwarta przeszkoda to pokrewieństwo.

Czwarty wpis znalazł się bezzwłocznie po optymistycznej stronie w notesie: „On kocha mnie, a ja jego i nie jesteśmy w najmniejszym stopniu ze sobą spokrewnieni”.

– Coś jeszcze? – spytała Neelie, niecierpliwie uderzając się po brodzie końcem ołówka.

– Całe mnóstwo – odparł Allan – wszystko szyfrem. Patrz tutaj: „Ustawy o małżeństwie, 4 Geo. IV, rozdz. 76 i 6 i 7 Will. IV, rozdz. 85”. Umysł Blackstone’a wydaje się tutaj błędzić. Spróbujemy przeskoczyć dalej i sprawdzić, czy odnajdzie się na następnej stronie?

– Zaczekaj – powiedziała Neelie. – Co ja tu widzę na środku?

Przez minutę czytała po cichu, zaglądając Allanowi przez ramię, a potem nagle załamała rękę w rozpacz.

– Wiedziałam, że mam rację! – wykrzyknęła. – O Boże, zobacz to tutaj!

– Gdzie? – zapytał Allan. – Nie widzę nic o gniciu w więzieniu i ścinaniu włosów tuż przy skórze, chyba że napisano to szyfrem. Czy „4 Geo. IV” to skrót od „zamknijcie go”, a „rozd. 85” znaczy „poślijcie po fryzjera”?

– Proszę, bądź poważny – upomniała go Neelie. – Nad nami obojgiem wisi miecz Damoklesa. Tutaj – rzekła, wskazując palcem. – Przeczytaj! Jeśli coś w ogóle może sprowadzić cię na ziemię, to tylko to.

Allan odchrząknął, a koniec ołówka Neelie zawisł nad pesymistyczną stroną zestawienia, innymi słowy, nad stroną notesu z napisem „źle”.

– „I jako że zwyczajem naszego prawa” – zaczął Allan – „jest nie dopuszczać do małżeństwa osób poniżej dwudziestego pierwszego roku życia bez zgody rodziców lub opiekunów...” (Neelie zrobiła pierwszą notatkę po stronie „źle”: „W następne urodziny skończę dopiero siedemnaście lat, a sytuacja nie pozwala mi wyznać mojego uczucia papie”)

„...ustala się, że w przypadku publikacji zapowiedzi osoby poniżej dwudziestego pierwszego roku życia, niebędącej wdowcem lub wdową, których uważa się za wyzwolonych spod władzy rodzicielskiej...” (Neelie dodała kolejną notatkę po pesymistycznej stronie: „Allan nie jest wdowcem, a ja wdową. Co za tym idzie, żadne z nas nie jest wyzwolone spod władzy rodzicielskiej”) „...jeśli rodzic lub opiekun otwarcie wyraża swoją niezgodę w czasie, gdy ukazują się zapowiedzi...” (co papa na pewno zrobi) „...publikacja taka jest nieważna”. W tym miejscu zaczerpnę powietrza, jeśli pozwolisz – rzekł Allan. – Myślę, że jeśli Blackstone nie potrafił ująć tego zwięźle, mógł przynajmniej użyć krótszych zdań. Rozchmurz się, Neelie! Muszą być jakieś inne sposoby, aby się pobrać, poza tą okrężną drogą, która kończy się publikacją i nieważnością. Piekielny bełkot! Sam bym to lepiej napisał.

– Jeszcze nie skończyliśmy – powiedziała Neelie. – Nieważność to nic w porównaniu z tym, co ma nastąpić.

– Cokolwiek to jest – odparł Allan – potraktujemy to jak dawkę lekarstwa: przyjmujemy ją od razu i będziemy mieć to z głowy.

Zaczął czytać dalej:

– „Nie wydaje się zezwolenia na zawarcie małżeństwa, o ile wcześniej jedna ze stron nie złoży przysięgi, że on lub ona jest przekonany, iż nie zachodzi przeszkoda w postaci pokrewieństwa lub powinowactwa...” Cóż, mogę z czystym sumieniem złożyć taką przysięgę! Co dalej? „I jedna ze stron przez okres piętnastu dni bezpośrednio poprzedzających wydanie takiego zezwolenia musi stale zamieszkiwać na terenie parafii, w której małżeństwo ma zostać zawarte!” Parafia! Z największą przyjemnością mieszkałbym piętnaście dni w psiej budzie. Mówię ci, Neelie, to wszystko wydaje się całkiem proste. Nad czym tak potrząsasz głową? Mam czytać dalej? No dobrze. Czytam dalej. „W przypadku gdy jedna ze stron niebędąca wdowcem ani wdową ma mniej niż dwadzieścia jeden lat, należy najpierw złożyć

przysięgę, że uzyskana została zgoda osoby lub osób, których zgoda jest wymagana, albo że nie ma osoby mającej władzę taką zgodę wydać. Zgoda wymagana niniejszą ustawą jest zgodą ojca...”

Po tych strasznych słowach Allan umilkł.

– Zgoda ojca – powtórzył, z konieczną powagą we wzroku i zachowaniu. – Nie mógłbym tego przysiąc, prawda?

Neelie odpowiedziała wiele mówiącym milczeniem. Wręczyła mu notes z ostatnim wpisem po stronie „źle” wyrażonym tymi słowami: „Nasze małżeństwo jest niemożliwe, chyba że Allan popełni krzywoprzysięstwo”.

Kochankowie spojrzeli na siebie w niemym przerażeniu ponad przeszkodą nie do pokonania w postaci Balckstone’a.

– Zamknij książkę – powiedziała Neelie z rezygnacją. – Nie mam wątpliwości, że znaleźlibyśmy policję, więzienie i obcięcie włosów, a wszystko jako kary za krzywoprzysięstwo, dokładnie tak jak mówiłam, gdybyśmy spojrzeli na następną stronę. Ale nie musimy się tym kłopotać, dowiedzieliśmy się już wystarczająco dużo. Z nami skończone. Ja muszę w sobotę pojechać do szkoły, a ty musisz postarać się o mnie zapomnieć jak najszybciej. Może spotkamy się w innym życiu, ty będziesz wdowcem, a ja wdową i okrutne prawo uzna nas za wyzwolonych spod władzy rodzicielskiej, kiedy będzie już za późno i na nic się to nie zda. Do tego czasu ja bez wątpienia będę stara i brzydka, a tobie przestanie na mnie zależeć i wszystko skończy się w grobie, im szybciej, tym lepiej. Do widzenia – zakończyła Neelie, podnosząc się smutno ze łzami w oczach. – Tylko przedłużamy swoje cierpienie, zostając tutaj, chyba że... chyba że masz jakiś pomysł?

– Mam pewien pomysł – zawołał bez namysłu Allan. – To zupełnie nowa myśl. Może spróbowalibyśmy z kowalem z Greta Green?

– Za nic na świecie – odparła oburzona Neelie – nie zgodzę się, aby kowal udzielał mi ślubu.

– Nie obrażaj się! – poprosił Allan. – Chciałem dobrze. Mnóstwo ludzi w naszej sytuacji uciekało się do kowala i przekonywało się, że jest równie dobry jak pastor, a do tego niezwykle sympatyczny. Nieważne! Musimy znaleźć inne wyjście.

– Nie ma innego wyjścia – powiedziała Neelie.

– Zaufaj mi – upierał się Allan – muszą być jakieś sposoby na obejście Blackstone’a (bez krzywoprzysięstwa), tylko my o nich nie wiemy. To kwestie prawne i musimy zapytać profesjonalistę. Przyznaję, że to ryzykowne. Ale ten, kto nie ryzykuje, nie wygrywa. Co powiesz na młodego Pedgifta? To równy gość. Jestem pewien, że możemy mu bezpiecznie powierzyć nasz sekret.

– Za żadne skarby świata! – zawołała Neelie. – Może ty jesteś skłonny powierzać swoje sekrety temu prostackiemu łobuzowi, ja nie mam zamiaru powierzać mu swoich. Nienawidzę go. Nie! – zakończyła, czerwieniąc się i władczo tupiąc nogą. – Stanowczo zabraniam ci wtajemniczać kogokolwiek z miejscowych. Natychmiast zaczęliby mnie podejrzewać i wszystko by się rozniosło. Moje uczucie może i jest nieszczęsne – zauważyła Neelie, przykładając do oczu chusteczkę – i papa zdusi je w zarodku, ale nie pozwolę, aby zbecześciły je miejscowe plotki!

– Ciii! Ciii! – powiedział Allan. – Nie pisnę słowa w Thorpe Ambrose, obiecuję!
Urwał i przez chwilę się namyślał.

– Jest inny sposób! – wykrzyknął, z miejsca się rozchmurzając. – Mamy cały tydzień. Wiesz, co zrobię? Pojadę do Londynu!

Spomiędzy drzew za ich plecami skrywających pannę Gwilt dobiegł nagły szelest, którego nie usłyszało żadne z kochanków. Jeszcze jedna zawada stojąca jej na drodze (problem, jak wywabić Allana do Londynu) teraz miała zostać usunięta z woli samego Allana.

– Do Londynu? – powtórzyła Neelie, podnosząc wzrok w osłupieniu.

– Do Londynu! – odparł Allan. – To chyba wystarczająco daleko od Thorpe Ambrose? Poczekaj chwilę i nie zapominaj, że chodzi o kwestie prawne. Bardzo dobrze znam kilku prawników w Londynie, którzy zajmowali się wszystkimi moimi sprawami, kiedy odziedziczyłem majątek. To właściwe osoby, aby się ich poradzić. A jeśli oni odmówią mieszkania się w to, jest jeszcze ich szef, który okazał się jedną z najświetniejszych osób, jakie spotkałem w życiu. Pamiętam, że zaprosiłem go na wspólny rejs i choć nie popłynął ze mną, powiedział, że mimo to czuje się zobowiązany. To człowiek, który może nam pomóc. Blackstone to przy nim ledwie

dzieciak. Nie mów, że to niedorzeczne, że to dokładnie w moim stylu. Błagam, wysłuchaj mnie. Nie wspomnę ani słowem o tobie ani o twoim ojcu. Przedstawię cię jako „młodą damę, do której jestem głęboko przywiązany”. A kiedy mój znajomy prawnik zapyta, gdzie mieszkasz, powiem, że na północy Szkocji albo na zachodzie Irlandii, albo na Wyspach Normandzkich, czy gdziekolwiek chcesz. Mój znajomy jest zupełnie nieznan w Thorpe Ambrose (jedna dobra rzecz) i w pięć minut podpowie mi, co mam robić (kolejna dobra rzecz). Gdybyś go tylko znała! To jeden z tych niezwykłych ludzi, którzy pojawiają się raz na sto lat, ktoś, kto nie pozwoli ci popełnić błędu, nawet gdybyś chciał. Wystarczy, że mu powiem (w skrócie): „Dobry człowieku, chcę się potajemnie ożenić bez krzywoprzysięstwa”. I wystarczy, że on mi odpowie (w skrócie): „Musisz zrobić tak, tak i tak i musisz uważać na to i na to”. Nie muszę robić nic innego, jak postępować zgodnie z jego wskazówkami, a ty nie musisz robić nic innego jak to, co zawsze robi panna młoda, gdy pan młody jest gotowy i chętny!”. Jego ramię owinęło się wokół talii Neelie, a usta podkreśliły sens ostatniego zdania z ową niewysłowioną elokwencją, która jest tak powszechnie skuteczna w przekonywaniu kobiety wbrew jej woli.

Wszystkie obmyślane zastrzeżenia Neelie skurczyły się mimowolnie do jednego małego pytania.

– A gdybym pozwoliła ci pojechać, Allanie – wyszeptała, bawiąc się nerwowo guzikiem na gorsie jego koszuli – długo cię nie będzie?

– Wyjadę dzisiaj – rzekł Allan – pociągami o jedenastej. A wrócę jutro, jeśli tylko ja i mój znajomy prawnik zdążymy wszystko załatwić. Jeśli nie, najpóźniej w środę.

– Będziesz pisał do mnie codziennie? – dopytywała Neelie, przywierając do niego. – Umrę z niepewności, jeśli nie obiecasz, że będziesz pisał codziennie.

Allan obiecał, że jeśli zechce, może pisać dwa razy dziennie – pisanie listów, które z takim mozołem przychodziło innym mężczyznom, dla niego nie stanowiło problemu!

– I pamiętaj, bez względu na to, co powiedzą ci ludzie w Londynie – ciągnęła Neelie – nalegam, żebyś po mnie przyjechał. Stanowczo jestem przeciwna uciekaniu, o ile nie obiecasz zabrać mnie ze sobą.

Allan złożył obietnicę po raz drugi – na swoje święte słowo honoru i na cały głos. Ale Neelie nawet teraz nie była zadowolona. Powróciła do pierwszych zasad i chciała wiedzieć, czy Allan jest pewien, że ją kocha. Allan wezwał niebiosa na świadka, że jest pewien i zaraz został nagrodzony drugim pytaniem. Czy może uroczyście oświadczyć, że nigdy nie pożałuje zabrania Neelie z domu? Allan znów wezwał niebiosa na świadka, głośniejszym niż poprzednio. Wszystko na nic! Wilczy apetyt kobiety na tkliwe zapewnienia domagał się więcej.

– Wiem, co się stanie pewnego dnia – nie ustępowała Neelie. – Spotkasz inną dziewczynę, ładniejszą ode mnie, i będziesz żałował, że to nie z nią się ożeniłeś!

W chwili, gdy Allan otwierał usta, aby wygłosić finalne zapewnienie, od strony rezydencji dobiegł nikły dźwięk stajennego zegara wybijającego godzinę. Neelie zerwała się z miną winowajcy. W domku nadeszła pora śniadania. Innymi słowy, czas było iść. W ostatniej chwili jej serce zwróciło się z powrotem ku ojcu, a głowa opadła na pierś Allana, kiedy próbowała się pożegnać.

– Papa zawsze był dla mnie taki dobry, Allanie – szepnęła, zatrzymując go trwożliwie, kiedy odwracał się, aby odejść. – Tak niewłaściwym i tak okrutnym wydaje się opuścić go i potajemnie wyjść za mąż. Och, proszę, zastanów się, zanim naprawdę wyjedziesz do Londynu. Czy nie ma innego sposobu, aby sprawić, że będzie dla ciebie trochę bardziej łaskawy?

Pytanie było bezcelowe. Wspomnienie o jednoznacznie nieprzychylniej reakcji majora na list Allana powróciło do Neelie i udzieliło odpowiedzi na pytanie w chwili, gdy padło ono z jej ust. Z dziewczęcą porywczością odepchnęła Allana, nim zdołał cokolwiek powiedzieć, i zniecierpliwionym gestem dała mu znak do odejścia. Walka sprzecznych emocji, nad którymi dotąd panowała, wybuchła mimo woli, po tym jak po raz ostatni pomachał do niej ręką i zniknął w głębi jaru. Kiedy ona z kolei zawróciła w swoją stronę, z jej oczu pociekły długo wstrzymywane łzy, czyniąc samotną drogę do domu jedną z najbardziej ponurych perspektyw, jakie Neelie miała przed sobą od dawna.

Podczas gdy ona śpieszyła do domu, za jej plecami rozwarło się listowie i panna Gwilt cicho wyszła na otwarty teren. Stała z wyrazem triumfu na twarzy, wysoka, piękna i zdecydowana. Jej delikatna cera rozpromieniła się, kiedy patrzyła na

sylwetkę Neelie pośpiesznie oddalającą się od niej poprzez trawnik.

– Płacz, ty mała głuptasko! – powiedziała swoim cichym, czystym głosem, ze spokojnym, pogardliwym uśmiechem. – Płacz jak jeszcze nigdy dotąd! Widziałś swoje kochanie po raz ostatni.

XII. SKANDAL NA STACJI

W godzinę później gospodyni mieszkania wynajmowanego przez pannę Gwilt wpadła w osłupienie, zaś krzykliwe języki dzieci były w stanie nieopanowanej rewolty. „Nieprzewidziane okoliczności” zmusiły nagle lokatorkę z pierwszego piętra do opuszczenia zajmowanych pokoi i wyjazdu do Londynu pociągiem o jedenastej.

– Proszę, aby o wpół do jedenastej pod drzwiami czekała na mnie bryczka – powiedziała panna Gwilt, kiedy zdumiona gospodyni poszła za nią na piętro. – I proszę mi wybaczyć, dobra kobieto, ale nie chcę, aby mi przeszkadzano do tego czasu.

Znalazszy się w pokoju, zamknęła drzwi na klucz, a następnie otworzyła sekretarzyk.

– A teraz czas na mój list do majora! – rzekła. – Jak mam to ująć?

Chwila zastanowienia najwyraźniej jej wystarczyła. Przejrzała swoją kolekcję piór i starannie wybrała najgorsze z nich, po czym zaczęła list od tego, że na pobrudzonej kartce papieru liniowego napisała koślawymi literami datę zakończoną kleksem umyślnie zrobionym drugim końcem pióra. Raz po raz przerywając pracę, a to żeby chwilę się namyśleć, a to żeby zrobić kolejny kleks, dopełniła list tymi słowami:

„Wielmożny Panie!

Leży mi na sumieniu powiedzenie Panu o czymś, o czym powinien Pan wiedzieć. Powinien Pan wiedzieć o poczynaniach panienki, Pańskiej córki, z młodym panem Armadale'em. Chciałbym, aby się Pan upewnił, i, co więcej, radzę upewnić się szybko, że idzie tam, gdzie chciałby Pan, aby szła, kiedy odbywa poranny spacer

przed śniadaniem. Brzydzą się knuciem intrygi tam, gdzie po obu stronach jest prawdziwa miłość. Ale wydaje mi się, że młody człowiek nie ma szczerych zamiarów wobec panienki. Mam na myśli to, że panienka to tylko jego kaprys. Jego serce tak naprawdę należy do innej osoby, która niech pozostanie anonimowa. Proszę wybaczyć, że się nie podpiszę. Jestem prostym człowiekiem i mogę przez to popaść w tarapaty. Na razie to wszystko, drogi Panie.

Życzliwy”.

– Ha! – powiedziała panna Gwilt, składając list. – Nawet gdybym była profesjonalnym pisarzem, nie mogłabym lepiej podrobić stylu służącego!

Zaadresowała list do majora Milroya, po raz ostatni spojrzała z podziwem na toporne i niezgrabne litery, które wyszły spod jej delikatnej ręki, i wstała, aby osobiście wysłać list, nim przejdzie do poważnego zajęcia, jakim jest pakowanie. „Ciekawe!”, pomyślała, kiedy list został wysłany, a ona wróciła z powrotem do pokoju, aby czynić przygotowania do podróży. „Podejmuję na oślep straszliwe ryzyko, a jeszcze nigdy w życiu nie byłam w lepszym humorze!”

Gdy bryczka stanęła pod domem, kufry były już gotowe, a panna Gwilt ubrana (jak zwykle twarzowo) w swój gustowny strój podróżny. Po raz pierwszy na jej wiejskim słomianym czepku pojawiła się gęsta woalka, którą zwykła była nosić w Londynie.

– Czasami w pociągach spotyka się takich grubiańskich mężczyzn – zwróciła się do gospodyni. – A choć ubieram się skromnie, zwracam na siebie uwagę przez swoje włosy.

Wydawała się nieco bledsza niż zwykle, ale nigdy jeszcze nie była tak łagodna i ujmująca, tak czarująco ciepła i życzliwa jak teraz, gdy nadszedł moment odjazdu. Prości mieszkańcy domu żegnali się z nią pełni wzruszenia. Nalegała, aby uścisnąć rękę gospodarzowi, rozmawiała z nim najpiękniej, jak potrafiła, i obdarzała go najbardziej promiennymi uśmiechami.

– Niech pani podejdzie! – odezwała się do gospodyni. – Była pani taka dobra, prawie jak matka, musi mnie pani pocałować na pożegnanie.

Z rozkoszną mieszaniną humoru i czułości uścisnęła wszystkie dzieci naraz

i dała im szylinga do podziału na ciastka.

– Gdybym tylko była wystarczająco bogata, aby dać im suwerena – szepnęła do matki – jakaż byłabym szczęśliwa!

Niezdarny chłopak, który biegał na posyłki, czekał przy drzwiach bryczki. Był niezgrabny, niechlujny, miał rozdziawione usta i zadarty nos, ale niemożliwa do wykorzenienia radość, jaką kobieta czerpie z podobania się, zaaprobowała go w charakterze ostatniej szansy.

– Kochany, obszarpany John! – odezwała się przyjaźnie przy drzwiach powozu. – Jestem tak biedna, że mam dla ciebie tylko sześciopensówkę, z najlepszymi życzeniami. Posłuchaj mojej rady, John: wyrośnij na przystojnego mężczyznę i znajdź sobie miłą dziewczynę! Stokrotne dzięki!

Dwoma palcami w rękawiczce przyjaźnie poklepała go po policzku, uśmiechnęła się, skłoniła i wsiadła do bryczki.

– A teraz Armadale! – powiedziała do siebie, gdy powóz ruszył.

Troska Allana o to, aby nie spóźnić się na pociąg, sprowadziła go na stację wcześniej niż zwykle. Kupiwszy bilet i powierzwszy kufer podróżny opiece bagażowego, przechadzał się właśnie po peronie, rozmyślając o Neelie, gdy usłyszał za sobą szelest sukni, a kiedy się odwrócił, stanął twarzą w twarz z panną Gwilt.

Tym razem nie było przed nią ucieczki. Po prawej stronie miał budynek stacji, po lewej tory, za sobą tunel, a przed sobą pannę Gwilt, która najśłodszym głosem spytała go, czy wybiera się do Londynu.

Allan oblał się szkarłatnym rumieńcem zdziwienia i złości. Oczywiście było, że czeka na pociąg, a obok stał kufer podróżny, podpisany jego nazwiskiem i oznaczony już jako jadący do Londynu! Co miał teraz powiedzieć, jak nie prawdę? Miał pozwolić, aby pociąg odjechał bez niego, i stracić cenne godziny, tak ważne dla Neelie i jego? Niemożliwe! Allan, chcąc nie chcąc, potwierdził deklarację widniejącą na kufrze, z całego serca żałując, że nie jest teraz na drugim końcu świata.

– Jak dobrze się składa! – wykrzyknęła panna Gwilt. – Ja również jadę do Londynu. Mogę pana poprosić, panie Armadale (jako że wydaje się pan być zupełnie

sam), aby był pan moim towarzyszem podróży?

Allan spojrział na gromadkę podróżnych i ich znajomych zebranych na peronie nieopodal kas biletowych. Wszyscy byli mieszkańcami Thorpe Ambrose. Każdy z nich prawdopodobnie znał go z widzenia, podobnie jak pannę Gwilt. Z czystej desperacji, wahając się bardziej niezręcznie niż kiedykolwiek, wyciągnął papierośnicę.

– Z przyjemnością – rzekł z zakłopotaniem, które w obecnych okolicznościach stanowiło niemal zniewagę. – Ale jestem... jestem, jak to mówią ludzie, których mdli od dymu cygara, uzależniony od palenia.

– Ja uwielbiam palenie! – rzekła panna Gwilt z niezmaconą żywością i dobrym humorem. – To jeden z przywilejów mężczyzn, którego zawsze im zazdrościłam. Boję się, panie Armadale, że pomyśli pan, iż się narzucam. Z pewnością tak to wygląda. Prawda jest taka, że chcę zamienić z panem na osobności słówko na temat pana Midwintera.

W tej samej chwili nadjechał pociąg. Pomijając Midwintera, zwykła uprzejmość nakazywała Allanowi ustąpić. Po tym, jak przyczynił się do jej odejścia z posady u majora Milroya, jak zaledwie kilka dni wcześniej wyraźnie unikał jej na drodze, odmowa podróżowania w jednym wagonie z panną Milroy byłaby wyrazem skończonego łajdactwa, którego po prostu nie sposób było popełnić. „Do diabła z nią!”, powiedział Allan w myślach, pomagając towarzysze podróży wsiąść do pustego wagonu, nachalnie oddanego na oczach wszystkich do ich dyspozycji przez konduktora.

– Nikt nie będzie panu przeszkadzał, sir – szepnął poufale mężczyzna, uśmiechając się i dotykając daszka czapki.

Allan z największą przyjemnością powaliłby go na ziemię.

– Stój! – zawołał przez okno. – Nie chcę wagonu...

Wszystko na nic. Konduktor był za daleko, by słyszeć. Rozległ się gwizdek i pociąg ruszył ze stacji.

Doborowe grono odprowadzających, które zostało na peronie, natychmiast ustawiło się w kole z naczelnikiem stacji w środku.

Naczelnik, znany jako pan Mack, cieszył się w okolicy popularnością. Posiadał dwie cechy, które niezmiennie działają na wyobraźnię przeciętnego Anglika – był byłym żołnierzem i nie lubił strzepić języka po próżnicy. Uczestnicy tajnego spotkania na peronie chcieli koniecznie zasięgnąć jego opinii, zanim ugruntują się we własnych przekonaniach. Ze wszystkich stron posypały się ożywione komentarze, ale opinie wszystkich kończyły się pytajaco, pytaniem skierowanym bezpośrednio do uszu naczelnika stacji.

– Złowiła go, prawda?

– Wróci jako pani Armadale, nieprawdaż?

– Lepiej by zrobił, trzymając się panny Milroy, czyż nie?

– To panna Milroy trzymała się jego. Odwiedziła go w rezydencji, nieprawdaż?

– Nic podobnego. To wstyd tak szargać dobre imię dziewczyny. W pobliżu rezydencji złapała ją burza, a on był zmuszony udzielić jej schronienia. Od tamtej pory nie pojawiła się w pobliżu. Za to panna Gwilt się tam pojawiła, nie będąc zmuszona żadną burzą, i to ona odjechała z nim do Londynu w jednym wagonie, który mają cały tylko dla siebie, prawda, panie Mack?

– Ach, głupiec z tego Armadale’a! Mając tyle pieniędzy, zadawać się z rudą kobietą o dobre osiem lub dziewięć lat starszą od siebie! Ma przynajmniej trzydzieści lat, panie Mack. Co pan na to?

– Starsza czy młodsza, będzie rządzić w Thorpe Ambrose i dla dobra tego miejsca zrobimy z tego użytek. Pan Mack jako człowiek światowy uważa tak samo, prawda, sir?

– Panowie – odezwał się naczelnik stacji szorstkim tonem i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wojskowego – to diabelnie piękna kobieta. I gdybym był w wieku pana Armadale’a, myślę, że gdyby tylko chciała, mogłaby wyjść za mnie.

Wyraziwszy tym samym swoją opinię, naczelnik skręcił w prawo i okopał się w niedostępnym bastionie własnego biura.

Obywatele Thorpe Ambrose spojrzeli na zamknięte drzwi i ponuro potrząsnęli głowami. Pan Mack ich zawiódł. Żadna opinia otwarcie głosząca słabość ludzkiej natury nie znajdzie szerokiego uznania ludzkości.

– To tak jakby powiedział, że każdy z nas mógłby się z nią ożenić, gdybyśmy byli w wieku pana Armadale’a!

Takie było ogólne wrażenie, jakie odnieśli uczestnicy tajnego spotkania w chwili, gdy zakończono obrady, a dyskutanci opuszczali stację.

Ostatnim z towarzystwa był powolny staruszek, który miał w zwyczaju z rozmysłem rozglądać się wokół siebie. Przystanąwszy przy drzwiach, ta uważna osoba zmierzyła wzrokiem perspektywę peronu w obu kierunkach i odkryła stojącego za załomem muru starszego mężczyznę w czerni, który jak dotąd umknął uwagi wszystkich.

– A niech mnie! – powiedział staruszek, z ciekawością zbliżając się wolnym kroczkiem. – To chyba nie pan Bashwood!

Był to właśnie pan Bashwood – pan Bashwood, którego nieodłączna ciekawość przywiodła po kryjomu na stację i który zdecydowany był rozwikłać zagadkę nagłego wyjazdu Allana do Londynu. Pan Bashwood, który za załomem muru widział i słyszał to, co widział i słyszał każdy inny, i na którym zdawało się to robić nieprzeciętne wrażenie. Przywarł sztywno do ściany jak sparaliżowany, jedną rękę przyciskając do gołej głowy, a w drugiej trzymając kapelusz. Na policzki wystąpił mu blady rumieniec, wzrok zaś utkwiał tępo w ciemnej czeluści tunelu za stacją, tak jakby pociąg do Londynu zniknął w niej zaledwie przed chwilą.

– Boli pana głowa? – spytał starszy dżentelmen. – Dam panu radę: niech pan idzie do domu i się położy.

Pan Bashwood wysłuchał tych słów machinalnie, ze zwykłą sobie uwagą, i odpowiedział machinalnie, ze zwykłą sobie uprzejmością:

– Tak, proszę pana – mówił niskim, nieobecny głosem, jak człowiek znajdujący się na pograniczu snu i jawy. – Pójdę do domu i położę się.

– To dobrze – odparł starszy dżentelmen, kierując się ku wyjściu. – I niech pan weźmie tabletkę, panie Bashwood.

Pięć minut później bagażowy, który miał za zadanie zamknąć stację, natknął się na pana Bashwooda, jak ten nadal stał przywarty do ściany z gołą głową i wzrokiem utkwionym prosto w ciemnej czeluści tunelu, tak jakby pociąg do Londynu zniknął

w niej zaledwie przed chwilą.

– Proszę wyjść, sir! – powiedział bagażowy. – Muszę zamykać. Źle się pan czuje? Coś nie tak z żołądkiem? Niech pan wypije kapkę dżinu z angosturą.

– Tak – powiedział pan Bashwood, odpowiadając bagażowemu dokładnie takim samym tonem jak staruszkowi. – Wypiję kapkę dżinu z angosturą.

Bagażowy ujął go pod ramię i wyprowadził.

– Dostanie to pan tam – powiedział, konfidencjonalnie wskazując w stronę pubu – i może być pewien, że będzie dobre.

– Dostanę to tam – rzekł jak echo pan Bashwood, nadal machinalnie powtarzając to, co usłyszał – i mogę być pewien, że będzie dobre.

Jego wola zdawała się być jak sparaliżowana, działania były całkowicie zależne od tego, co powiedzieli mu inni. Postąpił kilka kroków w kierunku pubu, przystanął, zachwiał się i uchwycił stojącej obok dworcowej latarni.

Bagażowy zbliżył się i raz jeszcze złapał go pod ramię.

– Cóż to, pan już pił! – zawołał mężczyzna, obdarzając nagle pana Bashwooda większym zainteresowaniem. – Co to było? Piwo?

Pan Bashwood powtórzył ostatnie słowo swoim niskim, nieobecny głosem.

Dla bagażowego zbliżała się pora obiadu. Ale kiedy niższe klasy angielskiego społeczeństwa wierzą, że odkryły człowieka nietrzeźwego, ich współczucie wobec niego jest bezgraniczne. Bagażowy uznał, że z obiadem niech się dzieje, co chce, i troskliwie pomógł panu Bashwoodowi dotrzeć do pubu.

– Dżin z angosturą znów postawi pana na nogi – wyszeptał ten samarytanin od naprawiania alkoholowych nieszczęść ludzkości.

Gdyby pan Bashwood rzeczywiście był nietrzeźwy, remedium bagażowego przyniosłoby doprawdy piorunujący skutek. Niemal natychmiast po opróżnieniu szklanki mikstura zadziałała. Osłabiony długotrwałym napięciem system nerwowy zastępcy zarządcy, załamawszy się chwilowo pod ciężarem wstrząsu, jaki na niego spadł, ożywił się niczym koń spięty ostrogą. Błady rumieniec i tępy wzrok zniknęły w jednej chwili. Po chwili wysiłku zebrał myśli na tyle, by uzmysłwić sobie, co zaszło, i podziękować bagażowemu oraz zapytać, czy sam chciałby coś wypić. Ta

zacna istota zaś z miejsca przyjęła dawkę własnego remedium (jako środek zapobiegawczy) i udała się do domu, tak jak tylko potrafi człowiek fizycznie rozgrzany dżinem z angosturą i podbudowany duchowo wykonaniem dobrego uczynku.

Pan Bashwood z kolei, nadal dziwnie roztargniony (ale świadomy, gdzie się udaje), wyszedł z pubu kilka minut później. Poruszał się machinalnie w swoim ponurym, czarnym stroju – ruchoma plamka na oślepiająco białej płaszczyźnie zalanej słońcem drogi, dokładnie tak, jak zobaczył go Midwinter na początku swojego pobytu w Thorpe Ambrose, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Doszedłszy do miejsca, gdzie musiał wybrać drogę wiodącą do miasteczka lub prowadzącą do rezydencji, przystanął w swoim niezdecydowaniu, najwyraźniej nawet nie siląc się na próbę podjęcia decyzji.

– Zemszczę się na niej! – wyszeptał pod nosem, nadal pochłonięty pełną wściekłości zazdrością wobec kobiety, która go oszukała. – Zemszczę się na niej – powtórzył głośniej – choćbym miał wydać ostatniego pensa!

Kilka kobiet z gatunku bardziej agresywnych, mijających go w drodze do miasteczka, usłyszało go.

– Ach, ty stary draniu – zawołały z niezmiernym zuchwalstwem ludzi swojego pokroju – cokolwiek zrobiła, dobrze ci tak!

Grubiański ton ich głosów wstrząsnął nim, niezależnie od tego, czy pojął znaczenie słów, czy nie. Uciekł przed zakłócaniem spokoju i dalszą zniewagą na mniej uczęszczaną drogę wiodącą do rezydencji.

W ustronnym miejscu przy drodze zatrzymał się i usiadł. Zdjął kapelusz i uniósł nieco swoją młodzieńczą perukę, rozpaczliwie próbując uwolnić się od niezachwianego przekonania, które ciążyło mu na sercu jak ołów, a mianowicie, że panna Gwilt od początku celowo go zwodziła. Na próżno. Żadnym wysiłkiem nie potrafił uwolnić się od tego dominującego wrażenia i jedynej myśli stanowiącej odpowiedź na nie – myśli o zemście. Wstał, włożył kapelusz i szybko postąpił kilka kroków naprzód. Potem, nie wiedząc czemu, zawrócił i powoli przeszedł kilka kroków z powrotem.

– Gdybym tylko trochę bardziej szykownie się ubierał! – powiedział bezradnie nieszczęśnik. – Gdybym tylko był nieco śmielszy wobec niej, mogłaby przymknąć oko na fakt, że jestem stary!

Napad złości powrócił. Zacisnął swoje lepkie, drżące dłonie w pięści i zaczął gniewnie wymachiwać nimi w powietrzu.

– Zemszczę się na niej – powtórzył. – Zemszczę się, choćbym miał wydać ostatniego pensa!

O tym, jak bardzo panna Gwilt nim owładnęła, wiele mówiło to, że mściwe poczucie krzywdy starca nawet teraz nie wychodziło poza nią, aby osiągnąć mężczyznę, który w jego przekonaniu był mu rywalem. Podobnie jak w swojej miłości, tak i we wściekłości ciałem i duszą pan Bashwood cały zatracił się w pannie Gwilt.

Po chwili poderwał go turkot toczących się za nim kół. Obejrzał się za siebie. To pan Pedgift starszy doganiał go w swoim gigu, tak jak raz już to miało miejsce w dniu, w którym podsłuchiwał pod oknem rezydencji i w którym prawnik otwarcie zarzucił mu, że odczuwa ciekawość wobec panny Gwilt!

W jednej chwili w jego umyśle zrodziło się nieuniknione skojarzenie. Przypomniała mu się opinia prawnika na temat panny Gwilt, jaką podzielił się z Allanem, a jednocześnie sarkastyczne przyzwolenie Pedgifta na wszystkie podyktowane ciekawością działania mające na celu docieczenie prawdy. „Jeszcze mogę się z nią porachować”, pomyślał, „jeśli pomoże mi pan Pedgift!”

– Proszę się zatrzymać! – zawołał desperacko, kiedy gig się z nim zrównał. – Jeśli pan pozwoli, sir, chciałbym z panem porozmawiać.

Pedgift senior ściągnął cugle swojej rączej klaczy, nie zatrzymując się.

– Proszę przyjść do kancelarii za pół godziny – rzekł. – Teraz jestem zajęty.

Nie czekając na odpowiedź, nie zauważając nawet skinienia pana Bashwooda, ponownie popuścił klaczy cugli i w minutę potem zniknął z pola widzenia.

Pan Bashwood po raz drugi usiadł w cieniu przy drodze. Zdawał się niezdolny do odczuwania innej zniewagi jak ta jedna niewybaczalna zniewaga, jakiej dopuściła się wobec niego panna Gwilt. Nie tylko nie miał żalu do pana Pedgifta o jego obcesowe

zachowanie, ale wręcz starał się przekuć je na swoją korzyść.

– Pół godziny – powiedział zrezygnowanym tonem. – Wystarczająco dużo czasu, aby się uspokoić, a ja potrzebuję czasu. To miły gest ze strony pana Pedgifta, choć może niezamierzony.

Ucisk, jaki odczuwał w głowie, raz jeszcze zmusił go do zdjęcia kapelusza. Siedział, trzymając go na kolanach, pogrążony w myślach, z głową nisko opuszczoną, rozedrganymi palcami jednej ręki bębniąc z roztargnieniem w denko. Gdyby pan Pedgift starszy, widząc go teraz, mógł wybiec wzrokiem w nieodległą przyszłość, miarowo bębniąca ręką zastępcy zarządcy, jakkolwiek wątła, mogłaby zmusić go do zatrzymania się na drodze. Była to zniszczona, zmęczona, żalosna, stara ręką zniszczonego, zmęczonego, żalosego starca, ale mimo to była to (używając proroczych słów Pedgifta wypowiedzianych przy pożegnaniu z Allanem) ta sama ręką, która teraz miała „odsłonić przed światem prawdziwe oblicze panny Gwilt”.

XIII. SERCE STAREGO CZŁOWIEKA

Po upływie pół godziny, punktualnie co do minuty, w kancelarii zapowiedziano, że pan Bashwood czeka na umówione spotkanie z panem Pedgiftem.

Prawnik z lekkim zniecierpliwieniem podniósł wzrok znad papierów, zupełnie zapomniał o spotkaniu na drodze.

– Sprawdź, czego chce – rzekł Pedgift senior do juniora, który pracował w tym samym pokoju – a jeśli to nic ważnego, przełoż spotkanie na inny termin.

Pedgift junior szybko zniknął i równie szybko powrócił.

– No więc? – zapytał ojciec.

– No więc – odparł syn – jest jeszcze bardziej roztrzęsiony i niezrozumiały niż zwykle. Nic nie mogę z niego wydusić, poza tym że nalega, by się z tobą spotkać. Domyślam się – ciągnął młody Pedgift z właściwą sobie sardoniczną powagą – że będzie miał napad i chciałby podziękować ci za niezmienną życzliwość wobec niego, racząc cię prywatnym pokazem całego wydarzenia.

Pedgift senior notorycznie odpłacał każdemu, nie wyłączając własnego syna, taką samą monetą.

– Bądź tak dobry i nie zapominaj, Augustusie – odparł – że mój gabinet to nie sala sądowa. Kiepski żart nie zawsze wywołuje tu salwy śmiechu. Niech pan Bashwood wejdzie.

Pan Bashwood został wprowadzony, a Pedgift junior wycofał się.

– Nie wolno ci upuszczać mu krwi – szepnął niepoprawny żartowniś, przemykając za oparciem ojcowskiego krzesła. – Termofor pod stopy i plaster gorczycowy na brzuch, oto współczesna terapia.

– Proszę usiąść, panie Bashwood – powiedział Pedgift senior, gdy zostali sami. –

I niech pan nie zapomina, że czas to pieniądz. Cokolwiek ma mi pan do przekazania, proszę powiedzieć to najszybciej i najzwięźlej, jak się da.

Te wstępne wskazówki wyrażone prosto z mostu, lecz bynajmniej nie niegrzecznie, raczej spotęgowały niż zmniejszyły wzburzenie, które zdawało się ogarniać pana Bashwooda. Jąkał się i trzął jeszcze bardziej niż zwykle, wygłaszając swą krótką dziękczynną przemowę zakończoną przeprosinami za to, że nachodzi protektora w godzinach pracy.

– Każdy tutaj wie, że pański czas jest cenny. Ojej, ojej, tak! Niezwykle cenny, niezwykle cenny! Przepraszam, sir, już przechodzę do rzeczy. Pańska uprzejmość... a raczej pańskie interesy... nie, pańska uprzejmość pozwoliła mi czekać pół godziny i przemyślałem sobie dobrze, co mam powiedzieć, przygotowałem to i postaram się ująć możliwie zwięźle.

Dotarłszy do tego miejsca, urwał z boleścią i konsternacją w oczach. Ułożył sobie przemówienie w głowie, ale teraz, gdy nadeszła pora, był zbyt zmieszany, aby je sobie przypomnieć. A pan Pedgift czekał w milczeniu. Zarówno jego postawa, jak i wyraz twarzy wyrażały owo nieme poczucie wartości własnego czasu, tak dobrze znane każdemu pacjentowi, który odwiedza wielkiego lekarza, i każdemu klientowi, który przychodzi po poradę do doświadczonego prawnika.

– Słyszał pan wieści, sir? – wyjąkał pan Bashwood, zmieniając temat i dając ujście myśli, która zajmowała go przede wszystkim tylko dlatego, że była to jedyna tkwiąca w jego głowie myśl, jaką miał pod ręką.

– Czy to mnie dotyczy? – zapytał Pedgift senior, przemawiając bezlitośnie zwięźle i bezlitośnie wprost przechodząc do rzeczy.

– Dotyczy damy, sir... nie, nie damy... młodzieńca, powinienem był powiedzieć, którym się pan nieco interesował. Och, co pan na to, panie Pedgift? Pan Armadale i panna Gwilt wyjechali dziś razem do Londynu – sami, sir, sami w wagonie zarezerwowanym wyłącznie dla siebie. Sądzi pan, że on się z nią ożeni? Naprawdę sądzi pan jak cała reszta, że on się z nią ożeni?

Pytanie to zadał z nagłym ożywieniem, czerwieniąc się gwałtownie. Świadomość, że czas prawnika jest cenny, przekonanie o potędze jego

protekcjonalności, nieodłączna nieśmiałość oraz bojaźliwość – wszystko to ustąpiło wobec wszechogarniającego pragnienia, aby usłyszeć odpowiedź pana Pedgifta. Po raz pierwszy w życiu śmiało zadał pytanie.

– Na tyle, na ile zdążyłem poznać pana Armadale’a – rzekł prawnik, w jednej chwili przybierając surowe spojrzenie i ton – myślę, że jest wystarczająco zadurzony, aby ożenić się z panną Gwilt tuzin razy, jeśli tylko panna Gwilt zechce go o to poprosić. Pańskie wieści, Bashwood, wcale mnie nie dziwią. Żał mi go. Mówię to szczerze, pomimo że postąpił na przekór mojej radzie. A jeszcze bardziej żał mi – ciągnął, mięknąc na powrót w chwili, w której wrócił pamięcią do rozmowy z Neelie w parku – jeszcze bardziej żał mi innej osoby, której nie będę wymieniał. Ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego? I co do diabła panu jest? – podjął, po raz pierwszy zauważając skrajne nieszczęście w postawie pana Bashwooda i niemą rozpacz w jego twarzy, jakie wywołała odpowiedź.

– Jest pan chory? Czy jest coś jeszcze, o czym boi się pan wspomnieć? Nie rozumiem. Przychodzi pan tu – do mojego prywatnego gabinetu, w godzinach pracy – i nie ma do powiedzenia nic ponad to, że młody Armadale był na tyle głupi, by zniszczyć sobie widoki na przyszłość? Przecież ja to przewidziałem kilka tygodni temu. Mało tego, praktycznie powiedziałem mu to podczas naszej ostatniej rozmowy w rezydencji.

Przy tych ostatnich słowach pan Bashwood nagle się ożywił. Przelotna wzmianka o rezydencji w jednej chwili naprowadziła go na trop myśli, z którą przyszedł.

– Otóż to, sir! – rzekł skwapliwie. – Właśnie o tym chciałem z panem rozmawiać i to układałem sobie w głowie. Panie Pedgift, ostatnim razem, kiedy był pan w rezydencji, wyjeżdżając swoim gigiem, minął... minął mnie pan na podjeździe.

– Nie zaprzeczę – zauważył Pedgift zrezygnowanym tonem. – Tak się składa, że moja klacz jest nieco szybsza niż pan. Proszę mówić dalej. W swoim czasie dojdziemy, jak sądzę, do tego, do czego pan zmierza.

– Zatrzymał się pan i odezwał do mnie, sir – ciągnął pan Bashwood, coraz bardziej ochoczo zmierzając do celu. – Powiedział pan, że podejrzewa mnie, iż interesuję się panną Gwilt, i dodał (pamiętam dokładne słowa, sir), abym zaspokoił swoją ciekawość jak najbardziej, ponieważ nie ma pan nic przeciwko temu.

Pedgift senior po raz pierwszy zdawał się być zainteresowany dalszym ciągiem.

– Przypomina mi się coś takiego – odparł – i przypomina mi się również, jak pomyślałem, że to dość niezwykle, iż znalazł się pan akurat (nie ujmę tego bardziej obraźliwie) pod otwartym oknem pana Armadale’a, kiedy z nim rozmawiałem. Oczywiście mógł to być przypadek, ale wyglądało to raczej na ciekawość. Mogłem jedynie sądzić po pozorach – zakończył Pedgift, podkreślając sarkazm szczyptą tabaki – a pozory, Bashwood, przemawiały jednoznacznie na pana niekorzyść.

– Nie przeczę, sir. Wspomniałem o okolicznościach, chcąc jedynie przyznać, że interesowałem się i nadal interesuję panną Gwilt.

– Dlaczego? – zapytał Pedgift senior, który wyczuwał, że za wyrazem twarzy i postawą pana Bashwoda coś się kryje, ale jak dotąd zupełnie nie miał pojęcia, co to może być.

Przez chwilę zalegała cisza. Po tej chwili pan Bashwood uciekł się do tego, do czego zwykle uciekają się nerwowe, nieprzygotowane osoby, kiedy nie wiedzą, co odpowiedzieć. Po prostu raz jeszcze powtórzył stwierdzenie, które wypowiedział przed chwilą.

– Odczuwam ciekawość, sir – rzekł z dziwną mieszaniną zawziętości i nieśmiałości w głosie – w stosunku do panny Gwilt.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. Pomimo wyrobionej przenikliwości i znajomości świata prawnik był bardziej zdezorientowany niż kiedykolwiek. Przypadek pana Bashwoda przedstawiał jedną jedyną ze wszystkich ludzkich zagadek, której nie potrafił rozwikłać. Pomimo że rok w rok dziesiątki tysięcy przypadków takich jak bezlitosne wydziedziczenie najbliższych i najdroższych krewnych, nienaturalne zrywanie świętych więzów rodzinnych, pożałowania godne zapominanie o starych i dobrych przyjaciółach spowodowane wyłącznie owym silnym egocentryzmem, jaki namiętność może wzbudzić w sercu starego człowieka, świadczą o czymś wręcz przeciwnym, połączenie miłości z niedołęstwem i siwizną wzbudza na całym świecie jedynie skojarzenia z czymś niepodobnym i absurdalnym. Gdyby rozmowa, która teraz odbywała się w gabinecie pana Pedgifta, toczyła się zamiast tego przy nakrytym do obiadu stole, gdzie wino otwarłoby jego umysł na zabawny aspekt

sytuacji, możliwe, że do tej pory domyśliłby się on prawdy. Ale w godzinach pracy Pedgift senior zwykł był badać ludzkie pobudki z powagą należną swojemu urzędowi i z tego też względu nie potrafił przyjąć do wiadomości czegoś równie niepodobnego i absurdalnego jak to, że pan Bashwood się zakochał.

Niektórzy na miejscu prawnika mogliby na siłę dociekać prawdy, uparcie powtarzając pytanie. Pedgift senior był na tyle rozsądny, by poczekać z pytaniem, dopóki rozmowa nie pójdzie o krok dalej.

– No więc – podjął – powiedzmy, że odczuwa pan ciekawość w stosunku do panny Gwilt. Co dalej?

Wnętrza dłoni pana Bashwooda zaczęły pocić się pod wpływem pobudzenia, tak jak w przeszłości pociły się, kiedy w rezydencji opowiadał Midwinterowi historię swoich rodzinnych nieszczęść. Raz jeszcze zwinął chusteczkę w kulkę i zaczął delikatnie uderzać nią o wnętrza dłoni, przekładając ją przy tym z ręki do ręki.

– Mogę spytać, czy się nie mylę, sir – zaczął – myśląc, że ma pan bardzo nieprzychylnie zdanie o panie Gwilt? Jest pan niemal pewien, jak sędzę...

– Drogi panie – przerwał Pedgift senior – nie rozumiem, skąd te wątpliwości. Stał pan pod otwartym oknem pana Armadale'a przez cały czas, gdy rozmawialiśmy, by, jak sędzę, nadstawiać uszu.

Pan Bashwood nie okazał żadnej reakcji na wtrącenie. Drobne ukłucie, jakie wywołał sarkazm prawnika, zostało przyćmiony przez większy ból pochodzący z rany zadanej przez pannę Gwilt.

– Jest pan niemal pewien, jak sędzę, sir – podjął – że przeszłość tej damy kryje pewne okoliczności, których ujawnienie byłoby dla niej niezwykle kompromitujące?

– Okno w rezydencji było otwarte, Bashwood, a pan, jak miemam, nadstawiał uszu – powtórzył Pedgift senior.

Bashwood, nadal odporny na przytyk, stał się jeszcze bardziej nieustępliwy.

– O ile się nie mylę – rzekł – pańskie długie doświadczenie w takich sprawach podsunęło panu nawet myśl, że panna Gwilt może być znana policji...

Cierpliwość Pedgifta seniora wyczerpała się.

– Jest pan w tym pokoju już ponad dziesięć minut – wybuchnął. – Czy powie mi

pan wreszcie otwarcie, czego chce?

Pan Bashwood podjął wyzwanie z pasją, która go przemieniła, z pasją, która (według słów samej panny Gwilt) zrobiła z niego mężczyznę, rozpalającą jego zapadłe policzki i sprawiającą, że stawiał czoła prawnikowi (tak jak zaniepokojona owca stawia czoła psu) na jego własnym terenie.

– Chciałbym zaznaczyć, sir – odparł – że podzielam pańskie zdanie w tym względzie. Uważam, że przeszłość panny Gwilt kryje jakiś mroczny sekret, i chcę być człowiekiem, który go odkryje.

Pedgift senior dostrzegł sposobność i momentalnie powrócił do pytania, z którym czekał.

– Dlaczego? – spytał po raz drugi.

Pan Bashwood po raz drugi się zawahał.

Miał przyznać, że był na tyle szalony, by się w niej zakochać, i na tyle podły, by dla niej szpiegować? Miał powiedzieć: „od początku mnie oszukiwała i teraz, gdy osiągnęła swój cel, porzuciła mnie. Odarłszy mnie ze szczęścia, z godności, z ostatniej nadziei, jaka mi w życiu została, odeszła ode mnie na zawsze, nie pozostawiając nic prócz pragnienia zemsty – cierpliwego i podstępnego, silnego i niezmiennego pragnienia zemsty starego człowieka. Zemsty, jakiej mogę dokonać, jeśli zdołam zatruć jej zwycięstwo, wyciągając jej słabości na światło dzienne. Zemsty, za którą zapłacę (bo cóż dla mnie znaczą złoto albo życie?) ostatnim szelągim z moich oszczędności i ostatnią kroplą starczej krwi”. Czy mógł to powiedzieć człowiekowi, który siedział, czekając na odpowiedź? Nie. Mógł tylko zdławić to i milczeć.

Twarz prawnika zaczynała ponownie przybierać surowy wyraz.

– Jeden z nas musi przemówić – rzekł – a skoro pan najwyraźniej tego nie robi, zrobię to ja. Pańską nadzwyczajną chęć poznania sekretów panny Gwilt mogę wyjaśnić tylko na dwa sposoby. Pana pobudki są albo bardzo niskie (bez obrazy, Bashwood, tylko wysuwam przypuszczenie), albo bardzo szlachetne. Znając pana uczciwość i przyzwoite zachowanie, nie mogę postąpić inaczej, jak od razu oczyścić pana z podejrzeń o niskie pobudki. Uważam, że jest pan równie niezdolny jak ja –

więcej powiedzieć nie mogę – do wykorzystania wiedzy na temat przeszłości panny Gwilt ze szkodą dla niej, a korzyścią dla siebie. Mam mówić dalej? Czy może wolałby pan, po namyśle, szczerze się przede mną otworzyć z własnej woli?

– Wolałbym panu nie przerywać, sir – powiedział pan Bashwood.

– Jak pan sobie życzy – ciągnął Pedgift senior. – Oczyszczywszy pana z niskich pobudek, przechodzę następnie do szlachetnych. Możliwe, że jest pan niezwykle wdzięcznym człowiekiem i pewne jest, że pan Armadale był dla pana niezwykle życzliwy. Zatrudniwszy pana jako pomocnika pana Midwintera w biurze zarządcy, miał tak wielką wiarę w pańską uczciwość i zdolności, że teraz, kiedy jego przyjaciel go opuścił, oddał swoje interesy wyłącznie i bez zastrzeżeń w pańskie ręce. Moja znajomość natury ludzkiej tego nie potwierdza, niemniej jest możliwym, że odczuwa pan tak wielką wdzięczność za tę wiarę i tak bardzo leży panu na sercu dobro jego chlebodawcy, że nie może pan z założonymi rękami patrzeć, jak ten, będąc pozbawiony przyjaciół, zmierza prosto do hańby i upadku. Krótko mówiąc, czy myśli pan, że można powstrzymać pana Armadale’a przed ślubem z panną Gwilt, jeśli w porę poinformuje się go, jaka jest naprawdę? I czy chce pan być człowiekiem, który odsłoni przed nim prawdę? Jeśli tak jest w istocie...

Urwał osłupiały. Pod wpływem jakiegoś niekontrolowanego odruchu pan Bashwood zerwał się na równe nogi. Jego pomarszczoną twarz rozświetlił nagle wewnętrzny blask, który sprawiał, że wyglądał o dobre dwadzieścia lat młodziej. Stał, próbując złapać oddech, by przemówić, i obiema rękami dawał błagalne znaki prawnikowi.

– Niech pan to powtórzy, sir! – wykrztusił, łapiąc oddech, zanim Pedgift senior zdołał wyjść ze zdumienia. – Pytanie o pana Armadale’a, sir!... jeszcze tylko raz... jeszcze tylko raz, panie Pedgift, proszę!

Wnikliwie i nieufnie badając twarz pana Bashwooda swoim wprawnym okiem, Pedgift senior dał mu znak ręką, aby usiadł i po raz drugi zadał pytanie.

– Czy myślę – odezwał się pan Bashwood, parafrazując pytanie – że pana Armadale’a i pannę Gwilt można rozdzielić, jeśli pokaże się mu, jaka jest naprawdę? Tak, proszę pana! I czy chcę być człowiekiem, który tego dokona? Tak, proszę pana! Tak, proszę pana!! Tak, proszę pana!!!

– To trochę dziwne – zauważył prawnik, przyglądając mu się coraz bardziej nieufnie – że jest pan tak gwałtownie wzburzony tylko dlatego, że moje pytanie trafiło w sedno.

Pytanie trafiło w sedno w sposób, o którym Pedgiftowi nawet się nie śniło. W jednej chwili uwolniło umysł pana Bashwooda od ciężaru natrętnej myśli o zemście i podsunęło cel, który można by osiągnąć, odkrywając sekrety panny Gwilt, a który do tej pory nie przyszedł mu do głowy. Małżeństwu, które uważał za nieuniknione, można jeszcze było zapobiec – nie w interesie Allana, ale własnym – zaś kobieta, którą uważał za straconą, mogła jeszcze na przekór okolicznościom zostać zdobyta! W głowie mu się kręciło, kiedy o tym myślał. Jego własna rozbudzona nadzieja niemal go onieśmielała, tak strasznie nie przystawała do jego zwykłych myśli i poczynań.

Widząc, że jego uwaga przeszła bez echa, Pedgift senior przez chwilę się zastanawiał, nim znowu przemówił.

„Jedno jest jasne”, rozumował prawnik, „boi się wyjawic swoje prawdziwe pobudki w tej kwestii. Moje pytanie ewidentnie dało mu okazję do zmylenia mnie i natychmiast ją wykorzystał. Tyle mi wystarczy. Gdybym był prawnikiem pana Armadale’a, tajemnica mogłaby być warta zbadania. W obecnym stanie rzeczy nie leży w moim interesie tropienie kolejnych kłamstw pana Bashwooda, dopóki nie przyprę go do muru. Nie mam z tym nic wspólnego i pozwolę mu robić, co chce i jak chce”. Doszedłszy do takiego wniosku, Pedgift senior odsunął krzesło i energicznie wstał, aby zakończyć rozmowę.

– Proszę się nie trwożyć, panie Bashwood – zaczął. – Jeśli o mnie chodzi, temat naszej rozmowy uważam za wyczerpany. Chciałbym dodać jeszcze tylko kilka słów, a jak pan wie, mam zwyczaj dodawać ostatnie słowa na stojąco. Bez względu na to, jak wiele nie wiem, dokonałem przynajmniej jednego odkrycia. Dowiedziałem się, czego pan tak naprawdę ode mnie chce – w końcu! Chce pan, abym mu pomógł.

– Gdyby był pan tak... tak uprzejmy, sir! – wyjąkał pan Bashwood. – Gdyby tylko posłużył mi pan swoją opinią i radą!

– Poczekaj pan, Bashwood. Jeśli pan pozwoli, oddzielimy te dwie rzeczy.

Prawnik może wyrazić swoją opinię jak każdy inny człowiek, ale kiedy prawnik udziela rady, do licha, robi to jako zawodowiec! Może pan poznać moją opinię w tej kwestii, przed nikim jej nie ukrywałem. Uważam, że w życiu panny Gwilt miały miejsce wydarzenia, które (gdyby tylko dało się je odkryć) nawet pana Armadale'a, jakkolwiek w niej zadurzonego, odstręczyłyby od małżeństwa z nią... pod warunkiem, rzecz jasna, że naprawdę zamierza się z nią ożenić, bo choć jak na razie wszystko na to wskazuje, to ostatecznie tylko przypuszczenie. Co do sposobu działania, dzięki któremu plamy na reputacji tej kobiety mogą w porę ujrzeć światło dzienne (może wziąć ślub cywilny w ciągu dwóch tygodni, jeśli zechce), jest to ta część pytania, w którą stanowczo nie będę się wdawał. Wymaga ona ode mnie wypowiedziania się w charakterze prawnika i udzielenia panu, czego stanowczo odmawiam, fachowej porady.

– Och, sir, proszę tak nie mówić! – błagał pan Bashwood. – Proszę nie odmawiać mi tego wielkiego przywileju, jakim jest pańska bezcenna porada! Mam taką słabą głowę, panie Pedgift! Jestem taki stary i nierozgarnięty, sir, i tak łatwo mnie przestraszyć i zmartwić, kiedy wytrąca się mnie z toku myślenia. Nic dziwnego, że trochę stracił pan do mnie cierpliwość za to, że zajmuję panu czas. Wiem, że dla kogoś równie mądrego jak pan czas to pieniądz. Czy wybaczy mi pan... czy raczej wybaczyć mi pan, jeśli ośmielę się powiedzieć, że mam pewne oszczędności, kilka funtów, sir, a będąc całkiem sam i nie mając nikogo na utrzymaniu, z pewnością mogę wydawać swoje oszczędności, jak mi się podoba.

Niepomny na żadne inne względy poza chęcią zjednania sobie pana Pedgifta, wyciągnął spłowiakę, poszarpany pugilares i drżącymi rękami próbował go otworzyć na stole prawnika.

– Niech pan w tej chwili odłoży pugilares – rzekł Pedgift senior. – Zamożniejsi od pana próbowali się ze mną spierać i przekonali się, że istnieje coś takiego (nieoficjalnie) jak prawnik, którego nie da się przekupić. W obecnych okolicznościach nie chcę mieć nic wspólnego z tą sprawą. Jeśli chciałby pan wiedzieć dlaczego, pragnę poinformować, że panną Gwilt przestałem się zawodowo interesować w dniu, w którym przestałem być prawnikiem pana Armadale'a. Mogę mieć ponadto inne powody, których nie ma konieczności wymieniać. Powód, który

podalem, jest wystarczająco jasny. Proszę iść swoją drogą i wziąć odpowiedzialność na własne barki. Może uda się panu zbliżyć do panny Gwilt i wyjść z tego cało. Przyszłość pokaże. W międzyczasie mówię do widzenia i ze wstydem przyznaję, że dotąd nie podejrzewałem, jaki z pana śmiałek.

Tym razem pan Bashwood zrozumiał przytyk. Bez słowa protestu czy błagania, nie odpowiadając nawet „do widzenia”, podszedł do drzwi, otworzył je cicho i wyszedł.

Pożegnalny wyraz twarzy i nagłe milczenie, w którym się pogрузył, nie uszły uwagi Pedgifta seniora.

– Bashwood źle skończy – rzekł prawnik, porządkując papiery i z nieprzeniknioną miną wracając do przerwanej pracy.

Zawziętość i zamknięcie się w sobie, jakie wyrażały twarz oraz zachowanie pana Bashwooda, były dla niego tak nietypowe, że rzuciły się w oczy nawet Pedgiftowi juniorowi i kancelistom, kiedy przechodził przez biuro. Nawykli do robienia sobie z niego żartów, zaczęli głośno wyśmiewać się z wyraźnej zmiany, jaka w nim zaszła. Pan Bashwood, głuchy na bezlitosne drwiny, którymi atakowano go ze wszystkich stron, zatrzymał się naprzeciwko młodego Pedgifta i, patrząc mu uważnie w twarz, odezwał się cichym, nieobecnym głosem, jak człowiek myślący na głos:

– Ciekawe, czy pan by mi pomógł?

– Natychmiast otwórzcie rachunek – zwrócił się Pedgift junior do kancelistów – na nazwisko pana Bashwooda. Przynieście panu Bashwoodowi krzesło i ustawcie obok podnózek, w razie gdyby go potrzebował. Dajcie mi librę najlepszego satynowego papieru i gros doborowych gęsich piór, którymi będę robił notatki dotyczące sprawy pana Bashwooda, i w tej chwili przekażcie mojemu ojcu, że odchodzę i zakładam własną firmę, mając stałą klientelę w postaci pana Bashwooda. Proszę usiąść, sir, bardzo proszę usiąść i mówić, co panu leży na sercu.

Nadal głuchy na drwiny, których był przedmiotem, pan Bashwood odczekał, aż Pedgift junior się zmęczy, po czym odszedł po cichu.

– Powinienem się był domyślić – rzekł tym samym nieobecnym tonem co poprzednio. – To nieodrodny syn swego ojca. Drwiłby ze mnie nawet wtedy, gdybym

znajdował się na łożu śmierci.

Przy drzwiach przystanął na moment, machinalnie strzepując kapelusz, po czym wyszedł na ulicę.

Jaskrawe światło oślepiało go, przejeżdżające powozy i przechodnie przyprawiali go o drżenie i oszałamiali. Wycofał się w boczną uliczkę i zrobił z ręki daszek nad oczami. „Lepiej pójdę do domu”, pomyślał, „zamknę się i pomyślę o tym we własnym pokoju”.

Jego mieszkanie znajdowało się w małym domu w biednej dzielnicy miasteczka. Otworzył drzwi kluczem i cicho zakradł się na górę. Jedyne niewielki pokój, jaki posiadał, przywitał go okrutnie. Gdziekolwiek by nie spojrzeć, natrafiało się na pamiątki po pannie Gwilt. Na kominku znajdowały się kwiaty, które dawała mu przy różnych okazjach, wszystkie od dawna zwiędłe, wszystkie zachowane na porcelanowej podstawce i osłonięte szklanym kloszem. Na ścianie wisiała kiepska kolorowa odbitka przedstawiająca jakąś kobietę, którą kazał ładnie oprawić i umieścić za szkłem, ponieważ w minie modelki było coś, co przypominało mu jej twarz. W niezgrabnym mahoniowym sekretarzyku leżało kilka krótkich i apodyktycznych listów napisanych przez nią w czasie, gdy nikczemnie podsłuchiwał i podglądał w Thorpe Ambrose, aby sprawić jej przyjemność. A gdy odwracając się od tego wszystkiego, usiadł ciężko na tapczanie, zobaczył wiszący nad jednym jego końcem pstrokaty fular z niebieskiego atłasu, który kupił, ponieważ zdradziła mu, że lubi żywe kolory, i którego jak dotąd nie odważył się założyć, mimo że co rano zabierał go ze sobą z zamiarem włożenia! Pan Bashwood, zwykle powściągliwy w gestach i słowach, teraz schwycił fular tak, jak gdyby było to żywe stworzenie zdolne odczuwać i miotając przekleństwo, cisnął go na drugi koniec pokoju.

Czas mijał i choć jego postanowienie, że stanie na drodze panny Gwilt do małżeństwa, pozostało niezachwiane, był równie odległy od znalezienia drogi do celu jak przedtem. Im więcej o tym myślał, w tym ciemniejszych barwach jawiła mu się przyszłość.

Podniósł się tak samo ciężko, jak wcześniej usiadł i podszedł do kredensu.

– Jestem rozgorączkowany i spragniony – powiedział. – Filiżanka herbaty dobrze

mi robi.

Otworzył puszkę i bardziej niedbale niż zwykle wydzielił małą porcję herbaty. „Dzisiaj nawet moje własne ręce mnie zawodzą!”, pomyślał, zbierając kilka herbacianych listków, które rozsypał, i wkładając je ostrożnie z powrotem do puszki.

Przy pięknej, letniej pogodzie jedynym ogniem, jaki płonął w domu, był ogień w piecu kuchennym. Pan Bashwood zszedł na dół po wrzątek z imbrykiem w dłoni.

W kuchni zastał jedynie gospodynię. Była to jedna z wielu angielskich matron, których droga przez życie jest usłana cierniami i które, gdy tylko okazja na to pozwala, czerpią ponurą przyjemność z oglądania podrapanych i krwawiących stóp innych osób znajdujących się w podobnym położeniu. Jej jedyna wada była z gatunku błahszych – była ciekawska, zaś jedną z wielu zalet, jakie posiadała, stanowił wielki szacunek do pana Bashwoda jako lokatora regularnie opłacającego czynsz i zachowującego się zawsze spokojnie i uprzejmie.

– Czego pan sobie życzy, sir? – spytała gospodyni. – Wrzątku, prawda? Czy słyszał pan kiedyś, panie Bashwood, żeby woda się gotowała, kiedy pan sobie tego zażyczy? Widział pan kiedyś bardziej kapryśny ogień? Dołożę ze dwa polana, jeśli pan chwilę poczeka. O jejku, jejku, pan wybaczy, że zauważę, sir, ale kiepsko pan dziś wygląda!

Ciężar przytłaczający pana Bashwoda zaczynał dawać o sobie znać. Kiedy postawił imbryk na stole i usiadł, w jego twarzy i ruchach pojawił się znowu cień bezradności, którą zdradzał na stacji.

– Mam kłopot, proszę pani – powiedział cicho – i widzę, że kłopoty stają się cięższe do zniesienia niż dawniej.

– Ach, co pan nie powie! – jęknęła gospodyni. – Nie wiem jak pan, ale ja jestem gotowa na powitanie grabarza, kiedy nadejdzie moja godzina. Jest pan zbyt samotny, sir. Człowiekowi w kłopotcie pomaga, choć niewiele, gdy przerzuci część trosk na barki drugiej osoby. Gdyby tylko żyła pańska dobra małżonka, sir, jakież oparcie by pan w niej znalazł, prawda?

Przez twarz pana Bashwoda przeszedł skurcz bólu. Gospodyni nieświadomie przypomniała mu niedole małżeńskiego życia. Już dawno został zmuszony uciszyć

jej ciekawość na temat swoich spraw osobistych informacją, że jest wdowcem i że jego życie rodzinne nie układało się najlepiej, ale nie wtajemniczał jej w dalsze szczegóły. Smutnej historii o jego żonie pijaczce dokonującej nędznego żywota w przytułku dla psychicznie chorych, którą opowiedział Midwinterowi, wzbraniał się powierzyć gadatliwej kobiecie, która z kolei powierzyłaby ją reszcie domowników.

– Zawsze, kiedy mój mąż jest przygnębiony, sir – ciągnęła gospodyni, zajęta czajnikiem – mówię mu: „Co ty byś beze mnie zrobił, Sam?”. Jeśli zły humor nie bierze nad nim góry (zaraz się zagotuje, panie Bashwood), odpowiada: „Nic bym nie zrobił, Elizabeth”. Jeśli jednak zły humor zwycięża, mówi: „Poszedłbym do pubu, stara, i zaraz to zrobię”. Ach, mam swoje kłopoty! Żeby człowiek, który ma dorosłych synów i córki, włóczył się po pubach! Nie przypominam sobie, panie Bashwood, czy miał pan jakichś synów lub córki? A jednak teraz, gdy o tym myślę, zdaje mi się, iż mówił mi pan, że tak. To były córki, proszę pana, prawda? I och, Boże, wszystkie umarły!

– Miałem jedną córkę, proszę pani – powiedział spokojnie pan Bashwood – tylko jedną, która umarła, zanim skończyła rok.

– Tylko jedną! – powtórzyła współczująca gospodyni. – Już prawie wrze, sir, proszę podać mi imbryk. Tylko jedną! Ach, trudniej to znieść, kiedy chodzi o jedynaczkę, prawda? Mówił pan, że była jedynym dzieckiem, sir. Nie tak było?

Przez chwilę pan Bashwood patrzył na rozmówczynię pustym wzrokiem, nie próbując nawet odpowiedzieć. Po tym, jak nieświadomie przypomniała mu o żonie, która go zhańbiła, teraz równie nieświadomie zmusiła go do nieszczęsnego wspomnienia o synu, który go zrujnował i opuścił. Po raz pierwszy od czasu, gdy opowiedział swoją historię Midwinterowi podczas zapoznawczej rozmowy w rezydencji, powrócił myślami do minionej klęski i bolesnego zawodu. Przypomniał sobie dawne czasy, kiedy został poręczycielem syna i kiedy nieuczciwość tego syna zmusiła go do sprzedania wszystkiego, co posiadał, aby spłacić zobowiązanie.

– Mam syna, proszę pani – powiedział, uświadamiając sobie, że gospodyni patrzy na niego w niemym i melancholijnym zdziwieniu. – Zrobiłem, co w mojej

mocy, aby pomóc mu coś osiągnąć w życiu, a on potraktował mnie bardzo źle.

– Naprawdę? – odparła gospodyni, okazując najwyższe zainteresowanie. – Potraktował pana źle, prawie złamał panu serce, prawda? Ach, wcześniej czy później to do niego dotrze. Niech się pan nie boi! Nie na darmo słowa: „Czcij ojca swego i matkę swoją” znalazły się na kamiennych tablicach Mojżesza, panie Bashwood. Gdzie on teraz może być i co porabiać, sir?

Pytanie to było w gruncie rzeczy takie samo jak to, które zadał Midwinter, kiedy zapoznał się z sytuacją rodzinną pana Bashwooda. I tak jak poprzednim razem pan Bashwood (niemal tymi samymi słowami) odpowiedział teraz.

– O ile wiem, proszę pani, mój syn jest w Londynie. Kiedy ostatnim razem doszły mnie słuchy o nim, zarabiał na życie niezbyt chlubnie w prywatnym biurze detektywistycznym...

Przy tych słowach nagle urwał. Policzki mu pały, oczy rozpromieniły się. Odsunął filiżankę, do której właśnie nalano mu herbaty, i wstał. Gospodyni cofnęła się o krok. W twarzy jej lokatora było coś, czego nigdy przedtem w niej nie widziała.

– Mam nadzieję, że pana nie uraziłam, sir – rzekła, odzyskując rezon i wyglądając tak, jakby sama za chwilę miała się obrazić.

– Nic podobnego, proszę pani, nic podobnego! – odparł pan Bashwood dziwnie skwapliwie i pośpiesznie. – Właśnie coś mi się przypomniało, coś bardzo ważnego. Muszę iść na górę... chodzi o list, list, list. Wrócę wypić herbatę, proszę pani. Proszę mi wybaczyć, jestem pani niezwykle zobowiązany, była pani bardzo uprzejma... Na razie, jeśli pani pozwoli, pożegnam się.

Ku zdziwieniu gospodyni serdecznie uścisnął jej rękę i ruszył w stronę drzwi, zostawiając herbatę i imbryk.

Gdy tylko znalazł się w swoim pokoju, zamknął drzwi na klucz. Przez chwilę stał, trzymając się gzymsu kominka i czekając, aż złapie oddech. Kiedy tylko ponownie mógł się ruszyć, otworzył sekretarzyk.

– A żebyście wiedzieli, panowie Pedgift i syn! – powiedział, pstrykając palcami, kiedy siadał. – Ja też mam syna!

Rozległo się pukanie do drzwi – ciche, taktowne i poufale. Zaniepokojona gospodyni chciała się dowiedzieć, czy pan Bashwood nie jest chory, i powtórnie oznajmić, że ma szczerą nadzieję, iż go nie uraziła.

– Nie, nie! – zawołał przez drzwi. – Czuję się całkiem nieźle... Piszę, proszę pani. Piszę... proszę mi wybaczyć.

„To dobra kobieta, to wspaniała kobieta”, myślał, kiedy gospodyni odeszła. „Dam jej jakiś upominek. Jestem taki rozkojarzony, że może nigdy bym o tym nie pomyślał, gdyby nie ona. Och, żeby tylko mój chłopiec nadal pracował w biurze! Och, gdybym tylko potrafił napisać list, który sprawi, że się nade mną ulituje!”

Wziął pióro i bardzo długo z niepokojem namyślał się, zanim dotknął papieru. Powoli, robiąc liczne przerwy na ponowne przemyślenia i dokładając większej niż zwykle staranności, aby pismo było czytelne, skreślił te słowa:

„Drogi Jamesie!

Podaję Ci, że zdziwisz się, widząc moje pismo. Proszę, nie myśl, że będę Cię prosił o pieniądze lub wypominał Ci, że przez Ciebie straciłem wszystko, gdy przepadł Twój zastaw i musiałem za Ciebie zapłacić. Pragnę zapomnieć o urazach i o tym, co było.

Możesz wyświadczyć mi (o ile nadal pracujesz w prywatnym biurze detektywistycznym) wielką przysługę. Bardzo martwi mnie i niepokoi sprawa pewnej osoby. Chodzi o damę. Proszę, jeśli potrafisz, nie naśmiewaj się ze mnie, że to przyznaję. Gdybyś wiedział, jak cierpię, byłbyś raczej skłonny mnie żałować niż się ze mnie śmiać.

Przeszedłbym do szczegółów, ale znam Twoją porywczosć i boję się wystawiać Twoją cierpliwość na próbę. Może wystarczy, jeśli powiem, że mam powody, aby sądzić, iż przeszłość owej damy nie jest zbyt chlubna, i chciałbym – bardziej niż słowa potrafią to wyrazić – dowiedzieć się, co kryje ta przeszłość, oraz odkryć to w ciągu dwóch tygodni od dzisiaj.

Chociaż niewiele wiem o sposobach pracy w biurze takim jak Twoje, mogę sobie wyobrazić, że nie można mi w żaden sposób pomóc, zanim nie zostanie odkryty obecny adres owej damy. Niestety, jeszcze go nie znam. Wiem tylko, że wyjechała

do miasta dzisiaj, w towarzystwie dżentelmena, dla którego obecnie pracuję i który (jak sądzę) prawdopodobnie wkrótce napisze do mnie, prosząc o pieniądze.

Czy ten szczegół może nam pomóc? Ośmielam się pisać „nam”, ponieważ liczę, mój drogi chłopcze, na Twoją życzliwą pomoc i radę. Nie pozwólmy, aby podzieliły nas pieniądze. Mam odłożoną małą sumę, która w całości pozostaje do Twojej dyspozycji. Proszę, napisz do mnie pocztą zwrotną! Jeśli tylko zrobisz, co w Twojej mocy, aby położyć kres strasznej niepewności, jaką cierpię, zadośćuczynisz za cały żal i rozczarowanie, jakie sprawiłeś mi w przeszłości, oraz wyświadczysz przysługę, której nigdy nie zapomnę.

Twój kochający ojciec,
Felix Bashwood”.

Odczekawszy chwilę, aż wyschną mu oczy, pan Bashwood dopisał datę oraz adres i skierował list do swego syna w „Prywatnym biurze detektywistycznym, Shadyside Place, Londyn”. Zrobiwszy to, natychmiast wyszedł i własnoręcznie nadał list. Był poniedziałek. Jeśli odpowiedź zostanie wysłana pocztą zwrotną, nadejdzie w środę rano.

Pan Bashwood spędził wtorek w biurze zarządcy w rezydencji. Miał podwójny powód, aby tak gorliwie, jak to tylko możliwe, oddać się różnym zajęciom związanym z prowadzeniem majątku. Po pierwsze, praca pomagała mu trzymać w ryzach zżerającą go niecierpliwą, z którą wypatrywał następnego dnia. Po drugie, wiedział, że im bardziej posunie do przodu sprawę w biurze, tym więcej będzie miał potem czasu, aby dołączyć do syna w Londynie, nie wzbudzając przy tym podejrzeń, że jawnie zaniedbuje powierzone sobie obowiązki.

W okolicach popołudnia niejasne pogłoski, że coś złego zdarzyło się w domku, doszły przez służących majora Milroya do uszu służących w rezydencji i tą drogą bezskutecznie próbowały zająć uwagę pana Bashwooda, niewzruszenie zajętego innymi sprawami. Major i panna Neelie zamknęli się razem na tajemniczej naradzie, a po zakończeniu rozmowy wygląd panny Neelie jednoznacznie wskazywał na to, że płakała. Miało to miejsce w poniedziałek po południu, zaś następnego dnia (w obecny wtorek) major zadziwił cały dom związanym oświadczeniem, że jego córka potrzebuje zażyć morskiego powietrza i że osobiście zabiera ją najbliższym

pociągiem do Lowestoft. Wyjechali razem, oboje bardzo poważni i milczący, ale mimo to najwyraźniej w dobrej komitywie. Opinie wyrażane w rezydencji przypisywały tę domową rewolucję aktualnym pogłoskom na temat Allana i panny Gwilt. Opinie krążące po domku odrzucały to wyjaśnienie ze względów praktycznych. Panna Neelie pozostawała zamknięta we własnym pokoju od poniedziałkowego popołudnia aż do wtorku rano, kiedy zabrał ją ojciec. W tym samym czasie major nie wychodził z domu i z nikim nie rozmawiał. Pani Milroy zaś przy pierwszej próbie nowej opiekunki powiadomienia jej o skandalu, jakim żyło całe miasteczko, w chwili, w której padło nazwisko panny Gwilt, zamknęła usta służącej, wpadając w jeden ze swoich potwornych ataków szału. Bez wątpienia musiało się stać coś, co kazało tak niespodziewanie wyjechać majorowi Milroyowi i jego córce, ale tym czymś z pewnością nie była ucieczka w biały dzień pana Armadale'a z panną Gwilt.

Minęło popołudnie i wieczór i nie wydarzyło się nic ponad ów czysto prywatny incydent, jaki miał miejsce w domku. Nie zaszło nic (bo też nic nie mogło zająć), co pozwoliłoby rozwiać złudzenie, na które liczyła panna Gwilt i które całe Thorpe Ambrose dzieliło obecnie z panem Bashwoodem, a mianowicie, że sam na sam pojechała z Allanem do Londynu w charakterze jego przyszłej żony.

W środę rano listonosz, wchodząc w ulicę, przy której mieszkał pan Bashwood, natknął się na pana Bashwooda we własnej osobie, tak bardzo ciekawego, czy jest dla niego list, że wyszedł z domu bez kapelusza. Był dla niego list – upragniony list od syna powsinogi.

Oto warunki, jakimi Bashwood młodszy odpowiedział na ojcowskie wołanie o pomoc po tym, jak wcześniej doprowadził go do ruiny:

„Shadyside Place. Wtorek, 29 lipca

Drogi Tato!

W naszym biurze mamy pewne doświadczenie z zagadkami, ale Twoja zagadka rozkłada mnie na łopatki. Czy spekulujesz na temat ciekawych, ukrytych słabostek jakiejś czarującej kobiety? Czy też, po Twoich doświadczeniach w małżeństwie, chcesz mi teraz sprawić macochę? Cokolwiek to jest, jako żywo, Twój list mnie zaciekał.

Pamiętaj, że nie żartuję, choć trudno oprzeć się pokusie. Wręcz przeciwnie, już zdążyłem poświęcić Ci kwadrans mojego cennego czasu. Nazwa miejsca, z którego piszesz, brzmiała mi znajomo. Sprawdziłem w naszym rejestrze i odkryłem, że niedawno zostałem wysłany do Thorpe Ambrose, aby potajemnie zasięgnąć języka. Naszą klientką była energiczna starsza dama, zbyt szczwana, by podać nam swoje prawdziwe nazwisko i adres. Rzecz prosta, natychmiast zabraliśmy się do roboty i odkryliśmy, kto to taki. Nazywa się pani Oldershaw i jeśli myślisz sprawić mi macochę, dobrze radzę raz jeszcze się zastanowić, zanim uczynisz z niej panią Bashwood.

Jeśli nie chodzi o panią Oldershaw, jedyne, co mogę na razie zrobić, to powiedzieć Ci, jak możesz poznać adres anonimowej damy. Przyjeźdź do Londynu, gdy tylko dostaniesz spodziewany list od dżentelmena, który wyjechał w jej towarzystwie (ze względu na Ciebie mam nadzieję, że nie jest to przystojny młodzieniec), i zgłoś się tutaj. Wyślę kogoś, kto pomoże Ci obserwować jego hotel lub kwaterę, a jeśli skontaktuje się z ową damą albo ona z nim, możesz tym samym uważać jej adres za odkryty. Gdy tylko pozwolisz mi ją zidentyfikować, ujrzysz jej wszystkie słodkie sekrety równie wyraźnie, jak teraz widzisz papier, na którym Twój kochający syn do Ciebie pisze.

Jeszcze słówko o warunkach. Zależy mi na pojednaniu równie bardzo jak Tobie, ale chociaż przyznaję, że swego czasu straciłeś przeze mnie pieniądze, nie mogę sobie pozwolić, aby teraz być stratnym ze względu na Ciebie. Musimy ustalić, że bierzesz na siebie wszystkie koszty śledztwa. Być może będziemy zmuszeni zatrudnić jakieś kobiety współpracujące z biurem, jeśli Twoja dama okaże się zbyt czujna albo zbyt ładna, by zajmował się nią mężczyzna. Potrzebne będą dorożki i znaczki pocztowe, bilety wstępu do miejsc rozrywki, jeśli ma ku temu skłonność, drobne na tacę, jeśli jest poważna i będzie ciągać naszych ludzi po kościołach, by słuchali znanych kaznodziei, i tak dalej. Moje własne profesjonalne usługi dostaniesz gratis, ale nie mogę przez Ciebie stracić. Wystarczy, że będziesz o tym pamiętał, a dopniesz swego. Zapomnijmy o urazach i o tym, co było.

Twój kochający syn,
James Bashwood”.

W uniesieniu spowodowanym tym, że wreszcie może liczyć na czyjąś pomoc, ojciec przycisnął okropny list syna do ust.

– Mój dobry chłopiec! – wymamrotał czule. – Mój dobry, kochany chłopiec!

Odłożył list i popadł w nową zadumę. Kolejną ważną kwestią była kwestia czasu. Według pana Pedgifta panna Gwilt mogła wyjść za mąż w ciągu dwóch tygodni. Jeden z czternastu dni już minął, kolejny właśnie mijał. Pan Bashwood niecierpliwie uderzył ręką w blat stołu, zastanawiając się, jak szybko brak pieniędzy zmusi Allana do napisania listu. „Jutro?”, zapytał sam siebie. „Czy pojutrze?”

Jutro minęło i nic się nie wydarzyło. Przyszedł kolejny dzień, a wraz z nim list! Dotyczył interesów, tak jak pan Bashwood przewidział, zawierał prośbę o pieniądze, tak jak się spodziewał, a na końcu, w postscriptum, znajdował się adres, pod którym widniały słowa: „Może Pan być pewien, że pozostanę tu do odwołania”.

Pan Bashwood wydał jedno głębokie westchnienie ulgi i natychmiast przystąpił do pakowania torby, choć do odjazdu pociągu do Londynu zostały jeszcze prawie dwie godziny. Ostatnią rzeczą, jaką spakował, był niebieski atłasowy fular.

– Lubi żywe kolory – powiedział. – Może mnie jeszcze w nim zobaczy!

XIV. DZIENNIK PANNY GWILT

All Saints' Terrace, New Road, Londyn, 28 lipca, poniedziałek wieczorem

Ledwo stoję na nogach, taka jestem zmęczona. Ale w mojej sytuacji nie odważę się powierzać czegokolwiek pamięci. Zanim pójde spać, muszę jak zwykle odnotować wypadki mijającego dnia.

Szczęście nadal się do mnie uśmiecha (wystarczająco długo zajęło mu zdobycie się na ten uśmiech!). Udało mi się zmusić Armadale'a – drań nie zrobiłby tego po dobroci – do tego, aby wyjechał z Thorpe Ambrose do Londynu sam na sam ze mną w jednym wagonie na oczach wszystkich ludzi zebranych na stacji. Miłośnicy drobnych skandali stawili się niezawodnie, wszyscy wpatrywali się w nas uparcie i najwyraźniej wyciągali własne wnioski. Albo nie wiem nic o Thorpe Ambrose, albo miasteczko huczy teraz od plotek o panu Armadale'u i pannie Gwilt.

Przez pierwsze pół godziny po odjeździe ze stacji miałam z nim mały problem. Konduktor (Cudowny człowiek! Byłam mu tak wdzięczna!) zamknął nas razem, mając nadzieję na pół korony na zakończenie podróży. Armadale był wobec mnie podejrzliwy i wyraźnie to okazywał. Krok po kroku oswoiłam moją dziką bestię, po trosze dokładając starań, by nie zdradzić zaciekawienia celem jego podróży do stolicy, a po trosze zajmując go tematem jego przyjaciela Midwintera, rozwodząc się zwłaszcza nad okazją do pojednania, jaka się obecnie pojawiła. Naprzykrzałam mu się, dopóki nie rozwiązał mu się język i nie zaczął zabawiać mnie jak przystoi dżentelmenowi, który ma zaszczyt towarzyszyć damie w długiej podróży koleją.

Cały jego ptasi mózdzek był oczywiście zaprzątnięty własnymi sprawami i sprawami panny Milroy. Żadne słowa nie wyrażą nieporadności, jaką okazywał, próbując mówić o sobie, nie zdradzając zbyt wiele i nie wymieniając nazwiska

panny Milroy.

Jechał do Londynu, jak z powagą mnie poinformował, w sprawie nadzwyczajnej wagi. Na razie musi ona pozostać tajemnicą, ale ma nadzieję wkrótce mi o niej powiedzieć. Już teraz zmieniła ona wiele w tym, jak patrzy na oszczerstwa rzucone na niego w Thorpe Ambrose. Jest zbyt szczęśliwy, by dbać o to, co mówią o nim łowcy sensacji, a wkrótce zamknie im usta, pojawiając się w nowej roli, która wszystkich zadziwi. Tak oto brnął, będąc głęboko przekonany, że udaje mu się utrzymać mnie w niewiedzy. Z trudem powstrzymałam śmiech na myśl o moim anonimie w drodze do majora, ale, wprawdzie z trudnością, udało mi się panować nad sobą. W miarę upływu czasu zaczęłam odczuwać potworne podniecenie. Myślę, że sytuacja, w jakiej się znalazłam, to było dla mnie nieco zbyt wiele. Siedzieć z nim sam na sam, rozmawiając w najbardziej niewinny, lekki, serdeczny sposób i cały czas myśleć o tym, że gdy nadejdzie czas, usunę go z mojej drogi, tak jak usuwa się plamę z sukni... Sprawilo to, że krew zaczęła szybciej krążyć mi w żyłach, a policzki pały. Raz czy dwa złapałam się na tym, że zaśmiałam się głośniej, niż powinnam i na długo zanim wjechaliśmy do Londynu, uznałam za właściwe ukryć twarz, opuszczając woalkę.

Po dotarciu na przystanek końcowy nie było trudności w przekonaniu go, by wsiadł ze mną do dorożki i pojechał do hotelu, w którym zatrzymał się Midwinter. Był nad wyraz chętny pojednać się ze swym drogim przyjacielem, jestem pewna, że głównie dlatego, iż chce, aby jego drogi przyjaciel pomógł mu w ucieczce. Prawdziwą trudność stanowił rzecz jasna Midwinter. Mój niespodziewany przyjazd do Londynu nie dał mi okazji, aby napisać i obalić jego zabobonne przekonanie, że on i jego były przyjaciel powinni trzymać się z dala od siebie. Uznałam za rozsądne zostawić Armadale'a w dorożce przed wejściem i udać się do hotelu sama, aby przygotować mu grunt.

Na szczęście Midwinter nie wyszedł. Jego radość z ujrzenia mnie kilka dni wcześniej, niż myślał, była, jak sądzę, po części zaraźliwa. Phi! Mogę wyjawic prawdę mojemu dziennikowi! Był moment, gdy zapomniałam o całym świecie zupełnie tak jak on. Poczulałam się, jakbym znowu miała kilkanaście lat, dopóki nie przypomniałam sobie tego gamonia w dorożce przed hotelem. I nagle znów miałam

lat trzydzieści pięć.

Zmienił się na twarzy, kiedy usłyszał, kto jest na dole i czego od niego chce. Nie wydawał się zły, tylko zmartwiony. Jednak wkrótce ustąpił, nie pod wpływem moich argumentów, ponieważ ich nie przedstawiłam, ale próśb. Jego dawna słabość do przyjaciela mogła odegrać pewną rolę w przekonaniu go wbrew jego woli, ale osobiście uważam, że kierował się wyłącznie swoją słabością do mnie.

Czekałam w salonie, podczas gdy on udał się do wejścia, więc nie wiem nic o tym, co zaszło między nimi, kiedy znów się spotkali. Ale, och, jak wielka była różnica pomiędzy oboma mężczyznami, kiedy po pewnym czasie przyszli na górę i do mnie dołączyli!

Obaj byli poruszeni, ale jakże inaczej! Znienawidzony Armadale, taki głośny, czerwony i niezdamy, oraz drogi, uroczy Midwinter, taki blady i cichy, z taką łagodnością w głosie i taką czułością w oczach za każdym razem, gdy się do mnie zwracał. Armadale ignorował mnie, jakby mnie w ogóle nie było w pokoju. Z kolei Midwinter w trakcie rozmowy wciąż o mnie wspominał, bezustannie spoglądał w moją stronę, aby zobaczyć, co myślę, podczas gdy ja siedziałam w kącie, przyglądając się im w milczeniu. Chciał mnie odprowadzić bezpiecznie do mieszkania i oszczędzić mi kłopotu z dorożkarzem i bagażami. Kiedy podziękowałam i odmówiłam, Armadale wydawał się szczerze uradowany z perspektywy mojego wyjścia i pozostania z przyjacielem sam na sam. Kiedy wychodziłam, rozpierał się swoimi niezgrabnymi łokciami, zajmując pół stołu, gryzmolił list (bez wątplenia do panny Milroy) i krzyczał do obsługi, że potrzebuje miejsca w hotelu. Liczyłam na to, że, zupełnie naturalnie, zatrzyma się tam, gdzie zatrzymał się jego przyjaciel. Miło było zobaczyć, że moje przewidywania się spełniły, i wiedzieć, że praktycznie mam go teraz na oku.

Obiecawszy Midwinterowi, że dam mu znać, gdzie może mnie spotkać jutro, pojechałam dorożką na poszukiwanie kwatery dla siebie.

Z niejakim trudem udało mi się zdobyć znośny salon i sypialnię w tym oto domu, gdzie mieszkańcami są zupełnie obcy mi ludzie. Zapłaciwszy czynsz za tydzień z góry (jako że oczywiście wolałam obyc się bez referencji), zostałam z dokładnie trzema szylingami i dziewięcioma pensami w portmonetce. Niepodobna

prosić Midwintera o pieniądze po tym, jak zapłacił za weksel pani Oldershaw. Jutro będę musiała zastawić w lombardzie mój zegarek z łańcuszkiem. Suma, która pozwoli mi utrzymać się przez dwa tygodnie, to wszystko, a nawet więcej, niż potrzebuję. Do tego czasu Midwinter się ze mną ożeni.

29 lipca, druga po południu

Wczesnie rano wysłałam wiadomość do Midwintera, informując go, że zastanie mnie tutaj o trzeciej po południu. Następnie poświęciłam poranek na załatwienie dwóch własnych spraw. O jednej nawet nie warto wspominać – chodziło jedynie o to, żeby zdobyć pieniądze pod zastaw zegarka z łańcuszkiem. Dostałam więcej, niż się spodziewałam, i więcej (nawet zakładając, że kupię sobie jeden czy drugi drobiazg w rodzaju taniej letniej sukni), niż zapewne wydam przed dniem ślubu.

Druga sprawa była poważniejsza. Zaprowadziła mnie do kancelarii adwokackiej.

Zeszłej nocy uświadomiłam sobie (choć byłam zbyt zmęczona, by odnotować to w dzienniku), że nie mogę spotkać się z Midwinterem dziś rano w roli, jaką obecnie wobec mnie odgrywa, nie stwarzając przynajmniej pozorów, że wtajemniczam go w swoje osobiste sprawy. Wyłączając jedną konieczną okoliczność, której nie mogę pominąć, nie ma najmniejszego problemu w tym, aby popuścić wodze wyobraźni i opowiedzieć mu historię, jaka mi się zamarzy, dotąd bowiem nie opowiedziałam jej nikomu. Midwinter wyjechał do Londynu, zanim mieliśmy możliwość dotknąć tego tematu. Co do Milroyów (po dostarczeniu im zwyczajowych referencji), na szczęście udało mi się trzymać ich na dystans w kwestii wszystkich pytań bezpośrednio mnie dotyczących. I wreszcie, kiedy doprowadziłam do pojednania z Armadale'em na podjeździe przed domem, okazał się na tyle wielkodusznym głupcem, by nie pozwolić mi obronić swojego dobrego imienia. Po tym, jak wyraziłam skruchę za to, że straciłam panowanie nad sobą i zagroziłam pannie Milroy, i po tym, jak przyjął jego zapewnienie, że moja uczennica nigdy nie chciała wyrządzić ani nie wyrządziła mi żadnej krzywdy, był tak wspaniałomyślny, iż nie chciał słyszeć ani słowa na temat moich osobistych spraw. Dzięki temu nie krępują mnie żadne wcześniejsze wyjaśnienia i mogę opowiedzieć taką bajeczkę, jaka mi się żywnie podoba – pamiętając o jednym ograniczeniu, o którym już napomknęłam. Cokolwiek fantazja mi podpowie, muszę zachować tożsamość, pod

jaką pojawiłam się w Thorpe Ambrose, bowiem zła sława towarzysząca mojemu drugiemu nazwisku nie pozwala mi poślubić Midwintera inaczej jak tylko jako „panna Gwilt”.

Ta właśnie okoliczność przywiodła mnie do kancelarii prawnej. Czułam, że zanim spotkam się dziś z Midwinterem, muszę dowiedzieć się o wszystkich niewygodnych konsekwencjach mogących wyniknąć z małżeństwa wdowy, która ukrywa nazwisko po mężu.

Nie znając żadnego innego prawnika, któremu mogłabym zaufać, udałam się śmiało do adwokata, zajmującego się moimi sprawami w tym strasznym okresie mojego życia, o którym chyba jeszcze nigdy nie miałam tylu powodów bać się myśleć jak dziś. Był zdumiony i, jak łatwo wyczułam, bynajmniej nieuradowany moim widokiem. Nie zdążyłam nawet otworzyć ust, a wyraził nadzieję, że nie przyszłam znowu (z mocnym akcentem na to słowo) po poradę we własnej sprawie. Zrozumiałam aluzję i zadałam pytanie, z jakim przyszłam w imieniu bardzo przydatnej w takich razach osoby – nieobecnej przyjaciółki. Prawnik najwyraźniej od razu mnie przejrzał, ale był na tyle bystry, by dobrze wykorzystać moją „przyjaciółkę” do swoich celów. Powiedział, że odpowie na pytanie przez grzeczność dla damy, którą reprezentuję, ale pod warunkiem, że radzenie się go przez zastępczynię na tym się skończy.

Zgodziłam się, ponieważ podobał mi się zmyślny sposób, w jaki postanowił trzymać mnie na dystans, jednocześnie nie naruszając zasad dobrego wychowania. W dwie minuty wysłuchałam, co miał do powiedzenia, przyswoiłam to sobie i wyszłam.

Jakkolwiek krótka, porada dała mi całą wiedzę, jakiej potrzebowałam. Nic nie ryzykuję, wychodząc za mąż za Midwintera pod panięńskim nazwiskiem zamiast nazwiskiem po mężu. Małżeństwo zawarte w ten sposób jest ważne. Może być uchylone jedynie wtedy, gdy mój mąż odkryje mistyfikację i za mojego życia podejmie kroki, by unieważnić nasze małżeństwo. Tak brzmi odpowiedź prawnika jego własnymi słowami. Uwalnia mnie ona – pod tym względem w każdym razie – od wszelkich obaw o przyszłość. Jedyłą mistyfikacją, jaką kiedykolwiek mógłby odkryć mój mąż, a i to tylko pod warunkiem, że akurat będzie na miejscu, jest

mystyfikacja, dzięki której wejść w rolę wdowy po Armadale'u i otrzymam należny jej dochód, a do tego czasu ja sama na zawsze unieważnię swoje własne małżeństwo.

Wpół do trzeciej! Midwinter będzie tu za pół godziny. Muszę pójść przejrzeć się w lustrze. Muszę pobudzić wyobraźnię i wymyślić bajeczkę na temat mojego życia. Czy się denerwuję? Coś trzepocze w miejscu, gdzie kiedyś było moje serce. I to u kobiety w wieku trzydziestu pięciu lat, która w dodatku ma za sobą takie życie jak ja!

Szósta. Właśnie wyszedł. Data naszego ślubu została już wyznaczona.

Próbowałam odpocząć i dojść do siebie. Nie potrafię spocząć. Wróciłam do tych kart. Od czasu wizyty Midwintera jest do napisania wiele rzeczy, które bezpośrednio mnie dotyczą.

Zacznę od tego, do czego wracam z największą niechęcią, aby szybciej mieć to za sobą – od żalostnego steku kłamstw, jakie opowiedziałam mu o moich problemach rodzinnych.

Na czym polega sekret uroku, jaki rzuca na mnie ten mężczyzna? Jak to się dzieje, że zmienia mnie do tego stopnia, iż sama się nie poznaję? Wczoraj w wagonie z Armadale'em byłam sobą. Oczywiście straszne było przez całą długą drogę rozmawiać z żywym człowiekiem, mając bez przerwy świadomość, że zamierzam zostać wdową po nim, a mimo to czułam się jedynie podekscytowana i podniecona. Mijały godziny, a ja ani razu nie wzdrygnęłam się przed rozmową z Armadale'em, zaś pierwsze nędzne kłamstwo, jakie powiedziałam Midwinterowi, zmroziło mnie w chwili, gdy zobaczyłam, że w nie uwierzył! Poczułam potworny, histeryczny ucisk w gardle, kiedy poprosił mnie, bym nie wyjawiała swoich problemów. Jestem przerażona, gdy przypominam sobie, jak powiedział: „Gdybym mógł kochać cię bardziej, kochałbym cię bardziej teraz”, a ja byłam o włos od zdradzenia samej siebie. Już miałam zawołać: „Kłamstwo! Wszystko to kłamstwo! Jestem szatanem w ludzkiej skórze! Ożeń się z najnędzniejszą istotą grasującą po ulicach, a ożenisz się z lepszą kobietą ode mnie!”. Tak! Widok jego zaszłych łzami oczu, dźwięk jego drżącego głosu, kiedy go oszukiwałam, wstrząsnął mną do tego stopnia. Widziałam setki przystojniejszych mężczyzn, dziesiątki mądrzejszych od niego. Co ten mężczyzna mógł we mnie obudzić? Miłość? Myślałam, że już

kochałam i nigdy więcej nie będę. Czy kobieta nie kocha, kiedy bezwzględność mężczyzny wobec niej popycha ją do utopienia się? W przeszłości mężczyzna doprowadził mnie na skraj rozpacz. Czyżby całe moje nieszczęście wtedy wzięło się z czegoś, co nie było miłością? Czy musiałam dożyć trzydziestu pięciu lat, aby dopiero poczuć, czym naprawdę jest miłość? Teraz, gdy jest już za późno? Absurd! Poza tym, jaki jest sens pytać? Co ja o tym wiem? Co wie jakakolwiek kobieta? Im więcej o tym myślimy, tym bardziej oszukujemy same siebie. Żałuję, że nie urodziłam się zwierzęciem. Moja uroda mogłaby się wtedy na coś przydać – mogłaby zapewnić mi dobrego pana.

Oto zapełniłam całą stronę dziennika, a nie napisałam jeszcze nic, co byłoby choć odrobinę pożyteczne! Moja żalosna bajeczka musi tu zostać opowiedziana po raz kolejny, póki mam jej szczegóły świeżo w pamięci, inaczej jak mam przytaczać ją spójnie przy innych okazjach, kiedy będę zmuszona do niej wracać?

Nie powiedziałam mu nic nowego, wszystko to były pospolite brednie znane z popularnych czytań. Śmierć ojca, stracony majątek, bracia włóczędzy, których wolałabym nigdy więcej nie spotkać, przykuta do łóżka matka zależna od moich wysiłków... Nie! Nie mogę tego napisać! Nienawidzę się, gardzę sobą, kiedy przypomnę sobie, że uwierzył w to, ponieważ ja to powiedziałam, że był tym zmartwiony, ponieważ to była moja historia! Wolę już ryzykować, że sobie zaprzeczę, narazić się na odkrycie i zgubę – wszystko tylko nie rozwodzić się ani chwili dłużej nad tym godnym pogardy oszustwem, jakiego dopuściłam się wobec niego.

Wreszcie moje kłamstwa dobiegły końca. A potem on opowiadał mi o sobie i swoich planach. Ach, jaką ulgę sprawiło mi przejście do tego tematu wtedy! Co za ulga przejść do niego teraz!

Przyjął propozycję, o której pisał do mnie do Thorpe Ambrose, i jest obecnie zatrudniony jako nieregularny zagraniczny korespondent nowej gazety. Na początek wysyłają go do Neapolu. Wolałabym, żeby było to jakieś inne miejsce, ponieważ mam pewne wspomnienia związane z Neapolem, do których wcale nieśpieszno mi wracać. Ustalono, że ma wyjechać z Anglii nie później niż jedenastego przyszłego miesiąca. Do tego czasu zatem ja, która mam jechać z nim, muszę zostać jego żoną.

Małżeństwo nie przedstawia najmniejszego problemu. Cała ta część przedsięwzięcia jest tak łatwa, że zaczynam bać się jakiegoś wypadku.

Propozycja, aby utrzymać wszystko w ścisłej tajemnicy, którą mnie byłoby niezręcznie wysunąć, pochodzi od Midwintera. Ponieważ ożeni się ze mną pod swoim prawdziwym nazwiskiem – nazwiskiem, które zataił przed wszystkimi żywymi istotami z wyjątkiem mnie i pana Brocka, zależy mu na tym, aby nikt, kto go zna, nie był obecny na uroczystości, a już najmniej jego przyjaciel Armadale. Midwinter już od tygodnia przebywa w Londynie. Po upływie następnego tygodnia otrzyma zezwolenie i proponuje wziąć ślub w kościele należącym do parafii, na terenie której znajduje się hotel. Oto wszystkie niezbędne formalności. Ja miałam tylko powiedzieć „tak” i więcej nie obawiać się o przyszłość. Powiedziałam „tak” z tak wielką obawą o przyszłość, że bałam się, iż ją dostrzeże. Potem nastąpiły szczęśliwe minuty, kiedy on szeptał mi do ucha rozkoszne słowa, podczas gdy ja tuliłam twarz do jego piersi!

Ja pierwsza się otrząsnęłam i powróciłam do tematu Armadale’a, mając własne powody, aby się dowiedzieć, o czym ze sobą rozmawiali, kiedy ich wczoraj zostawiłam.

Po sposobie, w jaki Midwinter odpowiedział, zrozumiałam, że krępuje go chęć dochowania tajemnicy, jaką powierzył mu przyjaciel. Na długo, zanim skończył, domyśliłam się, co to była za tajemnica. Armadale radził się go (dokładnie tak jak się spodziewałam) w kwestii ucieczki. Choć wydaje się, że Midwinter protestował przeciwko wykradaniu dziewczyny z domu, to jednak najwyraźniej nie wypowiadał się w ostrym tonie, pamiętając (jakkolwiek okoliczności są skrajnie różne), że sam rozważa potajemne małżeństwo. W każdym razie zorientowałam się, że jego słowa odniosły bardzo mizerny skutek i że Armadale zdążył już wprowadzić w życie swój absurdalny pomysł skonsultowania się z szefem kancelarii swoich londyńskich prawników.

Dotarłszy aż dotąd, Midwinter zadał pytanie, które czułam, że musi wcześniej czy później paść. Zapytał, czy mam coś przeciwko temu, aby w największej tajemnicy powiedzieć o naszych zaręczynach jego przyjacielowi.

„Ręczę za to”, rzekł, „że Allan dotrzyma każdej tajemnicy, jaką mu powierzę.

I gdy nadejdzie czas, zobowiązuję się tak użyć wpływu, jaki na niego mam, aby powstrzymać go od obecności na ślubie i odkrycia tego, o czym nigdy nie może się dowiedzieć, a mianowicie, że noszę to samo nazwisko co on. Byłbym w stanie”, ciągnął, „wypowiadać się bardziej swobodnie o celu, który przywiódł go do Londynu, gdybym mógł odpłacić mu za szczerść, z jaką mówił mi o swoich prywatnych sprawach, podobną szczerścią z mojej strony”.

Nie miałam innego wyboru, jak udzielić mu pozwolenia. Jest dla mnie sprawą najwyższej wagi wiedzieć, jakie kroki podejmie major Milroy w stosunku do córki i Armadale’a po otrzymaniu mojego anonimu i o ile nie uda mi się jakoś zaskarbić sobie zaufania Armadale’a, mogę być niemal pewna, że nie dowiem się nic. Niech zostanie wtajemniczony w fakt, że mam zostać żoną Midwintera, a to, co powie przyjacielowi o swoim romansie, powie też i mnie.

Kiedy już uzgodniliśmy, że Armadale’owi należy się zwierzyć, zaczęliśmy znów rozmawiać o nas. Jak szybko mijał czas! Jakie słodkie chwile zapomnienia przeżywałam w jego ramionach! Jak on mnie kocha! Ach, jak on mnie kocha, biedaczek!

Obiecałam spotkać się z nim jutro rano w Regent’s Park. Im mniej się tu będzie pokazywał, tym lepiej. Mieszkańcy domu, rzecz jasna, mnie nie znają, ale może rozsądniej będzie zachowywać pozory, jakbym nadal była w Thorpe Ambrose, i nawet przy nich nie stwarzać wrażenia, że Midwinter jest ze mną zaręczony. Jeśli po tym, jak podejmę moje kolosalne ryzyko, ktoś będzie o mnie wypytywał, świadectwo mojej londyńskiej gospodyni może się przydać.

Ten żaloszny, stary Bashwood! Pisanie o Thorpe Ambrose przypomina mi o nim. Co powie, jak dojdą do jego uszu plotki, że Armadale zabrał mnie do Londynu w wagonie zarezerwowanym wyłącznie dla nas dwojga? To naprawdę przechodzi wszelkie pojęcie, aby mężczyzna w wieku pana Bashwooda i o jego aparycji wyobrażał sobie, że jest zakochany!

30 lipca. Nareszcie wieści! Armadale dostał list od panny Milroy. Mój anonim odniósł zamierzony skutek. Dziewczyna już zniknęła z Thorpe Ambrose i cały plan ucieczki spalił na panewce. Oto sedno tego, co miał mi do powiedzenia Midwinter, gdyśmy się spotkali w parku. Udałam, że jestem niepomiernie zdumiona i że

odczuwam nieodłączne kobiece pragnienie poznania wszystkich szczegółów. „Nie, żebym oczekiwała, że moja ciekawość zostanie zaspokojona”, dodałam, „w końcu ja i pan Armadale jesteśmy niewiele więcej jak tylko zwykłymi znajomymi”.

„W oczach Allana jesteś kimś o wiele więcej niż tylko znajomą”, powiedział Midwinter. „Mając twoje przyzwolenie na zwierzenia, powiedziałem mu już, jak bardzo jesteś mi droga”.

Słyszając to, uznałam, że zanim zadam jakiegokolwiek pytania o pannę Milroy, powinnam zadbać o własny interes i dowiedzieć się, jakie wrażenie zapowiedź mojego małżeństwa zrobiła na Armadale’u. Możliwe, że nadal jest wobec mnie nieufny i że śledztwo, jakie prowadził w Londynie za namową pani Milroy, nadal nie daje mu spokoju.

„Czy pan Armadale wyglądał na zdziwionego”, zapytałam, „kiedy powiedziałeś mi o naszych zaręczynach i zaznaczyłeś, że mają one pozostać tajemnicą?”

„Wyglądał na wielce zdziwionego”, rzekł Midwinter, „słyszając, że mamy się pobrać. Kiedy powiedziałem mu, że musi to pozostać tajemnicą, powiedział jedynie, że podejrzewa, iż powody, dla których ślub ma się odbyć w sekrecie, leżą po twojej stronie”.

„Co powiedziałeś”, zapytałam, „gdy wygłosił tę uwagę?”

„Powiedziałem, że powody leżą po mojej stronie”, odparł Midwinter. „I uznałem za stosowne dorzucić – zważywszy na to, że w Thorpe Ambrose Allan dał się zwieść bezpodstawnym podejrzeniom wobec ciebie – że zwierzyłaś mi się z całej twojej smutnej historii rodzinnej i że w pełni uzasadniłaś swoją niechęć do mówienia o sprawach prywatnych w zwykłych okolicznościach”.

(Znów odetchnęłam z ulgą. Powiedział dokładnie to, co należało, i dokładnie tak, jak należało).

„Dziękuję”, rzekłam, „za to, że pomogłeś mi odzyskać dobre imię w oczach swojego przyjaciela. Czy chciałby się ze mną spotkać?”, dodałam, chcąc wrócić do tematu panny Milroy i ucieczki.

„Nie może się doczekać, aby się z tobą spotkać”, odparł Midwinter. „Biedaczysko, jest pogrążony w wielkim żalu, który jak mogłem, starałem się ukoić,

ale który, jak sędzę, o wiele łatwiej ustąpiłby pod wpływem kobiecego współczucia niż mojego”.

„Gdzie on teraz jest?”, zapytałam.

Był w hotelu i to tam z miejsca zaproponowałam, aby się udać. To uczęszczane, tłoczne miejsce i (z opuszczoną woalką) mniej się boję kompromitacji tam niż w moim spokojnym mieszkaniu. Poza tym jest dla mnie niezwykle ważne wiedzieć, co robi dalej Armadale, po tym jak sytuacja dramatycznie się zmieniła, ponieważ muszę tak pokierować jego krokami, aby, o ile to możliwe, wywabić go z Anglii. Wzięliśmy dorożkę. Tak bardzo chciałam pocieszyć zgnębnionego kochanka, że wzięliśmy dorożkę!

Nigdy wcześniej nie widziałam nic równie groteskowego jak zachowanie Allana pod wpływem podwójnego szoku wywołanego faktem, że jego młoda dama została mu zabrana i że mam poślubić Midwintera. Powiedzieć, że był jak dziecko, urąga wszystkim dzieciom, które nie rodzą się idiotami. Gratulował mi planowanego małżeństwa i pomstował na nieznanego łotra, który napisał anonim, nie domyślając się, że mówi o jednej i tej samej osobie. To ulegle przyznawał, że major Milroy ma swoje prawa jako ojciec, to znowu urągał majorowi jako temu, kto nie ma serca dla niczego poza swoim majsterkowaniem i zegarem. W jednej chwili podrywał się ze łzami w oczach i oświadczał, że „jego ukochana Neelie” jest wcielonym aniołem. Zaraz potem siadał z nadąsaną miną, zauważając, że dziewczyna z jej temperamentem mogła od razu uciec z domu i dołączyć do niego w Londynie. Po dobrej pół godzinie tego groteskowego widowiska udało mi się go uspokoić, a wtedy kilka słów delikatnego dopytywania się wydobyło to, co umyślnie przyjechałam zobaczyć do hotelu – list panny Milroy.

Był beznadziejnie długi, chaotyczny i bełkotliwy, mówiąc krótko, był to list idiotki. Musiałam się przedzierać przez mnóstwo prostackiego sentymentu i biadolenia oraz tracić czas i cierpliwość na ckliwe wyrazy miłości i obrzydliwe pocałunki obwiedzione kółkami z atramentu. Jednak w końcu udało mi się wyciągnąć informacje, które chciałam zdobyć. Oto one:

Wygląda na to, że po otrzymaniu anonimu major z miejsca posłał po córkę i pokazał jej list. „Wiesz, jakie ciężkie mam życie z twoją matką, Neelie. Nie rób go

jeszcze cięższym, okłamując mnie”. To wszystko, co powiedział biedny staruszek. Zawsze lubiłam majora i wiem, że on również mnie lubił, choć bał się to okazywać. Jego apel do córki (jeśli wierzyć jej relacji) dotknął ją do żywego. Wybuchnęła płaczem (niech lepiej zachowa łzy na właściwą chwilę!) i przyznała się do wszystkiego.

Major pozwolił jej dość do siebie (w tej sytuacji bardziej wypadałoby porządnie wytargać ją za uszy!), po czym zadał pewne pytania i upewnił się (tak jak ja jestem pewna), że Armadale jest naprawdę obiektem jej uczuć, upodobań czy też czego tam chce. Odkrycie to najwyraźniej zdziwiło go i zmartwiło. Wydaje się, że się wahał i że przez krótki czas utrzymywał swoją negatywną opinię na temat ukochanego panny Neelie. Jednak łzy i błagania jego córki (to podobne do kochanego staruszka!) w końcu go wzruszyły. Chociaż na razie stanowczo odmówił zgody na jakiegokolwiek zaręczyny, przystał na to, aby zapomnieć o schadzkach w parku i sprawdzić, czy Armadale nadaje się na jego zięcia pod pewnymi warunkami.

Warunki są takie, że przez najbliższe sześć miesięcy mają ustać wszelkie kontakty, zarówno osobiste, jak i listowne, pomiędzy Armadale’em i panną Milroy. Przez ten czas młodzieniec ma się zająć tym, co sam uzna za najwłaściwsze, zaś panna ma zakończyć edukację w szkole. Jeśli po upływie sześciu miesięcy nadal będą zgodni i jeśli zachowanie Armadale’a w tym czasie sprawi, że opinia majora o nim się poprawi, wolno mu będzie występować w roli pretendenta do ręki panny Milroy, a po upływie kolejnych sześciu miesięcy, jeśli wszystko dobrze pójdzie, może się odbyć ślub.

Słowo daję, że pocałowałambym dobrego, starego majora, gdybym tylko była w pobliżu! Gdybym siedziała obok niego i sama dyktowała te warunki, nie mogłabym wymyśleć nic lepszego. Sześć miesięcy całkowitej separacji pomiędzy Armadale’em a panną Milroy! Będzie musiało być ze mną naprawdę źle, jeśli w czasie dwa razy krótszym – przy ustaniu wszelkich kontaktów między nimi – nie przywdzieję koniecznej żałoby i nie zostanę powszechnie uznana za wdowę po Armadale’u.

Ale zapominam o liście dziewczyny. Przytacza argumenty ojca na postawienie tych warunków jego własnymi słowami. Wydaje się, że major mówił tak rozsądnie

i tak łagodnie, że nie zostawił córce żadnego innego wyjścia – i nie zostawia Armadale’owi żadnego innego wyjścia – jak ustąpić. O ile dobrze pamiętam, wyraził się tymi albo prawie tymi słowami:

„Nie myśl, że traktuję cię surowo, moja droga, proszę cię jedynie, abyś poddać pana Armadale’a próbie. Jest nie tylko właściwym, ale absolutnie koniecznym, abyś przez jakiś czas nie utrzymywała z nim kontaktów, i udowodnię ci dlaczego. Po pierwsze, jeśli pójdiesz do szkoły, zasady obowiązujące – dla dobra innych dziewcząt – w takim miejscu nie pozwolą ci spotykać się z panem Armadale’em ani otrzymywać listów od niego. A jeśli masz zostać panią Thorpe Ambrose, musisz iść do szkoły, ponieważ byłoby ci wstyd i mnie byłoby wstyd, gdybyś zajmowała pozycję wysoko postawionej damy, nie posiadając walorów towarzyskich, które wszystkie wysoko postawione damy posiadać powinny. Po drugie, chcę się przekonać, czy pan Armadale będzie nadal myślał o tobie w ten sam sposób co teraz, kiedy jego przywiązanie nie będzie podsycane spotkaniami z tobą ani listami od ciebie. Jeśli myślę się, uważając go za niestałego i nieodpowiedzialnego, i jeśli twoja opinia o nim jest słuszna, nie oznacza to wystawiania młodzieńca na niesprawiedliwą próbę – prawdziwa miłość potrafi przetrwać znacznie dłuższe rozstania niż pół roku. A kiedy minie ten okres i kiedy będę go miał na oku przez kolejne sześć miesięcy i nauczę się go cenić równie wysoko jak ty, nawet wtedy, moja droga, po całej tej strasznej zwłóce i tak zostaniesz mężatką, nim skończysz osiemnaście lat. Pomyśl o tym, Neelie, i pokaż, że mnie kochasz i ufasz mi, przyjmując propozycję. Sam nie będę się kontaktował z panem Armadale’em. Napisanie do niego i przedstawienie uzgodnień zostawiam tobie. Może napisać jeden list, jeden jedyny, aby powiadomić cię o swojej decyzji. Potem dla dobra twojej reputacji nie będzie mógł nic mówić ani robić, a cała sprawa ma być trzymana w ścisłej tajemnicy, dopóki nie minie pół roku.

Taki był sens wypowiedzi majora. Jego zachowanie w stosunku do tej małej zdziury zrobiło na mnie większe wrażenie niż cała reszta listu. Zaczęłam rozmyślać (akurat ja, nie nikt inny!) o czymś, co nazywają „dylematem moralnym”. Ciągle się powtarza, że nie może istnieć żaden związek pomiędzy cnotą a występkiem. Czyżby? Oto jest major Milroy, który robi dokładnie to, co wspaniały ojciec,

jednocześnie dobry i mądry, czuły i stanowczy, powinien zrobić w takiej sytuacji i tym właśnie zachowaniem usuwa przeszkody z mojej drogi tak dokładnie, jak gdyby był starannie wybranym współnikiem tego obrzydliwego stworzenia, panny Gwilt. Tylko pomyśleć, że rozumiem w ten sposób! Ale mam tak dobry nastrój, że jestem dziś zdolna do wszystkiego. Od miesiący nie wyglądałam tak promiennie i młodo.

Wracając do listu, po raz ostatni – jest tak strasznie monotony i głupi, że nie mogę się powstrzymać od dygresji w postaci moich własnych przemyśleń po to tylko, żeby od niego odetchnąć.

Oświadczwszy uroczyście, że ma zamiar poddać się woli ukochanego ojca (jej bezwstydne ustawianie się w roli męczennicy po tym, co się stało, przechodzi wszelkie pojęcie!), panna Neelie nadmieniała następnie, że major zaproponował zabranie jej dla odmiany nad morze na te kilka dni, które dzieliły ją od pójścia do szkoły. Armadale ma jej odpisać pocztą zwrotną, adresując list na nazwisko ojca, do Lowestoft. Tą informacją i ostatnim wylewem czułych deklaracji wciśniętych koślawo w róg strony kończył się list (nb. powód, dla którego major zabiera ją nad morze, jest jasny. Nadal po cichu nie dowierza Armadale'owi i jest zdecydowany zapobiec kolejnym schadzkom w parku, zanim dziewczyna nie zostanie bezpiecznie oddana do szkoły).

Kiedy już przeczytałam list (poprosiłam, aby wolno mi było przeczytać fragmenty, które szczególnie mi się podobały, po raz drugi i trzeci!), wszyscy naradzaliśmy się po przyjacielsku, co ma zrobić Armadale.

Na początku był na tyle głupi, aby odmówić przyjęcia warunków majora Milroya. Ten bydlak o ohydnej, czerwonej twarzy, dzięki której wygląda jak okaz zdrowia, oświadczył, że nie przeżyje półrocznej rozłąki ze swoją ukochaną Neelie. Midwinter (jak łatwo sobie wyobrazić) nieco się go wstydził i pomógł przemówić mu do rozsądku. Udowadnialiśmy mu to, co dla każdego człowieka niebędącego idiotą byłoby oczywiste, a mianowicie, że nie ma żadnej innej uczciwej czy nawet przyzwoitej możliwości, jak pójść za przykładem młodej damy i podporządkować się. „Zaczekaj, a będzie twoją żoną”, powiedziałam. „Zaczekaj, a zmusisz majora do zmiany jego niesprawiedliwej opinii na twój temat”, dodał Midwinter. Nie trzeba

dodawać, że po tym, jak dwoje mądrych ludzi wbijało mu w ten sposób rozum do głowy, jego głowa dała za wygraną i w końcu podporządkował się.

Po tym, jak skłoniliśmy go do przyjęcia warunków majora (zanim odpisał pannie Milroy, nie omieszkałam go uprzedzić, że moje zaręczyny z Midwinterem mają pozostać w tak ścisłej tajemnicy przed nią jak przed wszystkimi innymi), następną kwestią, jaką należało ustalić, były jego przyszłe działania. Miałam gotowe argumenty mające go powstrzymać, gdyby zaproponował powrót do Thorpe Ambrose. Ale żadna taka propozycja nie padła. Wręcz przeciwnie. Z własnej inicjatywy oświadczył, że nic nie skłoni go do powrotu. Miejsce i ludzie kojarzyli mu się ze wszystkim, co było mu wstrętne. Do tego dochodził brak panny Milroy, która spotykałaby się z nim w parku, oraz Midwintera, który dotrzymywałby mu towarzystwa w pustym domu. Ujął to rozsądnie i zabawnie: „Wolałbym już tłuc kamienie na drodze niż wrócić do Thorpe Ambrose”.

Pierwsza propozycja wyszła od Midwintera. Przebiegły stary pastor, który tak dał się we znaki mnie i pani Oldershaw, jak się okazuje, chorował, ale ostatnio podobno miał się lepiej. „Czemu by nie pojechać do hrabstwa Somerset”, zaproponował Midwinter, „i odwiedzić naszego dobrego przyjaciela, pana Brocka?”

Armadale chętnie podchwycił ten pomysł. Pragnął, po pierwsze, zobaczyć „starego, dobrego Brocka”, a po drugie, zobaczyć swój jacht. Po kilku dniach pobytu w Londynie z Midwinterem z radością pojedzie do hrabstwa Somerset. Ale co dalej?

Widząc szansę dla siebie, tym razem to ja ruszyłam z pomocą. „Ma pan jacht, panie Armadale”, rzekłam, „i wie, że Midwinter udaje się do Włoch. Kiedy znudzi się panu hrabstwo Somerset, może odbędzie pan rejs po Morzu Śródziemnym i spotka się ze swoim przyjacielem i żoną przyjaciela w Neapolu?”

Zrobiłam aluzję do „żony przyjaciela” z najbardziej stosowną skromnością i zmieszaniem. Armadale przyjął pomysł z zachwytem. Nie można było wymyślić lepszego sposobu na zabicie dłużącego się czasu. Poderwał się i wykręcił mi rękę w gwałtownym przypływie wdzięczności. Jak ja nienawidzę ludzi, którzy nie potrafią wyrażać swoich uczuć inaczej, jak tylko zadając ból dłoniom innych!

Midwinterowi również bardzo się spodobała moja propozycja, ale dostrzegał pewne trudności w jej realizacji. Uważał, że jacht jest zbyt mały na rejs po Morzu

Śródziemnym i że byłoby wskazane wynająć większą jednostkę. Jego przyjaciel był innego zdania. Zostawiłam ich sprzeczekających się o tę kwestię. Mnie w zupełności wystarczyła pewność, że, po pierwsze, Armadale nie wróci do Thorpe Ambrose i, po drugie, że skłoniłam go do wyjazdu za granicę. Może tam się udać, jak chce. Ja osobiście wolałabym, żeby był to mały jacht, ponieważ istniała szansa, że oddałby mi nieocenioną przysługę utopienia go...

Piąta po południu. Podniecenie tym, że przyszłe kroki Armadale'a są całkowicie pod moją kontrolą, tak nie dawało mi spokoju po powrocie do mieszkania, że musiałam znowu wyjść i coś zrobić. Chcąc zająć się czymś innym, poszłam do Pimlico rozmówić się z Matką Oldershaw.

Szłam na piechotę, a w drodze zdecydowałam, że zacznę od kłótni z nią.

Jeden z moich weksli już jest opłacony, zaś za pozostałe dwa, kiedy nadejdzie termin płatności, jest skłonny zapłacić Midwinter. Tak więc jestem tak niezależna od starej jędzy, jak tylko mogłam sobie zamarzyć. Zawsze biorę nad nią górę, kiedy dochodzi między nami do otwartej wojny, i gdy tylko przekonuje się, że z nas dwóch to ja mam mocniejszą wolę, staje się cudownie uprzejma i usłużna. W mojej obecnej sytuacji może mi się przydać z wielu względów, gdybym tylko zdołała zapewnić sobie jej pomoc bez wtajemniczenia w sekrety, które teraz bardziej niż kiedykolwiek zdecydowana jestem zachować dla siebie. Taki miałam pomysł, idąc do Pimlico. Wyprowadzenie Matki Oldershaw z równowagi, a następnie owinięcie jej sobie wokół palca stanowiło obietnicę, jak mi się wydawało, ciekawego zajęcia na resztę popołudnia.

Na miejscu czekała mnie niespodzianka. Dom był zamknięty na klucz – nie tylko po stronie pani Oldershaw, ale również doktora Downwarda. Na drzwiach sklepu widniała kłódka, a w pobliżu kręcił się jakiś mężczyzna, wyraźnie na czatach, który mógł być równie dobrze zwykłym próżniakiem, ale który na moje oko wyglądał na policjanta w cywilu.

Znając ryzyko, na jakie naraża się doktor w swojej konkretnej specjalizacji, od razu domyśliłam się, że wydarzyło się coś poważnego i że tym razem nawet chytra pani Oldershaw została narażona na szwank. Nie przystając zatem ani o nic nie pytając, zatrzymałam pierwszą przejeżdżającą dorożkę i pojechałam na pocztę, na

którą miały być kierowane listy do mnie, gdyby jakieś przyszły po wyprowadzce z mieszkania w Thorpe Ambrose.

Kiedy zapytałam, okazało się, że przyszedł list do „panny Gwilt”. Pismo należało do Matki Oldershaw, a list donosił (tak jak myślałam), że doktor popadł w poważne tarapaty, że ona sama była na nieszczęście zamieszana w całą sprawę i że oboje obecnie się ukrywają. List kończył się dość zjadliwymi uwagami na temat moich poczynań w Thorpe Ambrose i ostrzeżeniem, że jeszcze usłyszę o pani Oldershaw. Fakt, że pisze w tym tonie, sprawił, iż mi ulżyło, ponieważ gdyby podejrzewała, co naprawdę zamierzam, byłaby grzeczna i służalcza. Spaliłam list, gdy tylko przyniesiono świece. W ten sposób na razie urywa się związek pomiędzy Matką Jezabel a mną. Teraz sama będę musiała wykonać brudną robotę i może bezpieczniej będzie nie powierzać jej w żadne inne ręce prócz moich własnych.

31 lipca. Kolejne przydatne informacje. Znów spotkałam się z Midwinterem w parku (pod pretekstem, że moja reputacja ucierpiałaby, gdyby zbyt często odwiedzał mnie w mieszkaniu) i poznałam najświeższe wieści o Armadale’u.

Po tym, jak Armadale odpisał pannie Milroy, Midwinter skorzystał z okazji, aby porozmawiać z nim o interesach podczas jego nieobecności w majątku. Ustalono, że służba ma pracować w zamian za utrzymanie i że nadzór nad majątkiem ma sprawować pan Bashwood (jakoś nie bardzo podoba mi się ponowne pojawienie się pana Bashwooda w związku z moimi obecnymi interesami, ale nic na to nie poradzę). Następna kwestia, kwestia pieniędzy, została od razu rozwiązana przez pana Armadale’a. Cała dostępna gotówka (duża suma) ma zostać zdeponowana przez pana Bashwooda w Coutts’s Bank na nazwisko Armadale’a. To, jak stwierdził, oszczędzi mu kłopotu ponownego pisania do zarządcy i pozwoli w każdej chwili uzyskać dostęp do pieniędzy, kiedy wyjedzie za granicę. Takie rozwiązanie, będąc z pewnością najprostsze i najbezpieczniejsze, zostało przyjęte za pełną zgodą Midwintera i tu dyskusja o interesach zakończyłaby się, gdyby nieśmiertelny pan Bashwood znów nie powrócił w rozmowie i nie popchnął jej na zupełnie nowe tory.

Po namyśle Midwinterowi przyszło do głowy, że cały ciężar odpowiedzialności za Thorpe Ambrose nie powinien spoczywać na barkach pana Bashwooda. Nie będąc ani odrobinę nieufnym wobec niego, Midwinter pomyślał jednak, że zarządca

powinien mieć nad sobą kogoś, do kogo mógłby się zwrócić w sytuacji awaryjnej. Armadale nie zgłosił sprzeciwu, zapytał tylko bezradnie, jak to on, kto to mógłby być.

Odpowiedź na to pytanie nie była łatwa.

Można było zatrudnić któregoś z dwóch prawników będących na miejscu, ale Armadale z oboma był skłócony. Jakikolwiek pojednanie z tak zaciekłym wrogiem, jak starszy prawnik, pan Darch, nie wchodziło w rachubę, zaś przywrócenie pana Pedgifta na poprzednie stanowisko oznaczało milczące przyzwolenie ze strony Armadale'a na karygodne zachowanie prawnika względem mnie, co kłóci się z szacunkiem i poważaniem, jakimi darzy damę, która wkrótce ma zostać żoną jego przyjaciela. Po chwili dyskusji Midwinter wpadł na pomysł, który zdawał się rozwiązywać problem. Zaproponował, by Armadale napisał do poważanego radcy prawnego w Norwich, ogólnie nakreślając swoje położenie i prosząc go, by zgodził się działać jako doradca i kierownik pana Bashwooda, kiedy sytuacja będzie tego wymagać. Jako że między Norwich a Thorpe Ambrose istnieje dobre połączenie kolejowe, Armadale nie sprzeciwiał się i obiecał napisać do prawnika z Norwich. Obawiając się, że przyjaciel może popełnić jakąś gafę, pisząc bez pomocy, Midwinter przygotował mu na brudno wzór listu, który ten następnie przepisał, a także dał znać panu Bashwoodowi, aby natychmiast zdeponował pieniądze w Coutts's Bank.

Powyższe szczegóły są tak suche i nieciekawe, że początkowo wahałam się, czy zamieszczać je w dzienniku. Jednak po chwili namysłu doszłam do wniosku, iż są zbyt ważne, aby je pominąć. Widziane z mojej strony oznaczają jedno – decyzją samego Armadale'a urywają się wszelkie jego kontakty z Thorpe Ambrose, nawet listowne. Dla wszystkich, których tam zostawia, jest już w zasadzie martwy. Przyczyny, które doprowadziły do takiego stanu rzeczy, są z pewnością warte najbardziej zaszczytnego miejsca, jakie mogę im dać na tych kartach.

1 sierpnia. Nie mam nic do odnotowania, poza tym, że spędziłam długi, spokojny i szczęśliwy dzień z Midwinterem. Wynajął powóz, pojechaliśmy do Richmond i zjedliśmy tam obiad. Po dzisiejszym doświadczeniu nie mogę się już dłużej oszukiwać. Niech się dzieje, co chce – kocham go.

Od czasu, gdy się rozstaliśmy, popadłam w przygnębienie. Opanowało mnie przeświadczenie, że odkąd przyjechałam do Londynu, wszystko przychodzi mi zbyt łatwo, aby to miało trwać wiecznie. Coś mnie dziś wieczorem przytłacza i z pewnością nie jest to jedynie ciężkie londyńskie powietrze.

2 sierpnia. Trzecia po południu. Moje przeczucia, podobnie jak przeczucia innych ludzi, często mnie zwodziły, ale niemal się boję, że przeczucie ostatniego wieczoru okazało się prorocze.

Po śniadaniu udałam się do krawcowej nieopodal zamówić kilka tanich, letnich rzeczy, a potem do hotelu Midwintera, aby umówić się z nim na kolejny wyjazd za miasto. Drogę do krawcowej, do hotelu, a potem część drogi powrotnej przebyłam dorożką. Następnie, zrażona paskudnym zapachem panującym we wnętrzu powozu (ktoś musiał w nim palić, jak przypuszczam), wysiadłam, aby przejść resztę drogi pieszo. Nie szłam nawet dwóch minut, kiedy odkryłam, że idzie za mną nieznany mi mężczyzna.

Może to oznaczać nic innego jak to, że ktoś niemający nic do roboty zwrócił uwagę na moją figurę i ogólnie wygląd. Twarz nie mogła zrobić wrażenia, ponieważ jak zwykle kryła się za woalką. Nie potrafię powiedzieć, czy śledził mnie (jadąc dorożką, rzecz jasna) od krawcowej czy od hotelu. Nie jestem też pewna, czy przyszedł za mną tutaj, czy też nie. Wiem tylko, że straciłam go z oczu, zanim wróciłam. Nie ma innej rady, jak czekać, co przyszłość przyniesie. Jeśli to coś poważnego, wkrótce się o tym dowiem.

Piąta. To coś poważnego. Dziesięć minut temu byłam w sypialni, z której drzwi prowadzą do salonu. Właśnie się tam kierowałam, gdy usłyszałam nieznany kobiecy głos na zewnętrznym podeście. Zaraz potem drzwi do salonu otworzyły się nagle i rozległ się głos nieznanej kobiety pytającej: „Czy to te pokoje są do wynajęcia?” i chociaż idąca za nią gospodyni odpowiedziała: „Nie! Piętro wyżej, proszę pani”, kobieta weszła prosto do mojego pokoju, tak jakby nie słyszała. Zdażyłam zatrzaskać jej drzwi przed nosem, zanim mnie zobaczyła. Nieznajoma i gospodyni wymieniły w salonie słowa wyjaśnienia i przeprosin i zostałam sama.

Nie mam czasu napisać więcej. Jasne jest, że ktoś chce mnie zidentyfikować i że gdyby nie mój refleks, nieznajoma dopięła by celu, biorąc mnie z zaskoczenia. Ona

i mężczyzna, który mnie śledził, działają zapewne razem, a za nimi kryje się ktoś, dla kogo pracują. Czy to Matka Oldershaw atakuje mnie z ukrycia? Czy też jest to ktoś inny? Nieważne, o kogo chodzi, moja obecna sytuacja jest zbyt poważna, by ją lekceważyć. Muszę wyprowadzić się jeszcze dziś wieczorem i nie zostawić żadnych śladów, które pozwoliłyby odnaleźć mnie w innym miejscu.

3 sierpnia. Gary Street, Tottenham Court Road. Wyprowadziłam się wczoraj wieczorem (po tym, jak wysłałam Midwinterowi list z wymówką, w którym „moja matka inwalidka” odgrywała rolę wszystko wyjaśniającego powodu mojego zniknięcia) i znalazłam schronienie tutaj. Trochę to kosztowało, ale cel został osiągnięty! Nikt nie zdoła mnie odnaleźć pod tym adresem.

Wypłaciwszy gospodyni konieczną rekompensatę za wyprowadzkę bez uprzedzenia, umówiłam się z jej synem, że dorożką zabierze moje kufry do przechowalni bagażu na najbliższym dworcu, a kwitek wyśle mi listem na adres poczty. Kiedy on odjechał w swoją stronę jedną dorożką, ja odjechałam w swoją drugą, mając w torebce jedynie kilka rzeczy na noc.

Pojechałam prosto do zakładu krawieckiego, który, jak wczoraj zauważyłam, ma tylne wyjście na uliczkę, używane przez praktykantów. Natychmiast weszłam do środka, zostawiając przed drzwiami czekającą dorożkę. „Śledzi mnie jakiś człowiek”, rzekłam, „i chcę się go pozbyć. Oto opłata za dorożkę. Proszę odczekać dziesięć minut, zanim wręczy ją pani dorożkarzowi, i natychmiast wypuścić mnie tylnymi drzwiami!” Po chwili byłam na zewnątrz, a zaraz potem na sąsiedniej ulicy, przywołałam przejeżdżający omnibus i znów byłam wolna.

Teraz gdy zerwałam wszelką łączność z moim poprzednim mieszkaniem, następnym krokiem jest (na wypadek gdyby Midwinter i Armadale byli obserwowani) zerwać wszelką łączność, przynajmniej na kilka dni, z hotelem. Wysłałam do Midwintera list, w którym, ponownie wymawiając się nieistniejącą matką, piszę, że jestem związana obowiązkami opiekunki i że na razie musimy kontaktować się wyłącznie listownie. Nadal nie będąc pewna, kto jest moim ukrytym wrogiem, nie mogę zrobić nic więcej, aby się bronić, niż to, co zrobiłam do tej pory.

4 sierpnia. Obaj przyjaciele napisali do mnie z hotelu. Midwinter w najczulszych słowach wyraża żal z powodu naszej rozłąki. Armadale pisze z prośbą o pomoc,

będąc w bardzo niezręcznej sytuacji. Załącza w liście do mnie list, jaki major Milroy napisał do niego na adres w Thorpe Ambrose.

Opuściwszy wybrzeże i umieściwszy córkę w uprzednio wybranej szkole (w okolicach Ely), major pod koniec zeszłego tygodnia powrócił do Thorpe Ambrose. Wtedy też po raz pierwszy usłyszał pogłoski na temat Armadale'a i mnie i natychmiast napisał do Armadale'a, aby go o tym poinformować.

List jest krótki i surowy w tonie. Major Milroy odrzuca pogłoski jako niewiarygodne, ponieważ nie może uwierzyć w akt „zdrady z zimną krwią”, na jaki wskazywałyby skandal, gdyby był on prawdą. Pisze jedynie po to, by ostrzec Armadale'a, że jeśli na przyszłość nie będzie ostrożniejszy w działaniu, musi zrezygnować z wszelkich pretensji do ręki panny Milroy. List kończy się tymi słowami: „Nie oczekuję ani nie życzę sobie odpowiedzi, ponieważ nie chcę otrzymywać więcej słownych protestów. Na przyszłość będę pana oceniał tylko i wyłącznie na podstawie czynów. Pozwolę sobie dodać, że stanowczo zabraniam panu traktowania niniejszego listu jako wymówki, aby złamać nasze ustalenia i ponownie napisać do mojej córki. Nie ma potrzeby usprawiedliwiania się w jej oczach, jako że szczęśliwie zabrałem ją z Thorpe Ambrose, zanim te wstrętne pogłoski zdążyły do niej dotrzeć, i dla jej dobra dołożę wszelkich starań, aby nie była niepokojona wysłuchiwaniami ich tam, gdzie obecnie przebywa.

W tej sytuacji Armadale prosi mnie (jako osobę będącą mimowolnie przyczyną nowego ataku na jego dobre imię), abym napisała do majora i rozgrzeszyła go z braku rozwagi w tym aspekcie oraz zaznaczyła, że ze względu na zwykłą grzeczność nie mógł postąpić inaczej, jak towarzyszyć mi w podróży do Londynu.

Wybaczam bezczelność listu, biorąc pod uwagę wieści, o jakich on donosi. Fakt, że skandal, jaki miał miejsce w Thorpe Ambrose, nie dotarł do uszu panny Milroy, bez wątpienia stanowi kolejną okoliczność przemawiającą na moją korzyść. Znając jej porywczosć (gdyby faktycznie słyszała o skandalu), mogłaby zrobić coś nieobliczalnego w rodzaju publicznego przyznania się do ukochanego i tym samym poważnie mi zaszkodzić. Co do moich własnych poczynań w stosunku do Armadale'a, sprawa jest jasna. Uspokoję go obietnicą napisania listu do majora Milroya i pozwolę sobie, dla własnego dobra, nie dotrzymać słowa.

Dziś nie zdarzyło się nic podejrzanego. Kimkolwiek są moi wrogowie, zgubili mnie i do czasu wyjazdu z Anglii już mnie nie znajdują. Byłam na poczcie i odebrałam kwit z bagażowni dołączony do listu z All Saints' Terrace, tak jak poleciłam. Sam bagaż na razie zostanie w przechowalni, dopóki nie będę mieć większej jasności, co robić dalej.

5 sierpnia. Znowu dwa listy z hotelu. Midwinter pisze, aby mi przypomnieć, w najmielszych możliwych słowach, że do jutra będzie mieszkał na terenie parafii i jest to wystarczająco długo, by otrzymać nasze zezwolenie na ślub, i że proponuje postarać się o nie w zwyczajny sposób w Doctors' Commons. Jeśli mam kiedyś powiedzieć „nie”, teraz jest na to właściwy moment. Nie. Nie mogę powiedzieć „nie”. Taka jest prawda i nie ma się nad czym zastanawiać!

List Armadale'a jest listem pożegnalnym. Dziękuje za to, że byłam tak uprzejma i zgodziłam się napisać do majora i żegna się do czasu ponownego spotkania w Neapolu. Dowiedział się od przyjaciela, że istnieją osobiste powody zmuszające go do odmówienia sobie przyjemności bycia na naszym ślubie. W tych okolicznościach nic nie trzyma go w Londynie. Załatwił wszystkie interesy, wyjeżdża do hrabstwa Somerset wieczornym pociągami i, zatrzymawszy się na jakiś czas u pana Brocka, własnym jachtem (pomimo sprzeciwu Midwintera) wypłyne na Morze Śródziemne z Kanału Bristolskiego.

Do listu dołączono puzderko z pierścieniem w środku – prezent Armadale'a z okazji ślubu. To rubin, ale dość mały i oprawiony w najgorszym możliwym guście. Pannie Milroy dałby pierścioneń wart dziesięć razy tyle, gdyby to był jej prezent ślubny. Nie ma drugiego równie wstrętneń stworzenia jak skąpy młodzieniec. Ciekawe, czy jego tandetny jachcik pójdzie z nim na dno?

Jestem tak podniecona i niespokojna, że sama nie wiem, co piszę. Nie chodzi o to, że wzdragam się przed tym, co ma nadejść. Czuję się tylko tak, jakby poganiano mnie bardziej, niż bym chciała. W tym tempie, jeśli nic się nie stanie, Midwinter ożeni się ze mną przed końcem tego tygodnia. A wtedy...!

6 sierpnia. Jeśli coś może mnie teraz zaskoczyć, to wiadomość, która dotarła do mnie dzisiaj.

Wróciwszy dziś rano do hotelu z zezwoleniem na ślub, Midwinter zastał

czekający na niego telegram. Armadale pilnie donosił, że pan Brock miał nawrót choroby i że w opinii lekarzy nie ma szans na powrót do zdrowia. Życzeniem umierającego było, aby Midwinter przyjechał się z nim pożegnać. Allan prosi, by nie tracąc czasu, wyruszył na plebanie najbliższym pociągiem.

Pośpieszny list, który mi o tym donosi, donosi również, że w chwili gdy go otrzymam, Midwinter będzie w drodze na zachód. Obiecuje napisać obszerniej wieczorną pocztą, po spotkaniu z panem Brockiem.

Wiadomość jest dla mnie interesująca z jednego powodu, którego Midwinter się nie domyśla. Oprócz mnie jest tylko jedna ludzka istota, która zna tajemnicę jego pochodzenia i nazwiska, a jest nią stary człowiek, który czeka teraz na niego, leżąc na łożu śmierci. Co sobie powiedzą w ostatniej chwili? Czy jakieś przypadkowe słowo cofnie ich do czasu, gdy byłam na służbie u pani Armadale na Maderze? Czy będą rozmawiać o mnie?

7 sierpnia. Obiecany list właśnie przyszedł. Nie wymienili słów pożegnania; zanim Midwinter dotarł do hrabstwa Somerset, było po wszystkim. Armadale powitał go w bramie plebanii wiadomością, że pan Brock nie żyje.

Próbuję z tym walczyć, ale w tym właśnie wydarzeniu mającym miejsce po dziwnym splocie okoliczności, jaki narastał wokół mnie przez ostatnie tygodnie, jest coś, co nie daje mi spokoju. Kiedy otwierałam wczoraj mój dziennik, na mojej drodze stała jedna, ostatnia groźba odkrycia. Kiedy otwieram go dzisiaj, groźba ta zostaje usunięta przez śmierć pana Brocka. To coś oznacza. Chciałabym tylko wiedzieć co.

Pogrzeb ma się odbyć w sobotę rano. Midwinter ma być na nim obecny, podobnie jak Armadale. Najpierw jednak chce wrócić do Londynu i pisze, że wstąpi do mnie dziś wieczorem w drodze z dworca do hotelu. Nawet gdyby wiązało się to z jakimś ryzykiem, spotkałabym się z nim mimo to. Ale jeśli przyjedzie tu z dworca, zamiast z hotelu, nie ma żadnego ryzyka.

Piąta. Nie myliłam się, sądząc, że moje nerwy są w strzępach. Błahostki, którymi w innych okolicznościach nie zaprzętałabym sobie głowy, teraz nie dają mi spokoju.

Dwie godziny temu, nie wiedząc, co zrobić z czasem, przypominałam sobie

o krawcowej, która szyje moją letnią suknię. Miałam pójść na przymiarke wczoraj, ale umknęło mi to w podnieceniu spowodowanym wiadomościami o panu Brocku. Poszłam więc dzisiaj po południu, chętna zrobić cokolwiek, co pozwoli mi się rozerwać. Wróciłam bardziej niespokojna i przygnębiona, niż byłam, wychodząc. Boję się, że mam powody, by żałować, iż nie zostawiłam nieskończonej sukni w rękach krawcowej.

Tym razem na ulicy nic mi się nie przytrafiło. Dopiero w przymierzalni nabrałam podejrzeń i tam też przeszło mi przez myśl, że próba zdemaskowania mnie, którą udaremniłam w All Saints' Terrace, jeszcze nie została zaniechana i że zamieszane są w to niektóre z ekspedientek, o ile nie sama właścicielka.

Czy mogę w jakiś sposób uzasadnić moje przypuszczenie? Pomyślmy.

Z całą pewnością zauważyłam dwie rzeczy, które odbiegały od normy. Po pierwsze, w przymierzalni było dwa razy więcej kobiet, niż potrzeba. To wydało mi się podejrzane, a jednak mogłabym wyjaśnić to na kilka sposobów. Czy to nie okres zastoju w interesach? I czy nie wiem z doświadczenia, że należę do tych kobiet, które inne kobiety zawsze darzą zawistną ciekawością? Po drugie, pomyślałam sobie, że jedna z ekspedientek cały czas dziwnie usiłuje ustawić mnie zwróconą w tym samym kierunku, twarzą w stronę przeszklonych i okrytych zasłoną drzwi prowadzących do pracowni. Ale ostatecznie podała powód, kiedy ją o to zagadnęłam. Powiedziała, że w ten sposób lepiej pada na mnie światło, i gdy się odwróciłam, okazało się, że, faktycznie, za mną znajduje się okno. Mimo to powyższe drobiazgi tak na mnie wtedy podziały, że celowo znalazłam jakąś wadę w sukni, aby mieć pretekst do kolejnej przymiarki, zanim podam im swój adres, na który każę ją przysłać. Czysty wymysł, śmiem twierdzić. Być może w chwili obecnej jest to czysty wymysł. Nieważne. Pójdę za głosem intuicji (jak mówią) i dam sobie spokój z suknią. Mówiąc jeszcze prościej, nie wrócę tam.

Północ. Midwinter przyszedł, tak jak obiecał. Od czasu naszego pożegnania minęła godzina, a ja nadal siedzę z piórem w dłoni, rozmyślając o nim. Żadnymi słowami nie zdołam opisać tego, co między nami zaszło. Na tych stronach mogę przedstawić jedynie zakończenie, a zakończenie jest takie, że zachwiałam moim postanowieniem. Po raz pierwszy od czasu, gdy w Thorpe Ambrose zobaczyłam

przed sobą łatwe rozwiązanie, jakim byłoby pozbawienie życia Armadale'a, czuję, że człowiek, na którego w myślach wydałam wyrok, ma szansę mi się wywinąć.

Czy to miłość do Midwintera mnie zmieniła? Czy to może jego miłość do mnie zawładnęła nie tylko tym wszystkim, co chciałabym mu dać, ale też tym, czego chciałabym mu oszczędzić? Czuję się tak, jakbym się zatraciła – zatraciła się w nim – na cały wieczór. Był bardzo poruszony tym, co wydarzyło się w hrabstwie Somerset, a jego smutek i żal udzieliły się i mnie. Choć nie przyznał tego wprost, wiem, że w śmierci pana Brocka widzi zły omen dla naszego małżeństwa. Wiem to, bo też odbieram śmierć pana Brocka w ten sposób. Przesądność, jego przesądność, tak mną owładnęła, że kiedy się uspokoił i mówił o przyszłości, kiedy powiedział mi, że musi albo zerwać umowę z nowymi pracodawcami albo wyjechać za granicę w przyszły poniedziałek, jak się zobowiązał, przestraszyłam się na myśl o tym, że nasz ślub miałyby się odbyć wkrótce po pogrzebie pana Brocka. Wiedzioną impulsem, powiedziałam mu: „Jedź i zacznij swoje nowe życie sam! Jedź i zostaw mnie tutaj, abym poczekała na szczęśliwsze czasy”.

Wziął mnie w ramiona. Westchnął i pocałował mnie z anielską czułością. „Nie ma teraz dla mnie życia bez ciebie”, powiedział tak łagodnie i tak bardzo smutno. Gdy słowa te padły z jego ust, w mojej głowie jak echo zrodziła się myśl: „Dlaczego nie przeżyć reszty dni, które mi zostały, w miłości takiej jak ta – szczęśliwie i bezpiecznie?”. Nie potrafię tego wyjaśnić, nie mogę pojąć. Taka myśl zakiełkowała mi wtedy w głowie i taka myśl nadal w niej tkwi. Widzę własną rękę piszącą te słowa i zadaję sobie pytanie, czy to naprawdę ręka Lydii Gwilt!

Armadale...

Nie! Nigdy więcej nie będę pisać, nie będę myśleć o Armadale'u.

Tak! Napiszę raz jeszcze, pomyślę o nim raz jeszcze, ponieważ uspokaja mnie myśl, że wyjeżdża i że morze rozdzieli nas, nim wyjdę za mąż. Jego dawny dom nie jest już jego dawnym domem teraz, gdy po stracie matki nastąpiła strata najlepszego i najstarszego przyjaciela. Po pogrzebie, jeszcze tego samego dnia, postanowił wypłynąć na obce morza. Może spotkamy się w Neapolu, a może nie. Czy będę inną kobietą, jeśli tak? Ciekawe...

8 sierpnia. Wiadomość od Midwintera. Pojechał z powrotem do hrabstwa

Somerset, aby być gotowym na jutrzejszy pogrzeb, i wróci tu (pożegnawszy się z Armadale'em) jutro wieczorem.

Ostatnie formalności poprzedzające nasz ślub są załatwione. W najbliższy poniedziałek mam zostać jego żoną. Ślub ma się odbyć nie później niż wpół do jedenastej, co da nam akurat tyle czasu, aby po nabożeństwie dostać się z kościoła na dworzec i tego samego dnia wyruszyć do Neapolu.

Dziś... sobota... niedziela! Nie boję się czasu, ten minie. Nie boję się samej siebie, jeśli tylko mogę oddalić od siebie wszystkie myśli z wyjątkiem jednej. Kocham go! Dzień i noc, aż do poniedziałku, o niczym innym nie będę myśleć. Kocham go!

Czwarta. Na przekór nachodzą mnie inne myśli. Moje wczorajsze podejrzenia nie były wymysłem, krawcowa jest zamieszana. Głupstwo, jakie popełniłam, wracając do jej zakładu, ściągnęło mi na głowę szpiegów. Jestem absolutnie pewna, że nigdy nie podawałam tej kobiecie adresu, a jednak dziś o drugiej przysłano mi moją suknię!

Posłaniec przyniósł ją wraz z rachunkiem i uprzejmą wiadomością, że skoro nie zjawiłam się na umówioną przymiarce, suknia została ukończona i wysłana do mnie. Złapał mnie w przejściu. Nie miałam innego wyjścia, jak zapłacić rachunek i go odprawić. W obecnej sytuacji każde inne posunięcie byłoby czystą głupotą. Posłaniec (nie był to ten sam mężczyzna, który szedł za mną na ulicy, ale bez wątplenia inny szpieg wysłany, aby mnie śledzić) oświadczyłby, że nic o tym nie wie, gdybym go zagadnęła. Krawcowa, gdybym do niej poszła, powiedziała mi prosto w twarz, że podałam jej swój adres. Jediną pożyteczną rzeczą, jaką mogę teraz zrobić, jest zaprząć mój spryt do roboty dla dobra własnego bezpieczeństwa i wycofać się z niezręcznego położenia, w którym znalazłam się dzięki własnej nierozwadze – jeśli potrafię.

Siódma. Znów mam lepszy humor. Myślę, że już zdołałam się wywinąć.

Właśnie wróciłam z długiej przejażdżki dorożką. Najpierw do przechowalni bagażu na dworcu Great Western, aby odebrać kufry wysłane tam z All Saints' Terrace. Potem do przechowalni na Dworcu Południowo-Wschodnim zostawić bagaże (podpisane nazwiskiem Midwintera), które mają na mnie czekać aż do

odjazdu pociągu w poniedziałek. Potem na Poczcie Główną wysłać do Midwintera na plebanię list, który otrzyma jutro rano. W końcu z powrotem do domu, z którego nie ruszę się aż do poniedziałku.

Nie mam wątpliwości, że mój list do Midwintera sprawi, że poprze (zupełnie nieświadomie) środki ostrożności, które podejmuję dla własnego bezpieczeństwa. W poniedziałek będziemy mieć na tyle mało czasu, że jedynie zapłaci za hotel i zabierze bagaże, zanim nastąpi ceremonia ślubna. Wszystko, o co go proszę, ponad to, to aby sam zabrał swój bagaż na Dworzec Południowo-Wschodni (sprawiając tym samym, że wszelkie pytania kierowane do hotelowej służby będą bezcelowe), a następnie spotkał się ze mną przy wejściu do kościoła zamiast przyjeżdżać po mnie tutaj. Reszta należy do mnie. Kiedy nadejdzie niedzielna noc lub poniedziałkowy poranek, będzie naprawdę źle – teraz, gdy jestem wolna od wszelkiej zawady – jeśli po raz drugi nie umknę tym, którzy mnie śledzą.

Pisanie dziś do Midwintera wydaje się zbyteczne wobec tego, że przychodzi do mnie jutro wieczorem. Jednak nie mogłam poprosić go o to, o co poprosiłam, nie wymawiając się ponownie moją zmyśloną sytuacją rodzinną, a będąc zmuszona to zrobić – przyznając prawdę – napisałam do niego list, bo po tym, co wycierpiałam ostatnim razem, nigdy więcej nie będę potrafiła okłamać go w żywe oczy.

9 sierpnia. Druga po południu. Wstałam dziś wcześniej, bardziej przygnębiona niż zwykle. Zaczynanie od nowa życia, podobnie jak zaczynanie od nowa każdego dnia, już od lat jest dla mnie czymś męczącym i beznadziejnym. Poza tym przez całą noc śniłam nie o Midwinterze i moim małżeństwie, tak jak miałam nadzieję, ale o przekłętym spisku mającym na celu zdemaskowanie mnie, przez który musiałam uciekać z miejsca na miejsce jak zaszczute zwierzę. We śnie nie przyszło do mnie żadne nowe objawienie. Wszystko, co mogłam zgadnąć, śpiąc, to, czego mogę domyślić się na jawie – wrogiem, który atakuje mnie z ukrycia, jest Matka Oldershaw.

Moja niespokojna noc przyniosła jednak jeden pozytywny skutek. Dzięki niej zdołałam zaskarbić sobie przychylność służącej oraz zapewnić sobie jej pomoc, kiedy nadejdzie moment mojej ucieczki.

Dziewczyna zauważyła rano, że jestem blada i niespokojna. Zwierzyłam jej się

do tego stopnia, że powiedziałam, iż mam po kryjomu wyjść za mąż i że posiadam wrogów, którzy chcą mnie rozdzielić z ukochanym. To z miejsca wzbudziło jej współczucie, a prezent w postaci dziesięciu szylingów za jej uprzejme usługi dokonał reszty. W przerwach w pracy była ze mną niemal przez cały ranek i dowiedziałam się między innymi, że jej ukochany jest szeregowcem w królewskiej gwardii i że ma się z nim spotkać jutro. Jakkolwiek mała to suma, zostało mi wystarczająco dużo pieniędzy, by zawrócić w głowie każdemu szeregowcowi w brytyjskiej armii i, jeśli osoba wyznaczona jutro do obserwowania mnie będzie mężczyzną, myślę, że możliwym jest, iż jego uwaga zostanie wieczorem nieprzyjemnie odwrócona od panny Gwilt.

Kiedy Midwinter ostatnio przyjechał tu z dworca, był o wpół do dziewiątej. Jak mam przetrwać długie, nużące godziny dzielące mnie od wieczora? Chyba zaciemnię sypialnię i zażyję błogosławionego zapomnienia ze swojej butelki z kroplami.

Jedenasta. Rozstaliśmy się po raz ostatni przed nadejściem dnia, który uczyni nas mężem i żoną.

Zostawił mnie, tak jak poprzednio, z zajmującym tematem do rozmyślań. Gdy tylko wszedł do pokoju, dostrzegłam w nim zmianę. Kiedy opowiadał o pogrzebie i o pożegnaniu z Armadale'em na pokładzie jachtu, choć mówił z głębokim wzruszeniem, było też po nim znać opanowanie, którego nigdy wcześniej w nim nie widziałam. Podobnie gdy rozmowa zeszła na temat naszych własnych perspektyw i nadziei. Był wyraźnie rozczarowany, kiedy dowiedział się, że moje kłopoty rodzinne uniemożliwią nam spotkanie jutro, i wyraźnie zaniepokojony perspektywą pozostawienia mnie w poniedziałek samej sobie, abym znalazła drogę do kościoła. Pod tym wszystkim kryły się jednak pewien optymizm i opanowanie, które tak rzucały się w oczy, że nie mogłam ich nie zauważyć.

„Wiesz, że czasem dopadają mnie dziwne myśli”, rzekłam. „Czy mam ci powiedzieć, jaka myśl naszała mnie teraz? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że od czasu naszego ostatniego spotkania zdarzyło się coś, o czym jeszcze mi nie powiedziałaś”.

„Coś się zdarzyło”, powiedział. „I jest to coś, o czym powinnaś wiedzieć”.

Mówiąc to, wyciągnął swój kieszonkowy notes i wyjął z niego dwie zapisane

kartki. Na jedną spojrział i odłożył ją z powrotem. Drugą położył na stole.

„Zanim powiem ci, co to jest, i jak trafiło w moje ręce”, oznajmił, „muszę wyznać coś, co do tej pory przed tobą ukrywałem. Jest to wyznanie ni mniej, ni więcej, jak własnej słabości”.

Potem przyznał, że odnowioną przyjaźń z Armadale'em przez cały okres ich pobytu w Londynie mąciły jego własne przesądne obawy. Posłuchał wezwania do łoża śmierci proboszcza z mocnym postanowieniem, że zwierzy się mu ze swoich przeczuc nadciągających kłopotów i tym mocniej utwierdził się w swoim przekonaniu, gdy dowiedział się, że śmierć przyszła do proboszcza przed nim, na zawsze rozdzielając ich na tym świecie. Co więcej, wracał na pogrzeb ze skrytym poczuciem ulgi, że rozstanie się z Armadale'em, i ze skrytym postanowieniem, że planowane przez nas troje spotkanie w Neapolu nigdy nie będzie miało miejsca. Z tą myślą w sercu udał się sam do pokoju przygotowanego dla niego na plebanii i otworzył list, który zastał na stole. List odkryto dopiero tego samego dnia zawieruszony pod łóżkiem, na którym umarł pan Brock. Napisany został charakterem pisma proboszcza, a osobą, do której został skierowany, był sam Midwinter.

Powiedziawszy to niemal tymi samymi słowami, jakimi to opisałam, podał mi zapisaną kartkę leżącą między nami na stole.

„Przeczytaj to”, powiedział, „a nie będę ci musiał mówić, że mój umysł znów jest spokojny i że gdy ściszałem rękę Allana na pożegnanie, moje serce bardziej zasługiwało na jego miłość”.

Przeczytałam list. W moim umyśle nie było przesądu, który trzeba by było przewyciężyć, a w sercu nie było dawnej wdzięczności, którą można by było wzniecić, a jednak jestem przekonana, że skutek, jaki list na mnie wywarł, przewyższał skutek, jaki wywarł on na Midwinterze.

Na nic zdały się prośby, aby zostawił list i pozwolił mi go przeczytać w samotności. Koniecznie chce go mieć przy sobie, razem z tą drugą kartką, którą wyjął z notesu, a która zawiera opis snu Armadale'a. Zdołałam tylko uzyskać zgodę na przepisanie go, którą chętnie wydał. Przepisałam list w jego obecności, a teraz umieszczam go w moim dzienniku na znak jednego z najbardziej pamiętnych dni

w moim życiu.

„Plebania w Boscombe, 2 sierpnia

Drogi Midwinterze!

Po raz pierwszy od początku choroby zebrałem wczoraj siły na tyle, by przejrzeć listy do mnie. Jednym z nich był list od Allana, który leżał nieotwarty na stole przez ostatnie dziesięć dni. Pisze w wielkim utrapieniu, donosząc, że doszło między wami do nieporozumienia i że go opuściłeś. Jeśli nadal pamiętasz, co między nami zaszło, gdy po raz pierwszy otworzyłeś przede mną swoje serce na Wyspie Man, nietrudno będzie Ci zrozumieć, jak przez ostatnią noc rozmyślałem nad tą nieszczęsną nowiną, i nie zdziwisz się na wieść, że podjąłem dziś rano wysiłek napisania do Ciebie.

Nie chcę wyjaśnień, dlaczego rozstałeś się ze swym przyjacielem. Jeśli moje zdanie na temat Twojego charakteru nie opiera się na kompletnym urojeniu, jedyną siłą, jaka mogła doprowadzić do Twojego rozstania z Allanem, jest siła owego złego ducha przesądności, który już raz wygnałem z Twego serca i którego zwyciężę raz jeszcze, daj Boże, jeśli będę miał dość sił, aby przelać na papier swoje myśli w niniejszym liście.

Nie jest moim zamysłem walczyć z przekonaniem, jakie wiem, że posiadasz, a mianowicie, że istoty śmiertelne w swojej wędrówce po tym świecie mogą być przedmiotami nadprzyrodzonej interwencji. Mówiąc jako człowiek racjonalny, przyznaję, że nie potrafię udowodnić Ci, że się mylisz. Mówiąc jako człowiek wierzący w Biblię, jestem zobowiązany pójść dalej i przyznać, że posiadasz gwarancję wiary – masz ją w sobie większą niż wszelkie ludzkie gwarancje. Jedynym celem, jaki mi leży na sercu, jest skłonić Cię do uwolnienia się od paralizującego fatalizmu pogan i ludzi dzikich i do spojrzenia na zagadki, które Cię zastanawiają, i znaki, które Cię przerażają, z chrześcijańskiego punktu widzenia. Jeśli mi się to uda, uwolnię Cię od wszystkich koszmarnych wątpliwości, które Tobą targają, i na powrót złączę Cię z przyjacielem, z którym już nigdy więcej się nie rozstaniesz.

Nie mam możliwości spotkania się z Tobą i zadania pytań. Mogę tylko wysłać ten list Allanowi, aby przekazał Ci go, jeśli zna lub może poznać Twój aktualny adres. Będąc w takim położeniu w stosunku do Ciebie, zmuszony jestem robić

wszelkie założenia na Twoją korzyść. Przyjmę, że Tobie lub Allanowi przydarzyło się coś, co w Twoim mniemaniu nie tylko potwierdziło fatalistyczne przekonanie, w którym zmarł Twój ojciec, ale nadało przestrodze, którą przekazał Ci w swoim ostatnim liście, nowe i straszne znaczenie.

Na tym wspólnym gruncie wychodzę Ci naprzeciw. Na tym gruncie odwołuję się do Twoich wyższych uczuć i zdrowego rozsądku.

Zachowaj swoje obecne przekonanie, że wypadki, które zaszły (jakikolwiek by one nie były), są nie do pogodzenia ze zwykłymi ziemskimi zbiegami okoliczności i zwykłymi prawami tego świata i spójrz na swoje położenie w najlepszym i najczystszej świetle, jakie może rzucić na nie Twoja przesądność. Czymże jesteś? Jesteś bezradnym narzędziem w rękach losu. Jesteś skazany i nie jest w ludzkiej mocy się temu przeciwstawić, by ślepo sprowadzić nieszczęście i zniszczenie na człowieka, z którym niewinnie i z wdzięcznością związałeś się więzami braterskiej miłości. Żadne najwznioślejsze odruchy Twojej woli i żadne najczystsze pod względem moralnym dążenia nie zdadzą się na nic wobec dziedzicznej skłonności do zła spowodowanej zbrodnią, którą Twój ojciec popełnił, zanim przyszedłeś na świat. Do czego prowadzi to przekonanie? Prowadzi do ciemności, w których teraz się gubisz, sprzeczności, które Cię obecnie konsternują, nieustępliwej rozpacz, którą człowiek bezcześci własną duszę i zniża się do poziomu bestii idących na zatracenie.

Wznies się, mój biedny, cierpiący bracie, wznieś się mój ciężko doświadczony, ukochany przyjacielu, ponad to! Spójrz na wątpliwości, które Cię obecnie dręczą, z błogosławionego punktu widzenia chrześcijańskiej odwagi i chrześcijańskiej nadziei, a Twoje serce na powrót zwróci się ku Allanowi, zaś umysł zazna spokoju. Cokolwiek się wydarzy, Bóg jest miłosierny, Bóg jest wszechwiedzący, to, co przyrodzone i nadprzyrodzone, wydarza się przez Niego. Tajemnica zła, która zdumiewa nasze ograniczone umysły, smutek i cierpienie, które nękają nas w tym nędznym życiu, pozostawiają niezachwianą jedną wielką prawdę, a mianowicie, że przeznaczenie człowieka jest w rękach jego Stwórcy, a błogosławiony Syn Boży umarł, abyśmy stali się bardziej godnymi go. Nic, co człowiek robi w bezwarunkowym poddaniu się mądrości Wszechmogącego, nie jest złe. Nie

istnieje takie zło, z którego, przy posłuszeństwie Jego prawom, nie może wynikać dobro. Bądź wierny temu, co mówi Chrystus. Niezależnie od okoliczności wzbudź w sobie miłość, wdzięczność, wyrozumiałość, przebaczenie w stosunku do bliźnich. A resztę pokornie i ufnie zostaw Bogu, który Cię stworzył, i Odkupicielowi, który ukochał Cię bardziej niż własne życie.

Oto wiara, w której z pomocą i łaską Bożą wzrastałem od czasów młodości. Proszę Cię poważnie i ufnie, abyś uczynił ją również swoją wiarą. To źródło wszelkiego dobra, jakiego w życiu dokonałem, wszelkiego szczęścia, jakiego zaznałem. Rozświetla moją ciemność, podtrzymuje nadzieję, pociesza mnie i uspokaja, kiedy tak leżę, czekając na życie albo na śmierć, sam nie wiem, które z nich nadejdzie. Pozwól, aby również Ciebie podtrzymywała, pocieszała i oświecała. Pomoże Ci w największej potrzebie, tak jak pomogła mnie. Wskaże Ci inny cel w splocie wypadków, które doprowadziły do spotkania Allana z Tobą, niż ten, który przewidział Twój winny ojciec. Nie przeczę, dziwne rzeczy Ci się przydarzyły. Jeszcze dziwniejsze, których może nie doczekam, mogą się przydarzyć wkrótce. Jeśli przyjdzie na mnie godzina śmierci, pamiętaj, że umarłem, stanowczo nie wierząc, że Twój wpływ na Allana może być inny jak dobry. Wielka ofiara Odkupienia – mówię to z nabożeństwem – nawet na tym świecie ma swoje doczesne echa. Jeśli kiedykolwiek Allanowi będzie groziło niebezpieczeństwo, Ty, którego ojciec pozbawił życia jego ojca – tylko ty i nikt inny możesz okazać się człowiekiem, którego Boża opatrzność ześle, aby go ocalić.

Przyjedź do mnie, jeśli będę żył. Wróć do przyjaciela, który Cię kocha, niezależnie, czy będę żył, czy umrę.

Oddany Ci do końca,

Decimus Brock”.

Tylko ty i nikt inny możesz okazać się człowiekiem, którego Boża opatrzność ześle, aby go ocalić!

Te właśnie słowa wstrząsnęły mną do głębi. Sprawiają one, że czuję się tak, jakby umarły powstał z grobu i położył rękę na tym miejscu w moim sercu, gdzie mój straszny sekret leży ukryty przed każdą żywą istotą z wyjątkiem mnie. Jedna część listu już się sprawdziła. Niebezpieczeństwo, które przewiduje, grozi Allanowi

już teraz – i to z mojej strony!

Jeśli sprzyjające okoliczności, które przywiodły mnie aż dotąd, będą popychać mnie do końca i jeśli ostatnie w tym życiu przekonanie starca okaże się prorocze, Armadale mi się wymknie, cokolwiek bym zrobiła. A Midwinter stanie się ofiarą, która poświęci siebie, aby ocalić jego życie.

To straszne! To niemożliwe! To nigdy się nie stanie! Na samą myśl o tym drży mi ręka i truchleje serce. Błogosławię drżenie, które odbiera mi odwagę! Błogosławię truchlenie, przez które omdleвам! Błogosławię te słowa listu, które wzbudziły na nowo oddalające się myśli, jakie po raz pierwszy naszły mnie dwa dni temu! Czy teraz, gdy wypadki popychają mnie bezpiecznie i bez przeszkód coraz bliżej celu, trudno przezwyciężyć pokusę, aby iść dalej? Nie! Jeśli istnieje choć cień szansy, że Midwinterowi stanie się krzywda, obawa przed nią wystarczy, bym podjęła decyzję; wystarczy, aby dać mi siłę do przezwyciężenia pokusy dla jego dobra. Jeszcze nigdy, przenigdy nie kochałam go tak, jak kocham go teraz!

Niedziela, 10 sierpnia. Wigilia mojego ślubu! Zamykam i pieczętuję tę książkę, aby nigdy już w niej nie napisać, nigdy więcej jej nie otworzyć.

Odniosłam wielkie zwycięstwo. Zdeptałam własną niegodziwość. Jestem niewinna. Znow jestem szczęśliwa. Miłości moja! Aniele mój! Gdy jutrzejszy dzień odda mnie tobie, nie będę miała w sercu ani jednej myśli, która nie byłaby zarówno moją, jak i twoją!

XV. DZIEŃ ŚLUBU

Działo się to w poniedziałek, 11 sierpnia, o dziewiątej rano, w prywatnym pokoju w jednej ze staromodnych gospód, które nadal spotyka się po tej stronie Tamizy, gdzie leży Borough, a bohaterem był pan Bashwood, który przybył do Londynu na wezwanie syna i poprzedniego dnia ulokował się w gospodzie.

Nigdy jeszcze nie wyglądał tak żałośnie staro i bezradnie jak teraz. Gorączka i chłód naprzemiennych okresów nadziei i rozpaczys wysuszyły go, przykurczyły i zmizerowały. Jego ciało wychudło, rysy twarzy wyostrzyły się. Strój z bezlitosną i szokującą przesadą podkreślał zaszłą w nim smutną zmianę. Nigdy, nawet w czasach młodości, nie nosił takich ubrań jak teraz. Podjąwszy desperacką decyzję, że nie przepuści żadnej okazji, aby zrobić wrażenie na pannie Gwilt, zrzucił ponure, czarne stroje, a nawet odważył się założyć swój niebieski, atłasowy fular. Miał na sobie popielaty surdut do jazdy konnej. Kazał go uszyć, z mściwym wyrafinowaniem intencji, na wzór surduta, w którym widział Allana. Kamizelka była biała, spodnie w najweselszy letni wzór – wielką kratę. Na głowie miał natłuszczoną i uperfumowaną perukę, którą zaczesał po obu stronach na twarz, aby ukryć zmarszczki na skroniach. Przedstawiał widok śmiechu warty, a jednocześnie opłakany. Jego wrogowie, gdyby istota tak nędzna mogła mieć jakichś wrogów, przebaczyliby mu, ujrzawszy go w nowym stroju. Przyjaciele – gdyby miał jeszcze jakichś przyjaciół – mniej by się zmartwili, widząc go w trumnie, niż takim, jak był teraz. Bez wytchnienia przemierzał pokój z jednego końca na drugi. To spoglądał na zegarek, to za okno, to na suto zastawiony do śniadania stół – zawsze z tym samym, rzewnym, niespokojnym pytaniem w oczach. Kelner, wchodząc z termosem pełnym wrzątku, został po raz pięćdziesiąty powitany jedyną formułą, którą nieszczęsna

istota zdawała się być zdolna wymówić tego ranka: „Mój syn przyjeżdża na śniadanie. Mój syn jest bardzo wybredny. Wszystko ma być najlepsze: gorące i zimne rzeczy, kawa i herbata i cała reszta, kelnerze, cała reszta”. Po raz pięćdziesiąty powtórzył teraz nerwowo te słowa. Niewzruszony kelner po raz pięćdziesiąty udzielił tej samej uspokajającej odpowiedzi: „W porządku, sir, proszę zostawić to mnie”, gdy na schodach rozległy się niespieszne kroki, drzwi się otwały i do pokoju wkroczył leniwie długo wyczekiwany syn, niosąc w ręce elegancką, niewielką torbę z czarnej skóry.

– Dobra robota, staruszk! – ozwał się Bashwood młodszy, lustrując ubiór ojca z uśmiechem wyrażającym ironiczną aprobatę. – Jesteś gotowy poślubić pannę Gwilt w każdej chwili!

Ojciec ujął rękę syna i próbował dorównać mu wesołością.

– Jesteś w takim dobrym humorze, Jemmy – rzekł, używając zdrobniałego imienia, tak jak robił to za szczęśliwych dni. – Zawsze byłeś w dobrym humorze, mój drogi, od dziecka. Chodź i usiądź. Zamówiłem dla ciebie dobre śniadanie. Wszystko, co najlepsze! Wszystko, co najlepsze! Co z ulgą cię widzieć! Och, kochany, kochany, co za ulga cię widzieć.

Urwał i usiadł przy stole. Jego twarz pałała od wysiłku, z jakim próbował opanować zżerającą go niecierpliwość.

– Powiedz mi o niej! – wykrzyknął, nagle z rezygnacją porzucając wysiłki. – Umrę, Jemmy, jeśli będę musiał dłużej czekać. Powiedz mi, powiedz, powiedz!

– Nie wszystko naraz – rzekł Bashwood młodszy, zupełnie niewzruszony niecierpliwością ojca. – Najpierw zjemy śniadanie, a potem przejdziemy do damy! Powoli, staruszk, powoli!

Położył torbę na krześle i usiadł naprzeciw ojca: opanowany, uśmiechnięty, nucąc jakąś melodię.

Zwykła obserwacja przy zastosowaniu zwykłych zasad analizy nie pozwoliłaby wyczytać charakteru Bashwooda młodszego z jego twarzy. Młodzieńczy wygląd, potęgowany jasnymi włosami i pulchnymi, gładkimi policzkami, swoboda bycia i pojawiający się na zawołanie uśmiech, oczy, które śmiało patrzyły prosto w oczy

każdego, do kogo się zwrócił – wszystko to sprawiało na przeciętnym obserwatorze korzystne wrażenie. Być może tylko oko jednego na dziesięć tysięcy ludzi zdołałoby przeniknąć zwodniczą powierzchowność tego człowieka i zobaczyć w nim to, czym był naprawdę – nikczemną istotę, którą jeszcze nikczemniejsza potrzeba społeczna ukształtowała na swój użytek. Oto on: tajny szpieg współczesnych czasów, w których interes kwitnie, a prywatne biura detektywistyczne stale się mnożą. Oto on: niezbędny detektyw nadzorujący postęp naszej narodowej cywilizacji, człowiek, który przynajmniej w tym przypadku był prawowitym i zrozumiałym owocem profesji dającej mu pracę, człowiek gotów na podstawie najdrobniejszego podejrzenia (o ile najmniejsze podejrzenie zapłaciłoby mu) wejść pod nasze łóżka, jak również podglądać nas przez otwory wywiercone w drzwiach, człowiek, który byłby bezużyteczny dla swoich pracodawców, gdyby odczuwał cień ludzkiego współczucia w obecności ojca i który zasłużenie straciłby posadę, gdyby w jakichkolwiek okolicznościach miały do niego dostęp poczucie litości i wstydu.

– Powoli, staruszk – powtórzył, uchylając pokrywek z naczyń i zaglądając pod każdą z osobna. – Powoli!

– Nie bądź na mnie zły, Jemmy – poprosił ojciec. – Jeśli potrafisz, spróbuj sobie wyobrazić, jak strasznie jestem niespokojny. Dostałem twój list już wczoraj rano. Musiałem przebyć całą drogę z Thorpe Ambrose, musiałem przetrwać jakoś potwornie długi wieczór i potwornie długą noc, mając twój list, w którym donosisz, że dowiedziałaś się, kim jest panna Gwilt, i nie piszesz nic więcej. Niepewność bardzo trudno znieść, Jemmy, kiedy jest się w moim wieku. Co cię takiego zatrzymało, mój drogi, że nie przyszedłeś do mnie po moim przyjeździe wczoraj wieczorem?

– Mały obiad w Richmond – rzekł Bashwood młodszy. – Nalej mi herbaty.

Pan Bashwood próbował spełnić żądanie, ale ręka, którą podnosił imbryk, tak mocno zadrżała, że herbata zamiast do filiżanki trafiła na obrus.

– Bardzo przepraszam, nie mogę opanować drżenia, kiedy się denerwuję – powiedział staruszek, gdy syn wyjął mu z dłoni imbryk. – Obawiam się, że jesteś na mnie zły, Jemmy, za to, co się stało, gdy ostatnim razem byłem w mieście. Przyznaję, że byłem uparty i nierozsądny, jeśli chodziło o powrót do Thorpe

Ambrose. Teraz jestem mądrzejszy. Miałeś rację, biorąc wszystko na siebie, gdy tylko pokazałem ci zawołowaną damę wychodzącą z hotelu, i miałeś rację, odsyłając mnie tego samego dnia do moich obowiązków zarządcy w rezydencji.

Patrzył, jakie wrażenie zrobią na jego synu te wyznania, i niepewnie ośmielił się wyrazić inną prośbę:

– Jeśli nie chcesz powiedzieć mi teraz niczego innego – powiedział słabym głosem – czy powiesz mi, jak ją znalazłeś? Powiedz, Jemmy, błagam!

Bashwood młodszy spojrzał znad talerza.

– Powiem ci – rzekł. – Zliczając wszystko, panna Gwilt kosztowała mnie więcej czasu i pieniędzy, niż się spodziewałem, i im szybciej załatwimy tę kwestię, tym szybciej przejdziemy do tego, co chcesz wiedzieć.

Bez słowa sprzeciwu ojciec położył na stole przed synem swój stary, spłowiasty pugilares i portmonetkę. Bashwood młodszy zajrzał do portmonetki, zauważył, że zawiera jedynie suwerena i trochę innego bilonu, co skwitował pogardliwym uniesieniem brwi, po czym zwrócił ją nienaruszoną. Otwarty następnie pugilares okazał się zawierać cztery banknoty pięciofuntowe. Bashwood młodszy zatrzymał trzy z nich dla siebie i oddał pugilares ojcu z ukłonem wyrażającym drwiącą wdzięczność i ironiczne uznanie.

– Stokrotne dzięki – powiedział. – Część z tego jest dla ludzi z naszego biura, a reszta dla mnie. Jedną z nielicznych głupich rzeczy, jakie zrobiłem w życiu, mój drogi panie, było to, że kiedy po raz pierwszy się do mnie zwróciłeś, napisałem ci, iż możesz mieć moje usługi gratis. Jak widzisz, śpieszę, by sprostować ten błąd. Godzinę czy dwie od czasu do czasu jestem skłonny ci poświęcić. Ale ta sprawa zajęła mi kilka dni i przeszkodziła w realizacji innych zadań. Pisałem ci, że nie mogę być przez ciebie stratny, zaznaczyłem to wyraźnie w liście.

– Tak, tak, Jemmy. Nie skarżę się, mój drogi. Nie skarżę się. Mniejsza o pieniądze, powiedz, jak na nią trafiłeś.

– Poza tym – ciągnął Bashwood młodszy, niewzruszenie usprawiedliwiając się dalej – dałem ci dodatek w postaci mojego doświadczenia. Zrobiłem to tanio. Gdyby zajął się tą sprawą ktoś inny, kosztowałoby to dwa razy tyle. Ktoś inny

obserwowałby jednocześnie pana Armadale'a i pannę Gwilt. Oszczędziłem ci tego wydatku. Jesteś pewien, że pan Armadale ma zamiar się z nią ożenić. Znakomicie. W takim razie, mając oko na nią, mamy też, jeśli chodzi o nasze cele, oko na niego. Wystarczy wiedzieć, gdzie jest dama, a już wiadomo, że dżentelmen nie może być daleko.

– Racja, Jemmy. Ale jak to się stało, że panna Gwilt przysporzyła ci takich kłopotów?

– To diabelnie sprytna kobieta – powiedział Bashwood młodszy. – Było to tak: wymknęła nam się w zakładzie krawieckim. Ułożyliśmy się z krawcową, licząc na to, że klientka wróci przymierzyć suknię, którą zamówiła. W dziewięciu przypadkach na dziesięć najsprytniejsze kobiety tracą głowę, gdy chodzi o nową suknię i nawet panna Gwilt była na tyle nieostrożna, że wróciła. Tylko na to czekaliśmy. Jedna z naszych kobiet pomagała jej przymierzyć nową suknię i ustawiała ją w taki sposób, aby zobaczył ją jeden z naszych ludzi schowany za drzwiami. Natychmiast domyślił się, kto to taki, na podstawie tego, co o niej słyszał, bowiem na swój sposób jest ona sławna. Oczywiście nie polegaliśmy tylko na tym. Wytropiliśmy ją pod nowym adresem i pozyskaliśmy człowieka ze Scotland Yardu, co do którego byliśmy pewni, że ją zna, jeśli nasz własny człowiek się nie mylił. Człowiek ze Scotland Yardu wcielił się na tę okoliczność w posłańca krawcowej i zaniósł jej suknię do domu. Zobaczył ją w przejściu i rozpoznał w jednej chwili. Mówię ci, masz szczęście. Panna Gwilt to postać powszechnie znana. Gdybyśmy mieli do czynienia z kobietą mniej słynną, mogła nas kosztować całe tygodnie śledztwa, a ty musiałbyś wyłożyć setki funtów. W przypadku panny Gwilt wystarczył jeden dzień, a kolejny dał mi do ręki całą historię jej życia, czarno na białym. Teraz mam ją tutaj, staruszkę, w mojej czarnej torbie.

Bashwood ojciec rzucił się na czarną torbę z rozpalonym wzrokiem i wyciągniętą ręką. Bashwood syn wyciągnął z kieszeni kamizelki mały klucz, puścił oko, potrząsnął głową i znów go schował.

– Jeszcze nie skończyłem śniadania – powiedział. – Powoli, mój drogi panie... powoli.

– Nie mogę czekać! – zawołał staruszek, na próżno usiłując zachować panowanie

nad sobą. – Jest już po dziewiątej! Dziś mijają dwa tygodnie, odkąd wyjechała do Londynu z Armadale'em! W ciągu dwóch tygodni może go poślubić. Może go poślubić dziś rano! Nie mogę czekać! Nie mogę czekać!

– Człowiek nie wie, co może, dopóki nie spróbuje – odparł Bashwood młodszy. – Spróbuj, a przekonasz się, że możesz poczekać. Co się stało z twoją ciekawością? – ciągnął, zmyślnie podsycając emocje krok po kroku. – Dlaczego nie spytasz mnie, co mam na myśli, nazywając pannę Gwilt postacią powszechnie znaną? Dlaczego nie ciekawi cię, jak trafiła w moje ręce historia jej życia napisana czarno na białym? Jeśli ponownie usiądziesz, powiem ci. Jeśli nie, ograniczę się do mojego śniadania.

Pan Bashwood westchnął ciężko i powrócił na krzesło.

– Wolałbym, żebyś nie robił sobie żartów, Jemmy – rzekł. – Wolałbym, mój drogi, żebyś naprawdę nie robił sobie żartów.

– Żartów? – powtórzył syn. – Powiem ci, że dla niektórych ludzi byłaby to całkiem poważna sprawa. Panna Gwilt została skazana na karę śmierci, a dokumenty, które mam w tej czarnej torbie, to wskazówki adwokata dla obrony. To nazywasz żartem?

Ojciec zerwał się na równe nogi i z okropnym uśmiechem triumfu spojrział przez stół prosto na syna.

– Skazana na karę śmierci! – wykrzyknął, dysząc z zadowolenia. – Skazana na karę śmierci!

Wybuchnął niskim rechotem i triumfalnie pstryknął palcami.

– Ha, ha, ha! A to dopiero! Pan Armadale może się przestraszyć!

Syn, jakkolwiek łajdak, był onieśmielony wybuchem skumulowanej pasji, jaka biła z tych słów.

– Nie ekscytuj się tak – powiedział, ponuro tłumiąc drwiący ton, z którym dotąd przemawiał.

Pan Bashwood ponownie usiadł i otarł czoło chusteczką.

– Nie – powiedział, kiwając głową i uśmiechając się do syna. – Nie, nie, żadnego ekscytowania się, jak mówisz. Mogę poczekać, Jemmy, mogę poczekać.

Czekał z niewzruszoną cierpliwością. Od czasu do czasu kiwał głową, uśmiechał

się i szeptał sam do siebie: „Pan Armadale może się przestraszyć!”. Ale ani słowem, ani spojrzeniem, ani gestem nie próbował już popędzać syna.

Bashwood młodszy powoli skończył jeść śniadanie, z czystego zuchwalstwa, z najwyższym namaszczeniem zapalił cygaro, spojrzał na ojca i, widząc, że ten nadal jest niewzruszenie cierpliwy, otworzył w końcu swoją czarną torbę i rozłożył papiery na stole.

– Jak sobie życzysz? – zapytał. – Długo czy krótko? Mam tutaj całe jej życie. Adwokata, który bronił jej podczas procesu, pouczono, by mocno grał na uczuciach ławy przysięgłych. Ten zagłębiał się w niedolach jej przeszłego życia i zdołał wstrząsnąć wszystkimi zebranymi w sądzie. Mam przyjąć tę samą linię? Chcesz wiedzieć o niej wszystko, od czasu, gdy biegała w krótkich sukienkach i falbaniastych pantalonach? Czy może wolisz przejść od razu do jej pierwszego pojawienia się jako aresztantki na ławie oskarżonych?

– Chcę wiedzieć o niej wszystko – powiedział gorliwie ojciec. – Wszystko, co najgorsze, i wszystko, co najlepsze, ale zwłaszcza to, co najgorsze. Nie oszczędzaj mnie, Jemmy, cokolwiek zrobisz, nie oszczędzaj mnie! Czy nie mógłbym sam przeczytać dokumentów?

– Nie, nie mógłbyś. Wszystko to byłaby dla ciebie chińszczyzna. Podziękuj niebiosom, że masz bystrego syna, który potrafi wyciągnąć istotę z tych papierów i zaserwować ją w taki sposób, że będzie strawna. W całej Anglii nie ma nawet dziesięciu ludzi, którzy potrafiliby opowiedzieć historię tej kobiety tak, jak ja to potrafię. To dar, staruszku, z rodzaju tych, którymi mało kto może się pochwalić, a mieści się on tutaj.

Chytrze poklepał się w czoło i zwrócił się ku pierwszej stronie leżącego przed nim rękopisu z nieskrywanym triumfem na myśl o zademonstrowaniu własnego sprytu, który stanowił pierwszy wyraz jakiegokolwiek autentycznego uczucia, jakim do tej pory się zdradził.

– Historia panny Gwilt zaczyna się – odezwał się Bashwood młodszy – na rynku w Thorpe Ambrose. Pewnego dnia, około ćwierć wieku temu, wędrowny znachor, który obok leków handlował wyrobami kosmetycznymi, przyjechał do miasteczka swoim wozem i pokazywał, jako żywy przykład cudownego działania swoich

płukanek, olejków do włosów i tak dalej, śliczną, małą dziewczynkę o pięknej cerze i wspaniałych włosach. Jego nazwisko brzmiało Oldershaw. Miał żonę, która pomagała mu w kosmetycznej części interesu i która sama prowadziła ją po śmierci męża. W ostatnich latach zrobiła karierę i jest ona tożsama z ową przebiegłą starszą damą, która nie tak dawno korzystała z moich usług. Co do ślicznej małej dziewczynki, dobrze wiesz, kim ona jest, podobnie jak ja. Kiedy znachor przemawiał do tłumu i pokazywał włosy dziecka, pewna młoda dama, przejeżdżająca przez rynek, zatrzymała powóz, aby sprawdzić, o co chodzi, i zobaczyła dziewczynkę, którą z miejsca sobie upodobała. Tą młodą damą była córka pana Blancharda z Thorpe Ambrose. Wróciła do domu i zainteresowała ojca losem niewinnej, młodej ofiary znachora. Tego samego wieczoru Oldershawów sprowadzono do rezydencji i tam ich przesłuchano. Oświadczyli, że są jej wujem i ciotką, co było oczywiście kłamstwem i kiedy złożono im stosowną propozycję, zgodzili się pozwolić dziewczynce uczęszczać do wiejskiej szkoły podczas swojego pobytu w Thorpe Ambrose. Nowy plan został wprowadzony w życie następnego dnia, zaś kolejnego państwo Oldershaw zniknęli, zostawiając dziewczynkę na głowie dziedzica! Najwidoczniej nie sprawdziła się, reklamując ich produkty, i w ten sposób zdecydowali się zabezpieczyć jej przyszłość. Oto masz pierwszy akt dramatu. Jak na razie wszystko jasne, prawda?

– Wszystko jasne, Jemmy, dla bystrych ludzi. Ale ja jestem stary i myślę wolno. Nie rozumiem jednej rzeczy. Czyim była dzieckiem?

– Bardzo rozsądne pytanie. Przykro mi to powiedzieć, ale nikt nie zna na nie odpowiedzi, włącznie z samą panną Gwilt. Wskazówki, do których się odwołuję, są oparte, rzecz jasna, na jej własnych zeznaniach, przesłanych przez jej adwokata. Pytana o to, pamiętała tylko, że była bita i głodzona gdzieś na wsi przez kobietę, która brała na wychowanie cudze dzieci. Kobieta dostała wraz z nią kartkę, na której było napisane, że nazywa się Lydia Gwilt, i pobierała coroczny zasiłek na opiekę nad nią (płacony za pośrednictwem prawnika) do czasu, aż dziewczynka skończyła osiem lat. Wtedy też zasiłek się urwał. Prawnik nie potrafił tego wyjaśnić, nikt nie przyszedł zająć się dziewczynką, nikt nie napisał w jej sprawie. Zobaczyli ją Oldershawowie i pomyśleli, że może nadawać się do występów reklamujących

sprzedawane przez nich produkty. Kobieta odstąpiła ją na jakiś czas Oldershawom, a Oldershawowie odstąpili ją na dobre Blanchardom. Oto historia jej pochodzenia, paranteli i edukacji! Może być córką księcia, a może być córką przekupnia. Okoliczności mogą być wzniośle romantyczne albo całkowicie przyziemne. Wyobraź sobie, co ci pasuje, nic cię nie ogranicza. Kiedy już sobie wyobrazisz, powiedz słowo, a ja przewrócę stronicę i będę mówił dalej.

– Proszę, mów dalej, Jemmy, mów dalej.

– Następny rzut oka na pannę Gwilt – podjął Bashwood młodszy, przerzucając kartki – jest rzutem oka na tajemnicę rodzinną. Do porzuconego dziecka wreszcie uśmiechnęło się szczęście. Zyskała sympatię miłej, młodej damy, która miała bogatego ojca. Była rozpieszczana i hołubiona w rezydencji jako najnowsza zabawka panny Blanchard. Niedługo potem pan Blanchard wraz z córką wyjechali za granicę i wzięli ze sobą dziewczynkę jako małą pokojówkę panny Blanchard. Kiedy wrócili, okazało się, że w międzyczasie córka wyszła za mąż i owdowiała, zaś śliczna, mała pokojówka zamiast wrócić z nimi do Thorpe Ambrose, pokazała się nagle, całkiem sama, jako uczennica w szkole we Francji. To wszystkie szczegóły, które była skłonna podać prawnikowi redagującemu niniejsze wskazówki. Nie chciała powiedzieć, co wydarzyło się za granicą, a nawet, po tych wszystkich latach, nie chciała podać nazwiska po mężu swojej pani. Jest jasne, że znalazła się w posiadaniu jakiegoś sekretu rodzinnego i że Blanchardowie opłacili jej edukację na kontynencie, aby trzymała się od nich z daleka. Równie jasne jest, że nigdy nie dotrzymałaby tajemnicy, gdyby nie liczyła na to, że pewnego dnia zrobi z niej swój własny użytek. Już ci mówiłem, to sprytna kobieta! Diabelnie sprytna kobieta, która nie na darmo tułała się po świecie i nie na darmo widziała blaski i cienie życia w kraju i za granicą.

– Tak, tak, Jemmy, masz rację. Jak długo zatrzymała się w szkole we Francji?

Bashwood młodszy spojrział w papiery.

– Zatrzymała się we francuskiej szkole – odparł – aż do skończenia siedemnastu lat. W owym czasie w szkole wydarzyło się coś, co w dokumentach łagodnie określa się jako „nieprzyjemne zdarzenie”. Prawda jest taka, że związany z placówką nauczyciel muzyki zakochał się w pannie Gwilt. Był to szanowany mężczyzna

w średnim wieku, mąż i ojciec rodziny, który widząc, że sytuacja jest zupełnie beznadziejna, wziął pistolet i, pochopnie zakładając, że ma rozum w głowie, próbował go rozsadzić. Lekarz uratował mu życie, ale nie rozum: skończył tam, gdzie lepiej mu było od razu zacząć – w zakładzie dla psychicznie chorych. Jako że uroda panny Gwilt leżała u podstaw skandalu, było oczywiście niemożliwe, by – jakkolwiek nie można jej było nic zarzucić – pozostała w szkole po tym, co się stało. Skontaktowano się z jej „przyjaciółmi” (Blanchardami). A przyjaciele przenieśli ją do innej szkoły, tym razem w Brukseli... Nad czym tak wzdychasz? Co jest tym razem nie tak?

– Nie mogę nie współczuć lekko biednemu nauczycielowi muzyki, Jemmy. Mów dalej.

– Wedle jej własnej wersji, tato, zdaje się, że pannie Gwilt również nie był on obojętny. Przeszła poważną przemianę i została „nawrócona” (jak to się mówi) przez damę, która opiekowała się nią w okresie, zanim nie trafiła do szkoły w Brukseli. Ksiądz w belgijskiej szkole najwyraźniej był człowiekiem rozsądnym i spostrzegł, że uczucia religijne dziewczyny ulegają niebezpiecznemu pobudzeniu. Zanim zdołał ją uspokoić, zachorował i został zastąpiony przez innego księdza, który był fanatykiem. Zrozumiesz, jakim zainteresowaniem obdarzył dziewczynę i jak wpłynął na jej uczucia, gdy powiem, że po dwóch latach w szkole zadeklarowała, iż jej własną wolą jest spędzić resztę życia w klasztorze! Możesz wytrzeszczać oczy! Panna Gwilt w roli zakonnicy to kobiety fenomen, którego nie uświadczysz zbyt często.

– Poszła do klasztoru? – spytał pan Bashwood. – Pozwolili jej tam wstąpić, pozbawionej przyjaciół i tak młodej, niemającej nikogo, kto mógłby dobrze jej doradzić?

– Z czystej formalności skontaktowano się z Blanchardami – ciągnął Bashwood młodszy. – Jak możesz sobie łatwo wyobrazić, nie mieli nic przeciwko temu, żeby zamknęła się w klasztorze. Najprzyjemniejszy list, jaki kiedykolwiek od niej dostali, za co ręczę, to list, w którym uroczyście rozstaje się z nimi na zawsze na tym świecie. Natomiast siostry zakonne wołały być ostrożne z deklaracjami. Reguły nie pozwalały jej przywdziać habitu, nim nie spróbuje zakonnego życia przez rok,

a potem, w razie wątpliwości, przez kolejny. Próbowała takiego życia przez rok i wątpiła. Próbowała przez kolejny rok i tym razem była na tyle mądra, aby porzucić je bez dalszego wahania. Gdy ponownie znalazła się na wolności, jej położenie było dość trudne. Siostry zakonne przestały się nią interesować, przełożona szkoły odmówiła przyjęcia jej z powrotem jako nauczycielki, uzasadniając to tym, że jest zbyt ładna jak na to miejsce, ksiądz uznał ją za opętaną. Nie było innego wyjścia, jak ponownie napisać do Blanchardów i poprosić ich, aby pomogli jej zacząć życie na własny rachunek w roli samodzielnej nauczycielki muzyki. W związku z tym napisała do swojej byłej pani. Ta najwyraźniej wątpiła w szczerść postanowienia dziewczyny zostania zakonnice i wykorzystała okazję, jaką przedstawiało wstąpienie byłej pokojówki do klasztoru, aby uciąć z nią wszelkie kontakty. List panny Gwilt zwróciła jej poczta. Zasięgnęła języka i dowiedziała się, że pan Blanchard nie żyje, a jego córka opuściła rezydencję, udając się w nieznanne miejsce. Następną rzeczą, jaką zrobiła, było zwrócenie się do nowego dziedzica majątku. Na list odpowiedzieli radcy prawni, którzy mieli polecenie egzekwować prawo przy pierwszej podjętej przez nią próbie wyłudzenia pieniędzy od któregokolwiek z członków rodziny w Thorpe Ambrose. Ostatnią szansą było zdobyć adres miejsca pobytu jej dawnej pani. Bankierzy rodziny, do których się zwróciła, odpisali, że polecono im, aby nie podawali adresu pani żadnej osobie, której ta uprzednio do tego nie upoważni. Ostatni z listów zamykał sprawę – panna Gwilt nie mogła zrobić nic więcej. Gdyby miała do dyspozycji pieniądze, mogłaby pojechać do Anglii i zmusić Blanchardów, aby dwa razy się zastanowili, zanim będą za bardzo pewni siebie. Nie mając ani pół pensa, była bezradna. Możesz się zastanawiać, jak, nie mając pieniędzy i przyjaciół, utrzymywała się podczas wymiany korespondencji. Zarabiała, grając na fortepianie w małej sali koncertowej w Brukseli. Mężczyźni, rzecz jasna, oblegali ją ze wszystkich stron, ale ona pozostawała twarda jak gład. Jednym z odrzuconych dżentelmenów był Rosjanin i to przez niego poznała jego rodaczkę, której nazwisko jest niewymawialne dla ust Anglika. Nazwijmy ją więc jej tytułem – baronowa. Obie kobiety polubiły się od pierwszego spotkania i w życiu panny Gwilt został otwarty nowy rozdział. Stała się lektorką i damą do towarzystwa baronowej. Z wierzchu wszystko wyglądało ładnie. Pod spodem wszystko było zgniłe i zepsute.

– Pod jakim względem, Jemmy? Proszę, poczekaj chwilę i powiedz mi, pod jakim względem.

– Takim oto. Baronowa lubiła podróżować i miała wokół siebie wybrany krąg przyjaciół, którzy myśleli podobnie jak ona. Jeździli po Europie z miejsca na miejsce i byli tak czarującymi ludźmi, że wszędzie zyskiwali nowych znajomych. Znajomi byli zapraszani na przyjęcia do baronowej, gdzie nieodłącznym elementem umeblowania był karciany stół. Rozumiesz teraz? Czy muszę ci mówić, że gra w karty nie była uważana za grzeszną rozrywkę podczas tych wesołych spotkań i że pod koniec wieczoru okazywało się, że szczęście niemal niezmiennie sprzyja baronowej i jej przyjaciołom? Oszuści, wszyscy bez wyjątku. Nie mam wątpliwości, cokolwiek możesz sobie myśleć, że maniery i aparycja panny Gwilt czyniły z niej cenną część towarzystwa: występowała w roli przynęty. Ona sama twierdzi, że nie miała pojęcia o całym procederze, że zupełnie nie zna się na grze w karty, na całym świecie nie miała jednego przyzwoitego przyjaciela i że szczerze lubiła baronową z tego prostego powodu, że ta od początku do końca była jej serdeczną przyjaciółką. Możesz w to wierzyć albo nie, jak chcesz. Przez pięć lat jeździła po całej Europie z tymi szulerami, prowadząc światowe życie i, o ile wiem, może byłaby pośród nich po dziś dzień, gdyby w Neapolu baronowa nie trafiła na godnego siebie przeciwnika w postaci bogatego Anglika nazwiskiem Waldron. Oho, to imię coś ci mówi, nieprawdaż? Śledziłeś proces słynnej pani Waldron, jak cała reszta świata? I domyślasz się teraz bez mojej pomocy, kim jest panna Gwilt?

Urwał i w nagłym zdumieniu spojrzał na ojca. Pan Bashwood wydawał się daleki od bycia przytłoczonym odkryciem, którego właśnie dokonał. Po pierwszym naturalnym odruchu zdziwienia patrzył na syna z opanowaniem, które w obecnych okolicznościach było czymś niezwykłym. Jego oczy błyszczały nowym blaskiem, a twarz nabrała rumieńców. Coś takiego było trudne do pojęcia w przypadku człowieka znajdującego się w jego sytuacji; wydawał się zachęcony, nie zaś przygnębiony tym, co usłyszał.

– Mów dalej, Jemmy – powiedział cicho. – Jestem jednym z niewielu ludzi, którzy nie śledzili procesu. Tylko o nim słyszałem.

– Zawsze byłeś i zawsze będziesz nie na czasie – rzekł. – Jeśli chodzi o proces,

mogę ci powiedzieć o nim akurat tyle, ile potrzebujesz wiedzieć. W międzyczasie musimy wrócić do baronowej i pana Waldrona. Przez kilka nocy Anglik pozwalał szulerom robić, co chcieli. Innymi słowy, płacił za przywilej przypodobania się pannie Gwilt. Kiedy uważał już, że zrobił na niej właściwe wrażenie, bez litości obnażył cały spisek. Interweniowała policja, baronowa trafiła do więzienia, a panna Gwilt stanęła przed wyborem: albo przyjmie protekcję pana Waldrona, albo znów będzie musiała radzić sobie w świecie sama. Była niezwykle cnotliwa albo niezwykle sprytna, jak wolisz. Ku osłupieniu pana Waldrona oświadczyła, że nie boi się radzić sobie w świecie sama i że albo będzie traktował ją honorowo, albo musi zostawić na zawsze. Koniec tego jest taki jak wszędzie tam, gdzie mężczyzna jest zadurzony, a kobieta nieustępliwa. Ku zgorszeniu rodziny i przyjaciół pan Waldron, chcąc nie chcąc, ożenił się z nią.

– Ile miał lat? – zapytał z ożywieniem Bashwood starszy.

Bashwood młodszy wybuchnął śmiechem.

– Miał tyle lat, tatusiu, że mógłby być twoim synem, a był tak bogaty, że mógłby wypchać ten twój cenny pugilares tysiącfuntowymi banknotami! Nie zwieszaj głowy! Małżeństwo nie było szczęśliwe, pomimo że był taki młody i bogaty. Mieszkali za granicą i z początku żyli ze sobą dość dobrze. Rzecz jasna, gdy tylko się ożenił, sporządził nowy testament i pod subtelną presją miesiąca miodowego dobrze zabezpieczył żonę. Ale kobiety, jak inne rzeczy, zużywają się i pewnego dnia obudził się z wątpliwością, czy nie postąpił jak głupiec. Był człowiekiem kłótliwym, był z siebie niezadowolony i oczywiście dał to odczuć żonie. Najpierw się z nią kłócił, potem zaczął ją podejrzewać i stał się chorobliwie zazdrosny o każdą istotę płci męskiej, która przekraczała próg domu. Nie byli obciążeni dziećmi i przemieszczali się z miejsca na miejsce, tak jak gnała go zazdrość, aż w końcu, po niemal czterech latach małżeństwa, powrócili do Anglii. Pośród wrzosowisk hrabstwa York pan Waldron miał własny dom, stary i opuszczony. Tam też zaszył się wraz z żoną, nie dopuszczając w pobliże nikogo z wyjątkiem służby i psów. Traktowanie w ten sposób pełnej życia młodej kobiety mogło oczywiście skończyć się tylko jednym. Może to było przeznaczenie, a może przypadek, ale tam, gdzie kobieta jest zdesperowana, na pewno nawinie się mężczyzna, który to wykorzysta.

W tym wypadku mężczyzna był kimś w rodzaju „czarnego konia”, jak mawiają na wyścigach. Był to niejaki kapitan Manuel, z pochodzenia Kubańczyk i (według jego własnej relacji) były oficer marynarki hiszpańskiej. Spotkał piękną żonę pana Waldrona w jej drodze powrotnej do Anglii, znalazł sposób, aby porozmawiać z nią pomimo zazdrości męża i pojechał za nią do miejsca odosobnienia w domu pana Waldrona na wrzosowiskach. Kapitan jest opisywany jako sprytny, uparty człowiek – z rodzaju śmiałych zawadiaków – z delikatną nutką tajemnicy, która podoba się kobietom...

– Ona nie jest taka jak inne kobiety! – przerwał pan Bashwood, niespodziewanie wchodząc w słowo synowi. – Czy jej...?

Głos odmówił mu posłuszeństwa i urwał się w pół zdania.

– Czy jej podobał się kapitan? – podsunął Bashwood młodszy ze śmiechem. – Według jej relacji uwielbiała go. Jednocześnie jej zachowanie (zgodnie z tym, co mówiła) było jak najbardziej niewinne. Biorąc pod uwagę fakt, jak bacznie obserwował ją mąż, twierdzenie to (choć wydaje się niewiarygodne) jest zapewne prawdziwe. Przez około sześć tygodni ograniczali się do potajemnej wymiany listów po tym, jak kubański kapitan (który perfekcyjnie władał angielszczyzną w mowie i piśmie) zdołał zdobyć pośredniczkę w postaci jednej ze służących w domu na wrzosowiskach. Jak to się mogło skończyć, nad dociekaniem tego nie musimy się biedzić – pan Waldron we własnej osobie wywołał kryzys. Nie ma słowa o tym, czy odkrył potajemną korespondencję, czy nie. Jedno jest pewne: pewnego dnia wrócił z konnej przejażdżki w gorszym humorze niż zwykle, jego żona dała mu próbkę owej narowistości, której nigdy nie udało mu się stłamsić, i wszystko skończyło się tym, że zdzielił ją przez twarz szpicrutą. Niedźgentelmeńskie zachowanie, trzeba przyznać. Ale wszystko wskazywało na to, że szpicruta odniosła najbardziej nieoczekiwany skutek. Od tego czasu dama spotulniała jak baranek. Przez kolejne dwa tygodnie robił, co chciał, a ona nigdy nie wchodziła mu w drogę. Mówił, co chciał, a ona nie pisnęła słowa sprzeciwu. Może niektórzy podejrzewaliby, że pod tą nagłą przemianą kryje się coś groźnego. Czy pan Waldron zapatrywał się na to podobnie – tego nie wiem. Wiadomo tylko, że zanim ślad po szpicrucie zniknął z twarzy jego żony, zachorował, a dwa dni później był już nieboszczykiem. Co ty na

to?

– Twierdzą, że sobie na to zasłużył! – odparł pan Bashwood, w podnieceniu uderzając dłonią w stół, podczas gdy jego syn urwał i spojrział na niego.

– Lekarz, który przyszedł do umierającego, był innego zdania – zauważył Bashwood młodszy oschle. – Sprowadził dwóch innych medyków i wszyscy trzej odmówili stwierdzenia zgonu. Nastąpiło zwykłe dochodzenie. Zeznania lekarzy i służby nieubłaganie wskazywały na to samo i pani Waldron została postawiona w stan oskarżenia pod zarzutem otrucia męża. Z Londynu ściągnięto pierwszorzędnego adwokata specjalizującego się w prawie karnym, aby przygotować obronę aresztowanej i w wyniku tego powstały niniejsze „wskazówki”... O co chodzi? Czego chcesz tym razem?

Pan Bashwood nagle podniósł się z krzesła, pochylił nad stołem i próbował zabrać papiery synowi.

– Chcę je zobaczyć – wykrzyknął. – Chcę sprawdzić, co mówią o kapitanie z Kuby. To on stał za wszystkim, Jemmy, przysięgłbym, że to on stał za wszystkim!

– Nikt, kto w tamtym czasie znał sprawę, nie miał co do tego wątpliwości – odparł syn. – Ale nikt nie potrafił tego udowodnić. Usiądź, tato, i uspokój się. Nie ma tutaj nic na temat kapitana Manuela, jak tylko osobiste podejrzenia prawnika, którymi obrońca mógł się kierować, bądź nie, wedle uznania. Pani Waldron od początku do końca konsekwentnie osłaniała kapitana. Na początku dochodzenia z własnej inicjatywy oświadczyła prawnikowi dwie rzeczy, obie, jak podejrzewał, nieprawdziwe. Po pierwsze, stwierdziła, że jest niewinna. Oczywiście nie zdziwiło go to. Jego klienci z reguły zwykli byli oszukiwać go w ten sposób. Po drugie, choć przyznała się do potajemnej wymiany listów z kapitanem, oświadczyła, że listy obu stron odnosiły się wyłącznie do proponowanej ucieczki, na którą przystała z powodu okrutnego traktowania męża. Naturalnie prawnik zapytał o te listy. „On spalił wszystkie listy ode mnie, a ja wszystkie listy od niego”, usłyszał tylko. Całkiem możliwe, że kapitan Manuel spalił wszystkie listy od niej, gdy usłyszał, że w domu odbywa się badanie przyczyny zgonu. Ale z doświadczenia jej adwokata wynikało (podobnie jak wynika z mojego), że jeśli kobieta kocha mężczyznę, w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto zachowa jego listy, bez

względu na ryzyko. To sprawiło, że prawnik nabrał pewnych podejrzeń. Po cichu rozpytał się o kapitana i odkrył, że był on tak pozbawiony pieniędzy, jak tylko może być cudzoziemski kapitan. Jednocześnie zadał swojej klientce kilka pytań dotyczących jej oczekiwań finansowych po śmierci męża. Świącie oburzona odpowiedziała, że wśród dokumentów męża odnaleziony został testament spisany potajemnie zaledwie kilka dni przed śmiercią, który z całej ogromnej fortuny nie pozostawiał jej nic więcej jak pięć tysięcy funtów. „Czy istniał zatem starszy testament”, zapytał prawnik, „który został odwołany przez nowy?” Tak, był testament, który mąż dał jej do ręki, testament, który został sporządzony zaraz po ślubie. „Który zapewniał wdowie dobre zabezpieczenie finansowe?” Zapewniał dokładnie dziesięć razy więcej niż drugi testament. „Czy kiedykolwiek wspominała o tym pierwszym testamencie, teraz odwołanym, kapitanowi Manuelowi?” Dostrzegła zastawioną na nią pułapkę i odparła: „Nie, nigdy!” bez chwili wahania. Odpowiedź ta potwierdziła podejrzania prawnika. Próbował ją nastraszyć, mówiąc, że za próbę oszukania go w ten sposób może przyjdzie zapłacić jej życiem. Z właściwym kobietom uporem obstawała przy swoim. Kapitan ze swej strony zachował się w przykładowy sposób. Przyznał się do planowania ucieczki, zeznał, że po przeczytaniu spalił wszystkie listy damy w trosce o jej reputację, pozostał w okolicy i z własnej woli wystąpił przed sądem pokoju. Nie odkryto nic, co w sensie prawnym mogłoby go powiązać z morderstwem lub też zmusić do uczestniczenia w procesie w charakterze innym niż świadek. Ja sam nie wierzę w istnienie jakiejś moralnej wątpliwości (jak to się mówi), że Manuel wiedział o testamencie, który zostawiał jego kochance pięćdziesiąt tysięcy funtów i że w świetle tego był gotów poślubić ją po śmierci pana Waldrona. Jeśli ktokolwiek kusił ją wizją uwolnienia się od męża poprzez wdowieństwo, musiał to być kapitan. I o ile nie znalazła sposobu – bacznie strzeżona i obserwowana – na własnoręczne zdobycie trucizny, trucizna musiała przyjść w jednym z listów kapitana.

– Nie wierzę, że jej użyła, jeśli faktycznie przysłano jej truciznę! – zawołał pan Bashwood. – Myślę, że to sam kapitan otruił jej męża!

Bashwood młodszy, nie dostrzegając wtrącenia, złożył wskazówki dla obrony, które już spełniły swoją rolę, schował je z powrotem do torby i w ich miejsce

wyciągnął drukowaną broszurę.

– Oto jedno ze sprawozdań z procesu, które opublikowano – rzekł. – Możesz poczytać sobie do poduszki, jeśli chcesz. Nie traćmy teraz czasu na wdawanie się w szczegóły. Już ci mówiłem, jak sprytnie adwokat przedstawił oskarżenie o morderstwo jako koronną z wielu niedoli, które wcześniej spadły na niewinną kobietę. Dwa argumenty, na których opierała się obrona (po wstępnych ozdobnikach, które przytoczyłem) to: po pierwsze, nie było dowodów pozwalających połączyć ją z posiadaniem trucizny, a po drugie, biegli medycy, jakkolwiek stanowczo twierdzili, że jej mąż umarł z powodu otrucia, różnili się zdaniem co do tego, jaka konkretna substancja go zabiła. Oba argumenty były dobre i oba dobrze opracowane, ale dowody strony przeciwnej zmiażdżyły wszystko, co powiedziano wcześniej. Udowodniono, że oskarżona miała co najmniej trzy doskonałe powody, by zabić męża. Traktował ją z niemalże bezprzykładnym okrucieństwem, w testamencie (według jej wiedzy nieodwołalnym) zapisał jej majątek po śmierci, a ona, jak sama przyznała, rozważała ucieczkę z innym mężczyzną. Przedstawivszy te motywy, oskarżyciel następnie wykazał na podstawie dowodów, które w żadnym punkcie nie zostały podważone, że jedyną osobą w domu mogącą podać truciznę była aresztantka zasiadająca na ławie oskarżonych. Co mogli zrobić sędzia i ława przysięgłych wobec takich dowodów? Werdykt brzmiał oczywiście „winna”, a sędzia ogłosił, że się z nim zgadza. Żeńska część publiczności popadła w histerię, a męska nie była dużo lepsza. Sędzia zaszlochał, a ława oskarżonych zadrżała. Skazaniu pani Waldron na śmierć towarzyszyły sceny, których nigdy wcześniej nie oglądano w angielskim sądzie. A teraz oto skazana jest cała i zdrowa, może do woli intrygować i przy najbliższej sposobności otruć każdego mężczyznę, kobietę lub dziecko, jakie przypadkiem stanie jej na drodze. Bardzo ciekawa kobieta! Żyj z nią w przyjaźni, drogi panie, cokolwiek zrobisz, bowiem prawo powiedziało jej najbardziej otwarcie jak się da: „Moja urocza przyjaciółko, nic nie mogę ci zrobić!”.

– Jak ją ułaskawiono? – spytał pan Bashwood, dysząc z niecierpliwości. – Mówili mi wtedy, ale zapomniałem. Czy zrobił to minister spraw wewnętrznych? Jeśli tak, moje wyrazy uznania dla ministra! Twierdzę, że minister spraw wewnętrznych zasłużył sobie na to stanowisko.

– Masz całkowitą rację, staruszkule! – odparł Bashwood młodszy. – Minister spraw wewnętrznych był uniżonym sługą oświeconej wolnej prasy i zasłużył sobie na swoje stanowisko. Czy możliwe, żebyś nie wiedział, jak uniknęła stryczka? Jeśli nie wiesz, muszę ci powiedzieć. Wieczorem w dniu procesu dwóch czy trzech młodych, żadnych przygód literatów poszło do dwóch czy trzech redakcji gazet i napisało dwa czy trzy rozdzierające serce artykuły na pierwszą stronę na temat procesu sądowego. Następnego ranka opinia publiczna zawrzała i odbył się kolejny proces, tym razem przed amatorskim sądem na łamach gazet. Wszyscy, którzy nie mieli żadnego doświadczenia w temacie, chwycili za pióra i rzucili się (za uprzejmą zgodą redaktora) pisać artykuły do druku. Lekarze, którzy nie byli przy chorym i nie uczestniczyli w oględzinach zwłok, tuzinami twierdzili, że denat zmarł śmiercią naturalną. Adwokaci bez pracy, którzy nie słyszeli zeznań, atakowali ławę przysięgłych, która je słyszała, i sędzię, który zasiadał w ławie sędziowskiej, jeszcze zanim niektórzy z nich się urodzili. Opinia publiczna poszła za przykładem adwokatów i lekarzy oraz młodych literatów, od których wszystko się zaczęło. Oto prawo, któremu wszyscy płacą za ochronę, rzeczywiście wypełnia swój obowiązek śmiertelnie poważnie! Szokujące! Niebywałe! Brytyjska opinia publiczna jak jeden mąż zerwała się, aby wyrazić swój sprzeciw wobec działania swego własnego mechanizmu, zaś minister spraw wewnętrznych w rozterce udał się do sędziego. Sędzia nie ustępował. Swego czasu stwierdził, że werdykt jest słuszny, i nadal tak twierdzi. „Ale założmy”, powiada minister, „że oskarżyciel próbowałby w jakiś inny sposób udowodnić jej winę podczas procesu, co by pan wtedy zrobił?” Oczywiście odpowiedź na to pytanie była niemożliwa. To już na starcie podniosło na duchu ministra. A kiedy następnie uzyskał zgodę sędziego, aby sprzeczne dowody medyczne przedstawić jednemu znamienitemu lekarzowi i gdy lekarz ten wydał łaskawą opinię po tym, jak otwarcie powiedział, że praktycznie rzecz biorąc, nie zna istoty sprawy, minister spraw wewnętrznych był w pełni usatysfakcjonowany. Wyrok śmierci na panią Waldron trafił do kosza, wyrok prawa został cofnięty przy powszechnej aprobacie, a wyrok gazet zwyciężył. Ale najlepsze dopiero miało nadejść. Wiesz, co się stało, gdy ludzie nagle dostali do rąk ukochany obiekt swojego współczucia? Z miejsca zaczęła przeważać opinia, że pani Waldron nie jest

jednak na tyle niewinna, aby tak od razu wypuścić ją z więzienia! Niech pan ją lekko ukarze – oto, jakie było powszechne odczucie – nie pan ją lekko ukarze, panie ministrze, dla zasady. Wystarczy jakiś łagodny środek, jeśli nas pan kocha, a sprawa ta da nam spokój do końca naszych dni.

– Nie żartuj sobie z tego! – zawołał ojciec. – Nie, nie, nie, Jemmy! Czy sądzili ją ponownie? Nie mogli! Nie śmieli! Nikt nie może być sądzony dwa razy za to samo przestępstwo.

– Phi! Phi! Mogła być sądzona po raz drugi, ale za drugie przestępstwo – odparł Bashwood młodszy – i tak się stało. Na szczęście dla uspokojenia sumienia opinii publicznej skazana rzuciła się na oślep rekompensować sobie własne żale (jak to kobieta), kiedy odkryła, że jej mąż jednym pociągnięciem pióra zredukował jej spadek z pięćdziesięciu do pięciu tysięcy. Dzień przed dochodzeniem przyczyny zgonu odkryto, że zamykana na klucz szuflada stołu w garderobie pana Waldrona, która zawierała cenną biżuterię, została otwarta i opróżniona, a kiedy aresztowana została postawiona w stan oskarżenia przed sądem pokoju, wydarte z opraw kamienie szlachetne znaleziono zaszyte w jej gorsecie. Dama uważała, że przyznała sobie słuszną rekompensatę. Prawo orzekło, że jest to rabunek popełniony na wykonawcach testamentu nieboszczyka. Lżejsze przestępstwo, pominięte wtedy, gdy wysunięto wobec niej zarzut tak ciężki, jak morderstwo, było dokładnie tym, do czego należało powrócić, aby zachować pozory w oczach opinii publicznej. Wstrzymała ona działania wymiaru sprawiedliwości wobec oskarżonej w przypadku jednego procesu, a teraz chciała jedynie znów przywrócić jego działanie wobec niej w innym procesie! Pani Waldron została oskarżona o grabież po tym, jak ułaskawiono ją za morderstwo. Co więcej, gdyby jej uroda i niedole nie zrobiły tak silnego wrażenia na jej adwokacie, musiałyby nie tylko ponownie stanąć przed sądem, ale owe pięć tysięcy funtów, do których upoważniał ją drugi testament, przypadłoby, jako własność przestępcy, na rzecz Korony.

– Moje wyrazy uznania dla adwokata! Moje wyrazy podziwu! – zawołał pan Bashwood. – Chciałbym móc ucisnąć mu rękę i powiedzieć mu to osobiście.

– Nie podziękowałyby ci, gdybyś to zrobił – zauważył Bashwood młodszy. – Ma przyjemne wrażenie, że nikt prócz niego nie wie, jak udało mu się ocalić schedę pani

Waldron.

– Przepraszam, Jemmy – wtrącił ojciec. – Ale nie nazywaj jej panią Waldron. Nazywaj ją, proszę, nazwiskiem, które nosiła, kiedy była niewinna, młoda i chodziła do szkoły. Czy mógłbyś ze względu na mnie nazywać ją panną Gwilt?

– Czemu nie? Nie robi mi różnicy, jak ją będę nazywać. Do diabła z sentymentami! Mówmy dalej o faktach. Oto, co zrobił adwokat, zanim ruszył drugi proces. Powiedział jej, że znów z całą pewnością zostanie uznana za winną. „Tym razem”, rzekł, „opinia publiczna pozwoli wymiarowi sprawiedliwości działać. Czy ma pani jakiegoś starego przyjaciela, któremu może ufać?” Na całym świecie nie miała nikogo takiego. „Dobrze, zatem”, rzekł adwokat, „musi pani zaufać mnie. Niech pani podpisze ten papier, a dokona fikcyjnej sprzedaży całego swojego majątku mnie. Gdy przyjdzie pora, ja najpierw ostrożnie ułożę się z wykonawcami testamentu pani męża, a następnie przekażę pieniądze pani, dobrze je zabezpieczając (na wypadek gdyby kiedykolwiek wyszła pani ponownie za mąż) w pani własnym posiadaniu. W przypadku innych transakcji tego typu Korona często odstępuje od prawa do zakwestionowania ważności sprzedaży i o ile nie będzie ona dla pani surowsza niż dla innych, po wyjściu z więzienia będzie pani miała swoje pięć tysięcy, aby zacząć życie od nowa”. To miło ze strony adwokata podsunąć jej sposób, jak obrabować Koronę, podczas gdy miała być sądzona za obrabowanie wykonawców testamentu, czyż nie? Ha, ha! Co za świat!

Ten ostatni wysiłek syna, aby być sarkastycznym, umknął uwagi ojca.

– W więzieniu! – rzekł do siebie. – Po tym wszystkim, co przeszła, znów w więzieniu!

– Tak – powiedział Bashwood młodszy, wstając i przeciągając się. – Tak to się skończyło. Werdykt brzmiał „winna”, a skazana została w więzieniu na dwa lata. Odbyła karę i wyszła, o ile dobrze liczę, około trzy lata temu. Jeśli interesuje cię, co robiła po odzyskaniu wolności i jak jej się potem wiodło, będę mógł ci co nieco o tym powiedzieć, może przy innej okazji, kiedy będziesz miał w swoim pugilaresie dodatkowy banknot czy dwa. Na razie wiesz wszystko, co potrzebujesz wiedzieć. Nie ma cienia wątpliwości, że na tej fascynującej damie ciąży podwójny zarzut: morderstwa i kradzieży. Oto co dostajesz za swoje pieniądze, a dodatkowo dorzucam

za darmo mój wspaniały dar jasnego przedstawienia sprawy. Jeśli masz w sobie choć odrobinę wdzięczności, powinieneś któregoś dnia zrobić coś miłego dla syna. Gdyby nie ja, powiem ci, co byś zrobił, staruszk. Gdybyś mógł postawić na swoim, byłbyś się ożenił z panną Gwilt.

Pan Bashwood wstał i śmiało spojrzął synowi prosto w oczy.

– Gdybym mógł postawić na swoim – rzekł – ożeniłbym się z nią w tym momencie.

Bashwood młodszy cofnął się o krok.

– Po tym wszystkim, co ci powiedziałem? – zapytał w osłupieniu.

– Po tym wszystkim, co mi powiedziałaś.

– Wiedząc, że mógłbyś zostać otruty przy pierwszej okazji, gdy ją obrazisz?

– Wiedząc, że mógłbym zostać otruty – odparł pan Bashwood – w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Szpieg z prywatnego biura detektywistycznego opadł z powrotem na krzesło onieśmielony słowami i wyglądem ojca.

– Zbikował! – powiedział do siebie. – Doszczętnie zbikował, daję słowo!

Pan Bashwood spojrzął na zegarek i pośpiesznie zabrał kapelusz ze stolika.

– Chciałbym usłyszeć resztę historii – rzekł. – Chciałbym usłyszeć każde słowo, jakie masz mi o niej do powiedzenia, aż do końca. Ale czas, okropny czas, gna nieubłaganie. Z tego, co wiem, mogą lada chwila wziąć ślub.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Bashwood młodszy, stając pomiędzy ojcem a drzwiami.

– Jadę do hotelu – powiedział staruszek, próbując go wyminąć. – Spotkam się z panem Armadale'em.

– Po co?

– Żeby powtórzyć mu wszystko to, co mi powiedziałaś.

Udzieliwszy tej odpowiedzi, urwał. Potworny triumfalny uśmiech, który już raz pojawił się na jego twarzy, znów się ukazał.

– Pan Armadale jest młody, pan Armadale ma całe życie przed sobą – wyszeptał przebiegle, drżącymi palcami wczepiając się w ramię syna. – Co nie przeraża mnie,

przerazi jego!

– Poczekaj chwilę – rzekł Bashwood młodszy. – Jesteś zupełnie pewny, że tym mężczyzną jest pan Armadale?

– Jakim mężczyzną?

– Mężczyzną, który ma się z nią ożenić.

– Tak! Tak! Tak! Puść mnie, Jemmy... puść mnie.

Szpieg oparł się plecami o drzwi i przez chwilę się namyślał. Pan Armadale jest bogaty, pana Armadale'a (o ile on także doszczętnie nie zbzikował) można by skłonić, by właściwie zapłacił za informację, która uchroni go przed kompromitacją poślubienia panny Gwilt. „Do mojej kieszeni może trafić sto funtów, jeśli będę działał sam”, pomyślał Bashwood młodszy, „albo nic, jeśli zostawię to ojcu”. Podniósł kapelusz i skórzaną torbę.

– Czy możesz to wszystko powierzyć swojej starej, otępiełej głowie, tato? – zapytał ze swobodną impertynencją. – Nie ty! Pojadę z tobą i pomogę ci. Co ty na to?

Ojciec w uniesieniu rzucił się synowi na szyję.

– Nic na to nie poradzę, Jemmy – powiedział łamiącym się głosem. – Jesteś dla mnie taki dobry. Weź pozostały banknot, mój drogi... Dam sobie radę bez niego, weź pozostały banknot.

Syn z galanterią otworzył drzwi i wspaniałomyślnie odmówił przyjęcia oferowanego przez ojca pugilaresu.

– Do licha, staruszkule, nie jestem aż tak interesowny! – odezwał się, przybierając wyraz wzruszenia. – Schowaj swój pugilares i chodźmy!

„Gdybym zabrał ostatni pięćofuntowy banknot szanownemu rodzicielowi”, myślał, schodząc na dół, „jaką mam pewność, że nie zażąda połowy, kiedy przekona się, ile pieniędzy oferuje Armadale?”

– Chodź, tato! – podjął. – Weźmiemy dorożkę i złapiemy szczęśliwego pana młodego, zanim wyjedzie do kościoła!

Zatrzymał dorożkę na ulicy i ruszyli w kierunku hotelu, w którym zamieszkali Allan i Midwinter w czasie pobytu w Londynie. Gdy tylko zamknęły się drzwi

powozu, pan Bashwood powrócił do tematu panny Gwilt.

– Powiedz mi resztę – rzekł, ujmując dłoń syna i poklepując ją czule. – Rozmawiajmy o niej przez całą drogę do hotelu. Pomóż mi wytrzymać tę drogę, Jemmy, pomóż mi wytrzymać ten czas.

Bashwood młodszy był ożywiony perspektywą zobaczenia pieniędzy Armadale'a. Do ostatka igrał z niepokojem ojca.

– Przekonajmy się, czy pamiętasz to, co już ci powiedziałem – zaczął. – Jest w tej historii pewna postać, która zniknęła z niej bez wyjaśnienia. Proszę! Możesz mi powiedzieć, o kogo chodzi?

Liczył na to, że ojciec nie będzie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Ale jeśli chodziło o to, co dotyczyło panny Gwilt, pamięć pana Bashwooda był równie jasna i bystra jak pamięć syna.

– O tego cudzoziemskiego łajdaka, który ją uwiódł i pozwolił się osłaniać kosztem jej własnego życia – odparł bez chwili wahania. – Nie wspominaj o nim, Jemmy, nigdy więcej o nim nie wspominaj!

– Muszę o nim wspomnieć – odparł tamten. – Chcesz wiedzieć, co się stało z panną Gwilt, kiedy wyszła z więzienia, prawda? Znakomicie, mogę ci powiedzieć. Została panią Manuel. Nie ma co wytrzeszczać oczu, staruszkę. Wiem to oficjalnie. Pod koniec zeszłego roku przyszła do nas pewna cudzoziemska dama mająca dowody na to, że zgodnie z prawem wyszła za mąż za kapitana Manuela we wcześniejszym okresie jego życia, kiedy odwiedził Anglię po raz pierwszy. Dopiero niedawno odkryła, że znów znalazł się w kraju, i miała podstawy, by sądzić, że poślubił inną kobietę w Szkocji. Nasi ludzie dostali zlecenie przeprowadzenia śledztwa. Porównanie dat wykazało, że szkockie małżeństwo – jeśli to w ogóle było małżeństwo, a nie blaga – zostało zawarte mniej więcej akurat w tym samym czasie, gdy panna Gwilt wyszła na wolność. A dalsze śledztwo dowiodło, że drugą panią Manuel był nie kto inny jak bohaterka słynnego procesu, która, jak teraz wiemy, to twoja fascynująca przyjaciółka, panna Gwilt.

Pan Bashwood spuścił głowę na piersi. Zacisnął drżące dłonie jedna w drugiej i w napięciu czekał na dalszy ciąg.

– Rozchmurz się! – ciągnął syn. – Była tak samo żoną kapitana jak ty, a poza tym kapitan nie stoi ci już na drodze. Pewnego mglistego, grudniowego dnia w zeszłym roku wymknął nam się i uciekł do Europy, nikt dokładnie nie wie gdzie. Wydał całe pięć tysięcy drugiego z kolei rocznego dochodu pani Manuel pomiędzy drugim a trzecim rokiem od jej wyjścia z więzienia i zastanawialiśmy się, skąd miał pieniądze na pokrycie wydatków związanych z podróżą. Okazało się, że dostał je od samej pani Manuel. Napełniła jego puste kieszenie i czekała cierpliwie w lichym londyńskim mieszkaniu, aż do niej napisze i aż będzie mogła dołączyć do niego, gdy tylko bezpiecznie osiadzie w odległych krainach! Skąd miała pieniądze, zapytasz pewnie. Nikt wtedy tego nie wiedział. Teraz wydaje mi się, że jej dawna pani musiała nadal żyć i że panna Gwilt zrobiła w końcu dobry użytek z wiedzy o tajemnicy rodzinnej Blanchardów. To tylko domysły, rzecz jasna, ale pewna okoliczność wskazuje na to, że te domysły mogą być prawdziwe. W owym czasie mogła się zwrócić do starszej przyjaciółki, która była najwłaściwszą osobą, by pomóc jej wywęszyć adres dawnej pani. Potrafisz zgadnąć, jak nazywała się ta starsza przyjaciółka? Nie ty! Pani Oldershaw, naturalnie!

Pan Bashwood nagle podniósł wzrok.

– Dlaczego miałyby wracać – spytał – do kobiety, która porzuciła ją, gdy była dzieckiem?

– Nie potrafię powiedzieć – odparł syn – chyba że wróciła dla dobra swoich zachwycających włosów. Więzienne nożyczki, jak chyba nie muszę ci mówić, szybko rozprawiły się z zalotnymi lokami panny Gwilt, a pani Oldershaw, jak chciałbym dodać, jest najwybitniejszą kobietą w Anglii, jeśli chodzi o przywracanie blasku sfatygowanym czuprynom i twarzom płci pięknej. Skojarz oba fakty, a zapewne zgodzisz się ze mną, że to ma sens.

– Tak, tak, to ma sens – odparł niecierpliwie ojciec. – Ale chcę wiedzieć coś innego. Czy on jeszcze do niej napisał? Czy przysłał po nią, po tym jak wyjechał w dalekie strony?

– Kapitan? Co ty sobie wyobrażasz? Czy nie wydał ostatniego szeląga z jej pieniędzy? I czy nie był wolny na kontynencie poza jej zasięgiem? Czekala na list od niego. Ośmielałam się twierdzić, że nadal mu wierzyła. Ale założę się, o co chcesz, że

nigdy więcej nie zobaczyła jego pisma. W biurze robiliśmy, co mogli, by otworzyć jej oczy. Powiedzieliśmy otwarcie, że miał pierwszą żonę, która nadal żyła, i że ona sama nie mogła sobie do niego rościć żadnych praw. Nie chciała nam wierzyć, mimo że przedstawiliśmy jej dowody. Uparta, diabelnie uparta. Myślę, że musiały minąć całe miesiące, nim wreszcie straciła resztki nadziei, że znów go zobaczy.

Pan Bashwood szybko uciekł wzrokiem za okno dorożki.

– Gdzie następnie mogła się schronić? – powiedział nie do syna, lecz do samego siebie. – Co, na Boga, mogła zrobić?

– Na tyle, na ile znam kobiety – zauważył Bashwood młodszy, usłyszawszy te słowa – powiedziałbym, że zapewne próbowała się utopić. Ale znowu, to tylko domysły: wszystko to domysły, jeśli chodzi o tę część historii. Kiedy dochodzimy do poczynań panny Gwilt wiosną i latem tego roku, ślad się urywa. Mogła być na tyle zdesperowana, by podjąć próbę samobójczą, albo i nie. Podobnie mogła, albo i nie, kryć się za śledztwem, które prowadziłem na zlecenie pani Oldershaw. Śmiem twierdzić, że spotkasz ją tego ranka i może, jeśli użyjesz swojego wpływu, przekonasz, aby sama dokończyła swoją historię.

Pan Bashwood, który nadal wyglądał za okno dorożki, nagle położył dłoń na ramieniu syna.

– Ciii! Ciii! – zawołał wzburzony. – Nareszcie jesteśmy na miejscu. Och, Jemmy, zobacz, jak mi serce bije! Przed nami hotel!

– Do diabła z twoim sercem – rzekł Bashwood młodszy. – Zaczekaj tutaj, a ja pójdę się czegoś dowiedzieć.

– Pójdę z tobą! – wykrzyknął ojciec. – Nie mogę czekać! Powtarzam ci, nie mogę czekać!

Razem weszli do hotelu i zapytali o pana Armadale'a.

Po chwili wahania i zwłoki padła odpowiedź, że pan Armadale wyjechał sześć dni wcześniej. Drugi kelner dodał, że przyjaciel pana Armadale'a, pan Midwinter, wyjechał dopiero tego ranka. Dokąd pojechał pan Armadale? Gdzieś na wieś. Dokąd pojechał pan Midwinter? Tego nie wie nikt.

Pan Bashwood spojrział na syna w niemym i bezradnym przerażeniu.

– Bzdury! – rzekł Bashwood młodszy, szorstko wpychając ojca z powrotem do dorożki. – Gdzieś na pewno jest. Znajdziemy go u panny Gwilt.

Staruszek wziął syna za rękę i pocałował ją.

– Dziękuję ci, kochany – powiedział z wdzięcznością. – Dziękuję ci za to, że dodasz mi otuchy.

Dorożka zajechała następnie pod drugi adres, pod którym mieszkała panna Gwilt, w pobliżu Tottenham Court Road.

– Zostań tu – rzekł szpieg, wysiadając i zamykając ojca w dorożce. – Tę część roboty załatwię sam.

Zapukał do drzwi domu.

– Mam wiadomość dla panny Gwilt – powiedział, wchodząc do przejścia, gdy tylko drzwi się otworzyły.

– Nie ma jej – odparł służący. – Wyjechała wczoraj wieczorem.

Bashwood młodszy nie tracił więcej słów na rozmowę ze służącym. Nalegał na widzenie się z właścicielką. Właścicielka potwierdziła, że panna Gwilt wyjechała poprzedniego wieczoru. Dokąd się udała? Kobieta nie potrafiła odpowiedzieć. W jaki sposób wyjechała? Poszła pieszo. O której godzinie? Między dziewiątą a dziesiątą. Co zrobiła z bagażami? Nie miała bagaży. Czy poprzedniego dnia odwiedzał ją jakiś dżentelmen? Ani żywa dusza nie przyszła odwiedzić panny Gwilt.

Gdy syn schodził po schodach domu, z okna dorożki wyglądała blada i oszalała twarz ojca.

– Nie ma jej tam, Jemmy? – spytał słabym głosem. – Nie ma jej tam?

– Cicho bądź – zawołał szpieg, pozwalając wreszcie dojść do głosu swojemu wrodzonemu grubiaństwu. – Jeszcze nie skończyłem.

Przeszedł przez ulicę i wszedł do kawiarni leżącej dokładnie naprzeciwko domu, z którego przed chwilą wyszedł.

W łoży najbliższej okna siedziało dwóch mężczyzn, rozprawiając o czymś ze wzburzeniem.

Bashwood młodszy przysiadł się do nich i nieznoszącym sprzeciwu tonem zapytał szybko po cichu:

– Który z was miał dyżur wczoraj wieczorem między dziewiątą a dziesiątą?
– Ja, proszę pana – powiedział jeden z mężczyzn z ociąganiem.
– Czy spuściłeś dom z oczu? Tak! Widzę, że tak...
– Tylko na minutę, sir. Wszedł jakiś przeklęty żołdak...
– Wystarczy – rzekł Bashwood młodszy. – Wiem, co zrobił żołdak i kto go przysłał. Znów nam się wymknęła. Jesteś największym osłem na świecie. Możesz się uważać za zwolnionego.

Po tych słowach, dodatkowo podkreślonych przekleństwem, wyszedł z kawiarni i wrócił do dorożki.

– Uciekła! – zawołał ojciec. – Och, Jemmy, Jemmy, widzę to w twojej twarzy!

Rzucił się w swój kąt dorożki z cichym, zawodzącym płaczem.

– Są już małżeństwem – wyjęczał sam do siebie.

Zdawał się nie zauważać, że kapelusz spadł mu z głowy. Ręce osunęły mu się bezwładnie na kolana.

– Zatrzymaj ich! – wykrzyknął, podnosząc się nagle i w szale łapiąc syna za kołnierz płaszcza.

– Wracaj do hotelu! – zawołał Bashwood młodszy do dorożkarza. – Bądź cicho!
– dodał, wściekle rzucając się na ojca. – Chcę pomyśleć.

Pozory delikatności całkiem już z niego opadły. Był rozjuszony. Jego duma – bo nawet taki człowiek jak on ma swoją dumę! – została zraniona do żywego. Dwa razy mierzył się z kobietą na spryt i dwa razy kobieta wyprowadziła go w pole.

Dotarłszy do hotelu po raz drugi, wysiadł i po kryjomu próbował przekupić służbę pieniędzmi. Wyniki eksperymentu upewniły go, że tym razem naprawdę nie mieli żadnych informacji na sprzedaż. Po chwili namysłu zatrzymał się przed wyjściem z hotelu, aby zapytać o drogę do kościoła parafialnego. „Może warto spróbować”, pomyślał, podając adres dorożkarzowi.

– Szybciej! – krzyknął, rzucając okiem najpierw na zegarek, a potem na ojca. – Dziś rano liczy się każda minuta, a stary zaczyna nie dawać rady.

Była to prawda. Nadal zdolny słyszeć i rozumieć, pan Bashwood do tego czasu zdążył jednak zaniemówić. Obiema rękami przywarł do niechętnego ramienia syna

i pozwolił głowie bezradnie opaść na jego bark.

Kościół parafialny stał w pewnym oddaleniu od ulicy, ogrodzony płotem i otoczony otwartym terenem. Wyzwoliwszy się z więzów ojca, Bashwood młodszy udał się prosto do zakrystii. Jedynymi osobami, które zobaczył, kiedy wszedł do środka i poprosił o pozwolenie, aby zobaczyć wpisy w księdze małżeństw z tego dnia, byli urzędnik odkładający księgi i jego asystent odwieszający komżę.

Urzędnik z powagą otworzył księgę i odsunął się od biurka, na którym leżała.

W księdze pod tą datą widniały trzy śluby zawarte rano, a dwa pierwsze podpisy na stronie złożyli Allan Armadale i Lydia Gwilt.

Nawet szpieg, choć był nieświadomy prawdy i nie podejrzewał potwornych przyszłych skutków, do których mogło prowadzić wydarzenie tego pranka – nawet on zadrżał, gdy jego wzrok padł na kartę księgi. Stało się! Choćby nie wiem co, stało się. Oto czarno na białym miał przed sobą urzędowy dowód małżeństwa, który był jednocześnie sam w sobie prawdą i kłamstwem pod względem wniosku, do którego prowadził! Oto za sprawą feralnej zbieżności nazwisk, potwierdzony podpisem samego Midwintera, znajdował się dowód zdolny przekonać każdego, że to nie Midwinter, a Allan jest mężem panny Gwilt!

Bashwood młodszy zamknął księgę i zwrócił ją urzędnikowi. Zszedł po stopniach zakrystii z rękami wciśniętymi zawzięcie w kieszenie, porażony ciosem, jakiego doznała jego zawodowa ambicja.

Pod murem kościoła natknął się na woźnego. Przez chwilę zastanawiał się, czy warto wydać szylinga na wybadanie go, i zdecydował, że tak. Jeśli nowożeńców da się odnaleźć i dogonić, może jeszcze nie wszystko stracone.

– Jak dawno temu – zapytał – wyjechała pierwsza para, która się dziś pobrała?

– Około godzinę temu – odrzekł woźny.

– Czym odjechali?

Woźny zaczekał z odpowiedzią na pytanie, dopóki najpierw nie zainkasował opłaty.

– Nie znajdzie ich pan, sir – powiedział, gdy dostał swojego szylinga. – Poszli pieszo.

– To wszystko, co wiesz?

– Tak, proszę pana, to wszystko, co wiem.

Zostawszy sam, nawet detektyw z prywatnego biura detektywistycznego przystanął na chwilę, nim powrócił do ojca czekającego przy bramie. Z zamyślenia wyrwało go nagle pojawienie się na terenie otaczającym kościół dorożkarza.

– Obawiam się, że starszego pana trzeba zabrać do lekarza, sir – powiedział.

Bashwood młodszy ze złością zmarszczył czoło i wrócił do dorożki. Gdy otworzył drzwi i zajrzał do środka, jego ojciec nachylił się i spojrzał mu w oczy. Jego wargi poruszały się bezgłośnie, a cała reszta twarzy tkwiła w bladym bezruchu.

– Przechytrzyła nas – powiedział szpieg. – Dziś rano wzięli tutaj ślub.

Ciało staruszka przez moment zachwiało się z boku na bok. Zaraz potem powieki mu opadły, a głowa runęła naprzód w kierunku przedniego siedzenia dorożki.

– Jedź do szpitala! – zawołał syn. – Ma atak. Oto czym się kończy zapominanie o sobie w imię zadowolenia ojca – wymamrotał, podnosząc głowę pana Bashwooda i rozluźniając mu fular. – Ładnie mi się zaczyna dzień pracy, nie ma co!

Szpital był blisko, a szpitalny chirurg na stanowisku.

– Wyjdzie z tego? – zapytał szorstko Bashwood młodszy.

– Kim pan jest? – zapytał z kolei ostro lekarz.

– Jestem jego synem.

– Nie pomyślałbym – odparł lekarz, biorąc od pielęgniarki sole trzeźwiące i odwracając się od syna w kierunku ojca z ulgą, której nie próbował ukrywać.

– Tak – dodał po jakiejś minucie – pański ojciec tym razem z tego wyjdzie.

– Kiedy będzie można go stąd zabrać?

– Za godzinę lub dwie.

Szpieg położył na stole kartkę.

– Przyjadę albo poślę po niego – rzekł. – Chyba mogę już iść, jeśli zostawię nazwisko i adres?

Po tych słowach włożył kapelusz i wyszedł.

– Jest draniem! – odezwała się pielęgniarka.

– Nie – powiedział cicho lekarz. – Jest człowiekiem.

Tego wieczoru między dziewiątą a dziesiątą pan Bashwood obudził się w swoim łóżku w gospodzie w Borough. Po tym, jak przywieziono go ze szpitala, spał przez kilka godzin, a teraz jego umysł i ciało z wolna wracały do siebie.

Na stoliku obok łóżka paliła się świeca i czekał na niego list. Był on napisany pismem jego syna, a zawierał te słowa:

„Drogi Tato!

Po tym, jak bezpiecznie odebrałem Cię ze szpitala i zawiozłem do hotelu, myślę, że mogę śmiało powiedzieć, iż spełniłem swój obowiązek wobec Ciebie i mogę zająć się własnymi sprawami. Zobowiązania zawodowe nie pozwolą mi odwiedzić Cię dziś wieczorem, nie wydaje mi się też, bym miał być w pobliżu jutro rano. Radzę Ci wrócić do Thorpe Ambrose i zająć się pracą w biurze zarządcy. Gdziekolwiek jest teraz pan Armadale, wcześniej czy później będzie musiał napisać do Ciebie w interesach. Od tej chwili, jeśli o mnie chodzi, umywam ręce od całej sprawy. Ale jeśli chciałbyś dalej ją prowadzić, moja fachowa opinia jest taka, że choć nie zdołałeś zapobiec jego małżeństwu, możesz jeszcze doprowadzić do rozstania z żoną.

Proszę, uważaj na siebie.

Twój kochający syn,
James Bashwood”.

List wypadł z wątpliwych rąk staruszka. „Szkoda, że Jemmy nie może odwiedzić mnie dziś wieczór”, pomyślał. „Ale bardzo to miło z jego strony, że mi doradził”.

Z wysiłkiem przewrócił się na poduszce i ponownie przeczytał list.

– Tak – powiedział – nie pozostaje mi nic innego, jak wracać. Jestem za biedny i za stary, aby gonić ich sam.

Zamknął oczy. Łzy wolno pociekły mu po pomarszczonych policzkach.

– Sprawilem kłopot Jemmy’emu – wymamrotał słabym głosem. – Obawiam się, że sprawilem spory kłopot biednemu Jemmy’emu!

W minutę później ogarnęła go słabość i znowu zasnął.

Zegar na wieży pobliskiego kościoła wybił godzinę. Była dziesiąta. Podczas gdy dzwon dzwonił, pociąg wiozący Midwintera i jego żonę z każdą chwilą zbliżał się do Paryża. W tym samym czasie wachta na pokładzie wyruszającego w morze jachtu Allana dostrzegła światło latarni na Land's End i obrała kurs na wysepkę Ouessant oraz przylądek Finisterre.

KONIEC KSIĘGI TRZECIEJ

KSIĘGA CZWARTA

I. DZIENNIK PANNY GWILT

Neapol, 10 października

Dziś mijają dwa miesiące od czasu, gdy ogłosiłam, że zamykam dziennik na zawsze.

Dlaczego złamałam postanowienie? Dlaczego powracam do tego sekretnego towarzysza moich najnieszczęśliwszych i najpodlejszych chwil? Ponieważ jestem bardziej samotna niż kiedykolwiek, chociaż mój mąż siedzi teraz i pisze w pokoju obok. Moja niedola jest niedolą kobiety i jeśli ma gdziekolwiek przemówić, przemówi na tych kartach – do mojego drugiego ja, jako że nie mam nikogo innego, kto by mnie wysłuchał.

Jakże szczęśliwa byłam w pierwszych dniach naszego małżeństwa i jak jego uszczęśliwiałam! Minęły zaledwie dwa miesiące i chwile te należą już do przeszłości! Próbuję przypomnieć sobie coś, co mogłam ze swej strony zrobić lub powiedzieć nie tak albo co on ze swojej strony mógł zrobić lub powiedzieć nie tak, i nie przychodzi mi do głowy nic, co byłoby niegodne mego męża lub mnie. Nie potrafię nawet wskazać dnia, gdy między nami po raz pierwszy powstał mur.

Mogłabym to znieść, gdybym kochała go mniej. Mogłabym przezwyciężyć ból spowodowany ochłodzeniem stosunków między nami, gdyby tylko okazywał zaszłą

w nim zmianę równie bezwzględnie, jak zrobiliby to inni mężczyźni.

Ale tak się nie stało i nigdy nie stanie. Zadawanie innym cierpienia nie leży w jego naturze. Nie wymyka mu się żadne ostre słowo ani spojrzenie. Jedynie w nocy, gdy słyszę, jak wzdycha przez sen i czasami nad ranem, gdy widzę, jak śni, wiem, jak beznadziejnie tracę miłość, którą niegdyś mnie darzył. Za dnia ukrywa to albo próbuje ukrywać ze względu na mnie. Jest chodzącą delikatnością i dobrocią, ale kiedy mnie całuje, nie wkłada w to serca jak dawniej, a jego ręka nic mi nie mówi, gdy mnie dotyka. Z dnia na dzień wydłużają się godziny, które spędza na tym swoim okropnym pisaniu, i z dnia na dzień staje się coraz bardziej milczący w godzinach poświęconych mnie.

A jednak pomimo tego wszystkiego nie ma nic, na co mogłabym się uskarżać, nic dość wyraźnego, abym mogła to uchwycić. Jego rozczarowanie unika otwartej manifestacji, a jego rezygnacja narasta tak niedostrzegalnie, że proces ten umyka nawet mojej uwadze. Pięćdziesiąt razy na dzień mam ochotę zarzucić mu ramiona na szyję i powiedzieć: „Na miłość boską, zrób ze mną cokolwiek, ale nie traktuj mnie tak!” i pięćdziesiąt razy na dzień słowa więzną mi w gardle na wspomnienie o okrutnej delikatności jego postępowania, która nie daje mi wymówki, aby z nim porozmawiać. Myślałam, że poczułam najdotkliwszy ból, kiedy mój pierwszy mąż smagnął mnie szpicrutą po twarzy. Myślałam, że zesłam na samo dno rozpacz, gdy ten drugi łajdak, jeszcze gorszy, mnie porzucił. Uczymy się przez całe życie. Istnieje dotkliwszy ból niż ten, który zadała mi szpicruta Waldrona, i czarniejsza rozpacz niż ta, którą poczułam, gdy porzucił mnie Manuel.

Czyżbym była dla niego za stara? Oczywiście, że jeszcze nie! Czyżbym straciła swoją urodę? Nie ma takiego mężczyzny, którego wzrok, gdy mijam mnie na ulicy, nie powiedziałby mi, że jestem piękna jak zawsze.

Ach, nie, nie, tajemnica tkwi głębiej! Roztrząsałam to na okrągło, aż opanowała mnie straszna myśl. On w przeszłości był szlachetny i dobry, a ja byłam nikczemna i zhańbiona. Któż przewidzi, jak wielką przepaść, o której nie będzie wiedział ani on, ani ja, może otworzyć pomiędzy nami ta okropna różnica? To głupstwo, to szaleństwo, ale kiedy leżę obok niego w bezsennej noc, zastanawiam się, czy w obecnej bliskości między nami nie wymyka mi się czasem mimowolnie prawda.

Czy istnieje jakieś niewidzialne piętno, które odcisnęła na mnie przeszłość, a które nadal mnie znaczy? I czy on czuje jego wpływ – w sposób namacalny, a jednak niewytłumaczalny dla siebie? Ojej! Czy miłość taka jak moja nie ma oczyszczającej mocy? Czy moja dawna nikczemność pozostawiła na moim sercu plamy, których nie zdoła zmyć późniejszy żal?

Kto to wie? W naszym małżeństwie dzieje się coś złego – do tego tylko mogę wrócić. Istnieje jakaś nieprzychylna siła, której ani on, ani ja nie możemy wytropić, a która z dnia na dzień coraz bardziej nas rozdziela. Cóż! Chyba z czasem zobojętnieję i nauczę się z tym żyć.

Pod moim oknem właśnie przejechał otwarty powóz z ładnie ubraną damą w środku. U boku miała męża, a dzieci siedziały naprzeciwko. Właśnie kiedy ją zobaczyłam, śmiała się i rozmawiała z uciechą – żywa, beztroska, szczęśliwa kobieta. Ach, moja damo, kiedy byłaś o kilka lat młodsza, gdybyś tylko została pozostawiona sama sobie i rzucona na pastwę losu jak ja...

11 października. Jedenastego dwa miesiące temu był nasz ślub. Nic o tym nie wspomniał, kiedy się obudziliśmy, i ja też nie. Ale pomyślałam, że przy śniadaniu wykorzystam to jako okazję, aby na powrót go zdobyć.

Chyba jeszcze nigdy wcześniej nie zrobiłam tak starannej toalety i chyba jeszcze nigdy nie wyglądałam lepiej, niż gdy schodziłam dziś rano na śniadanie. Zdążył już zjeść śniadanie sam, a na stole zastałam tylko karteczkę z przeprosinami. Dziś ma odjechać poczta do Anglii, a on musi skończyć list do gazety. Ja na jego miejscu wolałabym, aby odjechało pięćdziesiąt pocztylionów, niż żebym miała zjeść śniadanie bez niego. Poszłam do jego pokoju. Siedział cały pochłonięty swoim wstrętnym pisaniem! „Czy nie mógłbyś poświęcić mi dziś rano trochę czasu?“, spytałam. Zerwał się zdziwiony. „Oczywiście, jeśli tego chcesz“. Nawet na mnie nie spojrzał, mówiąc to. Już samo brzmienie jego głosu powiedziało mi, że jego uwaga skupiona była na piórze, które właśnie odłożył. „Widzę, że jesteś zajęty“, rzekłam. „Nie chcę tego“. Zanim zdążyłam zamknąć za sobą drzwi, siedział z powrotem przy biurku. Często słyszałam, że żony pisarzy są w większości nieszczęśliwe. Teraz wiem dlaczego.

Zapewne, tak jak wczoraj napisałam, nauczę się z tym żyć. (Tak na marginesie,

co za rzeczy powypisywałam wczoraj! Jakże byłoby mi wstyd, gdyby ktoś oprócz mnie to zobaczył!) Mam nadzieję, że ta tandetna gazeta, do której pisze, nie zdobędzie powodzenia! Mam nadzieję, że ten jego bzdurny list zostanie zmiażdżony przez jakąś inną gazetę, gdy tylko ukaże się drukiem!

Co mam ze sobą począć przez cały ranek? Nie mogę wyjść z domu, bo pada. Jeśli otworzę pianino, będę przeszkadzać pilnemu dziennikarzowi, który gryzmoli w drugim pokoju. Och, Boże, czułam się samotna w moim mieszkaniu w Thorpe Ambrose, ale o ile bardziej samotna jestem tutaj! Może powinnam poczytać? Nie, książki mnie nie interesują. Nienawidzę całego rodu pisarzy. Chyba przejrzę te strony wstecz i wrócę do czasów, gdy snułam plany i intrygi i o każdej porze dnia znajdowałam sobie nową podniętę, która mnie zajmowała.

Mógł na mnie spojrzeć, choć był tak zajęty pisaniem. Mógł przynajmniej powiedzieć: „Jak ładnie jesteś dziś ubrana!”. Mógł pamiętać – mniejsza o to, o czym! Jedyne, o czym pamięta, to gazeta.

Dwunasta. Czytałam i rozmyślałam i dzięki mojemu dziennikowi przetrwałam godzinę.

Co to były za czasy, co to było za życie w Thorpe Ambrose! Dziwię się, że nie postradałam zmysłów. Samo czytanie o tym wystarczy teraz, by serce biło mi szybciej, a policzki pałały!

Deszcz nadal pada, a dziennikarz nadal gryzmoli. Nie chcę na nowo wracać do dawnych myśli. A jednak cóż innego mi zostało?

Założmy, ale tylko założmy, że czułabym się teraz tak, jak czułam się, jadąc do Londynu z Armadale'em, i gdy widziałam swój cel, jakim było pozbawienie go życia, równie jasno jak przez całą drogę widziałam jego samego...

Pójdę i wyjrzę przez okno. Pójdę i policzę ludzi, którzy przechodzą ulicą.

Właśnie przeszedł kondukt pogrzebowy: żałobnicy w czarnych kapturach, woskowe pochodnie syczące w wilgotnym powietrzu, dzwoniące dzwoneczki i księża zawodzący swój jednostajny psalm. Przyjemny widok z okna! Wracam do mojego dziennika.

Założmy, że nie byłabym zmienioną kobietą, jaką jestem – powtarzam, założmy

tylko – jak wyglądałoby teraz wielkie ryzyko, które kiedyś myślałam podjąć? Poślubiłam Midwintera, przyjmując jego prawdziwe nazwisko. A robiąc to, postawiłam pierwszy z owych trzech kroków, które kiedyś miały mnie doprowadzić poprzez śmierć Armadale’a do majątku i pozycji wdowy po nim. Niezależnie od tego, jak niewinne były moje zamiary w dniu ślubu – a były niewinne – oto jeden z nieodwracalnych skutków małżeństwa. No więc, skoro już postawiłam pierwszy krok, jak – zakładając, że miałabym postawić drugi, czego nie zamierzam – jak sprzyjałyby mi obecne okoliczności? Ciekawe, czy ostrzegałyby mnie, ażeby się wycofać? Czy raczej zachęcałyby, by iść dalej?

Ocena szans na powodzenie będzie dla mnie czymś zajmującym, a kartkę mogę łatwo wyrwać i zniszczyć, jeśli perspektywa będzie zbyt nęcąca.

Mieszkamy tutaj (ze względów ekonomicznych) daleko od drogiej angielskiej dzielnicy, na przedmieściach od strony Portici. W podróży nie zawarliśmy żadnych znajomości z naszymi rodakami. Nasze ubóstwo działa na naszą niekorzyść, nieśmiałość Midwintera działa na naszą niekorzyść i (w przypadku kobiet) mój wygląd działa na naszą niekorzyść. Ludzie, od których mój mąż zdobywa informacje do gazety, spotykają się z nim w kawiarni i nigdy tu nie zagląдают. Odwodzę go od zapraszania nieznanomych na spotkania ze mną, ponieważ, choć minęły lata, odkąd ostatnim razem byłam w Neapolu, nie mam pewności, czy nadal nie żyją niektóre z wielu osób, które tu kiedyś znałam. Morał wynika z tego taki (jak piszą w bajkach), że do tego domu nie wszedł ani jeden świadek, który w razie przyszłego dochodzenia w Anglii mógłby oświadczyć, że Midwinter i ja mieszkaliśmy tu jako mąż i żona. To tyle, jeśli chodzi o dotyczące mnie obecne okoliczności.

Następnie Armadale. Czy jakiś nieprzewidziany wypadek sprawił, że skontaktował się z Thorpe Ambrose? Czy złamał warunek, jaki narzucił mu major, i dał się poznać jako narzeczony panny Milroy od czasu, gdy po raz ostatni go spotkałam?

Nic takiego nie miało miejsca. Żaden nieprzewidziany wypadek nie zmienił jego sytuacji – kuszącej sytuacji – względem mnie. Wiem o wszystkim, co przydarzyło mu się od wyjazdu z Anglii, dzięki listom, które pisze do Midwintera, a które Midwinter mi pokazuje.

Zacznijmy od tego, że jego łódź się rozbiła. Ten tandetny, mały jacht faktycznie próbował go utopić, ale nie udało mu się! Stało się to (tak jak Midwinter ostrzegał go, że może się stać z tak małą jednostką) w czasie nagłego sztormu. Zostali zepchnięci na ląd u wybrzeży Portugalii. Jacht poszedł w drzazgi, ale ludzie, dokumenty i tak dalej ocaleli. Załoga została odesłana z powrotem do Bristolu z referencjami od pana, które zapewniły jej zatrudnienie na wypływającym w morze statku. Sam pan jest w drodze tutaj, po tym jak najpierw zatrzymał się w Lizbonie, następnie na Gibraltarze, w obu miejscach bezskutecznie próbując zaopatrzyć się w nową jednostkę. Trzecia próba ma mieć miejsce w Neapolu, gdzie znajduje się angielski jacht „unieruchomiony”, jak to się mówi, który można kupić lub wynająć. Od czasu rozbicia się nie miał okazji napisać do domu, ponieważ wypłacił z banku całą okrągłą sumę ulokowanych tam pieniędzy w akredytywach okrężnych. Sam również nie jest skłonny wracać do Anglii. Odkąd pan Brock nie żyje, panna Milroy jest w szkole, a Midwinter tutaj, nie ma tam ani jednej bliskiej osoby, która z radością powitałaby go w razie powrotu. Obecnie jego jedyne dwa cele to spotkać się z nami i zobaczyć nowy jacht. Midwinter oczekuje go już od tygodnia i z tego, co wiem, może w każdej chwili wejść do pokoju, w którym piszę te słowa.

Co za kuszące okoliczności, biorąc pod uwagę żywą pamięć o całym złu, jakie wycierpiałam z rąk jego matki i jego, pannę Milroy, która tylko czeka, aby zająć miejsce pani w jego domu, na zawsze rozwiane marzenie o szczęśliwym i niewinnym życiu u boku Midwintera i fakt, że w jego miejsce nie pojawia się nic, co pomogłoby mi obronić się przed samą sobą. Szkoda, że pada. Chciałabym wyjść.

Może zdarzy się coś, co przeszkodzi Armadale'owi w dotarciu do Neapolu? Kiedy pisał ostatnim razem, czekał na Gibraltarze na angielski parowiec służący w żegludze śródziemnomorskiej, który ma go tu przywieźć. Może się znudzi czekaniem na parowiec, a może dowie się o jakimś innym jachcie gdzie indziej. Coś mi mówi, że jeśli nie dotrzyma umówionego spotkania z nami w Neapolu, może to być najrozsądniejsza rzecz, jaką zrobi w swoim życiu.

Czy mam wyrwać kartkę, na której zapisałam te wszystkie wstrząsające rzeczy? Nie. Mój dziennik jest tak ładnie oprawiony, że byłoby barbarzyństwem wrywać z niego kartki. Lepiej zajmę się bezpiecznie czymś innym. Ale czym? Mój neseser –

uporządkuję mój neseser i wypoleruję kilka drobiazgów, których nie odebrały mi moje niedole.

Ponownie zamknęłam neseser. Pierwszą rzeczą, jaką w nim znalazłam, był brzydki prezent ślubny od Armadale'a – tandetny pierścionek z rubinem. To już od początku mnie rozdrażniło. Drugą rzeczą, jaka wpadła mi w ręce, była moja buteleczka z kroplami. Złapałam się na tym, że odmierzam wzrokiem dawki i obliczam, ile z nich wystarczyłoby, aby przenieść żywą istotę z krainy snu do krainy śmierci. Nie wiem, dlaczego zamknęłam w przerażeniu neseser, zanim skończyłam obliczenia, ale go zamknęłam. I oto znów siedzę nad dziennikiem, nie mając nic, ale to nic do napisania. Och, ten nużący dzień! Czy w tym okropnym miejscu nie zdarzy się nic, co by mnie rozerwało?

12 października. Największej wagi list Midwintera do gazety został nadany pocztą wczoraj wieczorem. Byłam na tyle głupia, by sądzić, że dziś mąż raczy mnie obdarzyć swoją uwagą. Nic podobnego! Po tym całym pisaniu miał niespokojną noc, wstał z bólem głowy i przygnębiony. Kiedy znajduje się w tym stanie, jego ulubionym lekarstwem jest powrót do dawnych włóczęgowskich nawyków i samotne wałęsanie się nie wiadomo gdzie. Dziś rano dla formalności (wiedząc, że nie mam jeździeckich nawyków) zaproponował, że wynajmie dla mnie jakiegoś nędznego kulawego kucyka, w razie gdybym chciała mu towarzyszyć! Wolałam zostać w domu. Albo będę miała porządnego konia i porządny strój do jazdy, albo w ogóle nie będę jeździć. Odszedł, nie próbując nawet mnie przekonać, abym zmieniła zdanie. I tak bym go nie zmieniła, rzecz jasna, ale mógł przynajmniej spróbować.

Pod jego nieobecność mogę otworzyć pianino – to jedyna pociecha. I jestem w dobrym nastroju do gry – to druga. Jest pewna sonata Beethovena (zapomniałam numeru), która zawsze przywodzi mi na myśl katusze dusz potępionych w miejscu wiecznej męki. Chodźcie, moje palce, i zabierzcie mnie tego ranka pomiędzy dusze potępione!

13 października. Nasze okna wychodzą na morze. Dziś w południe zobaczyliśmy, jak przypląwa parowiec pod angielską banderą. Midwinter poszedł do portu w nadziei, że może to być statek z Gibraltaru, wiozący Armadale'a.

Druga po południu. To jest właśnie statek z Gibraltaru. Armadale dodał jeszcze

jeden do długiej listy swoich błędów: dotrzymał obietnicy, że dołączy do nas w Neapolu.

Jak to się teraz skończy?

Kto to wie?

16 października. W moim dzienniku brakuje dwóch dni! Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak się stało, chyba że to Armadale drażni mnie nie do zniesienia. Sam jego widok wystarczy, by przenieść mnie do Thorpe Ambrose. Wydaje mi się, że chyba bałam się tego, co mogłabym o nim napisać przez ostatnie dwa dni, gdybym oddała się niebezpiecznej przyjemności otwarcia tych stron.

Dziś rano nie boję się niczego i dlatego ponownie sięgam po pióro.

Zastanawiam się, czy istnieje jakaś granica prymitywnej głupoty niektórych mężczyzn. Wydawało mi się, że odkryłam granicę Armadale'a, kiedy byłam jego sąsiadką w Norfolk, ale moje późniejsze doświadczenia w Neapolu pokazują, że się myliłam. Ciągłe nas nawiedza (przypląwa łodzią przez zatokę z hotelu w Santa Lucia) i ma dokładnie dwa tematy do rozmowy: jacht będący na sprzedaż w miejscowym porcie i panna Milroy. Tak! Wybrał sobie mnie na powiernicę swojego wiernego przywiązania do córki majora! „Jak dobrze jest porozmawiać o tym z kobietą!” Oto wszystko, co uznał za stosowne powiedzieć, aby usprawiedliwić odwoływanie się do mojego zrozumienia – mojego zrozumienia! – w kwestii jego „ukochanej Neelie” pięćdziesiąt razy na dzień. Najwyraźniej jest przekonany (jeśli w ogóle przyszło mu to do głowy), że równie zupełnie jak on zapomniałam o tym, co między nami zaszło, kiedy byłam w Thorpe Ambrose. Tak kompletny brak najbardziej elementarnej wrażliwości i najzwyczajszego taktu w przypadku istoty, która wedle wszelkich znamion jest pokryta skórą, a nie sierścią, i która, o ile uszy mnie nie mylą, mówi, a nie ryczy, jest doprawdy czymś niewiarygodnym, kiedy się o tym pomyśli. Ale mimo wszystko to prawda. Wczoraj wieczorem posunął się do tego, że spytał mnie, ile setek funtów żona bogatego człowieka może wydać rocznie na stroje. „Proszę się nie ograniczać”, dodał idiota, wyszczerzając się nieznośnie. „Kiedy ją poślubię, Neelie będzie jedną z najlepiej ubranych kobiet w Anglii”. I to wszystko do mnie, po tym, jak miałam go u swych stóp, by potem stracić przez pannę Milroy! To do mnie, w sukni z alpaki i u boku

męża, który musi dorabiać pisaniem do gazet!

Może lepiej już nie będę się nad tym rozwodzić. Pomyślę i napiszę o czymś innym.

Jacht. W ramach wytchnienia od słuchania o pannie Milroy oświadczam, że jacht stojący w porcie jest dla mnie całkiem interesującym tematem! To piękny model, a jego kokpit (cokolwiek to jest) odznacza się tym, że jest zrobiony z mahoni. Ale obok tych zalet ma on, z drugiej strony, tę wadę, że jest stary, a załoga i kapitan dostali odprawę i zostali wysłani z powrotem do Anglii, co jest dodatkowo zasmucające. Mimo to, jeśli da się tu skompletować nową załogę z nowym kapitanem, tak piękne stworzenie (przy wszystkich jego wadach) jest nie do pogardzenia. Dobrym rozwiązaniem byłoby wynająć go na rejs i zobaczyć, jak się zachowuje. (Jeśli jest tego samego zdania co ja, jego zachowanie może zaskoczyć nowego pana!) Rejs ustali, jakie ma wady i jakich napraw faktycznie potrzebuje ze względu na tę niefortunną okoliczność, że ma już swoje lata. Potem będzie można zdecydować, czy kupić go od razu, czy nie. Tak wygląda rozmowa z Armadale'em, jeśli nie mówi o „ukochanej Neelie”. Midwinter zaś, który nie potrafi oderwać się od swojego pisania i znaleźć czasu dla żony, potrafi znaleźć całe godziny dla swojego przyjaciela i poświęcić je bez reszty mojemu nowemu nieodpartemu rywalowi, jakim jest nowy jacht.

Dziś już nie będę więcej pisać. Gdyby tak dystyngowanej damie jak ja wypadało odczuwać na całym ciele aż po czubki palców mrowienie jak u dzikiego zwierza, podejrzewałabym, że teraz właśnie znajduję się w tym stanie. Ale z moimi manierami i walorami towarzyskimi jest to, rzecz jasna, wykluczone. Wszyscy wiemy, że dama nie odczuwa pasji.

17 października. Poranny list do Midwintera od właścicieli niewolników – mam na myśli ludzi z londyńskiej gazety – który zaprzął go do jeszcze pilniejszej pracy. Wizyta Armadale'a w porze lunchu i kolejna w porze obiadu. Rozmowa przy lunchu o jachcie. Rozmowa przy obiedzie o pannie Milroy. W związku z tą młodą damą dostałam zaszczytu zaproszenia na jutrzejsze zakupy z Armadale'em na Toledo, aby pomóc mu wybrać kilka prezentów dla ukochanej. Nie naskoczyłam na niego, jedynie wymówiłam się. Czy słowa mogą wyrazić moje zdumienie własną

cierpliwością? Żadne słowa go nie wyrażą.

18 października. Armadale przyszedł dziś rano na śniadanie, aby złapać Midwintera, zanim odda się pracy.

Rozmowa o tym samym co wczoraj przy lunchu. Armadale ułożył się z agentem w sprawie czarteru jachtu. Agent (współczując mu zupełnej nieznajomości języka) pomógł znaleźć tłumacza, ale nie może pomóc w znalezieniu załogi. Tłumacz jest dobrze wychowany i pełen dobrych chęci, ale nie ma pojęcia o morzu. Niezbędna jest pomoc Midwintera. Armadale prosi go (a on się zgadza!), aby pracował ciężiej niż zwykle i znalazł dla niego czas. Kiedy znajdzie się już załogę, zalety i wady jednostki zostaną poddane próbie podczas rejsu na Sycylię, a Midwinter ma być obecny na pokładzie, aby wydać opinię. Wreszcie, kajutę dla dam oddaje się usłudze do dyspozycji żony Midwintera (w razie gdyby ta czuła się samotna). Wszystko to ustalono przy śniadaniu, a zwieńczone zostało jednym ze zgrabnych komplementów Armadale'a skierowanych do mnie: „Mam zamiar zabierać z sobą Neelie w rejsy, gdy zostanie moją żoną. A pani ma taki dobry gust, że będzie mi mogła wskazać wszystko, czego jeszcze brakuje w kajucie dla dam”.

Czy jeśli jedne kobiety sprowadzają na ten świat mężczyzn takich jak ten, to inne powinny pozwalać im żyć? To kwestia opinii. Ja uważam, że nie.

To, co doprowadza mnie do szału, to to, jak widzę, a widzę wyraźnie, że Midwinter w towarzystwie Armadale'a i w jego nowym jachcie szuka ucieczki ode mnie. Zawsze jest w lepszym nastroju, gdy Armadale tu przychodzi. Przy Armadale'u zapomina o mnie niemal równie całkowicie, jak zapomina o mnie przy pracy. A ja to znoszę! Co za wzorowa żona ze mnie, co za wspaniała chrześcijanka!

19 października. Nic nowego. To samo co wczoraj.

20 października. Jedna nowość. Midwinter cierpi na ból głowy o podłożu nerwowym i pracuje mimo to, aby znaleźć czas na wyjazd z przyjacielem.

21 października. Midwinter ma się gorzej. Jest zły, oszalały i nieprzystępny po dwóch złych nocach i dwóch dniach nieprzerwanej pracy. W każdych innych okolicznościach wzięłby pod uwagę sygnał ostrzegawczy i przerwał. Ale teraz nic go nie wzrusza. Nadal pracuje intensywnie jak zawsze, przez wzgląd na Allana. Jak

długo jeszcze starczy mi cierpliwości?

22 października. Ostatniej nocy oznaki, że Midwinter poddaje swój umysł próbie cięższej, niż jest w stanie znieść. Kiedy już udało mu się zasnąć, był okropnie niespokojny: jęczał, mówił przez sen i zgrzytał zębami. Z tego, co słyszałam, w pewnej chwili chyba śniły mu się czasy, gdy był chłopcem i wędrował po wsiach z tańczącymi psami. Kiedy indziej znów był uwięziony na całą noc na pokładzie wraku z Armadale'em. Nad ranem ucichł. Zasnęłam, a kiedy po chwili znów się obudziłam, zobaczyłam, że jestem sama. Pierwszy rzut oka upewnił mnie, że w garderobie Midwintera pali się światło. Wstałam cicho i poszłam na niego popatrzeć.

Siedział w wielkim, brzydkim, staromodnym fotelu, który kazałam przenieść do garderoby, gdy się tu wprowadziliśmy. Głowę miał odchyloną do tyłu, a jedna ręka zwisała bezwładnie przez poręcz fotela. Druga ręka leżała na jego kolanach. Podeszłam nieco bliżej i zauważyłam, że wycieńczenie zmogło go, gdy czytał lub pisał, bo na stole przed nim leżały książki, pióra, kałamarz i papier. Do czego potajemnie wstał o tak wczesnej porze? Przyjrzałam się bliżej kartkom na stole. Wszystkie były starannie złożone (tak jak zwykle je trzyma), z jednym wyjątkiem, a wyjątkiem tym był leżący na wierzchu otwarty list od pana Brocka.

Dokonawszy tego odkrycia, obejrzałam się na niego i po raz pierwszy zauważyłam inną kartkę, leżącą pod ręką, która spoczywała na kolanach. Nie dało się jej wyciągnąć, nie budząc go. Część otwartego rękopisu była jednak widoczna. Pochyliłam się, by sprawdzić, co oprócz listu pana Brocka wykradł się przeczytać i zrozumiałam na tyle, żeby stwierdzić, że jest to opis snu Allana.

To drugie odkrycie natychmiast sprawiło, że powróciłam do łóżka, mając poważny przedmiot rozważań.

Kiedy przemierzaliśmy Francję w drodze tutaj, nieśmiałość Midwintera jeden raz została przełamana przez bardzo miłego człowieka, irlandzkiego lekarza, którego spotkaliśmy w pociągu i który chętnie dotrzymywał nam towarzystwa przez cały dzień. Dowiedziawszy się, że Midwinter oddaje się pisaniu, nasz towarzysz podróży ostrzegł go, aby nie spędzał zbyt wielu godzin na raz za biurkiem. „Pańska twarz mówi mi więcej niż się panu wydaje”, rzekł doktor. „Jeśli będzie pan przemęczał

swój umysł, skutki odczuje pan wcześniej niż większość ludzi. Kiedy zobaczy pan, że nerwy płatają panu dziwne figle, nich pan nie lekceważy sygnałów ostrzegawczych i odłóż pióro”.

Po odkryciu, jakiego dokonałam ostatniej nocy w garderobie, wydaje się, że nerwy Midwintera zaczynają już uzasadniać opinię lekarza. Jeśli jednym z figli, jakie mu płatają, jest dręczenie go na nowo jego dawnymi zabobonnymi lękami, w naszym życiu niedługo nastąpi zmiana. Będę z ciekawością czekać na to, czy przekonanie, że my dwoje jesteśmy skazani na ściągnięcie na Armadale’a śmiertelnego niebezpieczeństwa, ponownie opanuje umysł Midwintera. Jeśli tak, wiem, co się zdarzy. Nie ruszy palcem, by pomóc przyjacielowi w znalezieniu załogi, i z pewnością nie będzie chciał popłynąć ani też mnie nie pozwoli popłynąć w próbny rejs z Armadale’em.

23 października. List pana Brocka najwyraźniej jeszcze nie stracił swego wpływu. Midwinter znów dziś pracuje i równie usilnie jak przedtem zabiega o czas wolny, który ma spędzić z przyjacielem.

Druga. Armadale jak zwykle u nas, pragnie wiedzieć, kiedy Midwinter będzie do jego dyspozycji. Na to pytanie na razie nie ma jednoznacznej odpowiedzi, wszystko zależy od tego, czy Midwinter będzie zdolny kontynuować pracę. Armadale usiadł rozczarowany. Ziewnął i wsadził swoje niezgrabne łapska do kieszeni. Wzięłam do ręki książkę. Drań nie zrozumiał, że chciałam zostać sama. Znów podjął nieznośny temat panny Milroy i wszystkich tych pięknych rzeczy, jakie będzie miała, kiedy się z nią ożeni. Własnego konia, własną bryczkę, własny piękny salon na piętrze rezydencji i tak dalej. Wszystko to, co sama mogłam kiedyś mieć, teraz będzie miała panna Milroy, jeśli jej na to pozwolę.

Szósta. Znowu nieśmiertelny Armadale! Pół godziny temu Midwinter wstał od swojego biurka, oszołomiony i wykończony. Usycham z tęsknoty za odrobiną muzyki, a wiem, że w teatrze grają *Normę*. Przyszło mi na myśl, że godzina lub dwie w operze mogą zrobić Midwinterowi dobrze, a przy okazji także i mnie, więc zaproponowałam: „Może weźmiemy łożę w San Carlo dziś wieczorem?”. Odrzekł apatycznym, znudzonym głosem, że nie stać go na wynajęcie łoża. Był przy tym Armadale, który jak zwykle nieznośnie potrząsnął swoją wypchaną sakiewką. „Mnie

za to stać, stary druhu, więc wychodzi na to samo”. Po tych słowach wziął kapelusz i podreptał na tych swoich słoniowatych nogach wziąć lożę. Patrzyłam za nim przez okno, jak szedł ulicą. „Wdowa po tobie z tysiąc dwustu funtami”, pomyślałam, „mogłaby wynajmować lożę w San Carlo, kiedy by miała ochotę, nie będąc nikomu dłużną”. Ten pustogłowy łajdak pogwizdywał w drodze do teatru i wielkodusznie rzucał srebrniaki każdemu żebrakowi, który za nim gonił”.

Północ. Wreszcie znowu jestem sama. Czy mam na tyle odwagi, aby opisać historię tego straszego wieczoru tak, jak się wydarzyła? Mam przynajmniej dość odwagi, by odwrócić stronę i spróbować.

II. CIĄG DALSZY DZIENNIKA

Poszliśmy do San Carlo. Głupota Armadale'a dała o sobie znać nawet w tak prostej kwestii, jak wybór łoży. Pomylił operę z dramatem i wybrał łożę blisko sceny, myśląc, że podczas występu muzycznego głównym celem widza jest widzieć twarze śpiewaków tak wyraźnie, jak to możliwe! Na szczęście dla naszych uszu pięknym pieśniom Belliniego towarzyszy w większości łagodny i delikatny akompaniament, inaczej orkiestra mogłaby nas ogłuszyć.

Z początku siedziałam w głębi łoży, poza zasięgiem wzroku, ponieważ nie mogłam być pewna, czy moi dawni przyjaciele z Neapolu nie będą obecni w teatrze. Jednak słodka muzyka stopniowo wywabiła mnie z kryjówki. Byłam tak zauroczona, że nieświadomie wychyliłam się i spojrzałam na scenę.

Moją nierozwagę uświadomiło mi odkrycie, które na chwilę dosłownie ścięło mi krew w żyłach. Jeden ze śpiewaków w chórze druidów, śpiewając wraz z innymi, cały czas wpatrywał się we mnie. Jego głowę skrywały długie, białe włosy, a dolna część twarzy była całkowicie zasłonięta spływającą na piersi białą brodą, jak przystało postaci. Ale oczy, którymi na mnie patrzył, były oczami jedyne go człowieka na ziemi, którego mam powody bać się znowu spotkać – Manuela!

Gdyby nie moje sole trzeźwiące, myślę, że straciłabym przytomność. Znów wycofałam się w cień. Nawet Armadale dostrzegł nagłą zmianę, jaka we mnie zaszła. Zapytał, podobnie jak Midwinter, czy dobrze się czuję. Odrzekłam, że zrobiło mi się gorąco, ale mam nadzieję, że wkrótce zrobi mi się lepiej, a następnie przechyliłam się do tyłu i próbowałam zebrać się na odwagę. Udało mi się na tyle odzyskać panowanie nad sobą, że zdołałam spojrzeć na scenę (nie pokazując się), kiedy ponownie pojawił się chór. On znów tam był! Jednak ku mojej niewysłowionej

uldze ani razu nie spojrział już w kierunku naszej łoży. Ta mile widziana obojętność z jego strony pomogła mi się upewnić, że byłam świadkiem jedynie niezwykle przypadkowego podobieństwa i niczego więcej. Po tym, jak spokojnie przemyślałam sprawę, nadal obstaję przy owym wniosku, ale byłabym dużo spokojniejsza, gdybym ujrzała twarz tego mężczyzny bez charakteryzacji, która nie pozwalała mi się jej przyjrzeć.

Kiedy po pierwszym akcie opadła kurtyna, przedstawiono nużący balet (zgodnie z nedorzecznym włoskim zwyczajem), zanim opera zaczęła się na nowo. Choć otrząsnęłam się już z pierwszego przerażenia, byłam zbyt wystraszona, aby czuć się w teatrze komfortowo. Obawiałam się różnych niemożliwych rzeczy i kiedy Midwinter oraz Armadale mnie o to zapytali, powiedziałam im, że nie czuję się na siłach zostać do końca przedstawienia.

Przy drzwiach teatru Armadale chciał się pożegnać. Jednak Midwinter, najwyraźniej bojąc się samotnego wieczoru ze mną, zaprosił go na kolację, jeśli nie będę miała nic przeciwko temu. Z konieczności zgodziłam się i wszyscy troje wróciliśmy tutaj.

Dziesięć minut wytchnienia we własnym pokoju (poparte odrobiną wody kolońskiej zmieszanej z wodą) postawiło mnie na nogi. Dołączyłam do mężczyzn przy stole. Przyjęli moje przeprosiny za to, że musieliśmy wcześniej opuścić operę, z uprzejmym zapewnieniem, że żaden z nich nie stracił niczego ze swojej przyjemności. Midwinter oświadczył, że był zbyt zmęczony, aby dbać o cokolwiek poza dwoma wielkimi dobrodziejstwami niedostępnymi w teatrze – ciszą i świeżym powietrzem. Armadale z nieznośną dumą Anglika z własnej ignorancji wszędzie tam, gdzie chodzi o sztukę, powiedział, że nie rozumiał niczego z przedstawienia. Największego zawodu, jak był uprzejmy dodać, doznałam ja, ponieważ najwyraźniej rozumiem i lubię zagraniczną muzykę. To typowe dla kobiet w ogóle. Jego najukochańsza mała Neelie...

Nie miałam ochoty być prześladowaną przez jego „ukochaną Neelie” po tym, co przeszłam w teatrze. Może sprawiło to podenerwowanie, a może woda kolońska uderzająca mi do głowy, ale na samą wzmiankę o dziewczynie zapłonęłam złością. Próbowałam zwrócić uwagę Armadale’a na kolację. Był bardzo zobowiązany, ale nie

miął apetytu na więcej. Zaproponowałam więc wino pochodzące z tego kraju, bo to wszystko, na co pozwala nam nasze ubóstwo. Znów był bardzo zobowiązany. W zagranicznych winach gustuje niewiele bardziej niż w zagranicznej muzyce, ale ponieważ go proszę, wypije moje zdrowie na staromodną modłę, życząc mi, abyśmy doczekali szczęśliwych czasów, gdy wszyscy znów spotkamy się w Thorpe Ambrose i gdy w rezydencji będzie mogła powitać mnie nowa pani.

Czy on oszalał, nieustannie postępując w ten sposób? Nie, jego twarz odpowiedziała za niego. Miał wrażenie, że jest dla mnie wyjątkowo miły.

Spojrzałam na Midwintera. Może gdyby i on spojrzał na mnie, dostrzegłby powód, aby zmienić temat rozmowy. Ale on siedział milcząco na krześle, przepracowany i rozdrażniony, ze wzrokiem wbitym w podłogę, rozmyślając.

Wstałam i podeszłam do okna. Armadale, do którego nadal nie docierała własna niezręczność, poszedł za mną. Gdybym była dość silna, aby wyrzucić go przez okno do morza, z pewnością bym to w tym momencie zrobiła. Nie mając jednak dość siły, patrzyłam uparcie na zatokę i dałam mu do zrozumienia, w najbardziej ogólny i prymitywny sposób, jaki wpadł mi do głowy, żeby sobie poszedł.

„Piękna noc, w sam raz na spacer”, rzekłam, „jeśli ma pan ochotę wrócić spacerem do hotelu”.

Wątpię, żeby mnie usłyszał. W każdym razie nie wywołałam w nim żadnej reakcji. Stał, gapiąc się z rozmarzeniem na księżyc i – naprawdę nie da się tego inaczej wyrazić – wydusił z siebie westchnienie. Miałam przecucie tego, co zaraz nastąpi, jeśli nie powstrzymam go, odzywając się jako pierwsza.

„Przy całej swojej miłości do Anglii”, rzekłam, „musi pan przyznać, że u nas w kraju nie ma takiego księżyca”.

Spojrzał na mnie bezmyślnie i wydusił kolejne westchnienie.

„Ciekawe, czy ta noc jest równie ładna w Anglii jak tutaj?”, powiedział. „Ciekawe, czy moja kochana dziewczynka patrzy teraz na księżyc i myśli o mnie?”

Dłużej nie mogłam już tego wytrzymać. Naskoczyłam na niego.

„Dobre nieba, panie Armadale!”, zawołałam. „Czy w tym ograniczonym światku, w którym pan żyje, jest tylko jeden temat wart rozmowy? Nie mogę już słuchać

o panie Milroy. Czy możemy pomówić o czymś innym?”

Jego wielka, szeroka, głupkowata twarz zaczerwieniła się aż po nasadę ohydnych, żółtych włosów. „Proszę mi wybaczyć”, wycedził z nadąsanym zdumieniem. „Nie przypuszczałem...” Urwał zmieszany i przeniósł wzrok na Midwintera. Zrozumiałam, co znaczyło to spojrzenie. „Nie przypuszczałem, że będzie zazdrosna o pannę Milroy, po tym, jak poślubiła ciebie!” Oto co powiedziała by Midwinterowi, gdybym zostawiła ich samych w pokoju!

Midwinter nas usłyszał. Zanim zdążyłam ponownie przemówić, zanim Armadale zdołał wyrzec kolejne słowo, on dokończył zdanie za przyjaciela, tonem, który słyszałam, i z wyrazem twarzy, który widziałam po raz pierwszy.

„Nie przypuszczałeś Allanie”, rzekł, „że damę można tak łatwo wyprowadzić z równowagi”.

Pierwsze słowa gorzkiej ironii, pierwszy surowy wyraz pogardy, jakie mnie z jego strony spotkały! A to wszystko za sprawą Armadale’a!

Nagle złość mi przeszła. W jej miejsce pojawiło się coś, co natychmiast mnie uspokoiło i kazało w milczeniu wyjść z pokoju.

Usiadłam samotnie w sypialni. Przez kilka minut oddawałam się rozmyśleniom, których wolę nie ubierać w słowa, nawet na tych sekretnych stronicach. Wstałam i otworzyłam... nieważne co. Przeszłam na tę stronę łóżka, na której śpi Midwinter, i wzięłam... nieważne, co wzięłam. Ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam przed wyjściem z pokoju, był rzut oka na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści, pora, o której Armadale zazwyczaj nas opuszcza. Natychmiast wróciłam do salonu i dołączyłam do obydwu mężczyzn.

Podeszłam do Armadale’a i powiedziałam przyjaźnie:

Nie! Po namyśle zdecydowałam, że nie napiszę, co do niego powiedziałam albo co zrobiłam później. Mam dość Armadale’a! Pojawia się w co drugim słowie, które piszę. Pominę to, co zdarzyło się w ciągu kolejnej godziny – pomiędzy dziesiątą trzydzieści a jedenastą trzydzieści – i podejmę opowieść w chwili, gdy Armadale nas opuścił. Czy mogę napisać, co miało miejsce pomiędzy Midwinterem a mną w naszym pokoju, jak tylko nasz gość wyszedł? Dlaczego i tym razem nie pominąć

tego, co się zdarzyło? Po co się niepokoić opisywaniem tego? Nie wiem! Po co w ogóle prowadzę dziennik? Dlaczego ongiś sprytny złodziej (w angielskiej gazecie) zatrzymał dokładnie to, co doprowadziło do jego skazania, w postaci spisu wszystkiego, co ukradł? Dlaczego nie jesteśmy skończenie rozsądni w tym, co robimy? Dlaczego nie mam się stale na baczności i nigdy nie zaprzeczam sama sobie jak zła postać w powieści? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Mniejsza o to dlaczego! Muszę opisać to, co zaszło dziś wieczorem pomiędzy mną a Midwinterem, ponieważ muszę. Istnieje powód, którego nikt nie potrafi wyjaśnić, nie wyłączając mnie samej.

Była jedenasta trzydzieści. Armadale już wyszedł. Włożyłam podomkę i właśnie usiadłam, aby uczesać włosy na noc, kiedy zaskoczyło mnie stuknięcie w drzwi i wszedł Midwinter.

Był przeraźliwie blady. Jego oczy patrzyły na mnie z wyrazem potwornej rozpacz. Nic nie powiedział, kiedy wyraziłam swoje zdziwienie jego przyjściem dużo wcześniej niż zwykle. Kiedy go o to zapytałam, nie chciał mi nawet powiedzieć, czy jest chory. Wskazując nieznoszącym sprzeciwu gestem na krzesło, z którego wstałam, gdy wszedł do pokoju, kazał mi z powrotem usiąść, a po chwili dodał: „Mam ci coś ważnego do powiedzenia”.

Pomyślałam o tym, co zrobiłam – albo nie, o tym, co próbowałam zrobić – w owej godzinie, jaka upłynęła pomiędzy dziesiątą trzydzieści a jedenastą trzydzieści, której nie odnotowałam w dzienniku, i naszedł mnie paniczny strach, którego wcześniej wcale nie czułam. Usiadłam, jak mi kazano, nie odzywając się do Midwintera i nie patrząc na niego.

Przeszedł się po pokoju, a potem podszedł i stanął nade mną.

„Jeśli przyjdzie tu jutro Allan”, zaczął, „i jeśli go spotkasz...”

Głos odmówił mu posłuszeństwa i zamilkł. W jego sercu był jakiś straszny żal, który próbował wziąć nad nim górę. Są jednak chwile, kiedy jego wola jest jak

żelaza. Ponownie przeszedł się po pokoju. Wrócił i znów nade mną stanął.

„Kiedy przyjdzie tu jutro Allan”, podjął, „wpuść go do mojego pokoju, jeśli będzie chciał się ze mną zobaczyć. Powiem mu, że nie dam rady skończyć pracy, jaką teraz mam na głowie, tak wcześnie, jak miał nadzieję, i że musi zatem znaleźć załogę jachtu bez pomocy z mojej strony. Jeśli rozczarowany zwróci się do ciebie, nie daj mu nadziei, że będę wolny na czas, aby mu pomóc, o ile zaczeka. Zachęć go, aby postarał się pozyskać najlepszą możliwą pomoc od nieznanomych i zabrał się do obsadzania jachtu bez dalszej zwłoki. Im więcej zajęć będzie go trzymało z dala od tego domu i im mniej będziesz go zachęcać do zostania tu, jeśli faktycznie się pojawi, tym bardziej będę zadowolony. Nie zapomnij o tym i nie zapomnij o jeszcze jednym poleceniu, które muszę ci teraz wydać. Kiedy jacht będzie już gotowy do wypłynięcia w morze i gdy Allan zaprosi nas na rejs, moim życzeniem jest, abyś stanowczo odmówiła udziału w nim. Będzie próbował skłonić cię do zmiany zdania, ponieważ ja z kolei odmówię rzecz jasna zostawienia cię samej w obcym domu i kraju. Bez względu na to, co powie, nie pozwól, aby coś skłoniło cię do zmiany decyzji. Odmów stanowczo i ostatecznie! Nalegam, odmów postawienia swojej nogi na nowym jachcie!”

Zakończył cicho i zdecydowanie, bez zacięć i bez oznak wahania czy ugodowości. Zdziwienie, jakie w innych okolicznościach mogłabym poczuć na dźwięk słów, którymi się do mnie zwrócił, pierzchnęło pod wpływem poczucia ulgi. Strach przed innymi słowami, których się spodziewałam z jego ust, ustąpił równie nagle, jak się pojawił. Znów mogłam na niego patrzeć, znów mogłam do niego mówić.

„Możesz na mnie polegać”, odrzekłam, „zrobię dokładnie to, co chcesz. Czy mam ci być posłuszna w ciemno? Czy też mogę znać powód niezwykłych poleceń, które mi wydałeś?”

Twarz mu spochmurniała i usiadł po drugiej stronie toaletki z ciężkim, beznadziejnym westchnieniem.

„Możesz znać powód”, rzekł, „jeśli chcesz”. Chwilę się zastanawiał. „Masz prawo znać powód”, podjął, „ponieważ dotyczy on samej ciebie”. Znów chwilę odczekał i znów podjął. „Mogę wytłumaczyć dziwne polecenie, jakie ci wydałem,

tylko w jeden sposób”, powiedział. „Muszę prosić cię, byś przypomniała sobie, co zdarzyło się w pokoju obok, zanim Allan wyszedł od nas dziś wieczorem”.

Spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, w którym mieszały się różne uczucia. W pewnej chwili pomyślałam, że jest mu mnie żal. W innej wydawało mi się, że raczej odczuwa wobec mnie strach. Znów zaczęłam się bać. Czekałam w milczeniu na to, co powie.

„Wiem, że ostatnio za ciężko pracowałem”, powiedział, „i że moje nerwy są bardzo nadwyrężone. Możliwe jest, że przy moim obecnym stanie nieświadomie źle odczytałem albo zniekształciłem sytuację, która faktycznie miała miejsce. Wyświadczysz mi przysługę, jeśli zweryfikujesz moją pamięć wydarzeń, porównując ją z własną. Jeśli moja wyobraźnia coś wyolbrzymi, jeśli moja pamięć gdzieś mnie zawiedzie, błagam, abys mi przerwała i powiedziała o tym”.

Opanowałam się na tyle, by spytać, o jakiej to sytuacji wspominał i w jaki sposób dotyczy ona mnie.

„Dotyczy ona ciebie w taki oto sposób”, rzekł. „Sytuacja, o której wspominam, zaczęła się od tego, że rozmawiałas z Allanem o panie Milroy w bardzo niegrzeczny, jak mi się wydało, i niecierpliwy sposób. Obawiam się, że ja ze swej strony odezwałem się z podobną irytacją i przepraszam za to, co powiedziałem pod wpływem chwilowego zdenerwowania. Wyszłaś z pokoju. Po krótkiej chwili znowu wróciłaś i w stosowny sposób przeprosiłaś Allana, co przyjął ze zwykłą sobie życzliwością i łagodnością. Kiedy to się działo, obje staliście obok stołu nakrytego do kolacji i Allan powrócił do rozmowy o neapolitańskim winie, która już wcześniej miała między wami miejsce. Powiedział, że sądzi, iż z czasem je polubi, i poprosił, by wolno mu było nalać sobie kolejny kieliszek wina, które stało na stole. Czy jak dotąd mam rację?

Słowa niemal zamarły mi na ustach, ale wyrzuciłam je z siebie i odparłam, że jak dotąd ma rację.

„Wyjęłaś Allanowi butelkę z ręki”, ciągnął. „Powiedziałaś przyjaźnie: »Wie pan, że tak naprawdę nie lubi wina, panie Armadale. Proszę pozwolić, że przyrządzę coś, co będzie bardziej w pana guście. Mam własny przepis na lemoniadę. Czy zechce pan ją wypróbować?«. W tych słowach złożyłaś mu propozycję, a on ją przyjął. Czy

poprosił również, by wolno mu było popatrzeć i nauczyć się, jak przyrządza się lemoniadę? I czy odpowiedziałaś mu, że tylko by cię zmieszał i że dasz mu przepis na piśmie, jeśli będzie chciał?”

Tym razem słowa naprawdę zamarły mi na ustach. Byłam tylko w stanie skinąć głową i tym sposobem wyrazić milczącą zgodę. Midwinter ciągnął dalej:

„Allan zaśmiał się i podszedł do okna popatrzeć na zatokę, a ja z nim. Po chwili wesoło zauważył, że na sam odgłos nalewanych przez ciebie płynów odczuwa pragnienie. Skoro to powiedział, odszedłem od okna. Podszedłem do ciebie i powiedziałem, że przyrządzenie lemoniady zajęło dużo czasu. Kiedy znów odchodziłem, dotknęłaś mnie i podałaś mi wypełnioną po brzegi szklankę. W tej samej chwili Allan odwrócił się od okna i z kolei ja podałem mu szklankę. Czy jak dotąd pojawił się jakiś błąd?”

Szybkie bicie serca niemal mnie dławiło. Potrząsnęłam głową – tylko tyle mogłam zrobić.

„Zobaczyłem, jak Allan podnosi szklankę do ust. Widziałaś to? Zobaczyłem, że jego twarz robi się w jednej chwili biała. A ty? Zobaczyłem, jak szklanka wypada mu z ręki na podłogę. Zobaczyłem, jak się zatacza, i załapałem go, zanim upadł. Czy to wszystko prawda? Na miłość boską, wyteż pamięć i powiedz – czy to wszystko prawda?”

Zdało mi się, że na jedną chwilę bicie mojego serca ustało. W następnej krew we mnie zawrzała. Zerwałam się na równe nogi, wściekła, niepomna na konsekwencje, gotowa powiedzieć wszystko.

„Twoje pytania stanowią zniewagę! Twoje spojrzenia stanowią zniewagę!”, wybuchnęłam. „Myślisz, że próbowałam go otruć?”

Słowa te wyrwały mi się mimochodem. Były to ostatnie słowa, jakie kobieta w sytuacji takiej jak moja powinna była powiedzieć. A jednak je powiedziałam!

Wstał zaniepokojony i podał mi moje sole trzeźwiące. „Ciii! Ciii!”, powiedział. „Ty też jesteś wyczerpana nerwowo, ty też jesteś nadmiernie podniecona wszystkim, co się dziś zdarzyło. Mówisz niestworzone rzeczy. Dobry Boże! Jak mogłaś tak zupełnie mnie nie zrozumieć? Proszę, uspokój się”.

Równie dobrze mógł powiedzieć dzikiemu zwierzęciu, aby się uspokoiło. Po tym, jak był na tyle szalony, aby wypowiedzieć te słowa, ja z kolei okazałam się na tyle szalona, aby powrócić do tematu lemoniady pomimo jego próśb, bym zachowała milczenie.

„Powiedziałam ci, co wlałam do szklanki, gdy tylko pan Armadale stracił przytomność”, ciągnęłam, uparcie się broniąc, podczas gdy nie przypuszczono na mnie żadnego ataku. „Powiedziałam ci, że wzięłam butelkę brandy, którą trzymasz przy łóżku, i dodałam trochę zawartości do lemoniady. Skąd mogłam wiedzieć, że odczuwa chorobliwy wstręt do zapachu i smaku brandy? Czy sam mi nie powiedział, gdy odzyskał przytomność: »To moja wina, powinienem był panią uprzedzić, by nie dodawać brandy«? Czy później nie przypomniał ci, jak byliście razem na Wyspie Man i tamtejszy lekarz niechcący popełnił ten sam błąd co ja dziś wieczorem?”

(Położyłam szczególny nacisk na moją niewinność – nie bez powodu. Czymkolwiek jestem, szczycę się tym, że nie jestem hipokrytką. Byłam niewinna – jeśli chodzi o brandy. Dodałam jej do lemoniady, będąc całkowicie nieświadoma nerwowego dziwactwa Armadale’a, aby zatrzeć smak... nieważne czego! Kolejną rzeczą, jaką się szczycę, jest to, że nigdy nie odbiegam od tematu. To, co Midwinter następnie powiedział, jest tym, o czym powinnam teraz pisać).

Przyglądał mi się przez chwilę, jak gdyby myślał, że postradałam zmysły. Potem przeszedł na moją stronę toaletki i znów nade mną stanął.

„Jeśli nic innego nie jest w stanie cię przekonać, że zupełnie błędnie odczytujesz moje motywy”, powiedział, „i że nie mam na celu cię winić – przeczytaj to”.

Z kieszeni na piersi surduta wyjął kartkę i rozłożył ją przede mną. Był to opis snu Allana.

W jednej chwili cały ciężar spadł mi z serca. Znów poczułam się panią samej siebie – wreszcie go zrozumiałam.

„Wiesz, co to jest?”, zapytał. „Pamiętasz, co ci powiedziałem w Thorpe Ambrose o śnie Allana? Powiedziałem ci, że dwie z trzech wizji już się spełniły. Teraz mówię ci, że trzecia wizja spełniła się dziś wieczorem w tym domu”.

Przerzucił kartki rękopisu i wskazał na linijki, które chciał, abym przeczytała.

Przeczytałam te same albo prawie te same słowa z opisu snu, tak jak Midwinter spisał je pod dyktando Armadale'a:

„Ciemność rozstąpiła się po raz trzeci i ukazała mi cień mężczyzny i cień kobiety razem.

Cień mężczyzny był bliżej mnie, cień kobiety był oddalony. Z miejsca, gdzie stała, dobiegł dźwięk przypominający delikatne nalewanie płynu. Widziałem, jak jedną ręką dotknęła cienia mężczyzny, a drugą podała mu szklanę. Wziął szklanę i wręczył mi ją. W chwili, gdy dotknąłem nią warg, ogarnęło mnie śmiertelne uczucie omdlenia. Kiedy odzyskałem zmysły, cieni już nie było i trzecia wizja zakończyła się”.

Przez moment byłam równie jak Midwinter oszołomiona tym niezwykłym zbiegiem okoliczności.

Jedną rękę położył na otwartym opisie, a drugą ciężko oparł na moim ramieniu.

„Czy teraz rozumiesz, dlaczego tu przyszedłem?”, zapytał. „Czy teraz pojmujesz, że ostatnią nadzieją, jakiej się uczepiłem, była nadzieja, że twoja pamięć o wydarzeniach dzisiejszego wieczoru może wykazać, że moja pamięć mnie zawiodła? Czy teraz wiesz, dlaczego nie pomogę Allanowi? Dlaczego z nim nie popłynę? Dlaczego knuję i kłamię i każę knuć i kłamać również tobie, ażeby trzymać mojego najlepszego i najdroższego przyjaciela z dala od tego domu?”

„Zapomniałeś o liście pana Brocka?”, zapytałam.

Zapalczywie uderzył dłonią w otwarty rękopis. „Gdyby pan Brock dożył tej chwili i zobaczył to, co myśmy dziś zobaczyli, czułby i powiedziałby to samo co ja!” Jego głos zniżył się tajemniczo, a wielkie, czarne oczy błyszczały, kiedy to mówił. „Trzykrotnie cienie z wizji ostrzegały Allana we śnie”, ciągnął, „i trzykrotnie cienie zmaterializowały się później w postaci ciebie i mnie! To ty, nikt inny, stałaś w miejscu kobiety nad stawem. Ja i nikt inny stałem w miejscu mężczyzny przy oknie. I to ty i ja w chwili, gdy ostatnia wizja ukazała oba cienie razem, stoimy w miejscu mężczyzny i kobiety! To po to zaświtał nieszczęsny dzień, w którym się spotkaliśmy po raz pierwszy. To po to twój wpływ przyciągnął mnie do ciebie, podczas gdy jakiś dobry głos ostrzegał mnie, aby unikać widoku twojej

twarży. Na naszym życiu ciąży klątwa! Prześladowuje nas fatum! Przyszłość Allana zależy od rozstania z nami natychmiast i na zawsze. Przepędź go z miejsca, w którym żyjemy, i z dala od powietrza, którym oddychamy. Pchnij go pomiędzy nieznanomych – najgorsi i najbardziej nikczemni z nich będą dla niego mniej niebezpieczni niż my! Choćby przyszedł błagać nas na kolanach, spraw, aby jego jacht odpłynął bez nas, i powiedz mu, jak bardzo kochałem go w świecie innym niż ten – tam, gdzie źli przestają nękać, a utrudzeni zażywają spokoju!”

Opanował go smutek. Kiedy wypowiadał ostatnie słowa, wybuchł szlochem. Zabrał opis snu z toaletki i zostawił mnie równie nagle, jak wszedł.

Po tym, jak usłyszałam dźwięk klucza przekręcanego w drzwiach między nami, wróciłam myślami do tego, co o mnie powiedział. Na wspomnienie o „nieszczęsnym dniu”, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, i „dobrym głósie”, który ostrzegał go, aby „unikał widoku mojej twarzy”, zapomniałam o wszystkim innym. Nie ma znaczenia, co czułam – nie przyznałabym się do tego, nawet gdybym miała przyjaciela, z którym mogłabym porozmawiać. Kogo obchodzi nieszczęście kobiety takiej jak ja? Kto w nie wierzy? Poza tym mówił pod wpływem szalonej przesądności, która ponownie go opętała. Jego usprawiedliwia wszystko – mnie nic. Nic nie poradzę na to, że mimo wszystko go kocham. Muszę ponieść konsekwencje i cierpieć. Zasluguję na cierpienie, nie zasługuję ani na niczyją miłość, ani litość... Wielkie nieba, co ze mnie za idiotka! I jakie to wszystko byłoby niewiarygodne, gdyby zostało opisane w książce!

Wybiła pierwsza. Wciąż słyszę Midwintera, jak chodzi tam i z powrotem po pokoju.

Pewnie rozmyśla. Cóż! Ja też mogę pomyśleć. Co mam robić dalej? Poczekam i zobaczę. Czasem wydarzenia przyjmują dziwny obrót i mogą jeszcze uzasadnić fatalizm drogiego mi człowieka w drugim pokoju, który przeklina dzień, w którym po raz pierwszy ujrzał moją twarz. Jeśli jestem kobietą wskazaną we śnie, niedługo na mojej drodze pojawi się nowa pokusa, a kiedy następnym razem przyrządzę lemoniadę dla Armadale’a, nie będzie w niej brandy”.

24 października. Od wczorajszego wpisu minęło zaledwie dwanaście godzin, a już pojawiła się, wystawiła mnie na próbę i zwyciężyła owa nowa pokusa!

Tym razem nie miałam wyboru. Groziło mi natychmiastowe zdemaskowanie i zguba: nie pozostawało mi nic innego, jak ulec pokusie w obronie własnej. Mówiąc prościej, to nie przypadkowe podobieństwo przestraszyło mnie wczoraj w teatrze. Chórzystą w operze był nie kto inny jak Manuel!

Nie minęło nawet dziesięć minut od czasu, gdy Midwinter wyszedł z salonu i udał się do swojego gabinetu, kiedy pani domu przyniosła mi mały, brudny, złożony w trójkąt liścik. Jeden rzut oka na pismo, jakim skreślony był adres, wystarczył. Rozpoznał mnie w loży, a balet w przerwie między aktami opery dał mu dość czasu, by wyśledzić, gdzie mieszkam. Wyciągnęłam ten oczywisty wniosek w chwili, jaka upłynęła, zanim otworzyłam list. Informował mnie on w dwóch zdaniach, że nadawca czeka w bocznej uliczce prowadzącej na plażę i że jeśli nie pojawię się za dziesięć minut, uzna moją nieobecność za zaproszenie do złożenia mi wizyty w domu.

To, przez co wczoraj przeszłam, chyba mnie zobojętniło. W każdym razie po przeczytaniu listu bardziej niż przez ostatnie miesiące poczułam się jak kobieta, którą niegdyś byłam. Włożyłam czepek, zeszałam na dół i wyszałam z domu jak gdyby nigdy nic.

Czekał na mnie na początku uliczki.

W chwili, gdy stanęliśmy twarzą w twarz, wróciło do mnie całe moje nieszczęśliwe życie z nim. Pomyślałam o zaufaniu, które zawiódł, o okrutnej parodii małżeństwa, jakiej się wobec mnie dopuścił, wiedząc, że jego żona żyje, o chwili, w której poczułam na tyle wielką rozpacz z powodu jego odejścia, że targnęłam się na własne życie. Kiedy sobie to wszystko przypomniałam i kiedy narzuciło mi się porównanie pomiędzy Midwinterem i tym podłym, nędznym łajdakiem, po raz pierwszy przekonałam się, co czuje kobieta, gdy straciła resztki szacunku dla samej siebie. Gdyby w tym momencie osobiście mnie znieważył, myślę, że przyjąłabym tę zniewagę.

Ale on nie miał zamiaru mnie znieważać, w owym bardziej brutalnym znaczeniu tego słowa. Byłam zdana na jego łaskę, a sposobem, w jaki dawał mi to odczuć, było zachowywanie się z wyszukaną parodią skruchy i szacunku. Pozwoliłam mu mówić, co chciał, bez przerywania, nie patrząc na niego powtórnie, nie pozwalając nawet,

aby dotknął go rąbek mojej sukni, kiedy szliśmy w kierunku spokojniejszej części plaży. Już za pierwszym spojrzeniem zauważyłam opłakany stan jego odzienia i błysk chciwości w oku i wiedziałam, jak to się skończy – żądaniem pieniędzy. Tak też było.

Tak! Po tym, jak zabrał mi ostatnie ćwierć pensa z moich własnych pieniędzy i ostatnie ćwierć pensa, jakie zdołałam wyciągnąć dla niego od mojej dawnej pani, odwrócił się do mnie, gdy stanęliśmy na brzegu morza, i zapytał, czy sumienie pozwala mi przejść obojętnie wobec takiego płaszcza, jaki ma na grzbiecie, i faktu, że zarabia marne grosze jako chórzysta w operze!

Bardziej wstręt niż oburzenie skłoniło mnie w końcu, aby się do niego odezwać.

„Chcesz pieniędzy”, rzekłam. „A co, jeśli jestem zbyt biedna, aby ci je dać?”

„W takim razie”, odrzekł, „będę zmuszony przypomnieć sobie, że sama w sobie jesteś skarbem. I zajdzie bolesna konieczność przedstawienia mojego prawa do ciebie jednemu z tych dwóch dżentelmenów, których widziałem z tobą w operze – tego, rzecz jasna, który teraz doznaje zaszczytu twoich względów i który żyje tymczasowo w blasku twoich uśmiechów”.

Nie powiedziałam nic, bo nic nie miałam do powiedzenia. Podważanie jego prawa do mnie byłoby zwykłą stratą słów. Wiedział równie dobrze jak ja, że nie miał do mnie żadnego prawa. Ale nawet próba zgłoszenia go prowadziłaby nieuchronnie, jak dobrze wiedział, do ujawnienia całego mojego przeszłego życia.

Nadal milcząc, spjrzałam w morze. Nie wiem dlaczego, poza tym że instynktownie spjrzałam gdziekolwiek, byleby nie na niego.

Do brzegu zmierzała mała żaglówka. Mężczyznę, który nią sterował, skrywał żagiel, ale łódź była na tyle blisko, że zdało mi się, iż poznaję flagę na maszcie. Spjrzałam na zegarek. Tak! To Armadale przybywał zwykłą drogą z Santa Lucia odwiedzić nas o swojej zwykłej porze.

Zanim zatknęłam zegarek z powrotem za pasek, sposób na to, jak wyplątać się z potwornego położenia, w jakim się znalazłam, ukazał mi się równie jasno, jak widzę go teraz.

Obróciłam się i ruszyłam w stronę wyżej położonej części plaży, gdzie leżały

wyciągnięte na brzeg łodzie rybackie, które całkowicie chroniły nas przed wzrokiem każdego, kto dobijał do brzegu poniżej. Widząc zapewne, że mam na oku jakiś cel, Manuel poszedł za mną, nie mówiąc ani słowa. Gdy tylko byliśmy bezpieczni pod osłoną łodzi, zmusiłam się we własnej obronie, aby ponownie na niego spojrzeć.

„Co byś powiedział na to”, zapytałam, „gdybym była bogata zamiast biedna? Co byś powiedział, gdybym mogła dać ci sto funtów?”

Drgnął. Wyraźnie widziałam, że nie spodziewał się nawet połowy sumy, którą wymieniłam. Nie trzeba dodawać, że jego język kłamał, podczas gdy twarz mówiła prawdę, i że jego odpowiedź brzmiała: „Cóż to jest sto funtów?”

„Co byś powiedział na to”, ciągnęłam, nie zwracając uwagi na jego słowa, „że mogłabym wskazać ci sposób, jak sięgnąć po dwa razy tyle, trzy razy tyle, pięć razy tyle co sto funtów? Czy jesteś dość śmiały, aby wyciągnąć rękę i to wziąć?”

Błysk chciwości znów pojawił się w jego oczach. Ściszył głos, w napięciu oczekując na moje następne słowa.

„Kto to taki?”, zapytał. „I co ryzykuję?”

Odpowiedziałam mu od razu, w najprostszych słowach. Rzuciłam mu Armadale'a na pożarcie, jak mogłabym rzucić kawał mięsa dzikiej bestii, która mnie goni.

„To młody, bogaty Anglik”, odrzekłam. „Właśnie w miejscowym porcie wynajął jacht o nazwie »Dorothea« i potrzebuje kapitana oraz załogi. Byłeś kiedyś oficerem w marynarce hiszpańskiej, mówisz biegle po angielsku i włosku, znasz na wskroś Neapol i wszystko, co się z nim wiąże. Bogaty, młody Anglik nie zna języka, a tłumacz, który mu towarzyszy, nie ma pojęcia o morzu. Anglik nie wie, co począć, nie mogąc znaleźć przydatnych pomocników w tym obcym miejscu, o świecie wie tyle, co tamto dziecko, które kopie dziury patykiem w piachu, i nosi przy sobie wszystkie pieniądze w postaci akredytyw okrężnych. Tyle o nim. Co do ryzyka, sam je oceń”.

Błysk chciwości w jego oku rozpałał się z każdym słowem, jakie wypowiadałam. Zanim skończyłam mówić, było wyraźnie widać, że jest gotów podjąć ryzyko.

„Kiedy mogę zobaczyć Anglika?”, zapytał z zapałem.

Przeszłam w kierunku końca łodzi skierowanego ku morzu i zobaczyłam, że Armadale właśnie schodzi na ląd.

„Możesz zobaczyć go teraz”, odparłam i wskazałam miejsce.

Manuel długo przyglądał się Armadale’owi, który niefrasobliwie wchodził po pochyłości plaży, po czym cofnął się ponownie za łódź. Czekał chwilę, starannie coś rozważając, po czym zadał mi kolejne pytanie, tym razem szeptem.

„Kiedy jednostka zostanie obsadzona załogą”, rzekł, „i Anglik wypłynie z Neapolu, ilu przyjaciół popłynie wraz z nim?”

„Ma tutaj tylko dwoje przyjaciół”, odparłam. „Tego drugiego dżentelmena, którego widziałeś ze mną w operze, i mnie. Zaprosi nas oboje w rejs, a wtedy oboje odmówimy”.

„Ręczysz za to?”

„Zdecydowanie za to ręczę”.

Oddalił się o kilka kroków i stał z twarzą odwróconą ode mnie, znowu się namyślając. Widziałam tylko, że zdjął kapelusz i przetarł chustką czoło. Słyszałam, jak mówi do siebie w podnieceniu w swoim ojczystym języku.

Kiedy wrócił, zaszła w nim zmiana. Jego twarz przybrała chorobliwie żółty odcień, a oczy patrzyły na mnie z okropną podejrzliwością.

„Ostatnie pytanie”, rzekł i, zbliżywszy się nagle, wyraźnie zaakcentował następne słowa: „Jaki masz w tym interes?”

Cofnęłam się o krok. Pytanie to przypomniało mi, że mam w tej sprawie swój własny interes, niemający nic wspólnego z tym, aby trzymać Manuela i Midwintera z dala od siebie. Do tej pory pamiętałam tylko o tym, że fatalizm Midwintera ułatwił mi zadanie, zawczasu wydając Armadale’a na łaskę każdego nieznajomego, który przyszedłby mu z pomocą. Do tej pory jedynym celem, jaki mi przyświecał, było chronić siebie, poświęcając Armadale’a, przed grożącą mi demaskacją. Nie okłamuję mojego dziennika. Nie udaję, że miałam najmniejszy choćby wzgląd na sakiewkę Armadale’a lub jego bezpieczeństwo. Nienawidzę go zbyt zaciekle, aby dbać o to, jakie pułapki może zastawić na niego mój język. Ale z pewnością nie zauważyłam (dopóki nie zadano mi ostatniego pytania), że służąc własnym celom,

Manuel może – jeśli odważy się sięgnąć po ostateczność dla zdobycia pieniędzy – przysłużyć się również mnie. Wszechogarniający niepokój (jak sądzę) o to, jak chronić się przed zdemaskowaniem mnie w oczach Midwintera, tak zaprzętnął mój umysł, że o niczym innym nie myślałam.

Widząc, że nie odpowiadam, Manuel powtórzył pytanie w zmienionej formie.

„Rzuciłaś mi swojego Anglika”, rzekł, „jak ochłap na przebłaganie Cerbera. Czy byłabyś równie gotowa to zrobić, nie mając swojego własnego powodu? Powtórzę pytanie. Masz w tym jakiś interes – jaki?”

„Mam dwa interesy”, odparłam. „Chcę zmusić cię do uszanowania pozycji, jaką tu zajmuję, i chcę, żebyś natychmiast i raz na zawsze zszedł mi z oczu!” Mówiłam ze śmiałością, jakiej jeszcze u mnie nie słyszał. Myśl, że używam łotra jako narzędzia w swoich rękach i zmuszam go do służenia nieświadomie moim celom, podczas gdy on służy swoim, poprawiła mi humor i sprawiła, że znów poczułam się sobą.

Zaśmiał się. „W pewnych sytuacjach mocne słowa są przywilejem damy”, rzekł. „Możesz albo i nie sprawić, że natychmiast i raz na zawsze zejdziesz ci z oczu. Tę kwestię rozstrzygniemy w przyszłości. Ale zastanawia mnie twój drugi interes. Powiedziałaś mi wszystko, co potrzebuję wiedzieć o Angliku i jego jachcie, nie stawiając warunków. Powiedz mi, proszę, jak zamierzasz zmusić mnie, jak mówisz, do uszanowania pozycji, jaką tu zajmujesz.

„Powiem ci jak”, odparłam. „Najpierw poznasz moje warunki. Domagam się, żebyś za pięć minut mnie zostawił. Domagam się, żebyś nigdy więcej nie zbliżył się do domu, w którym mieszkam, i zabraniam ci kontaktować się w jakikolwiek sposób ze mną lub tym drugim dżentelmenem, którego widziałeś w teatrze...”

„A co, jeśli się nie zgodzę?”, przerwał. „Co wtedy zrobisz?”

„Wtedy”, odparłam, „powiem dwa słowa na osobności młodemu, bogatemu Anglikowi i z powrotem znajdziesz się w operowym chórze”.

„Odważna z ciebie kobieta, żeby zakładać, że już mam zakusy na Anglika i że z pewnością skończą się one powodzeniem. Skąd wiesz...?”

„Znam cię”, rzekłam. „I to wystarczy”.

Na moment zapadła cisza. On patrzył na mnie, a ja na niego. Zrozumieliśmy się nawzajem.

On pierwszy przemówił. Szelmowski uśmiech zniknął mu z twarzy, a głos znów zniżył się podejrzliwie o kilka tonów.

„Przyjmuję warunki”, rzekł. „Tak długo, jak ty będziesz milczała, ja będę milczał również, chyba że odkryję, że mnie oszukałaś. Wtedy nasza umowa jest nieważna i zobaczysz mnie znowu. Jutro przedstawię się Anglikowi z odpowiednimi referencjami, aby zdobyć jego zaufanie. Jak się nazywa?”

Powiedziałam mu.

„Gdzie mieszka?”

Podalam mu adres i odwróciłam się, aby odejść. Zanim zdążyłam wyjść zza łodzi, znów usłyszałam za sobą jego głos.

„Ostatnie słowo”, powiedział. „Na morzu czasami zdarzają się wypadki. Czy Anglik interesuje cię na tyle, że – jeśli przydarzy mu się wypadek – chciałabyś wiedzieć, co się z nim stało?”

Zatrzymałam się i ja z kolei zastanawiałam się przez chwilę. Najwyraźniej nie udało mi się go przekonać, że nie miałam żadnego ukrytego celu w wydaniu pieniędzy i (co mogło za tym pójść) życia Armadale’a na jego łaskę. A teraz stało się równie jasne, że podstępnie próbował zapoznać się z moimi ukrytymi celami (jakiegokolwiek by one nie były), zostawiając sobie na przyszłość możliwość kontaktu ze mną. W takich okolicznościach nie było wątpliwości, jak należy mu odpowiedzieć. Jeśli „wypadek”, do którego zrobił aluzję, naprawdę przydarzy się Armadale’owi, nie ma potrzeby, aby donosił mi o tym Manuel. Przegląd klepsydr zamieszczonych w angielskich gazetach dostarczyłby mi potrzebnej informacji, z tą dodatkową zaletą, że w takich sprawach można polegać na prawdomówności prasy. Podziękowałam Manuelowi oficjalnie i odmówiłam przyjęcia propozycji. „Nie interesuje mnie Anglik”, rzekłam, „a zatem nie chciałabym wiedzieć, co się z nim stanie”.

Przez chwilę przyglądał mi się z uwagą i z zainteresowaniem, którego jeszcze nigdy nie objawił.

„Nie będę udawać, że wiem”, odrzekł wolno i znacząco, „w jaką grę grasz. Ale mimo to zaryzykuję przepowiednię – wygrasz ją! Jeśli nigdy się już nie spotkamy, pamiętaj o moich słowach”. Uchylił kapelusza i z powagą mi się uklonił. „Idź swoją drogą. A mi pozwól pójść moją!”

Po tych słowach uwolnił mnie od swego widoku. Przez minutę czekałam, aby dojsć do siebie na świeżym powietrzu, a następnie wróciłam do domu.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy po wejściu do salonu, był sam Armadale!

Wypatrywał okazji spotkania ze mną i poproszenia, abym wpłynęła na jego przyjaciela. Zadałam nieodzowne pytanie i dowiedziałam się, że Midwinter powiedział to, co uprzedził mnie, że powie, kiedy on i Armadale spotkają się następnym razem. Oświadczył, że nie jest w stanie skończyć swojej pracy dziennikarskiej tak szybko, jak sądził i doradził Armadale’owi, by ten sam wystarał się o załogę, nie czekając na jego pomoc.

Wszystko, co musiałam następnie zrobić, to postąpić zgodnie z obietnicą daną Midwinterowi, kiedy pouczył mnie, jak postąpić w tej sprawie. Rozdrażnienie, jakim Armadale zareagował na moje zdecydowane postanowienie, aby nie ingerować w decyzję Midwintera, dało o sobie znać w sposób, który jest mi najbardziej wstrętny ze wszystkich. Nie chciał uwierzyć w moje wielokrotnie powtarzane zapewnienia, że nie posiadam wpływu, którego mogłabym użyć w jego sprawie. „Gdybym był mężem Neelie”, rzekł, „mogłaby robić ze mną, co by chciała, i jestem pewien, że jeśli pani zechce, może zrobić z Midwinterem, co chce”. Gdyby ten zadurzony głupiec próbował celowo stłumić ostatnie podrygi wyrzutów sumienia i litości, jakie miałam w sercu, nie mógł powiedzieć nic lepszego! Posłałam mu spojrzenie, które skutecznie go uciszyło, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Wyszedł z pokoju, utyskując i mruczając pod nosem. „Łatwo jest mówić o obsadzeniu jachtu załogą. Ja nie mówię ani słowa w ich bełkotliwym języku, a tłumacz myśli, że rybak i marynarz to jedno i to samo. A niech mnie, jeśli teraz, kiedy go już mam, wiem, co zrobić z jachtem!”

Zapewne dowie się do jutra. I jeśli tylko przyjdzie tu jak zwykle, ja również będę wiedziała!

25 października. Dziesiąta wieczorem. Manuel go ma!

Armadale właśnie od nas wyszedł, po tym jak siedział ponad godzinę i cały czas mówił tylko o tym, jakie to ma szczęście, że znalazł właśnie taką pomoc, jakiej potrzebował, i to wtedy, gdy potrzebował jej najbardziej.

Dziś w południe był ze swoim tłumaczem na molo, na próżno próbując porozumieć się z włóczęgami uczęszczającymi nabrzeżem. Właśnie kiedy w rozpaczy rezygnował z dalszych prób, stojący opodal nieznajomy (Manuel poszedł za nim, jak się domyślam, z hotelu na molo) uprzejmie się wtrącił, oferując pomoc. Powiedział: „Mówię w pana języku i w ich języku, sir. Znam dobrze Neapol i jestem zawodowo związany z morzem. Czy mogę panu pomóc?”. Dalszy ciąg był nieunikniony. Armadale, bez zastanowienia i nieporadnie, jak to on, przerzucił wszystkie swoje trudności na barki uprzejmego nieznajomego. Jednakże jego nowy przyjaciel nalegał w jak najbardziej honorowy sposób, aby dopełnić zwyczajowych formalności, zanim zgodzi się przejąć sprawy we własne ręce. Poprosił, aby wolno mu było przedstawić panu Armadale’owi swoje referencje dotyczące się charakteru i kompetencji. Tego samego popołudnia przyszedł na umówione spotkanie do hotelu ze wszystkimi dokumentami i z „najsmutniejszą historią” niedoli i niedostatków, jakie wycierpiał, będąc „uchodźcą politycznym”, jaką Allan kiedykolwiek słyszał. Rozmowa okazała się decydująca. Manuel wyszedł z hotelu z poleceniem znalezienia załogi jachtu i objęcia stanowiska kapitana w próbnym rejsie.

Z niepokojem obserwowałam Midwintera, kiedy Armadale przedstawiał nam te szczegóły, i później, kiedy wyjął referencje nowego kapitana, które przyniósł pokazać swojemu przyjacielowi.

Chwilowo zabobonne obawy Midwintera zdawały się zatracać w naturalnej trosce o przyjaciela. Obejrzał dokumenty nieznajomego – po tym, jak sam mi powiedział, że im szybciej Armadale znajdzie się w rękach nieznajomych, tym lepiej! – z najwyższą uwagą i najbardziej metodyczną nieufnością. Nie ma potrzeby dodawać, że referencje były tak idealnie przepisowe i przekonujące, jak tylko mogą być referencje. Gdy Midwinter oddawał je przyjacielowi, poczerwieniał. Zdawał się dostrzegać niekonsekwencję w swoim zachowaniu i po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że jestem tego świadkiem. „Nie ma się do czego przyczepić w referencjach,

Allanie. Cieszę się, że wreszcie znalazłeś potrzebną pomoc”. To wszystko, co powiedział na pożegnanie. Gdy tylko Allan wyszedł, już go nie było. Znów zamknął się na noc we własnym pokoju.

Pozostaje teraz – jeśli o mnie chodzi – jedna obawa. Kiedy jacht będzie gotowy do wyjścia w morze i kiedy odmówię zajęcia kajuty dla dam, czy Midwinter dotrzyma swego postanowienia i odmówi popłynięcia beze mnie?

26 października. Już widać zwiastuny czekającej nas ciężkiej próby. List Armadale’a do Midwintera, który Midwinter właśnie mi przekazał. Oto on:

„Drogi Mid!

Jestem zbyt zajęty, aby dzisiaj przyjść. Posuwaj się do przodu z robotą, na miłość boską! Nowy kapitan to złoty człowiek. Zna pewnego Anglika, o którym wie, że już służył na statku jako mat, i jest pewien, że zbierze załogę w ciągu trzech lub czterech dni. Nie mogę się doczekać powiewu morskiego wiatru na skórze i Ty pewnie także, albo żaden z Ciebie żeglarz. Takielunek gotowy, zapasy są wnoszone na pokład, a jutro lub pojutrze będziemy mocować żagle. Nigdy jeszcze nie byłem tak podekscytowany. Pozdrów ode mnie swoją żonę i powiedz jej, że wyświadczy mi przysługę, jeśli przyjdzie natychmiast i zamówi wszystko, co chce do swojej kajuty. Oddany Ci, A. A.”.

Pod spodem napisano ręką Midwintera: „Pamiętaj, co Ci powiedziałem. Napisz do niego (w ten sposób powiadomisz go o swoich zamiarach delikatniej), że bardzo przepraszasz, ale żeby zwolnił Cię z uczestnictwa w próbnym rejsie”.

Napisałam bez chwili zwłoki. Im szybciej Manuel dowie się (a na pewno dowie się przez Armadale’a), że obietnica niewzięcia udziału w rejsie, jeśli o mnie chodzi, została spełniona, tym pewniej będę się czuła.

27 października. Odpowiedź Armadale’a na mój list. Ceremonialnie wyraża żal z powodu braku mojego towarzystwa w rejsie i uprzejmie ma nadzieję, że Midwinter może jeszcze skłonić mnie do zmiany zdania. Poczekaj, aż się dowiesz, że Midwinter również z tobą nie popłynie!

30 października. Aż do dziś nie wydarzyło się nic godnego odnotowania. Dzisiaj zmiana w naszym życiu tutaj nareszcie nadeszła!

Rano zjawił się Armadale, głośny i radosny jak skowronek, by obwieścić, że jacht jest gotowy do wyjścia w morze, i spytać, kiedy Midwinter będzie mógł wejść na pokład. Powiedziałam mu, żeby poszedł do pokoju Midwintera i sam zapytał. Zostawił mnie, po raz ostatni prosząc, abym raz jeszcze przemyślała swoją odmowę popłynięcia w rejs. Po raz ostatni przeprosiłam, że pozostanę przy swojej decyzji, a potem samotnie zajęłam krzesło przy oknie, czekając na wynik rozmowy w pokoju obok.

Cała moja przyszłość zależała teraz od tego, co zajdzie pomiędzy Midwinterem a jego przyjacielem! Do tej pory wszystko szło gładko. Jedynym niebezpieczeństwem, jakiego należało się obawiać, było to, że w ostatniej chwili Midwinter zachwieje się w swoim postanowieniu, czy raczej w swoim poczuciu fatalizmu. Jeśli da się przekonać, aby towarzyszyć Armadale'owi w rejsie, Manuel w swoim gniewie nie cofnie cię przed niczym – będzie pamiętał, że ręczyłam za to, że Armadale wypłynie z Neapolu sam, i może ujawnić Midwinterowi całą moją przeszłość, zanim jacht opuści port. Kiedy o tym myślałam, minuty wlokły się jedna za drugą, a z sąsiedniego pokoju nie dobiegało moich uszu nic poza szmerem głosów, napięcie stało się niemal nie do zniesienia. Na próżno starałam się skupić uwagę na tym, co działo się na ulicy. Siedziałam, wyglądając machinalnie przez okno i nic nie widząc.

Nagle, nie potrafię powiedzieć, jak długo to trwało, szmer głosów umilkł i Armadale ukazał się w progu sam.

„Życzę dobrej nocy”, rzekł oschle. „I mam nadzieję, że gdy się ożenię, moja żona nigdy nie sprawi Midwinterowi takiego zawodu, jaki żona Midwintera sprawiła mnie!”

Posłał mi gniewne spojrzenie i gniewny ukłon i, odwracając się gwałtownie, wyszedł z pokoju.

Znów widziałam ludzi na ulicy! Widziałam spokojne morze i maszty statków w porcie, w którym cumował jacht! Znowu mogłam myśleć, znowu mogłam oddychać swobodnie! Słowa, które ocaliły mnie przed Manuelem, które mogły być wyrokiem śmierci na Armadale'a, padły. Jacht miał wypłynąć bez Midwintera i beze mnie!

W pierwszym odruchu niemal oszalałam z radości. Ale to trwało tylko chwilę. Kiedy pomyślałam o samotnym Midwinterze w pokoju obok, serce znów przygniótł mi ciężar.

Wyszłam na korytarz nasłuchiwać i nic nie usłyszałam. Delikatnie zastukałam w drzwi. Nie było odpowiedzi. Otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka. Siedział przy stole, z twarzą ukrytą w dłoniach. Spojrzałam na niego w milczeniu i dostrzegłam lśnienie łez ciekących spomiędzy palców.

„Zostaw mnie”, powiedział, nie ruszając się. „Muszę to przejść sam”.

Wróciłam do salonu. Któż zrozumie kobiety? My nawet same nie rozumiemy siebie. To, w jaki sposób mnie odesłał, zraniło mnie na wskroś. Nie sądzę, aby najbardziej niewinna i najłagodniejsza z żyjących kobiet mogła odczuć to dotkliwiej niż ja. I to po tym, co zrobiłam! Po tym, o czym myślałam tuż przed wejściem do jego pokoju! Któż to może wyjaśnić? Nikt – a ja najmniej ze wszystkich!

Pół godziny później drzwi jego pokoju się otworzyły i posłyszałam, jak zbiega po schodach. Nie zastanawiając się, pobiegłam za nim i zapytałam, czy mogę pójść razem z nim. Nie zatrzymał się ani nie odpowiedział. Wróciłam do okna i zobaczyłam, jak pośpiesznie przechodzi w dole, plecami odwrócony do miasta i morza.

Teraz rozumiem, że mógł mnie nie słyszeć. Wtedy pomyślałam, że jest w stosunku do mnie niewybaczalnie nieuprzejmy. W przypiływie złości założyłam czepek, posłałam po powóz i powiedziałam woźnicy, aby zabrał mnie, dokąd chce. Zabrał mnie tam, gdzie zabierał innych turystów – do muzeum, oglądać obrazy i rzeźby. Miotalam się z sali do sali z rozpalonymi policzkami, a wszyscy ludzie się na mnie gapili. W końcu doszłam do siebie, sama nie wiem jak. Wróciłam do powozu i kazałam woźnicy na łeb, na szyję wieźć się z powrotem, sama nie wiem dlaczego. Rzuciłam w kąt pelerynę i czepek i z miejsca zasiadłam przy oknie. Widok morza sprawił, że ochłonęłam. Zapomniałam o Midwinterze, a pomyślałam o Armadale’u i jego jachcie. Nie wiał najłżejszy wiatr, na niebie nie widać było najmniejszej chmurki, rozległe wody zatoki były gładkie jak tafla lustra.

Zaszło słońce. Nadszedł wieczór i wkrótce minął. Zrobiłam sobie herbaty i usiadłam przy stole, rozmyślając i marząc. Kiedy się otrząsnęłam i wróciłam do

okna, księżyc już wszedł, ale morze było spokojne jak przedtem.

Nadal wyglądałam przez okno, gdy spostrzegłam Midwintera, jak wracał do domu. Do tego czasu uspokoiłam się na tyle, by sobie przypomnieć o jego zwyczajach i domyślić się, że próbował ulżyć sobie, odbywając jeden ze swoich długich, samotnych spacerów. Kiedy usłyszałam, jak wchodzi do swojego pokoju, byłam już na tyle przezorna, aby mu nie przeszkadzać. Postanowiłam czekać na niego tam, gdzie byłam.

Niedługo potem usłyszałam, jak drzwi balkonowe w jego pokoju otwierają się. Ze swojego okna ujrzałam, jak wychodzi na balkon i, posławszy spojrzenie na morze, wyciąga w górę rękę. W tamtym momencie byłam zbyt otępiała, aby pamiętać, że kiedyś sam był marynarzem, i wiedzieć, co znaczy ten gest. Czekałam, zastanawiając się, co nastąpi dalej.

Znów wszedł do środka. Po jakimś czasie ponownie wyszedł na balkon i tak jak wcześniej wyciągnął w górę rękę. Tym razem czekał oparty o poręcz, wypatrując czegoś uważnie, całkowicie skupiony na morzu.

Przez bardzo długi czas nie poruszał się. Po chwili zobaczyłam, że nagle drgnął. Zaraz potem padł na kolana, złożone dłonie opierając na poręczy balkonu. „Niech Bóg wszechmogący błogosławi cię i zachowa, Allanie!”, powiedział żarliwie. „Żegnaj na zawsze!”

Spojrzałam na morze. Wiała lekka, miarowa bryza, a pomarszczona powierzchnia wody błyszczała w świetle księżyca. Znowu spojrzałam i zobaczyłam, jak pomiędzy mną a odbiciem księżyca w wodzie wolno przepływa długi, czarny kształt o wysokich, ciemnych, widmowych żaglach, sunąc po wodzie gładko i bezgłośnie jak wąż.

Wraz z nadejściem nocy zerwał się sprzyjający wiatr i jacht Armadale'a wypłynął w próby rejs.

III. DZIENNIK SIĘ URYWA

Londyn, 19 listopada. Znów znalazłam się sama w Wielkim Mieście, sama – po raz pierwszy odkąd jesteśmy małżeństwem. To już prawie tydzień od czasu, gdy wyruszyłam w podróż powrotną do domu, zostawiając Midwintera w Turynie.

Dni od początku miesiąca tak obfitowały w wydarzenia, a ja tak byłam udęczona fizycznie i umysłowo, że przez większość czasu mój dziennik był potwornie zaniedbany. Kilka notatek, skreślonych w pośpiechu i bezładnie, że sama ledwo je rozumiem, to wszystko, co może pomóc mi przypomnieć sobie o wypadkach, jakie zaszły od czasu, gdy jacht Armadale'a wypłynął z Neapolu. Niech spróbuję i przekonam się, czy zdołam naprawić to, nie tracąc więcej czasu. Niech spróbuję przypomnieć sobie wydarzenia w kolejności, w jakiej miały miejsce od początku miesiąca.

Trzeciego listopada, nadal będąc w Neapolu, Midwinter dostał pośpiesznie napisany w Mesynie list od Armadale'a. „Pogoda”, donosił, „jest piękna, a jacht odbył jedną z najszybszych przepraw w swojej karierze. Załoga stanowiła dość nieokrzesaną zbieraninę, ale kapitan Manuel i jego angielski mat (ten ostatni opisany jako »najlepszy człowiek pod słońcem«) zarządzali nią w sposób godny podziwu”. Po tym pomyślnym początku Armadale postanowił oczywiście przedłużyć rejs i za radą kapitana zdecydował się odwiedzić kilka portów nad Adriatykiem, które ten określił jako nietuzinkowe i warte zobaczenia.

Pod spodem znajdowało się postscriptum, w którym Armadale wyjaśniał, że pisze w pośpiechu, chcąc złapać parowiec do Neapolu, i że otwiera list ponownie, aby dopisać coś, o czym zapomniał. Na dzień przed wypłynięciem z Neapolu udał się do banku wyjąć „kilkaset funtów w złocie” i wydaje mu się, że zostawił tam

swoją papierośnicę. Był do niej bardzo przywiązany i prosił, aby Midwinter był tak dobry i spróbował ją odzyskać oraz zatrzymać do czasu ponownego spotkania.

Przemyślałam treść listu dokładnie, kiedy Midwinter zostawił mnie samą. Przyszło mi wtedy do głowy (i nadal jestem o tym przekonana), że Manuel nie przekonał Armadale'a do żeglowania po morzu takim jak Adriatyk, o wiele mniej uczęszczanym przez statki niż Morze Śródziemne, bez powodu. Również wzmianka o czymś tak błahym, jak utrata papierośnicy, dała mi do myślenia. Doszłam do wniosku, że akredytywy Armadale'a nie zostały wymienione na „kilkaset funtów w złocie” za sprawą jego zapobiegliwości czy orientacji w sprawach finansowych. Domyśliłam się, że również w tej kwestii dał o sobie znać wpływ Manuela, i znów nie bez powodu. Podczas bezsennej nocy rozważania te co i rusz wracały do mnie i za każdym razem podpowiadały mi (jeśli chodzi o moje dalsze kroki) jedno – należy wracać do Anglii.

Ale jak się tam dostać, a zwłaszcza jak się tam dostać bez towarzystwa Midwintera? – odpowiedź na to pytanie okazała się ponad moje siły tej nocy. Usilnie próbowałam rozwiązać ten problem, aż wreszcie nad ranem usnęłam wyczerpana.

Kilka godzin później, gdy tylko się ubrałam, wszedł Midwinter, przynosząc wieści otrzymane poranną pocztą od londyńskich pracodawców. Właściciele gazety dostali tak przychylne sprawozdanie z jego korespondencji z Neapolu, że zdecydowali o przeniesieniu go na łączącą się z większą odpowiedzialnością i wyższym honorarium placówkę w Turynie. W liście załączono instrukcje i proszono go, by jak najszybciej opuścił Neapol i objął nowe stanowisko.

Słyszając to, od razu, zanim zdążył zapytać, uwolniłam go od niepokoju o moją chęć przenosin. Turyn miał w moich oczach tę wielką zaletę, że leżał w drodze do Anglii. Z miejsca zapewniłam go, że jestem gotowa do wyjazdu, kiedy tylko zechce.

Dziękował mi za dostosowanie się do swoich planów ze swoją dawną łagodnością i dobrocią, których nie doświadczałam od dłuższego czasu. Otrzymane poprzedniego dnia dobre wieści od Armadale'a wyrwały go nieco, jak się zdawało, z rozpaczy, w jaką popadł po wypłynięciu jachtu. A teraz (jak sam przyznał) dodatkowo rozweseliła go i ożywiła perspektywa awansu oraz, nawet w większym

stopniu, opuszczenia pechowego miejsca, w którym ziściła się trzecia wizja ze snu. Zanim wyszedł poczynić przygotowania do podróży, zapytał, czy spodziewam się jakichś wiadomości od mojej „rodziny” w Anglii i czy ma polecić, aby listy do mnie były kierowane wraz z listami do niego na poste restante w Turynie. Z miejsca mu podziękowałam i przystałam na to. Jego propozycja, gdy tylko padła, podsunęła mi myśl, że moja fikcyjna „sytuacja rodzinna” może się jeszcze raz przydać jako powód niespodziewanego wezwania mnie z Włoch do Anglii.

Dziewiątego listopada osiedliśmy w Turynie.

Trzynastego Midwinter, jako że był bardzo zajęty, zapytał, czy miałabym czas i mogła zgłosić się po listy, które mogły nadejść za nami z Neapolu. Czekałam na tę sposobność i postanowiłam wykorzystać ją, przyjmując propozycję bez wahania. Na poczcie nie było listów do żadnego z nas. Kiedy jednak zapytał mnie o to po powrocie do domu, powiedziałam, że dostałam jeden list, przynoszący niepokojące wieści z „domu”. Moja „matka” była poważnie chora i proszono mnie, bym niezwłocznie pośpieszyła do Anglii, aby się z nią spotkać.

Teraz, gdy jestem daleko od niego, wydaje się to dość niewytłumaczalne, niemniej jednak jest prawdą, że nawet wtedy nie potrafiłam okłamać go jawnie i z premedytacją bez zahamowań i poczucia wstydu, które inni uważaliby, i które ja sama uważam, za całkowicie sprzeczne z moim charakterem. Sprzeczne czy nie, miałam je. A jeszcze dziwniejsze – może powinnam rzec: bardziej szalone – jest to, że gdyby obstawał przy swoim pierwotnym pomysle towarzyszenia mi w drodze do Anglii, jestem przekonana, że po raz drugi oparłabym się pokusie i ponownie oddałabym się dawnemu marzeniu o spokojnym i szczęśliwym życiu u boku kochającego męża.

Czy oszukuję teraz samą siebie? To bez znaczenia – śmiem twierdzić, że tak. Nieważne, co mogłoby się stać. Liczy się tylko to, co się rzeczywiście stało.

Skończyło się tym, że Midwinter dał się przekonać, iż jestem na tyle dorosła, by poradzić sobie w samotnej podróży do Anglii, i tym, że winien był ludziom z gazety, którzy powierzyli mu swoje interesy, nie opuszczać Turynu zaraz po objęciu placówki. Żegnając się ze mną, nie cierpiał tak, jak cierpiał, odprowadzając wzrokiem swego przyjaciela. Dostrzegłam to i właściwie oceniłam wyrażony przez

niego niepokój, abym do niego napisała. Żaden naprawdę kochający mnie mężczyzna nie przedkładałby swoich powinności względem gromady żurnalistów nad powinności wobec swojej żony. Nienawidzę go za to, że dał mi się przekonać! Chyba cieszył się, że się mnie pozbył. Myślę, że w Turynie wpadła mu w oko jakaś kobieta. Cóż, jeśli chce, niech spełnia swoją nową zachciankę! Niedługo będę wdową po panie Armadale'u z Thorpe Ambrose i jakie będą wtedy miały dla mnie znaczenie jego upodobania i antypatie?

Wydarzenia w podróży nie są warte wzmianki, a mój przyjazd do Londynu już został odnotowany na górze strony.

Co się tyczy dnia dzisiejszego, jedyną ważną rzeczą, jaką zrobiłam po przyjeździe do taniego i spokojnego hotelu, w którym teraz jestem, było posłanie po właściciela i poproszenie go, aby pomógł mi zdobyć poprzednie numery „The Timesa”. Uprzejmie zaoferował, że jutro rano osobiście zaprowadzi mnie w pewne miejsce w City, w którym trzyma się wszystkie gazety, jak to on nazywa, w kartotece. Do jutra zatem muszę, tak jak potrafię, powściągnąć moją żądzę wieści o Armadale'u. A więc na dziś mówię do widzenia przyjemnej refleksji na swój temat, jaka ukazuje się na tych stronach!

20 listopada. Jak dotąd żadnych wieści, ani w rubryce z klepsydrami, ani w żadnej innej części gazety. Przejrzałam uważnie po kolei wszystkie numery, poczynając od dnia, w którym Armadale napisał z Mesyny, do dziś i jestem pewna, że cokolwiek się zdarzyło, na razie w Anglii nic o tym nie wiadomo. Cierpliwości! Gazeta ma na mnie czekać każdego ranka przy śniadaniu aż do odwołania i każdy dzień może przynieść mi to, co najbardziej chciałabym zobaczyć.

21 listopada. Nadal żadnych wieści. Dla zachowania pozorów napisałam dziś do Midwintera.

Kiedy list był gotowy, popadłam w straszne przygnębienie – sama nie wiem czemu – i poczułam taką tęsknotę za odrobiną towarzystwa, że nie wiedząc, gdzie się udać, w desperacji udałam się do Pimlico, na wypadek gdyby Matka Oldershaw powróciła do dawnej kwatery.

Od czasu kiedy widziałam to miejsce podczas mojego wcześniejszego pobytu w Londynie, zaszły tu zmiany. Część domu należąca do doktora Downwarda nadal

stała pusta. Ale sklep był odświeżany i mieścił pracownię modystki oraz zakład krawiecki. Gdy weszłam, aby się czegoś dowiedzieć, zastałam same nieznajome osoby. Jednak adres pani Oldershaw podali mi bez wahania, z czego wnoszę, że drobna „trudność”, która zmusiła ją do ukrywania się w sierpniu, minęła, przynajmniej jeśli chodzi o nią. Co do doktora, ludzie w sklepie albo nie potrafili, albo udawali, że nie potrafią powiedzieć, co się z nim stało.

Nie wiem, czy to widok domu w Pimlico napełnił mnie takim obrzydzeniem, czy sprawiła to moja własna przewrotność albo jeszcze coś innego. Ale teraz, kiedy już miałam adres pani Oldershaw, poczułam, że jest ona ostatnią osobą na świecie, którą chciałabym zobaczyć. Wzięłam dorożkę i kazałam się zawieźć na ulicę, na której mieszkała, a potem wracać do hotelu. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, chyba chodzi o to, że z każdą godziną staję się coraz bardziej niespokojna o wiadomości o Armadale'u. Ciekawe, kiedy przyszłość zacznie się jawić w nieco jaśniejszych barwach. Jutro jest sobota. Czy jutrzejsza gazeta uchyli rąbka tajemnicy?

22 listopada. Sobotnia gazeta uchyliła rąbka tajemnicy! Słowa nie zdołają wyrazić osłupienia, w jakim się znajduję. Ani przez chwilę się tego nie spodziewałam. Teraz, kiedy się to zdarzyło, nie mogę w to uwierzyć ani przyjąć tego do wiadomości. To same wiatry i fale okazały się moimi sprzymierzeńcami! Jacht rozbił się na morzu i wszyscy, którzy byli na pokładzie, zginęli!

Oto opis zdarzenia wycięty z porannej gazety:

„KATASTROFA MORSKA. Do Królewskiej Eskadry Jachtowej i ubezpieczycieli dotarła informacja, która, o czym z przykrością zawiadamiamy, nie pozostawia wątpliwości, że piątego bieżącego miesiąca doszło do całkowitej straty jachtu »Dorothea« wraz z całą załogą. Szczegóły są następujące: za dnia, rankiem piątego listopada włoski bryg »Speranza« płynący po towar z Wenecji do Marsali natrafił na wysokości przylądka Spartivento (najdalej wysunięty na południe skrawek Włoch) na unoszące się na wodzie przedmioty, które zwróciły uwagę załogi. Poprzedniego dnia miał miejsce jeden z największych z nagłych i gwałtownych sztormów typowych dla południowych mórz, jakie pamiętano od lat. Ponieważ »Speranza« sama była w niebezpieczeństwie podczas sztormu, kapitan i załoga doszli do wniosku, że są na tropie wraku i spuszczone łódź w celu zbadania

przedmiotów na wodzie. Pierwszymi oznakami strasznej katastrofy, jaka miała miejsce, były kojec dla kur, połamane drzewce i fragmenty roztrzaskanych desek. Następnie znaleziono trochę poszarpanych i pogruchotanych mebli stanowiących wyposażenie kajuty. I wreszcie pojawiła się smutna pamiątka w postaci koła ratunkowego z doczepioną do niego zakorkowaną butelką. Te późniejsze znaleziska wraz z pozostałościami mebli zostały wciągnięte na pokład »Speranzy«. Na kole ratunkowym namalowana była nazwa jednostki jak następuje: »Dorothea, K. E. J.« (co znaczy Królewska Eskadra Jachtowa). Butelka po odkorkowaniu okazała się zawierać kartkę papieru z brulionu, na której ołówkiem pośpiesznie skreślono następujące słowa: »Na wysokości przylądka Spartivento, dwa dni drogi od Mesyny. 5 lis., 4 po południu« (godzina, o której według dziennika pokładowego włoskiego brygu sztorm osiągnął punkt kulminacyjny). »Obie nasze szalupy zostały uszkodzone przez morze. Ster się urwał, a na rufie mamy przeciek, którego nie jesteśmy w stanie zatrzymać. Niech nam Bóg dopomoże – toniemy. (podpisano) John Mitchenden, mat«. Po dotarciu do Marsali kapitan brygu złożył raport brytyjskiemu konsulowi i zostawił znalezione przedmioty pod opieką owego dżentelmena. Po zbadaniu sprawy w Mesynie okazało się, że feralna jednostka przybyła tam z Neapolu. W tym ostatnim porcie ustalono, że »Dorothea« została wyczarterowana od agenta właściciela przez angielskiego dżentelmena, pana Armadale'a z Thorpe Ambrose w hrabstwie Norfolk. Nie ustalono jednoznacznie, czy z panem Armadale'em na pokładzie byli jacyś przyjaciele. Jednak niestety nie ma wątpliwości, że sam pechowy dżentelmen wypłynął jachtem z Neapolu i że również znajdował się na pokładzie jednostki, gdy ta opuszczała Mesynę”.

Oto historia wraku, tak jak w prosty i zwięzły sposób podaje ją gazeta. W głowie mi wiruje. Jestem tak zdezorientowana, że myślę o pięćdziesięciu różnych rzeczach, próbując myśleć o jednej. Muszę poczekać – dzień lub dwa więcej są teraz bez znaczenia – muszę poczekać, aż będę mogła stanąć w obliczu mojej nowej pozycji, nie czując się nią oszołomiona.

23 listopada. Ósma rano. Wstałam godzinę temu i jasno ujrzałam, co w obecnej sytuacji przede wszystkim powinnam zrobić.

Jest dla mnie kwestią najwyższej wagi dowiedzieć się, co się dzieje w Thorpe

Ambrose, a byłoby szczytem nierozwagi zapuszczać się tam osobiście, podczas gdy nadal nie wiem dokładnie, jak się sprawy mają. Jediną możliwością jest napisać do kogoś na miejscu z prośbą o informacje, a jedyną osobą, do której mogę się zwrócić, jest – Bashwood.

Właśnie skończyłam pisać list. Nosi on nagłówek „prywatne i poufne” i jest podpisany „Lydia Armadale”. Nie ma w nim nic, co mogłoby mnie skompromitować, gdyby ten stary głupiec śmiertelnie obraził się na sposób, w jaki go potraktowałam, i mściwie pokazał list innym ludziom. Ale myślę, że tego nie zrobi. Mężczyzna w jego wieku wybacza kobiecie wszystko, jeśli tylko kobieta go zachęci. Poprosiłam go, aby w ramach osobistej przysługi zachował na razie naszą korespondencję w ścisłej tajemnicy. Napomknęłam, że moje małżeńskie pożycie ze zmarłym mężem nie było zbyt udane i że dostrzegam nieroztropność, jaką było poślubienie młodego mężczyzny. W postscriptum posuwam się jeszcze dalej i śmiało pozwalam sobie na te pocieszające słowa: „Mogę wyjaśnić, drogi Panie Bashwood, to, co w moim zachowaniu względem Pana mogło wydawać się nieuczciwe i podstępne, jeśli da mi Pan szansę zrobić to osobiście”. Gdyby był przed sześćdziesiątką, nie byłabym pewna efektów. Ale jest po sześćdziesiątce i myślę, że da mi szansę zrobić to osobiście.

Dziesiąta. Przyglądałam się mojemu odpisowi metryki ślubu, w który postarałam się zaopatrzyć już w dniu ślubu, i ku swemu niewysłowionemu przerażeniu odkryłam przeszkodę w pojawieniu się w charakterze wdowy po Armadale’u, dostrzeżoną tu po raz pierwszy.

Opis Midwintera (pod jego własnym nazwiskiem), jaki pojawia się w dokumencie, odpowiada w każdym istotnym szczególe opisowi Armadale’a z Thorpe Ambrose, gdybym naprawdę go poślubiła. „Imię i nazwisko”: Allan Armadale. „Wiek”: dwadzieścia jeden lat zamiast dwadzieścia dwa, co z łatwością można uznać za pomyłkę. „Stan”: kawaler. „Pozycja lub zawód”: dżentelmen. „Miejsce zamieszkania w chwili zawarcia małżeństwa”: Frant’s Hotel, Darley Street. „Imię i nazwisko ojca”: Allan Armadale. „Pozycja lub zawód ojca”: dżentelmen. Każdy szczegół (z wyjątkiem wynoszącej rok różnicy wieku), który odpowiada jednemu z nich, odpowiada również drugiemu. Co jednak się stanie

w chwili, gdy pokażę mój odpis aktu, jeśli jakiś wścibski prawnik będzie chciał zobaczyć oryginalny rejestr? Charakter pisma Midwintera zupełnie różni się od charakteru pisma jego zmarłego przyjaciela. Ręka, którą napisał „Allan Armadale” w księdze ślubów w żadnym razie nie ujdzie za rękę, którą Armadale z Thorpe Ambrose zwykł był się podpisywać.

Czy mogę bezpiecznie działać, podczas gdy otwiera się przede mną podobna pułapka? Skąd mam to wiedzieć? Gdzie mogę znaleźć doświadczoną osobę, która mogłaby mi poradzić? Muszę zamknąć dziennik i pomyśleć.

Siódma wieczorem. Od czasu ostatniego wpisu moje perspektywy znowu się zmieniły. Dostałam ostrzeżenie, aby mieć się na baczności, którego nie mogę lekceważyć, i udało mi się (jak sądzę) zapewnić sobie radę i pomoc, których potrzebuję.

Po tym, jak bezskutecznie próbowałam znaleźć w myślach kogoś lepszego, do którego mogłabym zwrócić się z niepokojącym mnie problemem, chcąc nie chcąc zdecydowałam, że ukochana Lydia zaskoczy panią Oldershaw niespodziewaną wizytą! Nie trzeba dodawać, że postanowiłam dokładnie ją wybadać, sama nie ujawniając żadnych ważnych sekretów.

Do domu wpuściła mnie skwaszona i poważna stara pokojówka. Kiedy zapytałam o jej panią, przypomniała mi z oburzeniem, że popełniłam nietakt, składając wizytę w niedzielę. Pani Oldershaw była w domu, wyłącznie ze względu na to, że czuła się zbyt źle, aby pójść do kościoła! Służąca uważała za bardzo wątpliwe, by jej pani chciała mnie przyjąć. Ja wręcz przeciwnie – uważałam, że z dużym prawdopodobieństwem zaszczyci mnie rozmową dla własnego dobra, jeśli zostanę zapowiedziana jako „panna Gwilt”, i okazało się, że miałam rację. Po kilku minutach czekania wprowadzono mnie do salonu.

Przedemną siedziała Matka Jezabel, sprawiając wrażenie kobiety, która kroczy prostą drogą do nieba. Ubrana była w ciemnopopielatą suknię, szare mitenki i ascetyczny czepek. Na jej podołku spoczywał zbiór kazań. Na mój widok pobożnie przewróciła oczami, a pierwsze jej słowa brzmiały: „Och, Lydio! Lydio! Dlaczego nie jesteś w kościele?”.

Gdybym była mniej zatroskana, nagłe pojawienie pani Oldershaw w zupełnie

nowej roli mogłoby mnie śmieszyć. Ale nie było mi do śmiechu i (ponieważ wszystkie moje weksle zostały spłacone) nic nie zmuszało mnie do powściągnięcia mojej naturalnej swobody wypowiedzenia się. „Bzdury!”, powiedziałam. „Schowaj swoją niedzielną minę do kieszeni. Mam dla ciebie nowiny aż od czasu, gdy ostatnio pisałam z Thorpe Ambrose”.

W chwili, gdy wspomniałam o Thorpe Ambrose, ta stara hipokrytka znów przewróciła oczami i stanowczo stwierdziła, że nie chce słyszeć ani słowa więcej na temat moich poczynań w hrabstwie Norfolk. Nalegałam, ale na nic się to zdało. Matka Oldershaw jedynie potrząsnęła głową i jęknęła, po czym poinformowała mnie, że jej związki ze zbytkami i marnościami tego świata skończyły się na zawsze. „Narodziłam się na nowo, Lydio”, powiedziała ta cyniczna stara łajdaczka, wycierając oczy. „Nic nie skłoni mnie do tego, aby powrócić do tematu tej twojej niecnej intrygi opierającej się na głupocie bogatego młodzieńca”.

Usłyszawszy to, byłabym wyszła natychmiast, gdyby nie jedna myśl, która kazała mi się zatrzymać chwilę dłużej.

Łatwo dało się zauważyć, że okoliczności (jakikolwiek one nie były), pod wpływem których Matka Oldershaw ukrywała się podczas mojej ostatniej bytności w Londynie, były na tyle poważne, że zmusiły ją do porzucenia albo do zachowania pozorów porzucenia dawnego interesu. Było też równie jasne, że czerpała z tego pożytek – wszyscy w Anglii znajdują jakiś pożytek w tym, że starannie maskują swój charakter gładką warstewką obłudy. To jednak nie była moja sprawa i poczyniłabym te rozważania poza domem zamiast w nim, gdyby nie zależało mi na tym, aby sprawdzić szczerotę przemiany Matki Oldershaw – jeśli chodziło o jej niegdysiejszy związek ze mną. Pamiętam, że w czasie, gdy przygotowywała mnie do naszego przedsięwzięcia, podpisałam pewien dokument, który zapewniał jej sowity udział w moich zyskach, gdybym została panią Armadale z Thorpe Ambrose. Możliwość użycia tego dokuczliwego kawałka papieru w dobrym celu jako probierza była zbyt kusząca, aby z niej nie skorzystać. Poprosiłam moją pobożną przyjaciółkę, by wolno mi było powiedzieć ostatnie słowo, zanim wyjdę.

„Skoro nie interesuje cię już moja niecna intryga w Thorpe Ambrose”, rzekłam, „może zwrócisz mi ten dokument, który podpisałam, kiedy nie byłaś jeszcze taką

przykładną osobą jak teraz?”

Bezwstydną stara obłudnica natychmiast zamknęła oczy i zadrżała.

„Czy to oznacza »tak« czy »nie«?”, zapytałam.

„Ze względów moralnych i religijnych, Lydio”, odezwała się pani Oldershaw, „oznacza to »nie«”.

„Ze względów niegodziwych i światowych”, odparłam, „dziękuję, że pokazałaś, o co naprawdę ci chodzi”.

Teraz nie mogło być już wątpliwości co do tego, jaki był jej prawdziwy cel. Nie będzie już ryzykować i pożyczać mi pieniędzy, pozwoli mi zwyciężyć lub przegrać w pojedynkę. Jeśli przegram, nie skompromituje się. Jeśli wygram, wyciągnie dokument, który podpisałam, i bez skrupułów z niego skorzysta. W mojej obecnej sytuacji bezsensowne wysuwanie oskarżeń z mojej strony byłoby jedynie stratą czasu. Zakonotowałam sobie ostrzeżenie na przyszłość i podniosłam się, aby wyjść.

W chwili, gdy wstałam z krzesła, dały się słyszeć dwa głośne stuknięcia w drzwi frontowe. Pani Oldershaw najwidoczniej je rozpoznała. Zerwała się z miejsca i zadzwoniła na służbę. „Jestem zbyt chora, by kogokolwiek przyjmować”, rzekła, gdy pojawiła się pokojówka. „Poczekaj chwilę, jeśli łaska”, dodała, zwracając się do mnie ostro, kiedy służąca wyszła, aby otworzyć drzwi.

Wiem, że z mojej strony była to drobna, bardzo drobna złośliwość, ale nie mogłam odmówić sobie przyjemności dokuczenia Matce Jezabel, nawet jeśli chodziło o taką błahostkę. „Nie mogę czekać”, powiedziałam, „właśnie przypomniałaś mi, że powinnam teraz być w kościele”. Nim zdążyła odpowiedzieć, wyszłam z pokoju.

Kiedy postawiłam stopę na pierwszym stopniu, drzwi wejściowe otwarły się i jakiś męski głos spytał, czy zastał panią Oldershaw.

Od razu rozpoznałam ten głos. Doktor Downward!

Doktor powtórzył wiadomość służącej tonem zdradzającym niewątpliwą irytację faktem, że nie został wpuszczony za próg.

„Twoja pani jest zbyt chora, by przyjmować gości? Daj jej tę kartkę”, rzekł doktor, „i powiedz, że następnym razem, kiedy przyjdę, oczekuję, że będzie na tyle

zdrowa, aby mnie przyjąć”.

Gdyby jego głos nie zdradził otwarcie, że nie był przyjaźnie nastawiony do pani Oldershaw, śmiem twierdzić, że pozwoliłabym mu odejść, nie przypominając mu się. W tej jednak sytuacji poczułam impuls nakazujący mi porozmawiać z nim lub z inną osobą, która miała do Matki Jezabel jakąś urazę. Znow dała o sobie znać, jak sądzę, złośliwa część mojego charakteru. Tak czy owak, wymknęłam się na dół i skradając się za doktorem, dogoniłam go na ulicy.

Najpierw rozpoznałam jego głos, potem jego plecy. Kiedy jednak zawołałam go po nazwisku i kiedy obrócił się, wyraźnie zaskoczony, i stanął przede mną, poszłam za jego przykładem i ja z kolei dałam się zaskoczyć. Twarz doktora przemieniła się w oblicze kogoś zupełnie nieznanego! Łysina ukryła się pod umiejętnie posiwiąłą peruką. Zapuścił bokobrody i pofarbował je pod kolor nowej czupryny. Zamiast ładnych binokli, które zwykł nosić w rękę, jego nosa dosiadały ohydne, okrągłe okulary, a czarna apaszka, nad którą górował olbrzymi kołnierz od koszuli, okazała się niegodnym następcą dawnego białego biurowego fularu. Z mężczyzny, którego niegdyś znałam, nie pozostało nic poza pulchnością sylwetki oraz poufałą grzecznością i łagodnością w głosie i obejściu.

„Miło znowu panią widzieć”, powiedział doktor, rozglądając się z pewnym niepokojem i pośpiesznie wyjmując wizytownik. „Ale, droga panno Gwilt, pozwoli pani, że poprawię drobny błąd z pani strony. Doktor Downward z Pimlico umarł na zawsze i będę pani nieskończenie zobowiązany, jeśli nigdy pod żadnym pozorem nie wspomni pani o nim więcej!”

Wzięłam bilet wizytowy, który mi podał, i odkryłam, że mam teraz przyjemność z „Doktorem Le Doux z Sanatorium, Fairweather Vale, Hampstead”.

„Wygląda na to, że uznał pan za konieczne”, rzekłam, „zmienić wiele rzeczy od czasu, gdy widziałam pana po raz ostatni – nazwisko, adres, wygląd...?”

„Oraz specjalizację”, wtrącił doktor. „Nabyłem od pierwszego właściciela (osoby mało przedsiębiorczej i pozbawionej środków) nazwisko, dyplom i częściowo ukończone sanatorium dla osób nerwowo chorych. Już teraz oczekujemy wizytacji kilku uprzywilejowanych przyjaciół – proszę przyjść i nas odwiedzić. Idzie pani w moją stronę? Proszę przyjąć moje ramię i powiedzieć, jakiej to szczęśliwej

okoliczności zawdzięczam przyjemność ponownego widzenia pani”.

Przedstawiłam okoliczności dokładnie tak, jak się miały, i dodałam (chcąc się upewnić co do jego stosunków z dawną sojuszniczką z Pimlico), że byłam bardzo zdziwiona, słysząc, iż drzwi domu pani Oldershaw zamknęły się przed takim starym przyjacielem jak on. Jakkolwiek doktor był ostrożny, sposób, w jaki zareagował na moją uwagę, z miejsca mnie upewnił, że moje podejrzenia dotyczące oziębienia stosunków były zasadne. Uśmiech znikł z jego twarzy, a on z irytacją umieścił swoje ohydne okulary na grzbiecie nosa.

„Proszę wybaczyć, jeśli pozwolę pani wyciągać własne wnioski”, rzekł. „Temat pani Oldershaw jest, niestety, niezbyt dla mnie miły w obecnych okolicznościach – problem w interesach związany z naszą dawną spółką w Pimlico, zupełnie nieciekawym dla takiej młodej i olśniewającej kobiety jak pani. Proszę powiedzieć mi, co u pani! Odeszła pani z posady w Thorpe Ambrose? Mieszka pani w Londynie? Czy jest coś, co mogę dla pani zrobić, zawodowo lub w inny sposób?”

To ostatnie pytanie było ważniejsze, niż sądził. Zanim odpowiedziałam, poczułam, że muszę się z nim rozstać, by zyskać nieco czasu do namysłu.

„Był pan tak uprzejmy, doktorze, aby mnie do siebie zaprosić”, powiedziałam. „W pańskim cichym domu w Hampstead mogę mieć panu do powiedzenia coś, czego nie mogę powiedzieć na ruchliwej ulicy. Kiedy będzie pan w sanatorium? Czy zastanę tam pana dziś o późniejszej porze?”

Doktor zapewnił mnie, że jest w drodze powrotnej do domu, i poprosił, abym sama wyznaczyła godzinę. „Po południu”, rzekłam i wymawiając się spotkaniem, zatrzymałam pierwszy mijający nas omnibus. „Proszę nie zapomnieć adresu”, powiedział doktor, pomagając mi wsiąść. „Mam pana bilet wizytowy”, odparłam i tak się rozstaliśmy.

Wróciłam do hotelu, poszłam do swojego pokoju i oddałam się trwożliwym rozmyśleniom.

Poważna przeszkoda w postaci podpisu w księdze małżeństw nadal stała mi na drodze. Wszelkie nadzieje uzyskania pomocy ze strony pani Oldershaw rozwiały się. Od tej pory mogłam ją postrzegać jedynie jako czającego się w ciemności wroga –

wroga, w co teraz już ani odrobinę nie wątpiłam, który kazał mnie śledzić i obserwować, kiedy ostatnim razem byłam w Londynie. Do jakiego innego doradcy mogłam się zwrócić po poradę, której z powodu mojej nieszczęsnej nieznajomości prawa i interesów musiałam szukać u kogoś bardziej doświadczonego niż ja? Czy mogłam pójść do prawnika, z którym konsultowałam się, mając zamiar poślubić Midwintera pod moim panińskim nazwiskiem? Niepodobna! Pomijając już jego chłodne przyjęcie ostatnim razem, porada, jakiej teraz potrzebowałam, dotyczyła (jakkolwiek bym nie tuszowała faktów) zlecenia oszustwa – oszustwa tego rodzaju, w którym żaden szanujący się prawnik nie zgodziłby się maczać palców, jeśli miałby do stracenia dobre imię. Czy poza tym przychodziła mi do głowy jakaś kompetentna osoba? Tylko i wyłącznie jedna – doktor, który umarł w Pimlico i ożył ponownie w Hampstead.

Wiedziałam, że jest całkowicie pozbawiony skrupułów, że ma doświadczenie w interesach, którego mnie samej brakowało, i że w całym Londynie trudno o drugiego równie przebiegłego, sprytnego i przewidującego człowieka. Poza tym tego ranka dokonałam dwóch istotnych dotyczących go odkryć. Po pierwsze, był skłócony z panią Oldershaw, co chroniło mnie przed groźbą spiskowania ich przeciwko mnie, gdybym mu zaufała. Po drugie, sytuacja nadal zmuszała go do ukrywania swojej tożsamości, co dawało mi nad nim kontrolę pod żadnym względem nieustępującą tej, jaką on mógłby zdobyć nade mną. Ze wszech miar był on właściwym człowiekiem, jedynym człowiekiem do moich celów, a jednak wahałam się, czy do niego pojechać – wahałam się przez całą godzinę z okładem, nie wiedząc czemu!

Wybiła druga, gdy wreszcie zdecydowałam się złożyć doktorowi wizytę. Po tym, jak następnie przez kolejną godzinę rozważałam w najdrobniejszych szczegółach, ile mu powiedzieć, w końcu posłałam po dorożkę i około trzeciej po południu wyruszyłam do Hampstead.

Trafienie do sanatorium sprawiło mi niejaką trudność.

Okazało się, że Fairweather Vale to nowa część miasta, znajdująca się poniżej wyniosłości, na której leżało Hampstead, od południowej strony. Dzień był pochmurny i miejsce wyglądało bardzo ponuro. Nadjechaliśmy nową drogą biegnącą

między dwoma szpalerami drzew, która mogła być kiedyś aleją parkową prowadzącą do wiejskiej posiadłości. Na końcu otwarło się przed nami pustkowie urozmaicone gdzieniegdzie niedokończonymi willami i zaśmiecone walającymi się wokół deskami, taczkami i materiałami budowlanymi wszelkiej maści. W jednym punkcie tej żalosnej sceny stało wielkie, zarośnięte, ponure domostwo otynkowane na szaro i otoczone nagim, przysłym ogrodem bez jednego krzewu czy kwiatu, stanowiącym straszny widok. Na otwartej na oścież żelaznej bramie prowadzącej do ogrodu widniała nowa, mosiężna tabliczka z wrytym wielkimi, czarnymi literami napisem: „Sanatorium”. Dzwonek, poruszony przez dorożkarza, zabrzmiał w pustym domu jak dzwon żałobny, a blady, zasuszony staruszek w czerni, który otworzył drzwi, wyglądał tak, jakby wyszedł z grobu, aby dokonać tej posługi. Z wnętrza wypuścił zapach mokrego tynku i świeżej farby, a do środka wpuścił wraz ze mną przeszywający powiew wilgotnego, listopadowego powietrza. Wtedy tego nie zauważyłam, ale teraz, kiedy o tym piszę, przypominam sobie, że przekraczając próg, zadygotałam.

Przedstawiłam się służącemu jako „pani Armadale” i zostałam zaproszona do poczekalni. Nawet ogień w kominku dogorywał z powodu wilgoci. Jedynymi książkami leżącymi na stole były *Dzieła* doktora w stonowanych, szarych okładkach, a jedyną ozdobę ścian stanowił zagraniczny dyplom (starannie oprawiony za szkłem), który doktor posiadał w drodze kupna wraz z obco brzmiącym nazwiskiem.

Po chwili wszedł właściciel sanatorium i na mój widok podniósł ręce w geście radosnego zdumienia.

„Nie miałem pojęcia, kim jest »pani Armadale«!”, powiedział. „Moja droga damo, czy i pani również zmieniła nazwisko? Jak to sprytnie z pani strony, że nie powiedziała mi tego, gdy się spotkaliśmy dziś rano! Zapraszam do mojego prywatnego, przytulnego kącika – nie mogę znieść myśli, że tak dawna i droga przyjaciółka jak pani jest trzymana w poczekalni dla pacjentów”.

Prywatny, przytulny kącik doktora znajdował się na tyłach domu, okna wychodziły na pola i drzewa, na które budowniczcy już wydali wyrok śmierci, ale jeszcze go nie wykonali. Jeden koniec pokoju wypełniały zamknięte w mosiądz, skórę i szkło potworne eksponaty, powykręcane jak gdyby były to czujące istoty

skręcające się z bólu. Przeciwną ścianę zajmował przeszklony regał, prezentując na półkach długie rzędy słów, w których w żółtym płynie unosiły się matowobiałe, bezkształtne, martwe stworzenia. Nad kominkiem wisiała kolekcja fotograficznych portretów mężczyzn i kobiet zamknięta w dwie duże ramy wiszące obok siebie z odstępem pośrodku. Rama po lewej przedstawiała objawy cierpienia nerwowego widoczne w twarzy. Rama po prawej obrazowała spustoszenie wywołane obłędem z tego samego punktu widzenia. Przestrzeń pomiędzy ramami zajmował pięknie iluminowany zwój, na którym wykaligrafowano uświęcone tradycją motto: „Lepiej zapobiegać niż leczyć”.

„Oto ja, z moim aparatem galwanicznym, zakonserwowanymi okazami i całą resztą”, odezwał się doktor, usadzając mnie na krześle przy kominku. „A oto moja metoda niemo zwracająca się do pani tuż znad pani głowy w formie ekspozycji, którą ośmielam się opisać jako nagą prawdę. To nie jest dom wariatów, moja droga pani. Niech inni leczą obłęd, jeśli chcą – ja mu zapobiegam! Na razie w domu nie ma pacjentów. Ale żyjemy w czasach, gdy chaos psychiczny (ojciec obłędu) stale się wzmacnia i w swoim czasie pojawią się cierpiący. Mogę czekać, podobnie jak czekał Harvey, jak czekał Jenner. A teraz niech pani oprze stopy na kracie przed kominkiem i opowie mi o sobie. Jest pani oczywiście mężatką? Jakie ładne nazwisko! Proszę przyjąć moje najlepsze, płynące z głębi serca gratulacje! Posiada pani dwa największe błogosławieństwa, jakie mogą przypaść w udziale kobiecie: męża i dom”.

Przy pierwszej sposobności powstrzymałam wesoły potok gratulacji doktora.

„Jestem mężatką, ale okoliczności mojego małżeństwa bynajmniej nie są zwyczajne”, powiedziałam poważnie. „Moje obecne położenie nie ma nic wspólnego z błogosławieństwami, jakie zazwyczaj mają przypaść w udziale kobiecie. Już teraz znajduję się w poważnych tarapatkach, a niedługo mogę znaleźć się również w poważnym niebezpieczeństwie”.

Doktor przysunął krzesło nieco bliżej i z miejsca popadł w swój dawny profesjonalny sposób bycia i poufny ton.

„Jeśli chce się mnie pani poradzić”, powiedział łagodnie, „wie pani, że w swoim czasie dochowałem kilku mrocznych tajemnic, i wie również, że jako doradca

posiadam dwie cenne cechy. Niełatwo mnie zaszokować i można mi bezgranicznie zaufać”.

Siedząc z nim sam na sam w jego pokoju nawet teraz, w ostatniej chwili, zawahałam się. Tak dziwne było zwierzyć się komuś innemu niż ja sama! A jednak, jak mogłam nie zaufać komuś innemu, borykając się z problemem, który dotyczył kwestii prawnych?

„Wie pani, że może mi powiedzieć, ile chce”, dodał doktor. „Nigdy nie zachęcam do zwierzeń. Jedynie je przyjmuję”.

Nie było rady. Przyszłam tam nie po to, aby się wahać, ale aby mówić. Zaryzykowałam i przemówiłam.

„Sprawa, w jakiej chciałabym się pana poradzić”, rzekłam, „wykracza (wbrew temu, co zdaje się pan myśleć) poza pańskie doświadczenie zawodowe. Sądzę jednak, że może mi pan pomóc, jeśli zdam się na pańskie szersze doświadczenie jako człowieka światowego. Z góry ostrzegam, że z pewnością pana zdziwię, a może i zatrwożę, zanim skończę”.

Po tym wstępie przeszłam do mojej opowieści, mówiąc mu tylko to, co wcześniej już postanowiłam powiedzieć.

Na początek nie robiłam tajemnicy z tego, że zamierzam udawać wdowę po Armadale’u i bez wahania (wiedząc, że doktor może pójść do kancelarii i sam zbadać testament) wymieniłam okazały dochód, który przypadnie mi w udziale w razie powodzenia. Niektóre następujące potem okoliczności uznałam za stosowne zmienić lub zataić. Pokazałam mu relację o katastrofie jachtu zamieszczoną w gazecie, ale nie mówiłam nic o tym, co zdarzyło się w Neapolu. Poinformowałam go o zbieżności nazwisk, pozwalając mu myśleć, że jest ona przypadkowa. Jako ważny szczegół w sprawie powiedziałam mu, że mój mąż starannie ukrywał swoje prawdziwe nazwisko przed wszystkimi z wyjątkiem mnie, ale (aby nie dopuścić do kontaktów między nimi) zataiłam przed doktorem przybrane nazwisko, pod którym Midwinter występował przez całe życie. Przyznałam, że mój mąż pozostał na kontynencie, ale kiedy doktor mnie o to zapytał, pozwoliłam mu wyciągnąć wniosek – przy całym swoim zdecydowaniu nie mogłam powiedzieć mu tego wprost! – że Midwinter wiedział o planowanym oszustwie i że celowo trzyma się na uboczu, aby

nie narażać mnie swoją obecnością. Po przewyciężeniu tej trudności – a raczej, gdy teraz na to patrzę, po popełnieniu tej niegodziwości – powróciłam do swojej opowieści i znów odsłaniałam prawdę. Jedną po drugiej opowiedziałam o wszystkich okolicznościach związanych z moim potajemnym małżeństwem i z posunięciami Armadale’a oraz Midwintera, które sprawiały, że odkrycie, iż podszywam się pod inną osobę (na podstawie zeznań innych ludzi), było stanowczo niemożliwe. „To wszystko”, powiedziałam na zakończenie, „jeśli chodzi o cel, jaki mam na uwadze. Teraz muszę powiedzieć panu otwarcie o poważnej przeszkodzie, jaka stoi mi na drodze”.

Doktor, który dotąd słuchał, nie przerywając mi, w tym miejscu poprosił, aby wolno mu było powiedzieć kilka słów.

„Kilka słów” okazało się być pytaniami – sprytnymi, dociekliwymi, podejrzliwymi pytaniami – na które jednak zdołałam odpowiedzieć bez wahania lub z małym wahaniem, ponieważ niemal bez wyjątku wszystkie odnosiły się do okoliczności, w jakich wyszłam za mąż, i tego, jakie szanse na powodzenie ma mój prawowity mąż, jeśli zechce w przyszłości rościć sobie do mnie prawo.

Poinformowałam doktora, że, po pierwsze, tak pokierowałam sprawami w Thorpe Ambrose, aby sprawić ogólne wrażenie, że Armadale ma zamiar mnie poślubić; po drugie, że tryb życia, jaki wcześniej prowadził mój mąż, nie stawia go w korzystnym świetle w oczach świata; po trzecie, że pobraliśmy się bez żadnych znanych świadków, w dużym kościele parafialnym, w którym tego samego ranka wzięły ślub dwie inne pary, nie mówiąc już o dziesiątkach i setkach innych par, które wzięły w nim ślub od tego czasu (zacierając pamięć o nas wśród tych, którzy udzielali nam ślubu). Kiedy przedstawiłam doktorowi powyższe fakty i kiedy następnie upewnił się on, że Midwinter i ja wyjechaliśmy za granicę w towarzystwie nieznanym zaraz po wyjściu z kościoła i że marynarze zatrudnieni na jachcie, którym Armadale wypłynął z hrabstwa Somerset (zanim wyszłam za mąż), znajdowali się obecnie na statkach płynących na drugi koniec świata, jego wiara w powodzenie mojego planu wyraźnie objawiła się na jego twarzy. „Z tego, co widzę”, rzekł, „roszczenie pani męża do pani (po tym, jak obejmie pani rolę wdowy po zmarłym Armadale’u) nie opierałoby się na niczym poza jego własnym

zapewnieniem. A temu, jak sędzę, łatwo będzie się mogła pani przeciwstawić. Proszę wybaczyć moją jawną nieufność wobec tego dżentelmena. Ale w przyszłości może między wami dojść do nieporozumienia i jest wysoce wskazane, aby zawczasu dokładnie upewnić się, co mógłby on zrobić w takiej sytuacji, a czego nie. A teraz, kiedy już uporaliśmy się z główną przeszkodą, jaką widzę na pani drodze do sukcesu, przejdźmy do przeszkody, jaką pani z kolei dostrzega!”

Miałam wielką chęć do niej przejść. Ton, jakim mówił o Midwinterze, choć ja sama byłam mu winna, niepomniecznie mnie drażnił i na chwilę rozbudził we mnie resztki tego dawnego szaleństwa, jakim było uczucie do niego, które, jak mi się zdawało, uśpiłam na zawsze. Skwapliwie skorzystałam z okazji do zmiany tematu i wspomniałam o rozbieżności w księdze małżeństw pomiędzy charakterem pisma, jakim Midwinter podpisał się jako Allan Armadale, a tym, jakim zwykł był podpisywać się Armadale z Thorpe Ambrose. Mówiłam o tym z zapałem, który dość rozbawił doktora.

„To wszystko?”, zapytał, ku mojemu nieskończonemu zdziwieniu i uldze, kiedy skończyłam. „Moja droga damo, proszę się o nic nie martwić! Jeśli prawnicy świętej pamięci pana Armadale’a będą chcieli dowodu waszego małżeństwa, damę słowo, nie będą go szukać w kościelnych rejestrach!”

„Co?!”, wykrzyknęłam w osłupieniu. „Chce pan powiedzieć, że wpis w rejestrze nie jest dowodem mojego małżeństwa?”

„Jest dowodem na to”, powiedział doktor, „że kogoś pani poślubiła. Ale nie dowodzi tego, że poślubiła pani pana Armadale’a z Thorpe Ambrose. Równie dobrze Jack Nokes albo Tom Styles (proszę wybaczyć pospolitość przykładów!) mógł być zdobyć zezwolenie i udać się do kościoła, aby ożenić się z panią pod nazwiskiem pana Armadale’a, a rejestr (bo jak mogłoby być inaczej?) musiałby w tym przypadku nieświadomie dopomóc w oszustwie. Widzę, że panią zdziwiłem. Moja droga damo, kiedy weszła pani w ten frapujący interes, zdziwiła mnie pani tym – teraz mogę to przyznać – że przywiązywała taką wagę do osobliwej zbieżności nazwisk. Mogła pani podjąć to niezwykle śmiałe i romantyczne przedsięwzięcie, w które jest pani teraz zaangażowana, niekoniecznie poślubiając swojego obecnego męża. Każdy inny mężczyzna nadałby się równie dobrze, pod warunkiem że

zgodziłyby się w tym celu przybrać nazwisko pana Armadale'a”.

Na te słowa ogarnęło mnie wzburzenie. „Każdy inny mężczyzna nadałby się równie dobrze”, odparłam natychmiast, „ale gdyby nie zbieżność nazwisk, całe przedsięwzięcie nigdy nawet nie przyszłoby mi do głowy”.

Doktor przyznał, że odezwał się zbyt pochopnie. „Ten osobisty punkt widzenia umknął mi, przyznaję”, rzekł. „Ale powróćmy do sedna sprawy. W trakcie tego, co mogę określić jako pełna przygód praktyka lekarska, nie raz stykałem się z przedstawicielami prawa i miałem możliwość obserwowania ich poczynań w przypadkach, nazwijmy to, prawoznawstwa rodzinnego. Jestem całkowicie pewny, że się nie mylę, mówiąc pani, iż dowód, jakiego będą wymagać przedstawiciele pana Armadale'a, będzie stanowić zeznanie świadka obecnego na ślubie, który na podstawie własnej wiedzy poświadczy tożsamość pana młodego i panny młodej.

„Ale już panu mówiłam”, powiedziałam, „że nie było takiego świadka”.

„Właśnie”, odrzekł doktor. „W takim razie tym, czego pani teraz potrzebuje, zanim będzie mogła bezpiecznie dalej realizować swój plan, jest – proszę wybaczyć wyrażenie – gotowy świadek, posiadający rzadko spotykane walory moralne i osobiste, któremu można zaufać, że przyjmie odpowiednią rolę i złoży odpowiednie oświadczenie przed sądem pokoju. Czy zna pani taką osobę?”, zapytał doktor, cofając się na oparcie krzesła i patrząc na mnie z wyrazem skończonej niewinności.

„Znam tylko pana”, powiedziałam.

Doktor zaśmiał się cicho. „Jak to kobieta!”, zauważył z wesołością, która wydała mi się w najwyższym stopniu irytująca. „Gdy tylko upatrzy sobie cel, rzuca się na niego na oślep najkrótszą drogą. Ach, słaba płeć, słaba płeć!”

„Mniejsza o płeć!”, wybuchnęłam zniecierpliwiona. „Oczekuję poważnej odpowiedzi: tak czy nie?”

Doktor wstał i z wielką powagą oraz godnością wskazał na pokój wyciągniętą ręką. „Widzi pani ten olbrzymi zakład”, zaczął, „może pani sobie do pewnego stopnia wyobrazić, jak ogromną stawką jest dla mnie jego rozkwit i sukces. Pani doskonała intuicja podpowie pani, że dyrektor sanatorium musi być człowiekiem

o nieposzlakowanej opinii...”

„Po co tracić tyle słów”, rzekłam, „tam, gdzie wystarczy jedno? Chce pan powiedzieć »nie«!”

Dyrektor sanatorium nagle ponownie wcielił się w rolę mojego zaufanego przyjaciela.

„Moja droga damo”, powiedział, „ani tak, ani nie na zawołanie. Proszę dać mi czas do jutrzejszego popołudnia. Do tej pory podejmuję się być gotowy zrobić jedną z dwóch rzeczy – albo z miejsca wycofać się z tego interesu, albo całym sercem zaangażować się w niego wraz z panią. Zgadza się pani na to? Znakomicie. W takim razie możemy zarzucić ten temat do jutra. Gdzie będę mógł panią znaleźć, gdy zdecyduję, co zrobić?”

Nie było przeciwwskazań, aby podać mu mój adres w hotelu. Postarałam się, aby przedstawić się tam jako „pani Armadale” i dałam Midwinterowi adres pobliskiej poczty, na który ma słać odpowiedzi na moje listy. Ustaliliśmy godzinę, o której doktor ma mnie odwiedzić, i wstałam, aby wyjść, odrzucając wszystkie propozycje poczęstunku i oprowadzenia mnie po domu. Jego ugrzeczniona wytrwałość w zachowywaniu pozorów po tym, jak doskonale się zrozumieliśmy, napawała mnie obrzydzeniem. Uwolniłam się od niego, gdy tylko mogłam, po czym powróciłam do mojego dziennika i własnego pokoju.

Jutro zobaczymy, jak to się skończy. Po cichu myślę, że mój zaufany przyjaciel powie „tak”.

24 listopada. Tak jak myślałam, doktor powiedział „tak”, ale na zasadach, których nie przewidziałam. Warunek, na którym zapewniłam sobie jego usługi, to ni mniej, ni więcej, jak zapłacenie mu, po tym jak wejdę w rolę wdowy po Armadale’u, połowy mojego rocznego dochodu, innymi słowy sześciuset funtów!

Sprzeciwiałam się temu wygórowanemu żądaniu na wszelkie możliwe sposoby. Wszystko na nic. Doktor odpowiedział mi z najbardziej ujmującą szczerością. Gdyby nie przypadkowa komplikacja jego obecnego położenia, nic, powiedział, nie skłoniłoby go, aby w ogóle mieszać się w tę sprawę. Otwarcie przyznał, że wyczerpał własne zasoby, jak również zasoby innych osób, które określił jako

swoich „fundatorów”, w związku z kupnem i urządzeniem sanatorium. W tej sytuacji perspektywa sześciuset funtów była dla niego atrakcyjnym celem. Za tę sumę poniesie poważne ryzyko doradzania i pomocy mi. Ani ćwierć pensa mniej go nie skusi i niniejszym zostawia sprawę, z najlepszymi i najserdeczniejszymi życzeniami, w moich rękach!

Skończyło się w jedyny możliwy sposób. Nie miałam innego wyjścia, jak przyjąć warunki i pozwolić doktorowi od razu poczynić ustalenia wedle jego życzeń. Kiedy już zawarliśmy porozumienie, muszę oddać mu sprawiedliwość – nie tracił czasu. Żwawo kazał sobie przynieść pióro, atrament i papier i zaproponował, aby za pośrednictwem wieczornej poczty rozpocząć kampanię w Thorpe Ambrose.

Ustaliliśmy formułę listu, który napisałam, a który on od razu przepisał. Na początek nie wdawałam się w szczegóły. Stwierdzałam tylko, że jestem wdową po zmarłym panu Armadale’u i że poślubiłam go potajemnie, że powróciłam do Anglii po tym, jak on wypłynął jachtem z Neapolu i że pozwalałam sobie załączyć odpis swojej metryki ślubu w ramach formalności, której, jak domniemywam, zwyczajowo się przestrzega. List został zaadresowany do „przedstawicieli świętej pamięci Allana Armadale’a, Esq. Thorpe Ambrose, Norfolk”. Doktor osobiście zabrał go na pocztę i nadał.

Teraz, gdy pierwszy krok został postawiony, nie jestem ani tak podniecona, ani ciekawa efektów, jak wydawało mi się, że będę. Myśl o Midwinterze prześladowuje mnie jak zjawą. Znów do niego napisałam – jak poprzednio, dla zachowania pozorów. Myślę, że to będzie mój ostatni list. Odwaga mnie opuszcza, a nachodzi przygnębienie, gdy wracam myślami do Turynu. W tej chwili nie jestem bardziej zdolna do zmierzenia się z kwestią Midwintera, niż byłam dawniej. Dzień, kiedy przyjdzie mi wziąć go pod uwagę, niegdyś odległy i niepewny, może teraz nadejść lada chwila. A ja tymczasem nadal na oślep pozostawiam sprawy samym sobie!

25 listopada. O drugiej doktor przyszedł na umówione spotkanie. Był u swoich prawników (oczywiście nie wtajemniczając ich w nasze sprawy), aby po prostu przedstawić kwestię udowodnienia mojego małżeństwa. Efekty potwierdzają to, co już mi powiedział. Jeśli moje roszczenie zostanie podane w wątpliwość, cała sprawa oprze się na kwestii tożsamości i świadek będzie musiał złożyć swoje oświadczenie

przed sądem pokoju, zanim upłynie ten tydzień.

W tej sytuacji doktor uważa, że powinniśmy zamieszkać niedaleko od siebie, i proponuje, że znajdzie dla mnie ciche lokum w swojej okolicy. Chętnie przeprowadzę się gdziekolwiek, ponieważ obok innych dziwnych myśli, które mnie opanowały, mam wrażenie, że będę się czuła już nieodwołalnie stracona dla Midwintera, jeśli wyprowadzę się z miejsca, w którym otrzymuję listy od niego. Wczoraj w nocy znów nie spałam i o nim myślałam. Dziś rano ostatecznie zdecydowałam, że więcej do niego nie napiszę.

Doktor posiedział pół godziny i wyszedł, uprzednio pytając, czy chciałabym mu towarzyszyć do Hampstead szukać mieszkania. Poinformowałam go, że mam pewną własną sprawę, która zatrzyma mnie w Londynie. Zapytał, jaka to sprawa. „Zobaczy pan”, rzekłam, „jutro lub pojutrze”.

Kiedy ponownie zostałam sama, przez chwilę drżałam ze zdenerwowania. Sprawa, jaką miałam w Londynie, poza tym, że była poważną sprawą w oczach kobiety, mimo woli przywiodła mi na myśl Midwintera. Perspektywa przeprowadzki do nowego mieszkania przypomniła mi o konieczności wystąpienia w nowej roli. Nadszedł czas, by przywdziać wdowie szaty.

Pierwszym, co zrobiłam po włożeniu czepka, było zdobycie pieniędzy. Zaopatrzyłam się we wszystko, co było mi potrzebne do roli wdowy po Armadale’u, ni mniej, ni więcej, jak sprzedając prezent ślubny, który dostałam od samego Armadale’a – pierścionek z rubinem! Okazał się przedmiotem bardziej wartościowym, niż przypuszczałam. Prawdopodobnie przez jakiś czas nie będę musiała martwić się o pieniądze.

Po wyjściu od jubilera poszłam do wielkiego sklepu z odzieżą żałobną na Regent Street. W ciągu dwudziestu czterech godzin (skoro nie mogę dać im więcej czasu) zobowiązali się ubrać mnie we wdowi strój od stóp do głów. Po wyjściu ze sklepu przeżyłam kolejny nerwowy moment, a w ramach dalszych atrakcji w tym emocjonującym dniu po powrocie do hotelu zastałam czekającą na mnie niespodziankę. Dowiedziałam się, że oczekuje mnie starszy dżentelmen. Otworzyłam drzwi do salonu, a tam siedział pan Bashwood!

Dziś rano otrzymał mój list i wyruszył do Londynu najbliższym pociągiem, aby

odpowiedzieć na niego osobiście. Wiele się po nim spodziewałam, ale z pewnością nie tego. Pochlebiło mi to. Przez chwilę, daję słowo, pochlebiło mi to!

Pomijam zachwyty i wyrzuty starego nieszczęśnika, jego łyzy i jęki oraz męczące długie wywody o samotnych miesiącach, jakie spędził w Thorpe Ambrose, rozpamiętując moje porzucenie go. Miejscami był nawet dość elokwentny, ale nie potrzebuję teraz jego elokwencji. Nie trzeba dodawać, że pogodziłam się z nim i zorientowałam w jego uczuciach, zanim zapytałam o nowiny. Jakim błogosławieństwem okazuje się czasem kobieca próżność! Niemal zapomniałam o zagrożeniach i obowiązkach, starając się być urocza. Przez minutę czy dwie czułam ciepły dreszczyk triumfu. I był to triumf – nawet w przypadku staruszka! Po pół godzinie sprawiłam, że cały w skowronkach spijał w zachwycie słowa z moich ust i odpowiadał na wszystkie pytania jak grzeczne dziecko.

Oto jego relacja z wydarzeń w Thorpe Ambrose, jaką ostrożnie wyciągnęłam od niego krok po kroku:

Po pierwsze, wiadomość o śmierci Armadale'a dotarła do panny Milroy. Tak się nią załamała, że jej ojciec był zmuszony zabrać ją ze szkoły. Wróciła do domku, gdzie codziennie odwiedza ją lekarz. Czy jej żałuję? Tak! Żałuję jej dokładnie tak samo, jak ona żałowała mnie!

Po drugie, stan rzeczy w rezydencji, który, jak się spodziewałam, mógł być dla mnie nieco niezrozumiały, okazuje się całkiem przystępny i z pewnością jak na razie nieniekłopotliwy.

Dopiero wczoraj prawnicy obu stron doszli do porozumienia. Pan Darch (radca prawny rodziny Blanchardów i w przeszłości zaciekle wróg Armadale'a) reprezentuje interesy panny Blanchard, która (z braku męskiego spadkobiercy) jest następną w kolejności do odziedziczenia majątku i która, jak się okazuje, od jakiegoś czasu przebywa w Londynie. Pan Smart z Norwich (początkowo zatrudniony, aby nadzorować Bashwooda) reprezentuje zmarłego Armadale'a. A oto co obaj prawnicy ustalili między sobą.

Pan Darch, działający w imieniu panny Blanchard, zgłosił prawo do majątku i do pobierania czynszu podczas bożonarodzeniowego rozliczenia. Pan Smart z kolei przyznał, że wniosek rodzinnego prawnika ma wielką wagę. Przy obecnym stanie

rzeczy nie widzi powodu, aby kwestionować sprawę śmierci Armadale'a, i zgadza się nie zgłaszać sprzeciwu wobec wniosku, jeśli pan Darch z kolei przyjmie na siebie obowiązek wzięcia w posiadanie majątku w imieniu panny Blanchard.

Jednym ze skutków takiego postępowania będzie to (według Bashwooda), że pan Darch stanie się osobą, która faktycznie zdecyduje o moim prawie do pozycji i pieniędzy wdowy. Ponieważ dochód pochodzi z majątku, musi zostać wypłacony z kieszeni panny Blanchard i stąd kwestia jego wypłaty, jak się wydaje, powinna być zagadnieniem leżącym w gestii prawnika panny Blanchard. Jutro prawdopodobnie dowiemy się, czy ten pogląd jest właściwy, jako że mój list do przedstawicieli Armadale'a zostanie dziś rano dostarczony do rezydencji.

Tyle miał mi do powiedzenia stary Bashwood. Po tym, jak odzyskałam nad nim wpływ i zdobyłam wszystkie aktualne informacje, następną rzeczą, jaką należało rozważyć, było to, jak należycie wykorzystać go w przyszłości. Był całkowicie do mojej dyspozycji, ponieważ jego miejsce w biurze zarządcy objął już człowiek panny Blanchard i staruszek błagał usilnie, aby wolno mu było zostać i służyć moim interesom w Londynie. Gdybym się zgodziła, nie byłoby w tym najmniejszego niebezpieczeństwa, jako że pozwoliłam mu tkwić w przekonaniu, że naprawdę jestem wdową po Armadale'u z Thorpe Ambrose. Jednak mając pod ręką doktora, w Londynie nie potrzebowałam żadnej pomocy i przyszło mi do głowy, że Bashwood może przydać mi się bardziej, jeśli wyślę go z powrotem do hrabstwa Norfolk, aby tam w moim interesie czuwał nad rozwojem wydarzeń.

Wydawał się boleśnie rozczarowany (najwidoczniej bowiem zamierzał zalecać się do mnie w moim wdowim stanie!), kiedy powiedziałam mu, do jakiego wniosku doszłam. Jednak kilka słów perswazji i drobna aluzja, że w przyszłości będzie mógł żywić nadzieję, o ile teraz będzie mi wiernie służył, odniosły znakomity skutek, jeśli chodzi o pogodzenie się z koniecznością spełniania moich życzeń. Kiedy nadszedł czas wyjścia i podróży powrotnej wieczornym pociągiem, bezradnie poprosił mnie o „wskazówki”. Nie mogłam dać mu żadnych, ponieważ jak na razie nie miałam pojęcia, co zrobią prawnicy. „Ale powiedzmy, że stanie się coś”, nalegał, „czego nie będę rozumiał. Co mam wtedy zrobić, będąc tak daleko od pani?” Mogłam dać mu tylko jedną odpowiedź. „Niech pan nie robi nic”, rzekłam. „Cokolwiek to będzie,

proszę nie mówić o tym nikomu i napisać albo natychmiast przyjechać do Londynu, aby się ze mną naradzić”. Udzieliwszy mu na pożegnanie tych wskazówek i umówiwszy się, że będziemy regularnie korespondować, pozwoliłam mu pocałować się w rękę i odesłałam go na pociąg.

Teraz, gdy zostałam sama i mogę spokojnie wrócić myślami do rozmowy z moim leciwym adoratorem, przypomina mi się, że zauważyłam w jego sposobie bycia pewną zmianę, która mnie zastanowiła i która nadal daje mi do myślenia.

Nawet w pierwszych chwilach poruszenia wywołanego moim widokiem wydało mi się, że przygląda się mojej twarzy z nowym, niezauważalnym wcześniej zainteresowaniem. Poza tym, opowiadając mi później o swoim samotnym życiu w Thorpe Ambrose, powiedział kilka słów, które zdawały się sugerować, że w tej samotności podtrzymywała go wiara w przyszłe stosunki ze mną, kiedy następnym razem się spotkamy. Gdyby chodziło o kogoś młodszego i odważniejszego (i gdyby takie odkrycie w ogóle było możliwe), byłabym niemal skłonna podejrzewać, że dowiedział się o moim dawnym życiu czegoś, co dało mu skrytą pewność, że będzie mnie mógł kontrolować w razie okazywania chęci ponownego oszukania i opuszczenia go. Jednakże podobny pomysł w odniesieniu do starego Bashwooda jest po prostu absurdalny. Może jestem nadmiernie podniecona niepewnością i niepokojem, jakie towarzyszą mojej obecnej sytuacji? Może zwodzą mnie wyobrażenia i domysły? Niech sobie będzie, co chce. Mam teraz na głowie poważniejsze sprawy niż stary Bashwood. Jutrzejsza poczta może mi powiedzieć, co przedstawiciele Armadale’a myślą o roszczeniu wdowy po nim.

26 listopada. Odpowiedź nadeszła dziś rano w postaci (tak jak przypuszczał Bashwood) listu od pana Darcha. Stary zrzęda potwierdza odbiór mojego listu w trzech liniijkach. Zanim podejmie jakiegokolwiek kroki albo wyrazi opinię na ten temat, chce otrzymać dowód w postaci potwierdzenia tożsamości oraz metryki ślubu i ośmiela się sugerować, że zanim postąpimy dalej, może być wskazane, abym odesłała go do moich radców prawnych.

Druga po południu. Doktor odwiedził mnie zaraz po dwunastej, aby powiedzieć, że znalazł dla mnie lokum w odległości dwudziestu minut spacerem od sanatorium. W zamian za tę nowinę pokazałam mu list od pana Darcha. Z miejsca zaniósł go

swoim prawnikom i powrócił ze stosownymi wskazówkami. Odpowiedziałam panu Darchowi, wysyłając mu adres moich radców prawnych, inaczej prawników doktora, nie odnosząc się w żaden sposób do wyrażonego przezeń życzenia otrzymania dodatkowego dowodu na zawarcie małżeństwa. To wszystko, co można zrobić dzisiaj. Jutro przyniesie bardziej interesujące wydarzenia, bowiem jutro doktor ma złożyć oświadczenie przed sądem pokoju i jutro też mam się wprowadzić do nowego mieszkania we wdowich szatach.

27 listopada. Faireather Vale Villas. Oświadczenie zostało złożone z zachowaniem wszystkich wymaganych formalności. A ja w swoich wdowich szatach zajęłam nowe pokoje.

Powinnam być podniecona początkiem nowego aktu w tym dramacie i śmiałej roli, jaką w nim odgrywam. Dziwne, ale jestem milcząca i przygnębiona. Myśl o Midwinterze przyszła za mną do nowego mieszkania i teraz nie daje mi spokoju. Nie boję się, że coś niespodziewanego wydarzy się w czasie, który nadal musi minąć, nim oficjalnie zajmę pozycję wdowy po Armadale'u. Ale kiedy chwila ta nadejdzie i gdy Midwinter zobaczy mnie (a wcześniej czy później będzie to musiało nastąpić!) w mojej fałszywej roli i w pozycji, jaką sobie przywłaszczyłam, wtedy – zadaję sobie to pytanie – co się stanie? Nasuwa mi się ta sama odpowiedź, która po raz pierwszy przyszła mi do głowy dziś rano, gdy wkładałam żałobny strój. Teraz, podobnie jak poprzednio, mam przecucie, że mnie zabije. Gdyby nie było jeszcze za późno, aby się wycofać... Nonsens! Zamykam dziennik.

28 listopada. Prawnicy dostali list od pana Darcha i wysłali mu oświadczenie pocztą zwrotną.

Kiedy doktor przyniósł mi tę wiadomość, zapytałam, czy jego prawnicy znają mój obecny adres, a dowiedziawszy się, że jeszcze im go nie wyjawiał, poprosiłam, by nadal zachował go w tajemnicy. Doktor zaśmiał się. „Boi się pani, że pan Darch nas uprzedzi i przyjedzie zaatakować panią osobiście?”, spytał. Przyjęłam ten zarzut jako najprostszą drogę do tego, by spełnił moją prośbę. „Tak”, rzekłam, „boję się pana Darcha”.

Od czasu, gdy doktor wyszedł, nastrój mi się poprawił. Mam przyjemne poczucie bezpieczeństwa, wiedząc, że żadne obce osoby nie są w posiadaniu mojego adresu.

Dziś jestem na tyle spokojna, aby zauważyć, jak wspaniale wyglądam we wdowich szatach, i by być miłą dla lokatorów domu.

Wczoraj w nocy Midwinter znowu trochę mnie niepokoił, ale pokonałam okropne urojenie, jakie mnie opanowało. Teraz wiem, że nie powinnam obawiać się przemocy z jego strony, kiedy odkryje, co zrobiłam. Jeszcze mniej mam obaw o to, że zniży się do tego, aby rościć sobie prawo do kobiety, która popełniła wobec niego takie oszustwo jak ja. Jediną poważną próbą, której zostanę poddana, kiedy nadejdzie moment konfrontacji, będzie to, czy zdołam utrzymać się w swojej fałszywej roli w jego obecności. Potem będę już bezpieczna wobec nienawiści i pogardy, jaką będzie do mnie żywił. Dzień, w którym zaprę się go prosto w twarz, będzie dniem, kiedy zobaczę go po raz ostatni.

Czy będę w stanie zaprzeć się go prosto w twarz? Czy będę potrafiła patrzeć na niego i mówić do niego tak, jak gdyby nigdy nie był dla mnie nikim więcej niż przyjacielem? Skąd mam to wiedzieć, zanim nadejdzie ta chwila? Czy była kiedyś na świecie tak zadurzona idiotka jak ja, która w ogóle by o nim pisała, podczas gdy pisanie zachęca mnie tylko do myślenia o nim? Poweźmę nowe postanowienie. Od tego czasu jego nazwisko nie pojawi się więcej na tych kartach.

Poniedziałek, 1 grudnia. Ostatni miesiąc starego roku 1851! Gdybym pozwoliła sobie na oglądanie się wstecz, jakże nieszczęsny rok zobaczyłabym dodany do długiej listy innych nieszczęsnych lat, które minęły! Ale powzięłam postanowienie, by patrzeć wyłącznie w przyszłość i mam zamiar go dotrzymać.

Nie mam nic do odnotowania z dwóch ostatnich dni, poza tym że dwudziestego dziewiątego przypomniałam sobie o Bashwoodzie i napisałam do niego, aby podać mu swój nowy adres. Dziś rano prawnicy znów dostali wiadomość od pana Darcha. Potwierdza w niej, że otrzymał oświadczenie, ale odkłada oznajmienie podjętej przez siebie decyzji do czasu, aż skontaktuje się z powiernikami testamentu świętej pamięci pana Blancharda i otrzyma ostateczne instrukcje od swojej klientki, panny Blanchard. Prawnicy doktora twierdzą, że ten ostatni list ma na celu jedynie zyskanie na czasie. Po co, tego oczywiście nie są w stanie odgadnąć. Sam doktor mówi żartem, że to zwykły sposób prawników na to, jak wydłużyć rachunek za usługi. Ja osobiście uważam, że pan Darch ma swoje podejrzenia, że coś jest nie tak,

i że chce w ten sposób zyskać na czasie...

Dziesiąta wieczorem. Zdążyłam napisać tylko to ostatnie, urwane zdanie (około czwartej po południu), kiedy poderwał mnie odgłos dorożki zajeżdżającej pod drzwi. Podeszłam do okna akurat na czas, aby zobaczyć starego Bashwooda, jak wysiada z werwą, o którą nigdy bym go nie podejrzewała. Tak mało spodziewałam się przejmującego odkrycia, które miało na mnie spaść w następnej minucie, że podeszłam do lustra i zastanawiałam się, co ten wrażliwy staruszek powie, widząc mnie we wdowim czepku.

W chwili, w której wszedł do pokoju, zorientowałam się, że wydarzyła się jakaś katastrofa. Wzrok miał obłąkany, perukę przekrzywioną. Zwrócił się do mnie z dziwną mieszaniną podniecenia i trwogi. „Zrobiłem, jak mi pani powiedziała”, wyszeptał bez tchu. „Nie powiedziałem nikomu i przyjechałem prosto do pani!” Zanim zdążyłam przemówić, chwycił mnie za rękę ze śmiałością, której jeszcze nigdy w nim nie widziałam. „Och, jak mam pani o tym powiedzieć!”, wykrztusił. „Nie panuję nad sobą, gdy o tym myślę!”

„Kiedy będzie pan mógł mówić”, rzekłam, sadzając go na krześle, „niech pan mówi. Widzę po pana twarzy, że przynosi mi wieści z Thorpe Ambrose, których się nie spodziewałam”.

Sięgnął ręką do kieszeni na piersi płaszczka i wyciągnął list. Popatrzył na niego, a potem na mnie. „Wie... wie... wieści, których się pani nie spodziewała”, wyjąkał, „ale nie z Thorpe Ambrose!”

„Nie z Thorpe Ambrose!”

„Nie. Z morza!”

Na te słowa coś mi zaczęło świtać. Nie byłam w stanie mówić – mogłam tylko wyciągnąć rękę po list.

Nadal wzdrygał się przed podaniem mi go. „Nie śmiem! Nie śmiem!”, mówił do siebie bezmyślnie. „Wstrząs, jakiego dozna, może ją zabić”.

Wyrwałam mu list. Rzut oka na pismo, jakim skreślony był adres, wystarczył. Ręce opadły mi na kolana, ale nie wypuszczałam listu z mocnego uścisku. Siedziałam jak skamieniała, nie ruszając się, nie mówiąc, nie słysząc słowa z tego, co mówił do mnie Bashwood, i z wolna zrozumiałam straszną prawdę. Mężczyzna, po którym podawałam się za wdowę, żył i miał stanąć ze mną twarzą w twarz! Na próżno przygotowałam napój w Neapolu, na próżno wydałam go w ręce Manuela. Dwukrotnie zastawiałam na niego sidła śmierci i dwukrotnie Armadale mi się wywinął! Odzyskałam poczucie rzeczywistości i zobaczyłam, że Bashwood klęczy u moich stóp, płacząc.

„Wygląda pani na zagniewaną”, wymamrotał bezradnie. „Jest pani na mnie zła? Och, gdyby tylko wiedziała pani, jakie nadzieje żywiłem, gdyśmy się ostatnio spotkali, i jak okrutnie zniweczył je ten list!”

Odsunęłam od siebie to nieszczęsne, stare stworzenie, ale bardzo łagodnie. „Ciii!”, powiedziałam. „Niech pan mnie teraz nie dręczy. Chcę w spokoju przeczytać list”.

Posłusznie wycofał się w drugi koniec pokoju. Gdy tylko zszedł mi z oczu, posłyszałam, jak mówi do siebie z bezsilną zjadliwością: „Gdybym rozmyślał o morzu, morze by go pochłonęło!”.

Jedną po drugiej wolno rozłożyłam kartki listu, czując jednocześnie niewyjaśnioną niezdolność do skupienia uwagi na tych właśnie liniijkach, które tak gorąco pragnęłam przeczytać. Po cóż jednak rozwodzić się dłużej nad doznaniem, których nie potrafię opisać? Lepiej będzie, jeśli umieszczę sam list na tej stronie dziennika z myślą, że może się kiedyś przydać.

„Fiume, Illyria, 21 listopada 1851

Panie Bashwood!

Adres, spod którego piszę, zdziwi Pana, a będzie Pan jeszcze bardziej zdziwiony, kiedy się dowie, jak to się stało, że piszę do Pana z portu nad Morzem Adriatyckim.

Padłem ofiarą łajdackiej próby obrabowania i zamordowania mnie. Rabunek się powiodł i tylko łasce boskiej zawdzięczam to, że nie powiodło się również morderstwo.

Ponad miesiąc temu wyczarterowałem w Neapolu jacht i popłynąłem (z czego teraz się cieszę) sam, bez żadnych przyjaciół, do Mesyny. Z Mesyny udałem się w rejs po Adriatyku. Po dwóch dniach złapał nas sztorm. Sztormy w tych stronach powstają nagle i równie nagle się kończą. Łódź prowadziła się dobrze. Nie żartuję, łązy napływają mi do oczu na myśl, że spoczywa teraz na dnie morza! Przed zachodem słońca sztorm zaczął ustępować i do północy morze stało się tak spokojne, jak być powinno, jeśli nie liczyć długiej, niezmaconej fali. Zszedłem pod pokład nieco zmęczony (pomagałem bowiem w prowadzeniu jachtu podczas sztormu) i po pięciu minutach zmorzył mnie sen. Około dwie godziny później obudziło mnie coś spadającego przez szczelinę w wywietrzniku w górnej części drzwi. Zerwałem się i znalazłem świstek papieru z zawiniętym w niego kluczem, po wewnętrznej stronie zawierający notatkę skreśloną niezbyt czytelnym pismem.

Aż dotąd nie miałem zielonego pojęcia, że jestem sam na morzu z bandą morderczych włóczęgów (poza jednym), którzy nie zawahają się przed niczym. Bardzo dobrze układało mi się z moim kapitanem (najgorszym łajdakiem z całej paczki), a jeszcze lepiej z jego angielskim matem. Z marynarzami, którzy wszyscy byli cudzoziemcami, niewiele miałem do czynienia. Wykonywali swoją pracę bez kłótni i bez żadnych nieprzyjemnych incydentów. Gdyby przed tym, jak położyłem się spać w noc po sztormie, ktoś powiedział mi, że kapitan, załoga i mat (który na początku nie był lepszy od innych) byli w zмовie w celu obrabowania mnie z pieniędzy, a następnie zatopienia w mojej własnej łodzi, zaśmiałybym mu się w twarz. Niech pan o tym pamięta, a potem sam sobie wyobrazi (bo jestem pewien, że nie potrafię tego opisać), co musiałem poczuć, kiedy odwinąłem karteczkę wokół klucza i przeczytałem słowa, które teraz przepisuję (z wiadomości od mata):

»Panie! Niech Pan zostanie w koi, zanim nie usłyszy, jak od strony prawej burty odbija łódź, albo czeka Pana śmierć. Pańskie pieniądze zostały skradzione, a za pięć minut jacht zostanie przedziurawiony, a właz do kajuty zabity gwoździami. Martwi nie mówią, a kapitan chce zostawić na morzu ślady wskazujące na to, że jednostka zatonała wraz z wszystkimi na pokładzie. To był jego pomysł, a my wszyscy jesteśmy w to zamieszani. Nie mogę zdobyć się na to, aby nie dać Panu szansy na uratowanie życia. To nikła szansa, ale więcej nie mogę zrobić. Gdybym nie udawał,

że trzymam razem z innymi, sam straciłbym życie. W środku tego zawiniątka znajdzie Pan klucz od kajuty. Proszę się nie bać, kiedy usłyszysz Pan odgłos młotka. Będę miał w ręce zarówno długie, jak i krótkie gwoździe, ale użyję tylko krótkich. Niech Pan poczeka, aż usłyszysz, że łódź z nami odbija, a następnie wyważy właz plecami. Po tym, jak zostaną przewiercone dziury, jacht utrzyma się na wodzie przez kwadrans. Niech Pan wśliźnie się do morza od strony lewej burty i postara się, aby jacht znajdował się cały czas pomiędzy Panem a łodzią. Znajdzie Pan pod dostatkiem kawałków unoszącego się na wodzie drewna, wyrwanego celowo, których będzie mógł się uchwycić. Jest piękna noc, a morze spokojne i póki będzie Pan żył, istnieje szansa, że wyłowi Pana jakiś statek. Nic więcej nie mogę zrobić. Oddany, J. M.«.

Kiedy doszedłem do ostatnich słów listu, usłyszałem nad głową odgłos przybijanej kłapy włazu. Nie wydaje mi się, że bym był bardziej tchórzliwy niż większość ludzi, ale był moment, gdy pot lał się ze mnie strumieniami. Odzyskałem władzę nad sobą, zanim odgłos młotka umilknął, i zdałem sobie sprawę, że myślę o kimś bardzo mi drogim w Anglii. Powiedziałem sobie: »Spróbuję uratować swoje życie dla niej, choć moje szanse są nikłe«.

Wyjąłem z nesesera jedną z zatykanych butelek i włożyłem do niej list od wspomnianej przed chwilą osoby oraz ostrzeżenie od mata, na wypadek gdybym przeżył i miał go ponownie spotkać. Zawiesiłem ją wraz z flaszeczką whisky na pasku na szyi. W początkowej konsternacji zacząłem się ubierać, potem zreflektowałem się i ponownie rozebrałem do koszuli i kalesonów, aby łatwiej mi było pływać. Zanim skończyłem, odgłos przybijania ustał i nastąpiła taka cisza, że słyszałem bulgotanie wody w śródkręciu przedziurawionego jachtu. Następnym dźwiękiem był odgłos odbijającej od prawej burty łodzi i siedzących w niej łotrów (zawsze z wyłączeniem mojego przyjaciela mata). Poczekałem, aż usłyszę plusk wioseł i zaparłem się plecami o klapę włazu. Mat dotrzymał obietnicy. Uniosłem ją bez trudu, skryty za nadburciem przeszedłem na czworakach przez pokład i wśliznałem się do morza od strony lewej burty. Wokół pływało mnóstwo przedmiotów. Zbliżyłem się do pierwszej z brzegu rzeczy – kojca dla kur – i przepłynąłem z nim kilkaset jardów, cały czas starając się, aby między sobą

a łodzią mieć jacht. Po przepłynięciu tego dystansu dostałem ataku dreszczy i zatrzymałem się (obawiając się, że zaraz złapie mnie skurcz), aby pociągnąć łyk z flaszeczki. Kiedy ponownie zamknąłem flaszkę, obróciłem się na chwilę, aby spojrzeć wstecz, i zobaczyłem, że jacht idzie na dno. W minutę potem pomiędzy mną a łodzią nie było nic z wyjątkiem fragmentów wraku umyślnie rzuconych w morze. Świecił księżyc i gdyby w łodzi mieli lunetę, myślę, że mogliby zobaczyć moją głowę, chociaż dokładałem starań, aby zasłaniać się kojcem.

Ci jednak odłożyli wiosła i usłyszałem, jak głośno się sprzecają. Po chwili, która trwała dla mnie wieczność, odkryłem, czego dotyczyła sprzeczka. Dziób łodzi skierował się nagle w moją stronę. Jakiś sprytniejszy od innych łajdak (śmiem twierdzić, że był to kapitan) najwyraźniej przekonał pozostałych, aby wrócili w miejsce, gdzie zatonął jacht, i upewnili się, że poszedłem na dno wraz z nim.

Zdążyli pokonać połowę dzielącej nas odległości i już żegnałem się z życiem, gdy usłyszałem krzyk jednego z nich i zobaczyłem, że łódź nagle przestała się zbliżać. W minutę czy dwie potem dziób łodzi powtórnie się odwrócił i zaczęli odpływać z dala ode mnie tak szybko, jak gdyby chodziło o życie.

Spojrzałem w kierunku lądu i nie zobaczyłem nic. Spojrzałem w kierunku morza i odkryłem to, co wcześniej już dostrzegła załoga łodzi. W oddali pojawił się żagiel, który, im dłużej na niego patrzyłem, tym stawał się jaśniejszy i większy w świetle księżyca. W kwadrans potem statek znalazł się na tyle blisko, by załoga mogła usłyszeć mój krzyk i wciągnąć mnie na pokład.

Wszyscy byli cudzoziemcami i niemal ogłuszali mnie swoim szwargotem. Próbowałem pokazywać na migi, ale zanim zdolali mnie zrozumieć, dopadł mnie kolejny atak dreszczy i zostałem zniesiony pod pokład. Statek trzymał się bez wątpienia kursu, ale nie byłem w stanie się w nim rozeznać. Przed świtem dostałem gorączki i od tego czasu nic dokładnie nie pamiętam, aż do teraz, gdy odzyskałem zmysły w tym miejscu i znalazłem się pod opieką węgierskiego kupca, konsygnatariusza (jak to mówią) statku kabotażowego, który podjął mnie z morza. Mówi on po angielsku równie dobrze, jeśli nie lepiej niż ja, i traktuje mnie z życzliwością, na którą nie znajduję wprost słów. Jako młodzieniec był w Anglii uczyć się fachu i mówi, że zachował o naszym kraju wspomnienia, które usposabiają

go życzliwie do Anglików. Dał mi ubrania i pożyczył pieniądze na podróż powrotną, w którą wyruszę, gdy tylko lekarz mi na to pozwoli. O ile nie nastąpi nawrót choroby, za tydzień od dziś będę zdolny do podróży. Jeśli dam radę złapać pocztę w Trieście i wytrzymam zmęczenie, dotrę do Thorpe Ambrose w tydzień, najdalej dziesięć dni po tym, jak otrzyma Pan mój list. Zgodzi się Pan ze mną, że to strasznie długi list, ale nic na to nie poradzę. Chyba straciłem swój dawny dar zwięzłości i kończenia już na pierwszej stronie. Jednakże zbliżam się do końca, nie zostało mi bowiem do dodania nic, jak tylko powód, dla którego opisuję to, co mi się przytrafiło, zamiast poczekać, aż wrócę i sam wszystko opowiem.

Zdaje mi się, że choroba nadal mąci mi umysł. W każdym razie dopiero dziś rano przyszło mi do głowy, że istnieje pewna szansa, iż jakiś statek minął miejsce zatonięcia jachtu i znalazł meble oraz inne wyrwane i pozostawione na wodzie przedmioty. W takim razie do Anglii mogła dotrzeć nieprawdziwa informacja o mojej śmierci. Jeśli tak się stało (co, jak mam z całego serca nadzieję, jest nieuzasadnioną obawą), niech Pan natychmiast idzie do majora Milroya. Proszę pokazać mu ten list – napisałem go w równym stopniu dla niego, jak i dla Pana – a następnie przekazać mu dołączoną wiadomość i spytać, czy nie wydaje mu się, że okoliczności uzasadniają moją nadzieję, iż wyśle ją pannie Milroy. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego nie piszę bezpośrednio do majora albo do panny Milroy zamiast do Pana. Mogę tylko powiedzieć, że istnieją względy, które honor nakazuje mi uszanować, zobowiązujące mnie do działania w ten okrężny sposób.

Nie oczekuję na odpowiedź, ponieważ mam nadzieję, że będę w drodze do domu na długo, zanim Pański list mógłby mnie dosięgnąć w tym odległym miejscu. Cokolwiek Pan robi, proszę nie zwlekając ani chwili, udać się do majora. Po namyśle dochodzę do wniosku, że powinien Pan do niego pójść niezależnie od tego, czy w Anglii wiadomo o katastrofie jachtu, czy też nie.

Oddany,

Allan Armadale”.

Kiedy skończyłam czytać list, podniosłam wzrok i po raz pierwszy dostrzegłam, że Bashwood opuścił swoje miejsce i stanął naprzeciwko mnie. Uważnie przyglądał się mojej twarzy badawczym wzrokiem kogoś, kto próbuje czytać mi w myślach.

Kiedy nasze oczy się spotkały, spuścił wzrok jak winowajca i powrócił na swoje krzesło. Jeśli wierzył, a wierzył, że jestem wdową po Armadale'u, czyżby próbował wy badać, czy wiadomość o uratowaniu Armadale'a była w mojej ocenie pomyślna, czy nie? Nie było czasu na wdawanie się w wyjaśnienia. Pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, to niezwłocznie skontaktować się z doktorem. Przywołałam do siebie Bashwooda i podałam mu rękę.

„Wyświadczył mi pan przysługę”, rzekłam, „która czyni z nas jeszcze bliższych przyjaciół. Powiem panu więcej na ten temat i na temat innych interesujących dla nas spraw później. Chciałabym, aby teraz pożyczył mi pan list od pana Armadale'a (który obiecuję oddać) i poczekał, aż wrócę. Zrobi to pan dla mnie, panie Bashwood?”

Powiedział, że zrobiłby dla mnie wszystko. Poszłam do sypialni i założyłam czepek oraz szal.

„Chciałabym się upewnić, zanim wyjdę”, podjęłam, kiedy byłam już gotowa do wyjścia. „Nie pokazał pan tego listu nikomu oprócz mnie?”

„Nie widziała go żadna żywa dusza, tylko my dwoje”.

„Co pan zrobił z załączoną wiadomością do panny Milroy?”

Wyjął ją z kieszeni. Szybko przebiegłam ją wzrokiem, zobaczyłam, że nie zawiera nic ważnego, i z miejsca rzuciłam ją w ogień. Następnie zostawiłam Bashwooda w salonie i poszłam do sanatorium z listem Armadale'a w ręku.

Doktora nie było w domu, a służący nie był pewien, kiedy wróci. Poszłam do jego gabinetu i napisałam dwa słowa, przygotowując go na wieści, które przyniosłam, po czym zapieczętowałam wiadomość w kopercie wraz z listem Armadale'a, aby czekała na jego powrót. Poinformowawszy służącego, że przyjdę ponownie za godzinę, wyszłam.

Nie było sensu wracać z powrotem do mieszkania i rozmawiać z Bashwoodem, zanim uprzednio nie dowiem się, co zamierza zrobić doktor. Krążyłam po okolicy, przemierzając nowe ulice, zaułki i place w jakimś tętym odrętwieniu, które uniemożliwiało nie tylko świadome użycie myśli, ale i odczuwanie fizycznego zmęczenia. Pamiętam, jak to samo uczucie opanowało mnie lata temu, tego ranka,

gdy strażnicy więzienni przyszli zabrać mnie do sądu, gdzie miałam być skazana na karę śmierci. Cała ta straszna scena stanęła mi na powrót przed oczami w najbardziej niezwykły sposób, tak jakby brała w niej udział jakaś inna osoba. Raz czy dwa smutno i bezmyślnie zastanowiłam się, dlaczego mnie nie powiesili!

Kiedy wróciłam do sanatorium, powiedziano mi, że doktor wrócił pół godziny wcześniej i że niespokojnie czeka na mnie w swoim pokoju.

Poszłam do gabinetu i zastałam go siedzącego blisko płonącego w kominku ognia, z głową spuszczoną na piersi i rękami opartymi na kolanach. Na stole nieopodal obok listu Armadale'a i mojej wiadomości w małym kręgu światła rzucanym przez lampkę do czytania dostrzegłam otwarty rozkład jazdy pociągów. Czyżby obmyślał ucieczkę? Kiedy podniósł na mnie wzrok, nie dało się wyczytać z jego twarzy, co obmyślał ani jak wielki szok przeżył, gdy dowiedział się, że Armadale żyje.

„Proszę usiąść blisko ognia”, rzekł. „Mamy dziś bardzo mokry i zimny dzień”.

W milczeniu zajęłam miejsce. Doktor z kolei w milczeniu siedział, pocierając kolana przed kominkiem.

„Nie ma mi pan nic do powiedzenia?”, zapytałam.

Wstał i nagłym ruchem zdjął abażur z lampki do czytania tak, że światło padło na moją twarz.

„Nie wygląda pani dobrze”, powiedział. „Co się stało?”

„Umysł mam jakby przytępiony, oczy ciężkie i rozpalone”, odparłam. „To chyba przez tę pogodę”.

Dziwne, jak oboje oddalaliśmy się coraz bardziej od jedyne go niezwykle ważnego tematu, który spotkaliśmy się omówić!

„Myślę, że dobrze zrobiłaby pani filiżanka herbaty”, zauważył doktor.

Przyjęłam propozycję, więc kazał przynieść herbatę. Podczas gdy na nią czekaliśmy, on chodził tam i z powrotem po pokoju, a ja siedziałam przy kominku. Po żadnej ze stron nie padło ani słowo.

Herbata mnie pobudziła, a doktor dostrzegł na mojej twarzy zmianę na lepsze. Usiadł przy stole naprzeciwko mnie i wreszcie przemówił.

„Gdybym miał w tym momencie dziesięć tysięcy funtów”, zaczął, „oddałbym je wszystkie, byle tylko nie dać się skompromitować przez udział w tej pani desperackiej spekulacji na temat śmierci pana Armadale’a!”

Wypowiedział te słowa ostro, niemal napastliwie, co dziwnie nie licowało z jego zwykłym sposobem bycia. Czy sam się bał, czy też chciał mnie nastraszyć? Postanowiłam na początek zmusić go, aby wyjaśnił, co ma na myśli, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

„Chwileczkę, doktorze”, rzekłam. „Uważa pan, że jestem winna temu, co się stało?”

„Oczywiście, że nie”, odparł chłodno. „Ani pani, ani nikt inny nie mógł przewidzieć tego, co się stało. Kiedy mówię, że oddałbym dziesięć tysięcy funtów, aby nie być zamieszanym w ten interes, nie winię nikogo poza samym sobą. A kiedy powiem pani następnie, że nie dopuszczę bez walki, aby zmartwychwstanie pana Armadale’a z morza sprowadziło na mnie zgubę, będzie to, droga pani, jedna z najprawdziwszych prawd, jakie kiedykolwiek w całym swoim życiu powiedziałem mężczyźnie lub kobiecie. Proszę nie myśleć, że złośliwie oddzielam własne interesy od pani w obliczu wspólnego zagrożenia, które wisi teraz nad nami obojgiem. Po prostu wskazuję na różnicę w ryzyku, jakie każde z nas ponosiło. Nie utopiła pani wszystkich swoich środków w założenie sanatorium i nie złożyła pani przed sądem pokoju fałszywego oświadczenia, co jest karalne jako krzywoprzysięstwo”.

Ponownie mu przerwałam. Jego egoizm lepiej mi zrobił niż herbata: skutecznie mnie podburzył. „Zostawmy może pańskie ryzyko i moje ryzyko na boku i przejdźmy do rzeczy”, powiedziałam. „Po co pan wszczyna spór? Widzę na stole rozkład jazdy. Czy wszczynanie sporu oznacza ucieczkę?”

„Ucieczkę?”, powtórzył doktor. „Zapomina pani, że każdy grosz, jaki posiadam, został włożony w ten zakład”.

„Zostaje pan zatem tutaj?”, zapytałam.

„Bezsprzecznie!”

„A co zamierza pan zrobić, gdy pan Armadale wróci do Anglii?”

Pojedyncza mucha, ostatnia ze swego rodu, którą oszczędziła zima, cicho

pobrzękiwała koło twarzy doktora. Złapał ją i w zamkniętej dłoni wyciągnął ku mnie ponad stołem.

„Gdyby ta mucha nazywała się Armadale”, rzekł, „i gdyby miała go pani w garści tak, jak ja ją teraz mam, co by pani zrobiła?”

Kiedy kończył zadawać pytanie, jego wzrok, do tej pory skupiony na mojej twarzy, zwrócił się znacząco ku mojej żałobnej sukni i ja również spojrzałam na nią wraz z nim. Znów przeszedł mnie dreszcz dawnej śmiertelnej nienawiści i nieugiętej determinacji.

„Zabiłabym go”, powiedziałam.

Doktor zerwał się na równe nogi (nadal trzymając muchę w dłoni) i spojrzał na mnie – nieco zbyt teatralnie – z wyrazem najwyższej trwogi.

„Zabiła!”, powtórzył doktor w przypiływie cnotliwego zaniepokojenia. „Przemoc, zbrodnicza przemoc – w moim sanatorium! Przeraza mnie pani!”

Spojrzałam mu w oczy, gdy tak wymyślnie wyrażał swoje oburzenie, przypatrując mi się z badawczą ciekawością, która stała, mówiąc oględnie, w pewnej sprzeczności z gwałtownością jego języka i żarliwością tonu. Zaśmiał się niepewnie, kiedy nasze spojrzenia się spotkały, i zanim ponownie przemówił, w jednej chwili odzyskał swój przyjemnie poufały sposób bycia.

„Najmocniej przepraszam”, powiedział. „Nie powinienem był brać słów damy tak dosłownie. Proszę pozwolić mi jednak przypomnieć, że sytuacja jest zbyt poważna, aby dopuszczać coś w rodzaju... powiedzmy, przesady lub żartu. Dowie się pani, co proponuję, bez dalszych wstępów”. Urwał i powrócił do muchy uwięzionej w dłoni. „Oto pan Armadale. Mogę go wypuścić albo zatrzymać, jak mi się podoba – i on o tym wie. Powiem mu”, ciągnął doktor, żartobliwie zwracając się do muchy, „niech mi pan da stosowną gwarancję, panie Armadale, że przeciwko tej damie ani mnie nie zostaną powzięte żadnego rodzaju działania, a wypuszczę pana z garści. Niech pan odmówi, a bez względu na ryzyko zatrzymam pana”. Czy ma pani jakieś wątpliwości, moja droga damo, jak wcześniej czy później będzie brzmiała odpowiedź pana Armadale’a? Czy ma pani jakieś wątpliwości”, powiedział doktor, ilustrując słowa gestem i wypuszczając muchę, „że skończy się to w ten

sposób, ku zupełnemu zadowoleniu wszystkich stron?”

„Na razie nie powiem”, odparłam, „czy mam jakieś wątpliwości, czy nie. Najpierw niech się upewnię, że pana rozumiem. Proponuje pan, o ile się nie mylę, zamknąć za panem Armadale’em drzwi tego domu i nie wypuścić go, dopóki nie zgodzi się spełnić warunków, jakie będzie w naszym interesie mu narzucić... Czy mogę w takim razie zapytać, jak ma pan zamiar zmusić go do tego, aby wpadł w pułapkę, którą pan tu na niego zastawi?”

„Proponuję”, rzekł doktor, kładąc rękę na rozkładzie jazdy, „najpierw upewnić się, o której godzinie każdego wieczoru w tym miesiącu na dworzec London Bridge przyjeżdżają pociągi z nadmorskich portów w Dover i Folkestone. Proponuję następnie postawić na posterunku osobę znaną panu Armadale’owi, której możemy zaufać, aby czekała na przyjazd pociągu i spotkała naszego podróżnego w chwili, gdy wyjdzie on z wagonu”.

„Zastanawiał się już pan”, spytałam, „kto ma być tą osobą?”

„Pomyślałem”, powiedział doktor, biorąc do ręki list Armadale’a, „o osobie, do której skierowany jest ten list”.

Odpowiedź ta wprawiła mnie w zdumienie. Czy to możliwe, żeby on i Bashwood się znali? Niezwłocznie zadałam pytanie.

„Do dziś nigdy nawet nie słyszałem nazwiska owego dżentelmena”, oświadczył doktor. „Po prostu przeprowadziłem proces wnioskowego indukcyjnego, który zawdzięczamy wiekopomnemu Baconowi. Jak ten niezwykle ważny list wszedł w pani posiadanie? Nie będę pani obrażał przypuszczeniem, że mógłby zostać skradziony. Co za tym idzie, trafił w pani ręce za przyzwoleniem osoby, do której został skierowany. Co za tym idzie, osoba ta ma pani zaufanie. Co za tym idzie, jest pierwszą osobą, o której pomyślałem. Widzi pani logikę? Znakomicie. Proszę pozwolić, że zadam jedno czy drugie pytanie na temat pana Bashwooda, nim przejdziemy dalej”.

Pytania doktora były jak zawsze celne. Dzięki moim odpowiedziom dowiedział się on, że pan Bashwood zajmował wobec Armadale’a stanowisko zarządcy, że tego ranka otrzymał w Thorpe Ambrose list i przywiózł go prosto do mnie pierwszym

pociągiem, że przed wyjazdem nie pokazał go ani nie powiedział o nim majorowi Milroyowi ani nikomu innemu, że nie otrzymałam od niego tej przysługi w zamian za powierzenie mu mojego sekretu, że skontaktowałam się z nim, jako wdowa po Armadale'u, że w tej sytuacji zachował list w tajemnicy tylko dlatego, aby być posłusznym ogólnemu pouczeniu, jakiego mu udzieliłam, że jeśli w Thorpe Ambrose wydarzy się coś dziwnego, ma wstrzymać się z działaniem, dopóki najpierw nie poradzi się mnie, i wreszcie, że powodem, dla którego posłuchał mnie w tej kwestii, był fakt, że w tej sprawie, tak jak we wszystkich innych, pan Bashwood był ślepo oddany moim interesom.

W tym momencie przesłuchania oczy doktora zaczęły mi się podejrzliwie przyglądać zza okularów.

„Jaki jest sekret tego ślepego oddania pana Bashwoda pani interesom?”, spytał.

Zawahałam się chwilę – z litości dla Bashwoda, nie dla siebie. „Jeśli koniecznie musi pan wiedzieć”, odparłam, „pan Bashwood jest we mnie zakochany”.

„Ach, tak!”, zawołał doktor z wyrazem ulgi. „Teraz zaczynam rozumieć. Czy to młody człowiek?”

„To stary człowiek”.

Doktor rozsiadł się wygodnie na krześle i cichutko zachichotał. „Coraz lepiej!”, rzekł. „Oto właśnie ktoś, kogo potrzebujemy. Któż mógłby być bardziej odpowiedni, aby spotkać pana Armadale'a po przyjeździe do Londynu, jak nie jego zarządca? I któż mógłby mieć większy wpływ na pana Bashwoda niż uroczy obiekt jego westchnień?”

Nie mogło być wątpliwości, że Bashwood był odpowiednim człowiekiem do celów doktora, a mój wpływ z pewnością skłoniłby go do służenia tym celom. To nie tutaj leżała trudność: trudność leżała w pytaniu, które zadałam doktorowi minutę wcześniej, a które nie doczekało się odpowiedzi.

Zadałam je ponownie.

„Załóżmy, że zarządca pana Armadale'a spotka swojego chlebodawcę na dworcu”, rzekłam. „Czy mogę raz jeszcze spytać, jak mamy skłonić pana Armadale'a do przyjazdu tutaj?”

„Proszę nie myśleć, że jestem mało szarmancki”, odparł doktor najłagodniej, jak potrafił, „jeśli ja z kolei spytam, jak skłania się mężczyźni do popełniania dziewięćdziesięciu procent głupot w ich życiu? Skłania ich do tego płeć piękna, do której pani należy. Słabą stroną każdego mężczyzny jest jego kobieca strona. Musimy tylko odkryć kobiecą stronę pana Armadale’a, delikatnie go w nią połechtać i sprowadzić go do nas na jedwabnej nitce. Widzę tutaj”, ciągnął doktor, otwierając list Armadale’a, „wzmiankę o pewnej młodej damie, która to informacja wygląda obiecująco. Gdzie jest wiadomość, o której pan Armadale’a pisze, że jest zaadresowana do panny Milroy?”

Zamiast odpowiedzieć, zerwałam się na równe nogi w nagłym przyпадzie podniecenia. W chwili, gdy doktor wspomniał o panie Milroy, przypomniałam sobie wszystko, co usłyszałam od Bashwoda o jej chorobie i przyczynach tego stanu rzeczy. Dostrzegłam sposób, jak zwabić Armadale’a do sanatorium, równie wyraźnie, jak widziałam doktora po drugiej stronie stołu, dziwiącego się niezwyklej zmianie, jaka we mnie zaszła. Co za szczęście móc wreszcie posłużyć się panną Milroy do własnych celów!

„Mniejsza o wiadomość”, rzekłam. „Została spalona w obawie przed omyłką. Powiem panu wszystko to (a nawet więcej), co powiedziałaaby wiadomość. Panna Milroy przecina węzeł gordyjski! Panna Milroy rozwiązuje problem! Jest z nim potajemnie zaręczona. Dotarła do niej nieprawdziwa wiadomość o jego śmierci i od tego czasu przebywa w Thorpe Ambrose, poważnie chora. Kiedy Bashwood spotka go na dworcu, pierwszym pytaniem, jakie zada Armadale...”

„Rozumiem!”, zawołał doktor, dopowiadając sobie koniec zdania. „Pan Bashwood musi jedynie pomóc prawdzie odrobiną kłamstwa. Kiedy powie swojemu panu, że nieprawdziwa wiadomość dotarła do panny Milroy, pozostanie mu tylko dodać, że wstrząs odbił się na jej nerwach i że znajduje się tutaj pod opieką lekarską. Doskonale! Doskonale! Będziemy go mieli w sanatorium tak szybko, jak szybko zdoła go przywieźć najszybsza dorożka w Londynie. I, co ważne – żadnego ryzyka, żadnej potrzeby wtajemniczenia innych ludzi. To nie jest dom wariatów, to nie jest zarejestrowana placówka, nie są tu wymagane żadne świadectwa lekarskie! Moja droga damo, gratuluję pani, gratuluję sobie. Proszę pozwolić, że wręcę pani rozkład

jazdy z najlepszymi pozdrowieniami dla pana Bashwooda i z zagiętą w odpowiednim miejscu stroną jako dodatkowym wyrazem uprzejmości”.

Przypomniawszy sobie, jak długo kazałam czekać na siebie Bashwoodowi, natychmiast wzięłam rozkład i bez zbytecznych ceregieli życzyłam doktorowi dobrej nocy. Kiedy usłużnie otwierał mi drzwi, powrócił, bez najmniejszej konieczności i bez słowa zachęty z mojej strony, do owego wybuchu cnotliwego zaniepokojenia, który wymknął mu się wcześniej w rozmowie.

„Mam szczerą nadzieję”, rzekł, „że będzie pani tak miła, aby zapomnieć i wybaczyć mój niebywały brak taktu i zrozumienia, gdy... słowem, gdy złapałem muchę. Naprawdę wstydzę się mojej własnej głupoty wyrażonej tym, że tak dosłownie potraktowałem drobny kobiecy żarcik! Przemoc w moim sanatorium!”, zawołał doktor ze wzrokiem raz jeszcze badawczo utkwionym w mojej twarzy, „Przemoc w naszym oświeconym dziewiętnastym wieku! Czy było kiedyś coś równie niedorzecznego? Niech pani koniecznie zapnie przed wyjściem płaszcz, jest tak zimno i mokro! Czy mam panią odprowadzić? Mam posłać z panią służącego? Ach, zawsze była pani niezależna! Zawsze, jeśli mogę się tak wyrazić, była pani panią samej siebie! Czy wolno mi będzie przyjść jutro rano i dowiedzieć się, co ustaliła pani z panem Bashwoodem?”

Zgodziłam się i wreszcie uwolniłam od niego. W kwadrans później byłam z powrotem w swoim mieszkaniu i dowiedziałam się od służącej, że „starszy dżentelmen” nadal czeka.

Nie mam serca lub cierpliwości – sama nie wiem czego – aby trwonić zbyt wiele słów na opisywanie tego, co zaszło pomiędzy mną a Bashwoodem. Tak łatwo było, tak poniżająco łatwo pociągać za sznurki tej biednej, starej marionetki, jak mi się żywnie podobało! Nie napotkałam na żadną z trudności, na jaką musiałabym napotkać, mając do czynienia z młodszym mężczyzną albo mężczyzną mniej zaślepionym uwielbieniem dla mnie. Pojawiające się w liście Armadale’a aluzje do panny Milroy, które naturalnie go zastanawiały, pozostawiłam do późniejszego wyjaśnienia. Nawet nie zadałam sobie trudu wymyślenia jakiegoś wiarygodnego powodu, dla którego miałabym życzyć sobie, aby spotkał Armadale’a na dworcu i podstępem doprowadził do sanatorium doktora. Jedyne, co musiałam zrobić, to

nawiązać do tego, co napisałam do pana Bashwooda po przyjeździe do Londynu i co potem powiedziałam, gdy przyjechał do hotelu osobiście odpowiedzieć na mój list.

„Już pan wie”, rzekłam, „że moje małżeństwo nie jest szczęśliwe. Niech pan wyciągnie z tego swoje własne wnioski i nie nalega, aby panu powiedzieć, czy wiadomość o uratowaniu pana Armadale’a jest czy nie jest pomyślną wieścią, jaką powinna być dla jego żony!” To wystarczyło, aby jego stara, pomarszczona twarz się rozpromieniła, a jego dawne, przywiedłe nadzieje rozbudziły na nowo. Wystarczyło tylko dodać: „Jeśli zrobi pan to, o co poproszę, bez względu na to, jak niezrozumiała czy tajemnicza mogłaby wydawać się moja prośba, i jeśli przyjmie pan moje zapewnienia, że w żaden sposób sam pan się nie narazi i że w swoim czasie otrzyma pan odpowiednie wyjaśnienia, będzie pan miał taki tytuł do mojej wdzięczności i mojego uznania, jakiego nie miał jeszcze żaden człowiek!”. Wystarczyło tylko powiedzieć te słowa, podkreślić je spojrzeniem i ukradkowym uściskiem dłoni, a miałam go u swoich stóp, gotowego być mi ślepo posłusznym. Gdyby mógł zobaczyć, co wtedy myślałam o sobie... Ale to bez znaczenia, nie widział nic.

Godziny minęły od czasu, gdy go odesłałam (zobowiązanego do tajemnicy, wyposażonego we wskazówki i zaopatrzonego w rozkład jazdy) do hotelu obok dworca, w którym ma się zatrzymać, dopóki Armadale nie pojawi się na peronie. Podniecenie towarzyszące mi na początku wieczoru całkiem się rozwiało, a opanowało mnie znów uczucie tępego odrętwienia. Ciekawe... czyżby moje siły się wyczerpywały, właśnie wtedy, kiedy najbardziej ich potrzebuję? Czy też może daje o sobie znać przeczucie jakiejś katastrofy, którego jeszcze nie pojmuję?

Mogłabym tak siedzieć dłużej, snując podobne myśli i pozwalając im materializować się w postaci słów zgodnie z ich życzeniem i upodobaniem, gdyby tylko mój dziennik mi na to pozwalał. Ale moje leniwe pióro było na tyle zapracowane, że udało mu się dojść do końca tego tomu. Dotarłam do ostatniego skrawka wolnego miejsca na ostatniej stronie i czy tego chcę, czy nie, muszę tym razem zamknąć brulion raz na zawsze.

Do widzenia mój stary przyjacielu i towarzyszu tylu nieszczęsnych dni! Nie mając nic innego, co mogłabym lubić, podejrzewam, że nadmiernie polubiłam ciebie.

Co za idiotka ze mnie!

KONIEC KSIĘGI CZWARTEJ

KSIĘGA OSTATNIA

I. NA DWORCU

Wieczorem drugiego grudnia pan Bashwood po raz pierwszy zajął stanowisko obserwacyjne na dworcu Kolei Południowo-Wschodniej. Było to sześć dni wcześniej niż data, którą sam Allan wyznaczył na dzień swojego powrotu. Jednak doktor w oparciu o swoje doświadczenie zawodowe uznał, że „pan Armadale może być na tyle przekorny, w swoim godnym pozazdroszczenia wieku, aby wyzdrowieć wcześniej, niż przewidzieli jego lekarze”. Dlatego też dla ostrożności pan Bashwood miał rozpocząć czatowanie na pociągi przyjeżdżające z portów nad kanałem La Manche dzień po otrzymaniu listu od swego pana.

Od drugiego do siódmego grudnia zarządca stawiał się punktualnie na peronie, obserwował przyjeżdżające pociągi i w kolejne wieczory upewniał się, że wszyscy podróżni byli mu nieznani. Od drugiego do siódmego grudnia panna Gwilt (powróćmy do nazwiska, pod którym jest najlepiej znana na tych stronach) odbierała od niego dzienny raport, czasem dostarczany osobiście, a czasem listownie. Doktor, któremu następnie przekazywane były raporty, przyjmował je z niezachwianą wiarą w podjęte środki ostrożności aż do poranka ósmego grudnia. Tego dnia rozdrażnienie spowodowane przedłużającym się napięciem negatywnie wpłynęło na zmienny nastrój panny Gwilt, co było widoczne dla wszystkich wokół i co, dziwnym

trafem, znalazło odzwierciedlenie w równie widocznej zmianie w sposobie bycia doktora, kiedy jak zwykle przyszedł w odwiedziny. W wyniku zbiegu okoliczności tak niezwykłego, że jego wrogowie mogliby podejrzewać, iż nie był to wcale zbieg okoliczności, tego samego ranka, kiedy panna Gwilt straciła cierpliwość, doktor również po raz pierwszy stracił zapał.

– Żadnych wieści, rzecz jasna – powiedział, siadając z głębokim westchnieniem.

– No, no!

Panna Gwilt popatrzyła na niego ze złością znad robótki.

– Jest pan dziś rano dziwnie przygnębiony – rzekła. – Czego się pan teraz boi?

– Zarzut strachu, proszę pani – odparł poważnie doktor – nie jest zarzutem, który można pochopnie stawiać mężczyźnie, nawet jeśli jest on przedstawicielem tak zasadniczo spokojnej profesji jak moja. Nie boję się. Jestem (jak to pani trafniej ujęła za pierwszym razem) dziwnie przygnębiony. Jak pani wie, mam naturę sangwinika, i dopiero dzisiaj widzę to, co gdyby nie mój zwyczajowy optymizm, mógłbym i powinienem był zobaczyć tydzień temu.

Panna Gwilt niecierpliwie rzuciła robótkę.

– Gdyby za słowa trzeba było płacić – powiedziała – luksus mówienia byłby w pana przypadku dość kosztownym luksusem!

– Co mógłbym i powinienem był zobaczyć – powtórzył doktor, nie zwracając najmniejszej uwagi na wtrącenie – tydzień temu. Mówiąc krótko, w żadnym razie nie jestem już tak pewien, jak byłem, że pan Armadale przystanie po dobroci na warunki, które w moim interesie (i w mniejszym stopniu pani) jest mu narzucić. Proszę zauważyć! Nie kwestionuję tego, że uda nam się go złapać w pułapkę w sanatorium. Wątpię jedynie, czy kiedy już tu będzie, okaże się tak posłuszny, jak na początku przypuszczaliśmy. Powiedzmy – zauważył doktor, po raz pierwszy podnosząc wzrok i wbijając go pytająco w pannę Gwilt – powiedzmy, że jest odważny, uparty i co tam jeszcze i że wytrzyma całe tygodnie, całe miesiące, tak jak wytrzymywali przed nim ludzie będący w podobnych sytuacjach. Co z tego wynika? Ryzyko przetrzymywania go siłą w ukryciu – zatajania go, że tak się wyrażę – rośnie do potęgi i staje się olbrzymie! Mój dom jest w tym momencie praktycznie gotowy

na przyjęcie pacjentów. Mogą się oni zjawić za tydzień. Mogą skontaktować się z panem Armadale'em, albo pan Armadale może skontaktować się z nimi. Ktoś może przemycić z zakładu wiadomość, która trafi do Komisji do spraw Obłąkanych. Nawet w przypadku niezarejestrowanej placówki, takiej jak moja, ci panowie – nie! ci legalni despoci w kraju wolności – muszą tylko zwrócić się do lorda kanclerza po nakaz, aby wejść (wielkie nieba, wejść do mojego sanatorium!) i bez uprzedzenia przetrząsnąć cały dom z góry na dół! Nie chcę pani martwić, nie chcę pani straszyć, nie twierdzę, że środki, jakie podjęliśmy w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa, nie są najlepszymi środkami, jakie mamy do dyspozycji. Proszę panią tylko, aby wyobraziła sobie komisarzy w tym domu, a potem pomyślała o konsekwencjach. Konsekwencjach! – powtórzył doktor, wstając stanowczo i podnosząc kapelusz, jakby miał zamiar wyjść.

– Ma pan coś jeszcze do powiedzenia? – zapytała panna Gwilt.

– Chciałaby pani dodać jakieś uwagi – odparł doktor – ze swej strony?

Stał z kapeluszem w dłoni, czekając. Przez całą minutę oboje przyglądali się sobie wzajemnie w milczeniu.

Panna Gwilt odezwała się pierwsza.

– Chyba pana rozumiem – rzekła, odzyskując opanowanie.

– Przepraszam – odparł doktor, przykładając dłoń do ucha. – Co pani powiedziała?

– Nic.

– Nic?

– Gdyby przypadkiem złapał pan dziś rano jeszcze jedną muchę – powiedziała panna Gwilt, z gorzką ironią podkreślając słowa – mogłabym zaszokować pana kolejnym „drobnym żarciem”.

Doktor uniósł obie dłonie w geście grzecznego sprzeciwu i przybrał taki wyraz, jakby zaczynał odzyskiwać dobry humor.

– To surowość z pani strony – wymamrotał łagodnie – do tej pory nie wybaczyć mi jeszcze mojego nieszczęsnego nietaktu!

– Co jeszcze ma mi pan do powiedzenia? Czekam – rzekła panna Gwilt.

Mówiąc to, lekceważąco odwróciła krzesło w stronę okna i ponownie podniosła robótkę.

Doktor podszedł do niej od tyłu i położył rękę na oparciu krzesła.

– Po pierwsze, chciałbym zadać pewne pytanie – powiedział – a po drugie, zaproponować pewien środek ostrożności. Jeśli zaszczydzi mnie pani swoją uwagą, zacznę od pytania.

– Słucham.

– Wie pani, że pan Armadale żyje – ciągnął doktor – i wie, że wraca do Anglii. Dlaczego nadal nosi pani żałobę?

Odpowiedziała mu bez chwili wahania, nie odrywając się od robótki.

– Ponieważ mam naturę sangwinika, tak jak pan. Mam zamiar do końca ufać w przypadek. Pan Armadale może jeszcze umrzeć w drodze do domu.

– A co, jeśli wróci żywy?

– Wtedy istnieje jeszcze jedna możliwość.

– Jakaż to?

– Może umrzeć w pana sanatorium.

– Proszę pani! – zaprotestował doktor głębokim basem, który był zastrzeżony dla wybuchów świętego oburzenia. – Chwileczkę! Wspomniała pani o przypadkach – podjął, wracając do cichszych, przynależnych rozmowie tonów. – Tak! Tak! Tym razem panią rozumiem. Nawet sztuka leczenia zdana jest na łaskę przypadku, nawet takie sanatorium jak moje może niespodziewanie nawiedzić śmierć. Otóż to! Otóż to! – powiedział doktor, dając za wygraną z najwyższą bezstronnością. – Przypadki się zdarzają, przyznaję, jeśli ktoś chce się na nie zdać. Proszę uważać! Podkreślam, jeśli ktoś chce się na nie zdać.

Zapanowała chwila ciszy – ciszy tak głębokiej, że w pokoju nie rozlegał się żaden dźwięk poza szybkim stukaniem igły w robótkę panny Gwilt.

– Proszę mówić dalej – rzekła. – Jeszcze pan nie skończył.

– Prawda! – powiedział doktor. – Skoro już zadałem pytanie, chciałbym następnie poddać pani pod rozwagę mój środek ostrożności. Przekona się droga pani, że ja z kolei nie jestem skłonny zdawać się na przypadek. Po namyśle doszedłem do

przekonania, że pani i ja (mówiąc logicznie) nie jesteśmy tak dogodnie usytuowani, jak moglibyśmy być na wypadek sytuacji awaryjnej. Dorożki stanowią jak na razie rzadkość w tej szybko rozwijającej się okolicy. Ja mieszkam w odległości dwudziestu minut spacerem od pani, pani mieszka w odległości dwudziestu minut spacerem ode mnie. Ja nie wiem nic o charakterze pana Armadale'a, pani zna go dobrze. W każdej chwili może zająć konieczność – paląca konieczność – odwołania się do pani lepszej znajomości pana Armadale'a. A jak będę mógł to zrobić, jeśli nie będziemy przebywać blisko siebie, pod jednym dachem? Dla dobra nas obojga chciałbym panią zaprosić, moja droga, aby została na jakiś czas mieszkanką mojego sanatorium.

Zwinna igła panny Gwilt nagle się zatrzymała.

– Rozumiem pana – powiedziała raz jeszcze, równie cicho jak przedtem.

– Przepraszam – rzekł doktor pod wpływem nowego napadu głuchoty, z dłonią raz jeszcze przy uchu.

Zaśmiała się pod nosem niskim, przerażającym śmiechem, który poderwał nawet doktora, sprawiając, że cofnął rękę z oparcia krzesła.

– Mieszkanką pana sanatorium? – powtórzyła. – Ma pan na uwadze pozory w każdej sytuacji. Czy proponuje pan zachować pozory, przyjmując mnie do swego domu?

– Jak najbardziej! – odparł skwapliwie doktor. – Dziwię się, że zadaje pani to pytanie! Czy słyszała pani kiedyś o jakimś wybitnym człowieku w moim zawodzie, który by lekceważył pozory? Jeśli zaszczyci mnie pani, przyjmując moje zaproszenie, wejdzie pani do sanatorium w najbardziej nieskazitelnej ze wszystkich możliwych ról: w roli pacjentki.

– Kiedy chce pan otrzymać odpowiedź?

– Czy może pani podjąć decyzję dzisiaj?

– Jutro?

– Dobrze.

– Ma pan coś jeszcze do powiedzenia?

– Nic.

– W takim razie proszę mnie zostawić. Ja nie dbam o pozory. Chciałabym zostać sama i głośno to mówię. Do widzenia!

– Ach, kobiety, kobiety! – powiedział doktor, znów w znakomitym nastroju. – Tak rozkosznie impulsywne! Tak czarująco nierozważne w tym, co mówią i jak mówią! „Ach, kobieta! Gdy my zażywamy błógiego wytchnienia, ona zmienna, nieśmiała, pełna niezadowolenia”. Otóż to! Do widzenia!

Kiedy drzwi wejściowe się za nim zamknęły i wyszedł na ulicę, panna Gwilt wstała i odprowadziła go pogardliwym wzrokiem.

– Armadale sam popchnął mnie do tego za pierwszym razem – powiedziała. – Manuel popchnął mnie do tego za drugim razem. Ty tchórzliwy łajdaku! Czy mam pozwolić, abyś popchnął mnie do tego po raz trzeci i ostatni?

Odwróciła się od okna i w zamyśleniu popatrzyła na swój wdowi strój odbity w lustrze.

Minął dzień i nic nie zdecydowała. Nadeszła noc, a ona nadal się wahała. Zaświtał nowy poranek, a straszne pytanie nadal pozostawało bez odpowiedzi.

Poranną pocztą przyszedł do niej list. Był to zwykły raport pana Bashwooda. Znów wypatrywał przyjazdu Allana i znowu na próżno.

– Muszę mieć więcej czasu! – postanowiła porywczo. – Żaden człowiek nie będzie mnie popędzał!

Tego ranka (dziewiątego grudnia) doktora zaskoczyła przy śniadaniu w gabinecie wizyta panny Gwilt.

– Chcę mieć jeszcze jeden dzień – powiedziała, gdy tylko służący zamknął za nią drzwi.

Doktor popatrzył na nią, zanim odpowiedział i bez trudu wyczytał w jej twarzy, czym może skończyć się doprowadzenie jej do ostateczności.

– Czas nagli – zaprotestował tak przekonująco, jak tylko potrafił. – O ile dobrze wiemy, pan Armadale może być tu dziś wieczorem.

– Chcę mieć jeszcze jeden dzień! – powtórzyła głośno i zapalczywie.

– Załatwione! – powiedział doktor, zerkając nerwowo w stronę drzwi. – Niech pani mówi ciszej, służący mogą panią usłyszeć. Zaznaczam – dodał – polegam na

pani honorze, że nie będzie pani nastawać na dalszą zwłokę.

– Lepiej niech pan polega na mojej desperacji – rzekła i wyszła.

Doktor rozbił skorupkę jajka i zachichotał cicho.

„Bardzo słusznie, moja droga!”, pomyślał. „Pamiętam, do czego doprowadziła cię desperacja w przeszłości, i myślę, że mogę być spokojny o to, że teraz doprowadzi cię do tego samego”.

Za piętnaście ósma wieczorem tego samego dnia pan Bashwood jak zwykle zajął stanowisko obserwacyjne na peronie dworca London Bridge. Był w wyśmienitym nastroju, uśmiechał się z nieposkromioną radością. Świadomość, że ma w zanadrzu narzędzie do wywierania wpływu na pannę Gwilt w postaci znajomości jej dawnego życia nie miała udziału w przemianie, jaka w nim teraz zaszła. Dodawała mu ona otuchy w samotnej egzystencji, jaką wiódł w Thorpe Ambrose, i dała mu tę większą pewność siebie, którą zauważyła sama panna Gwilt, ale od chwili, gdy odzyskał jej względy, przestała być jego siłą napędową, zostawszy unicestwiona przez przeszywające doznania płynące z jej dotyku i spojrzenia. Dzięki swej próżności – próżności, która u mężczyzny w jego wieku jest niczym innym jak zamaskowaną desperacją – teraz znalazł się raz jeszcze w siódmym niebie bezmyślnej szczęśliwości. Znow w nią wierzył, tak jak wierzył w nowy szykowny płaszcz zimowy, który miał na sobie, tak jak wierzył w filigranową laseczkę (stosowną dla budzącego się dandyzmu nastoletnich młodzianów), którą wywijał. Nucił! Ta sterana życiem istota, która nie śpiewała od czasów dzieciństwa, nuciła, przechadzając się po peronie, kilka zapamiętanych fragmentów starej piosenki.

Tego wieczora pociąg miał przyjechać już o ósmej. Pięć minut po godzinie przyjazdu rozległ się gwizdek. W niecałe pięć minut później pasażerowie wysypali się na peron.

Posłuszny wskazówkom, jakie otrzymał, pan Bashwood, na tyle, na ile ścisk mu pozwalał, przeszedł wzdłuż rzędu wagonów i nie odkrywszy żadnej znajomej twarzy przy pierwszym badaniu, wmieszał się między pasażerów w poczekalni komory celnej w celu ponownej inspekcji.

Rozejrzał się po całej sali i upewnił, że wszyscy zebrani są mu nieznani, kiedy

ktoś wykrzyknął za jego plecami:

– Czy to naprawdę pan Bashwood?

Odwrócił się pełen nadziei i stanął twarzą w twarz z ostatnim człowiekiem pod słońcem, którego spodziewał się zobaczyć.

Człowiekiem tym był Midwinter.

II. W DOMU

Zauważywszy zmieszanie pana Bashwooda (poprzedzone rzutem oka na jego odmieniony wygląd), Midwinter odezwał się jako pierwszy:

– Widzę, że pana zdziwiłem – rzekł. – Szuka pan, jak sędzę, kogoś innego? Czy ma pan wieści od Allana? Czy jest już w drodze do domu?

Pytanie o Allana, choć naturalnie przysłoby na myśl każdemu, kto znajdowałby się teraz na miejscu Midwintera, tylko spotęgowało zmieszanie pana Bashwooda. Nie wiedząc, jak inaczej wyplątać się z kłopotliwej sytuacji, w jakiej się znalazł, uciekł się do zwykłego zaprzeczenia.

– Nie wiem nic o panu Armadale’u... ojej, nie, proszę pana, nie wiem nic o panu Armadale’u – odpowiedział z zupełnie niepotrzebnym zapalem i pośpiechem. – Witam z powrotem w Anglii, sir – ciągnął, zmieniając temat i swoim zwyczajem popadając w nerwowy słowotok. – Nie wiedziałem, że bawił pan za granicą. Tyle już czasu minęło, odkąd mieliśmy przyjemność... odkąd ja miałem przyjemność. Podobało się panu, sir, w dalekich krajach? Obyczaje tak różne od naszych, tak, tak, tak, obyczaje tak różne od naszych! Czy zatrzyma się pan w Anglii na długo, teraz, kiedy pan wrócił?

– Sam nie wiem – rzekł Midwinter. – Zostałem zmuszony zmienić plany i wrócić niespodziewanie do Anglii.

Zawahał się na chwilę, jego wyraz twarzy się zmienił i dodał ściszym głosem:

– Sprowadza mnie tu poważna troska. Nie potrafię powiedzieć, jakie będę miał dalej plany, dopóki nie odzyskam spokoju.

Kiedy mówił, na jego twarz padło światło lampy i pan Bashwood po raz pierwszy zauważył, że wygląda na zmizerowanego i odmienionego.

– Przykro mi, proszę pana, z pewnością bardzo mi przykro. Gdybym mógł jakoś pomóc... – podsunął pan Bashwood, mówiąc częściowo pod wpływem nerwowej uprzejmości, częściowo pod wpływem wspomnienia o tym, co Midwinter zrobił kiedyś dla niego w Thorpe Ambrose.

Midwinter podziękował mu i odwrócił się ze smutkiem.

– Obawiam się, że nie może pan pomóc, panie Bashwood, ale mimo to dziękuję za propozycję. – Urwał i zastanowił się.

– A jeśli nie jest chora? A jeśli zdarzyło się jakieś nieszczęście? – podjął, mówiąc do siebie i ponownie odwracając się w stronę zarządcy. – Jeśli opuściła matkę, może będzie można trafić na jej ślad, dowiadując się w Thorpe Ambrose.

To natychmiast wzbudziło ciekawość pana Bashwooda. Ze względu na pannę Gwilt interesowała go teraz cała jej płeć.

– Dama, sir? – spytał. – Szuka pan jakiejś damy?

– Szukam – odparł z prostotą Midwinter – mojej żony.

– Ożenił się pan, sir! – wykrzyknął pan Bashwood. – Ożenił się pan po tym, gdy ostatnim razem miałem przyjemność pana widzieć! Czy mogę pozwolić sobie zapytać...?

Midwinter w zakłopotaniu spuścił wzrok.

– Znał pan dawniej tę damę – rzekł. – Ożeniłem się z panną Gwilt.

Zarządca cofnął się tak, jak mógłby cofnąć się przed naładowanym pistoletem wymierzonym w swoją głowę. Patrzył piorunującym wzrokiem, jakby postradał zmysły, a nerwowy dreszcz, do którego miał skłonność, wstrząsnął nim od stóp do głów.

– Co się stało? – zapytał Midwinter. Nie otrzymał odpowiedzi. – Co jest takiego dziwnego – ciągnął nieco niecierpliwie – w tym, że panna Gwilt jest moją żoną?

– Pana żoną? – powtórzył bezradnie pan Bashwood. – Pani Armadale...!

Rozpaczliwym wysiłkiem powściągnął język i zamilkł.

Oszupienie, w jakie wpadł zarządca, natychmiast znalazło odzwierciedlenie w twarzy Midwintera. Nazwisko, pod którym potajemnie poślubił swoją żonę, padło z ust ostatniego człowieka na świecie, którego wtajemniczyłyby w swoje osobiste

sprawy! Ujął pana Bashwoda pod ramię i zaprowadził go do ustronnejszej części dworca niż ta, w której dotychczas rozmawiali.

– Przed chwilą mówił pan o mojej żonie – powiedział – i jednym tchem wspomniał o pani Armadale. Co to ma znaczyć?

Ponownie nie było odpowiedzi. Nie mogąc zrozumieć nic ponadto, że wpakował się w jakąś poważną kabałę, która była dla niego zupełną zagadką, pan Bashwood usiłował wyrwać się z uścisku, w którym się znalazł, ale na próżno.

Midwinter surowo powtórzył pytanie.

– Pytam ponownie – rzekł – co to ma znaczyć?

– Nic, sir! Daję słowo honoru, to nic nie znaczy!

Czuł, jak na jego ramieniu uścisk się zacieśnia. Nawet tu, w ciemnym kącie, w którym stali, widział, że Midwinter wpada w gniew i nie można z nim igrać. Ogrom niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł, podsunął mu jedyną będącą pod ręką zdolność, jaką posiada nieśmiały człowiek, kiedy zostaje siłą zmuszony do zmierzenia się z sytuacją krytyczną – zdolność do kłamstwa.

– Chciałem tylko powiedzieć – wybuchnął, rozpaczliwie próbując wyglądać i mówić z pewnością siebie – że pan Armadale byłby zdziwiony...

– Powiedział pan „pani Armadale”!

– Nie, proszę pana, daję słowo honoru, moje święte słowo honoru, myli się pan, naprawdę! Powiedziałem „pan Armadale” – jak mógłbym powiedzieć coś innego? Proszę, niech mnie pan puści, sir, śpieszę się. Zapewniam pana, że strasznie się śpieszę!

Midwinter jeszcze przez chwilę trzymał go w uścisku i w tej chwili zdecydował, co zrobi dalej.

Zgodnie z prawdą określił powód swojego powrotu do Anglii jako wynikający z troski o żonę, zrozumiałej troski spowodowanej (po tym, jak regularnie otrzymywał od niej listy co drugi lub trzeci dzień) nagłym zerwaniem przez nią korespondencji na okres całego tygodnia. Pierwsze straszne przeczucie, że istnieje jakiś inny powód jej milczenia poza wypadkiem czy chorobą, którym dotąd je przypisywał, dopadło go jak nagły dreszcz w momencie, gdy usłyszał, jak zarządca

skojarzył nazwisko pani Armadale z jego żoną. Drobne nieprawidłowości w jej listach do niego, które do tej pory uważał jedynie za dziwne, teraz powróciły i obwieściły, że one również są podejrzeniami. Dotąd wierzył w podawane przez nią powody, dla których miał kierować listy do niej nie na konkretny adres, ale adres poczty. Teraz po raz pierwszy zaczął podejrzewać, że powody te są tylko wymówkami. Jak dotąd po dotarciu do Londynu miał zamiar dowiadywać się o nią w jedynym znanym mu miejscu, w którym można było znaleźć jakieś wskazówki – pod adresem, który podała mu jako adres zamieszkania swojej matki. Teraz (z powodu, który sam przed sobą bał się sprecyzować, ale który był dość silny, by przyćmić wszystkie inne względy) zdecydował, aby przede wszystkim rozwiązać zagadkę tego, jak pan Bashwood poznał sekret, który był sekretem małżeńskim pomiędzy nim a jego żoną. Bezpośrednie odwoływanie się do człowieka o usposobieniu zarządcy, będącego w stanie umysłowym, w jakim się obecnie on znajdował, miałyby się z celem. Podstęp był w tym wypadku orężem dosłownie wciśniętym w rękę Midwintera. Puścił pana Bashwooda i przyjął jego wytłumaczenie.

– Przepraszam – rzekł. – Bez wątpienia ma pan rację. Proszę złożyć moją nieuprzejmość na karb nadmiernego niepokoju i przemęczenia. Życzę dobrej nocy.

Do tego czasu dworzec opustoszał, jako że pasażerowie pociągu zebrali się na kontrolę bagażu w poczekalni komory celnej. Pozorne pożegnanie się z panem Bashwoodem i jednoczesne obserwowanie go nie było łatwą sprawą. Ale lata spędzone na służbie u cygańskiego pana dały Midwinterowi wprawę w fortelach takich jak ten, który był zmuszony obecnie zastosować. Ruszył w kierunku poczekalni wzdłuż rzędu pustych wagonów, otworzył drzwi jednego z nich, jak gdyby szukając czegoś, co zostawił, i wyszedł, że pan Bashwood idzie w kierunku postoju dorożek po przeciwnej stronie peronu. W jednej chwili Midwinter przeciął peron i minął długi rząd pojazdów, tak aby obejść go od strony położonej najdalej od peronu. Wsiadł do drugiej dorożki lewymi drzwiami zaraz po tym, jak pan Bashwood wsiadł do pierwszej dorożki prawymi.

– Bez względu na to, ile pan bierze, zapłacę podwójnie – powiedział do woźnicy – jeśli będzie pan stale miał w zasięgu wzroku dorożkę przed nami i jechał za nią,

gdziekolwiek się uda.

W następnej minucie oba pojazdy wyruszyły spod dworca.

W budce przy bramie siedział urzędnik, który zapisywał, dokąd jadą przejeżdżające dorożki. Midwinter usłyszał, jak dorożkarz, który go wiozł, mijając okienko, zawołał „Hampstead!”.

– Dlaczego powiedział pan „Hampstead”? – zapytał, gdy opuścili dworzec.

– Ponieważ woźnica przede mną powiedział „Hampstead”, sir – odparł dorożkarz.

Podczas nużącej podróży na północno-zachodnie przedmieścia Midwinter raz po raz pytał, czy dorożka nadal jest w zasięgu wzroku. Raz po raz woźnica odpowiadał:

– Tuż przed nami.

Między dziewiątą a dziesiątą wieczorem dorożkarz wreszcie zatrzymał konia. Midwinter wysiadł i zobaczył, że dorożka, która jechała przed nimi, czeka pod drzwiami domu. Gdy tylko upewnił się, że woźnica jest tym, którego wynajął pan Bashwood, zapłacił obiecaną nagrodę i odprawił własną dorożkę.

Przeszedł się tam i z powrotem przed drzwiami. Mgliste podejrzenie, które zrodziło się w jego głowie na dworcu, do tej pory zdążyło przybrać konkretny kształt, który był mu wstrętny. Bez żadnego określonego powodu zaczął wątpić w wierność żony i podejrzewać pana Bashwooda o to, że służy jej w charakterze posłańca. Przerażony swoim własnym chorym wyobrażeniem postanowił zapisać numer domu i nazwę ulicy, na której stał, a potem, oddając sprawiedliwość żonie, natychmiast udać się pod adres, który podała mu jako adres swojej matki. Wyjął notes, gdy zauważył, że dorożkarz, który przywiózł pana Bashwooda, patrzy na niego z wyrazem dociekliwego zdziwienia. Natychmiast przyszło mu do głowy, aby wypytać dorożkarza, póki jest po temu sposobność. Wyjął z kieszeni pół korony i włożył ją do chętej ręki mężczyzny.

– Czy dżentelmen, którego przywiózł pan ze stacji, wszedł do tego domu? – zapytał.

– Tak, proszę pana.

– Czy słyszał pan, żeby o kogoś pytał, kiedy otwarto mu drzwi?

– Pytał o jakąś damę, proszę pana. Panią... – dorożkarz zawahał się. – To nie było popularne nazwisko, sir. Rozpoznałbym je, gdybym je ponownie usłyszał.

– Czy brzmiało ono „Midwinter”?

– Nie, proszę pana.

– Armadale?

– Właśnie tak, proszę pana. Pani Armadale.

– Jest pan pewien, że słyszał „pani”, a nie „pan”?

– Jestem tak pewien, jak może być człowiek, który nie zwrócił szczególnej uwagi, proszę pana.

Wątpliwość zasugerowana w tej ostatniej odpowiedzi sprawiła, że Midwinter postanowił zbadać sprawę na miejscu. Wszedł po schodach. Kiedy podnosił rękę w stronę dzwonka przy drzwiach, gwałtowne wzburzenie chwilowo zapanowało nad jego ciałem. Dziwne uczucie, jak gdyby coś podskakiwało z serca do mózgu, przyprawiło go o silny zawrót głowy. Przytrzymał się poręczy i głęboko wdychając powietrze, z determinacją czekał, aż odzyska równowagę. Następnie zadzwonił w dzwonek.

– Czy jest...? – kiedy pokojówka otworzyła drzwi, próbował zapytać o „panią Armadale”, ale nawet jego zdecydowanie nie mogło zmusić go do wypowiedzenia tego słowa. – Czy twoja pani jest w domu? – spytał.

– Tak, proszę pana.

Dziewczyna zaprowadziła go do bawialni na tyłach domu i przedstawiła drobnej staruszce o usługowym sposobie bycia i promiennych oczach.

– To jakaś pomyłka – powiedział Midwinter. – Chciałem się spotkać z...

Ponownie próbował wymówić słowo i ponownie zamarło mu ono na ustach.

– Panią Armadale? – podsunęła z uśmiechem staruszka.

– Tak.

– Zaprowadź pana na górę, Jenny.

Dziewczyna zaprowadziła Midwintera do salonu na piętrze.

– Podać jakieś nazwisko, sir?

– Nie.

Pan Bashwood ledwo skończył zdawać raport z tego, co zaszło na dworcu, jego apodyktyczna pani nadal siedziała oniemiała pod wpływem szoku, jaki wywołały informacje, kiedy drzwi pokoju otwarły się i bez żadnego słowa ostrzeżenia w progu stanął Midwinter. Postąpił jeden krok w głąb pokoju i machinalnie pchnął za sobą drzwi. Stał w grobowym milczeniu i patrzył wprost na żonę badawczym wzrokiem – jego zachowanie było straszne w swoim nienaturalnym opanowaniu – stopniowo obejmując ją od stóp do głów jednym szerokim spojrzeniem.

Ona, również zachowując grobowe milczenie, podniosła się z krzesła. Bez słowa stanęła naprzeciw męża w swoim wdowim stroju.

Postąpił jeden krok w jej stronę i znów się zatrzymał. Podniósł rękę i wycelował swój smukły, brązowy palec w jej suknię.

– Co to ma znaczyć? – spytał, nie tracąc straszego opanowania i nie cofając wyciągniętej ręki.

Na dźwięk jego głosu szybkie wznoszenie się i opadanie jej piersi – jedyna jak dotąd oznaka wewnętrznej udręki, jaką cierpiała – nagle ustało. Stała w nieprzeniknionym milczeniu, bez tchu, jak gdyby jego pytanie śmiertelnie ją poraziło, a wyciągnięty palec obrócił w słup soli.

Zbliżył się o krok i powtórzył pytanie jeszcze ciszej i spokojniej niż poprzednio.

Jeszcze jedna chwila milczenia, jedna chwila beczynności mogła okazać się dla niej zbawienna. Ale zgubna w skutkach siła jej charakteru wzięła górę w decydującym dla jej i jego losu momencie. Błada i nieruchoma, wymizerowana i stara wyszła naprzeciw strasznej sytuacji ze straszną odwagą i wypowiedziała nieodwracalne słowa, którymi wyrzekła się go prosto w twarz.

– Panie Midwinter – rzekła nienaturalnie chłodnym i dźwięcznym tonem – nasza znajomość nie uprawnia pana do zwracania się do mnie w ten sposób.

Tak brzmiały jej słowa. Wypowiadając je, ani razu nie podniosła wzroku z podłogi. Kiedy skończyła, ostatnia mizerna odrobina koloru znikła z jej policzków.

Nastąpiła cisza. Nadal ze wzrokiem utkwionym w nią Midwinter zajął się porządkowaniem sobie w głowie słów, jakich użyła w odniesieniu do niego.

– Nazywa mnie „panem Midwinterem” – powiedział wolno szeptem. – Mówi

o „naszej znajomości”.

Odczekał chwilę i rozejrzał się po pokoju. Jego wędrujący wzrok po raz pierwszy napotkał pana Bashwooda. Dostrzegł, że zarządca stoi obok kominka, obserwując go i drżąc.

– Kiedyś wyświadczyłem panu przysługę – powiedział – i kiedyś powiedział pan, że nie jest człowiekiem niewdzięcznym. Czy jest pan na tyle wdzięczny, aby odpowiedzieć, jeśli pana o coś zapytam?

Znów chwilę odczekał. Pan Bashwood nadal stał drżący obok kominka, obserwując go w milczeniu.

– Widzę, że pan na mnie patrzy – ciągnął. – Czy zaszła we mnie jakaś zmiana, o której nie wiem? Czy widzę coś, czego pan nie dostrzega? Czy słyszę słowa, których pan nie słyszy? Czy wyglądam lub mówię, jak człowiek, który postradał zmysły?

Nadal czekał i nadal panowała niezmacona cisza. Oczy zaczęły mu błyszczeć, a barbarzyńska krew, którą odziedziczył po matce, zaczęła z wolna rozpalać jego bladopopielate policzki.

– Czy ta kobieta – zapytał – jest tą, którą pan niegdyś znał, a która nazywała się panna Gwilt?

Raz jeszcze jego żona zdobyła się na zgubną w skutkach odwagę i wypowiedziała zgubne w skutkach słowa.

– Zmusza mnie pan, abym powtórzyła – rzekła – że nadużywa pan naszej znajomości i zapomina o należnym mi szacunku.

Rzucił się na nią z dziką gwałtownością, która sprawiła, że z piersi pana Bashwooda wyrwał się krzyk trwogi.

– Jesteś czy nie jesteś moją żoną? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Po raz pierwszy podniosła na niego wzrok. Jej zgubiona dusza spojrzała na niego wyzywająco z głębi własnej rozpacz.

– Nie jestem pana żoną – powiedziała.

Cofnął się chwiejnym krokiem, szukając rękami jakiegoś oparcia jak człowiek w ciemności. Oparł się ciężko o ścianę i spojrzał na kobietę, która kiedyś spała na

jego piersi i która teraz zapała się go prosto w twarz.

Przerażony pan Bashwood zakradł się i stanął u jej boku.

– Niech pani tam wejdzie! – wyszeptał, próbując przyciągnąć ją w kierunku rozsuwanych drzwi prowadzących do sąsiedniego pokoju. – Na miłość boską, proszę się pośpieszyć! On panią zabije!

Ręką odsunęła od siebie staruszka. Spojrzała na niego, nagle rozpromieniając pozbawioną wyrazu twarz. Kiedy odpowiedziała, na jej wargi, z wolna, z wysiłkiem, wydobył się potworny uśmiech.

– Niech mnie zabije! – powiedziała.

Kiedy słowa te padły z jej ust, rzucił się spod ściany w jej kierunku z krzykiem, który zadźwięczał w całym domu. Wściekłość oszalałego człowieka biła z jego szklanych oczu i dosięgała ją jego wyciągniętymi groźnie rękami. Podszedł na odległość wyprostowanego ramienia i nagle zamarł. Gdy tylko się zatrzymał, ciemny rumieniec zniknął z jego twarzy. Powieki mu opadły, wyciągnięte ręce zatrzępotwały i opadły bezradnie. Upadł, jak padają martwi. Leżał, jak leżą martwi, w ramionach żony, która się go zapała.

Uklękła na podłodze i położyła sobie jego głowę na kolanie. Chwyciła ramię zarządcy, który pośpieszył jej z pomocą, i zamknęła je w dłoni jak w imadle.

– Niech pan sprowadzi lekarza – rzekła – i trzyma mieszkańców domu z daleka, dopóki nie przyjdzie.

W jej wzroku i głosie było coś, co każdej żyjącej istocie kazałoby posłuchać jej bez szemrania. Pan Bashwood poddał się i wybiegł z pokoju.

Gdy tylko została sama, uniosła go ze swego kolana. Obejmując go obiema rękami, nieszczęsna kobieta przytuliła jego wyzutą z oznak życia twarz do swojej twarzy i poczęła kołysać go na swoim łonie w mękach czułości, które nie znajdują ukojenia w łzach, w przypływie skruchy, której nie da się opisać słowami. W milczeniu tuliła go do piersi, zasypując jego czoło, policzki i usta pocałunkami. Nie wydała ani jednego dźwięku, dopóki nie usłyszała odgłosu pośpiesznych kroków na schodach. Wtedy z jej piersi wyrwał się cichy jęk. Spojrzała na niego po raz ostatni i z powrotem opuściła sobie jego głowę na kolana, nim nieznajomi weszli do

pokoju.

Pierwszymi osobami, jakie zobaczyła, byli gospodyni i zarządca. Za nimi wszedł medyk (felczer mieszkający na tej samej ulicy). Zgroza i piękno, jakie malowały się na jej twarzy, kiedy na niego spojrzała, na moment tak zaabsorbowały uwagę felczera, że zapomniał o wszystkim innym. Musiała na niego skinąć i wskazać na nieprzytomnego mężczyznę, zanim udało jej się oderwać jego uwagę od siebie i skierować ją na pacjenta.

– Czy on nie żyje? – zapytała.

Felczer przeniósł Midwintera na sofę i kazał otworzyć okna.

– To zasłabnięcie – rzekł – nic więcej.

Na te słowa siły po raz pierwszy ją zawiodły. Wydała głębokie westchnienie pełne ulgi i wsparła się o gzyms kominka. Pan Bashwood był jedynym z obecnych, który zauważył jej znużenie. Zaprowadził ją na drugi koniec pokoju, gdzie stał fotel, pozwalając, by gospodyni podała felczerowi potrzebne sole trzeźwiące.

– Poczekaj pani tutaj, aż dojdzie do siebie? – wyszeptał zarządca, patrząc w stronę sofy i drżąc.

Pytanie to przywróciło jej świadomość własnej sytuacji i okrutnych konieczności, przed którymi sytuacja ją teraz stawiała. Z ciężkim westchnieniem spojrzała w stronę sofy, przez chwilę zastanawiała się i odpowiedziała na pytanie pana Bashwooda pytaniem ze swej strony.

– Czy dorożka, która przywiozła tu pana z dworca, nadal czeka pod drzwiami?

– Tak.

– Niech pan natychmiast jedzie pod bramę sanatorium i czeka na mnie.

Pan Bashwood zawahał się. Podniosła wzrok i spojrzeniem odesłała go z pokoju.

– Dżentelmen odzyskuje przytomność, proszę pani – powiedziała gospodyni, kiedy zarządca zamknął drzwi. – Właśnie zaczął znowu oddychać.

Odpowiedziała skinieniem głowy, wstała i raz jeszcze się zastanowiła. Ponownie posłała spojrzenie w kierunku sofy i weszła przez rozsuwane drzwi do swego pokoju.

Po krótkiej chwili felczer odsunął się od sofy i skinął na gospodynię, aby zajęła jego miejsce. Fizyczne uzdrowienie pacjenta było pewne. Nie pozostawało nic

innego, jak czekać i pozwolić, aby jego umysł powoli odzyskał świadomość tego, co się stało.

– Gdzie ona jest? – były to pierwsze słowa, które powiedział do felczera i troskliwie czuwającej nad nim gospodyni.

Gospodyni zapukała w rozsuwane drzwi i nie otrzymała odpowiedzi. Weszła do środka i zastała pokój pusty. Na toaletce leżała kartka papieru przykryta honorarium dla felczera. Kartka zawierała słowa, najwyraźniej napisane w wielkim wzburzeniu lub wielkim pośpiechu: „Nie mogę zostać tutaj na noc po tym, co się stało. Wrócę jutro zabrać swój bagaż i zapłacić, co się Pani należy”.

– Gdzie ona jest? – zapytał powtórnie Midwinter, kiedy gospodyni wróciła sama do salonu.

– Wyszła, proszę pana.

– Nie wierzę!

Staruszka poczerwieniała.

– Jeśli zna pan jej pismo – odparła, wręczając mu kartkę – może uwierzy pan temu?

Spojrzał na kartkę.

– Przepraszam panią – powiedział, oddając ją. – Z całego serca panią przepraszam.

W jego twarzy, gdy mówił te słowa, było coś, co nie tylko złagodziło irytację staruszki, ale napełniło ją nagłą litością dla mężczyzny, który ją obraził.

– Obawiam się, sir, że za tym wszystkim kryje się jakiś straszny problem – powiedziała zwyczajnie. – Czy chciałby pan, abym coś przekazała damie, kiedy wróci?

Midwinter wstał i przez chwilę dla równowagi przytrzymał się sofy.

– Jutro sam jej coś przekażę – powiedział. – Muszę się z nią spotkać, zanim opuści pani dom.

Felczer wyszedł wraz z pacjentem na ulicę.

– Czy mogę pana odprowadzić? – zapytał uprzejmie. – Lepiej, żeby pan nie szedł pieszo, jeśli ma pan daleko. Nie może się pan przemęczać, nie może się przeziębic

w tę zimną noc.

Midwinter ujął jego dłoń i podziękował mu.

– Przywykłem do długich wędrówek i zimnych nocy, sir – powiedział – i niełatwo się przemęczam, nawet jeśli wyglądam na tak załamane jak teraz. Gdyby pokazał mi pan najkrótszą drogę, jaką mogę wydostać się z tych ulic, to myślę, że cisza wsi i nocy pomogłaby mi. Będę miał jutro coś ważnego do zrobienia – dodał ciszej – i nie zasną ani nie spocznę, dopóki nie przemyślę tego tej nocy.

Felczer zrozumiał, że nie ma do czynienia ze zwykłym człowiekiem. Bez żadnych dalszych uwag udzielił mu niezbędnych wskazówek i rozstał się z pacjentem pod drzwiami własnego domu.

Zostawszy sam, Midwinter przystanął i w milczeniu spojrzał w niebo. Przejaśniło się i wyszły gwiazdy – gwiazdy, które nauczył się rozpoznawać od swego cygańskiego pana na zboczu góry. Po raz pierwszy z żalem powrócił myślami do chłopięcych lat. „Ach, moje dawne życie!”, pomyślał tęsknie. „Aż do teraz nie wiedziałem, jakie ono było szczęśliwe!”

Otrząsnął się i ruszył w kierunku otwartych pól. Twarz pociemniała mu, kiedy zostawił za sobą ulice i wkroczył w panujące za nimi głuszę i ciemność.

– Dziś wieczorem zapała się swojego męża – powiedział. – Jutro pozna swojego pana.

III. FIOLETOWA BUTELKA

Kiedy panna Gwilt zbliżyła się do sanatorium, pod bramą czekała dorożka. Pan Bashwood wyszedł z niej na spotkanie. Wzięła go za ramię i odciągnęła kilka kroków na bok, tak aby dorożkarz nie mógł ich usłyszeć.

– Może pan myśleć o mnie, co chce – powiedziała, nadal mając gęsty, czarny woal spuszczonego na twarz – ale niech dziś się pan do mnie nie odzywa. Proszę jechać do hotelu, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Jutro wyjdzie pan jak zwykle na spotkanie pociągu, a potem przyjedzie do mnie do sanatorium. Niech pan odejdzie bez słowa, a uwierzę, że jest na świecie jeden człowiek, który naprawdę mnie kocha. Niech pan zostanie i zadaje pytania, a pożegnam się z panem na zawsze!

Wskazała na dorożkę. W minutę później ruszyła ona spod sanatorium, zabierając pana Bashwooda z powrotem do hotelu.

Otworzyła żelazną bramę i powoli zbliżyła się do drzwi domu. Kiedy sięgnęła do dzwonka, przeszył ją dreszcz. Zaśmiała się gorzko.

– Znów się trzęsę – powiedziała do siebie. – Kto by pomyślał, że mam jeszcze w sobie tyle uczucia?

Po raz pierwszy w jej życiu zdarzyło się, że twarz doktora powiedziała prawdę, kiedy pomiędzy dziesiątą a jedenastą wieczorem otwarły się drzwi gabinetu i do środka weszła panna Gwilt.

– Boże, zmiłuj się nade mną! – zawołał z wyrazem najwyższego osłupienia. – Co to ma znaczyć?

– To znaczy – odparła – że zdecydowałam dziś zamiast decydować jutro. Pan, który tak dobrze zna kobiety, powinien wiedzieć, że działają impulsywnie. Ja znalazłam się tutaj właśnie pod wpływem impulsu. Może mnie pan przyjąć lub

porzucić, jak pan chce.

– Przyjąć lub porzucić? – powtórzył doktor, odzyskując przytomność umysłu. – Moja droga damo, co za straszne wyrażenie! Pani pokój będzie zaraz gotowy! Gdzie ma pani bagaż? Pozwoli mi pani po niego posłać? Nie? Obejdzie się pani dziś bez bagażu? Co za niespotykana niezależność! Ależ proszę, niech pani zdejmie czepek. Niech się pani przysunie do ognia! Czym mogę służyć?

– Proszę dać mi najsilniejszą miksturę nasenną, jaką pan kiedykolwiek przyrządził – odparła. – I zostawić mnie samą, dopóki nie nadejdzie pora ją zażyć. Będę pana pacjentką na serio! – dodała wściekle, kiedy doktor próbował oponować. – Okażę się najbardziej szaloną wariatką, jeśli będzie mnie pan dziś wieczorem drażnił!

Dyrektor sanatorium w okamgnieniu przybrał na chwilę uroczyście profesjonalny sposób bycia.

– Proszę usiąść w zaciemnionym kącie – rzekł. – Nikt nie będzie pani niepokoił. Za pół godziny zostanie pani przygotowany pokój, z miksturą nasenną na stole...

„To był dla niej trudniejszy bój, niż przypuszczałem”, pomyślał, kiedy wyszedł z pokoju i przeszedł do apteki położonej po drugiej stronie holu. „Dobry Boże, co ona musi mieć ze swoim sumieniem, mając za sobą takie życie!”

Apteka była przemyślnie wyposażona we wszystkie najnowsze udogodnienia z dziedziny mebli medycznych. Tylko jednej z czterech ścian pomieszczenia nie zajmowały regały. Puste miejsce wypełniała ładna, zabytkowa gablotka z rzeźbionego drewna, która jako przedmiot dziwnie nie pasowała do pozbawionego ozdób, funkcjonalnego charakteru miejsca. Po obu stronach gablotki umieszczono w ścianie tuby łączące się z górnymi częściami domu, podpisane odpowiednio „farmaceuta” i „siostra przełożona”. To właśnie do drugiej z tub przemówił doktor po wejściu do pokoju. Zaraz zjawiała się starsza kobieta, odebrała polecenie przygotowania sypialni dla pani Armadale, dygnęła i wyszła.

Zostawszy w aptece sam, doktor otworzył środkową przegródkę gablotki, ukazując kolekcję butelek zawierających różne trucizny stosowane w medycynie. Wyjął laudanum potrzebne do sporządzenia mikstury nasennej, postawił je na stole,

wrócił do gablotki, przez chwilę zaglądał do środka, potrząsnął głową z powątpiewaniem, po czym podszedł do otwartych regałów po drugiej stronie pokoju.

Tu, po chwili namysłu, zdjął jedną z ustawionych w szeregu dużych butelek aptecznych wypełnioną żółtą cieczą, postawił ją na stole, wrócił do gablotki i otworzył boczną przegródkę, zawierającą kilka wyrobów z czeskiego szkła. Zmierzywszy je wzrokiem, wybrał ładną, fioletową butelkę, wysoką i wąską, zamkniętą szklanym korkiem. Napełnił ją żółtą cieczą, pozostawiając na dnie butelki aptecznej tylko niewielką ilość płynu, po czym zamknął flaszkę na powrót w miejscu, z którego ją wyjął. Następnie napełnił butelkę wodą z aptecznej cysterny, zmieszał z małą ilością substancji chemicznych, które przywróciły jej poprzedni wygląd, i odstawił na miejsce. Dopełniwszy tych tajemniczych rytuałów, doktor zaśmiał się cicho i powrócił do tub, aby tym razem wezwać farmaceutę.

Farmaceuta zjawił się obwiązany niezbędnym białym fartuchem, który sięgał od pasa do stóp. Doktor uroczyście napisał receptę na sporządzenie mikstury i wręczył ją asystentowi.

– Potrzebne natychmiast, Benjaminie – powiedział cichym i melancholijnym głosem. – Pacjentka, pani Armadale, pokój numer jeden, drugie piętro. Ojej, ojej! – zajęczał doktor w zamyśleniu – niepokojący przypadek, Benjaminie, niepokojący przypadek.

Otworzył pachnący nowością rejestr zakładu i wyczerpująco opisał przypadek, dołączając skrócony opis recepty.

– Skończył pan używać laudanum? Proszę je odłożyć, zamknąć gablotę i dać mi klucz. Mikstura gotowa? Proszę ją opisać „brać przed snem” i dać siostrze, Benjaminie, dać siostrze.

Podczas gdy wargi doktora wydawały te polecenia, jego ręce zajęte były otwieraniem szuflady biurka, na którym spoczywał rejestr. Wyjął stosik ładnie wydrukowanych biletów wstępu „na oglądanie sanatorium pomiędzy drugą a czwartą po południu” i uzupełnił je datą następnego dnia. Kiedy tuzin biletów został zawinięty w tuzin wydrukowanych techniką litograficzną zaproszeń i zamknięty w tuzinie kopert, doktor przejrzał listę rodzin zamieszkujących okolicę i opisał

koperty adresami z listy. Zadzwońszy tym razem w dzwonek zamiast używać tuby, wezwał następnie służącego i wręczył mu listy, które miały zostać doręczone osobiście z samego rana.

– Myślę, że to wystarczy – powiedział doktor, przechadzając się po aptece, gdy służący wyszedł. – Myślę, że to wystarczy.

Był nadal zatopiony we własnych myślach, kiedy ponownie zjawiła się pielęgniarka, aby oznajmić, że pokój dla damy jest gotowy. Doktor następnie oficjalnie powrócił do gabinetu przekazać pannie Gwilt tę wiadomość.

Nie ruszyła się od czasu, gdy wyszedł. Kiedy przemówił, podniosła się ze swojego zaciemnionego kąta i, nic nie mówiąc ani nie podnosząc woalki, wyszła z pokoju posuwistym krokiem, jak duch.

Po krótkiej chwili na dół zeszła pielęgniarka z wiadomością przeznaczoną tylko dla uszu jej przełożonego.

– Pani kazała mi przyjść jutro o siódmej, sir – rzekła. – Ma zamiar sama sprowadzić swój bagaż i chce, aby gdy tylko się ubierze, czekała na nią dorożka. Co mam zrobić?

– Zrób, co mówi pani – powiedział doktor. – Można jej śmiało ufać, że wróci do sanatorium.

Śniadanie w sanatorium podawano o wpół do dziewiątej. Do tego czasu panna Gwilt załatwiła wszystko w wynajmowanym przez siebie mieszkaniu i wróciła wraz z bagażem. Doktor był pod wrażeniem gotowości do działania swojej pacjentki.

– Po co tracić tyle energii? – zapytał, gdy spotkali się przy śniadaniu. – Po co się tak śpieszyć, droga damo, kiedy ma pani przed sobą cały poranek?

– Zwykła nerwowość! – ucięła. – Im dłużej żyję, tym jestem niecierpliwsza.

Doktor, który zanim się odezwała, dostrzegł, że jej twarz wyglądała tego ranka dziwnie blado i staro, zauważył również, kiedy przemówiła, że jej ekspresja, zazwyczaj nieprzeciętnie żywa, nie zmieniła się pod wpływem wysiłku mowy. W jej wargach nie było zwykłego ożywienia, a w spojrzeniu nie widać było zwykłego ognia. Nigdy nie widział w niej tak nieprzeniknionego i chłodnego opanowania jak teraz. „W końcu zdecydowała”, pomyślał. „Mogę jej dziś powiedzieć to, czego nie

mogłem powiedzieć wczoraj wieczorem”.

Poprzedził mające nastąpić uwagi ostrzegawczym spojrzeniem na jej wdowią suknię.

– Teraz, gdy odzyskała pani swój bagaż – zaczął poważnym tonem – proszę pozwolić, że zasugeruję, aby zdjąć czepek i założyć inną suknię.

– Dlaczego?

– Pamięta pani, co powiedziała mi dzień lub dwa temu? – zapytał doktor. – Powiedziała pani, że istnieje możliwość, że pan Armadale umrze w sanatorium?

– Powtórzę to, jeśli pan chce.

– Coś mniej prawdopodobnego – ciągnął doktor, jak zwykle głuchy na wszelkie niezręczne wtrącenia – trudno sobie wyobrazić! Ale dopóki taka możliwość w ogóle istnieje, warto ją rozważyć. Powiedzmy zatem, że umiera, umiera nagle i niespodziewanie, co sprawia, że konieczne staje się dochodzenie przyczyny zgonu. Jaką w takim razie przyjmujemy strategię? Naszą strategią jest zachować rolę, w jakie weszliśmy: pani – wdowy, ja – świadka małżeństwa i w tych rolach zabiegać o pełne śledztwo. W całkowicie nieprawdopodobnym przypadku jego śmierci właśnie wtedy, gdy chcemy, aby umarł, mam pomysł, mogę nawet rzec, postanowienie, ażeby przyznać, że wiedzieliśmy o jego zmartwychwstaniu z morza i że poinstruowaliśmy pana Bashwooda, jak zwabić go w mury domu za pomocą fałszywej informacji o pannie Milroy. Kiedy nastąpią nieuniknione pytania, proponuję stwierdzić, że wkrótce po waszym ślubie zaczął wykazywać symptomy choroby umysłowej, że jego urojenie polegało na zaprzeczaniu, że jest pani jego żoną, i twierdzeniu, że jest zaręczony z panną Milroy, że wpadła pani z tego powodu w takie przerażenie na wieść, że żyje i powraca, iż jej stan umysłowy wymagał mojej pomocy, że na pani prośbę i aby złagodzić pani niepokój zbadałem go i po cichu sprowadziłem do tego domu, dogadzając jego urojeniu, co w tym wypadku było najzupełniej usprawiedliwione, i wreszcie, że mogę poświadczyć, iż jego mózg został dotknięty jednym z tych tajemniczych zaburzeń, wybitnie nieuleczalnych i wybitnie śmiertelnych, które nadal nie zostały zbadane. Taka strategia (w bardzo mało prawdopodobnym przypadku, który teraz zakładamy) byłaby niewątpliwie właściwa ze względu na mój i pani interes, a suknia taka jak ta byłaby, równie

niewątpliwie, niewłaściwym strojem w zaistniałych okolicznościach.

– Mam ją zdjąć od razu? – spytała, wstając od stołu bez słowa komentarza na temat tego, co przed chwilą powiedział doktor.

– Może ją pani zdjąć, kiedy zechce, byle przed drugą po południu – powiedział doktor.

Spojrzała na niego z apatyczną ciekawością, niczym więcej.

– Dlaczego przed drugą? – spytała.

– Ponieważ dziś jest jeden z moich „dni dla gości”, a pora odwiedzin przypada między drugą a czwartą.

– A co ja mam wspólnego z pana gośćmi?

– Zwyczajnie. Myślę, że ważne jest, aby jakiś godny zaufania i obiektywny świadek zobaczył panią w moim domu w charakterze damy, która przysłała po poradę.

– Pański powód jest dość przesadny. Czy to jedyny motyw, jaki ma pan w tej sprawie?

– Moja droga damo! – zaprotestował doktor – Czy ja mam przed panią jakieś tajemnice? Myślałem, że lepiej mnie pani zna.

– Tak – powiedziała tonem znużonej pogardy. – To niezbyt bystro z mojej strony, że do tej pory jeszcze pana nie zrozumiałam. Proszę posłać po mnie na górę, kiedy będę potrzebna.

Wyszła i udała się do swego pokoju.

Wybiła druga, a w kwadrans później przybyli goście. Pomimo że było mało czasu do namysłu, a sanatorium sprawiało z zewnątrz raczej przygnębiające wrażenie, zaproszenia doktora zostały powszechnie przyjęte przez damską część rodzin, do których je wysłano. Wobec smętnej monotonii życia, jakie wiedzie duża część angielskiej klasy średniej, mile widziane jest wszystko, co umożliwia kobietom jakąkolwiek niewinną ucieczkę od tyranii ustalonej zasady, że całe ludzkie szczęście zaczyna się i kończy w domu. O ile niecierpiące zwłoki potrzeby kapitalistycznego państwa ograniczyły liczbę przedstawicieli płci męskiej wśród gości doktora do jednego wątłego staruszka i jednego sennego chłopca, kobiety,

biedaczki, w liczbie nie mniejszej niż szesnaście – stare i młode, zamężne i niezamężne – skorzystały ze znakomitej sposobności rzucenia się w wir życia towarzyskiego. Zgodnie zjednoczone dwoma wspólnymi celami, jakie wszystkie miały na oku – po pierwsze, obejrzeć siebie nawzajem, a po drugie, obejrzeć sanatorium – napłynęły w starannie ubranym pochodzie przez ponurą żelazną bramę z wyrazem udawanej wyższości ponad wszelką nieprzystającą damie ekscytację, wielce wymowną i stanowiącą wielce żałosny widok!

Właściciel sanatorium przyjął gości w holu, z panną Gwilt wspartą na jego ramieniu. Każda z kobiet pomijała doktora, jak gdyby w ogóle nie istniał, a łakomy wzrok skupiała na nieznaej damie, w jednej chwili pozerając ją od stóp do głów.

– Moja pierwsza pensjonariuszka – powiedział doktor, przedstawiając pannę Gwilt. – Dama ta przybyła dopiero wczoraj wieczorem i wykorzystuje obecną okazję (jedyną, jaką umożliwiły mi moje poranne obowiązki), aby zwiedzić sanatorium. Pani pozwoli – ciągnął, puszczając pannę Gwilt i podając ramię najstarszej damie wśród gości. – Skołatane nerwy... troski rodzinne – wyszeptał konfidencjonalnie. – Urocza kobieta! Smutny przypadek!

Westchnął lekko i poprowadził starszą damę przez hol.

Stadko gości ruszyło za nimi. Panna Gwilt towarzyszyła im w milczeniu, idąc sama – pomiędzy nimi, ale nie z nimi – jako ostatnia.

– Grunta, panie i panowie – odezwał się doktor, obracając się i zwracając do swojej publiczności u podnóża schodów – są, jak widzieliście, częściowo w niewykończonym stanie. Tak czy owak, nie będę przykładał wielkiej wagi do gruntów, mając pod bokiem park Hampstead Heath i uważając przejażdżki konne oraz powozem za element mojej metody. Podobnie, choć w mniejszym stopniu, muszę prosić o państwa wyrozumiałość wobec parteru, na którym się znajdujemy. Poczekalnia i gabinet po tej stronie, a apteka po drugiej (na którą zaraz zwrócę państwa uwagę) są wykończone. Ale duży salon nadal znajduje się w rękach malarza. W pokoju tym (kiedy wyschną ściany, ani minuty wcześniej) moi pensjonariusze będą zbierać się na wesołe spotkania towarzyskie. Nie zamierzamy oszczędzać na niczym, co może ulepszyć, rozjaśnić i ozdobić życie podczas tych szczęśliwych chwil. I tak na przykład dla melomanów każdego wieczoru będzie

grana muzyka.

W tym momencie wśród gości zapanowało małe poruszenie. Matka rodziny przerwała doktorowi. Chciała się dowiedzieć, czy „każdy wieczór” oznacza również niedzielny wieczór, a jeśli tak, jaką muzykę będzie się grało.

– Muzykę sakralną, oczywiście – odparł doktor. – Händla w niedzielny wieczór, a Haydna od czasu do czasu, jeśli nie będzie zbyt żywiołowy. Ale, jak miałem powiedzieć, muzyka nie jest jedyną rozrywką, jaką mają do dyspozycji moi cierpiący nerwowo pensjonariusze. Ci, którzy wolą książki, będą mieli zapewnione zabawne lektury.

Wśród gości powstało kolejne poruszenie. Inna matka rodziny chciała wiedzieć, czy zabawne lektury oznaczały powieści.

– Tylko te powieści, które sam wybrałem i uprzednio przestudiowałem – powiedział doktor. – Nic smutnego, proszę pani! Prawdziwe życie może być pełne smutku, z tego też powodu nie chcemy go w książkach. Angielski powieściopisarz, który wejdzie pod mój dach (żaden zagraniczny autor nie zostanie wpuszczony), musi rozumieć swoją sztukę tak, jak rozumie ją w naszych czasach zdrowy na umyśle angielski czytelnik. Musi wiedzieć, że nasz bardziej niewinny współczesny gust, nasza doskonalsza współczesna moralność ogranicza go do robienia dokładnie dwóch rzeczy, kiedy pisze dla nas książkę. Wszystko, czego od niego oczekujemy, to czasami nas rozśmieszyć i niezmiennie sprawiać, że będziemy się czuli zadowoleni.

Wśród gości powstało trzecie poruszenie, tym razem wyraźnie wywołane aprobatą dla poglądów, które właśnie usłyszeli. Doktor, rozsądnie nie chcąc zepsuć korzystnego wrażenia, jakie wywarł, porzucił temat salonu i zaczął wchodzić na górę. Tak jak poprzednio towarzystwo ruszyło w ślad za nim i tak jak poprzednio panna Gwilt szła milcząco, zamykając pochód. Damy jedna po drugiej spoglądały na nią z zamiarem zagajenia rozmowy i dostrzegały w jej twarzy coś zupełnie dla siebie niezrozumiałego, co powstrzymywało je od wypowiedzenia życzliwych słów. Dominujące wrażenie było takie, że dyrektor sanatorium taktownie ukrywa prawdę i że jego pierwsza pensjonariuszka jest szalona.

Doktor zaprowadził towarzystwo, z przerwami dla złapania oddechu robionymi ze względu na starszą damę, prosto na samą górę.

Zgromadziwszy gości w korytarzu i wskazawszy ręką w stronę ponumerowanych drzwi po obu jego stronach, zaprosił towarzystwo, aby zajrzało do któregoś z pokoiów lub do wszystkich, wedle uznania.

– Numery jeden do cztery, panie i panowie – rzekł doktor – obejmują sypialnie pielęgniarek. Numery cztery do osiem są przeznaczone dla uboższych pacjentów, których przyjmuję za opłatą pokrywającą jedynie moje wydatki, nic więcej. W przypadku uboższych spośród moich cierpiących bliźnich osobista pobożność i rekomendacja dwóch duchownych są niezbędnym warunkiem przyjęcia do sanatorium. To jedyne warunki, jakie stawiam, ale obstaruję przy nich. Proszę zauważyć, że wszystkie pokoje mają wentylację, a ramy łóżka są żelazne, oraz, kiedy będziemy schodzić z powrotem na drugie piętro, uprzejmie zwrócić uwagę na drzwi, które w razie potrzeby całkowicie odcinają przejście pomiędzy drugim a najwyższym piętrzem. Pokoje na drugim piętrze, na które dotarliśmy, są (z wyjątkiem mojego własnego pokoju) przeznaczone dla dam, doświadczenie bowiem nauczyło mnie, że większa wrażliwość kobiecego organizmu wymusza wyższe usytuowanie sypialni ze względu na większą czystość i swobodniejszą cyrkulację powietrza. Damy znajdują się tutaj bezpośrednio pod moją opieką, podczas gdy mój asystent (którego przybycia oczekuję za tydzień) będzie opiekował się panami piętro niżej. Kiedy zejdziemy na niższe, czyli pierwsze piętro, proszę ponownie zwrócić uwagę na drugie drzwi, zamykające w nocy połączenie pomiędzy oboma piętrami dla każdego z wyjątkiem mnie i mojego asystenta. A teraz, kiedy już doszliśmy do części domu przeznaczonej dla panów i kiedy poznali państwo zasady panujące w zakładzie, proszę pozwolić, że następnie zaprezentuję próbkę mojej metody leczenia. Mogę zilustrować ją w praktyce, pokazując państwu specjalnie wyposażony pod moim kierunkiem pokój przygotowany na przyjęcie najbardziej skomplikowanych przypadków cierpienia nerwowego i urojenia, jakie mogą trafić pod moją opiekę.

Otworzył drzwi położonego na końcu korytarza pokoju numer cztery.

– Proszę zajrzeć do środka, panie i panowie – rzekł – i jeśli zobaczycie coś niezwykłego, powiedzcie o tym, proszę.

Pokój nie był duży, ale dobrze oświetlony przez pojedyncze szerokie okno.

Wygodnie urządzona sypialnia różniła się od innych pokoi tego samego typu tylko pod jednym względem. Nie było w niej kominka. Kiedy goście zauważyli ten szczegół, dowiedzieli się, że pokój jest ogrzewany w zimie gorącą wodą, a następnie zostali poproszeni z powrotem na korytarz, aby pod fachowym przewodnictwem dokonać odkryć, których sami nie mogli zrobić.

– Na początek, panie i panowie, słowo – powiedział doktor – dosłownie słowo na temat obłądu. Jak wygląda proces leczenia, kiedy, powiedzmy, przytłoczy państwa niepokój umysłowy i idą do swojego lekarza? Ogląda państwa, wysłuchuje i daje dwie recepty. Jedna widnieje na papierze i jest realizowana w aptece. Druga jest udzielana ustnie w sprzyjającym momencie, w którym pojawia się honorarium, i polega na ogólnym zaleceniu, aby się nie denerwować. Udzieliwszy tej znakomitej rady, lekarz zostawia państwa, abyście własnymi siłami, bez żadnej pomocy oszczędzili sobie wszelkich doczesnych utrapień aż do jego następnej wizyty. Tu przychodzi z pomocą moja metoda! Kiedy dostrzegam konieczność, aby się państwo nie denerwowali, biorę byka za rogi i robię to za was. Umieszczam was w środowisku, w którym tysiące drobiazgów, z konieczności irytujących w domu osoby cierpiące nerwowo, zostały celowo przeanalizowane i usunięte. Stawiam zasieki nie do przebycia pomiędzy wami a zmartwieniem. Znajdźcie państwo w tym domu trzaskające drzwi, jeśli potraficie! Przyłapcie służącego na pobrzękiwaniu serwisem do herbaty, kiedy odnosi tacę! Odkryjcie w tym miejscu szczekające psy, piejące koguty, hałasujących robotników, piszczące dzieci, a podejmuję się jutro zamknąć moje sanatorium! Czy te utrapienia to rzeczy śmiechu warte dla cierpiących nerwowo? Zapytajcie ich! Czy mogą uciec przed nimi we własnym domu? Zapytajcie ich! Czy dziesięciominutowe rozdrażnienie spowodowane szczekaniem psa czy piskiem dziecka obróci wniwecz każdą odrobinę korzyści, jaką chory osiąga wskutek miesięcznej terapii medycznej? Nie ma w Anglii ani jednego kompetentnego lekarza, który ośmieli się temu zaprzeczyć! Na tych prostych podstawach opiera się moja metoda. Zapewniam, że terapia medyczna choroby nerwowej jest zupełnie drugorzędna wobec terapii duchowej. Ową duchową terapię znajdziecie państwo tutaj. Owa duchowa terapia, skrupulatnie stosowana przez cały dzień, idzie wieczorem wraz z chorym do jego sypialni, aby bez jego wiedzy koić

go, wspomagać i leczyć – zaraz zobaczą państwo jak.

Doktor urwał, aby zaczerpnąć powietrza i po raz pierwszy, odkąd goście weszli do domu, spojrzął na pannę Gwilt. Ona z kolei po raz pierwszy wyszła spomiędzy publiczności i odwzajemniła jego spojrzenie. Po chwilowej przeszkodzie w postaci kaszlu doktor na nowo podjął temat:

– Powiedzmy, panie i panowie, że mój pacjent właśnie przyjechał. Jego umysł jest jedną wielką plątaniną dziwactw i kaprysów, którą jego przyjaciele (w najlepszej wierze) nieświadomie drażnili w domu. Na przykład bali się go w nocy. Zmuszali go, aby ktoś spał z nim w jednym pokoju albo zabraniali mu zamykać drzwi na klucz w obawie przed wypadkiem. Przychodzi do mnie pierwszego wieczoru i mówi: „Proszę pamiętać, nie chcę mieć nikogo w pokoju!”. „Oczywiście, że nie!” „Chcę zamknąć się na klucz”. „Proszę bardzo!” Idzie więc do swojego pokoju i zamyka drzwi na klucz. Jest uspokojony i wyciszony, usposobiony ufnie, nastrojony do snu tym, że postawił na swoim. „To wszystko bardzo ładnie”, powiecie, „ale przypuśćmy, że coś się stanie, przypuśćmy, że w nocy będzie miał atak, co wtedy?” Zaraz państwo zobaczą! Halo, młody przyjacielu! – zawołał doktor, zwracając się nagle do sennego chłopca. – Pobawmy się. Ty będziesz biednym, chorym człowiekiem, a ja będę dobrym doktorem. Wejź do tego pokoju i zamknij drzwi na klucz. Dzielnny chłopak! Zamknąłeś? Wyśmienicie! Myślisz, że nie będę mógł się do ciebie dostać, jeśli zechcę? Poczekam, aż zaśniesz, wciskam ten biały guziczek ukryty w namalowanym od szablonu wzorze na ścianie korytarza, zapadka zamka cicho wypada ze słupka framugi i wchodzę do pokoju, kiedy mi się podoba. Podobnie dzieje się w przypadku okna. Mój kapryśny pacjent nie chce otworzyć na noc okna, choć powinien. Znowu mu ustępuję. „Proszę bardzo, drogi panie, niech je pan zamknie!” Gdy tylko zaśnie, pociągam za czarną klamkę ukrytą tutaj, w załomie ściany. Jak państwo widzą, okno w pokoju bezgłośnie się otwiera. Założmy, że pacjent ma odwrotny kaprys – upiera się przy otwartym oknie, kiedy powinien je zamknąć. Niech je otworzy, jak najbardziej, niech je otworzy! Kiedy smacznie sobie śpi, pociągam za drugą klamkę i w jednej chwili okno bezgłośnie się zamyka. Nie ma nic, co mogłoby go rozdrażnić, panie i panowie – absolutnie nic! Ale jeszcze z nim nie skończyłem. Pomimo najlepszych starań do sanatorium może wkraść się

choroba zakaźna i spowodować konieczność odkażenia pokoju chorego. Albo dany przypadek jest powikłany dolegliwością inną niż nerwowa – powiedzmy, na przykład, astmatyczną trudnością w oddychaniu. W pierwszym przypadku konieczne jest okadzanie, w drugim ulgę przyniesie dodatkowy tlen w powietrzu. Pacjent nerwowy z chorobą zakaźną powie: „Nie będzie mi się tu dymić pod nosem!”. Pacjent nerwowy z astmą ledwo łapie oddech na myśl o eksplozji w jego pokoju. Bezgłośnie okadzam pierwszego, bezgłośnie dotleniam drugiego za pomocą prostego aparatu zamontowanego na zewnątrz w rogu. Ochrania go drewniana obudowa, otwieram go własnym kluczem, a on łączy się z wnętrzem pokoju za pomocą rury. Proszę spojrzeć!

Zerknąwszy na pannę Gwilt, doktor otworzył pokrywę drewnianej obudowy, ukazując wnętrze aparatu. Znajdował się tam zwyczajny kamienny dzban wyposażony w szklany lejek i przewód łączący się ze ścianą, z wylotem zatkanym korkiem. Spojrzawszy ponownie na pannę Gwilt, doktor zamknął z powrotem pokrywę i spytał najbardziej uprzejmym tonem, czy jego metoda jest teraz zrozumiała.

– Mógłbym zaprezentować państwu różne inne wynalazki tego typu – podjął, sprowadzając gości na dół – ale byłoby to tylko powtarzanie w kółko tej samej rzeczy. Cierpiący nerwowo pacjent, który zawsze stawia na swoim, to pacjent, który nigdy się nie denerwuje, a cierpiący nerwowo pacjent, który nigdy się nie denerwuje, to pacjent wyleczony. Oto sedno sprawy! Zapraszam panie do zobaczenia apteki. Apteki, a następnie kuchni!

Panna Gwilt ponownie została z tyłu i czekała sama, uporczywie wpatrując się w pokój i aparat, które pokazał doktor. I znów, nie zamieniając z nim ani słowa, zrozumiała go. Wiedziała równie dobrze, jakby sam się do tego przyznał, że na oczach świadków, którzy w razie czego zaświadczyliby o pozornie niewinnych czynnościach, jakie widzieli, zręcznie podsuwał jej właściwą pokusę. Aparat, skonstruowany po to, aby służyć medycznym sztuczkom doktora, miał najwyraźniej zostać użyty w innym celu, o którym do tej pory prawdopodobnie nie śniło się samemu doktorowi. Możliwe, że jeszcze tego samego dnia ów inny cel zostanie jej potajemnie wyjawiony w obecności odpowiedniego świadka.

– Tym razem Armadale umrze – powiedziała do siebie, schodząc wolno po schodach. – Doktor zabije go moimi rękami.

Dołączyła do gości w aptecę. Wszystkie damy podziwiała piękno zabytkowej gablotki i, co za tym idzie, wszystkie chciały zobaczyć, co kryje. Doktor, po wstępnym zerknięciu na pannę Gwilt, z uśmiechem potrząsnął głową.

– W środku nie ma nic ciekawego – rzekł. – Tylko rzędy małych podniszczonych butelek zawierających trucizny używane w medycynie, które trzymam pod kluczem. Zapraszam panie do kuchni. Liczę na to, że na dole zaszczycicie mnie poradami dotyczącymi gospodarstwa domowego.

Kiedy towarzystwo przechodziło przez hol, rzucił pannie Gwilt kolejne spojrzenie, które tym razem wyraźnie mówiło: „zaczekaj tutaj”.

W ciągu kolejnego kwadransa doktor wyłożył swoje poglądy na gotowanie i dietę, a goście (należycie wyposażeni w prospekty) żegnali się z nim przy drzwiach.

– Prawdziwe przeżycie intelektualne! – mówili do siebie, kiedy znów w starannie ubranym pochodzie wypływali przez żelazną bramę. – I co za nieprzeciętny człowiek!

Doktor odwrócił się z powrotem w kierunku apteki, nucąc pod nosem w zamyśleniu i zupełnie nie zauważając kąta holu, w którym stała panna Gwilt. Po chwili wahania ruszyła za nim. Kiedy weszła do pomieszczenia, w środku znajdował się asystent chwilę wcześniej wezwany przez swego pracodawcę.

– Doktorze – rzekła chłodno i machinalnie, tak jakby powtarzała lekcję – jestem równie ciekawa jak inne damy pańskiej ładnej gablotki. Teraz, kiedy wyszły, może pokaże mi pan jej zawartość?

Doktor zaśmiał się jak umiał najprzyjemniej.

– Znana historia – rzekł. – Zamknięta komnata Sinobrodego i kobieca ciekawość! (Nie odchódź, Benjaminie, nie odchódź). Droga damo, na cóż może ci się zdać oglądanie butelki aptecznej tylko dlatego, że zawiera ona truciznę?

Po raz drugi powtórzyła lekcję.

– Zda mi się na to – powiedziała – że patrząc na nią, będę myślała o strasznych

rzeczach, jakie może sprawić, jeśli dostanie się w ręce pewnych ludzi.

Doktor spojrział na swego asystenta ze współczującym uśmiechem.

– Zadziwiające, Benjaminie – rzekł – jakie romantyczne wyobrażenia o tych naszych lekach snuje nienaukowy umysł! Moja droga damo – dodał, zwracając się do panny Gwilt – jeśli taki ma pani cel w oglądaniu trucizn, nie musi pani prosić mnie o otwarcie gabloty – wystarczy, że rozejrzy się pani po regałach. W tych butelkach znajdują się różne lecznicze ciecze i substancje, jak najbardziej niewinne, jak najbardziej użyteczne same w sobie, które w połączeniu z innymi substancjami i cieczami stają się truciznami równie strasznymi i śmiertcionośnymi jak te, które trzymam zamknięte w gablocie.

Popatrzyła na niego przez chwilę i przeszła na drugi koniec pokoju.

– Niech pan mi jedną pokaże.

Uśmiechając się jak zwykle dobrodusznie, doktor spełnił życzenie cierpiącej nerwowo pacjentki. Wskazał na butelkę, z której poprzedniego dnia skrycie wylał żółtą ciecz i którą następnie napełnił własną miksturą imitującą kolorem oryginał.

– Widzi pani tę butelkę – zapytał – tę pękatą, okrągłą, przyjemnie wyglądającą butelkę? Mniejsza z tym, co jest w środku, zostańmy przy butelce i dla odróżnienia nadajmy jej jakąś nazwę. Może nazwiemy ją: Tęgi Przyjaciel? Znakomicie. Nasz Tęgi Przyjaciel sam w sobie jest zupełnie niewinnym i pożytecznym lekiem. Codziennie wydaje się go bez ograniczeń dziesiątkom tysięcy pacjentów na całym cywilizowanym świecie. Nie stawiał się w sądach, nie wywoływał podniecenia na kartach powieści, nie grał mrożącej krew w żyłach roli na scenie. Oto on, niewinne, nieszkodliwe stworzenie, które nikogo nie kłopotczy koniecznością trzymania go pod kluczem! Ale niech się go tylko połączy z czymś innym – zapozna z pewnym pospolitym minerałem, powszechnie dostępnym, podzielonym na kawałki. Wystarczy wziąć (powiedzmy) sześć dawek naszego „tęgiego przyjaciela” i kolejno wylać te dawki na kawałki, o których mówiłem, w odstępach nie mniejszych niż pięć minut. Za każdym razem wydzielą się wielkie ilości bąbelków. Gdyby zebrać gaz z tych bąbelków i wpuścić go do zamkniętego pomieszczenia – nawet jeśli byłby w nim Samson we własnej osobie, nasz „tęgi przyjaciel” zabije go w pół godziny! Zabije go powoli, tak że on nic nie zobaczy, nie poczuje żadnego zapachu ani nie

dozna niczego prócz senności. Zabije go i całemu kolegium lekarskiemu, które będzie go badać po śmierci, nie zdradzi nic, jak tylko to, że zmarł na apopleksję lub zator płucny! Co pani o tym myśli, droga damo, w związku z tajemnicami i romantycznością? Czy nasz niewinny Tęgi Przyjaciel jest teraz równie interesujący, jak gdyby cieszył się potworną i powszechną sławą arszeniku i strychniny, które trzymam zamknięte w gablocie? Proszę nie myśleć, że wyolbrzymiam! Proszę nie myśleć, że wymyślam historyjkę, aby panią zbyć, jak mówią dzieci. Niech pani spyta Benjamina – powiedział doktor, odwołując się do swojego asystenta, ze wzrokiem utkwionym w pannę Gwilt. – Niech pani spyta Benjamina – powtórzył z mocnym naciskiem na swoje następne słowa – czy sześć dawek płynu z tej butelki zastosowanych w pięciominutowych odstępach czasu nie wywołałoby, w warunkach, o jakich mówiłem, opisanych przeze mnie skutków?

Farmaceuta, dyskretnie podziwiając pannę Gwilt z pewnej odległości, drgnął i poczerwieniał. Był wyraźnie uradowany odrobiną okazanej mu uwagi wyrażonej zaproszeniem do rozmowy.

– Doktor ma rację, proszę pani – powiedział, zwracając się do panny Gwilt ze swoim najlepszym ukłonem. – Wytwarzanie gazu rozłożone w czasie na pół godziny byłoby dość stopniowe. I – dodał farmaceuta, milcząco prosząc swego pracodawcę, aby pozwolił mu wykazać się nieco wiedzą chemiczną na własną rękę – objętość gazu wytworzona przed upływem tego czasu wystarczyłaby, o ile się nie mylę, sir, aby zabić każdego, kto wejdzie do pokoju, w mniej niż pięć minut.

– Bez wątpienia, Benjaminie – odparł doktor. – Ale myślę, że na razie mamy dość chemii – dodał, zwracając się do panny Gwilt. – Pomimo szczerzej gotowości, moja droga damo, aby spełnić każde pani przelotne życzenie, ośmielę się zaproponować zmianę tematu na weselszy. Może wyjdziemy z apteki, zanim nasunie ona kolejne pytania temu pani żywemu umysłowi? Nie? Chce pani zobaczyć eksperyment? Chce zobaczyć, jak wytwarzają się bąbelki? No cóż, nie ma w tym nic złego. Pozwolimy pani Armadale zobaczyć bąbelki – ciągnął doktor takim tonem, jakim rodzic ustępuje rozpieszczonemu dziecku. – Zobacz, czy uda ci się znaleźć kilka tych kawałków, które są nam potrzebne, Benjaminie. Mam wrażenie, że robotnicy (co za flejtuchy!) zostawili coś takiego na terenie domu lub koło niego.

Aptekarz wyszedł.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, doktor zaczął gorączkowo otwierać i zamykać szuflady w różnych częściach apteki jak ktoś, kto pilnie czegoś potrzebuje i nie wie, gdzie to znaleźć.

– A niech to! – wykrzyknął, zatrzymując się nagle przy szufladzie, z której poprzedniego dnia wyciągnął zaproszenia. – Co to? Klucz? Zapasowy klucz, jako żywo, od mojego aparatu do okadzania! Ojej, ojej, ależ się robię roztargniony – powiedział doktor, odwracając się energicznie w stronę panny Gwilt. – Nie miałem pojęcia, że posiadam drugi klucz. Nigdy nie zauważyłbym jego zniknięcia. Zapewniam panią, nigdy nie zauważyłbym jego zniknięcia, gdyby ktoś wyjął go z szuflady!

Popędził na drugi koniec pokoju, nie zamykając szuflady i nie wyjmując z niej zapasowego klucza.

Panna Gwilt w milczeniu słuchała, dopóki nie skończył. Następnie w milczeniu zbliżyła się do szuflady, wyjęła klucz i włożyła go do kieszeni fartucha.

Aptekarz wrócił z kawałkami minerału, o które go proszono, zebranych do miednicy.

– Dziękuję, Benjaminie – rzekł doktor. – Bądź tak dobry i zalej je wodą, podczas gdy ja zdejmę butelkę.

Tak jak wypadki zdarzają się czasem w rodzinach prowadzących najbardziej uregulowany tryb życia, tak niezręczność dopada czasem nawet najbardziej zdyscyplinowane dłonie. W drodze z półki w ręce doktora butelka wyślizgnęła się i roztrzaskała o podłogę.

– Ależ ze mnie niezgara! – zawołał doktor tonem rozbawionej złości. – Własne ręce płatają mi figle. No cóż, co się stało, to się nie odstanie. Mamy jeszcze tego trochę, Benjaminie?

– Ani kropli, sir.

– Ani kropli! – powtórzył jak echo doktor. – Jak mam się pani wytłumaczyć, droga damo? Moja niezręczność sprawiła, że nasz mały eksperyment będzie dziś niemożliwy. Przypomnij mi, żebym jutro zamówił nową porcję, Benjaminie, i nie

zawracaj sobie głowy sprzątaniem tego bałaganu. Przyślę tu służącego, który wszystko powyciera. Nasz Tęgi Przyjaciel jest teraz niegroźny, droga pani, w kontakcie z pokrytą deskami podłogą i zbliżającym się zmywakiem na kiju! Przepraszam, naprawdę przepraszam, że panią zawiodłem.

Po tych pojednawczych słowach podał pannie Gwilt ramię i wyprowadził ją z apteki.

– Skończył pan ze mną na razie? – spytała, gdy znaleźli się w holu.

– Ojej, co za sformułowanie! – zawołał doktor. – Obiad o szóstej – dodał z uprzejmym naciskiem, kiedy odwróciła się od niego w pogardliwym milczeniu i wolno wspięła się na schody w drodze do swojego pokoju.

Nad podestem powyżej pierwszego piętra sanatorium wisiał zegar z rodzaju bezgłośnych, niezdolny podrażniać wrażliwe nerwy. W chwili gdy wskazówki ustawiły się w pozycji za kwadrans szósta, ciszę bezludnych wyższych partii budynku zmącił delikatny szelest sukni panny Gwilt. Przeszła wzdłuż korytarza na pierwszym piętrze, przystanęła przed przykrytym aparatem na zewnątrz pokoju numer cztery, przez chwilę nasłuchiwała, a potem otworzyła pokrywę zapasowym kluczem.

Uniesiona pokrywa rzucała cień na wnętrze obudowy. Zrazu zobaczyła tylko to co poprzednio – dzban, rurę i szklany lejek zamknięty korkiem. Wyjęła lejek i, rozglądając się wokół siebie, dostrzegła na parapecie okna nieopodal patyczek z końcówką umaczaną w wosku używany do zapalania gazu. Wzięła patyczek i wkładając go przez otwór, w którym tkwił lejek, zamieszała nim w dzbanie. Uszu jej dobiegły dwa dźwięki: cichy plusk jakiejś cieczy i chrobotanie jakichś twardych przedmiotów. Wyciągnęła patyczek i ostrożnie dotknęła jego mokrej części końcem języka. Ostrożność okazała się w tym wypadku zupełnie zbyteczna – cieczą tą była woda.

Odkładając lejek na miejsce, zauważyła, że coś delikatnie połyskuje w słabo oświetlonym pustym miejscu obok dzbana. Sięgnęła po to i wyciągnęła fioletową butelkę. Znajdująca się w niej ciecz oglądana przez przejrzyste, lekko zabarwione szkło butelki wydawała się ciemna. Na boku butelki poprzyklepiane w regularnych odstępach widniało sześć pasków papieru dzielących zawartość na sześć równych

części.

Nie było wątpliwości, że aparat został dla niej potajemnie przygotowany – aparat, do którego poza doktorem tylko ona posiadała klucz.

Odłożyła butelkę na miejsce i zamknęła pokrywę. Przez chwilę stała, patrząc na nią z kluczem w dłoni. Nagle wróciły jej kolory, a na twarzy po raz pierwszy tego dnia ukazało się dawne ożywienie. Odwróciła się i co sił w nogach popędziła do własnego pokoju na drugim piętrze. Z zapalem wyciągnęła z szafy płaszcz i wyjęła czepek z pudełka.

– Nie jestem w więzieniu! – wybuchła porywczo. – Mam władzę nad własnymi kończynami! Mogę pójść, nieważne dokąd, byleby dalej od tego domu!

Okryta płaszczem, z czepkiem w ręku, przeszła przez pokój w kierunku drzwi. Jeszcze chwila, a znalazłaby się w korytarzu. W tej właśnie chwili wróciło do niej wspomnienie o mężu, którego zapała się w twarz. Natychmiast się zatrzymała i rzuciła płaszcz oraz czepek na łóżko.

– Nie! – powiedziała. – Między nami ziele przepaść, najgorsze już się stało!

Rozległo się pukanie do drzwi. Głos doktora uprzejmie przypomniał jej, że była szóstą.

Otworzyła drzwi i zatrzymała go w drodze na dół.

– O której ma dziś przyjechać pociąg? – spytała szeptem.

– O dziesiątej – odparł doktor głosem, który cały świat mógłby usłyszeć i przyjąć z radością.

– Który pokój ma zająć pan Armadale, kiedy przyjedzie?

– Który pokój chciałaby pani, aby zajął?

– Numer cztery.

Doktor do końca zachował pozory.

– A więc niech będzie numer cztery – rzekł łaskawie. – Oczywiście pod warunkiem, że numer cztery będzie wtedy wolny.

Wieczór się dłużył, nadeszła noc.

Kilka minut przed dziesiątą pan Bashwood ponownie znalazł się na swoim stanowisku, wyglądając przyjazdu pociągu.

Inspektor dyżurny, który znał go z widzenia i który osobiście upewnił się, że jego regularne wizyty na dworcu nie łączyły się z zakusami na portfele i kufry podróżne pasażerów, tej nocy dostrzegł dwie nowe okoliczności w związku z panem Bashwoodem. Po pierwsze, zamiast okazywać swoją zwykłą wesołość, zdawał się być zaniepokojony i przygnębiony. Po drugie, podczas gdy wyglądał pociąg, najwyraźniej sam był obserwowany przez szczupłego, smagłego, niewysokiego mężczyznę, który zostawił swój bagaż (podpisany nazwiskiem Midwinter) zeszłego wieczoru w izbie celnej i który wrócił około pół godziny temu, aby poddać go kontroli.

Co sprowadziło Midwintera na dworzec? I po co on również czekał na pociąg?

Po tym, jak podczas swojej samotnej wędrówki poprzedniej nocy zapuścił się aż do Hendon, Midwinter znalazł schronienie w wiejskiej gospodzie i zapadł w sen (z czystego wyczerpania) w owych późniejszych godzinach porannych, które wykorzystwała zapobiegliwość jego żony. Kiedy wrócił do mieszkania, gospodyni poinformowała go jedynie, że jej lokatorka wszystko załatwiła i wyszła (dokład – ani ona, ani jej służąca nie potrafiły powiedzieć) ponad dwie godziny temu.

Poświęciwszy chwilę na zasięgnięcie języka, którego efekty upewniły go, że trop został zgubiony, Midwinter opuścił dom i machinalnie udał się w bardziej centralne i ludniejsze części metropolii. Po tym, czego dowiedział się ostatnio o swojej żonie, pójsie pod adres podany przez nią jako adres matki było oczywiście bezcelowe. Krążył ulicami, zdecydowany ją odnaleźć i na próżno próbując znaleźć na to sposób, dopóki ponownie nie ogarnęło go zmęczenie. Zatrzymał się dla odpoczynku i nabrania sił w pierwszym z brzegu hotelu, gdzie przypadkowa sprzeczka o zgubiony kufer pomiędzy szefem służby hotelowej a nieznanym przypomniła mu o jego własnym bagażu pozostawionym na dworcu i natychmiast zmusiła do powrotu myślami do okoliczności, w jakich spotkał pana Bashwooda. W następnej chwili objawiła mu się myśl, na którą próżno próbował wpaść podczas wędrówki ulicami miasta. Zdecydował bezzwłocznie sprawdzić, czy znów zostanie zarządcę

czekającego na osobę, której przybycia najwidoczniej oczekiwał poprzedniego wieczoru.

Midwinter nie słyszał o śmierci Allana na morzu, a podczas strasznej rozmowy z żoną nie wiedział, w jakim celu przywdziała wdowi strój, ale jego początkowe mgliste podejrzenia o niewierność teraz nieuchronnie przeszły w pewność, że żona go oszukuje. Jej otwarte zaparcie się go i przybranie nazwiska, pod którym skrycie ją poślubił, nasuwało mu tylko jedno wyjaśnienie. Jej zachowanie doprowadziło go do wniosku, że była zamieszana w jakąś haniebną intrygę i że zawczasu nikczemnie zabezpieczyła się, przyjmując taką pozycję, która sprawi, że jej mężowi będzie jak najbardziej niezręcznie rościć sobie do niej prawo. W tym przekonaniu obserwował teraz pana Bashwooda, wierząc głęboko, że ten, który służy nikczemnym sprawkom jego żony, zna również jej kryjówkę i w miarę upływu czasu nabierając podejrzenia, że nieznany mężczyzna, który go skrzywdził, i nieznany podróżny, na którego czeka zarządca, to jedna i ta sama osoba.

Tej nocy pociąg się spóźnił, a kiedy wreszcie przyjechał, wagony były zatłoczone bardziej niż zwykle. Midwinter dał się ponieść tłumowi na peronie, a próbując się z niego wyplątać, po raz pierwszy stracił z oczu pana Bashwooda.

Dopiero po kilku minutach zobaczył, że zarządca z ożywieniem rozmawia z mężczyzną w luźnym, włochatym płaszczu, który stał odwrócony do niego plecami. Niepomny na wszystkie przestrogi i ograniczenia, które narzucił sobie przed przyjazdem pociągu, Midwinter z miejsca do nich podszedł. Pan Bashwood dostrzegł jego groźną twarz, gdy nadchodził, i cofnął się w milczeniu. Mężczyzna w luźnym płaszczu odwrócił się, by popatrzeć w stronę, w którą patrzył zarządca, i w pełnym świetle dworcowej latarni Midwinterowi ukazała się twarz Allana!

Przez chwilę obaj stali naprzeciw siebie oniemieli, patrząc jeden na drugiego. Allan pierwszy odzyskał mowę.

– Dzięki Ci, Boże! – zawołał żarliwie. – Nie pytam, jak się tu znalazłeś, wystarczy mi, że jesteś. Dotarły już do mnie smutne wieści. Tylko ty możesz mnie pocieszyć i pomóc mi to znieść.

Przy ostatnich słowach głos mu się załamał i umilkł.

Ton, jakim mówił, obudził w Midwinterze dawne uczucie wdzięczności wobec przyjaciela, które niegdyś było dominującym uczuciem w jego życiu, i kazał mu skupić się na bieżącej sytuacji. Po raz pierwszy od czasu, gdy na niego spadło, odsunął na bok swoje własne nieszczęście i delikatnie odprowadzając Allana na stronę, zapytał, co się stało.

Ten powiedział mu o pogłoskach na temat swojej śmierci na morzu i oznajmił (powołując się na pana Bashwooda), że wieść dotarła do panny Milroy i że oplakane skutki wywołanego w ten sposób szoku zmusiły majora do umieszczenia córki pod opieką lekarską w pobliżu Londynu.

Midwinter, zanim powiedział cokolwiek ze swej strony, najpierw obejrzał się nieufnie. Pan Bashwood poszedł za nimi i patrzył, co następnie zrobią.

– Czy on czekał tu na twój przyjazd, aby powiedzieć ci nowiny o panie Milroy?
– zapytał Midwinter, z powrotem przenosząc wzrok z zarządcy na Allana.

– Tak – odrzekł Allan. – Był tak dobry, że czekał tu na mnie co wieczór, aby mnie spotkać i przekazać mi wiadomość.

Midwinter ponownie urwał. Próba pogodzenia wniosku, który wyciągnął z zachowania swojej żony, z odkryciem, że to Allan jest człowiekiem, na którego czekał pan Bashwood, okazała się daremna. Obecnie jedyną szansą odkrycia prawdziwego rozwiązania zagadki było przycisnąć zarządcę w jednej jedynej kwestii, w której można mu było coś zarzucić. Poprzedniego wieczoru stanowczo zaprzeczył, że wie coś o posunięciach Allana i że ma jakiś interes w powrocie Allana do Anglii. Przyłapawszy pana Bashwooda na jednym kłamstwie, Midwinter z miejsca zaczął podejrzewać go o drugie. Wykorzystał okazję, aby od razu zweryfikować informację o panie Milroy.

– Jak się pan dowiedział o tej smutnej sprawie? – spytał, odwracając się nagle do pana Bashwooda.

– Przez majora, rzecz jasna – odparł Allan, zanim tamten zdążył odpowiedzieć.

– Kim jest lekarz, które opiekuje się panną Milroy? – drążył Midwinter, nadal zwracając się do pana Bashwooda.

Ponownie zarządca nie odpowiedział. Allan po raz drugi odpowiedział za niego.

– Nosi obce nazwisko – powiedział Allan. – Prowadzi sanatorium w pobliżu Hampstead. Jak pan mówił, że nazywa się to miejsce?

– Fairweather Vale, proszę pana – rzekł zarządca, odpowiadając z konieczności swojemu chlebodawcy, ale robiąc to bardzo niechętnie.

Adres sanatorium natychmiast przypomniał Midwinterowi, że poprzedniego wieczoru wytropił swoją żonę w Fairweather Vale Villas. Po raz pierwszy coś mu zaczęło niewyraźnie świtać. Instynkt, który przychodzi z pomocą w nagłej sytuacji, nim dojdzie do głosu wolniejszy proces rozumowania, nagle nasunął mu wniosek, że pan Bashwood, który poprzedniego dnia z pewnością działał pod wpływem jego żony, może działać pod jej wpływem również teraz. Nie przestawał uparcie weryfikować stwierdzenia zarządcy, będąc coraz głębiej przekonany, że stwierdzenie to było kłamstwem i że jego żona jest we wszystko zamieszana.

– Czy major jest w hrabstwie Norfolk – zapytał – czy też z córką w Londynie?

– W Norfolk – powiedział pan Bashwood.

Odpowiedziawszy tymi słowy bardziej na pytający wzrok Allana niż na wypowiedziane pytanie Midwintera, zawahał się, po raz pierwszy spojrzawszy Midwinterowi w twarz i nagle dodał:

– Pan wybaczy, sir, ale nie zgadzam się na przesłuchanie. Wiem tyle, ile powiedziałem panu Armadale’owi, i nic więcej.

Zarówno słowa, jak i ton głosu, jakim zostały wypowiedziane, różniły się od zwykłego sposobu wyrażania się pana Bashwooda. W jego twarzy malowało się ponure przygnębienie, a w oczach czały nieufność i niechęć, kiedy patrzył na Midwintera, co sam Midwinter zauważył dopiero teraz. Zanim zdążył zareagować na niezwykle wybuch zarządcy, wtrącił się Allan.

– Nie myślcie, że się niecierpliwę – powiedział – ale robi się późno, a do Hampstead daleka droga. Boję się, że mogą zamknąć sanatorium.

Midwinter drgnął.

– Nie pojedziesz dziś do sanatorium! – zawołał.

Allan złapał przyjaciela za rękę i mocno ją ścisnął.

– Gdybyś kochał ją tak jak ja – wyszeptał – nie zaznałbyś chwili odpoczynku, nie

zasnąłbyś, dopóki nie spotkałbyś się z lekarzem i nie usłyszał wszystkiego, co najlepszego i najgorszego ma ci do powiedzenia. Kochane biedactwo! Kto wie, gdyby tylko mogła zobaczyć mnie całym i zdrowym...

– Do oczu napłynęły mu łzy i w milczeniu odwrócił głowę.

Midwinter spojrzał na zarządcę.

– Niech się pan odsunie – rzekł. – Chcę porozmawiać z panem Armadale'em.

W jego oczach pojawiło się coś, z czym lepiej było nie igrać. Pan Bashwood wycofał się na ubocze, poza zasięg słuchu, ale nie wzroku. Midwinter z czułością położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– Allanie – zaczął – mam powody...

Czy mógł wyłożyć powody, zanim sam je dobrze zrozumiał, do tego o tej porze i w tych okolicznościach? Niepodobna!

– Mam powody – podjął – radzić ci, abyś nie wierzył zbyt łatwo w to, co mówi pan Bashwood. Nie mów mu o tym, ale posłuchaj mojej przestrogi.

Allan spojrzał w zdumieniu na przyjaciela.

– To ty zawsze lubieś pana Bashwooda! – zawołał. – To ty mu ufaeś, kiedy po raz pierwszy zjawił się w rezydencji!

– Może to ja się myliłem, Allanie, a ty miaeś rację. Poczekasz tylko, aż zatelegrafujemy do majora Milroya i otrzymamy od niego odpowiedź? Poczekasz tylko do rana?

– Zwariuję, jeśli będę czekał do rana – powiedział Allan. – Jeszcze bardziej mnie zaniepokoięś. Jeżeli nie mogę o tym porozmawiać z Bashwoodem, muszę jechać do sanatorium i od samego doktora dowiedzieć się, czy ona tam jest, czy nie.

Midwinter spostrzegł, że to na nic. Została tylko jedna rzecz, którą mógł zrobić dla dobra Allana.

– Pozwolisz mi jechać z sobą? – spytał.

Twarz Allana po raz pierwszy się rozpromieniła.

– Kochany, dobry druhu! – wykrzyknął. – Właśnie miałem cię o to prosić.

Midwinter skinął na zarządcę.

– Pan Armadale jedzie do sanatorium – rzekł – a ja będę mu towarzyszył. Niech

pan sprowadzi dorożkę i jedzie z nami.

Czekał, patrząc, czy pan Bashwood go posłucha. Mając surowo przykazane nie stracić z oczu Allana, jeśli ten faktycznie przyjedzie, i będąc zmuszony dla własnego dobra wyjaśnić panie Gwilt niespodziewane pojawienie się Midwintera, zarządca nie miał innego wyjścia, jak się podporządkować. Z ponurą miną zrobił, co mu kazano. Klucze do bagażu Allana zostały wręczone cudzoziemskiemu słudze podróżnemu, który z nim przyjechał, a który miał czekać na rozkazy pana w przydworcowym hotelu. W minutę potem dorożka wyjechała spod dworca, wioząc Midwintera i Allana siedzących w środku oraz pana Bashwooda obok woźnicy na koźle.

Pomiędzy jedenastą a dwunastą w nocy panna Gwilt, stojąc samotnie przy oknie, które oświetlało korytarz sanatorium na drugim piętrze, usłyszała turkot kół. Dźwięk ten, szybko przybierający na sile w ciszy odludzia, ustał przy żelaznej bramie. W chwilę potem zobaczyła, jak dorożka zatrzymuje się w dole, przed drzwiami domu.

Wcześniej noc była pochmurna, ale teraz niebo zaczęło się odsłaniać i wyszedł księżyc. Otworzyła okno, aby lepiej widzieć i słyszeć, co dzieje się w dole. W świetle księżycy ujrzała, jak Allan wysiada z dorożki i zwraca się do kogoś siedzącego w środku. Głos tej osoby powiedział jej, jeszcze zanim wysiadła, że towarzyszem Armadale'a jest jej mąż.

Dopadła ją ta sama paraliżująca siła, którą poczuła podczas rozmowy z nim poprzedniego wieczoru. Stała przy oknie blada i nieruchoma, wymizerowana i stara, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy pojawiła się przed nim we wdowim stroju.

Panu Bashwoodowi, który samotnie zakradł się na drugie piętro złożyć swój raport, wystarczył jeden rzut oka, aby zorientować się, że nie jest on konieczny.

– To nie moja wina – powiedział tylko, gdy z wolna odwróciła głowę i na niego spojrzała. – Spotkali się i nie sposób ich było rozdzielić.

Głęboko wciągnęła powietrze i dała mu znak, by był cicho.

– Niech pan chwilę poczeka – rzekła. – Wiem wszystko.

Po tych słowach odwróciła się do niego plecami i powoli przeszła korytarzem aż do końca. Zawróciła i powoli zbliżyła się do niego ze zmarszczoną brwią i spuszczoną głową. Cała jej uroda zniknęła, a pozostał tylko wrodzony wdzięk ruchów.

– Chciałby pan ze mną pomówić? – zapytała, nieobecna myślami, ze wzrokiem tępo utkwionym w jego twarzy.

Zebrał się na odwagę, na którą jeszcze nigdy nie zdobył się wobec niej.

– Niech mnie pani nie doprowadza do rozpacz! – zawołał z zadziwiającą gwałtownością. – Niech pani tak na mnie nie patrzy, teraz, gdy to odkryłem!

– Co pan odkrył? – spytała.

Na jej twarzy pojawiło się przelotne zdziwienie, które znikło, zanim zdążył złapać oddech i przemówić.

– Mężczyzną, który mi panią zabrał, nie jest pan Armadale – odparł. – Jest nim pan Midwinter. Zobaczyłem to wczoraj w pani twarzy. Widzę to teraz. Dlaczego podpisywała się pani nazwiskiem Armadale w listach do mnie? Dlaczego nadal mówi pani o sobie „pani Armadale”?

Wypowiadał te słowa w długich odstępach, ze strasznym i żalonym wysiłkiem, próbując oprzeć się wpływowi, jaki nad nim roztaczała.

Po raz pierwszy spojrzała na niego łagodnym wzrokiem.

– Szkoda, że nie żałowałam pana, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy – powiedziała łagodnie – tak jak żałuję teraz.

Podjął desperacki wysiłek, aby mówić dalej i skierować do niej słowa, które zdecydował się powiedzieć, jadąc z dworca. Słowa te złowrogo sugerowały, że zna jej przeszłość, i miały ją przestrzec, bez względu na to, co robi i jakie zbrodnie popełni, aby dobrze się zastanowiła, zanim ponownie oszuka go i zostawi. Przysięgł sobie, że takimi słowami się do niej zwróci. Miał już wybrane i ułożone frazy, miał w głowie kolejność poszczególnych zdań, nie pozostawało nic innego, jak wykonać wieńczący całość wysiłek wypowiedzenia ich i nawet teraz, po tym wszystkim, co

powiedział i na co się odważył, wysiłek ten przekraczał jego możliwości! Nawet ta odrobina litości z jej strony wzbudziła w nim bezradną wdzięczność, która sprawiła, że stał i patrzył na nią, roniąc bezgłośnie, kobiece łzy, które spadają z oczu starych ludzi.

Ujęła jego dłoń i przemówił doń z wyraźną wyrozumiałością, ale bez cienia emocji.

– Już wcześniej na moją prośbę czekał pan – rzekła. – Proszę poczekać do jutra, a dowie się pan wszystkiego. Jeśli nawet nie wierzy pan w nic z tego, co panu powiedziałam, może uwierzyć temu, co teraz powiem. Dziś w nocy to się skończy.

Kiedy wypowiedziała te słowa, na schodach rozległy się kroki doktora. Pan Bashwood odsunął się, a serce waliło mu w niewyraźnym oczekiwaniu.

– Dziś w nocy to się skończy! – powtórzył do siebie pod nosem, wycofując się na drugi koniec korytarza.

– Proszę sobie nie przeszkadzać, sir – powiedział doktor wesoło, kiedy się spotkali. – Nie mam pani Armadale nic do powiedzenia ponad to, co pan i każdy inny może usłyszeć.

Pan Bashwood nie odpowiadał, szedł dalej, wciąż powtarzając pod nosem:

– Dziś w nocy to się skończy!

Doktor, minawszy go, podszedł do panny Gwilt.

– Bez wątpienia słyszała pani – zaczął najbardziej obojętnym i niepozostawiającym niedomówień tonem – że pan Armadale przyjechał. Proszę pozwolić mi dodać, droga damo, że nie ma najmniejszego powodu do zdenerwowania z pani strony. Został starannie udobruchany i jest teraz tak spokojny i zgodny, jak mogliby sobie życzyć jego najlepsi przyjaciele. Powiedziałem mu, że rozmowa z młodą damą jest dzisiaj niemożliwa, ale może liczyć na spotkanie z nią (zachowując odpowiednią ostrożność) w pierwszym sprzyjającym momencie, kiedy obudzi się jutro rano. Ponieważ nie ma w pobliżu hotelu, a sprzyjający moment może nastąpić w każdej chwili, miałem w obecnej sytuacji obowiązek zaproponować mu nocleg w gościnnych progach sanatorium. Przyjął moją propozycję z największą wdzięcznością i w najbardziej uprzejmych i ujmujących słowach dziękował za

wysiłki, jakie podjąłem, aby go uspokoić. Jak dotąd wszystko odbywa się w jak największym porządku! Ale pojawił się mały szkopuł, już szczęśliwie wyeliminowany, o którym uznałem za stosowne wspomnieć, zanim wszyscy udamy się na spoczynek.

Utorowawszy w ten sposób drogę (w zasięgu słuchu pana Bashwooda) wypowiedzi, której zamiar wyraził już wcześniej w razie śmierci Allana w sanatorium, doktor miał ciągnąć dalej, gdy jego uwagę przykuł dobiegający z dołu dźwięk przypominający naciskanie kłamki.

Natychmiast zszedł po schodach i otworzył drzwi pomiędzy pierwszym i drugim piętrem, które zamknął za sobą na klucz, idąc na górę. Jednak osoba, która próbowała otworzyć drzwi – jeśli faktycznie była tam taka osoba – okazała się szybsza. Rozejrzał się po korytarzu, wyjrzał przez klatkę schodową na hol i nie odkrywszy nic, powrócił do panny Gwilt, uprzednio ponownie zamykając za sobą drzwi na klucz.

– Proszę wybaczyć – podjął – zdawało mi się, że słyszałem coś na dole. Co do małego szkopuła, o którym wspomniałem, proszę pozwolić mi donieść, że pan Armadale przywiózł ze sobą przyjaciela, który nosi osobliwe nazwisko Midwinter. Zna pani tego dżentelmena? – zapytał doktor z podejrzliwym niepokojem w oczach, który dziwnie nie pasował do wystudiowanej obojętności jego tonu.

– Wiem, że to stary przyjaciel pana Armadale’a – odparła. – Czy on...?

Głos ją zawiódł, a wzrok uciekł przed badawczym spojrzeniem doktora. Przewyciężyła chwilową słabość i dokończyła pytanie:

– Czy on też zostaje na noc?

– Pan Midwinter jest osobą o grubiańskich manierach i nieufnej naturze – odparł doktor, nie spuszczając z niej badawczego wzroku. – Był na tyle niegrzeczny, aby upierać się przy pozostaniu tutaj, gdy tylko pan Armadale przyjął moje zaproszenie.

Urwał, aby zobaczyć, jakie wrażenie zrobią na niej te słowa. Ostrożność, z jaką panna Gwilt unikała wymieniania przybranego nazwiska męża podczas pierwszej rozmowy z doktorem, sprawiła, że nie domyślał się prawdy, a jego podejrzliwość wobec niej była z konieczności najbardziej ogólnikowa. Słyszał, jak zawodzi ją głos,

widział, jak się czerwieni. Podejrzewał ją o zastrzeżenia wobec Midwintera, nic więcej.

– Pozwoli pan postawić mu na swoim? – zapytała. – Na pana miejscu pokazałabym mu drzwi.

Nieprzenikniony spokój jej tonu dał doktorowi sygnał, że tej nocy nie należy wystawiać na próbę jej opanowania. Powrócił do roli lekarza opiniującego dla pani Armadale stan zdrowia psychicznego pana Armadale’a.

– Gdybym miał wziąć pod uwagę tylko własne uczucia – rzekł – nie ukrywam, że, tak jak pani mówi, pokazałbym panu Midwinterowi drzwi. Ale kiedy zwróciłem się do pana Armadale’a, spostrzegłem, że on sam nie chciał rozstawać się z przyjacielem. W tych okolicznościach pozostawało tylko jedno wyjście: znów go udobruchać. Nie było mowy o tym, aby pokrzyżować mu plany, nie wspominając już – dodał doktor, na chwilę zbliżając się do prawdy – o mojej zrozumiałej obawie przed wywołaniem w zakładzie skandalu i awantury, jeśli wziąć pod uwagę wybuchowy temperament jego przyjaciela. Tak więc pan Midwinter zostaje tu na noc i zajmuje (powinienem raczej powiedzieć: upiera się przy zajęciu) pokoju sąsiadującego z pokojem pana Armadale’a. Proszę mi doradzić w tej nagłej sytuacji, droga pani – zakończył doktor z największym naciskiem – w których pokojach na pierwszym piętrze mamy ich umieścić?

– Proszę umieścić pana Armadale’a w pokoju numer cztery.

– A jego przyjaciela obok, w pokoju numer trzy? – powiedział doktor. – No cóż, może to i nasze najwygodniejsze pokoje. Natychmiast wydam polecenia. Proszę nie uciekać, panie Bashwood – zawołał wesoło, kiedy dotarł na szczyt klatki schodowej. – Zostawiłem klucz mojego asystenta na tamtym parapecie i pani Armadale może pana wypuścić przez drzwi na klatce schodowej, kiedy zechce. Proszę nie siedzieć do późnej nocy, pani Armadale! Pani system nerwowy wymaga dużo snu. „Przemęczonej natury słodki odnowiciel, sen balsamiczny”¹³. Świetny wers! Z Bogiem, dobranoc!

Pan Bashwood powrócił z drugiego końca korytarza, nadal w niewysłowionym napięciu zachodząc w głowę, co też przyniesie noc.

– Mam już odejść? – zapytał.

– Nie. Ma pan zostać. Powiedziałam, że jeśli zostanie pan do rana, dowie się wszystkiego. Niech pan zaczeka tutaj.

Zawahał się i rozejrzał dookoła.

– Doktor – zająknął się – zdawało mi się, że doktor powiedział...

– Doktor nie będzie się wtrącał do niczego, co zrobię dziś w nocy w tym domu. Mówię panu, żeby pan został. Na piętrze nad nami są wolne pokoje. Proszę zająć któryś z nich.

Patrząc na nią, pan Bashwood poczuł, że zbliża się kolejny napad drżenia.

– Czy mogę zapytać...? – zaczął.

– Proszę o nic nie pytać. Jest mi pan potrzebny.

– Może mi pani powiedzieć...?

– Nie powiem panu nic, dopóki nie minie noc i nie nadejdzie poranek.

Ciekawość okazała się silniejsza od strachu. Nie dawał za wygraną.

– Czy to coś strasznego? – wyszeptał. – Zbyt strasznego, aby mi powiedzieć?

Tupnęła nogą w nagłym wybuchu zniecierpliwienia.

– Niech pan sobie idzie! – powiedziała, porywając z parapetu klucz od drzwi na klatce schodowej. – Ma pan rację, nie ufaję mi, nie chcąc dalej iść za mną w ciemno. Niech pan wyjdzie, zanim zamknę dom. Poradzę sobie bez pana.

Ruszyła w kierunku schodów z kluczem w jednej ręce, a świecą w drugiej.

Pan Bashwood w milczeniu ruszył za nią. Nikt, kto wiedział o jej wcześniejszym życiu to, co wiedział on, nie mógł nie zauważyć, że była kobietą doprowadzoną do ostateczności i umyślnie stojącą na krawędzi zbrodni. Odkrycie to w pierwszej chwili tak go przeraziło, że wyzwolił się spod wpływu, jaki na niego wywierała: znów myślał i zachowywał się jak człowiek, który ma własną wolę.

Włożyła klucz w drzwi i zanim je otworzyła, odwróciła się ku niemu z twarzą oświetloną płomieniem świecy.

– Niech pan o mnie zapomni i wybaczy mi – powiedziała. – Więcej się nie spotkamy.

Otworzyła drzwi i zatrzymując się przed nimi, podała mu rękę, po czym on

przeszedł na drugą stronę. Pan Bashwood oparł się jej spojrzeniu, oparł się jej słowom, ale w ostatniej chwili uległ zniewalającemu czarowi jej dotyku.

– Nie mogę pani zostawić! – rzekł, bezradnie trzymając podaną sobie dłoń. – Co mam zrobić?

– Proszę pójść za mną, a zobaczy pan – odparła, nie dając mu ani sekundy do namysłu.

Obejmując mocno jego rękę, poprowadziła go wzdłuż korytarza na pierwszym piętrze do pokoju numer cztery.

– Niech pan zwróci uwagę na ten pokój – wyszeptała.

Upewniwszy się rzutem oka na schody, że są sami, wróciła z nim na drugi koniec korytarza. Znajdował się tutaj mały pokój, leżący dokładnie naprzeciw okna oświetlającego korytarz po drugiej stronie, a przeznaczony na sypialnię zastępcy doktora. W górnej części drzwi umieszczono wąską kratę, przez którą zastępca doktora miał widok na sypialnie po obu stronach korytarza i w ten sposób mógł dowiedzieć się o ewentualnych nieprzepisowych działaniach pacjentów znajdujących się pod jego opieką, sam pozostając niezauważony. Panna Gwilt otworzyła drzwi i weszła do pustego pokoju.

– Proszę czekać tutaj – rzekła – podczas gdy ja wrócę na górę, i zamknąć się na klucz, jeśli pan chce. Będzie pan przebywał w ciemności, ale na korytarzu pali się lampa gazowa. Proszę nie odchodzić od kraty i upewnić się, że pan Armadale wejdzie do pokoju, który przed chwilą pokazałam, i że zostanie w środku. Jeśli do mojego powrotu choć na chwilę spuści pan z oczu ten pokój, będzie tego żałował do końca życia. Jeśli zrobi pan, co każę, spotkamy się jutro i odbierze pan swoją nagrodę. Proszę się szybko decydować: tak czy nie?

Nie był w stanie odpowiedzieć słowami. Podniósł jej dłoń do swoich ust i złożył na niej gorący pocałunek. Zostawiła go samego w pokoju. Ze swojej pozycji przy kracie widział, jak sunie korytarzem do drzwi klatki schodowej. Przeszła przez nie i zamknęła za sobą na klucz. Zaległa cisza.

Po jakimś czasie przerwały ją głosy służących. Dwie z nich przyszły pościelić łóżka w pokojach numer trzy i cztery. Kobiety były w wesołym nastroju, śmiały się

i rozmawiały przez otwarte drzwi sypialni. Nareszcie zaczęli napływać klienci pana, mówiły zapamiętałe. Jeśli tak dalej pójdzie, dom wkrótce ożyje.

Po chwili łóżka zostały przygotowane i kobiety wróciły na piętro kuchenne, gdzie znajdowały się wszystkie pokoje służby domowej. Ponownie zaległa cisza.

Następnie ozwał się głos doktora. Pojawił się na końcu korytarza, odprowadzając Allana i Midwintera do ich pokojów. Wszyscy weszli do pokoju numer cztery. Po chwili wyszedł najpierw doktor. Począł, aż Midwinter do niego dołączy, i oficjalnym skinieniem głowy wskazał pokój numer trzy. Midwinter bez słowa wszedł do środka i zamknął drzwi. Pozostawszy sam, doktor podszedł do drzwi klatki schodowej i otworzył je kluczem, następnie czekał w korytarzu, cichutko pogwizdując.

W minutę później z holu dobiegły ściszone głosy. Zaraz potem ukazali się aptekarz i siostra przełożona udający się do sypialni personelu na najwyższym piętrze. Mężczyzna uklonił się w milczeniu i minął doktora, kobieta bez słowa dygnęła i poszła w ślad za nim. Doktor odpowiedział na ich pozdrowienia uprzejmym skinieniem dłoni i ponownie zostawiając sam, odczekał chwilę, nadal pogwizdując pod nosem, a potem podszedł do drzwi pokoju numer cztery i otworzył pokrywę aparatu do okadzania zamontowanego obok nich, w rogu korytarza. Kiedy otworzył pokrywę i zajrzał do środka, gwizdanie umilkło. Wyjął podłużną, fioletową butelkę, przyjrzał się jej w świetle lampy gazowej, odłożył ją na miejsce i zamknął pokrywę. Potem podszedł na palcach do otwartych drzwi klatki schodowej, wyszedł przez nie i zamknął je na klucz jak zwykle.

Pan Bashwood widział go przy aparacie i zauważył sposób, w jaki wyszedł przez drzwi klatki schodowej. Znów jego serce zaczęło walić pod wpływem niewysłowionego napięcia. Jego ręce przeszyły powolny i zimny dreszcz śmiertelnego przerażenia, który w ciemności poprowadził je do klucza pozostawionego od wewnątrz w zamku. Przekręcił go w niejasnej obawie przed tym, co się może wydarzyć, i czekał.

Minuty wlokły się i nic się nie wydarzało. Cisza zdawała się okropna, pustka bezludnego korytarza kryła niewidzialne pułapki. Zaczął liczyć, aby zająć czymś umysł i oddalić od siebie rosnący strach. Kolejne wymawiane szeptem liczby wolno

sięgnęły setki i nadal nic się nie wydarzyło. Zaczął drugą setkę i dotarł do dwudziestu, kiedy bez żadnego szelestu, mogącego zdradzić jego obecność w pokoju, na korytarzu nagle pojawił się Midwinter.

Przez chwilę stał i nasłuchiwał, podszedł do schodów i wyjrzał na hol. Następnie po raz drugi tej nocy próbował otworzyć drzwi klatki schodowej i po raz drugi zobaczył, że są zamknięte na klucz. Po chwili namysłu zaczął naciskać klamki sypialni znajdujących się po jego prawej stronie, zaglądał do nich kolejno, przekonując się, że są puste. Potem podszedł do drzwi ostatniego pokoju, w którym ukryty był zarządca. Tu także drzwi stawily mu opór. Nasłuchiwał, po czym podniósł wzrok na kratę. W środku nie dał się słyszeć żaden dźwięk, nie było widać żadnego światła.

– Czy mam wyważyć drzwi – powiedział do siebie – i się upewnić? Nie, to byłaby dobra wymówka dla doktora, aby wyrzucić mnie z domu.

Odszedł i zajrzał do dwóch pustych pokoi po tej stronie, po której znajdowały się sypialnie jego i Allana, po czym zbliżył się do okna na końcu korytarza w pobliżu klatki schodowej. Tutaj jego uwagę zwróciła obudowa aparatu do okadzania. Zdawało się, że daremna próba otwarcia jej wzbudziła w nim podejrzliwość. Sprawdził inne drzwi wzdłuż korytarza i zauważył, że na zewnątrz żadnej z pozostałych sypialni nie znajduje się podobny przedmiot. Powróciwszy pod okno, ponownie obejrzał aparat i odwrócił się od niego z gestem, który wyraźnie wskazywał, że próbował odgadnąć, co to może być, i nie udało mu się.

Zdezorientowany do reszty, nadal nie objawiał zamiaru powrotu do sypialni. Stał przy oknie ze wzrokiem utkwionym w drzwi pokoju Allana, rozmyślając. Gdyby pan Bashwood, ukradkiem obserwujący go przez kratę, mógł zobaczyć w tej chwili zarówno jego ciało, jak i umysł, serce zaczęłoby mu walić jeszcze szybciej w oczekiwaniu na wydarzenie, które decyzją Midwintera miało nastąpić w kolejnej minucie.

Co zaprzętało jego umysł, kiedy tak stał samotnie pośród nocnej głuszy w nieznanym domu?

Jego umysł zajęty był mozolnym zbieraniem rozproszonych wrażeń i składaniem ich w jedno. Od początku był przekonany, że w sanatorium czyha na Allana jakieś

ukryte niebezpieczeństwo. Jego nieufność, dotąd dotycząca ogólnie tego miejsca, jego żony (która, jak głęboko wierzył, przebywała teraz z nim pod jednym dachem), doktora, który najwyraźniej był z nią w zмовie, podobnie jak pan Bashwood, obecnie skupiła się na pokoju Allana. Porzucając wszelkie dalsze wysiłki zmierzające do połączenia podejrzanego spisku przeciwko przyjacielowi i zniewadze, jakiej sam doznał dzień wcześniej – wysiłku, który gdyby został podtrzymany, doprowadziłby go do odkrycia oszustwa planowanego przez jego żonę – jego umysł, zdezorientowany niepokojem, instynktownie zaczął szukać ucieczki we wrażeniach, których doznawał od chwili, gdy znalazł się w tym domu. Wszystko, co zauważył na dole, sugerowało, że istniał jakiś ukryty cel w nakłonieniu Allana do noclegu w sanatorium. Wszystko, co zauważył na górze, wskazywało, że niebezpieczeństwo czai się w pokoju Allana. Midwinter w lot doszedł do tego wniosku i postanowił, że udaremni spisek, jakkolwiek by on nie był, zajmując miejsce Allana. W zderzeniu z realnym niebezpieczeństwem szlachetna natura tego człowieka intuicyjnie wyzwoliła się od słabości, jakie osaczały ją w czasach szczęśliwych i bezpiecznych. Obecnie na jego umyśle nie ciążył nawet cień dawnej przesądności i żadne fatalistyczne podejrzenie wobec samego siebie nie mąciło niezachwianego zdecydowania, jakie w sobie miał. Jedyna i ostatnia wątpliwość dręcząca go, kiedy tak stał przy oknie, rozmyślając, dotyczyła tego, czy uda mu się przekonać Allana, by zamienił się z nim pokojem, nie wdając się w wyjaśnienia, dzięki którym Allan mógłby zacząć domyślać się prawdy.

Wątpliwość ta rozwiązała się w ciągu minuty, podczas której Midwinter czekał ze wzrokiem utkwionym w pokój: znalazł banalną, ale wystarczającą wymówkę. Pan Bashwood zobaczył, jak otrząsa się i podchodzi do drzwi. Następnie usłyszał, jak cicho puka i szepce:

– Leżysz w łóżku, Allanie?

– Nie – odpowiedział głos z wnętrza – wejdź.

Wydawało się, że zaraz wejdzie do pokoju, gdy stanął, jakby nagle sobie coś przypomniał.

– Poczekaj chwilę – rzekł przez drzwi i, odwróciwszy się, poszedł prosto pod drzwi pokoju na końcu korytarza.

– Jeśli w środku jest ktoś, kto nas obserwuje – powiedział na głos – niech nas obserwuje przez to!

Wyjął chusteczkę i wepchnął ją pomiędzy kraty, całkowicie zasłaniając otwór. Zmusiwszy w ten sposób znajdującego się w środku szpiega (jeśli był takowy), aby albo się zdradził, odsuwając chusteczkę, albo pozostał ślepy na to, co miało się następnie wydarzyć, Midwinter udał się do pokoju Allana.

– Wiesz, jakie mam słabe nerwy – rzekł – i jak źle sypiam, nawet w najlepszych warunkach. Tej nocy nie mogę spać. Okno w moim pokoju stuka przy każdym powiewie wiatru. Szkoda, że nie domyka się tak dokładnie jak twoje okno.

– Drogi przyjacielu! – zawołał Allan. – Mnie nie przeszkadza stukające okno. Zamieńmy się pokojami. Nonsens! Dlaczego miałbyś się przede mną usprawiedliwiać? Czyż nie wiem, jak łatwo błahostki potrafią szarpać twoje nadpobudliwe nerwy? Teraz, kiedy doktor uspokoił mnie o stan mojej biednej Neelie, zaczynam odczuwać zmęczenie podróży i ręczę za to, że zdołam zasnąć gdziekolwiek i nie obudzę się aż do jutra.

Wziął swoją torbę podróżną.

– Musimy się pośpieszyć – dodał, wskazując na świecę. – Nie zostawili mi dużo świecy na noc.

– Bądź cicho, Allanie – powiedział Midwinter, otwierając przed nim drzwi. – Nie możemy robić hałasu o tej porze.

– Tak, tak – odparł Allan szeptem. – Dobranoc. Mam nadzieję, że będziesz spał równie dobrze jak ja.

Midwinter odprowadził go do pokoju numer trzy i zauważył, że jego własna świeca (którą zostawił w środku) była równie krótka jak świeca Allana.

– Dobranoc – powiedział i wyszedł z powrotem na korytarz.

Podszedł prosto do kraty i po raz drugi przyglądał jej się, nasłuchując. Chusteczka pozostawała dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją zostawił, a z wnętrza nadal nie dobiegał żaden dźwięk. Zawrócił powoli korytarzem i po raz ostatni pomyślał o środkach ostrożności, jakie zastosował. Nie było innego sposobu jak ten, który wypróbował? Nie było. Każda jawna postawa obronna – podczas

gdy natura zagrożenia i kierunek, z jakiego mogłoby ono nadejść, pozostawały nieznane – byłyby sama w sobie bezcelowa, a jeśli chodzi o skutki nawet gorzej niż bezcelowa, sprawiając, że mieszkańcy domu zaczęliby mieć się na baczności. Nie mając podstaw, które mogłyby w oczach innych uzasadnić jego nieufność wobec tego, co może zdarzyć się w nocy, niezdolny zachwiać łatwej wiary Allana w niebudzącą zastrzeżeń pozę, jaką na jego użytek przybrał doktor, jedynym sposobem na zabezpieczenie interesów przyjaciela była zamiana pokoi, a jedyną strategią, jaką mógł przyjąć, było czekać na rozwój wydarzeń.

– Mogę być pewien jednej rzeczy – powiedział do siebie, kiedy po raz ostatni rozejrzał się po korytarzu. – Mogę być pewien, że nie zasnę.

Rzuciwszy okiem na zegar na przeciwległej ścianie, wszedł do pokoju numer cztery. Rozległ się odgłos zamykanych drzwi i przekręcanego w zamku klucza. Potem w całym domu ponownie zaległa głucha cisza.

Przerażenie zarządcy spowodowane ciszą i ciemnością powoli wzięło górę nad obawą przed poruszeniem chusteczki. Ostrożnie uchylił jej rąbek, odczekał, popatrzył i w końcu zdobył się na odwagę wciągnięcia całej chusteczki przez kratę. Początkowo schował ją do kieszeni, ale pomyślał o konsekwencjach, jakie wywołałoby znalezienie jej przy nim, i cisnął ją w kąt pokoju. Odrzuciwszy ją, zadrzał, spojrzawszy na zegarek i stanął ponownie przy kracie w oczekiwaniu na pannę Gwilt.

Była za kwadrans pierwsza. Księżyc przesunął się z boku sanatorium i oświetlał teraz jego fasadę. W chwilach, kiedy pozwalały na to pędzące chmury, jego blask wpadał przez okno w korytarzu. Zerwał się wiatr i cicho zawodził swoją żalobną pieśń, przemykając od czasu do czasu przez pustkowie przed domem.

Wskazówka minutowa zegara wykonała pół obrotu wokół tarczy. Kiedy wskazała kwadrans po pierwszej, na korytarz bezszelestnie wślizgnęła się panna Gwilt.

– Niech pan wyjdzie – szepnęła przez kratę – i idzie za mną.

Wróciła na schody, z których przed chwilą zeszła, cicho zamknęła drzwi za panem Bashwoodem i poprowadziła go w górę na podest drugiego piętra. Tam zadała mu pytanie, którego nie odważyła się zadać na dole.

– Czy pana Armadale’a zaprowadzono do pokoju numer cztery? – zapytała.

Skinął głową bez słowa.

– Niech pan odpowiada słownie. Czy od tamtej pory pan Armadale wychodził z pokoju?

Odpowiedział:

– Nie.

– Czy odkąd odeszłam, ani na chwilę nie spuścił pan z oka pokoju numer cztery?

Odpowiedział:

– Ani na chwilę!

Kiedy udzielał ostatniej odpowiedzi, w jego zachowaniu i głosie było coś dziwnego, co zwróciło jej uwagę. Wzięła świecę ze stołu, na którym ją postawiła, i oświetliła płomieniem jego twarz. Oczy miał szeroko otwarte, zęby mu szczękały. Wszystko wskazywało na to, że miała przed sobą człowieka przerażonego, nic jednak nie zdradzało, że jego przerażenie wywołane było świadomością, iż po raz pierwszy w życiu okłamuje ją w żywe oczy. Gdyby tylko zostawiając go na czatach, groziła mu mniej otwarcie, gdyby tylko mniej szczerze mówiła mu o rozmowie, którą miała nagrodzić go rano, mógłby powiedzieć prawdę. Tak jednak jego największe obawy i najgłębsze nadzieje były w równym stopniu zależne od fatalnego w skutkach kłamstwa, które przed chwilą powiedział – fatalnego kłamstwa, które powtórzył, kiedy po raz drugi zadała to samo pytanie.

Patrzyła na niego, oszukana przez ostatniego człowieka na świecie, którego podejrzewałaby o kłamstwo – człowieka, którego sama niegdyś oszukała.

– Chyba ulega pan nadmiernej ekscytacji – powiedziała cicho. – Ta noc była dla pana wyczerpująca. Proszę iść na górę i odpocząć. Drzwi jednego z pokoi zostanie pan otwarte. Ten pokój proszę zająć. Dobranoc.

Postawiła na stole świecę (której ze względu na niego nie zgasiła) i podała mu rękę. Rozpaczliwie przytrzymał ją, kiedy odwróciła się, aby odejść. Strach przed tym, co mogłoby się wydarzyć, kiedy zostanie sama, włożył mu w usta słowa, których w innych okolicznościach bałby się wypowiedzieć.

– Nie – wyszeptał błagalnie – och, nie, nie, niech pani nie schodzi tej nocy!

Uwolniła dłoń i gestem pokazała mu, że ma wziąć świecę.

– Jutro pan mnie zobaczy – rzekła. – Teraz ani słowa!

W ostatnim momencie jej silniejsza wola podporządkowała go sobie, tak jak miało to miejsce do tej pory. Wziął świecę i czekał, z utęsknieniem odprowadzając ją wzrokiem, kiedy schodziła po schodach. Chłód grudniowej nocy zdawał się przenikać ją poprzez ciepło domu. Owinęła się długim, ciężkim, czarnym szalem i spięła go ciasno nad biustem. Korona z plecionych włosów zdawała się zbytnio ciążyć jej na głowie. Rozplotła ją i przerzuciła pasma na plecy. Staruszek patrzył na jej włosy odcinające się rudą falą od czerni szala, na gibką dłoń o długich palcach ześlizgującą się po balustradzie, na uwodzicielski wdzięk każdego ruchu, który przynosił ją coraz to dalej od niego.

– Noc minie szybko – powiedział do siebie, gdy zniknęła mu z oczu. – Będę o niej śnił aż do rana!

Zamknęła za sobą drzwi od klatki schodowej, nasłuchiwała i upewniwszy się, że nic nie mąci ciszy, przeszła wolno korytarzem do okna. Opierając się na parapecie, spojrzała w noc. Chmury akurat przesłaniały księżyc i w ciemności nie było widać nic oprócz lamp gazowych rozproszonych tu i ówdzie po przedmieściu. Odwróciła się od okna i spojrzała na zegar. Było dwadzieścia po pierwszej.

Po raz ostatni postanowienie, które powzięła wcześniej tej nocy, wiedząc, że jej mąż jest w sanatorium, zdominowało jej umysł. Po raz ostatni wewnętrzny głos powiedział jej: „Zastanów się, czy nie ma innej drogi!”.

Rozmyślała nad tym, dopóki wskazówka minutowa zegara nie pokazała pół godziny.

– Nie! – powiedziała, nadal myśląc o mężu. – Jedyna możliwość, jaka pozostała, to przeprowadzić plan do końca. Nie zrobi tego, co przyszedł tu zrobić, nie wypowie słów, które przyszedł wypowiedzieć, kiedy dowie się, że jego postępek wywoła publiczny skandal ze mną w roli głównej, a słowa mogą wysłać mnie na szubienicę!

Jej cera nabrała głębszego koloru, a na twarzy pojawił się straszny, ironiczny uśmiech, gdy po raz pierwszy spojrzała na drzwi pokoju.

– Będę wdową po tobie – rzekła. – Za pół godziny!

Otworzyła pokrywę aparatu i wzięła do ręki fioletową butelkę. Sprawdziła godzinę, spojrzawszy na zegar, wlała do szklanego lejka pierwszą z sześciu oddzielnych dawek odmierzonych dla niej za pomocą papierowych pasków.

Kiedy odstawiła butelkę, przyłożyła ucho do wylotu lejka. Nie doszedł jej żaden dźwięk: śmiertelny proces przebiegał w ciszy, jaka przynależy samej śmierci. Kiedy się wyprostowała i podniosła wzrok, księżyc świecił przez okno, a zawrota wiatru ustała.

Ach, czas! Czas! Gdyby tylko wszystko mogło skończyć się na jednej dawce!

Zeszła na dół do holu. Chodziła tam i z powrotem i nasłuchiwała przy otwartych drzwiach prowadzących na schody kuchenne. Znow weszła na piętro i znow zeszła na dół. Pierwsza z pięciominutowych pauz zdawała się nie mieć końca. Czas się zatrzymał. Oczekiwanie doprowadzało ją do obłądka.

Pięć minut minęło. Kiedy po raz drugi sięgnęła po butelkę i wlała drugą dawkę, chmury przesłoniły księżyc i nocny widok za oknem z wolna pociemniał.

Niepokój, który miotał nią w dół i w górę po schodach, tam i z powrotem po holu, opuścił ją równie nagle, jak się pojawił. Drugi odstęp czasu przeczekała oparta o parapet okna, wpatrzona w ciemność nocy bez jednej świadomej myśli. Z jakiegoś odległego zakątka przedmieścia wiatr przynosił falami skowyt spóźnionego psa. Złapała się na tym, że z przytępiłą uwagą odprowadza nikły odgłos, kiedy zamiera, i z jeszcze bardziej przytępiłą nadzieją nasłuchuje jego powrotu. Jej ramiona spoczywały na parapecie jak ołów, czoło opierało się o szybę, nie czując zimna. Dopiero kiedy księżyc wyszedł ponownie, nagle się otrząsnęła. Szybko odwróciła się od okna i spojrzała na zegar. Od czasu nalania drugiej dawki minęło siedem minut.

Kiedy chwyciła butelkę i po raz trzeci napełniła lejek, odzyskała pełną świadomość swojego położenia. Krew znow zaczęła pulsować w niej gorączkowo, policzki pokryły się szkarłatem. Zwinnym, płynnym, bezgłośnym krokiem zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po korytarzu, mając ramiona okryte szalem, a wzrok raz po raz kierując na zegar.

Minęły trzy z kolejnych pięciu minut i znow oczekiwanie zaczęło doprowadzać ją do obłądka. Wąska przestrzeń korytarza stała się za ciasna dla nieograniczonego

niepokojem, który opanował jej kończyny. Ponownie zeszła do holu i zaczęła po nim krążyć jak dzikie zwierzę po klatce. Przy trzeciej rundzie poczuła, jak coś miękko ociera się o jej suknię. To kot wszedł przez otwarte drzwi kuchenne – duży, płowy, towarzyski kot, który mruczał z zadowoleniem i podszedł do niej, szukając kompana. Wzięła go na rękę. Kiedy pochyliła nad nim twarz, z lubością otarł porośnięty gładkim futrem łeb o jej brodę.

– Armadale nienawidzi kotów – szepnęła zwierzęciu do ucha. – Chodź na górę, a zobaczysz go martwego!

W następnej chwili przeraziła ją jej własna straszna myśl. Z drzeniem opuściła kota i odpędziła go groźnym ruchem rąk. Przez chwilę stała nieruchomo, potem nagle bez namysłu w pośpiechu rzuciła się na schody. Jej myśli znów opanował mąż. Groził jej niebezpieczeństwem, jakie do tej pory nigdy nie przyszło jej do głowy. Co, jeśli nie spał? Co, jeśli wyjdzie z pokoju i zastanie ją z fioletową butelką w dłoni?

Zakradła się pod drzwi numer trzy i nasłuchiwała. Z wnętrza dobiegał ledwo słyszalny odgłos wolnego, regularnego oddechu śpiącego mężczyzny. Poczekwała chwilę, pozwalając, aby uspokoiło ją uczucie ulgi, po czym postąpiła krok w kierunku pokoju numer cztery i stanęła. Doktor powiedział, że w zatrutym powietrzu najpierw nachodzi człowieka sen, tak pewny, jak pewna jest później śmierć. Spojrzała na zegar. Nadszedł czas na czwartą dawkę.

Kiedy napełniała lejek po raz czwarty, jej dłoń zaczęła gwałtownie drżeć. W sercu na nowo zagościł strach przed mężem. Co, jeśli przed szóstą dawką zaniepokoi go jakiś hałas? Co, jeśli obudzi się nagle (tak jak nieraz widziała, że się budzi) niezależnie od jakiegoś hałasu? Zmierzyła wzrokiem całą długość korytarza. Pokój na końcu, w którym ukryty był pan Bashwood, wydał jej się dobrym schronieniem. „Mogę wejść tam!”, pomyślała. „Czy zostawił klucz?” Otworzyła drzwi i zobaczyła chusteczkę rzuconą na podłogę. Czy to pan Bashwood przez przypadek zostawił tu swoją chusteczkę? Zaczęła oglądać jej rogi. W drugim rogu znalazła nazwisko swojego męża!

W pierwszym odruchu popędziła do drzwi klatki schodowej, aby obudzić zarządcę i zażądać wyjaśnień. W następnej chwili przypomniała sobie o fioletowej

butelce i ryzyku, jakie wiązało się z opuszczeniem korytarza. Zawróciła i spojrzała na drzwi pokoju numer trzy. Sądząc po chusteczce, jej mąż bez wątpienia opuścił swój pokój, a pan Bashwood nie powiedział jej o tym. Czy był w swoim pokoju teraz? Pod wpływem gwałtownego wzburzenia, kiedy pytanie to przeszło jej przez myśl, zapomniała o odkryciu, którego sama dokonała mniej niż minutę wcześniej. Znow przyłożyła ucho do drzwi i znów usłyszała wolny, regularny oddech śpiącego mężczyzny. Za pierwszym razem świadectwo uszu wystarczyło, aby ją uspokoić. Tym razem, gdy jej podejrzliwość i zaniepokojenie wzmożyły się dziesięciokrotnie, zdecydowała, że musi mieć także świadectwo oczu.

– Drzwi w tym domu otwierają się cicho – powiedziała do siebie – nie ma więc obaw, że go obudzę.

Bezgłośnie, cal po calu, uchyliła niezamknięte na klucz drzwi i gdy tylko szczelina na to pozwalała, zajrzała do środka. W półmroku rozpraszonym tylko przez nikłe światło wpadające z korytarza głowa śpiącego była ledwie widoczna na poduszce. Czy od białej poduszki odcinała się równie ciemną plamą jak głowa jej męża, kiedy leżał w łóżku? Czy oddech był równie lekki jak oddech jej męża, kiedy spał? Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła do wnętrza więcej światła.

Przed nią leżał mężczyzna, któremu po raz trzeci próbowała odebrać życie, śpiąc spokojnie w pokoju przeznaczonym dla jej męża i w powietrzu, które nie mogło mu nic zrobić!

W okamgnieniu nasunął się jej nieuchronny wniosek. Pomagając sobie gorączkowym ruchem rąk, chwiejnym krokiem wytoczyła się z powrotem na korytarz. Drzwi pokoju Allana się zamknęły, ale nie na tyle głośno, by go obudzić. Obróciła się, kiedy usłyszała odgłos domykania. W pierwszej chwili stanęła wpatrzona w nie jak kobieta ogłupiała. W następnej jej instynkt zmusił ją do działania, zanim jeszcze rozum otrząsnął się z szoku. W dwóch krokach dopadła do drzwi pokoju numer cztery.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Obiema rękami zaczęła niezdarnie i na oślep badać ścianę w poszukiwaniu guzika, który naciskał doktor, pokazując pokój gościom. Dwa razy go minęła. Za trzecim razem oczy przyszły na pomoc rękom: znalazła guzik i nacisnęła go.

Zapadka zamka odskoczyła i drzwi ustąpiły.

Bez chwili wahania wkroczyła do pokoju. Choć drzwi były otwarte, a od czwartej dawki nie minęło wiele czasu, tak że jak dotąd została wyprodukowana zaledwie nieco ponad połowa planowanej objętości gazu, zatrute powietrze chwyciło ją za gardło jak zaciskająca się na szyi ręka, jak oplatająca głowę żelazna obręcz. Znalazła go na podłodze w nogach łóżka. Głowę i jedno ramię wyciągał w stronę drzwi, jak gdyby ogarnięty pierwszym uczuciem senności wstał i upadł w drodze do wyjścia. Rozpaczliwym wyęczeniem sił, do którego kobiety są zdolne w sytuacjach krytycznych, podniosła go i wyciągnęła na korytarz. W głowie jej wirowało, kiedy położyła go na podłodze, i na czworakach wróciła do pokoju, aby odciąć drogę zatrutemu powietrzu na korytarz. Zamknawszy drzwi, czekała, nie śmiąc na niego spojrzeć i zbierając siły, aby się podnieść i dotrzeć do okna nad schodami. Kiedy okno zostało otwarte, a przeszywający powiew wczesnego zimowego poranka zaczął napływać do środka, ośmieliła się do niego wrócić. Podniosła jego głowę i po raz pierwszy uważnie przyjrzała się twarzy.

Czy to śmierć rozpostarła trupią bladość na jego czole i policzkach, a powieki i wargi zabarwiła sinym odcieniem?

Rozluźniła węzeł fularu i rozpięła kamizelkę, wystawiając szyję i pierś na powietrze. Z ręką na jego sercu, podtrzymując na łonie jego głowę tak, aby był zwrócony w stronę okna, czekała, co się wydarzy. Minął jakiś czas – chwila na tyle krótka, by odliczyły ją minuty na zegarze, a jednak na tyle długa, aby panna Gwilt mogła przypomnieć sobie całe ich wspólne małżeńskie życie, i na tyle długa, by dojrzała do postanowienia, które teraz zrodziło się w jej głowie jako jedyny skutek mogący wyniknąć z retrospekcji. Kiedy jej wzrok spoczął na nim, jej twarz stopniowo ogarnął wyraz odprężenia. Miała wygląd kobiety, która w równym stopniu gotowa była przyjąć możliwość jego wyzdrowienia i pogodzić się z nieuchronnością śmierci.

Jak dotąd nie wydała żadnego okrzyku, nie uroniła żadnej łzy. Podobnie kiedy minął jakiś czas i poczuła pierwsze słabe uderzenia jego serca oraz posłyszała, jak jego usta łapią pierwszy płytki oddech. W milczeniu nachyliła się i ucałowała jego czoło. Kiedy ponownie podniosła wzrok, z jej twarzy zniknął surowy wyraz

rozpaczy. W jej oczach był jakiś łagodny blask, który rozpromieniał całe oblicze jakby wewnętrznym światłem i sprawiał, że na powrót wyglądała kobieco i pięknie.

Położyła go na ziemi, zdjęła szal i wsunęła go jako poduszkę pod jego głowę.

– To mogło być trudne, kochany – powiedziała, czując, jak słabe bicie jego serca nabiera mocy. – Ty sprawiłeś, że teraz jest łatwe.

Wstała i odwracając się od niego, zauważyła fioletową butelkę w miejscu, w którym zostawiła ją po nalaniu czwartej dawki. „Ach”, pomyślała ze spokojem, „zapomniałam o moim najlepszym przyjacielu, zapomniałam, że zostało jeszcze coś więcej do nalania”.

Pewnym ruchem, ze spokojnym, skupionym wyrazem twarzy napełniła lejek po raz piąty.

– Jeszcze pięć minut – powiedziała, odłożywszy butelkę i rzuciwszy okiem na zegar.

Pogrążyła się w myślach – myślach, które tylko pogłębiły wyraz poważnego i łagodnego spokoju na jej twarzy.

– Mam mu napisać słowo pożegnania? – zapytała samą siebie. – Mam wyznać mu prawdę, nim odejdę na zawsze?

Jej mały, złoty piórnik wisiał razem z innymi drobiazgami na łańcuszku od zegarka. Rozejrzawszy się wokół, uklękła przy mężu i wsunęła rękę do kieszeni na piersi surduta.

Jego notes znajdował się na swoim miejscu. Kiedy odemknęła zapięcie, wypadły jakieś papiery. Jednym z nich był list, który pan Brock napisał do niego na łożu śmierci. Przerzuciła dwie kartki papieru listowego, na których proboszcz napisał słowa, które teraz się ziściły, i zobaczyła, że ostatnia strona ostatniej kartki jest pusta. Na tej stronie napisała pożegnalne słowa, klęcząc u boku męża.

„Jestem gorsza niż Twoje najgorsze wyobrażenie o mnie. Dziś w nocy uratowałeś Armadale’a, zamieniając się z nim pokojem, a uratowałeś go przede mną. Teraz domyślasz się, za wdowę po kim podawałabym się, gdybyś nie ocalił mu życia, i wiesz, jaką nędznicę wzięłaś sobie za żonę, poślubiając tę, która pisze te słowa. Pomimo wszystko miałam swoje momenty niewinności i wtedy kochałam Cię

gorąco. Zapomnij o mnie, ukochany, w ramionach kobiety lepszej ode mnie. Może ja sama byłabym tą lepszą kobietą, gdybym nie wiodła nieszczęsnego życia, zanim mnie spotkałeś. Teraz to bez znaczenia. Jediną pokutą, jaką mogę uczynić za całe zło, jakie Ci wyrządziłam, jest moja śmierć. Teraz, gdy wiem, że będziesz żył, nie jest mi trudno umierać. Nawet moja niegodziwość ma jedną zaletę, nie przyczyniła się do mego sukcesu. Nigdy nie byłam szczęśliwą kobietą”.

Z powrotem złożyła list i włożyła mu go do ręki, aby zwrócił na niego uwagę, gdy odzyska przytomność. Kiedy delikatnie zamknęła jego palce wokół kartek i podniosła wzrok, zobaczyła, że wybiła ostatnia minuta ostatniego odstępu czasu.

Pochyliła się nad nim i złożyła na jego ustach pożegnalny pocałunek.

– Żyj, mój aniele, żyj! – wyszeptała czule, muskając wargami jego wargi. – Całe życie przed tobą, życie szczęśliwe i godne szacunku, jeśli uwolnisz się ode mnie!

Ostatnim czułym gestem odgarnęła mu włosy z czoła.

– Kochać cię nie było zasługą – rzekła. – Jesteś jednym z tych mężczyzn, których wszystkie kobiety lubią.

Westchnęła i zostawiła go. Była to jej ostatnia słabość. Twierdząco skinęła głową w stronę zegara, tak jakby było to żywe stworzenie mówiące do niej i po raz ostatni napełniła lejek, opróżniając butelkę do ostatniej kropli.

Ubywający księżyc świecił przez okno nikłym blaskiem. Z ręką na klamce odwróciła się i spojrzała na światło, które powoli bladło na ciemnym niebie.

– Och, Boże, wybac mi! – powiedziała. – Och, Chryste, bądź świadkiem, że cierpiałam!

Jeszcze na jedną chwilę zatrzymała się na progu, aby rzucić ostatnie spojrzenie na tym świecie i spojrzenie to skierowała na niego.

– Do widzenia! – powiedziała cicho.

Drzwi pokoju otworzyły się i zamknęły za nią. Nastąpiła chwila ciszy.

Potem nagle rozległ się głuchy stuk, jak odgłos upadku.

Po nim znów zaległa cisza.

Wskazówki zegara, poruszając się miarowym rytmem, odliczały jedna za drugą kolejne minuty wczesnych godzin rannych. Minęło dziesięć minut od czasu, gdy drzwi pokoju otwarły się i zamknęły, nim Midwinter poruszył się na swojej poduszce i, próbując wstać, poczuł w dłoni list.

W tym samym momencie w drzwiach klatki schodowej przekręcono klucz i doktor, patrząc wyczekująco w kierunku feralnego pokoju, zobaczył fioletową butelkę i leżącego mężczyznę próbującego podnieść się z podłogi.

¹³ Fragment wiersza Edwarda Younga w przekładzie Wiktora J. Darasza (przypis tłumacza).

EPILOG

I. WIEŚCI Z NORFOLK

List pana Pedgifta seniora (Thorpe Ambrose) do pana Pedgifta juniora (Paryż)

„High Street, 20 grudnia

Drogi Augustusie!

Wczoraj dostałem Twój list. Zdaje się, że korzystasz z młodości (jak to nazywasz) na całego. Cóż! Baw się dobrze. Ja, będąc w Twoim wieku, korzystałem z mojej młodości i, o czym z przyjemnością donoszę, jeszcze tego nie zapomniałem!

Prosisz mnie o wyczerpujące wieści, a w szczególności o więcej informacji na temat tej tajemniczej sprawy w sanatorium.

Ciekawość, drogi chłopcze, jest cechą (zwłaszcza w naszym zawodzie), która czasami przynosi wspaniałe efekty. Wątpię jednak, czy w tym wypadku stwierdzisz, że może wiele przynieść. Wszystko, co wiem o zagadce w sanatorium, wiem od pana Armadale'a, a on nie ma pojęcia o niejednym istotnym szczególe. Już Ci pisałem, jak zostali zwabieni do tego domu i jak spędzili tam noc. Teraz mogę jeszcze dodać, że z pewnością pana Midwintera spotkało coś, wskutek czego stracił przytomność, i że doktor, który wydaje się zamieszany w sprawę, zachował się bardzo arogancko i uparł się, że w swoim sanatorium będzie postępował według własnego widzimisień. Nie ma wątpliwości, że nieszczęsna kobieta (bez względu na to, w jaki sposób

straciła życie) została znaleziona martwa, że koroner przeprowadził śledztwo, że dowody wykazały, iż znalazła się w sanatorium jako pacjentka, i że sekcja zwłok zakończyła się odkryciem, iż przyczyną śmierci była apopleksja. Osobiście uważam, że pan Midwinter miał swoje własne powody, aby nie występować z zeznaniami, które mógł złożyć. Mam również podstawy, aby podejrzewać, że pan Armadale z szacunku dla niego poszedł za jego przykładem i że wyniki dochodzenia (nie obarczając winą nikogo) opierały się, jak wiele innych wyników tego rodzaju, na bardzo powierzchownym zbadaniu sprawy.

Jestem przekonany, że klucz do całej zagadki leży w próbie tej nieszczęsnej kobiety odegrania roli wdowy po panu Armadale'u, kiedy wiadomość o jego śmierci ukazała się w gazetach. Jednak to, jak wpadła na ten pomysł i w wyniku jakiego niepojętego oszustwa skłoniła pana Midwintera do poślubienia jej (jak potwierdza metryka ślubu) pod nazwiskiem pana Armadale'a, wykracza poza wiedzę samego pana Armadale'a. Ta kwestia nie została poruszona w czasie dochodzenia z tej prostej przyczyny, że dochodzenie zajmowało się tylko okolicznościami jej śmierci. Na prośbę przyjaciela pan Armadale spotkał się z panną Blanchard i skłonił ją, aby uciszyła starego Darcha w kwestii roszczenia, jakie zostało złożone odnośnie do wdowiej renty. Jako że roszczenie nigdy nie zostało uznane, nawet nasz krnąbrny kolega po fachu zgodził się choć raz zrobić, o co go proszono. Oświadczenie doktora, że jego pacjentka była wdową po dżentelmenie nazwiskiem Armadale pozostało zatem niepodważone i całą sprawę wyciszono. Jest pochowana na dużym cmentarzu nieopodal miejsca, w którym zmarła. Nikt nie odprowadzał zwłok oprócz panów Midwintera i Armadale'a (który koniecznie chciał z nim iść), a na kamieniu nagrobnym nie wyryto nic oprócz pierwszej litery jej imienia i daty śmierci. Tak więc po tym całym złu, jakie wyrządziła, nareszcie znalazła spokój, a dwaj mężczyźni, których skrzywdziła, wybaczyli jej.

Czy można dodać coś więcej na ten temat, zanim go porzucimy? W nawiązaniu do Twojego listu widzę, że poruszyłeś jeszcze jedną kwestię, która być może zasługuje na odrobinę uwagi.

Pytasz, czy istnieją podstawy, aby przypuszczać, że doktor wyjdzie z tego równie bez zarzutu, jak na to wygląda. Mój drogi Augustusie, myślę, że doktor jest

wmieszany w całą intrygę bardziej, niż kiedykolwiek zdołamy odkryć, i że skorzystał na dobrowolnym milczeniu panów Midwintera i Armadale'a, tak jak łajdacy nieustannie odnoszą korzyści z nieszczęść i niedostatków uczciwych ludzi. Jest potwierdzonym faktem, że przyczynił się do udzielenia fałszywej informacji o panie Milroy, skutkiem czego obaj dżentelmeni zostali zwabieni do sanatorium, i ta jedna okoliczność (po moim doświadczeniu w Old Bailey) w zupełności mi wystarcza. Co do dowodów przeciwko niemu, nie ma najmniejszych, a co do dosięgającej go kary, mogę tylko powiedzieć, że mam szczerą nadzieję, iż na dłuższą metę kara okaże się przebieglejszym z dwóch zawodników. Na razie nie ma na to większych widoków. Przyjaciele i wielbiciele doktora mają, z tego, co wiem, wręczyć mu list polecający, wyrażający „wyrazy współczucia z powodu smutnego zdarzenia, które rzuciło cię na otwarcie sanatorium, i zapewniający o ich niesłabnącej wierze w jego uczciwość i kompetencję jako lekarza”. Żyjemy, Augustusie, w czasach wybitnie sprzyjających mnożeniu się wszelkiego łajdactwa, które jest na tyle ostrożne, by zachowywać pozory. W naszym oświeconym dziewiętnastym wieku postrzegam doktora jako jedną z bardziej obiecujących postaci.

Wracając do przyjemniejszych tematów niż sanatoria, mogę Ci donieść, że panna Neelie ma się znowu dobrze i jest, moim skromnym zdaniem, ładniejsza niż kiedykolwiek. Przebywa w Londynie pod opieką krewnej, a pan Armadale regularnie każdego dnia upewnia ją o fakcie swojego istnienia (na wypadek gdyby o nim zapomniała). Mają wziąć ślub wiosną, chyba że uroczystość zostanie przełożona z powodu śmierci pani Milroy. Lekarze twierdzą, że biedaczka w końcu dogasa. Może to być kwestia tygodni albo miesięcy, więcej nie potrafią powiedzieć. Bardzo się zmieniła: zrobiła się łagodna i cicha, otacza męża i córkę czułą troską. Jednak wydaje się, że w jej przypadku ta szczęśliwa odmiana jest oznaką zbliżającego się końca, patrząc z medycznego punktu widzenia. Biednemu, staremu majorowi trudno jest to przyjąć. Dostrzega tylko, że wróciła do tego, jaka była dawniej, kiedy się z nią ożenił, i teraz przesiaduje godzinami przy jej łóżku, opowiadając o swoim cudownym zegarze.

Pan Midwinter, o którym chciałbyś się czegoś dowiedzieć w następnej

kolejności, szybko wraca do siebie. Po tym, jak na początku przysporzył nieco troski lekarzom (którzy orzekli, że cierpi z powodu silnego nerwowego wstrząsu wywołanego zdarzeniem, o którym z powodu jego upartego milczenia nie dowiedzieli się nic), zaczął zbierać siły, tak jak to tylko ludzie jego wrażliwej natury (znów cytując lekarzy) potrafią. On i pan Armadale mieszkają razem w spokojnym mieszkaniu. Spotkałem się z nim w zeszłym tygodniu, kiedy byłem w Londynie. Jego twarz zdradzała oznaki znużenia, co stanowi bardzo smutny widok u tak młodego człowieka. Ale o sobie i o swojej przyszłości mówił z odwagą i optymizmem, których mogłyby mu pozazdrościć (jeśli cierpiał tak bardzo, jak podejrzewam) osoby dwa razy starsze od niego. Jeśli choć trochę znam się na ludziach, to nie jest zwykły człowiek i jeszcze usłyszymy o nim niezwykle rzeczy.

Zastanawiasz się pewnie, jak się znalazłem w Londynie. Przyjechałem, mając bilet powrotny (od soboty do poniedziałku), w związku z pewną kwestią sporną z naszym pełnomocnikiem. Stoczyliśmy zacięty bój, ale, dziwnym trafem, coś przyszło mi do głowy właśnie w momencie, kiedy wstawałem do wyjścia. Wróciłem na miejsce i załatwiliśmy sprawę od ręki. Zatrzymałem się oczywiście w naszym hotelu na Covent Garden. William wypytywał o Ciebie z troską rodzzonego ojca, a Matilda powiedziała, że ostatnim razem niemal ją przekonałeś, aby usunęła z zuchwy ten dziurawy ząb. Drugi syn pełnomocnika (młody chłopak, którego przezwalesz Mustapha, kiedy narobił tego straszego bałaganu z tureckimi papierami wartościowymi) zjadł ze mną obiad w niedzielę. Wieczorem miał miejsce drobny incydent, który być może warto odnotować, jako że łączył się z pewną starszą damą, której »nie było w domu«, kiedy ongiś zawędrowałeś z panem Armadale'em do owego domu w Pimlico.

Mustapha okazał się taki sam jak wy wszyscy dzisiejsi młodzi ludzie – po obiedzie zrobił się niespokojny. »Chodźmy gdzieś się rozerwać, panie Pedgift«, mówi. »Rozerwać się? Jakże to, jest niedziela wieczór!«, odpowiadam. »W porządku, sir«, mówi Mustapha. »W niedzielę wieczorem przestają występować na scenie, ale gwarantuję, że nie przestają występować na ambonie. Niech pan pójdzie zobaczyć najnowszego niedzielnego artystę naszych czasów«. Ponieważ nie chciał pić więcej wina, nie było innej rady jak iść.

Udaliśmy się na ulicę w West End i zastaliśmy ją zapchaną powozami. Gdyby nie niedziela wieczór, pomyślałbym, że idziemy do opery. »A nie mówiłem?«, rzucił Mustapha, prowadząc mnie pod otwarte drzwi budynku, na którym widniała świetlna gwiazda i afisz występu. Zdążyłem tylko zauważyć, że idę na jeden z cyklu »Niedzielnym wieczornym wykładów o zbytkach i marnościach tego świata wygłaszanych przez grzesznika, który im hołdował«, gdy Mustapha trącił mnie w łokieć i szepnął: »Pół korony to sowity napiwek«. Znalazłem się pomiędzy dwoma powściągliwymi i milczącymi dżentelmenami trzymającymi tace, które już były po brzegi wypełnione sowitym napiwkiem. Mustapha dorzucił się do jednej tacy, a ja do drugiej. Weszliśmy przez drzwi do podłużnego pomieszczenia pełnego ludzi. A tam, na podwyższeniu pod przeciwległą ścianą zobaczyłem nie mężczyznę, jak się spodziewałem, ale kobietę – Matkę Oldershaw! Nigdy w życiu nie słyszałem kogoś bardziej elokwentnego. Przez cały czas, kiedy jej słuchałem, ani razu nie zabrakło jej właściwego słowa. Po tym wieczorze aż do końca moich dni mniej będę skłonny uważać krasomówstwo za osiągnięcie ludzkości. Co do treści kazania, mogę je określić jako opowieść o doświadczeniach pani Oldershaw wśród wykolejonych kobiet, bogato ilustrowaną przykładami w tonie pobożnym i pokutniczym. Zapytasz, co to była za publiczność. Głównie kobiety, Augustusie, i, tak jak mam nadzieję być zbawiony, same stare wiedźmy z modnego światka, w swoim czasie pacykowane przez Matkę Oldershaw, a teraz rozparte bezczelnie w pierwszych rzędach, z policzkami wymalowanymi czerwoną farbą, w stanie bogobojnego uniesienia, na które miło było popatrzeć! Zostawiłem Mustaphę, żeby wysłuchał tego do końca. A ja, wychodząc, przypomniałem sobie, co gdzieś napisał Szekspir: »Co głupszego od człowieka!«¹⁴.

Czy mam Ci coś jeszcze do powiedzenia, zanim zakończę? Tylko jedna rzecz przychodzi mi do głowy.

Odnosnie do nieszczęsnego starego Bashwooda potwierdziły się moje obawy, o których Ci mówiłem, kiedy przywieziono go z powrotem z Londynu. Nie ma wątpliwości, że postradał resztę rozumu, jaka mu została. Jest zupełnie niegroźny i bez reszty szczęśliwy. Miałby się całkiem nieźle, gdybyśmy tylko mogli powstrzymać go od wychodzenia na miasto w nowym komplecie ubrań, uśmiechania

się i zapraszania wszystkich na jego zbliżający się ślub z najpiękniejszą kobietą w Anglii. Kończy się to oczywiście tym, że chłopacy obrzucają go błotem, a on przychodzi do mnie z płaczem, oblepiony ziemią. Gdy tylko jego ubranie zostanie wyczyszczone, wraca do swojego ulubionego urojenia i z dumą przechadza się przed bramą kościoła w charakterze pana młodego, czekając na pannę Gwilt. Musimy się wystarać o jakąś opiekę dla starego biedaka na tę resztę życia, która mu jeszcze została. Kto by pomyślał, że człowiek w jego wieku może się zakochać? I kto by uwierzył, że szkoda, jaką wyrządziła uroda tej kobiety, mogła sięgnąć takich nizin, aby dotknąć naszego przechodzonego kancelistę?

Na razie, drogi chłopcze, mówię Ci »do widzenia«. Jeśli zobaczysz w Paryżu jakąś szczególnie ładną tabakierę, pamiętaj – choć Twój ojciec pogardza dowodami uznania, nie ma nic przeciwko prezentom od syna.

Twój kochający,

A. Pedgift senior

Postscriptum. Wydaje mi się prawdopodobne, że wspomniana przez Ciebie relacja we francuskich gazetach o tragicznej kłótni pomiędzy cudzoziemskimi marynarzami na jednej z Wysp Liparyjskich i śmierci ich kapitana mogła dotyczyć łotrów, którzy obrabowali pana Armadale'a i zatopili jego jacht. Te typki, szczęśliwie dla społeczeństwa, nie mogą wiecznie zachowywać pozorów, a ich przypadek pokazuje, że łajdacy i kara jednak czasami na siebie wpadają”.

¹⁴ Fragment *Snu nocy letniej* w przekładzie Leona Ulricha (przypis tłumacza).

II. MIDWINTER

Nadeszła wiosna, zbliżał się koniec kwietnia. Było to w wigilię ślubu Allana. On i Midwinter siedzieli razem w rezydencji, rozmawiając do późnej nocy – tak późnej, że dawno już wybiła północ i dzień ślubu trwał od kilku godzin.

Przez większość czasu rozmowa obracała się wokół planów i projektów pana młodego. Dopiero gdy obaj przyjaciele wstali, udając się na spoczynek, Allan zaczął się domagać, aby Midwinter powiedział coś o sobie.

– Nasłuchaliśmy się już dość, a nawet więcej niż dość o mojej przyszłości – zaczął jak zwykle bez ogródek. – Dowiedzmy się teraz czegoś o twojej. Obiecałeś mi, że jeśli zajmiesz się pisaniem, nie rozdzieli nas ono, a jeśli wypłyniesz w podróż morską, po powrocie będziesz pamiętał, że mój dom jest twoim domem. Ale oto mamy ostatnią okazję, aby pobyć ze sobą naszym dawnym zwyczajem, i przyznaję, że chciałbym wiedzieć...

Głos mu się załamał, a oczy lekko zaszklily. Pozostawił zdanie niedokończone.

– Chciałbyś wiedzieć, Allanie – rzekł – że na twój ślub nie przyjdę ze zranionym sercem? Jeśli pozwolisz mi wrócić na chwilę do przeszłości, myślę, że mogę cię uspokoić.

Ponownie zasiedli na krzesłach. Allan widział, że Midwinter jest wzruszony.

– Po co się martwić? – zapytał życzliwie. – Po co wracać do przeszłości?

– Z dwóch powodów, Allanie. Już dawno powinienem był ci podziękować za milczenie, jakie zachowałeś ze względu na mnie w sprawie, która musiała ci się wydać bardzo dziwna. Wiesz, jakie nazwisko pojawia się przy mnie w księdze ślubów, a jednak powstrzymałeś się od poruszania tego tematu w obawie przed sprawieniem mi przykrości. Zanim rozpoczniesz nowe życie, pozwól, że po raz

pierwszy i ostatni dojdziemy do porozumienia w tej sprawie. Proszę cię, jako jeszcze jeden wyraz życzliwości wobec mnie, abyś przyjął zapewnienie (jakkolwiek dziwna może wydawać ci się ta sprawa), że jestem w tej kwestii bez winy, i proszę cię, abyś uwierzył, że mam powody, dla których chciałbym pozostawić ją niewyjaśnioną, a które to powody pochwalałby sam pan Brock, gdyby żył.

W ten sposób Midwinter zachował tajemnicę obu nazwisk i pozostawił pamięć Allana o matce taką, jaką ją zastał, uświęconą pamięcią w sercu jej syna.

– Jeszcze jedno słowo – ciągnął – słowo, które tym razem przeniesie nas z przeszłości w przyszłość. Powiedziano, zresztą słusznie, że ze zła może wynikać dobro. Z przerażenia i nieszczęścia tamtej nocy, o której wiesz, wynikło zażegnanie wątpliwości, która niegdyś zatruwała mi życie bezpodstawnym niepokojem o ciebie i mnie. Moja przesądność już nigdy nie położy się cieniem na naszej przyjaźni. Nie mogę uczciwie powiedzieć, że teraz bardziej jestem skłonny przyjąć tak zwany racjonalny punkt widzenia wobec twojego snu niż wtedy, gdy byliśmy na Wyspie Man. Choć wiem, jak niezwykle zbiegi okoliczności nieustannie wydarzają się w życiu każdego z nas, nadal się nie zgodzę, że zbiegi okoliczności mogą wyjaśnić spełnienie się wizji, które widzieliśmy na własne oczy. Ze swojej strony mogę tylko szczerze powiedzieć coś, co jak myślę, cię ucieszy, a mianowicie, że nauczyłem się patrzeć na znaczenie tego snu w nowy sposób. Kiedyś wierzyłem, że został on zesłany, aby wzbudzić w tobie nieufność wobec samotnego człowieka, przed którym otworzyłeś drzwi swego serca jak przed bratem. Teraz wiem, że został ci on dany w odpowiedniej chwili jako przestroga, aby jeszcze szerzej otworzyć przed nim drzwi. Czy to pomoże mi cię uspokoić, że ja również stoję z nadzieją na progu nowego życia i że dopóki żyjemy, bracie, moja i twoja miłość nigdy więcej się nie dadzą rozłączyć?

W milczeniu uścisnęli sobie dłonie. Allan pierwszy ochłonął. Odpowiedział kilkoma słowami życzliwego zapewnienia, najlepszymi, jakie mógł skierować do przyjaciela.

– Dowiedziałem się wszystkiego, co chcę wiedzieć o przeszłości – rzekł – i wiem to, co najbardziej chciałem wiedzieć odnośnie do przyszłości. Wszyscy mówią, że kariera przed tobą, Midwinter, i myślę, że mają rację. Kto wie, jakie wspaniałe

rzeczy mogą się wydarzyć, zanim oboje się zestarzejemy?

– A po co to wiedzieć? – odrzekł spokojnie Midwinter. – Cokolwiek się wydarzy, Bóg jest miłosierny, Bóg jest wszechwiedzący. Tymi słowami napisał do mnie kiedyś twój drogi, stary przyjaciel. W tej wierze mogę patrzeć wstecz na lata, które minęły, bez żalu i wyglądać lat, które mają nadejść, bez zwątpienia.

Wstał i podszedł do okna. Podczas gdy rozmawiali, ciemność pierzchła. Pierwsze światło nowego dnia powitało go, kiedy wyjrzał, i miękko spoczęło na jego twarzy.

POSŁOWIE

Moi czytelnicy zauważą, że w odniesieniu do snu opisanego w tej historii celowo zostawiłem ich w położeniu, w którym znaleźliby się w przypadku rzeczywistego snu: mogą go interpretować zgodnie z teorią racjonalną lub nadprzyrodzoną, zależnie od preferencji własnego umysłu. Osoby skłonne przyjąć racjonalne stanowisko może w tej sytuacji zainteresować zbieg okoliczności łączący się z niniejszą historią, który faktycznie miał miejsce i który jeśli chodzi o „przesadne nieprawdopodobieństwo” przyćmiewa wszystko, co pisarz mógłby wymyślić.

W listopadzie 1865 roku, to jest po tym, jak opublikowano trzynastcie comiesięcznych odcinków powieści *Armadale* i kiedy minęło ponad półtora roku od chwili, gdy zakończenie historii, która obecnie się ukazuje, po raz pierwszy zostało zarysowane w moim zeszycie, w basenie portowym Huskisson Dock w Liverpoolu stał statek znajdujący się pod opieką jednego mężczyzny, który nocował na pokładzie w charakterze dozorcę. Pewnego dnia mężczyzna ten został znaleziony martwy w pokładówce. Następnego dnia inny mężczyzna, który zajął jego miejsce, został przeniesiony w stanie agonalnym do szpitala Northern Hospital. Trzeciego dnia wyznaczono trzeciego dozorcę i ten również został znaleziony martwy w pokładówce, która okazała się pechowa dla jego dwóch poprzedników. Statek ten nazywał się „The Armadale”, a dochodzenie wykazało, że wszyscy trzej mężczyźni udusili się, śpiąc w zatrutym powietrzu!

Zawdzięczam te szczegóły uprzejmości reporterów z Liverpoolu, którzy przesłali mi sprawozdanie z tych wydarzeń. Sprawa trafiła do większości gazet. Została odnotowana – by podać dwa przykłady, w przypadku których znam daty – w „Timesie” z 30 listopada 1865 roku, a szerzej opisana w „Daily News” z 28

listopada tego samego roku.

Zanim pożegnam się z powieścią *Armada*, niech mi będzie wolno nadmienić z uwagi na tych czytelników, których interesują takie szczegóły, że rozlewiska hrabstwa Norfolk są tu opisane na podstawie własnego doświadczenia. W tym, jak i w innych przypadkach nie szczędziłem wysiłków, aby zapoznać się z faktami. Gdziekolwiek historia dotyka kwestii związanych z prawem, medycyną czy chemią, przed publikacją została przedłożona do konsultacji specjalistom. Dzięki uprzejmości przyjaciela zaopatrzyłem się w plan aparatu doktora i widziałem reakcję składników chemicznych, zanim ośmieliłem się opisać ich działanie w ostatnich scenach tej książki.

Tytuł oryginału: *Armada*

Copyright © 2016, MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-301-5

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Korekta: MG, Jolanta Stal

Skład: Jacek Antoniuk

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

handlowyMG@gmail.com

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink
woblink.com